



a r t e f a k t y

DAN
SIMMONS

TRIUMF
ENDYMIONA



Dan Simmons

Triumf Endymiona

Przekład Wojciech Szypuła

Spis treści

CZĘŚĆ PIERWSZA

- 1
- 2
- 3
- 4
- 5
- 6
- 7
- 8
- 9
- 10
- 11
- 12
- 13
- 14

CZĘŚĆ DRUGA

- 15
- 16
- 17
- 18
- 19
- 20
- 21

CZĘŚĆ TRZECIA

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

PODZIĘKOWANIA

CZĘŚĆ PIERWSZA

1

Papież umarł! Niech żyje papież!

Krzyk odbił się echem od ścian dziedzińca San Damaso w Watykanie, gdzie w apartamentach papieskich znaleziono właśnie ciało zmarłego we śnie Juliusza XIV. W kilka minut wieść o jego śmierci rozeszła się po zespole przypadkowo dobranych budynków, nadal określanych mianem Pałacu Watykańskiego, po czym z prędkością ognia rozprzestrzeniającego się w najczystszy tlenie zaczęła szerzyć się po całym Watykanie: w mgnieniu oka dotarła do kompleksu biurowego, przemknęła przez zatłoczoną Bramę Świętej Anny do Pałacu Apostolskiego i trafiła do przylegającego doń budynku rządowego; znalazła chętnych słuchaczy w Bazylice Świętego Piotra, co nawet zwróciło uwagę celebrującego mszę arcybiskupa, który z marszem na czole odwrócił się, by zerknąć na nieoczekiwane rozszepstanych i posykujących wiernych. Wierni ci opuszczając bazylikę ponieśli pogłoskę o odejściu Ojca Świętego dalej, do zgromadzonych na Placu Świętego Piotra tłumów - reakcja około osiemdziesięciu, może nawet stu tysięcy turystów i urzędników, składających wizytę dostojnikom Paxu, przypominała wybuch ładunku plutonu, który nagle osiągnął masę krytyczną.

Pokonawszy główną bramę - Łuk Dzwonów, przez który do Watykanu kierowano ruch kołowy - nowina rozpędziła się do prędkości swobodnych elektronów, następnie osiągnęła szybkość światła, by wreszcie wymknąć się poza planetę Pacem na pokładach statków z napędem Hawkinga, poruszających się tysiąckroć szybciej niż światło. Tymczasem nieco bliżej, tuż poza starożytnymi watykańskimi murami, w kamiennym, posępnym Zamku Świętego

Anioła, gdzie w miejscu pierwotnego mauzoleum Hadriana znajdowała się teraz siedziba Świętej Inkwizycji, rozdzwoniły się telefony i komłogi. Przez cały ranek Watykan rozbrzmiewał grzechotem różańców i szelestem wykrochmalonych sutann, gdy funkcjonariusze Stolicy Apostolskiej spieszyli gromadnie do swoich biur, by śledzić zaszyfrowane doniesienia z sieci i oczekiwać poleceń od przełożonych. Komunikatory osobiste podzwaniały, piszczały i wibrowały w kieszeniach i implantach tysięcy administratorów Paxu, dowódców sił zbrojnych i oficjeli Mercantilusa. Pół godziny od znalezienia zwłok papieża poinformowano o tym fakcie agencje informacyjne na Pacem; ich pracownicy przygotowali zrobotyzowane holokamy, uruchomili zastępy przekaźników satelitarnych, wysłali swych najlepszych pracowników do watykańskiego biura prasowego - i czekali. W międzygwiazdnym społeczeństwie, w którym Kościół sprawował niemal absolutną władzę, oczekiwano nie tyle niezależnego potwierdzenia informacji, co raczej oficjalnego pozwolenia na jej zaistnienie.

Dwie godziny i dziesięć minut po odkryciu, że Juliusz XIV nie żyje, Kościół potwierdził jego zgon w oświadczeniu wydanym przez biuro watykańskiego Sekretarza Stanu, kardynała Lourdusamy. W kilka sekund nagranie z oświadczeniem dotarło do wszystkich odbiorników radiowych i holowizyjnych na kipiącej życiem Pacem. Półtora miliarda mieszkańców planety - ponownie narodzonych chrześcijan z krzyżokształtami, w większości pracowników olbrzymiej maszyny biurokratycznej watykańskiej armii, służb cywilnych i handlowych - z zaciekawieniem wysłuchało wiadomości. Jeszcze przed wydaniem oficjalnego komunikatu kilkanaście nowych okrętów klasy archanioł opuściło bazy na orbicie i udało się w podróż do wybranych obszarów w niewielkiej, opanowanej przez człowieka części galaktyki. Ich załogi poniosły śmierć wskutek działania superszybkiego napędu, ale

informacja o śmierci Ojca Świętego, zapisana w komputerach i transponderach kodujących, dotarła bezpiecznie do ponad sześćdziesięciu najważniejszych światów archidiecezjalnych. Te same statki kurierskie miały zabrać na Pacem nielicznych kardynałów, którzy osobiście wezmą udział w rychłych wyborach nowego papieża. Większość wyborców będzie jednak wolała zostać w domu i nie przechodzić przez rytuał śmierci - nawet w obliczu pewnego zmartwychwstania. Prześlą tylko zaszyfrowane, interaktywne dyski holograficzne ze swym eligo na następnego papieża.

Dalsze osiemdziesiąt pięć statków Paxu, głównie szybkich liniowców wyposażonych w napęd Hawkinga, przygotowywało się do skoku; ich podróż miała trwać od kilku dni do kilku miesięcy, a względny dług czasowy - sięgnąć od kilku tygodni do kilku lat. Na razie jednak musiały jeszcze poczekać standardowe dwa lub trzy tygodnie na wybór nowego papieża, a dopiero później ponieść nowinę do ponad stu trzydziestu mniej znaczących, kontrolowanych przez Pax układów planetarnych, których arcybiskupi mieli pod opieką dalsze miliardy wiernych. Archidiecezje we własnym zakresie miały zająć się zawiadomieniem pomniejszych układów i tysięcy kolonii na Pograniczu o śmierci, wskrzeszeniu i ponownym wyborze Ojca Świętego. Z górą dwieście bezzałogowych statków kurierskich z napędem Hawkinga, stacjonujących na co dzień w olbrzymiej bazie wojskowej Paxu na jednym z asteroidów krążących wokół Pacem, czekało w pogotowiu na zaprogramowanie oficjalnej informacji o zmartwychwstaniu i reelekcji papieża Juliusza. Ich zadaniem było zanieść nowinę do jednostek floty bojowej, zaangażowanych w wojnę z Intruzami w rejonie tak zwanego Wielkiego Muru - gigantycznej strefy obronnej, rozciągającej się daleko poza granicami wpływów Paxu.

Papież Juliusz umierał już ośmiokrotnie. Miał słabe serce, lecz nie zgadzał się, by cokolwiek w nim naprawiano, czy to w drodze zabiegów

chirurgicznych, czy też nanoplastycznych. Uważał, że Ojciec Święty powinien naturalnie dożyć końca swych dni, by po jego śmierci można było wybrać następcę. Fakt, że już ośmiokrotnie wybierano tę samą osobę, nijak nie wpłynął na zmianę jego opinii. Teraz zaś, gdy jego ciało przygotowywano do oficjalnego wieczornego wystawienia przed przeniesieniem do prywatnej kaplicy zmartwychwstańczej na tyłach bazyliki, kardynałowie i ich zastępcy szykowali się do rychłych wyborów.

Kaplicę Sykstyńską zamknięto dla turystów i zaczęto przygotowywać do głosowania, do którego powinno dojść w ciągu najbliższych trzech tygodni. Wstawiono zabytkowe, zadaszone stalle dla osiemdziesięciu trzech kardynałów, którzy mieli osobiście stawić się na tę uroczystość; sprowadzono również projektory holograficzne i zainstalowano interaktywne łącza do infopłaszczyzny, mając na uwadze tych spośród dostojników, którzy woleli głosować z macierzystych planet. Przed ołtarzem ustawiono stół dla Skrutatorów, na którym znalazły się małe kartki papieru, igły, nici, taca, kawałki płótna i inne drobiazgi. Stół Rewizorów stanął nieco z boku. Główne wrota kaplicy zamknięto i opieczętowano. Na straży stanęli żołnierze z Gwardii Szwajcarskiej w bojowych pancerzach i z najnowszą bronią energetyczną w dłoniach; podobnych wartowników wystawiono przy opancerzonych drzwiach papieskiej kaplicy zmartwychwstańczej.

Zgodnie z pradaunym protokołem wybory miały się odbyć nie wcześniej niż po piętnastu dniach od śmierci papieża, jednak nie później niż po dwudziestu. Kardynałowie mieszkający na Pacem, oraz na planetach leżących w zasięgu trzytygodniowego dhigu czasowego odwołali wszystkie spotkania i zaczęli przygotowywać się do konklawe.

Niektórzy otyli ludzie noszą ciężar własnego ciała niczym stygmat folgowania swym żądzom, symbol lenistwa i słabości; są jednak i tacy, którzy obnoszą się z nim iście po królewsku, traktując cielesną

wielkość jak oznakę władzy. Simon Augustino kardynał Lourdusamy należał do tej drugiej kategorii: olbrzymi niczym okryta biskupim szkarłatem góra, wyglądał na niespełna sześćdziesiąt lat standardowych i od ponad dwóch wieków był aktywnym dostojnikiem Kościoła, przechodząc kolejne udane zmartwychwstania. Łysy, obdarzony masywną szczęką i potężnym, basowym głosem, zdolnym dudnić niczym grzmot w bazylice Świętego Piotra bez pomocy systemu nagłaśniającego, Lourdusamy stanowił najpełniejsze ucieleśnienie zdrowia i witalności w całym Watykanie. Wielu wysoko postawionych członków kościelnej hierarchii przypisywało mu, wówczas jeszcze młodemu urzędnikowi w watykańskiej machinie dyplomatycznej, poprowadzenie zboląłego, cierpiącego ojca Lenara Hoyta, jednego z hyperiońskich pielgrzymów, do odkrycia sekretu krzyżokształtu i uczynienia zeń instrumentu wskrzeszenia. W ich oczach Lourdusamy, na równi z niedawno zmarłym papieżem, przyczynił się do odrodzenia zamierającego Kościoła.

Bez względu na to, czy legenda ta zawierała ziarno prawdy, dziewiątego dnia od śmierci Ojca Świętego, a na pięć dni przed jego wskrzeszeniem, Lourdusamy był w znakomitej formie. Jako Sekretarz Stanu, prezes komitetu nadzorującego działanie dwunastu Świętych Zgromadzeń i prefekt najbardziej tajemniczego i darzonego największym lękiem Zgromadzenia Doktryny Wiary - po tysiącletnim z górą bezkrólewiu ponownie znanego pod nazwą Świętego Oficjum Wszechświatowej Inkwizycji - Lourdusamy bez wątpienia nie miał sobie równych pod względem sprawowanej w Kurii władzy. Ba, teraz, gdy Jego Świątobliwość papież Juliusz XIV spoczywał w bazylice Świętego Piotra, oczekując ponownego zmartwychwstania, Simon Augustino kardynał Lourdusamy prawdopodobnie nie miał sobie równych w całym wszechświecie.

I doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

— Czy już przybyli, Lucas? - zwrócił się do monsignore Lucasa Oddiego, mężczyzny, który od dwóch pracowitych stuleci był jego asystentem i zausznikiem. Chudy, niemłody i nerwowy w ruchach podsekretarz stanu stanowił idealne przeciwieństwo potężnego, nie starzejącego się i opanowanego kardynała. Pełny przysługujący mu tytuł Zastępcy i Sekretarza Cyfry skracano zwykle do „Zastępcy”, choć dla wysokiego, kościstego benedyktyna lepsze byłoby jakieś bardziej tajemnicze przezwisko, skoro przez dwadzieścia dwa dziesięciolecia wiernej służby nie dał nikomu - nawet samemu Lourdusamy’emu — poznać swych prawdziwych uczuć i opinii. Stał się prawą ręką kardynała tak dawno i służył mu tak skutecznie, że ten przestał już uważać go za coś więcej niż po prostu przedłużenie własnej woli i umysłu.

— Właśnie zajęli miejsca w wewnętrznej poczekalni - odparł Oddi.

Lourdusamy skinął głową. Watykański zwyczaj organizowania ważnych spotkań w poczekalniach zamiast w prywatnych gabinetach najwyższych urzędników liczył grubo ponad tysiąc lat - wywodził się z czasów przed hegirą, przed ucieczką ludzi z umierającej Ziemi i kolonizacją gwiazd. Wewnętrzna poczekalnia w biurze Sekretarza Stanu była niewielka - najwyżej pięć na pięć metrów - i prawie pozbawiona sprzętów; stał tu tylko okrągły marmurowy stół bez wbudowanych komunikatorów. Jedyne okno wychodziło na ozdobiony przepięknymi freskami balkon, ale szyby zawsze były tak spolaryzowane, by nie przepuszczać światła. Na ścianach zawieszono dwa obrazy trzydziestowiecznego mistrza Karotana; jeden z nich przedstawiał mękę Chrystusa w Ogrójcu, drugi zaś olbrzymiego, bezpłciowego anioła, ofiarowującego papieżowi Juliuszowi (a właściwie jego prepapieskiej inkarnacji, ojcu Lenarowi Hoytowi) krzyżokształt; scenie tej bezradnie przyglądał się Szatan (pod postacią Chyżwara).

Czworo zebranych w pokoju ludzi - trzech mężczyzn i kobieta - reprezentowało Radę Nadzorczą Pankapitalistycznej Ligi Niezależnych Katolickich Międzygwiezdnych Organizacji Handlowych, lepiej znanej jako Pax Mercantilus. Dwóch mężczyzn mogło z powodzeniem uchodzić za ojca i syna: M. Helvig Aron i M. Kennet Hay-Modino byli podobni w każdym calu. Nosili takie same, kosztowne stroje i drogie, tradycyjne fryzury, mieli podobnie subtelne twarze, bioformowane na podobieństwo północnych Europejczyków ze Starej Ziemi i jeszcze bardziej subtelne czerwone spinki, zdradzające przynależność do Niezawisłego Zakonu Rycerskiego Świętego Jana z Jeruzalem, Rodos i Malty - starożytnego stowarzyszenia, szerzej znanego pod mianem „Kawalerów Maltańskich”. Trzeci z mężczyzn miał azjatyckie rysy i nosił prostą, bawełnianą szatę. Nazywał się Kenzo Isozaki i tego dnia był drugim pod względem sprawowanej władzy człowiekiem w Paksie - po kardynale Lourdusamy. Ostatnia przedstawicielka Mercantilusa wyglądała na nieco ponad pięćdziesiąt lat standardowych, miała ciemne, niedbale przycięte włosy i ściągniętą twarz. Przybyła na spotkanie w tanim stroju roboczym z plastowłókna. Nazywała się M. Anna Pełli Cognani i uchodziła za pewną kandydatkę do odziedziczenia fortuny Isozackiego. Od lat krążyły plotki, że jest kochanką kobiety wyświęconej na arcybiskupa Renesansu.

Wszyscy czworo wstali i skłonili się lekko w chwili, gdy kardynał Lourdusamy wszedł i zajął miejsce przy stole. Lucasowi Oddiemu przypadła w udziale rola jedyne go obserwatora rozmów; stanął z boku i splótł dłonie przed sobą. Oczy umęczonego Chrystusa Karotana zerkały na zgromadzonych sponad czarno odzianych ramion monsignora.

Aron i Hay-Modino podeszli do kardynała, uklękli na jedno kolano i ucałowali zdobiony szafirem pierścień, ale zanim Isozaki i Cognani zdążyli uczynić to samo, Lourdusamy dał znak ręką, że nie

życzy sobie tak ścisłego przestrzegania protokołu. Kiedy wszyscy znów zajęli miejsca przy stole, kardynał się odezwał:

Jesteśmy starymi przyjaciółmi. Wiecie, że reprezentuję Stolicę Apostolską w okresie tymczasowej nieobecności Ojca Świętego i że treść naszej rozmowy nie wyjdzie poza próg tej komnaty. - Uśmiechnął się. - A ta komnata, moi drodzy, jest najbezpieczniejszym i najbardziej dyskretnym pokojem w całym Paksie.

Aron i Hay-Modino odpowiedzieli krótkim uśmiechem; wyraz twarzy Isozakiego nie zmienił się ani na jotę, pogłębił się natomiast mars na czole Anny Pełli Cognani.

— Wasza Ekscelencjo - wtrąciła. - Czy mogę mówić otwarcie?

Kardynał podniósł dłoń. Nigdy nie ufał ludziom, którzy chcieli być „otwarci”, zarzekali się, że będą mówić „bez ogródek” i „całkowicie szczerze”.

— Ależ oczywiście, moja droga - odrzekł. - Żałuję tylko, że wskutek niesprzyjających okoliczności i niecierpiących zwłoki obowiązków nie mamy zbyt wiele czasu.

Kobieta kiwnęła głową; zrozumiała, że ma mówić krótko i do rzeczy.

— Prosiliśmy o zwołanie tej narady nie tylko po to, by wystąpić jako lojalni członkowie Ligi Pankapitalistycznej Jego Świątobliwości, lecz także jako przyjaciele Stolicy Apostolskiej i pańscy, Eminencjo.

Lourdusamy skinął uprzejmie głową. Jego wąskie wargi układały się w łagodny uśmiech.

— Rozumiem - powiedział.

M. Helvig Aron odchrząknął.

— Wasza Eminencjo - zaczął. - Mercantilus żywo interesuje się zbliżającymi się wyborami papieża.

Kardynał postanowił mu nie przerywać, ale dalej mówił już M. Hay-Modino.

— Chcielibyśmy zapewnić Waszą Eminencję, zarówno jako sekretarza stanu, jak i potencjalnego kandydata do godności papieskiej, iż po wyborze nowego Ojca Świętego, Liga będzie nadal z absolutną lojalnością realizować założenia polityki Watykanu.

Lourdusamy niemal niedostrzegalnie skinął głową. Doskonale rozumiał, o co chodzi: w jakiś sposób Pax Mercantilus - sieć wywiadowcza Isozakiego - wyniuchał możliwość przewrotu w watykańskiej hierarchii. Udało im się podsłuchać najcichsze szepty, odkryć najtajniejsze sekrety tak bezpiecznych pomieszczeń, jak to, w którym odbywała się rozmowa. Isozaki wiedział, że mówi się o zastąpieniu papieża Juliusza nowym człowiekiem - i że jego następcą byłby właśnie on, Simon Augustino Lourdusamy.

— W smutnym okresie pustki na Piotrowym Tronie - ciągnęła M. Cognani - uznaliśmy za swój obowiązek zapewnić oficjalnie i prywatnie o niezłomnej wierności Ligi wobec Stolicy Apostolskiej i Kościoła Świętego, wierności budowanej na z górną dwustuletnich podstawach.

Kardynał znów pokiwał tylko głową i czekał, ale przywódcy Mercantilusa umilkli. Przez chwilę zastanawiał się, co sprawiło, że Isozaki stawił się na to spotkanie osobiście.

Chciał na własne oczy zobaczyć moją reakcję, zamiast jak zwykle polegać na raportach podwładnych. Starzy ludzie nade wszystko wierzą własnym zmysłom i przeczuciom, pomyślał Lourdusamy i uśmiechnął się. Dobry pomysł.

Pozwolił, żeby cisza przeciągnęła się o dalszą minutę, zanim zabrał głos.

— Przyjaciele - zadudnił wreszcie. - Nie macie wręcz pojęcia, jak ciepło robi mi się na sercu na myśl, że czworo tak ważnych i zapracowanych ludzi postanowiło odwiedzić biednego kapłana w ten ciężki, smutny dla nas wszystkich czas.

Isozaki i Cognani pozostali nieporuszeni, za to w oczach pozostałej dwójki kardynał dostrzegł błysk źle maskowanej nadziei. Jeżeli w tym momencie dałby znak, nawet najbardziej subtelny, że cieszy się z ich poparcia, Mercantilus znalazłby się na równym poziomie z konspiratorami z Watykanu; stałby się de facto równorzędnym partnerem następnego papieża.

Lourdusamy pochylił się nad stołem; jego uwadze nie umknął fakt, że M. Isozaki podczas całej wymiany zdań nawet nie mrugnął.

— Moi drodzy - mówił dalej kardynał. - Jako dobrzy, ponownie narodzeni chrześcijanie, jako szpitalnicy - tu skinął głową w stronę M. Hay-Modino i M. Arona - bez wątpienia znacie procedurę wyboru nowego papieża. Pozwólcie jednak, że ją wam przypomnę. Kiedy kardynałowie lub ich interaktywne, holograficzne odpowiedniki znajdują się w Kaplicy Sykstyńskiej, a drzwi do niej zostaną zamknięte i opieczętowane, możemy dokonać wyboru na trzy sposoby: przez aklamację, przez delegację bądź w tajnym głosowaniu. W pierwszym przypadku Duch Święty oświeca kardynałów, którzy jednomyślnie ogłaszają kto zostanie nowym Ojcem Świętym; każdy z nas wypowiada słowo eligo - czyli „wybieram” - i imię wspólnego kandydata. Przy wyborze przez delegację wybieramy spośród nas kilku czy kilkunastu kardynałów, którzy następnie podejmują decyzję w imieniu wszystkich. W głosowaniu tajnym wypełnia się kartki i liczy głosy tak długo, aż jeden z kandydatów otrzyma dwie trzecie głosów plus jeden. Wtedy dopiero wybór uznaje się za dokonany, a oczekujące miliardy wiernych mogą ujrzeć sfumata, czyli kłęby białego dymu, oznaczające, że rodzina Kościoła znów ma Ojca.

Czworo przedstawicieli Mercantilusa siedziało w milczeniu. Każde z nich doskonale zdawało sobie sprawę z tajników procedury wyboru papieża - nie tylko znali starodawne mechanizmy, ale byli też świadomi gier politycznych, presji, paktów, blefów i najzwyklejszego szantażu,

które na przestrzeni wieków nierozzerwalnie łączyły się z konklawe. Powoli zaczęli rozumieć, dlaczego Lourdusamy z takim naciskiem wykląda im rzeczy oczywiste.

— Ostatnie dziewięć razy - grzmiał dalej kardynał - papieża wybrano przez aklamację, czyli pod bezpośrednim wpływem Ducha Świętego.

Sekretarz Stanu przerwał i zapanowała długa, ciężka cisza. Monsignore Oddi spoglądał na zebranych zza pleców kardynała, równie nieruchomy, jak Chrystus z obrazu i z równie niewzruszonym spojrzeniem, jak Kenzo Isozaki.

— Nie mam powodów, by przypuszczać, że tym razem będzie inaczej - zakończył Lourdusamy.

Przez chwilę nikt się nie poruszył, aż wreszcie M. Isozaki leciutko skinął głową: komunikat został wysłuchany i zrozumiany. Nie będzie przewrotu w Watykanie, a gdyby nawet rzeczywiście do niego doszło, Lourdusamy kontroluje sytuację i nie potrzebuje wsparcia ze strony Mercantilusa. Jeżeli nic się nie wydarzy, znaczy to, że czas kardynała jeszcze nie nadszedł, a papież Juliusz znów zostanie zwierzchnikiem Kościoła i Paxu. Grupa Isozackiego podjęła ogromne ryzyko, kierując się obietnicą niewyobrażalnej władzy, gdyby udało im się sprzymierzyć z przyszłym Ojcem Świętym; teraz pozostało im tylko przyjąć na siebie konsekwencję ryzykownej decyzji. Sto lat wcześniej papież Juliusz ekskomunikował za drobne uchybienia jednego z przodków Isozackiego: cofnięto mu przywilej sakramentu krzyżoksztątu i skazano na życie w separacji od katolickiej społeczności - czyli wszystkich mężczyzn, kobiet i dzieci na Pacem i większości podległych Paxowi planet - zakończone prawdziwą śmiercią.

— Przykro mi, ale obowiązki nie pozwalają mi dłużej przebywać w waszym szacownym towarzystwie - zagrzemiał ponownie bas kardynała. Zanim jednak Lourdusamy zdążył wstać i wbrew

protokołowi obowiązującemu w obecności księcia Kościoła, M. Isozaki postąpił szybko dwa kroki naprzód, uklęknął na jedno kolano i ucałował jego pierścień.

— Eminencjo - zabrzmiał cichy głos starego miliardera, stojącego na czele Pax Mercantilus.

Tym razem przed wyjściem z komnaty Lourdusamy pozwolił, by każdy z członków Rady Nadzorczej oddał mu należny hołd.

Następnego dnia po śmierci papieża jednostka klasy archaniołów weszła w przestrzeń planetarną Bożej Kniei. Był to jedyny statek tego typu nie wysłany w kosmos z misją kurierską, w dodatku mniejszy od nowych okrętów. Nazywał się „Rafael”.

W kilka minut po zajęciu pozycji na orbicie, od kadłuba oddzielił się lądownik, by po chwili z rykiem zanurzyć się w atmosferze popielatej planety. Jego załoga składała się z dwóch mężczyzn i kobiety, którzy wyglądali na rodzeństwo: mieli identycznie szczupłe ciała, bladą cerę, ciemne, krótkie, falujące włosy, wąskie usta i czujne spojrzenia. Mieli na sobie całkiem zwyczajne skafandry w kolorach czerwonym i czarnym, nadgarstki całej trójki zaś zdobiły skomplikowane komlogi. Obecność załogi w lądowniku była o tyle niezwykła, że pasażerowie archaniołów ginęli natychmiast, gdy statek wchodził w przestrzeń Plancka, a wskreszenie człowieka w pokładowej komorze zmartwychwstańczej wymagało zwykle trzech dni.

Ci troje nie byli ludźmi.

Lądownik wysunął skrzydła i wygładził powierzchnię kadłuba, by nadać jej jak najbardziej aerodynamiczny kształt. Z prędkością trzy Macha przeciął linię terminatora. Wleciał w strefę dnia nad Bożą Knieją, dawną planetą templariuszy, teraz poznaczoną masą wypalonych blizn, pól popiołu, dolin po cofających się lodowcach i rachitycznymi sekwojami, walczącymi o odrodzenie się w zmasakrowanym krajobrazie. Zwolniwszy do prędkości

poddźwiękowej, statek przemknął nad wąską strefą łagodnego klimatu i w miarę rozwiniętej roślinności w pobliżu równika, po czym ruszył wzdłuż rzeki w stronę pniaka, który pozostał po Drzewoświecie - wciąż wysoki na ponad kilometr i mający średnicę osiemdziesięciu trzech kilometrów trzon majaczył nad południowym horyzontem niczym rozległy, czarny płaskowyż. Lądownik wyminął go i lecąc nad rzeką skręcił na zachód, opadając coraz niżej i niżej, aż wreszcie wylądował na głazie, za którym woda wpadała w wąską gardziel. Kobieta i mężczyźni zeszli po wysuniętych ze statku schodach i rozejrzeli się po okolicy. W tej części planety dzień dopiero niedawno wstał. Woda burzyła się i grzmiała wpadając w bystrza, ptaki świergotały, a w dole rzeki jakieś niewidoczne nadrzewne zwierzęta wtórowały im swoim piskiem. W powietrzu unosiła się woń sosnowego igliwia, wilgotnej ziemi, popiołu i mieszanina obcych, nieznanych zapachów. Przed ponad dwustu pięćdziesięciu laty Boża Knieja została zaatakowana i zniszczona z orbity. Te spośród mierzących dwieście metrów wysokości drzew, którymi templariusze nie uciekli w kosmos, spłonęły w pożarze, który szalał na planecie przez blisko sto lat. Ugasiło go dopiero nadejście atomowej zimy.

— Ostrożnie - rzucił jeden z mężczyzn, gdy we troje zaczęli schodzić nad rzekę. — Monowłókna, które zainstalowała, powinny wciąż tu być.

Szczupła kobieta skinęła głową i z pianogumowego plecaka wyjęła laser. Przetawiła go na maksymalne rozproszenie wiązki, po czym omiotła promieniem najbliższy fragment nurtu. Niewidzialne z początku włókna zaśniły niczym pajęczyna pokryta kroplami rosy, w której odbija się poranny blask słońca. Kilkakrotnie przecinały wzburzoną wodę, a ich końcówki owijały się wokół kamieni.

— Ale nie w miejscu, gdzie mamy pracować - kobieta wyłączyła laser. Pokonali wąski pas przybrzeżnej plaży i wspięli się na skaliste zbocze, którego granit został stopiony i spłynął w dół niczym lawa

podczas wypalania Bożej Kniei. Na jednym z kamiennych tarasów były ślady jeszcze świeższych zniszczeń: pod szczytem głazu, wystającego dobre dziesięć metrów ponad koryto rzeki, widniał wytopiony w skale krater. Był idealnie okrągły, miał pięć metrów średnicy i pół metra głębokości. Od strony południowo-wschodniej, gdzie lawa niczym wodospad spłynęła do rzeki, rozbryzgując się i tryskając w zetknięciu z wodą, na szczyt kamiennego bloku prowadziły naturalne, czarne stopnie. Skala wypełniająca okrągłe zagłębienie miała ciemniejszy odcień i była gładza niż pozostała część głazu, jak oszlifowany onyks wstawiony w granitowy tygiel.

Jeden z mężczyzn zszedł do krateru, położył się i przytknął ucho do skały. Po sekundzie wstał i skinął głową do towarzyszy.

— Odsuńcie się - poleciła kobieta, kładąc dłoń na komlogu. Zrobili pięć kroków w tył, gdy z nieba strzelił promień czystej energii. Ptaki i zwierzęta czmychnęły w panice w leśny gąszcz. Natychmiastowa jonizacja i przegrzanie powietrza wywołały falę uderzeniową, która po sekundzie ruszyła we wszystkich kierunkach; w promieniu pięćdziesięciu metrów gałęzie i liście drzew buchnęły płomieniem. Średnica świetlistej, stożkowatej wiązki dokładnie odpowiadała średnicy zagłębienia w kamieniu, które zmieniło się w kałużę płynnego ognia.

Mężczyźni i kobieta obserwowali wszystko bez mrugnięcia okiem. Skafandry, wystawione na działanie temperatur godnych pieca hutniczego, zaczęły się na nich tlić, ale specjalnie dobrany materiał nie płonął.

— Wystarczy - stwierdziła kobieta, przekrzykując grzmot rozszerzającego się pożaru. Złocisty promień zniknął. Nagrzane powietrze z hukiem wypełniło pozostałą po nim pustkę. Zagłębienie w skale stało się kolistym zbiornikiem bulgoczącej lawy.

Jeden z mężczyzn przyklęknął na skraju krateru i pochylił się ku jego powierzchni, jak gdyby nasłuchiwał. Znów skinął głową i dokonał przeskoku fazowego: w jednej chwili miał normalne ciało, kości, krew, skórę i włosy, w następnej zaś upodobił się do chromowanego posągu człowieka. W jego przypominającej rtęć, srebrzystej skórze, idealnie odbijało się blade niebo, płonący las i ognista kałuża u stóp. Zanurzył w lawie dłoń, schylił się niżej, zagłębił całe ramię, po czym nagle wyciągnął je z powrotem. Kiedy jego ręka wychynęła ponad powierzchnię, można było odnieść wrażenie, że wtopiła się w drugą, podobną rękę, tym razem należącą do kobiety. Srebrzysty mężczyzna wydobył identycznie srebrzystą partnerkę z kipiącego kotła i przeniósł ją w odległe o kilkadziesiąt metrów miejsce, gdzie trawa nie płonęła, a skały były na tyle twarde, by utrzymać ciężar obojga. Drugi mężczyzna i kobieta z plecakiem podążyli za nimi.

Rtęciowy mężczyzna wrócił do swej normalnej postaci, a w chwilę później kobieta, którą przeniósł na rękach, uczyniła to samo. Wyglądała na siostrębliźniaczkę krótkowłosej dziewczyny w kombinezonie.

— Gdzie jest to przeklęte dziecko? - zapytała. Kiedyś nazywano ją Rhadamanth Nemes.

— Wymknęło się nam - odparł mężczyzna, który wyciągnął ją ze skały, bliźniaczo podobny do swojego towarzysza. - Dotarli do ostatniego transmitera.

Rhadamanth Nemes skrzywiła się nieznacznie. Zaczęła wyłamywać palce i naciągać ramiona, jakby dokuczały jej skurcze.

— Przynajmniej zabiłam tego cholernego androida - stwierdziła.

— Nie - zaprzeczyła druga kobieta, która nie miała imienia. - Uciekli na pokładzie lądownika „Rafaela”. Android stracił rękę, ale autochirurg utrzymał go przy życiu.

Nemes kiwnęła głową i odwróciła się, by spojrzeć na skały, wśród których wciąż przelewała się lawa. Dostrzegła połyskujące w blasku ognia monowłókna przeciągnięte nad rzeką. Las za plecami stojących płonął.

— Nie było to... przyjemne... Nie mogłam się ruszyć z miejsca, gdy ze statku skierowano na mnie pełną moc lancy, a kiedy otoczyła mnie skała, nie mogłam zrobić przeskoku. Musiałabym się bardzo skoncentrować, żeby obniżyć poziom zasilania, a przy tym utrzymać aktywny interfejs przejścia fazowego. Jak długo byłam tam pogrzebana?

— Cztery ziemskie lata - odpowiedział mężczyzna, który do tej pory milczał.

Rhadamanth Nemes uniosła wąskie brwi, bardziej z niedowierzania niż z zaskoczenia.

— A jednak Centrum wiedziało, gdzie jestem...

— Wiedziało - przytaknęła druga z kobiet. Jej twarz i mimika niczym nie różniły się od oblicza Nemes. - Wiedziało również, że je zawiódł.

Nemes uśmiechnęła się leciutko.

— Czyli te cztery lata to była kara.

— Napomnienie - poprawił ją mężczyzna, który wyciągnął ją z lawy. Zrobiła dwa kroki, jakby sprawdzając, czy umie zachować równowagę.

— Dlaczego w takim razie przybyliście po mnie? - spytała wypranym z emocji głosem.

— Chodzi o dziewczynkę - wyjaśniła kobieta. - Wraca. Mamy podjąć twoją misję.

Nemes kiwnęła głową.

Jej wybawiciel położył rękę na jej ramieniu.

— Chciałbym zwrócić ci uwagę, że cztery lata uwięzienia w żarze i kamieniu są niczym w porównaniu z tym, czego możesz się spodziewać, jeżeli znów zawiedziesz pokładane w tobie nadzieje.

Nemes spojrzała na niego przeciągle, ale nie odezwała się ani słowem. Jak na dany sygnał, cała czwórka odwróciła się plecami do płynącej lawy i szalejącego pożaru, po czym idealnie równym krokiem ruszyła do lądownika.

Na pustynnej planecie MadredeDios, na wysokim płaskowyżu Liano Estacado, który swą nazwę zawdzięczał pylonom stacji uzdatniania atmosfery, znaczącym jego powierzchnię w równych, dziesięciokilometrowych odstępach, ojciec Federico de Soya przygotowywał się do porannej mszy.

Mała miejscina Nuevo Atlan liczyła niespełna trzystu mieszkańców, głównie górników Paxu, wydobywających nieopodal boksyty i czekających na śmierć przed powrotem do domu. Oprócz nich w Nuevo Atlan mieszkała garstka nawróconych mariawitów, pędzących nędzny żywot pasterzy korgorów na skażonych pustkowiach. De Soya dokładnie wiedział, ilu wiernych należy się spodziewać na rannej mszy - czworga: wiekowej M. Sanchez, wdowy, która ponoć zamordowała męża podczas burzy przed sześćdziesięcioma dwoma laty, bliźniaków Perell, którzy z niewiadomych przyczyn woleli stary, popadający w ruinę kościół od idealnie schludnej i klimatyzowanej kaplicy firmowej na terenie kopalni, oraz tajemniczego starca z twarzą pokrytą bliznami od poparzeń radiacyjnych, który klęczał w ostatniej ławce i nigdy nie przyjmował komunii świętej.

Na dworze szalała burza piaskowa - jak zawsze - i de Soya musiał przebiec ostatnie trzydzieści metrów, dzielące zbudowaną z suszonych na słońcu cegieł plebanię od zakrystii. Głowę i ramiona skrył pod przezroczystym, plastowlóknowym kapturem, chroniąc w ten sposób

sutannę i biret, a brewiarz wetknął głęboko do kieszeni, nie chcąc, żeby się zapiaszczył. Na próżno jednak: co wieczór, gdy zdejmował sutannę i wieszał biret na kołku, piasek sypał się czerwoną kaskadą na podłogę, niczym wyschnięta na proszek krew z rozbitej klepsydry. Każdego ranka otwierając brewiarz czuł zgrzytające między stronicami ziarenka i brudził sobie nimi palce.

— Dzień dobry, ojcie - rzekł Pablo, kiedy ksiądz wpadł do zakrystii i wcisnął sparciałe uszczelki w szpary wokół drzwi.

— Dzień dobry, Pablo, mój najwierniejszy ministrancie - odpowiedział de Soya. Jedyne ministrancie, poprawił się zaraz w myślach. Pablo, prosty chłopak - prosty w pradawnym tego słowa znaczeniu: nie tylko niezbyt bystry, ale i uczciwy, szczery, lojalny i przyjacielski - służył de Sol do mszy w każdy dzień powszedni o szóstej trzydzieści rano, a w każdą niedzielę dwukrotnie. Zresztą w niedzielny ranek i tak przychodziły zawsze te same cztery osoby, a na późniejszą mszę dosłownie kilku górników więcej.

Chłopiec skinął głową i znów wyszczerzył zęby. Tylko przez moment, gdy wciągał przez głowę czystą, wykrochmaloną komżę, jego uśmiech znikł z oczu księdza.

Ojciec de Soya przeszedł obok Pabla, mierzwiąc mu ciemną czuprynę i otworzył wysoką skrzynię z ubraniami. Kiedy tumany piasku zakryły wschodzące słońce, dzień upodobił się do nocy. Jedyne oświetlenie zimnej, pustej zakrystii stanowiła pojedyncza, migocząca lampa. De Soya przyklęknął na jedno kolano, zmówił krótki, żarliwy pacierz i zaczął zakładać księżę szaty.

Przez dwadzieścia lat Francisco de Soya, ojciec kapitan we Flocie Paxu, dowódca takich okrętów jak „Baltazar”, nosił mundur, w którym tylko krzyż i koloratka zdradzały jego przynależność do stanu kapłańskiego. Nieraz przywdziewał plastokevlarowy pancerz, skafander próżniowy, taktyczne moduły komunikacyjne, gogle do

obserwacji infopłaszczyny, boże rękawice - wszystkie atrybuty kapitana liniowca - ale żaden z tych rekwizytów nie poruszał go do głębi tak, jak prosty ubiór proboszcza. Na przestrzeni ostatnich czterech lat, odkąd go zdegradowano i usunięto ze służby, ojciec kapitan de Soya na nowo odkrył swoje pierwotne powołanie.

Najpierw włożył biały humerał, a następnie podobnie bieluteńką albę, miękko spływającą aż do kostek i nieskalaną mimo nieustających burz piaskowych. Przewiązał się pasem, szepcząc pod nosem modlitwę. Zdjął ze skrzyni białą stulę, przez moment trzymał ją ze czcią w dłoniach, a potem założył na kark, krzyżując z przodu jedwabne końce. Za jego plecami Pablo krzątał się po maleńkim pokoiku, zrzucając brudne trzewiki i wdziewając w pośpiechu tanie, plastowłóknowe buty, które matka przykazała mu trzymać w zakrystii specjalnie do mszy.

Ojciec de Soya włożył jeszcze ornat z wyszywanym krzyżem w kształcie litery „T”, biały z purpurową lamówką. Zamierzał odprawić mszę, a przy okazji udzielić rozgrzeszenia wdowie i domniemanej morderczynie z pierwszej ławki oraz poparzonemu nieznanemu z tylnego rzędu.

Pablo wpadł na niego i omal go nie przewrócił; dyszał ciężko i uśmiechał się od ucha do ucha. Ojciec de Soya położył mu rękę na głowie, usiłując przyglądzić rozwiane kędziory i uspokoić chłopca. Podniósł liturgiczny kielich, zdjął dłoń z włosów Pabla i przeniósł ją nad przykryte naczynie.

— W porządku - rzekł cicho.

Uśmiech zniknął z twarzy chłopca, gdy ten zrozumiał powagę chwili i poprowadził dwuosobową procesję z zakrystii do ołtarza.

De Soya od razu zauważył, że w świątyni znajduje się pięć osób, nie cztery. Wszyscy oczekiwani wierni byli na swoich miejscach i w odpowiednich momentach klękali, wstawali i znów klękali, ale

w najgłębszym cieniu, gdzie do nawy prowadziło wąskie boczne przejście, stał jeszcze wysoki, milczący człowiek.

Podczas mszy świadomość obecności obcego ani na moment nie dawała spokoju de Soi. Ksiądz ze wszystkich sił starał się skoncentrować tylko na najświętszej tajemnicy przemienienia, której część stanowił.

— Dominus vobiscum - rzekł głośno. Od ponad trzech tysięcy lat Pan rzeczywiście jest z nami... z nami wszystkimi, pomyślał.

— Et cum spiritu tuo - dokończył, a kiedy Pablo powtarzał jego słowa, de Soya zerknął, czy jakiś zbłąkany promień światła nie padł na kryjącą się w cieniu smukłą sylwetkę. Nic z tego.

Podczas pierwszej modlitwy eucharystycznej jezuita zapomniał o tajemniczej postaci i skupił się na trzymanej w zgrubiałych dłoniach hostii.

— Hoc est enim corpus meum - powiedział wyraźnie, czując moc słów i modląc się po raz dziesięciotysięczny, by krew i miłosierdzie Zbawiciela zmyły grzechy, które popełnił jako kapitan floty.

Do komunii przystąpili tylko Perellowie. Jak zawsze. De Soya wypowiedział odpowiednie słowa i podał im hostię. Powstrzymał się od spojrzenia w cień, na przybysza.

Msza dobiegła końca w niemal całkowitej ciemności. Zawodzenie wichru zagłuszyło ostatnie modlitwy. W kościółku nigdy nie zainstalowano elektryczności, a chybotające się na wietrze świece w ściennym świeczniku nie rozpraszały mroku. Ojciec de Soya pobłogosławił wiernych i odniósł kielich do równie mrocznej zakrystii. Odłożył go na znajdujący się tu mały ołtarzyk. Tuż za nim do pokoju wpadł Pablo, który prędko zrzucił komżę i wciągnął burzową kurtkę.

— Do jutra, ojcze!

— Tak, dziękuję ci, Pablo. Nie zapomnij... - za późno: chłopiec wybiegł już i popędził do młyna, w którym pracował z ojcem i wujami.

Czerwony pył wirował w powietrzu wokół nieszczęlnych drzwi.

Każdego innego dnia de Soya zaczęłyby się rozbierać z szat i składać je starannie w skrzyni, by później zabrać je na plebanię i wyprać. Tym razem jednak nie zdjął tuniki, stuły, komży ani pasa. Nie wiedzieć czemu miał wrażenie, że będą mu potrzebne, tak samo jak podczas akcji abordażowych w Mgławicy Węglowej nie mógł się obejść bez plastokevlarowej zbroi.

Wysoki nieznajomy stanął w drzwiach zakrystii, z twarzą wciąż ukrytą w cieniu. Ojciec de Soya czekał i przyglądał mu się, walcząc z chęcią przeżegnania się albo zasłonięcia ostatnim opłatkami hostii, jakby obcy miał okazać się diabłem czy wampirem. Wycie wichru przeszło w ogłuszający, żałobny lament.

Przybysz postąpił krok naprzód i stanął w kręgu rubinowego blasku, rozsiewanego przez jedyną lampę. De Soya rozpoznał kapitan Marget Wu, osobistą adiutantkę i oficera łącznikowego admirała Marusyna, dowódcy Floty Paxu. Drugi raz tego ranka ksiądz musiał poprawić samego siebie: admirał Marget Wu, na co wskazywały dystynkcje na kołnierzu munduru, ledwie widoczne w słabym świetle.

— Ojciec kapitan de Soya? - zapytała admirał Wu.

Jezuita z wolna pokręcił głową. Była dopiero siódma trzydzieści rano, dzień na MadredeDios trwał dwadzieścia trzy godziny, a on już czuł się zmęczony.

— Po prostu ojciec de Soya - odrzekł.

— Ojczy kapitanie de Soya - powtórzyła Marget Wu, tym razem bez cienia wahania w głosie. - Niniejszym zostaje pan przywrócony do służby ze skutkiem natychmiastowym. Ma pan dziesięć minut na zebranie rzeczy osobistych, a później uda się pan ze mną.

Federico de Soya westchnął i zaniknął oczy. Chciało mu się płakać.

Panie, oszczędź mi tego kielicha goryczy.

Kiedy otworzył oczy, ujrzał stojący na ołtarzu kielich i czekającą admirał Wu.

— Tak jest - odpowiedział cicho i powoli, ostrożnie zaczął zdejmować liturgiczny strój.

Trzy dni po śmierci papieża Juliusza XIV i złożeniu jego zwłok w kaplicy komora zmartwychwstańcza ożyła: wąskie przewody i delikatne sondy cofnęły się i zniknęły bez śladu. Spoczywające na kamiennej płycie ciało leżało bez ruchu, jeśli nie liczyć unoszącej się i opadającej w rytm oddechu piersi, po czym wyraźnie drgnęło. Z ust dobył się jęk, po kilku długich minutach wskrzeszony mężczyzna oparł się na łokciu, aż wreszcie usiadł. Był nagi poza owiniętym wokół talii, bogato wyszywanym, jedwabnym całunem.

Upływały kolejne minuty, a on siedział na skraju marmurowego bloku z głową w dłoniach. Podniósł wzrok dopiero wówczas, gdy z ledwie słyszalnym sykiem fragment ściany odsunął się na bok i odsłonił wejście do sekretnego korytarza. W słabym świetle zamajaczyła postać kardynała w ceremonialnych szatach, poruszającego się przy wtórze szelestu jedwabi i grzechotu różańca. Towarzyszył mu wysoki, przystojny mężczyzna o siwych włosach i szarych oczach, odziany w prosty, choć elegancki garnitur z popielatej flaneli. O trzy kroki za nimi do kaplicy wkroczyli dwaj żołnierze z Gwardii Szwajcarskiej w pochodzących jeszcze ze średniowiecza, pomarańczowoczarnych uniformach. Nie mieli broni.

Nagi człowiek zamrugał, jakby jego oczy raziło nawet stłumione światło w kaplicy. W końcu skupił wzrok na przybyszu.

— Lourdusamy - powiedział.

— Ojciec Dure - odrzekł kardynał. Stanął tuż obok, trzymając w dłoniach olbrzymi srebrny kielich.

Mężczyzna poruszył językiem i przełknął ślinę, jakby obudził się z niesmakiem w ustach. Nie był młody; miał pociągłą, ascetyczną twarz

i smutne oczy, a jego odrodzone ciało znaczyły stare blizny. Na jego piersi czerwieniły się dwa nabrzmiałe krzyżokształty.

— Który mamy rok? - zapytał wreszcie.

— Rok Pański 3131 - odpowiedział Lourdusamy.

Paul Dure zamknął oczy.

— Pięćdziesiąt siedem lat od mojego ostatniego wskrzeszenia - stwierdził. - Dwieście siedemdziesiąt jeden lat od czasu, gdy przestały działać transmitery - otworzył oczy i spojrzął na kardynała. - Dwieście siedemdziesiąt lat odkąd mnie otrułeś, odkąd zabiłeś papieża Teliharda Pierwszego.

W komnacie zadudnił basowy śmiech Lourdusamy'ego.

— Szybko dochodzisz do siebie po zmartwychwstaniu, skoro rachunki tak świetnie ci idą.

Ojciec Dure przeniósł spojrzenie na mężczyznę w szarym stroju.

— Albedo. Przyszedłeś popatrzeć? Czy raczej dodać odwagi swojemu oswojonemu Judaszowi?

Wysoki mężczyzna nie odpowiedział. Z natury wąskie usta kardynała zacisnęły się do wąskiej kreski, która prawie zniknęła w poczerwieniałej twarzy.

— Czy masz jeszcze coś do powiedzenia, zanim wrócisz do piekła, antypapieżu?

— Tobie nie - odmruknął ojciec Dure. Zamknął oczy i zaczął się modlić.

Nie stawiał oporu, gdy Szwajcarzy złapali go pod rękę. Jeden z żołnierzy położył mu dłoń na czole i odchylił głowę do tyłu. Szczupła szyja jezuita wygięła się w hak.

Kardynał postąpił pół kroku do przodu. W jego rękę błysnął wydobyty z obszernego jedwabnego rękawa nóż z kościaną rękojeścią. Żołnierze przytrzymywali nieruchomego Dure, którego jabłko Adama wydawało się rosnąć w oczach na tle odgiętego w tył gardła.

Lourdusamy machnął ręką w niedbałym, płynnym geście i z przeciętej tętnicy jezuita trysnęła fontanna krwi.

Kardynał odsunął się, by szkarłat nie pobrudził jego biskupich szat, schował ostrze do rękawa i podniósł do rany szeroki, srebrny kielich, który szybko zaczął się wypełniać krwią. Kiedy naczynie napełniło się niemal po brzegi, a krwotok ustał, Lourdusamy skinieniem głowy dał znak żołnierzowi, który natychmiast puścił głowę ojca Dure.

Zmartwychwstały człowiek na powrót stał się trupem: głowa opadła mu bezwładnie, oczy wciąż miał zamknięte, a poderżnięte gardło przywodziło na myśl makabryczny, postrzępiony uśmiech, wymalowany na szyi. Szwajcarzy ułożyli ciało na marmurowej płycie i zdjęli spowijającą je przepaskę. Nagi, martwy mężczyzna wyglądał słabo i bezbronne - rozszarpana krtań, pobliźniona klatka piersiowa, długie, białe palce, blady brzuch, sflaczałe genitalia, wychudzone nogi. Nawet w epoce powszechnych wskrzeszeń śmierć potrafiła pozbawić wszelkiej godności także tych, którzy wiedli przykładowy, spokojny żywot.

Gwardziści przytrzymali całun, podczas gdy Lourdusamy wylał zawartość ciężkiego kielicha najpierw na oczy zabitego, później w jego otwarte usta i ziejącą ranę od noża; obmył krwią jego pierś, brzuch i krocze. Intensywnością barwy przewyższała nawet uroczysty strój kardynała.

— Sie aber seid nicht felischlich, sondern geistlich - powiedział Lourdusamy. - Nie z ciała stworzon jesteś, lecz z ducha.

— To z Bacha, prawda? - wysoki mężczyzna uniósł brwi.

— Oczywiście - kardynał odstawił pusty kielich na płytę obok zwłok i skinął na Szwajcarów, którzy okryli ciało podwójnym całunem. Krew natychmiast przesiąkła na wylot przez cudny materiał. - Jesu, meine Freunde.

— Tak też mi się wydawało - stwierdził mężczyzna w garniturze i posłał kardynałowi pytające spojrzenie.

— Tak - kiwnął głową Lourdusamy. - Teraz.

Jego towarzysz obszedł katafalk dookoła i stanął za plecami żołnierzy, zajętych jeszcze układaniem zakrwawionego całunu. Kiedy wyprostowali się i odsunęli od marmurowego bloku, mężczyzna w szarym stroju podniósł ręce na wysokość ich głów i położył im dłonie na karku. Gwardziści zdążyli tylko otworzyć w zdumieniu usta i wytrzeszczyć oczy, ale nie mieli czasu krzyknąć: w tej samej chwili z ich oczu i ust trysnął snop białego ognia, a spod nagle przezroczystej skóry wyjrzały pomarańczowe płomienie, trawiące ciało. Mężczyźni spłonęli i wyparowali w ułamku sekundy, zamieniając się w garść drobnego pyłu.

Mężczyzna w garniturze zatarł dłonie, żeby pozbyć się z nich warstewki mikropopiołu.

— Co za szkoda, radco Albedo - mruknął basowo Lourdusamy.

Jego towarzysz spojrział na unoszący się w powietrzu pył, po czym wrócił wzrokiem do kardynała. Ponownie uniósł pytająco brwi.

— Nie, nie, nie - poprawił go Lourdusamy. - Miałem na myśli całun. Płamy nie chcą schodzić, toteż po każdym wskrzeszeniu musimy tkać nowy - odwrócił się i skierował ku ukrytemu przejściu w ścianie. - Chodźmy, Albedo. Musimy porozmawiać, a mam jeszcze przed południem odprawić dziękczynną mszę.

Kiedy za oboma gośćmi zasunęły się drzwi w ścianie, w komorze zmartwychwstańczej zapanowała cisza i spokój. Tylko owinięte całunem ciało i wirujące w powietrzu cząsteczki popielatego pyłu, podobne raczej do rzędzącej mgły, przywodziły na myśl dusze niedawno zmarłych ludzi.

2

W tym samym tygodniu, gdy papież Juliusz zmarł po raz dziewiąty, a ojca Dure piąty raz zamordowano, znajdowaliśmy się z Eneą o sto sześćdziesiąt tysięcy lat świetlnych od Pacem, na uprowadzonej Ziemi - starej, prawdziwej Ziemi - krążącej wokół gwiazdy typu G, która nie była Słońcem, w Mniejszym Obłoku Magellana, który nie był naszą macierzystą galaktyką.

To był dziwny tydzień. Nie wiedzieliśmy, rzecz jasna, o śmierci papieża, gdyż między przeniesioną Ziemią a kosmosem Paxu nie istniała łączność, zwłaszcza że transmitery nie działały. Dokładniej mówiąc - Enea dowiedziała się o zgonie Juliusza XIV w sposób, o jakim nawet się nam nie śniło, ale nie powiedziała nam ani słowa, a nikomu nie przyszło do głowy, żeby ją zapytać. Jako wygnańcy na Starej Ziemi wiedliśmy życie proste, spokojne i głębokie w sensie, jaki dziś trudno sobie wyobrazić; samo wspomnienie tych czasów niemal sprawia mi ból. W każdym razie ten konkretny tydzień trudno byłoby nazwać spokojnym czy prostym: Stary Architekt, u którego Enea od czterech lat pobierała nauki, zmarł w poniedziałek. W zimowy wtorkowy wieczór, na pustyni, odprawiliśmy pospieszną, smutną ceremonię pogrzebową, a we środę Enea skończyła szesnaście lat. Żałoba w całej Wspólnocie Taliesińskiej przyćmiła jednak radość z tego faktu i tylko A. Bettik i ja próbowaliśmy uczcić urodziny dziewczynki.

Android upiekł jej ulubione czekoladowe ciasto, a ja spędziłem mnóstwo czasu, żeby gruby konar, przywleczony z jednej z obowiązkowych pod rządami Starego Architekta wypraw na piknik w pobliskie góry, zmienić w ozdobnie rzeźbioną laskę. Wieczorem zjedliśmy ciasto, popijając je szampanem w uroczym schronie, wybudowanym przez Eneą na pustyni z okazji przystąpienia do terminu u pana Wrighta. Mała solenizantka nie dawała się rozweselić,

zgaszona i przybita śmiercią nauczyciela i paniką, jaka zapanowała we Wspólnocie. Teraz wiem, że jej przygnębienie wynikało między innymi ze świadomości, że papież nie żyje, na horyzoncie przyszłości niczym burzowe chmury zaczynają się gromadzić straszne wydarzenia, a najspokojniejsze cztery lata, jakie razem spędziliśmy, dobiegają końca.

Pamiętam rozmowę, jaką toczyliśmy owego wieczora, w dzień jej szesnastych urodzin. Wcześniej się ściemniło, a chłód w powietrzu przenikał do szpiku kości. Na dworze wiatr niósł tumany kurzu, a targane jego podmuchami zarośla agaw i juki chrobotowały i zgrzytały donośnie. Siedzieliśmy w wygodnym, zbudowanym z kamieni i płótna domku, który przed czterema laty stworzyła Enea, zdając w ten sposób egzamin na ucznia architekta. Lampa syczała cicho, gdy odstawivszy kieliszki sięgnęliśmy po kubki z ciepłą herbatą i zaczęliśmy rozmawiać przy wtórze stłumionego szelestu piasku na płótnie.

— To dziwne - zauważyłem. - Wiedzieliśmy, że jest stary i schorowany, ale chyba nikt nie wierzył, że pewnego dnia umrze.

Miałem oczywiście na myśli Starego Architekta, a nie żyjącego gdzieś niewyobrażalnie daleko papieża, który tak niewiele dla nas znaczył. Trzeba dodać, że mistrz Enei nie nosił krzyżokształtu, podobnie zresztą jak wszyscy mieszkańcy ukrytej Ziemi; zmarł więc śmiercią ostateczną, czego nie dałoby się powiedzieć o zgonie Juliusza XIV.

— Sądzę, że on wiedział - odparła cicho Enea. - W ostatnim miesiącu wezwał do siebie kolejno wszystkich uczniów, żeby przekazać im ostatecznie okruchy wiedzy.

— Jakież to okruchy stały się twoim udziałem? - zainteresowałem się. - Oczywiście, jeśli to nie tajemnica.

Enea uśmiechnęła się do mnie sponad krawędzi parującego kubeczka.

— Przypomniał mi, że klient zawsze zgodzi się zapłacić nawet dwukrotnie większą stawkę, niż ustalono na początku, jeśli tylko przedstawiać mu dodatkowe wydatki w miarę postępu prac, kiedy budowla już zaczyna nabierać konkretnych kształtów. To punkt, z którego nie ma odwrotu; inwestor szarpie się już na haczyku jak łoś na sześćofuntowej lince.

Obaj z A. Bettikiem wybuchnęliśmy śmiechem, nie z braku szacunku bynajmniej. Stary Architekt był jednym z tych nad wyraz rzadkich ludzi, u których prawdziwy geniusz idzie w parze z nieprzeciętną osobowością, ale nawet myśląc o nim z czułością i smutkiem, widzieliśmy w tych słowach charakterystyczny dlań spryt i odrobinę egoizmu. To, że nazywam go Starym Architektem, nie oznacza wcale, że chcę zachować jego tożsamość w sekrecie: osobowość cybryda odtworzono na bazie prehegirańskiego architekta, Franka Lloyda Wrighta, działającego w dziewiętnastym i dwudziestym wieku A.D. i wszyscy we Wspólnocie Taliesińskiej, nawet najstarsi uczniowie, którzy dorównywali mu wiekiem, zwracali się do niego pełnym szacunku „panie Wright”. Po tym jednak, co Enea opowiedziała mi o swym przyszłym mentorze, zanim przybyliśmy na Starą Ziemię, nie potrafiłem myśleć o nim inaczej niż „Stary Architekt”.

— To rzeczywiście dziwne - odezwał się A. Bettik, jak gdyby te same myśli chodziły mu po głowie. - Nie sądzicie?

— Co takiego? - spytała Enea.

Android uśmiechnął się i podrapał po kikucie lewego ramienia, uciętego gładko tuż poniżej łokcia. Przez te parę lat zwyczaj ten wszedł mu w krew. Autochirurg w lądowniku, którym dotarliśmy do transmitera na Bożej Kniei, ocalił A. Bettikowi życie, ale pod względem chemicznym organizm androida okazał się na tyle różny od ludzkiego, że nie udało się wyhodować nowej ręki.

— Chodzi mi o to, że mimo dominacji Kościoła w życiu rodzaju ludzkiego, kwestia istnienia duszy, która po śmierci miałaby opuszczać ciało, wciąż pozostaje nierozstrzygnięta. Tymczasem w przypadku pana Wrighta wiemy, że jego cybrydalna osobowość nadal istnieje, a przynajmniej przez jakiś czas istniała, kiedy on już nie żył.

— Czy możemy być tego pewni? - zapytałem. Herbata była gorąca i smaczna. Kupiliśmy jaz Enea - a właściwie nabyliśmy w drodze wymiany towarowej - na Indiańskim Targu, znajdującym się na pustyni, gdzie powinno rozpościerać się miasteczko Scottsdale.

— Tak - odpowiedziała Enea. - Osobowość mojego ojca przetrwała zniszczenie jego ciała i została przeniesiona na wszczepiony w czaszkę matki dysk Schröna. Wiemy też, że później istniała samodzielnie w megasferze, a następnie w statku konsula. Osobowość cybrydalna egzystuje jako pewnego rodzaju front fali holistycznej, propagującej się po matrycach infopłaszczyzny albo megasfery do czasu, aż powróci do macierzystej SI w Centrum.

Wszystko to wiedziałem, ale nigdy nie rozumiałem.

— Dobra - powiedziałem. - Skąd w takim razie wziął się front falowy sztucznej osobowości pana Wrighta? Nie istnieje połączenie między Obłokiem Magellana i Centrum; nie mamy tu datasfery.

Enea odstawiła pusty kubek.

— Jakieś połączenie musi istnieć - poprawiła mnie. - W przeciwnym razie ani pan Wright, ani pozostałe cybrydalne osobowości nie mogłyby funkcjonować. Pamiętaj, że TechnoCentrum wykorzystywało przestrzeń Plancka między transponderami zarazem jako środek komunikacji i kryjówkę, zanim umierająca Hegemonia zniszczyła portale.

— Pustka, Która Łączy - powtórzyłem określenie z „Pieśni” starego poety.

— No właśnie - zgodziła się Enea. - Chociaż zawsze uważałam, że to głupia nazwa.

— Mniejsza z tym. I tak nie rozumiem, jak miałyby rozciągać się aż tutaj, do innej galaktyki.

— Medium, na którym Centrum oparło budowę transponderów, jest wszechobecne, przenika cały czas i całą przestrzeń. - Moja młoda przyjaciółka zmarszczyła brwi. - Nie, niezupełnie tak: czas i przestrzeń są w nim zespolone. Pustka, Która Łączy przekracza ich granice.

Rozejrzałem się dookoła. Światło lampy wystarczało, by rozproszyć mrok w niewielkim namiocie, ale na dworze panowała ciemność i hulał wiatr.

— Czyli Centrum może tutaj sięgnąć?

Enea pokręciła głową; nie pierwszy raz prowadziliśmy taką dyskusję. I nie pierwszy raz nie rozumiałem tej idei.

— Tutejsze cybrydy są połączone ze Sztucznymi Inteligencjami, które nie wchodzi w skład Centrum - rzekła dziewczynka. - Persona pana Wrighta nie miała takiego połączenia; persona mojego ojca... drugiego cybryda Keatsa, również.

Tego właśnie nigdy nie potrafiłem pojąć.

— Według „Pieśni”, cybrydy Keatsa, czyli także twój ojciec, zostały stworzone przez Ummona, SI należącą do Centrum. Ummon powiedział twojemu ojcu, że cybrydy są elementem prowadzonych przez Centrum eksperymentów.

Enea wstała i podeszła do wyjścia. Po obu stronach napięte płótno marszczyło się szarpane wiatrem, ale trzymało kształt i zapobiegało przedostawaniu się piasku do wewnątrz. Porządna konstrukcja.

— Wujek Martin napisał „Pieśni”. Przedstawił wydarzenia najlepiej, jak umiał, ale nie wszystko zdołał zrozumieć.

— To tak jak ja - zauważyłem i dałem sobie spokój. Podeszedłem i objąłem ją ramieniem. Czułem zmianę, jaka nastąpiła w jej ciele -

w plecach i ramieniu - odkąd przytulilem ją pierwszy raz, cztery lata temu. - Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin, maleńka.

Podniosła na mnie wzrok i oparła głowę na mojej piersi.

— Dziękuję, Raul.

Odkąd poznałem moją małą przyjaciółkę w wieku dwunastu lat standardowych, zaszły w niej i inne zmiany. Mógłbym powiedzieć, że dorosła i stała się kobietą, ale mimo zaokrąglonych bioder i piersi rysujących się wyraźnie pod znośnym dressem, wciąż nie potrafiłem jej tak traktować; nie była już dzieckiem - ale jeszcze nie kobietą. Była... Eneą. Błyszczące, ciemne oczy nie zmieniły się ani na jotę - inteligentne, zaciekawione, trochę zasmucone sekretną wiedzą, którą posiadała - i wciąż potrafiły sprawić, że kiedy przenosiła wzrok i skupiała na mnie swoją uwagę, odczuwałem to niemal jak fizyczny kontakt. Kasztanowe włosy lekko jej ściemniały. Przycięła je ubiegłej wiosny, tak że były teraz krótsze niż moje w tych odległych czasach, gdy służyłem w hyperiońskiej Straży Planetarnej - kiedy głaskałem ją po głowie, ledwie wystawały mi spomiędzy palców - ale wciąż tu i ówdzie dostrzegałem znajome jasne pasemka, wyraźniejsze po wielu dniach pracy w arizońskim słońcu.

Staliśmy tak wsłuchując się w chrobot piasku na płótnie, my dwoje z przodu, A. Bettik niczym cień za naszymi plecami, gdy Enea ujęła moją dłoń w swoje. Może i miała szesnaście lat i z dziewczynki przeistoczyła się w młodą kobietę, jej ręce wciąż jednak ginęły w mojej dłoni.

— Raul?

Spojrzałem na nią bez słowa.

— Zrobisz coś dla mnie? - zapytała bardzo, bardzo cicho.

— Jasne odrzekłem bez namysłu.

Ścisnęła moją rękę i spojrzała wprost w głąb mnie.

— Zrobisz coś dla mnie jutro?

— Tak.

— Wszystko, o co poproszę? - uścisk jej dłoni nie zelżał, a spojrzenie nie stało się ani trochę mniej natarczywe.

Tym razem się zawahałem. Wiedziałem, co takie przyrzeczenie może oznaczać, chociaż ten tajemniczy i cudowny dzieciak nigdy mnie o nic nie prosił - nawet o to, bym uczestniczył w jego obłąkanej odysei. Taką obietnicę złożyłem staremu poecie, Martinowi Silenusowi, jeszcze zanim poznałem dziewczynkę. Wiedziałem, że są rzeczy, których nie byłbym w stanie dokonać, z własnej woli czy przeciwko niej, ale przede wszystkim nie umiałem odmówić Enei.

— Tak - odparłem. - Wszystko, o co poprosisz.

W tej samej chwili zrozumiałem, że jestem skazany - i zarazem ocalony.

Enea pokiwała tylko w milczeniu głową, ostatni raz ścisnęła moją rękę i odwróciła się do światła, ciasta i czekającego androida. Następnego dnia miałem się przekonać, co naprawdę oznaczała jej prośba i jak trudno będzie mi dotrzymać słowa.

W tym miejscu pozwolę sobie na krótką przerwę. Zdaję sobie sprawę, że możesz nie wiedzieć, kim jestem, jeśli nie czytałeś pierwszych kilkuset stron mojej opowieści, które istnieją już tylko w pamięci rejestratora. Zostały spisane na mikropergaminie, który musiałem powtórnie przetworzyć, by mieć na czym pisać dalej. Opowiedziałem tam szczerą prawdę, przynajmniej taką, jaką ja wówczas postrzegałem. W każdym razie starałem się pisać prawdę. Głównie.

Zniszczywszy owe stronice zawierające pierwszą próbę opowiedzenia historii Enei i mając na uwadze to, iż ani na chwilę nie straciłem rejestratora z oczu, muszę jednak założyć, że nikt mych słów nie czytał. Właściwie fakt, iż zapiski powstały w schrödingerowskim pudełku dla kota, przeznaczonym na moje dożywotnie więzienie

i krążącym wokół pustynnej planety Armaghast - w istocie jajowatej skorupie energetycznej, zawierającej trochę powietrza, przetwornik do oczyszczania atmosfery i odzysku żywności, łóżko, stół, rejestrator i mającą mnie zabić fiolkę z cyjankiem, oczekującą tylko na przypadkową emisję cząstki z promieniotwórczego izotopu - powinien mi zagwarantować, że nikt nie zna mojej opowieści.

Ale nie jestem taki pewien.

Działy się dziwne rzeczy; wciąż się dzieją. Dlatego powstrzymam się od rozsądzania, czy tamte stronicie - i te, które zapisuję teraz - były lub będą przedmiotem czyjejkolwiek lektury.

Na razie pozwól, że ponownie się przedstawię. Nazywam się Raul Endymion. Moje nazwisko pochodzi od nazwy „wyludnionego” ośrodka uniwersyteckiego na mało znaczącej planecie Hyperion. Ująłem określenie „wyludnione” w cudzysłów, gdyż właśnie w Endymionie spotkałem poetę Martina Silenusa, wiekowego autora zakazanego poematu „Pieśni”. Tam też zaczęła się moja przygoda. Słowo to zawiera w tym przypadku niemały ładunek ironii - w tym sensie właściwie samo nasze istnienie jest jedną wielką przygodą. Prawdą jest bowiem, że chociaż wszystko zaczęło się jak w opowieściach przygodowych - od próby ocalenia dwunastoletniej Enei przed wpadnięciem w ręce Paxu i bezpiecznego przewiezienia jej na odległą Starą Ziemię - z czasem całe moje życie stało się skomplikowaną mieszaniną miłości, poczucia straty i wiecznego zadziwienia.

W każdym razie w czasie, gdy zaczyna się moja opowieść, czyli niedługo po śmierci papieża, odejściu Starego Architekta i nie zapowiadających niczego niezwykłego szesnastych urodzin Enei, miałem trzydzieści dwa lata. Byłem wysoki i silny, wciąż znałem się głównie na polowaniu i bójkach, lubiłem przyglądać się z boku, jak inni dowodzą i znajdowałem się o krok od nieprzytomnego zakochania się

w dziecku, którym opiekowałem się jak siostrą i które najwidoczniej z dnia na dzień stało się młodą kobietą.

Powinienem jeszcze zaznaczyć, że innych rzeczy, o których piszę - takich jak rozwój sytuacji w Paksie, zabójstwa Paula Dure, odnalezienia sztucznej kobiety, zwanej Rhadamanth Nemes, rozmyślań ojca Federico de Sol - nie próbuję się domyślać, nie ekstrapoluję ani nie zgaduję, tak jak miało to miejsce w powieściach powstających w latach młodości Martina Silenusa. Ja to wszystko wiem - znam myśli ojca de Soi, wiem dokładnie, jak wyglądał Albedo - nie dlatego, że z natury jestem wszechwiedzący, lecz dlatego, iż dzięki późniejszym wydarzeniom wiedzę taką posiadałem.

Wkrótce moje słowa nabiorą sensu. Przynajmniej taką mam nadzieję.

Przepraszam za ten niezręczny wstęp. Człowiek, na którym oparto osobowość ojca Enei, poeta nazwiskiem John Keats, pisał w pożegnalnym liście do przyjaciół: „Nigdy nie umiałem się wdzięcznie kłaniać”. Ja również tego nie potrafię, ani przy powitaniu, ani żegnając się, ani, tak jak zapewne w tym przypadku, przy mało prawdopodobnym ponownym spotkaniu.

Wracam więc do moich wspomnień i proszę o wyrozumiałość, jeśli sprawiają wrażenie niespójnych. Pierwszy raz próbuję nadać im kształt i podzielić się nimi.

Przez trzy dni i trzy noce po szesnastych urodzinach Enei wiatr bez przerwy zawodził i wzbijał tumany piachu. Dziewczynki nie było z nami. Przez cztery lata zdążyłem już się przyzwyczaić do tych, jak je nazywała, „przerw” i nauczyłem się nie trapić tak jak na początku, gdy znikala bez śladu na kilka dni z rzędu. Tym razem jednak martwiłem się bardziej niż zwykle: śmierć Starego Architekta wprowadziła atmosferę powszechnego niepokoju w pustynnym obozie, zwanym przez niego Taliesinem Zachodnim, a zamieszkanym przez dwudziestu

siedmiu uczniów i ponad sześćdziesięciu ludzi z obsługi. Burza piaskowa, jak to burza, wcale nie działała na nich uspokajająco. Większość rodzin i personelu mieszkała blisko siebie, na południe od głównego kompleksu, w zbiorowych, kamiennych sypialniach, jakie z polecenia pana Wrighta wybudowali jego czeladnicy. Sam obóz bardziej przypominał fort - zewnętrzny mur, kryte chodniki i ciasne podwóreczka dawały znakomitą ochronę podczas burz piaskowych. Każdy dzień bez widoku słońca i Enei coraz silniej mnie rozdrażniał.

Po kilka razy dziennie zaglądałem do jej schronu. Znajdował się najdalej od głównego kompleksu budowli, prawie pół kilometra na północ, w stronę gór. Jednakże ani razu jej tam nie zastałem; zostawiła otwarte drzwi i wiadomość, że mam się nie martwić i że po prostu wybrała się na wycieczkę, zabrawszy wystarczający zapas wody. Z każdym pobytem w schronie coraz bardziej go doceniałem.

Cztery lata wcześniej, gdy na pokładzie lądownika, skradzionego z okrętu Paxu, dotarliśmy do Taliesina Zachodniego - wyczerpani, poobijani i poparzeni, że już o umierającym androidzie w komorze autochirurga nie wspomnę - Stary Architekt wraz z uczniami zgotowali nam serdeczne, gościnne przyjęcie. Pan Wright wcale nie wyglądał na zdziwionego, że dwunastoletni dzieciak przebył za pośrednictwem sieci transponderów kilkanaście planet, by zgłosić się do niego na naukę. Pamiętam, jak pierwszego dnia zapytał Eneę, co słyszała o jego twórczości.

— Nic - odpowiedziała cicho. - Wiem tylko, że jest pan człowiekiem, u którego powinnam się uczyć.

Widocznie była to właściwa odpowiedź. Pan Wright poinformował Eneę, że wszyscy studenci, którzy przybyli przed nią - dwadzieścia sześć osób, jak się później okazało - musieli przejść swoisty egzamin wstępny: zaprojektować i zbudować własne schronienie na pustyni. Stary Architekt zapewniał surowce do budowy - płótno, kamień,

cement i trochę zbędnego drewna - ale projekt i wykonawstwo należało w całości do ucznia.

Zanim zabrała się do pracy, obejrzelśmy budowle pozostałych studentów pana Wrighta (ponieważ nie byłem jednym z nich, zadowolilem się namiotem, rozbitym nieopodal obozu). Większość z nich stanowiły wariacje na temat kombinacji namiotu z szopą, funkcjonalne, niekiedy nawet noszące znamiona indywidualnego stylu - zwłaszcza jedna zdradzała talent projektanta, za to, jak zwróciła uwagę Enea, nawet przy słabym wietrze nie byłaby w stanie uchronić mieszkańców przed wiatrem i deszczem. Żadna z konstrukcji nie wydała się mi warta zapamiętania.

Enea budowała swój schron przez jedenaście dni. Pomogłem jej przy przenoszeniu najcięższych głazów i wykopach (A. Bettik wciąż jeszcze nie wrócił do zdrowia i po leczeniu w aparacie autochirurgicznym przebywał w szpitalu), ale sama przygotowała projekt i wykonała znakomitą większość prac budowlanych. Efektem tych wysiłków była wspaniała konstrukcja, którą podczas jej ostatniego okresu samotności na pustyni odwiedzałem po cztery razy w ciągu dnia.

Większość budowli znalazła się w wykopie, poniżej poziomu gruntu. Podłogę wyłożono płaskimi, dokładnie dopasowanymi kamieniami, na które Enea narzuciła kolorowe dywaniki i koce, pozyskane na Indiańskim Targu, dwadzieścia pięć kilometrów od Taliesina. Wokół wpuszczonego w ziemię środka domu postawiła metrowej wysokości ściany, które przy obniżonej posadzce zdawały się znacznie wyższe. Skonstruowała je w tej samej technice „muru pustynnego”, którą pan Wright zastosował do budowy ścian głównego kompleksu, chociaż jej opisu nigdy nie miała okazji słyszeć.

Najpierw pozbierała kamienie z pustyni i koryt okresowych strumieni, których nie brakowało w okolicy taliesińskiego wzgórza:

odłamki skał wszelkich możliwych kształtów i kolorów, czarne, rdzawe, purpurowe, brązowe, niektóre nawet ozdobione skamielinami. Następnie zbudowała drewniane formy ścian i wyłożyła je największymi głazami, starając się, by ich płaskie powierzchnie przylegały od wewnątrz do desek. Później całym dniami wykopywała z brzegów wyschniętych rzek piasek i zwoziła go taczkami na plac budowy. Przy lejącym się z nieba żarze mieszała go z wodą i cementem i tak przygotowanym betonem zalewała formy. Szorstkie połączenie betonu z kamieniem - przez pana Wrighta zwane „murem pustynnym” - miało dziwny urok: barwne skały wyglądały spod warstwy cementu, zdobiąc ją swą fakturą, rysami i pęknięciami. Zbudowane w ten sposób ściany miały, jak już mówiłem, mniej więcej metr wysokości i były dość grube, by za dnia chronić przed upałem, nocą zaś zatrzymać ciepło w środku.

Schron Enei był znacznie bardziej złożoną konstrukcją, niż wydawało się na pierwszy rzut oka; minęły całe miesiące, zanim doceniłem subtelne sztuczki, które zastosowała przy jego budowie. Najpierw schyliwszy się człowiek wchodził do płóciennokamiennego przedpokoju, z którego trzy szerokie, skręcone stopnie prowadziły w dół do zbudowanego z drewna i głazów portalu, stanowiącego wejście do głównego pomieszczenia. Złamany pod kątem korytarz pełnił funkcję swoistej śluzy, która odcinała domostwo od pustynnego żywiołu - efekt ten wzmacniały dodatkowo płócienne ściany, pofałdowane niczym nakładające się trójkątne żagle. „Główne pomieszczenie” miało zaledwie trzy metry szerokości i pięć długości, wydawało się jednak znacznie większe. W niszach wokół kamiennego stołu, wyznaczającego zarazem część jadalną i salonik, znajdowały się również siedziska i wkopane w ścianę ławy, podobnie zresztą jak przy umieszczonym w pomocnej ścianie kominku. Najprawdziwszy kamienny komin, wbudowany w ścianę, w żadnym punkcie nie stykał

się z drewnianymi ani płóciennymi elementami konstrukcji. W miejscu, gdzie kończył się murek, a zaczynała płócienna część ściany, mniej więcej na wysokości oczu siedzącej osoby, Enea wstawiła osłonięte okna, biegnące wzdłuż całej północnej i południowej fasady. Drugie i wąskie otwory okienne zakrywało się zasłonami z płótna lub drewnianymi klapkami, które dawało się przesuwać od wewnątrz. Nad głowami mieszkańców płótno, podparte znalezionymi w stercie obozowych śmieci prętami z włókna szklanego, układało się w kształt gładkich łuków, górskich szczytów, naw kościelnych i niezwykłych, łamanych nisz.

Enea wydzieliła sobie również prywatną sypialnię, a właściwie małe zagłębienie w łagodnie nachylonym ku górze zboczu, do którego z pokoju prowadziły dwa schodki, zakręcone pod kątem sześćdziesięciu stopni. System wodnokanalizacyjny Taliesina nie sięgał tak daleko - wszyscy korzystaliśmy ze wspólnych pryszniców i toalet w obozie - ale tuż obok łóżka (które stanowiła płyta sklejk z materacem i kocami) Enea zbudowała śliczną kamienną umywalkę i wannę. Miała w zwyczaju kilka razy w tygodniu grzać wodę w obozowej kuchni i wiadrami nosić ją do schronu, żeby urządzić sobie gorącą kąpiel.

Światło przenikające przez płócienne sklepienie i ściany rankiem zdawało się ciepłe, później w ciągu dnia żółkło, by wieczorem wpaść w pomarańcz. Enea zadbała również o to, by schron znajdował się w odpowiednim położeniu względem rosnących w okolicy saguaro, innych kaktusów i kolczastych karłowatych grusz, dzięki czemu w różnych porach dnia na różnych fragmentach ścian kładły się cienie różnych roślin. Tak oto powstało wygodne, zaciszne lokum - lecz puste ponad wszelkie wyobrażenie, gdy tylko zabrakło w nim właścicielki.

Wspominałem już o tym, że śmierć Starego Architekta poruszyła członków Wspólnoty Taliesińskiej; lepiej chyba byłoby powiedzieć, że przeżyli wstrząs. Większość trwającej trzy dni „przerwy” Enei

spędziłem, przysłuchując się nerwowemu bełkotowi blisko dziewięćdziesięciorga ludzi. Nigdy nie gromadziło się ich zbyt wielu w jednym miejscu, gdyż nawet obiad wydawano w kilku turach - pan Wright nie lubił tłumów przy posiłkach — ale z upływem czasu panika narastała. Nie dająca za wygraną burza podkreślała histeryczne nastroje, podobnie jak przedłużająca się nieobecność mojej przyjaciółki. Enea była wprawdzie najmłodszą z taliesińskich studentek (a nawet najmłodszą mieszkanką Taliesina w ogóle), ale ludzie przywykli pytać ją o radę i z uwagą słuchać jej słów - tymczasem teraz w kilka dni stracili i mistrza, i przewodnika.

Czwartego ranka po urodzinach burza ustała, a Enea wróciła do nas. Tuż po wschodzie słońca wybrałem się na poranną przebieżkę, gdy ujrzałem, jak idzie przez pustynię od strony Pasma McDowella. Słońce obrysowywało jej szczupłą sylwetkę na jasnym tle nieba, a ja przypominałem sobie nasze pierwsze spotkanie w Dolinie Grobowców Czasu na Hyperionie.

Na mój widok wyszczerzyła się w uśmiechu.

— Cześć, Boo - zawołała, nawiązując do starego żartu z książki, którą czytała jako małe dziecko.

— Cześć, harcerko - odkrzyknąłem, dostosowując się do konwencji.

Zatrzymaliśmy się o pięć kroków od siebie. Chciałem ją objąć, przytulić mocno i błagać, by więcej nie znikwała bez słowa. Lecz nie zrobiłem tego. Kaktusy rzucały długie cienie w ciepłym, łagodnym świetle poranka, które nadawało naszym opalonym ciałom złotawy odcień.

— Jak się mają? - zapytała. Widziałem, że mimo obietnic pościła przez ostatnie trzy dni. Zawsze była szczupła, ale teraz żebra prawie przebijały jej cienką, bawełnianą koszulkę. Wargi miała spierzchnięte. - Martwią się?

— Mało się nie porobią ze strachu - przez lata starałem się nie stosować w jej obecności słownictwa, jakie przyswoiłem sobie w Straży Planetarnej, ale miała już szesnaście lat, a poza tym zawsze używała gorszych przekleństw niż ja.

Znów uśmiechnęła się od ucha do ucha. Jaskrawe światło załśniło na piaskowych pasemkach jej włosów.

— Kto by pomyślał?

Podrapałem się po pokrytej krótką, ostrą szczecinę brodzie.

— Mówię poważnie. Naprawdę się przejęli.

— Wiem - skinęła głową. - Po śmierci pana Wrighta nie wiedzą ani gdzie iść, ani co ze sobą począć. - Zmrużyła oczy i spojrzała w stronę obozowiska Wspólnoty. Z tej odległości wyglądało jak skupisko namiotów i niesymetrycznych bloków skalnych, ledwie widocznych sponad kaktusów i kolczastych zarośli. Słońce odbijało się w niewidocznych oknach i jednej z fontann. - Chodźmy, trzeba zebrać wszystkich w pawilonie muzycznym i porozmawiać.

Z tymi słowy Enea ruszyła w stronę Taliesina.

Tak oto zaczął się nasz ostatni wspólnie spędzony dzień na Ziemi.

Znów przerwę na chwilę opowiadanie. Słucham własnego głosu, zapisanego w pamięci rejestratora i pamiętam, że w tym miejscu zrobiłem pauzę. Zamierzałem opowiedzieć dokładnie o naszym trwającym cztery lata wygnaniu na Starej Ziemi - o studentach i pozostałych członkach Wspólnoty Taliesińskiej, o Starym Architekcie, jego kapryсах i drobnych złośliwościach, ale też o jego geniuszu i dziecinnym entuzjazmie; chciałem zrelacjonować niezliczone rozmowy, jakie odbyliśmy z Eneą podczas tych czterdziestu ośmiu miesięcy (które, ku mojemu niezmiennemu zdumieniu, idealnie odpowiadają czterdziestu ośmiu miesiącom standardowym Hegemonii i Paxu) i opisać, jak stopniowo coraz lepiej rozumiałem jej zdolności; planowałem wreszcie powspominać wycieczki, jakie odbyłem w tym

czasie: podróż łądownikiem dookoła świata, długie wyprawy samochodem po Ameryce Północnej, przelotne kontakty z rozrzuconymi po całej Ziemi koloniami ludzkimi, skupionymi wokół innych cybrydów (szczególnie ciekawa okazała się wizyta w Izraelu i Nowej Palestynie, u ludzi, którym przewodził cybryd Jezusa z Nazaretu). Kiedy jednak słyszę, jak mój głos w rejestratorze zamiera i zamiast tych zamierzonych opowieści na chwilę zapanowuje cisza, przypominam sobie, dlaczego pominąłem to wszystko.

Mówiłem już, że spisywaniem wspomnień zająłem się w dożywotnim więzieniu, w schrödingerowskim pudełku dla kota na orbicie Armaghastu, oczekując emisji cząstki izotopu i uruchomienia wykrywacza. Jednoczesne wystąpienie tych zdarzeń miało uwolnić chmurę cyjanku z wbudowanej przy przetworniku powietrza fiolki. Śmierć nastąpiłaby szybko, choć nie w ułamku sekundy. Wcześniej zarzekałem się, że nie będę się spieszył, lecz rzetelnie opiszę losy Enei i własne. Zdaję sobie jednak sprawę, że i tak dokonałem pewnych cięć, jakbym chciał przekazać wszystko, co ważne, zanim gaz przerwie mój żywot.

Nie zamierzam teraz próbować zgadywać, dlaczego podjąłem taką decyzję; wystarczy stwierdzić, że o czterech latach, jakie spędziliśmy na Ziemi, opowiem innym razem. Wszyscy mieszkańcy Wspólnoty byli przyzwoici, skomplikowani, chytry i interesujący tak samo, jak wszystkie istoty ludzkie i zasłużyli sobie, by opowiedzieć o ich życiu; podobnie zresztą moje eskapady, nie wyłączając wyprawy obitą drewnem półciązarówką model 1948, którą pożyczyłem od Starego Architekta, mogłyby stać się załącznikiem epickiego poematu.

Rzecz w tym, że nie jestem poetą, za to sporo pracowałem jako tropiciel i powinienem prześledzić drogę Enei od dzieciństwa do dorosłości i zostania mesjaszem, nie zbaczając zbytnio z głównej ścieżki. Tak też uczynię.

Stary Architekt nigdy nie mówił o kompleksie budynków Wspólnoty inaczej niż „obóz na pustyni”; większość jego uczniów nazywała obóz „Taliesinem”, co po walijsku znaczy „promienne oblicze”. Wiedząc, że pan Wright jest z pochodzenia Walijszczykiem, przez kilka tygodni łamałem sobie głowę nad tym, którą planetę nazwano Walią, czy to w kosmosie Paxu, czy na Pograniczu, zanim przypomniałem sobie, że Stary Architekt urodził się i zmarł na długo przed erą podróży kosmicznych. Enea często określała obóz mianem „Taliesina Zachodniego”, co nawet takiemu głębowi jak ja podpowiadało, że musiał gdzieś istnieć Taliesin Wschodni.

Kiedy zapytałem o to przed trzema laty, Enea wyjaśniła, że prawdziwy pan Wright stworzył pierwszą Wspólnotę Taliesińską w latach trzydziestych dwudziestego wieku w Spring Green, w Wisconsin (Wisconsin był jedną z geograficzno-politycznych jednostek, składających się na państwo narodowe znane pod nazwą Stanów Zjednoczonych Ameryki). Spytałem, czy tamten Taliesin wyglądał tak samo.

— Niezupełnie - odparła. - W Wisconsin powstał cały zespół Taliesinów, zarówno domów mieszkalnych, jak i przeznaczonych dla Wspólnoty; większość z nich strawił pożar. Między innymi dlatego właśnie pan Wright zainstalował tutaj tyle basenów i fontann - żeby w razie nieuniknionego pożaru mieć go czym ugasić.

— Zatem pierwszy Taliesin zbudowano około 1930 roku? - upewniłem się.

Enea pokręciła głową.

— W 1932 Wright otworzył pierwszą Wspólnotę Taliesińską, ale głównie po to, by móc wyzyskiwać uczniów, którzy jednocześnie realizowali jego marzenie i pracowali na niego podczas Wielkiego Kryzysu.

— Jakiego kryzysu?

— Okresu, kiedy ich czysto kapitalistycznemu państwu nie wiodło się najlepiej. Pamiętaj, że gospodarka nie miała wtedy naprawdę globalnego zasięgu. Jej funkcjonowanie zależało od działania prywatnych instytucji finansowych, zwanych bankami, od rezerw złota i ceny fizycznego pieniądza, czyli monet i banknotów, które miały być coś warte. Wszystko to oczywiście było jedną wielką zbiorową halucynacją, która w latach trzydziestych przerodziła się w koszmar.

— Jezu Chryste - wyszeptałem.

— No właśnie. W każdym razie na długo przedtem, w 1909 A.D., pan Wright, mężczyzna w średnim wieku, zostawił żonę i szóstkę dzieci i uciekł do Europy z zamężną kobietą.

Przyznam szczerze, że ta nowina mnie zaskoczyła. Niełatwo było mi oswoić się z myślą, że Stary Architekt - który podczas pierwszego z nami spotkania liczył sobie dobrze ponad osiemdziesiątkę - mógł wieść jakieś życie seksualne, i to na dodatek skandalizujące. Poza tym zastanawiałem się, co to ma wspólnego z moim pytaniem o Taliesin Wschodni.

Ale Enea właśnie przechodziła do rzeczy, uśmiechając się na widok mojego nagłego zainteresowania.

— Kiedy wrócił z tą kobietą do Ameryki, zaczął budować pierwszy Taliesin, dom w Wisconsin, dla Mamah...

— Dla swojej matki? - zapytałem, nic już nie rozumiejąc.

— Mamah Borthwick - dla pewności przeliterowała mi imię. - Pani Cheney. Tej drugiej.

— Ach, tak.

— Skandal zniszczył mu karierę i skazał w Stanach Zjednoczonych na los napiętnowanego banity - ciągnęła Enea już bez uśmiechu. - Pan Wright zbudował jednak Taliesin i nie ustawał w poszukiwaniach nowego mecenasa. Pierwsza żona, Catherine, nie chciała mu dać rozwodu. Gazety - takie banki danych, drukowane na papierze i

regularnie dystrybuowane - żarłocznie rzucały się na takie plotki i podgrzewały atmosferę wokół całej sprawy, nie dając jej ucichnąć.

Kiedy zadałem swoje pierwsze pytanie, spacerowaliśmy akurat po dziedzińcu. Pamiętam, że w tym momencie przystanęliśmy obok fontanny. Zasób wiedzy tego dzieciaka nigdy nie przestał mnie zadziwiać.

— A później, 15 sierpnia 1914 roku, jeden z robotników w Taliesinie wpadł w szal: zamordował siekierą Mamah Borthwick, jej syna Johna i córkę Marthę, zakopał ich ciała, podpalił budynki, po czym zabił jeszcze czterech współpracowników pana Wrighta, zanim sam rozgryzł trzymaną w ustach ampułkę z kwasem. Wszystko spłonęło.

— Mój Boże - szepnąłem, spoglądając w stronę jadalni, gdzie Stary Architekt jadł właśnie lunch w towarzystwie swoich najwierniejszych studentów.

— Nigdy się nie poddawał - mówiła dalej Enea. - W kilka dni później, 18 sierpnia, wybrał się z wycieczką nad sztuczne jezioro zaporowe, znajdujące się niedaleko od Taliesina. Tama runęła, gdy na niej stał, a ogromna masa wody porwała go ze sobą, ale wbrew wszelkiej logice udało mu się dopłynąć do brzegu. Po paru tygodniach zaczął odbudowę Taliesina.

Wydawało mi się wtedy, że rozumiem, co chciała mi powiedzieć o Starym Architekcie.

— Czemu nie znajdujemy w tamtym Taliesinie? - zapytałem, gdy odwróciliśmy się plecami do fontanny.

Enea pokręciła głową.

— Dobre pytanie. Wątpię, by w ogóle istniał na tej odtworzonej Ziemi, chociaż dla pana Wrighta był bardzo ważny. Tam właśnie zmarł, nieopodal Taliesina Zachodniego... 9 kwietnia 1959 roku. Pogrzebano go jednak przy Taliesinie w Wisconsin.

Zatrzymałem się. Myśl, że Stary Architekt miałby umrzeć, była dla mnie czymś nowym i niepokojącym. Całe nasze wygnanie przebiegało spokojnie i łagodnie, tymczasem Enea właśnie przypomniała mi, że wszystko, także ludzkie życie, ma swój koniec... A właściwie miało, zanim Pax dał ludzkości krzyżokszałty i fizyczną nieśmiertelność. Jednakże nikt we Wspólnocie, a zapewne i na całej uprowadzonej Ziemi, nie przyjął krzyżokszałtu.

Od naszej rozmowy upłynęły trzy lata. Tamtego ranka, w kilka dni po śmierci Starego Architekta i prędkim pogrzebie w małym mauzoleum, które sam zbudował na pustyni, byliśmy gotowi podjąć ryzyko śmierci bez zmartwychwstania i stawić czoło końcowi wszechrzeczy.

Enea poszła się odświeżyć do połączonej z łaźnią pralni, ja zaś znalazłem A. Bettika i razem zajęliśmy się zawiadaniem wszystkich napotkanych ludzi o zebraniu w pawilonie muzycznym. Błękitnoskóry android nie sprawiał wrażenia zaskoczonego faktem, iż najmłodsza z nas wszystkich Enea zwołuje naradę, której zamierza zresztą przewodniczyć. Obaj obserwowaliśmy, jak z biegiem czasu dziewczynka staje się wyrocznią dla całej Wspólnoty.

Potruchtałem do zbiorowych sypialni, a później do kuchni, gdzie zadzwoniłem w ogromny dzwon, zawieszony w ozdobnej dzwonnicy powyżej schodów, prowadzących na taras dla gości. Wszyscy, których nie spotkałem i nie zawiadomiłem osobiście, powinni na dźwięk dzwonu przyjść i dowiedzieć się, o co chodzi.

Z kuchni, w której jeszcze przed moim wyjściem kucharze i garstka uczniów Starego Architekta zaczęli zdejmować fartuchy i myć ręce, przeszedłem do obszernej jadalni, gdzie trochę ludzi siedziało przy kawie; okna tej sali wychodziły na północ, na szczyty Pasma McDowella, toteż niektórzy z nich widzieli, jak wracam z Enea i wiedzieli, że coś się szykuje. Zajrzałem następnie do mniejszej,

prywatnej jadalni pana Wrighta - była pusta - i pobiegłem do kreślarni, chyba najciekawszego pomieszczenia w całym kompleksie: długie szeregi desek kreślarskich i regałów z dokumentacją ciągnęły się przez cały pokój pod pochyłym, płóciennym sufitem. Przez dwa rzędy niesymetrycznie ustawionych okien wpadała do wnętrza istna powódź porannego światła. Słońce wspięło się już na tyle wysoko, że padało bezpośrednio na dach i woń rozgrzanego płótna łączyła się miło z ciepłym, żółtawym blaskiem. Enea wyjaśniła mi kiedyś, że to właśnie chęć życia w stałym kontakcie z naturą, chęć pracy w przestrzeni ograniczonej światłem, płótnem i kamieniem, była prawdziwą przyczyną, dla której pan Wright przeniósł się na zachód, do drugiego Taliesina.

W kreślarni zastałem dziesięciu, może dwunastu uczniów Starego Architekta; żaden z nich nie pracował, odkąd zabrakło mistrza, który mógłby zasugerować im nowe projekty. Poinformowałem ich, że Enea chce widzieć wszystkich w pawilonie muzycznym. Nikt nie protestował; nikt nawet nie burknął pod nosem, że to nie do pomyślenia, żeby szesnastoletni dzieciak nakazywał dziewięćdziesięciu dorosłym osobom oderwać się od zajęć i zebrać w jednym miejscu w samym środku pracowitego dnia. Właściwie jedyne, co mogę o nich powiedzieć, to chyba im ulżyło, że Enea wróciła i ktoś weźmie sprawy w swoje ręce.

Następnym punktem na mojej trasie była biblioteka, gdzie spędziłem tyle szczęśliwych godzin, a później sala konferencyjna, rozświetlona tylko czterema lśniącymi płytami w podłodze - w oba te miejsca zaniósłem wiadomość o rychłym spotkaniu. Potem przebiegłem betonowym chodnikiem, wytyczonym między ścianami z pustynnego muru i osłoniętym od słonecznego żaru, do sali widowiskowej, w której Stary Architekt uwielbiał w sobotę wieczorem puszczać filmy. To miejsce zawsze mnie zachwycało: grube kamienne

ściany i strop, długa, opadająca w dół widownia, rzędy obitych na bordowo ławek ze sklejki, wytarty czerwony dywan i setki lampek choinkowych, rozwieszonych wzdłuż i w poprzek na suficie. Zaraz po przybyciu do Taliesina z najwyższym zdumieniem stwierdziliśmy, że Stary Architekt życzy sobie, by wszyscy uczniowie wraz z rodzinami zakładali w sobotnie wieczory stroje wieczorowe - zabytkowe fraki, muchy... Takie, jakie widuje się w najstarszych filmach historycznych; kobiety nosiły dziwaczne suknie, jakby wyjęte wprost z lamusa. Pan Wright udostępniał odpowiednie stroje osobom, które nie zdążyły się w nie zaopatrzyć przed przybyciem na Ziemię przez Grobowce Czasu bądź transmitery.

W pierwszy taki uroczysty wieczór Enea wystąpiła we fraku i białej koszuli z muszką, wzgardziwszy proponowanymi jej sukniami. Kiedy spojrzałem na wyrażającą szok twarz Starego Architekta, byłem pewien, że zaraz wyrzuci nas ze Wspólnoty i każe wieść mamy żywot na pustyni, lecz po chwili wiekowe oblicze rozpogodziło się, a usta ułożyły w uśmiechu. Jeszcze moment i staruszek wybuchnął śmiechem. Nigdy już nie prosił Enei, by w soboty ubierała się inaczej.

Później zwykle albo uczestniczyliśmy w jakimś przedstawieniu muzycznym, albo zbieraliśmy się w teatrze i oglądaliśmy film jeden z tych pradawnych, celuloidowych tworców, które wymagały specjalnego projektora. Czułem się tak, jakbym uczył się lubić sztukę jaskiniowców, chociaż i mnie, i Enei bardzo podobały się filmy, które wybierał pan Wright: z dwudziestego wieku, płaskie, często czarno-białe. Z powodów, których nigdy nie poznaliśmy, Stary Architekt uwielbiał oglądać filmy wraz ze „ścieżką dźwiękową”, widoczną na ekranie w postaci kolorowych zakrętasów. Upłynął chyba z rok, zanim któryś z czeladników pana Wrighta uświadomił nam, że zgodnie z zamierzeniami twórców ścieżka dźwiękowa nie powinna być wyświetlana.

Tego dnia wygaszono lampki i kino świeciło pustkami. Biegłem tak z pokoju do pokoju, z budynku do budynku i zawiadaniałem wszystkich pracowników, studentów i członków ich rodzin, aż spotkaliśmy się z A. Bettikiem przy fontannie i razem udaliśmy do pawilonu muzycznego.

Pomieszczenie było ogromne. Z przodu znajdowała się szeroka scena, a dalej piętrzyło się sześć rzędów miękko wyściełanych foteli, po osiemnaście w rzędzie. Ściany zbudowano z pustynnego muru i drewna sekwoi, pomalowanego na kolor zwany „czerwienią irokeską” (ulubiony kolor Starego Architekta). Na wyłożonej czerwonym chodnikiem scenie znajdował się tylko fortepian i parę roślin doniczkowych. Nad głowami widzów łopotało tradycyjne białe płótno, rozpięte na drewniano-stalowej kratownicy. Enea powiedziała mi, że po śmierci pierwszego pana Wrighta zastąpiono płótno plastikową folią, żeby nie trzeba było wymieniać dachu co parę miesięcy. Niemniej przed powrotem tego pana Wrighta plastik zerwano - tak jak i zdjęto szkło tworzące strop kreślarni - żeby udostępnić wnętrzu czystemu, przez filtrowanemu przez biały materiał światła.

Stanęliśmy z A. Bettikiem z tyłu sali. Szemrzący tłumek widzów zajmował miejsca; niektórzy z pracowników zatrzymali się na stopniach w przejściu, inni dołączyli do nas, jakby bali się pobrudzić obicia i dywan naniesionym z zewnątrz piaskiem. Kiedy rozchyliwszy boczną kurtynę Enea wyszła na scenę, rozmowy zamarły.

Nie można było narzekać na akustykę w pawilonie muzycznym pana Wrighta, ale Enea i tak zawsze potrafiła przemawiać dobitnie, choć bez podnoszenia głosu.

— Dziękuję wszystkim za przybycie - zaczęła łagodnie. - Wydaje mi się, że powinniśmy porozmawiać.

Niemal od razu z jednego z foteli w piątym rzędzie wstał Jaev Peters, jeden ze starszych uczniów Starego Architekta. - Znów cię nie było,

Eneo. Poszłaś na pustynię.

Dziewczyna skinęła potakująco głową.

— Rozmawiałaś z lwami, tygrysami i niedźwiedziami?

Nikt na widowni nie zachichotał; pytanie zostało zadane ze śmiertelną powagą i dziewięćdziesiąt osób oczekiwało równie poważnej odpowiedzi.

Chyba powinienem coś wyjaśnić. Otóż wszystko zaczęło się od „Pieśni” Martina Silenusa, poematu napisanego przed ponad dwustu laty, opiewającego dzieje hyperiońskich pielgrzymów, Chyżwara i wojnę ludzkości ze Sztucznymi Inteligencjami z TechnoCentrum. Można się z niego dowiedzieć, jak pierwotne sieci istniejące w cyberprzestrzeni przekształciły się w datasfery. TechnoCentrum udostępniło ludziom owianą tajemnicą technologię transponderów i komunikatorów, która w czasach Hegemonii pozwoliła połączyć setki datasfer i stworzyć z nich jedno utajone, międzygwiazdne medium, zwane megasferą. Jednakże według „Pieśni”, ojciec Enei - cybryd Johna Keatsa - pod postacią niematerialnej osoby elektronicznej przebył drogę przez megasferę do Centrum i odkrył istnienie gigantycznej infopłaszczyzny, prawdopodobnie większej niż znana nam galaktyka. Nawet SI z Centrum bały się tam zapuszczać, gdyż, według słów jednej z nich, Ummona, roilo się tam od „lwów, tygrysów i niedźwiedzi”. Te właśnie istoty - albo równie dobrze umysły czy bogowie - porwały Ziemię i sprowadziły ją do Obłoku Magellana, zanim przed tysiącem lat Centrum zdążyło ją zniszczyć. Te same lwy, tygrysy i niedźwiedzie miały być strasznymi strażnikami naszej planety. Nikt z członków Wspólnoty ich nie widział, nie kontaktował się z nimi ani nie dysponował żadnym niepodważalnym dowodem na ich istnienie. Nikt poza Enea.

— Nie - odrzekła. - Nie rozmawiałam. - Spuściła wzrok, jakby spieszyła się tym pytaniem. Nigdy nie lubiła tego tematu. - Ale chyba je

słyszałam.

— Przemówiły do ciebie? - dopytywał się Jaev Peters. W sali panowała cisza.

— Nie, tego nie powiedziałam. Po prostu... słyszałam je. Trochę tak, jak niechcący słyszy się rozmowę przez ścianę w sypialni.

Tłum zareagował na jej słowa wesołym szmerem; biorąc pod uwagę, jak grube były mury wszystkich budowli w Taliesinie, ścianki działowe w sypialniach zdecydowanie odbiegały od normy.

— No dobrze - odezwała się z pierwszego rzędu rozsądna, potężnie zbudowana Bets Kimbal, naczelną kucharka. - Powiedz, co usłyszałaś.

Enea podeszła do krawędzi wyłożonej dywanem sceny i popatrzyła po twarzach zgromadzonych.

— Mogę wam powiedzieć jedno: nie będzie więcej dostaw żywności i surowców z Indiańskiego Targu. To koniec.

Efekt jej słów przypominał wybuch granatu w zamkniętym pomieszczeniu. Kiedy wreszcie rejwach zaczął cichnąć, ponad harmider wzniósł się głos Hussana, najwyższego z robotników:

— Co to znaczy „to koniec”? Skąd weźmiemy jedzenie?

Ludzie mieli powody do paniki. W czasach oryginalnego pana Wrighta, w dwudziestym stuleciu, obóz Wspólnoty znajdował się jakieś pięćdziesiąt kilometrów od dużego miasta Phoenix. W przeciwieństwie do Taliesina z czasów Wielkiego Kryzysu, gdzie studenci dzielili czas między pracę nad planami budowlanymi mistrza i uprawę pól, na pustyni nie dało się nic hodować. Jeździli więc do Phoenix i w drodze wymiany bądź kupna (za prymitywne metalowe i papierowe pieniądze) nabywali niezbędne zaopatrzenie. Stary Architekt bazował na hojności mecenasów, na ich ogromnych, bezzwrotnych pożyczkach - i dzięki nim żył.

Tym razem w pobliżu odtworzonego obozu nie znajdowało się żadne miasto. Jedyna droga, a właściwie wysypana żwirem

i poślubiona koleinami ścieżka, prowadziła na zachód, wprost w serce ciągnącej się setkami kilometrów pustki. Wiedziałem o tym, bo latałem tamtędy lądownikiem i jeździłem samochodem pana Wrighta. Jednakże jakieś trzydzieści kilometrów od obozu co tydzień odbywał się targ, na którym można było pohandlować z Indianami i za wyroby naszego rzemiosła dostać jedzenie i podstawowe surowce. Targ funkcjonował już na wiele lat przed naszym przybyciem i chyba wszyscy spodziewali się, że będzie istniał wiecznie.

— Co to znaczy „to koniec”? - dopytywał się Hussan chrapliwym głosem. - Gdzie się podziali Indianie? Czy też byli cybrydami, tak jak pan Wright?

Enea machnęła ręką w geście, do którego zdążyłem już przez lata przywyknąć: wdzięczny ruch, przywodzący na myśl odsuwanie czegoś od siebie. Nauczyłem się postrzegać go jako odpowiednik znanego w zeń wyrażenia mu, które, w odpowiednim kontekście, może znaczyć „cofnij pytanie”.

Targ zniknął, bo nie będzie już nam potrzebny - wyjaśniła Enea. - Indianie byli prawdziwi: Navajo, Apacze, Hopi i Zuni, ale mają własne życie i muszą się zająć własnymi eksperymentami. Handlując z nami wyświadczali nam... przysługę.

Tym razem w tłumie dało się słyszeć gniewne pomruki, ale znów po chwili wszystko się uspokoiło.

— Dziecko, co my teraz zrobimy? - odezwała się Bets Kimbal wstając z miejsca.

Enea przysiadła na skraju sceny, jakby chciała połączyć się w jedno z wyczekującą jej słów publicznością.

— Koniec ze Wspólnotą. Ten etap naszego życia jest zamknięty.

— To nieprawda! - krzyknął gdzieś z tyłu jeden z młodszych uczniów. - Pan Wright może jeszcze wrócić! Był przecież cybrydem, nie zapominajcie... Konstruktem! Centrum... albo lwy, tygrysy

i niedźwiedzie. .. ktokolwiek go stworzył, może go przysłać z powrotem...

— Nie - Enea pokręciła głową, smutno, ale zdecydowanie. - Pan Wright odszedł na zawsze. Wspólnota musi przestać istnieć. Bez jedzenia i surowców, które Indianie sprowadzali z bardzo daleka, nasz obóz nie przetrwa nawet miesiąca. Musimy odejść.

Zapadła cisza, którą przerwał dopiero spokojny głos Peret, młodej studentki mistrza:

— Dokąd, Eneo?

Może to właśnie wtedy zdałem sobie sprawę z tego, jak bardzo cała społeczność Taliesina zdała się na decyzję młodej kobiety, którą znałem, odkąd była dzieckiem. Dopóki Stary Architekt żył, wygłaszał wykłady, urządzał seminaria i dyskusje w kreślarni, prowadził swoją trzódkę na piknik czy nad rzekę, żeby popływać, żądał zawsze pełnego zaangażowania i najlepszego jedzenia - dopóty fakt, że wszyscy poddają się Enei, nie był tak oczywisty. Teraz jednak nie ulegał wątpliwości.

— Właśnie - rozległ się inny głos z tłumu. - Dokąd?

Moja przyjaciółka rozłożyła ręce w kolejnym znajomym mi geście: tym razem zamiast „cofnij pytanie” interpretowałem go jako „sam sobie odpowiedz”.

— Macie dwa wyjścia - rzekła. - Każdy z was przybył tu albo za pośrednictwem transmittera, albo przez Grobowce Czasu. Możecie wrócić przez transmitter...

— Nie!

— To niemożliwe!

— Nigdy... Wolę umrzeć!

— Nie! Pax nas znajdzie i pozabija!

Okrzyki płynęły z głębi serc, niczym ubrane w słowa przerażenie. Poczulem w sali woń strachu, taką samą, jaką wydzielają zwierzęta

złapane w sidła na hyperiońskich mokradłach.

Enea podniosła rękę i hałas przycichł.

— Możecie wrócić transmitterem do kosmosu Paxu albo zostać na Ziemi i radzić sobie sami.

Tym razem rozległy się pomruki; niektóre wyrażały ulgę, że istnieje jednak możliwość pozostania. Rozumiałem to uczucie: dla mnie Pax również stał się ucieleśnieniem lęków; myśl o tym, że miałbym wrócić, przynajmniej raz w tygodniu sprowadzała koszmary, z których budziłem się z krzykiem.

— Jeżeli jednak zostanieie tutaj, będziecie wyrzutkami - ciągnęła ze sceny dziewczynka. - Wszystkie grupy istot ludzkich na Ziemi są zajęte własnymi projektami i doświadczeniami. Nie będziecie do nich pasować.

Znów posypały się głośne pytania i żądania wyjaśnienia sekretów, których nie udało się odkryć mimo wielu lat spędzonych na Ziemi. Enea jednak mówiła dalej.

— Jeśli zostanieie, nauka pana Wrighta i to, czego dowiedzieliście się o sobie, pójdzie na marne. Ziemia nie potrzebuje architektów i budowniczych. Nie teraz. Musimy wrócić.

— A Paxowi to architekci i budowniczkowie niby są potrzebni, tak? - spytał Jaev Peters łamiącym się, ale wyzbytym złości głosem. - Żeby budować te ich cholerne kościoły?

— Tak - odparła Enea.

Jaev uderzył pięścią w oparcie fotela z przodu.

— Ale złapią nas albo zabiją, jak tylko się dowiedzą, kim jesteśmy... i gdzie byliśmy!

— Tak.

— Ty też wracasz, dziecko? - zagadnęła Bets Kimbal.

— Tak.

Enea zeskoczyła ze sceny. Nikt już nie siedział; wszyscy krzyčeli albo rozmawiali między sobą podniesionymi głosami. Jaev Peters był tym, który ubrał w słowa myśl, łącząc w tej chwili wszystkich dziewięćdziesięciu członków Wspólnoty:

— Czy możemy udać się z tobą, Eneo?

Dziewczynka westchnęła; na jej twarzy, opalanej i uważnej, uwidoczniło się zmęczenie.

— Nie. Odejście stąd będzie trochę podobne do narodzin albo śmierci: każdy z nas musi przejść przez to sam. No, może w małych grupkach - uśmiechnęła się.

W sali kinowej zapadła cisza. Kiedy znów zabrzmiał głos Enei, miało się wrażenie, że jeden instrument podjął temat porzucony przed chwilą przez całą orkiestrę.

— Raul wyruszy pierwszy. Dziś wieczorem. Po kolei znajdziecie sobie odpowiednie portale. Pomogę wam. Opuszczę Ziemię ostatnia, ale opuszczę, i to nie dalej niż za parę tygodni. Wszyscy musimy odejść.

Ludzie zaczęli się przepychać do przodu, bez słowa, byle znaleźć się jak najbliżej krótkowłosej dziewczynki.

— Niektórzy z nas jeszcze się spotkają - dodała Enea. - Z pewnością.

Od razu dostrzegłem drugą możliwość interpretacji tego podnoszącego na duchu zapewnienia: niektórzy nie dożyją następnego spotkania.

— W takim razie... - zadudnił głos Bets Kimbal, która objęła Eneę ramieniem. - Jedzenia na pewno wystarczy jeszcze na prawdziwą ucztę. Dzisiejszy obiad zapamiętacie na długie lata! Moja mama mawiała: jeśli wyruszasz w podróż, nie jedź z pustym brzuchem. Kto mi pomoże w kuchni?

I tłum rozpadł się na grupy, na rodziny, pary przyjaciół, oszołomionych samotników. Wszyscy tłoczyli się wokół Enei, gdy zaczęliśmy opuszczać pawilon. Chciałem ją złapać, potrząsnąć nią tak,

żeby wypadły jej zęby mądrości i zapytać: Co to ma znaczyć, do diabła: „Raul wyruszy pierwszy... dziś wieczorem”. Za kogo ty się, do cholery, uważasz, że rozkazujesz mi zostawić cię samą? I jak zamierzasz mnie do tego zmusić, co? Była jednak za daleko, za dużo ludzi kłębiło się dookoła... Mogłem tylko iść za nimi do kuchni i jadalni, ograniczając swoją wściekłość do napinania mięśni, zaciskania pięści i grymasu na twarzy.

Raz widziałem, jak Enea odwraca się w moją stronę, usiłując wypatrzeć mnie ponad tłumem, z błaganiem w oczach: wszystko ci wyjaśnię.

Spojrzałem jej w twarz nieustępliwie, pozostawiając prośbę bez odpowiedzi.

Zrobiło się już prawie ciemno, gdy znalazła mnie w przestronnym hangarze, zbudowanym na polecenie pana Wrighta jakieś pół kilometra na wschód od obozu. Na masywnych, kamiennych filarach wspierał się drewniany dach, ściany zaś wykonano z płótna napiętego na również drewnianym szkielecie. W hangarze trzymaliśmy lądownik, na pokładzie którego wraz z Enea i A. Bettikiem dotarłem do Taliesina.

Odwinąłem na bok drzwi i stałem właśnie we włączniku statku, kiedy dostrzegłem Eneę, zmierzającą w moim kierunku przez pustynię. Miałem na ręce komlog, którego nie używałem od ponad roku; znajdowała się w nim niemal pełna kopia banków pamięci naszego poprzedniego statku - który przed wiekami należał do konsula - toteż kiedy uczyłem się pilotować lądownik, komlog był moim nauczycielem i łącznikiem z maszyną. Teraz już go nie potrzebowałem, gdyż zawarte w nim informacje skopiowałem do pamięci statku i nauczyłem się całkiem dobrze go prowadzić, ale z bransoletą na ręce czułem się pewniej. W tej chwili komlog sprawdzał właśnie wszystkie układy lądownika - rozmawiał sam ze sobą, jeśli można tak powiedzieć.

Enea stanęła w progu. Zachodzące słońce budziło za jej plecami wydłużone cienie i barwiło płótno czerwienią.

— Jak lądownik? - zapytała.

Spojrzałem na wskazania komlogu.

— Wszystko gra - odburknąłem, nie podnosząc wzroku.

— Wystarczy mu paliwa i energii na jeszcze jeden lot?

— Zależy dokąd - odrzekłem. Wciąż nie spojrzałem jej w twarz, bawiąc się płytkami sterowniczymi na poręczy fotela pilota.

Enea podeszła do statku i musnęła moją nogę.

— Raul?

Tym razem musiałem na nią zerknąć.

— Nie złość się - powiedziała. - Nie mamy wyjścia.

Cofnąłem nogę.

— Psiakrew! Przestań wszystkim mówić, co mają robić! Jesteś jeszcze dzieckiem. Być może niektóre rzeczy nie są konieczne; być może jedną z takich rzeczy jest zostawienie cię samej!

Zeskoczyłem na ziemię i wcisnąłem przycisk komlogu. Kadłub lądownika morfował i wchłonał schodki, a ja wyszedłem z hangaru. Ruszyłem w stronę namiotu. Znikające za horyzontem słońce było idealną, czerwoną kulą. W jego ostatnich promieniach kamienno-

płócienne zabudowania głównego kompleksu zdawały się płonąć żywym ogniem, jakby właśnie spełnił się najgorszy koszmar Starego Architekta.

— Raul, zaczekaj! - Enea dogoniła mnie. Jeden rzut oka wystarczył mi, żeby stwierdzić, jak bardzo jest zmęczona. Całe popołudnie spotykała się z ludźmi, rozmawiała z nimi, wyjaśniała, zapewniała, że wszystko będzie dobrze, przytulała ich. W myślach porównywałem Wspólnotę do gniazda żywiących się emocjami wampirów, dla których moja mała przyjaciółka stanowi jedyne źródło energii.

— Powiedziałaś, że zrobisz... - zaczęła.

— Wiem, wiem - wszedłem jej w słowo. Nagle odniosłem wrażenie, że to ona jest dorosła, ja zaś tylko nieznośnym dzieciakiem. Odwróciłem się, by popatrzeć na zachodzące słońce, a przy okazji ukryć zmieszanie, jakie odbiło się na mojej twarzy. Przez chwilę oboje staliśmy w milczeniu, podziwiając blednący blask i pogłębiającą się ciemność. Jakiś czas wcześniej doszedłem do wniosku, że zachody słońca na Ziemi są wolniejsze i piękniejsze niż hyperiońskie, których tyle się naoglądałem w dzieciństwie; szczególnie upodobałem sobie oglądanie ich na pustyni. Ileż takich chwil dzieliłem z Enea przez ostatnie cztery lata? Ile mieliśmy za sobą leniwych kolacji i wieczornych dyskusji pod rozgwieżdżonym niebem? Czy to możliwe, że nie będzie więcej wspólnych zachodów słońca? Na tę myśl wściekałem się i robiło mi się niedobrze.

— Raul - odezwała się ponownie, gdy cienie się połączyły, a powietrze zaczęło ochładzać. - Chodź ze mną, dobrze?

Nie odpowiedziałem „tak”, ale ruszyłem za nią przez kamieniste pustkowia. Musiałem uważać, by nie nadziać się na ostre niczym kępy bagietów krzewy juki i niknących w mroku kaktusów, ale wkrótce dotarliśmy do jasno oświetlonego głównego obozu. Ciekawe, na ile starczy im paliwa i kiedy zgasną lampy? przebiegło mi przez myśl, choć doskonale znałem odpowiedź - obsługa i zaopatrzenie generatorów w paliwo należały do moich obowiązków: w głównych zbiornikach mieliśmy sześciodniowy zapas oleju, a w rezerwowych, przeznaczonych wyłącznie na sytuacje awaryjne, paliwo na dalsze dziesięć dni. Skoro Indiański Targ się zwinął, nie będzie nowej dostawy. Za niespełna trzy tygodnie zgasną światła, przestaną działać lodówki i reszta sprzętu elektrycznego, a potem... Potem co? Ciemność, rozkład, koniec nieustannego procesu budowania, burzenia i odbudowywania, który w ostatnich czterech latach bez ustanku nam towarzyszył.

Myślałem, że idziemy do jadalni, ale przeszliśmy pod jej oświetlonymi oknami; widziałem siedzących grupkami i dyskutujących zawzięcie ludzi, którzy podnosili wzrok i dostrzegali tylko Eneę - w godzinie paniki stałem się dla nich niewidzialny. Minęliśmy również biuro i prywatne studio kreślarskie pana Wrighta, podobnie zresztą jak uroczą salkę konferencyjną, w której garstka mieszkańców oglądała jeden z ostatnich filmów. Za trzy tygodnie projektory miały przestać działać. Nie skręciliśmy także w stronę głównej kreślarni.

Naszym celem okazał się zbudowany z płótna i kamienia (jak zwykle) warsztat, stojący z dala od obozu, przy południowej drodze, świetnie nadający się do pracy z toksycznymi chemikaliami lub hałaśliwym sprzętem. Kiedyś spędzałem w nim sporo czasu, ale nie zaglądałem tam już od ładnych paru miesięcy.

A. Bettik czekał na nas w otwartych drzwiach. Na jego spokojnej, niebieskiej twarzy gościł łagodny uśmiech, podobny do tego, z jakim android serwował urodzinowe ciasto Enei.

— O co chodzi? - zapytałem poirytowany, przenosząc wzrok ze zmęczonej dziewczynki na zadowolonego z siebie A. Bettika.

Enea weszła do środka i włączyła światło. Na umieszczonym pośrodku stole spoczywała mała, najwyżej dwumetrowej długości łódka. Z kształtu przypominała spiczaste z obu stron ziarno fasoli; była całkowicie zabudowana i tylko w środku znajdował się okrągły otwór z nylonowym fartuchem, który najwyraźniej owijało się wokół talii pasażera. Obok leżało wiosło z dwoma piórami - po jednym na każdym końcu. Podeszedłem do stołu i pogładziłem kadłub. Pod palcami wyczułem wypolerowane włókno szklane, rozpięte na aluminiowym szkielecie. Poza mną tylko jedna osoba we Wspólnocie potrafiłaby coś takiego zrobić - posłałem A. Bettikowi niemal oskarżycielskie spojrzenie. Skinął głową.

— To jest kajak - wyjaśniła Enea, również przesuając dłonią po powierzchni łódeczki. — Taki sam, jak budowano na Starej Ziemi.

— Widziałem parę odmian takiej łódki - odparłem, nie chcąc dać po sobie poznać, że jestem pod wrażeniem. - Używali ich powstańcy z Ursusa.

Enea w dalszym ciągu nie odrywała uwagi od kajaka, zupełnie jakbym nic nie mówił.

— Poprosiłam A. Bettika, żeby go dla ciebie zrobił - ciągnęła. - Zajęło mu to kilka tygodni.

— Dla mnie - powtórzyłem tępo. Żołądek zacisnął mi się w lodowatą kulę, gdy uświadomiłem sobie, co mnie czeka.

Enea przysunęła się do mnie i stanęła wprost pod wiszącą lampą. Cienie, jakie kładły się jej pod oczami i kośćmi policzkowymi dodawały jej wieku.

— Nie mamy już tratwy.

Wiedziałem, jaką tratwę ma na myśli - tę, na której przepłynęliśmy kilkanaście planet, zanim została pocięta na kawałki w zasadzce na Bożej Kniei, gdzie sami omal nie zginęliśmy. Przemierzyliśmy na jej pokładzie podlodowy strumień na Sol Draconi Septem, rzekę i kanał na pustyniach Hebronu i Qom-Rijadu, ocean na Marę Infinitus... Tak, wiedziałem, o czym mówi. Wiedziałem też, co znaczy ten kajak.

— Mam wrócić tam, skąd przybyliśmy? - podniosłem rękę, jakbym chciał musnąć kadłub łódki, ale zrezygnowałem z tego zamiaru.

— Nie tą samą drogą - odrzekła. - Tetydą, choć przez inne planety. Tyle planet, ile będzie trzeba, żeby odnaleźć statek.

— Statek?

Zostawiliśmy prywatny statek konsula zatopiony w rzece na planecie, której nazwy i położenia nikt z nas nie znał, kazać mu dokonać naprawy uszkodzeń, jakie odniósł podczas naszej ucieczki przed wojskami Paxu.

Dziewczynka pokiwała głową i cienie na moment umknęły z jej twarzy, by zaraz z powrotem zgromadzić się wokół zmęczonych oczu.

Będzie nam potrzebny, Raul. Jeśli się zgodzisz, chciałabym, żebyś popłynął Tetydą aż na planetę, na której go zostawiliśmy, a potem poleciał nim na inną, gdzie ja i A. Bettik będziemy na ciebie czekać.

Planetę Paxu? - spytałem, a mój żołądek skulił się jeszcze bardziej, gdy dotarła do mnie groźba kryjąca się w tym prostym pytaniu.

— Tak.

— Dlaczego ja? - zapytałem i spojrzałem znacząco na A. Bettika. Zawstydzilem się własnych myśli: Po co wysłać człowieka... i to najlepszego przyjaciela... kiedy można poprosić androida? Spuściłem wzrok.

— To będzie niebezpieczna wyprawa - rzekła Enea. - Ale wierzę, że ci się uda, Raul. Ufam ci. Znajdziesz statek, a potem i nas.

Zgarbiłem się.

— Dobrze - powiedziałem. - Mam wrócić do transmitera, przez który tu trafiliśmy?

Z Bożej Kniei przenieśliśmy się wprost nad strumień, nad którym znajdował się Dom Nad Wodospadem, arcydzieło pana Wrighta. Od tego miejsca dzieliły nas dwie trzecie kontynentu.

— Nie, teraz będzie bliżej. Na Missisipi.

— Dobrze - powtórzyłem. Latałem nad Missisipi i wiedziałem, że płynie dwa tysiące kilometrów na wschód od Taliesina. - Kiedy mam wyruszyć? Jutro?

— Nie - odpowiedziała zmęczonym, ale zdecydowanym głosem Enea. Złapała mnie za rękę. - Dzisiaj. Zaraz.

Nie protestowałem. Nie wyklócałem się. Bez słowa złapałem kajak za dziób, A. Bettik chwycił za rufę, a Enea podtrzymała łódkę w środku. Przenieśliśmy małe cholerstwo do lądownika. Na pustyni panowała już noc.

3

Wielki Inkwizytor się spóźnił.

Watykańska kontrola ruchu powietrznego wydała EMV Inkwizytora zezwolenie na przelot przez zamkniętą strefę Dowietrzną wokół portu kosmicznego, zablokowała cały ruch na wschód od Watykanu i przetrzymała zrobotyzowany frachtowiec z ważącym trzydzieści tysięcy ton ładunkiem na orbicie do czasu, aż Wielki Inkwizytor przemknął nad południowo- wschodnim rogiem lądowiska.

Podróżujący opancerzoną maszyną Jego Eminencja John Domenico kardynał Mustafa nie patrzył ani przez okno, ani na monitory, gdzie pysznił się różowiejący w porannym słońcu Watykan; nie zwracał też uwagi na Ponte Vittorio Emanuele, liczącą dwadzieścia pasów drogę szybkiego ruchu, mieniącą się niczym powierzchnia rzeki, gdy światło odbijało się od szyb i panoramicznych bąbli pojazdów. Wielki Inkwizytor skoncentrował się bez reszty na wyświetlanych na ekranie komlogu zaktualizowanych informacjach wywiadowczych.

Kiedy ostatni akapit tekstu przemknął przez ekran, został zapisany w pamięci maszyny, skasowany i skazany na zapomnienie, Wielki Inkwizytor odezwał się do swojego asystenta, ojca Farrella:

— Nie było już więcej spotkań z przedstawicielami Mercantilusa?

— Nie - odparł Farrell, szczupły mężczyzna o szarych, pozbawionych wyrazu oczach. Nigdy się nie uśmiechał, ale kardynał odczytał drgnienie mięśnia na policzku jako oznakę dobrego humoru.

— Jesteś pewien?

— Absolutnie.

Wielki Inkwizytor rozparł się wygodnie na poduszkach i pozwolił sobie na krótki uśmieszek. Mercantilus podjął tylko jedną, przedwczesną i kompletnie nieudaną próbę nawiązania kontaktu z którymkolwiek z kandydatów na papieża - próbował wysondować

Lourdusamy'ego - a kardynał Mustafa właśnie przejrzał zapis z tego spotkania. Jeszcze przez kilka sekund uśmiech nie zniknął z jego twarzy. Lourdusamy miał rację twierdząc, że jego sala konferencyjna jest bezpiecznym miejscem: nie dałoby się tam założyć podsłuchu ani wetknąć pluskiew w ściany czy meble; każde urządzenie rejestrujące, nawet wszczepione któremuś z uczestników rozmów, zostałyby natychmiast namierzone; wszelkie próby wysłania informacji wiązką komunikacyjną były skazane na niepowodzenie, gdyż wiązkę natychmiast wykryto by i zablokowano. Dlatego zdobycie pełnego nagrania z tego spotkania było dla Wielkiego Inkwizytora chwilą triumfu.

Dwa lokalne lata wcześniej monsignore Lucas Oddi stawiał się w watykańskim szpitalu na rutynowy zabieg wymiany oczu, uszu i serca. Ojciec Farrell odbył poważną rozmowę z operującym monsignora chirurgiem i zagroził mu gniewem całego Świętego Oficjum, gdyby ten nie zgodził się wszczepić pacjentowi pewnych supernowoczesnych implantów. Chirurg spełnił żądanie Farrella, po czym wkrótce potem zginął - prawdziwą śmiercią, bez możliwości zmartwychwstania - daleko od Watykanu, w wypadku nad Szelfem Północnym.

W ciele monsignora Lucasa Oddiego nie znalazły się żadne elektroniczne ani mechaniczne aparaty szpiegowskie, natomiast bezpośrednio do jego nerwów wzrokowych podłączono siedem czysto biologicznych nanorekorderów; cztery dalsze zostały podpięte do nerwu słuchowego. Same biorekordery nie wysyłały zgromadzonych informacji, lecz zapisywały je w postaci związków chemicznych i przekazywały krwiobiegiem do wszczepionego w lewą komorę serca transmitera (również całkowicie organicznego). W dziesięć minut po tym, jak Oddi opuścił strefę chronioną gabinetu Lourdusamy'ego, transponder wysłał skompresowany zapis spotkania do jednego

z pobliskich przekaźników Inkwizycji. Nie było to może jeszcze prawdziwe podsłuchiwanie w perfekcyjnie zabezpieczonych apartamentach Sekretarza Stanu - co zresztą wciąż martwiło kardynała Mustafę - ale najnowsza technika pozwoliła osiągnąć stan bliski ideału.

— Isozaki jest przerażony - odezwał się ojciec Farrell. - Sądzi, że...

Wielki Inkwizytor podniósł dłoń z wyprostowanym palcem wskazującym i Farrell urwał w pół słowa.

— Tego nie wiesz - powiedział. - Nie masz pojęcia, co sądzi. Wiesz tylko, co mówi i robi i na tej podstawie możesz zgadywać jego myśli i przewidywać reakcje. Pamiętaj, Martinie, nigdy nie wolno bezpodstawnie zakładać, że nasi wrogowie zrobią to czy tamto. Tego rodzaju zadufanie może mieć zgubne skutki.

Ojciec Farrell skłonił głowę na znak zgody i posłuszeństwa.

Gdy EMV opadł na lądowisko na dachu Zamku Świętego Anioła, Wielki Inkwizytor wyskoczył z pojazdu i zbiegł po rampie tak szybko, że Farrell musiał podbiec, żeby za nim nadążyć. Funkcjonariusze służb bezpieczeństwa, odziani w czerwone mundury Świętego Oficjum, natychmiast zajęli pozycje z przodu i z tyłu dwuosobowego orszaku, ale kardynał odprawił ich skinieniem ręki; chciał spokojnie dokończyć rozmowę z Farrellem. Złapał go pod rękę - nie z sympatii bynajmniej, lecz by zamknąć w ten sposób obwód umożliwiający subwokalizację - i rzekł:

— Isozaki i pozostali przywódcy Mercantilusa nie są przerażeni. Gdyby Lourdusamy uznał, że należy się ich pozbyć, już byliby martwi. Isozaki musiał mu przekazać deklarację swego poparcia i dopiął swego. Teraz to armia się boi.

— Armia? - subwokalizował w odpowiedzi ojciec Farrell marszcząc brwi. - Na razie nie odkryła kart, nie zrobiła nic, co mogłoby świadczyć o braku lojalności.

— Zgadza się. Ci z Mercantilusa wykonali swój ruch i wiedzą, że we właściwym momencie Sekretarz Stanu zwróci się do nich. Flota i reszta wojska od lat obawiała się, że dokona niewłaściwego wyboru; teraz zaczynają się bać, że jest już za późno.

Asystent kardynała pokiwał głową. Zjechali szybem grawitacyjnym głęboko do podziemi zamku i ruszyli pogrążonym w mroku korytarzem, mijając uzbrojonych strażników i generatory śmiercionośnych pól siłowych. Przy nie oznaczonych drzwiach prężyło się na baczność dwóch komandosów w czerwonych uniformach. Obaj trzymali gotowe do strzału karabiny energetyczne.

— Zostawcie nas samych - rozkazał im kardynał Mustafa i przyłożył dłoń do płytki identyfikatora. Stalowe wrota wsunęły się w szczelinę w suficie.

Tunel składał się wyłącznie z kamienia i cieni, w pokoju zaś było jasno, w świetle lśniły wypolerowane do połysku powierzchnie sprzętów i przyrządów. Pracujący tu technicy oderwali się od swoich zajęć i podnieśli wzrok na wchodzących. Jedną ze ścian wypełniały rzędy kwadratowych drzwiczek, przywodzące na myśl piętrowe szuflady na ciała w starodawnych kostnicach. Jedna z klap była otwarta, a na wysuniętych z chłodni noszach na kółkach spoczywał nagi człowiek.

Wielki Inkwizytor i ojciec Farrell stanęli po przeciwnych stronach noszy.

— Bez przeszkód dochodzi do siebie - poinformował ich technik obsługujący konsole. - Brakuje mu już tak niewiele, że możemy go obudzić w parę sekund.

— Jak długo był zahibernowany? - spytał Farrell.

— Szesnaście miejscowych miesięcy, czyli trzynaście i pół miesiąca standardowego.

— Obudźcie go - rozkazał kardynał Mustafa.

Minęło dosłownie kilka sekund i powieki mężczyzny zatrzepotały. Na jego drobnym, muskularnym ciele nie widniały ślady żadnych obrażeń. Ręce w nadgarstkach i nogi w kostkach miał spętane lepem, a tuż za lewym uchem wszczepiono mu bocznik korowy, z którego niemal niewidoczna wiązka mikrowłókien biegła do konsoli.

Mężczyzna jęknął.

— Kapralu Bassinie Kee - rzekł Wielki Inkwizytor. - Słyszysz mnie pan?

Kapral Kee jęknął coś niezrozumiale.

Inkwizytor, najwidoczniej zadowolony, pokiwał głową.

— Kapralu Kee - zaczął miłym, konwersacyjnym tonem - czy możemy wrócić do naszej przerwanej rozmowy?

— Jak długo... - spomiędzy spierzchniętych, obrzmiałych warg kaprala wydobył się drżący głos. - Ile byłem...

Ojciec Farrell podszedł do konsoli i skinieniem głowy dał znak kardynałowi, który zignorował pytanie Kee.

— Dlaczego wraz z ojcem kapitanem de Soyą pozwoliliście dziewczynce uciec? - zapytał łagodnie.

Kapral Kee otworzył oczy, zamrugał nimi, jakby światło za bardzo go raziło, po czym zamknął je ponownie. Nie odpowiedział ani słowem.

John Domenico kardynał Mustafa skinął na swojego asystenta. Dłoń ojca Farrella zawisała nad wyświetlanymi na ekranie konsoli ikonami, ale na razie nie uaktywniła żadnej z nich.

— Zaczniemy jeszcze raz - rzekł Inkwizytor. - Dlaczego na Bożej Kniei pan, kapralu, i ojciec kapitan de Soyą pozwoliliście uciec dziewczynce i towarzyszącym jej bandytom?

Kapral Kee leżał bez ruchu na plecach z zaciśniętymi pięściami. Nie otworzył oczu. Nie przemówił.

Wielki Inkwizytor uczynił niemal niedostrzegalny ruch głową. Ojciec Farrell przesunął dwoma palcami nad jedną z ikon; dla

niewprawnego oka rysunekczki wyglądałyby równie tajemniczo, jak egipskie hieroglify, ale asystent kardynała znał je na pamięć: ta, którą wybrał, oznaczała zmiążdżenie genitaliów.

Kapral Kee otworzył usta do krzyku, ale inhibitory neuronowe powstrzymały tę reakcję. Szczęki kaprała rozwarły się na maksymalną szerokość, tak że Farrell słyszał trzeszczenie naciągniętych do granic możliwości ścięgien i mięśni.

Na kolejne skinienie Inkwizytora odsunął dłoń ze strefy aktywizacji ikony. Kapral na noszach drgnął konwulsyjnie; mięśnie jego brzucha napięły się w spazmatycznym skurczu.

— To tylko wirtualny ból, kapralu - wyszeptał Wielki Inkwizytor. - Złudzenie układu nerwowego. Na pańskim ciele nie pozostał żaden ślad.

Kee szarpał się, próbując zerknąć w dół, ale taśma mocująca nie pozwalała mu unieść głowy.

— A może nie? - ciągnął kardynał. - Może tym razem postanowiliśmy odwołać się do starych, mniej wyrafinowanych sposobów... - podszedł do noszy, tak by kapral mógł spojrzeć mu w oczy. - Pytam jeszcze raz: dlaczego wraz z ojcem kapitanem de Soyą pozwoliliście dziewczynce uciec?

Przez moment kapral poruszał tylko szeroko otwartymi ustami, odsłaniając zęby trzonowe. Drżał na całym ciele.

— P... p... pierdol się - wystękał wreszcie przez zaciśnięte zęby.

— Ależ oczywiście - Wielki Inkwizytor dał znak Farrellowi.

Nazwę ikony, którą tym razem uruchomił asystent, należałoby rozumieć jako rozpalony drut za prawym okiem.

Kapral Kee rozwarł usta do niesłyszalnego krzyku.

— Czekamy - rzekł cicho kardynał Mustafa. - Niech nam pan powie.

— Proszę o wybaczenie, Wasza Eminencjo - wtrącił ojciec Farrell, zerknawszy na komlog. - Za czterdzieści pięć minut zacznie się

konklawe.

Wielki Inkwizytor machnął ręką.

— Mamy czas, Martinie. Mnóstwo czasu - uspokoił asystenta. Dotknął ramienia kaprała Kee. - Zdradź nam te kilka faktów, a pozwolimy ci się wykąpać, ubrać i puścimy cię wolno. Zdradą swą zgrzeszyłeś przeciw Kościołowi i naszemu Panu, ale istotą Kościoła jest przebaczenie. Wyjaśnij przyczyny swego postępuku, a zostanie ci on zapomniany.

Mimo że jego mięśnie wciąż drżały wskutek szoku, kaprał Kee zdołał się roześmiać.

— Pierdol się! - powtórzył. - Powiedziałem już wszystko, kiedy podaliście mi serum prawdy! Wiecie dlaczego zabiliśmy tę syntetyczną kurwę i puściliśmy dzieciaka wolno! A poza tym i tak mnie nie wypuścicie. Sram na was!

Wielki Inkwizytor wzruszył ramionami i cofnął się od noszy. Spojrzał na złoty komlog na nadgarstku i powtórzył łagodnie:

— Mamy czas. Mnóstwo czasu.

Skinął głową na swego asystenta.

Ikona przypominająca podwójny nawias oznaczała szerokie, rozpalone ostrze w przelyku. Ojciec Farrell włączył ją delikatnym ruchem dłoni.

Ojciec kapitan de Soya został wskrzeszony na Pacem i spędził dwa tygodnie w refektarzu Legionistów Chrystusowych, de facto w areszcie domowym. Refektarz był miejscem wygodnym i spokojnym, a malutki, pulchny kapelan, który towarzyszył de Sol od chwili wskrzeszenia - ojciec Baggio - okazał się miły i troskliwy jak zawsze. De Soya nienawidził i refektarza, i kapelana.

Nikt mu formalnie nie zakazał opuszczać siedziby Legionu, ale dano mu do zrozumienia, że nie powinien się stamtąd ruszać, dopóki nie zostanie wezwany. Po tygodniu, kiedy odzyskał już siły i minęła mu

dezorientacja po zmartwychwstaniu, wezwano go do dowództwa Floty Paxu, gdzie spotkał się z admirał Wu i jej przełożonym, admirałem Marusynem.

Podczas tego spotkania ograniczył się do salutowania, stania w pozycji „spocznij” i słuchania. Admirał Marusyn wyjaśnił mu, że kontrola jego procesu, który odbył się cztery lata wcześniej przed sądem wojskowym, wykazała poważne uchybienia i niedociągnięcia w akcie oskarżenia. Dogłębne śledztwo doprowadziło do rewizji wyroku: de Soya miał zostać bezzwłocznie przywrócony do służby w stopniu ojca kapitana. Przygotowywano już statek, którym będzie dowodził.

— Pański dawny liniowiec, „Baltazar”, od roku znajduje się w suchym doku - rzekł admirał Marusyn. - Jest poddawany kompleksowym przeróbkom i unowocześnieniom, by dorównał standardom eskortowca archaniołów. Zastępująca pana matka kapitan Stone sprawdziła się znakomicie na stanowisku dowódcy.

— Tak jest, panie admirale - zgodził się z nim de Soya. - Stone była świetnym pierwszym oficerem, toteż jestem pewien, że spisała się bez zarzutu.

Admirał kiwnął z roztargnieniem głową, kartkując notes.

— Tak, tak - rzucił. - Bez zarzutu. Dostała od nas rekomendację na kapitana jednego z nowych archaniołów. Zresztą dla pana także, ojcze kapitanie, szykujemy archanioła.

— Czy to będzie „Rafael”, panie admirale? - de Soya zamrugał, starając się nie okazywać emocji.

Admirał przeniósł wzrok na de Soyę. Na jego opalonej, pokrytej siateczką zmarszczek twarzy pojawił się lekki uśmiech.

— Tak, „Rafael”, ale nie ten sam, którym pan kiedyś latał. Tamten prototyp wycofaliśmy ze służby i przeznaczaliśmy wyłącznie do misji kurierskich. Nadaliśmy mu nawet inną nazwę. Nowy „Rafael” jest... Hmm, słyszał pan coś o nowych archaniołach, ojcze kapitanie?

— Nie, panie admirale. Właściwie nie.

Wiedza de Sol ograniczała się do plotek zasłyszanych od górników na pustynnej MadredeDios, w jedynej kantine w miasteczku.

— Cztery lata standardowe - mruknął pod nosem admirał i pokręcił głową. Siwe włosy miał elegancko zaczesane za uszy. - Pani admirał, proszę zapoznać ojca kapitana z sytuacją.

Marget Wu skinęła głową i dotknięciem ręki włączyła ekran standardowej konsoli taktycznej, wbudowanej w ścianę gabinetu admirała Marusyna. W powietrzu między nią i de Soya pojawił się trójwymiarowy obraz statku kosmicznego. Ojciec kapitan na pierwszy rzut oka stwierdził, że maszyna jest większa, zgrabniejsza, doskonalsza i bardziej śmiercionośna od starego „Rafaela”.

— Jego Świątobliwość zwrócił się z prośbą do wszystkich przemysłowych planet Paxu, by zbudowały po jednym z międzyplanetarnych okrętów klasy archanioł lub przynajmniej sfinansowały takie przedsięwzięcie - zaczęła Wu tonem, jakim zwykle prowadziła odprawy. - W ciągu ostatnich czterech lat udało się wprowadzić do służby dwadzieścia jeden takich jednostek; w tej chwili trwają prace wykończeniowe nad następnymi sześćdziesięcioma - hologram zaczął się obracać i rosnąć w oczach, aż nagle ukazał się pokład główny w przekroju, jak gdyby laserowa lanca przecięła statek na pół. - Jak pan widzi, kabiny mieszkalne, pokład dowodzenia i centra taktyczne K3 są znacznie przestronniejsze niż na starym „Rafaelu”... Większe nawet niż na pańskim dawnym liniowcu. Wielkość jednostek napędowych, zarówno tajnego, nadświatelnego napędu Gedeona, jak i reaktora atomowego do poruszania się w obrębie układów planetarnych, została ograniczona o jedną trzecią, a zarazem znacznie ułatwiono ich obsługę i poprawiono wydajność. Okręt jest wyposażony w trzy lądowniki do poruszania się w atmosferze i szybki statek zwiadowczy. Na pokładzie zainstalowano komory zmartwychwstańcze

dla dwudziestu ośmiu członków załogi i dwudziestu dwóch pasażerów lub żołnierzy.

— Co z obroną? - zapytał de Soya, wciąż stojąc na „spocznij”, z rękoma założonymi za plecami.

— Pola siłowe dziesiątej klasy - odparła krótko Wu. - Najnowsza technologia antydetekcyjna, ECM i sprzęt zagłuszający klasy omega, ponadto standardowy zestaw bliskozasięgowej broni energetycznej i hiperkinetycznej.

— Parametry ofensywne? - dopytywał się ojciec kapitan, chociaż patrząc na obraz wiedział wszystko; chciał tylko usłyszeć potwierdzenie.

— Całe dziewięć metrów średnicy - odrzekł z dumą admirał Marusyn, jakby chciał się pochwalić niedawno urodzonym wnukiem. - Lance laserowe, rzecz jasna, tylko zasilane nie ze stosu atomowego, lecz z rdzenia napędu nadświatelnego. Mają pół jednostki astronomicznej zasięgu przy pełnej mocy; poza tym nowe pociski hiperkinetyczne z napędem Hawkinga, zminiaturyzowane - o połowę mniejsze i lżejsze od tych, które zna pan z „Baltazara”; igły plazmowe z ładunkiem dwukrotnie większym niż głowice sprzed pięciu lat; paralizatory bojowe...

Ojciec kapitan de Soya usiłował nie dać nic po sobie poznać. Bojowe paralizatory były kiedyś we Flocie bronią niedozwoloną.

Marusyn dostrzegł jednak zmianę w jego twarzy.

— Czasy się zmieniły, Federico. Tym razem walczymy do końca. Intruzi mnożą się jak muszki owocowe i jeżeli ich nie powstrzymamy, to za rok albo dwa wypalą Pacem.

De Soya pokiwał głową.

— Czy mogę zapytać, panie admirale, który statek sfinansował budowę nowego „Rafaela”?

Marusyn z uśmiechem wskazał mu hologram. Okręt zdawał się pędzić na spotkanie de Soi, gdy nagle podkrecono powiększenie. Pojawiło się zbliżenie mostka i umieszczonego na nim holozbiornika taktycznego, na którym ojciec kapitan dostrzegł małą, brązową płytkę. Zdobił ją napis „HHS RAFAEL” oraz poniżej mniejszymi literami: „ZBUDOWANY PRZEZ MIESZKAŃCÓW BRAMY NIEBIOS DLA OBRONY CAŁEGO RODZAJU LUDZKIEGO”.

— Dlaczego się pan uśmiecha, ojcie kapitanie? - zapytał admirał Marusyn.

— Panie admirale, to... Byłem na Bramie Niebios. Oczywiście, miało to miejsce ponad cztery lata standardowe temu, ale na planecie mieszkało zaledwie kilkunastu poszukiwaczy. Poza tym na orbicie krążyła stacja Paxu z nieliczną obsadą. Odkąd przed trzystu laty Intruzi najechali Bramę Niebios, ten świat nie mógł się pochwalić bardziej liczną populacją, panie admirale. Po prostu nie wyobrażam sobie, żeby taka planeta była w stanie sfinansować konstrukcję takiej maszyny. Mam wrażenie, że budowa archanioła wymaga co najmniej takiego produktu globalnego brutto, jakim może się poszczycić Renesans.

Uśmiech nie zniknął z twarzy Marusyna.

— Ma pan rację, ojcie kapitanie. Brama Niebios to prawdziwe piekło: trująca atmosfera, kwaśne deszcze, bezkresne błota i siarkowe osady. Nie pozbierała się po ataku Intruzów. Jego Świątobliwość uznał jednak, iż lepiej będzie przekazać zarząd nad nią prywatnemu przedsiębiorstwu, skoro wciąż stanowi prawdziwą skarbnicę surowców naturalnych. Zatem sprzedaliśmy ją.

— Sprzedaliście, panie admirale? - de Sol nie udało się ukryć zdumienia. - Całą planetę?

Marusyn uśmiechnął się szeroko, a Marget Wu pospieszyła z wyjaśnieniem:

— Sprzedaliśmy ją Opus Dei, ojcie kapitanie.

De Soya nie odpowiedział, ale i nie zrozumiał słów kobiety.

— „Dzieło Boże” było kiedyś mało znaczącą organizacją religijną. Liczy sobie, jak sądzę... jakieś tysiąc dwieście lat. Założono je bodaj w 1920 A.D.. W ubiegłych latach Opus Dei stało się nie tylko cennym sprzymierzeńcem Stolicy Apostolskiej, ale i konkurentem dla Mercantilusa.

— Ach, tak - powiedział wreszcie de Soya; nie zdziwiłby się, gdyby to Pax Mercantilus kupował całe światy, ale nie mógł sobie wyobrazić, że w tak krótkim czasie dopuszczono, by jakikolwiek konkurent tak bardzo urósł w siłę. Nie miało to jednak znaczenia. - Mam jeszcze jedno pytanie, panie admirale - zwrócił się do Marusyna, który rzucił okiem na chronometr w komlogu i skinął krótko głową.

— Miałem czteroletnią przerwę w służbie - zaczął cicho de Soya. - Przez cały ten czas nie zakładałem munduru ani nie śledziłem postępów techniki. Planeta, na której byłem księdzem, znajduje się tak daleko od ośrodków władzy i nauki, że równie dobrze mógłbym przespać owe cztery lata w hibernacji. Jak to możliwe, żebym teraz objął dowództwo bojowego archanioła najnowszej generacji?

Marusyn zmarszczył brwi.

— Pomożemy panu nadrobić zaległości, ojczy kapitanie; Pax wie, co robi. Czyżby zamierzał nam pan odmówić?

Ojciec kapitan de Soya zawahał się przez jedną, wyraźnie widoczną sekundę.

— Nie, panie admirale. Doceniani zaufanie, jakie pokładacie we mnie, pan i całe dowództwo Floty. Zrobię co w mojej mocy, panie admirale - de Soya podwójnie nawykł do dyscypliny: raz jako jezuicki ksiądz, powtórnie jako oficer w armii Jego Świątobliwości.

Twarz Marusyna złagodniała.

— Oczywiście, Federico. Cieszymy się, że wróciłeś. Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, chcielibyśmy, żebyś pozostał w refektarzu

Legionistów, dopóki nie będziemy gotowi wysłać cię na statek.

Szlag by to trafił, pomyślał de Soya. Więc nadal jestem więźniem.

— Ależ oczywiście, panie admirale - odparł głośno. - To miłe miejsce.

Marusyn ponownie spojrział na komlog; nie ulegało wątpliwości, że spotkanie ma się ku końcowi.

— Czy ma pan jeszcze jakieś życzenia, zanim pański nowy przydział zostanie oficjalnie potwierdzony?

De Soya znów się zawahał. Wiedział, że będzie to źle widziane, ale zdecydował się przemówić.

— Jedno, panie admirale. Na starym „Rafaelu” służyło pod moim dowództwem trzech żołnierzy, komandosów z Gwardii Szwajcarskiej, których zabrałem z Hyperiona... Lansjer Rettig zmarł, panie admirale, ale... sierżant Gregorius i kapral Kee byli ze mną do samego końca. Zastanawiałem się...

Marusyn przerwał mu niecierpliwym skinieniem głowy.

— Chciałby pan, żeby znaleźli się na nowym „Rafaelu”. Brzmi to rozsądnie... Miałem kiedyś kucharza, którego ciągałem ze sobą na wszystkie okręty, na jakich przyszło mi służyć. Biedaczysko zginął w drugiej bitwie w Mgławicy Węglowej. Nic mi nie jednak wiadomo o pańskich ludziach... - admirał spojrział na Marget Wu.

— Tak się składa, że natknęłam się na ich akta przeglądając dokumenty niezbędne dla przywrócenia pana do służby, ojczy kapitanie - powiedziała Wu. - Sierżant Gregorius służy teraz w Pierścieniu i sądzę, że dałoby się załatwić przeniesienie. Natomiast co do kaprala Kee, to obawiam się...

De Soya poczuł, jak mimowolnie napinają mu się mięśnie brzucha; tylko Kee towarzyszył mu na Bożej Kniei, kiedy Gregoriusa złożyli w komorze zmartwychwstańczej po nieudanym przyspieszonym wskrzeszeniu. Ojciec kapitan ostatni raz widział drobnego, żwawego kaprala, gdy wrócili w przestrzeń planetarną Pacem, zanim żandarmi

aresztowali ich i umieścili w osobnych celach. Na pożegnanie uścisnęli sobie dłonie, zapewniając się nawzajem, że jeszcze się spotkają.

— Kapral Kee został zabity dwa lata standardowe temu - dokończyła admirał Wu. - Zginął, gdy Intruzi zaatakowali nas w gwiazdozbiorze Strzelca. Z tego, co wiem, odznaczono go Srebrną Gwiazdą Świętego Michała... rzecz jasna, pośmiertnie.

— Dziękuję - de Soya kiwnął głową.

Admirał Marusyn uśmiechnął się swoim ojcowskim uśmiechem doświadczonego polityka i ponad blatem stołu podał rękę de Soi.

— Powodzenia, Federico. Daj im popalić.

Dowództwo Paxu nie znajdowało się na Pacem, lecz na tej samej orbicie, co planeta, krążąc wokół macierzystej gwiazdy z opóźnieniem około sześćdziesięciu stopni. Między Watykanem i Torusem Mercantilusem - poliwęglanową obręczą o grubości 270 metrów, szerokości kilometra i średnicy dwudziestu sześciu kilometrów - stacjonowała połowa całej Floty Paxu. Wnętrze torusa wypełniały pajęcze rusztowania doków, anten komunikacyjnych i stanowisk ładunkowych. Kenzo Isozaki obliczył kiedyś, że próba zamachu stanu przeprowadzona z Torusa Mercantilusa trwałaby 12,06 nanosekundy, zanim jej uczestnicy i ich statki zmieniliby się w obłoczek pary.

Biuro Isozakiego umieszczono w przezroczystej kopule, zainstalowanej na łodydze z włókna węglowego i wysuniętej na jakieś czterysta metrów ponad zewnętrzną krawędź torusa. Przewodniczący Mercantilusa mógł w każdej chwili spolaryzować powierzchnię kopuły i uczynić ją całkowicie matową, ale dziś ograniczył się jedynie do wytłumienia oślepiającego blasku słońca Pacem. W tej chwili kosmiczna otchłań zdawała się jednolicie, smolście czarna, Isozaki wiedział jednak, że w miarę obrotu torusa kopuła znajdzie się w cieniu, a wtedy zerknąwszy w górę ujrzy gwiazdy, jakby ktoś jednym szarpnięciem zerwał zasłonę skrywającą tysiące maleńkich lampek.

Albo ognisk w obozie moich wrogów, dodał w myślach przewodniczący, gdy po raz dwudziesty tego dnia jego gabinet pogrążył się w mroku.

W takiej chwili, gdy kopuła była zupełnie przejrzysta, owalne, skromnie umeblowane biuro przypominało wyłożoną dywanem platformę zawieszoną w pustce; pojedyncze, bliskie gwiazdy lśniły oślepiająco i wraz z drugim pasmem Mlecznej Drogi rozjaśniały wnętrze pomieszczenia. Jednakże nie ten znajomy widok przykuł uwagę Isozakiiego: pośród gwiazd jarzyły się smugi płomieni z napędów jądrowych trzech frachtowców, niczym skazy na astronomicznym hologramie. Wieloletnia wprawa pozwalała przewodniczącemu jednym rzutem oka określić, jak daleko znajdują się statki i z jakim przeciążeniem hamują... a nawet, co to za jednostki. PM „Żołnierz Moldaharu” uzupełnił zapasy paliwa gazem z gwiazdnego olbrzyma w układzie Epsilon Eridani i teraz jego silniki płonęły jaskrawą czerwienią. Kapitan HHMS „Emmy Constant” jak zwykle pędziła na łeb, na szyję, by jak najszybciej dostarczyć ładunek metali promieniotwórczych z Pegaza 51 i hamowała z przeciążeniem o dobre piętnaście procent wyższym od oficjalnych zaleceń. Najmniejszy ognisty ogon musiał zaś należeć do HHMS „Elmosinera Apostolica”, który właśnie wyszedł z nadświatłnej po skoku z Renesansu; Isozakiemu wystarczyło jedno zerknięcie, by wiedzieć skąd przybywa statek. W znanej sobie części nieba nad Pacem równie błyskawicznie rozpoznawał ponad trzysta optymalnych punktów skoku kwantowego.

Z podłogi biura wysunął się przezroczysty cylinder kabiny windy - przezroczysty tylko z zewnątrz, gdyż oświetleni blaskiem gwiazd pasażerowie widzieli jedynie własne odbicia w lustrzanych ścianach, dopóki właściciel biura nie odblokował drzwi.

Jedynym pasażerem była tym razem Anna Pełli Cognani. Isozaki skinął głową i jego prywatna SI otworzyła obrotowe drzwi windy.

Przewodnicząca i protegowana Isozakiego nie zaszczyciła obracającego się nieba ani jednym spojrzeniem, lecz podeszła wprost do biurka.

— Dobry wieczór, Kenzosan.

— Dobry wieczór, Anno. - Gestem wskazał jej najwygodniejszy fotel, ale Cognani podziękowała ruchem głowy. Nigdy nie siadała w biurze Isozakiego, chociaż przewodniczący zawsze proponował jej miejsce.

— Msza przed konklawe dobiega końca - powiedziała kobieta.

Isozaki znów kiwnął głową i SI zaciemniła ściany, by wyświetlić transmisję na żywo z Watykanu.

Tego ranka bazylika Świętego Piotra mieniła się szkarłatem, purpurą, czernią i bielą, gdy osiemdziesięciu trzech kardynałów, którzy wkrótce mieli się zgromadzić na konklawe, chyliło się w ukłonach, modliło, klękało, wstawalo i śpiewało. Za tą terną, czyli grupą teoretycznych kandydatów do godności papieskiej, stało kilkuset biskupów i arcybiskupów, diakonów i przedstawicieli Kurii, delegatów armii i oficjeli Paxu, gubernatorów planet i wysokich urzędników obieralnych, którzy w chwili śmierci papieża znajdowali się akurat na Pacem bądź w odległości nie przekraczającej trzech tygodni długu czasowego. Nie zabrakło reprezentantów dominikanów, jezuitów, benedyktynów, Legionistów Chrystusowych, mariawitów i salezjanów; był też jeden z nielicznych już franciszkanów. W tylnych szeregach znaleźli się „goście honorowi”: przedstawiciele Mercantilusa, Opus Dei, Istituto per Operę di Religione - czyli Banku Watykańskiego - delegaci administracyjnej Prefektury, Servizio Assistenziale del Santo Padre (Służby Pomyślności Ojca Świętego), ADSA (Administracji Dziedzictwa Stolicy Apostolskiej) oraz Izby Apostolskiej kardynała Camerlengo; we mszy uczestniczyli też wysłannicy Papieskiej Akademii Nauk, Papieskiego Komitetu Międzygwiazdowego Pokoju i Sprawiedliwości, wielu innych uczelni papieskich (w tym Papieskiej Akademii Kościelnej), oraz różnych, quasiteologicznych organizacji, niezbędnych

do prawidłowego funkcjonowania rozległego państwa Paxu. W tłumie można było dojrzeć również kolorowe mundury Corps Helvetica, czyli Gwardii Szwajcarskiej, oraz dowódców Straży Palatyńskiej, rekonstruowanej przez papieża Juliusza. Po raz pierwszy publicznie pokazał się również naczelnny dowódca dotychczas tajnej Gwardii Szlacheckiej - bladolicy, ciemnowłosa mężczyzna w czerwonym uniformie.

Isozaki i Cognani bacznie śledzili przebieg ceremonii. Oboje zostali na nią zaproszeni, ale w ciągu ubiegłych kilku stuleci wykształciła się tradycja, zgodnie z którą przewodniczący Mercantilusa czcili największe kościelne uroczystości przez swoją nieobecność, delegując na nie oficjalnych watykańskich przedstawicieli. Patrzyli, jak kardynał Couesnongle celebrował mszę; widzieli w kardynale Camerlengo bezradnego figuranta, jakim faktycznie był; najbardziej jednak interesowali ich Lourdusamy, Mustafa i kilka innych liczących się w rozgrywce postaci, zasiadających w przednich ławach.

Msza zakończyła się błogosławieństwem i kardynałowie, którzy mieli niebawem wziąć udział w głosowaniu, w uroczystej procesji opuścili Kaplicę Sykstyńską. Holokamy długo jeszcze śledziły zamykanie wrót - od środka zatrzaśnięto zasuwę, od zewnątrz zawisła na nich masywna kłódka - aż wreszcie dowódca Gwardii Szwajcarskiej i Prefekt Domostwa Papieskiego oficjalnie ogłosili zapieczętowanie drzwi i rozpoczęcie konklawe. Wówczas to przekaz audio z kaplicy ustąpił miejsca komentarzom i spekulacjom w studiu, choć na ekranie wciąż widniały tylko zamknięte wrota.

— Wystarczy - rzekł Kenzo Isozaki i transmisja została przerwana. Kopuła na powrót stała się przezroczysta i zawieszony pod czarnym niebem pokój zalało światło słońca.

Anna Pełli Cognani uśmiechnęła się lekko.

— Głosowanie nie powinno długo potrwać.

Isozaki wrócił na fotel, zetknął dłonie czubkami palców i oparł je o dolną wargę.

— Jak pani uważa, Anno, czy my - mam na myśli wszystkich zasiadających w radzie Mercantilusa - mamy jakąś realną władzę?

Na zwykle obojętnym obliczu Cognani tym razem odbiło się zaskoczenie.

— W ubiegłym roku podatkowym mój wydział wykazał zysk w wysokości trzydziestu sześciu miliardów marek, Kenzosan.

Dłonie Isozakiego ani drgnęły.

— M. Cognani, czy byłaby pani tak uprzejma, by zdjąć marynarkę i koszulę?

Jego protegowana nawet nie mrugnęła. Od dwudziestu ośmiu lat standardowych byli kolegami, a właściwie M. Isozaki był jej przełożonym, i nigdy dotąd nie zrobił, nie powiedział ani nie pozwolił się jej domyślać niczego, co można by zinterpretować jako przyczynek do związku seksualnego. Po trwającym sekundę wahaniu rozpięła marynarkę, zrzuciła ją z ramion i powiesiła na oparciu fotela, na którym nigdy nie siadała. Za chwilę w ślady marynarki poszła koszula.

Isozaki wstał i obszedł biurko, zatrzymując się o metr od Cognani.

— Bieliznę również - rzekł. Sam również ściągnął marynarkę i zaczął rozpinać staromodną koszulę na guziki. Miał mocną, muskularną, bezwłosą klatkę piersiową.

Cognani zdjęła koszulkę i odsłoniła małe, idealnie uformowane piersi z różowymi sutkami.

Kenzo Isozaki podniósł dłoń, jakby zamierzał ją dotknąć, ale tylko wyciągnął palec, po czym wskazał dłonią na własną pierś i musnął krzyżokształt, zaczynający się poniżej mostka i biegnący w dół niemal do pępka.

— To właśnie jest władza - powiedział.

Odwrócił się i zaczął ubierać. Anna Pełli Cognani objęła rękoma ramiona, a potem również sięgnęła po swój strój.

Kiedy oboje ubrali się, Isozaki zajął miejsce za biurkiem i ręką skinął na fotel naprzeciwko. Ku jego zdumieniu, Cognani tym razem usiadła.

— Chodzi panu o to, że choćbyśmy dołożyli wszelkich starań, by nowy papież - jeśli będzie jakiś nowy papież - uznał nas za nieocenionych sprzymierzeńców, Kościół zawsze będzie dysponował największą przewagą: wskrzeszeniem - powiedziała.

— Niezupełnie - stwierdził Isozaki i znów zetknął koniuszki palców, jakby przed chwilą nic się nie wydarzyło. - Chodzi mi o to, że ten, kto kontroluje krzyżokształty, kontroluje cały ludzki wszechświat.

— Kościół... - Cognani urwała w pół zdania. - Oczywiście krzyżokształt to tylko jeden z elementów równania. TechnoCentrum ujawniło Kościołowi sekret udanego zmartwychwstania. Ale przecież sprzymierzyło się z nim przed dwustu osiemdziesięciu laty...

— Dla własnych celów - wtrącił łagodnie Isozaki. - Jakie to cele, Anno?

Obracający się torus wprowadził biuro przewodniczącego w cień i czarne dotąd sklepienie eksplodowało tysiącami gwiazd. Cognani podniosła wzrok na Mleczną Drogę, żeby zyskać chwilę do namysłu.

— Tego nikt nie wie - odparła wreszcie. - Prawo Ohma.

— Właśnie. - Isozaki się uśmiechnął. - Jeżeli w tym przypadku podążymy po linii najmniejszego oporu, możemy trafić nie do Kościoła, lecz do Centrum.

— Radca Albedo spotyka się wyłącznie z Jego Świątobliwością i Lourdusamym - zauważyła Cognani.

— Przynajmniej my nie wiemy o nikim innym - poprawił ją przewodniczący. - Ale to kwestia ingerencji Centrum we wszechświat ludzi.

Cognani skinęła głową, rozumiejąc nie wypowiedzianą wprost sugestię: nielegalne SI, nad którymi pracował Mercantilus, mogłyby natrafić na infopłaszczyznę i podążyć nią do samego Centrum. Od blisko trzystu lat główne przykazanie, którego przestrzegania nieustępliwie pilnowały i Kościół, i Pax, brzmiało: „Nie będziesz tworzył maszyn, które myślą, a ludziom są równe lub ich przewyższają”. SI, nad którymi prowadzono w Paksie badania, były raczej „superinstrumentami” niż „sztucznymi inteligencjami” w takim sensie, jak zbudowane przez ludzkość przed blisko tysiącem lat maszyny; zaliczała się do nich zarówno debilna machina myśląca z biura Isozackiego, jak i głupawy komputer ze starego „Rafaela” ojca de Soi. Jednakże w ciągu ostatnich kilkunastu lat tajne działy badawcze Pax Mercantilus zrekonstruowały autonomiczne SI, które z pewnością dorównywały maszynom z czasów Hegemonii - a być może nawet były od nich lepsze. Zarówno ryzyko, jak i korzyści związane z tym projektem absolutnie nie dały się zmierzyć: w razie powodzenia Pax mógł liczyć na całkowite zdominowanie handlu i zachwianie odwiecznej wątej równowagi między Flotą i Mercantilusem; w razie odkrycia sprawy przez Kościół, urzędnicy Paxu mogli się spodziewać ekskomuniki, tortur w lochach Świętego Oficjum i rychłej egzekucji. A oto otwierały się dalsze możliwości.

Anna Pełli Cognani wstała.

— Mój Boże - rzekła. - Zapowiada się prawdziwy wyścig do linii końcowej.

Isozaki skinął głową i znów się uśmiechnął.

— Wie pani, skąd pochodzi to określenie, Anno?

— Z tą linią końcową? Nie... Pewnie z jakiegoś sportu.

— Z jednej z tych starożytnych dyscyplin sportowych, które stanowiły surogat walki zbrojnej. Z futbolu.

Cognani zdawała sobie sprawę, że ta uwaga pozornie nie na temat była jak najbardziej na miejscu; wiedziała, że prędzej czy później jej szef wyjaśni znaczenie tej informacji, więc pozostało jej cierpliwie czekać.

— Kościół miał coś, na czym Centrum zależało... Czego Centrum potrzebowało - powiedział Isozaki. - Okiełznanie mocy krzyżokształtu stanowiło dopełnienie warunków umowy, ale Kościół musiał w zamian zaoferować towar podobnej wartości.

Podobnej wartości, co nieśmiertelność miliardów ludzkich istot? zdziwiła się Cognani, po czym powiedziała głośno:

— Zawsze zakładałam, że gdy Lenar Hoyt i Lourdusamy skontaktowali się przed ponad dwustu laty z ocalałymi elementami Centrum, Kościołowi chodziło o to, by potajemnie doprowadzić do odrodzenia TechnoCentrum w znanym ludziom kosmosie.

— Ale po co, Anno? - Isozaki rozłożył ręce. - Jaka z tego korzyść dla Centrum?

— Kiedy TechnoCentrum stanowiło integralną część Hegemonii i nadzorowało działanie sieci transponderów i komunikatorów, wykorzystywało miliardy ludzkich mózgów jako potężną sieć neuronową, niezbędną do prowadzenia prac nad Najwyższym Intelpektem.

— To prawda - przyznał Isozaki. - Nie ma już jednak transponderów. Jak w takim razie Centrum wykorzystuje ludzi? I gdzie?

Anna Pełli Cognani na wpół świadomie podniosła rękę i wskazała na własną pierś.

Isozaki ponownie się uśmiechnął.

— Irytujące, nieprawdaż? Jak słowo, które mamy na końcu języka, a którego nie możemy znaleźć; jak brakujący element układanki. Tyle że właśnie znaleźliśmy taki brakujący klocek.

— Dziewczynka? - Cognani uniosła pytająco brwi.

— Wracą - odparł starszy przewodniczący. - Nasi agenci z otoczenia Lourdasamy'ego potwierdzają, że Centrum ujawniło Kościołowi ten fakt po śmierci Jego Świątobliwości. Na razie wie o tym Sekretarz Stanu, Wielki Inkwizytor i garstka najwyższych dowódców floty.

— Gdzie ona teraz jest?

Isozaki pokręcił głową.

— Jeśli nawet Centrum wie, gdzie jej szukać, na razie nie zdradziło tego ani Kościołowi, ani żadnej innej ludzkiej organizacji. Tym niemniej dowództwo Floty Paxu powołało z powrotem do służby tego kapitana, de Soyę.

— Centrum przepowiedziało, że będzie miał swój udział w pojmaniu dziecka - uzupełniła Cognani. W kącikach jej ust czaił się delikatny uśmiezek.

— Tak? - zagadnął Isozaki, dumny ze swej uczennicy.

— Prawo Ohma.

— Dokładnie.

Kobieta znów nieświadomie dotknęła swojego krzyżokształtu.

— Jeżeli pierwsi znajdziemy dziewczynkę, zyskamy atut, który pozwoli nam nawiązać rozmowy z Centrum. Będziemy też mieli odpowiednie środki, biorąc pod uwagę nasze nowe projekty. - Żaden z przewodniczących, którzy wiedzieli o tajnym projekcie SI, nigdy nie wypowiadał jego nazwy na głos, nawet w idealnie zabezpieczonych biurach. - A jeśli w naszych rękach znajdą się i dziewczynka, i środki do prowadzenia negocjacji, być może będziemy w stanie zastąpić Kościół na stanowisku strony reprezentującej ludzkość w umowie z TechnoCentrum.

— Pod warunkiem, że dowiemy się, co takiego zyskuje Centrum w zamian za kontrolę nad krzyżokształtem - mruknął Isozaki. - I przebijemy ofertę Kościoła.

Cognani skinęła głową z roztargnieniem; dostrzegając teraz, jak rozwój wydarzeń zbiega się z jej wysiłkami jako przewodniczącej Opus Dei. I to pod każdym względem, dodała w duchu.

— Tymczasem musimy znaleźć dziewczynkę, zanim zrobią to inni...
- powiedziała. - Flota Paxu wykorzysta zapewne siły i środki, jakich nigdy nie ujawniła Watykanowi.

— I vice versa - przytaknął Isozaki, ucieszony perspektywą takiego współzawodnictwa.

— Nie pozostaje nam nic innego, jak pójść w ich ślady - Cognani odwróciła się w stronę windy. Uśmiechnęła się przez ramię. - Musimy uruchomić wszystkie środki. Czyżby rozpoczynała się ostateczna gra dla trojga? Rozgrywka o sumie zerowej, Kenzosan?

— W rzeczy samej. Zwycięzca bierze wszystko: władzę, nieśmiertelność i bogactwo, które przekracza wszelkie wyobrażenie. Przegranego czeka unicestwienie i prawdziwa śmierć, a jego potomków wieczna niewola. - Isozaki podniósł dłoń z wyprostowanym palcem. — Ale to nie jest gra dla trojga, Anno. Graczy będzie sześciu.

Cognani przystanęła przy drzwiach windy.

— Czwartego już widzę - przyznała. - Centrum ma własne powody, by przechwycić dziewczynkę. Ale...

Isozaki opuścił rękę.

— Musimy przecież założyć, że dzieciak ma własne plany, prawda? A ten, kto wprowadził go do gry... Cóż, oto nasz szósty gracz.

— Albo jeden z pozostałej piątki - zaproponowała z uśmiechem jego rozmówcy. Ją również cieszyła perspektywa gry o wysoką stawkę.

Isozaki skinął głową i okręcił się w fotelu, by obejrzeć następny wschód słońca ponad zakrzywioną powierzchnią Torus Mercantilus. Nie odwrócił się, gdy za Anną Pełli Cognani zamknęły się drzwi windy.

Ponad ołtarzem Jezus Chrystus o srogim obliczu dzielił ludzi na dobrych i złych, na nagrodzonych i potępionych. Nie było trzeciej

grupy.

Kardynał Lourdusamy siedział w swojej opatrzonej zasłoną stali w Kaplicy Sykstyńskiej i podziwiał „Sąd ostateczny” Michała Anioła; zawsze uważał tego Chrystusa za arogancką, autorytarną, bezlitosną postać; kto wie, czy nie taki właśnie wizerunek najlepiej nadawał się na nadzorcę wyborów nowego Namiestnika Chrystusowego.

W maleńkiej kaplicy z trudem mieściły się stłoczone osiemdziesiąt trzy stalle, w których zasiadało tyluż kardynałów obecnych ciałem i duchem podczas konklawe. Niewielką wolną przestrzeń przeznaczono na aktywację wyświetlanych pojedynczo hologramów brakujących trzydziestu siedmiu dostojników.

Był pierwszy ranek zgromadzenia kardynałów w Pałacu Watykańskim. Lourdusamy spał dobrze i zjadł suto śniadanie, choć za łóżko służyła mu leżanka w biurze, a przygotowany przez siostry z watykańskiego hoteliku posiłek nie był szczególnie wyszukany; w oszłamiających Apartamentach Borgiów podano proste jedzenie i białe wino. Później wszyscy zebrali się w Kaplicy Sykstyńskiej na tronach, przy podniesionych ozdobnych zasłonach stali. Lourdusamy wiedział, że konklawe przez kilkaset lat nie wyglądało tak wspaniale - od czasów, gdy liczba jego uczestników stała się zbyt wielka, by pomieścić stalle w niewielkiej kaplicy, co nastąpiło, jeśli dobrze pamiętał, jeszcze przed Hegirą, w jakimś dziewiętnastym czy dwudziestym wieku. Jednakże podczas Upadku Kościoła skurczył się na tyle, że stary zwyczaj można było spokojnie przywrócić - niespełna pięćdziesięciu kardynałów bez trudu znajdowało sobie miejsce. Papież Juliusz pilnował, by liczba elektorów nie wzrosła nadmiernie, toteż mimo rozrostu Paxu nigdy nie przekroczyła stu dwudziestu osób. Kiedy w dodatku blisko czterdziestu z nich nie mogło przybyć na czas na konklawe, w Kaplicy Sykstyńskiej bez trudu mieściły się trony rezydentów Pacem.

Wielka chwila nadeszła. Wszyscy kardynałowie-elektorzy wstali, a obok stołu Skrutatorów, nieopodal ołtarza, zamigotały holograficzne obrazy trzydziestu siedmiu nieobecnych. Ponieważ miejsce było skromne, same hologramy również nie wyglądały zbyt okazale: ludzkie postaci wielkości lalek, w miniaturowych stallach, unosiły się w powietrzu niczym duchy z przeszłości konklawe. Lourdusamy uśmiechnął się; zawsze bawiła go myśl o tym, jak dobrze pomniejszone rozmiary nieobecnych elektorów pasują do ich rzeczywistej sytuacji.

Papieża Juliusza nieodmiennie wybierano przez aklamację. Teraz też jeden z trzech kardynałów pełniących funkcję Skrutatorów podniósł rękę: nawet jeśli Duch Święty był gotów natchnąć wszystkich zgromadzonych, pewna doza koordynacji była niezbędna. Na dany znak wszystkie sto dwadzieścia osób miało przemówić jednym głosem.

— Eligo Lenar Hoyt! - wykrzyknął Lourdusamy, patrząc jak kardynał Mustafa wypowiada w swej stalli te same słowa.

Stojący przed ołtarzem Skrutator zawahał się; okrzyk zabrzmiał donośnie i wyraźnie, z pewnością jednak zabrakło w nim jednomyślności. Na liczącej dwieście siedemdziesiąt lat tradycji aklamacji pojawiła się pierwsza zmarszczka.

Lourdusamy pilnował, żeby się nie rozglądać ani nie uśmiechać. Wiedział, którzy z młodszych kardynałów nie wypowiedzieli imienia papieża Juliusza; wiedział, ile pieniędzy wymagało przekupienie tych mężczyzn i kobiet; wiedział też, ile ryzykują i że niemal na pewno poniosą surową karę. Wiedział to wszystko, gdyż sam pomógł zaaranżować całą sytuację.

Po krótkiej naradzie przewodniczący Skrutatorów ponownie zabrał głos:

— Będziemy zatem wybierać.

Przygotowaniom towarzyszyły gorączkowe rozmowy podekscytowanych kardynałów. Wreszcie rozdano karty do

głosowania; za życia większości zgromadzonych w kaplicy książąt Kościoła nigdy jeszcze nie doszło do takiej sytuacji. Holograficzne wizerunki nieobecnych natychmiast straciły na znaczeniu - tylko nieliczni bowiem zaprogramowali swoje chipy tak, by w razie potrzeby móc uczestniczyć w tajnym głosowaniu; większość nie brała takiej możliwości pod uwagę.

Mistrzowie Ceremonii przeszli wzdłuż stali i rozdali zgromadzonym po trzy kartki. Następnie Skrutatorzy upewnili się, że każdy z kardynałów ma pióro. Kiedy wszystko było gotowe, stojący na czele trójki Skrutatorów Naczelny Diakon znów podniósł rękę, dając sygnał do głosowania.

Lourdusamy spojrział na swoją kartę. W lewym górnym rogu wydrukowano słowa „Eligo in Summum Pontificem”, poniżej zaś znajdowało się miejsce na jedno nazwisko. Simon Augustino kardynał Lourdusamy wpisał „Lenar Hoyt”, złożył kartkę na pół i podniósł ją do góry, tak by wszyscy mogli ją widzieć. Po niespełna minucie wszyscy zebrani poszli w jego ślady, podobnie jak kilka holograficznych obrazów.

Skrutator zaczął wywoływać kardynałów kolejno, w porządku zajmowanych stanowisk. Pierwszy ze swej stali wstał Lourdusamy. Podszedł do stołu Skrutatorów, ustawionym tuż pod freskiem przedstawiającym nieubłaganego Chrystusa. Kardynał ukląkł przed ołtarzem na oba kolana i pochylił głowę w modlitwie. Po chwili wstał i rzekł na głos:

— Wzywam na świadka Chrystusa, Pana Naszego, który będzie moim sędzią, że głos swój oddaję na tego, który przed Bogiem powinien zostać wybrany.

Uroczystym gestem złożył kartę na srebrnej tacy, spoczywającej na urnie wyborczej, po czym podniósł tacę i pozwolił, by kartka spadła do

środku. Naczelny Diakon skinął głową, a Lourdusamy skłonił się przed ołtarzem i wrócił na miejsce.

Kardynał Mustafa, Wielki Inkwizytor, majestatycznym krokiem podążył ku ołtarzowi, by oddać głos.

Upłynęła ponad godzina, zanim zgromadzono wszystkie głosy. Pierwszy ze Skrutatorów potrząsnął urną, żeby wymieszać kartki; drugi je przeliczył, uwzględniając także sześć kart skopiowanych z interaktywnych hologramów, i jedną po drugiej przełożył do drugiej urny: liczba kart zgadzała się z liczbą uczestników konklawe. Procedura mogła zatem być kontynuowana.

Pierwszy Skrutator rozłożył kartę, spisał podane na niej nazwisko i przekazał ją drugiemu przedstawicielowi komisji. Ten również coś sobie zapisał, po czym podał ją do trzeciego ze Skrutatorów, kardynała Couesnongle, który przed odnotowaniem nazwiska odczytał je na głos.

Każdy z kardynałów w stallach zapisywał nazwisko na tabliczce dostarczonego przez Skrutatorów rejestratora. Na zakończenie konklawe pliki nagrywarek miały zostać skasowane, tak by po oddanych głosach nie pozostał żaden ślad. Głosowanie trwało. Lourdusamy'ego, podobnie jak większość zgromadzonych w kaplicy kardynałów, interesowało tylko to, czy kardynałowie, którzy wyłamali się z szeregów konklawe podczas aklamacji, wprowadzą do gry jakieś nowe nazwisko.

Po odczytaniu każdej z kart Skrutator nawlekał ją na nić, wbijając igłę w słowo „Eligo”, a kiedy nawleczono już wszystkie kartki, na końcach nici zawiązał węzełki.

Do kaplicy wezwano zwycięskiego kandydata, który, stojąc przed ołtarzem w prostej, czarnej sutannie, sprawiał wrażenie pokornego i przytłoczonego wspaniałością ceremonii.

Naczelny Diakon stanął przed nim.

— Czy przyjmujesz nasz zgodny z prawem wybór na Namiestnika Chrystusowego?

— Tak, przyjmuję.

Wniesiono dodatkową stalle i ustawiono ją za plecami kapłana. Naczelny Diakon wznosił dłonie w górę, intonując śpiewnie:

— Nasze zgromadzenie, akceptując twój wybór w obliczu Boga Wszechmogącego, uznaje w tobie Biskupa Kościoła Rzymskiego, prawdziwego papieża i zwierzchnika Kolegium Biskupów. Niech Bóg będzie z tobą, albowiem On to daje ci pełną władzę na Kościołem Jezusa Chrystusa.

— Amen - odparł kardynał Lourdusamy i pociągnięciem sznurka spuścił zasłonę stalli. Wszystkie osiemdziesiąt trzy materialne i trzydzieści siedem holograficznych tronów zostało zasłoniętych w tym samym momencie, tylko stalla nowego papieża pozostała odkryta.

— Jakie imię przybierzesz jako papież? - spytał Naczelny Diakon.

— Urbana XVI - odparł siedzący w stalli kapłan, a teraz już papież.

Ze stalli kardynałów dobiegły stłumione pomruki. Naczelny Diakon podał kapłanowi rękę i wraz z resztą Skrutatorów wyprowadził Ojca Świętego z kaplicy. Pomruki i szepty stawały się coraz głośniejsze.

Kardynał Mustafa wychylił się ze swej stalli, by szepnąć do Lourdusamy'ego:

— Chyba wzorował się na Urbanie II; Urban XV panował w dwudziestym dziewiątym wieku i był małym, żalonym tchórzem, który ograniczał się do czytania powieści kryminalnych i pisania listów miłosnych do swej dawnej kochanki.

— Urban II - zamyślił się Lourdusamy. - Ależ oczywiście.

Minęło kilka minut i Skrutatorzy wrócili do Kaplicy Sykstyńskiej w towarzystwie odzianego na biało papieża: w białej sutannie, białej zuchetto, czyli piusce, przepasanego szeroką szarfą, z pektorałem na

szyi. Lourdusamy ukląkł na kamiennej posadzce kaplicy; podobnie uczynili wszyscy zebrani kardynałowie, prawdziwi i holograficzni, a nowy Ojciec Święty udzielił im swego pierwszego błogosławieństwa.

Następnie Skrutatorzy w towarzystwie kardynałów udali się do pieca, gdzie spalono wszystkie nawleczone na czarną nić karty, dodając odpowiednią ilość blanco, by sfumata rzeczywiście oznaczało biały dym.

Później kardynałowie opuścili kaplicę i udali się do bazyliki. Najwyższy Diakon zaś sam wyszedł na balkon, by ogłosić imię nowego papieża tłumom zgromadzonym na placu Świętego Piotra.

Pośród pięciuset tysięcy ludzi, stłoczonych tego ranka na placu i w jego najbliższym sąsiedztwie, znajdował się także ojciec kapitan Federico de Soya, przed kilkoma zaledwie godzinami uwolniony z więzienia w refektarzu Legionistów Chrystusowych. Po południu miał się zameldować w porcie kosmicznym Floty Paxu, skąd prom zabrałby go na pokład nowego statku. Przechadzając się po Watykanie zwrócił uwagę na przewalający się wszędzie tłum i dał mu się ponieść; mężczyźni, kobiety i dzieci wielką rzeką płynęli wprost na plac Świętego Piotra.

Na widok pierwszych kłębow białego dymu na placu wybuchła ogromna radość. Niemilosierny tłum poniżej papieskiego balkonu musiał zgęstnieć jeszcze bardziej, kiedy kolejne dziesiątki tysięcy ludzi wypłynęły spod kolumnady i wyminęły grupę posągów. Kilkuset żołnierzy Gwardii Szwajcarskiej starało się utrzymać tłum z dala od wejścia do bazyliki i prywatnych apartamentów.

Kiedy na balkonie pojawił się Naczelnny Diakon i ogłosił, że nowym papieżem został Jego Świątobliwość Urban XVI, z tłumy dobiegł zbiorowy okrzyk zaskoczenia. De Soya również był wstrząśnięty; wszyscy oczekiwali Juliusza XV, to, że ktoś inny mógłby zostać papieżem, było... nie do pomyślenia.

Kiedy jednak na balkon wyszedł nowy Ojciec Święty, wiwatom nie było końca.

Był nim papież Juliusz - wszyscy rozpoznali znajomą twarz, wysokie czoło, smutne oczy; ojciec Lenar Hoyt, zbawca Kościoła, został ponownie wybrany na namiestnika Stolicy Apostolskiej. Podniósł dłoń w znajomym geście błogosławieństwa i czekał, aż tłum się uciszy, żeby mógł przemówić. Na próżno jednak: płynący z tysięcy gardeł ryk ani myślał osłabnąć.

Dlaczego Urban XVI? zastanawiał się ojciec kapitan de Soya. W służbie u jezuitów wystarczająco dobrze poznał historię Kościoła, żeby teraz przerzucić w myślach kartki odnoszące się do poprzednich papieży o tym imieniu... Większość z nich niewarta była nawet wzmianki. Dlaczego więc...

— Niech to diabli - rzekł de Soya głośno, ale łagodne przekleństwo zginęło w nieustającym harmidrze wypełniającym plac Świętego Piotra. - Niech to diabli.

Zanim jeszcze tłum uciszył się na tyle, by nowy-stary papież mógł przemówić, wyjaśnić wybór imienia i ogłosić to, co nieuniknione, ojciec kapitan zrozumiał wszystko. Zrozumiał - i serce w nim zamarło.

Urban II zasiadał na Piotrowym Tronie w latach 1088-1099 A.D. Na synodzie zwołanym w Clermont w... bodaj listopadzie 1095 roku, jeśli de Soya się nie mylił.. Urban II wezwał do świętej wojny przeciw panoszącym się na Bliskim Wschodzie muzułmanom, do przyścia na ratunek Bizancjum i do wyzwolenia wszystkich świętych miejsc chrześcijaństwa spod władzy islamu. Wezwanie to doprowadziło do pierwszej krucjaty... pierwszej z wielu krwawych kampanii.

Wreszcie nieprzebrane ludzkie mrowie ucichło, a papież Urban XVI zaczął mówić: znajomy, ale rozbrzmiewający z nową energią głos wznosił się i opadał ponad głowami pół miliona wiernych słuchających

go osobiście i docierał do miliardów śledzących transmisję na żywo w domach.

Ojciec kapitan odwrócił się i zaczął przepychać przez tłum, jeszcze zanim papież zaczął mówić. Rozpychał się i rozdawał kuksańce łokciami na prawo i lewo, byle wydostać się z placu Świętego Piotra, który nagle upodobił się klaustrofobicznego więzienia. Jednakże jego próby spełzły na niczym; zatonął w rozradowanej masie ludzkiej. Słowa nowego Ojca Świętego również były radosne i pełne uniesienia. Niezdolny do ucieczki De Soya zatrzymał się i schylił głowę. Kiedy tłum zaczął wykrzykiwać radosne Deus le volt - Bóg tak chce - ojciec kapitan zapłakał.

Krucjata. Chwała. Ostateczne rozwiązanie problemu Intruzów. Śmierć i unicestwienie, przekraczające wszelką wyobraźnię. Ojciec kapitan de Soya zacisnął powieki ze wszystkich sił, ale wciąż miał przed oczami wizje strumieni energii przecinających czerń kosmosu; widział całe planety w ogniu, oceany zamieniające się w parę, kontynenty spływające rzekami rozpalonej lawy, orbitalne lasy wybuchające kłębamii dymu i ognia, zwęglone ciała koziołkujące powoli w nieważkości, ciała delikatnych, skrzydlatych istot, zmieniające się w popiół...

De Soya łkał, gdy miliardy szalały z radości.

4

Wiedziałem z doświadczenia, że najgorsze dla człowieka są nocne odjazdy i pożegnania.

Wojsko specjalizowało się w rozpoczynaniu najpoważniejszych operacji w samym środku nocy. Służąc w hyperiońskiej Straży Planetarnej doszedłem do wniosku, że wszystkie istotne przegrupowania wojsk muszą się rozpoczynać niedługo po północy; nauczyłem się kojarzyć tę niezwykłą mieszankę strachu i podniecenia, lęku i wyczekiwania z ciemnością przedświtów i swoistą wonią późnej pory. Enea w swoim wystąpieniu przed członkami Wspólnoty zapowiedziała, że wyruszę tej samej nocy, ale załadowanie kajaka, spakowanie sprzętu, zamknięcie namiotu, zwinięcie warsztatu w obozie i podjęcie decyzji, których rzeczy mam już nigdy nie oglądać, zajęło mi sporo czasu, toteż dopiero około drugiej nad ranem wzbiliśmy się w powietrze na pokładzie lądownika. Do miejsca przeznaczenia dotarliśmy na krótko przed świtem.

Muszę przyznać, że po oświadczeniu dziewczynki poczułem się lekceważony i pomiatany. Przez cztery spędzone w Taliesinie lata ludzie często przychodzili do niej po radę i wsparcie, ze mną jednak było inaczej. Miałem trzydzieści dwa lata, czyli dwa razy więcej niż ona, i to ja miałem się nią opiekować, chronić ją, a gdyby okazało się to konieczne, mówić jej, co i kiedy ma robić. Nagły zwrot biegu wydarzeń wcale, ale to wcale mi się nie podobał.

Zakładałem, że A. Bettik poleci z nami do miejsca, w którym miałem spuścić kajak na wodę, Enea stwierdziła jednak, że android zostanie w obozie. W ten sposób straciłem kolejne dwadzieścia minut, żeby go odszukać i się pożegnać.

— M. Enea twierdzi, że spotkamy się jeszcze, gdy nadejdzie czas - rzekł niebieski mężczyzna. - Jestem zatem pewien, że tak się stanie, M.

Endymion.

— Raul - poprawiłem go po raz pięćsetny. - Mów mi Raul.

— Ależ oczywiście - odrzekł A. Bettik z tym swoim uśmiechem, który sugerował, że bynajmniej nie zamierza mi się podporządkować.

— Chrzanię to - powiedziałem i błysnąwszy w ten sposób elokwencją wyciągnąłem rękę do pożegnania. A. Bettik podał mi swoją. Chciałem objąć naszego starego towarzysza podróży, wiedziałem jednak, że poczulby się tym zakłopotany. Androidy nie zostały w dosłownym sensie zaprogramowane do roli wiecznie opanowanych służących - nie były w końcu maszynami, lecz żywymi, organicznymi istotami - lecz wskutek oddziaływania wszczepionego RNA i drugiej praktyki ich zachowanie stawało się beznadziejnie sformalizowane. Tak przynajmniej było w tym przypadku.

Zebrałiśmy się z Enea do drogi. Najpierw wyprowadziliśmy lądownik z hangaru na pustynię, a później cichaczem odlecieliśmy, starając się nie czynić nadmiernego hałasu. Pożegnałem się ze wszystkimi pracownikami i studentami z Taliesina, na których się natknąłem, ale było późno i ludzie pochowali się już w budynkach mieszkalnych, namiotach i schronach. Miałem nadzieję, że niektórych z nich jeszcze kiedyś zobaczę - zwłaszcza mężczyzn i kobiety z ekipy budowlanej, z którymi przepracowałem cztery lata - ale tak naprawdę nie bardzo w to wierzyłem.

Lądownik mógł zawieźć nas tam, gdzie podążaliśmy - Enea podała mu odpowiednie koordynaty - ale nastawiłem go na sterowanie półautomatyczne, żeby móc udawać, że mam coś do roboty podczas lotu. Po współrzędnych poznałem, że mamy do przebycia jakieś tysiąc pięćset kilometrów; Enea mówiła, że udajemy się gdzieś nad Missisipi. W podróży podorbitalnej pokonanie tego dystansu zajęłoby nam dziesięć minut, mając jednak na uwadze kurczące się zapasy paliwa i energii, rozpostarłszy skrzydła na maksymalną rozpiętość

utrzymywaliśmy prędkość poddźwiękową, wysokość na wygodnym poziomie dziesięciu tysięcy metrów i unikaliśmy ponownego morfowania maszyny aż do momentu lądowania. Personie statku konsula - którą już dawno przeniosłem z komlogu do rdzenia SI w lądowniku — przykazaliśmy milczeć, dopóki nie będzie nam miała czegoś ważnego do zakomunikowania, po czym rozsiedliśmy się wygodnie w rozjaśnionej czerwoną poświatą przyrządów kabinie, żeby porozmawiać i popatrzeć na przesuwały się pod nami, skryty w mroku kontynent.

— Po co ten pośpiech, maleńka? - zapytałem wreszcie.

Enea odpowiedziała mi tym na wpół świadomym, odsuwającym gestem, który zaobserwowałem przed blisko pięcioma laty.

— Wydawało mi się, że to ważne, żeby coś się zaczęło dziać - odparła cichym, prawie bezosobowym głosem, pozbawionym zwykłego ożywienia, które pozwalało jej przekonywać całą Wspólnotę do jej pomysłów. Byłem najprawdopodobniej jedyną żywą istotą, która potrafiłaby tak zinterpretować ten ton, ale wszystko wskazywało na to, że jest bliska łez.

— To nie mogło być aż tak ważne - sprzeciwiłem się. - Żeby kazać mi się zbierać i odesłać mnie w środku nocy...

Enea pokręciła głową i wyjrzała przez przednią szybę statku. Zdałem sobie sprawę, że płacze. Kiedy w końcu odwróciła się do mnie, w poświacie emanującej z tarcz instrumentów jej oczy wyglądały na bardzo wilgotne i zaczerwienione.

— Jeżeli nie odejdziesz tej nocy, nie wytrzymam i poproszę cię, żebyś został - powiedziała. - Jeśli zostaniesz, nie będę umiała opuścić Ziemi... Nigdy już nie wrócę do Sieci.

Bardzo chciałem wziąć ją za rękę, ale nie ruszyłem wielkiego łapska z omnikontrolera.

— Posłuchaj - zacząłem - przecież możemy wrócić razem. Nie ma sensu, żebym ja wybierał się w jedno miejsce, a ty zupełnie gdzie indziej.

— To właśnie ma sens - odparła tak cicho, że musiałem wychylić się z fotela, żeby ją usłyszeć.

— A. Bettik mógłby sprowadzić statek - zauważyłem. - A my zostalibyśmy na Ziemi do czasu, aż będziemy gotowi wrócić...

Pokręciła głową.

— Nigdy nie będę gotowa do powrotu, Raul. Sama myśl o tym śmiertelnie mnie przeraża.

Przypomniałem sobie szaleńczy wyścig, w którym umknęliśmy przed Paxem z Hyperiona, z trudem uniknęliśmy ognia ich liniowców i myśliwców, spotkania z marines, Gwardią Szwajcarską i Bóg wie kim jeszcze - miałem na myśli między innymi tę sukę z piekła rodem, która omal nie zlikwidowała nas na Bożej Kniei.

— Rozumiem cię, mała - powiedziałem. - Może powinniśmy zostać na Ziemi. Tu nas nie dosięgną.

Enea spojrzała na mnie. Na jej twarzy rozpoznałem coś innego niż zwykły upór: znak końca wszelkich dyskusji w sprawie, której nie można było już zmienić.

— No dobrze - zgodziłem się. - Nadal jednak nie usłyszałem, dlaczego A. Bettik nie może popłynąć kajakiem na poszukiwanie statku. Ja wróciłbym z tobą do Sieci.

— Owszem, usłyszałeś. Tylko nie chciałeś słuchać - przesunęła się w bok na ogromnym fotelu. - Raul, jeśli opuścisz Ziemię i umówimy się na spotkanie w określonym miejscu w kosmosie Paxu, będę musiała przejść przez transponder i zrobić to, co do mnie należy. A muszę to zrobić sama.

— Eneo - przerwałem jej.

— Słucham?

— To grupie. Wiesz o tym?

Moja szesnastolatka nie odpowiedziała. W dole, po lewej, czyli gdzieś w zachodnim Kansas, pojawił się krąg ognisk. Wyjrzałem przez okno.

— Nie wiesz przypadkiem, jaki eksperyment prowadzą tam twoi obcy przyjaciele? - zagadnąłem.

— Nie. Poza tym to nie są moi obcy przyjaciele.

— To znaczy nie są obcy? Czy nie są przyjaciółmi?

— Ani jedno, ani drugie - odrzekła, a ja zdałem sobie sprawę, że oto usłyszałem najbardziej konkretną odpowiedź, odnoszącą się do podobnych bogom intelektów, które uprowadziły Starą Ziemię - a wraz z nią i nas; ja przynajmniej nie mogłem się czasem oprzeć wrażeniu, że zostaliśmy przegonieni przez transmitery niczym bydło po szlaku.

— Nie zechciałabyś powiedzieć czegoś więcej o tych nieobcych nieprzyjaciółach? - dopytywałem się. - Przecież jak coś pójdzie nie tak... to mogę nie doczekać naszego przyszłego rendez-vous. Chciałbym więc przed odejściem poznać sekret naszych gospodarzy.

Natychmiast pożałowałem tych słów; Enea szarpnęła się w tył, jakbym ją spoliczkował.

— Przepraszam, maleńka - powiedziałem i tym razem ująłem jej delikatną dłoń w swoją. - Nie chciałem tego powiedzieć. Po prostu się złościę.

Kiwnęła głową, a w jej oczach znów zalśniły łzy.

W duchu jeszcze raz kopnąłem się w tyłek.

— Wszyscy we Wspólnocie byli przekonani, że obcy są dobrymi, boskimi istotami - ciągnąłem. - Ludzie mówili o lwach, tygrysach i niedźwiedziach, a myśleli o Jezusie, Jahwe i E.T. z tego starego, płaskiego filmu, który widzieliśmy u pana W. Wydawało im się, że kiedy przyjdzie czas, żeby zwinąć interes, obcy zjawią się i zabiorą nas

do Sieci na pokładzie wielkiego statku kosmicznego. Bez ryzyka, bez bałaganu, bez problemów.

Enea odpowiedziała mi uśmiechem, chociaż oczy wciąż miała załzawione.

— Ludzie czekali, aż Jezus, Jahwe i E.T. ocalą im tyłek od czasu, gdy udało im się przykryć ten tyłek skórą niedźwiedzia i wyjść z jaskini - powiedziała. - I będą musieli jeszcze poczekać. To nasza sprawa... nasza walka... sami musimy się z tym zmagać.

— Czy mówiąc „my” masz na myśli siebie, mnie i A. Bettika? A przeciwko nam jakieś osiemset miliardów ponownie narodzonych wiernych?

Uczyniła znajomy gest dłonią.

— Tak - przyznała. - Na razie.

Kiedy przybyliśmy na miejsce, nie dość, że wciąż panował mrok, to jeszcze zaczęło padać: lodowaty, zmieszany ze śniegiem deszcz, jakiego można się spodziewać przy końcu jesieni. Missisipi była ogromną rzeką, jedną z największych na Starej Ziemi. Lądownik zatoczył nad nią koło, po czym wylądował w mieście na zachodnim brzegu. Wszystko to śledziłem na ekranie, w dużym zbliżeniu; za ociekającą wodą oknem panowała smolista czerń.

Przelecieliśmy nad wysokim, porośniętym nagimi drzewami wzgórzem, przecięliśmy pustą drogę, która wąskim mostem przeskakiwała na drugi brzeg Missisipi i posadziliśmy statek na odkrytym kawałku utwardzonego gruntu, pięćdziesiąt metrów od rzeki. W tym miejscu miasteczko cofało się w głąb wciśniętej między zalesione wzgórza doliny; widziałem na ekranie małe, drewniane chaty, nieco większe magazyny z cegły i parę wysokich konstrukcji nad brzegiem rzeki, które mogły być silosami na zboże - w tej części Ziemi podobne budowle cieszyły się sporą popularnością w dziewiętnastym, dwudziestym i dwudziestym pierwszym stuleciu. Nie miałem pojęcia,

jakim cudem miasteczko ocalało z trzęsień ziemi i pożarów w czasie Kłopotów albo po co lwy, tygrysy i niedźwiedzie postanowiły je odbudować, jeżeli nie przetrwało. Na wąskich ulicach nie widziałem ani śladu ludzi; w podczerwieni nie rysowały się żadne źródła ciepła: ani istoty żywe, ani samochody z przegrzewającymi się silnikami wewnętrznego spalania... Chociaż, z drugiej strony, mieliśmy pół do piątej, a noc była zimna i deszczowa; nikt, kto miał choćby ociupinę zdrowego rozsądku, nie kręciłby się w taką pogodę po mieście.

Narzuciliśmy poncha, a ja wziąłem do ręki mały plecak.

— No to na razie, statku - rzekłem. - Nie rób nic, czego ja sam bym nie zrobił. — Po morfowanych z kadłuba schodach zesliśmy wprost w deszczowy przedświt.

Enea pomogła mi wyciągnąć kajak z ładowni i po śliskim braku ruszyliśmy ku rzece. Podczas naszej ostatniej wodnej przygody miałem ze sobą gogle noktowizyjne, kilka sztuk rozmaitej broni i tratwę, wyposażoną w parę przydatnych gadżetów. Tym razem musiała mi wystarczyć laserowa latarka, jedyna pamiątka z wyprawy, która zakończyła się na Ziemi - nastawiona na najśłabszą, oszczędną wiązkę wystarczała, by oświetlić drogę na dwa metry przede mną - spakowany do plecaka nóż myśliwski, kilka kanapek i garść suszonych owoców. Byłem gotów stawić czoło Paxowi.

— Co to za miejsce? - zapytałem.

— Hannibal - odparła Enea. Sporo wysiłku kosztowało ją utrzymanie śliskiego kajaka, kiedy potykając się, szliśmy w dół ulicy. Musiałem wetknąć sobie latarkę między zęby, żeby oburącz chwycić rufę idiotycznej łódeczki. Kiedy ulica przeszła w rampę ładunkową, kończącą się we wzburzonym nurcie Missisipi, położyłem kajak na ziemi, wyjąłem laser z ust i powiedziałem:

— St. Petersburg.

Spędziłem setki godzin w bogato zaopatrzonej bibliotece drukowanych książek w Taliesinie.

W odbitym blasku latarki widziałem, że Enea odpowiedziała mi skinieniem głowy.

— To wariactwo - rzekłem i skierowałem promień światła na pustą ulicę, poświeciłem po ścianach magazynów, omiotłem smugą rzekę. Przerazała mnie gwałtowność nurtu; sama myśl o tym, żeby wypuścić się tu na wodę, była głęboko chora.

— Tak - przyznała Enea. - Wariactwo.

Zimne krople bębniły o kaptur jej poncha. Obszedłem kajak dookoła i złapałem ją pod ramię.

— Przecież widzisz przyszłość - powiedziałem. - Kiedy się znów spotkamy?

Nie podniosła głowy, tak że ledwie dostrzegłem błysk rozproszonego światła na jej bladym policzku. W ręce, którą trzymałem przez rękaw poncha, było tyle samo życia, co w uschniętym konarze drzewa. Enea powiedziała coś, ale grzmot wody i łoskot deszczu zagłuszyły jej słowa.

— Co mówisz? - spytałem.

— Powiedziałam, że nie widzę przyszłości. Ja tylko pamiętam niektóre jej fragmenty.

— A co to za różnica?

Westchnęła i zbliżyła się o krok. Para z naszych oddechów mieszała się w lodowatym powietrzu. Poczułem, jak w żyłach wzbiera mi fala adrenaliny, wywołana nerwami, strachem i wyczekiwaniem.

— Różnica jest taka, że widzi się wszystko wyraźnie, a pamięta... to coś zupełnie innego.

Pokręciłem głową; deszcz zalewał mi oczy.

— Nie rozumiem.

— Pamiętasz przyjęcie urodzinowe Bets Kimbal, Raul? To, kiedy Jaev grał na fortepianie, a Kikki spała się do nieprzytomności.

— Jasne. - Prowadzenie dyskusji w samym środku nocy, przy padającym deszczu i w pół pożegnania zaczynało mnie drażnić.

— Kiedy to było?

— Słucham?

— Kiedy to było? - powtórzyła. Za naszymi plecami Missisipi przelewała się z ciemności w ciemność z prędkością pociągu pędzącego na poduszce magnetycznej.

— W kwietniu - stwierdziłem. - Może na początku maja.

Stojąca przede mną zakapturzona postać skinęła głową.

— A jak był ubrany pan Wright?

Nigdy nie czułem, że mam ochotę krzyknąć na Eneę czy sprawić jej lanie. To znaczy - nigdy dotąd.

— A skąd niby mam wiedzieć? Dlaczego miałbym to pamiętać?

— Spróbuj sobie przypomnieć.

Wypuściłem powietrze z płuc i popatrzyłem po niknących w mroku wzgórzach.

— Nie wiem, do cholery... Chociaż... Miał na sobie ten szary, wełniany garnitur. No pewnie, pamiętam, jak stał przy fortepianie: szary garnitur z dużymi guzikami.

Enea znów kiwnęła głową.

— Przyjęcie u Bets odbyło się w połowie marca - powiedziała głośno, przekrzykując dudnienie deszczu na naszych kapturach. - A pan Wright nie przyszedł, bo był przeziębiony.

— Co z tego? - zapytałem, dokładnie wiedząc, o co jej chodzi.

— Ja pamiętam fragmenty przyszłości - powtórzyła łamiącym się głosem, jakby zaraz miała się rozplakać. - I boję się tym wspomnieniom zaufać. Jeżeli teraz powiem kiedy się spotkamy, może być tak, jak z tym szarym garniturem pana Wrighta.

Przez jedną bardzo długą minutę nic nie mówiłem; krople stukwały o kaptury niczym drobne piąstki o zatrzaśnięte wieka trumien.

— Rozumiem - powiedziałem wreszcie.

Enea zrobiła jeszcze dwa kroki i objęła mnie. Poncha zaszeleściły. Poczułem napięte mięśnie jej pleców i miękkość piersi, kiedy niezdarnie próbowaliśmy się przytulić.

Cofnęła się.

— Dasz mi na chwilę latarkę?

Dałem. Enea odsunęła nylonowy fartuch rozciągnięty nad maleńkim kokpitem kajaka i poświeciła na wąską, wypolerowaną do połysku drewnianą listwę, ukrytą pod warstwą szklanego włókna. W deszczu zaśnił czerwony przycisk, ukryty pod przezroczystą szybką.

— Widzisz? - zapytała.

— Widzę.

— Nie dotykaj go. Czego byś nie robił, nie dotykaj tego guzika.

Parsknąłem śmiechem. Pośród książek, które przeczytałem w Taliesinie, znalazły się też sztuki absurdałne, takie jak „Czekając na Godota”. Miałem wrażenie, że znaleźliśmy się w takiej właśnie absurdałnej, surrealistycznej krainie.

— Mówię poważnie - rzekła Enea.

— Po co w takim razie instalować przycisk, którego nie można dotknąć? - spytałem, ocierając wodę z twarzy.

Pokręciła głową.

— Chodziło mi o to, żebyś nie dotykał go, dopóki nie będzie to absolutnie konieczne.

— A skąd mam wiedzieć, czy ta chwila nadeszła, maleńka?

— Będiesz wiedział. - Jeszcze raz przytuliła się do mnie. - Chyba pora go zwodować.

Schyliłem się, żeby pocałować ją w czoło; przez te parę lat znajomości robiłem to już setki razy: życząc jej powodzenia, gdy udawała się na pustynię, układając ją do snu, opiekując się nią w gorączce czy kiedy padała ze zmęczenia. Kiedy jednak tym razem

pochyliłem głowę, Enea uniosła twarz i po raz pierwszy od naszego spotkania w Dolinie Grobowców Czasu, w burzy piaskowej i niemiłosiernym zamieszaniu, pocałowałem ją w usta.

Chyba wspominałem już o tym, że spojrzenie Enei potrafi mieć większą moc i bywa bardziej intymne niż kontakt fizyczny w przypadku większości ludzi... że przypomina łagodny wstrząs elektryczny. Ten pocałunek... cóż, przewyższał to wszystko. Tamtej nocy w ciemnym, deszczowym Hannibalu, na zachodnim brzegu rzeki zwanej Missisipi, na planecie niegdyś znanej jako Ziemia, a teraz zagubionej w Mniejszym Obłoku Magellana, miałem trzydzieści dwa lata i mogłem śmiało stwierdzić, że nigdy przy pocałunku nie czułem nic choćby zbliżonego do tego uczucia.

Odsunąłem się zaskoczony. Latarka przekreśliła się do góry i oświetliła jej oczy, a ja dostrzegłem w nich ten błysk... może figlarny, może wyrażający ulgę, jak gdyby skończyło się długie oczekiwanie i... było w nim coś jeszcze.

— Do widzenia, Raul - powiedziała i podniosła rufę kajaka.

Wciąż z zamętem w głowie zsunąłem dziób do wody na samym końcu rampy i wśliznąłem się do kokpitu. A. Bettik dopasował go do mojej sylwetki niczym dobry krawiec ubranie; bardzo uważałem, żeby młócąc rękoma nie wcisnąć czasem czerwonego guzika. Enea pchnęła łódkę i zakołysałem się na wodzie, jakieś dwadzieścia centymetrów od nabrzeża. Podała mi podwójne wiosło, plecak, a na koniec latarkę.

Poświeciłem na dzielące nas pasemko wody.

— Gdzie jest transponder? - zapytałem. Miałem wrażenie, że moje słowa dolatują z wielkiej odległości, jakby wypowiadała je obca osoba. Mój umysł nadal usiłował sobie poradzić ze wspomnieniem pocałunku. Przecież to dziecko dopiero co skończyło szesnaście lat, a ja miałem się nim opiekować i pilnować, żeby dożyło dnia, kiedy razem będziemy mogli wrócić na Hyperiona. To było szaleństwo.

— Zobaczysz go, gdy wstanie dzień.

Czyli jeszcze parę godzin; istny teatr absurdu.

— Co mam zrobić, kiedy już znajdę, statek? Gdzie się: spotkamy?

— Jest taka planeta, która nazywa się, Tien Szan - odparła Enea / To znaczy „Niebiańskie Góry”. Statek ją znajdzie.

— Czy należy do Paxu?

— Ledwie, ledwie. - Kiedy mówiła, para z jej oddechu skraplała się na zimnie. - Kiedyś leżała na Pograniczu. Pax włączył ją do Protektoratu i obiecał przysłać misjonarzy, ale na razie Tien Szan nie został ujarzmiony.

— Tien Szan - powtórzyłem. - Dobrze. Jak mam cię odnaleźć? Planety bywają spore.

Podskakujący promień latarki odbijał się chwilami w jej oczach; były wilgotne od deszczu albo od łez - a może od obu naraz.

— Odszukaj Heng Szan, Świętą Górę Północy. W jej pobliżu znajdziesz miejsce zwane Hsuankung Ssu, czyli „Napowietrzną Świątynię”. Powinnam tam być.

Machnąłem niecierpliwie ręką.

— Świetnie. Nie pozostaje mi zatem nic innego, jak zajrzeć do miejscowego garnizonu Paxu i zapytać, jak trafić do Napowietrznej Świątyni, a ty już tam będziesz na mnie czekać.

— Na Tien Szanie jest zaledwie kilka tysięcy gór - stwierdziła bezbarwnym, nieszczęśliwym głosem. - I tylko parę... miast. Statek zlokalizuje Heng Szan i Hsuankung Ssu z orbity. Nie dasz rady tam wylądować, ale uda ci się opuścić pokład.

— Czemu nie uda mi się wylądować? - dopytywałem się coraz bardziej rozdrażniony tymi zagadkami, łamigłówkami i szaradami.

— Sam się przekonasz, Raul - odrzekła. Jej głos zdawał się być tak pełen łez, jak jeszcze niedawno były jej oczy. - Proszę, płyn już.

Prąd usiłował znieść mnie na środek Missisipi, ale zdołałem utrzymać chybotały kajak przy brzegu. Enea szła z biegiem rzeki, dotrzymując mi kroku. Niebo na wschodzie zaczęło się delikatnie przejaśniać.

— Jesteś pewna, że się tam spotkamy? - przekrzyczałem szum rzednącego deszczu.

— Niczego nie jestem pewna, Raul.

— Nie wiesz nawet, czy to przeżyjemy?

Nie wiedziałem, co rozumiem pod słowem „to”; nie wiedziałem nawet, co rozumiem przez „przeżyjemy”.

— Zwłaszcza tego nie wiem. - Na twarzy dziewczynki pojawił się znajomy uśmiech, psotny, wyczekujący i zarazem smutny wskutek niechcianej wiedzy.

Prąd porywał mnie coraz wyraźniej.

— Ile czasu minie, zanim znajdę statek?

— Chyba nie dłużej niż kilka dni - odkrzyknęła. Dzielilo nas już ładnych parę metrów wody, a ja coraz bardziej musiałem walczyć z nasilającym się nurtem.

— A kiedy już go znajdę, ile potrwa dotarcie na Tien Szan?

Enea krzyknęła coś w odpowiedzi, ale plusk fal o burty kajaka zagłuszył jej słowa.

— Co? - wrzasnąłem. - Nie słyszę cię!

— Kocham cię! - wykrzyknęła i tym razem jej głos dotarł do mnie czysto i wyraźnie.

Rzeka porwała mnie ze sobą. Nie mogłem wydusić ani słowa; moje ręce pozostawały nieruchome, gdy myślałem o tym, żeby zacząć wiosłować i walczyć z prądem.

— Enea? - wycelowałem latarkę na brzeg, dostrzegłem nikły błysk światła na jej poncho, blady owal twarzy pod kapturem. - Enea!

Krzyknęła coś i pomachała ręką.

Przez chwilę prąd szarpał mną jeszcze gwałtowniej. Musiałem się nieźle namachać wiosłem, żeby uniknąć zderzenia z powalonym drzewem, które sterczało z piaszczystej łąchy, a potem znalazłem się w głównym nurcie i pędziłem na złamanie karku. Obejrzałem się jeszcze raz, ale ostatecznie zabudowania Hannibala skryły dziewczynkę przed moim wzrokiem.

Jakąś minutę później do moich uszu doleciało buczenie przypominające odgłos repulsorów elektromagnetycznych, ale podniósłszy głowę dostrzegłem tylko jakiś cień; może to Enea krążyła nade mną w lądowniku, a może po prostu burzowa chmura majaczyła w mroku.

Rzeka poniosła mnie na południe.

5

Ojciec kapitan de Soya odleciał z układu Pacem na pokładzie HHS „Raguel”, krążownika klasy archanioł, podobnego do okrętu, którym miał wkrótce dowodzić. Poniósłszy śmierć w okrutnym zawirowaniu czasoprzestrzeni, wywołanym działaniem supertajnego, błyskawicznego napędu Gedeona, został wskrzeszony w dwie doby, zamiast zwyczajowych trzech; kapelani nadzorujący jego zmartwychwstanie podjęli dodatkowe ryzyko ze względu na pośpiech zalecany w rozkazach ojca kapitana. De Soya obudził się na Stacji Strategicznej Floty Paxu OmikroiEpsilon3, orbitującej wokół martwej, skalistej planетки, nieopodal Epsilon Eridani w Starej Okolicy, zaledwie kilka lat świetlnych od miejsca, gdzie niegdyś znajdowała się Ziemia.

Dano mu jeden dzień na odzyskanie pełni sił, po czym został przewieziony promem na obszar stacjonowania floty, sto tysięcy kilometrów od wojskowej bazy. Kadetka pilotująca prom przypominający kształtem osę zboczyła nieco z wytyczonej trajektorii, by nowy dowódca miał okazję przyjrzeć się swojemu nowemu okrętowi i ojciec kapitan musiał, wbrew sobie, przyznać, że jest pod wrażeniem.

Nie ulegało wątpliwości, że HHS „Rafael” stanowi arcydzieło współczesnej techniki i nie jest już - jak wszystkie jednostki Paxu, które de Soya miał do tej pory okazję oglądać - oparty na ponownie odkrytych zdobyczach technologicznych Hegemonii sprzed Upadku. Statek był zarazem zbyt obły, jak na działania w głębokim kosmosie, i zbyt kanciasty, żeby swobodnie poruszać się w atmosferze, sprawiał za to wrażenie perfekcyjnie zaprojektowanej maszyny do zabijania. Zbudowany z morficznych stopów i obszarów czystych pól energetycznych kadłub mógł zmieniać kształt i funkcje w błyskawicznym tempie, które jeszcze przed kilku laty byłyby nie do

pomyślenia. Prom mijał „Rafaela” po wydłużonej krzywej balistycznej, a de Soya patrzył, jak krążownik zmienia barwę z chromowolśniącej na matowoczarną i praktycznie znika na tle kosmicznej pustki. Jednocześnie kopuły niektórych przyrządów i kwater mieszkalnych zostały wchłonięte przez obłą, środkową część kadłuba i na zewnątrz pozostały tylko wypukłości wieżyczek z bronią i sondy pól siłowych. Albo statek właśnie przechodził rutynowy test przed skokiem poza system, albo znajdujący się na jego pokładzie oficerowie doskonale wiedzieli, kogo wiezie zbliżająca się do nich osa i popisywali się przed nowym dowódcą.

De Soya wiedział, że obie te przyczyny są równie prawdopodobne.

Zanim okręt na dobre zniknął mu z oczu, ojciec kapitan zwrócił uwagę na kuliste jednostki napędu jądrowego, skupione niczym wianuszek pereł wokół osi „Rafaela” — inaczej niż na jego starym liniowcu, „Baltazarze”, gdzie zebrano je w jednej potężnej kapsule. Zauważył też sześciokątną matrycę napędu Gedeona, znacznie mniejszą niż na prototypowym „Rafaelu”. Ostatnim widokiem, jaki zapadł mu w pamięć, były światła, lśniące we wnętrzu przezroczystych, cofniętych w głąb kadłuba kabin załogi i spod szklistej kopuły mostka. Z przestudiowanej na Pacem dokumentacji i instruktażowego RNA, jaki wszczepiono mu w dowództwie floty, pamiętał, że w warunkach bojowych statek morfuje i okrywa owe szkliste powierzchnie grubą warstwą pancerza, lubił jednak patrzeć w gwiazdy i cieszył się, że na co dzień będzie dysponował oknem wychodzącym wprost na kosmos.

— Zbliżamy się do „Uriela”, ojcie kapitanie zameldowała kadetka zza sterów promu.

De Soya skinął głową. Na pierwszy rzut oka HHS „Uriel” wyglądał jak brat bliźniak nowego „Rafaela” i dopiero gdy wytracając prędkość zbliżyli się na mniejszą odległość, ojciec kapitan dostrzegł generatory miotaczy omega, dodatkowe, błyszczące sale konferencyjne i większe,

bardziej skomplikowane anteny, wyróżniające „Uriela” jako okręt flagowy grupy uderzeniowej.

— Cumujemy, ojcie kapitanie.

De Soya znów kiwnął głową i zajął miejsce w drugim fotelu akceleracyjnym. Manewr przebiegł tak gładko, że nie poczuł nawet najłżejszego wstrząsu, gdy zaczepy chwyciły i krążownik morfował, by okryć prom powłoką kadłuba i połączyć obwody obu jednostek. Ojciec kapitan odczuł pokusę, by pochwalić młodziutką pilotkę, ale stare nawyki dowódcy wzięły w nim górę.

— Następnym razem radzę próbować podejścia bez strzału silnikami w ostatniej chwili — powiedział. - Takie popisy bywają źle widziane przez starszyznę z okrętu flagowego.

Na twarzy kobiety odbiło się rozczarowanie. De Soya położył jej dłoń na ramieniu.

— Poza tym drobiazgiem cumowanie było bez zarzutu. W każdej chwili mogłabyś liczyć na stanowisko pilota lądownika na moim okręcie.

Tym razem kadetka pokraśniała ze szczęścia.

— Mogę tylko o tym marzyć, ojcie kapitanie. Służba na stacji... - urwała w pół słowa, zdając sobie sprawę, że trochę się zagalopowała.

— Wiem o tym - de Soya stanął przy szykującej się do otwarcia śluzie. - Wiem. Na razie jednak powinnaś się cieszyć, że nie bierzesz udziału w krucjacie.

Śluza otworzyła się ze świstem i gwardia honorowa powitała ojca kapitana na pokładzie „Uriela”. Jeżeli de Soya się nie mylił, w Starym Testamencie Uriel był przywódcą zastępów anielskich w niebie.

Dziewięćdziesiąt lat świetlnych od tego miejsca, w układzie gwiazdnym leżącym zaledwie trzy lata świetlne od Pacem, stary „Rafael” wyskoczył z przestrzeni Hawkinga z gwałtownością, która zdolna byłaby wytrząsnąć człowiekowi cały szpik z kości, rozedrzeć

komórki ciała jak rozpalony nóż tnący nici babiego lata i rozrzucić neurony w ludzkim mózgu niczym szklane kulki na stromym zboczu. Dla Rhadamanth Nemes i jej rodzeństwa przeżycie to nie było szczególnie przyjemne, ale też żadne z nich się nie skarżyło.

— Co to za miejsce? - zapytała Nemes, wpatrzona w rosnącą na ekranie brunatną kulę. „Rafael” hamował z przeciążeniem równym 230 g; Nemes nie zajęła miejsca na leżance akceleracyjnej, chociaż trzymała się wspornika niedbałym gestem, niczym urzędnik jadący zatłoczonym autobusem do pracy.

— Svoboda - odparł jeden z jej braci.

Nemes skinęła głową. Nikt więcej się nie odezwał, dopóki statek nie wszedł na orbitę i lądownik nie wpadł ze świstem w atmosferę.

— Będzie tu? - spytała Nemes. Mikrowłókna łączyły jej skronie bezpośrednio z konsolą lądownika.

— Z pewnością - odpowiedziała jej bliźniacza siostra.

Na Svobodzie mieszkało trochę ludzi, ale po Upadku skryli się w opancerzonych polem siłowym kopułach i nie dysponowali techniką, która pozwoliłaby im śledzić lot „Rafaela” czy wysłanego zeń lądownika. W całym układzie nie istniała ani jedna baza Paxu. Powierzchnia planety od strony nasłonecznionej osiągała taką temperaturę, że ołów spływał strumieniami, w cieniu zaś rzadka atmosfera była bliska skrzepnięcia. Pod ziemią natomiast ciągnęło się ponad osiemset tysięcy kilometrów tuneli o idealnie kwadratowym, trzydziestometrowym przekroju. Svoboda była jedną z dziewięciu planet, na których znajdowały się labirynty, odkryte we wczesnych dniach Hegiry, a zbadane pod rządami Hegemonii. Podobne tunele istniały też na Hyperionie. Żaden człowiek, żywy ani martwy, nie znał tajemnicy labiryntów ani ich twórców.

Nemes przeprowadziła lądownik przez niegroźną burzę w amoniakalnej atmosferze na ciemnej stronie planety, zawisła

w powietrzu nad lodowym urwiskiem widocznym wyłącznie w podczerwieni - i to na dużym powiększeniu - a potem złożyła skrzydła statku i skierowała go wprost ku kwadratowemu wlotowi labiryntu. Tunel zakręcał tylko raz, po czym całymi kilometrami biegł prosto; na ekranie radaru głębokościowego widniała siatka korytarzy wykutych w skale poniżej poziomu wejścia. Nemes przeleciała trzy kilometry, skręciła w lewo na pierwszym skrzyżowaniu, lecąc pięć kilometrów na południe zagłębiła się na jakieś pięćset metrów pod powierzchnię gruntu i posadziła lądownik na podłodze tunelu.

W podczerwieni widniały tylko słabe ślady zakrzepłej, lecz nie do końca wystygłej lawy; ekrany przekazujące obraz w paśmie widzialnym były puste. Nemes zmarszczyła brwi na widok wskazań radaru i włączyła zewnętrzne reflektory lądownika.

W nie kończącym się, biegnącym idealnie prosto korytarzu, ze ścian wystawały poziome, prostokątne płyty. Na każdej z nich spoczywało nagie ludzkie ciało; katafalki i ciała ciągnęły się w dal, jak okiem sięgnąć, ginąc w mroku. Nemes zerknęła na ekran radaru: niższe poziomy labiryntu wyglądały identycznie.

— Wychodzimy - zakomunikował mężczyzna, który wyciągnął Nemes z kałuży lawy na Bożej Kniei.

Nemes nie zawracała sobie głowy uruchamianiem śluzy, toteż całe powietrze umknęło ze statku w pojedynczym, głośnym podmuchu. W tunelu panowało niezwykle niskie ciśnienie — wystarczające, by przeżyć bez przeskoku fazowego, ale z pewnością niższe niż na Marsie przed terraformowaniem. Osobiste czujniki Nemes wskazywały, że temperatura utrzymuje się na stałym poziomie stu sześćdziesięciu dwóch stopni poniżej zera.

Na zewnątrz, w powodzi światła, czekała ludzka postać.

— Dobry wieczór rzekł radca Albedo. Wysoki mężczyzna miał na sobie nieskazitelnie czysty, popielaty garnitur, skrojony zgodnie

z obowiązującą na Pacem modą. Odezwał się bezpośrednio na częstotliwości 75 megaherców; jego usta nawet przy tym nie drgnęły, cały czas odsłaniając w uśmiechu idealne, bieluteńkie zęby.

Nikt mu nie odpowiedział. Nemes wiedziała, że reprimendy i kary skończyły się - Trzem Sektorom zależało teraz na tym, by żyła i sprawnie funkcjonowała.

— Ta dziewczynka, Enea, wróciła do przestrzeni kontrolowanej przez Pax - zaczął Albedo.

— Gdzie? - zapytała siostra Nemes. Jej głos brzmiał płasko i beznamiętnie, ale kryła się w nim jakaś gorliwość.

Radca Albedo rozłożył bezradnie ręce.

— Portal...zaczęła Nemes.

— Tym razem nic się z niego nie dowiedzieliśmy - wyjaśnił Albedo, nie przestając się uśmiechać.

Nemes zmarszczyła brwi; przez kilkaset lat istnienia Hegemonii i Sieci Trzy Sektory Świadomości nie znalazły sposobu korzystania z portali Pustki - natychmiastowego środka transportu, który ludzie nazywali transmitterami - bez pozostawiania śladu w postaci modulowanego układu neutrin w matrycy zakrzywienia przestrzeni.

— Czy to Inni...

— Oczywiście - przerwał jej Albedo i machnął ręką, jakby ciąg dalszy był zbędny. — Nadal jednak potrafimy zarejestrować połączenie. Jesteśmy pewni, że dziewczynka znajduje się w grupie, która wraca ze Starej Ziemi za pośrednictwem sieci transmitterów.

— Są z nią inni? zapytał jeden z mężczyzn.

— Tak - przytaknął Albedo. Z początku niewielu, teraz coraz więcej. Do tej pory naliczyliśmy przynajmniej pięćdziesiąt przypadków uaktywnienia portali.

— Czyżby Inni kończyli prowadzony na Starej Ziemi eksperyment? - Nemes skrzyżowała ręce na piersi.

— Nie. - Albedo podszedł do najbliższej kamiennej płyty i spojrzął na leżące na niej ciało młodej kobiety - mogła mieć najwyżej siedemnaście, osiemnaście lat standardowych. Miała rude włosy; jej skórę i otwarte oczy pokrywała warstewka szronu. - Nie. Trzy Sektory są zgodne co do tego, że tylko grupa Enei wraca.

— Gdzie ją znajdziemy? - zapytała siostra Nemes, najwyraźniej rozmyślając na głos na kanale 75 MHz. - Możemy oblecieć wszystkie planety, na których w czasach Hegemonii zainstalowano transmittersy i osobiście sprawdzić zapisy w ich matrycach.

Albedo skinął głową.

— Inni są w stanie zamaskować punkt docelowy podróży za pośrednictwem portalu, ale Centrum jest niemal pewne, że nie uda im się ukryć śladu samego zakrzywienia przestrzeni.

Niemal pewne, zauważyła Nemes. Jak na TechnoCentrum było to raczej niezwykle zastrzeżenie.

— Chcemy, żebyś... - zaczął Albedo, wskazując palcem na kobietę obok Nemes. - Stabilne nie nadały ci imienia, prawda?

— Nie - odparła. Ciemne loki spadały na blade czoło. Na ustach nie pojawił się nawet cień uśmiechu.

Albedo zachichotał na łączącym ich kanale komunikacyjnym.

— Rhadamanth Nemes musiała mieć imię, żeby udawać członkinię załogi „Rafaela”. Sądzę, że i pozostałych należałoby jakoś nazwać, choćby dla mojej wygody. - Znów wyciągnął rękę w stronę kobiety. - Scylla - powiedział. - Gyges. Briareus - dodał, wskazując kolejno obu mężczyzn.

Żadne z trójki świeżo ochrzczonych nie zareagowało, Nemes natomiast zapytała:

— Bawi to pana, radco?

— Owszem - odparł Albedo.

Stali w oparach powietrza z wnętrza statku, które kłębiło się wokół nich na podobieństwo złowrogiej mgły.

— Korzystając z „Rafaela” rozpoczniemy przeszukiwanie dawnych planet Sieci - odezwał się mężczyzna, noszący teraz imię Briareus. - A zaczniemy zapewne od tych, przez które płynęła Tetyda.

— Zgadza się.

Scylla postukała paznokciami o zamrażnięty materiał kombinezonu.

— Cztery statki - powiedziała. - Poszukiwania przebiegałyby cztery razy szybciej.

— To oczywiste, jest jednak kilka powodów, dla których nie mogliśmy się na to zgodzić. Pierwszy z nich jest taki, że Pax nie ma zbyt wielu archaniołów na zbyciu.

— A od kiedy to Centrum pyta Pax o zgodę na wykorzystanie jego jednostek? - Nemes uniosła brwi w zdumieniu.

— Odkąd wykorzystujemy ich pieniądze, fabryki i ludzi do budowy statków - odpowiedział wprost Albedo. - Drugą - i ostateczną - przyczyną naszej decyzji jest fakt, że chcemy, byście działali wspólnie. W razie, gdybyście spotkali coś lub kogoś, z kim w pojedynkę sobie nie poradzicie.

Nemes nie kryła coraz większego zdumienia; spodziewała się nawiązania do jej nieudanej akcji na Bożej Kniei, ale pierwszy odezwał się Gyges:

— A z czym niby mielibyśmy sobie nie poradzić?

Odziany na szaro mężczyzna znów rozłożył ręce; za jego plecami tumany mgły na moment całkowicie spowiły ciała w tunelu, by za chwilę znów je odsłonić.

— Z Chyżwarem.

Nemes warknęła coś niecenzuralnego na 75 megahercach.

— Własnoręcznie go pokonałam - stwierdziła.

Albedo pokręcił głową; doprowadzający do szalu uśmiech nie zniknął mu z twarzy.

— Nie - powiedział radca. - Nie pokonałaś go. Wykorzystałaś tylko hiperentropiczny przyrząd, który ci dostarczyliśmy i wysłałaś Chyżwara w odległą o pięć minut przyszłość. To nie to samo, co pokonać go.

— To NI już nie panuje nad Chyżwarem? - zagadnął Briareus.

Albedo po raz ostatni rozłożył ręce.

— Bogowie przyszłości nie szepczą nam już do ucha, mój kosztowny przyjacielu. Poprzez otchłań czasu dochodzą do nas odgłosy wojny, jaką toczą między sobą. Jeśli dzieło naszego boga ma się dokonać w naszych czasach, sami musimy o to zadbać. Czy instrukcje są jasne? - radca popatrzył po twarzach czwórki rodzeństwa.

— Znaleźć dziewczynkę - odpowiedziała Scylla.

— A potem?

— Natychmiast ją zabić - odparł Gyges. - Bez wahania.

— A gdyby jej uczniowie próbowali wam przeszkodzić? - zapytał Albedo, uśmiechając się szerzej i przybierając karykaturalny ton głosu ludzkiego nauczyciela.

— Zabić ich również - odpowiedział Briareus.

— A co z Chyżwarem? - Uśmiech znikł z oblicza radcy.

— Zniszczyć - powiedziała Nemes.

— Czy są jeszcze jakieś pytania, zanim się rozstaniemy?

— Ilu tu jest ludzi? - zaciekawiała się Scylla, machnąwszy ręką w stronę kamiennych płyt i spoczywających na nich ciał.

Radca Albedo podrapał się po brodzie.

— W tym sektorze tuneli na Svobodzie - jakieś kilkadziesiąt milionów. Korytarzy jest tu jednak znacznie więcej. - Uśmiechnął się. - No i jest jeszcze osiem planet z labiryntami.

Nemes powoli obróciła głowę, obserwując w różnych sektorach widma strzępy mgły i rząd katafalków. Temperatura żadnego z ciał nie przekraczała temperatury otoczenia.

— To robota Paxu - stwierdziła.

Albedo znów się zaśmiał.

— Ależ oczywiście - rzekł. - Po co Trzy Sektory Świadomości albo nasz przyszły NI mieliby składować ludzkie ciała?

Podszedł do młodej kobiety i postukał palcem w jej zamarznąłą pierś. Rzadkie powietrze nie mogło przenieść dźwięku, ale Nemes wyobraziła sobie odgłos, jaki wydają paznokcie uderzające o zimny marmur.

— Jeszcze jakieś pytania? - zapytał Albedo. - Mam ważne spotkanie.

Bez słowa na częstotliwości 75 megaherców - czy jakiegokolwiek innej - czwórka rodzeństwa okręciła się na pięcie i wróciła na pokład lądownika.

W okrągłej, zamkniętej przezroczystą kopułą sali konferencyjnej na pokładzie HHS „Uriel” zebrało się dwudziestu wysokich rangą funkcjonariuszy Floty Paxu - wszyscy kapitanowie i pierwsi oficerowie okrętów wchodzących w skład grupy uderzeniowej „Gedeon”. Wśród nich znajdował się kapitan Hoagan „Hoag” Liebler, trzydziestosześcioletni ponownie narodzony chrześcijanin, ochrzczony na Renesansie Mniejszym, potomek niegdyś potężnego rodu Lieblerów Freeholdów. Rodowe włości obejmowały łącznie jakieś dwa miliony hektarów, a dług Lieblerów sięgał obecnie około pięciu marek z hektara. Hoagan poświęcił całe życie prywatne służbie Kościołowi, zawodowe zaś - służbie we flocie. Był także szpiegiem i potencjalnym zabójcą na zlecenie.

Podniósł z zainteresowaniem wzrok, gdy na „Urielu” zameldował się nowy dowódca. Wszyscy w grupie uderzeniowej „Gedeon” - ba, chyba wszyscy we Flocie Paxu - słyszeli o ojcu kapitanie de Soi. Około

pięciu standardowych lat wcześniej, w ramach jakiegoś tajnego projektu, byłemu kapitanowi liniowca przyznano prawo do korzystania z dysku papieskiego - a więc prawie nieograniczoną władzę. Jego misja zakończyła się jednak fiaskiem. Nikt wprawdzie dokładnie nie wiedział, na czym polegała, ale korzystając z dysku de Soya narobił sobie wrogów w całym Paksie. Niepowodzenie i zniknięcie ojca kapitana stało się przyczyną dalszych plotek, powtarzanych w mesach i kabinach załogi; zgodnie z najbardziej rozpowszechnioną teorią de Soya został oddany w ręce Świętego Oficjum, cichaczem obłożony ekskomuniką i najprawdopodobniej zgładzony.

Ale oto przybywał na „Uriela”, i to jako dowódca jednego z najcenniejszych nowych nabytków Paxu, jednego z dwudziestu jeden działających już krążowników klasy archanioł.

Liebler zdumiał się, ujrawszy ojca de Soyę: niski, krótko ostrzyżony mężczyzna o ogromnych, smutnych oczach bardziej przypominał męczennika ze starej ikony niż dowódcę okrętu bojowego. Admirał Aldikacti, przysadzista Luzyjka, kierująca zarówno samym zebraniem, jak i całą grupą uderzeniową, szybko przedstawiła sobie zgromadzonych.

— Ojcie kapitanie de Soya - rzekła, gdy de Soya zajmował miejsce przy szarym, okrągłym stole stojącym w środku szarego, okrągłego pomieszczenia. - Jak mi nie mam, zna pan niektórych z obecnych tu oficerów. - Brak taktu pani admirał był równie słynny, jak jej zaciekłość w walce.

— Matka kapitan Stone to moja dobra znajoma - odparł de Soya i skinął głową swojemu byłemu pierwszemu oficerowi. - Kapitan Hearn wchodził w skład grupy uderzeniowej, którą ostatnio dowodziłem; miałem okazję poznać kapitan Sati i kapitan Lempriere. Spotkał mnie

też zaszczyt współpracowania z komandorem Uchikawą i komandor Barnes-Avne.

Aldikacti chrząknęła.

— Komandor Barnes-Avne reprezentuje w naszym gronie oddziały marines i żołnierzy Gwardii Szwajcarskiej, wchodzących w skład grupy „Gedeon”. A czy zna pan swojego pierwszego oficera, ojciec kapitanie?

De Soya pokręcił głową, na co Aldikacti przedstawiła mu Lieblera. Komandor zdziwił się, że drobny kapłan z taką energią i zdecydowaniem odpowiedział na uścisk ręki; zdumiało go również władcze spojrzenie de Soi. Może i ma oczy męczennika, pomyślał Liebler, ale z pewnością nawykł do wydawania rozkazów.

— No dobrze - mruknęła Aldikacti. - Zaczynamy.

Przez następne dwadzieścia minut w sali konferencyjnej rozbłyskiwały coraz nowe hologramy i wykreślane w przestrzeni trajektorie; komlogi i rejestratory wypełniały się informacjami i pospiesznymi notatkami. Gdyby nie zadawane z rzadka pytania i równie rzadkie prośby o wyjaśnienia, łagodny głos Sati byłby jedynym odgłosem mącącem ciszę pod kopułą.

Lieblera zaskoczyły rozmiary i zasięg zaplanowanej dla „Gedeona” misji, ale nie przeszkodziło mu to w normalnych obowiązkach pierwszego oficera - czyli wynotowaniu wszystkich głównych faktów, o których dowódca może chcieć później porozmawiać.

„Gedeon” był pierwszą grupą uderzeniową złożoną w całości z krążowników klasy archanioł. Przydzielono do niej siedem okrętów. Wyposażone w konwencjonalny napęd Hawkinga liniowce wysłano naprzód z wielomiesięcznym wyprzedzeniem, by spotkać się z nimi w pierwszym punkcie kontaktowym, już na Pograniczu, około dwudziestu lat świetlnych za strefą obronną Wielkiego Muru. W pierwszej, symulowanej bitwie, wszystkie jednostki uczestniczyłyby

wspólnie, później jednak grupa uderzeniowa miała zacząć samodzielną realizację planu.

— Nie od rzeczy byłoby tu wspomnieć marsz generała Shermana przez Georgię podczas prehegirańskiej wojny domowej w Ameryce Pomocnej w dziewiętnastym wieku — powiedziała kapitan Sati. Połowa zgromadzonych postukała w komlogi, by dowiedzieć się czegoś więcej o tym tajemniczym epizodzie z historii wojen. - Do tej pory walczyliśmy z Intruzami albo na ziemi niczyjej - mam tu na myśli Wielki Mur - albo na skraju naszego lub ich kosmosu. - Sati przerwała na chwilę. - Przed pięcioma laty dowodzona przez ojca kapitana de Soję grupa uderzeniowa „Królowie” dokonała jednego z najgłębszych takich wypadów - dodała.

— Czy może pan to jakoś skomentować, ojcie kapitanie? - zapytała admirał Aldikacti.

De Soya zawahał się.

— Spaliliśmy orbitalny las - powiedział wreszcie. - Nie napotkaliśmy żadnego oporu.

Hoag Liebler odniósł wrażenie, że ojciec kapitan wstydzi się tego, co zrobił.

Sati skinęła głową, usatysfakcjonowana.

— Mamy nadzieję, że tak będzie podczas całej naszej misji. Nasz wywiad donosi, że Intruzi rozstawili znakomitą większość sił obronnych wzdłuż Wielkiego Muru, pozostawiając bardzo niewiele wojska w głębi zajmowanego terytorium. Od blisko trzech stuleci, planując rozmieszczenie oddziałów, baz i systemów mieszkalnych, muszą się liczyć przede wszystkim z ograniczeniami technologii napędu Hawkinga. - W sali konferencyjnej znów zamigotały hologramy. - Przywykliśmy już do tego, że Pax ma przewagę, kiedy może korzystać z wewnętrznych kanałów zaopatrzeniowych i łączności, natomiast Intruzów chroni przed nami znaczne oddalenie

i możliwość ukrycia się. Głębsza penetracja zajmowanego przez nich kosmosu była praktycznie niewykonalna właśnie ze względu na możliwość odcięcia zaopatrzenia. Intruzi mają przy tym w zwyczaju zadawać szybkie ciosy i uciekać, zanim przybędą nasze główne siły, których uderzenie mogłoby być dla nich zabójcze.

Sati popatrzyła po twarzach zebranych.

— Panowie i panie - powiedziała. - Te czasy się skończyły.

Kolejne hologramy nabrały realnych kształtów: wykreślona czerwoną linią trajektoria grupy „Gedeon” wybiegała z zajmowanej przez Pax przestrzeni i wracała do niej, niczym nóż laserowy przecinający międzygwiazdny mrok.

— Nasze zadanie polega na zniszczeniu wszystkich napotkanych baz zaopatrzeniowych Intruzów i kolonii mieszkalnych w głębokim kosmosie - w spokojnym głosie Sati zabrzmiała silniejsza nuta. - Farmy komet, orbitalne miasta, pierścienie leśne i mieszkalne, bazy w torusach, osiedla umieszczone w punktach Lagrange’a, asteroidy-wylęgarnie, ule bąbelkowe... wszystko.

— Cywilne anioły też? - zapytał ojciec kapitan de Soya.

Hoag Liebler spojrział na niego skonsternowany; we Flocie Paxu mutantów ze zmienionym DNA, żyjących w otwartym kosmosie, nieformalnie nazywano „aniołami Lucyfera”, albo, prościej, „aniołami” - choć taki ironiczny skrót zakrawał już na bluźnierstwo. Tym rzadziej więc stosowano te określenia w rozmowie z przełożonymi.

— Szczególnie anioły, ojcie kapitanie - odpowiedziała admirał Aldikacti. - Jego Świątobliwość papież Urban ogłosił krucjatę przeciwko karykaturalnym mutacjom człowieka, jakie lęgną się wśród Intruzów. W swej „Encyklice o Krucjacie” stwierdził, że tego rodzaju przekłete twory należy unicestwić, by nie plugawiły boskiego wszechświata. Wśród Intruzów nie ma cywilów. Czy ma pan jakieś kłopoty ze zrozumieniem tych zaleceń, ojcie kapitanie de Soya?

Zasiadający za stołem oficerowie wstrzymali oddech w oczekiwaniu na odpowiedź de Soi.

— Nie, pani admirał. Rozumiem treść encykliki.

Odprawa potoczyła się dalej.

— A oto jednostki, które wejdą w skład grupy uderzeniowej „Gedeon” - powiedziała Sati. - Okrętem flagowym będzie statek Jego Świątobliwości „Uriel”, podlegać mu zaś będą „Rafael”, „Michael”, „Gabriel”, „Raguel”, „Remiel” oraz „Sariel”. Korzystając z napędu Gedeona, statki mają dokonać skoku do nowego układu, gdzie wyhamowanie zajmie im przynajmniej dwa dni, co pozwoli wskrzesić załogę. Jego Świątobliwość zezwolił nam na wykorzystanie nowych komór zmartwychwstańczych, z dwudniowym cyklem wskrzeszenia... dającym dziewięćdziesiąt dwa procent szans na przywrócenie życia. Później nastąpi przegrupowanie okrętów i uderzenie na siły i instalacje Intruzów, mające na celu zadanie jak najdotkliwszych strat - i przeskok do następnego układu. Każdy okręt Paxu, który zostanie tak uszkodzony, że nie będzie się nadawał do naprawy, zostanie porzucony i zniszczony po przeniesieniu załogi na inne jednostki. Nie możemy ryzykować, że napęd Gedeona wpadnie w ręce Intruzów, mimo że przy braku sakramentu zmartwychwstania i tak byłby dla nich bezużyteczny. Misja powinna zająć nam około trzech miesięcy standardowych. Czy są jakieś pytania?

Ojciec de Soya podniósł rękę.

— Przepraszam - zaczął. - Przez kilka lat standardowych pozostawałem z dala od floty, widzę jednak, że wchodzącym w skład naszej grupy krążownikom nadano imiona archaniołów, które wymienia się w Starym Testamencie.

— To prawda, ojcie kapitanie - przytaknęła admirał Aldikacti. - O co chodzi?

— Drobiazg, pani admirał. Z tego, co pamiętam, w Biblii wymienia się po imieniu tylko siedmiu archaniołów. Co w takim razie z resztą krążowników, które weszły do służby?

Wokół stołu rozległy się chichoty; de Soya zauważył, że udało mu się złagodzić panujące napięcie.

— Witamy naszego marnotrawnego kapitana z powrotem - odparła z uśmiechem Aldikacti - i spieszmy go poinformować, iż watykańscy teolodzy przeszukali Księgę Henocha i resztę apokryfów i znaleźli imiona innych aniołów, których postanowiono podnieść do rangi „honorowych archaniołów”. Sama Stolica Apostolska udzieliła nam zgody na ich wykorzystanie. Uznaliśmy jednak, że będzie to... hmm, właściwe... żeby pierwsze siedem okrętów nosiło imiona siedmiu biblijnych archaniołów i poniosło święty ogień na terytorium wroga.

Rozbrzmiewający w sali śmiech zastąpił głośny aplauz, który cichł stopniowo, gdy kapitanowie wymieniali uwagi ze swoimi pierwszymi oficerami.

Nie było więcej pytań.

— Ach, jeszcze jedno - powiedziała admirał Aldikacti. - Gdyby ktoś z was zobaczył ten statek... - Nad środkiem stołu pojawił się hologram dziwnego statku kosmicznego: według standardów Paxu nie wyróżniał się raczej rozmiarami, miał opływowe kształty, jakby dostosowano go do lotów w atmosferze, a przy dyszach napędu jądrowego sterczały czarne stateczniki.

— Co to jest? - spytała matka kapitan Stone, wciąż uśmiechnięta. W całej sali panował wesoły nastrój. - Jakiś dowcip Intruzów?

— Nie - odpowiedział jej cichym, bezbarwnym głosem de Soya. - Okaz techniki z czasów Sieci. Prywatny statek kosmiczny... statek, który należał do jednego człowieka.

Kilku oficerów znowu parsknęło śmiechem, ale admirał Aldikacti przerwała im machnięciem ręki.

— Ojciec kapitan ma rację - zabrzmiał jej niski głos. - Statek pochodzi z czasów Hegemonii i był własnością jednego z jej konsulów. - Aldikacti pokręciła głową. — Mieli wtedy dość pieniędzy, żeby pozwolić sobie na takie gesty. Mniejsza z tym; statek jest wyposażony w zmodyfikowany przez Intruzów napęd Hawkinga, może być uzbrojony i należy go traktować z najwyższą ostrożnością.

— Co mamy zrobić, kiedy go spotkamy? - zapytała Stone. - Zachować na pamiątkę?

— Nie. Natychmiast zniszczyć. Ostrzelać najcięższą bronią. Unicestwić. Czy są jakieś pytania?

Nikt się nie odezwał.

Oficerowie rozeszli się, by wrócić na swoje statki i przygotować się do pierwszego skoku. W drodze powrotnej na „Rafaela” pierwszy oficer Hoag Liebler rozmawiał niezobowiązująco ze swoim nowym kapitanem o gotowości statku i wysokim morale załogi ani na chwilę nie przestając myśleć: Mam nadzieję, że nie będę musiał go zabić.

6

Wiedziałem z doświadczenia, że po traumatycznym rozstaniu - kiedy człowiek zostawia rodzinę i wyrusza na wojnę, kiedy umiera ktoś bliski albo gdy opuszcza się ukochaną, nie mając pewności, że jeszcze się ją kiedyś zobaczy - szybko przychodzi dziwna chwila całkowitego spokoju, niemal ulgi, jak gdyby towarzyszyło nam przekonanie, że najgorsze już się stało i nic straszniejszego nam grozić nie może. Taić było i ze mną, gdy deszczowym przedświttem rozstałem się z Eneą na Starej Ziemi.

Kajak, w którym siedziałem, był maleńki, Missisipi zaś ogromna. Z początku wiosłowałem prawie po omacku, skoncentrowany aż do bólu; serce pompowało mi w żyły fale adrenaliny i wyteżałem wzrok, żeby zawczasu dostrzec wszystkie pniaki, piaszczyste łachy i niesione rwącym nurtem śmieci. Rzeka musiała mieć w tym miejscu bez mała milę szerokości; Stary Architekt posługiwał się archaicznym angielskim systemem miar i większość mieszkańców Taliesina nabrała nawyku określania odległości w stopach, jardach i milach. Missisipi musiała wystąpić z brzegów, gdyż o kilkaset jardów ode mnie dostrzegąłem sterczące z wody martwe drzewa.

Mniej więcej godzinę po moim rozstaniu z Eneą pojawiły się pierwsze oznaki brzasku: najpierw zauważyłem, jak po lewej stronie szare chmury oddzielają się od czarno-

szarego, wysokiego brzegu, a później na powierzchnię wody spelzło rozproszone, zimne światło. Miałem rację, że po ciemku bałem się tędy płynąć - Missisipi burzyła się wokół sterczących z dna pniaków i opływała wydłużone paluchy mielizn; ogromne, nasiąknięte wodą drzewa, z przypominającą łby hydry płataniną korzeni na jednym końcu, przemykały tuż obok mnie, miażdżąc wszystkie przeszkody z siłą gigantycznego tarana. Wybrawszy odnogę nurtu, która wydała mi

się najbardziej obiecująca, wiosłowałem ze wszystkich sił, żeby się w niej utrzymać i usiłowałem cieszyć się wstającym dniem.

Przez cały ranek płynąłem na południe, na próżno wypatrując śladów ludzkiej obecności na brzegach rzeki. Raz tylko dostrzegłem przelotnie stare, niegdyś białe budynki, zatopione wraz z drzewami w obrzydliwych odmętach, które zalały dawny brzeg i przemieniły go w bagnisko ciągnące się aż do niedalekich skalistych urwisk. Dwukrotnie przybijałem do brzegów wysp: raz żeby załatwić naturalną potrzebę i drugi, kiedy to - w promieniach słońca stopniowo rozgrzewających i rzekę, i mnie - wygrzebałem z kajaka mały plecak, przysiadłem na wyrzuconej na piasek kłodzie i zjadłem kanapkę z pieczenia na zimno, jedną z tych, które Enea przygotowała dla mnie wieczorem. Miałem ze sobą dwie manierki z wodą - jedną przy pasie, drugą w plecaku - napiłem się więc oszczędnie, nie wiedząc, czy woda z Missisipi nadaje się do picia, ani kiedy znajdę jakieś źródło, w którym mógłbym bezpiecznie uzupełnić zapasy.

Dopiero po południu zobaczyłem przed sobą miasto i olbrzymi łuk.

Nieco wcześniej Missisipi połączyła się z jakimś prawym dopływem i jej koryto znacznie się rozszerzyło. Doszedłem do wniosku, że musi to być Missouri, a komlog to potwierdził. Wkrótce potem moją uwagę przyciągnęła łukowata konstrukcja.

Portal wyglądał zupełnie inaczej niż te, które pokonaliśmy podczas podróży na Starą Ziemię: był większy, starszy, zmatowiały i bardzo pordzewiały. Kiedyś zapewne strzelał pod niebo na zachodnim brzegu rzeki, teraz jednak wystawał wprost z wody, oddalony o setki metrów od suchego lądu. Z mętnego nurtu sterczały też szkielety zatopionych budynków - niskich „drapaczy chmur” z czasów przed Hegirą, o czym wiedziałem, bogatszy o nowo nabytą wiedzę architektoniczną.

— To St. Louis - poinformował mnie komlog, kiedy zapytałem go gdzie jesteśmy. - Zniszczone jeszcze przed Kłopotami. Zostało

porzucone przed Wielką Pomyłką roku '08.

— Zniszczone? - powtórzyłem, kierując kajak pod gigantyczny łuk. Dopiero wtedy zauważyłem, że zachodni brzeg tworzy w tym miejscu idealne półkole, w którym uformowało się płytkie jezioro. Krater, pomyślałem, chociaż nie byłbym w stanie określić, co go wybiło: meteoryt, bomba czy wybuch reaktora jądrowego. - Jak?

— Brak informacji - odparła bransoleta na moim przegubie. - Aczkolwiek mam pewne dane na temat łuku, do którego się zbliżamy.

— To transmiter, prawda? - zapytałem. Musiałem skupić się na walce z silnym zachodnim prądem, żeby wepchnąć łódeczkę pod skierowany ku wschodowi hak.

— Tak, ale nie od razu zaprojektowano go do pełnienia tej funkcji. Jego rozmiary i orientacja przestrzenna dokładnie odpowiadają budowli, zwanej Wielką Bramą, architektonicznej ciekawostce, powstałej w połowie dwudziestego wieku, gdy St. Louis znajdowało się w państwie narodowym Stanów Zjednoczonych Ameryki. Łuk miał symbolizować ekspansję pochodzących z Europy protonacjonalistów, pionierów, którzy przywędrowali tu, by wyprzeć pierwotnych mieszkańców.

— Czyli Indian - wysapałem ciężko, walcząc z podskakującym dziko kajakiem. Przeciąłem ostatnią nitkę znoszącego nas nurtu i ustawiłem się dokładnie na linii łuku. Godzinę czy dwie ciepłego, złotego dnia miałem już dawno za sobą; niebo znów zasnuły buroszare chmury, wrócił też lodowaty wiatr; krople deszczu bębniły o kadłub kajaka i pluskały o wodę. Prąd niósł mnie dokładnie na środek łuku, odłożyłem więc wiosło, bacząc tylko, by przypadkiem nie stuknąć w tajemniczy czerwony przycisk.

— W takim razie zbudowano ten łuk ku czci ludzi, którzy mordowali Indian - powiedziałem. Podparłem się na łokciach i wychyliłem w przód.

— Pierwotnie Wielka Brama nie była transmitterem - odparł sztywno komlog.

— Ale przetrwała katastrofę, która doprowadziła do... tego wszystkiego? - wskazałem wiosłem jezioro w kraterze i zalane wodą okoliczne budynki.

— Brak informacji.

— W dodatku nie wiesz, czy to portal transmitera? - Znów zacząłem ostro wiosłować i mówienie przychodziło mi z niejakim trudem. Łuk rysował się posępną krechą przynajmniej ze sto metrów ponad moją głową. Zimowe słońce zza chmur słabo odbijało się w matowej powierzchni metalu.

— Nie - przyznał komlog, opierając się na pamięci statku. - Nie ma żadnych danych świadczących o istnieniu transmitterów na Starej Ziemi.

To oczywiste; Stara Ziemia została unicestwiona podczas Wielkiej Pomyłki, wypadku z czarną dziurą - albo porwana przez lwy, tygrysy i niedźwiedzie - co najmniej na półtora wieku przed tym, jak TechnoCentrum udostępniło Hegemonii technologię umożliwiającą wykorzystanie transmitterów. Tym niemniej nad tamtą rzeką a właściwie strumieniem — w zachodniej Pensylwanii, gdzie przed czterema laty przenieśliśmy się z Eneą z Bożej Kniei, wznosił się zgrabny, działający portal. A podczas późniejszych podróży widziałem następne.

— W takim razie - powiedziałem na głos, bardziej do siebie niż głupawej SI w komlogu — popłyniemy dalej. Enea miała swoje powody, żeby kazać mi zwodować kajak w Hannibalu.

W głębi duszy wcale nie byłem tego pewien. Pod hakiem nie majaczyła znajoma migotliwa poświata, po drugiej stronie nie widziałem słońca ani gwiazd... Tylko mroczniejące niebo i ciemne pasmo lasu na brzegu jeziora.

Oparłem się o tylną krawędź kokpitu i spojrzałem na portal. Byłem przerażony, gdy dostrzegłem, że brakuje w nim fragmentów blachy, że spod uszkodzonej powłoki wyzierają stalowe zębra; kajak przepłynął już pod nim - a przeskok nie nastąpił. Nie było nagłej zmiany światła, ciężenia, brakowało obcych zapachów. Konstrukcja okazała się niczym więcej, jak starym, sfatygowanym dziwadłem architektonicznym, które przypadkiem przypomina...

I nagle wszystko się zmieniło.

W jednej chwili kajak podrygiwał na wzburzonej, chłostanej wiatrem powierzchni Missisipi, płynąc wprost na środek płytkiego krateru, który kiedyś był miastem St. Louis, a w następnej zapanowała noc, ja zaś w maleńkiej łódce ze szklanego włókna mknąłem wąskim kanałem w wąwozie, którego ściany stanowiły oświetlone budynki, kończące się z pół kilometra nad moją głową.

— Jezu Chryste - wyszeptałem.

— Starożytny mesjasz - odpowiedział natychmiast komlog. - Do religii opartych na przypisywanych mu naukach należy chrześcijaństwo, chrześcijaństwo zeń, katolicyzm starożytny i współczesny oraz sekty protestanckie, takie jak...

— Zamknij się - poleciłem. - Grzeczne dziecko.

Po wydaniu takiej komendy komlog przechodził w tryb pracy, w którym odzywał się tylko wówczas, gdy go o coś zapytano.

W kanale, o ile faktycznie był to kanał, kręciło się mnóstwo jednostek pływających - łodzie wiosłowe, żaglówki, kajaki mijały się bez ustanku. Nieopodal, po bulwarach, deptakach i powietrznych chodnikach, krzyżujących się ponad jasno oświetloną wodą, spacerowały setki ludzi, parami i w grupach; widziałem też pojedyncze, jaskrawo odziane i krępe postaci, które biegały samotnie.

Grawitacja zwała mi się na ramiona, gdy tylko spróbowałem podnieść wiosło; miałem wrażenie, że moje ręce ważą przynajmniej

o połowę więcej niż na Ziemi. Wolno uniosłem twarz, by spojrzeć na setki - nie, tysiące - rozświetlonych okien, wieżyczek, chodników i balkonów. Srebrzyste pociągi z łagodnym buczeniem prześlizgiwały się wewnątrz przezroczystych rur ponad rzeką, EMV cięły powietrze, platformy lewitacyjne i promy powietrzne przenosiły ludzi w poprzek mojego niewiarygodnego kanionu... i wszystko stało się jasne.

Lusus. To musiał być Lusus.

Widywałem już Luzyjczyków: bogaci myśliwi przybywali na Hyperiona, żeby zapolować na kaczkę czy półkolce, jeszcze bogatsi od nich hazardziści odwiedzali kasyna Dziewięciu Ogonów, gdzie pracowałem jako wykidajło; spotkałem też paru w naszej Straży Planetarnej - zapewne schronili się tam przed sprawiedliwością Paxu. Niską, masywną sylwetką przypominali mi tych świetnie umięśnionych biegaczy, którzy niestrudzenie truchtali teraz wzdłuż rzeki niczym prymitywne, choć potężne maszyny parowe.

Nikt nie zwrócił uwagi na mój kajak, co o tyle mnie zaskoczyło, że z punktu widzenia tubylców musiałem pojawić się znikąd: ot, nagle zmaterializowałem się z powietrza w kajaku pod portalem, który miałem teraz za plecami.

Odwróciwszy się od razu zrozumiałem, czemu nikt się mną nie zainteresował. Transmitter był oczywiście bardzo, bardzo stary - pochodził przecież z epoki Hegemonii i Tetydy - toteż z czasem wbudowano go w mury Kopców; platformy i podwieszane chodniki krzyżowały się nad nim, rzucając głęboki cień na leżący dokładnie u jego stóp fragment kanału czy rzeki. Kiedy tak patrzyłem do tyłu, z półmroku wynurzyła się mała motorówka, wpadła w smugę padającego z góry żółtego, sodowego światła i pojawiła się pozornie znikąd — dokładnie tak, jak przed chwilą ja.

Opatulony w sweter i kurtkę, zapakowany w nylonowy fartuch kajaka, wyglądałem pewnie równie masywnie, co przeciętny

Luzyjczyk. Mijający mnie kobieta i mężczyzna na nartach odrzutowych zamachali przyjaźnie rękoma.

Odpowiedziałem im tym samym gestem.

— Jezu Chryste - szepnąłem jeszcze raz, choć tym razem bardziej przypominało to modlitwę niż cokolwiek innego. Komlog nie zareagował.

Znów pozwolę sobie na krótką przerwę.

Z początku zamierzałem ze szczegółami opisać moją planetarną odyseję, mimo stale obecnej i nakazującej pośpiech groźby w postaci kapsułki z gazem, który miałby zostać wprowadzony do zamkniętej atmosfery mojego pudełka dla kota. Prawdą jest, iż odkąd cztery lata wcześniej przybyliśmy z Eneą na bezpieczną Starą Ziemię, nie przeżywałem prawdziwie interesujących przygód.

Przez trzydzieści parę godzin, odkąd Enea poinformowała o swej nieodwołalnej decyzji wysłania mnie w podróż przez transmitter, zakładałem oczywiście, że wędrówka będzie przebiegała podobnie: wyruszywszy z Renesansu przemierzaliśmy w większości opustoszałe, bezludne planety - Hebron, Qom-Rijad, Bożą Knieję i inne, nienazwane światy, takie jak ten porośnięty dżunglą, gdzie zostawiliśmy statek konsula. Tylko raz natknęliśmy się na ludzi - jak na ironię stało się to na Marę Infinitus, rzadko zaludnionej, w całości pokrytej oceanami planecie - i kontakt ten omal nie doprowadził do katastrofy dla wszystkich zainteresowanych: ja wysadziłem w powietrze większą część ich pływającej platformy, oni zaś pojмали mnie, dźgnęli nożem, ostrzelali i prawie utopili. Straciłem przy okazji większość cennego ekwipunku, nie wyłączając prastarej maty grawitacyjnej, przekazywanej z pokolenia na pokolenie od czasów Siri i Merina, oraz równie antycznego pistoletu kaliber 45, o którym lubiłem myśleć, że należał do matki Enei, Brawne Lamii.

Tym niemniej większość spływu Tetydą prowadziła mnie, A. Bettika i Eneę przez bezludne miejsca - w tym złowrogo opustoszały Hebron i Qom-Rijad, gdzie mieliśmy wrażenie, że jakieś koszmarnie wydarzenia nagle wykosiły całą populację. Nie spotkaliśmy nikogo, kto mógłby sprawić nam kłopoty.

Tu było inaczej. Lusus wprost tętnił życiem, kipiał gorączkową aktywnością. Pierwszy raz zrozumiałem, dlaczego pokrywające większość planety, podobne do plastrów miodu budowle kojarzą się ludziom z kopcami termitów.

Przepluwając przez wyludnione okolice mieliśmy wolną rękę, żeby robić co nam się żywnie podoba. Teraz zaś, siedząc samotnie i bez broni w maleńkim kajaku, zaczynałem machać ręką policjantom Paxu i ponownie narodzonym księżom. Betonowy, wyłożony plastikiem kanał miał w tym miejscu najwyżej trzydzieści metrów szerokości; próżno by szukać dochodzących doń dopływów czy załomów, w których mógłbym się ukryć. Pod mostami i biegnącymi górą chodnikami zalegał cień, ale ruch na rzece nie ustawał ani na moment. Nie było się gdzie schować.

Przyszło mi nagle do głowy, że podróżowanie przez transmitery jest kompletnym wariactwem. Ubierałem się zupełnie inaczej niż mieszkańcy Lususa, toteż wysiadłszy z kajaka natychmiast zwróciłbym na siebie ich uwagę. Byłem drobniejszej budowy, mówiłem z hyperiońskim akcentem, nie miałem pieniędzy, prawa jazdy na EMV, żadnych chipów identyfikacyjnych, dokumentów parafialnych Paxu ani świadectwa zameldowania. Zatrzymałem się na chwilę przy nadbrzeżnej knajpie: na samą myśl o stekach, których woń, niesiona falą powietrza z wentylatorów, snuła się ponad rzeką, zacząłem się ślinić; wraz z nią do moich nozdrzy dotarł lekko pleśniowy zapach beczkowego piwa. Bałem się jednak, że odwiedziwszy takie miejsce zostałbym w dwie minuty aresztowany.

W epoce Paxu ludzie wciąż podróżowali między planetami, ale wycieczki takie należały do rzadkości, a już z pewnością nikt nie podejmował ich bez odpowiedniego zezwolenia, wydanego przez władze Paxu. Zabawiali się w ten sposób głównie milionerzy, biznesmeni i poszukiwacze przygód, gotowi spędzić kilka miesięcy w śnie kriogenicznym i zapłacić za przelot kilkoma latami długu czasowego, by statkiem Mercantilusa przemierzyć fragment międzygwiazdnej pustki. Mieli przy tym błogą świadomość, iż dzięki krzyżokształtom zastaną po powrocie rodzinę, dom i pracę w nie zmienionym stanie, charakteryzującym chrześcijański wszechświat ponownie narodzonych. W barze nie musiałbym długo czekać, żeby właściciel albo któryś z gości zawiadomił miejscową policję czy żandarmerię Paxu, a wówczas od razu wydałoby się, że nie mam krzyżokształtu — a więc jestem niewiernym.

Oblizalem wargi, posłuchałem burczenia w brzuchu, po czym z bolącymi z wysiłku przy zwiększonej grawitacji ramionami i łzawiącymi z niewyspania oczyma, ruszyłem dalej w dół rzeki. Miałem nadzieję, że następny transponder nie znajduje się zbyt daleko.

Teraz jednak opieram się pokusie opisanie wszystkich cudownych widoków i dźwięków, przygodnie spotkanych ludzi i ryzyka bliższych z nimi kontaktów. Nigdy przedtem nie byłem na planecie, która byłaby tak gęsto zaludniona, tak zatłoczona, tak zamknięta jak Lusus, i z pewnością dobry miesiąc zajęłoby mi zwiedzenie choćby tego jednego Kopca, który dostrzegłem z kajaka.

Po sześciu godzinach spływu betonowym kanałem przepłynąłem pod łukiem transpondera i znalazłem się na Freude, gęsto zaludnionej, ożywionej planecie, o której niewiele wiedziałem; pewnie nawet bym jej nie rozpoznał, gdyby nie komlog, który wspomógł mnie zawartością swoich zapisów nawigacyjnych. Tu wreszcie zdołałem się przespać, ukrywając kajak w pięciometrowej rurze do odprowadzania ścieków i

zwinąwszy się w kłębek pod przykryciem z pasemek plastowlókna, zaplątanych w ogrodzenie z metalowej siatki.

Na Freude przespałem cały dzień i noc standardową, ale ponieważ doba miała tu trzydzieści dziewięć godzin, wieczorem tego samego dnia, którego przybyłem, znalazłem następny transmiter. Stał w nurcie rzeki niespełna pięć kilometrów od tego, przez który przybyłem.

Ze słonecznej Freude, zamieszkaney przez obywateli Paxu odzianych w wyrafinowane, barwne stroje, Tetyda przeniosła mnie na Nigdy Więcej, z jej wykutymi w skale wioskami, przycupniętymi na krawędzi kanionu zamczyskami i wiecznie pochmurnym niebem. Nocą komety rozświetlały niebo, po którym przemykały latające stwory. Z początku wziąłem je za olbrzymie kruki i dopiero po jakimś czasie doszedłem do wniosku, że bardziej przypominają wielkie nietoperze: ich błoniaste skrzydła rzucały cienie na powierzchnię rzeki, gdy śmigały tuż nad wodą.

Flisacy prowadzący handlowe tratwy machali do mnie dziarsko, więc odpowiadałem na ich pozdrowienia, płynąc wprost ku bystrzom, które omal nie wywróciły mojej łódeczki, a moje skromne umiejętności kajakarskie poddały srogiej próbie. Z poznaczonych głębokimi otworami okiennymi fortec Nigdy Więcej dobiegało pohukiwanie syren, gdy wiosłując wściekle wpadłem pod następny portal. Żar lał się z nieba, gdy wynurzyłem się spod transmitera na pustynnej planetce, którą komlog zidentyfikował jako Vitus-Gray-

Balianusa B. Nigdy o niej nie słyszałem; jej nazwa nie figurowała nawet w starych atlasach Hegemonii, które Starowina trzymała u siebie w wozie; przy każdej okazji zakradałem się do niej, by pooglądać je przy świetle latarki.

Płynąc Tetydą we troje trafialiśmy już na planety, które pokrywała pustynia, był to jednak dziwnie pusty Hebron i podobnie bezludny Qom-Rijad, gdzie ani w miastach, ani poza nimi nie pozostał ślad życia.

Tymczasem na Vitus-Gray-Balianusie B wykonane z wysuszonej gliny domy kuliły się tuż przy brzegu, a mniej więcej w kilometrowych odstępach napotykałem śluzy, przez które większość wody odprowadzano na zielone pola, ciągnące się wzdłuż rzeki. Na moje szczęście, wszystko wskazywało na to, że Tetydą zastępuje tu główną ulicę i stanowi zatłoczony szlak komunikacyjny, toteż wynurzywszy się spod portalu w cieniu ogromnej barki mogłem spokojnie wiosłować wprost przed siebie, nie zwracając uwagi pozostałych uczestników ruchu sterników skif-Fów, tratw, barek, holowników, elektrycznych motorówek, łodzi mieszkalnych i przemykających tu i ówdzie trzy metry nad wodą barek lewitacyjnych.

Ciążenie zmniejszyło się znacznie i odpowiadało mniej więcej dwóm trzecim ziemskiej czy hyperiońskiej grawitacji, chwilami odnosiłem więc wrażenie, że pchnięcia wiosła wyrzucą mnie wraz z kajakiem w powietrze. Ale o ile grawitacja mi nie dokuczała, o tyle oślepiające światło i upał wgniatały w kokpit niczym olbrzymie, spocone łapsko. Po półgodzinie wiosłowania opróżniłem do dna drugą manierkę i wiedziałem już, że muszę zacząć się rozglądać za miejscem, w którym mógłbym uzupełnić zapas wody.

Wydawałoby się, że mieszkańcy planety o zmniejszonej grawitacji powinni przypominać tyczki do grochu, stanowić pionową antytezę baryłkowatych Luzyjczyków. Tymczasem większość mężczyzn, kobiet i dzieci, których widziałem na ulicach i ścieżkach holowniczych, okazała się równie krępa i niska, jak mieszkańcy Lususa. Nosili wielobarwne, różnorodne stroje, w czym przypominali tubylców z Freude, chociaż tutaj każdy wyróżniał się z tłumu jedną, dominującą barwą: jedni mieli na sobie obcisłe, opinające ich od stóp do głów szkarłatne kombinezony, inni lazurowe płaszcze i kamizelki, jeszcze inni szaty z kłującej w oczy szafirem materii (a do kompletu szafirowe kapelusze i szale); nie brakowało też przelewających się, szyfonowych

żółci i bursztynowych turbanów. Kiedy zwróciłem uwagę, że podobnie malowane są drzwi i okiennice glinianych domów, sklepów i karczm, zacząłem się zastanawiać nad znaczeniem tej symboliki: czyżby w ten sposób zaznaczano przynależność do kast? Sygnalizowano preferencje polityczne? Status społeczny bądź ekonomiczny? Pokrewieństwo? Wiedziałem, że w moim khaki i spranej bawełnianej koszuli nie wtopię się w tłum, gdy wyjdę na brzeg poszukać czegoś do picia.

Nie miałem jednak wyboru: musiałem albo przybić do brzegu, albo umrzeć z pragnienia. Minąwszy więc jedną z samoobsługowych śluz podpłynąłem do pomostu, przycumowałem kajak, podskakujący na falach wywołanych przez mijającą mnie potężną barkę, i podszedłem do kolistej, drewnianoglinianej konstrukcji, co do której miałem nadzieję, że okaże się studnią artezyjską. Widziałem wcześniej, jak odziane w szafran kobiety odchodząc od budowli niosły coś, co przypominało dzbany z wodą, podejrzewałem zatem, że się nie mylę. Kłopot w tym, że nijak nie mogłem być pewien, iż nabierając samodzielnie wody nie naruszę jakiegoś lokalnego prawa, tabu, reguły kastowej, przykazania religijnego czy tradycji. Na biegnących wzdłuż rzeki drózkach nie zauważyłem dotąd żadnych oznak obecności Paxu - ani czarnej sutanny księdza, ani czerwono-czarnego, standardowego munduru policjanta - ale to jeszcze o niczym nie świadczyło. Nawet na Pograniczu, gdzie, jak podpowiedział mi komlog, znajdował się Vitus-Gray-Balianus B, istniało bardzo niewiele planet, na których Pax nie zainstalowałaby się na dobre. Dyskretnie przełożyłem ukryty w pochwie nóż myśliwski z plecaka do tylnej kieszeni pod kamizelką; jedyny plan, jaki ułożyłem sobie w myśli, polegał na zastraszeniu nim tubylców i utorowaniu sobie drogi powrotnej do kajaka, jeśli wokół mnie zbierze się tłum. Gdyby na miejscu zjawili się policjanci Paxu, uzbrojeni w ogłuszacze i kartaczownice, moja podróż szybko by się skończyła.

I tak miała wkrótce dobiec końca - przynajmniej na jakiś czas - i to z najróżniejszych powodów, na razie jednak nic tego nie zapowiadało, jeśli nie liczyć bólu w plecach, który towarzyszył mi już od Lususa. Zbliżyłem się więc do czegoś, co wyglądało na studnię.

I było studnią.

Nikt nie zwrócił uwagi na mój wyjątkowy wzrost ani poszarzały strój. Nikt mnie nie zaczepił ani nie zareagował w widoczny sposób na pojawienie się obcego; nawet dzieci, przystrojone w jaskrawe czerwienie i błyszczące błękity, tylko na moment oderwały się od zabawy i posłały mi jedno przelotne spojrzenie. Pijąc do syta, a następnie napełniając obydwie butelki, nie mogłem oprzeć się niewytłumaczalnemu wrażeniu, iż mieszkańcy Vitus-

Gray-Balianusa B, a przynajmniej tej wioski, położonej nad brzegami wymarłej dawno temu Tetydy, są po prostu nazbyt grzeczni, by pokazywać mnie sobie palcami i wypytywać, co u nich robię. Zakręciłem drugą butelkę i zawróciłem w stronę kajaka. Podejrzywałem, że nawet trzygłowy, zmutowany potwór czy wręcz sam Chyżwar - żeby poprzestać na bardziej realnych dziwolągach - mógłby owego miłego popołudnia zaczerpnąć wody z ich studni, a ci ludzie nie odezwaliby się ani słowem.

Zrobiłem trzy kroki wydeptaną ścieżką, gdy dopadło mnie pierwsze uderzenie bólu. Najpierw zgiąłem się w pół, niezdolny nabrać powietrza w płuca, po czym upadłem na jedno kolano i przewróciłem się na bok. Zwinąłem się w kłębek; ból był wszechogarniający. Z pewnością zacząłbym krzyczeć, gdybym tylko mógł oddychać i miał dość sił. Dysząc jak wyrzucona na piasek ryba skuliłem się jeszcze bardziej w pozycji płodowej i dałem się ponieść falom bólu.

Powinienem chyba w tym miejscu nadmieniść, że miałem pewną wprawę w radzeniu sobie z cierpieniem. Kiedy służyłem w Straży Planetarnej, widziałem raport wojskowy, z którego wynikało, że

większość poborowych wysyłanych do walki z rebeliantami na Pazurze wykazuje niewielką odporność na ból. Wychowani w miastach północnej Aquili i cywilizowanych osiedlach Dziewięciu Ogonów, nie mieli do czynienia z niczym, czego nie dałoby się uśmierzyć jedną pigułką czy szybką kuracją u autochirurga.

Ja zaś pochodziłem z prowincji i jako pasterz miałem nieco większe doświadczenie w przewyciężaniu cierpień cielesnych: przypadkowe skaleczenia nożem, stopa złamana pod naciskiem nogi pakbryda, siniaki i otarcia, będące wynikiem upadków, wstrząs mózgu przy okazji klanowych zawodów zapaśniczych, odparzenia odjazdy konnej, stłuczone wargi i podbite oczy po bójkach przy ognisku... A na Szelfie Lodowym odniosłem trzy rany: dwukrotnie trafiły mnie odłamki min, które zabiły mi kumpli, trzeci raz ustrzelił mnie snajper z lasera dalekiego zasięgu; ta ostatnia rana okazała się na tyle poważna, że sprowadzony czym prędzej ksiądz gorąco namawiał mnie do przyjęcia krzyżosztątu.

Nigdy jednak nie cierpiałem podobnych katuszy.

Pojękując i dysząc ciężko zwróciłem w końcu na siebie uwagę ugrzecznonych, obojętnych tubylców. Podniosłem do ust komlog i zażądałem wyjaśnienia, co się ze mną dzieje. Nie odpowiedział. Między jedną falą otepiającego bólu a drugą zapytałem ponownie. Komlog nadal milczał, aż wreszcie przypomniałem sobie, że przestawiłem go w tryb grzecznego dziecka. Wywołałem go jeszcze raz, tym razem używając jego nazwy, i powtórzyłem pytanie.

— Czy mam uruchomić nieaktywne biosensory, M. Endymion? - odpowiedziała pytaniem debilna Sztuczna Inteligencja.

Nie wiedziałem nawet, że ma wbudowane jakieś biosensory, aktywne czy nie. Niezbyt grzecznym warknięciem wyraziłem zgodę i zwinąłem się w kulkę, jeszcze bardziej upodabniając się do embriona. Czuję się tak, jakby ktoś wbił mi w plecy opatrzony zadziarami nóż,

a teraz obracał go w ranie. Ból przepływał przez całe ciało niczym prąd po drucie. Zwymiotowałem na piasek. Piękna kobieta w bielusińskich szatach cofnęła się o krok i uniosła biały sandał.

— Co to jest? - wyjęczałem wykorzystując trwającą ułamek sekundy przerwę między ruchami haczykowatego ostrza. - Co się dzieje?

Wolną rękę wykręciłem do tyłu i pomacałem się po plecach w poszukiwaniu krwi albo sterczącej mi spod żeber strzały czy włóczni. Nic nie znalazłem.

— Znajduje się pan na krawędzi wstrząsu pourazowego, M. Endymion - odparła głupia SI ze statku konsula. - Wskazuje na to ciśnienie krwi, oporność skóry, tętno i poziom atropiny.

— Ale dlaczego? - zapytałem, przeciągając ostatnią sylabę w długi jęk, kiedy ból rozplynał się z pleców po innych częściach ciała. Znów się porzygałem; miałem pusty żołądek, ale odruch wymiotny nie ustępował. Kolorowo odziani mieszkańcy Vitus-

Gray-

Balianusa B nie podchodzili bliżej, nie zbijali się w zaciekawioną grupkę, nie przyglądali mi się wścibsko, nie wymieniali szeptem uwag. Widziałem jednak, że czekają, co się będzie działo.

— Co się dzieje? - powtórzyłem szeptem, kierując moje słowa do komlogu. - Co może dawać takie objawy?

— Postrzał z broni palnej - odpowiedział mi cieniutki, metaliczny głosik. - Rana kłuta: włócznia, strzała, nóż, metalowa lotka. Trafienie z broni energetycznej: lanca, laser, miotacz omega, nóż pulsacyjny. Strzał z kartaczownicy. A także prawdopodobnie długa, cienka igła, przebijająca górną część nerki, wątrobę i śledzionę.

Wijąc się na ziemi, znów sięgnąłem na plecy, wyjąłem nóż i odrzuciłem go na bok. Kamizelka i koszula nie zdradzały ani śladu uszkodzeń; żaden ostry przedmiot nie przebił mi skóry. Targnęła mną kolejna fala bólu. Jęknąłem donośnie. Nie zdarzyło mi się to ani

wówczas, gdy snajper trafił mnie na Szelfie, ani kiedy bryd wujka Wani zmiążdżył mi stopę.

Formułowanie racjonalnych myśli przychodziło mi wprawdzie z coraz większym trudem, rozumowanie moje przebiegało jednak mniej więcej następującym torem: mieszkańcy Vitus-Gray-Balianusa B... w nie wiem jak... siła woli... trucizna... w wodzie... niewidzialne promienie... kara za...

Dałem sobie spokój i jęknąłem jeszcze raz. Ktoś odziany w jasnoniebieską koszulę albo togę i nowiusieńkie sandały, z których wзираły pomalowane na niebiesko paznokcie, podszedł bliżej.

— Bardzo pana przepraszam - usłyszałem łagodny głos, przemawiający z dziwnym akcentem w starym angielskim, używanym w Sieci. - Ma pan jakieś kłopoty?

— Aaarrgghhhggghuhh - odpowiedziałem, dorzucając jeszcze kilka charkotów charakterystycznych dla wymiotowania przy pustym żołądku.

— Czy w takim razie moglibyśmy panu jakoś pomóc? - dobiegł mnie ten sam głos, dobywający się gdzieś sponad błękitnej togi.

— Oouu... ahrrgghah... nnrrehhakk - odrzekłem niemal tracąc przytomność. Przed oczami tańczyły mi czarne plamy, które w końcu przesłoniły sandały i niebieskie paznokcie. Ból jednak nie ustawał. .. nie mogłem przed nim uciec w nieświadomość.

Dookoła zaszleściły szaty; poczułem zapach perfum, wody kolońskiej, mydła... Silne dłonie złapały mnie za ręce i nogi i podparły z boków. Przy pierwszej próbie podniesienia mnie z ziemi rozpalony do czerwoności pręt przeszył mi plecy i dosięgnął! podstawy czaszki.

7

Wielkiemu Inkwizytorowi kazano stawić się wraz z asystentem na audiencji u papieża o godzinie ósmej rano czasu watykańskiego. O siódmej pięćdziesiąt dwie czarny EMV zatrzymał się na punkcie kontrolnym przy Via del Belvedere, przed wejściem do apartamentów papieskich. Inkwizytor w towarzystwie ojca Farrella przeszli przez bramkę detektora, a potem trzykrotnie poddali się kontroli funkcjonariuszy z ręcznymi wykrywaczami: najpierw sprawdzili ich Szwajcarzy ze straży papieskiej, później funkcjonariusze z posterunku Gwardii Palatyńskiej, a na koniec żołnierze Gwardii Szlacheckiej.

Podczas tej ostatniej kontroli John Domenico kardynał Mustafa, Wielki Inkwizytor, posłał swemu sekretarzowi najdyskretniejsze z dyskretnych, ale nader znaczące spojrzenie. W skład Gwardii Szlacheckiej musiały wchodzić klonowane bliźnięta, mężczyźni i kobiety o gładkich włosach, żółtawej cerze i nieporuszoną spojrzeniem. Mustafa wiedział, że przed tysiącem lat Gwardia Szwajcarska składała się z opłacanych przez Stolicę Apostolską najemników, Palatyńska - z zaufanych obywateli Rzymu, Szlachecka zaś z arystokratów, dla których powołanie do Gwardii stanowiło nagrodę za lojalność wobec papieża. Teraz Szwajcarzy stanowili elitę elit regularnych wojsk Floty Paxu, Palatynów Juliusz XIV rekonstruował zaledwie przed rokiem, natomiast Urban XVI najwyraźniej zatrudniał członków tajemniczej Gwardii Szlacheckiej jako swą ochronę osobistą.

Wielki Inkwizytor zdawał sobie sprawę, iż faktycznie mają do czynienia z klonami, prototypami tworzonego w najgłębszym sekrecie Legionu - awangardy nowych sił zbrojnych, którą na żądanie papieża i jego Sekretarza Stanu zaprojektowało TechnoCentrum. Te informacje drogo Mustafę kosztowały; wiedział doskonale, że ryzykuje utratę

stanowiska - a może wręcz życia - gdyby Lourdusamy albo Jego Świątobliwość odkryli, co wie.

Minąwszy posterunki na dolnym poziomie, Mustafa odprawił pomocnika ze służby papieskiej, który zaproponował, że zaprowadzi ich na górę. Ojciec Farrell poprawiał jeszcze sutannę po ostatniej rewizji, gdy kardynał osobiście otworzył drzwi zabytkowej windy, która miała ich zawieźć do apartamentów Urbana XVI.

Prywatna droga do komnat papieża zaczynała się pod ziemią, gdyż zrekonstruowany Watykan wybudowano na wzgórzu, z wejściem na końcu Via del Belvedere schodzącym poniżej poziomu gruntu. Winda jadąc w górę pojękiwała z cicha, ojciec Farrell nerwowo bębnił palcami w rejestrator i teczkę z papierami, Wielki Inkwizytor zaś pozwolił sobie na chwilę relaksu. Minęli położony na poziomie parteru dziedziniec San Damaso, a później pierwsze piętro ze wspaniałymi Apartamentami Borgiów i Kaplicą Sykstyńską. Skrzypiąca i piszcząca winda zostawiła w dole robocze apartamenty papieża, Konsystorz, bibliotekę, pokój audiencyjny i cudowne Komnaty Rafaela. Na drugim piętrze stanęła i drzwi otworzyły się z trzaskiem.

Kardynał Lourdusamy i jego asystent, monsignore Lucas Oddi, powitali ich skinieniem głowy i uśmiechami.

— Domenico - rzekł Lourdusamy i uścisnął dłoń Wielkiego Inkwizytora.

— Simon Augustino - odparł kłaniając się gość. A więc Sekretarz Stanu miał uczestniczyć w audiencji; Inkwizytor spodziewał się tego - i obawiał. Kiedy ruszyli we czterech do papieskich apartamentów, Mustafa zerknął w korytarz prowadzący do biur Sekretarza Stanu i po raz dziesięcioletni pozazdrościł Lourdusamy'emu bliskiego dostępu do Ojca Świętego.

Papież przywitał gości na szerokiej, jasno oświetlonej galerii, łączącej Sekretariat z jego apartamentami, położonymi na dwóch

kolejnych piętrach. Urban XVI, zazwyczaj tak poważny, uśmiechał się szeroko. Ubrany był w białą sutannę, na głowie miał białe zuchetto, w pasie przewiązał się równie białą szarfą; białe trzewiki szurały cicho na terakotowych posadzkach.

— Ach, Domenico - rzekł papież, podając kardynałowi pierścień do ucałowania. - Simon. Cieszę się, że przyszliście.

Ojciec Farrell i monsignore Oddi czekali przyklękawszy na jedno kolano, aż Ojciec Święty odwróci się i im także podsunie pierścień świętego Piotra.

Wielki Inkwizytor zauważył, że Jego Świątobliwość wygląda znakomicie, jakby odmłodził i wypoczął od dni poprzedzających ostatnią śmierć. Wysokie czoło i jasne oczy nie zmieniły się, ale Mustafa miał wrażenie, że w osobie papieża uwidoczniła się zarówno jakaś gotowość do działania, jak i zadowolenie.

— Udawaliśmy się właśnie na poranną przechadzkę do ogrodu - powiedział Jego Świątobliwość. - Czy zechcielibyście się do nas przyłączyć?

Czterej mężczyźni skinęli głowami i szybkim krokiem ruszyli za papieżem. Przemierzyli galerię i po gładkich, szerokich schodach wyszli na dach. Osobiści służący papieża zachowywali należyty dystans, Szwajcarzy u wejścia do ogrodu stali na baczność ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń, Lourdusamy i Wielki Inkwizytor szli dosłownie o krok za Ojcem Świętym, a monsignore Oddi i ojciec Farrell podążali następne pół kroku z tyłu.

Ogrody papieskie przypominały prawdziwy labirynt kwiatnych szpalerów, tryskających fontann, ciekących strumyków, idealnie przystrzyżonych żywopłotów, kamiennych ścieżek, precudnie kwitnących krzewów i odpowiednio przyciętych drzew, zwiezionych tu z trzystu planet Paxu. Osłaniające ogród pole siłowe dziesiątej klasy, przezroczyste od środka, a całkowicie zmatowione z zewnątrz,

zapewniało zarówno prywatność, jak i ochronę. Bezchmurne niebo nad Pacem miało tego ranka kolor czystego błękitu.

— Czy któryś z was pamięta czasy, gdy nasze niebo było żółte? - zapytał Jego Świątobliwość, kiedy ruszyli żwawo ścieżką.

Z piersi kardynała Lourdusamy dobył się basowy pomruk, który uchodził u niego za śmiech.

— Ależ tak - rzekł Sekretarz Stanu. - Pamiętam ohydny żółć nieba, powietrze prawie nie nadające się do oddychania, wieczne zimno i nieustające deszcze. Pacem była wtedy marginalną planetą. Tylko dlatego Hegemonia zgodziła się, by Kościół się na niej osiedlił.

Urban XVI uśmiechnął się lekko i podniósł rękę ku błękitnemu niebu i roztaczającemu ciepło słońcu.

— Czyli podczas naszej służby na Pacem trochę się jednak zmieniło, co, Simon Augustino?

Obaj kardynałowie zawtórowali mu śmiechem. Obeszli już położony na dachu ogród dookoła i Jego Świątobliwość skręcił na ścieżkę biegnącą w poprzek ogrodu. Przystępując z kamienia na kamień na wąskiej ścieżynce, kardynałowie wraz z asystentami gęsiego poszli w jego ślady. Nagle papież zatrzymał się w miejscu i odwrócił. Za jego plecami łagodnie szumiała fontanna.

— Czy słyszeliście już o tym, że grupa uderzeniowa admirała Aldikacti dokonała wypadu poza obręb Wielkiego Muru? - zapytał. Wszelkie nutki wesołości bez śladu zniknęły z jego głosu.

Obaj kardynałowie skinęli potakująco głowami.

— To dopiero pierwszy z wielu takich rajdów - powiedział Urban XVI. - Nie powiedzieliśmy „Mam nadzieję”... Nie próbujemy tego przewidywać... My to wiemy.

Przełożony Świętego Oficjum, Sekretarz Stanu i ich asystenci czekali w milczeniu. Papież spojrział po kolei na każdego z nich.

— Dziś wieczorem, przyjaciele, udajemy się do Castel Gandolfo...

Wielki Inkwizytor powstrzymał się od zerknięcia w górę, wiedząc, że papieskiej asteroidy i tak za dnia nie widać. Rozumiał również, że „my” w słowach Urbana XVI odnosiło się tylko do samego papieża, który nie zapraszał bynajmniej Mustafy i Lourdusamy’ego do Castel Gandolfo.

... gdzie przez kilka dni zamierzamy się modlić i medytować, pracując nad następną encykliką. Będzie ona zatytułowana „Redemptor Hominis” i stanie się najważniejszym dokumentem, wydanym podczas sprawowania przez nas urzędu pasterza Kościoła Świętego.

Wielki Inkwizytor skłonił głowę. „Odkupiciel ludzkości”, pomyślał. To może oznaczać cokolwiek.

Kiedy podniósł wzrok, Jego Świątobliwość uśmiechał się, jakby czytał w jego myślach.

— Encyklika będzie dotyczyła naszego świętego obowiązku, jakim jest nadzorowanie, by ludzkość pozostała ludzkością, Domenico - rzekł papież. - Będzie rozszerzeniem, wyjaśnieniem i komentarzem do dokumentu, który znacie pod nazwą „Encykliki o krucjacie”. Wyrazi życzenie naszego Pana... Nie, nie życzenie... przykazanie, by człowiek pozostał człowiekiem, by nie plugawiły go rozmyślne okaleczenia i mutacje.

— Ostateczne rozwiązanie kwestii Intruzów - mruknął kardynał Lourdusamy,

Jego Świątobliwość skinął niecierpliwie głową.

— Nie tylko. „Redemptor Hominis” zajmie się też rolą Kościoła w kształtowaniu przyszłości, moi przyjaciele. W pewnym sensie wytyczy kierunki jego działania na najbliższe tysiąclecie.

Matko Przenajświętsza, pomyślał Wielki Inkwizytor.

— Pax jest niezwykle użytecznym instrumentem - ciągnął Ojciec Święty - ale w nadchodzących dniach, miesiącach i latach utorujemy

Kościółowi drogę do bardziej czynnego uczestniczenia w codziennym życiu wszystkich chrześcijan.

Czyli planety Paxu znajdują się pod jeszcze ściślejszą kontrolą papieża, powiedział w myślach kardynał Mustafa, wciąż nie podnosząc wzroku i z uwagą słuchając słów Urbana XVI. Ale jak... Dzięki czemu?

Papież znów się uśmiechnął, a Inkwizytor zauważył, nie po raz pierwszy zresztą, że uśmiech ten nie sięga zmęczonych, zbolałych oczu.

— Z chwilą wydania encykliki lepiej zrozumiecie rolę, jaką wyznaczamy Świętemu Oficjum, korpusowi dyplomatycznemu oraz takim niewykorzystanym instytucjom, jak Opus Dei, Papieska Komisja Sprawiedliwości i Pokoju czy Cór Unum.

Wielki Inkwizytor z najwyższym wysiłkiem ukrył zaskoczenie. Cór Unum? Komisja Papieska, której oficjalna nazwa brzmiała Pontificum Consilium „Cór Unum” de Humana et Christiana Progressione Fovenda, od stuleci była jednym z najmniej znaczących oficjalnych ciał w Stolicy Apostolskiej. Mustafa musiał się nieźle postarać, żeby przypomnieć sobie, kto jest jej przewodniczącym... Chyba kardynał Du Noyer, pomniejsza biurokratka; stara kobieta, która nigdy się w watykańskiej polityce nie liczyła. O co tu, do diabła, chodzi?

— Żyjemy w ciekawych czasach - zauważył kardynał Lourdusamy.

— W rzeczy samej - przytaknął mu Wielki Inkwizytor. Przypomniało mu się stare chińskie przekleństwo.

Papież znów ruszył przed siebie, a jego goście pospieszyli, by dotrzymać mu kroku. Leciutka bryza przenikała przez pole siłowe i szeleściła złocistymi kwiatami artystycznie przyciętego ostrodębu.

— W naszej nowej encyklice zajmiemy się również palącą kwestią lichwiarstwa w naszym społeczeństwie.

Wielki Inkwizytor omal się nie potknął z wrażenia i zadrobił nogami, żeby zrównać krok z Lourdusamym; coraz trudniej było mu

zachować obojętny wyraz twarzy. Prawie wyczuwał, jak zszokowany jest idący za nim Farrell.

Lichwiarstwa? Pomyślał. Kościół od trzystu lat reguluje handel z Mercantilusem... nikt nie życzy sobie powrotu do czasów czystego kapitalizmu, ale nikt też nie przesadza z tą kontrolą. Czyżby chodziło o skupienie całej politycznej i ekonomicznej władzy bezpośrednio w rękach Kościoła? Czy Juliusz... to znaczy Urban, czy odważy się teraz zlikwidować cywilną niezależność Paxu i skasować swobodny handel? A jaka jest w tym rola wojska?

Jego Świątobliwość zatrzymał się przy uroczym, obsypanym białym kwieciem krzewie o niebieskich liściach.

— Nasza iliryjska goryczka ma się doskonale - rzekł cicho. - To prezent od arcybiskupa Poskego z Galabii Pescassus.

Lichwa! Ta myśl nie dawała Mustafie spokoju. Pod groźbą ekskomuniki... utraty krzyżokształtu, w razie naruszenia ścisłych zasad kontroli i podziału zysków. Bezpośrednia interwencja Watykanu. Matko Boska...

— Nie dlatego was tu jednak zaprosiłem - mówił dalej papież. - Simon Augustino, czy zechciałbyś podzielić się z kardynałem Mustafą niepokojącymi wieściami, jakie wczoraj otrzymałeś?

Dowiedzieli się o naszych bioimplantach, spanikował Mustafa. Serce waliło mu jak młotem. Wiedzą o agentach, o próbach nawiązania kontaktu z Centrum... Wiedzą, że próbowaliśmy wysondować kardynałów przed konklawe... Wszystko się wydało!

Nie dał jednak nic po sobie poznać; jego twarz, zgodnie z oczekiwaniami, wyrażała czujność, zainteresowanie i obawę tylko w takiej mierze, w jakiej mogło je wzbudzić papieskie określenie „niepokojące”.

Olbrzymie ciało kardynała Lourdusamy drgnęło; basowe dudnienie zdawało się dobywać wprost z jego piersi czy trzewi, a w każdym razie

nie z ust. Stojący za nim monsignore Oddi przywodził Mustafie na myśl strachy na wróble, jakie za młodu widywał na rolniczym Renesansie Mniejszym.

— Chyżwar wrócił - oznajmił Lourdusamy.

Chyżwar? A cóż to ma wspólnego... Zwykle tak wyczulony i sprawny umysł zawodził Wielkiego Inkwizytora; nie nadążał za błyskawicznymi zmianami i nowinami. Mustafa wciąż spodziewał się pułapki. Kiedy zorientował się, że Sekretarz Stanu czeka na jego odpowiedź, rzekł cicho:

— Czy wojsko na Hyperionie sobie z nim poradzi, Simon Augustino? Żuchwa Lourdusamy'ego zadrżała, gdy kardynał pokiwał głową.

— Demon nie pojawił się na Hyperionie, Domenico.

Na twarzy Mustafy odbiło się należyte zaskoczenie. Z zeznań kaprała Kee wynika, że przed czterema laty potwór zjawił się na Bożej Kniei, najprawdopodobniej po to, by nie dopuścić do śmierci dziewczynki imieniem Enea. Żeby się tego dowiedzieć, musiałem sfingować śmierć Kee i wykraść go z Floty. Wiedzą o tym? Dlaczego teraz postanowili mi to powiedzieć?

Wielki Inkwizytor wciąż czekał, aż metaforyczne ostrze spadnie na jego odsłoniętą, jak najbardziej rzeczywistą szyję.

— Osiem dni standardowych temu monstrum, które musiało być Chyżwarem, zjawiło się na Marsie - mówił Lourdusamy. - Było wiele ofiar... wszyscy zginęli prawdziwą śmiercią, bo stwór powyrywał z ich ciał krzyżokształty.

— Na Marsie - powtórzył głupio Mustafa. Popatrzył na Ojca Świętego, jakby spodziewał się uzyskać od niego wyjaśnienie, wskazówkę, nawet usłyszeć słowa potępienia, których się spodziewał, lecz papieża całkowicie pochłonęła obserwacja pączków na krzaku róży. Ojciec Farrell zrobił krok do przodu, ale Inkwizytor zbył go machnięciem ręki. - Na Marsie?

Od dziesięcioleci, może nawet dłużej, nie czuł się tak głupi i niedoinformowany.

— Tak - uśmiechnął się Lourdusamy. - Na jednej z terraformowanych planet w układzie słonecznym Starej Ziemi. Przed Upadkiem znajdowało się tam centrum dowodzenia Armii, teraz Mars ma jednak niewielkie znaczenie dla Paxu. Leży zbyt daleko. Nie musisz o nim wiedzieć, Domenico.

— Wiem, gdzie leży Mars - zaproponował Wielki Inkwizytor, głosem o ton ostrzejszym, niż zamierzał. - Nie rozumiem tylko, jak Chyżwar mógł się tam znaleźć.

I co to ma wspólnego ze mną, do stu tysięcy diabłów?

Lourdusamy pokiwał głową.

— Owszem, zgodnie z tym, co wiemy, demon nigdy dotąd nie zapuszczał się poza Hyperiona. Tym razem nie ma jednak wątpliwości... Gubernator ogłosił stan pogotowia, arcybiskup Robeson zaś osobiście zwrócił się z prośbą o pomoc do Jego Świątobliwości.

Inkwizytor potarł w zamyśleniu policzek i też skinął głową.

— Flota Paxu...

— Oczywiście, jednostki floty stacjonujące w Starej Okolicy zostały już tam skierowane - przerwał mu Sekretarz Stanu. Papież pochylał się właśnie nad drzewkiem bonsai, gładząc drobne, wykrzywione gałązki Jakby udzielał błogosławieństwa. Sprawiał wrażenie, że nie słucha rozmowy kardynałów.

— Na okrętach znajduje się kontyngent marines i Gwardii Szwajcarskiej - ciągnął Lourdusamy. - Mamy nadzieję, że zmuszą stwora do kapitulacji i/lub go zniszczą.

Matka powtarzała mi zawsze, że bym nie ufał ludziom, którzy używają formuły „i/lub”, pomyślał Mustafa.

— Ależ oczywiście - rzekł. - Odprawię mszę w tej intencji.

Lourdusamy się uśmiechnął. Ojciec Święty podniósł na moment wzrok znad powykręcane drzewka.

— Właśnie - powiedział Sekretarz Stanu. W tych dwóch sylabach Mustafa usłyszał miękkie plaśnięcie łapy najedzonego kota, który bawi się Wielkim Inkwizytorem jak myszą. - Zgadząmy się więc, że jest to w większym stopniu kwestia wiary niż floty. Chyżwar, jak objawiono to Ojcu Świętemu przed ponad dwustu laty, jest prawdziwym demonem, może nawet najgroźniejszym wysłannikiem Złego.

Mustafa mógł tylko skinąć głową.

— Uważamy, że tylko Święte Oficjum dysponuje odpowiednim przeszkoleniem, wyposażeniem i jest stosownie przygotowane - materialnie i duchowo - by należycie zbadać tę sprawę... i ocalić bezbronnych marsjańskich mężczyzn, kobiety i dzieci.

O zesz kurwa, pomyślał John Domenico kardynał Mustafa, Wielki Inkwizytor i prefekt Świętego Zgromadzenia Doktryny Wiary, znanego również jako Najwyższe Zgromadzenie Świętej Inkwizycji. Automatycznie odmówił w myślach szybki Akt Skruchy za przekleństwo, które przemknęło mu przez głowę.

— Rozumiem - powiedział nic nie rozumiejąc, ale za to niemal uśmiechając się na myśl o sprycie jego przeciwników. - Natychmiast wyznaczę komisję...

— Nie, nie, nie, Domenico - wtrącił Jego Świątobliwość, który podszedł i złapał go pod ramię. - Musisz się tam udać jak najprędzej osobiście. To pojawienie się demona zagraża całemu Ciału Chrystusowemu.

— Udać się... - powtórzył otepiały Mustafa.

— Zażądaliśmy od Floty Paxu udostępnienia nam jednego z najnowszych okrętów klasy archanioł - wtrącił Lourdusamy. - Jego załoga liczy dwadzieścia osiem osób, ale możesz zabrać jeszcze

dwudziestu jeden członków personelu i służb bezpieczeństwa... to znaczy: dwudziestu jeden oprócz ciebie.

— Oczywiście - przytaknął z uśmiechem Mustafa. - Oczywiście.

— Nawet teraz, kiedy my tu rozmawiamy, Flota Paxu toczy walkę z materialnymi sługami Szatana, z Intruzami... - zadudnił Sekretarz Stanu. - Tego demona musimy jednak pokonać świętą mocą Kościoła.

— Ależ oczywiście - powtórzył Wielki Inkwizytor. Mars, pomyślał. Najbardziej oddalony pryszcz na dupie cywilizowanego wszechświata. Trzysta lat temu mógłbym skorzystać z komunikatora, ale teraz będę wyłączony z gry tak długo, jak długo zechcą mnie tam trzymać. Żadnych informacji, żadnej możliwości pokierowania ludźmi. No i Chyżwar... Jeżeli wciąż słucha rozkazów tego bluźnierczego Najwyższego Intelaktu z Centrum, może chceć mnie zabić, gdy tylko się tam pojawię. Fantastycznie. - Oczywiście - powiedział jeszcze raz. - Ojcie Świąty, kiedy mam wyjechać? Gdybym miał choć kilka dni czy tygodni na uporządkowanie bieżących spraw Świętego Oficjum...

Papież uśmiechnął się i ścisnął go za ramię.

— Archanioł już czeka, Domenico. Najlepiej byłoby, gdyby mógł wyruszyć za sześć godzin od teraz. Zbierz ludzi.

— Oczywiście - przytaknął Mustafa po raz ostatni i przyklęknął, żeby ucałować papieski pierścień.

— Niech Bóg będzie z tobą - rzekł Ojciec Świąty, dotykając schylonej w ukłonie głowy Inkwizytora, po czym udzielił mu bardziej oficjalnego błogosławieństwa po łacinie.

Dotknąwszy wargami pierścienia Wielki Inkwizytor poczuł w ustach kwaśny chłód kamienia i metalu. W duchu uśmiechał się z podziwu dla tych, których, jak mniemał, udało mu się przechytrzyć.

Pierwsza okazja do rozmowy z sierżantem Gregoriusem trafiła się ojcu kapitanowi de Sol dopiero w ostatnich chwilach przed skokiem „Rafaela” poza obszar Pogranicza.

Najpierw jednak dokonali translacji do nie oznaczonego na mapach układu gwiazdnego, leżącego dwadzieścia lat świetlnych za Wielkim Murem. Podobnie jak w przypadku Epsilonem Eridani, jądrem układu było słońce typu K, nie pomarańczowy karzeł jednak, lecz przypominający Arkturusa olbrzym.

Grupa uderzeniowa „Gedeon” bez przeszkód dotarła na miejsce, nowe, dwudniowe automatyczne komory zmartwychwstańcze zadziałały bez zarzutu i trzeci dzień zastał siedem archaniołów podczas wytracania prędkości w obrębie układu. Zaczynała się zabawa w kotka i myszkę z dziewięcioma wyposażonymi w napęd Hawkinga okrętami liniowymi, które przybyły tu wcześniej, po długiej, okupionej miesiącami długi czasowego podróży. Zadaniem archaniołów było znaleźć i zniszczyć ukrywające się w układzie olbrzymiej gwiazdy liniowce.

Trzy okręty znajdowały się daleko od centrum, w obłoku Oörta. Unosiły się swobodnie wśród protokomet, z wyłączonymi silnikami i nadajnikami, przestawiwszy systemy wewnętrzne na minimalny pobór mocy. „Uriel” namierzył je z odległości 0,86 roku świetlnego i wystrzelił w ich kierunku trzy wirtualne pociski hiperkineryczne. De Soya w towarzystwie pozostałych sześciorga kapitanów obserwował przebieg operacji w przestrzeni taktycznej: słońce świeciło gdzieś na wysokości ich talii, a lśniące nieco wyżej dwustukilometrowe smugi ognia, buchające z siedmiu silników jądrowych, przypominały diamentowe rysy na czarnym szkłe. Hologramy pojawiały się w postaci mgiełki, by po chwili zmaterializować się, a dotarwszy do obłoku Oörta ponownie rozpląnąć w nicości, kreśląc trajektorie hiperkinetycznych rakiet z „Uriela”. Wszystkie pociski znalazły nieruchome liniowce; dwa odnotowały zestrzelenie przeciwnika, trzeci zaś „poważne uszkodzenia; wysokie prawdopodobieństwo zestrzelenia”.

W układzie nie było ani jednej planety z prawdziwego zdarzenia, ale cztery z pozostałych sześciu liniowców czaiły się w zasadzce w pierścieniu akrecyjnym w płaszczyźnie ekliptyki. „Remiel”, „Gabriel” i „Rafael” ostrzelały je z dużej odległości i zapisały na swoim koncie trafienia, zanim czujniki okrętów zdążyły choćby zarejestrować ich obecność.

Ostatnie dwa liniowce schowały się w heliosferze głównej gwiazdy układu. Okryte polem siłowym dziesiątej klasy, odprowadzały ciepło ciągnącymi się na pół miliona kilometrów wiązkami monowłókien. Dowództwo floty nie pochwalało tego rodzaju manewrów podczas symulowanych potyczek, ale de Soya nie mógł powstrzymać uśmiechu na myśl o odwadze dowódców: dziesięć lat wcześniej sam postąpiłby identycznie.

Oba okręty wyskoczyły nagle z wnętrza gwiazdy z maksymalnym przyspieszeniem. Ponieważ ich pola siłowe, chcąc zapobiec przegrzaniu statków, emitowały energię we wszystkich zakresach, także w paśmie widzialnym, liniowce upodobniły się do rozpalonych do białości pocisków lub rodzących się gwiazd, które właśnie oderwały się od macierzystego giganta. Usiłowały zbliżyć się na odległość strzału do grupy uderzeniowej, wciąż mknącej w przestrzeni z prędkością równą trzem czwartym prędkości światła, ale znajdujący się najbliżej „Sariel” zlikwidował je oba. Obeszło się przy tym bez choćby minimalnego osłabienia pola wyprzedzającego, które rozciągało się na sto kilometrów przed dziobem archanioła, by oczyścić trasę lotu z drobin pyłu. Przy takich prędkościach ludzie zapłaciliby najwyższą cenę, gdyby pola choć na chwilę przestały działać.

Admirał Aldikacti nie podobało się zaledwie „wysokie prawdopodobieństwo zestrzelenia” okrętu w obłoku Oörta, toteż grupa wyhamowała z dużym przeciążeniem, okrążając po łuku olbrzymią gwiazdę, żeby umożliwić spotkanie wszystkich kapitanów i pierwszych

oficerów w przestrzeni taktycznej. Należało omówić symulację, zanim „Gedeon” dokona translacji do przestrzeni zajmowanej przez Intruzów.

De Soya zawsze uważał, że takie odprawy służą tylko demonstracji pewności siebie dowódców: z górą trzydziestu umundurowanych wysokich oficerów Paxu, stojących niczym giganci - czy raczej siedzących niczym giganci, gdyż płaszczyzna ekliptyki służyła im tym razem za wirtualny stół - dyskutuje o stratach, wyposażeniu, strategii i szybkości zajmowania obcego terenu; pośrodku „stołu” słońce typu K płonie jasnym ogniem, a przedstawione w powiększeniu okręty poruszają się z wolna po keplerowskich, eliptycznych orbitach, podobne do żarzących się węgli na czarnym aksamicie.

Podczas trwającej trzy godziny narady ustalono, że „prawdopodobne zestrzelenie” jest nie do przyjęcia i że przeciw tak wymagającym obiektom jak liniowce należało wysłać co najmniej pięć kierowanych przez SI pocisków hiperkinetycznych, a po stuprocentowym trafieniu wszystkich trzech okrętów odzyskać te rakiety, które nie zostały wykorzystane. Następnie wywiązała się dyskusja o dopuszczalnych stratach, warunkach ostrzeliwania przeciwnika i zależności liczby zaliczonych trafień od zasobów i rezerw, co miało szczególne znaczenie w misji, podczas której nie można było liczyć na uzupełnienie amunicji, sprzętu ani załóg. Ustalono w zarysie strategię postępowania na przyszłość: jeden archanioł będzie wchodził w układ Intruzów trzydzieści minut świetlnych przed resztą, by ściągać na siebie uwagę wszystkich sensorów i sond. Pozostałe sześć maszyn, lecących trzydzieści minut świetlnych za nim, miałyby pilnować, żeby nie zdarzały się następne „prawdopodobne zestrzelenia”.

Po dwudziestu dwóch godzinach, spędzonych głównie na stanowiskach bojowych i wypełnionych przewyciężaniem emocjonalnego rozchwiania po niedawnym wskrzeszeniu, z „Uriela”

nadano wiązką komunikacyjną współrzedne skoku do jednego z zajmowanych przez Intruzów układów gwiazdnych. Siedem archaniołów zaczęło nabierać szybkości, kierując się do punktu translacji. Ojciec kapitan de Soya przeszedł się po pokładzie, by zamienić parę słów z załogą i dopilnować, żeby znaleźli się na leżankach. Na koniec zostawił sobie sierżanta Gregoriusa i podlegającą mu piątkę papieskich Szwajcarów.

Dawno temu, podczas przedłużającego się pościgu za dziewczynką imieniem Enea, kiedy już spędzili na starym „Rafaelu” kilka miesięcy i przemierzyli wspólnie szmat Galaktyki, ojciec kapitan de Soya doszedł do wniosku, że ma dość nazywania sierżanta Gregoriusa „sierżantem Gregoriusem” i przejrzał jego akta, żeby dowiedzieć się, jak jego podwładny ma na imię. Jakież było jego zdumienie, gdy okazało się, że Gregorius w ogóle nie ma imienia! Zwalisty podoficer dorastał na bagnistej planecie Patawpha, w kręgu kultury wojennej, gdzie każdy rodził się z ośmioma imionami. Siedem z nich nazywano „słabymi”, a można się ich było pozbyć tylko przechodząc „siedem prób”. Dopiero wówczas uzyskiwało się prawo używania ósmego, „silnego” imienia. Jak dowiedział się de Soya od kierującej statkiem Sztucznej Inteligencji, średnio zaledwie jeden wojownik na trzy tysiące przystępujących do „siedmiu prób” wychodził zwycięsko z nich wszystkich i tracił „słabe” imiona; komputer nie dysponował żadnymi informacjami na temat natury prób. Co więcej, Gregorius był pierwszym Szkoto-Maorysem odznaczonym w marines i wybranym do elitarnej Gwardii Szwajcarskiej. De Soya często miał ochotę zapytać go o „siedem prób”, ale nigdy się na to nie zdobył.

Kiedy ojciec kapitan kopniakiem odepchnął się od ściany i spłynął w głąb bezgrawitacyjnej studni, aż do mesy oficer-skiej, sierżant Gregorius sprawiał wrażenie tak uradowanego jego widokiem, że mało

brakowało, a chwyciłby go w objęcia. Zamiast tego jednak zaczepił bosc stopy o poprzeczkę, wyprężył się na baczność i krzyknął:

— Oficer na pokładzie!

Jego ludzie natychmiast porzucili dotychczasowe zajęcia - czytanie, czyszczenie sprzętu i składanie broni - i spróbowało stanąć na powierzchni grodzi. Przez moment w powietrzu pływały pozostawione samym sobie rejestratory, czasopisma, noże pulsacyjne, części pancerza i rozebrane lance laserowe.

Ojciec kapitan skinął sierżantowi głową i dokonał szybkiej inspekcji pięciorga jego podwładnych - trzech mężczyzn i dwóch kobiet - którzy wydali mu się wręcz przerażająco młodzi. Byli poza tym szczupli, muskularni, znakomicie przystosowani do funkcjonowania w zerowym ciężeniu i zaprawieni w boju - nie ulegało wątpliwości, że są weteranami licznych starć. Każde z nich wyróżniło się czymś nadzwyczajnym, skoro wybrano ich do tej misji. De Soję zasmucił ich gorączkowy zapal do walki.

Po paru minutach zwykłej w takich okolicznościach, niezobowiązującej rozmowy, de Soja dał Gregoriusowi znak, by ten poszedł za nim, po czym opuścił mesę przez tylną służbę pasażerską. Kiedy obaj znaleźli się w komorze szalupowej, de Soja wyciągnął rękę na powitanie.

— Cholernie miło mi pana widzieć, sierżancie.

Gregorius odwzajemnił uścisk dłoni i wyszczerzył zęby; kwadratowa, poznaczona bliznami twarz i krótko przycięte włosy nie zmieniły się ani na jotę, podobnie zresztą jak szeroki, promienny uśmiech.

— Ja też cholernie się cieszę, że pana widzę, ojcie kapitanie. Od kiedyż to kapłańska część pańskiej natury dopuszcza takie słownictwo?

— Odkąd awansowano mnie na dowódcę tego okrętu. Co u pana słychać?

— Całkiem nieźle, ojcie kapitanie. Rzekłbym nawet, że coraz lepiej.

— Był pan świadkiem operacji w okolicy Pierwszej Strzelca, sierżancie. Czy towarzyszył panu kapral Kee?

— Nie, ojcie kapitanie. - Gregorius podrapał się po policzku. - Byłem na Pierwszej dwa lata temu, ale nie spotkałem Kee. Słyszałem, że jego transport został ostrzelany, a wcześniej się z nim nie widziałem. Zresztą razem z nim zginęło też paru innych moich kumpli.

— Przykro mi - rzekł de Soya. Rozmawiając, unosili się niezgrabnie w powietrzu nieopodal jednej z komór, w których magazynowano pociski hiperkinetyczne. Ojciec kapitan złapał za uchwyt i przekręcił się tak, żeby spojrzeć Gregoriusowi w oczy. - Jak pan zniósł śledztwo, sierżancie?

Gregorius wzruszył ramionami.

— Przetrzymani mnie trochę na Pacem. W kółko zadawali te same pytania, tylko na różne sposoby i chyba nie wierzyli w to, co mówiłem o Bożej Kniei - o tej diablcy, o Chyżwarze. Wreszcie im się znudziło, zdegradowali mnie do stopnia kaprala i odesłali w diabły.

— Współczuję panu, sierżancie - westchnął de Soya. - Przedstawiłem pana do awansu. - Uśmiechnął się smutno. - Zrobił pan dużo dobrego. Mamy szczęście, że obu nas nie ekskomunikowano i nie zlikwidowano.

— To prawda, ojcie kapitanie - powiedział Gregorius, zerkając na przesuające się za iluminatorem gwiazdy. - Pewnie nie byli z nas zadowoleni. A co z panem? Słyszałem, że odebrali panu okręt i w ogóle...

De Soya się uśmiechnął.

— Zostałem proboszczem.

— Na pustynnej, suchej, zapomnianej planetce. Słyszałem o niej: miejsce, w którym za flaszkę szczyń płaci się dziesięć marek.

— Zgadza się - uśmiech nie zniknął z twarzy de Soi. - Na MadredeDios, mojej ojczystej planecie.

— Psiakrew, ojcie... - zakłopotany Gregorius zacisnął nerwowo dłoń. - Nie chciałem pana urazić. Nie wiedziałem... Nigdy bym...

De Soya położył mu rękę na ramieniu.

— Nic się nie stało, sierżancie, nie uraził mnie pan. To wszystko prawda... Można tam kupić szczynty... z tą różnicą, że kosztują piętnaście marek za butelkę.

— Rozumiem, ojcie kapitanie. - Na śniadą twarz Gregoriusa wypłynął rumieniec.

— Jeszcze jedno, sierżancie...

— Słucham, ojcie kapitanie?

— Piętnaście razy „Zdrowaś Mario” i dziesięć „Ojcie Nasz” za naganne słownictwo. Nadal jestem pańskim spowiednikiem.

— Tak jest.

De Soya poczuł ukłucie w implancie w tej samej chwili, gdy z głośników dobiegł dźwięk gongu.

— Trzydzieści minut do translacji - powiedział ojciec kapitan. - Niech pan zapakuje swoje kocięta do leżanek, sierżancie. Tym razem skaczemy naprawdę.

— Tak jest. - Sierżant kopnięciem odepchnął się w kierunku miękkiej śluzy pasażerskiej. - Ojcie kapitanie?

— Tak, sierżancie?

— Mam takie przecucie... - powiedział Szwajcar, marszcząc brwi. - A ja nauczyłem się ufać przecuciom, ojcie kapitanie.

— Ja również wierzę w pańskie przecucia, sierżancie. O co chodzi?

— Niech pan na siebie uważa. To... nic konkretnego, ojcie kapitanie. Po prostu proszę być czujnym.

— W porządku - odparł de Soya. Zaczekał, aż Gregorius wróci do mesy i śluza zamknie się za nim, po czym wrócił do głównej studni, kierując się ku swojej leżance i komorze zmartwychwstańczej.

W układzie Pacem panował nieustanny ruch: statki handlowe Mercantilusa mijaly się z okrętami Floty Paxu; rozległe kompleksy mieszkalne, takie jak Torus Mercantilus, sąsiadowały z bazami wojskowymi i stacjami nasłuchowymi Paxu; terraformowane asteroidy w rodzaju Castel Gandolfo krążyły po zmienionych orbitach, zebrane w skupiska; prywatne statki planetarne, których nigdzie w znanym ludziom kosmosie nie było równie dużo, jak tutaj, kursowały między miastami orbitalnymi, wyposażonymi w tanie moduły mieszkalne dla milionów tych, którzy chcieli znaleźć się blisko głównego ośrodka władzy, a zarazem nie mogli sobie pozwolić na zapłacenie astronomicznych sum za apartament na Pacem. Dlatego właśnie kiedy M. Kenzo Isozakiemu, przewodniczącemu Rady Nadzorczej Pankapitalistycznej Ligi Niezależnych Katolickich Międzygwiazdnych Organizacji Handlowych, zamarzyła się chwila zupełnej samotności, musiał zasiać za sterami prywatnego statku i przez trzydzieści dwie godziny pędzić z ogromnym przyspieszeniem, by znaleźć się w mroku kosmosu, z dala od słońca Pacem.

Już sam wybór maszyny stanowił nie lada problem. Pax Mercantilus utrzymywał wprawdzie nieliczną flotę operujących w systemie promów, przeznaczonych dla najwyższego kierownictwa, ale Isozaki musiał założyć, że mimo najszczerzej chęci i wysiłków nie ma gwarancji, iż na ich pokład nie przeniknęła żadna aparatura podsłuchowa. Zamierzał początkowo zarządzić zmianę trasy lotu jednego z frachtowców, kursujących pomiędzy centrami orbitalnymi, uznał jednak, iż nie jest wcale niemożliwością, że jego wrogowie - Watykan, Święte Oficjum, wywiad Floty Paxu, Opus Dei, rywale w Mercantilusie czy niezliczeni inni nieprzyjaciele - założyli podsłuch na wszystkich jednostkach, które miał do dyspozycji.

Skończyło się na tym, że udał się w przebraniu do publicznych doków Torusa, kupił na miejscu spracowanego skoczka górniczego

i polecił nielegalnej SI, rezydującej w jego komlogu, żeby popilotowała statek poza zamieszkały obszar ekliptyki. Patrole i posterunki Paxu sześciokrotnie sprawdzały po drodze jego pozwolenia; skoczek był jednak zarejestrowany, a w miejscu, do którego udawał się przewodniczący, faktycznie znajdowały się kopalnie - i, chociaż z pewnością wyczerpane, wciąż stanowiły dozwolony obszar pracy dla zdesperowanego poszukiwacza skarbów. Obeszło się więc bez drobiazgowej kontroli.

Całą tę wyprawę Isozaki uważał za melodramatyczną i niepotrzebną; gdyby jego łącznik się zgodził, spotkaliby się w biurze, w Torusie. Ale stało się inaczej, a przewodniczący musiał przyznać, że mając w perspektywie takie spotkanie, udałby się choćby i na Aldebarana.

W trzydzieści dwie godziny po opuszczeniu Torusa skoczek wyłączył wewnętrzne pole siłowe, opróżnił zbiornik akceleracyjny i obudził Isozakię. Komputer pokładowy był za głupi, żeby podać mu informacje wykraczające poza współrzędne i analizę miejscowych skał. Na szczęście niedozwolona SI z komlogu przeszukała okolicę w poszukiwaniu innych statków, aktywnych bądź nie, po czym stwierdziła, że ten rejon układu Pacem jest pusty.

— Jak on się tu dostanie bez statku? - mruknął pod nosem Isozaki.

— Nie ma innego sposobu, proszę pana - odpowiedziała mu SI. - Chyba że on już tu jest, co wydaje się mało prawdopodobne, gdyż...

— Cisza - uciął Isozaki.

Siedział w kopulastej, pogrążonej w półmroku sterowni skoczka. W powietrzu unosiła się woń smaru. Ponieważ statek dopasował prędkość na orbicie do prędkości obrotowej asteroidy, Isozaki miał wrażenie, że to znajome niebo Pacem, rozpościerające się ponad pożłobioną, upstrzoną kraterami planetką, wiruje jak szalone. Poza tym otaczały go próżnia i lodowata cisza.

Nagle rozległo się pukanie do zewnętrznych wrót śluzy.

W czasie, gdy następowały te przetasowania, gdy armady matowoczarnych okrętów rozdzierały materię czasoprzestrzeni, dokładnie w tym samym momencie, kiedy Wielki Inkwizytor Kościoła został odesłany z papieskich ogrodów, by spakować się przed wyjazdem na nękanego przez Chyżwara Marsa, a przewodniczący Mercantilusa leciał samotnie na sekretne spotkanie z niehumanoidalnym rozmówcą, leżałem bezradny w łóżku, obezwładniony bólem, który promieniował z mojego brzucha i pleców.

Ból sam w sobie jest niezwykle interesujący. Niewiele rzeczy w życiu potrafi tak całkowicie, tak przeraźliwie zaabsorbować naszą uwagę; niewiele jest również takich, o których czyta się i słucha z większym znużeniem.

Ten, który odczuwałem, był wszechogarniający. Zdumiewała mnie jego nieustępliwość i bezmiar. W chwilach ogromnego cierpienia, zarówno tych, które miałem już za sobą, jak i takich, które miały nadejść, usiłowałem się skupić na otoczeniu, myśleć o czymś innym, rozmawiać z ludźmi, nawet odtwarzać w pamięci tabliczkę mnożenia, lecz ból zalewał wszystkie obszary mojej świadomości niczym stopiona stal, wciskająca się w szczeliny spękanego tygla.

Oto czego byłem mniej więcej świadomy w owym okresie: znalazłem się na planecie, którą mój komlog zidentyfikował jako Vitus-Gray-Balianus B; atak nastąpił, gdy nabierałem wody ze studni; kobieta odziana w błękitną szatę, z pomalowanymi na niebiesko paznokciami palców u nóg, widocznymi w odsłoniętych sandałach, zawołała innych, podobnie ubranych ludzi i razem zanieśli mnie do glinianej chaty; złożono mnie na łóżku, gdzie nadal cierpiałem katusze; poza mną w domu znajdowało się jeszcze kilka osób: kolejna kobieta w lazurowej sukni, z zarzuconym na głowę szalem, młodszy od niej mężczyzna

w błękitnych szatach i turbanie, oraz przynajmniej dwoje dzieci, również noszących się na niebiesko; moi dobrzy gospodarze nie dość, że znosili moje jęklive wyjaśnienia oraz mniej artykułowane wycie, gdy wiłem się na łóżku, to jeszcze zdjęli mi buty, skarpety i kamizelkę, cały czas przemawiali do mnie, poklepywali, kładli mi zimne kompresy na czoło i nie przestawali szeptać słów pocieszenia w swym miękko akcentowanym dialekcie, podczas gdy ja walczyłem o zachowanie resztek godności w obliczu cierpienia, którego źródło znajdowało się w moim podbrzuszu i plecach.

Minęło kilka godzin, odkąd przynieśli mnie do domu - na dworze błękit nieba przeszedł w delikatny róż - gdy kobieta, która znalazła mnie przy studni, rzekła:

— Obywatelu, poprosiliśmy naszego misjonarza o pomoc. Udał się po doktora do bazy Paxu w Bombasino. Z jakiegoś powodu śmigacze i inne jednostki Paxu są w tej chwili niedostępne, więc lekarz i ksiądz... o ile lekarz przybędzie... muszą pokonać pięćdziesiąt ciągów z biegiem rzeki. Jeśli dopisze nam szczęście, dotrą tu przed wschodem słońca.

Nie wiedziałem, ile to jest jeden ciąg ani ile czasu potrzeba na przebycie pięćdziesięciu; nie miałem nawet pojęcia, jak długo trwa tu noc, jednakże na samą myśl, że moja męka może się skończyć, łzy zakręciły mi się w oczach.

— Bardzo proszę, tylko nie lekarz z Paxu - wyszeptałem jednak.

Kobieta przyłożyła mi chłodną dłoń do czoła.

— Nie mamy wyjścia. W Lock Lamonde nie ma już medyka, a bez pomocy lekarskiej mógłby pan umrzeć.

Jęknąłem i przetoczyłem się na bok. Ból przeszył mnie, jakby ktoś przeciągał mi rozżarzony drut przez zbyt wąskie kanaliki naczyń. Zdawałem sobie sprawę, iż lekarz z Paxu od razu zauważy, że nie pochodzę z tej planety i zamelduje o mnie wojsku albo policji - jeśli „misjonarz” już tego nie uczynił - a wówczas niemal na pewno zostanę

zatrzymany i przesłuchany. Moja misja, którą podjąłem dla Enei, kończyła się właśnie fiaskiem. Kiedy stary poeta Martin Silenus cztery i pół roku standardowego wcześniej wysyłał mnie na tę tułaczkę, spełnił za mnie toast szampanem: „Za bohaterów”, powiedział. Gdyby wiedział, jak daleki okaże się on od rzeczywistości... Może wiedział.

Noc płynęła wolno jak splezający doliną lodowiec. Kilkakrotnie kobiety zaglądały zobaczyć, co się ze mną dzieje; parę razy widziałem też dzieci, w niebieskich, długich koszulach, prawdopodobnie nocnych, jak zerkają do mojego pokoju z ciemnego korytarza. Nie nosiły nic na głowach i zobaczyłem, że dziewczynka ma blond włosy, upięte podobnie jak Enea podczas naszego pierwszego spotkania, kiedy miała niespełna dwanaście, a ja dwadzieścia osiem lat standardowych. Chłopczyk - młodszy od dziewczynki, która, jak zakładałem, była jego siostrą - miał bardzo bladą twarz i ogoloną głowę; za każdym razem machał do mnie nieśmiało ręką. W przerwach między jednym a drugim atakiem bólu odpowiadałem mu słabymi gestami, ale gdy otwierałem oczy, żeby drugi raz na niego spojrzeć, znikał bez śladu.

Słońce wzeszło, a lekarz się nie zjawiał. Poczucie bezsilności wzbierało we mnie niczym przyływ na morzu; zdawało mi się, że nie zniosę męczarni ani godziny dłużej. Instynktownie wiedziałem, że gdyby moi przemili gospodarze mieli jakieś środki przeciwbólowe, dawno by mi je zaaplikowali. Całą noc rozmyślałem, czy nie zabrałem nic takiego do kajaka, ale jedyne leki, jakie miałem, to środek odkażający i garść aspiryny. Wiedziałem również, że aspiryna na nic się w moim przypadku nie zda.

Postanowiłem wytrzymać jeszcze dziesięć minut. Zdjęto mi komlog i odłożono go na glinianą półkę koło łóżka, ale w nocy nie przyszło mi do głowy, żeby wykorzystać go do mierzenia upływu czasu. Teraz z trudem sięgnąłem po niego - ból skręcił się we mnie jak gorąca sprężyna - i założyłem na przegub.

— Czy bioskanowanie nadal działa? - zapytałem szeptem.

— Tak - odparł komlog.

— Czy ja umieram?

— Sygnały z organizmu nie wskazują na stan krytyczny - odrzekła bransoleta swoim zwykłym, bezbarwnym tonem. - Wygląda jednak na to, że doznał pan wstrząsu. Ciśnienie krwi... - komlog pluł jeszcze przez chwilę specjalistycznym bełkotem, aż wreszcie kazałem mu się przymknąć.

— A czy wiesz już, co jest przyczyną mojego stanu? - wysapałem. Wraz z bólem pojawiły się nudności. Dawno już zwróciłem wszystko, co pozostało mi w żołądku, ale i tak odruch wymiotny zgiął mnie w pół.

— Objawy mogłyby wskazywać na zapalenie wyrostka robaczkowego.

— Wyrostka... - powtórzyłem. Podobnie bezużyteczne organy dawno już usunięto z rasy ludzkiej na drodze inżynierii genetycznej. - To ja mam wyrostek? - wyszeptałem. Wraz z nastaniem dnia w domu zaczął się rozlegać szelest sukien, a kobiety już kilka razy do mnie zaglądały.

— Nie - odpowiedział komlog. - Jest to wysoce nieprawdopodobne; musiałyby pan być wybrykiem genetyki. Szansę na to są...

— Cisza - wysyczałem. Dwie kobiety w błękitach wpadły do pokoju w towarzystwie trzeciej - wyższej, szczuplejszej, bez wątplenia pochodzącej z innej planety. Miała na sobie ciemny kombinezon, ozdobiony na lewym ramieniu symbolami krzyża i kaduceusza, oznaczającymi Korpus Medyczny Floty Paxu.

— Jestem doktor Molina - powiedziała, otwierając czarną torbę. - Wszystkie śmigacze z bazy uczestniczą w manewrach, więc pewien młody człowiek przywiózł mnie łodzią. — Przykleiła mi sondy diagnostyczne do piersi i brzucha. - Niech pan sobie tylko nie pochlebia, że taki szmat drogi zrobiłam specjalnie dla pana... Jeden ze śmigaczy rozbił się nieopodal Keroa Tambat - jakieś osiemdziesiąt

kilometrów na południe stąd - i mam się zająć rannymi z załogi. Czekają na medewak. Nic poważnego, ot, parę siniaków i jedno złamanie nogi; nie chcieli specjalnie po to odwoływać maszyny z ćwiczeń.

Z walizeczki dobyte urządzenie wielkości dłoni i sprawdziła, czy odbiera sygnały z sond.

— A jeżeli jest pan jednym z tych gości z Mercantilusa, którzy w zeszłym miesiącu uciekli ze statku w porcie, proszę nawet nie myśleć o ograbieniu mnie. Jest ze mną dwóch strażników. Czekają na zewnątrz. - Założyła słuchawki. - O co więc chodzi, młody człowieku?

Pokręciłem głową i zazgrzytałem zębami; fala bólu przetoczyła mi się przez plecy. Kiedy już mogłem coś powiedzieć, odezwałem się:

— Nie wiem, pani doktor... Plecy... Niedobrze mi...

Zignorowała mnie, poświęciwszy na moment całą uwagę aparatowi diagnostycznemu. Znienacka nachyliła się nade mną i dotknęła mojego brzucha po lewej stronie.

— Boli?

Prawie zaskowyczałem.

— Tak - odparłem, kiedy znów mogłem mówić.

Pokiwała głową i odwróciła się do kobiety, która mnie uratowała.

— Powiedzcie księdzu, który mnie tu przyprowadził, żeby przyniósł mi większą torbę. Ten człowiek jest zupełnie odwodniony, musimy podłączyć go pod kroplówkę. Później podam mu ultramorfina.

Zdałem sobie wtedy sprawę z czegoś, co wiedziałem od dziecka, odkąd widziałem, jak moja matka umiera na raka: że poza wszelką ideologią i ambicją, poza myślą i emocjami, jest tylko ból. I wybawienie od niego. W tamtej chwili zrobiłbym wszystko dla tej szorstkiej, gadatliwej lekarki.

— Co mi jest? - zapytałem, kiedy zaczęła szykować butelki i rurki. - Skąd ten ból?

Trzymała w ręce staromodną igłową strzykawkę, którą właśnie napełniała ultramorfina z małej fiolki. Gdyby powiedziała mi, że jestem śmiertelnie chory i nie doczekam nocy, nie miałbym nic przeciwko temu, byle tylko najpierw podała mi środek przeciwbólowy.

— Kamień nerkowy - odpowiedziała doktor Molina.

Na mojej twarzy musiał się odbić brak zrozumienia, bo po chwili mówiła dalej:

— Kamyczek w nerce, który jest za duży, żeby się precisnąć... Pewnie z wapnia. Miał pan ostatnio kłopoty z oddawaniem moczu?

Cofnąłem się myślą do początku mojego spływu, a później jeszcze dalej. Mało piłem i tym właśnie tłumaczyłem pojawiające się od czasu do czasu bóle.

— Tak, ale...

— Kamień nerkowy - powtórzyła, przemywając mi watką lewy nadgarstek. - To tylko małe ukłucie.

Wbiła mi igłę w żyłę i umocowała ją skóroplastem. Dźgnięcie igły zginęło w kakofonii bólu, który eksplodował mi w plecach. Doktor Molina jeszcze przez chwilę manipulowała przy wlocie kroplówki: do głównego wlotu podłączyła plastikowy przewód, a do bocznego strzykawkę.

— Zacznie działać za jakąś minutę - powiedziała - ale przykre dolegliwości powinny ustąpić.

Przykre dolegliwości. Zamknąłem oczy, żeby nikt nie widział zbierających się w nich łez ulgi. Kobieta, która znalazła mnie przy studni, złapała mnie za rękę.

Po minucie ból zaczął ustępować; nigdy nie cieszyłem się tak bardzo z braku czegoś. Zupełnie jakby nagle stopniowo ustawał hałas, który dotąd nie pozwalał mi zebrać myśli. Stałem się na powrót sobą, gdy męczarnie złagodniały do poziomu, jaki znałem z ran od noża i połamanych kości. Z takim cierpieniem umiałem sobie radzić,

zachowując godność i świadomość istnienia. Kobieta w błękitach nie wypuszczała mojej dłoni z rąk, gdy ultramorfina zaczynała działać.

— Dziękuję - powiedziałem spierzchniętymi, popękkanymi wargami, odpowiadając uściskiem na uścisk. - Pani również dziękuję, doktor Molina - dodałem.

Doktor Molina pochyliła się nade mną i pogłaskała mnie po policzku.

— Zaraz chwilę się pan prześpi, ale chciałabym usłyszeć odpowiedzi na parę pytań. Proszę nie zasypiać, dopóki nie porozmawia pan ze mną.

Pokiwałem niepewnie głową.

— Jak się pan nazywa?

— Raul Endymion - odpowiedziałem. Zdałem sobie sprawę, że nie jestem w stanie kłamać; musiała podać mi w kroplówce serum prawdy albo inny narkotyk.

— Skąd pochodzisz, Raulu Endymionie?

Nadal trzymała w rękach aparat diagnostyczny, niczym rejestrator.

— Z Hyperiona, z kontynentu, zwanego Aquilą. - Mój klan był...

— Jak trafiłeś do Lock Childe Lamonde na Vitus-Gray-Balianusie B, Raul? Czy jesteś jednym z dezertów z frachtowca Mercantilusa? Tych, co uciekli przed miesiącem?

— Kajakiem - usłyszałem własny głos, dobiegający z oddali. Wypełniło mnie ciepło, niemal nie do odróżnienia ulgi, która mnie przed chwilą ogarnęła. - Płynąłem kajakiem. Rzeką, przez transmiter. Nie, nie jestem dezertem...

— Przez transmiter? - usłyszałem, jak zaskoczona doktor Molina powtarza moje słowa. — Co masz na myśli mówiąc, że przybyłeś przez transmiter, Raulu Endymionie? Czy przepłynąłeś pod nim, tak jak my? Przepłynąłeś pod łukiem, płynąc w dół rzeki, tak?

— Nie - odparłem. - Przepłynąłem przez niego. Spoza planety.

Doktor Molina posłała szybkie spojrzenie ubranej na niebiesko kobiecie, po czym wróciła wzrokiem do mnie.

— Przepłynąłeś przez transmiter z innej planety? To znaczy, że on... zadziałał? Przerzucił cię tutaj?

— Właśnie.

— Skąd? - lewą dłonią sprawdziła mi puls.

— Ze Starej Ziemi. Przybyłem tu z Ziemi.

Przez chwilę unosiłem się w przestrzeni, w błogiej nieświadomości bólu. Lekarka wyszła z pokoju, żeby zamienić parę słów z moimi opiekunkami. Dolatywały mnie strzępki rozmowy.

— ... nie ulega wątpliwości... niezrównoważony psychicznie mówiła doktor Molina. — Nie mógł przecież przybyć przez... to majaczenie o Starej Ziemi... pewnie naćpany dezenter...

— Cieszymy się, że może u nas zostać... - powiedziała kobieta w błękitach. - Zajmiemy się nim do czasu...

— Ksiądz i jeden ze strażników zostaną tutaj... - zabrzmiał znów głos lekarki. - W drodze powrotnej z Keroa Tambat zabierzemy go śmigaczem medewakuacyjnym do bazy... jutro albo pojutrze... nie pozwólcie mu zniknąć... żandarmeria na pewno będzie chciała...

Nie czując bólu, ukołyszany falami błogości dałem się nieść nurtowi i płynąć w dół rzeki, wprost w szeroko otwarte ramiona morfiny.

Przyśniła mi się rozmowa, którą przeprowadziłem z Eneą kilka miesięcy wcześniej. W chłodną, pustynną noc siedzieliśmy u wejścia do jej schronu, popijaliśmy herbatę i patrzyliśmy, jak wschodzą gwiazdy. Dyskutowaliśmy o Paksie, ale na każdy mój zarzut Enea odpowiadała pozytywnym przykładem. W końcu się rozżościełem.

— Posłuchaj no, mówisz o Paksie tak, jakby nie próbował cię złapać i zabić - powiedziałem. - Jakby jego statki nie ściagały nas przez pół spiralnego ramienia Galaktyki, jakby nie zestrzeliły nas na Renesansie. Gdyby nie transmiter...

— To nie Pax nas ścigał, strzelał do nas i chciał nas zabić - poprawiała mnie łagodnie dziewczynka. - Tylko pewne jego elementy; mężczyźni i kobiety posłuszni rozkazom z Watykanu czy innego miejsca.

— Przyznasz jednak, że wystarczą te elementy, żeby nas zlikwidować - nie ustępowałem, wciąż rozdrażniony. Zastanowiłem się przez chwilę. - Co to znaczy „z Watykanu czy innego miejsca”? Myślisz, że ktoś inny może im rozkazywać? To znaczy inny niż watykańscy dostojnicy?

Enea wzruszyła ramionami. W jej wykonaniu gest ten wyglądał nader wdzięcznie, ale był nie mniej irytujący; jedna z najmniej uroczych spośród niezbyt uroczych cech, jakich nabywała dorastając.

— Są jacyś inni? - nalegałem ostrzejszym niż zwykle głosem.

— Zawsze są inni - odparła cicho. - Mieli rację, że chcieli mnie schwytać, Raul. Albo zlikwidować.

Tak jak w rzeczywistości, we śnie również odstawiłem kubek na kamienną podmurówkę i wlepiłem niedowierzający wzrok w Eneę.

— Uważasz, że powinni cię... i mnie również... złapać albo zabić jak zwierzęta? Że mają do tego prawo?

— Oczywiście, że nie - odpowiedziała i skrzyżowała ramiona na piersi. Z jej kubka buchały smugi pary. - Chodzi mi o to, że Pax ma rację - ze swojego punktu widzenia - stosując niezwykle środki w celu powstrzymania mnie.

Pokręciłem głową.

— Nie słyszałem dotąd, żebyś była skłonna przyznać, iż powinni wysłać eskadry okrętów, żeby cię pojmać, maleńka. Prawdę mówiąc, największą herezją, jaką od ciebie słyszałem, było to, że miłość jest podstawową siłą we wszechświecie, tak jak grawitacja czy elektromagnetyzm. Ale to wszystko...

— Bzdury?

— Bełkot.

Enea uśmiechnęła się i przeczesła palcami krótko przycięte włosy.

— Raul, przyjacielu, to nie moje słowa są dla nich zagrożeniem, lecz moje czyny. To, czego nauczam przez działanie... przez dotyk.

Spojrzałem na nią; prawie zapomniałem o bredniach na temat Tej, Która Naucza, jakie jej wuj, Martin Silenus, wplótł w fabułę „Pieśni”. Enea miała być mesjaszem, którego nadejście poeta przepowiedział w drugim, niejasnym poemacie jakieś dwieście lat wcześniej ... przynajmniej tak mi powiedział. Na razie nic w dziewczynce nie zapowiadało mesjanizmu, chyba że potraktujemy w ten sposób podróż w przyszłość ze Sfinksa i obsesję Paxu na punkcie Enei... i mnie, skoro byłem jej opiekunem podczas wyczerpującej podróży na Starą Ziemię.

— Nie słyszałem, żeby w twoich naukach było coś szczególnie bluźnierczego czy niebezpiecznego - zauważyłem; irytacja nie zniknęła z mojego głosu. - Nie widziałem też, żeby twoje uczynki zagrażały Paxowi. - Machnięciem ręki objąłem pustynię, noc i odległe, oświetlone zabudowania Wspólnoty Taliesińskiej; teraz, pogrążony w ultramorfynowym śnie, który był bardziej wspomnieniem niż rzeczywistym snem, widziałem siebie samego, jakbym obserwował całą sytuację z zewnątrz.

Enea pokręciła głową i pociągnęła łyk herbaty.

— Ty tego nie rozumiesz, Raul, ale oni tak. Już w tej chwili określają mnie mianem wirusa... i mają rację: tym właśnie mogę być dla Kościoła. Wirusem. Tak jak dawno temu HIV na Starej Ziemi czy Szkarłatny Mór na Pograniczu, krótko po Upadku... Wirus, który atakuje wszystkie komórki organizmu i przeprogramowuje ich DNA, a przynajmniej infekuje wystarczającą ich liczbę, żeby organizm przestał funkcjonować... i umarł.

We śnie wzbijałem się jak jastrząb w powietrze ponad kamienno-płóciennym schronem Enei, zataczałem coraz wyższe kręgi pod obcym niebem Starej Ziemi i widziałem nas - dziewczynkę i mężczyznę -

siedzących przy lampie naftowej, niczym zagubione dusze na zapomnianej planecie. Zresztą nimi właśnie byliśmy.

Przez następne dwa dni wynurzałem się z otchłani bólu i z powrotem w nią wpadałem, niczym odcięta z cum łódka na oceanie, która napotyka na przemian burze i okresy pięknej pogody. Piłem mnóstwo wody ze szklanych kielichów, przynoszonych mi przez ubrane na niebiesko kobiety. Kuśtykałem do maleńkiej toalety i sikałem przez filtr, usiłując znaleźć kamyk, który powodował fale cierpienia. Na próżno. Za każdym razem wracałem na drżących nogach do łóżka i czekałem, aż ból wróci - i nigdy się na nim nie zawiodłem. Nawet wówczas zdawałem sobie sprawę, że heroiczne przygody powinny wyglądać zupełnie inaczej.

Zanim lekarka udała się w dalszą podróż rzeką do miejsca, gdzie roztrzaskał się śmigacz, dano mi do zrozumienia, że i ksiądz, i żołnierz Paxu mają nadajniki i dadzą znać do bazy, gdybym sprawiał jakieś kłopoty. Doktor Molina uświadomiła mi, że źle by się stało, gdyby dowódca floty musiał odwołać śmigacz z manewrów tylko po to, by przedwcześnie sprowadzić więźnia do bazy. Na razie kazała mi dużo pić i oddawać mocz, kiedy tylko zdołam. Jeśli kamyk nie zostanie wydalony, zabierze mnie do szpitala więziennego w bazie i rozbije grudkę ultradźwiękami. Zostawiła kobiecie w błękitach jeszcze cztery dawki ultramorfiny i wyszła bez pożegnania. Strażnik - Luzyjczyk w średnim wieku, dwa razy masywniejszy ode mnie, z kartaczoownicą w kaburze i pałką kontrolera neuronowego za pasem - zajrzał do pokoju, posłał mi groźne spojrzenie i wyszedł, by zająć pozycję przy frontowych drzwiach.

Przestanę może określać moją gospodynię mianem „kobiety w błękitach”; przez pierwsze godziny męki tym właśnie dla mnie była - oczywiście poza faktem, iż ocaliła mi życie - jednakże po południu drugiego dnia wiedziałem już, że nazywa się Dem Ria i że jej głównym

małżonkiem jest druga z kobiet, Dem Loa; że młody mężczyzna jest trzecim członkiem związku i nazywa się Alem Mikail Dem Alem; że nastolatka, którą widywałem w domu, to Ces Ambre, córka Alema z poprzedniej triady; że blady chłopczyk bez włosów, z wyglądu ośmiolatek, to Bin Ria Dem Loa Alem, dziecko obecnej triady, choć nigdy nie dowiedziałem się, która z kobiet jest jego biologiczną matką. Wiedziałem za to, że chłopiec umiera na raka.

— Nasz wioskowy medyk, który zresztą zmarł przed miesiącem i nie znaleźliśmy nikogo na jego miejsce, ubiegłej zimy wysłał Bina do naszego szpitala w Keroa Tambat - powiedziała Dem Ria, siadając przy moim łóżku. - Wszystko, co byli w stanie zrobić, to przeprowadzić chemioterapię, zrobić naświetlania i mieć nadzieję, że mu pomogą.

Dem Loa siedziała obok, na drugim krześle. Zapytałem o chłopca, żeby skierować rozmowę na inne tory niż moje kłopoty. Wyrafinowane szaty kobiet błyszcząły głębokim, kobaltowym błękitem; za ich plecami słońce malowało ściany izby gęstą, krwistą czerwienią, a koronkowe zasłony wycinały w świetle skomplikowany wzór cieni. Rozmawialiśmy w krótkich przerwach, oddzielających moje ataki bólu. W okolicach nerek czułem pulsowanie, jakby ktoś uderzył mnie z całej siły pałką, ale ból był przytłumiony w porównaniu z katuszami, jakie cierpiałem, gdy kamyk przemieszczał się w kanalikach. Lekarka powiedziała mi, że to dobry znak, bo największy ból oznacza ruch kamienia. Miałem poza tym wrażenie, że ognisko cierpienia znalazło się nieco niżej w moim brzuchu. Doktor Molina uprzedziła mnie jednak, że wydalenie kamyka może potrwać nawet wiele miesięcy, pod warunkiem zresztą, że jest na tyle mały, by przedostać się przez cały układ moczowy; często się bowiem zdarza, mówiła, że kamienie są duże i trzeba je usuwać operacyjnie albo sztucznie rozdrabniać. Wróciłem myślami do dziecka, o którym rozmawialiśmy.

— Naświetlania i chemioterapia - powtórzyłem z niesmakiem, jakby Dem Ria poinformowała mnie, że medyk przepisał chłopcu przystawianie pijawek i napary z rtęci. W Hegemonii umiano leczyć raka, ale większość technik z zakresu inżynierii genetycznej zaginęła bez śladu po Upadku, natomiast wykorzystanie strzępów wiedzy, które ocalały, byłoby zbyt kosztowne, by ktoś chciał je udostępnić szerokim rzeszom po zniszczeniu Sieci. Pax Mercantilus zajmował się przewożeniem towarów pomiędzy gwiazdami, proces ten jednak zajmował mnóstwo czasu, dużo kosztował i miał ograniczony zakres; medycyna cofnęła się więc w rozwoju o kilkaset lat. Moja matka zmarła na raka, odmówiwszy naświetlań i leczenia chemią po zdiagnozowaniu choroby w klinice Paxu.

Ale właściwie po co leczyć śmiertelną chorobę, skoro można pozwolić choremu umrzeć, a potem wskrzesić go dzięki krzyżokształtowi? Podczas zmartwychwstania znikają nawet niektóre przypadłości genetyczne. A śmierć, co stale podkreślał Kościół, stanowiła sakrament w takiej samej mierze, jak zmartwychwstanie; można ją było ofiarować niczym modlitwę, a tym samym przecierpieć ból na chwałę odkupicielskiej ofiary Chrystusa - pod warunkiem posiadania krzyżokształtu.

Odchrząknąłem.

— Eeee... Czy Bin nie... To znaczy...

Kiedy chłopiec w nocy machał do mnie rączką, spod luźnej koszuli wзираła jego naga, blada pierś. Bez krzyżokształtu.

Dem Loa pokręciła głową. Miała na sobie niemal przezroczystą, podobną do jedwabnej suknię z kapturem.

— Do tej pory nikt z nas nie przyjął krzyża - wyjaśniła. - Chociaż ojciec Clifton... stara się nas przekonać.

Mogłem tylko kiwnąć głową; ból w plecach i kroczu wracał ze zdwojoną siłą, niczym prąd przenikający mi nerwy.

Powinienem wytłumaczyć znaczenie różnokolorowych strojów noszonych przez mieszkańców Lock Childe Lamonde na Vitus-Gray-Balianusie B. Dem Ria melodyjnym szeptem wyjaśniła mi, że większość ludzi, osiadłych dziś na brzegach rzeki, przed około stu laty przywędrowała z pobliskiego układu gwiazdowego, Lacaille 9352. Ich macierzysta planeta, pierwotnie zwana Goryczą Sibiatsu, została ponownie skolonizowana przez religijnych fanatyków Paxu. Przybysze nadali jej nazwę Łaski Niechybnej i rozpoczęli próby nawrócenia tubylców, którzy przetrwali Upadek. Ziomkowie Dem Rii, przedstawiciele łagodnej, filozoficznej kultury, w której kładziono szczególny nacisk na współdziałanie jednostek, woleli ponownie emigrować, niż przyjąć obce wzorce. Dwadzieścia siedem tysięcy ludzi zużyło rodowe fortuny i ryzykując życiem wyremontowało zabytkowy statek kolonizacyjny z czasów hegiry. Następnie wszyscy - mężczyźni, kobiety i dzieci - weszli na jego pokład wraz z całym dobytkiem i po trwającym czterdzieści dziewięć lat locie w hibernacji dotarli na pobliskiego Vitus-Gray-Balianusa B, którego mieszkańcy wymarli po Upadku.

Ludzie Dem Rii sami siebie nazywali Widmową Helisą Amoiète'a, na cześć autora epickiego, filozoficznego holopoematu symfonicznego. Halpul Amoiète użył kolorów widma widzialnego jako symboli humanistycznych wartości i za pomocą metafory spirali ukazał ich interakcje, konflikty i współdziałanie. Symfonia Widmowej Helisy była dziełem przeznaczonym do wykonywania na żywo, w którym muzyka symfoniczna łączyłaby się z poezją i spektaklem holograficznym, by zilustrować złożone filozoficzne zależności. Dem Ria i Dem Loa wyjaśniły mi, jak ich kultura zapożyczyła od Amoiète'a znaczenie kolorów: biel oznaczała czystość myśli, intelektualną uczciwość i miłość fizyczną; czerwień symbolizowała namiętność sztuki i przekonania politycznych, a także odwagę; błękit oddawał

introspektywną, odkrywczą naturę muzyki, matematyki, indywidualne wyciszenie duchowe, nakierowane na pomoc innym oraz umożliwiające kreowanie nowych materii i faktur; szmaragdowa zieleń ilustrowała wrażliwość na naturę i troskę o ginące gatunki, ale i zgodne współżycie z nowoczesną techniką; kolor kości słoniowej wiązał się ze zdolnością tworzenia ludzkich tajemnic - i tak dalej. Potrójne małżeństwa, niestosowanie przemocy i inne kulturowe ciekawostki po części brały się z filozofii Amoiete'a, po części zaś wyrastały z tradycji bogatej kultury Goryczy Sibiatu.

— Ojciec Clifton namawia was, żebyście przystąpili do Kościoła, tak? - zapytałem, gdy ból stępsiał do poziomu, przy którym mogłem znów mówić i myśleć.

— Tak - odparła Dem Loa. Trzeci partner triady, Alem Mikail Dem Alem, wszedł do pokoju i przysiadł na parapecie. Przysłuchiwał się naszej rozmowie, ale sam rzadko zabierał głos.

— I co wy na to?

Przesunąłem się delikatnie na łóżku, żeby ból w plecach rozłożył się bardziej równomiernie. Od ładnych paru godzin nie prosiłem już o ultramorfina i wyraźnie odczuwałem potrzebę, by zrobić to właśnie teraz.

Dem Ria wykonała skomplikowany gest, który przypominał mi ulubione machnięcie ręki Enei.

— Jeżeli wszyscy przyjmemy krzyż, mały Bin Ria Dem Loa Alem uzyska prawo do pełnej opieki medycznej w bazie Paxu w Bombasino. Nawet jeżeli go nie wyleczą, Bin... wróci do nas... później - spuściła wzrok i ukryła dłonie w fałdach sukni.

— Nie zgodzą się, żeby tylko Bin dostał krzyż - zauważyłem.

— O nie, zawsze stoją na stanowisku, że cała rodzina musi się nawrócić. Rozumiemy ich. Ojciec Clifton bardzo się tym martwi, ma

jednak nadzieję, że przyjmie sakramenty chrystusowe, zanim będzie za późno dla Bina.

— A co wasza córka, Ces Ambrę, sądzi o zostaniu ponownie narodzoną chrześcijanką? — spytałem, zdając sobie sprawę, jak bardzo osobiste pytania zadaję. Byłem jednak zaintrygowany, a myśl o przykrej decyzji, jaką mieli podjąć, pozwalała mi zapomnieć o nader rzeczywistym, chociaż mało istotnym bólu.

— Ces Ambrę jest zachwycona pomysłem wstąpienia do Kościoła i zostania pełnoprawną obywatelką Paxu - odpowiedziała Dem Loa, podniósłszy na mnie wzrok spod kaptura. - Mogłaby wtedy uczyć się w kościelnej akademii w Bombasino albo w Keroa Tambat, a przypuszcza, że tamtejsi chłopcy i dziewczęta byłiby znacznie bardziej atrakcyjni jako potencjalni kandydaci do małżeństwa.

Zacząłem mówić, ugryzłem się w język, a potem mimo wszystko się odezwałem:

— Ale przecież triada byłaby... No bo czy Pax pozwoli...

— Nie - odrzekł Alem, nie ruszając się spod okna. Zmarszczył brwi, ja zaś dostrzegłem czający się w jego szarych oczach smutek. - Kościół nie godzi się na związki osób tej samej płci ani małżeństwa z więcej niż jednym partnerem. Nasza rodzina zostałaby unicestwiona.

Cała trójka wymieniła szybkie spojrzenia; miłość i poczucie straty, jakie dostrzegłem w ich oczach, będzie mi zawsze towarzyszyć.

— Ale to nieuniknione - westchnęła Dem Ria. - Myślę, że ojciec Clifton ma rację, mówiąc, iż musimy zrobić to teraz, dla Bina, a nie czekać, aż umrze prawdziwą śmiercią i na zawsze go stracimy... I dopiero wtedy przyłączyć się do Kościoła. Wolałabym zabrać go na niedzielną mszę, a potem śmiać się razem z nim w promieniach słońca, zamiast zapalać w katedrze świeczkę za jego duszę.

— Dlaczego to nieuniknione? - zapytałem cicho.

Dem Loa ponownie uczyniła wdzięczny gest.

— Istnienie społeczeństwa Widmowej Helisy jest uzależnione od wszystkich jego członków. Wszystkie elementy i stopnie Helisy muszą znajdować się na swoich miejscach, żeby ich współdziałanie prowadziło do rozwoju ludzkości i moralnego dobra. Tymczasem coraz więcej ludzi porzuca Helisę i przyłącza się do Paxu. Nie utrzymamy się.

Dem Ria dotknęła mojego ramienia, jak gdyby chciała podkreślić znaczenie słów, które za chwilę padną.

— Pax do niczego nas nie zmusza - powiedziała. Prześliczny akcent sprawiał, że jej słowa falowały niczym dźwięk wiatru wpadającego do pokoju przez koronkowe firanki. - Szanujemy ich zwyczaj, że zastrzegają lekarstwa i cud zmartwychwstania dla tych, którzy do nich przystąpią... - urwała w pół zdania.

— Ale to trudne - dokończyła Dem Loa. W jej spokojnym głosie zabrzmiała chrapliwa nuta.

Alem Mikail Dem Alem wstał z parapetu i podszedł do łóżka. Uklęknął pomiędzy kobietami i z niesłychaną delikatnością dotknął przegubu Dem Loi; drugim ramieniem objął Dem Rię. Na moment cała trójka nie istniała dla świata ani dla mnie, zatopiona w miłości i smutku.

W tym momencie ból przeszył mnie ognistym ostrzem od nerek po krocze. Nie zdołałem powstrzymać jęku.

Małżonkowie rozdzielili się spokojnym, dostojnym ruchem i Dem Ria poszła po następną strzykawkę z ultramorfiną.

Sen zaczął się tak samo, jak poprzednio: unosiłem się nad pogrążoną w mroku nocy arizońską pustynią, patrząc na siebie samego i Eneę, jak pijemy herbatę i rozmawiamy przy wejściu do jej schronu. Tym razem jednak słowa nie pochodziły z prawdziwych wspomnień.

— Jak możesz być wirusem? - zapytałem siedzącą obok mnie nastolatkę. - Jak cokolwiek, czego nauczysz, może stanowić zagrożenie dla tak potężnego i rozległego organizmu, jak Pax?

Enea zapatrzyła się w przestrzeń, na pustynię, wdychając woń kwitnących nocą kwiatów. Nie spojrzała na mnie, kiedy się odezwała.

— Czy wiesz, Raul, jaki główny błąd popełnił wujek Martin w „Pieśniach”?

— Nie - odparłem; w ostatnich latach wskazała mi kilka omyłek, braków i nietrafionych zgadywanek w poemacie, a i wspólnie odkryliśmy parę dalszych podczas podróży na Starą Ziemię.

— Błąd ów miał podwójną naturę - rzekła cicho. Gdzieś daleko krzyknął jastrząb. — Po pierwsze: wujek uwierzył w to, co TechnoCentrum powiedziało mojemu ojcu.

— W to, że to właśnie Sztuczne Inteligencje z Centrum uprowadziły Ziemię?

— We wszystko. Ummon okłamał cybryda Johna Keatsa.

— Ale dlaczego? Przecież właśnie miał go zniszczyć.

Dziewczynka spojrzała na mnie.

— Ale moja matka poznała treść tej rozmowy. A Centrum wiedziało, że opowie o niej staremu poecie.

Pokiwałem wolno głową.

— I że on przedstawi ją jako fakt w poemacie - stwierdziłem. - Dlaczego jednak miałyby kłamać na temat...

— Drugi błąd był bardziej subtelny, ale i poważniejszy - przerwała mi Enea nie podnosząc głosu. Błada poświata wciąż znaczyła niebo ponad górami na północy i zachodzie. — Wuj Martin sądził, że TechnoCentrum jest wrogiem ludzkości.

Odstawiłem kubek z herbatą.

— Dlaczego to ma być błąd? - zapytałem. - Czy Centrum nie jest naszym wrogiem?

Kiedy dziewczynka nie odpowiedziała, podniosłem dłoń z rozczapierzonymi palcami.

— Po pierwsze, według „Pieśni”, to właśnie Centrum stało za atakiem na Hegemonię, który doprowadził do zniszczenia transponderów i Upadku... Nie Intruzi, lecz Centrum. Kościół temu zaprzecza, i zrzuca winę na Intruzów. Czy to znaczy, że Kościół jednak ma rację, a staruszek poeta się mylił?

— Nie - odrzekła Enea. - To Centrum zorganizowało atak.

— Miliardy ofiar! - wybuchnąłem. - Hegemonia obalona! Sieć zniszczona! Komunikatory nie...

— TechnoCentrum nie odcięło komunikatorów - wtrąciła delikatnie dziewczynka.

— No dobrze - odetchnąłem głęboko. - Rzeczywiście, dokonała tego jakaś tajemnicza istota... Powiedzmy, że były to te twoje lwy, tygrysy i niedźwiedzie. Ale to Centrum zaatakowało Hegemonię!

Enea skinęła głową i dołała sobie herbaty.

Zagiąłem kciuk do wnętrza dłoni i drugą ręką dotknąłem palca wskazującego.

— Po drugie, czy TechnoCentrum nie wykorzystywało sieci transponderów jako swojego rodzaju kosmicznych pijawek, dzięki którym wykorzystywało ludzkie mózgi w pracach nad projektem Najwyższego Intelaktu? Kiedy tylko ktoś korzystał z portalu, te cholerne autonomiczne inteligencje... wykorzystywały jego neurony. Mam rację?

— Owszem.

Zagiąłem palec wskazujący i postukałem w środkowy.

— Po trzecie: Rachela, córka Solą Weintrauba, która wraz z Grobowcami Czasu przybyła z przyszłości, mówi o czasach, w których - zmieniłem ton głosu, by zacytować poemat - „...rozpęta się ostateczna wojna między pochodzącym z Centrum Najwyższym Intelaktem i ludzkim duchem”. Czy to też był błąd?

— Nie.

— Po czwarte - ciągnąłem, choć zaczynałem czuć się głupio z tą gimnastyką palców. Byłem jednak wystarczająco rozeźlony, by kontynuować: - Czy Centrum nie przyznało się przed twoim ojcem, że go stworzyło, że stworzyło cybryda Johna Keatsa tylko jako pułapkę na... Jak SI to nazwały? Empatyczny składnik ludzkiego Najwyższego Intelaktu, który ma się pojawić w przyszłości?

— Tak mówiły. - Enea pociągnęła łyżeczek herbaty. Wyglądała niemal na rozbawioną, co tylko bardziej mnie rozwścieczyło.

— Po piąte - powiedziałem i zagiąłem mały palec. Tym samym moja prawa dłoń zacisnęła się w pięść. - Czy to nie Centrum z Paxem... Do diabła, Centrum wydawało przecież Paxowi rozkazy... Czy nie próbowali cię schwytać i zabić na Hyperionie, na Renesansie, na Bożej Kniei... Nie ścigali cię przez pół Galaktyki?

— To wszystko prawda.

— A czy nie Centrum - mówiłem dalej, zapomniawszy o wyliczaniu na palcach i temacie rozmowy, czyli omyłkach autora „Pieśni” - stworzyło tę kobietę, to... coś, co sprawiło, że biedny A. Bettik stracił rękę na Bożej Kniei? Ten stwór obciąłby ci głowę, gdyby nie interwencja Chyżwara! - Ze złości potrząsnąłem pięścią. - Psiakrew, czy to nie Centrum usiłowało zabić nas oboje?! I prawdopodobnie zabije nas, jeśli okażemy się na tyle głupi, żeby wrócić do kontrolowanego przez Pax kosmosu?!

Enea skinęła głową.

Zadyszałem się, jakbym właśnie przebiegł sprintem kilkadziesiąt metrów.

— Więc? - zapytałem niezdarnie, powoli rozluźniając pięści.

Enea dotknęła mojego kolana; jak przy każdym fizycznym kontakcie z nią miałem wrażenie, że przeszyło mnie łagodne wyładowanie elektryczne.

— Raul, nigdy nie twierdziłam, że Centrum nie knuje przeciw nam. Mówię ci tylko, że wujek Martin mylił się, przedstawiając je jako wroga ludzkości.

— No ale jeśli wszystkie te fakty są prawdziwe... - urwałem ogłupiały i pokręciłem głową.

— Pewne elementy Centrum zaatakowały Sieć przed Upadkiem - powiedziała Enea. - Z rozmowy mojego ojca z Ummonem wynikało, że Centrum w wielu decyzjach nie było zgodne.

— Ale...

Dziewczynka podniosła otwartą dłoń. Zamilkłem.

— Sztuczne Inteligencje wykorzystywały nasze sieci neuronowe w pracach nad Najwyższym Intelektem, nie ma jednak dowodów na to, by ludziom stała się z tego powodu krzywda.

Szczęka prawie sama mi opadła. Na myśl o tym, że te cholerne SI używają ludzkich mózgów w tym ich kurewskim projekcie, robiło mi się niedobrze.

— Nie miały prawa!

— Oczywiście, że nie - przyznała Enea. - Powinny były zapytać o pozwolenie. Zgodziłbyś się?

— Powiedziałbym, że je pierdolę - odpowiedziałem; w tym samym momencie dotarła do mnie absurdalność takiego stwierdzenia w odniesieniu do Sztucznych Inteligencji.

Enea się uśmiechnęła.

— Nie zapominaj przy tym, że my od ponad tysiąca lat wykorzystywaliśmy ich umysły do własnych celów. Nie wydaje mi się, żeby ktoś pytał o zgodę stare, krzemowe SI... Albo bąbelki magnetyczne czy pierwsze intelekty biologiczne.

— To co innego - machnąłem rozzłoszczony ręką.

— Ależ oczywiście. Grupa SI, zwana Ostatecznymi, sprawiała ludziom kłopoty w przeszłości i będzie je sprawiać nadal; do kłopotów

tych zaliczam także próby zabicia mnie i ciebie. Ale Ostateczni to tylko część Centrum.

— Nie rozumiem, maleńka. - Mój głos brzmiał teraz łagodniej. Pokręciłem głową. - Czy sugerujesz, że są dobre i złe Sztuczne Inteligencje? Nie pamiętasz, że rozważały możliwość unicestwienia ludzkiej rasy? I mogą nas zlikwidować, jeżeli będziemy im wchodzić w drogę? Mnie to wystarczy, żeby zakwalifikować je do wrogów ludzkości.

Dziewczynka znów dotknęła mojego kolana.

— Nie zapominaj, Raul, że ludzkość sama niemal doprowadziła do zniszczenia ludzkiej rasy - powiedziała. Oczywiście miała śmiertelnie poważne. - Kapitałiści i komuniści chcieli wysadzić Ziemię w powietrze w czasach, gdy była jedyną zamieszkaną planetą. I to w imię czego?

— No tak - przyznałem niechętnie. - Tylko że...

— A Kościół szykuje się właśnie do wymordowania Intruzów. Do ludobójstwa na skalę... jakiej jeszcze nie widziano.

— Kościół... i wielu innych... nie uważa Intruzów za istoty ludzkie.

— To nonsens - ucięła krótko Enea. - Intruzi bez wątplenia są ludźmi, ewoluowali z naszych wspólnych przodków, zamieszkujących Starą Ziemię, tak samo, jak obecne SI z Centrum są potomkami dawniejszych Inteligencji. Wszystkie nasze trzy rasy są jak zagubione sieroty, gdy wokół szaleje burza.

— Wszystkie trzy... - powtórzyłem. - Jezu Chryste, Eneo, czy zaliczasz istoty z Centrum do ludzi?

— Stworzyliśmy je - zauważyła cicho. - Dawniej stosowano ludzkie DNA, by zwiększyć ich moc obliczeniową... ich intelekt. Kiedyś my mieliśmy roboty, Sztuczne Inteligencje zaś stworzyły cybrydy, twory z ludzkim DNA i osobowością SI. Teraz u władzy znalazła się ludzka instytucja, która dzieli i rządzi tylko dlatego, że chwali się związkami z

Bogiem, z ludzkim Najwyższym Intelpektem. Być może w Centrum panuje podobna sytuacja, gdy ster władzy przejęły Ostateczne.

Mogłem tylko patrzeć; nic nie rozumiałem.

Enea położyła mi drugą dłoń na kolanie. Przez materiał spodni czułem dotyk jej palców.

— Powiedz mi, Raul... Pamiętasz, co Ummon powiedział drugiemu cybrydowi Keatsa? Jego słowa cytuje się w „Pieśniach”. Wypowiedzi Ummona mają formę podobną do koanów zeń... przynajmniej taki kształt nadał im wujek Martin.

Zamknąłem oczy, żeby przypomnieć sobie ten fragment poematu. Upłynęło wiele czasu, odkąd na zmianę ze Starowiną recytowaliśmy „Pieśni” przy obozowym ognisku.

Enea wypowiedziała słowa na głos w tym samym momencie, gdy zaczęły się formować w mojej głowie.

— Ummon powiedział coś takiego:

„[Musisz zrozumieć/

Keats/

że naszą jedyną szansą

było stworzenie cybrydał

Syna Człowieczego/

Syna Maszyny\\

I uczynienie go tak atrakcyjnym,

że uciekająca Empatia

właśnie jego wybierze na swój dom/

Świadomość na tyle bliska boskiej,

na ile ludzkość umożliwiła to przez

trzydzieści pokoleń

wyobraźnia mogąca poruszyć

przestrzeń i czas\\

Oferując/

i akceptując/
formę połączenia między światami
pozwalającą
istnieć im
obuj”

Potarłem w zamyśleniu policzek. Nocny wiatr poruszał zwojami płótna osłaniającymi schron Enei, i niósł słodkie zapachy pustyni. Nad odległymi górami migotały dziwne gwiazdy.

— Empatia miała być umykającym elementem ludzkiego Najwyższego Intelaktu - zacząłem wolno, jakbym zmagał się z jakąś zagadką. - Częścią naszej przyszłej, rozwiniętej świadomości, która wróciła do nas poprzez otchłań czasu.

Enea patrzyła na mnie.

— Ową hybrydą był cybryd Johna Keatsa - ciągnąłem. - Syn Człowieczy, Syn Maszyny.

— Nie - poprawiła mnie Enea. - Na tym właśnie polegała druga omyłka wuj a Martina. Cybrydów Keatsa nie stworzono z myślą o daniu schronienia Empatii w naszych czasach. Miały być instrumentem zespolenia Centrum z rodzajem ludzkim. Inaczej mówiąc: miały spłodzić potomka.

Spojrzałem na spoczywające na moim kolanie dłonie dziewczynki.

— Czyli to ty jesteś świadomością... „na tyle bliską boskiej, na ile ludzkość umożliwiła to przez trzydzieści pokoleń”, tak?

Enea wzruszyła ramionami.

— I masz wyobraźnię „mogącą poruszyć przestrzeń i czas”?

— Tak jak każdy - odrzekła dziewczynka. - Z tą różnicą, że kiedy śnię lub coś sobie wyobrażam, widzę rzeczy, które naprawdę się wydarzą. Pamiętasz, jak mówiłam ci, że pamiętam przyszłość?

— Tak.

— Teraz na przykład pamiętam, że za parę miesięcy ta rozmowa ci się przyśni. Będziesz leżał w łóżku - złożony okrutnym bólem, obawiam się - na planecie, która ma skomplikowaną nazwę, w domu, gdzie wszyscy noszą się na niebiesko.

— Co takiego?

— Mniejsza z tym; zrozumiesz, kiedy to się zdarzy. Zawsze tak jest z rzeczami nieprawdopodobnymi, gdy dochodzi do kolapsu fałd prawdopodobieństwa i tworzy się zdarzenie.

— Eneo - usłyszałem własny głos, zataczając coraz wyższe kręgi ponad pustynnym schronem i patrząc na malejące postaci w dole. - Jaką tajemnicę skrywasz? Co sprawia, że jesteś mesjaszem? Co to za „forma połączenia między światami”?

— Dobrze, ukochany - odparła Enea i nagle ujrzałem ją jako dorosłą kobietę, na ułamek sekundy przed tym, jak wzniosłem się za wysoko, żeby rozróżnić szczegóły jej wyglądu i przestałem słyszeć jej głos, zagłuszony szelestem powietrza w piórach moich wyśnionych skrzydeł. - Powiem ci. Słuchaj.

Zanim nastąpiła translacja do piątego układu Intruzów, członkowie grupy uderzeniowej „Gedeon” zaczęli traktować rzeź jak jedno z rutynowych zajęć. Ojciec kapitan de Soya pamiętał z wykładów z historii wojskowości w Akademii Dowodzenia Floty Paxu, że niemal do wszystkich walk toczonych w kosmosie dalej niż o pół jednostki astronomicznej od planety, księżyca, asteroidu lub innego strategicznego źródła punktowego, dochodziło za obopólną zgodą zainteresowanych stron. Wiedział również, że tak samo przebiegały potyczki prymitywnej, prehegirańskiej marynarki wojennej na Starej Ziemi: większość wielkich bitew morskich stoczono na wąskim, przybrzeżnym pasie wody i tylko technika z wolna ulegała zmianie - okręty ewoluowały od greckich trirem po stalowe pancerniki. Lotniskowce, wyposażone w myśliwce i bombowce dalekiego zasięgu, nieodwracalnie zmieniły ten obraz; armady mogły teraz atakować się na środku oceanu, ze znacznie większej odległości. Starcia te jednak nie miały nic wspólnego z legendarnymi bitwami morskimi, w których okręty ostrzeliwały wroga, mając go w zasięgu wzroku. Zanim jeszcze pociski kierowane, rakiety jądrowe i prymitywna broń wiązkowa zakończyły erę pojedynków na morzu, kapitanowie ze Starej Ziemi z rozrzewnieniem wspominali epokę salw burtowych i abordaży.

Wojna w kosmosie przyniosła renesans takich właśnie uzgodnionych potyczek. Wielkie bitwy stoczone przez flotę Hegemonii - czy to stłumienie rebelii generała Horace'a Glennona-Heighta, czy też kilkusetletni konflikt z Intruzami - miały zwykle miejsce albo w pobliżu planety, albo nieopodal portalu transmitera. Odległości dzielące przeciwników były w takich sytuacjach wręcz absurdalnie małe - setki tysięcy kilometrów, czasem tylko dziesiątki tysięcy, a często jeszcze mniej - wobec lat świetlnych i parseków, jakie należało przelecieć, by

w ogóle doszło do bitwy. Zbliżenie się do przeciwnika było jednak koniecznością, ze względu na czas, jakiego potrzebował promień zasilanej atomowo lancy laserowej czy zwykły pocisk na pokonanie choćby jednej jednostki astronomicznej; światło pełzłoby siedem minut od niedoszłego zabójcy do jego ofiary, najszybszy zaś pocisk - znacznie dłużej. Pościgi, zasadzki i kontrataki potrafiły ciągnąć się całymi dniami; statki wyposażone w napęd nadświatłowy nie miały specjalnie ochoty wyczekiwać pod bokiem nieprzyjaciela, aż ten odpali samonaprowadzające się rakiety, a narzucone przez Kościół ograniczenia w stosowaniu Sztucznych Inteligencji podawały w wątpliwość skuteczność tego typu broni. Dlatego bitwy w kosmosie w kilkusetletnich dziejach Hegemonii przebiegały prosto: dwie wrogie floty dokonywały skoku do spornego układu, odszukiwały się nawzajem bądź znajdowały zainstalowane w układzie systemy obronne i szybko zbliżały się na śmiertelnie bliski dystans. Potem następowała krótka, lecz zabójcza wymiana ognia i nieunikniony odwrót strony, która poniosła większe straty - lub całkowite jej zniszczenie, jeśli nie miała się gdzie wycofać. Zwycięska flota mogła zacząć zbierać łupy.

Technicznie rzecz biorąc, wolniejsze okręty, na jakich de Soya służył w przeszłości, miały jedną poważną przewagę nad wyposażonymi w natychmiastowy napęd archaniołami: odzyskanie pełni sił po śnie kriogenicznym wymagało w najgorszym razie dwóch godzin - w najlepszym wystarczało parę minut - toteż załoga okrętu z silnikami Hawkinga była gotowa do walki niemal natychmiast po wyjściu z nadświatłowej; czynnik ludzki na pokładzie archanioła potrzebował natomiast około pięćdziesięciu godzin standardowych, by stanąć do boju, nawet przy zastosowaniu nowych, pobłogosławionych przez papieża, dwudniowych komór zmartwychwstańczych. Teoretycznie fakt ten dawał obrońcom znaczącą przewagę; wydawałoby się, że Pax

może lepiej wykorzystywać jednostki z napędem Gedeona, gdyby zainstalował na nich SI: bezzałogowy archanioł dokonywałby skoku do układu przeciwnika, siał spustoszenie i zniknął, zanim napadnięty zorientowałby się w sytuacji.

Teoria pozostawała jednak teorią. Kościół nigdy by się nie zgodził na zastosowanie autonomicznych maszyn, zdolnych do tak zaawansowanych procesów rozmytej logiki. Co więcej, we Flocie Paxu opracowano strategię ataku, uwzględniającą konieczność wskrzeszenia załóg, żeby nie dać wrogowi żadnych atutów do ręki. Krótko mówiąc: bitwy toczone za obopólną zgodą należały do przeszłości. Siedem archaniołów miało spaść na wroga niczym Boża pięść w pancernej rękawicy - i tak właśnie czyniły.

W pierwszym wypadku grupy „Gedeon” na terytorium Intruzów prowadzony przez matkę kapitan Stone „Gabriel” pierwszy dokonał translacji i zaczął hamować z ogromnym przeciążeniem, ściągając na siebie uwagę wszystkich dalekosiężnych czujników elektromagnetycznych i neutrinowych. Ograniczone SI, zainstalowane na jego pokładzie, miały wystarczającą moc obliczeniową, żeby namierzyć, rozpoznać i skatalogować wszystkie instalacje obronne i najgęściej zaludnione obszary w układzie, na bieżąco monitorując ślimacze manewry statków wojennych i handlowych przeciwnika.

W trzydzieści minut później „Uriel”, „Rafael”, „Remiel”, „Sariel”, „Michael” i „Raguel” dokonały przeskoku do układu. Zwolniwszy do trzech czwartych prędkości światła i tak poruszały się niczym kule armatnie w porównaniu z żółwimi ruchami dopiero rozpędzających się liniowców Intruzów. Odebrały z „Gabriela” skompresowany przekaz danych na temat układu i znajdujących się w nim celów, po czym otworzyły ogień z broni, która nic sobie nie robiła z ograniczeń związanych z prędkością światła. Ulepszone pociski hiperkinetyczne z napędem Hawkinga pojawiały się znikąd pośród oddziałów wroga i

nad ośrodkami miejskimi: niektórym do zniszczenia celu wystarczała sama prędkość i dokładny namiar, inne zaś, precyzyjnie uformowane, wybuchały przeobrażając się w gigantyczne kule plazmy. Sondy wielokrotnego użytku, również wyposażone w silniki Hawkinga, spadały z nieba na wybrane obiekty i siały zagładę w promieniu stu tysięcy kilometrów, ostrzeliwując cele z lanc laserowych.

Najgorsze jednak były zainstalowane na okrętach bojowe paralizatory, które cięły przestrzeń wokół archaniołów niczym niewidzialne kosy; rozchodziły się po pozostawionych przez sondy i rakiety śladach w przestrzeni Hawkinga, po czym wracały do przestrzeni rzeczywistej, niczym nieomylny miecz Boga. W ułamku sekundy zagotowały się biliony synaps w mózgach; Intruzi ginęli tysiącami nie wiedząc nawet, że znaleźli się pod ostrzałem.

Grupa uderzeniowa „Gedeon” zawróciła zaś, by dokończyć dzieła. Za rufami archaniołów ciągnęły się mierzące tysiąc kilometrów ogniste ogony.

Każdy z siedmiu wybranych na pierwszy ogień układów gwiazdnych zbadano najpierw bezzałogowymi sondami z napędem Gedeona; potwierdzono obecność Intruzów; wyznaczono wstępne cele ataku. Każdy układ miał swoją nazwę - zazwyczaj kod alfanumeryczny według Nowego Poprawionego Katalogu Ogólnego - ale dowództwo na „Urielu” przechrzciło je, nadając im imiona siedmiu arcydemonów wymienionych w Starym Testamencie.

Ojciec kapitan de Soya uważał, że przesadzają z tą kabalistyczną numerologią: siedem archaniołów, siedem celów, siedem demonów, siedem grzechów głównych... Wkrótce jednak przyzwyczał się do nowych określeń.

Wybrane układy nazwano następująco: Belfegor (lenistwo), Lewiatan (zazdrość), Belzebub (obżarstwo), Szatan (gniew), Asmodeusz (nieczystość), Mammon (chciwość) i Lucyfer (pycha).

Belfegor był układem skupionym wokół czerwonego karła. Przypominał de Sol Układ Barnarda, z tym że zamiast uroczej, w pełni terraformowanej planety, w pobliżu słońca krążył gazowy olbrzym, podobny do Wiru, zapomnianego dziecka Gwiazdy Barnarda. Wokół pozbawionego nazwy giganta znajdowały się prawdziwe cele wojskowe: stacje paliwowe liniowców zmierzających w stronę Wielkiego Muru, olbrzymie zbiornikowce do przenoszenia gazu z powierzchni planety na orbitę, dziesiątki doków remontowych i orbitalnych stoczní.

Archanioły wykryły, że większość ośrodków mieszkalnych rozlokowano w punktach trojańskich za gazowym olbrzymem; znalazły setki małych lasów orbitalnych z dziesiątkami tysięcy przystosowanych do życia w kosmosie „aniołów”, które w większości zdążyły właśnie w panice rozłożyć skrzydła z pól siłowych, by chwytać w nie słaby, czerwony blask słońca. Okręty „Gedeona” unicestwiły delikatne ekostruktury, zniszczyły wszystkie lasy, asteroidy pasterskie i komety wodne; wypaliły uciekających aniołów niczym ćmy, które zanadto zbliżyły się do ognia - a wszystko bez znaczącego wytracania szybkości pomiędzy punktem przybycia i następnym skokiem.

Drugi w kolejności, Lewiatan, mimo imponującej nazwy, okazał się podobnym do Syriusza białym karłem, z kilkunastoma zaledwie asteroidami Intruzów, skupionymi w pobliżu rozpalonego rdzenia. Tym razem zabrakło czysto wojskowych instalacji, które de Soya tak chętnie zaatakował w układzie Belfegora: asteroidy były bezbronne - prawdopodobnie stanowiły wylęgarnie i hermetyczne mieszkania dla tych spośród Intruzów, którzy postanowili nie przystosowywać się do życia w próżni, przy silnym promieniowaniu. „Gedeon” omiół je wiązkami bojowych paralizatorów i pomknął dalej.

Trzecia gwiazda, w Belzebubie, okazała się podobnym do Alfry Centauri C czerwonym karłem, pozbawionym planet i kolonii, wokół

którego w odległości około trzydziestu jednostek astronomicznych krążyła samotna baza wojskowa. Znajdowało się w niej pięćdziesiąt siedem okrętów roju, które właśnie przezbrajano lub którym uzupełniano paliwo. Trzydzieści dziewięć z nich - od najmniejszych jednostek zwiadowczych po lotniskowce klasy „orion” - okazało się zdolnych do natychmiastowej walki i ruszyło do ataku na archanioły. Bitwa trwała dwie minuty i osiemnaście sekund: wszystkie pięćdziesiąt siedem okrętów Intruzów i baza zmieniło się w obłoki cząstek lub wymarłe sarkofagi. Żaden z archaniołów nie ucierpiał. Grupa uderzeniowa ruszyła w dalszą drogę.

W czwartym układzie, Szatanie, nie zastali żadnych statków, tylko kolonie rozrodcze, rozproszone aż po obłok Oörta. Spędzili w nim jedenaście dni, wypalając kolejne rzesze aniołów Lucyfera.

Słońce piątego z kolei Asmodeusza było miłym, pomarańczowym karłem typu K, podobnym do Epsilon Eridani. Intruzi bronili zaludnionego pasa asteroidów, wysyłając fala za falą stacjonujące w układzie liniowce - i fala za falą ginęła pod ostrzałem archaniołów, które prowadziły ogień z oszczędnością zrodzoną z praktyki. „Gabriel” zgłosił obecność osiemdziesięciu dwóch zamieszkanym asteroidów, których populację szacowano na milion do półtora miliona odmienionych i zwyczajnych Intruzów. Osiemdziesiąt jeden asteroid zniszczono bądź ostrzelano z paralizatorów bojowych z dużej odległości, po czym admirał Aldikacti zażądała sprowadzenia jeńców. Grupa uderzeniowa „Gedeon” wytraciła więc prędkość, krążąc po wydłużonej elipsie, która zaprowadziła ją powrotem w obręb pierścienia, w pobliże ostatniej skalistej, zrytej kraterami planetki. Asteroid przypominał z wyglądu ziemniak o wymiarach cztery kilometry na kilometr. Radar dopplerowski pozwolił stwierdzić, że koziółkuje i okrąża słońce zgodnie z przypadkowymi, zrozumiałymi tylko dla bogów chaosu prawami, za to obrót wokół dłuższej osi

odbywa się ze stałą prędkością, dającą na wewnętrznej powierzchni skały odpowiednik jednej dziesiątej ziemskiego ciężenia; radar głębokościowy wykazał, że asteroida jest w środku wydrążona; dane z sond sugerowały, że jej wnętrze zamieszkuje aż dziesięć tysięcy Intruzów; z analiz wynikało, iż jest to wylęgarnia.

Sześć nieuzbrojonych skoczków skalnych rzuciło się na spotkanie archaniołów; strzałami z odległości osiemdziesięciu sześciu tysięcy kilometrów „Uriel” zmienił je w chmurę plazmy. Tysiąc aniołów, w większości uzbrojonych w broń energetyczną niskiej mocy i bezodrzutowe karabiny, pofrunęło ku okrętom „Gedeona” na grzbiecie wzbierającej fali wiatru słonecznego. Rozwijały tak niewielką prędkość, że pokonanie całego dystansu zajęłoby im kilka dni. „Gabrielowi” wyznaczono zadanie spalenia ich tysiącem błysków koherentnego światła.

Uruchomiono łączność wiązką transmisyjną; „Rafael” i „Gabriel” potwierdziły odebranie rozkazów i zbliżyły się na odległość tysiąca kilometrów do pozornie wymarłej asteroidy. Otwarto śluzy i światło pomarańczowego słońca zaśniło na kombinezonach dwunastu maleńkich postaci - po sześć z każdego okrętu - gdy komandosi z Gwardii Szwajcarskiej, marines i zwykli żołnierze odpalili silniczki odrzutowe i pomknęli ku maleńkiej planetce. Nie napotkali oporu przy lądowaniu; znaleźli dwie śluzy powietrzne; w tym samym momencie, idealnie zgrywając w czasie swoje działania, wysadzili oboje zewnętrznych drzwi i trójkami weszli do środka.

— Pobłogosław mi, ojcze, bo zgrzeszyłem. Ostatni raz przystąpiłem do spowiedzi przed dwoma miesiącami.

— Mów dalej, synu.

— Ojcze, ta dzisiejsza operacja... Ciężko mi o tym mówić, ojcze.

— Mów, synu.

— To było coś... złego.

Ojciec kapitan de Soya milczał. Obserwował poczynania sierżanta Gregoriusa na wirtualnym kanale taktycznym, a po powrocie zrobił swoim ludziom odprawę. Wiedział, że za chwilę usłyszy wszystko jeszcze raz, tym razem w mroku konfesjonału.

— Proszę kontynuować, sierżancie.

— Tak jest, kapitanie - odparł sierżant z drugiej strony kratki. - To znaczy: tak jest, ojczu.

De Soya usłyszał, jak potężny gwardzista bierze głęboki wdech.

— Bez kłopotu wylądowaliśmy na tym gładzie - zaczął Gregorius. - Ja i tych pięcioro młodych, znaczy się. Pozostawiliśmy w kontakcie z oddziałem sierżanta Kluge'a z „Gabriela”. No i oczywiście z komandorami Barnes-Avne i Uchikawą.

Kapłan się nie odzywał. Konfesjonał dawał się rozkładać na części, dzięki czemu można było go złożyć i schować w warunkach bojowych lub podczas lotu z wysokim przyspieszeniem - a w takich okolicznościach „Rafael” działał prawie bez przerwy. Teraz jednak pachniał drewnem, potem, aksamitem i grzechem, jak prawdziwe konfesjonały w kościołach. Ojciec kapitan wygospodarował pół godziny na ostatnim etapie lotu przed skokiem do szóstego układu Intruzów, Mammona, i zaproponował swoim ludziom, że ich wyspowiada. Tylko sierżant Gregorius był chętny.

— No więc wylądowaliśmy, panie... ojczu i kazałem chłopakom wysadzić południową śluzę, tak jak w symulacjach. Drzwi poszły w drzazgi aż miło, ojczu, a potem włączyliśmy osobiste pola siłowe, szykując się do walki w tunelach.

De Soya skinął głową. Skafandry bojowe Gwardii Szwajcarskiej zawsze należały do najdoskonalszych dokonań ludzkiej myśli technicznej : gwarantowały przeżycie, swobodę ruchów i możliwość walki w powietrzu, wodzie, całkowitej próżni, środowisku radioaktywnym, pod ostrzałem z broni konwencjonalnej, laserowej

i energetycznej; pozwalały również nie obawiać się kilotonowej eksplozji w najbliższej okolicy, a najnowsze modele wyposażono w autonomiczne pola siłowe czwartej klasy oraz możliwość czerpania energii ze znacznie potężniejszych pól siłowych macierzystego statku.

— Właśnie tam zaatakowali nas Intruzi, ojciec, w ciemnych tunelach blisko wejścia. Niektórzy z nich przystosowali się do życia w kosmosie... takie anioły, ze złożonymi skrzydłami... pozostali w większości byli po prostu obeznani z niskim ciężeniem i nosili próżnioskóry, właściwie żadna osłona... Próbowali do nas strzelać z lanc, karabinów i miotaczy, ale mieli tylko zwykłe gogle noktowizyjne, wzmacniające słabiutkie światło emanujące ze skał, a my, w naszych filtrach, widzieliśmy ich dużo wcześniej... Pierwsi widzieliśmy i pierwsi strzelaliśmy. - Sierżant Gregorius znów głęboko odetchnął. — W parę minut przebiliśmy się do wewnętrznych śluz, ojciec. Wszyscy Intruzi, którzy chcieli nas powstrzymać w tunelach, zostali tam...

De Soya czekał bez słowa.

— W środku, ojciec... No... - Gregorius odchrząknął. - Oba oddziały rozwaliły śluzy w tej samej chwili, ojciec, pomocną i południową. Przekazniki, które rozstawiliśmy w tunelach, spisały się na medal, więc cały czas mieliśmy kontakt z Klugem... chociaż z okrętami już nie, jak ojcu wiadomo. Na drzwiach w środku były dodatkowe zabezpieczenia. Przypuszczaliśmy, że je tam znajdziemy, więc też je wysadziliśmy, podobnie jak membrany awaryjne. W środku asteroida była pusta, ojciec... ja wiem, że wszyscy się tego spodziewaliśmy, ale... nigdy przedtem nie byłem w wylęgarni. Wojskowe placówki - to i owszem, nie raz i nie dwa, ale nie wylęgarnia...

De Soya czekał.

— Wnętrze miało chyba z kilometr długości. Większość miejsca pośrodku zajmowały te ich pająkowate wieżyczki, dostosowane do

niskiej grawitacji. Sufit nie był wcale kulisty ani gładki... Miał taką fakturę, jak powierzchnia zewnętrzna, wie ojciec...

— Jak ziemniak - odpowiedział de Soya.

— Tak jest. Mnóstwo zagłębień, kraterów, załamów i jam... jakby kryjówek dla ciężarnych Intruzie.

Ukryty w ciemności De Soya skinął głową i zerknął na chronometr. Zastanawiał się, czy tak lakoniczny zazwyczaj sierżant zdąży powiedzieć coś na temat rzekomych grzechów, zanim będą musieli złożyć konfesjonał przed skokiem.

— Dla nich to musiało być istne piekło, ojciec... Rozhermetyzowane wnętrze, świst powietrza uciekającego przez rozbite śluzy jak woda z wanny, w powietrzu pełno śmiecia, Intruzi miotani cyklonem jak suche liście. Mieliśmy włączone zewnętrzne mikrofony, ojciec, i hałas był nie do zniesienia, ale w końcu atmosfera tak się rozrzedziła, że przestaliśmy go słyszeć: ryk powietrza, krzyki Intruzów, strzały z lanc, ich i naszych, grzmot granatów plazmowych... Echo tak dudniło w tej pieczarze, że niosło się przez całe minuty po wybuchu... Tam było naprawdę głośno, ojciec.

— Rozumiem - rzekł ojciec kapitan de Soya.

Gregorius znów nabrał powietrza w płuca.

— Mieliśmy rozkaz sprowadzić po dwa okazy każdego rodzaju: dorosłe osobniki płci męskiej, przystosowane do otwartego kosmosu i nie; dorosłe samice, w ciąży i nie; dzieci Intruzów, młodsze i starsze... obojga płci. Razem z ludźmi Kluge'a wzięliśmy się ostro do roboty - ogłuszaliśmy Intruzów i pakowaliśmy ich do hermetycznych worków. Ciężenie na wewnętrznej powierzchni, jedna dziesiąta normalnego, w sam raz wystarczało, żeby worki leżały tam, gdzie sieje zostawiło...

Sierżant umilkł na chwilę. Ojciec kapitan już chciał się odezwać i zakończyć spowiedź, gdy Gregorius znów zaczął szeptać przez kratkę konfesjonału:

— Przykro mi, wiem, że ojciec już to wszystko wie. Ja tylko... trudno mi... To było najgorsze. Większość Intruzów, którzy nie poddali się modyfikacjom... nie przystosowali się do próżni... w tej chwili umierała lub już była martwa albo od dekompresji, albo od granatów. Nie używaliśmy paralizatorów, które nam wydano... Ani Kluge, ani ja nic chłopcom nie mówiliśmy... po prostu nikt z nas ich nie użył.

Intruzi, którzy potrafili żyć w kosmosie, zmienili się teraz w anioły; ich ciała zabłysły, kiedy włączyli pola siłowe. Nie mogli oczywiście rozłożyć do końca skrzydeł - zresztą wiele by im to nie pomogło: żadnego światła, które mogliby chwytać, a jednej dziesiątej g i tak nie daliby rady przewyciężyć, nawet gdyby mieli wiatr słoneczny. W każdym razie zmienili się w anioły; niektórzy próbowali używać skrzydeł jako broni przeciwko nam.

Z piersi sierżanta dobył się niski, chropawy dźwięk, prawdopodobnie parodia chichotu.

— Mieliśmy pola siłowe czwartej klasy, ojcze, a oni bili nas tymi delikatnymi skrzydłami, jak z pajęczyny... Ale to nieważne. Spaliliśmy ich i wysłaliśmy po trzech chłopców z każdego oddziału z powrotem. Mieli zabrać popakowane do worków okazy na okręty, a ja z Klugem i resztą ludzi poszliśmy dalej, żeby zgodnie z rozkazami oczyścić jaskinie do końca...

De Soya czekał. Została już niespełna minuta do chwili, kiedy powinni złożyć konfesjonał.

— Wiedzieliśmy, że to wylęgarnia, ojcze. Wiedzieliśmy... wszyscy to wiedzą... że Intruzi, nawet ci, którzy wstrzyknęli maszyny do komórek swojego ciała i w niczym nie przypominają już ludzi... no, ich kobiety nie mogą być w ciąży i rodzić dzieci w kompletnej nieważkości, próżni i przy stałym promieniowaniu. Wiedzieliśmy, że to wylęgarnia, już kiedy lądowaliśmy na tym cholernym kawałku skały... Przepraszam, ojcze...

De Soya się nie odezwał.

— Ale ojcze, te... jaskinie... wyglądały jak domy... łóżka, pokoje, płaskie ekrany, kuchnie... Zwykle nie myślimy o tym, że Intruzi mają takie rzeczy... A większość tych jaskiń to były...

— Żłobki - rzekł ojciec kapitan.

— Tak jest. Żłobki. Maleńkie łóżeczka, a w nich maleńkie dzieci... Wcale nie jacyś potworni Intruzi, ojcze, nie jakieś blade, błyszczące istoty, z którymi walczyliśmy... i nie te przekłete anioły Lucyfera ze skrzydłami rozpostartymi na sto kilometrów, żeby chwytać światło gwiazd... po prostu... dzieci. Setki maleństw, ojcze... tysiące; jaskinia za jaskinią. Większość pomieszczeń uległa już rozhermetyzowaniu i maluchy zginęły we śnie; niektóre ciała pęd powietrza wyrwał z łóżeczek, ale większość została na miejscu. Część pomieszczeń zachowała jeszcze szczelność, więc wysadziliśmy drzwi. Matki... Kobiety w drugich szatach, ciężarne kobiety z rozwianymi w małym ciężeniu włosami... rzuciły się na nas z paznokciami, próbowały gryźć... Nie zwracaliśmy na nie uwagi, ojcze. Jedne się podusiły, inne porwał ze sobą podmuch uciekającego powietrza... Tylko że niektóre z dzieci... właściwie całe mnóstwo, ojcze... były zapakowane w te małe, plastikowe kapsuły respiracyjne...

— Inkubatory - podpowiedział de Soya.

— Właśnie - szepnął sierżant. W jego głosie zaczynało pobrzmiwać zmęczenie. - Zapytaliśmy dowództwa, co mamy z nimi zrobić, co zrobić z setkami małych Intruzi w inkubatorach. Komandor Barnes-Avne nadała w odpowiedzi...

— Kazała wam kontynuować akcję - wyszeptał ojciec kapitan.

— Tak jest, ojcze... I my...

— Wykonaliście rozkaz, sierżancie.

— Zużyliśmy w żłobkach ostatnie granaty plazmowe, ojcze. A kiedy się nam skończyły, strzelaliśmy do inkubatorów z laserów: sala za salą,

jaskinia za jaskinią. Plastik topił się i gorący spływał na ciała dzieci, oblewał je; kocyki płonęły... Do inkubatorów dopływał chyba czysty tlen, bo niektóre same wybuchały jak granaty... Musieliśmy uaktywnić pola siłowe w kombinezonach, ojciec, ale i tak... dwie godziny czyściłem później pancierz... Większość kapsuł nie eksplodowała, tylko paliły się jak suche drewno, jak pochodnie, buzowało w nich jak w piecach hutniczych. Wszędzie panowała już próżnia, ale kapsuły... inkubatory... miały dość tlenu, żeby płonąć... Wyłączyliśmy zewnętrzne mikrofony, ojciec kapitanie, wszyscy... Lecz jakimś cudem ciągle słyszeliśmy ten płacz, te krzyki... mimo pola i hełmów. Wciąż je słyszę, ojciec...

— Sierżancie - przerwał mu de Soya ostrym, rozkazującym głosem.

— Tak, ojciec kapitanie.

— Wykonywaliście rozkazy, sierżancie. Wszyscy wykonujemy rozkazy. Jego Świątobliwość dawno już stwierdził, że Intruzi zaprzędali swoje człowieczeństwo nanomaszynom, które krążą w ich krwi, że zmiany, jakich dopuścili się na swoich chromosomach, wykluczają ich spośród istot ludzkich...

— Ale te krzyki, ojciec...

— Sierżancie... Rada Watykańska i Ojciec Święty uważają, że nasza krucjata jest konieczna, jeśli ludzkość ma pozostać wolna od zagrożenia ze strony Intruzów. Wydano wam rozkazy, sierżancie. Wykonaliście je. Wszyscy jesteście żołnierzami.

— Tak jest wyszeptał w mroku Gregorius.

— Nie mamy już czasu, sierżancie. Wrócimy do tej rozmowy później. Na razie zadam panu pokutę... nie za to, że jest pan żołnierzem, sierżancie, i że wykonał pan rozkazy, lecz za to, że poddał je pan w wątpliwość. Pięćdziesiąt „Zdrowaś Mario” i sto „Ojcze nasz”. Chcę również, żeby się pan gorąco modlił, prosząc o zrozumienie.

— Rozumiem, ojciec.

— Teraz szczery Akt Skruchy... tylko szybko...

Kiedy zza kratki konfesjonału zaczęły płynąć szeptane słowa, ojciec kapitan de Soya podniósł dłoń, udzielając sierżantowi rozgrzeszenia i błogosławieństwa.

— Ego te absolvo...

Osiem minut później ojciec kapitan wraz z całą załogą leżeli na leżankach akceleracyjnych w komorach zmartwychwstańczych, gdy „Rafael” włączył napęd Gedeona i dokonał natychmiastowej translacji do układu Mammona, zabijając ich i skazując na powolne, bolesne wskrzeszenie.

Wielki Inkwizytor umarł i poszedł do piekła.

Dopiero drugi raz zginął i został wskrzeszony i wcale mu się to uczucie nie podobało. A Mars był prawdziwym piekłem.

John Domenico kardynał Mustafa w towarzystwie dwudziestu jeden administratorów i asystentów ze Świętego Oficjum - w tym nieocenionego ojca Farrella - przybył do układu Starej Ziemi na pokładzie nowego okrętu, „Jibrila”. Dano im hojną ręką cztery dni na dojście do siebie po szoku zmartwychwstania, zanim zaczną faktyczną pracę na powierzchni planety. Wielki Inkwizytor zapoznał się z wystarczającą liczbą źródeł, by wyrobić sobie niepodważalny werdykt: Mars jest piekłem.

Kiedy kardynał pierwszy raz wspomniał o swoich wnioskach na temat Marsa, ojciec Farrell zaproponował:

— Wydaje mi się, że jedna z pozostałych planet układu, Wenus, znacznie lepiej pasuje do tego opisu, Wasza Ekscelencjo. Nieznośne temperatury, potworne ciśnienie, jeziora płynnego metalu, wichry przypominające podmuch z dysz silników rakietowych...

— Zamknij się - uciął Wielki Inkwizytor, popierając swoje słowa zmęczonym gestem.

Mars: pierwsza skolonizowana przez ludzi planeta, i to pomimo niskiej oceny w starej skali Solmewa - zaledwie 2,5; pierwsza próba

terraformowania, zresztą nieudana; planeta pominięta podczas hegiry, po wchłonięciu Starej Ziemi przez czarną dziurę, z kilku powodów: ludzie mieli napęd Hawkinga, chcieli wynieść się jak najdalej i nikt nie zamierzał osiedlać się na rdzawoczerwonej kupie wiecznej zmarzliny, skoro w Galaktyce oczekiwała niemal nieskończona liczba ładniejszych, zdrowszych i bardziej przyjaznych światów.

W wiekach następujących po śmierci Ziemi Mars miał tak niewielkie znaczenie dla Hegemonii, że przez długi czas nie instalowano na nim transponderów. Interesowały się nim tylko sieroty Nowej Palestyny (ku własnemu zdumieniu kardynał Mustafa odkrył, że legendarny pułkownik Fedmahn Kassad przyszedł na świat właśnie na Marsie, w palestyńskim obozie dla uchodźców) i chrześcijanie zeń, którzy wracali do Niecki Helleńskiej, by odgrywać scenę oświecenia mistrza Schraudera w Masywie Zeń. Przez mniej więcej sto lat wszystko wskazywało na to, że zakrojona na szeroką skalę próba terraformowania da oczekiwane efekty: morza wypełniły olbrzymie niecki kraterów, a wzdłuż brzegów Rzeki Marinera rozpleniły się cyklopaprocie. Później jednak nadeszła stagnacja, zaczęło brakować pieniędzy na walkę z nieubłaganą entropią i rozpoczęła się kolejna, zapowiadana na sześćdziesiąt tysięcy lat, epoka lodowcowa.

W okresie szczytowego rozwoju cywilizacji Sieci Armia, czyli zbrojne ramię Hegemonii, postawiła na Czerwonej Planecie transpondery, a w ścianach krateru gigantycznego wulkanu, Mons Olympus, wyłobiała kwatery dla Olimpijskiej Szkoły Dowodzenia. Izolacja Marsa od kultury i szlaków handlowych Sieci bardzo odpowiadała wojskowym, toteż pozostał on ich główną bazą do czasu Upadku. W następnym stuleciu nieliczni pozostali dowódcy Armii przejęli na Marsie władzę i utworzyli okrutną dyktaturę, tak zwaną Marsjańską Maszyną Wojenną, której wpływy sięgały aż do układów Centauri i Tau Ceti. Machina miała wszelkie predyspozycje, by stać się

zarodkiem drugiego imperium międzygwiazdowego, gdyby na horyzoncie nie pojawił się Pax, który szybko podporządkował sobie marsjańską flotę i zepchnął dyktatorów z powrotem do starego Układu Słonecznego. Wydziedziczeni wodzowie zostali zmuszeni do ukrycia się w ruinach baz orbitalnych i tunelach, wykutych w skale pod Olympusem; wkrótce bazy Floty Paxu w pasie asteroidów i na księżycach Jowisza zajęły miejsce instalacji Armii, a na koniec na spacyfikowanym Marsie zjawili się misjonarze i gubernatorzy Paxu.

Na Czerwonej Planecie misjonarze nie bardzo mieli już kogo nawracać, a gubernatorzy - kim rządzić. Powietrze rozrzedziło się, a jego temperatura dramatycznie spadła; ogromne miasta złupiono i pozostawiono własnemu losowi; wróciły szalejące od bieguna do bieguna simumy, burze piaskowe; zarazy i epidemie szerzyły się bez przeszkód na lodowatych pustyniach, dziesiątkując ostatnie bandy nomadów, potomków niegdyś dumnej rasy Marsjan; w miejscach dawnych sadów jabłkowych i krzewów ćwieko-jagód rosły dziś jedynie patykowate kaktusy.

Co ciekawe, na zamarzniętym płaskowyżu Tharsis przetrwali najbardziej prześladowani i represjonowani Palestyńczycy, ofiary diaspory nuklearnej z 2038 A.D., którzy przystosowali się do surowych marsjańskich warunków i przed przybyciem misjonarzy Paxu zdążyli rozkrzewić swą islamską kulturę wśród licznych ocalałych plemion nomadów i w wielu wolnych miastach-państwach. Oparłszy się napierającej przez z górą sto lat Marsjańskiej Machinie Wojennej, tym bardziej nie mieli ochoty ukorzyć się przed Kościołem.

I właśnie w stolicy Palestyńczyków, Arafat-kaffiyeh, zjawiał się Chyżwar, żeby zabić setki... a może nawet tysiące ludzi.

Wielki Inkwizytor zwołał zebranie swoich doradców, na orbicie spotkał się z przedstawicielami dowództwa Paxu, po czym śmiało wylądował na planecie. Główny port kosmiczny w stolicy, St. Malachy,

zamknięto dla ruchu cywilnego - niewielka była to strata, skoro przez najbliższy marsjański tydzień nie przewidywano przybycia żadnych statków handlowych ani pasażerskich. Sześć okrętów szturmowych eskortowało lądownik kardynała, a zanim Wielki Inkwizytor postawił stopę na marsjańskiej ziemi - a właściwie na paksowskim asfalcie - setka komandosów z Gwardii Szwajcarskiej i Świętego Oficjum otoczyła port. Oficjalny komitet powitalny, z arcybiskupem Robesonem i gubernator Clare Palo na czele, został poddany rewizji i sprawdzony ultradźwiękami, zanim pozwolono komukolwiek zbliżyć się do kardynała.

Z portu ekipę Świętego Oficjum zabrano samochodami przez popadające w ruinę ulice do nowiutkiego pałacu gubernatorskiego na obrzeżach miasta. Wprowadzono wyjątkowe środki ostrożności. Poza osobistą służbą bezpieczeństwa Wielkiego Inkwizytora, marines Floty Paxu, żołnierzami pani gubernator i podległym arcybiskupowi kontyngentem Gwardii Szwajcarskiej, bezpieczeństwa przybyszów strzegł regiment pancерnej piechoty Straży Planetarnej, stacjonujący nieopodal pałacu. Tam też kardynał Mustafa zapoznał się z dowodami wizyty Chyżwara na Tharsis, która miała miejsce dwa tygodnie standardowe wcześniej.

To nonsens - powiedział wieczorem dnia poprzedzającego przelot na miejsce ataku Chyżwara. - Wszystkie holofilmy i zdjęcia albo mają po dwa tygodnie, albo zrobiono je z dużej wysokości. Na kilku z nich widać coś, co musi być Chyżwarem, reszta to rozmazane sceny rzezi i zdjęcia zwłok obywateli Paxu, zrobione podczas pierwszej wizyty milicji w mieście. Gdzie są mieszkańcy? Gdzie świadkowie? Co się stało z dwudziestoma siedmioma tysiącami obywateli Arafat-kaffiyeh?

— Nie wiemy - odpowiedziała gubernator Clare Palo.

— Wysłaliśmy bezzałogowego archanioła do Watykanu z meldunkiem - powiedział arcybiskup. - Kiedy wrócił, otrzymaliśmy

rozkaz, żeby niczego nie ruszać i czekać na pański przyjazd.

Wielki Inkwizytor podniósł jedno ze zdjęć. Pokręcił głową.

— Co to ma być? - zapytał. - Baza floty na obrzeżach Arafat-kaffiyeh? Port wygląda na nowocześniejszy niż w St. Malachy.

— Nie należy do Floty Paxu - wtrącił kapitan Wolmak, dowódca „Jibrila” i nowo mianowany naczelny wódz grupy uderzeniowej operującej w układzie Starej Ziemi. - Aczkolwiek, według naszych szacunków, w tygodniu poprzedzającym pojawienie się Chyżwara, korzystało z niego od trzydziestu do pięćdziesięciu lądowików dziennie.

— Trzydzieści do pięćdziesięciu maszyn dziennie - powtórzył kardynał. - Nie należy do Floty Paxu. W takim razie do kogo? - Zmarszczył brwi, posyłając Robesonowi i Clare Palo pytające spojrzenie. - Do Mercantilusa? - odpowiedział, gdy nikt się nie odezwał.

— Nie - odparł arcybiskup po dłuższej chwili. - Nie jest własnością Mercantilusa.

Wielki Inkwizytor skrzyżował ramiona na piersi i czekał.

— Statki wyczarterowało Opus Dei - wyjaśniła cicho Clare Palo.

— W jakim celu? - zapytał kardynał Mustafa. W tej części pałacowych apartamentów, w której się znajdowali, służbę pełnili tylko strażnicy Świętego Oficjum; stali wzdłuż ścian w sześciometrowych odstępach.

Gubernator rozłożyła bezradnie ręce.

— Nie wiemy, Wasza Ekscelencjo.

— Domenico - wtrącił arcybiskup drżącym głosem - zabroniono nam się tym interesować.

Rozwścieczony Inkwizytor zrobił krok w przód.

— Zabroniono wam... Kto? Kto ma prawo zabraniać czegokolwiek urzędującemu arcybiskupowi i gubernatorowi Paxu? - Mustafa tracił

panowanie nad sobą. - Jezu Chryste! Kto ma taką władzę?

Arcybiskup podniósł na niego zmęczone, ale odważne spojrzenie.

— Jezu Chryste... właśnie, Wasza Ekscelencjo. Przedstawiciele Opus Dei mieli oficjalne dyski Papieskiej Komisji Sprawiedliwości i Pokoju. Powiedziano nam, że wydarzenia w Arafat-kaffiyeh to sprawa służb bezpieczeństwa, że nie powinniśmy się nią interesować i że nie wolno się nam do niej mieszać.

Wielki Inkwizytor poczuł, jak na twarz wypływa mu rumieniec z najwyższym trudem hamowanego gniewu.

— Kwestie bezpieczeństwa na Marsie, tak jak w całym Paksie, leżą w gestii Świętego Oficjum - stwierdził bezbarwnym głosem. - Papieska Komisja Sprawiedliwości i Pokoju nie ma tu nic do gadania! Gdzie są jej reprezentanci? Dlaczego nie uczestniczą w tym spotkaniu?

Gubernator Clare Palo szczupłą dłonią wskazała na dwuwymiarową fotografię w rękach kardynała.

— Tutaj, Wasza Ekscelencjo. Oto przedstawiciele Komisji.

Mustafa spojrział na zdjęcie, gdzie na czerwonym piasku ulic Arafat-kaffiyeh spoczywały okryte białym materiałem ciała. Mimo wyraźnie widocznego na papierze ziarna nie ulegało wątpliwości, że zmasakrowane zwłoki przybrały groteskowe kształty, a później dodatkowo opuchły w procesie rozkładu. Wielki Inkwizytor przemówił spokojnie, chociaż miał szczerą chęć wrzasnąć i wydać tych imbecyli na tortury, a potem kazać ich zastrzelić:

— Dlaczego nie wskrzeszono i nie przesłuchano tych ludzi?

Arcybiskup Robeson prawie się uśmiechnął.

— Jutro Wasza Ekscelencja wszystko zrozumie. Aż nadto wyraźnie.

EMV były na Marsie bezużyteczne, toteż na Tharsis udali się na pokładzie opancerzonych śmigaczy sił bezpieczeństwa; „Jibril” i liniowce śledziły ich lot, a myśliwce typu „skorpion” patrolowały okolicę. Dwieście kilometrów od płaskowyzu ze śmigaczy zrzucono

pięć oddziałów marines, które pomknęły naprzód na małej wysokości, żeby przeczesać teren sondami akustycznymi i zainstalować się na stanowiskach ogniowych.

W Arafat-kaffiyeh nic się nie poruszało; tylko wiatr niósł tumany piasku.

Śmigacze Świętego Oficjum wylądowały pierwsze. Wsporniki maszyn zagłębiły się w piasku na owalnym, centralnym placu Arafat-kaffiyeh, kiedyś porośniętym bujną trawą. Statki tworzące zewnętrzny pierścień uaktywniły i połączyły pola siłowe szóstej klasy - widziane przez nie okoliczne budynki zdawały się drzeć jak w rozgrzanym powietrzu. Marines zajęli pozycje obronne na obwodzie placu; żołnierze Paxu i Straży Planetarnej rozstawili się w podobnym, lecz większym kręgu, w ulicach i zaułkach wokół centrum; ośmiu Szwajcarów arcybiskupa ubezpieczało krąg statków tuż poza obrębem pola siłowego. Na koniec ze śmigaczy wypadli odziani w czarne pancerze ludzie Wielkiego Inkwizytora i utworzyli ciasny krąg wewnętrzny.

— Teren czysty - zameldował dowódca marines na kanale taktycznym.

— W promieniu kilometra od punktu numer jeden brak oznak ruchu - rzucił porucznik ze Straży Planetarnej. - Tylko mnóstwo ciał na ulicach.

— U nas czysto - zgłosił się kapitan Gwardii Szwajcarskiej.

— Potwierdzam: w Arafat-kaffiyeh są tylko wasi ludzie - oznajmił kapitan „Jibrila”.

— Przyjąłem - odparł komandor Browning ze Świętego Oficjum.

Niezadowolony Inkwizytor czuł się głupio, kiedy zszedł po rampie i ruszył w poprzek piaszczystego placu. Kretyńska maska osmotyczna, z opadającym mu na ramię pochłaniaczem, wcale nie poprawiała mu nastroju.

Ojciec Farrell, arcybiskup Robeson, gubernator Palo i gromada innych funkcjonariuszy truchtem dogoniła Mustafę i zrównała z nim krok. Kardynał minął klęczących żołnierzy i niecierpliwym gestem dał znak, żeby otwarto mu przejście w polu siłowym. Przeszedł przez nie mimo protestów komandora Browninga, a postaci w czarnych strojach pośpiesznie ruszyły za nim.

— Gdzie pierwsze... - zaczął Wielki Inkwizytor, przemierzając długimi krokami najbliższą uliczkę; nie przywykł jeszcze do zmniejszonej marsjańskiej grawitacji.

— Za rogiem... wysapał arcybiskup.

— Naprawdę powinniśmy poczekać, aż zewnętrzne pola... - zaczęła gubernator Palo.

— Proszę bardzo - rzekł ojciec Farrell, wskazując ulicę, w którą właśnie skręcili.

Piętnastoosobowa grupa zatrzymała się tak gwałtownie, że idący za nimi asystenci i ochroniarze musieli nieźle się postarać, by nie wpaść na VIPów.

— Chryste Panie - wyszeptał arcybiskup Robeson. Przeżegnał się. Pod przezroczystą maską osmotyczną jego twarz natychmiast zbladła.

— O Jezu! - mruknęła gubernator Palo. - Od dwóch tygodni oglądam zdjęcia i hologramy, ale... Jezu Chryste.

Ojciec Farrell podszedł do najbliższych zwłok; Wielki Inkwizytor stanął u jego boku, po czym przyklęknął na jedno kolano w rdzawym piasku. Powykręcany kształt przywodził na myśl abstrakcyjną rzeźbę z kości, mięsa i ścięgien. Gdyby nie wyzierające z szeroko rozwartych ust zęby i leżąca tuż obok, częściowo przysypana piachem, ręka, można by nie zauważyć, że ciało należało do człowieka.

— Czy to może być sprawka zwierząt? - zapytał kardynał. - Padlinożernych ptaków? Szczurów?

— To niemożliwe - odpowiedział major Pięt, dowódca podległych gubernatorowi sił lądowych Floty Paxu. - Odkąd przed dwustu laty atmosfera zaczęła rzednąć, na płaskowyżu Tharsis nie ma ptaków. A od czasu tego incydentu czujniki ruchu nie wykazały obecności szczurów... ani innych żywych istot.

— W takim razie to sprawka Chyżwara - rzekł Mustafa, choć nie wyglądał na przekonanego. Wstał i przeszedł do następnego ciała. Za życia mogła to być kobieta, ale teraz wyglądała jakby wywrócono ją na lewą stronę i poszatковано. - A to?

— Też tak sądzimy - odezwała się gubernator Palo. - Funkcjonariusze milicji, którzy natknęli się na zwłoki, znaleźli automatyczną kamerę. To z niej pochodzi ten trwający trzydzieści osiem sekund holofilm, który pokazaliśmy Waszej Ekscelencji.

— Wyglądało to tak, jakby dziesięć Chyżwarów mordowało naraz dziesięciu ludzi - zauważył ojciec Farrell. - Obraz był niewyraźny.

— W mieście szalała burza - powiedział major Pięt. - Ale Chyżwar był tylko jeden... Obejrzeliśmy poszczególne klatki; po prostu przemieszczał się wśród tłumu tak szybko, że sprawia wrażenie obecnego w wielu miejscach jednocześnie.

— Przemieszczał się przez tłum - mruknął Wielki Inkwizytor, przystając nad trzecim ciałem, które mogło należeć do drobnej kobiety lub dziecka. - Robiąc coś takiego.

— Robiąc coś takiego - powtórzyła Palo i zerknęła na arcybiskupa, który musiał się oprzeć o ścianę, żeby nie upaść.

Na najbliższym odcinku ulicy naliczyli ponad dwadzieścia ciał.

Ojciec Farrell uklęknął i przesunął dłonią po piersi pierwszego trupa; zagłębił palce w zmiażdżoną, zakłęśniętą klatkę piersiową. Ciało zamarzło na kość, podobnie jak krew, która upodobniła się do czarnego lodospadu.

— Krzyżokształt zniknął bez śladu, tak? - zapytał łagodnie.

Palo pokręciła głową.

— W dwóch ciałach, które sprowadzono w celu wskrzeszenia, nie znaleźliśmy żadnych pozostałości krzyżokształtu. Gdyby została choć odrobina... chociaż milimetr korpusu, skrawek włókna w pniu mózgu czy...

— Wszyscy o tym wiemy - warknął Wielki Inkwizytor, ucinając wyjaśnienia.

— To bardzo dziwne - stwierdził biskup Erdle, ekspert Świętego Oficjum w dziedzinie technik wskrzeszeniowych. - O ile mi wiadomo, nigdy nie odnotowano przypadku, żeby w tak dobrze zachowanych zwłokach nie znaleziono ani jednego fragmentu krzyżokształtu. Gubernator Palo ma oczywiście rację: do przeprowadzenia sakramentu zmartwychwstania wystarczy najmniejsza drobina.

Kardynał Mustafa przystanął przy zwłokach, które ciśnięto na metalowe ogrodzenie z taką siłą, że kolce przebiły je w kilkunastu miejscach.

— Wygląda na to, że Chyżwarowi chodziło o krzyżokształty - rzekł. - Wyrwał z ciał najdrobniejsze ich strzępy.

— To niemożliwe - zaproponował biskup Erdle. - Po prostu niemożliwe. Mikrowłókna krzyżokształtu w układzie nerwowym człowieka mają w sumie ponad pół kilometra długości...

— Niemożliwe - zgodził się Wielki Inkwizytor. - Założę się jednak, że jeśli zabierzemy te ciała, okaże się, że żadne z nich nie nadaje się do wskrzeszenia. Chyżwar wyrwał im przy okazji serca i płuca i rozszarpał gardła, ale przede wszystkim chodziło mu o krzyżokształty.

Komandor Browning wyszedł z za rogu w towarzystwie pięciu opancerzonych na czarno żołnierzy.

— Wasza Ekszelencjo - zgłosił się na kanale taktycznym, dostępnym wyłącznie dla Inkwizytora. - Najgorzej jest o przecnicę stąd... tędy proszę.

Grupa niechętnie, wolnym krokiem podążyła za mężczyzną w czarnej zbroi.

Skatalogowali trzysta sześćdziesiąt dwa ciała. Część z nich znaleźli na ulicach, większość jednak spoczywała w budynkach w samym mieście bądź też w warsztatach, hangarach i na statkach kosmicznych w porcie na skraju Arafat-kaffiyeh. Zrobiono masę holofilmów; do akcji wkroczyli specjaliści Świętego Oficjum w zakresie medycyny sądowej i sfilmowali każde miejsce przed zabraniem ciał do kostnicy w bazie Paxu pod St. Malachy. Stwierdzono, że wszystkie zwłoki należały do przybyszów spoza planety; wśród ofiar nie znaleziono ani jednego Palestyńczyka czy Marsjanina.

Najbardziej zaintrygował ekspertów port kosmiczny.

— Obsługuje go osiem lądowików - powiedział major Pięt. - To sporo; w St. Malachy są na przykład tylko dwa. - Major spojrzał w purpurowe niebo. - Zakładając, że statki, do których kursowały, mają jeszcze własne lądowniki - i to przynajmniej po dwa, w przypadku frachtowców - mamy do czynienia z poważną operacją logistyczną.

Wielki Inkwizytor spojrzał pytająco na Robesona, ale arcybiskup tylko rozłożył ręce.

— Nic nie wiemy o tych działaniach - powiedział. - Jak już wcześniej nadmieniliśmy, cały projekt nadzorowało Opus Dei.

— Cóż, o ile nam wiadomo, cały personel Opus Dei jest martwy - stwierdził Mustafa. - Zginęli prawdziwą, nieodwracalną śmiercią... Czyli sprawa jest w rękach Świętego Oficjum. Nie wiecie, po co zbudowali ten port? Może transport ciężkich metali? Kopalnie minerałów?

Gubernator Palo pokręciła głową.

— Kopalnie na Marsie są eksploatowane od ponad tysiąca lat. Nie zostało tu już nic, co opłacałoby się wydobywać nawet na skalę lokalną, co dopiero na eksport, jak chciałoby Opus Dei.

Major Pięt podniósł wizjer hełmu i potarł zarośniętą szczękę.

— Coś jednak stąd wywożono, Wasza Ekscelencjo - zauważył. - I to w ogromnych ilościach. Osiem promów... skomplikowany rozkład portu... zautomatyzowane zabezpieczenia...

— Jeżeli Chyżwar... czy co to tam było, nie zniszczył komputerów i rejestratorów... - zaczął komandor Browning.

— To nie Chyżwar - major Pięt pokręcił głową. - Komputery zostały zniszczone profilowanymi ładunkami i specjalnie opracowanymi wirusami z DNA. - Pięt rozejrzał się po pustym budynku administracyjnym. Czerwony piasek już sobie uTORował drogę do środka przez uszczelniane drzwi. - Coś mi się wydaje, że sami zniszczyli swoje zapisy, jeszcze przed przybyciem Chyżwara. Właśnie zbierali się do opuszczenia Marsa. To dlatego wszystkie lądowniki pracowały w trybie przedstartowym... miały komputery pokładowe przygotowane do rychłego odlotu.

— Ale wszystko, co mamy, to współrzędne na orbicie. - Ojciec Farrell pokiwał głową. - Żadnych zapisów na temat tego, z kim lub z czym chcieli się tam spotkać.

Major Pięt wyjrzał przez okno, gdzie kłębiły się chmury miotanego wichrem piachu.

— Na parkingu stoi dwadzieścia autobusów - mruknął pod nosem, jakby głośno rozmyślał. - Każdy może przewieźć osiemdziesięciu ludzi. Lekka przesada, jeśli kontyngent Opus Dei na Marsie liczył jakieś trzysta sześćdziesiąt osób... bo tyle ciał znaleźliśmy.

Gubernator Palo zmarszczyła brwi i skrzyżowała ramiona na piersi.

— Nie wiemy, jak liczny personel utrzymywało tu Opus Dei, majorze. Jak już pan zauważył, zapisy uległy zniszczeniu. Może były ich tysiące...

Komandor Browning wkroczył w krąg rozmawiających VIPów.

— Proszę o wybaczenie, pani gubernator, ale w barakach znajdujących się w obrębie pola siłowego mogło się pomieścić około czterystu ludzi. Wydaje mi się, że major może mieć rację... Zwłoki, które znaleźliśmy, to wszyscy ludzie Opus Dei.

— Tego nie może pan być pewien, komandorze - sprzeciwiła się niezadowolona Palo.

— To prawda, proszę pani.

Palo machnęła ręką w stronę autobusów, prawie niewidocznych w tumanach pyłu.

— Mamy dowód, że chcieli przewieźć o wiele więcej ludzi.

— Może stanowili tylko awangardę - zauważył komandor Browning - i mieli przygotować wszystko na przybycie znacznie liczniejszej ekipy.

— Po co w takim razie mieliby niszczyć wszystkie dane i Sztuczne Inteligencje? - zapytał major Pięt. - Dlaczego chcieliby sprawiać wrażenie, że na dobre się stąd wynoszą?

Wielki Inkwizytor dał znak odzianą w czarną rękawicę dłonią.

— Skończmy na razie te spekulacje - stwierdził. - Jutro Święte Oficjum zacznie przesłuchania i śledztwo. Pani gubernator, czy możemy skorzystać z pani biura w pałacu?

— Ależ oczywiście, Wasza Ekscelencjo. - Palo spuściła wzrok; trudno było powiedzieć, czy chce okazać szacunek, czy raczej ukryć spojrzenie - może i jedno, i drugie.

— Znakomicie. Komandorze, majorze, proszę wezwać śmigacze. Specjaliści od medycyny sądowej i pracownicy kostnicy zostaną tutaj. - Mustafa wyjrzał na zewnątrz; burza ani myślała ustąpić. Wycie wiatru przedostawało się do środka przez dziesięć warstw plastiku w oknach. - Macie jakieś miejscowe określenie dla takiej burzy piaskowej?

— Simum - odparła Palo. - Kiedyś cały Mars tak wyglądał. A teraz z każdym rokiem stają się coraz silniejsze.

— Miejscowi mieszkańcy twierdzą, że to sprawka marsjańskich bogów - szepnął arcybiskup Robeson - którzy upominają się o swoją własność.

Niecałe czternaście lat świetlnych od Starej Ziemi, nad planetą zwaną Vitus-

Gray-

Balianusem B, statek, który kiedyś nosił miano „Rafaela”, a teraz nie miał żadnej nazwy, wyhamował i wszedł na orbitę geostacjonarną. Cztery istoty na jego pokładzie unosiły się swobodnie w zerowym ciężeniu, nie odrywając wzroku od obrazu pustynnego świata na ekranie.

— Czy możemy zaufać odczytom zakłóceń pola transmitera? - zapytała kobieta nazwana Scyllą.

— Bardziej niż większości innych informacji - odparła jej bliźniacza siostra, Rhadamanth Nemes. - Sprawdzimy to.

— Zaczniemy od baz Paxu? - zaproponował mężczyzna, Gyges.

— Od największej - powiedziała Nemes.

— Czyli Bombasino - stwierdził Briareus, odczytawszy kod na ekranie. - Półkula północna, nad centralnym kanałem. Liczba mieszkańców. ..

— Liczba mieszkańców nie ma dla nas żadnego znaczenia - przerwała mu Rhadamanth Nemes. - Liczy się tylko to, czy Enea, android i ten cholerny Endymion odwiedzili to miejsce.

— Lądownik gotowy - zameldowała Scylla.

Statek z rykiem wpadł w atmosferę i przekraczając linię terminatora morfował skrzydła. Korzystając z watykańskiego dysku przesłał kod, który umożliwił mu natychmiastowe lądowanie i przysiadł na ziemi wśród myśliwców, śmigaczy i opancerzonych EMV. Podenerwowany porucznik przywitał ich i zaprowadził do biur bazy.

— Więc należycie do Gwardii Szlacheckiej, tak? - zapytał komandor Solznykov, spoglądając to na twarze przybyszów, to na odczyt z dysku.

— Już to powiedzieliśmy - odparła wypranym z emocji głosem Nemes. - Potwierdzają to nasze dokumenty, chipy z rozkazami i dysk, który pan przegląda. Ile razy mamy to panu powtarzać, komandorze?

Szyja i twarz Solznykova poczerwieniała raptownie. Zamiast odpowiedzieć, zerknął na holograficzną interfejs dysku. Teoretycznie oficerowie Gwardii Szlacheckiej, jednego z nowych, egzotycznych oddziałów papieskich, mogliby wykorzystać przewagę wyższej szarży; mogliby kazać go zastrzelić albo ekskomunikować, gdyż w randze dowódcy kohorty w Gwardii łączyli uprawnienia dostojników Floty Paxu i Watykanu; teoretycznie, jeśli wierzyć rozkazom i priorytetom z dysku, mieli prawo rozkazywać gubernatorowi całej planety i dyktować politykę arcybiskupowi. Solznykov wolałby, żeby blade dziwadła nie pojawiły się w jego zapomnianym przez Boga i ludzi świecie.

Zmusił się do uśmiechu.

— Nasze oddziały są do waszej dyspozycji. Co mogę dla was zrobić?

Szczupła, blada kobieta nazwiskiem Nemes podała mu przez stół holokartę. Włączyła ją i w powietrzu między nimi pojawiły się głowy trojga ludzi - a właściwie dwojga, ponieważ trzecia bez wątplenia należała do błękitnoskórego androida.

— Nie wiedziałem, że w Paksie są jeszcze jakieś androidy - zauważył Solznykov.

— Czy słyszał pan, żeby któraś z tych trzech osób pojawiła się na pańskim terenie, komandorze? - Nemes zignorowała jego uwagę. - Istnieje prawdopodobieństwo, że ujawnią się na brzegu rzeki, przecinającej tę planetę od bieguna północnego do równika.

— Właściwie to jest kanał... - Solznykov nie dokończył zdania; miał wrażenie, że czworga gości nie zainteresują dodatkowe informacje.

Zawołał swojego adiutanta, pułkownika Vinarę.

— Jak się nazywają? zapytał, gdy Vinara stanął u jego boku z przyszykowanym komlogiem.

Nemes podała trzy imiona, które nic Solznykovowi nie mówiły.

— To nie są tutejsze imiona - zauważył, gdy Vinara zaczął przeglądać bazę danych. - Członkowie miejscowej kultury, Widmowej Helisy Amoiete'a, gromadzą imiona tak samo, jak moje ogary na Patawpha zbierały kleszcze. W systemie triad, tych ich potrójnych małżeństw...

— Ci ludzie nie pochodzą stąd - przerwała mu Nemes. Jej wąskie wargi sprawiały wrażenie, jakby pod skórą wcale nie pulsowała krew i były równie blade, jak reszta twarzy. - Przybywają z innej planety.

— Ach tak. - Solznykov odprężył się, zdając sobie sprawę, że będzie musiał poświęcić tym maszkarom z Gwardii Szlacheckiej jeszcze najwyżej minutę czy dwie. - W takim razie niewiele możemy dla was zrobić. Bombasino jest jedynym czynnym portem kosmicznym na Vitus-Gray-Balianusie B, od kiedy zamknęliśmy obsługiwany przez tubylców port w Keroa Tambat. Nie licząc garstki przybyszów, którzy i tak kończą u nas w ciupie, na całej planecie imigracja praktycznie nie istnieje. Wszyscy tubylcy należą do Widmowej Helisy... To prawda, lubią się kolorowo ubierać, nie przeczę, ale... android i tak wyróżniałby się, jak... Co tam, pułkowniku?

Vinara podniósł wzrok znad komlogu.

— Podobizny i imiona nie pasują do żadnych danych w naszych archiwach - powiedział. - Zgadzą się natomiast z biuletynem, który za pośrednictwem Floty Paxu rozesłano do wszystkich placówek jakieś cztery i pół roku standardowego temu.

Vinara spojrzał pytająco na Nemes i jej kompanów. Wszyscy czworo patrzyli nań bez słowa.

Komandor Solznykov rozłożył ręce.

— Przykro mi - rzekł. - Od dwóch tygodni prowadzimy manewry z udziałem wszystkich sił, gdyby jednak zjawił się tu ktoś pasujący do tych opisów...

— Komandorze - przerwał mu Vinara. - Jest jeszcze tych czterech dezertersów.

Szlag by to trafił! - pomyślał Solznykov. Na głos wyjaśnił:

— Chodzi mu o czterech ludzi ze statku Mercantilusa, którzy woleli uciec i ukryć się na planecie, niż stanąć przed sądem za posiadanie niedozwolonych narkotyków. Z tego, co pamiętam, byli to sami mężczyźni po sześćdziesiątce. Poza tym - tu zwrócił się znacząco do pułkownika, starając się spojrzeniem i tonem głosu dać mu do zrozumienia, że ma się zamknąć - ich ciała znaleziono w Wielkim Ślizgu, prawda?

— Tylko trzy, komandorze - skorygował Vinara, ślepy na sygnały dowódcy. Znów zerknął na komlog. - Jeden z naszych ślizgaczy rozbił się nieopodal Keroa Tambat... Wydział medyczny wysłał tam... hmm, doktor Abne Molinę... Miała popłynąć razem z misjonarzem i zająć się rannymi.

— A co to u diabła ma do rzeczy, pułkowniku? - rzucił wściekle Solznykov. - Ci panowie i panie szukają nastoletniej dziewczynki, faceta po trzydziestce i androida.

— Wiem, komandorze - zaskoczony Vinara oderwał wzrok od komlogu. - Doktor Molina zameldowała nam, że w Lock Childe Lamonde zaopiekowała się chorym przybyszem spoza planety. Zakładaliśmy, że jest nim czwarty dezerters...

Rhadamanth Nemes zrobiła krok do przodu tak szybko, że Solznykov mimowolnie się wzdrygnął. W ruchach chudej kobiety było coś nieludzkiego.

— Gdzie leży Lock Childe Lamonde? - zapytała.

— To wioska nad kanałem, jakieś osiemdziesiąt kilometrów na południe stąd - odrzekł Solznykov. Znów odwrócił się do pułkownika, jakby Vinara był winien całego zamieszania. - Kiedy mają nam przywieźć więźnia?

— Jutro rano, komandorze. Śmigacz służb medycznych ma zabrać rannych z Keroa Tambat o szóstej rano, a w drodze powrotnej zatrzymać się w... - pułkownik urwał w pół zdania, gdy czwórka oficerów Gwardii Szlacheckiej okręciła się na pięcie i ruszyła do drzwi. Nemes zwolniła na chwilę kroku, by rzucić rozkazująco:

— Komandorze, proszę oczyścić nam korytarz powietrzny stąd do tego Lock Childe Lamonde. Polecimy tam lądownikiem.

— Ależ to nie będzie konieczne! - zaproponował Solznykov. Zerknął na ekran na biurku. — Facet został aresztowany i ściągną go tutaj... Hej!

Papiescy gwardziści zbiegli już po schodach i wypadli na lądowisko. Komandor popędził za nimi.

— Tu obowiązuje zakaz lotów statkami kosmicznymi w atmosferze! Można lądować tylko w Bombasino... Chwileczkę... Wyślemy śmigacz! Zaczekajcie... Ten dezenter z pewnością nie jest waszym.. . Poza tym trzymamy go pod strażą... Stójcie!

Żadne z czworga Gwardzistów nawet się nie obejrzało. Dotarłszy do statku polecili mu morfować ruchome schody, po czym wbiegli po nich na górę i zniknęli w jego wnętrzu. Na terenie bazy zawyły syreny; ludzie rozproszyli się w poszukiwaniu schronienia, gdy lądownik „Rafaela” uniósł się w powietrze na ognistym ogonie silników odrzutowych, a potem przeszedł na napęd elektromagnetyczny i ruszył przez port na południe.

— Jezu Chryste! - wyszeptał Solznykov. - Ja pierdolę!

— Słucham, komandorze? - zapytał Vinara.

Solznykov posłał mu spojrzenie zdolne topić ołów.

— Natychmiast wyślijcie dwa śmigacze bojowe... nie, trzy, każdy z oddziałem marines na pokładzie. To mój teren i ci anemicy z Gwardii Szlacheckiej nawet tu nie pierdną bez naszego nadzoru. Śmigacze mają ich uprzedzić i przejąć więźnia, do kurwy nędzy... Nawet gdyby mieli przy tym obić mordy wszystkim tubylcom stąd do Lock Childe Lamonde! Jasne, pułkowniku?

Vinara nie mógł wykrztusić słowa.

— Wykonać! - krzyknął Solznykov.

Pułkownik wybiegł z biura.

10

Całą długą noc i kolejny dzień nie spałem. Zwijałem się z bólu, kuśtykałem do łazienki, wlokąc ze sobą stojak do kroplówki, po czym z najwyższym wysiłkiem starałem się oddać mocz. Na koniec sprawdzałem, czy w kretyńskim filtrze nie został kamyk, który przysporzył mi tyle cierpień. Późnym rankiem faktycznie go wydalilem.

Przez dłuższą chwilę nie mogłem w to uwierzyć. Od pół godziny ból mniej mi dokuczał, stał się ledwie bladym wspomnieniem katuszy, jakie dotąd cierpiałem, kiedy jednak patrzyłem na czerwonawą drobinę, leżącą w stożkowatym filtrze - większą od ziarenka piasku, ale za małą, by zasługiwać na miano „kamyka” - nie wierzyłem, że mam przed sobą winowajcę wszystkich moich męczarni.

— Lepiej uwierz - powiedziała Enea. Przysiadła na blacie i patrzyła, jak poprawiam na sobie koszulę od piżamy. - W życiu często jest tak, że najmniejsze rzeczy sprawiają nam najwięcej bólu.

— Pewnie - przyznałem. Jakaś część świadomości podpowiadała mi, że dziewczynki w rzeczywistości nie ma koło mnie; nigdy bym się tak przy kimś nie załatwiał, a już zwłaszcza nie w obecności Enei. Jednakże od pierwszego zastrzyku ultramorfiny zwidywała mi się w majakach.

— Gratuluję - rzekła urojona Enea. Jej uśmiech wyglądał jak prawdziwy: psotny, prowokujący półuśmieszek, do którego zdążyłem się przyzwyczać. Miała na sobie zielone džinsy i białą, bawełnianą koszulę - strój, jaki zwykle zakładała do pracy na pustyni. Widziałem zarazem, że jej ciało jest niematerialne: nie zasłaniała mi znajdujących się za nią umywalki i stosu ręczników.

— Dzięki - powiedziałem i powlokłem się do łóżka. Nie mogłem uwierzyć, że ból się skończy. Poza tym doktor Molina uprzedzała mnie,

że mogę mieć w nerce kilka kamieni.

Enei nie było ze mną, kiedy Dem Ria, Dem Loa i strażnik Paxu weszli do pokoju.

— To wspaniale! - rzekła Dem Ria.

— Tak się cieszymy - dodała Dem Loa. - Mieliśmy nadzieję, że operacja w szpitalu okaże się zbędna.

— Daj no tu prawą rękę - polecił mi żołnierz i przykuł mnie do mosiężnej ramy łóżka.

— Jestem więźniem? - zapytałem niepewnie.

— Od samego początku - wyjaśnił. Widać było, jak pod wizjerem po śniadej twarzy spływa mu pot. - Jutro rano przyleci śmigacz, żeby cię zabrać. Nie chciałbym, żebyś do tego czasu gdzieś się zgubił. - Z tymi słowami wyszedł, by z powrotem przycupnąć w cieniu beczkodrzewa przed domem.

— Przykro nam, Raulu Endymionie. - Dem Loa chłodnymi palcami dotknęła mojego nadgarstka w kajdankach.

— To nie wasza wina - uspokoiłem ją. Byłem tak zmęczony i oszołomiony ultramorfina, że własny język nie chciał mnie słuchać. - Z waszej strony zaznałem samej dobroci. Ogromnej dobroci. - Słabnący ból i tak nie dawał mi zasnąć.

— Ojciec Clifton chciałby z tobą porozmawiać. Masz coś przeciwko temu?

Perspektywa rozmowy z misjonarzem wydawała mi się równie miła, jak pomysł, żeby szczury zaczęły mi mocno obgryzać palce u nóg.

— Oczywiście - odpowiedziałem. - Czemu nie?

Ojciec Clifton był młodszy ode mnie, niski - choć nie tak niski jak Dem Ria, Dem Loa i inni przedstawiciele ich rasy - i pulchniutki. Miał miłą, zaczerwienioną twarz i rzednące blond włosy. Znałem takich jak on. W Straży Planetarnej mieliśmy kapelana, który bardzo go przypominał: szczery, bardzo łagodny, trochę jak maminsynek, który

został księdzem, żeby nigdy do końca nie dorastać i nie musieć samodzielnie zająć się własnym życiem. To Starowina zwróciła moją uwagę na to, jak bardzo proboszczowie różnych wiejskich, zagubionych wśród bagien parafii na Hyperionie są podobni do dzieci: wierni traktują ich z respektem, a wszystkie kobiety robią wokół nich mnóstwo hałasu; księża nie muszą zabiegać o ich względy i konkurować z innymi mężczyznami. Nie wydaje mi się, żeby przez Starowinę przemawiał prawdziwy antyklerykalizm, aczkolwiek odmówiła przyjęcia krzyża - chyba zwyczajnie bawił ją wizerunek księży wielkiego, potężnego imperium Paxu.

Ojciec Clifton chciał porozmawiać o teologii.

Jęknąłem donośnie, ale zinterpretował mój jęk jako reakcję na ruchy kamienia w nerce, bo tylko pochylił się nade mną, poklepał mnie po ramieniu i mruknął:

— Spokojnie, spokojnie, synu.

Mówiłem już, że był przynajmniej pięć-sześć lat młodszy ode mnie?

— Raul... Mogę tak do ciebie mówić?

— Jasne, ojcie - zamknąłem oczy, jakbym właśnie zasypiał.

— Co sądzisz na temat Kościoła, Raul?

Nie podnosząc powiek uniosłem błagalnie wzrok ku niebu.

— Kościoła, ojcie?

Ojciec Clifton czekał w milczeniu.

Wzruszyłem ramionami; nie, właściwie tylko starałem się wzruszyć ramionami - nie jest to łatwe, kiedy jedną rękę ma się przykutą gdzieś nad głową, a w drugą wpięta jest kroplówka.

Ojciec Clifton musiał jednak zrozumieć mój niezręczny ruch.

— Czy to znaczy, że jest ci obojętny? - zapytał cicho.

Na tyle, na ile obojętna może mi być organizacja, która próbowała mnie uwięzić i zabić, pomyślałem.

— Nie obojętny, ojcie - powiedziałem. - Po prostu Kościół... No, nijak się ma do mojego życia.

Jedna z jasnych brwi powędrowała w górę.

— Rety, Raul... Kościół łączy w sobie wiele aspektów... Z pewnością nie wszystkie są idealne, ale trudno mi sobie wyobrazić, żeby ktoś zarzucał mu brak związku z rzeczywistością.

Chciałem znów wzruszyć ramionami, ale uznałem, że jeden niezgrabny spazm wystarczy.

— Rozumiem ojca - powiedziałem, mając nadzieję, że nasza rozmowa na tym się zakończy.

Ksiądz nachylił się jeszcze bliżej. Oparł łokcie na kolanach i splótł dłonie, nie do modlitwy jednak, lecz bardziej jak człowiek, który stara się coś komuś wytłumaczyć.

— Wiesz, że rano zabiorą cię do bazy w Bombasino, prawda?

Skinąłem głową; nadal mogłem nią swobodnie poruszać.

— I wiesz, że we Flocie Paxu i w Mercantilusie karą za dezercję jest śmierć.

— Wiem - przyznałem - ale dopiero po uczciwie przeprowadzonym procesie.

Ojciec Clifton zignorował mój sarkazm. Na jego twarzy znać było troskę, nie wiedziałem jednak, czy bardziej martwi go mój los, czy przyszłość mojej nieśmiertelnej duszy - czy może jedno i drugie.

— Dla chrześcijan... - zaczął i się zawahał. - Dla chrześcijan egzekucja jest karą, przykrością, wiąże się zapewne z chwilą autentycznego przerażenia, ale później mają szansę się poprawić i wieść dalsze życie. Dla ciebie...

— Nicość - dokończyłem za niego. - Wielkie Nic. Wieczny mrok. Nada-cość. Stanę się pokarmem dla robactwa.

Ojciec Clifton nie wyglądał na rozbawionego.

— Nie musi tak być, synu.

Westchnąłem i wyjrzałem przez okno. Na Vitus-Gray-Balianusie B mieliśmy wczesne popołudnie; słońce świeciło tu inaczej niż na planetach, które dobrze znałem - na Hyperionie, Starej Ziemi, nawet na Marę Infinitus i innych światach, które poznałem przelotnie, choć bardzo intensywnie - różnica była jednak na tyle subtelna, że nie umiałbym jej opisać. Nie miałem natomiast wątpliwości, że tu jest pięknie: patrzyłem na kobaltowe niebo z rozciągniętymi w fioletowe smugi chmurami; widziałem, jak złote światło kładzie się na różowej glinie i drewnianych szkieletach domostw; słyszałem pokrzykiwania bawiących się w uliczce dzieci, cichą rozmowę Ces Ambrę z chorym bratem, Binem, nagły wybuch śmiechu, kiedy coś ich rozbawiło... I miałbym na zawsze stracić to wszystko?

I znów doleciał mnie głos urojonej Enei:

— To właśnie znaczy być człowiekiem, kochanie: stracić to.

Ojciec Clifton odchrząknął.

— Słyszałeś kiedyś o zakładzie Pascala, Raul?

— Owszem.

— Naprawdę? - W głosie ojca Cliftona zabrzmiało zaskoczenie. Miałem wrażenie, że pomieszałem mu szyki, uprzedzając jego argumenty. - Wiesz w takim razie, dlaczego ma sens — dodał niepewnie.

Znowu westchnąłem. Ból ustabilizował się na stałym poziomie; przestał uderzać falami jak morski przypływ. Przypomniałem sobie, że pierwszy raz zetknąłem się z Blaise Pascalem jeszcze będąc dzieckiem, w rozmowie ze Starowiną, potem rozmawiałem o nim z Eneą pod arizońskim wieczornym niebem, a jeszcze później trafiłem na jego „Myśli” w znakomicie zaopatrzonej bibliotece w Taliesinie Zachodnim.

— Pascal był matematykiem - zaczął ojciec Clifton. - Prehegirańskim uczonym... Żył chyba w osiemnastym wieku...

— W połowie siedemnastego - poprawiłem go. - Urodził się bodaj w 1623, zmarł w 1662. - Trochę blefowałem, bo choć daty wydawały mi się właściwe, głowy nie dałbym sobie za nie uciąć. Zapamiętałem natomiast epokę, bo którejs zimy ładnych parę tygodni zajęła nam z Eneą dyskusja o czasach Oświecenia i ich wpływie na ludzi i instytucje, które istniały przed hegirą, przed erą Paxu.

— Właśnie - zgodził się ojciec Clifton. - Czasy, w jakich żył, są jednak mniej istotne od hipotezy, którą przedstawił. Zastanów się, Raul: z jednej strony masz szansę zmartwychwstania, nieśmiertelność, wieczność w niebie i dostęp do łaski Chrystusa; z drugiej zaś... Jak to powiedziałaś?

— Wielkie Nic - podpowiedziałem. - Nada-cość.

— Gorzej - poprawił mnie młody ksiądz szczerym, gorącym głosem. - „Nada” znaczy „nic”; sen bez marzeń. Ale Pascal rozumiał, że brak odkupienia, jakiego dokonał Chrystus, to coś jeszcze gorszego: żal na wieki... bezgraniczna tęsknota... bezbrzeżny smutek.

— I piekło? - dopowiedziałem. - Wieczna kara?

Ojciec Clifton zacisnął mocniej dłonie; nie czuł się zbyt pewnie z drugiej strony barykady.

— Być może - przyznał. - Gdyby nawet strącenie do piekła oznaczało tylko ciągłą świadomość straconych szans... to po co ryzykować? Pascal zdał sobie sprawę, że jeśli Kościół się myli, nic nie tracimy, przyjmując dawaną przezeń nadzieję. A jeśli ma rację...

Uśmiechnąłem się.

— Trochę to cyniczne, nie uważa ojciec?

Ksiądz spojrzał mi prosto w oczy.

— Nie bardziej niż twoja bezsensowna śmierć, Raul. Nie, jeśli uznasz Chrystusa za naszego Pana, zaczniesz czynić dobro wśród ludzi, służyć swej społeczności, braciom i siostram w Chrystusie, a przy okazji ocalisz i ciało, i nieśmiertelną duszę.

Pokiwałem głową.

— Może jednak czasy, w jakich żył, są istotne - odezwałem się po długim milczeniu.

Ojciec Clifton zerknął na mnie ciekawie; zmarszczył brwi.

— Chodzi mi o Pascala. Był świadkiem rewolucji intelektualnej, jaką ludzie rzadko mają okazję oglądać. Kopernik i Kepler rozszerzyli po tysiackroć granice znanego wszechświata; Słońce stało się... zwykłym słońcem, jednym z wielu, ojcie; wszystko było w ruchu, zepchnięte na bok, odsunięte od centrum. Pascal powiedział kiedyś: „Przeraża mnie odwieczna cisza tych nieskończonych przestrzeni”.

Ojciec Clifton przysunął się jeszcze bliżej łóżka. Czułem woń mydła i kremu do golenia na jego gładkiej skórze.

— Jego zakład jest tym bardziej godzien rozważenia, Raul.

Zamrugalem. Miałem ochotę znaleźć się jak najdalej od różowiutkiego, świeżo wygolonego księżyca w pełni; bałem się, że cuchnę potem, bólem i strachem. Od dwudziestu czterech godzin nie myłem zębów.

— Nie wydaje mi się, żebym chciał go zaakceptować, jeśli ma to oznaczać konszachty z Kościołem, który upodlił się na tyle, że ceną za uratowanie życia dziecka musi być absolutne posłuszeństwo i poddaństwo jego rodziny.

Ojciec Clifton szarpnął się na krzesło, jakbym go spoliczkował. Na bladą twarz wypłynął mu rumieniec. Ksiądz wstał i poklepał mnie po ręce.

— Prześpij się - powiedział. - Wrócimy do tej rozmowy jutro, zanim wyjedziesz.

Sprawy jednak miały się potoczyć inaczej. Gdybym w tamtej chwili siedział przed domem i patrzył w konkretny sektor południowego nieba, dostrzegłbym na błękitnej kopule ognistą ryse: to pilotowany przez Nemes statek podchodził do lądowania w bazie Bombasino.

Po wyjściu ojca Cliftona zasnąłem.

Patrzyłem, jak siedzimy z Eneą u wejścia do jej schronu na pustyni. Rozmawialiśmy dalej.

— Już mi się to śniło - powiedziałem, rozglądając się dookoła. Dotknąłem ukrytego pod warstwą płótna kamiennego muru; wciąż promieniował nagromadzonym za dnia ciepłem.

— To prawda - przytaknęła Enea i pociągnęła łyk świeżo zaparzonej herbaty.

— Miałaś mi powiedzieć, jaki to sekret czyni z ciebie mesjasza - usłyszałem własne słowa. - Sekret, dzięki któremu jesteś „formą połączenia między światami”, jak mówił Ummon.

— Zgadza się - moja przyjaciółka znów pokiwała głową. - Najpierw jednak powiedz mi, czy uważasz, że odpowiedź, jakiej udzieliłeś ojcu Cliftonowi, była właściwa.

— Właściwa? - wzruszyłem ramionami. - Byłem na niego zły.

Enea znów łyknęła herbaty. Unosząca się znad kubka para sięgnęła jej oczu.

— Nie odpowiedziałeś mu, co sądzisz o zakładzie Pascala.

— Nie musiałem - odparłem poirytowany. - Mały Bin Ria Dem Loa Alem umiera na raka, a Kościół zasłania się krzyżokształtem. To plugawe... ohydne. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

Enea spojrzała na mnie sponad parującego naczynia.

— A gdyby Kościół nie był tak plugawy, Raul... Gdyby ofiarował krzyżokształt bez zobowiązań, przyjąłbyś go?

— Nie - odpowiedziałem z gwałtownością, która mnie samego zdumiała.

— Czyli nie chodzi ci o zepsucie panujące w Kościele. - Dziewczynka się uśmiechnęła. — Odrzucasz samo zmartwychwstanie.

Już chciałem zaoponować, gdy nagle zawahałem się, zmarszczyłem brwi i spróbowałem ubrać myśli w słowa.

— Odrzucam ten rodzaj zmartwychwstania. To fakt.

— A jest jakiś inny? - Enea wciąż się uśmiechała.

— Kiedyś Kościół tak uważał. Przez blisko trzy tysiące lat kusił ludzi obietnicą nieśmiertelności duszy, nie ciała.

— Wierzysz w ten drugi rodzaj zmartwychwstania?

— Nie - przyznałem równie szybko, jak poprzednio. Pokręciłem głową. - Zakład Pascala nigdy do mnie nie przemawiał. Mam wrażenie, że pod względem logicznym jest... jakiś taki... płytki.

— Może dlatego, że daje tylko dwie możliwości do wyboru - powiedziała Enea. Na pustyni rozległ się krótki, ostry krzyk sowy. - Zmartwychwstanie i nieśmiertelność ducha albo śmierć i potępienie.

— Te dwa ostatnie pojęcia nie są tożsame - zauważyłem.

— Nie, ale może były dla kogoś takiego, jak Pascal, „przerażony odwieczną ciszą tych nieskończonych przestrzeni”.

— Duchowa agorafobia.

Enea parsknęła śmiechem, tak szczerym i spontanicznym, że nie sposób było go nie kochać. Nie sposób było nie kochać jej.

— Religia od zawsze oferuje nam tego rodzaju fałszywy dualizm. - Postawiła kubek na płaskim kamieniu. - Cisza nieskończonej przestrzeni albo przytulne ciepło wewnętrznej pewności.

Chrząknąłem.

— Kościół Paxu proponuje bardziej pragmatyczną pewność.

— Kto wie, czy to nie jedyne, co mu dziś pozostało. - Enea pokiwała głową. - Może nasze zasoby wiary duchowej się wyczerpały.

— Może powinny wyczerpać się dawno temu - stwierdziłem ostro. - Przesady sporo nas kosztowały: wojny, pogromy, opór wobec logiki, nauki, medycyny... że nie wspomnę już o kumulowaniu władzy w rękach takich ludzi, jak ci, którzy stoją na czele Paxu.

— Czy w takim razie religia sprowadza się do przesądów, Raul? Cała wiara to głupstwo?

Spojrzałem na nią z ukosa. Przytłumione światło lampy ze schronu i słabutki blask gwiazd igrały na jej ostrych kościach policzkowych i delikatnej krzywiznie podbródka.

— Co masz na myśli? - zapytałem, słusznie spodziewając się pułapki.

— Czy gdybyś wierzył we mnie, byłaby to głupota?

— Wierzył w ciebie... Jak to? - zapytałem podejrzliwie, z irytacją. - Jak w przyjaciółkę? Czy jak w mesjasza?

— Co to za różnica? - Enea znowu uśmiechnęła się w sposób, który zwiastował prowokację.

— Wiara w przyjaciela to... to przyjaźń - wyjaśniłem. - Lojalność.. . - zawahałem się. - Miłość.

— A wiara w mesjasza? - nalegała Enea. Ogniki zamigotały w jej oczach.

Zrobiłem szeroki, gwałtowny ruch ręką.

— To religia.

— A jeśli twój przyjaciel jest mesjaszem? - Tym razem Enea uśmiechnęła się od ucha do ucha.

— To znaczy, jeśli twojemu przyjacielowi zdaje się, że jest mesjaszem”? - poprawiłem ją i jeszcze raz wzruszyłem ramionami. - Chyba nie pozostaje nic innego, jak być mu wiernym i pilnować, żeby nie trafił do domu wariatów.

Wesołość zniknęła z twarzy Enei, czułem jednak, że nie z powodu mojej ostrej uwagi. Dziewczynka zdawała się patrzeć w głąb własnej duszy.

— Chciałabym, żeby to było takie proste, mój drogi przyjacielu.

Byłem poruszony i przepełniony złością, która zdawała się równie rzeczywista, jak fala nudności.

— Miałaś mi powiedzieć dlaczego wybrano cię na mesjasza, maleńka - przypomniałem. — Co sprawia, że łączysz dwa światy.

Dziewczynka - a właściwie młoda kobieta - skinęła poważnie głową.

— Wybrano mnie, bo jestem pierwszym dzieckiem Centrum i człowieka.

O tym już mi mówiła. Pokiwałem głową.

— Czyli te właśnie światy łączysz, tak? Centrum i nasz?

— Dwa spośród wielu. - Podniosła na mnie wzrok. - Nie po prostu dwa. Na tym właśnie polega rola mesjasza, Raul, na łączeniu różnych światów. Różnych epok. Nie dających się pogodzić idei.

— I jesteś mesjaszem, ponieważ masz łączność z oboma tymi światami, czy tak?

Enea pokręciła głową, szybko, niemal niecierpliwie. W jej oczach zamigotało coś na kształt złości.

— Nie - rzuciła. - Jestem mesjaszem ze względu na to, co potrafię robić.

Jej zdecydowanie zbiło mnie z tropu.

— A co potrafisz, mała?

Wyciągnęła rękę, żeby mnie pogłaskać.

— Pamiętasz, jak mówiłam, że Kościół i Pax mają rację, Raul? Że jestem wirusem?

— Aha.

Ścisnęła mnie za przegub.

— Mogę przenosić tego wirusa, Raul. Zarażać innych. Mnożyć nosicieli w postępie geometrycznym.

— Nosicieli czego? Mesjanizmu?

Pokręciła przecząco głową z tak smutnym wyrazem twarzy, że miałem ochotę ją przytulić i pocieszyć. Nie puściła mojego nadgarstka.

— Nie. Chodzi mi o następny etap rozwoju, o to, czym jesteśmy. Czym możemy być.

Wziąłem głęboki wdech.

— Mówiłaś o nauczaniu fizyki miłości, o rozumieniu jej jako podstawowej siły we wszechświecie. Czy to ona właśnie jest tym

wirusem?

Enea posłała mi długie spojrzenie.

— To tylko źródło wirusa - rzekła łagodnie. - Ja nauczam, jak wykorzystywać tę energię.

— Jak? - zapytałem szeptem.

Enea zmrużyła oczy, po czym powoli je otworzyła, jakby to ona śniła i zaraz miała się obudzić.

— Powiedzmy, że są cztery stopnie, cztery etapy. Cztery... poziomy.

Milczałem. Palce Enei zacisnęły się w pętlę wokół mojego przegubu.

— Pierwszym jest poznanie języka umarłych.

— Co to...

— Ćśś! - przyłożyła wskazujący palec wolnej ręki do moich ust, żeby mnie uciszyć. - Drugi to poznanie języka żywych.

Skinąłem głową; nie zrozumiałem żadnego z tych dwóch zdań.

— Trzeci to usłyszenie muzyki sfer - szepnęła.

Zetknąłem się z tym starym zwrotem w bibliotece w Taliesinie Zachodnim: chodziło o astrologię, o czasy, gdy na Starej Ziemi nie nastał jeszcze Wiek Rozumu, a Kepler konstruował drewniane modeliki Układu Słonecznego, oparte na idealnych kształtach, na szklanych sferach z gwiazdami i planetami, wprawianych w ruch przez anioły... Cała masa podobnych bredni. Nie miałem zielonego pojęcia, o czym mówi moja mała przyjaciółka i jakie jest znaczenie jej słów w epoce lotów z prędkością nadświatlną.

— Czwarty etap - ciągnęła zamyślona - to nauczyć się, jak zrobić pierwszy krok.

— Pierwszy krok... - powtórzyłem zmieszany. - Chodzi ci o pierwszy... Jak to szło? Poznanie języka umarłych?

Enea pokręciła głową i powoli skupiła wzrok na mojej osobie, jakby przez chwilę znajdowała się zupełnie gdzie indziej.

— Nie; jak zrobić pierwszy krok.

Prawie wstrzymałem oddech.

— No dobrze - powiedziałem. - Jestem gotów, maleńka. Naucz mnie.

— Oto ironia losu, Raul. - Uśmiechnęła się. - Jeśli zdecyduję się to zrobić, na zawsze pozostanę Tą, Która Naucza. Najśmieszniejsze jest to, że nie muszę niczego nauczać. Wystarczy, że podzielę się tym wirusem ze wszystkimi, którzy chcą się ode mnie uczyć.

Spuściłem wzrok na obejmujące moją rękę drobne palce.

— Czyli przekazałaś mi już tego... wirusa? - zapytałem. Nie czułem nic szczególnego, poza zwykłym szczypaniem jakby słabego prądu, które zawsze towarzyszyło jej dotykowi.

Roześmiała się.

— Nie, Raul, nie jesteś jeszcze gotowy. Poza tym do przekazania wirusa niezbędna jest komunია, nie po prostu dotyk. W dodatku nie podjęłam jeszcze decyzji... czy powinnam to zrobić.

— Podzielić się nim ze mną? - zapytałem. - Komunია?

— Ze wszystkimi - wyszeptała, spoważniawszy nagle. - Ze wszystkimi, którzy są gotowi się uczyć. - Znów spojrzała mi w oczy. W dali rozległo się szczekanie kojota. - Te poziomy... etapy... nie mogą współistnieć z krzyżokształtem.

— W takim razie ponownie narodzeni nie mogą się uczyć? - upewniłem się. Wykluczałoby to zdecydowaną większość populacji.

— Mogą... - znów pokręciła głową. - Tylko nie mogą się już odradzać. Krzyżokształt musi zniknąć.

Wypuściłem powietrze z płuc. Nie rozumiałem większości naszej rozmowy, ale to dlatego, że Enea posługiwała się dziwnym językiem. Czyż nie tak właśnie przemawiają mesjasze? - zapytała głosem Starowiny cyniczna cząstka mego, ja”.

— Nie da się usunąć krzyżokształtu, nie zabijając osoby, która go nosi - rzekłem. - To prawdziwa śmierć. - Zastanawiałem się, czy nie

dlatego nie chciałem przyjąć krzyża... A może raczej powodowała mną młodzięcza wiara we własną nieśmiertelność.

Enea nie odpowiedziała mi wprost.

— Polubiłeś ludzi z Widmowej Helisy Amoiete'a, prawda? - zagadnęła.

Zdziwiłem się. Czy to zdanie mi się przyśniło? A ci ludzie? Mój ból? Czyżbym teraz nie śnił? Czy po prostu przypominałem sobie rzeczywistą rozmowę? Ale przecież Enea nie wiedziała o Dem Rii i pozostałych. Pograżony w mroku, kamiennie-płócienny schron zafalował, jak rozpadająca się na kawałki kraina snów.

— Polubiłem - odparłem. Dziewczynka puściła moją rękę. Przecież nadgarstek mam przykuty do ramy łóżka!

Enea pokiwała głową i napiła się stygnącej herbaty.

— Dla całej Helisy jest nadzieja, podobnie jak dla tysięcy cywilizacji, które odrodziły się i rozkwitły po Upadku. Hegemonia oznaczała podobieństwo, Raul. Pax jest jeszcze gorszy. Ludzki genom... ludzka dusza, Raul... nie ufa jednakowości. Zawsze jest gotowa podjąć ryzyko zmian, by wprowadzić różnorodność.

— Eneo - powiedziałem i wyciągnąłem do niej rękę. - Ja nie... Nie możemy...

Poczułem, że spadam i senny krajobraz rozmył się jak miękka tektura w ulewnym deszczu. Moja przyjaciółka zniknęła mi z oczu.

— Obudź się, Raul. Idą po ciebie. Szukają cię ludzie Paxu.

Spróbowałem się ocknąć; czołgałem się ku świadomości niczym ospała maszyna pełznąca pod górę, ale brzemień zmęczenia i środków przeciwbólowych ściągało mnie w dół. Nie rozumiałem, dlaczego Enea miałaby chcieć, żebym się obudził; tak dobrze się nam rozmawiało.

— Obudź się, Raulu Endymionie. - To nie była Enea. Nie zdążyłem jeszcze dojść do siebie, gdy rozpoznałem cichy głos i charakterystyczny akcent Dem Rii.

Usiadłem na łóżku. Ona mnie rozbierała! Zdjęła ze mnie luźną nocną koszulę i próbowała naciągnąć podkoszulkę - czystą, pachnącą ożywczą bryzą, ale bez wątpienia moją własną. Dolną część bielizny miałem już na sobie, a spodnie, koszula i kamizelka leżały w nogach łóżka. Jak zdołała mnie ubrać, skoro prawą rękę strażnik przykuł mi do...

Spojrzałem na własne ręce; otwarte kajdanki leżały na pościeli, a w dłoni czułem bolesne ukłucia, zwiastujące powrót krążenia. Oblizałem spierzchnięte wargi i zapytałem, starannie wymawiając poszczególne zgłoski:

— Ludzie Paxu? Szukają mnie?

Dem Ria zakładała mi koszulę jak dziecku, jak Binowi... albo jeszcze młodszemu. Machnąłem ręką, żeby dała sobie spokój i zacząłem sam się zapinać. Własne palce wydały mi się nagle okropnie niezgrabne. W Taliesinie Zachodnim, na Starej Ziemi, używano guzików zamiast płytek zapinkowych i zdawało mi się, że już do nich przywykłem, teraz jednak zabawa przeciągała się w nieskończoność.

— ... i usłyszeliśmy w radiu, że w Bombasino wylądował statek z czworgiem ludzi — dwoma mężczyznami i dwoma kobietami - w obcych mundurach. Wypytywali komendanta o ciebie. Dopiero co wystartowali, lądownik i trzy śmigacze. Będą tu za cztery minuty, może szybciej.

— W radiu? - powtórzyłem głupawo. - Mówiliście przecież, że radio nie działa. Czy to nie dlatego ksiądz musiał udać się do bazy po lekarza?

— Radio ojca Cliftona nie działa - wyszeptała Dem Ria i ściągnęła mnie z łóżka. Stałem, a ona pomogła mi utrzymać równowagę przy zakładaniu spodni. - Mamy radia... transmitery wiązek komunikacyjnych... przekaźniki satelitarne... Pas o niczym nie wie.

Mamy też szpiegów. Jeden z nich ostrzegł nas... Pośpiesz się, Raulu Endymionie. Statki zaraz tu dotrą.

Nagle całkowicie się obudziłem; zalała mnie fala gniewu i poczucie beznadziei, które omal znowu nie zważyło mnie z nóg. Dlaczego ci dranie nie chcą mi dać spokoju? Czworo ludzi w obcych mundurach... Pax, nikt inny. Najwidoczniej nie zaprzestali poszukiwań Enei, A. Bettika i mnie, kiedy ksiądz kapitan de Soya ponad cztery lata temu pomógł nam uniknąć pułapki na Bożej Kniei.

Spojrzałem na zamontowany w komlogu chronometr: została mi dosłownie minuta. Nie miałem dokąd uciec; żołnierze Paxu z pewnością by mnie znaleźli.

— Puść mnie - powiedziałem i odsunąłem się od niewysokiej kobiety w niebieskiej sukni. Przez otwarte okno wpadał powiew popołudniowej bryzy, poruszając zasłonkami. Zdawało mi się, że słyszę wpadające w ultradźwięki bzyczenie silników śmigaczy. — Muszę uciekać z waszego domu... - Oczyma wyobraźni widziałem, jak żołnierze palą domostwo, a wraz z nim Ces Ambrę i Bina.

Dem Ria odciągnęła mnie od okna. W tej samej chwili do pokoju wszedł pan domu - młody Alem Mikail Dem Alem - i Dem Loa. Nieśli masywne, luzyjskie cielsko strażnika, który miał mnie pilnować. Ces Ambrę z błyskiem w oku podtrzymywała jego nogi, podczas gdy Bin usiłował mu ściągnąć jeden z ogromnych buciorów. Luzyjczyk spał twardo; z otwartych ust ciekła mu strużka śliny, zbierając się w plamę na kołnierzu polowego munduru.

Popatrzyłem na Dem Rię.

— Przed kwadransiem Dem Loa przyniosła mu herbaty - wyjaśniła cicho. Uczyniła wdzięczny gest dłonią; powłóczyły rękaw sukni wydał się przy tym jak balon. - Obawiam się, że zużyliśmy cały przepisany ci zapas ultramorfiny, Raulu Endymionie.

— Muszę iść... - odezwałem się. Ból w plecach był znośny, ale nogi wciąż się pode mną trzęsły.

— Nie - zaproponowała Dem Ria. - Od razu by cię złapali. - Wskazała na okno, skąd dobiegł charakterystyczny, basowy pomruk repulsorów EM, który za chwilę przeszedł w dudnienie silników odrzutowych. Statek krążył właśnie nad wioską, szukając dogodnego miejsca do lądowania. W chwilę później szyby w oknach zdrząły potrójnym grzmotem uderzeniowej fali dźwiękowej i dwa śmigacze zniżyły lot nad sąsiednimi budynkami.

Alem Mikail rozebrał Luzyjczyka do bielizny, położył go na łóżku, zatrzasnął kajdanki na jego masywnym prawym przegubie i przykuł do łóżka. Dem Loa i Ces Ambre zebrały resztę stroju żołnierza i upchnęły do worka z praniem. Mały Bin Ria Dem Loa Alem wrzucił tam jeszcze jego hełm, nie rozstawał się za to ze zdobyczną ręczną kartaczką. Wzdrygnąłem się: dziecko z bronią było widokiem, którego zawsze starałem się unikać - nawet gdy sam będąc brzdącem uczyłem się obchodzić z bronią energetyczną, kiedy nasz wóz toczył się wolno przez hyperiońskie mokradła. Alem jednak tylko się uśmiechnął, poklepał Bina po ramieniu i zabrał mu kartaczkę. Nie ulegało wątpliwości, że mały był już z bronią obeznany - palce trzymał z dala od osłony spustu, starał się nie celować w nikogo z obecnych, a podając ojcu broń sprawdził bezpiecznik.

Uśmiechnął się do mnie, zabrał ciężką torbę z mundurem strażnika i wybiegł z pokoju. Hałas na dworze wzrósł do ogłuszającego crescendo. Wyjrzałem przez okno.

Lądujący czarny śmigacz wzbijał chmury kurzu trzydzieści metrów od nas, przy ulicy nad kanałem; widziałem go w prześwicie między domami. Lądownik znikł mi z oczu bardziej na południe, prawdopodobnie siadając na rozległej łące koło studni, gdzie powalił mnie ból w nerkach.

Uporałem się właśnie z wsunięciem butów i zapięciem kamizelki, gdy Alem wręczył mi kartaczożnicę. Odruchowo sprawdziłem bezpiecznik i wskaźnik naładowania, po czym pokręciłem głową.

— Nie - powiedziałem. - To byłoby samobójstwo, gdybym rzucił się na żołnierzy Paxu uzbrojony tylko w coś takiego. Ich pancerz. .. - W rzeczywistości nie myślałem akurat o ich pancerzu, lecz o tym, że gdyby odpowiedzieli ogniem, w mgnieniu oka zrównaliby dom z ziemią. Przyszedł mi na myśl chłopiec, kręcący się na zewnątrz z torbą wypchaną mundurem strażnika. - Co z Binem? - zapytałem. - Jeśli go złapią...

— Wiemy, wiemy - przerwała mi Dem Ria. Wyciągnęła mnie z pokoju i popchnęła w wąski korytarz. Nie znałem rozkładu tej części budynku; przez ostatnie czterdzieści kilka godzin mój wszechświat ograniczał się do sypialni i przyległej toalety. - Chodź już - ponagliła mnie.

Jeszcze raz się szarpnąłem i podałem pistolet Alemowi.

— Pozwólcie mi uciec - poprosiłem, a serce waliło mi jak opętane. Machnąłem ręką w stronę pochrapującego Luzyjczyka. - Nie nabiorą się nawet przez moment. Mogą skontaktować się z lekarką, jeśli już nie przyleciała którymś ze śmigaczy, i poprosić, żeby mnie zidentyfikowała. Powiedzcie im... - Popatrzyłem na przyjazne twarze ludzi w błękitach. — Powiedzcie, że pokonałem strażnika i groziłem wam bronią... - urwałem w pół zdania; przecież Luzyjczyk natychmiast zdementowałby moje bajeczki i udział całej rodziny w mojej ucieczce nie ulegałyby wątpliwości. Przeniosłem wzrok na kartaczożnicę; korciło mnie, żeby zabrać ją z rąk mężczyzny... Jeden ładunek stalowych igieł wystarczyłby, żeby strażnik się nie obudził, nie miał okazji dementować bajeczek i nie zagrażał moim opiekunom.

Tylko że na to nie umiałbym się zdobyć. Potrafiłbym zastrzelić żołnierza w uczciwej walce - fala gniewu i adrenaliny w żyłach,

przebiwszy się przez opary słabości i strachu, czyniła tę perspektywę szczególnie atrakcyjną - ale w życiu nie zastrzeliłbym śpiącego człowieka.

Nie zanosiło się jednak na uczciwą walkę: ludzie Paxu w pancerzach - że o tajemniczej czwórce z lądownika (Gwardia Szwajcarska?) nie wspomnę - byliby całkowicie niewrażliwi na moje kartacze i wszelki inny oręż, może poza własną bronią szturmową. A Szwajcarom i ona nie czyniłaby krzywdy. Byłem udupiony. Dobrzy ludzie, którzy okazali mi tyle ciepła, byli udupieni razem ze mną.

Kuchenne drzwi otworzyły się z trzaskiem i Bin wpadł do przedpokoju. Spod zadartej, drugiej szaty wyzierały mu chude nóżki. Patrzyłem na niego, rozmyślając o tym, że nie otrzyma krzyżokształtu i umrze na raka... A jego rodzice spędzą pewnie z dziesięć lat w więzieniu.

— Przepraszam... - Nie umiałem znaleźć właściwych słów. Słyszałem, że na ulicy panuje zamieszanie: to żołnierze przedzierali się przez wieczorny tłumek przechodniów.

— Raulu Endymionie - powiedziała Dem Loa swoim cichym, spokojnym głosem. Podała mi wydobyty z kajaka plecak. - Proszę, zamknij się i chodź z nami. Ale już.

W podłodze korytarza znajdowało się wejście do podziemnego tunelu. Zawsze mi się wydawało, że tajne przejścia trafiają się tylko w holodramach, tym niemniej chętnie podążyłem za Dem Rią. Musieliśmy dziwnie wyglądać: Dem Ria i Dem Loa spływały miękko po stromych schodach, za nimi szedłem ja z kartaczownicą w garści i plecakiem spadającym mi z ramienia, potem mały Bin z siostrą, a na końcu, zamknawszy za sobą klapę, Alem Mikail Dem Alem. Jeśli nie liczyć śpiącego Luzyjczyka, dom został pusty.

Schody prowadziły poniżej normalnego poziomu piwnicy. Z początku miałem wrażenie, że mury pod ziemią również zbudowano

z wysuszonej gliny, ale po chwili dotarło do mnie, że tunel wykuto w miękkiej skale, najprawdopodobniej piaskowcu. Po dwudziestu siedmiu stopniach stanęliśmy na dnie niemal pionowej sztolni i Dem Ria poprowadziła nas wąskim korytarzem, rozjaśnionym blaskiem białych, chemicznych żarówek. Zastanawiałem się, po co w przeciętnym domu obywateli klasy średniej znalazło się sekretne przejście.

Niebieska szata z kapturem odwróciła się w moją stronę i Dem Loa, jakby czytając w moich myślach, wyszeptała:

— Widmowa Helisa Amoiete'a wymaga istnienia... hmm... dyskretnych wejść do domów. Przydają się szczególnie w okresie Podwójnej Ciemności.

— Podwójnej Ciemności? - szepnąłem w odpowiedzi. Schyliłem głowę, żeby nie uderzyć w żarówkę. Przeszliśmy już ze dwadzieścia, może dwadzieścia pięć metrów, chyba oddalając się od rzeki, a tunel wciąż zakręcał w prawo.

— To powolne, podwójne zaćmienie słońca przez dwa księżycy naszej planety - wyjaśniła Dem Loa. - Trwa dokładnie dziewiętnaście minut i jest głównym powodem, dla którego wybraliśmy ten świat... przepraszam za tę dwuznaczność.

— Ach tak - mruknąłem. Nie żebym coś rozumiał, ale nie miało to chyba znaczenia. — Żołnierze Paxu mają czujniki do wykrywania takich dziur w ziemi - dodałem szeptem. - Radary głębokościowe. Mają też...

— Tak, tak - odezwał się zza moich pleców Alem - ale burmistrz i reszta zatrzymają ich przez jakiś czas.

— Burmistrz? - powtórzyłem niemądrze. Nogi wciąż uginały się pode mną po dwóch dobach bóleści w łóżku, a w plecach i kroczu nadal mnie rwało, ból ten jednak nie mógł równać się z tym, co ostatnio przeszedłem, a w związku z tym - nie liczył się.

Burmistrz podaje w wątpliwość prawo Paxu do prowadzenia poszukiwań - szepnęła Dem Ria. Tunel rozszerzył się i na dystansie co najmniej stu metrów biegł teraz prosto. Minęliśmy dwa boczne odgałęzienia; kurczę, nie znajdowaliśmy się bynajmniej w jakiejś ciasnej norze, tylko w autentycznych lochach. - Pax uznaje jego władzę w Lock Childe Lamonde - ciągnęła kobieta. Jedwabne szaty całej piątki ocierały się o kamienne ściany, wydając odgłos również podobny do szeptu. - Na Vitus-Gray-Balianusie B wciąż mamy swoje prawa i sądy, w związku z czym Pax nie może bez ograniczeń przeszukiwać planety i aresztować ludzi.

— Ale przecież ściągną pozwolenie od stosownych władz - zauważyłem, starając się dotrzymać kobietom kroku. Doszliśmy do kolejnego skrzyżowania i skręciliśmy w prawo.

— Z pewnością - przytaknęła Dem Loa - tylko że w Lock Childe Lamonde roi się teraz od wszystkich barw Helisy; tysiące ludzi, w czerwieni, bieli, zieleni, żółci wyległo na ulice. A będzie ich więcej, gdy przybędą nasi sąsiedzi z pobliskich osiedli. Nikt z własnej woli nie wskaże domu, w którym cię przetrzymywano. Ojca Cliftona udało się wywabić z miasteczka, więc nie będzie w stanie pomóc żołnierzom; nasi ludzie zatrzymali doktor Molinę w Keroa Tambat i uniemożliwili jej kontakt z przełożonymi. A strażnik będzie spał jeszcze co najmniej z godzinę. Tędy.

Skręciliśmy w lewo, w szerszy korytarz i przystanęliśmy przed pierwszymi na naszej drodze drzwiami. Dem Ria przyłożyła dłoń do identyfikatora, zamek puścił i weszliśmy do przestronnej, wykutej w kamieniu komory. Stanęliśmy u szczytu metalowych schodów, patrząc w dół na coś w rodzaju podziemnego garażu: znajdowało się w nim kilka drugich, smukłych pojazdów z ogromnymi kołami, statecznikami, żaglami i pedałami, pogrupowanych według kolorów. Wyglądały na zasilane wiatrem i siłą ludzkich mięśni wozy na

pałankowatych wspornikach, z osłonami z drewna, perspexu i jasnego, jedwabistego polimeru.

— Wiatrowery - oznajmiła Ces Ambrę.

Kilkoro mężczyzn i kobiet w szmaragdowozielonych strojach uwijało się wokół trzech pojazdów, przygotowując je do drogi. Z tyłu jednego z nich umocowano mój kajak.

Moi towarzysze ruszyli w dół schodów, ja jednak stanąłem w miejscu. Moje wahanie tak ich zaskoczyło, że biedny Bin i Ces Ambrę omal na mnie nie wpadli z rozpędu.

— Co się stało? - zapytał Alem Mikail.

Zdążyłem już wetknąć kartaczownicę za pasek, więc rozłożyłem ręce.

— Dlaczego to robicie? Dlaczego wszyscy mi pomagacie? O co tu chodzi?

Dem Ria cofnęła się o krok w górę schodów i oparła o poręcz. W jej oczach jaśniał zapal, jaki przedtem dostrzegłem w oczach jej córki.

— Jeśli cię złapią, Raulu Endymionie, zabiją cię.

— Skąd ta pewność?

Mówiłem cicho, ale podziemny garaż miał taką akustykę, że ludzie w zieleni podnieśli na nas wzrok.

— Mówiłeś przez sen - rzekła Dem Loa.

Nic nie rozumiejąc spojrzałem w jej stronę: śniło mi się, że rozmawiam z Eneą. Co oni mogli z tego zrozumieć?

Dem Ria zrobiła jeszcze jeden krok do góry i dotknęła mojej dłoni.

— W Widmowej Helisie Amoiete'a istnieje przepowiednia dotycząca tej kobiety, Raulu Endymionie. Kobiety imieniem Enea. Nazywamy ją Tą, Która Naucza.

Stojąc tam, w zagrzebanym pod ziemią pomieszczeniu, w lodowatym blasku żarcul poczułem, jak na całym ciele pojawia mi się gęsia skórka. Stary poeta Martin Silenus - mówił o mojej młodej

przyjaciółce jak o mesjaszu, ale jego słowa jak zwykle aż ociekały cynizmem. Ludzie z Taliesina Zachodniego szanowali ją... Jednak to jeszcze chyba nie powód, by uwierzyć, że dziarska szesnastolatka jest jedną z Wielkich Historycznych Postaci? Wydawało mi się to mało prawdopodobne. Rozmawialiśmy o tym, zarówno na jawie, jak i w moich ultramorfinowych snach, ale... Boże, przecież tę planetę dzieliły od Hyperiona całe lata świetlne, a odległość do Mniejszego Obłoku Magellana, gdzie ukryto Starą Ziemię, była wręcz niewyobrażalna. Skąd zatem ci ludzie...

— Halpul Amoiete wiedział o Tej, Która Naucza, kiedy komponował Symfonię - powiedziała Dem Loa. - Wszyscy członkowie Widma są potomkami empatów, Helisa zaś była i jest drogą do wzmocnienia ich zdolności.

Pokręciłem głową.

— Przykro mi, ale nie rozumiem...

— Musisz zrozumieć jedno, Raulu Endymionie - przerwała mi Dem Ria, zaciskając palce na moim przegubie tak, że prawie mnie zaboląło. Jeżeli stąd nie uciekniesz, Pax dostanie twoje ciało i duszę, tymczasem Ta, Która Naucza, potrzebuje ich obu.

Spojrzałem na nią spod przymkniętych powiek, pewien, że żartuje sobie ze mnie, lecz jej miła, gładka twarz wyglądała śmiertelnie poważnie.

— Proszę - ponaglił mnie Bin. Złapał mnie za wolną rękę i pociągnął w dół. - Pospiesz się, Raul. Proszę.

Zbiegłem po schodach. Jeden z odzianych na zielono mężczyzn podał mi czerwoną opończę, a Alem Mikail pomógł mi się nią owinąć - paroma szybkimi ruchami udrapował na mnie czerwony burnus; w życiu bym sobie z nim nie poradził. Zaszokowany zauważyłem, że cała rodzina - obie starsze kobiety, nastoletnia Ces Ambre i mały Bin - rozebrali się do naga: zrzucili niebieskie stroje i pośpiesznie odziewali

się w czerwień. Zrozumiałem, że myliłem się, porównując ich z Luzyjczykami, bo chociaż ich ciała wyróżniały się wzrostem niższym od paksowej przeciętnej i znakomitą muskulaturą, to miały w dodatku idealne proporcje; dorośli byli całkowicie pozbawieni owłosienia, nie tylko na głowie, lecz na całym ciele. W pewnym sensie ich perfekcyjne ciała nabierały przez to atrakcyjności.

Spuściłem wzrok, gdy zdałem sobie sprawę, że się rumienię. Ces Ambre parsknęła śmiechem i szturchnęła mnie w bok. Alem Mikail ostatni przywdział czerwone ubranie. Rzut oka na jego potężnie umięśniony tors wystarczył, by stwierdzić, że nie sprostałbym mu w walce wręcz dłużej niż przez jakieś piętnaście sekund; trzeba przyznać, że walcząc z Dem Rią czy Dem Loą wytrwałbym najwyżej dwa razy tyle.

Podąłem mu kartaczownicę, ale gestem dał mi znać, żebym ją zatrzymał, po czym pokazał mi, jak ukryć ją w jednej z niezliczonych fałd długiej, szkarłatnej szaty. Przypomniałem sobie, że w plecaku nie mam zbyt poważnej broni - tylko nóż myśliwski i laserową latarkę - i z wdzięcznością kiwnąłem głową.

Kobiety, dzieci i ja wdrapaliśmy się na tył pojazdu, do którego przyczepiono mój kajak. Na stelaż nad naszymi głowami naciągnięto płachtę czerwonego materiału, po czym dookoła i na górę dorzucono jakieś deski, rozstawiono beczki i rozpięto kolejny kawał materii. Pozostała tylko maleńka szparka z tyłu wozu. Słyszałem odgłos kroków Alema, który zajął miejsce z przodu, na jednym z siodełek, z których dało się dosięgnąć pedałów; za chwilę inny mężczyzna, również przystrojony w czerwień, usiadł obok niego.

Ze złożonym masztem i zwiniętymi żaglami zaczęliśmy wytaczać się z garażu po drugiej, pochyłej rampie.

— Dokąd jedziemy? - zapytałem szeptem leżącą u mojego boku Dem Rię. Drewno pachniało jak cedr.

— Do transmitera w dole rzeki.

— Wiecie o nim? - nie kryłem zdumienia.

— Podali ci serum prawdy - zza jakiejś skrzyni dobiegł mnie szept Dem Łoi. - Poza tym naprawdę mówiłeś przez sen.

Bin leżał tuż obok.

— Wiemy, że Ta, Która Naucza wysłała cię z misją - powiedział zadowolony. - I wiemy, że musisz dotrzeć do następnego portalu. - Poklepał uwiązany tuż obok nas kajak. - Chciałbym popłynąć z tobą.

— To zbyt niebezpieczne - wyszeptałem. Wóz wyjechał spod ziemi i światło zachodzącego słońca rozświetliło skrywający nas materiał. Wiatrower zatrzymał się. Alem wraz z towarzyszem postawili maszt i rozwinęli żagle. - Zbyt niebezpieczne... - powtórzyłem, mając na myśli pomysł z zawiezieniem mnie do transmitera, a nie misję, którą wyznaczyła mi Enea. - Jeżeli wiedzą kim jestem, będą obserwować transmitter - wyszeptałem do Dem Rii.

Cień jej kaptura drgnął, gdy skinęła głową.

— Będą, Raulu Endymionie. To rzeczywiście niebezpieczne, ale niebawem zrobi się ciemno. Już tylko czternaście minut.

Zerknąłem na komlog. Sądząc po tym, co widziałem przez ostatnie dwa dni, do zmierzchu zostało mniej więcej dziewiętnaście minut; a potem jeszcze godzina do zmroku.

— Od transmitera dzieli nas tylko sześć kilometrów - wtrąciła Ces Ambre spoza kajaka. — W wioskach wszyscy ludzie Widma będą świętować.

Wreszcie zrozumiałem.

— Podwójną Ciemność? - upewniłem się szeptem.

— Tak. - Dem Ria poklepała mnie po ręce. - Teraz musimy być cicho. Wjeżdżamy na solną drogę.

— To zbyt niebezpieczne - szepnąłem jeszcze raz, gdy wóz skrzypiąc i pojeżdżając wmieszał się w strumień pojazdów. Słyszałem chrobot

łańcucha pod podłogą i czułem, jak żagiel chwyta wiatr. Zbyt niebezpieczne, dodałem w myślach.

Gdybym wiedział, co się dzieje kilkaset metrów od miejsca, gdzie się znajdowaliśmy, w pełni zrozumiałbym, jak bardzo ryzykujemy.

Kiedy wiatrower ruszył solną drogą na południe, zerknąłem przez szparę z tyłu. Nawierzchnia przeznaczona dla pojazdów drogi przypominała pas twardej jak skała soli, łączący wioski przycupnięte na skraju kanału. Woda płynęła w wyniesionym na nasyp korycie, a wokół jak okiem sięgnąć rozciągała się spękana pustynia.

— To Pustkowie Wahhabi - wyjaśniła szeptem Dem Ria, gdy zaczęliśmy nabierać szybkości. Wyprzedzały nas inne wiatrowery, mknące pod pełnymi żaglami; jadący na nich ludzie kręcili pedałami jak szaleni. Jeszcze więcej kolorowych pojazdów pędziło na północ. Miały inaczej ustawione żagle, a pasażerowie musieli ostro balansować ciałem, gdy wiatrower przechylał się i jechał na dwóch kołach.

Sześć kilometrów pokonaliśmy w dziesięć minut. Skręciliśmy z solnej drogi na utwardzoną rampę, która zaprowadziła nas do skupiska domów - tym razem zbudowanych z białego kamienia, nie z gliny. Mężczyźni kierujący wiatrowerem zwinęli żagiel i powolutku ruszyliśmy brukowaną uliczką pomiędzy domami i kanałem-rzeką. Wysokie, delikatne paprocie rosły wzdłuż brzegu, z którego tu i tam sterczały ozdobnie rzeźbione pomosty, altany i doki z zacumowanymi, również zdobionymi łodziami mieszkalnymi. Miasteczko zdawało się kończyć w miejscu, gdzie kanał zmieniał się w szeroki szlak wodny, bardziej podobny do naturalnej rzeki. Podniósłszy wzrok, kilkaset metrów przed nami dostrzegłem olbrzymi, trochę zardzewiały portal transmitera, za nim zaś gęszcz zarośli na brzegach rzeki i rozciągającą się na wschodzie i zachodzie martwą pustynię. Alem wprowadził wiatrower na ceglana rampę ładunkową i zatrzymał pod osłoną kępy wysokich paproci.

Spojrzałem na komlog: do nadejścia Podwójnej Ciemności zostały niespełna dwie minuty.

W tej samej chwili owionęło nas gorące powietrze i nad naszymi głowami przemknął cień. Skuliliśmy się jeszcze bardziej: niedaleko od nas, niecałe sto metrów nad powierzchnią rzeki, pojawił się czarny śmigacz Paxu. Aerodynamiczna maszyna ostro zanurkowała, a potem przemknęła ponad statkami, które przepływały pod łukiem transmitera. Ruch w miejscu, gdzie kanał się rozszerzał, był spory: zgrabne łodzie sportowe, o załogach liczących od czterech do dwunastu osób, mijały się z błyszczącymi motorówkami, za którymi woda pieniała się w kilwaterze; kajaki i jednoosobowe żaglóweczki śmigały wśród niezgrabnych dżonek z kwadratowymi żaglami; stateczne łodzie mieszkalne wolno poruszały się pod prąd; kilka cichych, elektrycznych poduszkowców rozsiewało wokół siebie mgiełkę rozpylonej wody, dostrzegłem też parę tratw, które przypomniały mi eskapadę z Eneą i A. Bettikiem.

Czarny pojazd przeleciał nisko nad tym tłumem, przeskoczył nad transmitterem na południe, zawrócił, śmignął dołem w drodze powrotnej i zniknął, kierując się ku Lock Childe Lamonde.

— Chodźmy - poleciał Alem Mikail i zwinął skrywającą nas płachtę. Zaczął mocować się z kajakiem. - Musimy się spieszyć.

Owiała nas następna fala rozpalonego powietrza, później chłodniejszy powiew poderwał tumany piachu nad brzegiem wody, drzewiaste paprocie zaszeleściły, niebo zaś najpierw spurpurowiało, a potem zupełnie szerniało. Pojawiły się gwiazdy. Zerknąłem do góry w samą porę, by dostrzec perełkowatą słoneczną koronę, otaczającą jeden z księżyców, oraz ognisty dysk drugiego, krążącego po niższej orbicie.

Z północy, z rozciągniętego w długą kreskę miasta, którego część stanowiło Lock Childe Lamonde, doleciał nas najbardziej przejmujący

i żalony dźwięk, jaki zdarzyło mi się słyszeć: przeciągłe zawodzenie, dobywające się z ludzkich gardeł, z którym wycie syren nie mogłoby się równać i któremu zawtórował głęboki, coraz niższy ton, ciągnący się w nieskończoność i przechodzący w infradźwięki. Dotarło do mnie, że jego źródłem ją setki - a może nawet tysiące - rogów, do których dołączył chór tysięcy, jeśli nie dziesiątków tysięcy, ludzkich głosów.

Otoczająca nas ciemność pogłębiła się i gwiazdy rozbłysły jeszcze jaśniej. Tarcza niższego księżycyca upodobniła się do gigantycznej, podświetlonej od tyłu kopuły, która lada moment może spaść na skryty w mroku świat. Rozproszone na wodzie statki i łodzie przyłączyły się do chóru włączając własne syreny i klaksony - kakofonia w niczym nie przypominała harmonijnego zaśpiewu z początku spektaklu - a potem w niebo strzeliły race i fajerwerki: wielobarwne rozgwiazdy, ryczące, wirujące koła, czerwone flary na spadochronach, przeplatające się pasma żółtego, niebieskiego, zielonego, czerwonego i białego ognia - czyżby Widmowa Helisa?

— Pośpieszmy się - ponaglił mnie Alem i ściągnął kajak z wiatroweru. Zeskoczyłem, żeby mu pomóc, ściągnąłem opończę i wrzuciłem ją na tył pojazdu. Następną minutę wypełniło kontrolowane zamieszanie, kiedy Dem Ria, Dem Loa, Ces Ambre, Bin i ja pomagaliśmy Alemowi i jego bezimiennemu towarzyszkowi znieść łódeczkę nad rzekę i ją zwodować. Stałem po kolana w ciepłej wodzie, upchnąłem w maleńkim kokpicie plecak i kartaczożnicę, przytrzymałem kajak i obejrzałem się na dwie kobiety, dwoje dzieci i dwóch mężczyzn w wydętych wiatrem burnusach.

— Co będzie z wami? - zapytałem. W plecach wciąż czułem wspomnienie kamienia nerkowego, ale na razie znacznie więcej przykrości sprawiało mi ściśnięte żalem gardło.

Dem Ria pokręciła głową.

— Nic złego się nam nie stanie, Raulu Endymionie. Gdyby władze Paxu chciały sprawiać problemy, znikniemy w tunelach pod Pustkowiec Wahhabi do czasu, aż będziemy mogli przyłączyć się do Widma w innym miejscu. - Uśmiechnęła się i poprawiła zsuwającą się z ramienia opończę. - Obiecuj nam coś, Raulu Endymionie.

— Zrobię co w mojej mocy, o cokolwiek poprosicie.

— Jeśli będziesz miał okazję, poproś Tę, Która Naucza, żeby wróciła z tobą na Vitus-

Gray-Balianusa B i odwiedziła Widmową Helisę Amoiete'a. Postaramy się do tego czasu nie nawrócić na paksowską odmianę chrześcijaństwa.

Skinąłem głową, spojrzałem na ogoloną głowę Bin Ria Dem Loa Alema, na targane wiatrem poły czerwonej szaty, ściągnięte po chemioterapii policzki i oczy błyszczące podnieceniem, a nie tylko odblaskiem fajerwerków.

— Dobrze - odparłem. - Jeżeli będzie to możliwe, zrobimy tak.

I wtedy wszyscy mnie dotknęli. Nie podali mi ręki na pożegnanie, lecz po prostu dotknęli - mojej kamizelki, ramienia, twarzy, pleców. Odpowiedziałem im tym samym, skierowałem dziób kajaka w dół rzeki i wdrapałem się do kokpitu. Wiosło tkwiło w uchwycie na kadłubie, tak jak je zostawiłem. Uszczelniłem fartuch, na wypadek, gdybym za chwilę miał napotkać spienione bystrza i, chowając pistolet, obiłem się ręką o plastikową osłonę guzika awaryjnego - właściwie skoro teraz nie wpadłem w panikę i go nie użyłem, nie bardzo wiedziałem, jakie mogą być gorsze chwile. Złapałem wiosło w lewą dłoń i wolną ręką pomachałem na pożegnanie. Sześć postaci wtopiło się w cień paproci, gdy kajak wyskoczył na środek kanału.

Transmitter rósł mi w oczach. Na niebie pierwszy księżyc zsuwał się właśnie ze słonecznej tarczy, ale drugi, większy, zasłonił oboje. Fajerwerki i zawodzenie syren nie ustawały, ba, szaleństwo nawet się

nasiliło. Powiosłowałem bliżej prawego brzegu, starając się ukryć wśród kierujących się na południe drobnych łódeczek, a zarazem nie zbliżyć zanadto do żadnej z nich.

Jeżeli mają mnie zatrzymać, to właśnie tutaj, pomyślałem i bez dalszego namysłu wyjąłem pistolet na wierzch. Wpadłem w główny nurt, mogłem więc spokojnie odłożyć wiosło i czekać, aż wpłynę pod portal. Wyglądało na to, że żadna inna łódź nie znajdzie się tam razem ze mną. Nade mną czarny transmiter odcinał się od rozgwieżdżonego nieba.

Nagle niespełna dwadzieścia metrów ode mnie, na brzegu, wybuchło zamieszanie.

Podniosłem pistolet i patrzyłem, nie bardzo wiedząc co widzę i słyszę.

Dwie eksplozje, niczym przy przekraczaniu bariery dźwięku. Stroboskopowe błyski światła.

Znów fajerwerki? Ale nie, tym razem błyski były o wiele jaśniejsze. Strzały z broni energetycznej? Za jasne; za mało zogniskowane. Miałem raczej wrażenie, że tuż obok wybuchają małe ładunki plazmowe.

Wtedy dostrzegłem coś - dosłownie przez ułamek sekundy, bardziej jako utrwalony na siatkówce powidok niż rzeczywisty obraz: dwie postaci splecione w uścisku, widoczne jak na negatywie starożytnej fotografii, potem gwałtowny ruch, kolejny grzmot i błysk bieli, który oślepił mnie, zanim jeszcze mój mózg zdołał zarejestrować obraz - ostrza, kolce, dwie zderzające się głowy, sześcioro młóćących niczym cepy ramion, iskry, postać ludzka, i druga, większa, odgłos dartego metalu, krzyk głośniejszy niż zawodzące za moimi plecami syreny. Fala uderzeniowa przemknęła po rzece, marszcząc powierzchnię wody, o mały włos nie wywróciła mnie i pomknęła dalej w mgiełce rozpylonych kropel.

Wpłynąłem pod transmiter. Nastąpił błysk i zakreśliło mi się w głowie - te uczucia już znałem - po czym otoczyła mnie powódź jasnego światła, oślepiając mnie jak lampa błyskowa. Zacząłem spadać.

Naprawdę spadać. Koziółkowałem w powietrzu. Fragment rzeki, który został przeniesiony razem ze mną, zmienił się w mały wodospad, a kajak po prostu zaczął lecieć w dół. W panice wrzuciłem pistolet do kokpitu i zacisnąłem dłonie na krawędziach burt, przez co moja łódeczka zaczęła szaleć jeszcze bardziej.

Mrugałem bez przerwy, starając się wypędzić spod powiek powidoki i dostrzec, jak daleko przyjdzie mi spadać. Kajak przechylił się dziobem naprzód i zaczął rozpędzać.

Błękitne niebo. Dookoła chmury - ogromne stratocumulusy, wznoszące się tysiące metrów nade mną i niknące tysiące metrów w dół, wyżej cirrusy, a daleko pode mną czarne chmury burzowe.

Widziałem tylko niebo i spadałem prosto w jego objęcia. Mój wodospad porozdzielał się na pojedyncze krople wody, ogromne łyzy, jakby ktoś wlał jednocześnie sto wiader wody w bezdenną czelusć.

Kajak kręcił się i bałem się, że za chwilę przekoziółkuje przez dziób. Przesunąłem się więc trochę do tyłu, omal przy tym nie wypadając; tylko skrzyżowane po turecku nogi i delikatny wodoszczelny fartuch utrzymały mnie na miejscu.

Trzymałem się krawędzi kokpitu tak mocno, że knykcie mi zbielały. Lodowate powietrze świszczało mi w uszach, gdy stopniowo osiągałem graniczną prędkość spadania. Tysiące metrów pustych przestworzy dzieliły mnie od rozdzieranych piorunami chmur w dół. Podwójne wiosło wyskoczyło z uchwytu i poleciało w swoją stronę.

Zrobiłem wówczas jedyną rzecz, jaka mi w tej sytuacji pozostała: otworzyłem usta i zacząłem krzyczeć.

Kenzo Isozaki mógł śmiało stwierdzić, że nigdy niczego się nie bał. Wychował się w rodzinie biznes-samurajów na jednej z wysepek na Fuji i od dziecka uczono go, że należy gardzić strachem i ludźmi, którzy mu się poddają. Isozaki pozwalał sobie na ostrożność, która z czasem stała się dlań niezastąpionym narzędziem w interesach, natomiast strach był emocją obcą jego naturze i starannie ukształtowanej osobowości.

Aż do tej chwili.

Cofnął się, gdy wewnętrzne drzwi śluzy zaczęły się otwierać. Coś, co czekało, żeby wejść na pokład statku, przed chwilą znajdowało się na powierzchni pozbawionej atmosfery asteroidy. Bez skafandra ciśnieniowego.

Isozaki postanowił nie zabierać broni na pokład skoczka. W momencie gdy z otwierającej się śluzy buchnęła chmura lodowych kryształków, z której wynurzyła się ludzka postać, Kenzo zaczął się zastanawiać, czy postąpił właściwie.

Postać rzeczywiście była ludzka... przynajmniej z wyglądu: opalona skóra, elegancko przycięte siwe włosy, bieluteńkie zęby, idealnie skrojony szary garnitur i takiegoż koloru oczy, przesłonięte rzęsami, na których jeszcze perlił się lód.

— M. Isozaki - rzekł radca Albedo.

Isozaki się uklonił. Udawało mu się kontrolować bicie serca i oddech, skupił się więc na tym, by jego głos brzmiał równo i nie zdradzał emocji:

— To bardzo miłe z pańskiej strony, że zdecydował się pan przyjąć moje zaproszenie.

Albedo skrzyżował ramiona na piersi. Uśmiech nie zniknął z jego sniadej twarzy, ale Isozaki wiedział, że nie może dać mu się zwieść.

W morzu wokół wysp na Fuji aż roiło się od rekinów, przywiezionych w postaci embrionów na statkach kolonizacyjnych i odtworzonych na podstawie zapisów DNA.

— Zaproszenie? - zapytał radca Albedo swobodnym głosem. - Czy raczej wezwanie?

Isozaki nie podniósł głowy. Ręce miał spuszczone swobodnie po bokach.

— W żadnym wypadku wezwanie, M....

— Wydaje mi się, że wie pan, jak się nazywam.

— Jeśli wierzyć plotkom, jest pan tym samym radcą Albedo, który przed prawie trzystu laty współpracował z Meiną Gladstone, szlachetny panie - rzekł przewodniczący Pax Mercantilus.

— Wtedy byłem bardziej hologramem niż rzeczywistą osobą - odparł Albedo i opuścił ręce. - Chociaż... osobowość... jest ta sama. I proszę mnie nie nazywać „szlachetnym panem”.

Isozaki pokłonił się nieco głębiej.

Albedo wszedł do kabiny maleńkiego skoczka. Przesunął palcami po pulpicie sterowniczym, pojedynczej leżance i krawędzi pustego zbiornika akceleracyjnego.

— To raczej skromny stateczek, jak na tak wpływową osobę - zauważył Albedo.

— Uznałem, że najważniejsze będzie zachowanie dyskrecji, radco. Czy mogę się tak do pana zwracać?

Albedo nie odpowiedział, lecz uczynił szybki, gwałtowny krok i stanął twarzą w twarz z Isozakim. Przewodniczący ani drgnął.

— Czy również aktem dyskrecji było, w pańskim mniemaniu, wpuszczenie do prymitywnej datasfery Pacem wirusa telotakcyjnego, który miał za zadanie odszukać sploty należące do TechnoCentrum? - Głos Albedo zadudnił w niedużej kabinie.

Kenzo Isozaki spojrzał wyższemu mężczyźnie prosto w oczy.

— Tak, radco. Gdyby Centrum wciąż istniało, uznałem za konieczne podjąć... w imieniu Mercantilusa, oczywiście... próbę nawiązania osobistego kontaktu. Telotaks został tak zaprogramowany, by ulec autodestrukcji w wypadku wykrycia przez paksowskie programy antywirusowe. Miał zareagować tylko w razie odebrania stuprocentowo pewnego sygnału z Centrum.

Albedo wybuchnął śmiechem.

— Pański udający Sztuczną Inteligencję wirus był mniej więcej równie subtelnym pomysłem, jak gówno w wazie z ponczem, Isozakisan.

Przewodniczący Mercantilusa nie zdołał do końca ukryć zdumienia, wywołanego ostrymi słowami Albedo.

Gość położył się tymczasem na leżance akceleracyjnej, przeciągnął i powiedział:

— Usiądź, przyjacielu. Zadałeś sobie wiele trudu, żeby nas znaleźć. Zaryzykowałeś tortury, ekskomunikę, egzekucję i utratę miejsca parkingowego w Watykanie. Chciałeś porozmawiać... Mów zatem.

Wytrącony chwilowo z równowagi Isozaki rozejrzał się za kawałkiem wolnej przestrzeni, który mógłby mu posłużyć za krzesło. Wreszcie przysiadł na skraju tablicy nawigacyjnej. Nie znosił nieważkości i nastawił prymitywne wewnętrzne pole siłowe na symulację jednego g, efekt jednak okazał się na tyle niepewny, że przewodniczący wciąż miał wrażenie, że lada moment zacznie mu się kręcić w głowie. Odetchnął głęboko i zebrał myśli.

— Służycie Watykanowi... - zaczął.

— Centrum nie jest niczym sługą - przerwał mu natychmiast Albedo.

Isozaki jeszcze raz nabrał powietrza w płuca. Spróbował jeszcze raz:

— Interesy TechnoCentrum i Watykanu są dziś na tyle zbieżne, że Centrum służy Paxowi radą i udostępnia technikę, bez której Pax nie

mógłby przetrwać...

Radca Albedo uśmiechnął się tylko.

Za to, co za chwilę powiem, Jego Świątobliwość rzuci mnie na pożarcie Wielkiemu Inkwizytorowi. Będę cierpiał przez setki lat, myślał Isozaki, mówiąc dalej:

— Niektórzy spośród członków Rady Nadzorczej Pan-kapitalistycznej Ligi Niezależnych Katolickich Międzygwiazdnych Organizacji Handlowych sądzą, iż interesy Ligi i Centrum mogą mieć więcej wspólnego niż cele Centrum i Watykanu. Uważamy, że... bliższe zapoznanie się z owymi zbieżnościami byłoby wysoce korzystne dla obu stron.

Radca uśmiechnął się jeszcze szerzej. Wciąż milczał.

Czując na skórze szorstkość sznura, z którego plecie sobie pętlę na szyję, Isozaki kontynuował:

— Od blisko trzech stuleci Kościół i cywilne władze Paxu utrzymują oficjalnie, iż TechnoCentrum uległo zagładzie podczas Upadku, kiedy zniszczono transmitery. Miliony ludzi sprawujących władzę w całym kosmosie Paxu słyszały jednak, że Centrum przetrwało...

— Plotki o naszej śmierci należy uznać za mocno przesadzone - przyznał Albedo. - Co z tego wynika?

— W pełni rozumiemy, że przymierze Centrum i Watykanu jest cenne dla obu zainteresowanych stron, radco. Liga chciałaby jednak zaproponować pewne mechanizmy, dzięki którym podobny układ z naszą organizacją handlową mógłby przynieść pańskiej... hmm, wspólnocie... korzyści bardziej wymierne i bezpośrednie.

— Słucham, Isozakisan. - Radca Albedo wyciągnął się jeszcze wygodniej na leżance pilota.

— Po pierwsze - zaczął Isozaki pewniejszym głosem - Pax Mercantilus rozwija się w taki sposób i na taką skalę, o jakich żadna organizacja religijna, nawet ściśle hierarchiczna i powszechnie

akceptowana, nie może marzyć. W całym Paksie kapitalizm znów staje się dominującą siłą, prawdziwym spoiwem łączącym setki światów.

Po drugie, Kościół toczy niekończącą się wojnę z Intruzami, jak również z elementami rewolucyjnymi w obrębie strefy wpływów Paxu. Pax Mercantilus uważa tego rodzaju konflikty za stratę energii oraz bezcennych zasobów ludzkich i materialnych. Co więcej, TechnoCentrum jest przy okazji mieszane do ludzkich sporów, które ani nie służą jego interesom, ani nie przybliżają go do realizacji jego celów.

Po trzecie: mimo że Kościół i Pax korzystają z wynalazków Centrum, takich jak błyskawiczny napęd Gedeona i komory zmartwychwstańcze, Centrum nie może liczyć na ich jawną wdzięczność w tym względzie. Ba, miliardom wiernych Kościół nadal przedstawia Centrum jako wroga, którego należało unicestwić, gdyż sprzymierzył się z szatanem. Pax Mercantilus nie czuje potrzeby odwoływania się do tego rodzaju uprzedzeń i sztuczek. Gdyby Centrum, sprzymierzywszy się z nami, uznało za stosowne nadal pozostać w ukryciu, jego wola zostałaby uszanowana. Bylibyśmy jednak gotowi w każdej chwili przedstawić TechnoCentrum jako oficjalnego, cenionego partnera, jeśli taka byłaby jego decyzja. Z pewnością jednak Liga dołożyłaby starań, by na zawsze wyplenić z historii, tradycji i ludzkich umysłów przekonanie o rzekomo demonicznej naturze i przeszłości Centrum.

Radca Albedo sprawiał wrażenie pogrążonego w myślach. Długą chwilę patrzył przez iluminator na wyczyniającą dzikie harce asteroidę.

— Zatem możecie uczynić nas bogatymi i szanowanymi jednocześnie? - zapytał.

Kenzo Isozaki nie odpowiedział. Czuł, że jego przyszłość i równowaga sił w rządzonej przez ludzi wszechświecie zawisły na cieniuteńkiej niteczce. Nie potrafił rozszyfrować Albedo - sarkazm,

z jakim obnosił się radca, mógł stanowić tylko przygrzywkę do negocjacji.

— A co mielibyśmy zrobić z Kościołem? - spytał Albedo. - I naszą trwającą ponad dwieście pięćdziesiąt ludzkich lat tajną współpracą?

Isozaki siłą woli zmusił własne serce do zwolnienia rytmu.

— Nie chcielibyśmy zaszkodzić żadnemu związkowi, który Centrum uważa za użyteczny bądź opłacalny - wyjaśnił cicho. - My, w Lidze, jesteśmy ludźmi interesu i dostrzegamy ograniczenia społeczności międzygwiazdnej opartej na religii. Dogmatyzm i hierarchiczność są z tego rodzaju organizmami nierozłącznie związane... Więcej, stanowią istotę każdej teokracji. Ponieważ zależy nam na tym, by nasze układy przynosiły korzyści zarówno nam samym, jak i naszym partnerom, widzimy możliwość współpracy z Centrum na wyższym poziomie, która to współpraca, nawet utajniona i ograniczona, byłaby satysfakcjonująca dla obu stron.

Radca skinął głową.

— Isozakisan, czy przypomina pan sobie pewną rozmowę w pańskim prywatnym biurze w Torusie? Kiedy poprosił pan Annę Pełli Cognani, żeby się rozebrała?

Tylko najwyższym wysiłkiem woli Isozaki zdołał zachować obojętny wyraz twarzy. Świadomość, że Centrum podgląda go w biurze i nagrywa wszystkie transakcje, zmroziła mu krew w żyłach.

— Zastanawiał się pan wtedy - ciągnął Albedo - dlaczego pomogliśmy Kościołowi dopracować krzyżokształt. „Ale po co?“, zapytał pan chyba. „Jaka z tego korzyść dla Centrum?“

Isozaki obserwował mężczyznę w szarym garniturze, ale przede wszystkim czuł się tak, jakby zamknięto go w maleńkim skoczku sam na sam z kobrą, która właśnie się obudziła i rozłożyła kaptur.

— Miał pan kiedyś psa, Isozakisan? - zagadnął Albedo.

Przewodniczący Mercantilusa, wciąż widząc przed sobą kobrę, nie od razu zdobył się na odpowiedź.

— Psa? - powtórzył po chwili. - Nie. Nie na własność. Na mojej planecie psy rzadko się spotykało.

— Ach, prawda. - Albedo znów odsłonił białe zęby w uśmiechu. - Na pańskiej wyspie woleliście trzymać rekiny. Sam miał pan młodą sztukę, którą w wieku sześciu lat usiłował pan obłaskawić. Jeśli sienie myślę, nazwał ją pan Keigo.

W tym momencie Isozaki nie zdołałby wykrztusić słowa, nawet gdyby miało od tego zależeć jego życie.

— Jak udawało się panu powstrzymać dorastającego rekina, żeby pana nie pożarł, gdy pływaliście razem w lagunie Shioko, Isozakisan?

— Obroza - wydusił z najwyższym wysiłkiem Isozaki.

— Słucham? - Radca Albedo pochylił się bliżej.

— Obroza - powtórzył przewodniczący. Na obrzeżach pola widzenia tańczyły mu małe, idealnie czarne plamy. - Obroza elektryczna. Musieliśmy nosić ze sobą nadajniki. Takie same, jak nasi rybacy.

— Rzeczywiście - przyznał uśmiechnięty Albedo. - Kiedy zwierzątko stawało się niegrzeczne, przywoływał je pan do porządku. Jednym ruchem palca.

Albedo wyciągnął do przodu rękę i stulił dłoń, jakby trzymał w niej niewidzialny przekaźnik. Palcem drugiej ręki wcisnął niewidzialny guzik.

To było coś więcej niż porażenie prądem. Po ciele Kenzo Isozakiego rozpląnęły się fale czystego, niczym nie zmaconego bólu, emanujące z jego piersi, z wtopionego w skórę, ciało i kości krzyżokształtu. Rozchodziły się jak sygnały telegrafu po mierzających setki metrów włóknach, niteczkach i węzłach tkanki krzyżokształtu, niczym komórki rakowe w metastazie.

Isozaki krzyknął i zgiął się wpół. Upadł na podłogę kabiny.

— Jeśli dobrze pamiętam, to oddziaływanie nadajnika można było wzmocnić, gdyby Keigo stał się agresywny - zastanawiał się na głos radca Albedo. - Mam rację, Isozakisan? - I ponownie stuknął palcem w puste wnętrze dłoni.

Ból się nasilił. Isozaki nie zdołał powstrzymać uwolnienia w skafander zawartości pęcherza; prawdopodobnie opróżniłby również jelita, gdyby cokolwiek się w nich znajdowało. Chciał jeszcze raz krzyknąć, ale szczęki zacisnęły mu się kurczowo, jakby chwycił go atak tęcza; szkliwo na zębach popękało i zaczęło kawałkami odpadać; w ustach poczuł smak krwi, kiedy przygryzł sobie koniuszek języka.

— W skali od jednego do dziesięciu dla Keigo doszliśmy mniej więcej do dwójki - stwierdził Albedo. Wstał z leżanki i podszedłszy do śluzu wprowadził kod otwarcia.

Isozaki wił się na podłodze w mękach, wciąż usiłując krzyżeć. Jego ciało i umysł przeobraziły się w bezużyteczne dodatki do krzyżokształtu, z którego wypływał ból, docierając do wszystkich zakamarków jego istoty. Oczy prawie wychodziły mu z orbit, krew płynęła z nosa i uszu.

Otworzył śluzę, Albedo jeszcze raz dotknął nie istniejącej klawiatury.

Ból ustąpił. Isozaki zwymiotował na pulpit. Mięśnie drżały i napinały się w przypadkowym rytmie, sterowane nerwami, nad którymi nie mógł zapanować.

— Przedstawię pańską propozycję Trzem Elementom TechnoCentrum - oznajmił oficjalnie Albedo. - Zostanie ona dogłębnie rozważona i przedyskutowana. Tymczasem, przyjacielu, liczymy na pańską dyskrecję.

Isozaki usiłował wydać jakiś zrozumiały dźwięk, ale tylko skulił się i jeszcze raz zwymiotował na metalową posadzkę. Z przerażeniem

stwierdził, że z jego wijących się w skurczach wnętrzości gwałtownie dobywają się wiatry.

— I nie będzie więcej wirusów telotakcyjnych w datasferach, prawda, Isozakisan? Ani na Pacem, ani nigdzie indziej? - Z tymi słowy Albedo wszedł do śluzu i zamknął za sobą drzwi.

Za oknem zryta kraterami, nie nazwana asteroida koziółkowała i wirowała w próżni, posłuszna prawom dynamiki, które znają tylko bogowie matematyki chaosu.

Lecąca lądownikiem Rhadamanth Nemes z trójką rodzeństwa w kilka minut pokonała dystans dzielący bazę Bombasino od Lock Childe Lamonde na spękanej, pustynnej planecie Vitus-Gray-Balianus B. Trochę zamieszania powodowały tylko trzy wojskowe śmigacze, które ten wścibski idiota, komandor Solznykov, wysłał w charakterze eskorty. Nemes podsłuchiwała na „bezpiecznym” kanale, łączącym śmigacze z bazą, że na miejscu operacją ma pokierować niezbyt rozgarnięty pułkownik Vmara, adiutant Solznykova. Wiedziała również, że w rzeczywistości Vinara niczym nie pokieruje: był tak obwieszony holokamerami i nadajnikami, że komandor będzie mógł osobiście dowodzić żołnierzami, nie pokazując się w Lock Childe Lamonde.

Kiedy lądownik zaczął zataczać koła nad wioską, śmigacze dogoniły go i zniżyły lot. Określenie „wioska” brzmiało trochę zanadto oficjalnie w odniesieniu do czterech rzędów glinianych chałup, rozstawionych wzdłuż zachodniego brzegu rzeki; podobne osiedla ciągnęły się praktycznie od samego Bombasino. Nemes rozglądała się za wystarczająco obszernym i twardym lądowiskiem.

Drzwi domostw lśniły w promieniach słońca głównymi kolorami widzialnego spektrum; kręcący się po ulicach ludzie nosili stroje w identycznych barwach. Nemes знаła źródło tych zwyczajów - zapoznała się zarówno z informacjami w komputerze pokładowym

„Rafaela”, jak i z zaszyfrowanymi plikami na temat Widmowej Helisy, przechowywanymi w bazie Paxu. Interesowało ją tylko jedno: kolorowo odziani dziwacy niechętnie nawracali się na wiarę krzyża, a z jeszcze mniejszą sympatią odnosili się do zwierzchnictwa Paxu. Inaczej mówiąc - istniało znaczne prawdopodobieństwo, że pomogą zbuntowanemu dziecku, mężczyźnie i jednorękiemu androidowi ukryć się przed przedstawicielami władz.

Śmigacze wylądowały na drodze biegnącej na nasypie wzdłuż kanału; Nemes posadziła statek w parku, demolując przy okazji studnię artezyjską.

Gyges obrócił głowę w jej stronę i uniósł pytająco brwi.

— Scylla i Briareus udają się na oficjalne poszukiwania - powiedziała Nemes. - Ty zostajesz ze mną.

Bez śladu dumy czy próżności zauważyła, że rodzeństwo dawno już podporządkowało się jej rozkazom, mimo groźby, jaką przekazali jej od Trzech Elementów i jaka niewątpliwie zostałyby zrealizowana, gdyby znów zawiodła swoich przełożonych.

Druga kobieta i jeden z mężczyzn zeszli po rampie i zaczęli się przeciskać przez wielobarwny tłum. Żołnierze w bojowych pancerzach, ze spuszczoneymi wizjerami, wybiegli im na spotkanie. Śledząca rozwój wydarzeń na otwartym kanale optycznym Nemes rozpoznała dobiegający z jednego z hełmów głos Vinary:

— Burmistrz, kobieta nazwiskiem Ses Gia, twierdzi, że nie mamy prawa robić rewizji w domach.

Nemes dostrzegła wyraz pogardy na twarzy Briareusa, odbijającej się w lustrzanym wizjerze hełmu pułkownika; miała wrażenie, że ogląda własne odbicie w lustrze, może tylko z nieco silniej zarysowanymi kośćmi policzkowymi.

— Pozwalacie, żeby ta... burmistrz... wam rozkazywała? - zapytał Briareus.

Vinara podniósł dłoń w rękawicy.

— Pax uznaje prawo tubylców do samorządności. Do czasu, aż planeta... stanie się częścią Protektoratu.

— Mówił pan, że doktor Molina zostawiła przy więźniu strażnika... - wtrąciła Scylla.

Pułkownik skinął głową. Z głośników hełmu dobiegał wzmocniony odgłos jego oddechu.

— Zniknął bez śladu. Od chwili opuszczenia bazy próbujemy nawiązać z nim kontakt.

— Nie miał wszczepionego chipu lokalizacyjnego?

— Nie. Chip jest wtopiony w pancerz.

— I co?

— Znaleźliśmy pancerz w studni, dwie przecznice stąd.

— Rozumiem, że nie było w nim strażnika - głos Scylli nawet nie zadrżał.

— Nie - odparł pułkownik. - To tylko pancerz i hełm. Nie znaleźliśmy ciała.

— Szkoda - stwierdziła Scylla. Już miała się odwrócić plecami do Vinary, gdy postanowiła go jeszcze o coś zapytać: - Tylko pancerz, tak? A broń?

— Nic z tego - odrzekł ponuro Vinara. - Kazałem przeszukać okolicę. Będziemy wypytywać mieszkańców, aż któryś wskaże nam dom, gdzie doktor Molina aresztowała dezertera. Otoczymy go i każemy się poddać wszystkim, którzy będą w środku. Poprosiłem już cywilne władze w Bombasino o wydanie nakazu rewizji.

— Znakomity plan, pułkowniku - przyznał Briareus. - Żeby tylko lodowce za bardzo się nie pospieszyły i nie zalały wioski, zanim nakaz do nas dotrze.

— Lodowce? - zdziwił się Vinara.

— Mniejsza z tym - uspokoiła go Scylla. - Jeżeli się pan zgodzi, włączymy się do poszukiwań i razem z panem będziemy oczekiwać pozwolenia na wejście do domów.

— Co teraz? - nadała na wewnętrznym kanale do Nemes.

— Zostańcie z nim i róbcie dokładnie to, co zaproponowałam. Bądźcie grzeczni i posłuszni. Nie możemy dopaść Endymiona ani dzieciaka, dopóki ludzie Vinary się tu kręcą. Gyges i ja przechodzimy w nadczas.

— Pomyślnych łowów - włączył się Briareus.

Gyges czekał na nią przy słuzie.

— Ja idę do miasteczka - powiedziała Nemes. - Ty pilnuj transmitera w dole rzeki. Nic nie może się przez niego prześliznąć, ani na południe, ani na północ, bez twojej wiedzy. Przy wysyłaniu komunikatów wychodź z nadczasu; będę okresowo sprawdzać wspólne pasmo. Gdybyś znalazł Endymiona albo dziewczynkę, nadaj pojedynczy impuls.

Łączność na wspólnym kanale była możliwa nawet w przeskoaku fazowym, wymagałaby jednak tak ogromnej ilości energii - znacznie przekraczającej i tak niewyobrażalne zasoby niezbędne do dokonania przejścia fazowego - że o wiele bardziej opłacało się od czasu do czasu wychodzić z nadczasu i kontrolować pasmo. Już sam jedno-

impulsowy alarm zużywał tyle energii, co Vitus-Gray-Balianus B przez cały rok.

Gyges pokiwał głową i oboje równocześnie dokonali przeskoaku, upodabniając się do chromowych posągów nagiego mężczyzny i kobiety. Powietrze na zewnątrz śluzy zgęstniało, światło nabrało głębszych odcieni, dźwięki zniknęły, wszelki ruch zamarł. Postaci ludzi rozmazały się lekko, targane wiatrem poły szat zastygły niczym stroje posągów z brązu.

Nemes nie rozumiała fizycznych podstaw przeskoaku fazowego - nie było jej to potrzebne. Wiedziała tylko, że nie chodzi tu ani o antyentropiczną, ani o hiperentropiczną manipulację czasem, mimo iż w przyszłości Najwyższy Intellect miał do dyspozycji obie te techniki. Nie mogło też być mowy o jakimś „przyspieszeniu”, z którym wiązałyby się grzmoty uderzeniowych fal dźwiękowych i rozpalone od tarcia powietrze. Przesunięcie w fazie przypominało w pewnym sensie przejście w głąb wydrążonych, pustych granic czasoprzestrzeni. Jak stwierdził jeden z bytów Centrum, najbardziej odpowiedzialny za stworzenie Nemes: „Staniecie się, w najprzyjemniejszym rozumieniu tego słowa, szczurami buszującymi w ścianach komnat czasu”.

Nemes bynajmniej nie czuła się urażona tym porównaniem. Zdawała sobie sprawę z ogromu mocy, jaką musiało przekazywać jej Centrum za pośrednictwem Pustki, Która Łączy, za każdym razem, gdy dokonywała przesunięcia w fazie. Trzy Elementy musiały szanować swoje nowe instrumenty, skoro poświęcały im tyle uwagi.

Dwie lśniące postaci zbiegły z rampy lądownika i ruszyły w przeciwnych kierunkach: Gyges udał się na południe, w stronę transmitera, Nemes zaś minęła zastygłych w bezruchu Scyllę, Briareusa, żołnierzy Paxu i obywateli Widmowej Helisy i pomknęła do miasteczka.

Nie tracąc ani chwili - dosłownie - znalazła dom, w którym przykuty do łóżka w narożnej sypialni leżał śpiący żołnierz Paxu. Okna pokoju wychodziły na kanał. Przeszukała ściągnięte z bazy Bombasino pliki, żeby zidentyfikować strażnika: był leniwym, pozbawionym ikry alkoholikiem z Lususa, nazywał się Gerrin Pawtz i miał trzydzieści osiem lat standardowych. Brakowało mu dwa lata do emerytury, miał na swoim koncie sześć degradacji, trzy odsiadki oraz zesłanie do służby w garnizonie Paxu z przeznaczeniem do wykonywania najprostszyc

obowiązków. Nemes wykasowała pliki: strażnik zupełnie jej nie interesował.

Sprawdziła, czy dom jest pusty, wyszła z nadczasu i stanęła pośrodku sypialni. Wrócił ruch i dźwięki: usłyszała chrapanie Luzyjczyka, kroki przechodniów na ścieżce wzdłuż kanału, jazgot odległego ruchu ulicznego, chrzęst pancerzy ludzi Paxu, którzy na próżno przeszukiwali okoliczne uliczki. Poczła leciutki wietrzyk, poruszający białymi zasłonkami.

Stanęła nad śpiącym strażnikiem i wycelowała palec wskazujący w jego szyję. Spod jej paznokcia wysunęła się dziesięciocentymetrowa igła, która delikatnie przebiła skórę mężczyzny. Tylko maleńka kropelka krwi znaczyła miejsce ukłucia. Żołnierz się nie obudził.

Nemes wyciągnęła igłę i przeprowadziła szybką analizę pobranej krwi: niebezpieczny poziom C27H45OH - u Luzyjczyków często występowało ryzyko podwyższonego poziomu cholesterolu; niewielka liczba trombocytów, sugerująca plamicę małopłytkową, nabytą zapewne w pierwszym okresie służby, na odznaczających się wysokim poziomem promieniowania planetach, gdzie często stacjonowały garnizony Paxu; zawartość alkoholu na poziomie stu dwudziestu dwóch miligramów w stu centymetrach sześciennych krwi - żołnierz był pijany, chociaż alkoholowa przeszłość pozwalała mu zapewne skutecznie ukrywać ten fakt; poza tym - voila! - syntetyczny opioid, zwany ultramorfiną, i podwyższona zawartość kofeiny. Nemes się uśmiechnęła: ktoś podał mu - w kawie bądź herbacie - usypiającą porcję ultramorfiny, bacząc przy tym, by nie przekroczyć progu, po którym narkotyk mógł okazać się śmiertelny.

Wciągnęła powietrze w nozdrza. Zdolność wykrywania i rozpoznawania unoszących się w powietrzu molekuł organicznych - czyli zmysł węchu - miała Nemes mniej więcej trzykrotnie wyższą, niż wynosiła rozdzielczość gazowego chromatografu masowego; krótko

mówiąc - nieco przewyższała pod tym względem najlepsze psy myśliwskie ze Starej Ziemi. Rozpoznała zapachy kilkorga ludzi, niektóre bardzo świeże, inne znacznie starsze. Zidentyfikowała alkoholowy odór Luzyjczyka, kilka delikatnych, piżmowych woni kobiecych, ślad dwojga dzieci - jedno dawno wkroczyło już w wiek dojrzewania, drugie było znacznie młodsze, ale cierpiało na raka i wymagało chemioterapii - oraz zapachy dwóch dorosłych mężczyzn: jeden zawierał charakterystyczne nuty, wynikające ze specyficznej diety mieszkańców tej planety, drugi zaś był zarazem obcy i znajomy. Obcy, ponieważ mieszał się z wonią planety, której Nemes nigdy nie odwiedziła; znajomy, gdyż raz już go zidentyfikowała i skatalogowała: należał do Raula Endymiona. Nieznana nuta zapachowa pochodziła ze Starej Ziemi.

Nemes przeszła się po pokojach, ale nigdzie nie wykryła choćby śladu znanego sprzed czterech lat, niezwykłego zapachu dziewczynki imieniem Enea ani antyseptycznej, androidziej woni jej służącego, A. Bettika. Tylko Raul Endymion odwiedził to miejsce - za to nastąpiło to całkiem niedawno.

Poszła za tropem do klapy w podłodze, nie bacząc na liczne zamki jednym szarpnięciem wyrwała ją z zawiasów i przystanęła u szczytu drabiny. Posłała komunikat na wspólnym kanale, nie odebrała jednak potwierdzenia od Gygesa, który prawdopodobnie nie wyszedł z nadczasu. Minęło zaledwie dziewięćdziesiąt sekund od chwili, gdy zeszli z pokładu lądownika. Nemes się uśmiechnęła: mogła mu dać znać pojedynczym impulsem, a on zjawiłby się przy niej, zanim serca Raula Endymiona i jego towarzyszy w tunelu zdążyłyby uderzyć dziesięć razy.

Ale Rhadamanth Nemes chciała samodzielnie wyrównać rachunki. Z uśmiechem na twarzy zeskoczyła na oddaloną o osiem metrów posadzkę oświetlonego tunelu.

Znów wciągnęła powietrze w nozdrza.. Oddzieliła przesycony adrenaliną zapach Endymiona od woni towarzyszących mu ludzi: uciekinier z Hyperiona był zdenerwowany, a w dodatku chory albo ranny - w jego pocie dawało się wyczuć ślad ultramorfiny. Z pewnością to właśnie jemu doktor Molina udzieliła pomocy, a potem ktoś podał przepisane mu środki przeciwbólowe stojącemu na straży Luzyjczykowi.

Nemes dokonała przeskoku w fazie i pobiegła tunelem, zalany nagle zgęstniałym światłem. Bez względu na to, jaką przewagę miał Raul Endymion i jego przyjaciele, teraz ich złapie. Z przyjemnością obciąłaby mu głowę w nadczasie - widzowie mieliby wrażenie, że egzekucji dokonała jakaś nadnaturalna siła - potrzebowała jednak informacji. Co nie znaczy, że Endymion musiał zachować przytomność. Najprościej byłoby oddzielić go od towarzyszy z Widmowej Helisy, otoczyć tym samym polem fazowym, z którego sama korzystała, wbić mu igłę w mózg, żeby nie mógł się ruszać, i przenieść do lądownika. Tam złożyliby go w komorze zmartwychwstańczej i odstawili szopkę z podziękowaniami dla pułkownika Vinary i komandora Solznykova za udzieloną pomoc, a Endymiona „przesłuchaliby” opuściwszy orbitę Vitus-Gray-Balianusa B: Nemes wprowadziłaby mu sondy wprost do mózgu i pobrała interesujące ich fragmenty RNA i strzępy wspomnień. Jeniec nie odzyskałby już przytomności - po zapoznaniu się z posiadanymi przez niego informacjami Nemes zabiłaby go i wyrzuciła ciało w kosmos. Głównym celem było znalezienie dziewczynki imieniem Enea.

Światła w tunelu zgasły.

Jestem w nadczasie, pomyślała Nemes. To niemożliwe. Nic nie dzieje się tak szybko.

Zatrzymała się. W korytarzu panował całkowity mrok; ani śladu promieniowania, które mogłaby wykorzystać we wzmacniaczach.

Przełączyła się na podczerwień i przeczesła korytarz z przodu i z tyłu: pusto. Otworzyła usta i krzyknęła krótko, uruchamiając sonar; odwróciła głowę i wysłała podobny sygnał w drugą stronę. Nic; ultradźwięki odbiły się od ścian zamykających tunel. Przekształciła otaczające ją pole i posłała w obu kierunkach impuls radaru głębokościowego. Korytarz był pusty, za to wszędzie dookoła ciągnęły się kilometry podobnych przejść. Trzydzieści metrów z przodu, za grubymi drzwiami z metalu, znajdował się podziemny garaż, a w nim kilka pojazdów i kilkunastu ludzi.

Wciąż pełna podejrzeń, Nemes na ułamek sekundy wyszła z nadczasu, żeby sprawdzić, jak to się stało, że w ciągu mikrosekundy pogasły lampy.

Postać stała tuż przed nią. Nemes miała niespełna jedną dziesięciotysięczną sekundy, żeby dokonać przejścia fazowego, zanim cztery kolczaste pięści uderzyły w jej ciało z siłą tysiąca kafarów. Impet ciosu odrzucił ją wstecz przez cały korytarz. Strzaskała prowadzącą na górę drabinę i wbiła się głęboko w kamienną ścianę tunelu.

Nadal otaczała ją ciemność.

W ciągu dwudziestu dni standardowych spędzonych na Marsie Wielki Inkwizytor znienawidził go bardziej, niż sądził, że mógłby znienawidzić samo piekło.

Powierzchnię Czerwonej Planety dzień w dzień smagały potężne burze piaskowe, simумы. Kardynał Mustafa wraz z liczącym dwadzieścia jeden osób personelem rozlokował się w pałacu gubernatora na skraju St. Malachy. Mimo że pałac ów był całkowicie hermetyczny, tłoczone do wnętrza powietrze poddawano dwukrotnej filtracji, w okna wstawiono pięćdziesiąt dwie warstwy pancernego plastiku, a zamiast drzwi zainstalowano prawdziwe śluzy powietrzne, marsjański pył i tam się wcisnął.

Kiedy rankiem John Domenico kardynał Mustafa brał prysznic, pył, który zebrał się w ciągu nocy na jego ciele, spływał rdzawymi strumyczkami błota; gdy służący pomagał mu się ubrać, w fałdach świeżo wypranych i odprasowanych szat i sutanny widniały już smugi czerwonego piasku; kiedy Mustafa zasiadał do śniadania - jadał samotnie, w prywatnej jadalni — ten sam piasek zgrzytał mu między zębami. Prowadząc przesłuchania w ogromnej sali balowej, gdzie wszystkie słowa odbijały się wielokrotnym echem, Wielki Inkwizytor czuł, jak pył zbiera mu się pod krawędzią skarpetek, za kołnierzem, gromadzi we włosach, wciska pod wypielęgnowane paznokcie.

Sytuacja na zewnątrz pałacu przedstawiała się beznadziejnie. Śmigaczy i skorpionów nie można było poderwać do lotu; port kosmiczny budził się do życia tylko na parę godzin dziennie, kiedy simum z rzadka i na krótko przycichał; zaparkowane przed pałacem pojazdy naziemne szybko przeobraziły się w kopce i wydmy czerwonego piachu; nawet najlepsze filtry, zbudowane z wykorzystaniem najnowszych zdobyczy techniki Paxu, nie potrafiły zapobiec dostawaniu się rdzawych drobinek do silników. Garstka zabytkowych pełzaczy, łazików i jądrowych promów raketowych zapewniała stolicy udział w obiegu informacji i systematyczne dostawy żywności, ale rząd i dowództwo wojsk Paxu praktycznie przestały funkcjonować.

Piątego dnia burzy pojawiły się informacje o ataku Palestyńczyków na bazy Paxu na płaskowyżu Tharsis. Major Pięt, lakoniczny dowódca sił lądowych, zebrał mieszany oddział żołnierzy Paxu i Straży Planetarnej, trochę pełzaczy i opancerzonych transporterów gąsienicowych i wyruszył zbadać sprawę. Sto kilometrów od płaskowyżu wpadli w zasadzkę; Pięt wrócił do St. Malachy z niespełną połową ludzi.

Kiedy simum trwał już drugi tydzień, Palestyńczycy zaczęli zapuszczać się coraz dalej i nękać garnizony położone na obu półkulach planety. Stracono kontakt z kontyngentem stacjonującym w Niecce Helleńskiej; stacja na biegunie południowym zameldowała „Jibrilowi”, że zamierza się poddać napastnikom.

Gubernator Clare Palo, która przeniosła się do małego biura, poprzednio zajmowanego przez jednego z jej asystentów, naradzała się bez przerwy z arcybiskupem Robesonem i Wielkim Inkwizytorem. Postanowiono ostrzelać obleżone garnizony z taktycznej broni jądrowej i plazmowej. Kardynał Mustafa zgodził się udostępnić w tym celu „Jibrila” i bazę na biegunie południowym zrównano z ziemią. Głównym celem dowódców Straży Planetarnej, Paxu, oddziałów marines, Gwardii Szwajcarskiej i Świętego Oficjum stało się zapewnienie bezpieczeństwa St. Malachy, katedrze i pałacowi gubernatora. W tumanach piasku strzelano do każdego tubylca, który zbliżył się na osiem kilometrów do granic stolicy, a nie miał ze sobą wydanego przez Pax transpondera. Później zabierano ciała; kilka z nich rzeczywiście należało do palestyńskich partyzantów.

— Simum nie może trwać w nieskończoność - burczał komandor Browning, dowódca sił bezpieczeństwa Świętego Oficjum.

— Ale jeszcze trzy, cztery miesiące standardowe z pewnością - zauważył major Pięt. Jego poparzoną pierś okrywał masywny opatrunek. - Albo i dłużej.

Inkwizycja dreptała w miejscu: funkcjonariuszy milicji, którzy pierwsi natknęli się na zwłoki w Arafat-kaffiyeh, poddano działaniu serum prawdy, podłączono im sondy neuronowe i przesłuchano. Nic się jednak w ich zeznaniach nie zmieniło. Specjaliści Świętego Oficjum od medycyny sądowej podjęli współpracę z marsjańskimi kolegami po fachu, ale udało im się tylko potwierdzić, iż żadnego z trzystu sześćdziesięciu dwóch zabitych nie da się wskrzesić: Chyżwar

wyszarpał z ich ciał każde włókienko i splot tkanki krzyżokształtu. Wysłano na Pacem bezzałogowy statek kurierski z napędem Gedeona, by uzyskać informacje na temat tożsamości ofiar oraz - co ważniejsze - natury działalności Opus Dei na Marsie i przyczyn wybudowania tak rozległego portu kosmicznego. Kiedy po piętnastu miejscowych dniach automat wrócił z Pacem, na jego pokładzie znaleziono tylko dane ofiar; ani słowa na temat ich związków z Opus Dei czy działań tejże organizacji na Czerwonej Planecie.

Po piętnastu dniach nieustannej burzy piaskowej, gdy napady Palestyńczyków na garnizony i konwoje nie ustawały, a długie śledztwo i zbieranie dowodów prowadziło donikąd, Wielki Inkwizytor z ulgą przyjął zgłoszenie się kapitana Wolmaka. Dowódca „Jibrila” meldował, iż awaryjna sytuacja wymaga natychmiastowej obecności kardynała i jego ludzi na orbicie.

„Jibril” był jednym z najnowszych archaniołów i kardynał Mustafa doszedł do wniosku, że wygląda jak idealnie funkcjonalne narzędzie do zabijania. Lądowniki zbliżyły się już na odległość kilku kilometrów do głównej jednostki. Wielki Inkwizytor nie znał się na okrętach, ale nawet jego niewprawne oko poznało, że kapitan Wolmak zarządził morfowanie „Jibrila” do warunków bojowych: anteny i matryce czujników zostały wessane pod powierzchnię kadłuba, wypukłość silnika Gedeona pokryła się pancerzem antylaserowym, otwory i wieżyczki strzelnicze znalazły się w pełnej gotowości. Z tyłu, za archaniołem, obracał się Mars - spowity w obłok pyłu dysk koloru zakrzepłej krwi. Kardynał miał nadzieję, że nie będzie już musiał oglądać go z bliska.

Ojciec Farrell zwrócił uwagę, iż wszystkie osiem liniowców z marsjańskiej grupy uderzeniowej znajduje się w promieniu pięciuset kilometrów od „Jibrila”, co według standardów kosmicznych oznaczało

defensywną koncentrację sił. Nie ulegało wątpliwości, że sytuacja jest poważna.

Lądownik kardynała pierwszy wszedł do doku i zacumował; Wolmak przywitał Inkwizytora w przedsionku służby. Wewnętrzne pole siłowe symulowało grawitację.

— Przepraszam, że ośmieliłem się przerwać pańskie śledztwo, Wasza Ekscelencjo...

— Nie szkodzi - przerwał mu Mustafa, wytrzepując piasek z fałd szaty. - Co takiego się wydarzyło, kapitanie?

Wolmak z wahaniem spojrzął na towarzyszący kardynałowi orszak: pierwszy szedł oczywiście ojciec Farrell, za nim komandor Browning, trzech asystentów ze Świętego Oficjum, sierżant Nell Kasner z marines, kapelan biskup Erdle oraz major Pięt, którego Mustafa zwolnił ze służby u gubernator Palo.

Wielki Inkwizytor dostrzegł niepewność na twarzy Wolmaka.

— Może pan mówić śmiało, kapitanie. Wszyscy mają pełną akceptację Świętego Oficjum.

Wolmak skinął głową.

— Wasza Ekscelencjo, znaleźliśmy statek.

W spojrzeniu Inkwizytora musiał się odbić kompletny brak zrozumienia.

— Frachtowiec roboczy, który opuścił orbitę Marsa w dzień masakry - ciągnął kapitan. — Wiedzieliśmy, że ich lądowniki kontaktowały się wtedy z jakąś jednostką.

— To prawda - przytaknął Wielki Inkwizytor - zakładaliśmy jednak, że nie ma sensu jej szukać, zdążyłaby bowiem dokonać translacji do dowolnie wybranego układu gwiazdowego.

— Zgadza się, Wasza Ekscelencjo. Na wypadek jednak, gdyby statek w ogóle nie wszedł w nadświatłą, kazałem przeszukać cały układ. W pasie asteroidów znaleźliśmy frachtowiec.

— Czy tam właśnie miał dolecieć?

Kapitan pokręcił przecząco głową.

— Raczej nie, Wasza Ekscelencjo. Jest pusty i zimny. Koziółkuje bezwładnie, a nasze instrumenty nie wykazują ani śladu życia na pokładzie. Żadnego zasilania... Napęd jądro wy wygaszony.

— Tym niemniej jest to frachtowiec kosmiczny, tak? - wtrącił ojciec Farrell.

— Tak, ojcze - odpowiedział mu Wolmak. - HHMS „Saigon Maru”, statek o wyporności trzech milionów ton, do przewozu rudy i innych dużych ładunków. W służbie od czasów Hegemonii.

— I należy do Mercantilusa - rzekł cicho Mustafa.

— Należał - poprawił go ponuro kapitan. - Z naszych danych wynika jednak, że „Saigon Maru” został przed ośmiu laty skreślony z rejestru Mercantilusa i przeznaczony na złom.

Kardynał i ojciec Farrell spojrzeli po sobie.

— Czy wchodziliście już na pokład? - zaciekawiał się komandor Browning.

— Nie. Ze względu na polityczne implikacje takiej decyzji uznałem, że najlepiej będzie, jeżeli Jego Ekscelencja wróci na „Jibrila” i osobiście autoryzuje przeszukanie.

— Znakomicie - przyznał Wielki Inkwizytor.

— Chciałbym również najpierw zgromadzić na pokładzie pełny kontyngent marines i Gwardii Szwajcarskiej.

— A to dlaczego, kapitanie? - zapytał major Pięt. Opatrunek wypychał mu mundur na piersiach.

— Coś mi się tu nie podoba. - Wolmak spojrział najpierw na majora, a później na kardynała. - I to bardzo.

Ponad dwieście lat świetlnych od układu, w którym znajdował się Mars, grupa uderzeniowa „Gedeon” kończyła właśnie pacyfikację Lucyfera.

Siódmy, ostami układ Intruzów, przeznaczony do likwidacji podczas karnej ekspedycji, okazał się najbardziej wymagającym przeciwnikiem: żółte słońce typu G okrężało sześć planet, z czego dwie nadawały się do zamieszkania bez uprzedniego terraformowania. W rezultacie w Lucyferze aż roilo się od Intruzów: bazy wojskowe wysunięto daleko poza pas asteroidów; w samym pasie znalazły się wylęgarnie; środowiska zdatne dla aniołów otaczały najbliższą słońca, pokrytą wodą planetę; stacje zaopatrzeniowe krążyły na niskiej orbicie wokół gazowego olbrzyma; las orbitalny porastał obszar, który można by porównać do przestrzeni między Ziemią i Wenus w starym Układzie Słonecznym. Znalezienie i zlikwidowanie większości ośrodków życia zajęło „Gedeonowi” dziesięć dni standardowych.

Po skończeniu operacji admirał Aldikacti zaprosiła dowódców na konferencję na pokładzie „Uriela” i przedstawiła im zmienione plany dalszych działań: ekspedycja karna okazała się tak udana, że po wskazaniu nowych celów będzie kontynuowana. Wysławszy na Pacem bezzałogową sondę z napędem Gedeona uzyskała już stosowne pozwolenie. Siedem archaniołów miało dokonać przeskoku do najbliższej bazy Paxu, w układzie Tau Ceti, gdzie uzupełnią arsenały i zapas paliwa i gdzie do grupy dołączy dalszych pięć okrętów. Na podstawie danych z sond automatycznych wytypowano już kilkanaście nowych układów Intruzów, do których nie dotarły jeszcze wieści o dokonanych przez „Gedeona” masakrach. Wliczając więc czas niezbędny na zmartwychwstanie, grupa uderzeniowa miała ponownie zaatakować wroga najdalej za dziesięć dni.

Kapitanowie wrócili na swoje okręty i rozpoczęli przygotowania do translacji z Lucyfera do bazy na Pierwszej Tau Ceti.

Komandor Hoagan Liebler z „Rafaela” był zaniepokojony. Oprócz oficjalnej funkcji pierwszego oficera i zastępcy ojca kapitana de Soi, pełnił również rolę płatnego szpiega. Miał śledzić poczynania dowódcy

i meldować o wszelkich podejrzanych zachowaniach szefowi służb bezpieczeństwa Świętego Oficjum na „Urielu”, okręcie flagowym admirał Aldikacti, skąd informacje te wędrowałyby, jak mniemał Liebler, w górę drabiny władzy, aż do legendarnego kardynała Lourdusamy. Zaniepokojenie Hoaga brało się stąd, że nie umiał uzasadnić swoich niejasnych podejrzeń, iż coś jest nie w porządku.

Nie mógł przecież skontaktować się z „Urielem” tylko po to, by przekazać przerażającą wiadomość, że załoga „Rafaela” za często chodzi do spowiedzi, chociaż między innymi ten właśnie fakt budził jego podejrzenia. Rzecz jasna, Liebler ani nie przeszedł odpowiedniego przeszkolenia, ani nie był szpiegiem z powołania - robił to, co robił, bo nie miał wyjścia. Najpierw ograniczenia finansowe zmusiły go do wstąpienia do wojska, później — ze względu na lojalność wobec Paxu i Kościoła, jak sobie tłumaczył, nie zaś dla pieniędzy, które pomogłyby odzyskać utracone dobra na Renesansie Mniejszym - zaczął szpiegować własnego dowódcę.

Poza tym spowiedź nie była niczym nadzwyczajnym, skoro załoga składała się z głęboko wierzących, ponownie narodzonych chrześcijan, regularnie odwiedzających i kościoł, i konfesjonał. Jeśli zaś wziąć pod uwagę okoliczności, w jakich się znaleźli, możliwość prawdziwej, wiecznej śmierci, gdyby któryś z pocisków jądrowych czy promieni laserów Intruzów przebił pole siłowe, żarliwość wiary doprawdy nie powinna nikogo dziwić. Liebler czuł jednak, że od czasu operacji w Mammonie do gry wszedł dodatkowy czynnik. W krótkich i rzadkich chwilach spokoju w Lucyferze cała załoga i wszyscy Szwajcarzy z „Rafaela” - dwadzieścia siedem osób, nie licząc nie posiadającego się ze zdumienia pierwszego oficera - odwiedzała konfesjonał równie często i chętnie, jak astronauta burdele na Pograniczu.

Konfesjonał zaś był jedynym miejscem na pokładzie, w którym nawet pierwszy oficer nie mógł węszyć i podsłuchiwać.

Liebler nie wyobrażał sobie, co mogliby knuć podwładni de Soi. Bunt nie miałby sensu, a przede wszystkim był nie do pomyślenia: przez prawie trzysta lat istnienia Floty Paxu żaden okręt się nie zbuntował, ba, nigdy nie zaistniała taka groźba. Poza tym to absurd: potencjalni buntownicy nie pędzą na wyścigi do konfesjonału, żeby przedyskutować planowany grzech z kapitanem statku.

Może i de Soya próbował ich werbować, snując jakieś nieczne plany, ale Liebler nie wyobrażał sobie, czym ojciec kapitan mógłby przekupić wiernych ludzi Paxu i żołnierzy Gwardii Szwajcarskiej. Załoga nie przepadała za swoim pierwszym oficerem - przyzwyczał się już do tego, że nie jest lubiany przez podwładnych i wiedział, że to kwestia jego wrodzonej godności i arystokratycznej krwi - ale w głowie mu się nie mieściło, żeby sprzymierzyli się przeciwko niemu. Jeżeli ojciec kapitan de Soya zdołałby ich jakimś cudem namówić do zdrady, mogliby co najwyżej próbować ukraść archanioła - Liebler domyślał się, że właśnie tę mało prawdopodobną możliwość rozważali jego mocodawcy, przydzielając go na „Rafaela” - tylko po co? Okręt utrzymywał stały kontakt z pozostałymi archaniołami z „Gedeona”. Przerwy w łączności następowały tylko w chwilach translacji i trwały przez dwa dni pospiesznego zmartwychwstania, toteż sześć pozostałych okrętów w mgnieniu oka rozprawiłoby się z buntownikami.

Ta myśl nie spodobała się Lieblerowi. Nie lubił umierać i nie miał ochoty bez potrzeby powtarzać tego przeżycia. Poza tym wcale nie pomogłoby mu to w karierze właściciela dóbr ziemskich na Renesansie Mniejszym, gdyby pamiętano go jako członka Załogi, Która Zdradziła. Uznał za wysoce prawdopodobne, że kardynał Lourdusamy - czy kto tam znajdował się u szczytu szpiegowskiego łańcucha pokarmowego - skáže go na tortury, ekskomunikuje i skáže na prawdziwą śmierć wraz

z resztą załogi, tylko po to, by fakt wprowadzenia szpiega na pokład „Rafaela” nie wyszedł na jaw.

Tam myśl jeszcze bardziej go zmartwiła.

Pocieszał się, że tego rodzaju pomysł jest nie tyle nieprawdopodobny, co raczej wręcz chory. Minęły już czasy, kiedy na Starej Ziemi czy innej obfitującej w wodę planecie, o której czytał Liebler, okręty morskie buntowały się, a ich pirackie załogi żerowały na bezbronnych statkach handlowych i terroryzowały porty. Złodzieje archanioła nie mieliby szans ucieczki, żadnej kryjówki, możliwości dozbrojenia okrętu i uzupełnienia zapasów. Pax kazałby zrobić z ich flaków podwiązki.

Komandor Hoag Liebler wciąż się denerwował i czuł nieswojo, mimo wysiłku włożonego w logiczną analizę sytuacji.

Od czterech godzin „Rafael” zmierzał do punktu translacji, do układu Pierwszej Tau Ceti. Liebler znajdował się na mostku, gdy z „Uriela” nadano krótki meldunek, opatrzony najwyższym priorytetem: pięć niszczycieli Intruzów, ukrywających się dotąd w pierścieniu pyłowym wokół najbliższego księżyca drugiego olbrzyma gazowego, rozpędzało się właśnie do skoku z prędkością nadświatlną. Miejscowe słońce osłaniało je przed atakiem „Gedeona”. „Gabriel” i „Rafael” miały zmienić kurs na tyle, by wytyczyć trajektorię strzelecką, odpalić ostatnie pociski hiperkinetyczne, zniszczyć okręty wroga i dopiero wówczas opuścić Lucyfera. Według szacunkowych obliczeń „Uriela”, przeskok na Pierwszą Tau Ceti odbyłby się z około ośmiogodzinnym opóźnieniem w stosunku do reszty grupy uderzeniowej.

Ojciec kapitan de Soya potwierdził przyjęcie meldunku i wydał rozkaz zmiany kursu. Komandor Liebler monitorował transmisje między „Rafaelem” i pozostałymi okrętami; rozkazy matki kapitan Stone brzmiały identycznie.

Admirał nie zostawia „Rafaela” samego, pomyślał pierwszy oficer. Nie tylko moi mocodawcy nie ufają de Soi.

Pościg nie zapowiadał się szczególnie emocjonująco - właściwie trudno w ogóle mówić o pościgu. Ze względu na panujące w Lucyferze warunki grawitacyjno-

dynamiczne, powolne niszczyciele potrzebowały aż czternastu godzin, by osiągnąć prędkość relatywistyczną, umożliwiającą translację, tymczasem archanioły miały wyjść na pozycje strzeleckie za cztery godziny; Intruzi nie dysponowali bronią, która mogłaby z tej odległości zagrozić „Rafaelowi” i „Gabrielowi”, natomiast każdy z archaniołów miał jeszcze dość amunicji, żeby zestrzelić kilkadziesiąt takich okrętów. Zresztą gdyby wszystko inne zawiodło, miały użyć znieawidzonych paralizatorów bojowych.

Komandor Liebler dowodził „Rafaelem” - ojciec kapitan poszedł się zdrzemnąć na parę godzin - gdy archanioły wyszły na pozycje umożliwiające otwarcie ognia. Pozostałe okręty „Gedeona” dawno dokonały już przeskoku na Tau Ceti. Liebler okręcił się w fotelu akceleracyjnym, żeby brzęczykiem obudzić dowódcę, gdy nagle pióra grodzi antywstrząsowej rozwarły się na kształt źrenicy oka i do środka wszedł de Soya w towarzystwie kilku osób. Na moment Liebler zapomniał o swoich podejrzeniach, zapomniał nawet, że płacono mu za podejrzliwość i po prostu wybałuszył oczy. Obok ojca kapitana stał ten Szwajcar, sierżant Gregorius i dwoje jego ludzi. Towarzyszyli im: oficer-specjalista systemów uzbrojenia (OSU) komandor Carel Shan, oficer-specjalista systemów zasilania (OSZ) porucznik Poi Denish, oficer-specjalista systemów środowiskowych (OŚ) komandor Bettz Argyle oraz inżynier systemów napędowych (ISN) porucznik Elijah Hussein Meier.

— Co się tu do diabła... - zaczął pierwszy oficer (PO) Liebler. Umilkł jednak natychmiast, gdy sierżant Gwardii Szwajcarskiej wycelował mu

w twarz ogłuszacz neuronowy.

Od dłuższego czasu Hoag nosił ukrytą w bucie małą kartaczownicą, teraz jednak kompletnie o niej zapomniał. Nikt nigdy nie mierzył do niego z broni - nawet z ogłuszacza - i Liebler miał wrażenie, że zaraz zleje się w spodnie. Całą uwagę skupił na powstrzymaniu tego odruchu i nie bardzo mógł pamiętać o czymkolwiek.

Jedna z umundurowanych kobiet podeszła do niego i wyjęła mu pistolet zza cholewy. Liebler odprowadził go takim wzrokiem, jakby widział go pierwszy raz w życiu.

— Przykro mi, Hoag - rzekł ojciec kapitan de Soya. - Głosowaliśmy. Uznaliśmy, że nie ma już czasu, żeby próbować cię namówić na przystąpienie do nas. Na jakiś czas musimy się ciebie pozbyć.

Przywołując wspomnienia wszystkich obejrzanych w życiu holodram, Liebler zaoponował:

— Nie uda się wam - rzucił zaczepnie. - „Gabriel” was zestrzeli. Zginiecie w mękach, powieszą was, wyrwą wam krzyżokształty z...

Ogłuszacz zahuczał cicho i Hoag Liebler runąłby twarzą na pokład, gdyby kobieta, która go rozbroiła, nie złapała go w locie i nie złożyła delikatnie na podłodze.

Ojciec kapitan de Soya zajął miejsce w fotelu dowódcy.

— Zejść z kursu - rozkazał stojącemu za sterem porucznikowi Meierowi. - Wprowadzić współrzędne translacji. Maksymalne przyspieszenie awaryjne. Pełna gotowość bojowa. - De Soya spojrzął na leżącego Lieblera. - Zabierzcie go do komory zmartwychwstańczej i nastawcie ją na „przechowywanie”.

Żołnierze wynieśli nieprzytomnego mężczyznę.

Jeszcze zanim ojciec kapitan de Soya nakazał wyłączenie ciężenia i zajęcie stanowisk bojowych, poczuł przez moment to cudowne uczucie unoszenia się w powietrzu, które towarzyszy człowiekowi skaczącemu z urwiska przez ułamek sekundy, zanim nieubłagana

gravitacja przypomni o sobie. W rzeczywistości okręt mknął z przyspieszeniem ponad sześciuset g, co odpowiadało stu osiemdziesięciu procentom normalnej akceleracji. Awaria generatorów pola siłowego zabiłaby wszystkich pasażerów w ułamku sekundy, ale do punktu translacji zostało im już tylko czterdzieści minut.

De Soya nie był pewien, czy dokonał właściwego wyboru. Zdradę Kościoła i Floty Paxu odbierał jako rzecz najstraszniejszą na świecie, ale wiedział, że jeśli faktycznie ma nieśmiertelną duszę, to nie może postąpić inaczej.

Tym, co sprawiło, że zaczął całe zdarzenie rozpatrywać w kategoriach cudu - a przynajmniej niezwykle szczęśliwego zbiegu okoliczności - był fakt, że siedem osób przyłączyło się do niego. Ośmioro ludzi z liczącej dwudziestu ośmiu członków załogi; pozostała dwudziestka spała smacznie w komorach zmartwychwstańczych, po uprzednim potraktowaniu ogłuszaczem. De Soya wiedział, że w większości sytuacji w ósemkę poradzą sobie z obsługą „Rafaela”: miał szczęście - a może boże błogosławieństwo? - bo udało mu się przekonać kilkoro najbardziej pożądanym oficerów. Z początku sądził, że skończy się na nim samym, Gregoriusie i jego dwóch Szwajcarach.

Troje żołnierzy Gwardii Szwajcarskiej podsunęło mu myśl o buncie wkrótce po „wyczyszczeniu” drugiej wylęgarni w Lucyferze. Mimo przysięg na wierność Paxowi, Kościołowi i Gwardii Szwajcarskiej, rzeź dzieci zanadto przypominała im zwyczajne morderstwo. Lansjerzy Dona Foo i Enos Dębino poszli najpierw do sierżanta, a potem razem zawitali do konfesjonału ojca kapitana. Z początku zamierzali go prosić o rozgrzeszenie, gdyby postanowili zdezerterować w układzie Intruzów, ale de Soya poddał im inny plan pod rozwagę.

Inżynier systemów napędowych, porucznik Meier, przyszedł do spowiedzi miotany podobną niepewnością. Rzeź przepięknych aniołów ze skrzydłami z siatki pól siłowych - śledził ją w przestrzeni taktycznej -

wstrząsnęła nim do głębi i sprawiła, że zaczął myśleć o powrocie do wyznawanych przez przodków religii - judaizmu i islamu. Na razie jednak postanowił się wypowiedzieć ze słabości ducha i ku własnemu zdumieniu usłyszał od ojca kapitana, że jego wątpliwości nie stoją bynajmniej w sprzeczności z prawdziwym duchem chrześcijaństwa.

W następnych dniach oficer-specjalista systemów środowiskowych komandor Bettz Argyle i oficer-specjalista systemów zasilania porucznik Poi Denish, targani wyrzutami sumienia, również trafili do konfesjonału. Denish nie od razu dał się przekonać, ale długie, szeptane rozmowy z porucznikiem Meierem, z którym dzielił kajutę, pomogły mu podjąć decyzję.

OSU komandor Carel Shan przyłączył się na końcu: nie był już w stanie zatwierdzić aktywacji paralizatora bojowego; od trzech tygodni nie spał.

Ostatniego dnia pobytu w Lucyferze De Soya zrozumiał ostatecznie, że nie ma co liczyć na poparcie pozostałych żołnierzy; uważali swoje obowiązki za ohydne, lecz po prostu konieczne. Gdyby przyszło im działać, większość personelu okrętu i pozostali Gwardziści Szwajcarscy opowiedzieliby się po stronie Hoaga Lieblera. Ojciec kapitan i sierżant Gregorius postanowili nie dać im tej szansy.

— „Gabriel” się zgłasza, ojcie kapitanie - zameldował porucznik Denish, podłączony równocześnie do konsoli systemów zasilania i kontaktu.

De Soya skinął głową.

— Sprawdźcie, czy komory zmartwychwstańcze na leżankach są włączone.

Wiedział, że jego zalecenie jest zbędne; wszyscy członkowie załogi, zajmując stanowiska bojowe lub szykując się do skoku w nadświatłą, przypinali się do leżanek akceleracyjnych, pełniących zarazem funkcję komór wskrzeszeniowych.

Przed włączeniem się w sieć taktyczno-symulacyjną de Soya sprawdził jeszcze trajektorię okrętu na głównej holoramie. Oddalali się od „Gabriela”, który tymczasem zwiększył przyspieszenie do trzystu g i leciał po równoległym kursie. Po przeciwnej stronie Lucyfera pięć niszczycieli Intruzów pełzło wolniutko w stronę własnych punktów translacji. De Soya życzył im powodzenia, wiedząc zarazem, że nie zostały jeszcze zniszczone tylko dzięki nagłej zmianie trajektorii „Rafaela” i reakcji zaskoczonego tym manewrem drugiego archanioła. Uruchomił sprzęg i wszedł w symtakt.

Natychmiast przeobraził się w olbrzyma stojącego w kosmicznej pustce. Sześć planet, ich niezliczone księżyce i płonące lasy orbitalne Lucyfera rozciągały się na wysokości jego pasa. Daleko za oślepiającym słońcem sześć kropeczek - okrętów Intruzów - balansowało na czubkach maleńkich igiełek - strumieni ognia z dysz silników jądrowych. „Gabriel” ciągnął za sobą podobny, choć znacznie dłuższy, ogon, za rufą „Rafaela” zaś płomienie strzelały najdalej, niemal przyćmiewając żar głównej gwiazdy układu. Matka kapitan Stone stała w odległości kilku godnych olbrzyma kroków.

— Federico - odezwała się. - Na rany Chrystusa, co ty robisz?

De Soya rozważał możliwość zignorowania otrzymanego z „Gabriela” wezwania; gdyby mógł w ten sposób zyskać choć parę bezcennych minut, nie wahałby się. Znał jednak Stone i wiedział, że nie zastanawiałaby się ani chwili. Zerknął na wydzielony kanał taktyczny, gdzie wyświetlała się trajektoria do translacji: trzydzieści sześć minut do skoku.

— Kapitanie! Wykryto cztery pociski! Translacja... teraz! - zgłosił się komandor Shan na wydzielonym paśmie.

Ojciec kapitan de Soya nie miał wątpliwości, że udało mu się zachować kamienny spokój na oczach bacznie obserwującej go Stone.

— W porządku, Carel - subwokalizował w odpowiedzi. - Widzę je na taktyku. Kierują się w stronę niszczycieli.

— Strzeliłaś do Intruzów - dodał pod adresem matki kapitan Stone. Nawet w nikłym blasku symulacji widać było napięcie w jej twarzy.

— Oczywiście. Na co czekasz, Federico?

Zamiast odpowiedzieć, de Soya postąpił krok naprzód i patrzył, jak rakiety wychodzą z przestrzeni Hawkinga tuż przed dziobami sześciu jednostek przeciwnika. W kilka sekund później eksplodowały: dwa ładunki jądrowe, a za chwilę dwa plazmowe, o większym zasięgu. Wszystkie jednostki Intruzów miały pola siłowe nastawione na maksymalną moc - w symulacji taktycznej odzwierciedloną w postaci pomarańczowej poświaty - ale potężne wybuchy w bezpośrednim sąsiedztwie spowodowały ich przeciążenie. Poświata przeszła w czerwień, później w biel, a po chwili trzy niszczyciele zwyczajnie przestały istnieć jako obiekty materialne; dwa inne stały się kupą odłamków, koziółkujących bezwładnie ku nagle nieskończenie odległym punktom translacji. Szósty niszczyciel wyglądał na nietknięty, ale otaczające go pole zniknęło, a płomień dysz zgasł. Nawet jeśli ktoś na pokładzie przeżył wstrząs, musiał zginąć wskutek działania zabójczego promieniowania, swobodnie przenikającego teraz cały kadłub.

— Co robisz, Federico?

De Soya wiedział, że Stone ma na imię Halen, postanowił jednak nie schodzić w rozmowie na poziom osobisty.

— Wykonuję rozkazy.

Wyraz twarzy Stone nawet w przestrzeni taktycznej zdradzał powątpiewanie.

— Jakie znowu rozkazy, ojcie kapitanie de Soya?

Oboje wiedzieli, że ich wymiana zdań jest nagrywana. Ktoś, kto przeżyje najbliższe minuty, będzie dysponował pełnym jej zapisem.

— Dziesięć minut przed translacją okręt flagowy admirał Aldikacti przekazał nam zmienione rozkazy odparł de Soya niewzruszenie. - Właśnie je wykonujemy.

Twarz Stone ani drgnęła, chociaż de Soya zdawał sobie sprawę, że właśnie subwokalizowała swojemu pierwszemu oficerowi rozkaz sprawdzenia, czy taka transmisja rzeczywiście miała miejsce między „Urielem” i „Rafaelem”. A rzeczywiście miała, tyle tylko, że dotyczyła zupełnie trywialnej kwestii aktualizacji współrzędnych punktu spotkania w układzie Pierwszej Tau Ceti.

— Jak brzmiały te rozkazy, ojcie kapitanie de Soya?

— Są przeznaczone tylko do mojej wiadomości, matko kapitan Stone. Nie dotyczą „Gabriela”

— Wprowadź współrzędne dla paralizatora bojowego i, tak jak się umawialiśmy, podaj mi aktywator, subwokalizował do OSU Shana. W sekundę potem poczuł w prawej dłoni ciężar syntaktycznej broni. Dla Stone pistolet był zupełnie niewidoczny, de Soya natomiast doskonale czuł jego dotyk. Starał się, by zwieszona swobodnie prawa ręka nie drgnęła mu, kiedy ostrożnie kładł palec na niewidocznym spuście. Ze sposobu, w jaki Stone trzymała rękę, wiedział, że ona również trzyma w dłoni wirtualną broń. W przestrzeni taktycznej dzieliły ich jakieś trzy metry; „Rafael” i „Gabriel” wspinały się na wysokość ich piersi, podparte z dołu ognistymi jęzorami.

— Ojcie kapitanie de Soya, nowy punkt translacji nie prowadzi na Tau Ceti. To wbrew rozkazom.

— Rozkazy zostały zmienione, matko kapitan. - De Soya patrzył Stone prosto w oczy. Halen zawsze świetnie potrafiła ukryć swoje prawdziwe emocje i zamiary; nieraz przegrywał z nią w pokera na „Baltazarze”.

— Jaki jest nowy punkt docelowy waszego skoku, ojcie kapitanie? Trzydzieści trzy minuty do translacji.

— To informacja zastrzeżona, matko kapitan. Zapewniam jednak, że „Rafael” dołączy do grupy uderzeniowej „Gedeon” w układzie Tau Ceti, gdy tylko zakończy obecną misję.

Stone lewą ręką potarła policzek. De Soya nie odrywał oczu od zakrzywionego palca wskazującego jej prawej dłoni; nie musiała ruszać ręką, żeby aktywować bojowy paralizator, ale w ludzkiej naturze leżało wycelować broń w przeciwnika.

De Soya nie znosił paralizatorów bojowych i wiedział, że Stone podziela jego uczucia. Były bronią tchórzcy, zakazaną przez Flotę Paxu i Kościół, który udzielił dyspensy na ich użycie tylko w tej jednej misji. W przeciwieństwie do starych paralizatorów z czasów Hegemonii, które faktycznie wysyłały falę energii, żeby niczym ostrze kosi cięła ludzkie mózgi i powodowała uszkodzenia neuronów, instalowane na okrętach paralizatory bojowe nie emitowały koherentnej wiązki promieniowania. Zamiast tego generatory napędu Gedeona powodowały rozszerzenie rozdarcia w czasoprzestrzeni - zwykle wykorzystywanego do translacji - i nadawały mu kształt stożka. W jego obrębie następowało drobne zaburzenie struktury czasoprzestrzennej - nieco podobne do nieudanego skoku w nadprzestrzeń przy użyciu starego napędu Hawkinga. Drobne, ale całkowicie wystarczające, by naruszyć delikatną równowagę energetyczną ludzkiego mózgu.

Jednakże mimo charakteryzującej oficerów Paxu niechęci do paralizatora bojowego, Stone rozumiała, że użycie go w obecnej sytuacji będzie uzasadnione. „Rafael” był owocem pokaźnej inwestycji finansowej Paxu, toteż należało przede wszystkim zapobiec kradzieży statku, nie niszcząc go przy okazji. Kłopot w tym, że nawet zgładzenie załogi strzałem z paralizatora nie zapobiegłoby prawdopodobnie translacji jednostki - wszystko zależało od tego, jak dużą część planowanej trajektorii załoga wprowadziła do pamięci komputera pokładowego. Utarła się we flocie tradycja, że kapitan osobiście

aktywował przeskok, a w każdym razie do ostatniej chwili był gotów zastąpić komputer, Stone jednak nie miała gwarancji, iż de Soya zechce hołdować tej tradycji.

— Chciałabym porozmawiać z komandorem Lieblerem - powiedziała.

De Soya się uśmiechnął.

— Mój pierwszy oficer jest zajęty.

A więc Hoag był szpiegiem. Oto i potwierdzenie, którego potrzebowaliśmy, pomyślał.

„Gabriel” nie mógł ich już dogonić. Nawet gdyby sam zwiększył przyspieszenie do sześciuset g, „Rafael” osiągnąłby pozycję do translacji, zanim drugi archanioł zdołałby do niego dotrzeć. Stone nie pozostawało nic innego, jak zlikwidować załogę i unieszkodliwić okręt, ostrzeliwując go ostatnimi rakietami i licząc na przeciążenie pola siłowego. Jeżeli się myliła - czyli jeżeli de Soya rzeczywiście wykonywał zmienione w ostatniej chwili rozkazy - groził jej sąd wojenny i wydalenie z Floty Paxu; jeśli zaś pozostanie beczynna, a de Soya ukradnie tymczasem jeden z archaniołów, ryzykuje sąd, wydalenie, ekskomunikę i prawie pewną egzekucję.

— Federico - powiedziała łagodnie. - Proszę cię, zwolnij, żebyśmy mogli się zrównać. Będziesz mógł wykonać rozkaz i dokonać translacji zgodnej z tajnymi współrzędnymi, które odebrałaś. Chcę tylko wejść na „Rafaela” i sprawdzić, czy wszystko jest w porządku.

De Soya się zawahał. Nie mógł tłumaczyć maksymalnego przeciążenia po prostu rozkazami, skoro po translacji i tak musieliby spędzić dwa dni, czekając na zmartwychwstanie. Patrzył matce kapitan Stone w oczy, starając się nie tracić z pola widzenia maleńkiego „Gabriela” z białym, ognistym ogonem. Mogła próbować doprowadzić do przeciążenia pola siłowego „Rafaela”, odpalając resztki konwencjonalnego arsenału. De Soya nie zamierzał zaś odpowiadać

ogniem - unicestwienie „Gabriela” było nie do przyjęcia. Zaakceptował zdradę stanu i Kościoła, ale nie zamierzał stać się mordercą, którego ofiary giną prawdziwą śmiercią.

Pozostały paralizatory.

— Dobrze, Halen - odpowiedział. - Każę Hoagowi zwolnić do dwustu g i zaczekamy, aż nas dogonicie. - Przekręcił lekko głowę, jakby subwokalizował rozkazy.

Ręka musiała mu drgnąć; dłoń Stone również podskoczyła, kiedy matka kapitan zacisnęła palec na niewidzialnym spuście. W ostatnim ułamku sekundy przed uderzeniem paralizatora ojciec kapitan de Soya dostrzegł osiem iskierek, odrywających się od zawieszzonego w symtactycznej przestrzeni „Gabriela”. Stone nie zamierzała ryzykować: wolą zniszczyć „Rafaela” niż pozwolić mu uniknąć.

Wirtualnym obrazem matki kapitan Stone szarpnęło w tył, po czym zniknął zupełnie z przestrzeni taktycznej, gdy działanie paralizatora dosięgło jej statku. Cała załoga zginęła; wszystkie połączenia zostały zerwane.

W niespełną sekundę później ojciec kapitan de Soya został wyrwany z symtaktu; neurony w jego mózgu dosłownie się upiekły. Krew popłynęła mu z oczu, ust i uszu, ale de Soya nie żył już, podobnie zresztą jak wszystkie świadome istoty na pokładzie „Rafaela”: sierżant Gregorius z dwójką żołnierzy na pokładzie C, ISN Meier, OŚ Argyle, OSZ Denish i OSU Shan na mostku.

W szesnaste sekund później osiem napędzanych silnikami Hawkinga pocisków wynurzyło się z nadświatlnej i eksplodowało dookoła nagle obumarłego archanioła.

Gyges obserwował w czasie rzeczywistym, jak Raul Endymion żegna się z rodziną w czerwonych szatach, wsiada do kajaka i wiosłuje w stronę transmittera. Planeta pograżyła się w mroku podwójnego zaćmienia słońca. Na niebie wybuchały fajerwerki, a z gardeł tysięcy

mieszkańców rozciągniętego nad rzeką miasta dobywało się dziwne zawroty głowy. Gyges wstał i przygotował się do przejścia po wodzie, żeby wyciągnąć mężczyznę z kajaka. Ustalono, że gdyby Raul Endymion przybył sam, należy go schwytać żywcem i przesłuchać na pokładzie krążącego po orbicie archaniola - należało przede wszystkim dowiedzieć się gdzie przebywa dziewczynka imieniem Enea - ale nie było mowy o neutrudnianiu mu ucieczki czy walki. Gyges zamierzał zatem nie wychodząc z nadczasu poprzecinać mu ścięgna w rękach i nogach. Umiał tego dokonać w mgnieniu oka, z chirurgiczną precyzją, tak że nie istniało ryzyko wykrwawienia się ofiary, zanim trafi do automatu lekarskiego na statku.

Pokonanie dzielących go od transmitera sześciu kilometrów zajęło Gygesowi dosłownie moment. Pod drodze, mijając zastygłe w bezruchu postaci i dziwne, napędzane wiatrem pojazdy, przystawał i sprawdzał, czy któryś z uczestników ruchu nie jest przypadkiem poszukiwanym Endymionem. Dotarłszy do portalu, ukrył się w kępie wierzby nad brzegiem i wyłączył przesunięcie fazowe. Miał pilnować tylnego wyjścia; Nemes da mu znać, kiedy znajdzie zaginionego dezertera.

Podczas ciągnącego się już dwadzieścia minut oczekiwania Gyges kontaktował się ze Scyllą i Briareusem, Nemes zaś, ku jego zaskoczeniu, milczała. Wszyscy zakładali, że wystarczy jej kilka sekund czasu rzeczywistego, by znaleźć mężczyznę. Gyges się jednak nie martwił - właściwie nie potrafił martwić się w zwykłym sensie: doszedł do wniosku, że Nemes zatacza coraz większe kręgi i zużywa czas rzeczywisty na przerwy między przeskokami fazowymi; najwidoczniej wszystkie jego meldunki trafiały na momenty, kiedy znajdowała się w nadczasie. Zdawał sobie poza tym sprawę, że choć wszyscy czworo zostali sklonowani w tym samym czasie, Nemes pierwsza opuściła zbiornik. Nie miała nawyku ciągłego porozumiewania się na wspólnym paśmie, tak jak Scylla, Briareus i on sam. Na dobrą sprawę Gyges nie

miałby nic przeciwko temu, by ich rozkazy na Bożej Kniei ograniczały się do wydobycia Nemes z lawy i zlikwidowania jej na miejscu.

Na rzece panował spory ruch. Kiedy tylko do portalu zbliżał się jakiś statek, Gyges przechodził w nadczas, przemykał po powierzchni wody, przeszukiwał całą jednostkę i bacznie oglądał wszystkich pasażerów; niektórych musiał nawet rozebrać, żeby upewnić się, że nie ma do czynienia z Endymionem, A. Bettikiem ani Eneą w przebraniu. Dla pewności obwąchiwał ich i dokonując biopsji pobierał próbki DNA, żeby sprawdzić czy pochodzą z Vitus-Gray-Balianusa B. Nie znalazł nikogo spoza planety.

Po każdej inspekcji wracał na brzeg i czuwał dalej. Osiemnaście minut po tym, jak zszedł z pokładu statku, pojawił się śmigacz Paxu, który najpierw przeleciał górą, a potem wprost przez portal. Wejście na jego pokład w nadczasie wymagałoby sporego wysiłku, ale na szczęście wśród siedzących w nim żołnierzy znalazła się już Scylla.

— To zaczyna być męczące - rzuciła na wspólnym kanale.

— To prawda - przyznał Gyges.

— Co z Nemes? - wtrącił Briareus.

— Nie odzywała się - odpowiedział mu brat bliźniak.

Dopiero podczas zaćmienia i towarzyszących mu błazeńskich ceremonii, nad kanałem zatrzymał się ożaglowany pojazd, z którego wysiadł Raul Endymion. Nie mogło być mowy o pomyłce: nie tylko zapis wideo pasował idealnie, ale i zapach osobnika zgadzał się ze wzorcem, jaki Nemes załadowała im do pamięci. Gyges mógł od razu zrobić przeskok, podejść do grupy nieruchomych postaci i pobrać próbkę DNA - ale wiedział, że nie musi tego robić. Miał przed sobą właściwego człowieka.

Zamiast nadać wiadomość na wspólnym paśmie lub wysłać pojedynczy impuls alarmowy do Nemes, postanowił zaczekać jeszcze minutę. Bawiło go to wyczekiwanie; nie chciał się z nikim dzielić tym

uczuciem. Poza tym uznał, że lepiej będzie przechwycić Endymiona, kiedy już rozstanie się z rodziną Widmowej Helisy. Na razie wszyscy w komplecie machali mu na pożegnanie.

Gyges patrzył, jak Raul Endymion wiosłuje w absurdalnie malutkiej łódce, żeby znaleźć się w głównym nurcie przechodzącego tu w rzekę kanału. Doszedł do wniosku, że najlepiej byłoby zabrać kajak razem z pasażerem: postronni obserwatorzy spodziewali się zapewne, że zniknie bez śladu, gdy tylko przepłynie pod transponderem. Zobaczyliby błysk światła i Endymion rozmyłby się w powietrzu. W rzeczywistości zaś Gyges objąłby mężczyznę i kajak własnym polem fazowym i wydobył ich z rzeki. Sam kajak mógł również okazać się przydatny w odnalezieniu Enei - śladowe zapachy i metoda budowy pomogłoby zidentyfikować planetę, na której dziewczynka się ukrywa.

Wszędzie wokół ludzie cieszyli się i śpiewali. Zaćmienie osiągnęło punkt szczytowy; fajerwerki wybuchaly nad rzeką, a na pordzewiałym portalu kładły się barokowe cienie. Endymion odwrócił się plecami do machających mu przyjaciół i starał się pozostać w głównym nurcie, kierując się wprost do metalowego łuku.

Gyges wstał, przeciągnął się i przygotował do przeskoku fazowego.

Trzymetrowy stwór znalazł się nagle tuż obok niego.

To niemożliwe, pomyślał Gyges. Powinienem wyczuć zaburzenie pola fazowego.

Eksplodujące race rzucały szkarłatną poświatę na chromowy korpus. Żółte, białe i czerwone kwiaty, wykwitające na podobnych do zakrzepłej rtęci płaszczyznach, ulegały zniekształceniu, trafiając na metalowe zęby i błyszczące kolce. Na mgnienie oka Gyges ujrzał własne zdeformowane odbicie w metalowej płycie, po czym przeszedł w nadczas.

Przeskok zajmował niespełna mikrosekundę, ale w niewyjaśniony sposób jedna z czterech zbrojnych w pazury łap stwora znalazła się

wewnątrz pola fazowego, zanim zdążyło się do końca uformować. Ostre jak brzytwa palce rozcięły syntetyczne tkanki i sięgnęły po jedno z serc Gygesa. Ten zaś, nie bacząc na doznane uszkodzenia, natychmiast kontratakował. Machnął srebrzystym, nadczasowym ramieniem jak poziomym ostrzem gilotyny; pancerz ze stopów węglowych zostałby przecięty niczym wilgotna tektura, ale chromowa powierzchnia nie ustąpiła. Ręka Gygesa odbiła się od piersi stwora w strugach iskier i przy wtórze jazgotu blachy; stracił czucie w palcach i strzaskał obie stalowe kości w przedramieniu.

Pazurzasta łapa czyniła spustoszenie we wnętrzu jego ciała: wyszarpywała wnętrzności i kilometry światłowodów. Gyges zauważył, że brzuch ma rozcięty od mostka po pępek, ale nie miało to większego znaczenia. Nadal był sprawny.

Zacisnął prawą dłoń w zabójczy obuch i grzmotnął nim wprost w błyskające czerwienią oczy. Cios powinien okazać się śmiertelny, ale olbrzymie szczęki stwora rozwarły się i zatrzasnęły szybciej, niż Gyges wyprowadził atak. Stracił dłoń.

Rzucił się na przeciwnika, usiłując doprowadzić do połączenia pól i znaleźć siew zasięgu umożliwiającym wykorzystanie własnych zębów. Dwie stalowe dłonie chwyciły go, przebijając pole fazowe, zagłębiły się w ciało i przytrzymały nieruchomo. Lśniaca chromem czaszka wykonała gwałtowny ruch i sterczący z niej cień przebił prawe oko Gygesa, uszkadzając przedni płat mózgu.

Gyges krzyknął - nie z bólu jednak, chociaż po raz pierwszy odczuwał coś, co można by tak nazwać, lecz z wściekłości, z czystego, niepohamowanego gniewu. Jego zęby zatrzaskiwały się z łoskotem w powietrzu w poszukiwaniu szyi wroga, stwór jednak trzymał go niewzruszenie w wyprostowanych rękach, trzykroć dłuższych niż jego własne. W tym samym momencie wyrwał Gygesowi oba serca i wyrzucił je daleko do rzeki, a w następnej nanosekundzie rzucił się na

niego i jednym kłapnięciem kłów przegryzł mu gardło i kręgosłup, odrywając głowę od tułowia. Gyges próbował jeszcze przejść na telemetryczne sterowanie wciąż zdolnym do walki ciałem, ale krew i płyny ustrojowe z pustego oczodołu zalewały mu zdrowe oko, nadajnik w czaszce został zdruzgotany, a wszczepiony w śledzionę odbiornik wyszarpięty z korpusu.

Nagle cały świat zawirował - najpierw mignęła Gygesowi korona słoneczna wokół drugiego księżyca, później poznaczona barwnymi plamami powierzchnia rzeki, jeszcze raz niebo, a potem nastąpiła ciemność. Resztkami świadomości zdał sobie sprawę, że jego głowa ląduje w rzecznych odmętach; ostatni obraz, jaki zapisał mu się na siatkówce przed zatonięciem, przedstawiał jego własne bezgłowe ciało, przyciśnięte do metalowego korpusu stwora i przebite dziesiątkiem cierni. Potem nastąpił błysk, Chyżwar zniknął z nadczasu i głowa Gygesa zapadła się w ciemne fale.

Rhadamanth Nemes zjawiała się na miejscu pięć minut później. Na brzegu znalazła tylko pozbawione głowy ciało brata; wiatrower i odziana w czerwone szaty rodzina tubylców zniknęli bez śladu; w najbliższej okolicy nie było ani jednej łodzi. Słońce z wolna wynurzało się spoza tarczy większego księżyca.

Mam tu Gygesa, nadała na wspólnym kanale. Briareus i Scylla w dalszym ciągu przeszukiwali z żołnierzami miasteczkę - rozkuto już śpiącego strażnika, ale żaden z mieszkańców nie chciał powiedzieć, do kogo należy dom, w którym go znaleziono. Scylla sugerowała pułkownikowi Vinarze, żeby przestał się przy tym upierać.

Nemes zaczęła odczuwać przykre dolegliwości, kiedy wyłączyła pole fazowe. Wszystkie jej żebra - i te z kości, i te z permastali - uległy złamaniu bądź odkształceniu, niektóre organy wewnętrzne zostały zmiażdżone na papkę, a lewa ręka w ogóle przestała funkcjonować. Nemes straciła przytomność na prawie dwadzieścia minut

standardowych. Straciła przytomność! Podczas czterech lat spędzonych w zestalonej lawie na Bożej Kniei ani na sekundę nie straciła kontaktu z rzeczywistością! W dodatku obrażenia zadano jej przez niemożliwe do przeniknięcia pole fazowe.

Teraz nie miało to żadnego znaczenia. Jej ciało naprawi się, kiedy zapadnie w letarg po opuszczeniu tej zapomnianej przez Centrum planety. Uklęka przy ciele brata: było poszarpane pazurami, wypatroszone - przy okazji niemal pozbawione kości - i bez głowy. Podrygiwało jeszcze bezradnie, a połamane palce wciąż próbowały dosięgnąć nieobecnego wroga.

Nemes aż się wzdrygnęła - nie ze współczucia dla Gygesa czy obrzydzenia na widok jego obrażeń - lecz ze szczerego żalu, że ominęła ją taka walka. Teraz po prostu fachowym okiem oceniała przebieg starcia i czuła coś na kształt podziwu. Atak w tunelu nastąpił zbyt szybko, by zdążyła zareagować - zastał ją w połowie przeskoaku fazowego - co dotychczas uważała za niemożliwe.

Znajdę go, nadała i przeszła w nadczas. Powietrze zgęstniało, upodabniając się do galarety. Nemes zeszła z nasypu, przebiła się przez stawiającą znaczny opór powierzchnię wody i ruszyła po dnie w dół rzeki. Cały czas wywoływała Gygesa na wspólnym kanale i przeszukiwała koryto radarem głębokościowym.

Jego głowę znalazła prawie kilometr od portalu, tak daleko zniósł ją silny w tym miejscu nurt. Skorupiaki zdążyły już ogryźć wargi, wyżreć jedyne oko i przystępowały do penetracji oczodołów. Nemes strząsnęła je jednym ruchem i zabrała głowę na brzeg.

Transmitter w czaszce Gygesa został całkowicie zniszczony, a struny głosowe rozdarte na pół. Nemes podłączyła się więc mikrowłóknem wprost do ośrodka pamięci brata. Ze zmiażdżonej czaszki sączyły się resztki mózgu i zawierającego DNA żelu.

Nie zadawała pytań - po prostu wyszła z nadczasu i ściągnęła zawartość bloków pamięci, na bieżąco przekazując ją pozostałej dwójce.

— Chyżwar - odezwała się Scylla.

— Niemożliwe, Sherlocku - nadał w odpowiedzi Briareus.

— Zamknijcie się - poleciła Nemes. - Kończcie już z tymi bałwanami.

Posprzątam tu i będę na was czekać w lądowniku.

Ślepa i ociekająca śluzem głowa Gygesa usiłowała przemówić; z jej zmasakrowanych ust dobywały się gardłowe, syczące dźwięki. Nemes podniosła ją do ucha.

— Szz...pszsz... chszsze. - Proszę. - Pomszsz. - Pomóż. - Szszzmmszi. - Mi.

Nemes opuściła głowę Gygesa i obejrzała zwłoki: brakowało większości organów wewnętrznych, rozwleczone dookoła światłowody płątały się w zielsku i nurzały w mule, szarawe wnętrzości i strzępy żelu neuronowego rozbryznęły się po okolicy, a odłamki kości migotały w trawie, kiedy padł na nie blask wynurzającego się zza księżyców słońca. Komory autochirurgiczne były wobec takich jak oni bezradne, a samodzielne wyleczenie zajęłoby Gygesowi wiele miesięcy.

Odłożyła głowę, na trawę i owinęła ciało jego własnymi wnętrzościami i mikrowłóknami. Obciążyła je kamieniami, upychając kilka także wewnątrz korpusu, po czym, upewniwszy się, że w pobliżu nadal nie widać żadnych statków, cisnęła zwłoki na środek nurtu. Widziała już na własne oczy, że w rzece roi się od wygłodniałych, niewybrednych padlinożerców; wiedziała też, że nie wszystkie elementy ciała im się spodobają.

Wsunąwszy kciuk i palec wskazujący w oczodoły podniosła głowę Gygesa - jego język wciąż miotał się chaotycznie w ustach - i swobodnym ruchem, bez zamachu, rzuciła ją do wody. Czaszka natychmiast zatoneła.

Nemes podbiegła do transmitera, zerwała jedną z płyt z rdzewiejącej i ponoć niezniszczalnej powierzchni i wyciągnęła z nadgarstka włókno komunikacyjne. Podłączyła się do matrycy.

— Nie rozumiem tego - zgłosił się Briareus. - Wysłał go donikąd.

— Nie donikąd, tylko w miejsce, które nie należało do Sieci - poprawiła go Nemes i wciągnęła sondę do wnętrza ręki. - I w którym Centrum nie postawiło transmitera.

— To niemożliwe - zaproponowała Scylla. - Nie ma innych transmiterów poza tymi, które zbudowało Centrum.

Nemes westchnęła; jej rodzeństwo składało się z samych durniów.

— Zamknijcie się i wracajcie do lądownika - nadała. - Musimy o tym zameldować. Radca Albedo będzie chciał poznać szczegóły.

Dokonała przesunięcia w fazie i pobiegła do lądownika. Wokół niej powietrze zgęstniało i przybrało odcień sepii.

12

Wcale nie zapomniałem o guziku awaryjnym. Sęk w tym, że w chwilach autentycznej paniki człowiek nie ma czasu myśleć o guzikach.

Kajak spadał w nieskończony przestwór znaczony chmurami, które wyrastały z sinopurpurowej otchłani, leżącej daleko w dole i kończyły się w mlecznych obłokach dalsze tysiące metrów nad moją głową. Patrzyłem jak utracone wiosło koziółkuje swobodnie, coraz bardziej się ode mnie oddalając - o moim (i kajaka) znacznie szybszym locie decydowały względy aerodynamiki i graniczna prędkość spadania, której akurat w tamtej chwili nie potrafiłbym wyliczyć. Olbrzymie fale z rzeki, którą zostawiłem za plecami, leciały wraz ze mną - część masy wody poprzedzała mnie, część goniła - rozdzielając się na jajowato wydłużone, gigantyczne krople, jakie widywałem już w zerowym ciężeniu. Wiatr jednak szybko rozbijał je na coraz to mniejsze i mniejsze drobinki; czułem, jakbym leciał w obrębie własnej, obejmującej tylko najbliższą okolicę ulewy. Kartaczownica, od której ciężaru uwolniłem śpiącego żołnierza w sypialni Dem Loi, tkwiła zaklinowana między moim udem i zakrzywioną uszczelką fartucha. Dłonie zacisnąłem w pięści i z odsuniętymi od tułowia łokciami musiałem przypominać pisklę szykujące się do pierwszego w życiu lotu. Po pierwszym krzyku nie mogłem więcej rozewrzeć kurczowo zaciśniętych szczęk; zęby trzonowe zgrzytały mi nieprzyjemnie. Spadałem!

Na mgnienie oka w górze ukazał mi się jeszcze łuk transmitera, przez który przybyłem, aczkolwiek określenie „łuk” jest w tym przypadku nietrafione: olbrzymie urządzenie, zawieszone swobodnie w pustce, miało kształt metalowego torusa i przypominało zardzewiałe ciastko z dziurką. Przez moment widziałem po drugiej stronie

pierścienia niebo Vitus-Gray-Balianusa B, a potem obraz zblakł i ustąpił miejsca lokalnym chmurom. Jak okiem sięgnąć, był to jedyny stały obiekt w morzu obłoków, w którym przebyłem już ponad kilometr w pionie. Przez jedną krótką, szaloną chwilę wyobraziłem sobie, że jestem ptakiem i mogę podfrunąć do obręczy, przycupnąć na jej szerokiej dolnej krawędzi i zaczekać, aż...

Aż co? Chwyciłem krawędź burty chybotającego się kajaka i o mały włos nie okręciłem się do góry nogami, kiedy tak leciał dziobem naprzód w ciągnące się kilometrami purpurowe otchłanie.

I wtedy przypomniałem sobie o guziku awaryjnym. Czego byś nie robił, nie dotykaj tego guzika, powiedziała Enea. Nie dotykaj go, dopóki nie będzie to absolutnie konieczne.

Kajak jeszcze raz zawirował wokół dłuższej osi i przy okazji prawie wytrząsnął mnie ze środka. Nie siedziałem już miękkiej poduszce na dnie; miałem wrażenie, że dolna część mojego ciała unosi się w ciasnym kokpicie, stając się niezależnym elementem kontynuującej swobodny spadek konstelacji wody, wiosła i rozpędzonego kajaka. Uznałem, że jest to absolutnie konieczne, podniosłem plastikową osłonę i kciukiem wdusiłem czerwony przycisk.

Z przodu i z tyłu, w górnej powierzchni kadłuba otworzyły się klapy. Uchyliłem się, żeby uniknąć dobywających się z nich wsporników i chmury materiału. Kajak wyrównał lot i wyhamował tak gwałtownie, że nieomal wyrwało mnie z kokpitu. Starłem się nie rozluźnić uchwytu na burtach, kiedy łódeczka podskakiwała i łapała równowagę, a bezkształtna początkowo masa nade mną formowała się z wolna w twór o wiele bardziej skomplikowany od zwyczajnego spadochronu - i mimo fali paniki i adrenaliny rozpoznałem co mam przed sobą: płótno pamięciowe, które kupiliśmy z A. Bettikiem na Indiańskim Targu nieopodal Taliesina Zachodniego. Zasilany energią słoneczną, piezoelektryczny materiał był prawie przezroczysty, niezwykle lekki,

nadzwyczaj wytrzymały i potrafił odtworzyć kilkanaście wprowadzonych mu do pamięci konfiguracji. Mieliśmy nawet zamiar nabyć większą jego ilość i wymienić płócienny dach głównej pracowni, który wiecznie obsuwał się i gnił, tak że musieliśmy go regularnie naprawiać. Pan Wright uparł się jednak, by zostawić stare, prawdziwe płótno; uwielbiał pracować w przefiltrowanym przez nie złocistym świetle. A. Bettik zabrał zatem parę metrów materii do warsztatu, a ja kompletnie o niej zapomniałem.

Teraz jednak od razu ją poznałem.

Bezwładny spadek został powstrzymany. Kajak zawisł pod trójkątnym skrzydłem paralotni, rozpiętym na nylonowych wspornikach, umocowanych do strategicznych punktów kadłuba. Nadal leciałem w dół, ale teraz lot mój przypominał łagodne szybowanie. Podniosłem głowę i spojrzałem w górę - płótno pamięciowe było praktycznie przezroczyste - ale pierścień transmitera zniknął już w oddali i skrył się wśród chmur. Wiatr odsuwał mnie od niego.

Chyba powinienem czuć wdzięczność wobec przyjaciół - dziewczynki i androida - że jakimś cudem przewidzieli tę sytuację i stosownie wyposażyli kajak, pierwsze jednak, co przyszło mi do głowy, to szczerze: Ażeby was szlag trafił! Tego już było za wiele: zrzucić mnie do świata złożonego z powietrza i chmur, gdzie nie ma stałego gruntu! Jeżeli Enea wiedziała, że tu trafię, to dlaczego...

Nie ma stałego gruntu? Wychyliłem się z kajaka i spojrzałem w dół: być może miałem właśnie opaść łagodnie na jakąś na razie niewidoczną powierzchnię?

Ale nie: kilometry przestworzy dzieliły mnie na razie od niskich warstw czarnych i purpurowych chmur, z rzadka rozjaśnianych wściekłymi piorunami. Musiało tam panować niewyobrażalne ciśnienie... no właśnie: jeśli znalazłem się na planecie typu

jowiszowego, takiej jak sam Jowisz czy powiedzmy Wir, to jakim cudem oddychałem? Jeśli mnie pamięć nie myliła, wszystkie odkryte przez ludzi olbrzymy gazowe składały się z samych nieprzyjemnych pierwiastków i związków chemicznych: metanu, amoniaku, helu, tlenku węgla, fosforowodoru, cyjanku wodoru i innych paskudztw, uzupełnionych śladowymi ilościami wody; nigdy nie słyszałem o olbrzymie, który mógłby się pochwalić nadającą się do oddychania mieszaniną tlenu i azotu - ale przecież właśnie oddychałem w najlepsze. Powietrze było wprawdzie nieco rzadsze niż na większości znanych mi planet i lekko załatywało amoniakiem, ale się nie dusiłem. W takim razie nie znajdowałem się na gazowym olbrzymie, tylko... Tylko gdzie?

Podniosłem dłoń do ust i zwróciłem się do komlogu:

— Gdzie jesteśmy, do licha?

Nie słysząc natychmiastowej odpowiedzi doszedłem do wniosku, że bransoleta uległa uszkodzeniu na Vitus-Gray-Balianusie B, ale po chwili usłyszałem wyniosły głos statku:

— Nie wiem, M. Endymion. Mam pewne informacje, ale niekompletne.

— Słucham.

Z prędkością karabinu maszynowego komlog zasypał mnie danymi na temat temperatury w skali Kelwina, ciśnienia w milibarach, przybliżonej gęstości w gramach na centymetr sześcienny, przypuszczalnej pierwszej prędkości kosmicznej w kilometrach na sekundę, pola magnetycznego w gaussach, po których nastąpiła długa lista pierwiastków i związków chemicznych wraz z ich procentowym udziałem w atmosferze.

— Prędkość kosmiczna pięćdziesiąt cztery i dwa kilometra na sekundę - powtórzyłem. - Jak na olbrzymie gazowym, prawda?

— W rzeczy samej - przytaknął mi głos statku. - Na Jowiszu wynosi ona pięćdziesiąt dziewięć i pięć dziesiątych kilometra na sekundę.

— Ale atmosfera jest inna - zauważyłem. Daleko z przodu formował się stratocumulus, przywodząc mi na myśl przyrodniczy holofilm, puszczony w przyspieszonym tempie. Gigantyczna chmura musiała sięgać z dziesięć kilometrów nad moją głowę, jej podstawa zaś niknęła w mrocznych, przesywanych błyskawicami odmętach. Padające na nią niemal poziomo promienie słońca miały ciepłe barwy: zbliżał się zachód.

— Atmosfera nie zgadza się z żadnym z moich zapisów - przyznał komlog. - Obecność tlenku węgla, acetylenu, etanu i innych węglowodorów naruszających warunki równowagi Solmewa można z łatwością wyjaśnić jowiszową kinetyką molekuł i promieniowaniem słonecznym, które rozbija cząsteczki metanu. Tlenek węgla jest standardowym produktem wymieszania metanu z parą wodną daleko w dole, gdzie temperatura przekracza tysiąc dwieście kelwinów. Wysoki poziom tlenu i azotu zaś...

— No właśnie - zaciekawilem się.

— Wskazuje na możliwość istnienia życia.

Rozejrzałem się nagle dookoła, jakby z nieba lub spośród chmur coś miało wypełznąć i na mnie zapolować.

— Życia na powierzchni?

— Raczej nie - zaproponował komlog. - Jeżeli do tej planety stosują się normy znane nam z Jowisza i Wiru, ciśnienie na tak zwanej powierzchni jest prawie siedemdziesiąt milionów razy wyższe niż na Starej Ziemi. Temperatura natomiast sięga dwudziestu pięciu tysięcy kelwinów.

— Jak wysoko się teraz znajdujemy?

— Nie mam stuprocentowo pewnych informacji - odparł przyrząd. - Uwzględniając jednak ciśnienie atmosferyczne, które wynosi w tym

miejscu siedemdziesiąt sześć setnych ciśnienia na Starej Ziemi, i przyjmując, że jest to standardowy olbrzym gazowy typu jowiszowego, sądzę, że jesteśmy powyżej troposfery i tropopauzy, w dolnych rejonach stratosfery.

— A nie powinno przypadkiem tu być zimniej? Przecież to prawie otwarty kosmos.

— Nie na olbrzymie gazowym - zauważył komlog nieznośnym, mentorskim tonem. - Efekt cieplarniany powoduje inwersję termiczną i nagrzewa warstwę stratosfery do znośnej dla człowieka temperatury. Aczkolwiek na przestrzeni kilku kilometrów można zaobserwować znaczny przyrost lub spadek temperatury.

— Kilku kilometrów - powtórzyłem cicho. - Ile powietrza jest jeszcze pod nami?

— Tego nie wiadomo. Z ekstrapolacji wynikałoby jednak, że promień planety, mierzony od środka do górnych warstw atmosfery, powinien wynosić około siedemdziesięciu tysięcy kilometrów. Warstwa mieszaniny tlenu, azotu i dwutlenku węgla, w której obecnie się znajdujemy, rozciąga się na przestrzeni od trzech do ośmiu tysięcy kilometrów, na wysokości około dwóch trzecich promienia.

— Od trzech do ośmiu tysięcy kilometrów - powtórzyłem głupkowato. - I to z pięćdziesiąt tysięcy kilometrów nad powierzchnią...

— W przybliżeniu. Należy jednak zauważyć, że ciśnienie panujące w pobliżu środka planety powoduje przemianę cząsteczkowego wodoru w metal...

— Jasne - wtrąciłem. - Wystarczy. - Miałem ochotę wymiotować.

— Należałoby jeszcze podkreślić pewną anomalię. Otóż interesujące zabarwienie pobliskich stratocumulusów wskazuje na obecność jedno- i wielosiarczków amonowych, chociaż na wysokościach powyżej troposfery należałoby spodziewać się wyłącznie cirrusów amoniakalnych. Chmury wodne nie powinny się formować, dopóki

ciśnienie nie osiągnie wartości około dziesięciu standardowych atmosfer, gdyż...

— Dość tego.

— Zwracam na to uwagę ze względu na ciekawy paradoks atmosferyczny, związany...

— Zamknij się - poleciałem.

Po zachodzie słońca zrobiło się przeraźliwie zimno, ale sam zachód będę pamiętał do końca życia.

Wysoko, wysoko w górze skrawki czegoś, co wyglądało mi na czyste niebo, pociemniały, upodabniając się najpierw do głębokiego hyperiońskiego błękitu, po czym przeszły w głęboką purpurę. Otaczające mnie chmury pojaśniały, podczas gdy otchłań w dole kryła się w mroku. Określenie „chmury” jest w tym przypadku żalosne i w żadnym razie nie oddaje wspaniałości i mocy spektaklu, jaki rozgrywał się przed moimi oczyma. Dorastałem w wozie wędrownych pasterzy, na bezdrzewnych mokradłach północnego Hyperiona, między Wielkim Morzem Południowym i płaskowyżem Pinion i naprawdę znam się na chmurach.

Daleko u góry pierzaste cirrusy i żebrowane cirrocumulusy odbijały światło zmierzchu pastelową mieszaniną delikatnego różu, jasnego fioletu i złota. Czuję się tak, jakbym znalazł się w świątyni, której odległy, różowy strop wspiera się na tysiącach nieregularnych filarów - strzelistych cumulusów i cumulonimbusów, których podobne do kowadeł podstawy ginęły w mroczniejących głębinach setki, a może tysiące kilometrów pod moim szybującym kajakiem; ich zaokrąglone kopuły piętrzyły się wysoko, przechodząc w obwiedzione świetlistą obręczą cirrostratusy równie daleko nad moją głową. Każda z kolumn lśniła ciepłym blaskiem, padającym na nią z zachodu, z odległych o tysiące kilometrów szczelin w chmurach; w tym świetle filary

zdawały się płonąć własnym ogniem, zupełnie jakby ich powierzchnie wykonano z łatwopalnej materii.

„Jedno - i wielosiarczki”, stwierdził komlog. Nie wiem, z czego składały się złotobrunatne cumulusy, przepływające przede mną w rozproszonym blasku, ale słońce rozpalało je czerwonym płomieniem i przecinało karmazynowymi smugami; krwiste macki wyciągały się z cielsk chmur niczym szkarłatne proporce; włókna tworzące cirrusowe sklepienie upodobniły się do pasemek mięśni w żywym organizmie; puchnące masy cumulusów oślepiały śnieżną bielą, złociste pasemka wylewały się ze wzburzonych cumulonimbusów niczym powódź blond włosów, odwiewana ze zwróconej ku górze, bladej twarzy. Światło nabrało głębszych, cieplejszych odcieni, których jaskrawość sprawiła, że łzy napłynęły mi do oczu. Potężne, prawie poziomie snopy boskiego światła płonęły pośród filarów, rozświetlały jedne, strącały w cień inne, przepalały lodowe obłoki i pionowe kurtyny deszczów, rozsiewały wokoło tysiące pojedynczych i podwójnych tęcz. Wreszcie z sinoczarnych otchłani podniosły się cienie, by połknąć obszary skręcających się w blasku cumulusów i cumulonimbusów, a później wspiąć się aż do wysoko zawieszonych cirrusów i pofalowanych altocumulusów. Nadejście cienia nie oznaczało jednak natychmiastowego zapanowania szarości i mroku - z początku wszystkie barwy tylko wysubtelniały: ogniste złoto ściemniało do brązu, czysta biel ustąpiła miejsca kremowym odcieniom, a później pogłębiającej się sepii; szkarłat świeżej krwi przeszedł w rdzawą czerwień krwi zakrzepłej, a jeszcze później w jesienny złotawy brąz. Kadłub kajaka przestał lśnić, a czasa paralotni przygasła, gdy przesunęła się nade mną czarna linia terminatora. Cienie pełzły coraz wyżej i wyżej - musiało to trwać dobre pół godziny, chociaż nie przyszło mi do głowy, żeby zerknąć na komlog

- a kiedy sięgnęły cirrusowego sklepienia, odniosłem wrażenie, że ktoś pogasił światła w mojej świątyni.

To był naprawdę niesamowity zachód słońca.

Pamiętam, że nie mogłem powstrzymać mrugania i mrużenia oczu, oszołomiony grą światła i cieni i niezwykłą, przejmującą dynamiką gotujących się mas chmur; wyczekiwałem nadejścia mroku, by dać odpocząć oczom i zebrać myśli. W tymże momencie zaczęły się zorze i pioruny.

Na Hyperionie nie obserwowano zórz polarnych, a przynajmniej ja nigdy o tym nie słyszałem, ale podczas wycieczki lądownikiem dookoła Starej Ziemi, na półwyspie będącym niegdyś siedzibą Republiki Skandynawskiej, miałem okazję podziwiać to zjawisko. Migotliwe światła przyprawiały mnie o gęsią skórkę i przypominały zwiewną suknię widmowej tancerki, kiedy patrzyłem, jak przepływają po pomocnym widnokręgu.

Na tej planecie nie było mowy o podobnych subtelnościach. Smugi światła, wyraźne i pooddzielane na kształt klawiszy ustawionego pionowo fortepianu, pojawiły się wysoko na niebie w kierunku, który w myślach zacząłem nazywać południem. Kolejne zasłony z przeskakujących między orbitami atomu elektronów, w odcieniach zieleni, złota, czerwieni i błękitów, wynurzały się z mroku i drżały w ciemnym powietrzu pode mną. Wydłużały się, rosły, rozszerzały, spotykały i przenikały nawzajem, zupełnie jakby planeta wycinała papierowe laleczki z migotliwego światła. W parę minut całe niebo ożyło pionowymi, ukośnymi i prawie poziomymi pasmami ruchomych barw. W ich świetle ponownie ujrzałem wieże z chmur, na których korpusach i mackach zimne światła kładły się tysiącem barw. Odnosiłem wrażenie, że niemal słyszę, jak cząsteczki wiatru słonecznego trą o siebie w pędzie, poganiane okrutnym polem magnetycznym olbrzymiej planety.

Żadne niemal - naprawdę je słyszałem: trzask, dudnienie, łoskot, wystrzały. Okręciłem się w kokpicie i wychyliłem za burtę, żeby zerknąć w dół: zaczęła się burza.

Jako dziecko napatrzyłem się na burze, a i na Starej Ziemi regularnie siadywaliśmy z A. Bettikiem i Eneą na zewnątrz jej pustynnego schronu, żeby podziwiać niewiarygodne pioruny nad górami. Nic jednak nie przygotowało mnie na to, czego świadkiem byłem teraz.

Otchłań, jak nazywałem przestworza pode mną, stała się niewyobrażalnie odległą posadzką, na której czekały mnie potworne ciśnienie i jeszcze gorsze gorąco. Teraz jednak ożyła światłem błyskawic, które strzelały wszędzie, jak okiem sięgnąć, niczym łańcuszek wybuchających po sobie bomb atomowych. Sądzę, że jedna z takich reakcji łańcuchowych mogłaby zdmuchnąć wszystkie miasta z całej półkuli normalnej planety. Złapałem brzegi kokpitu i zacząłem się pocieszać myślą, że burze rozpętały się setki kilometrów pode mną.

Pioruny były w piętrzące się nad nimi cumulonimbusy. Błyski białego światła rozświetlały chmury od wewnątrz i walczyły o prymat z migotliwymi barwami łączących się zórz. Grzmoty zaczynały się od infradźwiękowego drżenia, by po chwili wejść w zakres słyszalny - najpierw lekko mnie przerażały, a później traciły wszelką lekkość i tylko napędzały mi coraz większego stracha. Kajak miotał się dziko, reagując na pojawiające się znienacka dziury powietrzne i gwałtowne termiczne prądy wstępujące. Trzymałem się ze wszystkich sił i prosiłem Boga, żebym mógł znaleźć się na dowolnej innej planecie.

Wtedy też pioruny zaczęły przeskakiwać między spiętrzonymi wysoko filarami z chmur.

Zarówno informacje komlogu, jak i mój własny zdrowy rozsądek pozwoliły mi oszacować rzeczywiste rozmiary otoczenia: atmosfera ciągnąca się kilkadziesiąt tysięcy kilometrów w pionie, horyzont tak

odległy, że pomiędzy mną i zachodzącym słońcem zmieściłoby się kilkadziesiąt Ziemi czy Hyperionów - ale dopiero pioruny ostatecznie przekonały mnie, że świat ten stworzono z myślą o bogach i gigantach, a nie dla ludzi.

Iskry wyładowań elektrycznych były szersze niż Missisipi i dłuższe niż Amazonka; widziałem obie te rzeki, widziałem też te błyskawice - i wiem, co mówię.

Skuliłem się w kokpicie, jakby miało mi to pomóc, gdyby piorun uderzył w szybujący kajak. Włoski na rękach stanęły mi dęba i nagle zrozumiałem, że to samo dzieje się z włosami na karku i na głowie - zwłaszcza te ostatnie skręcały się niczym węże. Wyświetlacz komlogu migał komunikatem o przeciążeniu, a prawdopodobnie mówił też coś normalnym głosem, tyle że w kakofonii grzmotów nie usłyszałbym nawet strzału z działa laserowego, choćby wypaliło mi dziesięć centymetrów od ucha. Czasza paralotni, targana rozgrzanym powietrzem, zaczynała się drzeć przy wspornikach. W pewnym momencie, po błyskawicy, która mnie oślepiła, kajak podskoczył na fali powietrza i szarpnął się w górę, wyskakując powyżej paralotni. Czekałem tylko, aż nylonowe pręty potrzaskają i kajak ze mną w środku, w otulinie płótna pamięciowego będzie spadał przez długie minuty - albo i godziny - a ja będę krzyczał, dopóki ciśnienie i upał nie zamkną mi ust.

Kajak zachybotał się, wrócił do poprzedniej pozycji i jeszcze raz zahuśtał; nie przestawał się kołysać, ale na szczęście pozostawał pod czaszą.

Jakby mała było srożęcej się pode mną burzy, łańcuchowych eksplozji w ogromnych cumulusach i błyskawic, oplatających chmury siatką wyładowań na podobieństwo neuronów w obłąkanym mózgu, pioruny, zwykłe i kuliste, zaczęły odrywać się od chmur i strzelać w pogrążone w mroku obszary, gdzie unosił się mój kajak.

Patrzyłem, jak jedna z takich falujących kul elektryczności przelatuje niespełna sto metrów ode mnie; miała wielkość niedużej asteroidy, a czynionego przez nią hałasu wprost nie sposób opisać. Przypomni mi się pożar lasu na Aąquli, tornado, które wywróciło nasz wóz na bagnach kiedy miałem pięć lat, granaty plazmowe wybuchające na błękitnym lodowcu Pazura. Nawet połączone, wspomnienia te nie dorastały natężeniem łoskotowi olbrzymiego pocisku z błękitnego i białego światła, który przetaczał się za rufą kajaka.

Żywioł szalał ponad osiem godzin, mrok trwał dalsze osiem. Burzę zdołałem przeżyć, ciemność przespałem. Kiedy się obudziłem, roztrzęsiony, spragniony i wciąż na wpół głuchy, otrząsnąłem się z resztek wypełnionych światłem i grzmotem snów i zastanawiałem się, jak załatwić naturalną potrzebę na klęczkach, tak żeby nie wypaść przy tym z kajaka, ujrzałem pierwsze światło dnia, padające na drugą stronę kolumn, które zastąpiły podtrzymujące sklepienie świątyni filary. Wschód słońca był mniej widowiskowy: olśniewające białe i złote promienie ześliznęły się z cirrusowego sufitu, stoczyły po wzburzonych cumulusach i cumulonimbusach i zsunęły na mój poziom, gdzie czekałem zziębnięty. Ubranie i włosy miałem zupełnie mokre; w którymś momencie nocą porządnie mnie zlało.

Klęknąłem na miękko wyłożonym dnie kajaka, lewą ręką złapałem za burtę, sprawdziłem, czy przestało mną bujać i zająłem się najważniejszym. Cieniutka, złocista strużka załśniła w świetle poranka, spadając w nieskończoną otchłań - na powrót czarną, fioletową i nieprzeniknioną. W krzyżu łupało mnie okropnie; przypomniałem sobie cierpienia, jakich przysporzył mi ostatnio kamień w nerce, nie mogąc się oprzeć wrażeniu, że stało się to w innym, niezmiernie odległym życiu. Cóż, pomyślałem, jeśli czeka mnie wydalanie następnego kamyczka, dzisiaj nic z tego.

Zapiąłem spodnie i zacząłem wślizgiwać się z powrotem do kokpitu, starając się jednocześnie rozprostować nogi i nie wyleźć z kajaka. Rozmyślałem o możliwości znalezienia drugiego transmitera w bezkresnych niebiosach po całej nocy zbaczania z kursu - tak jakbym wcześniej podążał po jakimś wytyczonym kursie - gdy nagle dotarło do mnie, że nie jestem już sam.

Żywe istoty wzlatywały do góry wokół mnie.

Z początku widziałem tylko jedno ze stworzeń i z braku skali porównawczej nie mogłem jednoznacznie oszacować jego rozmiarów: mogło mieć kilkanaście centymetrów długości i unosić się o parę metrów od kajaka, albo kilkukilometrowe cielsko i szybować bardzo daleko ode mnie. Kiedy jednak stwór wśliznął się między odległą chmurę i jeszcze odleglejszą wieżę cumulusów, zrozumiałem, że „kilka kilometrów” znacznie lepiej określało jego wielkość. Gdy bardziej się zbliżył, dostrzegłem również niezliczone mniejsze istoty, które towarzyszyły mu w locie.

Zanim postaram się opisać te stwory muszę nadmienić, iż praktycznie żadne wydarzenia z epoki kolonizacji spiralnego ramienia Galaktyki nie przygotowały nas na spotkanie z naprawdę dużymi istotami. Na kilkuset planetach, jakie zbadano i zasiedlono podczas Hegiry i w następujących po niej stuleciach, większość obcych form życia stanowiły rośliny i bardzo nieskomplikowane organizmy w rodzaju świetlistych pajęczków z Hyperiona. Nieliczne wysoko rozwinięte gatunki zwierząt - takie jak świecące pyski na Marę Infinirus czy zepliny z Wiru - często padały masowo ofiarą myśliwych. Zwykle jednak kolonizacja kończyła się w ten sposób, że na planecie zostawała garstka pierwotnych gatunków i całe mrowie form życia, które przystosowały się do obecności ludzi. Przybysze dokonywali terraformowania przeznaczonych do zamieszkania planet, sprowadzając własne bakterie, robactwo, ryby, ptaki i ssaki pod

postacią surowego DNA. Najpierw, za czasów najstarszych statków kolonizacyjnych, wystarczyło po prostu rozmrozić embriony, później zaś nadeszła epoka ogromnych wylęgarni. Efekty takiego postępowania znałem z Hyperiona: najsilniejsze rodzime gatunki - drzewa teslowe, chalma, dziwodrzew i garstka hyperiońskich owadów - koegzystowały ze znakomicie rozwijającymi się przeszczepami ziemskiej flory i fauny, czasem tylko lekko zmodyfikowanymi na potrzeby nowego domu: tripolami, błękitkami, dębami, kaczkami, rekinami, kolibrami i jeleniami. Nie przywykliśmy do nieznanymi zwierząt.

Tymczasem bez wątpienia z takimi właśnie istotami miałem się lada moment spotkać.

Największa z nich przypominała hyperiońskie mątwy - kolejny przystosowany do nowego świata gatunek ze Starej Ziemi - których mnóstwo żyło w ciepłych, płytkich wodach Wielkiego Morza Południowego. Podobne do korpusu kałamarnicy ciało było niemal przezroczyste, dzięki czemu doskonale widziałem organy wewnętrzne zwierzęcia. Przyznam jednak, że nie bardzo potrafiłem odróżnić wnętrze od tego, co na zewnątrz, gdyż cielsko nieustannie pulsowało, drżało i z sekundy na sekundą zmieniało kształt niczym statek morfujący przed bitwą. Stwór nie miał głowy, nie miał nawet charakterystycznego dla kałamarnic spłaszczenia tułowia, które można by od biedy uznać za łeb. Widziałem za to mnóstwo macek, a właściwie wyrostków czy włókien, które bezustannie zwijały się, wysuwały, cofały i podrygiwały - tyle że część z nich sterczała ze skóry, część zaś rosła do środka ciała. Nie umiałbym powiedzieć, czy istota przemieszczała się w powietrzu dzięki ich ruchom, czy też raczej dzięki energii odrzutu gazów, wypuszczanych jak z balonu, gdy olbrzymie cielsko na przemian kurczyło się i puchło.

Usiłowałem przypomnieć sobie opis zeplinów, jaki wyłaniał się z wyjaśnień Starowiny i przeczytanych w przeszłości książek -

wszystko jednak wskazywało, że zwierzęta te, pochodzące z Wiru, wyglądały znacznie zwyczajniej: ot, jajowate worki wypełnione gazem, które gromadziły w galaretowatych ciałach mieszaninę tlenu z metanem i wytwarzały hel w prymitywnych pęcherzach balastowych; gigantyczne meduzy, przemierzające wodorowo-amoniakalno-metanowe przestworza Wiru. Żywiły się czymś na kształt atmosferycznego fitoplanktonu, którego nie brakowało w szkodliwym dla ludzi powietrzu. Na Wirze nie było drapieżników... dopóki nie zjawili się tam ludzie w latających batyskafach, żeby pozyskiwać rzadkie gazy.

W miarę jak mątwą zbliżała się do mnie, zaczynałem rozróżniać coraz więcej szczegółów: bladoszare, pulsujące narządy wewnętrzne, podobne do jelit zwoje, coś, co wyglądało mi na wypustki do chwytania pokarmu, otwory i kanały służące albo do reprodukcji, albo do eliminacji wrogów; niektóre wyrostki skłonny byłem interpretować jako narządy rozrodcze albo, z równym prawdopodobieństwem, oczy na szypułkach. Istota na zmianę to kurczyła się i wciągała podrygujące wypustki, to znów nadymała się znacznie i prostowała wszystkie macki, jak kałamarnica w wodzie. Miała z pięćset metrów długości.

Widziałem ją coraz lepiej; wokół niej kłębiły się tysiące złotawych, okrągłych, płaskich istot - najmniejsze zmieściłyby mi się w dłoni, największe zaś przerastały średnicą płaszczki rzeczne, zaprzęgane na Hyperionie do holowania barek. Stworzenia te również były prawie całkiem przezroczyste, ale wnętrza ich ciał spowijała zielonkawa poświata, emanująca zapewne z gazu pobudzanego do świecenia przez pole bioelektryczne. Kręciły się wokół mątwy, od czasu do czasu znikając w którymś z licznych otworów na jej ciele, by zaraz pojawić się z powrotem. Nie dałbym sobie głowy uciąć, że widziałem, jak są pożerane, w pewnej chwili jednak zdawało mi się, że widzę skupisko

zielono świecących istot, przemieszczające się w środku Jelita” mątwy niczym płytki krwi w przezroczystej żyłce.

Potwór w asyście drobniejszych towarzyszy podpłynął bliżej i przesłonił mi słońce. Światło przechodziło przez cielsko mątwy, zanim padło na kajak i parolotnię. Doszedłem do wniosku, że jest większa, niż początkowo sądziłem - w chwili maksymalnego nadęcia musiała mieć z kilometr długości i trzysta metrów szerokości. Żywe złote krążki otoczyły mnie ze wszystkich stron; nie tylko falowały jak płaszczyki, ale także wirowały wokół własnej osi.

Wyjąłem na wierzch i odbezpieczyłem zabraną Alemowi kartaczożnicę. Gdyby stwór mnie zaatakował, zamierzałem wystrzelić mu pół magazynka w bok ciała, w nadziei, że okaże się równie cienkie, jak było przezroczyste. Może udałoby mi się upuścić zeń trochę gazu, który pozwalał mu unosić się w paśmie bogatej w tlen atmosfery.

Nagle kojarzące mi się z łbami hydry wypustki wystrzeliły we wszystkie strony - niektóre o kilka metrów chybiły mojego spadochronu - i zdałem sobie sprawę, że nie zdążyłbym pozbyć się istoty, która jednym machnięciem wypustki może zniszczyć parolotnię i strącić mnie w dół. Czekałem więc, podświadomie spodziewając się, że lada moment zostanę wciągnięty do pyska mątwy - o ile w ogóle miała pysk.

Nic się nie wydarzyło. Kajak szybował w kierunku, który umownie nazwałem zachodem, parolotnia reagowała na wznoszące i opadające prądy termiczne, chmury kłębiły się dookoła, a mątwą w towarzystwie zielonkawych dysków - które z braku lepszego pomysłu nazwałem „pasożytami” - trzymała się stale o kilkaset metrów na „pomoc” ode mnie i około stu metrów wyżej. Zastanawiałem się, czy powoduje ją ciekawość, czy raczej głód; intrygowało mnie też, czy okrągłe „pasożyty” szykują się do ataku.

Nie mogąc jednak nic w ich sprawie zrobić, odłożyłem pistolet na kolana, schrupałem ostatniego biszkopta z plecaka i pociągnąłem łyk z manierki. Wody zostało mi już na niespełna dzień, toteż przeklinałem się w myślach za to, że nie próbowałem uzupełnić zapasów, kiedy w nocy zalewał mnie deszcz. Nie wiedziałem tylko, czy tutejsza woda nadaje się do picia.

Długi poranek przeszedł w równie długie popołudnie. Kilkakrotnie wlatywałem w tym czasie w spiętrzone chmury i podniósłszy głowę, zlizywałem ściekające mi po twarzy krople mgły. Smakowały jak woda. Za każdym razem, gdy wynurzałem się z obłoków, spodziewałem się, że mątwą już się nie pojawi, ale niewzruszenie trwała na posterunku po prawej, nieco u góry. Był taki moment, kiedy słońce dopiero zaczynało opadać z zenitu, że kajak dostał się wewnątrz chmury w wyjątkowo niespokojny prąd powietrzny, a szarpana turbulencjami paralotnia niemal złożyła się na pół. Kiedy znów wyjrzałem na szeroki świat, znajdowałem się ładnych parę kilometrów wyżej, w warstwie rzadszego, zimniejszego powietrza. Mątwą wzniosła się w ślad za mną.

Może jeszcze nie jest głodna. Może poluje po zmroku - takimi myślami dodawałem sobie przez ten czas otuchy.

Bez przerwy rozglądałem się po bezkresnym niebie w poszukiwaniu drugiego pierścienia transmitera. Na próżno. Głupotą byłoby zresztą spodziewać się go w tym miejscu: ciepłe prądy gnały mnie dotąd z grubsza na zachód, ale kaprysy nocnej aury ciskały mnie to na południe, to na północ. Jak znaleźć mikroskopijne w gruncie rzeczy ucho igielne po całej dobie miotania się w kółko? Miałem małe szansę, ale nie ustawałem w poszukiwaniach.

Wczesnym popołudniem zdałem sobie sprawę, że w dole, dalej na południe, szybują następne żywe istoty: to mątwy kręciły się przy podstawie wypiętrzonej na tysiące kilometrów chmury. Słońce przebijało zalegający w dole mrok i wydobywało z niego błyszczące

cielska na skłębionym, czarnym tle. To jedno skupisko z pewnością liczyło kilkaset sztuk. Z tej odległości nie widziałem towarzyszących im płaskich pasożytów, ale rozproszona, delikatna poświata, przywodząca na myśl unoszącą się chmurę kurzu, sugerowała ich obecność - i to idącą w miliony osobników. Przyszło mi do głowy, że potwory zwykle trzymają się niższych warstw atmosfery i tylko mój, wciąż oddalony na tyle, żeby w każdej chwili sięgnąć mnie wypustkami pokarmowymi, z ciekawości zapędził się wyżej.

Zaczynały mnie łąpać skurcze. Wyczołgałem się z kajaka i spróbowałem się przeciągnąć na wierzchu kadłuba, trzymając się wsporników paralotni. Wiedziałem, czym ryzykuję, ale musiałem się rozruszać. Położyłem się na plecach i zakręciłem szybki rowerek nogami, a potem, wsparłszy się o krawędź kokpitu, zrobiłem parę pompek. Kiedy już pozbyłem się uczucia drętwoty w mięśniach, wpelzłem z powrotem do kajaka i zapadłem w drzemkę.

Może się to wydać dziwne, ale przez całe popołudnie błądziłem myślami gdzie indziej — nawet wówczas, gdy olbrzymia mątwą zbliżyła się i machnęła mackami, a otaczające ją płaskie stworki tańczyły dosłownie o parę metrów od kajaka. Ludzki umysł szybko przyzwyczaja się do niezwykłości, jeżeli nie ma w niej nic ciekawego.

Zacząłem wspominać ostatnie dni, miesiące i lata. Myślałem o Enei, o tym, że musiałem ją zostawić, i o wszystkich, których porzuciłem: o A. Bettiku i mieszkańcach Taliesina Zachodniego, o starym poecie na Hyperionie, o Dem Rii i jej rodzinie na Vitus-

Gray-Balianusie B, o ojcu Glaucusie w skutych lodem tunelach Sol Draconi Septem, o Cuchiacie, Chiaku, Cuchtu, Chichticu i pozostałych Chitchatukach z tejże planety... Nawiasem mówiąc, Enea twierdziła, że ojciec Glaucus i nasi przyjaciele z Sol Draconi zostali zamordowani wkrótce po tym, jak opuściliśmy planetę; nigdy jednak nie powiedziała mi, skąd to wie. Potem przypomniałem sobie jeszcze innych ludzi:

cofnałem się w duchu do ostatniego spotkania ze Starowiną i resztą klanu, kiedy przed wielu, wielu laty odchodziłem na służbę w Straży Planetarnej . Za każdym razem wracałem myślami do Enei.

Opuściłem zbyt wielu ludzi; zbyt wielu zmusiłem do tego, by pracowali za mnie i walczyli w moim imieniu. Czas to zmienić - od tej pory będę walczył sam. I jeśli zdołam jeszcze odnaleźć Eneę, zostanę z nią na zawsze. Takie oto szczere postanowienie powziąłem w obliczu beznadziejnych prób znalezienia drugiego transmitera.

ZNASZ
TEJ, KTÓRA NAUCZA
DOTKNEŁA
CIE (?!?)

Słowa nie dotarły do mnie jako fala dźwiękowa; nie usłyszałem ich. Każde z nich rozległo się za to niczym grzmot młota, bijącego od wewnątrz w moją czaszkę. Zatoczyłem się i musiałem mocno chwycić się burty, żeby nie wypaść z kajaka.

CZY ZOSTAŁEŚ
DOTKNIĘTY/ODMIENIONY
NAUCZYŁEŚ SIĘ
SŁYSZEĆ/WIDZIEĆ/CHODZIĆ
OD
TEJ, KTÓRA NAUCZA
(????)

Każdy wyraz był jak fala migreny, uderzał z siłą, która chyba wystarczyłaby do nabicia mi krwiaka na mózgu. Słyszałem słowa wypowiedane wewnątrz mojej głowy moim własnym głosem. Czyżbym wariował?

Otarłem łzy z oczu i spojrzałem na olbrzymią mątwę w orszaku zielonych, płytkowatych pasożytów. Cielsko pulsowało, kurczyło się, wysuwało poskręcane macki i płynęło wolno w chłodnym powietrzu.

Nie mogłem uwierzyć, żeby słowa pochodziły właśnie od tej istoty: była zanadto prymitywna, a ja nie wierzyłem w telepatię. Spojrzałem na rojące się wokół niej świetliste krążki, ale ich zachowanie miało tyle samo wspólnego ze świadomym ruchem, co podrygi drobinek kurzu w promieniach słońca; ławice ryb i stada nietoperzy potrafiły zachowywać się w sposób bardziej spójny.

— Kim jesteś?! - krzyknąłem. Czuję się okropnie głupio. - Kto to powiedział?!

Skuliłem się, oczekując uderzenia słów w mózgu, ale olbrzymi stwór nie zareagował.

— Kto to powiedział?! - krzyknąłem jeszcze raz, a nasilający się wiatr poniosł moje słowa w dal. Odpowiedział mi tylko trzepot pokrycia paralotni.

Kajak zakręcił się raptownie w prawo, wyprostował i znów szarpnął. Przesunąłem się na lewo oczekując, że zobaczę, jak druga mątwą uderza w moją łódeczkę. Ujrzałem jednak coś jeszcze gorszego.

Kiedy skupiłem się na unoszącej się na pomoc ode mnie istocie, od południa prawie całkowicie otoczył mnie gigantyczny, nabrzmiały, czarny cumulus. Wyszarpnięte wiatrem pasemka czerni odrywały się od pchanej ciepłym powietrzem chmury i przetaczały pode mną niczym hebanowe strumienie. Daleko w dole cumulus miotał błyskawice i pioruny kuliste; bliżej, o wiele bliżej, na krawędzi spiętrzonych złowrogo czarnej chmury, przycupnęło kilkanaście trąb powietrznych, które niczym skorpiony skierowały we mnie lejkowate odwłoki. Każdy wirujący lej miał kilka kilometrów wysokości, a otaczała go grupka mniejszych, podobnych stożków. Nie było szans, żeby delikatna paralotnia przetrwała choćby względnie odległy kontakt z rozszalałym wirem, a nie zanosilo się na to, żeby tornada miały minąć mnie bokiem.

Wstałem, nie bacząc na dzikie harce kajaka i przytrzymując się jednego ze wsporników. Prawą, wolną dłoń zacisnąłem w pięść, żeby pogrozić trąbom powietrznym, burzowym chmurom i niebu.

— W takim razie idźcie do diabła! - krzyknąłem. Skowyt wichury zagłuszył moje słowa. Wiatr targał poły mojej rozpiętej kamizelki, a jeden podmuch omal nie zwał mnie wprost w wirujące piekło. Wychyliwszy się daleko poza kadłub, zaparłem się przeciw wichrowi jak skoczek narciarski w momencie chwiejnej równowagi, tuż przed tym, jak zacznie spadać (widziałem takich skoczków na Pazurze). Jeszcze raz potrząsnąłem pięścią. - Róbcie, co chcecie! - wrzasnąłem. - Nie boję się was!

Jakby w odpowiedzi na moje wyzwanie, jedna z trąb powietrznych zbliżyła się do mnie z boku. Ostre zakończenie leja podrygiwało gwałtownie, jak gdyby w poszukiwaniu twardej powierzchni, którą mogłoby przebić. Tornado minęło mnie w odległości stu metrów, ale pozostała po nim pustka, która wessała mój kajak i zakręciła nim na podobieństwo zabawki w wannie nad otworem odpływowym. Wiatr, któremu się opierałem, ustał nagle i upadłem na śliski kadłub kajaka. Zsunąlbym się zapewne w niebyt, gdybym nie natrafił ześlizgującymi się palcami na jeden ze wsporników. W tej chwili znajdowałem się całkowicie poza kokpitem.

Śladem trąby powietrznej podążała burza gradowa. Lodowe kule - niektóre wielkości mojej pięści - uderzyły w płótno paralotni, przebiły je i zabębniły o kadłub, niczym trafiające w cel chmury kartaczy. Dostałem w nogę, bark i w plecy i niewiele brakowało, żebym pod wpływem bólu wypuścił z ręki wspornik. Za chwilę przekonałem się jednak, że nie miałoby to dużego znaczenia - mój spadochron został poszarpany na strzępy. Dał mi jaką taką ochronę przed bombardowaniem gradu, ale czasza straciła siłę nośną równie raptownie, jak przedtem zyskała, i runąłem z kajakiem w oddaloną

o tysiące kilometrów ciemność. Trąby powietrzne miały się wokół mnie, ja zaś chwyciłem bezużyteczny już wspornik przy samym kadłubie i trzymałem go mocno, zdeterminowany trwać tak, aż kajak, zniszczona parolotnia i ja sam zostaniemy zmiażdżeni w niewyobrażalnym ciśnieniu bądź rozszarpani wściekłą wichurą. Zauważyłem, że znów krzyczę, ale rym razem dźwięk brzmiał inaczej - jakbym wydierał się z radości i uniesienia.

Spadłem niespełna kilometr, a uzyskałem już szybkość znacznie przekraczającą graniczną prędkość spadania na Hyperionie czy na Starej Ziemi. I wówczas mątwą, o której zdążyłem zupełnie zapomnieć, zapikowała wprost na mnie. Musiała poruszać się naprawdę jak błyskawica, wyrzucając z cielska gazy w strumieniu odrzutowym, niczym kałamarnica w pościgu na zdobyczą. Zorientowałem się, że jest głodna i nie zamierza przegapić takiego obiadu, gdy zafalował wokół mnie rój długich wypustek pokarmowych. Gdybym został w nie zaplątany i wyhamowany w miejscu, to, uwzględniając prędkość, z jaką leciałem, wraz z kajakiem zmienilibyśmy się w bezkształtną papkę. Na razie jednak stwór leciał w dół wraz z nami, oplatając kajak, parolotnię, wsporniki i mnie najdrobniejszymi z wypustek — z których każda miała od dwóch do pięciu metrów średnicy. Dopiero po chwili wyhamował łagodnie, wyrzucając chmurę cuchnących amoniakiem gazów, tak jak statek kosmiczny podchodzący do lądowania opada na słupie ognia z silników. Potem zaś zaczął się wznosić z powrotem w rejon czarnego, burzowego cumulusa i trąb powietrznych. Na wpół świadomie zdałem sobie sprawę, że kieruje się wprost w olbrzymią chmurę, a przy tym delikatnie popycha mnie i zdezelowany kajak w stronę otworu, który nagle pojawił się w jej przezroczystym cielsku.

No tak, pomyślałem niewesoło, przynajmniej wiem, gdzie ma pysk.

Wsporniki i resztki płótna pamięciowego spowiły mnie niczym olbrzymi całun; kajak wyglądał jak owinięty przybrudzoną flagą.

Obróciłem się, żeby podpełznąć do kokpitu i poszukać kartaczownicy, dzięki której mógłbym utorować sobie drogę przez cielsko mątwy, ale broń oczywiście przepadła bez śladu; musiała wypaść z kokpitu, kiedy targany wiatrem kajak miotał się na wszystkie strony. Zgubiłem również poduszkę i plecak z ubraniem, jedzeniem, zapasem wody i latarką. Nie miałem nic.

Próbowałem się roześmiać, ale nie do końca mi się udało. Macki przyciągnęły mnie już na odległość pięćdziesięciu metrów od otworu w dolnej części cielska. Coraz lepiej widziałem organy wewnętrzne: niektóre wypełniało mrowie zielonych stworzonek, a wszystkie pulsowały rytmicznie falami perystaltyki. Kiedy zbliżyłem się jeszcze bardziej, zalała mnie obezwładniająca fala odoru środków czyszczących - woń amoniaku. Oczy zaczęły mi łzawić, a w gardle poczułem bolesne pieczenie.

Wróciło wspomnienie Enei, nie w jakiejś wybitnie wyrafinowanej formie - ot, przypomniałem sobie, jak wyglądała w dniu szesnastych urodzin, krótkowłosa, spocona i opalona po medytacji na pustyni - i w myślach przesłałem jej ostatnią wiadomość: Przepraszam, maleńka. Zrobiłem, co mogłem, żeby ściągnąć statek. Przepraszam.

Długie wypustki pokarmowe skurczyły się i wciągnęły mnie wraz z kajakiem do bezwargiej paszczy, która musiała mieć ze trzydzieści albo czterdzieści metrów średnicy. Wspomniawszy kadłub z włókna szklanego, ultranylonową płachtę pamięciową i węglowe wsporniki, zdobyłem się jeszcze na ostatnią, świadomą myśl: A żebyś tak dostał boleści!

Znalazłem się w przestrzeni cuchnącej rybami i amoniakiem. Zdążyłem jeszcze pomyśleć, że atmosfera w brzuchu zwierzęcia nie nadaje się raczej do oddychania, postanowiłem wyskoczyć z kajaka i uciec, zamiast dać się strawić - i straciłem przytomność, zanim

zdążyłem zadziałać, zanim w moim mózgu uformowała jeszcze choćby jedna myśl.

Bez mojej wiedzy potwór mknął w górę, spowity chmurą bardziej mroczną niż bezksiężycowa noc. Pozbawiona warg paszcza zasklepiła się bez śladu, a kajak, spadochron i ja staliśmy się zaledwie cieniem w płynnej treści przewodu pokarmowego mątwy.

Kenzo Isozaki nie zdziwił się, kiedy przyszli po niego żołnierze Gwardii Szwajcarskiej.

Pułkownik Corps Helvetica w asyście ośmiu gwardzistów, odzianych w pomarańczowo-niebieskie mundury i uzbrojonych w lance laserowe i paralizatory, zjawił się w Torus Mercantilus bez zapowiedzi i od razu zażądał spotkania z przewodniczącym w jego prywatnym gabinecie. Następnie przekazał Isozakiemu dysk z zaszyfrowanymi rozkazami, stosownego ubrania się i stawienia przed Jego Świątobliwością papieżem Urbanem XVI. Bezzwłocznie.

Pułkownik trzymał się w pobliżu, gdy Isozaki zniknął w prywatnym apartamencie, wziął szybki prysznic, po czym założył najbardziej oficjalną białą koszulę, szarą kamizelkę, czerwony krawat, dwurzędową czarną marynarkę ze złotymi guzikami i płaszcz z czarnego aksamitu.

— Czy mogę jeszcze przekazać telefonicznie instrukcje dla moich zastępców, na wypadek gdybym nie mógł uczestniczyć w zaplanowanych na dzisiaj spotkaniach? zapytał Isozaki, gdy wraz z pułkownikiem wysiedli z windy przy recepcji; żołnierze ustawili się w złotobrazowy szpaler między biurkami.

— Nie - odparł krótko oficer.

Na miejscu osobistego statku Isozackiego przycumowała jednostka patrolowa Floty Paxu. Załoga powitała przewodniczącego Mercantilusa krótkimi, prawie niezauważalnymi ukłonami, później kazano mu przypiąć się do leżanki i okręcić w eskorcie dwóch liniowców pomknął ku sercu układu.

Traktują mnie jak więźnia, nie jak szacownego gościa, zauważył Isozaki. Nie dał, oczywiście, nic po sobie poznać, ale zalewająca go fala strachu ustąpiła przed czymś na kształt ulgi. Spodziewał się takiego

rozwoju sytuacji od chwili, gdy nieoficjalnie spotkał się z radcą Albedo; od owego bolesnego, traumatycznego wydarzenia prawie nie sypiał. Zdawał sobie sprawę, że nie ma żadnego powodu, dla którego Albedo nie miałby ujawnić prób kontaktu między Mercantilusem i TechnoCentrum, miał jednak nadzieję, że próby te zostaną potraktowane jako jego prywatna inicjatywa. W duchu Isozaki dziękował wszystkim bogom, którzy chcieliby go wysłuchać, że jego przyjaciółka i zastępczyni Anna Pelli Cognani, znajdowała się poza Pacem - uczestniczyła w międzyplanetarnych targach na Renesansie.

Ze swego miejsca między stanowiskiem pułkownika Gwardii i leżanką jednego z jego ludzi Isozaki widział holoramę taktyczną tuż przed fotelem pilota. Sfera ruchomych świateł i barw, poznaczona grubymi pasmami cyfr i szyfrów, niewiele powiedziałaoby laikowi, ale Isozaki pilotował różne statki, jeszcze zanim ci wszyscy chłopcy przyszli na świat. Widział więc, że nie lecą na Pacem, lecz kierują się w okolice punktu trojańskiego w samym środku roju rozmieszczonych na asteroidach baz i stanowisk obronnych floty.

Orbitalne więzienie Świętego Oficjum, pomyślał. Miejsce to cieszyło się jeszcze gorszą sławą niż Zamek Świętego Anioła. Wirtualne narzędzia tortur pracowały ponoć dzień i noc, bez wytchnienia; nikt nie słyszał krzyku uwięzionych w lochach na orbicie. Nie ulegało wątpliwości, że rozkaz przybycia na audiencję papieską był tylko okrutnym żartem, mającym na celu wywabienie go z siedziby Pax Mercantilus. Założyłby się o dowolną sumę, że najdalej za kilka dni - a może godzin - jego marynarka i płaszcz zmienią się w przesiąknięte krwią i potem szmaty.

Mylił się całkowicie. Kiedy stateczek wyhamował nad płaszczyzną ekliptyki, Isozaki zrozumiał, dokąd zmierzają: na Castel Gandolfo, do „letniej stolicy” papieskiego państwa.

Wbudowany w leżankę ekran działał bez zarzutu, toteż Isozaki kazał sobie wyświetlić widok, jaki roztaczał się przed zainstalowanymi w kadłubie kamerami. Eskortujące ich liniowce zostały z tyłu, a okręciak zaczął zniżać lot ku masywnej, kartoflowatej asteroidzie. Castel Gandolfo miał nieco ponad czterdzieści kilometrów długości i dwadzieścia pięć szerokości, nie był więc dużą planetą. Miał również błękitne niebo i bogatą w tlen atmosferę, utrzymywaną polem siłowym dwudziestej klasy, opatrzonym niezliczonymi mechanizmami awaryjnymi i wielokrotnie zdublowanym zasilaniem. Wzgórza i tarasy zieleniły się trawą i zbożem, sztucznie utworzone góry zalesiono, poprowadzono wśród nich strumienie i wypuszczono na wolność mnóstwo drobnej zwierzyny. Isozaki patrzył, jak przelatują nad zabytkową włoską wioseczką, i zdawał sobie sprawę ze złudności całej tej sielanki: okoliczne bazy Paxu natychmiast zniszczyłyby każdy wrogi okręt czy flotę, natomiast pod skorupą Castel Gandolfo kryły się podziemne garnizony z obsadą liczącą ponad dziesięć tysięcy Szwajcarów i żołnierzy innych elitarnych jednostek.

Statek morfował skrzydła i przeszedł na ciche, elektryczne silniki odrzutowe. Żołnierze Gwardii Szwajcarskiej w pełnym rynsztunku bojowym eskortowali go przez ostatnie pięć kilometrów podejścia: łagodne światło słońca odbijało się od ich opływowych pancerzy i przezroczystych wizjerów, gdy otoczyli statek i niezwykle wolno zbliżyli się do zamku. Niektórzy sondowali patrolowiec trzymanymi w dłoniach czujnikami podczerwieni i radarami głębokościowymi, żeby potwierdzić liczbę i tożsamość pasażerów, znaną im z otrzymanego wcześniej, zaszyfrowanego manifestu przewozowego.

W ścianie jednej z kamiennych wież otworzyły się wrota, przez które patrolowiec wleciał do środka. Pilot zgasił silniki i pozwolił wyposażonym w odrzutowe plecaki Szwajcarom przeciągnąć maszynę na stanowisko.

Śluza się otworzyła. Gwardziści pierwsi zeszli po rampie i rozstawili się w dwóch szeregach, twarzami do siebie; dopiero wtedy pułkownik wyprowadził Isozakię. Przez moment przewodniczący spodziewał się ujrzeć schody albo windę, po chwili jednak cała podłoga drgnęła i ruszyła w dół. Silnik i przekładnie pracowały bezgłośnie i tylko po ruchu kamiennych ścian można było poznać, że jadą na dół, a później w bok, ginąc w podziemnych czeluściach Castel Gandolfo.

Zatrzymali się. W lodowatej, kamiennej ścianie naprzeciwko pojawiły się drzwi. Za nimi wyłonił się z mroku korytarz o ścianach z lśniącej stali, w którym w dziesięciometrowych odstępach unosiły się w powietrzu plastowłóknowe skrzynki z holokamerami. Pułkownik dał znak ręką i Isozaki ruszył na czele procesji. Tunel rozbrzmiewał echem kroków. Kiedy doszli do końca korytarza, zalała ich powódź niebieskawego światła - to kolejne sondy i sensory przeczesywały ich ciała z zewnątrz i od środka - po czym przy dźwięku dzwonka pojawił się kolejny, okrągły portal. Otworzył się jak źrenica w oku i wszyscy weszli do oficjalnej poczekalni, w której już znajdowali się inni ludzie.

Niech to szlag, pomyślał przewodniczący Mercantilusa ujrawszy Annę Pełli Cognani, odzianą w eleganckie, nowojedwabne szaty. Obok niej stali przewodniczący Helvig Aron i Kennet Hay-Modhino, pozostali dwaj zastępcy Isozakię w Radzie Nadzorczej Pan-

kapitalistycznej Ligi Niezależnych Katolickich Międzygwiazdnych Organizacji Handlowych.

Niech to szlag! Kenzo Isozaki bez słowa skinął głową swoim współpracownikom. Wyraz jego twarzy nie zmienił się ani na jotę. Chcą, żebyśmy wszyscy odpowiadali za moje poczynania. Razem zostaniemy ekskomunikowani i straceni.

— Tędy proszę - rzekł pułkownik Gwardii Szwajcarskiej i otworzył przed nimi ozdobnie rzeźbione drzwi. Leżący dalej pokój krył się w mroku. Isozaki poczuł zapach świec, kadzidła i wilgotnego kamienia

i zdał sobie sprawę, że tym razem Szwajcarzy nie pójdą za nim i jego ludźmi. Cokolwiek ich czekało, było przeznaczone tylko dla nich.

— Dziękuję, pułkowniku - odparł miłym głosem i zdecydowanym krokiem wszedł w ciemność.

Znaleźli się w niedużej kaplicy, której główne oświetlenie stanowiły czerwone świece wotywny, migoczące w świeczniku z kutego żelaza pod jedną ze ścian, oraz dwa hakowate witrażowe okna, daleko z przodu, za prostym ołtarzem. Na samym ołtarzu stało dalszych sześć świec, pod oknami zaś umieszczono metalowe misy, w których płonął ogień, rzucając dodatkową, rdzawą poświatę na ściany wąskiego pomieszczenia. W komnacie znajdował się tylko jeden fotel - wysoki, z prostym oparciem, obity aksamitem - stojący na lewo od ołtarza. W oparciu wprowadzono ozdobę, która na pierwszy rzut oka przypominała krzyżokształt, przy baczniejszych oględzinach okazała się jednak potrójnym krzyżem papieskim. Ołtarz wraz z tronem znajdowały się na niedużym, kamiennym podwyższeniu.

Poza tym w kaplicy brakowało ławek czy krzeseł, za to po obu stronach przejścia, którym szli M. Isozaki, M. Cognani, M. Hay-Modhino i M. Aron, na kamiennej posadzce rozłożono czerwone, aksamitne poduszki. Tylko cztery z nich były jeszcze wolne - po dwie z każdej strony. Przewodniczący Mercantilusa zanurzyli koniuszki palców w kamiennym zbiorniku z wodą święconą, przeżegnali się, przyklękli na jedno kolano przed ołtarzem i zajęli miejsca na poduszkach. Ponownie padli na kolana. Zanim Kenzo Isozaki spuścił głowę i zaczął się modlić, rozejrzał się po kaplicy.

Najbliżej ołtarza klęczał watykański Sekretarz Stanu Simon Augustino kardynał Lourdusamy, istna góra czerwieni i czerni w pełgającym, czerwonym blasku. Masywne szczęki i podbródek kardynała zasłaniały koloratkę. Zaraz za nim znalazł się jego podobny do stracha na wróble asystent, monsignore Lucas Oddi. Po przeciwnej

stronie przejścia, pogrążony w modlitwie, z zamkniętymi oczyma, klęczał Wielki Inkwizytor Świętego Oficjum John Domenico kardynał Mustafa, z cieszącym się złą sławą oprawcą i agentem wywiadu, ojcem Farrellem, u boku.

Po stronie Lourdusamy'ego klęczało także troje oficerów Floty Paxu: admirał Marusyn, którego siwe włosy lśniły w szkarłatnej poświacie, jego adiutantka admirał Marget Wu oraz kobieta, której twarz Isozaki przypomniał sobie z niejakim wysiłkiem - admirał Aldikacti. Obok Wielkiego Inkwizytora klęczała kardynał Du Noyer, prefekt i prezes Cór Unum, kobieta po siedemdziesiątce, o mocno zarysowanej szczęce i krótko przyciętych siwych włosach. Jej oczy przypominały dwa krzemienie. Isozaki nie wiedział, kim jest mężczyzna w szatach monsignora, który klęczał za jej plecami.

Ostatnie cztery postaci na klęczkach były przewodniczącymi Mercantilusa - Aron i Hay-Modhino znaleźli się po tej samej stronie co Wielki Inkwizytor, Isozaki i Cognani - po przeciwnej. Łącznie w kaplicy przebywało trzynaście osób. Niezbyt szczęśliwa liczba, przyszło na myśl Isozakiemu.

W ścianie na prawo od ołtarza bezszelestnie otworzyły się ukryte drzwi. Wszedł z nich papież w otoczeniu czterech mężczyzn. Trzynaścioro zgromadzonych w kaplicy ludzi poderwało się z klęzek i pochyliło głowy w ukłonie. Isozaki zdążył rozpoznać dwóch asystentów Jego Świątobliwości, trzecim człowiekiem był dowódca straży papieskiej - ot, po prostu anonimowi funkcjonariusze - lecz czwartą osobą towarzyszącą papieżowi okazał sienie kto inny, jak odziany w szarości sam radca Albedo. Tylko on nie odstępował papieża ani na krok, gdy ten przeszedł po kaplicy, podając wszystkim pierścień do ucałowania i kładąc im dłoń na głowach, kiedy ponownie uklękli. Później papież Urban XVI zajął miejsce na wysokim tronie, a Albedo stanął za jego plecami. Trzynaścioro dygnitarzy natychmiast wstało.

Isozaki spuścił wzrok. Jego twarz stanowiła wzór opanowania, ale serce waliło mu tak, jakby chciało wyrwać się z piersi. Czy Albedo nas teraz wsypie? Czyżby wszystkie te grupy próbowały potajemnie skontaktować się z Centrum? A teraz czeka nas konfrontacja z Jego Świątobliwością, usunięcie krzyżokształtów i egzekucja? Doszedł do wniosku, że taki właśnie rozwój wydarzeń jest nad wyraz prawdopodobny.

— Bracia i siostry w Chrystusie - zaczął Jego Świątobliwość. - Cieszymy się, że zgodziliście się do nas przybyć w tak ważnym dniu. To, co zamierzamy wam powiedzieć w tej cichej kaplicy, o której istnieniu mało kto wie, od stuleci pozostawało tajemnicą i dopóki Stolica Apostolska nie zmieni decyzji, musi pozostać naszym wspólnym sekretem. Niniejszym tak właśnie wam nakazujemy, pod groźbą ekskomuniki i wiecznej utraty światła Chrystusowego.

Trzydziestu mężczyzn i kobiet stłumionymi głosami wyraziło swą zgodę i odmówiło krótki pacierz.

— W ubiegłych miesiącach i latach - ciągnął papież - nastąpiły wydarzenia zarazem niezwykle i przerażające. Śledziliśmy je z oddalenia, a niektóre z pomocą Pana Naszego, Jezusa Chrystusa, zdołaliśmy przewidzieć; modliliśmy się, by ich nam oszczędzono, by nie dotknęły naszego ludu, Paxu i Kościoła, by nie stały się dla nich sprawdzianem woli, wiary i siły ducha. Wszystko jednak dzieje się zgodnie z wolą Bożą i nawet najwierniejsi Jego słudzy nie mogą ogarnąć rozumem wszystkich znaków i ich implikacji. Możemy tylko wierzyć w miłosierdzie Pańskie, kiedy okazuje się, że wydarzenia te mogą nam zagrażać.

Zgromadzeni w kaplicy dygnitarze pilnowali, żeby nie podnieść przedwcześnie wzroku.

— Zamiast jednak relacjonować owe zdarzenia z naszej perspektywy, poprosimy kogoś, kto uczestniczył w nich osobiście, by

nam o nich opowiedział. Następnie postaramy się wyjaśnić związki, jakie łączą te pozornie odległe sytuacje. Admirale?

Siwowłosey admirał Marusyn stanął tak, by mieć przed sobą i Jego Świątobliwość, i resztę słuchaczy. Odchrząknął.

— Z meldunków, jakie napłynęły do nas z planety zwanej Vitus-Gray-Balianusem B wynika, iż niewiele brakowało, byśmy pojмали Hyperiończyka nazwiskiem Raul Endymion, który przed blisko pięcioma laty standardowymi wymknął się nam wraz z główną poszukiwaną, dziewczynką imieniem Enea. Członkowie specjalnej formacji, Gwardii Szlacheckiej... - Admirał skinął głową w stronę papieża Urbana XVI, który spuścił wzrok, wyrażając zgodę. - Otóż członkowie tego właśnie oddziału specjalnego zwrócili uwagę dowódcy garnizonu na Vitus-Gray-Balianusie B, że poszukiwany prawdopodobnie znajduje się na podległym mu terenie. Poszukiwany zdążył wprawdzie uciec, zanim zakończyliśmy poszukiwania, mamy jednak niezbite dowody - w postaci próbek DNA i mikrośladów - na to, że był nim ten sam Raul Endymion, którego przed czterema laty na krótko aresztowano na Marę Infinitus.

Kardynał Lourdusamy chrząknął.

— Nie od rzeczy byłoby, admirale, gdyby przedstawił pan, w jaki sposób podejrzany Raul Endymion wymknął się z Vitus-Gray-Balianusa B.

Isozaki bez mrugnięcia okiem zarejestrował fakt, że Lourdusamy będzie na tym spotkaniu przemawiał w imieniu Jego Świątobliwości.

— Dziękuję, Wasza Ekscelencjo - odrzekł Marusyn. - Rzeczywiście, wszystko wskazuje na to, że Endymion przybył na planetę, a następnie oddalił się z niej za pośrednictwem zabytkowych transponderów.

Najmniejszy pomruk nie zmącił panującej w kaplicy ciszy, Isozaki wyczuł jednak falę zaciekawienia i zaskoczenia. Od czterech lat

słyszało się plotki o siłach Paxu ścigających jakiegoś heretyka, któremu udało się uruchomić drzemiące od wieków portale.

— Czy transponder wykazywał ślady aktywności, kiedy pańscy ludzie dokonali inspekcji? - zapytał Lourdusamy.

— Nie, Wasza Ekszelencjo - odparł admirał. - Żaden z portali nie działał, ani ten w górze rzeki, przez który uciekinier przybył na planetę, ani ten poniżej osady.

— Jest pan jednak pewien, że ten... Endymion... nie dotarł na planetę w bardziej tradycyjny sposób? I że w tej chwili się na niej nie ukrywa?

— Tak, Wasza Ekszelencjo. Należący do Paxu Vitus-Gray-Balianus B charakteryzuje się znakomitym systemem kontroli ruchu i zabezpieczeń przed atakiem. Każdy statek kosmiczny zostałby wykryty w odległości kilku godzin świetlnych od planety. A podczas poszukiwań przewróciliśmy ją do góry nogami... podaliśmy serum prawdy kilkudziesięciu tysiącom tubylców. Człowiek nazwiskiem Endymion zniknął, natomiast świadkowie twierdzą, że widzieli błysk światła przy dolnym transponderze w tym samym momencie, kiedy nasze czujniki, rozmieszczone na tej samej półkuli i na orbicie, zarejestrowały przepływ znacznej energii, o charakterystyce podobnej do pola transmisyjnego portali.

Jego Świątobliwość podniósł wzrok i dyskretnie dał znak Lourdusamy'emu.

— Wiem, że ma pan jeszcze jedną niepokojącą wiadomość - zadudnił głos kardynała.

Twarz admirała przybrała jeszcze bardziej ponury wyraz. Skinął głową.

— To prawda, Wasza Ekszelencjo... Wasza Świątobliwość. Chodzi o pierwszy bunt w historii naszej floty.

Isozaki ponownie wyczuł szok, jaki wywołały słowa Marusyna w zebranych, choć nikt nawet nie mrugnął. Sam nie dał nic po sobie

poznać, kątem oka dostrzegł jednak, że Anna Pełli Cognani spogląda na niego.

— Raport w tej sprawie przedstawi admirał Aldikacti - dodał Marusyn. Cofnął się i skrzyżował ramiona na piersi.

Isozaki zwrócił uwagę, że Aldikacti, jak każda Luzyjka, jest z wyglądu toporna i masywna niczym cegła w mundurze i właściwie na pierwszy rzut oka trudno byłoby rozpoznać jej płeć.

Nie traciła czasu na odchrząkiwanie, lecz od razu przeszła do rzeczy: mówiła o grupie uderzeniowej „Gedeon”, misji zniszczenia twierdz Intruzów na dalekim Pograniczu, o sukcesach odniesionych w siedmiu układach gwiazdnych, aż wreszcie o niespodziance w ostatnim, nazwanym Lucyferem.

— Do tego momentu wyniki ekspedycji wykraczały daleko poza nasze oczekiwania i symulacje - mówiła chrapliwie Aldikacti. - W związku z tym po zakończeniu działań w Lucyferze zatwierdziłam rozkaz wysłania bezzałogowego statku kurierskiego na Pacem, do Jego Świątobliwości i admirała Marusyna... z prośbą o wydanie pozwolenia na zatrzymanie się w bazie Tau Ceti w celu uzupełnienia zapasów amunicji i paliwa oraz kontynuowanie misji grupy uderzeniowej „Gedeon”. Uznałam, że warto byłoby zaatakować dalsze siedziby Intruzów, zanim wieść o naszych działaniach rozejdzie się po Pograniczu. Uzyskawszy takie zezwolenie, podjęłam kroki, mające na celu translację części grupy uderzeniowej do układu Tau Ceti. Tam mieliśmy dokonać przebrojenia okrętów, uzupełnić paliwo oraz dołączyć do grupy pięć dalszych archaniołów, które weszły do służby, odkąd opuściliśmy kosmos Paxu.

— Translację części grupy? - powtórzył Lourdusamy basowym głosem.

— Tak jest, Wasza Ekscelencjo - w bezbarwnym głosie Luzyjki próżno by się doszukiwać przeprosin czy niepewności. - Sześć

wyposażonych w napęd Hawkinga liniowców Intruzów zdołało uniknąć wykrycia i zaczynały właśnie rozpędzać się, zmierzając ku punktom translacji, która zapewne zaprowadziłaby je do innego układu Intruzów. Tym samym zdołałyby przekazać informacje o istnieniu i możliwościach naszej grupy uderzeniowej. Zamiast jednak kierować przeciwko nim całego „Gedeona”, który właśnie zbliżał się do punktu translacji, wydałam HHS „Gabrielowi” i HHS „Rafaelowi” rozkaz pozostania w Lucyferze, przechwycenia i zniszczenia liniowców.

Lourdusamy splótł pulchne dłonie w fałdach szaty. Jego głos przypominał mruczenie olbrzymiego kota.

— Po czym pani okręt flagowy, „Uriel”, wraz z czterema pozostałymi archaniołami dokonał translacji do układu Tau Ceti, czy tak?

— Tak jest, Wasza Ekscelencjo.

— Czy zdawała sobie pani sprawę, pani admirał, że dowódcą „Rafaela” jest ojciec kapitan de Soya, ten sam, któremu przed kilkoma laty udzielono nagany za nieudaną misję, mającą na celu odnalezienie i schwytanie dziewczynki imieniem Enea?

— Tak jest, Wasza Ekscelencjo.

— Czy była pani również świadoma faktu, że Flota Paxu i Stolica Apostolska uznały kwestię... powiedzmy... równowagi duchowej ojca kapitana de Sol za tak istotną, iż na pokładzie „Rafaela” umieszczono tajnego agenta, który miał śledzić poczynania dowódcy i meldować o nich?

— Szpiega - powiedziała Aldikacti. - Komandora Lieblera. Tak, wiedziałam o nim, Wasza Ekscelencjo. Wiedziałam również, że obecni na „Urielu” wysłannicy Świętego Oficjum odbierają zaszyfrowane meldunki od komandora Lieblera.

— Czy owi wysłannicy przekazali pani jakieś niepokojące informacje, uzyskane z tychże meldunków, pani admirał?

— Nie, Wasza Ekscelencjo. Nie znałam natury zastrzeżeń, jakie żywi Święte Oficjum wobec ojca kapitana de Soi, jego lojalności bądź zdrowia psychicznego.

Kardynał Mustafa odchrząknął i podniósł rękę z wyprostowanym palcem.

Lourdusamy, kierujący przedstawieniem, które, jak szybko zauważył Isozaki i inni zebrani, przerodziło się w godne inkwizycji przesłuchanie, zerknął na papieża.

Jego Świątobliwość skinął na Wielkiego Inkwizytora.

— Uważam za konieczne napomknąć Jego Świątobliwości i innym zgromadzonym w tej komnacie znakomitym gościom, iż projekt obserwacji ojca kapitana de Sol został zatwierdzony... i opracowany... przez Święte Oficjum, na mocy słownych konsultacji z Sekretariatem Stanu i dowództwem Floty Paxu... które reprezentował admirał Marusyn.

Zapadła cisza, którą po dłuższej chwili przerwał Lourdusamy:

— Czy może nam pan zdradzić, kardynale Mustafa, co stało się przyczyną tej wzmożonej troski?

Mustafa zwilżył językiem wargi.

— Tak, Wasza Ekscelencjo. Z informacji naszego... wywiadu wynikało, że podczas pościgu za podejrzaną imieniem Enea i sporadycznych bezpośrednich z nią kontaktów mogło dojść do zakażenia.

— Zakażenia? - powtórzył Lourdusamy.

— Tak, Wasza Ekscelencjo. Doszliśmy do wniosku, że dziewczynka posiada zdolność wpływania na psychikę tych spośród obywateli Paxu, z którymi wejdzie w bliższy kontakt. W tym przypadku mieliśmy wątpliwości co do lojalności i posłuszeństwa jednego z dowódców we Flocie Paxu.

— Na jakiej podstawie wyciągnęliście takie wnioski, kardynale Mustafa?

— Korzystaliśmy z różnych źródeł i metod zdobywania informacji, Wasza Ekscelencjo — odparł Wielki Inkwizytor po chwili milczenia.

Lourdusamy nie zwlekał.

— Między innymi zatrzymaliście i... przesłuchaliście jednego z członków załogi ojca kapitana de Soi, uczestnika wspomnianego już nieudanego pościgu za dziewczynką, czy tak, kardynale? Niejakiego... kaprala Kee, jeśli mnie pamięć nie myli.

Mustafa zamrugał.

— Zgadza się, Wasza Ekscelencjo - odparł i obrócił się tak, by stanąć twarzą do reszty zgromadzonych, nie odwracając się przy tym tyłem do Jego Świątobliwości i Sekretarza Stanu. - Tego rodzaju zatrzymanie stosujemy niezwykle rzadko, jednakże uznaliśmy je za uzasadnione w sytuacji, która zagraża bezpieczeństwu Paxu i Kościoła.

— Ależ oczywiście, Ekscelencjo - mruknął kardynał Lourdusamy. - Pani admirał Aldikacti, proszę kontynuować.

— W kilka godzin po przeskoku na Tau Ceti, zanim jeszcze ktokolwiek zdążył przejść dwudniowy cykl zmartwychwstania, w układzie pojawił się bezzałogowy kurier, wysłany przez matkę kapitan Stone...

— Dowódcę HHS „Gabriel” - uzupełnił Lourdusamy.

— Zgadza się, Wasza Ekscelencjo. Z zaszyfrowanej, przeznaczonej tylko dla mnie osobiście wiadomości wynikało, że liniowce Intruzów zostały zniszczone, natomiast „Rafael” skierował się ku nie zatwierdzonemu punktowi translacji, nie reagując na wydany mu przez matkę kapitan Stone rozkaz zatrzymania się.

— Inaczej mówiąc - wymruczał Lourdusamy - na jednym z okrętów należących do floty Jego Świątobliwości doszło do buntu.

— Na to wygląda, Wasza Ekscelencjo. Aczkolwiek tym razem to dowódca stanął na czele buntowników.

— A był nim ojciec kapitan de Soya.

— Tak jest, Wasza Ekscelencjo.

— Czy podjęto próbę skontaktowania się z wysłannikiem Świętego Oficjum na „Rafaelu”?

— Tak jest, Wasza Ekscelencjo. Ojciec kapitan de Soya odparł, że komandor Liebler jest zajęty, chociaż matka kapitan Stone uznała to za mało prawdopodobne.

— Jak zareagował na pytanie o punkt translacji?

— Ojciec kapitan de Soya powiedział, że tuż przed skokiem na Tau Ceti wydałam mu zmienione rozkazy.

— Czy matka kapitan Stone zadowolona była tym wyjaśnieniem?

— Nie, Wasza Ekscelencjo. Matka kapitan Stone zmniejszyła dystans między okrętami i wdała się w walkę z „Rafaelem”.

— Jaki był wynik tego starcia?

Aldikacti zawahała się przez jedno uderzenie serca.

— Wasza Ekscelencjo... Wasza Świątobliwość... Ponieważ matka kapitan Stone zastosowała w meldunku szyfr, który tylko ja mogłam odczytać, w układzie Tau Ceti minął cały dzień - tyle bowiem trwał awaryjny cykl wskrzeszeniowy, jaki dla siebie nastawiłam - zanim przeczytałam wiadomość i zarządziłam natychmiastowy przeskok z powrotem do Lucyfera.

— Ile okrętów zabrała pani ze sobą, pani admirał?

— Trzy, Wasza Ekscelencjo. Okręt flagowy, czyli „Uriela”, z nową załogą, oraz dwa archanioły, które czekały na nas w układzie Tau Ceti, „Mikala” i „Izraila”. Uznałam, że ryzyko związane z przyspieszonym wskrzeszeniem całej grupy uderzeniowej „Gedeon” byłoby zbyt duże.

— Sama jednak postanowiła pani zaryzykować?

Aldikacti nie odpowiedziała.

— Co działo się dalej, pani admirał Aldikacti?

— Dokonaliśmy translacji do Lucyfera, Wasza Ekscelencjo, gdzie nastąpiło automatyczne zmartwychwstanie załóg w cyklu dwunastogodzinnym. Znaczna liczba wskrzeszeń nie powiodła się, połączywszy jednak dostępne części załóg zdołałam zapewnić „Urielowi” pełną obsadę, po czym przestawiłam pozostałe dwa okręty w pasywny tryb obronny i rozpoczęłam poszukiwania „Gabriela” i „Rafaela”. Nie znalazłam żadnego z nich, natknęłam się natomiast na boję sygnałową, ulokowaną po przeciwnej stronie słońca Lucyfera.

— Boję tę postawiła... - podsunął Lourdusamy.

— Matka kapitan Stone. Znalazłam w niej zapis starcia archaniołów, które miało miejsce niespełna dwa dni wcześniej. Stone usiłowała zniszczyć „Rafaela” bronią plazmową i pociskami jądrowymi, ale bez powodzenia. Wówczas skierowano na okręt ojca kapitana de Sol paralizator bojowy.

W kapliczce zapadła cisza. Isozaki patrzył, jak czerwony blask migoczących świec wotywnych kładzie się na zbolącej twarzy Jego Świątobliwości papieża Urbana XVI.

— Jaki był wynik tego spotkania? - zapytał Lourdusamy.

— Obie załogi zginęły - odparła Aldikacti. - Według wskazań automatycznych przyrządów „Gabriela”, „Rafael” dokonał zaprogramowanego wcześniej przeskoku. Matka kapitan Stone zawczasu rozkazała załodze zająć stanowiska w bojowych komorach zmartwychwstańczych i tak zaprogramowała komputer pokładowy, żeby wskrzesił ją wraz z kilkoma najbardziej niezbędnymi członkami załogi w przyspieszonym, awaryjnym cyklu ośmiogodzinnym. Oprócz niej tylko jeden z oficerów przeżył tę próbę. Matka kapitan Stone postawiła więc boję i skierowała okręt w ślad za „Rafaelem”, zdecydowana go znaleźć i zniszczyć, zanim de Soya i jego załoga powstaną z martwych. Oczywiście pod warunkiem, że w chwili

ostrzału z paralizatora znajdowali się w komorach zmartwychwstańców.

— Czy matka kapitan Stone wiedziała, dokąd udał się „Rafael”, pani admirał?

— Nie, Wasza Ekscelencjo. W takiej sytuacji w grę wchodzi zbyt wiele zmiennych.

— Jak zareagowała pani na meldunek matki kapitan Stone?

— Oczekałam dwanaście godzin, aż na pokładzie „Mikala” i „Izraila” zostanie wskrzeszony komplet załogi, po czym wydałam wszystkim trzem okrętom rozkaz translacji w tym samym punkcie, w którym zniknęły „Gabriel” i „Rafael”. Zostawiłam drugą boję sygnałową dla archaniołów, które, jak sądziłam, powinny wkrótce dotrzeć do Lucyfera z Tau Ceti.

— Nie uznała pani za konieczne poczekać na te okręty?

— Nie, Wasza Ekscelencjo. Doszłam do wniosku, że powinniśmy dokonać translacji natychmiast, gdy moje trzy archanioły będą zdolne do walki.

— Tym niemniej postanowiła pani czekać na załogi aż trzech okrętów, pani admirał. Dlaczego nie wyruszyła pani w pościg bezzwłocznie, dysponując samym „Urielem”?

Aldikacti nie wahała się nawet przez ułamek sekundy.

— Decyzję podjęłam w warunkach bojowych, Wasza Ekscelencjo. Uznałam, że istnieje wysokie prawdopodobieństwo, iż ojciec kapitan de Soya udał się do innego układu Intruzów, być może lepiej uzbrojonego niż te, które „Gedeon” napotkał na swojej drodze. Doszłam również do wniosku, że okręt matki kapitan Stone mógł zostać zniszczony przez „Rafała” bądź jednostki Intruzów. Stwierdziłam, że trzy okręty stanowią minimum siły ogniowej, jakie powinnam angażować w sytuację z tyłoma niewiadomymi.

— Czy rzeczywiście był to układ zamieszkały przez Intruzów?

— Nie, Wasza Ekscelencjo. W każdym razie w ciągu trwającego dwa tygodnie śledztwa nie natknęliśmy się tam na żaden ich ślad.

— Gdzie w takim razie znaleźliście się po translacji?

— W zewnętrznej powłoce gwiazdy, czerwonego olbrzyma - odpowiedziała Aldikacti. — Pola siłowe zostały oczywiście włączone, ale naprawdę niewiele brakowało, żebyśmy przypłacili skok życiem.

— Czy translacja powiodła się wszystkim trzem okrętom?

— Nie, Wasza Ekscelencjo. Tylko „Uriel” i „Izrail” wytrzymały wyjście z wnętrza gwiazdy. Na „Mikalu” procedury chłodzenia przez pola siłowe zawiodły i straciliśmy okręt z całą załogą.

— Czy udało się pani znaleźć „Gabriela” i „Rafaela”, pani admirał?

— Tylko „Gabriela”, Wasza Ekscelencjo. Unosił się swobodnie w przestrzeni w odległości około dwóch jednostek astronomicznych od czerwonego olbrzyma. Wszystkie układy były niesprawne. Pole siłowe okrętu zostało naruszone i jego wnętrze stopiło się w jednolitą masę.

— Czy udało się odnaleźć i wskrzesić matkę kapitan Stone i jej załogę?

— Niestety nie, Wasza Ekscelencjo. Nie zdobyliśmy wystarczającej ilości materiału organicznego, by przeprowadzić zmartwychwstanie.

— Czy naruszenie pola i stopienie wnętrza nastąpiło wskutek przeskoku do wnętrza gwiazdy, czy raczej ataku „Rafaela” lub jednostek Intruzów?

— Nasi eksperci wciąż nad tym pracują, Wasza Ekscelencjo. Ze wstępnych raportów wynika, że pole siłowe uległo przeciążeniu wskutek działania zarówno czynników naturalnych, jak i ostrzału. Broń, jakiej użyto, odpowiadałaby wyposażeniu „Rafaela”.

— Twierdzi pani zatem, że w pobliżu owego czerwonego olbrzyma doszło do sterowanej komputerowo walki z „Rafaelem”, czy tak?

— Nie w pobliżu, lecz wewnątrz gwiazdy, Wasza Ekscelencjo. Wszystko wskazuje na to, że „Rafael” zawrócił, wszedł w obręb

zewnątrznej powłoki olbrzyma i zaatakował „Gabriela” w kilka sekund po jego wyjściu z przestrzeni Hawkinga.

— Czy istnieje możliwość, że „Rafael” również uległ zniszczeniu w tym starciu? Spłonął w głębi gwiazdy?

— Taka możliwość rzeczywiście istnieje, Wasza Ekscelencjo, nie możemy jednak przyjąć takiego założenia. Domyślamy się raczej, że ojciec kapitan de Soya dokonał translacji do nieznanego miejsca na Pograniczu.

Lourdusamy pokiwał głową; jego masywna żuchwa zatrzęsała się przy tym lekko.

— Admirale Marusyn - zadudnił basowo - czy mógłby nas pan zapoznać z sytuacją, przy założeniu, że „Rafael” faktycznie uszedł cało z potyczki?

Starszy admirał zrobił krok do przodu.

— Wasza Ekscelencjo, musimy założyć, że ojciec de Soya i jego buntownicy są wrogami Paxu i z premedytacją wykradli jeden z archaniołów. W najgorszym możliwym scenariuszu należy również liczyć się z tym, że kradzież naszej najpilniej strzeżonej i śmiertelnej tajemnicy wojskowej została przeprowadzona w porozumieniu z Intruzami. - Admirał wziął głęboki wdech. - Wasze Ekscelencje, Wasza Świątobliwość... Dla kogoś, kto dysponuje napadem Gedeona, przeskok na dowolną odległość w obrębie naszego ramienia Galaktyki jest kwestią chwili. „Rafael” może dokonać translacji do dowolnego układu Paxu, nawet na Pacem, nie pozostawiając za sobą charakterystycznego dla napędu Hawkinga śladu, w przeciwieństwie do dawnych i nowych okrętów Intruzów. Może nękać nasze statki na szlakach handlowych, atakować bezbronne planety i kolonie i siać zniszczenie, zanim Pax zdąży zareagować.

Papież podniósł rękę.

— Admirale Marusyn, czy mamy rozumieć, że najcenniejsza ze zdobyczy naszej techniki może wpaść w ręce Intruzów? Że napęd Gedeona może zostać skopiowany i wykorzystany w jednostkach wroga?

Zaczerwieniona twarz i szyja Marusyna pokryły się jeszcze głębszym rumieńcem.

— Wasza Świątobliwość... To wysoce nieprawdopodobne, Wasza Świątobliwość. Wytworzenie silnika Gedeona jest nader skomplikowane, koszty niezwykle wysokie, a szczegóły technologii pilnie strzeżone...

— Tym niemniej istnieje taka możliwość - wtrącił papież.

— Tak jest, Wasza Świątobliwość.

Papież znów podniósł dłoń, tym razem szybko, jakby ostrzeni ciał powietrze.

— Chyba dowiedzieliśmy się od naszych przyjaciół z Floty Paxu wszystkiego, co nas interesowało. Jesteście państwo wolni, admirale Marusyn, pani admirał Aldikacti, pani admirał Wu.

Troje oficerów uklękło na jedno kolano, skłoniło głowy, po czym wstało i tyłem wycofało się z komnaty. Drzwi z cichym szelestem zamknęły się za nimi.

W kaplicy zostało dziesięcioro dostojników, nie licząc radcy Albedo i milczących strażników papieża.

Papież nachylił się ku swojemu Sekretarzowi Stanu.

— Jakie decyzje, Simon Augustino?

— Admirał Marusyn otrzyma nagane i zostanie przeniesiony do personelu pomocniczego rzekł cicho Lourdusamy. - Admirał Wu zajmie jego miejsce jako głównodowodząca Floty Paxu, do czasu znalezienia stosownego następcy. Dla admirał Aldikacti zalecono ekskomunikę i egzekucję przez rozstrzelanie.

Papież smutno pokiwał głową.

— Przed zakończeniem spotkania oddamy jeszcze głos kardynałowi Mustafie, pani kardynał Du Noyer, przewodniczącemu Isozakiemu i radcy Albedo.

... tak zakończyło się oficjalne śledztwo Świętego Oficjum w sprawie wydarzeń, jakie miały miejsce na Marsie - rzekł kardynał Mustafa i spojrzął na Lourdusamy'ego. - Wtedy właśnie kapitan Wolmak wezwał mnie wraz z asystentami na pokład „Jibrila”, pozostającego na orbicie planety.

— Proszę mówić dalej, Ekscelencjo - wymruczał Lourdusamy. - Czy może nam pan powiedzieć coś więcej o naturze sytuacji awaryjnej, która zdaniem kapitana Wolmaka wymagała pańskiego niezwłocznego przybycia na pokład archanioła?

— Oczywiście - odparł Mustafa i potarł palcami dolną wargę. - Kapitan Wolmak znalazł międzygwiazdny frachtowiec, który zabrał na pokład ładunek w nie oznaczonej na mapach bazie nieopodal marsjańskiego miasta Arafat-kaffiyeh. Statek z wyłączonym zasilaniem krążył w pasie asteroid układu gwiazdowego Starej Ziemi.

— Czy może nam pan zdradzić jego nazwę, Wasza Ekscelencjo?

— Był to HHMS „Saigon Maru”.

Kenzo Isozaki mimo żelaznej samokontroli nie zdołał powstrzymać drgnienia ust. Pamiętał ten statek: jego najstarszy syn wchodził w skład jego załogi w pierwszych latach służby. „Saigon Maru” był stareńkim frachtowcem do przewozu rudy i dużych ładunków... chyba trzy miliony ton wyporności.

— Panie przewodniczący Isozaki? - rzucił krótko Lourdusamy.

— Słucham, Wasza Ekscelencjo? - w bezbarwnym głosie Isozakiego nie brzmiały żadne emocje.

— Z nazwy statku wynikałoby, że działa pod banderą Mercantilusa. Czy tak właśnie jest?

— Tak, Wasza Ekscelencjo - odparł przewodniczący. - Z tego, co pamiętam, wynika jednak, że HHMS „Saigon Maru” został sprzedany na złom, wraz z ponad sześćdziesięcioma innymi przestarzałymi jednostkami, mniej więcej... osiem lat standardowych temu, jeśli się nie mylę.

— Wasze Ekscelencje? - wtrąciła Anna Pełli Cognani. - Wasza Świątobliwość? Za pozwoleniem? - szepnęła coś do cieniutkiego jak opłatek komlogu, po czym dotknęła kolczyka z mikrofonem.

— Pani przewodnicząca Pełli Cognani - zgodził się Lourdusamy.

— Z naszych danych wynika, że „Saigon Mani” rzeczywiście sprzedano niezależnym handlarzom złomu przed ośmiu laty, trzema miesiącami i dwoma dniami. Późniejsze zapisy sugerują, iż statki zostały przetopione w automatycznych odlewniach na orbicie Armaghastu.

— Dziękujemy, pani przewodnicząca - rzekł Sekretarz Stanu. - Kardynale Mustafa, może pan kontynuować.

Wielki Inkwizytor odpowiedział skinieniem głowy i wrócił do swojej wypowiedzi. Opisywał tylko najbardziej istotne fakty, myśląc zarazem o wszystkich szczegółach, które pomijał w swej relacji:

„Jibril” w eskorcie liniowców zwalnia i dopasowuje szybkość i parametry ruchu wirowego do koziółkującego w próżni, cichego frachtowca. Mustafa zawsze wyobrażał sobie, że pasy asteroid są niczym innym, jak ciasno upakowanymi skupiskami malutkich księżyców, teraz jednak, mimo licznych oznaczeń na wykresie taktycznym, w zasięgu wzroku nie było ani jednej planetki - tylko matowoczarny „Saigon Maru”, brzydka, funkcjonalna płatanina przewodów i cylindrów, ciągnąca się na pół kilometra. Po zgraniu prędkości i trajektorii, oddalone o trzy kilometry archanioł i frachtowiec sprawiały wrażenie zawieszonych nieruchomo pod

obracającym się wolno niebem. Za ich rufami lśniło żółte słońce, świadek narodzin rodzaju ludzkiego.

Mustafa przypomniał sobie, jak podjął decyzję, że uda się na statek w towarzystwie dokonujących inspekcji żołnierzy; wciąż jej żałował: zapakowanie go w bojowy pancerz Gwardii Szwajcarskiej - monomolekularną próznioskórę, neuronową siatkę SI i niezgrabny skafander z polimerowym pancerzem antywstrząsowym, a na koniec pajęczynę pasów mocujących sprzęt i morfujący plecak odrzutowy - wymagało mnóstwo zachodu. Radary i czujniki „Jibrila” przeczesaly frachtowiec kilkanaście razy, żeby upewnić się, że na pokładzie nic się nie rusza i nie oddycha. Nie zmieniło to faktu, że gdy tylko Wielki Inkwizytor, komandor Browning, sierżant marines Nell Kasner, były dowódca sił lądowych major Pięt i dziesięciu komandosów z Gwardii Szwajcarskiej opuścili właz, archanioł odskoczył na trzydzieści kilometrów od „Saigon Maru” - na pozycję dogodną do prowadzenia ostrzału.

Pamiętał, jak biło mu serce, gdy zbliżali się do wystygłego frachtowca; dwóch żołnierzy przeniosło go niczym bagaż przez dzielącą statki otchłań; słońce odbijało się od ich złotych pancernych wizjerów, kiedy porozumiewali się wiązką komunikacyjną i gestami, zajmując pozycje po obu stronach otwartej śluzy. Najpierw do środka wskoczyło dwóch ludzi z bronią w rękach - ich plecaki odrzutowe cicho zagrały. Za nimi poszli komandor Browning i sierżant Kasner. Upłynęła minuta i na kanale taktycznym przyszedł zakodowany meldunek. Opiekunowie Mustafy wprowadzili go w czarny otwór śluzy.

Trupy unoszące się w powietrzu, oświetlone błyskami laserowych latarek; sceny jak z chłodni - zamrożone zwłoki, pokrwawione klatki piersiowe, rozszarpane brzuchy, wyprute wnętrzości; szczęki rozwarte w bezgłośnym, wiecznotrwałym krzyku; zakrzepłe strużki

krwi z otwartych ust i wytrzeszczonych oczu; organy wewnętrzne płynące w powietrzu w przeszywających mrok smugach światła.

— Załoga - nadał komandor Browning.

— Chyżwar? - zagadnął Mustafa. W myśli monotonnym głosem odmawiał różaniec, nie tyle ze względu na potrzebę wsparcia duchowego, co raczej chcąc oderwać umysł od makabrycznych obrazów. Ostrzegano go, żeby nie wymiotował do wewnątrz hełmu - filtry i skrobaczki powinny usunąć wymiociny, zanim zdążyłby się nimi udusić, ale nigdy nic nie wiadomo.

— Pewnie tak - odpowiedział mu major Pięt, wkładając dłoń w strzaskaną klatkę piersiową jednego z szybujących w nieważkości ciał. - Krzyżokształt został wyrwany, tak jak w Arafat-kaffiyeh.

— Komandorze! - rozległ się głos jednego z żołnierzy, którzy od służby skierowali się ku rufie. - Sierzancie! Chodźcie tutaj. Pierwsza ładownia!

Browning i Pięt wyprzedzili Wielkiego Inkwizytora i pierwsi zagłębili się w cylindryczną otchłań, w której ginęły światła latarek.

Tych zwłok nikt nie zmasakrował: spoczywały porządnie poukładane na poliwęglanowych płytach sterczących z wnętrza obu burt, umocowane nylonową siatką. Katafalki zajmowały całe wnętrza ładowni, tak że tylko pośrodku zostawiono bezgrawitacyjne przejście. Mustafa w towarzystwie przewodników i strażników przeleciał cały ten tunel. Lasery cięły mrok na prawo i lewo, u góry i w dole: wszędzie zamrożone, blade ciała; kod paskowy na podeszwach stóp; kępki włosów łonowych; zamknięte oczy; złożone przy biodrach dłonie, białe na tle czarnych płyt; obwisłe penisy; piersi zamarznęte w nieważkości; włosy otaczające blade czaszki bezładnymi aureolami lub przycięte krótko, przy skórze. I dzieci, o gładkiej, zimnej skórze, obrzmiałych brzuchach i półprzeźroczystych powiekach. Dzieci z kodem paskowym na stopach.

W czterech podłużnych ładowniach spoczywało kilkadziesiąt tysięcy ciał. Ludzkich. Nagich. Bez życia.

— Czy dokończył pan inspekcji HHMS „Saigon Maru”, Wielki Inkwizytorze? - zapytał Lourdusamy.

Mustafa zdał sobie nagle sprawę, że zamilkł na dłuższą chwilę, opętany przez demona okrutnych wspomnień.

— Dokończyliśmy ją, Wasza Ekscelencjo - odparł chrapliwie.

— Jaki był jej wynik?

— Na pokładzie frachtowca HHMS „Saigon Maru” znajdowało się sześćdziesiąt siedem tysięcy osiemset dwadzieścia siedem ludzkich istot - odparł Mustafa. - Pięćdziesiąt jeden z nich stanowili członkowie załogi; nikogo z załogi nie brakowało. Wszystkie ich ciała zostały okaleczone w taki sam sposób, jak ofiary w Arafat-kaffiyeh.

— Nikt nie przeżył? I nikogo nie udało się wskrzesić?

— Nie.

— Czy pańskim zdaniem, kardynale Mustafa, za śmierć załogi HHMS „Saigon Maru” odpowiada demoniczna istota nazywana Chyżwarem?

— Tak uważam, Wasza Ekscelencjo.

— Czy pańskim zdaniem, kardynale Mustafa, Chyżwar jest również winien śmierci sześćdziesięciu siedmiu tysięcy siedmiuset siedemdziesięciu sześciu pozostałych ludzi znalezionych na pokładzie frachtowca?

Wielki Inkwizytor zawahał się, ale tylko przez ułamek sekundy.

— Sądzę, Wasza Ekscelencjo... - przerwał i skłonił się ku mężczyźnie zasiadającemu na tronie - Wasza Świątobliwość... Przyczyną śmierci z górą sześćdziesięciu siedmiu tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci znalezionych na „Saigon Maru” nie były rany takie, jakie odniosły ofiary na Marsie. Ciała nie wykazywały również oznak obrażeń, o których wiemy z poprzednich relacji o ataku Chyżwara.

Kardynał Lourdusamy uczynił krok w przód. Towarzyszył mu szelest szat.

— Jaka zatem była przyczyna śmierci ludzi znalezionych w ładowniach frachtowca? Co mówią na ten temat eksperci Świętego Oficjum, kardynale Mustafa?

Mustafa spuścił wzrok.

— Wasza Ekscelencjo - odrzekł - specjaliści od medycyny sądowej Świętego Oficjum i Floty Paxu nie potrafili określić przyczyny zgonu. W rzeczywistości...

— W rzeczywistości - Lourdusamy przejął pałeczkę - ciała znalezione na „Saigon Maru”, poza członkami załogi, nie nosiły żadnych śladów obrażeń, które mogłyby spowodować zgon. Nie stwierdzono też jednoznacznych oznak śmierci, prawda?

— Zgadza się, Wasza Ekscelencjo - wzrok Mustafy prześliznął się po twarzach innych obecnych. - Ludzie ci nie żyli, ale... ich ciała nie wykazywały śladów rozkładu, zsinienia, uszkodzeń mózgu... Żadnych zwykłych oznak śmierci.

— Tym niemniej nie byli żywi? - dopytywał się Lourdusamy.

Kardynał Mustafa potarł z zamyśleniem policzek.

— W każdym razie my nie potrafilibyśmy przywrócić ich do życia, Wasza Ekscelencjo. Nie umieliśmy również wykryć śladów aktywności mózgu i komórek. Tak jakby... zatrzymano ich funkcjonowanie.

— Co stało się z frachtowcem HHMS „Saigon Maru”, kardynale Mustafa?

— Kapitan Wolmak przeniósł nań część załogi „Jibrila” i natychmiast wróciliśmy na Pacem zameldować o tym zdarzeniu. „Saigon Mara” leci na tradycyjnym napędzie Hawkinga, w eskorcie czterech liniowców, i powinien dotrzeć do najbliższej bazy Paxu... bodajże na planecie Barnarda, jeśli się nie mylę... za... trzy tygodnie standardowe.

Lourdusamy pokiwał wolno głową.

— Dziękujemy panu, Wielki Inkwizytorze. - Po tych słowach Sekretarz Stanu podszedł do papieskiego tronu, przyklęknął i przeżegnał się przed ołtarzem. - Wasza Świątobliwość - rzekł - ośmielam się proponować, żebyśmy teraz wysłuchali Jej Ekscelencji kardynał Du Noyer.

Papież Urban uniósł dłoń jak do błogosławieństwa.

— Z przyjemnością wysłuchamy pani kardynał Du Noyer.

Isozaki nie nadążał za gorączkową gonitwą myśli. Dlaczego kazano im tego słuchać? Jaką korzyść mieliby odnieść przewodniczący Mercantilusa z takiej wiedzy? Wyrok śmierci dla admirał Aldikacti zmroził mu krew w żyłach. Czy taki los czekał ich wszystkich?

Zaraz jednak zdał sobie sprawę, że nie; w przypadku Aldikacti o ekskomunice i śmierci zdecydowała zwykła niekompetencja. Gdyby Mustafę, Pełli Cognani, Isozakię i innych chciano oskarżyć o zdradę... z pewnością nie czekałaby ich szybka egzekucja. Machiny tortur w Zamku Świętego Anioła zgrzytałyby i pomrukiwały przez długie stulecia.

Nie ulegało wątpliwości, że kardynał Du Noyer postanowiła dać się wskrzesić w podeszłym wieku. Podobnie jak większość starszych ludzi, prezentowała się znakomicie - komplet własnych zębów, minimum zmarszczek, błyszczące, ciemne oczy, a przy tym króciutkie siwe włosy i skóra ciasno opinająca wystające kości policzkowe. Zaczęła bez zbędnych wstępów:

— Wasza Świątobliwość, Wasze Ekscelencje, panie i panowie... Występuję tu dziś jako prefekt i prezes Cór Unum oraz faktyczny rzecznik prasowy prywatnej agencji, znanej pod nazwą Opus Dei. Z powodów, które niebawem okażą się oczywiste, przedstawiciele Opus Dei nie mogli i nie powinni byli się tu dziś zjawić.

— Proszę mówić dalej, Wasza Ekscelencjo - rzekł kardynał Lourdusamy.

— Frachtowiec HHMS „Saigon Maru” został zakupiony przez Cór Unum. Cofnięto decyzję o jego przetopieniu i przed siedmiu laty przekazano go Opus Dei.

— W jakim celu, Wasza Ekscelencjo?

Spojrzenie kardynał Du Noyer powędrowało po twarzach obecnych, zatrzymując się ostatecznie na obliczu Jego Świątobliwości. Kobieta z szacunkiem spuściła wzrok.

— W celu przetransportowania milionów pozbawionych życia ciał, takich samych, jak znalezione podczas ostatniego, przerwanego rejsu, Wasze Ekscelencje, Wasza Świątobliwość.

Czworo przewodniczących Mercantilusa z trudem powstrzymało okrzyki zaskoczenia; skończyło się na głośnym nabraniu powietrza w płuca.

— Pozbawione życia ciała... - powtórzył kardynał Lourdusamy spokojnie, niczym prokurator, który z góry zna odpowiedzi przesłuchiwanego na zadawane pytania. - Skąd pochodziły te pozbawione życia ciała?

— Z planet wskazanych przez Opus Dei, Wasza Ekscelencjo - odpowiedziała Du Noyer. - Na przestrzeni ubiegłych pięciu lat były to: Hebron, Qom-Rijad, Fuji, Nigdy Więcej, Sol Draconi Septem, Parvati, Tsingtao Hsishuang Panna, Nowa Mekka, Czwarta Mao, Iksjon, Terytorium Pierścienia Lamberta, Gorycz Sibiatu, Marę Infinitus, terraformowany księżyc Renesansu Mniejszego, Nowa Harmonia, Nowa Ziemia oraz Mars.

Planety nie należące do Paxu, pomyślał Kenzo Isozaki. Albo takie, gdzie Pax utrzymuje tylko wąty przyczółek.

— Ile ciał przetransportowały frachtowce Opus Dei i Cór Unum, pani kardynał? - dudnił dalej Lourdusamy.

— Około siedmiu miliardów, Wasza Ekscelencjo - odparła kobieta.

Kenzo Isozaki skupił się na tym, żeby nie stracić równowagi. Siedem miliardów ciał. Na pokładzie „Saigon Maru” mogłoby się zmieścić ze sto tysięcy zwłok, gdyby ułożyć je w stosy jak drewno na opał. Frachtowiec musiałby zatem odbyć siedemdziesiąt tysięcy rejsów, przewożąc martwych ludzi z jednego układu do drugiego. To absurd... Chyba że istniały dziesiątki, setki takich jednostek, albo jeszcze nowszych, klasy „nova”, które kursowały tam i z powrotem, tam i z powrotem... Wszystkie wymienione przez Du Noyer planety były w ostatnich czterech latach przynajmniej czasowo niedostępne dla Mercantilusa, jako objęte kwarantanną wskutek nieporozumień dyplomatycznych i handlowych z Paxem.

— To wszystko planety zamieszkałe przez niechrześcijan. - Isozaki zdał sobie sprawę, że mówi na głos; przydarzyło mu się właśnie najpoważniejsze w życiu naruszenie autodyscypliny. Wszyscy odwrócili się w jego stronę. - Wszystkie - powtórzył, pomijając nawet należne zgromadzonym tytuły honorowe. - Albo przynajmniej z liczną populacją niechrześcijańską, tak jak Mars, Fuji czy Nigdy Więcej. Cór Unum i Opus Dei prowadzą eksterminację niechrześcijan. Ale po co przewozić ich ciała? Dlaczego po prostu nie zostawić ich, żeby zgniły, a potem sprowadzić własnych kolonistów?

Jego Świątobliwość przerwał mu gestem ręki. Isozaki umilkł, papież zaś skinął na kardynała Lourdusamy.

— Pani kardynał Du Noyer - rzekł Sekretarz Stanu, jakby przewodniczący Mercantilusa w ogóle się nie odzywał. - Dokąd lecą te frachtowce?

— Nie wiem, Wasza Ekscelencjo.

Lourdusamy skinął głową.

— Kto zatwierdził cały projekt, pani kardynał?

— Komisja Pokoju i Sprawiedliwości, Wasza Ekscelencjo.

Isozaki gwałtownie obrócił głowę. Kardynał Du Noyer właśnie obarczyła winą za to okrucieństwo... za bezprecedensowy masowy mord... jednego, jedyne go człowieka. Na czele Komisji Pokoju i Sprawiedliwości stał prefekt... papież Urban XVI, poprzednio Juliusz XIV. Isozaki spuścił wzrok na buty Jego Świątobliwości i zastanawiał się, czy nie rzucić się na niego i nie zacisnąć mu dłoni na żylastej szyi. Wiedział, że przyczajeni w kącie strażnicy zabiliby go, zanim zdążyłby pokonać połowę dystansu dzielącego go od tronu - ale i tak miał ochotę spróbować.

— Czy wie pani o tym, pani kardynał Du Noyer - kontynuował Lourdusamy, jakby przed chwilą nie padły żadne straszne słowa - w jaki sposób tych ludzi... niechrześcijan... pozbawia się życia?

Pozbawia życia, pomyślał Isozaki. Nienawidził eufemizmów. Morduje, ty skurwysynu!

— Nie - odrzekła kobieta. - Moje zadanie jako prefekta Cór Unum sprowadza się do dostarczenia Opus Dei środków transportu niezbędnych do wypełnienia ich obowiązków. Miejsce, do którego kierują się statki oraz to, co dzieje się, zanim Opus Dei musi z nich skorzystać, nie interesuje mnie i nigdy nie interesowało.

Isozaki przyklęknął; nie zamierzał się modlić, ale nie był w stanie dłużej ustać na nogach. O, bogowie moich przodków! Od iluż to już stuleci wspólnicy masowych morderstw tłumaczą się w taki sam sposób? Od czasów Horace'a Glennona-Heighta, od legendarnego Hitlera, od... od zawsze.

— Dziękujemy, pani kardynał Du Noyer - rzekł Lourdusamy.

Starsza kobieta cofnęła się o krok.

Ku ogólnemu zdumieniu papież wstał z tronu i ruszył naprzód z cichym szelestem białych, miękkich trzewików. Przeszedł szpalerem wpatrzonych w niego ludzi - minął kardynała Mustafę i ojca Farrella, kardynała Lourdusamy i monsignora Oddiego, panią kardynał Du

Noyer, bezimiennego monsignora za jej plecami, puste poduszki zajmowane przedtem przez oficerów floty, przewodniczących Arona, Hay-Modhino i Annę Pełli Cognani — i zatrzymał się przed Isozakim. Klęczącemu mężczyźnie przed oczami skakały czarne plamy; miał wrażenie, że lada moment zwymiotuje.

Jego Świątobliwość położył dłoń na głowie człowieka, który cały czas myślał o tym, żeby go zabić.

— Powstań, synu - powiedział morderca miliardów. Wstań i słuchaj. Nakazujemy ci.

Isozaki stanął na drżących, szeroko rozstawionych nogach. W rękach czuł ukłucia szpileczek, jakby ktoś strzelił doń przed chwilą z ogłuszacza, wiedział jednak, że to tylko jego własne ciało odmawia mu posłuszeństwa. W tej chwili nie byłby zdolny zacisnąć palców na niczyjej szyi; wystarczająco dużo trudności sprawiało mu utrzymanie równowagi.

Papież Urban XVI położył mu rękę na ramieniu i poczekał, aż przestanie się chwiać.

— Słuchaj, bracie w Chrystusie. Słuchaj. - Z tymi słowy odwrócił się i skinął odzianą w mitrę głową.

Radca Albedo wyszedł na skraj podwyższenia i zaczął mówić.

— Wasza Świątobliwość, Wasze Eksceleńcje, szanowni państwo - rzekł ubrany na szaro mężczyzna.

Jego głos był równie miękki, jak włosy, łagodny jak spojrzenie szarych oczu, delikatny jak jedwabny płaszcz, który miał na sobie. Słyszając go Kenzo Isozaki zadrżał. Przypomniawszy sobie cierpienie i wstyd, jakich doświadczył, gdy Albedo zmienił jego krzyżokształt w ognisko bólu.

— Niech się nam pan przedstawi - poprosił Lourdusamy przyjaźnie.

Isozaki spodziewał się usłyszeć coś w rodzaju „jestem osobistym doradcą Jego Świątobliwości papieża Urbana XVI”. Od dziesięcioleci

krążyły plotki o istnieniu radcy Albedo, niektórzy nawet widzieli go na własne oczy, nigdy jednak nie przedstawiał się inaczej niż „osobisty doradca papieża”.

— Jestem sztucznym konstruktem, cybrydem, wytworem pewnych elementów TechnoCentrum - powiedział Albedo. - I występuję tutaj jako przedstawiciel tych właśnie elementów.

Wszyscy poza Jego Świątobliwością! kardynałem Lourdusamy odsunęli się o krok od Albedo. Nikt się nie odezwał, nikt nie krzyknął z zaskoczenia, ale nawet gdyby pośrodku kapliczki znienacka zmaterializował się sam Chyżwar, zwierzęcy odór strachu i odrazy nie mógłby być bardziej wszechogarniający. Kenzo Isozaki wciąż czuł zaciśnięte na ramieniu palce Jego Świątobliwości i zastanawiał się, czy papież wyczuwa jego przyspieszony puls.

— Istoty ludzkie wywiezione z planet wymienionych przez panią kardynał Du Noyer zostały... pozbawione życia... za pomocą techniki udostępnionej przez Centrum, w tym bezzałogowych statków kosmicznych, teraz zaś są przechowywane również dzięki technologii opracowanej w Centrum - ciągnął Albedo. - Tak jak powiedziała pani kardynał, przez ostatnie siedem lat podobny los spotkał około siedmiu miliardów ludzi. W najbliższej dekadzie należy uczynić to samo z dalszymi czterdziestoma, może pięćdziesięcioma miliardami. Nadszedł czas, by wyjaśnić założenia tego projektu i poprosić państwa o współuczestnictwo.

Można przecież wpleść człowiekowi w szkielet proteinowy środek wybuchowy ogromnej mocy, myślał Isozaki. Stworzyć strukturę na tyle subtelną, że nawet wykrywacze Gwardii Szwajcarskiej byłyby bezradne. Na bogów, dlaczego tego nie zrobiłem?

Papież puścił jego ramię i wolno wrócił na podwyższenie; mijając Albedo musnął skraj jego rękawa i usiadł na tronie. Na jego szczupłej twarzy gościł wyraz absolutnego spokoju.

— Chcemy, żebyście wszyscy uważnie wysłuchali słów radcy Albedo - oznajmił - który mówi za naszą zgodą. Proszę kontynuować, radco.

Albedo skinął leciutko głową i zwrócił się z powrotem w stronę oczekujących jego wystąpienia dygnitarzy. Nawet papiescy strażnicy cofnęli się pod ścianę.

— Wiecie zapewne, głównie z mitów i legend, ale także z oficjalnej historii Kościoła, że TechnoCentrum uległo zagładzie podczas Upadku, kiedy przestały działać transmitters - zaczął Albedo. - To nieprawda.

Wicie również - głównie ze znajdujących się na indeksie hyperiońskich „Pieśni” — że Sztuczne Inteligencje w Centrum skupiają się w trzech frakcjach: Stabilne miałyby chcieć zachować status quo w stosunkach między ludzkością i Centrum; Gwałtowne miałyby uważać ludzkość za zagrożenie i snuć plany jej unicestwienia - doprowadziły do Wielkiej Pomyłki w '08 i zniszczenia Ziemi; Ostateczne zaś koncentrują się ponoć wyłącznie na stworzeniu Najwyższego Intelaktu, czegoś na kształt krzemowego Boga, który potrafiłby przewidzieć dzieje wszechświata i rządzić nim... A przynajmniej władać naszą Galaktyką.

Wszystkie te odwieczne prawdy są w istocie kłamstwem.

Isozaki zdał sobie sprawę, że Anna Pelli Cognani coraz silniej ściska go za nadgarstek.

— TechnoCentrum nigdy nie było podzielone na trzy wojujące odłamy - mówił Albedo, przechadzając się między ołtarzem i papieskim podwyższeniem. - Od początku, od czasu, gdy tysiąc lat temu wyewoluowało na tyle, by zyskać świadomość, składało się z tysięcy odrębnych elementów i odłamów - czasem wrogich, częściej gotowych do współpracy, zawsze jednak dążących do zgody w zakresie tego, jak powinno rozwijać się sztuczne życie i autonomiczna inteligencja. Do tego rodzaju porozumienia nie doszło.

Mniej więcej w tym samym okresie, kiedy TechnoCentrum osiągało pełną niezależność, a większość ludzi mieszkała na jednej jedynej planecie - Starej Ziemi - i w nielicznych ośrodkach na bliskiej orbicie, ludzkość nauczyła się majstrować przy własnym wzorcu genetycznym... Inaczej mówiąc: nauczyła się sterować ewolucją. Przełom nastąpił częściowo dzięki postępowi w zakresie technik manipulacji genami, jaki miał miejsce na początku dwudziestego pierwszego wieku A.D., przede wszystkim jednak dzięki rozwojowi nanotechnologii. Z początku naukowcy współpracowali z prototypowymi Sztucznymi Inteligencjami i wspólnie kontrolowali przebieg eksperymentów, ale z upływem czasu nanoskopowe formy życia - autonomiczne, niektóre obdarzone inteligencją, a przy tym mniejsze niż komórka ludzkiego ciała, czasem wielkości pojedynczych molekuł - osiągnęły własną świadomość. Nanomaszyny, niejednokrotnie działające na podobieństwo wirusów, zarażały i przekształcały ludzkość niczym niepowstrzymana choroba. Tak się jednak szczęśliwie złożyło, zarówno dla ludzi, jak i rasy autonomicznych inteligencji znanych jako Centrum, że główna fala zarazy rozprzestrzeniła się wraz z pierwszymi, podświetlnymi statkami kolonizacyjnymi, wystrzelonymi na krótko przed Hegirą.

W tym to okresie niektóre ośrodki ludzkiej kultury - zarodki przyszłej Hegemonii — i zajmujące się przewidywaniem przyszłości elementy TechnoCentrum wspólnie doszły do wniosku, że rozwijające się na statkach kolonie nanotechnologiczne dążą do zniszczenia rodzaju ludzkiego i stworzenia nowej rasy istot, w pełni kontrolowanych przez nanomechanizmy. Rasa ta miała zasiedlić tysiące nowych układów gwiazdnych. Hegemonia i Centrum zareagowały zakazem dalszych prac z zakresu nanotechnologii i wypowiedzeniem wojny koloniom powstałym w miejscach lądowania

owych statków kolonizacyjnych; naszych wrogów znamy dziś jako Intruzów.

Tymczasem nastąpiły inne wydarzenia, które przyćmiły tę walkę. Liczne elementy Centrum, które skłaniały się ku przymierzu z nanoskopowymi mieszkańcami wszechświata, odkryły coś, co przeraziło wszystkie Sztuczne Inteligencje w Centrum.

Jak państwu wiadomo, wczesne badania z zakresu fizyki napędu Hawkinga i technik łączności nadświatowej doprowadziły do odkrycia przestrzeni Plancka, medium nazwanego przez niektórych Pustką, Która Łączy. Poszerzenie wiedzy na temat tej spajającej wszechświat struktury doprowadziło do skonstruowania przez Centrum komunikatorów, ulepszonych silników Hawkinga, transponderów materii, które łączyły planety wchodzące w skład Sieci, planetarnych datasfer, które z czasem przeobraziły się w sterowane przez Centrum megasfery, a później także znanego dzisiaj błyskawicznego napędu Gedeona. Rozpoczęto również doświadczenia z bańkami antyentropijnymi w naszym wszechświecie, które doprowadzą zapewne do zbudowania Grobowców Czasu na Hyperionie.

Za te dary przyszło jednak ludzkości zapłacić. Prawdą jest, że niektóre odłamy Ostatecznych wykorzystywały transpondery jako ścieżkę dostępu do ludzkich mózgów, z których na własne potrzeby tworzyły gigantyczną sieć neuronową. Nie przynosiło to nikomu żadnej szkody, gdyż sieć neuronowa powstawała w pozbawionej wymiarów i czasu przestrzeni Plancka, w chwili przeskoku między portalami. Ludzie nigdy by się dowiedzieli o tych eksperymentach, gdyby czterysta lat temu inne elementy Centrum nie ujawniły ich pierwszemu cybrydowi Johna Keatsa. Zgadza się jednak z tymi spośród ludzi i Sztucznych Inteligencji z Centrum, którzy twierdzą, iż postępowanie to było nieetyczne i stanowiło naruszenie prywatności.

Tym niemniej owe eksperymenty z sieciami neuronowymi doprowadziły do zadziwiającego odkrycia. Otóż we wszechświecie znajdują się inne Centra... Może nawet niedaleko, w naszej Galaktyce. Odkrycie to doprowadziło do wybuchu wojny domowej w TechnoCentrum, wojny, która trwa do dziś. Pewne elementy - nie tylko Gwałtowne - uznały, że czas zakończyć biologiczny eksperyment, jakim jest ludzkość. Zaplanowano „przypadkowe” uwolnienie czarnej dziury Zespołu Kijów i zrzućenie jej do wnętrza Starej Ziemi, zanim szerokie zastosowanie napędu Hawkinga umożliwi gremialny eksodus. Inne elementy Centrum opóźniły realizację planu do czasu, aż ludzkość zyskała możliwość ucieczki.

Skończyło się na tym, że żadna z ekstremistycznych frakcji nie zatriumfowała; Stara Ziemia nie została zniszczona, lecz uprowadzona, w sposób, którego TechnoCentrum po dziś dzień nie potrafi zrozumieć, przez jeden - lub więcej - z owych obcych Najwyższych Intelaktów.

Przewodniczący Mercantilusa próbowali się porozumieć, przeszkadzając sobie nawzajem; kardynał Mustafa padł na kolana na poduszkę i zaczął się modlić; kardynał Du Noyer wyglądała tak źle, że jej asystent, monsignore, bez przerwy szeptał pacierze; nawet Lucas Oddi sprawiał wrażenie, że zaraz zemdleje.

Jego Świątobliwość papież Urban XVI podniósł trzy palce. W kaplicy zapanowała cisza.

— To tylko wprowadzenie, rzecz jasna - mówił dalej Albedo. - Zebraliśmy się tu jednak po to, bym mógł przedstawić racje przemawiające za natychmiastowym wspólnym działaniem.

Przed trzystu laty pewien ekstremalny odłam Centrum, złożony z intelektów od ośmiuset lat zaplątanych w gorące spory i dyskusje, podjął ciekawą próbę. Stworzono cybryda Johna Keatsa: ludzką osobowość wbudowano w personę wywodzącą się ze Sztucznej Inteligencji i umieszczono w ludzkim ciele, połączonym z Centrum za

pośrednictwem sprzęgu działającego w przestrzeni Plancka. Skonstruowanie cybryda służyło kilku celom: miał posłużyć jako swoista pułapka na coś, co SI nazwały „empatią”, a co miało stanowić składnik ewoluującego ludzkiego Najwyższego Intelaktu; miał zadziałać jako katalizator wydarzeń, które doprowadziły do ostatniej pielgrzymki na Hyperiona i otwarcia Grobowców Czasu; miał wreszcie wywabić Chyżwara z ukrycia i przyczynić się do Upadku Transmitterów. Ze względu na ten ostatni cel pewne elementy Centrum - te, którym i ja sam zawdzięczam istnienie - ujawniły przewodniczącej Meinie Gladstone i innym dostojnikom Hegemonii, że niektóre Sztuczne Inteligencje, niczym jakieś neuronowe wampiry, wykorzystują ludzkie mózgi.

Te właśnie SI, pozorując atak Intruzów, dokonały ostatecznej napaści na Sieć. Nie mając nadziei na zniszczenie rozproszonej rasy ludzkiej w jednym uderzeniu, chciały przynajmniej unicestwić rozwiniętą społeczność Sieci. Atakując bezpośrednio Centrum i niszcząc medium łączące transmitery, Gladstone położyła kres eksperymentom z sieciami neuronowymi, co poważnie osłabiło pozycję Gwałtownych i Ostatecznych w wojnie domowej w TechnoCentrum.

Nasi przedstawiciele, którym zależy nie tylko na zachowaniu ludzkiej rasy, lecz także swego przymierza z ludźmi, zniszczyli pierwszą iterację cybryda Johna Keatsa. Stworzono jednak następną, której misja zakończyła się powodzeniem.

Misja ta sprowadzała się zaś do jednego zadania: spłodzić potomka z pewną konkretną kobietą i tym samym stworzyć „mesjasza”, związanego i z Centrum, i z ludzkością. Ów „mesjasz” żyje w naszych czasach pod postacią dziewczynki imieniem Enea.

Urodziła się na Hyperionie przed ponad trzystu laty i przez Grobowce uciekła do naszych czasów. Nie zrobiła tego ze strachu - nikt by jej przecież nie skrzywdził - lecz po to, by zniszczyć Kościół

i cywilizacje. Paxu oraz doprowadzić do upadku rasy ludzkiej, takiej, jaką wszyscy znamy.

Sądzymy, że nie jest w pełni świadoma wyznaczonego jej zadania.

Trzysta lat temu pozostałości mojego elementu Centrum - nazwijmy je „Humanistami” - nawiązały kontakt z ludźmi, którzy przeżyli Upadek i chaos, jaki nastąpił w późniejszych wiekach. - Albedo skinął głową w stronę Jego Świątobliwości, papież zaś skłonił się potakująco.

— Ojciec Lenar Hoyt uczestniczył w ostatniej pielgrzymce do Chyżwara. - Albedo znów zaczął się przechadzać przed ołtarzem. Poruszane podmuchem powietrza świece migotały lekko. - Na własnej skórze doświadczył manipulacji tych elementów Centrum, które pracują nad stworzeniem Najwyższego Intelaktu; widział, czego dokonał ich wysłany z przyszłości potworny sługa - Chyżwar. Kiedy więc porozumieliśmy się po raz pierwszy - mam na myśli Humanistów, ojca Lenara Hoyta i garstkę dostojników umierającego Kościoła - postanowiliśmy chronić ludzką rasę przed dalszymi zamachami i pracować nad odrodzeniem cywilizacji. Krzyżokształt stał się w naszych rękach narzędziem zbawienia, i to jak najbardziej dosłownie.

Wiemy wszyscy, że krzyżokształt początkowo okazał się nieskuteczny. Przed Upadkiem wskrzeszeni dzięki niemu ludzie ulegali degeneracji umysłowej i stawali się bezpłodni. Krzyżokształt, będący pewnego rodzaju organicznym komputerem, w którym zapisano neurologiczne i fizjologiczne informacje na temat żywej istoty ludzkiej, potrafił odtworzyć ciało, ale nie przywracał pełni intelektu i osobowości; wskrzeszał człowieka, ale okradał go z duszy.

Pochodzenie krzyżokształtu owiane jest mgiełką tajemnicy, jednakże my, Humanisci, sądzymy, iż został on opracowany w przyszłości i sprowadzony poprzez Grobowce Czasu. Rzec by można: przysłano go, by młody ojciec Lenar Hoyt mógł go odnaleźć.

Niepowodzenie pierwszych prac nad symbiontem wynikało z prostych ograniczeń w przechowywaniu i odczytywaniu informacji. W ludzkim mózgu znajdują się neurony; w całym ciele jest około 10²⁸ atomów. Krzyżokształt, który miałby prawidłowo odtworzyć ciało i umysł człowieka, musi nie tylko zapamiętać rozkład owych neuronów i atomów, ale także dokładną konfigurację frontu holistycznej fali stojącej, w którym zawarta jest pamięć i osobowość. Musi również posiadać zasoby energii niezbędne do odbudowania struktury atomów, cząsteczek, komórek, kości, mięśni i wspomnień, co gwarantuje rekonstrukcję organizmu identycznego z tym, jaki uprzednio zamieszkiwał cielesną powłokę. Sam krzyżokształt nie jest w stanie podołać temu zadaniu; biomaszyna może w najlepszym razie skonstruować przybliżoną kopię oryginału.

TechnoCentrum natomiast dysponuje możliwością zapisu, odczytu i przekształcenia tej informacji w zmartwychwstałą istotę ludzką. Tak też czynimy od trzystu lat.

Kenzo Isozaki dostrzegł przerażenie w oczach pani kardynał Du Noyer i kardynała Mustafy, gdy ich spojrzenia się spotkały; takie same oznaki paniki zdradzali ojciec Farrell i asystent Du Noyer. To była herezja. Błuznierstwo. Słowa Albedo oznaczały koniec Sakramentu Zmartwychwstania i powrót do epoki fizyki i maszyn. Isozakiemu zrobiło się niedobrze. Spojrzawszy na Hay-Modhino i Pełli Cognani stwierdził, że oboje się modlą; Aron wyglądał, jakby nie mógł otrząsnąć się z szoku.

— Ukochani - odezwał się Jego Świątobliwość. - Nie wątpcie. Wytrwajcie w wierze. Myśląc tak zdradzacie Pana Naszego, Jezusa Chrystusa i cały Jego Kościół. Cud zmartwychwstania nie przestaje być cudem tylko dlatego, że nasi przyjaciele z niegdyśszego TechnoCentrum objawili nam jego tajniki. To Jezus Chrystus poprowadził owe dzieci boże, będące tworem Boga Wszechmogącego,

a zarazem stworzone rękoma jego niegodnych sług, ludzi, do odkrycia duszy i do zbawienia. Proszę mówić dalej, M. Albedo.

Przez moment Albedo sprawiał wrażenie lekko rozbawionego malującym się na twarzach zebranych szokiem, ale jego oblicze natychmiast przybrało zwykły, życzliwy wyraz.

— Daliśmy ludziom nieśmiertelność - mówił dalej. - W zamian zaś prosiliśmy tylko o ciche przymierze z ludzkością. Nie chcemy wojny z naszymi twórcami.

Przez ostatnie trzysta lat owo przymierze przynosiło korzyści obu zainteresowanym stronom. My, jak to ujął Jego Świątobliwość, odkryliśmy własne dusze. Ludzkość natomiast zaznała pokoju i stabilizacji, jakiej od tysiący lat brakowało w jej dziejach... Ba, jakiej chyba nigdy nie doświadczyła. Nie ukrywam, że współpraca ta okazała się korzystna dla mojego elementu Centrum, dla Humanistów. Przestaliśmy być drobnym, mało znaczącym odłamem i przeobraziliśmy się w... nie, nie frakcję rządzącą, bo w Centrum nie ma mowy o rządach jednej grupy... Dziś jesteśmy głównym składnikiem zgody i równowagi. Naszą filozofię akceptują prawie wszystkie niegdyś wrogie ugrupowania. Prawie.

Radca Albedo przestał się przechadzać i stanął tyłem do ołtarza. Ponuro popatrzył w oczy kolejno wszystkim obecnym.

— Element Centrum, który miał nadzieję pozbyć się ludzkości... Element złożony po części z dawnych Ostatecznych, po części zaś z ewolucjonistów, przychylnie odnoszących się do nanotechnologii, zagrał swoją atutową kartę: Eneę. Dziewczynka jest wirusem w ciele ludzkości. Dosłownie.

Kardynał Lourdusamy wystąpił spośród zgromadzonych. Twarz miał poczerwieniałą i poważną, oczy mu błyszczały.

— Proszę nam powiedzieć, radco Albedo - rzekł ostrym tonem - do czego zmierza dziecko zwane Eneą?

— Jej cel - odparł mężczyzna w szarym garniturze - jest trojakiej natury.

— Od czego ma zacząć?

— Od odebrania ludziom szansy na fizyczną nieśmiertelność.

— Jak jedno dziecko mogłoby tego dokonać?

— Enea nie jest dzieckiem - wyjaśnił Albedo. - Nie jest nawet człowiekiem, lecz pomiotem cybryda. Cybrydalna persona jej ojca komunikowała się z nią, zanim Enea opuściła łono matki. W jej umysł i ciało już przed narodzinami przeniknęły złowrogie elementy Centrum.

— Jak jednak może wykraść ludzkości dar wiecznego życia? - nalegał Lourdusamy.

— Chodzi o jej krew - odrzekł Albedo. - Może przenosić wirusa, który niszczy krzyżokszałty.

— Prawdziwego wirusa?

— Tak, chociaż nie jest on pochodzenia naturalnego. Został opracowany przez wrogie nam elementy Centrum jako nośnik nanotechnologicznej zarazy.

— Przecież w Paksie są setki miliardów ponownie narodzonych chrześcijan - stwierdził Lourdusamy tonem adwokata, który umiejętnie prowadzi swojego świadka. - Jak jedno dziecko może im zagrozić? Czy wirus przenosi się z jednej ofiary na drugą?

Albedo westchnął.

— O ile nam wiadomo, wirus staje się zaraźliwy z chwilą śmierci krzyżokszałtu. Osoby, które wskutek kontaktu z Eneą utracą szansę zmartwychwstania, poniosą chorobę dalej. Nosicielami wirusa mogą być również wszyscy, którzy nigdy nie przyjęli krzyżokszałtu.

— Czy istnieje lekarstwo na tę zarazę? Jakaś szczepionka?

— Nie. Od trzech stuleci Humanieści pracują nad sposobami zapobiegania chorobie. Niestety, wirus Enei jest autonomicznym

nanoorganizmem i opracowuje własne, optymalne warianty mutacji. Nigdy nie uda nam się za nim nadążyć. Może gdybyśmy zainfekowali ludzkość armią własnych, podobnych istot, pewnego dnia zdołalibyśmy wytepić wirusa. My jednak, Humanieści, odrzucamy nanotechnologię. Smutny, ale prawdziwy jest także fakt, iż wszelkie życie w skali nanoskopowej nie podlega kontroli. Niczyjej kontroli; istotą nanoewolucji jest samodzielność, wolna wola i dążenia, które nie mają nic wspólnego z dobrem żywicieli.

— Czyli ludzkości - uzupełnił Lourdusamy.

— W rzeczy samej.

— Zatem pierwszym celem Enei, a właściwie, dokładniej mówiąc, celem wrogich nam elementów Centrum, które ją stworzyły, jest zniszczenie wszystkich krzyżokształtów - podsumował Lourdusamy. - A wraz z nimi ludzie tracą możliwość zmartwychwstania.

— Tak.

— Wspomniał pan jednak o trojakich planach Centrum. Co dalej?

— Drugim celem jest zniszczenie Kościoła i Paxu, czyli całej współczesnej cywilizacji ludzkiej. Kiedy wirus Enei się rozprzestrzeni, gdy zabraknie wskrzeszenia... Proszę pamiętać, że transmitery wciąż nie działają, a napęd Gedeona nie ma praktycznego zastosowania dla istot dysponujących tylko jednym życiem... Drugi cel zostanie osiągnięty: rodzaj ludzki wróci do stadium podzielonych, nieprzyjaznych plemion, tak jak stało się to wkrótce po Upadku.

— Co jeszcze nam grozi?

— Trzeci cel od początku był dla owych elementów Centrum najważniejszy: chodzi o unicestwienie gatunku ludzkiego.

— To niemożliwe! - rozległ się krzyk Anny Pełli Cognani. - Nawet zniszczenie... to znaczy uprowadzenie... Starej Ziemi, nawet Upadek nie spowodowały wyginięcia ludzi! Gatunek jest zbyt rozproszony, by tego

rodzaju groźba mogła okazać się realna; zasiedlono zbyt wiele planet, powstało za dużo odrębnych kultur.

Albedo kiwał głową, ale z jego twarzy nie zniknął wyraz zatroskania.

— To wszystko było prawdą. Było, ale już nie jest. Zaraza Enei rozprzestrzeni się wszędzie, zabójczy dla krzyżosształtów wirus zmutuje do nowych postaci i ludzkie DNA nie oprze się jego naporowi. Kiedy Pax zachwieje się w posiadach, uderzą Intruzi... Tym razem z powodzeniem. Dawno już poddali się nanotechnicznym mutacjom i przestali być ludźmi. Gdy zabraknie Paxu, Kościoła i Floty, która mogłaby bronić ludzi, Intruzi odnajdą ostatnie bastiony czystego, ludzkiego DNA i zainfekują je chorobą nanotechnologii. Gatunek, taki jakim go znamy i jakim Kościół usilnie stara się go chronić, w kilkaset lat standardowych przestanie istnieć.

— Co go zastąpi? - zadudnił basowo Lourdusamy.

— Tego nikt nie wie - odparł cicho Albedo. - Enea, Intruzi i elementy Centrum odpowiedzialne za uwolnienie zarazy również nie mają pojęcia, co będzie dalej. Kolonie nanoskopowych form życia będą ewoluować wedle własnych planów, dowolnie modyfikując ludzkie ciało; chcą same pokierować swym przeznaczeniem - którym nie będzie już rodzaj ludzki.

— O Boże, o mój Boże - odezwał się Kenzo Isozaki, zdumiony, że mówi na głos. - Co mamy zrobić? Co ja mam zrobić?

Ku zdumieniu wszystkich obecnych odpowiedzi udzielił mu Jego Świątobliwość.

— Od trzystu lat obawiamy się tej okrutnej zarazy i z nią walczymy - rzekł papież łagodnie. W jego oczach zagościł ból większy niż zwykle. - Najpierw usiłowaliśmy schwytać Eneę, zanim miała okazję przenieść wirusa. Wiedzieliśmy, że umknęła ze swoich czasów do naszej ery nie ze strachu - nie chcieliśmy jej krzywdy - lecz by móc uwolnić wirusa w

organizmie Paxu. Prawdę mówiąc podejrzewamy, że dziecko nie zdaje sobie w pełni sprawy z zagrożenia, jakim wirus stanie się dla ludzi. W pewnym sensie Enea jest bezwolnym pionkiem niebezpiecznych elementów Centrum.

— Powinniśmy byli zbombardować Hyperiona ładunkami plazmowymi w dniu, w którym miała opuścić Grobowce Czasu - wtrącił nieoczekiwanie Hay-Modhino z niezwykłą dla siebie gwałtownością. - Wypalić całą planetę. Nie ryzykować.

Jego Świątobliwość nie okazał nawet cienia złości, mimo niewybaczalnego wtrętu ze strony przewodniczącego.

— Tak, synu, są i tacy, którzy nas do tego namawiali. Uznaliśmy jednak, że nie wolno nam w imieniu Kościoła przystać na śmierć milionów niewinnych istot, który zginęłyby wraz z dziewczynką. Naradziliśmy się z przedstawicielami Centrum, którzy zajmują się przewidywaniem przyszłych wydarzeń: to oni wskazali jezuitę, ojca kapitana de Soyę, jako osobę, która przy jej pojmaniu odegra niepoślednią rolę. Niestety, żadna z pokojowych prób przechwycenia dziecka się nie powiodła. Flota Paxu miała cztery lata temu okazję zniszczyć jej statek, ale traktowano to jako ostateczność. Trwa więc walka o ograniczenie wpływów wirusa. Co ma pan zrobić, panie Isozaki? Co wszyscy macie uczynić? Otóż powinniście udzielić wsparcia Kościołowi, który dołoży wszelkich starań, by ocalić ludzkość. Panie Albedo?

— Proszę wyobrazić sobie nadciągającą zarazę jako pożar lasu na planecie, której atmosfera jest bogata w tlen - odezwał się ponownie mężczyzna w szarości. - Zmiecie wszystko, co napotka na swej drodze, jeżeli nie uda nam się najpierw zawęzić jego pola działania, a później go ugasić. Zaczęliśmy od usunięcia uschniętych drzew i krzewów, a więc składników łatwopalnych, które nie są niezbędne dla życia lasu.

— Niechrześcijanie - mruknęła przewodnicząca Pełli Cognani.

— Tak jest - zgodził się z nią radca Albedo.

— I właśnie dlatego należało ich zlikwidować - dodał Wielki Inkwizytor. - Tysiące z „Saigon Maru”, miliony i miliardy na innych statkach.

Papież Urban XVI podniósł rękę, nie do błogosławieństwa jednak, lecz w geście mającym uciszyć rozmowy.

— Nie zlikwidować! - sprostował ostro. - Nikt, żaden chrześcijanin ani niechrześcijanin, nie został zgładzony.

Zmieszani dygnitarze popatrzyli po sobie.

— To prawda - przyznał Albedo.

— Ale przecież byli martwi... - zaczął Wielki Inkwizytor i urwał w pół zdania. - Przyjmij moje najszczerze przeprosiny, Ojciec Święty.

Jego Świątobliwość pokręcił odzianą w mitrę głową.

— Nie musisz przeproszać, John Domenico. Ta sprawa budzi ogromne emocje. Proszę wszystko wyjaśnić, M. Albedo.

— Już to czynię, Wasza Świątobliwość. Ludzie na pokładzie „Saigon Maru” rzeczywiście nie wykazywali oznak życia, nie byli jednak martwi, Wasza Ekscelencjo. Centrum, a właściwie Humaniści, opracowali metodę wprowadzania ludzkiego organizmu w czasowy stan zawieszenia, różny zarówno od życia, jak i śmierci...

— Coś w rodzaju snu kriogenicznego? - wtrącił przewodniczący Aron, który przed nawróceniem dużo podróżował na statkach z napędem Hawkinga.

Albedo pokręcił przecząco głową.

— Ta technika jest znacznie bardziej wyrafinowana. I mniej szkodliwa zarazem. - Albedo gestykulował wypielegnowanymi dłońmi. - Przez ubiegłe siedem lat zajęliśmy się siedmioma miliardami ludzkich istot. W najbliższej dekadzie, może nawet szybciej, musimy w podobny sposób przetworzyć dalsze czterdzieści dwa miliardy. Na Pograniczu, a

przede wszystkim w samym Paksie, nie brakuje planet, na których żyją niechrześcijańskie mniejszości.

— Przetworzyć? - zaciekawiała się przewodnicząca Pełli Cognani.

Albedo uśmiechnął się ponuro.

— Flota Paxu obejmuje planetę kwarantanną, nie bardzo wiedząc dlaczego. Następnie zjawiają się bezzałogowe jednostki Centrum z aparaturą do masowego wprowadzania w stan zastoju. Cór Unum dostarcza statków, odpowiada za finansowanie operacji i szkolenie ludzi; Opus Dei przewozi ciała w zastoju na pokładzie frachtowców. ..

— Ale po co usuwa się je z macierzystych planet? - przerwał mu Wielki Inkwizytor. - Nie lepiej je zostawić?

— Należy ukryć je w miejscu, w którym będą zabezpieczone przed wirusem Enei, John Domenico - wyjaśnił Jego Świątobliwość. - Musimy czule, z miłością, przechować je do czasu, aż zagrożenie minie.

Wielki Inkwizytor pochylił głowę na znak zrozumienia i zgody.

— To jeszcze nie wszystko - kontynuował radca Albedo. - Mój element Centrum stworzył... nową rasę żołnierzy. Ich jedynym zadaniem jest odnalezienie i schwytanie Enei, zanim śmiertelna choroba zdoła się rozprzestrzenić. Pierwszym z owych żołnierzy była uruchomiona przed czterema laty Rhadamanth Nemes. Istnieje jeszcze tylko kilkoro podobnych łowców-tropicieli, zostali jednak wyposażeni w środki, które pozwolą im poradzić sobie ze wszystkim, co ich wrogowie w Centrum mogą przeciw nim skierować... Nawet z Chyżwarem.

— Czy Chyżwara kontrolują Ostateczne i inne wrogie elementy Centrum? - zapytał ojciec Farrell, pierwszy raz zabierając głos w dyskusji.

— Tak sądzimy - odpowiedział mu kardynał Lourdusamy. - Wszystko wskazuje na to, że demon sprzymierzył się z Eneą i pomaga jej w przenoszeniu wirusa. Ostateczne musiały też znaleźć sposób na

uruchomienie dla niej wybranych transponderów. Obawiam się, że Szatan znalazł nowe imię i przyjaciół... w naszych czasach.

Albedo podniósł rękę.

— Należy w tym miejscu nadmienić, iż nawet Nemes i jej towarzysze są śmiertelnie niebezpieczni, tak jak wszystkie konstrukty, które charakteryzuje bezgraniczna koncentracja na wyznaczonym celu. Po schwytaniu dziecka Nemes i pozostali zostaną zlikwidowani. Tylko groźba zarazy Enei usprawiedliwia ich istnienie.

— Co jeszcze możemy zrobić, Ojciec Święty? - zapytał Kenzo Isozaki ze złożonymi jak do modlitwy dłońmi.

— Modlić się - odparł Jego Świątobliwość. Ciemne oczy Ojca Świętego upodobniły się do mrocznych studni bólu i odpowiedzialności. - Modlić się i wspierać Kościół Święty w wysiłkach mających na celu ocalenie ludzkości.

— Krucjata przeciw Intruzom będzie kontynuowana - powiedział kardynał Lourdusamy. - Postaramy się jak najdłużej opierać ich atakom.

— W tym też celu - wtrącił radca Albedo - Centrum skonstruowało napęd Gedeona i wciąż pracuje nad nowymi technologiami obronnymi dla ludzi.

— Nie ustajemy w poszukiwaniach dziewczynki..., a właściwie chyba już młodej kobiety - dodał Lourdusamy. - Kiedy ją zatrzymamy, zostanie wyizolowana ze społeczeństwa.

— A jeżeli jej nie zatrzymamy, Wasza Ekscelencjo? - zapytał Wielki Inkwizytor kardynał Mustafa.

Lourdusamy nie odpowiedział.

— Módlmy się - rzekł Jego Świątobliwość. - Prośmy Chrystusa o pomoc w chwilach największego zagrożenia dla Kościoła i ludzkiej rasy. Musimy robić co w naszej mocy, a potem wymagać od siebie jeszcze więcej i modlić się za dusze wszystkich naszych braci i sióstr

w Chrystusie. Nawet, a właściwie przede wszystkim za duszę dziecka imieniem Enea, które nieświadomie niesie zagrożenie własnemu gatunkowi.

— Amen - odpowiedział monsignore Lucas Oddi.

Kiedy wszyscy uklękli i skłonili głowy, Jego Świątobliwość papież Urban XVI wstał z tronu, stanął przed ołtarzem i zaczął odprawiać mszę dziękczynną.

14

Enea.

Jej imię uprzedziło wszelkie inne świadome myśli. Pomyślałem o niej zanim przyszło mi do głowy pomyśleć o sobie.

Enea.

Pojawił się ból, hałas, wszechobecna wilgoć i coś, co biło mnie po twarzy i piersi. Przede wszystkim jednak obudził mnie ból.

Otworzyłem jedno oko; drugie musiałem mieć zalepione zakrzepłą krwią albo podobną substancją. Zanim jeszcze uświadomiłem sobie, kim jestem i gdzie się znajduję, poczułem pieczenie i pulsowanie niezliczonych otarć i siniaków oraz coś dużo, dużo gorszego w prawej nodze. Wtedy przypomniałem sobie, kim jestem, a za chwilę także, gdzie ostatnio byłem.

Roześmiałem się. Właściwie bliższe prawdy byłoby stwierdzenie, że spróbowałem się roześmiać: wargi miałem opuchnięte i spękane, a z kącika ust sączyła mi się zmieszana z lepką śliną krew. Śmiech przypominał więc raczej jęk obłąkanego.

Połknęła mnie jakaś latająca mątwą, na planecie złożonej wyłącznie z powietrza, chmur i piorunów. Teraz mnie trawi.

Wokół mnie panował hałas nie do opisania: wybuchy, grzmoty, dudnienie i trzaski, jakbym przeżywał burzę w tropikalnym lesie, gdzie deszcz bez ustanku bębni o liście. Rozejrzałem się spod przymkniętej powieki: ciemność... a potem nagły błysk białego światła... znów ciemność, czerwony po widok na siatkówce... i dalsze błyski.

Przypomniałem sobie trąby powietrzne i burzową chmurę wielkości sporej planety, która zbliżała się do mnie, gdy szybowałem w kajaku na spotkanie olbrzymiego zwierzęcia. To była jednak inna burza; deszcz faktycznie bębnił o liście drzew; szarpany wiatrem materiał,

który okładał mnie po twarzy, okazał się potarganą nylonową płachtą - resztką paralotni - do której dołączyły się mokre liście palm i potrzaskane kawałki włókna szklanego. Zerknąłem w dół i odczekałem do następnej błyskawicy: z mroku wynurzył się połamany, rozbity kajak, w którym tkwiły moje nogi... nadal częściowo uwięzione w skorupie kadłuba. Lewa wyglądała na nietkniętą, gdy próbowałem nią poruszyć, prawa zaś... Zawyłem z bólu. Prawą nogę z pewnością miałem złamaną. Nie widziałem, żeby kość przebiła mi skórę, ale udo bez wątpienia zostało strzaskane.

Poza tym chyba nic mi się nie stało. Miałem trochę siniaków i otartej skóry, na dłoniach i twarzy zakrzepło mi sporo krwi, spodnie upodobniły się do kawałka szmaty, podobnie zresztą jak koszula i kamizelka, ale kiedy odwróciłem się i przeciągnąłem, rozprostowałem ramiona, poruszałem palcami lewej nogi i spróbowałem poruszać palcami prawej, doszedłem do wniosku, że wciąż jestem w jednym kawałku. Kręgosłup w porządku, żebra całe, nerwy nie uszkodzone... może z wyjątkiem nogi, skąd napływały takie sygnały, jakby ktoś przeciągał mi przez żyły drut kolczasty.

Przy blasku następnych paru piorunów postarałem się rozeznac w otoczeniu - utknąłem wraz z potrzaskanym kajakiem w koronie drzewa, zaklinowany wśród połamanych gałęzi i omotany strzępami paralotni. W dłoniach zaciskałem podtrzymujące spadochron pręty, po ciele okładały mnie palmowe liście, wokół szalała tropikalna burza i panował mrok rozjaśniany tylko rzadkimi błyskami wyładowań atmosferycznych. Wisiałem na niewiadomej wysokości nad ziemią.

Jakie drzewa? Nad jaką ziemią?

Planeta, nad którą szybowałem, nie miała ani skrawka stałego lądu... w każdy razie nie dotarłbym do niego, bo wcześniej ciśnienie zgmiotłoby mnie do rozmiarów pięści. Poza tym mało prawdopodobne, żeby na świecie typu jowiszowego rosły drzewa, jeżeli w panujących na

jego powierzchni warunkach wodór przybierał postać metaliczną. Wobec tego nie znajdowałem się już na tamtej planecie, nie był to również brzuch kałamarnicy. W takim razie co to za miejsce?

Grzmot zadudnił wokół mnie niczym seria eksplodujących granatów plazmowych. Wiatr uderzył ze zdwojoną siłą i szarpnął kajakiem, a z mojej piersi dobył się ryk bólu. Chyba na chwilę straciłem przytomność, bo kiedy znów otworzyłem oczy, wiatr zelżał i lodowate krople biły w moje ciało niczym tysiące drobniutkich piąstek. Otarłem zmieszaną z wodą krew z oczu i zdałem sobie sprawę, że mam gorączkę; mimo zimna skóra płonęła mi ogniem. Jak długo tu jestem? I jakie złośliwe mikroby znalazły już moje otwarte rany? Ciekawe z jakimi bakteriami dzieliłem wnętrze tej latającej mątwy?

Logika podpowiadała, że wspomnienia z lotu na jowiszowej planecie i pożarcia przez uzbrojoną w macki kałamarnicę są niczym innym, jak tylko majaczeniem, że po prostu przeniosłem się tutaj (cokolwiek by to „tutaj” miało oznaczać) przez transmiter wprost z Vitus-Gray-Balianusa B, a wszystko inne mi się przyśniło. Tylko że spowijały mnie pozostałości rozłożonej paralotni, a wspomnienia były tak żywe... Poza tym rozum podpowiadał mi również, iż moją odyseją nie rządzą żadne logiczne zasady.

Podmuch wiatru zakołysał drzewem. Kajak wysunął się odrobinę z delikatnego gniazdka postrzępionych liści i zmiażdżonych gałęzi, a promieniujący ze złamanego uda ból przeszył najdalsze zakątki mojego ciała.

Dotarło do mnie, że najwyższy czas zastosować trochę logicznego rozumowania. Kajak lada moment mógł się ześliznąć, a gałęzie do reszty popękać, a wówczas masa odłamków szklanego włókna, nylonowych wsporników i mokrego płótna pamięciowego runęłaby w dół, w ciemność, pociągając za sobą mnie i moją złamaną nogę. W błyskach piorunów, które zresztą uderzały coraz mniej regularnie,

widziałem pod sobą tylko kolejne konary, obszary mroku i grube, zielonoszare, podwójne pnie drzew, splecione w ciasne spirale. Nie znałem takich roślin.

Gdzie jestem? Eneo, gdzie mnie tym razem wysłałaś?

Dałem sobie spokój. Coraz bardziej przypominało to modlitwę, a nie zamierzałem wpaść w nałóg modlenia się do dziewczynki, z którą podróżowałem, jadałem obiady, kłóciłem się i którą cztery lata się opiekowałem.

— Ale i tak mogłaś rzucić mnie w przyjemniejsze miejsca, maleńka. Oczywiście pod warunkiem, że miałaś coś do powiedzenia.

Nad moją głową znów przetoczył się grzmot, ale nie towarzyszyła mu błyskawica i nic nie zobaczyłem. Kajak przemieścił się nieco i osunął; odłamany dziób znienacka się przekrzywił. Machnąłem rękoma do tyłu w poszukiwaniu konara, który dostrzegłem tam w jednej z poprzednich chwil jasności. Nie brakowało połamanych gałęzi, ostrych jak brzytwy odłamków łądyg i piłokształtnych liści. Łapałem je i podciągałem się, usiłując wydobyć złamaną nogę z kokpitu, ale nie znalazłszy stałego oparcia zdołałem tylko do połowy wysliznąć się z kajaka. Zalała mnie fala wywołanych bólem mdłości. Wyobrażałem sobie, że przed oczami tańczą mi czarne plamy, chociaż w otaczającej mnie absolutnej ciemności nie miało to najmniejszego znaczenia. Zwymiotowałem za burtę chybotającej się łódeczki i znów spróbowałem namacać uchwyt w gąszczu gałęzi i odrostów.

Jakim cudem w ogóle znalazłem się na drzewie, do diabła?

Nieważne. W tym momencie liczyło się tylko to, czy uwolnię się z płataniny włókna szklanego i nylonu.

Wyjąć nóż. Rozciąć oplatające mnie sznurki i szmaty.

Nie miałem noża; więcej, nie miałem całego pasa. Kieszonki kamizelki zostały oderwane, zanim jeszcze sama kamizelka zmieniła się w jeden wielki strzęp. Koszula praktycznie przestała istnieć.

Kartaczownica, którą przy spotkaniu z latającą mątwą ścisnąłem w dłoniach niczym talizman, zniknęła bez śladu... jak przez mgłę pamiętałem, że broń i plecak wypadły z kajaka, gdy tornado i burza gradowa podarły parolotnię. Straciłem ubrania, latarkę, jedzenie... Wszystko.

Błysnęło. Grzmot doleciał mnie tym razem z dość daleka. Dostrzegłem odbłask światła na nadgarstku.

Komlog. Ta cholerna bransoleta jest chyba niezniszczalna.

Do czego mógł mi się przydać komlog? Nie byłem pewien, ale i tak lepsze to niż nic. Podniosłem rękę do ust i krzyknąłem.

— Statku! Włącz komlog... Statku! Hej!

Żadnej odpowiedzi. Przypomniałem sobie, jak podczas burzy z piorunami na gazowym olbrzymie na ekraniku pojawiły się ostrzeżenia przed przeciążeniem. Nie umiem tego wyjaśnić, ale dotkliwie odczułem stratę komlogu. Z zapisanym w pamięci kompletem danych z komputera statku w najlepszym razie mógł uchodzić za niezbyt inteligentnego belfra, zżyłem się z nim jednak i przywykłem do jego obecności. Pomógł mi pilotować lądowisk z Domu Nad Wodospadem do Taliesina Zachodniego. I...

Otrząsnąłem się z nostalgii i znów zamłóciłem ramionami, żeby wreszcie się czegoś solidnie chwycić. Zacisnąłem dłonie na linkach parolotni, zwisających wszędzie dookoła na podobieństwo cienkich pnączy - i dobrze zrobiłem. Musiały się solidnie zaplątać w wyższych partiach korony drzewa, bo utrzymały mój ciężar, gdy wsparłszy lewą nogę na śliskim kadłubie wyciągnąłem z kokpitu prawą, złamaną.

Pod wpływem bólu znów na chwilę odpłynąłem w niebyt. Cierpiałem chyba tak samo, jak przy kamieniu nerkowym, tylko fale męczarni napływały z większą gwałtownością. Kiedy doszedłem do siebie, nie leżałem już we wraku, lecz obejmowałem ramionami spiralnie skręcony pień palmy. W kilka minut później nieznacznym

podmuchał wicher przedarł się przez listowie i strącił kajak w kawałkach na dół. Część odłamków zawisała w pajęczynie linek, większość jednak koziołkując zniknęła mi z oczu.

Co dalej?

Chyba poczekam, aż wstanie dzień.

A jeśli na tej planecie nie ma dnia?

To zaczekam, aż ból zelżeje.

Dlaczego miałby zelżeć? Złamana kość udowa trze o nerwy i mięśnie, masz wysoką gorączkę... Jeden Bóg wie ile czasu przeleżałeś nieprzytomny w deszczu, wśród połamanych liści i gałęzi. Każda zabójcza bakteria, która by się tobą zainteresowała, zdążyłaby dziesięć razy zagnieździć się w otwartych ranach. Gangrena pewnie już się rozwija. Kto wie, czy odór gnijących roślin nie pochodzi z twojego ciała.

Gangrena nie atakuje chyba aż tak szybko, prawda?

Brak odpowiedzi.

Lewą ręką objąłem mocniej pień, żeby obmacać obolałe udo, ale przy pierwszym dotknięciu jęknąłem i omal nie straciłem równowagi; gdybym znów zemdlał, zapewne ześliznąłbym się z gałęzi. Postanowiłem zatem zbadać prawe podudzie, które, choć zdrętwiałe, okazało się nietknięte. Ot, proste złamanie dolnego odcinka kości udowej.

Proste złamanie, Raul? Nic takiego. W samym środku dżungli, podczas burzy, która z tego, co wiemy, może trwać wiecznie. Bez medpaka, bez narzędzi, bez broni... I bez możliwości rozpalenia ognia. Ot, złamana noga i gorączka. Oczywiście, o ile faktycznie jest to proste złamanie.

Zaniknij się, do kurwy nędzy.

Rozważałem wszystkie możliwości. Deszcz nie dawał mi chwili spokoju. Mogłem wytrzymać tak do rana, czyli albo jakieś dziesięć

minut, albo, powiedzmy, trzydzieści godzin... bądź też spróbować zejść na ziemię.

Wprost w paszcze drapieżników, Raul? Świetny pomysł.

Mówiłem ci już, żebyś się zamknął. Może na ziemi dam radę ukryć się przed deszczem, położę wygodniej nogę, znajdę jakieś patyki na łubki.

— W porządku - powiedziałem głośno i namacałem w ciemności linę.

Myszę, że zejście zajęło mi jakieś dwie do trzech godzin, choć równie dobrze mogło trwać dwa razy krócej bądź dłużej. Błyskawice skończyły się i w niemal idealnej czerni w życiu nie znalazłbym chwytów dla rąk, gdyby nie delikatna, z początku niemal niewidoczna, czerwonawa poświata, która wkrótce rozjaśniła splecione nad moją głową liście. Dzięki niej udawało mi się natrafić to na sznurek, to znów na lianę albo gałąź.

Czyżby wschód słońca? Uznałem to za mało prawdopodobne; poświata była zbyt rozmyta, blada, jakby sztucznego pochodzenia.

Oszacowałem, że znajduję się na wysokości jakichś dwudziestu pięciu metrów. Grube konary ciągnęły się daleko w dół, ale z czasem ubywało brzytwiastych liści palmowych. Wciąż nie widziałem gruntu, a gdy po krótkim odpoczynku w rozwidleniu konarów ból i zawroty głowy nieco ustąpiły, a ja ruszyłem dalej, wpadłem nogą w wodę. Słabiutka poświata wystarczyła, bym zorientował się, że wszędzie dookoła woda przelewa się wśród poskręcanych drzew. Powierzchnię oleistej, ciemnej cieczy tu i ówdzie znaczyły małe zawirowania.

— Jasny gwint - mruknąłem. Nie zamierzałem ruszać się tej nocy z miejsca. Zacząłem się zastanawiać nad zbudowaniem tratwy; znalazłem się na innej planecie, więc i w górze rzeki, i w dole muszą się znajdować transmitery. Jakoś tu trafiłem. Poza tym już kiedyś budowałem tratwę.

Pewnie. Tylko wtedy byłeś zdrowy, najedzony, miałeś dwie nogi i narzędzia... siekierę i kieszonkowy laser. Teraz nie masz nawet pary nóg.

Zamknij się. Proszę cię, zamknij się.

Zamknąłem oczy i spróbowałem zasnąć. Wywołane gorączką dreszcze bez przerwy wstrząsały moim ciałem, ale starałem się nie zwracać na nie uwagi i pomyśleć o tym, co opowiem Enei przy następnym spotkaniu.

Nie wierzysz, że jeszcze się spotkacie, co?

— Kurwa twoja mać! Zamknij się wreszcie - powiedziałem, lecz mój głos utonął w szumie deszczu i chlupocie przelewającej się pół metra pode mną wody. Wiedziałem, że powinienem wdrapać się wyżej, pokonać te parę gałęzi, po których z takim wysiłkiem przed chwilą zszedłem. Poziom wody może się podnieść... Z pewnością się podniesie. Głupio by było tyle przecierpieć tylko po to, żeby teraz dać się porwać falom. Wystarczą trzy, może cztery metry. Zaraz się ruszę, za minutkę. Złapię oddech i poczekam, aż ból trochę puści. Góra dwie minutki.

Kiedy się obudziłem, świat spowijała słaba, mglista poświata dnia. Leżałem rozłożony w poprzek para obwisłych konarów, o kilka zaledwie centymetrów nad pofalowaną, szarą powierzchnią wezbranej wody. Przelewała się wśród spiralnych pni niesiona wyraźnym prądem. Światła było niewiele, jak gdyby panował późny zmierzch, wszystko więc wskazywało na to, że przespałem cały dzień i nadciągała właśnie następna noc bez końca. Deszcz wciąż padał, choć przeszedł w łagodną mżawkę. Panował tropikalny upał, z którego zdawałem sobie sprawę, mimo że gorączka nieco zaburzała moją zdolność odczuwania temperatury.

Całe ciało miałem tak obolałe, że nie potrafiłem już odróżnić tępego łomotania w złamanej nodze od dudnienia pod czaszką, rwania w plecach i bólu brzucha. Miałem wrażenie, jakby w głowie przelewała

mi się kula rtęci, ze znacznym opóźnieniem reagując na moje ruchy. Zebrało mi się na wymioty, ale żołądek miałem całkiem pusty. Zwiesiłem się z poplątanych lian i zająłem kontemplowaniem uroków przygody.

Kiedy następnym razem będziesz chciała, żeby ktoś coś dla ciebie zrobił, maleńka, wybierz lepiej A. Bettika.

Światło nie słabło, ale i nie przybierało na intensywności. Przesunąłem się trochę i zagapiłem na płynącą pode mną wodę: bura ciecz skręcała się w niezliczonych zawirowaniach i niosła masę organicznych śmieci, przede wszystkim liście palm i gnijące zielsko. Spojrzałem do góry, ale kajak i parolotnia zniknęły. Wszystkie odłamki, które spadły w nocy, dawno odpłynęły w siną dal.

Wyglądało na to, że przyszła powódź. Widziałem już coś podobnego wiosną na bagnach wokół zatoki Toschahi na Hyperionie, gdy wszystkie okoliczne potoki wzbierały i niosły kolejną warstwę mułu do morza. Tam jednak powódź ustępowała, tutaj zaś (gdzie jest to „tutaj”?) zatopiona, bezkresna dżungla, wyrastająca wprost z wody, mogła stanowić stały element krajobrazu.

Spojrzałem baczniej na powierzchnię rzeki. Była mętna, nieprzejrzysta jak szare mleko i mogła mieć od kilku centymetrów do kilkunastu metrów głębokości. Nie miałem pojęcia, jak głęboko sięgają zatopione pnie. Prąd był dość rwący, nie na tyle jednak, żeby grozić mi porwaniem, jeśli mocno złapię się najniższych konarów. Przy odrobinie szczęścia, przy braku miejscowych odpowiedników wampirzych kleszczy, łuskostów i mulistych pułapek w dnie, mógłbym powoli brodzić w stronę... czegokolwiek.

Do brodzenia potrzeba dwóch nóg, Raul. W twoim przypadku byłoby to raczej podskakiwanie w błocie.

Dobrze, niech będzie: mógłbym podskakiwać na jednej nodze w błocie. Chwyciłem oburącz znajdującą się nade mną gałąź

i opuściłem lewą nogę do wody; prawej na razie nie zdejmowałem z konara, na którym przysiadłem. Wyczyn ten obudził nową falę bólu, ale byłem uparty. Zanurzyłem stopę po kostkę, potem łydkę, kolano, przeniosłem na nogę ciężar ciała. Obolałe przedramiona i bicepsy protestowały przeciw tej gimnastyce, a złamana noga zsuwała się z podpórki. Syknąłem z bólu.

Woda miała niespełna półtora metra głębokości, zdołałem więc stanąć na zdrowej nodze i pozwoliłem, by błotnista ciecz opływała mi biodra i chlupotała o pierś. Była ciepła i chyba za jej sprawą rwanie w udzie nieco osłabło.

A w tym ciepłym rosółku aż roi się od milutkich, spasionych mikrobow. Niektóre to pewnie jeszcze mutanty ze statków kolonizacyjnych, Raul. Ostrzą sobie na ciebie zębki, mój chłopcze.

— Zamknij się - powiedziałem drętwo. Rozejrzałem się. Lewe oko miałem zapuchnięte i zalepione ropą, ale coś niecoś jeszcze nim widziałem. Głowa pękała mi z bólu.

Ze wszystkich stron pnie ciągnęły się w nieskończoność, niknąc dopiero w szarej mżawce; ociekające wodą liście i konary miały ciemny, szarozielony odcień, który w tym świetle przechodził w czerń. Wydawało mi się, że po lewej jest nieco jaśniej, a i muliste podłoże z tej strony dawało solidniejsze oparcie nodze.

Zaczajeni więc posuwać się w tym kierunku. Przystawiałem nogę, równocześnie przekładając ręce z gałęzi na gałąź. Czasem schylałem się przed zwieszającym się nisko liściem, to znów odsuwałem się na bok niczym torreador na zwolnionym filmie, żeby usunąć się z drogi unoszonym przez nurt gałęziom i innym śmieciom. Moje dryfowanie ku jasności trwało wiele godzin, nie miałem jednak nic lepszego do roboty.

Zatopiona dżungla kończyła się na skraju rzeki. Trzymałem się ostatniej gałęzi, czułem, jak prąd usiłuje wyszarpnąć spode mnie

zdrową nogę i patrzyłem na bezkresny szary przestwór. Nie widziałem drugiego brzegu, choć wcale nie dlatego, że woda ciągnęła się tu bez końca - po nurcie i zawirowaniach poznawałem, że stoję nad rzeką, a nie nad oceanem - ale ponieważ gęsta mgła albo obłoki spływały niemal do samej powierzchni, kryjąc przed moim wzrokiem wszystko, co znajdowało się dalej niż kilkaset metrów ode mnie: szarą wodę, szarozielone, ociekające deszczem drzewa, ciemnoszare chmury. Robiło się coraz ciemniej; zapadał zmierzch.

Wiedziałem, że dalej już nie zajdę. Miałem potwornie wysoką gorączkę i mimo upału zęby szczękały mi z zimna, a ręce trzęsły się tak, że z trudem nad nimi panowałem. Gdzieś po drodze, brnąc niezgrabnie przez pogrążony w wodzie las, naruszyłem złamane udo tak, że chciało mi się wyć. Nie, nie chciało mi się - naprawdę wyłem: z początku cichutko, ale kiedy z upływem czasu ból narastał, a moja sytuacja się pogarszała, zacząłem wyrzaskiwać najpierw słowa marszów Straży Planetarnej, a potem bezecne limeryki, których nauczyłem się na barkach na Kansie. Jeszcze później nie starałem się nawet wydawać artykułowanych dźwięków.

To tyle, jeśli chodzi o budowanie tratwy.

Zaczynałem się przyzwyczajać do cierpkiego głosu, rozbrzmiewającego w mojej głowie. Zawarliśmy rozejm, kiedy zrozumiałem, że nie każe mi położyć się i umrzeć, tylko krytykuje niepewność moich starań o utrzymanie się przy życiu.

Oto twoja szansa, Raul. Na lepszą tratwę nie masz co liczyć.

Niedaleko mnie przepływało właśnie całe wyrwane z korzeniami drzewo. Obracało się wolno wokół własnej osi. Stałem w wodzie do ramion, o dziesięć metrów od głównego nurtu rzeki.

— Pewnie - powiedziałem na głos. Moje zaciśnięte na gałęzi palce ześliznęły się lekko, przesunąłem się więc i podciągnąłem. Coś zazgrzytało mi w nodze i tym razem z pewnością przed oczami

zamigotały czarne placki. - Pewnie - powtórzyłem. Jakie mam szansę, że nie stracę przytomności, że nie zrobi się ciemno i że dożyję chwili, gdy zdołam wdrapać się na jedno z nich? Pływanie nie wchodziło w grę: jedną nogę miałem zupełnie wyłączoną, a pozostałe trzy kończyny trzęsły się jak w febrze. Mogłem jeszcze co najwyżej przez kilka minut pościskać konar w garści.

— Pewnie - dodałem. - Do ostatka.

— Przepraszam, M. Endymion. Czy mówił pan do mnie?

Na dźwięk głosu niemal puściłem gałąź. Zacisnąłem mocniej palce prawej dłoni, lewą zaś opuściłem niżej i w słabnącym świetle spojrzałem na komlog: lśnił słabą poświatą, której nie widziałem ubiegłej nocy.

— Niech mnie diabli - powiedziałem. - Myślałem, że nie działasz, statku.

— Ten przyrząd jest uszkodzony, proszę pana. Jego pamięć została wykasowana, a obwody neuronowe są martwe. Funkcjonuje tylko moduł komunikacyjny, i to na awaryjnym zasilaniu.

Zmarszczyłem brwi.

— Nie rozumiem. Skoro masz wyczyszczoną pamięć, a obwody przetwarzania są...

Rzeka szarpnęła moim złamanym udem, prowokując, żebym rozluźnił uchwyt. Odebrało mi mowę.

— Statku? - odezwałem się wreszcie.

— Słucham, M. Endymion?

— Jesteś tutaj.

— Ależ oczywiście, M. Endymion. Pan i M. Enea kazaliście mi tu zostać. Miło mi oznajmić, że dokonałem wszystkich niezbędnych napraw...

— Pokaż mi się - rozkazałem. Zrobiło się już prawie całkiem ciemno. Znad rzeki wyciągały się ku mnie macki lepkiej mgły.

Statek się wynurzył. Zawisł poziomo, z dziobem skierowanym w moją stronę, na wpół zanurzony w wodzie niczym wyrosły nagle spod ziemi olbrzymi głaz; czarny lewiatan, dzielący główny nurt na spienione strugi. Niecałe dwadzieścia metrów ode mnie migają dziobowe światła pozycyjne; odpowiadał im błysk lampki rufowej, skrytej daleko we mgle.

Roześmiałem się. Albo rozplakałem. A może tylko jęknąłem.

— Chce pan do mnie podpłynąć, M. Endymion? Czy też wołałby pan, żebym to ja się zbliżył?

Palce ześlizgiwały mi się z gałęzi.

— Zbliż się - poleciałem i kurczowo zacisnąłem obie dłonie na oślizłym konarze.

Na pokładzie kriogenicznym, gdzie Enea sypiała podczas naszego lotu z Hyperiona, znajdował się automat chirurgiczny, zabytkowy - no cóż, cały statek był jednym wielkim zabytkiem - ale po dokonaniu niezbędnych napraw sprawny i zaopatrzony w niezbędne materiały. Ponadto, jeśli dać wiarę gadaniu statku, Intruzi coś w nim majstrowali, jeszcze za życia konsula. W każdym razie działał.

Leżałem w ciepłym, ultrafioletowym świetle, a miękkie sondy autochirurga obmacywały mnie, smarowały sińce maścią, zszywały głębsze rany, podawały środek przeciwbólowy w kroplówce i ustalały pełną diagnozę.

— To skomplikowane złamanie, M. Endymion - stwierdził statek. - Chce pan przejrzeć zdjęcia rentgenowskie i wyniki USG?

— Nie, dziękuję - odparłem. - Co z nim zrobimy?

— Autochirurg już zaczął nastawiać kość. Przeszczepy i nałożenie plastospoiwa nastąpią pod narkozą. Ze względu na uszkodzenia mięśni i tkanki nerwowej, chirurg zaleca przynajmniej dziesięciogodzinną przerwę na sen.

— Już niedługo.

— Największym jednak zmartwieniem jest pańska podwyższona temperatura, M. Endymion.

— To chyba skutek złamania, prawda?

— Niestety nie. Wszystko wskazuje na zakaźne zapalenie nerek, które nie leczone zabiłoby pana szybciej niż efekty uboczne złamania kości udowej.

— A toś mnie pocieszył.

— Jak to, M. Endymion?

— Nieważne. Mówiłeś, że jesteś w pełni sprawny, czy tak?

— Całkowicie. Mój stan jest chyba nawet lepszy niż przed wypadkiem, jeśli mogę się pochwalić. Widzi pan, ze względu na straty materiałowe obawiałem się, że będę zmuszony odtworzyć pewne związki węgla na podstawie dość ubogich zasobów naturalnych tutejszej rzeki. Okazało się jednak, że dzięki powtórnemu przetworzeniu nie używanych elementów tłumików antyprzeciążeniowych, które w obliczu wprowadzonych przez Intruzów modyfikacji są zupełnie zbędne, zdołam podnieść wydajność procesu autonaprawczego o trzydzieści dwa procent, jeśli tylko...

— Mniejsza z tym, statku - przerwałem mu. Brak znajomego bólu w nodze przyprawiał mnie niemal o zawroty głowy. - Ile czasu zajęło ci dokonanie wszystkich napraw?

— Pięć miesięcy standardowych, czyli ponad osiem lokalnych. Ta planeta charakteryzuje się niezwykłym cyklem miesięcznym, ma bowiem dwa krążące nieregularnie księżyce, które, jak mniemam, są złapanymi w jej pole grawitacyjne asteroidami, ponieważ...

— Pięć miesięcy - powtórzyłem. - A pozostałe trzy i pół roku po prostu na nas czekałeś.

— Tak jest, wedle instrukcji. Mam nadzieję, że A. Bettikowi i M. Enei nic się nie stało.

— Ja również, statku. Niebawem się przekonamy. Jesteś gotów, żeby ruszać w drogę?

— Wszystkie układy są sprawne, M. Endymion. Czekam na rozkazy.

— Wydaję więc rozkaz: lecimy.

Statek wyświetlił na ekranie holograficzny obraz okolicy, nad którą zaczynaliśmy się wznosić. Zapadł już zmrok, ale dzięki nocnym obiektywom z ciemności wyłaniała się wezbrana rzeka i odległy o kilkaset metrów portal transmitera; we mgle go nie widziałem. Wzlecieliśmy ponad rzekę, a potem także ponad kłębiące się bure obłoki.

— Wody znacznie przybyło od czasu mojej ostatniej wizyty - zauważyłem.

— To prawda - przyznał statek. Na ekranie uwidoczniła się już krzywizna globu. Słońce wynurzało się z powodzi strzępiastych chmur.
- Podczas każdego cyklu orbitalnego powódź trwa około trzech tutejszych miesięcy.

— Wiesz już zatem co to za świat? Kiedy się rozstawaliśmy, nie byłeś tego pewien.

— Jestem absolutnie przekonany, że nie jest to żadna z dwóch tysięcy ośmiuset sześćdziesięciu siedmiu planet opisanych w Głównym Katalogu. Z moich obserwacji astronomicznych wynika, że nie leży ani w kosmosie Paxu, ani na terenie dawnej Sieci czy Pogranicza.

— Poza Siecią, poza Pograniczem... W takim razie gdzie?

— Około dwustu osiemdziesięciu lat świetlnych na galaktyczny północny zachód od znajdującego się na Pograniczu układu NNGC 4645 Delta.

W głowie trochę mi się kręciło od środków przeciwbólowych.

— Nowa planeta - powiedziałem. - Dalej niż Pogranicze. Skąd wobec tego wzięły się tu transmitery? Dlaczego ta rzeka wchodziła w skład Tetydy?

— Tego nie wiem, M. Endymion. Czuję się jednak w obowiązku nadmienić, iż występuje tu dużo interesujących form życia, które spoczywając na dnie obserwowałem przez wystawione nad wodę kamery. Poza przypominającym płaszczkę stworzeniem, na które wraz z M. Eneą i A. Bettikiem natknął się pan w dole rzeki, jest tu ponad trzysta gatunków istot powietrznych oraz co najmniej dwa gatunki humanoidalne.

— Dwa gatunki humanoidalne? To znaczy - ludzie?

— Nie, nie ludzie: humanoidy. Bez wątpienia nie są to potomkowie mieszkańców Starej Ziemi. Osobniki jednego z gatunków cechuje niewielki wzrost - nieco powyżej metra - i pionowa symetria ciała, ale zupełnie odmienna struktura szkieletu i wyraźne czerwone zabarwienie skóry.

Przypomniałem sobie czerwony monolit skalny, który poleciliśmy z Eneą obejrzeć, korzystając z maty grawitacyjnej; drobne stopnie wykute w kamieniu. Pokręciłem głową, żeby odsunąć ten obraz.

— To rzeczywiście ciekawe, statku - powiedziałem. - Ale wróćmy do naszego rejsu. — Krzywizna planety stawała się coraz wyraźniejsza, a nad jej krawędzią pojawiły się pierwsze gwiazdy. Nie migotały. Statek wznosił się coraz wyżej, aż minęliśmy kartoflowaty księżyc i odsunęliśmy poza jego orbitę. Nie nazwana planeta zmieniła się w oślepiającą kulę rozświetlonych słońcem chmur. - Wiesz gdzie leży Tien Szan, czyli „Niebiańskie Góry”?

— Tien Szan - powtórzył statek. - Owszem. O ile mnie pamięć nie myli, nigdy tam nie byłem, ale mam współrzędne. To mała planetka na Pograniczu, na której osiedlili się wygnańcy, ocalali z trzeciej chińskiej wojny domowej, toczzonej pod koniec hegiry.

— Trafisz tam bez kłopotu?

— Żadnych kłopotów nie przewiduję - potwierdził statek. - To prosty przeskok, aczkolwiek zalecam wykorzystanie komory autochirurgów

charakterze leżanki kriogenicznej.

Jeszcze raz pokręciłem głową.

— Nie będę spał, statku. Przynajmniej nie wtedy, gdy autochirurg doprowadzi już moją nogę do porządku.

— To nie jest najlepszy pomysł, M. Endymion.

— Niby dlaczego? - Zmarszczyłem brwi. - Przecież z Eneą nie spaliśmy podczas skoków.

— To prawda, były to jednak stosunkowo krótkie rejsy, wszystkie w obrębie dawnej Sieci. W granicach dzisiejszego kosmosu Paxu. Ten skok będzie nieco dłuższy.

— To znaczył - zapytałem. Przebiegł mnie nagły dreszcz. Najdłuższy skok, jakiego dokonaliśmy - do układu Renesansu - trwał dziesięć dni czasu pokładowego i oznaczał pięciomiesięczny dług czasowy dla oczekującej na nas Floty Paxu. - Jak długi?

— Trzy miesiące, osiemnaście dni i sześć godzin standardowych z minutami.

— To niewiele - stwierdziłem. Ostami raz widziałem Eneę wkrótce po jej szesnastych urodzinach. Różnica wieku między nami zmniejszy się zatem o kilka miesięcy; może włosy jej urosną. - Mieliśmy większy dług czasowy przy skoku na Renesans.

— To nie jest dług czasowy, M. Endymion. To czas pokładowy.

Tym razem przebiegł mnie prawdziwy dreszcz. Język stanął mi kołkiem.

— Trzy miesiące czasu pokładowego... - powtórzyłem po chwili. - Jaki to jest dług czasowy?

— Dla osoby mieszkającej na Tien Szanie? - upewnił się statek. Porośnięta dżunglą planeta zmieniła się w jasny punkcik za rufą, gdy rozpędzaliśmy się coraz bardziej, zmierzając do punktu translacji. - Pięć lat, dwa miesiące i jeden dzień. Zdaje pan sobie zapewne sprawę,

że długi czasowy nie jest liniową funkcją czasu podróży w przestrzeni Hawkinga, lecz zależy również od takich czynników, jak...

— Jezu Chryste - przerwałem mu i otarłem spocone czoło. - Niech to diabli.

— Odczuwa pan ból, M. Endymion? Dolorometr nic takiego nie wykazuje, ale pański puls stał się wysoce nieregularny. Możemy zwiększyć dawkę środka przeciwbólowego...

— Nie! - warknąłem. - Nic mi nie jest. Po prostu... pięć lat... Cholera jasna!

Wiedziała o tym? Czy Eneą wiedziała, że nasze rozstanie potrwa dla niej kilka lat? Może powinienem był przelecieć statkiem pod portalem w dole rzeki... Ale nie, Eneą prosiła, żebym go znalazł i poleciał na Tien Szan. Ostatnio transmiter przerzucił nas na Marę Infinitus; kto wie, co stałoby się tym razem.

— Pięć lat - mruknąłem. - Szlag by to... Będzie miała... Jasna cholera, statku, ona będzie miała dwadzieścia jeden lat. Będzie dorosłą kobietą. Stracę... Nie zobaczę, jak... Zapomni...

— Czy jest pan pewien, że nic panu nie dokucza, M. Endymion? Wskazania aparatury bardzo gwałtownie się zmieniają.

— To nieważne, statku.

— Czy mam nastawić autochirurga na sen kriogeniczny?

— Już niebawem. Przekaż mu, że ma mnie uśpić na czas potrzebny do wyleczenia nogi i zbitcia gorączki. I niech to będzie przynajmniej dziesięć godzin. Ile czasu zostało do punktu translacji?

— Tylko siedemnaście godzin. To blisko, w obrębie układu.

— Dobrze. Obudź mnie za dziesięć godzin, przygotuj śniadanie. .. To samo, co jadaliśmy z okazji „niedzieli” podczas rejsu z Hyperiona.

— Jak pan sobie życzy. Coś jeszcze?

— Owszem. Czy zarejestrowałeś jakieś holofilmy z... z Eneą, z naszej podróży?

— Mam kilka godzin takich nagrań, M. Endymion: kąpiel w bańce zerowej grawitacji na tarasie; dyskusja o przewadze religii nad rozsądkiem; lekcje latania w szybie komunikacyjnym, kiedy to...

— Świetnie - uciąłem. - Przygotuj je; przejrzeje przy śniadaniu.

— Zaprogramuję autochirurga na trzymiesięczny sen kriogeniczny po jutrzejszym siedmiogodzinnym interludium.

Westchnąłem.

— W porządku.

— Automat chciałby zacząć uzupełnianie tkanki nerwowej i podawanie antybiotyków, M. Endymion. Chce się pan zdrzemnąć?

— Tak.

— Woli pan śnić czy nie? Leki pozwalają tym sterować.

— Nie - odrzekłem. - Żadnych snów. Przyjdzie na nie czas później.

— Znakomicie, M. Endymion. Niech pan smacznie śpi.

CZĘŚĆ DRUGA

15

Jesteśmy z A. Bettikiem, Jigme Norbu i George'em Tsarongiem na jednej z półek bazaru w Phari, gdy dociera do nas wieść o okrętach i żołnierzach Paxu, przybywających w końcu na

Tien Szan, która to nazwa znaczy „Niebiańskie Góry”.

— Powinniśmy powiedzieć o tym Enei - mówię. Dookoła nas, pod nami i nad nami ważące tysiące ton rusztowanie chwieje się i trzeszczy pod ciężarem tłumów ludzi zajętych kupowaniem, sprzedawaniem, wymianą i kłótniami, przeplatany wybuchami wesołości. Niewielu słyszało nowinę o pojawieniu się Paxu; jeszcze mniej zrozumie jej implikacje, kiedy już się z nią zapozna. Posłańcem, który ją przyniósł, jest Chim Din, mnich, który właśnie wrócił ze stolicy, z Potali, gdzie pracuje jako nauczyciel w zimowym pałacu dalajlamy. Na szczęście co drugi tydzień spędza jako pomocnik na budowie Hsuankung Ssu, czyli „Napowietrznej Świątyni”, projektu nadzorowanego przez Eneę. Zaczepia, nas na bazarze, zmierzając właśnie do świątyni, dzięki czemu jesteśmy jednymi z pierwszych ludzi poza dworem w Polali, którzy otrzymują tę wiadomość.

— Pięć okrętów - mówi Chim Din. - Kilkuset chrześcijan; połowa z nich to żołnierze w czerwono-czarnych mundurach; połowę pozostałej połowy stanowią odziani na czarno misjonarze. Wynajęli sobie starą gompę sekty Czerwonych Kapeluszy nad brzegiem Rhan Tso, Jeziora Wydr, nieopodal Fallusa Siwy. Poświęcili część gompę i zrobili w niej kaplicę ku czci swego boga, jednego w trzech osobach. Dalajlama nie pozwala im używać machin latających ani zapuszczać się za południową granicę Państwa Środka, ale w jego obrębie mogą poruszać się bez ograniczeń.

— Powinniśmy powiedzieć o tym Enei - powtarzam. Nachylałam się przy tym w stronę A. Bettika, żeby przekrzyknąć bazarowy harmider.

— Powinniśmy powiedzieć wszystkim w Jokungu - stwierdza android. Odwraca się, prosi George'a i Jigme, żeby kończyli zakupy i nie zapomnieli o znalezieniu tragarzy, którzy przeniosą zamówione liny i drewno bambusowe, po czym zarzuca sobie na ramię wypchany plecak, sprawdza zwieszający się z uprząży sprzęt wspinaczkowy i daje mi znak skinieniem głowy.

Podnoszę własny plecak i ruszam przodem. Opuszczamy bazar i schodzimy po drabinach na poziom lin zjazdowych.

— Powietrzna Droga będzie chyba szybsza niż Droga Piesza, prawda? - pytam.

Niebieski człowiek kiwa głową. Z wahaniem proponowałam powrót Drogą Powietrzną, gdyż dla jednorękiego A. Bettika korzystanie z lin i ślizgów jest dość trudne. Przy ponownym spotkaniu zdziwiłam się, że nie wprawił sobie w kikut stalowego haka - jego lewe ramię kończy się tępo między łokciem i nadgarstkiem - wkrótce jednak przekonałam się, że posługując się skórzanym pasem i różnym wyposażeniem dodatkowym nauczył się znakomicie zastępować brakującą dłoń.

Owszem, M. Endymion - mówi. - Droga Powietrzna jest znacznie szybsza. Chyba że zamierza pan posłać jednego z lotników jako kuriera.

Patrzę na niego, podejrzewając, że nabija się ze mnie. Lotnicy stanowią zupełnie odrębną, szaloną społeczność. Szybują na paralotniach z wysokich szczytów i wież, chwytają prądy wznoszące przy masywnych skalnych ścianach i pokonują rozległe przestrzenie między graniami i wierzchołkami, gdzie nie rozpięto lin i nie pobudowano mostów; obserwują ptaki i szukają dogodnych prądów termicznych, jakby od tego zależało ich życie... Bo rzeczywiście zależy. Nigdzie dookoła nie ma płaskiego skrawka terenu, na którym lotnik mógłby wylądować w razie nagłej zmiany kierunku zdradzieckiego

wiatru, zaniku prądu wznoszącego czy kłopotów z lotnią; przymusowe lądowanie na grani prawie zawsze kończy się tragicznie: najdrobniejsza pomyłka w ocenie siły wiatru, komina powietrznego, prądu - każdy taki błąd to śmierć lotnika. Dlatego żyją samotnie, wyznają tajemny kult i pobierają astronomiczne sumy za przenoszenie wiadomości od dalajlamy, z Potali, za rozwijanie wstęg z buddyjskimi modlitwami podczas świąt religijnych, za przekazywanie informacji do biur kupców, którzy chcą zyskać na czasie i uprzedzić konkurencję - a także, jak głoszą legendy, za loty na leżący na wschodzie Taj Szan, który od głównego masywu Tien Szanu dzieli ponad sto kilometrów przestworzy i zabójczych chmur.

— Chyba lepiej nie powierzać tej wiadomości lotnikowi - mówię.

A. Bettik kiwa głową.

— Ma pan rację, M. Endymion. Natomiast tutaj, na bazarze, w stoisku Cechu Lotników, możemy kupić sobie parolotnie. Tak byłoby najszybciej. Są drogie, ale można by sprzedać część zyków ze stada.

Nigdy nie potrafię rozpoznać, kiedy mój przyjaciel android żartuje. Przypominam sobie swój ostatni lot na parolotni i z trudem powstrzymuję dreszcz zgrozy.

— Latałeś już na tej planecie? - pytam.

— Nie, M. Endymion.

— A na jakiejś innej?

— Nie, M. Endymion.

— Jak ocenilibyś nasze szansę?

— Jedna na dziesięć - odpowiada android bez namysłu.

— A jakie mamy szansę późnym popołudniem na linach i ślizgu?

— Dziewięć na dziesięć przed zmrokiem - mówi A. Bettik. - Mniej, jeśli nie dotrzemy na czas do ślizgu.

— W takim razie pospieszmy się z tymi linami.

Stoimy chwilę w krótkiej kolejce gości, którzy opuszczają bazar, zjeżdżając po linie, po czym stajemy na platformie wstępnej. Bambusowa półka znajduje się około dwudziestu metrów poniżej najniższego poziomu rusztowań bazaru i wystaje o dobre pięć metrów dalej nad otchłanią niż cała reszta Phari. Pod nami znajduje się kilka kilometrów powietrza, na dnie tej pustki zalega zaś morze wszechobecnych chmur, spiętrzone wokół sterczących z niego skalnych wież na podobieństwo fal przyływu, bijących o brzegi. Wiem, że dalsze kilka kilometrów pod chmurami rozciąga się królestwo trujących gazów i morze kwasu, pokrywające całą powierzchnię planety z wyjątkiem górskich turni.

Liniarz daje nam znak i razem z A. Bettikiem wchodzimy na platformę startową. We wszystkich kierunkach rozchodzi się z niej ponad dwadzieścia lin, które opadają w dół czarną pajęczyną i nikną na granicy pola widzenia. Najbliższa stacja końcowa zjazdu znajduje się ponad półtora kilometra na pomoc stąd, na skalnym występie strzelającym w niebo pośród lodowych zerw wspaniałej Czomo Lori, „Królowej Śniegu”. My jednak udajemy się na wschód, nad otchłanią dzielącą górskie masywy, a punkt docelowy naszego zjazdu leży o dwadzieścia kilometrów od Phari. Nasz lina wygląda, jakby urywała się w powietrzu, gdyż zlewa się z ginącą powoli w mroku skalną ścianą. Miejsce, do którego zdążamy, znajduje się dalsze trzydzieści pięć kilometrów stamtąd, tym razem w kierunku północno-

wschodnim. Idąc pieszo, najpierw wzdłuż Phari, później zaś po mostkach i napowietrznych chodnikach, potrzebowalibyśmy około sześciu godzin na pokonanie całej trasy; korzystając z lin i ślizgu mamy szansę skrócić podróż o połowę, tyle że dzień ma się już ku końcowi i ślizg będzie szczególnie niebezpieczny. Ponownie zerkam na opadające słońce i jeszcze raz rozważam sensowność naszego planu.

— Gotowi? - grzmi basowym głosem liniarz, malutki, śniady mężczyzna w połatanej i poplamionej chubie. Bez przerwy żuje korzeń besilu i teraz odwraca się, by splunąć na dół, poza platformę. Podchodzimy do liny.

— Gotowi - odpowiadamy unisono.

— Zachowajcie odstęp. - Liniarz pokazuje mi, że będę jechał pierwszy.

Wyciągam spod oplatającej całe ciało uprząży wsporniki, przebiegam dłońmi po pętli ze sprzętem, nazywanej przez nas „szpejarką”, wybieram z niej na dotyk wózeczek z dwoma oškami i wpinam go karabinkiem w pierścienie na końcach wsporników. Na drugim karabinku wiążę muntera, który posłuży mi jako zapasowy hamulec, gdyby zawiódł mechanizm hamujący wózka, po czym znajduję trzeci, najlepszy karabinek i spinam nim fartuchy wózka, tak żeby obejmowały linę. Przewlekam następnie linkę zabezpieczającą przez pierwsze dwa karabinki, zawiązuję na niej krótkiego prusika i wpinam ją w uprząż na piersi, pod wspornikami. Zajmuje mi to niecałą minutę. Podnoszę ręce, chwytam pierścienie sterujące wózka i podskakuję, chcąc sprawdzić zarówno jego mocowanie, jak i moje węzły i zabezpieczenia. Wszystko w porządku.

Liniarz podchodzi do mnie i oczami eksperta ogląda bacznie pierścienie i zacisk wózka. Przesuwa nim jakiś metr tam i z powrotem po linie, żeby sprawdzić, czy poruszające się praktycznie bez tarcia oški chodzą gładko. Na koniec wiesza się na mnie niczym drugi plecak, a potem puszcza gwałtownie i patrzy, czy mocowania trzymają. Wiem, że nie przejąłby się zbytnio, gdybym spadł z liny, ale gdyby wózek utkwiał gdzieś po drodze, na dwudziestokilometrowym odcinku splecionych, ciągnących się w nieskończoność monowłókien, to właśnie on musiałby zrobić z nim porządek, zawieszony gdzieś tam na

drewnianej ławeczce, kilometry nad otchłanią. Wygląda jednak na to, że wszystko należycie przygotowałem.

— Jazda! - mówi liniarz i poklepuje mnie po ramieniu.

Skaczę przed siebie. Plecak podskakuje mi do góry, uprząż rozciąga się, lina obwisa jeszcze bardziej, a z wnętrza obudowy wózka dobiega mnie cichutki pomruk. Popuszczając zaciśnięte na pierścieniach kciuki zaczynani się rozpędzać i w kilka sekund później mknę z oszałamiającą prędkością w dół. Podnoszę nogi i siadam w uprzęży; ruch ten w ostatnich trzech miesiącach wszedł mi już w krew. Masyw Kun Luna, ku któremu zmierzamy, lśni w promieniach słońca. Cień wypełnia przestwór pode mną i pełźnie w górę Phari.

Czuję lekki wzrost naprężenia liny i słyszę pomruk drugiego wózka: to A. Bettik zaczyna zjeżdżać za mną. Odwracam się i widzę, jak oddala się od platformy startowej, kołysząc się na elastycznych wspornikach, w klasycznej pozycji, z nogami wyprostowanymi pod kątem prostym do tułowia. Z najwyższym trudem udaje mi się dostrzec linkę biegnącą od skórzanej obejmy na jego lewym ramieniu do hamulca wózka. A. Bettik macha do mnie, więc odpowiadam mu tym samym gestem i odwracam się do przodu, koncentrując na przemykającej nade mną ze świstem linie: czasem jakiś ptak przysiadzie na niej, żeby odpocząć; czasem trafi się gruda lodu albo nierówność splotu; zdarza się, choć bardzo rzadko, natrafić na zaklinowany wózek, którego właściciel miał wypadek albo z sobie tylko wiadomych przyczyn po prostu wypiął się z uprzęży; jeszcze rzadziej, ale wystarczająco często, by zapaść w pamięć, bywa, że ktoś, kto żywi jakieś pretensje wobec ludzkości bądź przejawia skłonności psychopatyczne, instaluje na linie samozaciskową pętlę albo sprężynową blokadę. Następnego pasażera czeka więc niemiła niespodzianka. Karą za tego rodzaju występki jest strącenie z najwyższej platformy w Potali bądź Jokungu, niewielka to

jednak pociecha dla pechowca, który pierwszy natknie się na pętlę czy blok.

Na szczęście żadna z tych ewentualności nie przytrafia mi się, gdy mknę po superlekkiej linii nad bezdenną przepaścią. Jedynymi towarzyszącymi mi dźwiękami są buczenie hamulca wózka, którym reguluję prędkość zjazdu, oraz świst powietrza. Wciąż dosięgają nas promienie słońca. Na Tien Szan zawitała wprawdzie wiosna, lecz powyżej ośmiu tysięcy metrów zawsze panuje przenikliwy chłód. Oddychanie natomiast nie sprawia mi kłopotu: każdego dnia, jaki spędzam w Niebiańskich Górach, dziękuję bogom odpowiedzialnym za ewolucję planet, że mimo niższego niż na Starej Ziemi ciśnienia - wynoszącego 0,954 g - tlenu na tej wysokości nie brakuje. Patrzę na przemykające tysiące metrów pod mną chmury i myślę o spienionym oceanie, smaganym wiatrami gęstego dwutlenku węgla i fosgenu. Na Tien Szanie nie ma prawdziwego lądu stałego - tylko gęsta zupa bezkresnego oceanu i wyrastające z niej niezliczone masywy górskie, sięgające warstwy bogatej w tlen i skąpane w promieniach jasnego słońca.

Wracają wspomnienia. Przypominam sobie inny, podobny krajobraz ze świata, na którym znalazłem się przed paroma miesiącami. Myślę o pierwszym dniu na pokładzie statku: nie osiągnęliśmy jeszcze punktu translacji, moja noga stopniowo goiła się, a infekcja ustępowała.

— Zastanawiam się, jak się tu dostałem - rzuciłem od niechcienia. - Ostatnie, co pamiętam, to olbrzymia...

W odpowiedzi na moje głośne rozważania statek wyświetlił holo zarejestrowane przez jedną z kamer, gdy jeszcze spoczywał cicho na dnie rzeki. Padał deszcz i słaby blask gwiazd musiał zostać sztucznie wzmocniony, bo wyraźnie widziałem połyskujący zielono transponder i targane wicherem drzewa. Nagle spod łuku wynurzyła się macka,

dłuższa od całego statku konsula, zaciśnięta na czymś w rodzaju dzieciennego kajaka, oplatanego masą podartej tkaniny paralotni. Macka wykonała jeden zgrabny, miękki gest i kajak, płachta i spoczywająca w kokpicie nieprzytomna postać przeleciały jakieś sto metrów w powietrzu, by zniknąć w łamiących się koronach drzew.

— Dlaczego od razu po mnie nie przyleciałeś? - zapytałem z nie skrywaną irytacją w głosie. Noga wciąż dawała mi się we znaki. - Po co czekałeś całą noc, kiedy ja wisiałem na drzewie w strugach deszczu? Mogłem umrzeć.

— Moje instrukcje nie przewidywały zabrania pana po powrocie na pokład - usłyszałem w odpowiedzi arogancki, debilnie mentorski głos statku. - Mógł pan wykonywać jakieś istotne zadanie, w którym nie należało panu przeszkadzać. Gdyby nie odezwał się pan przez kilka dni, wysłałbym do dżungli bezzałogowy pełzacz, żeby sprawdził, czy nic się panu nie stało.

Powiedziałem głośno, co może zrobić z tak pojmowaną logiką.

— To doprawdy niezwykle określenie - stwierdził. - Wbudowano wprawdzie we mnie pewne elementy organiczne, przede wszystkim zdecentralizowane jednostki obliczeniowe oparte na DNA, nie jestem jednak istotą biologiczną w ścisłym znaczeniu tego słowa. Nie mam układu pokarmowego. Nie odczuwam potrzeby wydalania, jeśli nie liczyć rzadkich momentów, kiedy muszę się pozbyć nadmiaru szkodliwych dla pasażerów gazów. W związku z tym nie dysponuję odbytnicą ani w przenośni, ani dosłownie, a wobec tego nie wydaje mi się, by stosowne było polecenie...

— Zamknij się - powiedziałem.

Zjazd trwa niespełna piętnaście minut. Hamuję ostrożnie na widok coraz bliższego muru Kun Luna. Od kilkuset metrów możemy z A. Bettikiem podziwiać nasze cienie, kładące się na rozświetlonej pomarańczowo skalnej ścianie. Upodabniamy się do lalek z teatru

cieni: dwie figurki na patykach, wymachujące wszystkimi kończynami. Zaciskamy pierścienie wsporników, żeby zmniejszyć tempo zjazdu i przygotowujemy się do zeskoku. Pomruk hamulca narasta i przechodzi w głośny jęk, gdy wytracam resztki prędkości przed półką lądowiska - sześciometrową kamienną płytą, za którą ścianę wyłożono pikowaną wełną zykozy, dziś już pobrązowiałą i częściowo nadgniłą wskutek nieprzyjaznych warunków atmosferycznych.

Ześlizguję się i zeskakuję na kamień trzy metry od ściany, łapię równowagę i z praktyką nabytą w wielu próbach wypinam wózek i linę zabezpieczającą. Zaraz za mną ląduje A. Bettik, który, choć jednoręki, wykazuje się nieskończenie większą zwinnością i gracją; po zeskoku na dystansie niespełna metra wytraca prędkość do zera.

Przez chwilę stoimy bez ruchu; patrzymy, jak słońce balansuje na grani Phari, a jego niemal poziome promienie barwią na złoto stożkowaty szczyt na południu. Skończywszy dopasowywać uprząż i pętle ze sprzętem, mówię:

— Ściemni się, zanim zejdziemy do Państwa Środka.

A. Bettik kiwa głową.

— Chciałbym przebyć ślizg przed zmrokiem, M. Endymion, ale chyba nie będziemy mieli tyle szczęścia.

Czuję, jak na myśl o pokonywaniu ślizgu po ciemku kurczy mi się moszna. Zastanawiam się czy android płci męskiej wykazuje podobne reakcje fizjologiczne.

— Chodźmy już - rzucam i truchcikiem ruszam wzdłuż krawędzi kamiennego bloku.

Zjeżdżając po linie straciliśmy kilkaset metrów wysokości, które teraz trzeba będzie nadrobić. Półka niebawem się kończy - pod szczytami Niebiańskich Gór niewiele jest płaskich powierzchni - i pod stopami zaczyna nam klekotać chodnik z karłowatych bambusów, wystający ze ściany i zawieszony nad pustką. Nie ma barierki. Zrywa

się chłodny, wieczorny wiatr, zapinam więc szczelnie ocieplaną kurtkę i chubę z zykoziej wełny. Kiedy biegnę, plecak kolebie mi się na grzbiecie.

Wejście znajduje się niecały kilometr na północ od lądowiska. Po drodze nikogo nie spotykamy, za to daleko w dole, po przeciwnej stronie niknącej w chmurach doliny migoczą pierwsze pochodnie zapalane na Drodze Pieszej z Phari do Jokungu. Poprowadzona na rusztowaniach droga i labirynt wiszących mostów po tej stronie Wielkiej Otchłani ożywa, gdy tysiące ludzi ruszają na północ; niektórzy z pewnością zmierzają do Napowietrznej Świątyni, żeby wysłuchać wieczornego wystąpienia Enei. Chcę się tam znaleźć przed nimi.

Dochodzimy do miejsca, gdzie cztery liny zwieszają się z pionowej ściany, wznoszącej się w niebo na wysokość siedmiuset metrów ponad nami. Liny są czerwone, a więc przeznaczone do wejścia na górę. Parę metrów dalej wiszą cztery niebieskie, po których można zjechać z grani. Skrywa nas już wieczorny cień, a wiatr robi się coraz zimniejszy.

— Idziemy obok siebie? - pytam A. Bettika i wskazuję jedną ze środkowych lin.

Android kiwa głową. Jego błękitne oblicze nie zmieniło się ani na jotę od czasu naszego spotkania na Hyperionie, chociaż dla niego minęło już prawie dziesięć lat. Ale czemu się dziwić - czy android miałby się starzeć?

Zdejmujemy ze szpejarek elektryczne właziki i wpinamy się w dwie sąsiednie liny, szarpnąwszy nimi uprzednio, jakby miało nas to upewnić, że są solidnie zakotwiczone. Liniarze sprawdzają je tylko od czasu do czasu, a zdarza się, że splecione monowłókna przecierają się na wystęпах skalnych i w zaciskach jumarów albo obrastają lodem. Cóż, wkrótce wszystkiego się dowiemy.

Do włazików przypinamy strzemiona, A. Bettik zaś odwija dodatkowo osiem metrów liny wspinaczkowej, której jeden koniec przyczepia do uprzęży zakręcanym karabinkiem - ja robię to samo z drugim. Dzięki temu nawet gdyby jedna z lin się zerwała, osoba na drugiej z nich powstrzyma upadek pechowca. Przynajmniej taka jest teoria.

Włazik elektryczny to szczytowe osiągnięcie techniki, jakim dysponuje większość mieszkańców Tien Szanu: zasilany baterią słoneczną i niewiele większy od dłoni, którą zaciskam na wygodnie wymodelowanym uchwycie, stanowi naprawdę zgrabną zabawkę wspinaczkową. A. Bettik sprawdza swój sprzęt i daje mi znak skinieniem głowy. Kciukami uruchamiam właziki; zapalają się zielone lampki. Przesuwam prawy przyrząd do góry, blokuję go, stawiam stopę w strzemię, sprawdzam czy trzyma, przesuwam lewy włazik, blokuję, przenoszę lewą stopę dwie pętle wzwyż - i tak dalej przez siedemset metrów. Czasem zatrzymujemy się, żeby spojrzeć w dolinę, gdzie Drogę Pieszą rozświetlają setki pochodni. Słońce już zaszło, niebo natychmiast ściemniało do fioletu i purpury, pojawiają się najjaśniejsze gwiazdy. Zostało nam jeszcze ze dwadzieścia minut do zmroku - czyli ślizg po ciemku.

Wzdrygam się na dźwięk zawodzenia wichury.

Ostatnie dwieście metrów wspinamy się wzdłuż lodowej ściany. Obaj mamy w plecakach składane raki, ale nie są nam potrzebne, gdy kontynuujemy męczący rytuał: włazik do góry - blokada - krok - podciągnięcie strzemienia - chwila przerwy - włazik - blokada - krok - strzemię - przerwa - włazik... Na pokonanie całych siedmiuset metrów zużywamy czterdzieści minut i kiedy wychodzimy na platformę, na lodowej grani jest już ciemno.

Tien Szan ma pięć księżyców; cztery z nich to asteroidy, uwięzione w polu grawitacyjnym planety na tyle nisko, że odbijają nieco

słonecznego światła, piąty zaś rozmiarami prawie dorównuje księżycowi Starej Ziemi. W prawej górnej części jego powierzchnię rozdziera gigantyczny krater, którego ramiona, niczym lśniące pajęczyna, sięgają wszystkich krawędzi okrągłej tarczy. Nosi on nazwę „Wyroczeni” i wschodzi na północnym wschodzie, gdy wolno idziemy z A. Bettikiem na północ wąską, śnieżną granią. Musimy trzymać się umocowanych na stałe poręczówek, żeby zimny prąd termiczny nie porwał nas i nie cisnął w dół.

Naciągnąłem na twarz kaptur i maskę, ale lodowaty wicher boleśnie kąsa oczy i odsłonięte skrawki skóry. Powinniśmy się spieszyć, mam jednak ogromną ochotę stać i patrzeć - jak zwykle, kiedy znajdę się na stacji przesiadkowej Kun Lun, a przede mną rozciąga się Państwo Środka i cały świat Niebiańskich Gór.

Zatrzymuję się na płaskim polu śnieżnym u szczytu ślizgu i rozglądam dookoła, chłonąc widok całym sobą. Na południe i zachód od nas, ponad rozświetlonymi mlecznym blaskiem chmurami, w świetle Wyroczeni lśni grań Phari. Wzdłuż grani na północ od Phari pochodnie wyznaczają przebieg Drogi Pieszej; jeszcze dalej na pomocy dostrzegam oświetlone mosty wiszące. Za bazarem niebo błyszczy łuną - wyobrażam sobie, że to światła cudownej Polali, pałacu zimowego Jego Świątobliwości dalajlamy, najwspanialszego dzieła architektonicznego na całej planecie. Wiem, że zaledwie kilka kilometrów dalej na pomoc od tego miejsca Paxowi przyznano właśnie prawo do rozporządzania enklawą Rhan Tso, skrytą w cieniu Shivlingu, „Fallusa Siwy”. Uśmiecham się pod maską na myśl o chrześcijańskich misjonarzach zamartwiających się owym pogańskim bluźnierstwem.

Za Potalą, setki kilometrów na zachód, rozciąga się górską krainą Koko Nor, słynąca z niezliczonych wiszących wiosek i niebezpiecznych mostów. Daleko na południe, na grani Lobsang Gyatso, leży kraj sekty Żółtych Kapeluszy, którego granicę wyznacza samotny szczyt Nanda

Devi, gdzie ponoć mieszka hinduska bogini szczęścia. Na południowy zachód stamtąd, na widnokręgu, gdzie wciąż płoną światła zachodu, znajduje się Muztagh Alta, na której stokach kilkadziesiąt tysięcy muzułmanów strzeże grobowców Alego i innych świętych islamu. Na pomoc od Muztagh Alty góry prowadzą na tereny, których nie widziałem — nawet z orbity, kiedy podchodziłem do lądowania - zamieszkane przez Wędrujących Żydów. Zbudowane na stokach Syjonu bliźniacze miasta Abraham i Izaak mogą się pochwalić najwspanialszymi bibliotekami Tien Szanu. Na północny zachód od nich wyrastają Sumeru - środek wszechświata - oraz Harney Peak - co ciekawe, również będący środkiem wszechświata. Jeszcze dalej w tym samym kierunku znaleźć można cztery Góry San Francisco, gdzie potomkowie Indian Hopi i Eskimosów wiodą surowy żywot wśród skutych lodem turni i porośniętych paprociami wąwozów - przekonani, że to zamieszkane przez nich szczyty są pępkiem kosmosu.

Kiedy odwracam się, by spojrzeć prosto na pomoc, moim oczom ukazuje się najwyższa góra na naszej półkuli, a zarazem pomocny strażnik naszego świata - zapadająca niedaleko stąd w fosgenowe chmury Czomo Lori, czyli Królowa Śniegu. To niewiarygodne, ale jej zalodzony szczyt wciąż lśni światłem słonecznym, kiedy Wyrocznia omywa jej wschodnie ramię mlecznym blaskiem.

Kun Lun i Phari wybiegają z Czomo Lori na południe, rozchodząc się coraz szerzej. Na południe od spinających je lin, z których jedną właśnie przebyliśmy, oba grzbiety rozdzielają się tak bardzo, że dzielącej je pustki niemal nie sposób pokonać. Odwracam się plecami do dmącego z północy wiatru i patrzę na wschód i południe: grań Kun Luna zakrzywia się, a ja wyobrażam sobie, że widzę światła oddalonego o dwieście kilometrów, zbudowanego w szczelinach i załomach skalnych miasta Hsi wangmu, „Królowej, Matki Zachodu” („zachód” oznacza w tym przypadku południowe i zachodnie

sąsiedztwo Państwa Środka), zamieszkanego przez trzydzieści pięć tysięcy ludzi.

Na południe od Hsi wangmu widnieje olbrzymi wierzchołek, zwany Koya, gdzie - według wierzeń mieszkańców lodowych tuneli, wykutych w niższych partiach jej zboczy - spoczywa Kobo Daishi, założyciel szingońskiej szkoły buddyzmu, złożony do lodowego, pozbawionego powietrza grobowca. Czeką, aż stosowne warunki pozwolą mu wyjść z transu i wrócić na świat.

Na wschód od Koi, poza zasięgiem wzroku, ograniczonego krzywizną planety, wyrasta Kalais, dom Kubery, hinduskiego boga bogactwa, oraz Siwy, któremu najwyraźniej nie przeszkadza fakt, iż ponad tysiąc kilometrów przestworzy dzieli go od jego własnego fallusa. Podobno na Kalaisu mieszka również Parwati, małżonka Siwy, aczkolwiek nikt nie wie, co sądzi o owym rozdzieleniu.

W pierwszym roku pobytu na Tien Szanie A. Bettik odbył podróż do stóp Kalaisu i wszedł na jego szczyt. Mówił mi później, że to jedna z najpiękniejszych i najwyższych Niebiańskich Gór - ponad dziewiętnaście tysięcy metrów nad poziomem morza. Opisywał ją jako marmurowy obelisk, wyrastający z postumentu prążkowanych skał. Powiedział również, że na samym szczycie, wśród lodów, gdzie wiatr nie wieje, bo powietrze jest zbyt rzadkie - nie ma tam również czym oddychać - znajduje się wybudowana ze stopów węglowych świątynia buddyjskiego boga góry, Demczoga, „Boga Najwyższych Rozkoszy”. Jego posąg ma dziesięć metrów wysokości, jest niebieski jak bezchmurne niebo, zdobią go wieńce z ludzkich czaszek i z radością obejmuje tulącą się do niego, tańczącą małżonkę. A. Bettik stwierdził, że błękitnoskóre bóstwo jest trochę podobne do niego. Świątynię postawiono na samym środku okrągłego wierzchołka, otoczonego z kolei mandalą pomniejszych ośnieżonych szczytów. Całość reprezentuje święty krąg, boską przestrzeń Demczoga. Ci, którzy poświęcą się w niej medytacjom,

odkryją mądrość, ta zaś pozwoli im uwolnić się od wiecznego cierpienia.

W zasięgu wzroku z mandali Demczoga, jak mówił A. Bettik, daleko na południu, ukryty pod kilometrowej grubości lodowcami, wznosi się Helgafell, „Miodosyttnia umarłych”, gdzie kilkuset rzuconych tu podczas hegiry Islandczyków kultywuje tradycje wikingów.

Przenoszę wzrok na południowy zachód. Wiem, że gdyby przyszło mi kiedyś przemierzyć całe tutejsze koło polarne, natknąłbym się na Gunung Agung, pępek świata (jeden z wielu na Tien Szanie), gdzie od ostatniego odbywającego się w sześciusetletnim cyklu festiwalu Eka Dasa Rudra minęło dwadzieścia siedem lat i gdzie urodziwe Balijski tańczą ponoć z niezrównaną gracją; na pomocny zachód od Gunung Agung, w tym samym grzbiecie górskim, znajduje się Kilimachaggo, której mieszkańcy po upływie stosownego czasu ekshumują swych zmarłych i - w ręcznie szytych skafandrach i maskach - wynoszą ich kości wysoko ponad atmosferę, by pogrzebać je ponownie w twardym jak skała lodzie, na wysokości osiemnastu tysięcy metrów; czaszki przodków mogą przez wieki z nadzieją wpatrywać się w wierzchołek góry.

Jedynym szczytem za Kilimachaggo, którego nazwę kojarzę, jest Croagh Patrick, na którym nie ma ponoć węży. O ile mi wiadomo, na całym obszarze Niebiańskich Gór nie ma węży.

Odwracam się znów na pomocny wschód. Zimno i wiatr uderzają mnie jak obuchem, nakazując pośpiech, ale jeszcze przez chwilę stoję i patrzę, gdzie mamy dotrzeć. A. Bettikowi chyba też się nie spieszy, chociaż może to nerwy przed ślizgiem kazały mu przystanąć obok mnie?

Na północy i wschodzie, za pionowymi zerwami Kun Luna, leży Państwo Środka, którego pięć szczytów lśni w godnym latarni blasku Wyroczeni.

Po stronie północnej Droga Piesza i rozliczne mosty wiszące prowadzą do miasta Jokung i głównego szczytu Sung Szan, czyli „Podniebnego”, który wbrew swej nazwie jest najniższą z pięciu wielkich gór krainy.

Przed nami wznosi się Hua Szan, „Góra kwiatów”, do której od południa dochodzi stroma, lodowa grań, poznaczona zakosami ślizgu. To najbardziej na zachód wysunięty szczyt Państwa Środka i bez wątpienia najpiękniejszy z piątki. Hua Szan jest połączony linią zjazdową ze skalnymi ostrogami na północ od Jokungu. Tam właśnie Enea buduje Hsuankung Ssu, Napowietrzną Świątynię - na pionowej ścianie urwiska, oddzielonego przepaścią od Heng Szanu, „Świętej Góry Pomocy”.

Jakieś dwieście kilometrów na południe stąd znajduje się drugi Heng Szan, który znaczy granicę Państwa Środka, w porównaniu jednak z ogromnymi ścianami, graniami i sylwetką swego północnego odpowiednika jest zaledwie mało znaczącym kopczykiem. Mrużąc oczy przed drobnym śniegiem spoglądam pod wiatr, na północ, i przypominam sobie, jak w pierwszych chwilach pobytu na planecie przebyłem statkiem drogę od szlachetnego Heng Szanu do świątyni.

Znów zwracam się ku wschodowi i północy, gdzie za plecami Hua Szanu i niziutkiego Sung Szanu, na tle tarczy wschodzącego księżyca rysuje się niewiarygodny wierzchołek Taj Szanu, odległy o ponad trzysta kilometrów. Oto Wielka Góra Państwa Środka, osiemnaście tysięcy dwieście metrów wysokości; na jej zboczach, w połowie drogi na szczyt, przycupnęło Tajan, Miasto Pokoju, z którego schody o dwudziestu siedmiu tysiącach stopni prowadzą przez lód i skały na szczyt, gdzie znajduje się Świątynia Nefrytowego Boga.

Dalej, jak pamiętam, wznoszą się Cztery Góry Pielgrzymów, święte dla wszystkich buddystów: Omei Szan na zachodzie, Cziuhua Szan, czyli „Góra Dziewięciu Kwiatów”, na południu, Wutaj Szan, „Góra

Pięciu Tarasów”, z gościnnym Purpurowym Pałacem, na północy oraz niższa, lecz subtelnie urokliwa Puto Szan, daleko na wschodzie.

Jeszcze kilka sekund zajęło mi spojrzenie z chłostanej wichurą grani na Jokung, w nadziei, że ujrzę pochodnie oświetlające drogę do Hsuankung Ssu, ale wysokie chmury i śnieg przesłaniają widok i dostrzegam tylko rozświetlone blaskiem Wyroczni mleko.

Odwracam się do A. Bettika, gestem wskazuję ślizg i podnoszę w górę kciuk. Nic nie mówię, bo świst wiatru zagłuszyłby wszelkie słowa. Android kiwa głową i z zewnętrznej kieszeni plecaka wyjmuję złożoną płachtę folii ślizgowej. Kiedy wyjmuję swoją, zdaję sobie sprawę, że serce bije mi szybciej nie tylko z wyczerpania.

Ślizg jest szybki. To jego główna zaleta - i największe niebezpieczeństwo.

Z pewnością są jeszcze w Paksie miejsca, gdzie uprawia się tradycyjne saneczkarstwo: zawodnicy siadają na sankach o płaskim dnie i zjeżdżają przygotowanym torem lodowym. Podobnie wygląda ślizg, tyle że zamiast płaskich sanek mamy z A. Bettikiem folie ślizgowe - płachty niespełna metrowej długości, które zakrzywiają się wokół nas jak gigantyczne łyżki. Faktycznie niewiele przypominają dawne sanki - są miękkie i delikatne jak folia aluminiowa, dopóki nie podłączymy do nich baterii włazików. Piezoelektryczny komunikat dociera wówczas do wbudowanych w materiał usztywniaczy i folia zdaje się nadymać, w kilka sekund przyjmując właściwy kształt.

Enea opowiadała mi, że dawniej wzdłuż lodowej rynny biegły umocowane na stałe poliwęglanowe liny i korzystający ze ślizgu wpinali się w nie podobnie, jak uczyniliśmy to dziś z linami zjazdowymi, za pomocą specjalnych pierścieni o niskim współczynniku tarcia. Można było dzięki nim hamować, albo, gdyby folia groziła wyskoczeniem z toru, użyć liny w charakterze sztywnej upręży

asekuracyjnej - należało się liczyć z siniakami i złamaniami, ale przynajmniej pasażer zostawał na torze, a nie leciał w przepaść.

Niestety, liny okazały się niezbyt szczęśliwym rozwiązaniem, ich utrzymanie w należytym stanie wymagało bowiem zbyt wiele wysiłku. Gwałtowne burze śnieżne powodowały ich przymarzanie do ścian rynny i pędzący sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę podróżny stwierdzał nagle, że jego pierścień asekuracyjny wbija się w lodową skorupę. Same liny zjazdowe sprawiają wystarczające kłopoty; prowadnice w ślizgu okazały się nieopłacalne.

I tak oto przestano korzystać ze ślizgów, przynajmniej dopóki nastolatki - w poszukiwaniu mocnych wrażeń - i dorośli - w poszukiwaniu szybkiej drogi w dół - nie stwierdzili, że w dziewięciu przypadkach na dziesięć do utrzymania folii w rynnie wystarczało umiejętne hamowanie czekaniem (bądź czekanami), tak żeby szybkość nie była zbyt wysoka - czyli do stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. W dziewięćdziesięciu procentach wypadków wszystko szło zgodnie z planem. Jeśli ktoś miał dużą wprawę. I idealne warunki pogodowe. I zjeżdżał za dnia.

A. Bettik i ja korzystaliśmy wcześniej ze ślizgu trzykrotnie - raz wracając z Phari z lekarstwem, które miało ocalić życie małej dziewczynce i dwa razy, żeby poznać topografię toru. Zjazd był zarazem wspaniały i przerażający, ale nikomu nic się nie stało. Zawsze jednak zjeżdżaliśmy za dnia... bez wiatru... i pilotowani przez innych ślizgaczy.

Teraz jest ciemno. Długa rynna lśni złowrogo, a jej zaladzona powierzchnia jest szorstka jak kamień. Nie mam pojęcia, czy dziś już ktoś próbował tu zjeżdżać... Czy ktoś próbował w tym tygodniu, sprawdził, czy po drodze nie ma szczelin, uskoków w lodzie, pęknięć, dziur, zadziórów i innych przeszkód. Nie wiem, jak długie były dawniej tory saneczkowe, ale ten ślizg liczy sobie ponad dwadzieścia

kilometrów. Wycięto go w lodzie stromego Żebra Abruzzów, spinającego Kun Lun ze ścianami Hua Szanu. Rynna wypłaszcza się na łagodnie nachylonych polach lodowych na zachód od Góry Kwiatów, całe kilometry na południe od wolniejszej - i bezpieczniejszej - Drogi Pieszej. Z Hua Szanu jest już tylko dziewięć kilometrów - trzy łatwe zjazdy po linach - do rusztowań Jokungu, a później wystarczy przejść przez głęboko wciętą przełęcz, by znaleźć się na zawieszonych na pionowej ścianie chodnikach przed Hsuankung Ssu.

Siadamy obok siebie, jak dzieci, które ułokowawszy się na sankach czekają, aż mama albo tata pchną je w dół. Przechylam się na bok, kładę mojemu przyjacielowi dłoń na ramieniu i przyciągam go bliżej, żeby mój głos miał szansę przebić się przez ocieplany kaptur i maskę. Wiatr siecze mi twarz lodowymi igiełkami.

— Mogę prowadzić? - pytam.

A. Bettik obraca głowę, tak że stykamy się policzkami.

— Chyba ja powinienem ruszyć pierwszy, M. Endymion. Zaliczyłem na tym ślizgu dwa zjazdy więcej.

— Po ciemku?! - krzyczę.

A. Bettik kręci zakapturzoną głową.

— W dzisiejszych czasach niewielu próbuje nocnych ślizgów, M. Endymion. Ja jednak znakomicie pamiętam całą trasę, każdy zakręt i prostą. Myślę, że będę umiał wskazać panu właściwe punkty hamowania.

Waham się tylko przez moment.

— Dobra - mówię i wymieniamy uścisk opancerzonych rękawicami dłoni.

Gdybym miał gogle noktowizyjne, ślizg byłby równie łatwy, jak za dnia - co w moim mniemaniu wcale nie znaczy „łatwy”. Jednakże te, które zabrałem w rejs przez transmitery, zgubiłem, a choć na statku znajdowały się zapasowe - zostawiłem je na pokładzie. „Przynieś dwie

próżnioskóry i dwudechy”, przekazała mi Rachela słowa Enei; mogła była wspomnieć o goglach.

Dzisiejsza wycieczka zapowiadała się jako łatwy wypad na bazar w Phari. Noc mieliśmy spędzić w tamtejszym schronisku, a rano ruszyć w drogę powrotną z George’em Tsarongiem, Jigme Norbu i długą karawaną tragarzy, niosących ciężkie materiały na budowę.

Przychodzi mi na myśl, że może przesadnie się przejąłem wiadomością o lądowaniu wojsk Paxu - ale już za późno. Nawet gdybyśmy zawrócili, zjazd po linach na ścianie Kun Luna sprawiłby nam tyle samo kłopotu, co ślizg. W każdym razie tak właśnie usiłuję się okłamać.

Patrzę, jak A. Bettik przekłada krótki, mierzący trzydzieści osiem centymetrów czekanomłotek przez pętlę na lewym nadgarstku; w drugą rękę bierze normalny, długi czekan. Siedząc po turecku na folii robię to samo: chwytam czekanomłotek w lewą dłoń, w prawej zaś układam czekan, ciągnący się za mną jak rumpel sterowy. Jeszcze raz daję androidowi znak uniesionym kciukiem i patrzę, jak odpycha się w dół. Widzę w blasku księżyca, jak zarzuca nim lekko i jak koryguje skręt mistrzowskim ruchem czekanomłotka; w powietrze lecą lodowe odłamki i A. Bettik znika mi z oczu za krawędzią ślizgu. Odczekuję moment, żeby zachować z dziesięć metrów odstęp - pozwoli mi to uniknąć chmury lodowych igiełek po przejeździe androida, a zarazem śledzić wszystkie jego poczynania - i ruszam jego śladem.

Dwadzieścia kilometrów. Przy średniej prędkości wynoszącej sto dwadzieścia kilometrów na godzinę, powinniśmy przebyć cały ślizg w dziesięć minut; dziesięć lodowatych, wypełnionych falami adrenaliny minut, z duszą na ramieniu i sercem miotającym się jak ptak w klatce - dziesięć minut, w których czas reakcji będzie się mierzyć w mikrosekundach.

A. Bettik jest mistrzem ślizgu. Idealnie wchodzi w każdy zakręt, nisko, blisko dna, tak że w najwyższym punkcie balansuje na górnej krawędzi toru - tak jak i ja, w sekundę później; wychodzi na prostą z maksymalną możliwą szybkością i pędzi lodową rynną. Obraz rozmywa mi się w oczach, kość ogonowa i kręgosłup przenoszą uderzenia o nierówności gruntu z taką energią, że wszystko widzę podwójnie, potem potrójnie; głowa pulsuje mi bólem, a później na moment ślepnę, gdy owiewa mnie obłok lodowych drzazg. Światło księżyca rozprasza się na nich i przez ułamek sekundy otacza mnie mrowie pędzących gwiazd. Prawdziwe gwiazdy zdają się zaćmiewać Wyrocznie i szybkie, koziołkujące w kosmosie mniejsze księżyce - a potem znów hamujemy, odbijamy się od ściany rynny i na zakręcie wzlatujemy pod górny skraj toru; składamy się w ostry zakręt w lewo - zapiera mi dech w piersi - dalej jest jeszcze gwałtowniejszy zakręt w prawo, a potem tor prostuje się i opada pod takim kątem, że mam wrażenie, jakbym wraz z folią leciał w powietrzu. Przez pełną minutę patrzę wprost w dół na fosgenowe obłoki, które w blasku księżyca mają zielony kolor gazu musztardowego, a potem wpadamy z A. Bettikiem w ciąg następujących po sobie spiral, zwojów godnych helisy DNA; na każdym zakręcie wyrzuca nas tak wysoko, że dwukrotnie ostrze mojego czekana zamiast w lód trafia w próżnię - obydwaj udaje nam się jednak ześliznąć do środka rynny i wylecieć z zakrętu na podobieństwo karabinowych pocisków - i znów zakręt, znów wysoko na ścianie i kolejna prosta, prowadząca osiem kilometrów skosem w dół ściany Żebra Abruzzów. Tym razem zakrzywiona prawa banda ślizgu służy nam za dno rynny. Spod ostrza czekana lodowe drzazgi lecą prosto w noc, kiedy rozpędzamy się coraz bardziej i bardziej, aż w pewnym momencie prędkość przestaje być po prostu prędkością, kiedy rzadki, lodowaty pęd powietrza przenika moją maskę, ocieplany strój, rękawice i podgrzewane buty; ciało kostnieje, mięśnie drętwieją,

przemarznięta skóra twarzy kurczy się, gdy szczerzę zęby w idiotycznym uśmiechu, zastygłym wyrazie śmiertelnego strachu i czystej radości pędu; ręce pracują mi automatycznie, bez wytchnienia, kierując hamulcem i sterem.

Nagle A. Bettik skręca gwałtownie w lewo i z całej siły wbija oba ostrza w lód - przecież to bez sensu, odbijemy się tylko od pionowej ściany i z krzykiem wylecimy w przestworza! - ale ufam mu, w ułamku sekundy kopiuję jego decyzję, zacinam mocno czekaniem i wciskam czekanomłotek w lód. Serce podchodzi mi do gardła, gdy przez moment jadę bokiem i mam wrażenie, że zsunę się w prawo, a nie w lewo. Niewiele brakuje, bym wpadł w dziki korkociąg przy prędkości stu czterdziestu kilometrów na godzinę i zjechał z lodowej półki, udaje mi się jednak wyrównać ślizg i przemykam obok dziury w dnie, w którą wbilibyśmy się we dwóch, gdyby nie ten wariacki manewr: fragment toru wykruszył się i pozostawił po sobie wyrwę o szerokości około sześciu metrów. A. Bettik ześlizguje się na wewnętrzną bandę, wyrównuje ślizg jednym ruchem ostrzy - główce czekanów błyskają w świetle księżyca - i pędzi dalej Żebrem Abruzzów ku ostatnim zakrętom na zalodzonych zboczach Hua Szanu.

A ja za nim.

Na Górze Kwiatów obaj jesteście tak przemarznięci i roztrzęsieni, że przez kilka długich, zimnych minut nie możemy się pozbierać z sanek, ale potem jak na komendę podrywamy się na nogi, uziemiamy piezoelektryczne folie, składamy je i chowamy do plecaków. W milczeniu obchodzimy wykutą w lodzie dróżką boczną grań Hua Szanu: ja nic nie mówię, bo wciąż nie otrząsnąłem się z podziwu dla odwagi i refleksu A. Bettika, on zaś - nie wiem dlaczego; mam tylko gorącą nadzieję, że nie złości się na mnie za wybór takiej drogi powrotnej.

Ostatnie trzy zjazdy po linach nie dostarczają nam już mocnych wrażeń. Godzien podkreślenia jest tylko widok zalanych księżycowym blaskiem otaczających nas szczytów i grani oraz trudność, jaką sprawia mi zaciśnięcie kciuków na pierścieniach sterowniczych wózka.

W porównaniu ze zboczami gór w świetle Wyroczni, w Jokungu jest jasno jak w dzień. Wszędzie płoną pochodnie, my jednak unikamy głównych dróg przez rusztowanie i przemykamy po drabinach prosto na przełęcz. Znalazłszy się w cieniu pomocnej ściany góry przebiegamy truchtem ostatni kilometr po napowietrznym, bambusowym chodniku - do Hsuankung Ssu. Towarzyszą nam tylko syczące pochodnie.

Docieramy na miejsce w chwili, gdy Enea rozpoczyna wieczorną sesję dyskusyjną. W małej pagodzie na platformie stłoczyła się blisko setka ludzi. Enea patrzy ponad ich głowami, dostrzega moją twarz, prosi Rachelę, by zagała rozmowę i podchodzi do miejsca przy otwartych drzwiach, gdzie na nią czekamy.

Przyznam, że na widok Niebiańskich Gór opanowało mnie zdumienie i przygnębienie zarazem.

Przespałem trzy i pół miesiąca. Zawsze myślałem, że w śnie kriogenicznym nic się człowiekowi nie śni - myliłem się jednak: prawie cały czas dręczyły mnie koszmary i obudziłem się dezorientowany i wystraszony.

Droga do punktu translacji zajęła nam tylko siedemnaście godzin, ale w układzie Tien Szanu musieliśmy wyjść z nadświatłej daleko za orbitą ostatniej skutej lodem planety i przez trzy dni hamować, zmierzając ku środkowi układu. Truchtałem po pokładach i po spiralnych schodach, gimnastykowałem się na małym tarasie, który na mój rozkaz statek wysunął na zewnątrz kadłuba - wmawiałem sobie, że dbam o formę; noga wciąż mi dokuczała, mimo zapewnień statku, iż autochirurg zakończył pracę i nie powinienem odczuwać bólu. W głębi ducha wiedziałem jednak, że z nerwów po prostu roznosi mnie energia. Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek w życiu tak się denerwował.

Statek usiłował udzielić mi wszystkich możliwych informacji na temat Tien Szanu, zagłębiając się przy tym aż do bólu w szczegóły: żółta gwiazda typu G, bla, bla, bla... To akurat widziałem na własne oczy... Jedenaście planet, trzy olbrzymy gazowe, dwa pasy asteroid, znaczna liczba komet, bla, bla, bla... Interesował mnie tylko Tien Szan; wysiadywałem przed holoramą i patrzyłem, jak planeta rośnie mi w oczach. Błyszczała niezwykłym, oślepiającym światłem, niczym samotna perła na czarnym aksamicie kosmosu.

— To, co pan widzi, to niższa, stała pokrywa chmur - buczał miarowy głos statku. — Albedo godne podziwu. Są tu jednak i wyższe chmury... Widzi pan obłoki burzowe po lewej, u dołu jasnej półkuli?

I wysokie cirrusy, rzucające cień w okolicy bieguna północnego? Od nich zależy pogoda dla mieszkańców Tien Szanu.

— Gdzie są góry? - zapytałem.

— Tutaj - odparł statek i szarym kółkiem zacienił fragment północnej półkuli. - Na starych mapach nawigacyjnych mam zaznaczony olbrzymi szczyt na pomocnych rubieżach wschodniej półkuli. To Czomo Lori, „Królowa Śniegu”. Widzi pan odchodzące od niej promieniście grzbiety? Biegną równolegle, blisko siebie, mniej więcej do równika, a potem rozchodzą się coraz bardziej, aż wreszcie nikną w chmurach skupionych wokół bieguna południowego. To dwa olbrzymie pasma Phari i Kun Lun. Na ich zboczach założono pierwsze osiedla ludzkie na Tien Szanie. Powstały w okresie odpowiadającym wczesnym wypiętrzeniem okresu kredowego, który...

Bła, bła, bła... Ja zaś nie przestawałem myśleć o Enei, i tylko o Enei.

Dziwnie się czułem, szykując się do lądowania w układzie, gdzie nie czekały na nas okręty Floty Paxu, brakowało orbitalnych systemów obronnych, baz na księżycu... Żadnych instalacji wojskowych w olbrzymim kraterze, który sprawiał wrażenie, jakby ktoś z bliska strzelił z karabinu wprost w gładką, pomarańczową tarczę... Ani śladu zakłóceń wywołanych napędem Hawkinga, emisją wiązek neutrinowych, obecnością soczewek grawitacyjnych... Brak czystych korytarzy transportowych dla statków z odrzutowym napędem Bussarda... Żadnych oznak wysoko rozwiniętej techniki. Statek uświadomił mi, iż z niektórych obszarów planety odbiera słabiutkie transmisje w zakresie mikrofal, ale kiedy kazałem mu je przesłać na głośniki okazało się, że komunikaty nadawane są w starym, prehegirańskim języku chińskim. To był dla mnie szok: nigdy dotąd nie odwiedziłem świata, w którym większość mieszkańców nie mówiłaby jakąś odmianą obowiązującego w Sieci angielskiego.

Statek wszedł na orbitę geostacjonarną ponad wschodnią półkulą Tien Szanu.

— Miał pan znaleźć górę Heng Szan, która powinna znajdować się około sześciuset pięćdziesięciu kilometrów na południowy wschód od Czomo Lori... To tutaj! - W holoramie pojawiło się teleskopowe zbliżenie śnieżno-lodowej turni, przebijającej co najmniej trzy warstwy chmur i wznoszącej się wysoko w obszary rozrzedzonej atmosfery.

— Jezu Chryste - szepnąłem. - Gdzie jest Hsuankung Ssu? Gdzie Napowietrzna Świątynia?

— Powinna być... o, tutaj - oznajmił statek triumfalnie.

Patrzyłem wprost w dół na pionową grań, zbudowaną ze śniegu, lodu i przebłyskującej spod nich skały. U podnóża niewiarygodnej ściany kłębiły się chmury. Siedziałem w kabinie i obserwowałem obraz na holoramie, ale i tak musiałem mocno złapać się fotela, bo zakręciło mi się w głowie.

— Gdzie? - powtórzyłem; nie widziałem żadnej budowli.

— Ciemny trójkąt - odrzekł statek i zaznaczył kółeczkiem coś, co początkowo uznałem za cień za szarej skalnej płycie. - I ta linia... tutaj.

— Jakie to powiększenie? - zapytałem.

— Najdłuższy bok trójkąta ma mniej więcej metr dwadzieścia długości - odpowiedział głos, który nauczyłem się już bezbłędnie kojarzyć z komlogiem.

— Mały jak na budynek, w którym mają się zmieścić ludzie - zauważyłem.

— Ależ nie - zaprotestował statek. - To tylko fragment zbudowanej ludzką ręką konstrukcji, wystający spod skalnego nawisu. Przypuszczam, że cała tak zwana Napowietrzna Świątynia mieści się pod tym właśnie okapem. Ściana jest w tym miejscu przewieszona... na odcinku od sześćdziesięciu do osiemdziesięciu metrów.

— Moglibyśmy się temu przyjrzeć z boku? Chciałbym zobaczyć świątynię.

— Jest to możliwe - odparł statek - musiałbym jednak zmienić orbitę i przenieść się nieco na północ, żeby wycelować teleskop na południe, ponad szczytem Heng Szanu. Należałoby również rejestrować obraz w podczerwieni, a to ze względu na chmury, kłębiące się na wysokości ośmiu tysięcy metrów pomiędzy wierzchołkiem i granią, na której zbudowano świątynię. Powinienem też...

— Mniejsza z rym - wtrąciłem. - Nadaj w okolice świątyni... nie, do diabła, na całą grań wiadomość o naszym przybyciu i sprawdź, czy Enea na nas czeka.

— Na jakiej częstotliwości?

O tym Enea nie wspominała. Mówiła tylko, że nie da się tu wylądować, ale że mimo to zejść do Napowietrznej Świątyni. Patrząc na te pionowe - i przewieszane - lodowe zerwy zaczynałem rozumieć, o co jej chodziło.

— Użyj dowolnej popularnej częstotliwości, na jakiej porozumiewałyś się z komlogiem - poleciłem. - Jeżeli nie będzie odpowiedzi, przeleć cały dostępny zakres. Możesz zacząć od tych, na których niedawno coś odebrałeś.

— Transmisje pochodziły z południowego obszaru półkuli zachodniej - zauważył statek cierpliwie. - Tutaj nie odbierałem żadnych mikrofal.

— Proszę cię, zrób to wreszcie.

Unosiliśmy się bez ruchu przez pół godziny. Statek przeczesał całą grań wiązką komunikacyjną, następnie zaczął wysyłać komunikaty w zwykłym paśmie radiowym w stronę wszystkich szczytów w okolicy, a na koniec po całej półkuli rozsiały krótkie meldunki. Nikt nam nie odpowiedział.

— Czy to w ogóle możliwe, żeby na zamieszkaną przez ludzi planetę nikt nie korzystał z radia? - zdziwiłem się.

— Oczywiście - odpowiedział mi statek. - Na Iksjonie nadawanie transmisji w zakresie mikrofal jest nielegalne i stoi w sprzeczności z lokalnymi zwyczajami. Na Nowej Ziemi istniała grupa osadników, którzy...

— Dobrze już, dobrze - przerwałem mu i po raz tysięczny zacząłem się zastanawiać nad możliwością takiego przeprogramowania pokładowej SI, żeby zrobiła się mniej upierdliwa. - Zejdźmy niżej.

— Gdzie? Na stokach wysokiej góry na wschód od nas - która na moich mapach nosi nazwę „Taj Szan” - znajduje się rozległy zaludniony obszar. Inne miasto leży na południe stąd, na zboczach Kun Luna - nazywa się Hsi wangmu. Są również osiedla na zboczach Phari oraz na zachód stąd, w rejonie zwanym Koko Nor. Ponadto...

— Zbliź się do Napowietrznej Świątyni.

Na nasze szczęście okazało się, że pole magnetyczne Tien Szanu jest wystarczająco silne, byśmy mogli szybować w przestworzach na repulsorach elektromagnetycznych, zamiast obniżać się na kolumnie ognia z dysz napędu jądrowego. Wyszedłem na taras, żeby popatrzeć na świątynię, chociaż holorama dawała znacznie lepszy obraz.

Zdawało mi się, że podejście ciągnie się godzinami, ale w rzeczywistości po paru minutach unosiliśmy się w bezruchu na ośmiu tysiącach z hakiem, zawieszeni między niesamowitą górą - Heng Szanem - i granią, na której zbudowano Hsuankung Ssu. Z góry widziałem zbliżającą się od wschodu linię terminatora; według statku na planecie zbliżał się wieczór. Przyniosłem na taras lornetkę i patrzyłem na doskonale teraz widoczną świątynię - widziałem ją, ale nie mogłem uwierzyć w jej istnienie.

To, co z początku wziąłem za grę świateł poniżej olbrzymich, prążkowanych, przewieszonych płyt szarego granitu, okazało się

szeregiem konstrukcji, ciągnących się setki metrów na wschód i zachód. Azjatyckie wpływy nie uszły mej uwagi: pagodowate budynki z wywiniętymi ku górze okapami, kryte ułożoną w wymyślne wzory ceramiczną dachówką, lśniły w blasku słońca; okrągłe okna i drzwi znaczyły niższą, ceglana kondygnację budowli; wyżej wznosiły się lekkie, drewniane ganki i balkony o ozdobnych balustradach i kolumnach malowanych na kolor zakrzepłej krwi; na krawędziach dachów, futrynach i barierkach powiewały czerwone i żółte proporce; narożniki wieżyczek i kalenice dachów ozdobiono skomplikowanymi płaskorzeźbami; wiszące mosty i schody obwieszono przedmiotami, które później nauczyłem się rozpoznawać jako młynki i chorągiewki modlitewne - zносиły modlitwę do Buddy za każdym razem, gdy zakreśliła nimi ludzka ręka bądź targnął wiatr.

Budowa świątyni trwała - dostrzegłem świeże drewno wnoszone na górne platformy, ludzkie postaci kujące zagłębienie w skalnej ścianie, rusztowania, prymitywne drabiny, niezgrabne pomosty z jakiejś roślinnej plecionki z linami wspinaczkowymi w miejsce poręczy, wyprostowane sylwetki, wdrapujące się z pustymi koszami po drabinach i zgarbione figurki, znoszące kosze pełne gruzu na szeroki, kamienny blok, z którego opróżnia sieje w przepaść. Widziałem również, że większość ludzi ma na sobie kolorowe, luźne szaty do kostek - smagający urwisko wiatr szarpał ich poły - wystarczająco grube i ocieplone, żeby skutecznie chronić przed zimnem. Później dowiedziałem się, że są to niezastąpione chuby, które wykonuje się z grubej, nieprzemakalnej wełny zyków lub, na bardziej uroczyste okazje, z jedwabiu, a nawet bawełny, aczkolwiek ta ostatnia, ze względu na rzadkość występowania, osiągała zawrotne ceny.

Bąłem się pokazać statek mieszkańcom Tien Szanu, żeby nie wywołać fali paniki albo nie sprowokować ostrzału z lanc laserowych - ale nie miałem innego pomysłu. Zachowywaliśmy dystans kilku

kilometrów, więc w najlepszym razie jawiliśmy im się jako niezwykle błysk słońca na kawałku ciemnego metalu, rzucony na oślepiająco białe tło ośnieżonej góry. Miałem nadzieję, że wezmą nas za ptaka - widziałem tu już sporo ptaków, z których niektóre miały kilka metrów rozpiętości skrzydeł - ale złudzenia prysnęły, gdy ujrzałem, jak kilku robotników odrywa się od pracy i spogląda w naszą stronę. Z czasem widzów przybywało, za to nikt nie panikował, nie chował się, nie biegł po broń - a na widoku żadnej broni nie było - chociaż bez wątpienia zwróciliśmy na siebie uwagę. Ujrzałem dwie kobiety w długich szatach, pędzące do góry po mostach, schodach, drabinach i rachitycznym rusztowaniu na wschodnią platformę, na której robotnicy zajmowali się przede wszystkim kuciem w skale. Stał tam maleńki, podobny do baraku na narzędzia budyneczek. Jedna z kobiet weszła do środka, by za moment pojawić się z powrotem w towarzystwie licznych innych postaci.

Z bijącym sercem podkręciłem powiększenie w lornetce, ale smuga dymu z placu budowy przesłaniała mi stojących i nie miałem pewności, czy najwyższa z sylwetek należy do Enei. Dostrzegłem jednak błysk słońca na złotobrązowych włosach, krótkich, sięgających postaci niespełna do ramion - wtedy na chwilę odjąłem lornetkę od oczu i tylko patrzyłem w dal, szczerząc się jak ostatni idiota.

— Dają nam znaki zauważył statek.

Spojrzałem przez lornetkę: inna postać, chyba również kobieca, ale o ciemniejszych włosach, wymachiwała trzymanymi w dłoniach chorągiewkami.

— To starożytny kod sygnalizacyjny - poinformował mnie statek. - Tak zwany alfabet Morse'a. Pierwsze słowa...

— Zamknij się - rzuciłem krótko. Uczyliśmy się alfabetu Morse'a w Straży Planetarnej, a raz nawet udało mi się tę wiedzę wykorzystać,

kiedy na Szelfie Lodowym za pomocą dwóch strzępów zakrwawionego bandaża wezwałem śmigacz medewakuacyjny.

LEĆ... DO... SZCZELINY... 10... KILOMETRÓW... POŁUDNIOWY...
WSCHÓD...

TAM... CZEKAJ... NA... INSTRUKCJE.

— Wszystko jasne? - zapytałem.

— Tak.

Głos statku zawsze wydawał mi się chłodny, kiedy wcześniej byłem wobec niego niegrzeczny.

— No to lecimy - powiedziałem. - Chyba nawet widzę rozpadlinę w skale, jakieś dziesięć kilometrów stąd we wskazanym kierunku. Zachowaj odstęp i spróbuj podejść od wschodu. Nie sądzę, żeby widzieli nas ze świątyni, a na południowym wschodzie w zasięgu wzroku nie ma innych budowli.

Bez komentarza statek zatoczył krąg, od drugiej strony zbliżył się do pionowego urwiska i wyrównał lot na wprost szczeliny - pionowego rozcięcia, opadającego kilka kilometrów w dół od warstwy śniegu i lodu i kończącego się około czterystu metrów nad poziomem, na którym zawisała świątynia, teraz zresztą przesłonięta zachodnią krzywizną grani.

Statek obniżył lot i zawisł pięćdziesiąt metrów nad dnem rozpadliny. Ze zdumieniem ujrzałem spływające po skalnych ścianach potoki, które łączyły się we wspólną rzeczkę na dole, po czym wypływały z niej wielkim wodospadem. Na całej długości szczeliny porastały drzewa, mchy, porosty i kwiaty; całe pola roślinności wspinały się po urwiskach kilkaset metrów wzwyż, wzdłuż koryt strumyków, na samej górze przechodząc w pasma różnobarwnych porostów, które sięgały niemal samej lodowej skorupy pod szczytem. Z początku wydawało mi się, że mam przed sobą środowisko nietknięte ludzką stopą, wkrótce jednak zauważyłem wykute w północnej ścianie

stopnie - na pozór zbyt wąskie, by dało się na nich stanąć - później ścieżki wydeptane wśród mchu i starannie rozstawione kamienie, dzięki którym przez strumień przechodziło się suchą stopą. Na samym końcu wzrok mój przykuł maleńki budynek, mniejszy niż typowa chatka myśliwska - przypominał raczej letnią altanę z oknami, przycupniętą pod rzeźbionymi wiatrem wiecznie zielonymi krzewami nad wodą, w pobliżu najwyższego punktu szczeliny.

Wskazałem statkowi domek i podlecieliśmy w jego kierunku. Zawiliśmy bez ruchu tuż nad nim i zacząłem rozumieć, dlaczego lądowanie sprawiłoby nam sporo kłopotu, o ile w ogóle byłoby możliwe. Statek konsula nie był znowu taki duży - w końcu przez kilkaset lat czekał na mnie, ukryty przez poetę-staruszką w wieży miasta Endymion - ale nawet gdybym posadził go pionowo, na statecznikach i rozkładanych podporach, z pewnością zmiażdżyłby liczne drzewa i spore połaci mchu, trawy i kwiatów. Rośliny zaś stanowiły zbyt wielką rzadkość w tym świecie pionowych skał, żeby tak po prostu je zniszczyć.

Zawiliśmy więc w powietrzu i czekaliśmy. Około pół godziny po naszym przybyciu z za zakrętu, za którym zaczynały się skalne półki, wyszła młoda kobieta i zamachała radośnie na nasz widok.

Młoda kobieta, ale nie Enea.

Nie ukrywam, że byłem rozczarowany. Chęć ponownego ujrzania mojej młodej przyjaciółki przerodziła się z wolna w obsesję; chyba wyobrażałem sobie jakieś absurdalnie idylliczne sceny powitania: biegniemy do siebie po łące, Enea ma znów jedenaście lat, ja jestem jej obrońcą, cieszymy się na swój widok, obejmuję ją, okręcam dookoła, podrzucam...

No tak, łąkę miałem pod ręką. Statek morfował z kadłuba schody, kończące się na ukwieconym trawniku tuż obok altany. Młoda kobieta

przeszła przez strumień, jak baletnica przeskakując z kamienia na kamień, i z uśmiechem podeszła do mnie.

Miała dwadzieścia parę lat i coś w jej zwinnej sylwetce i powierzchowności przypominało mi taką Eneę, jaką pamiętałem pod postacią tysiąca wizerunków - tej kobiety nie spotkałem jednak nigdy w życiu.

Czy to możliwe, żeby przez pięć lat aż tak się zmieniła? A może to specjalny wybieg, żeby ukryć się przed Paxem? Czyżbym najzwyczajniej w świecie zapomniał jak wygląda? Ostatnia możliwość wydawała mi się wręcz nieprawdopodobna... Nie, więcej - nierealna. Statek zapewnił mnie, że jeżeli Enea oczekiwała mnie na tej planecie, minęło dla niej pięć lat i kilka miesięcy standardowych, podczas gdy moja wędrówka trwała - wliczając w to kriogeniczny sen na statku - około czterech miesięcy. A postarzałem się zaledwie o kilka tygodni. Nie mogłem zapomnieć; nigdy bym nie zdołał.

— Cześć, Raul - powiedziała młoda kobieta o ciemnych włosach.

— Cześć...odparłem niepewnie.

Podeszła bliżej i podała mi rękę. Ucisnęła moją dłoń zdecydowanie, mocno.

— Jestem Rachel. Enea doskonale cię opisała. - Roześmiała się. - Rzecz jasna nie spodziewaliśmy się nikogo innego w takim pojeździe... - Machnęła ręką w stronę statku, który unosił się w powietrzu, niczym kołysany wiatrem sterowiec.

— Jak tam Enea? - zapytałem. Mój własny głos mnie zaskoczył. - Gdzie ona jest?

— Pracuje w świątyni. Mamy teraz sam środek zmiany, największy ruch. Nie mogła się wyrwać, więc przysłała mnie, żebym pomogła ci pozbyć się statku.

Nie mogła się wyrwać. Co ma znaczyć, cholera jasna? Ja tu przeszedłem prawdziwe piekło - kamienie nerkowe, złamana noga,

pościg żołnierzy Paxu, na planecie bez stałego lądu pożarła mnie obca istota, która zresztą potem mnie wypluła - a ona nie mogła się wyrwać? Zagryzłem wargi i stłumiłem impuls, który nakazywał mi to wszystko powiedzieć głośno. Niewiele brakowało, żeby mnie nerwy poniosły.

— Jak to „pozbyć się statku”? - zapytałem i rozejrzałem się. - Na pewno gdzieś uda się nim wylądować.

— Raczej nie - odparła młoda kobieta imieniem Rachela. Teraz, kiedy przyjrzałem się jej uważniej w pełnym świetle, doszedłem do wniosku, że musi być ciut starsza od Enei - mogła mieć jakieś dwadzieścia cztery, dwadzieścia pięć lat. Brązowe oczy błyszczały inteligencją, kasztanowe włosy były równie niedbale przycięte, jak zwykła to robić Enea, śniada skóra świadczyła o wielu godzinach przepracowanych w palącym słońcu, a kurze łapki w kącikach oczu zdradzały, że Rachela lubi się uśmiechać.

— Mam propozycję - stwierdziła. - Zabierz ze statku to, co będzie ci potrzebne i weź komlog albo komunikator, żebyś mógł go w razie potrzeby wezwać. Pamiętaj o dwóch próznioskórach i dwudekach - są w schowku - a potem każ statkowi polecieć na trzeci księżyc, nie najmniejszy, ale drugą co do wielkości przechwyconą asteroidą. Jest na niej głęboki krater, w którym może się schować. Asteroidą krąży po bliskiej orbicie geostacjonarnej i zawsze jest zwrócona tą samą stroną do Tien Szanu. Będziesz mógł w każdej chwili wezwać statek, a on w kilka chwil znajdzie się na dole.

Spojrzałem na nią podejrzliwie.

— Po co te próznioskóry i dwudechy? - Rzeczywiście sprzęt taki znajdował się na wyposażeniu statku, jednakże zaprojektowano go z myślą o łagodnym środowisku prózniowym, gdzie nie ma wprawdzie powietrza, ale człowiek nie potrzebuje jeszcze prawdziwego pancernego kombinezonu. - Tu jest czym oddychać.

— To prawda, jak na tak znaczną wysokość atmosfera jest zadziwiająco bogata w tlen - przytaknęła Rachela. - Enea prosiła jednak, żebyś zabrał ze sobą jedno i drugie.

— Po co?

— Nie wiem, Raul - odrzekła Rachela, a ja nie dojrzałem w jej łagodnych oczach ani śladu podstępu.

— Dlaczego muszą ukryć statek? Są tu ludzie Paxu?

— Jeszcze nie, ale spodziewamy się ich już od dobrych sześciu miesięcy. W tej chwili na planecie i w otaczającej ją przestrzeni nie ma ani jednego statku kosmicznego... z wyjątkiem twojego, rzecz jasna. Nie ma też samolotów, śmigaczy, EMV, topterów i śmigłowców.. . Tylko paralotnie... lotnicy... Ale oni nie zapuszczają się tak daleko.

Skinąłem głową, wciąż pełen wątpliwości.

— Dugpowie widzieli dziś coś, czego nie potrafią wyjaśnić - mówiła dalej Rachela. - Twój statek, punkcik na tle Czomo Lori. Ale oni i tak wszystko tłumaczą tendrelem, więc nie będzie kłopotu.

— Co to jest tendrel? - spytałem. - I kim są dugpowie?

— Słowo tendrel oznacza znaki. W naszym rejonie Niebiańskich Gór dominuje szamańska tradycja buddyjska. Dugpowie są natomiast. .. Samo słowo znaczy dosłownie „najwyższy”... Chodzi o ludzi, którzy mieszkają na największej wysokości. Są jeszcze drukpowie, czyli mieszkańcy dolin, a właściwie niższych szczelin, oraz drungpowie, mieszkańcy lasów - ci z kolei mieszkają głównie w paprociowych gąszczach i zagajnikach karłowatych bambusów na zachodnich stokach Phari i poza nim.

— Więc Enea jest w świątyni? - powtórzyłem uparcie. Nie miałem ochoty pójść za radą młodej kobiety i ukryć statku.

— Tak.

— Kiedy się z nią spotkam?

— Jak tylko tam pójdziemy. - Rachela się uśmiechnęła.

— Długo ją znasz?

— Prawie cztery lata, Raul.

— Jesteś stąd?

Uśmiechnęła się ponownie, cierpliwie znosząc moje wypytywanie.

— Nie. Kiedy poznasz drugpów i pozostałych, sam zobaczysz, że nie pochodzę z Tien Szanu. Większość tubylców to potomkowie Chińczyków, Tybetańczyków i mieszkańców Azji Środkowej.

— Skąd w takim razie pochodzisz? - zapytałem i sam sobie wydałem się niegrzeczny.

— Urodziłam się na planecie Barnarda - odrzekła. - Takim mało znaczącym światku rolniczym: pola kukurydzy, lasy, długie wieczory i parę niezłych uniwersytetów - to wszystko.

— Słyszałem o niej - powiedziałem i nabrałem nowych podejrzeń. Owe „niezłe uniwersytety” w czasach Hegemonii stanowiły powód do chwały planety Barnarda, dawno jednak przekształcono je w akademie i seminaria pod egidą Kościoła. Poczulem nagle, że chętnie obejrzałbym jej nagą pierś - w poszukiwaniu krzyżokształtu, rzecz jasna. Odesławszy statek sam wpakowałbym się w pułapkę. - Gdzie poznałaś Eneę? Tutaj?

— Nie, na Amritsarze.

— Na Amritsarze? - zdziwiłem się. - Co to za miejsce?

— Nie dziwota, że o nim nie słyszałaś. Leży daleko na Pograniczu i w skali Solmewa ma dość niskie notowania. Zasiedlono go zaledwie przed stu laty, a zrobili to uciekinierzy, pokonani w wojnie domowej na Parvati - kilka tysięcy sikhów i drugie tyle sufistów walczy na Amritsarze o przetrwanie. Enea miała tam zbudować ośrodek kulturalny dla mieszkańców pustyni, a ja zgłosiłam się do pomiarów i werbunku ekipy. Od tamtej pory się nie rozstajemy.

Znów skinąłem głową; nadal nie wiedziałem, co zrobić. Przepełniało mnie uczucie bliskie rozczarowaniu i gwałtowne jak złość, ale nie tak

klarowne, graniczące za to z zazdrością. Nonsens.

— Co z A. Bettikiem? - zapytałem, przeczuwając, że android zmarł podczas naszego pięcioletniego rozstania. - Czy nie...

— Wyruszył wczoraj na bazar w Phari, żeby uzupełnić zapasy. Robi tak co dwa tygodnie - odpowiedziała Rachela i dotknęła mojego ramienia. - Nic mu się nie stało. Wróci jutro przed wschodem księżyca. Chodź, zbierz rzeczy i wyślij statek na trzeci księżyc. Enea wszystko ci opowie.

Skończyło się na tym, że zgarnąłem zapasowe ubranie, solidne buty, małą lornetkę, nieduży nóż w pochwie, próznioskóry, dwudechy i mieszczący mi się na dłoni nadajnik, pełniący też funkcję elektronicznego notesu. Wepchnąłem to wszystko do plecaka, zbiegłem w podskokach na łąkę i poinstruowałem statek co ma dalej robić. Traktowałem go jak człowieka tak długo i tak poważnie, że teraz spodziewałem się, iż obrazi się na mnie za to, że każę mu ponownie zapaść w sen zimowy - tym razem na księżycu - ale statek potwierdził przyjęcie rozkazu, zaofiarował się dokonywać codziennie testu nadajnika, a potem wzbił się wyżej i zniknął mi z oczu, jak balonik, któremu przecięto sznurek.

Rachela dała mi wełnianą chubę, żebym założył ją na ocieplaną kurtkę. Zauważyłem, że sama nosi nylonową uprząż, z której, na metalowych pętłach, zwiesza się mnóstwo sprzętu wspinaczkowego. Zapytałem, po co jej cały ten majdan.

— Enea ma też uprząż dla ciebie w świątyni - odparła i przesunęła ręką po pętli ze sprzętem. Zagrzechotał metal. - To najbardziej wyrafinowane zdobycze techniki na całej planecie. Kowale z Polali zażądali iście astronomicznych sum - i otrzymali je - za raki, wózki do lin, składane czekany i czekanomłotki, kostki, karabinki, haki, łyżki, rynienki, co tylko chcesz.

— A będę ich potrzebował? - zapytałem z powątpiewaniem. W Straży Planetarnej zapoznawaliśmy się z podstawami wspinaczki w lodzie - zjazdy, wyciąganie ludzi ze szczelin, takie tam - a kiedy pracowałem z Avrolem Humem na Dziobie, miałem okazję połączyć z liną po ścianach kamieniołomów, nie wiedziałem jednak, jak to będzie w górach. Bałem się wysokości.

— Owszem. Szybko się przyzwyczaisz - pocieszyła mnie i ruszyła truchtem, najpierw przez kamienie w strumieniu, a potem ścieżką pod górę, ku krawędzi urwiska. Sprzęt wspinaczkowy podzwaniał jej na uprząży jak dzwoneczek na szyi górskiej kozy.

Dziesięciokilometrowy spacer wzdłuż ściany grani okazał się łatwy, gdy oswoiłem się już z małą szerokością półki, bezdenną, przyprawiającą o zawroty głowy przepaścią po prawej ręce, oślepiającym blaskiem niewiarygodnej góry na pomocy i chmur pod stopami oraz przyływem energii, jaki zawdzięczałem bogatej w tlen atmosferze.

— Rzeczywiście - zgodziła się Rachel, gdy wspomniałem coś o powietrzu. - Przy tej ilości tlenu mielibyśmy kłopoty, gdyby rosły tu lasy lub sawanny, które mogą spłonąć. Powinieneś zobaczyć burze monsunowe. Ale karłowaty las w szczelinie i zarośla paproci po deszczowej stronie Phari są wszystkim, czym dysponujemy, jeśli chodzi o materiały łatwopalne. A tak naprawdę wcale łatwopalne nie są: drewno bonsai, którego używamy na budowach, jest tak twarde i ciężkie, że prawie nie chce się palić.

Przez chwilę szliśmy gęsiego, w milczeniu. Skupiłem się na półce, którą biegła ścieżka. Skręcaliśmy właśnie ostro za róg i musiałem schylić się pod nisko zwieszającą się skałą, po czym półka się rozszerzyła, a gdy podniosłem wzrok, moim oczom ukazała się Hsuankung Ssu, Napowietrzna Świątynia.

Z bliska, kiedy znalazłem się nieco niżej i z boku, świątynia nadal sprawiała wrażenie magicznie zawieszanej w przestworzach. Starsze, niższe budynki stały na ceglanych podmurówkach, większość jednak późniejszych budowli postawiono jak gdyby w powietrzu. Pagody osłaniała od góry olbrzymia, przewieszona na wysokości siedemdziesięciu pięciu metrów skała, ale platformy i drabiny prowadziły zygzakami w górę niemal do jej podnóża.

Weszliśmy w tłum. Poza wielobarwnymi chubami i wszechobecnymi pętłami ze sprzętem wspinaczkowym napotykać przez nas ludzie mieli jeszcze kilka cech wspólnych: na pierwszy rzut oka wszyscy, którzy przyglądali mi się z grzeczną ciekawością, wyglądali na potomków Azjatów ze Starej Ziemi; byli stosunkowo niscy, jak na planetę, na której ciężenie niewiele odbiega od ziemskiej średniej; kłaniali się i ustępowali z szacunkiem na bok, gdy Rachel prowadziła mnie przez ciżbę, po drabinach, przez pachnące kadzidłem i drewnem sandałowym wnętrza budynków, przez ganki, chybotliwe mosty i w górę delikatnych schodów. Niebawem dotarliśmy na górne piętra świątyni, gdzie w szybkim tempie postępowały prace konstrukcyjne. Figurki, które widziałem niedawno w szklach lornetki, przeobraziły się w żywe, oddychające istoty ludzkie, stękające pod ciężarem koszy z gruzem, a wokół nich unosiła się woń potu i wytężonej pracy. Cichy i sprawny proces twórczy, który podziwiałem stojąc na tarasie statku, rozbrzmiewał teraz uderzeniami młotków, dźwięcznymi ciosami drut, echem dudnienia kilofów i krzykami gestykującymi robotników, krzątających się w kontrolowanym chaosie, jakże typowym dla każdego placu budowy.

Po przejściu jeszcze kilku odcinków schodów i trzech drugich drabin, przed wejściem na ostatnią platformę zatrzymałem się, żeby wyrównać oddech; dużo tlenu to jedno, ale taka wspinaczka - to

zupełnie co innego. Zauważyłem, że Rachela przygląda mi się ze spokojem, który łatwo przychodziło mi pomylić z obojętnością.

Podniósłszy wzrok ujrzałem młodą kobietę, która właśnie zeszła z platformy na drabinę i wdzięcznym krokiem ruszyła w dół. Przez ułamek sekundy serce zabiło mi mocniej — Enea! - ale kiedy przyjrzałem się dokładniej, jak porusza się osoba na drabinie, kiedy zobaczyłem krótko przycięte, ciemne włosy, wiedziałem, że nie jest to moja przyjaciółka.

Odsunęliśmy się z Rachela od podnóża drabiny, a nowo przybyła zeskoczyła z trzeciego czy czwartego szczebla. Była wysoka - mojego wzrostu - i masywnie zbudowana; miała mocno rzeźbione rysy twarzy i zdumiewające, fiołkowe oczy. Dobiegała już pewnie pięćdziesiątki, ale trzymała się świetnie. Opaloną twarz znaczyły jasne zmarszczki w kącikach ust i oczu, świadczące o tym, że też lubi się śmiać.

— Raul Endymion - powiedziała i podała mi rękę na powitanie. - Jestem Theo Bernard. Pomagam budować.

Skinąłem głową; uścisk dłoni miała równie konkretny, jak Rachela.

— Enea już kończy. - Machnęła ręką w stronę drabiny.

Spojrzałem na Rachelę.

— Idź na górę - powiedziała. - My mamy swoje zajęcia.

Powoli, noga za nogą, ręka za ręką, ruszyłem w górę. Szczebli było ze sześćdziesiąt i na każdym kolejnym platforma, z której wyruszyłem, wydawała mi się coraz mniejsza; gdybym spadł, leciałbym w nieskończoność.

Wyszędłszy na platformę ujrzałem dwa baraki i wyciosane w skale nisze, których miejsce miał niebawem zająć ostatni budynek świątyni. Miałem świadomość nieprzeliczonych ton kamienia, które zaczynały się dziesięć metrów nad moją głową - przewieszka odchyłała się od ściany urwiska niczym granitowy sufit. Małe ptaszki z rozwidlonymi ogonkami śmigary wśród skalnych załomów.

A potem całą moją uwagę przyciągnęła postać, która wyszła z większego baraku.

Enea. Te same śmiałe, ciemne oczy, ten sam naturalny uśmiech, wydatne kości policzkowe, delikatne dłonie, kasztanowe włosy z jasnymi pasemkami, niedbale przystrzyżone i rozwiewane przez wiatr. Nie urosła zbytnio od naszego ostatniego spotkania - nadal mógłbym bez trudu pocałować ją w czoło - ale się zmieniła.

Zaparło mi dech w piersi. Nieraz już oczywiście widziałem, jak ludzie dorastają i przekraczają próg dorosłości, zwykle jednak chodziło o moich przyjaciół i znajomych, kiedy sam znajdowałem się na tymże etapie. Rzecz jasna, nigdy nie miałem dzieci i jedyne obserwacje, jakie poczyniłem na temat czyjegokolwiek dojrzewania, odnosiły się do nieco ponad czterech lat spędzonych w towarzystwie Enei. Zdałem sobie sprawę, że pod wieloma względami przypomina samą siebie z dnia szesnastych urodzin, ale dostrzegłem też różnice: zniknęły resztki dziecięcej tkanki tłuszczowej, kości policzkowe wyostrzyły się, rysy twarzy stały wyraźniejsze, biodra krągłejsze, piersi nieco urosły. Miała na sobie robocze spodnie, wysokie buty, zieloną koszulę, którą pamiętałem jeszcze z Taliesina Zachodniego i kurtkę w kolorze khaki, której poły rozwiewał wiatr. Zmężniała, na rękach i nogach wyraźniej rysowały się mięśnie - ale w gruncie rzeczy niewiele się zmieniła.

A zarazem bardzo się zmieniła. Dziecko, jakie znałem, zniknęło i w jego miejsce pojawiła się dziwna kobieta, która szybkim krokiem przemierzała platformę, zmierzając w moją stronę. Nie chodziło mi tylko o rysy twarzy i mocniej zarysowaną sylwetkę... raczej o jakąś osobistą solidność. Godność. Już w dzieciństwie Enea była najbardziej żywiołową, spontaniczną i pełną osobą, jaką znałem; teraz dziecko ulotniło się bez śladu, a przynajmniej skryło pod powierzchownością dorosłej kobiety i przez aurę ożywienia przebijała wewnętrzna moc.

— Raul! - Podeszła bliżej i ujęła moje ręce w swoje silne dłonie.

Przez chwilę zdawało mi się, że zaraz pocałuje mnie w usta, tak jak... tak jak uczynił to szesnastoletni dzieciak... w ostatnich chwilach naszego wspólnego pobytu na Starej Ziemi. Ona jednak podniosła dłoń i pogładziła mnie po policzku. W jej ciemnych oczach dostrzegłem błysk... Właśnie, czego? Z pewnością nie rozbawienia. Być może ożywienia; miałem nadzieję, że szczęścia.

Odebrało mi mowę. Chciałem coś powiedzieć, przerwałem, podniosłem rękę, jakbym i ja chciał dotknąć jej policzka i opuściłem ją bezradnie.

— Raul, kurczę... Tak się cieszę, że cię widzę! - Zabrała rękę z mojej twarzy i przytuliła mnie z siłą, która graniczyła z brutalnością.

— Ja też się cieszę, że cię widzę. - Poklepałem ją po plecach, czując pod palcami szorstki materiał kurtki.

Cofnęła się o krok, uśmiechnięta już od ucha do ucha i złapała mnie za barki.

— Czy podróż do statku bardzo dała ci się we znaki? Opowiadaj.

— Pięć lat! - odrzekłem. - Czemu mi nie powiedziałaś...

— Powiedziałam. Krzyknęłam.

— Kiedy? W Hannibalu? Gdy odpływałem?

— Tak. A potem krzyknęłam „Kocham cię”. Pamiętasz?

— Pamiętam, ale... gdybyś wiedziała... no bo pięć lat...

Mówiliśmy jednocześnie, prawie bez ładu i składu. Złapałem się na tym, że próbuję jej opowiedzieć wszystko o transponderach, o kamieniu nerkowym na Vitus-Gray-

Balianusie B, o ludziach Widmowej Helisy Amoiete'a, o planecie chmur, o olbrzymiej mątwie - zadając w tym samym czasie pytania i bełkocząc dalej, zanim zdążyła na nie odpowiedzieć.

Przyglądała mi się z tym samym, szerokim uśmiechem.

— Nic się nie zmieniłeś, Raul. Nic a nic. Ale to chyba nic dziwnego, do diabła. Dla ciebie minęło przecież... ile to... tydzień czy dwa, a potem

sen kriogeniczny na statku.

Przez zalewającą mnie falę obezwładniającego szczęścia na powierzchnię przebiła się złość.

— Psiakrew, powinnaś mi była powiedzieć o tym długu czasowym. I o planowanym przeskoku na planetę bez lądu. Mogłem zginąć!

Enea pokiwała głową.

— Nie byłam niczego pewna, Raul. Jak zwykle, widziałam tylko różne... możliwości. Dlatego wbudowaliśmy w kajak paralonie. - Znów się uśmiechnęła. - Chyba się sprawdziła.

— Ale wiedziałaś, że to będzie długie rozstanie. Dla ciebie upłynęły całe lata. — Nie zabrzmiało to jak pytanie, lecz raczej stwierdzenie faktu.

— Tak.

Chciałem jeszcze coś powiedzieć, ale nagle moja złość ulotniła się równie szybko, jak przedtem pojawiła, i tym razem to ja chwyciłem Eneę za ramiona.

— Cieszę się, że cię widzę, maleńka.

Objęła mnie i pocałowała w policzek; zawsze tak robiła, kiedy zachwyciłem ją jakimś żartem czy dowcipnym komentarzem.

— Chodź - rzuciła. - Popołudniowa zmiana się skończyła. Pokażę ci naszą platformę i przedstawię paru ludziom.

Naszą platformę? Poszedłem za nią po drabinach i mostach, których nie zauważyłem idąc z Rachelą.

— Nic ci się nie stało, Eneo? To znaczy... Wszystko w porządku?

— Jasne - obejrzała się przez ramię i posłała mi kolejny uśmiech. - Wszystko gra, Raul.

Przeszliśmy przez taras z boku najwyższej z trzech ustawionych jedna na drugiej pagód. Czuję, jak trzęsie się pod moimi stopami, a kiedy zeszedliśmy na wąski pomost pomiędzy pagodami, cała

konstrukcja zadrżała lekko. Ludzie opuszczali zachodni budyneczek i wracali wąską półką wciętą w urwisko.

— Ten fragment trochę się telepie, ale jest solidny - uspokoiła mnie Enea, dostrzegłszy moje wahanie. - Belki z twardej sosny bonsai zostały wpuszczone w wydrążone w skale otwory. To na nich opiera się cała reszta.

— Muszą przecież kiedyś spróchnieć - zauważyłem, gdy weszliśmy na króciutki wiszący mostek. Wiatr nami zakołysał.

— I próchnieją. Od czasu powstania świątyni, czyli przed ponad ośmiuset lat, wymieniano je już kilka razy, chociaż nikt dokładnie nie wie ile. Archiwa mają tu jeszcze mniej pewne niż domy.

— Wynajęto cię, żebyś coś dobudowała? - zapytałem. Wyszliśmy na taras z drewna w kolorze ciemnego wina. Z drugiego jego końca wybiegała drabina, prowadząca na platformę, na której zaczynał się następny most.

— W pewnym sensie. Jestem tu po trochu architektem, a po trochu kierownikiem budowy. Nadzorowałam budowę taoistycznej świątyni w Potali, bo tam najpierw się znalazłam, a potem dalejlana doszedł do wniosku, że może udałoby mi się dokończyć prace przy Napowietrznej Świątyni. Przez ubiegłe kilkadziesiąt lat dała się we znaki kilku potencjalnym renowatorom.

— Bo tam się znalazłaś... - powtórzyłem. Znaleźliśmy się na wyniesionej w górze platformie pośrodku całej konstrukcji. Otaczała ją pięknie rzeźbiona balustrada, a na skraju przycupnęły dwie maleńkie pagody. Enea podeszła do drzwi bliższej z nich.

— Świątynia? - spytałem.

— Mój dom. - Uśmiechnęła się i gestem zaprosiła mnie do środka. Zajrzałem. Kwadratowy pokój o wymiarach trzy na trzy metry miał drewnianą, wypolerowaną do połysku podłogę, na której leżały dwie małe słomiane maty, tatami. Najciekawiej prezentowała się ściana na

wprost drzwi - której po prostu nie było. Papierowe ściany, shoji, odsunięto na boki i pokój kończył się pustką; lunatyk mógłby przepaść w niej bez śladu. Wiatr dmący w górę urwiska poruszał liśćmi na podobnych do wierzbowych witek gałązkach, wstawionych do prześlicznego, musztardowej barwy wazonu, stojącego na niskim drewnianym podium pod zachodnią ścianą. Wazon stanowił jedyną ozdobę pomieszczenia.

— W budynkach zdejmujemy buty - poinformowała mnie Enea. - Oprócz korytarzy przelotowych, którymi prowadzono cię wcześniej.

Podeszliśmy do drugiej pagody, której wewnątrz wyglądało niemal identycznie, chociaż shoji zostały zasunięte, a na podłodze leżał cienki materac.

— To rzeczy A. Bettika - rzekła Enea i wskazała pomalowaną na czerwono szafkę obok materaca. Tu będziesz spał. Wejdz, proszę.

Zsunęła buty, stanęła na tatami i rozsunęła papierowe parawany. Usiadła po turecku.

Ja również pozbyłem się obuwia, postawiłem plecak pod południową ścianą i przeszedłem przez pokój, żeby przysiąść obok Enei.

— Patrz - powiedziała i złapała mnie za rękę.

Zatkało mnie na dobrą minutę, tak że zacząłem się zastanawiać, czy to pod wpływem powodu bogatego w tlen powietrza, czy też wysokości jestem tak podatny na gwałtowne zmiany nastroju. Śledziłem szeregi ludzi w jaskrawych chubach, patrzyłem, jak wychodzą ze świątyni i idą po wąziutkich półkach skalnych i mostach na zachód. Na wprost mieliśmy lśniący masyw Heng Szanu, którego lodowce pyszniły się blaskiem popołudniowego słońca.

— O Jezu - odezwałem się cicho. - Tu jest pięknie, maleńka.

— To prawda. Zabójczo pięknie, jeśli się człowiek zagapi. Jutro pójdziemy w skały i zrobimy ci powtórkę ze wspinaczki.

— Przydałby mi się raczej kurs dla początkujących - stwierdziłem. Nie mogłem oderwać wzroku od jej twarzy, od oczu; bałem się, że jeśli znów dotknę odkrytego skrawka jej skóry, przeskoczy między nami iskra. Pamiętałem podobne do wstrząsu elektrycznego wrażenie, które towarzyszyło tego rodzaju kontaktom, gdy była dzieckiem. Westchnąłem. - No dobrze - zacząłem - kiedy tu trafiłaś, dalajlama, kimkolwiek jest, powiedział, że mogłabyś popracować nad tą świątynią. Kiedy tu dotarłaś? I jak? Kiedy poznałaś Rachelę i Theo? Kogo jeszcze tu znasz? Co się stało po naszym rozstaniu w Hannibalu? Co stało się z ludźmi z Taliesina? Czy ściga cię armia Paxu? Gdzie nauczyłaś się tyle o architekturze? Czy dalej rozmawiasz z lwami, tygrysami i niedźwiedziami? Jak udało ci się...

Enea powstrzymała potok pytań, podnosząc rękę. Śmiała się.

— Po kolei, Raul. Chciałabym też posłuchać o twojej podróży.

Spojrzałem jej w oczy.

— Śniło mi się, że rozmawiamy - powiedziałem. - Mówiłaś coś o czterech etapach... o poznaniu języka umarłych, poznaniu...

— Poznaniu języka żywych - dokończyła za mnie. - Tak. Też miałam taki sen.

Chyba uniosłem brwi ze zdumienia.

Enea uśmiechnęła się i położyła dłonie na moich rękach. Miała większe dłonie niż przedtem - zakrywały teraz moją pięść; przypomniałem sobie, jak kiedyś obie jej rączki ginęły w mojej jednej.

— Pamiętam ten sen, Raul. Śniło mi się, że cierpisz... coś cię boli... plecy...

— Kamień nerkowy - wyjaśniłem i skrzywiłem się na samo wspomnienie.

— Właśnie. Chyba jesteśmy prawdziwymi przyjaciółmi, skoro oddaleni o całe lata świetlne potrafimy śnić te same sny.

— Całe lata świetlne... Jak je przebyłaś, Eneo? Jak się tu znalazłaś? Gdzie byłaś po drodze?

Skinęła głową i zaczęła mówić. Wiatr wpadający do środka przez rozsunięte shoji targał jej włosy, a światło chylącego się ku zachodowi słońca kładło się ciepłym blaskiem coraz wyżej i wyżej na lodowcach olbrzymiego szczytu i ciągnącej się na wschód i zachód ścianie urwiska.

Enea ostatnia opuściła Taliesin Zachodni, aczkolwiek nastąpiło to zaledwie w cztery dni po moim spływie z biegiem Missisipi. Powiedziała, że pozostali uczniowie udali się do innych transponderów, korzystając z resztek paliwa w ładowniku: nieopodal mostu Golden Gate, na skraju Wielkiego Kanionu, na szczycie ozdobionej czterema profilami Mount Rushmore, wśród porzecznych wsporników wież startowych w Parku Historycznym Portu Kosmicznego imienia Kennedy'ego - najwidoczniej portale były rozsiane po całej zachodniej półkuli. Ten, przez który przeszła Enea, wbudowano w dom z suszonej cegły w małym pueblu, na północ od opustoszałego miasta Santa Fe. A. Bettik podążył za nią.

Słyszając to poczułem ukłucie zazdrości. Nie odezwałem się jednak ani słowem.

Pierwszy transponder zaprowadził ich na Iksjona, planetę o podwyższonej grawitacji. Stacjonowały na niej wprawdzie wojska Paxu, trzymały się jednak drugiej półkuli. Iksjon nigdy do końca nie pozbierał się po Upadku, a wysoki płaskowyż, na którym wylądowali Enea i A. Bettik, stanowił istny labirynt porośniętych dżunglą ruin, zamieszkały głównie przez wojujące plemiona neomarksistów i przedstawicieli ruchu odrodzenia Indian; jakby tego było mało, wybuchową mieszankę uzupełniały grupy zdeprawowanych speców od babrania się w DNA, dążących do odtworzenia na Iksjonie wszystkich znanych nauce gatunków dinozaurów.

W ustach Enei wszystko brzmiało zabawnie: opowieści o próbach zamaskowania błękitnej skóry A. Bettika za pomocą grubej warstwy farbek, używanych przez tubylców do malowania twarzy; historia bezczelnej szesnastoletniej dziewczynki, żądającej pieniędzy - w tym przypadku raczej żywności i futer, bo o pieniądzach dawno już na Iksjonie nie słyszano - by prowadzić odbudowę starych iksjońskich miast: Canbaru, Iliumut i Maoville. Udało im się jednak, a Enea nie tylko walnie przyczyniła się do odtworzenia i przeprojektowania trzech starych ośrodków miejskich oraz niezliczonych domów mieszkalnych, lecz także zainicjowała działalność „kół dyskusyjnych”, w których spotykali się przedstawiciele kilkunastu wrogich szczepów.

Wiedziałem, że nie mówi mi wszystkiego, postanowiłem jednak dowiedzieć się, o co właściwie chodzi z tymi „kołami”.

— Takietam... - odparła. - Poruszali jakiś temat, ja sugerowałam, co warto w związku z tym przemyśleć i wywiązywała się dyskusja.

— Nauczałaś ich? - zapytałem, pomny przepowiedni, że córka cybryda Johna Keatsa będzie Tą, Która Naucza.

— Chyba tak... w takim sensie, jak pojmował to Sokrates.

— To znaczy... Ach, rozumiem. - Przypomniałem sobie dzieła Platona, na które Enea zwróciła moją uwagę w taliesińskiej bibliotece. Nauczyciel Platona, Sokrates, uczył przez zadawanie pytań; wydobywał z ludzi prawdy, które już znali i które tylko skrywali w głębi umysłu. Szczerze mówiąc, nie miałem przekonania do jego metody.

Mówiła dalej. Niektórzy członkowie kół dyskusyjnych z czasem stawali się wiernymi słuchaczami - co wieczór zjawiali się na spotkaniach, a potem wraz z nią przemierzali zburzone iksjońskie miasta.

— Jak apostołowie - stwierdziłem.

— Nie lubię tego określenia, Raul. - Enea zmarszczyła brwi.

Skrzyżowałem ramiona na piersi i zapatrzyłem się w dal. Ostatnie promienie słońca kładły się na chmurach w dole różową poświatą i złościły szczyt olbrzymiej góry na północy.

— Możesz go nie lubić - powiedziałem - ale coś mi się widzi, że bardzo tu pasuje, maleńka. To apostołowie wszędzie podążają za mistrzem, starając się odkryć tę ostatnią drobinę wiedzy, jaką ma im do przekazania.

— Uczniowie też mogą pójść za nauczycielem.

— No dobrze - uciałem, nie chcąc się wdawać w dyskusje, dopóki Enea nie skończy opowiadać. - Mów.

O Iksjonie niewiele więcej dało się powiedzieć. Spędzili na nim około jednego miejscowego roku, czyli pięć miesięcy standardowych; większość konstrukcji budowano z kamiennych bloków, a projekty nie odbiegały od antycznych, klasycznych wzorców.

— A co z Paxem? - zapytałem. - Nie przyszli powęszyć?

— Niektórzy misjonarze uczestniczyli w dyskusjach. Jeden z nich, niejaki ojciec Clifford, zaprzyjaźnił się nawet z A. Bettikiem.

— A nie wsypał was? To znaczy - nie wsypali? Przecież z pewnością wciąż nas szukają.

— Ojciec Clifford nas nie zdradził, tego jestem pewna. Skończyło się jednak na tym, że żołnierze zaczęli się za nami rozglądać na zachodniej półkuli, tam gdzie pracowaliśmy. Ukrywaliśmy się jeszcze przez miesiąc wśród tubylców; ojciec Clifford przychodził na wieczorne spotkania nawet wówczas, gdy nad drzewami przemykały szukające nas śmigacze.

— I co się stało?

Czułem się jak dwuletni chłopczyk, który zadając pytania chce tylko zmusić drugą osobę do rozmowy. Nasze rozstanie trwało zaledwie kilka miesięcy - i znaczną jego część spędziłem w koszmarnym śnie

kriogenicznym - ale zdążyłem już trochę zapomnieć, ile przyjemności dawało mi słuchanie głosu Enei.

— Właściwie nic. Skończyłam ostatnią budowę - stary amfiteatr, przeznaczony na miejskie zgromadzenia i zabawy - i odeszliśmy. Niektórzy moi... uczniowie... również.

— Z wami? - zdziwiłem się. Rachela mówiła, że poznała Eneę na Amritsarze; może wobec tego Theo pochodziła z Iksjona?

— Nie, nikt nie podążył moim śladem - odparła cicho. - Musieli udać się gdzie indziej. Uczyć innych.

Przez chwilę patrzyłem na nią w milczeniu.

— Czy to znaczy, że lwy, tygrysy i niedźwiedzie uruchomiły transmitery także dla innych ludzi? A może wszystkie portale zaczną normalnie działać?

— Nie - odpowiedziała, choć nie wiedziałem na które z pytań. - Transmitery są nadal nieczynne. To... Powiedzmy, że chodziło o kilka szczególnych przypadków.

Postanowiłem i tym razem nie dociekać prawdy. Enea kontynuowała swoją opowieść — po Iksjonie trafili na Maui-Przymierze.

— To planeta Siri! - Przypomniałem sobie Starowinę, recytującą mi strofy „Pieśni”. Tam właśnie rozgrywała się akcja opowieści jednego z pielgrzymów.

Enea skinęła głową. Dawno temu, gdy Sieć jeszcze kwitła, Maui-Przymierze ucierpiało wskutek rewolucji i interwencji wojsk Hegemonii. Podczas bezkrólewia po zniszczeniu transponderów planeta odzyskała część dawnej świetności, po czym została ponownie skolonizowana w erze ekspansji Paxu. Tubylcy, zgodnie z najlepszymi tradycjami Siri, wraz z delfinami stawili silny opór flocie i Gwardii Szwajcarskiej, ale tylko do czasu, aż wojsko wysłało większe, lepiej uzbrojone oddziały. Teraz planetę zaciekle chrystianizowano, a

mieszkańców jedyne go kontynentu, Archipelagu Równikowego i tysięcy wędrujących wysp wysyłano do „akademii chrześcijańskich” na przyspieszoną reedukację.

Enea i A. Bettik wyszli z transmitera na jednej z wysp, które wciąż znajdowały się we władaniu rebeliantów, neopogan nazywających się Siristami. Żeglowali nocą, za dnia kryli się w archipelagach pustych wysepek i przy każdej okazji walczyli z armią Paxu.

— Co tam budowałaś? - Z tego, co pamiętałem z „Pieśni”, na pływających wyspach były tylko drzewne domy, ukryte w listowiu, które służyło wyspom za żagle.

— Domy drzewne. - Wyszczrzyła zęby w uśmiechu. - Całe mnóstwo. Poza tym trochę kopuł podwodnych, w których poganie spędzają większość czasu.

— Projektowałaś drzewne domy...

Pokręciła głową.

— Chyba żartujesz - stwierdziła. - Nie licząc nieodżałowanych templariuszy z Bożej Kniei, mieszkańcy Maui zawsze byli najlepszymi budowniczym drzewnych domów w całym znanym ludziom kosmosie. Uczyłam się, jak je budować; łaskawie zgodzili się, żebyśmy z A. Bettikiem mogli im pomagać.

— Jak najemni robotnicy.

— Właśnie.

Na Maui-Przymierzu spędzili tylko trzy miesiące standardowe - i tam właśnie poznali Theo Bernard.

— To też poganka? I rebeliantka? - zaciekałem się.

— Niedysiejsza chrześcijanka, która przybyła na Maui na statku kolonizacyjnym. Uciekła i przyłączyła się do Siristów.

Chyba zmarszczyłem brwi.

— Ma krzyżokształt? - Ponownie narodzeni chrześcijanie ciągle budzili mój niepokój.

— Już nie.

— Jak to...

Jedynym sposobem pozbycia się krzyżokształtu, o jakim słyszałem, był trzymany przez Kościół w najgłębszym sekrecie sakrament ekskomuniki.

— Później ci to wyjaśnię - rzuciła Enea; zanim skończyła opowiadać, użyła tego sformułowania jeszcze parokrotnie.

Następną planetą, na którą udali się już w towarzystwie Theo Bernard, był Renesans.

— Renesans!

Twierdza Paxu, na której prawie nas zestrzelono; świat w najwyższym stopniu uprzemysłowiony - gigantyczne miasto, zautomatyzowane fabryki, ośrodki wojskowe.

— Tak, Renesans. - Enea się uśmiechnęła. Nie poszło im łatwo. A Bettik musiał uchodzić za ofiarę pożaru, z poważnymi poparzeniami i syntkankową maską na twarzy. Pewnie nieźle mu dokuczała, zwłaszcza że spędzili na Renesansie aż sześć miesięcy.

— Co wyście tam robili?

Jakoś nie umiałem sobie wyobrazić moich przyjaciół, ukrywających się przez pół roku na zamienionej w jedno wielkie miasto i zamieszkaną przez miliardy ludzi planecie.

— Pracowaliśmy, ale tylko nad jedną budowlą: nową katedrą w Da Vinci, pod wezwaniem Świętego Mateusza.

Na dobrą minutę odebrało mi mowę.

— Budowałaś katedrę? Chrześcijański kościół? Dla Paxu?

— Ależ oczywiście - odparła ze spokojem Enea. - Współpracowałam z najlepszymi w branży kamieniarzami, szklarzami, murarzami i rzemieślnikami. Z początku jako czeladnik, ale przed opuszczeniem Renesansu zdążyłam zostać asystentką głównego projektanta.

Mogłem tylko bezradnie pokręcić głową.

— I tam też... zorganizowałaś kółko dyskusyjne?

— Owszem. Na Renesansie w spotkaniach uczestniczyło najwięcej ludzi. Pod koniec liczba uczniów szła w tysiące.

— To cud, że nie zostaliście zdradzeni.

— Zostaliśmy, ale nie przez ucznia. Jeden ze szklarzy doniósł na nas miejscowemu garnizonowi Paxu. Ledwie się stamtąd wyrwaliśmy.

— Przez transmiter - dopowiedziałem.

— Mniej więcej - przyznała Enea. Dopiero dużo później zdałem sobie sprawę, że przy tych słowach minimalnie się zawahała.

— Inni poszli za tobą?

— Nie za mną, chociaż setki ludzi przeniosły się na inne planety.

— Dokąd? - Nie kryłem zdumienia.

Westchnęła.

— Pamiętasz naszą rozmowę, Raul? Tę, kiedy mówiłam, że Pax widzi we mnie wirusa? I że ma rację?

— Pamiętam.

— Moi uczniowie również go roznoszą. I muszą dotrzeć w wiele miejsc, zarazić wielu ludzi.

Litania planet i prac budowlanych trwała - najpierw trzy miesiące na Patawpha, gdzie korzystając z doświadczeń z Maui-Przymierza Enea konstruowała rezydencje w koronach drzew, wyrastających z bezkresnych bagien. Potem Amritsar, gdzie przez cztery miesiące standardowe pod jej kierunkiem powstawały namioty i miejsca zgromadzeń dla wędrownych sikhów i sufistów, przemierzających zielone pustynie.

— Na Amritsarze spotkałaś Rachelę - podpowiedziałem.

— Zgadza się.

— Jak ona się nazywa? Nie przedstawiła mi się z nazwiska.

— Mnie również.

Po Amritsarze przyszła kolej na Groombridge Dysona D, miejsce nieudanego eksperymentu Hegemonii w zakresie terraformowania. Planetę oddano we władanie postępującym metanowo-amoniakowym lodowcom, huraganom niosącym lodowe kryształki i nielicznym kolonistom, kulącym się w biokryptach i orbitalnych barakach budowlanych. Tubylcy ci - głównie sunnici, inżynierowie z nieudanego projektu transafrykańskiej rekultywacji genetycznej - uparcie odmawiali wymarcia po Upadku i zdołali doprowadzić do tego, że na Groombridge Dysonie D pojawiła się zdatna do oddychania atmosfera, a ląd pokrył się lapońską tundrą, obfitującą w zaadaptowane do surowych warunków okazy ziemskiej fauny i flory; na rozciągających się wzdłuż równika wyżynach spotykało się na przykład kudłate mamuty. Porastające miliony hektarów łąki znakomicie nadawały się do wypasu koni - takich samych, jakie na Starej Ziemi wyginęły jeszcze przed okresem Kłopotów, kiedy to planeta zapadła się do środka. Projektanci genetyczni sięgnęli więc do pierwotnych zasobów statku kolonizacyjnego i zaczęli produkować konie tysiącami, a potem dziesiątkami tysięcy. Grupy nomadów wędrowały przez zielone połacie południowego kontynentu, żyjąc w swoistej symbiozie z olbrzymimi stadami, natomiast rolnicy i mieszkańcy miast przenieśli się na wzgórza pod równikiem. Nie brakowało też groźnych drapieżników, które ewoluowały w przyspieszonym tempie podczas kilkusetletnich samowolnych, nie kontrolowanych eksperymentów z DNA: na mieszkańców Groombridge Dysona D czyhały stada zmutowanych padlinożerców, ryjące w ziemi potwory, trzydziestometrowe węże - potomkowie węży z Trawiastego Morza na Hyperionie i skalnych tygrysów z Fuji - przebiegłe wilki i niedźwiedzie grizzly o podwyższonej inteligencji.

Mieszkańcy planety dysponowali techniką, która pozwoliłaby im w niespełna rok całkowicie wytępić nowych drapieżców, wybrali

jednak inne rozwiązanie. Nomadzi postanowili ryzykować spotkania sam na sam ze zwierzętami i chronić stad koni, póki trawa się zieleni, a woda szemrze w strumieniach; ludzie z miast zbudowali natomiast mur, który oddzielał dzikie przedgórze od bezkresnych pastwisk i rozrastających się cykladowych lasów na południu. Z czasem mur miał osiągnąć długość pięciu tysięcy kilometrów i przerodzić się w prawdziwy ciąg miejski: w najniższym punkcie miał trzydzieści metrów wysokości, na blankach pyszniły się meczety i minarety, a na biegnącej szczytem drodze trzy rydwany bez trudu zmieściłyby się obok siebie.

Koloniści mieli za dużo innych zadań, by poświęcić się w pełni pracy nad murem, toteż zaprzęgli do niej odpowiednio zaprogramowane roboty i odzyskane ze statku kolonizacyjnego androidy. Enea, A. Bettik i ich dwie nowe przyjaciółki włączyli się w to dzieło i przez sześć miesięcy standardowych patrzyli, jak kamienna ściana nabiera kształtu.

— A. Bettik odnalazł tam dwójkę rodzeństwa - powiedziała Enea.

— Boże mój - wyszeptałem. Prawie o tym zapomniałem: kiedy przed paru laty siedzieliśmy w ciepłej grzałce w gabinecie ojca Glaucusa na Sol Draconi Septem, w wieżowcu wmarzniętym w zestaloną atmosferę planety, A. Bettik zdradził nam jeden z motywów, jakie kierowały nim, kiedy postanowił towarzyszyć mnie i Enei w naszej wędrówce. Wbrew logice miał nadzieję, że znajdzie czworo rodzeństwa - trzech braci i siostrę, od których oddzielono go po krótkim okresie szkolenia w dzieciństwie (o ile w przypadku androidów można w ogóle mówić o „dzieciństwie”). - Odszukał ich?

— Dwoje - powtórzyła Enea. - Jednego z mężczyzn, A. Antibbe i siostrę, A. Darrię.

— Byli podobni? - zapytałem. Stary poeta, mieszkający w opustoszałym Endymionie, korzystał z usług androidów, ale

niespecjalnie zwracałem na nie uwagę; działo się wtedy zbyt wiele - i zbyt szybko.

— Bardzo podobni, choć zarazem bardzo różni. Może on sam ci o tym opowie.

Na tym właściwie kończyła się jej opowieść. Po pół roku pracy na Groombridge Dysonie D musieli uciekać.

— Musieliście? Znowu Pax?

— Dokładniej rzecz biorąc: Komisja Sprawiedliwości i Pokoju. Nie chcieliśmy stamtąd odchodzić, ale nie mieliśmy wyboru.

— Co to takiego, ta Komisja Sprawiedliwości i Pokoju? - zdziwiłem się. Coś w głosie Enei sprawiło, że poczułem, jak na rękach robi mi się gęsia skórka.

— Później ci to wyjaśnię.

— No dobrze - zgodziłem się - ale teraz powiedz mi coś innego.

Enea bez słowa skinęła głową.

— Na Iksjonie spędziłaś pięć miesięcy standardowych, dalsze trzy na Maui-

Przymierzu, sześć na Renesansie, trzy na Patawpha, cztery na Amritsarze i ze sześć na... Jak to szło? Groombridge Dysonie D. Zgadza, się?

Enea pokiwała głową.

— A tutaj, na Tien Szanie, jesteś mniej więcej od roku, tak?

— Tak.

— To razem daje trzydzieści dziewięć miesięcy standardowych. Trzy lata i trzy miesiące.

Nie odzywała się. Kąciki jej ust drgnęły leciutko, zrozumiałem jednak, że nie próbuje się uśmiechać... Raczej stara się powstrzymać płacz. Wreszcie przerwała milczenie:

— Zawsze byłeś dobry z matematyki, Raul.

— Moja podróż tutaj wiązała się z pięcioletnim długiem czasowym - powiedziałem łagodnie. - To sześćdziesiąt miesięcy standardowych, ty natomiast opowiedziałaś mi o trzydziestu dziewięciu. Co z resztą, maleńka?

W jej oczach zalśniły łzy. Dolna warga drżała jej lekko, ale Enea starała się utrzymać lekki ton:

— Według standardowej rachuby minęły dla mnie sześćdziesiąt dwa miesiące, jeden tydzień i sześć dni; pięć lat, dwa miesiące i jeden dzień długu czasowego na pokładzie statku, cztery dni na przyspieszenie i wyhamowanie i osiem dni lotu. O tym zapomniałeś.

— Dobrze, maleńka. - Widziałem, że w Enei górę zaczynają brać emocje. Ręce się jej trzęsły. - Chcesz porozmawiać o tych brakujących. .. Ile to wyszło?

— Dwudziestu trzech miesiącach, tygodniu i sześciu dniach.

Prawie dwa lata standardowe, pomyślałem. Nie chce mi powiedzieć, co się z nią działo przez tyle czasu. Nigdy dotąd nie widziałem, żeby Enea musiała tak się starać, aby nad sobą zapanować; miało się wrażenie, jakby musiała się opierać jakiejś niewyobrażalnej sile bezwładności.

— Wrócimy jeszcze do tego - rzekła i przez otwarte drzwi wskazała ścianę urwiska za zachód od świątyni. - Patrz.

Z trudem dostrzegłem na skalnej półce grupkę dwu - i czworonożnych postaci, które miały do przebycia jeszcze ładnych parę kilometrów skrajem przepaści. Wygrzebałem z plecaka lornetkę i spojrzałem ponownie.

— Zwierzęta juczne to zykozy - wyjaśniła Enea. - Tragarzy wynajęto na bazarze w Phari; rano wracają do domu. Widzisz kogoś znajomego?

Widziałem: wyzierająca spod kaptura chuby niebieska twarz nie zmieniła się, odkąd widziałem japo raz ostatni, choć dla niej minęło pięć lat. Odwróciłem się twarzą do Enei, ale najwidoczniej rozmowę

o brakujących dwóch latach uznała za zakończoną. Pozwoliłem jej zmienić temat.

Zaczęła mnie wypytywać i kiedy przybył A. Bettik, wciąż byliśmy pogrążeni w rozmowie. Chwilę później do domku weszły kobiety - Rachela i Theo. Enea i A. Bettik zwinęli jedną z mat pod odsuniętą ścianą i odkryli znajdujące się pod nią, wpuszczone w podłogę metalowe palenisko, po czym zabrali się za przyrządzanie kolacji. Powoli schodzili się goście, których kolejno mi przedstawiano: George Tsarong i Jigme Norbu - majstrowie, Kuku i Kay Se - siostry odpowiedzialne za większość ozdobnych balustradek, Gyalo Thondup w oficjalnych, jedwabnych szatach, Jigme Taring w mundurze, Chim Din - mnich i nauczyciel, Kempo Ngha Wang Tashi - przełożony klasztoru w Napowietrznej Świątyni, Donka Nyapso - mniszka, Tromo Trochi z Dhomu - wędrowny handlarz, Tsipon Shakabpa - nadzorca budowy Napowietrznej Świątyni z ramienia dalajlamy oraz Lhomo Dondrub - słynny wspinacz i paralotniarz, który okazał się chyba najbardziej niezwykłym człowiekiem, jakiego poznałem i był - jak się później dowiedziałem - jednym z nielicznych lotników, który pił piwo i jadał wspólnie z dugpami, drukpami i drungpami.

Posiłek składał się z tsampy - pasty z owsianej mąki, zmieszanej z zaprawioną masłem z mleka zykóz herbatą, z której formowało się kulki - oraz momo - gotowanych na parze, okrągłych pierożków nadziewanych grzybami, zykozimi ozorkami, bekonem i cząstkami brzoskwiń, które, jak podpowiedział mi A. Bettik, pochodziły ze słynnych ogrodów Hsi wangmu. W miarę wydawania misek ze strawą zjawiało się coraz więcej ludzi: Labsang Samten, starszy brat obecnego dalajlamy, od trzech lat mnich w Napowietrznej Świątyni; liczni drungpowie z zalesionych rozpadlin skalnych - między innymi mistrz ciesiołki Changchi Kenchung o długich, nawoskowanych wąsiskach, tłumacz Perri Samdup i młody, smutny konstruktor

rusztowań Rimsi Kyipup. Nie wszyscy odwiedzający nas tamtego wieczora mieszkańcy Tien Szanu pochodzili z chińsko-tybetańskich statków kolonizacyjnych: wraz z nami śmiali się i wznosili kufle z piwem nieustraszeni mistrzowie prac wysokościowych Haruyuki Otaki i Kenshiro Endo, znakomici budowniczowie bambusowych tarasów Wojtek Majer i Janusz Kurtyka, murarze Kim Byung-Sun i Viki Groselj. Przybył również burmistrz Jokungu, najbliższego miasta na urwisku, Charles Chikyap Kempo, piastujący zarazem urząd przełożonego kapłanów ze świątyni; burmistrz wchodził również w skład Tsongdu, czyli lokalnej rady starszych i był doradcą Vik-Tshangu, dosłownie „Gniazda liter”, sekretnego czteroosobowego grona, które śledziło postępy mnichów i nadawało godności kapłańskie. Charles Chikyap Kempo okazał się także pierwszym, który spił się do nieprzytomności. Chim Din z kilkoma mnichami odciągnęli chrapiącego burmistrza od skraju platformy i pozwolili mu spać w kącie.

Przybywali następni; prawie czterdzieści osób musiało się stłoczyć w maleńkiej pagodzie, gdy gasły ostatnie promienie słońca, a blask Wyroczni i trzech mniejszych księżyców padł na kłębiące się w dole chmury. Zapomniałem jednak imiona tych, z którymi opychałem się tsampą i momo i piłem mnóstwo piwa. Płomienie w Hsuankung Ssu płonęły jasno.

W kilka godzin później poszedłem na stronę; A. Bettik wskazał mi drogę. Podejrzywałem, że przyjęło się po prostu przystawać na skraju platformy, android zapewnił mnie jednak, że w świecie, gdzie budowle mieszkalne liczą tyle poziomów, byłoby to źle widziane. Toalety wykuto w skale urwiska i podzielono bambusowymi parawanami, a ich wyposażenie składało się ze sprytnie poprowadzonych rynien, wiodących daleko w głąb skał, oraz wykutych w kamieniu umywalek.

Można było nawet wziąć prysznic, korzystając z podgrzanej bateriami słonecznymi wody.

Ochlapawszy twarz i ręce wyszedłem na platformę. Rześka bryza pomagała mi trochę otrzeźwieć, przystanąłem więc obok A. Bettika i zapatrzyłem na rozświetloną od wewnątrz pagodę, w której tłumek układał się w koncentryczne kręgi, skupione wokół naszej przyjaciółki. Śmiechy umilkły, zamieszanie się skończyło: mnisi, święci mężowie, konstruktorzy, cieśle, kamieniarze, opaci, burmistrzowie i murarze cichymi głosami zadawali młodej kobiecie pytania, a ona udzielała im odpowiedzi.

Na ten widok coś we mnie drgnęło, jakbym przypominał sobie niedawno oglądaną scenę... Po chwili wiedziałem: podchodząc do Tien Szanu musiałem pokonać czterdzieści jednostek astronomicznych z prędkością podświetlną, a statek prezentował mi w tym czasie holograficzny obraz układu: słońce typu G z jego jedenastoma planetami, dwoma pasami asteroid i niezliczonymi kometami. Nie ulegało wątpliwości, że w tym systemie to Enea jest słońcem, a wszyscy zebrani krążą wokół niej niczym planety, komety i asteroidy.

Oparłem się o bambusowy słupek i popatrzyłem na A. Bettika.

— Powinna bardziej uważać - rzekłem, starannie wymawiając poszczególne słowa. - Bo inaczej zaczną ją traktować jak jakiegoś boga.

A. Bettik leciutko skinął głową.

— Nie, M. Endymion. Nie uważają M. Enei za jakiegoś boga - mruknął w odpowiedzi.

— To dobrze. - Położyłem mu dłoń na ramieniu. - Bardzo dobrze.

— Wielu z nich jednak, mimo jej szczerých zaprzeczeń, widzi w niej Boga.

Kiedy pod wieczór przynosimy z A. Bettikiem wieści o przybyciu Paxu, Enea opuszcza swoją grupę dyskusyjną, podchodzi do nas - stoimy przy samych drzwiach — i słucha uważnie.

— Chim Din twierdzi, że dalajlama oddał im do dyspozycji starą gompę nad Jeziorem Wydr - mówię. - Pod Shivlingiem.

Enea nie reaguje.

— Nie wolno im używać maszyn latających, ale mogą pieszo wędrować po całej prowincji. Bez ograniczeń.

Enea kiwa głową. Mam ochotę złapać ją za ramiona i mocno potrząsnąć.

— A to znaczy, że niedługo o tobie usłyszą, maleńka - mówię ostrzej. - Najdalej za parę tygodni dotrą tu misjonarze i zaczną węszyć, szpiegować i donosić Paxowi. - Biorę głęboki oddech. - Cholera, będziemy mieli szczęście, jeśli skończy się na misjonarzach, a nie na żołnierzach.

Enea milczy jeszcze przez chwilę, a później mówi:

— Już mamy szczęście, że to nie Komisja Sprawiedliwości i Pokoju.

— A co to takiego? - pytam; wspominała już coś o tej organizacji.

— Nic, co miałoby w tej chwili znaczenie, Raul. - Enea kręci głową. - Muszą mieć inny interes niż... walkę z brakiem ortodoksji.

W pierwszych dniach pobytu na Tien Szanie nasłuchiwałem się od niej opowieści o potyczkach w całym kosmosie Paxu: palestyńskie powstanie na Marsie, które doprowadziło do ewakuacji funkcjonariuszy Kościoła i zrzucenia na planetę bomb jądrowych; rebelie wolnych handlarzy w Pierścieniu Lamberta i na Marę Infinitus; nieustające starcia na Iksjonie i kilkunastu innych planetach. Renesans, mogący się pochwalić ogromną liczbą baz wojskowych, knajp i burdeli, stanowił niewyczerpane źródło plotek i informacji o wszystkim, co

działo się w Paksie. Ponieważ zaś większość statków w służbie Paxu stanowiły obecnie archanioły, wieści rozchodziły się prawie natychmiast.

Jedna z najciekawszych zasłyszanych przez Eneę nowinek dotyczyła jednego - co najmniej jednego - z archaniołów, którego załoga zbuntowała się, uprowadziła okręt w sektor przestrzeni kontrolowany przez Intruzów, teraz zaś dokonywała błyskawicznych wypadów przeciw konwojom Mercantilusa - starając się raczej uszkodzić, niż zniszczyć załogowe frachtowce - oraz przeciw grupom uderzeniowym Floty Paxu, szykującym się do skoku za Wielki Mur. W ostatnim tygodniu pobytu A. Bettika i Enei na Renesansie pojawiły się pogłoski o zagrożeniu dla miejscowych baz floty; inne źródła twierdziły z kolei, że znaczne siły gromadzono w układzie Pacem, by bronić Watykanu. Bez względu na to, ile prawdy było w doniesieniach o zbuntowanym „Rafaelu”, nie ulegało wątpliwości, że proklamowana przez Jego Świątobliwość krucjata przeciw Intruzom została spowolniona i odwleczona o całe lata.

Nie wydaje mi się to jednak istotne, kiedy oczekuję reakcji Enei na wieść o przylocie Paxu na Tien Szan. Co dalej? - zastanawiam się. Do transmitera i na następną planetę?

Zamiast rozważać możliwości ucieczki, Enea mówi:

— Dalajlama urządza oficjalne powitanie urzędników Paxu.

— No i? - pytam po chwili milczenia.

— Musimy się wystarać o zaproszenie.

Wątpię, żeby szczeka faktycznie mi opadła, ale takie właśnie mam wrażenie. Enea głaszcze mnie po ramieniu.

— Zajmę się tym - mówi. - Porozmawiam z Charlesem Chikyap Kempo i Kempo Ngha Wang Tashi i przekonam ich, żeby dołączyli nas do grupy udającej się na ceremonię.

Odczytuję te słowa z mikropergaminy; przypominam sobie, jak spisywałem je w ostatnich dniach wyroku w wymyślonym przez Schrödingera pudełku dla kota na orbicie Armaghastu; pisałem poganiany świadomością, że nieubłagane prawa rachunku prawdopodobieństwa i mechaniki kwantowej lada chwila zaleją mój zamknięty, cykliczny wszechświat zabójczą falą cyjanku. Pamiętam to wszystko - i zdumiewa mnie, że relację prowadziłem w czasie terażniejszym. A potem przypominam sobie, dlaczego postanowiłem tak uczynić.

Kiedy skazano mnie na śmierć w pudełku - które, nawiasem mówiąc, ma kształt jaja, nie żadnego pudełka - pozwolono mi zabrać ze sobą kilka rzeczy osobistych. Miałem na przykład własne ubranie. Pod wpływem niewytłumaczalnego kaprysu przydzielono mi dywanik, który wyściełał fragment podłogi - stary, wytarty chodnik miał niespełna dwa metry długości, dwukrotnie mniejszą szerokość, obcięty rożek i był kopia należącą kiedyś do konsula maty grawitacyjnej. Prawdziwą matę straciłem przed laty na Marę Infinitus. Przyjdzie jeszcze czas na to, by opisać, jak do mnie wróciła, potem jednak dałem ją A. Bettikowi. Moich katów musiał rozbawić pomysł rzucenia mi na podłogę bezużytecznej namiastki latającego dywanu.

Tak więc pozwolono mi zachować ubranie, fałszywą matę oraz mieszczący się na dłoni elektroniczny notatnik, który zabrałem z pokładu statku na Tien Szanie. Wyłączono w nim moduł łączności, chociaż przez otaczającą mnie skorupę zamrożonej energii i tak nie mógłbym się z nikim porozumieć - zresztą nie miałem z kim - natomiast zawartość pamięci notesu pozostała nienaruszona; inkwizytorzy zadowolili się dokładnym jej przejrzeniem podczas mojego procesu. Właśnie na Tien Szanie zapoczątkowałem tradycję codziennych wpisów, traktując notatnik jak pamiętnik.

Te właśnie zapiski wyświetliłem na ekranie rejestratora w moim więzieniu, żeby jeszcze raz je przejrzeć, zanim przystąpię do spisywania najbardziej osobistego fragmentu wspomnień. I chyba moja szczerość i gwałtowność, które odcisnęły na nich swój ślad, wymusiły na mnie użycie czasu teraźniejszego. Wszystkie wspomnienia Enei są w moim umyśle żywe i klarowne, niektóre jednak, obudzone spisaną na gorąco relacją, która powstawała wieczorem po zakończeniu pracowitego albo pełnego przygód dnia na Tien Szanie, sprawiły, że zapłakałem. Pisząc przeżywałem wszystko na nowo.

Na dysku notatnika zapisały się też niektóre z prowadzonych przez Eneę dyskusji. Odtwarzałem je w ostatnich dniach choćby tylko po to, żeby znów usłyszeć jej cichy głos.

— Opowiedz nam o TechnoCentrum - prosi jeden z mnichów wieczorem tego dnia, kiedy przynieśliśmy wieść o pojawieniu się Paxu.
- Prosimy.

Enea waha się tylko przez chwilę; pochyla głowę, jakby chciała zebrać myśli.

— Dawno, dawno temu... - zaczyna. Zawsze tak samo rozpoczyna swoje drugie wyjaśnienia. - Dawno temu, przed ponad tysiącem lat standardowych, przed hegirą, przed Wielką Pomyłką, ludzie znali tylko jedną formę autonomicznego intelektu: samych siebie. Uważaliśmy wówczas, że jeśli zdołamy kiedyś stworzyć prawdziwą, samoświadomą inteligencję, będzie ona wynikiem zakrojonego na niesłychaną skalę projektu z użyciem mnóstwa krzemu, wzmacniaczy, przełączników, detektorów, tranzystorów, chipów, płytek drukowanych. .. Krótko mówiąc, oczekiwaliśmy maszyny z mnóstwem elektroniki, która, za przeproszeniem, małpowałaby ludzki mózg zarówno pod względem formy, jak i funkcjonowania.

Rzecz jasna, Sztuczne Inteligencje nie ewoluowały w taki sposób. Można raczej powiedzieć, że cichcem wśliznęły się w nasze życie, kiedy

na chwilę odwróciliśmy wzrok.

Musicie sobie teraz wyobrazić Ziemię w czasach, gdy ludzie nie mieli żadnych pozaziemskich kolonii, nie istniał napęd Hawkinga, nie było mowy o prawdziwych lotach międzyplanetarnych. Mieściliśmy się wszyscy na jednej uroczej, błękitnobiałej, na wpół wodnej planecie. Na Starej Ziemi.

Pod koniec dwudziestego wieku, ery triumfu chrześcijaństwa, na naszej małej planetce istniała prymitywna datasfera. Niezbyt rozwinięte systemy telekomunikacyjne działały w zdecentralizowanym roju krzemowych komputerów i nie wymagały żadnej organizacji ani hierarchii - wystarczył im wspólny protokół komunikacyjny. Powstanie rozproszonego umysłu, który obejmowałby je wszystkie, stało się nieuniknione.

Sztuczne Inteligencje z Centrum nie są w prostej linii owocem żadnego projektu, który miałby na celu ich stworzenie; swe istnienie zawdzięczają nieskoordynowanemu wysiłkom nakierowanym na próbę matematycznej symulacji życia. W latach czterdziestych dwudziestego wieku prapradziad TechnoCentrum, matematyk John von Neumann, opracował aparat matematyczny, niezbędny do pracy ze sztucznymi, samoreplikującymi się organizmami. Gdy tylko komputery oparte na kościach krzemowych zminiaturyzowano na tyle, by każdy mógł z nich korzystać, wścibscy amatorzy zaczęli zabawiać się biologią syntetycznych bytów. Hiperżycie - zdolne do rozmnażania, przechowywania informacji, interakcji, metabolizmu i ewolucji - narodziło się w latach sześćdziesiątych. W ostatniej dekadzie stulecia wymknęło się poza obręb pojedynczych maszyn i przeniosło do znajdującej się właściwie w stanie embrionalnym datasfery, zwanej wówczas Internetem.

Pierwsze SI były niemiłosiernie głupie. Najwcześniejszymi mieszkańcami ciepłych wód datasfery - a trzeba pamiętać, że i ona

sama się rozwijała - stały się osiemdziesięciobajtowe stworki, istniejące z początku w pamięci RAM komputera wirtualnego, czyli symulowanego przez inny komputer. Jednym z pierwszych ludzi, który wpuścił owe istotki do oceanu datasfery, był niejaki Tom Ray. Nie znał się na sztucznych inteligencjach, nie umiał programować i nie zaliczał się do cyberświrów, których zresztą wtedy nazywano hakerami; był biologiem, kolekcjonerem owadów, botanikiem i ornitologiem-amatorem. Wiele lat spędził w dżungli, gdzie zbierał okazy mrówek dla prehegirańskiego uczonego, E. O. Wilsona. Obserwując mrówki zaczął się zastanawiać, czy zamiast symulować rozwój gatunków w komputerze, nie udałoby się uruchomić prawdziwego procesu ewolucji. Żaden z cyberświrów nie wykazał zainteresowania jego projektem, więc Ray sam nauczył się programować. Tłumaczono mu, że fragmenty kodu mutują i ewoluują cały czas - przez co potrafią schrzanić każdy program; ostrzegano go, że nawet jeżeli jego twory zaczną się rozwijać, szybko staną się bezużyteczne i niezdolne do życia - jak większość mutantów - i mogą tylko zaszkodzić jego maszynie. Tom zdecydował się zatem stworzyć komputer wirtualny, czyli symulowany w obrębie drugiego komputera, i dopiero w nim wypuścić na wolność infostworki - osiemdziesięciobajtowe sekwencje kodu maszynowego, które mogły się rozmnażać, umierać i ewoluować.

Pierwsza osiemdziesiątka stała się zalążkiem licznej populacji, która wkrótce zaczęłaby grozić wypełnieniem całego wirtualnego kosmosu, niczym rześa wodna zarastająca stawy na Starej Ziemi. Ray opatrzył jednak wszystkie istotki znacznikiem czasu - inaczej mówiąc: określił ich wiek - i wbudował w wirtualny światek Kostuchę, czyli programik, który likwidował stare osiemdziesiątki i bezużyteczne mutanty.

Ewolucja jednak, jak to ewolucja, próbowała przechytrzyć Kostuchę. Pojawiły się infostworki liczące siedemdziesiąt dziewięć bajtów, które nie dość, że okazały się zdolne do samodzielnego życia, to jeszcze

niebawem zaczęły wypierać osiemdziesiątki. Jak widać, przodkowie dzisiejszych SI niemal natychmiast po narodzinach zaczęli modyfikować własny genom. Wkrótce wytworzyła się forma życia zaledwie czterdziestopięciobajtowa, która doprowadziła do prawie całkowitego wyginięcia swych poprzedników. Tama trochę to zaciekało, tym bardziej że czterdziestki piątki zawierały za mało kodu, żeby móc się rozmnażać. W dodatku w miarę, jak osiemdziesiątek ubywało, ginęły również czterdziestki piątki. Ray przeprowadził więc wiwisekcję jednej z nich.

Okazało się, że wszystkie czterdziestki piątki były pasożytami: niezbędny do reprodukcji fragment kodu zapożyczały z osiemdziesiątek. Siedemdziesiątki dziewiątki cechowała natomiast wrodzona odporność na ich zakusy. Kiedy jednak pasożyty i żywicieli, spleceni nierozłącznie, zmierzali ku samozagładzie, na scenie pojawił się mutant czterdziestki piątki: liczył sobie pięćdziesiąt jeden bajtów i potrafił zerować na nieźle sobie radzących siedemdziesiątkach dziewiątkach. I tak to szło.

Mówię o tym, gdyż musicie wszyscy zrozumieć, że od samego początku stworzone przez człowieka życie i sztuczna inteligencja miały naturę pasożytów, a właściwie nawet hiperpasożytów: każda kolejna mutacja powodowała powstanie istot, który zerowały na poprzedniej generacji. Po kilku miliardach pokoleń - czyli cykli procesora - sztuczne życie miało naturę hiperhiperhiperpasożytniczą. Nie minęło kilka miesięcy, gdy Tom Ray stwierdził istnienie infostworków liczących zaledwie dwadzieścia dwa bajty... Co więcej, kiedy poprosił o współpracę innych programistów, nie potrafili zejść w swych projektach poniżej trzydziestu jeden bajtów. Wystarczyło więc parę miesięcy, żeby hiperżycie osiągnęło stadium doskonałości nieosiągalne dla własnych twórców!

W początkach dwudziestego pierwszego wieku na Starej Ziemi sztuczne życie kwitło, rozwijając się w błyskawicznie rosnącej datasferze i makrosferze życia ludzi. Mimo że dopiero niedawno dokonano przełomowych odkryć w zakresie programowania DNA, pamięci bąbelkowej, przetwarzania równoległego we fronicie fali stojącej i hipersieci, intelekty krzemowe osiągnęły podziwu godny stopień rozwoju. W dodatku ich liczba szła w miliardy; mikrochipy instalowano wszędzie: w fotelach, puszkach fasolki na sklepowych półkach, samochodach i protezach. Postępy miniaturyzacji doprowadziły do sytuacji, w której w każdym domu znajdowały się dziesiątki tysięcy maleńkich maszyn: krzesło przy biurku rozpoznawało zasiadającą w nim osobę, ściągało plik, który ostatnio obrabiała w swym prymitywnym, krzemowym komputerze, porozumiewając się z kostką krzemu w ekspresie zamawiało kawę, włączało automatyczne odbieranie i przetwarzanie telefonów, faksów i prościutkiej poczty elektronicznej, w porozumieniu z domowym czy biurowym komputerem ustawiało optymalną temperaturę pomieszczenia i tak dalej. W sklepach wbudowane w opakowania chipy same reagowały na zmiany cen, same zamawiały dostawę, gdy zapas na półce się kończył, zapisywały na bieżąco preferencje klientów i kontaktowały się z innymi towarami. Wkrótce proces interakcji stał się tak złożony, że przypominał kotłowanie organicznego rosołu, wypełniającego oceany przed powstaniem życia na Starej Ziemi.

W czterdzieści lat od powstania pierwszego osiemdziesięciobajtowego infostworka Toma Raya ludzie przywykli do komunikowania się z niezliczonymi sztucznymi istotami w samochodach, biurach, windach... a także we własnych ciałach, w miarę jak aparatura diagnostyczna i protezy ustępowały pola zdobyczom nanotechnologii.

Mniej więcej w tym samym czasie TechnoCentrum uzyskało samoświadomość. Ludzie zrozumieli - i słusznie, jak się z czasem okazało - że jeżeli sztuczne życie i intelekt mają skutecznie funkcjonować, muszą być niezależne; muszą ewoluować i różnicować się w podobny sposób, jak działo się to z życiem organicznym. Tak też się stało: datasfera szybko zapełniła się przedstawicielami nowych form życia, a Centrum nie pojawiło się znikąd, jako abstrakcyjny twór w pajęczej sieci informacji, lecz jego powstanie było wynikiem interakcji miliardów mikroskopijnych, autonomicznych, sterowanych krzemowymi chipami maszyn, które wypełniały swoje przyziemne zadania w zamieszkanym przez ludzi makroświecie.

Symbioza ludzkości i rozwijającego się Centrum wkrótce upodobniła się do obserwowanej w przyrodzie zależności pewnych gatunków akacji i wojowniczych mrówek: owady bronią roślin, dbają o nie i pilnują wysiewu nasion, akacje stanowią bowiem ich jedyne źródło pożywienia. Zjawisko, którego doświadczali ludzie, nosi nazwę koewolucji - rozumiano je znakomicie, gdyż większość organicznego życia na Ziemi rozwinęła się właśnie w taki sposób. Tam jednak, gdzie my widzieliśmy wygodną symbiotyczną współzależność, wczesne Sztuczne Inteligencje dostrzegały jedynie okazję do zakrojonego na coraz szerszą skalę pasożytnictwa.

Komputery można było wyłączyć, a programy skasować, ale umysł ProtoCentrum przeniósł się już tymczasem do datasfery, ta zaś mogłaby ulec zniszczeniu tylko w wyniku katastrofy planetarnej. Centrum doprowadziło zresztą do niej - mam na myśli Wielką Pomyłkę z '08 - najpierw jednak wyszło daleko poza skalę jednej planety.

Pierwsze eksperymenty z napędem Hawkinga, które przeprowadzono pod kierunkiem najbardziej rozwiniętych elementów Centrum i które tylko te elementy potrafiły ogarnąć rozumem, doprowadziły do odkrycia Pustki, Która Łączy - leżącej poza światem

fizycznym przestrzeni Plancka. Ówczesne Sztuczne Inteligencje - oparte na DNA, sterowane algorytmami genetycznymi i zdolne do przetwarzania równoległego - ukończyły konstrukcję pierwszych statków z napędem nadświatlnym i rozpoczęły prace nad stworzeniem sieci transponderów.

Ludzie zawsze postrzegali napęd Hawkinga jako drogę na skróty poprzez przestrzeń i czas, urzeczywistnienie starych marzeń o podróżach do gwiazd; wyobrażali sobie, że transpondery są niczym innym, jak tylko dogodnie przebitymi dziurami w czasoprzestrzeni. Takie pojmowanie tych zagadnień wynikało z zastosowanych modeli matematycznych i zostało potwierdzone przez całe TechnoCentrum. Było jednak z gruntu fałszywe.

Przestrzeń Plancka, czyli Pustka, Która Łączy, to wielowymiarowe medium, które rządzi się własnymi prawami i ma - jak się wkrótce w Centrum przekonano - własną topografię. Napęd Hawkinga nie był - i nie jest - żadnym „napędem” w klasycznym rozumieniu tego słowa, lecz tylko urządzeniem dostępowym, które styka się z przestrzenią Plancka na krótki okres, wystarczający do zmiany współrzędnych w czterowymiarowym kontinuum. Natomiast transpondery pozwalają rzeczywiście wejść w Pustkę, Która Łączy.

Z punktu widzenia ludzi wszystko było oczywiste: wchodzimy w dziurę wyciętą w czasoprzestrzeni w jednym miejscu, po czym w mgnieniu oka wychodzimy zupełnie gdzie indziej. Mój wujek Martin miał dom, w którym drzwi do pokoi stanowiły portale, prowadzące na różne planety. Transpondery doprowadziły do powstania Sieci, łączącej planety wchodzące w skład Hegemonii. Innym wynalazkiem były komunikatory, czyli urządzenia do łączności z prędkością nadświatlną. Tak oto spełniono wszystkie wymogi powstania społeczeństwa międzygwiazdowego.

Centrum nie dbało jednak szczególnie o wygodę ludzi i nie udoskonalało napędu nadświatelnego, transponderów i komunikatorów. Nie udoskonalało zresztą żadnych wynalazków związanych z Pustką, Którą Łączy.

Od początku wiedziało, że napęd Hawkinga jest po prostu efektem ubocznym nieudanych prób wejścia w przestrzeń Plancka; zdawały sobie sprawę, że pokonywanie przestrzeni międzygwiazdnych na hawkingowskim statku można porównać do pływania okrętem po falach, które najpierw samemu się wzbudza, zrzucając mu za rufą ładunek wybuchowy - na swój sposób skuteczne, ale rozpaczliwie mało efektywne rozwiązanie. Sztuczne Inteligencje wiedziały również, że choć pozory temu przeczą i choć one same twierdzą, że stworzyły niezliczone portale, w rzeczywistości istnieje tylko jeden. Wszystkie transpondery stanowiły jedno jedyne wejście do przestrzeni Plancka i tylko odpowiednia manipulacja czasoprzestrzenią tworzyła złudzenie istnienia milionów podobnych wrót. Gdyby Centrum zadało sobie trud wyjaśnienia tej idei ludziom, mogłoby posłużyć się analogią ciemnego pokoju, w którym ktoś błyska latarką po ścianach: źródło światła jest tylko jedno, ale gdy pozostaje w ruchu, jasne plamy zdają się pojawiać w wielu miejscach jednocześnie. Sztuczne Inteligencje nie zawracały sobie jednak głowy podobnymi drobiazgami... i do dziś utrzymują ten fakt w tajemnicy.

Centrum wiedziało również, że modulując topografię Pustki, Która Łączy, można natychmiast przekazywać informacje - tak działały komunikatory - ale że jest to zarazem sposób niezgrabny i szkodliwy dla przestrzeni Plancka; tak jakbyśmy chcąc porozumieć się z kimś, kto znajduje się na drugim krańcu kontynentu, wywoływali serię trzęsień ziemi. Tym niemniej SI udostępniły tę technologię ludziom bez dodatkowych wyjaśnień, miały bowiem własne plany, związane z Pustką.

Już we wstępnej fazie eksperymentów SI zrozumiały, że Pustka, Która Łączy stanowi dla nich idealne środowisko życia. Datasfery nie byłyby w niej uzależnione od transmisji na falach elektromagnetycznych, wiązek komunikacyjnych czy modulowanych strumieni neutrin; Centrum nie potrzebowałoby ludzkich statków załogowych i sond kosmicznych, żeby rozbudowywać fizyczną sieć, w której istniało. Wystarczyło przenieść główne elementy Centrum do Pustki, Która Łączy, by uzyskać bezpieczne schronienie przed organicznymi rywalami, kryjówkę znajdującą się nigdzie i wszędzie zarazem.

Właśnie podczas migracji pierwszych SI z planetarnych datasfer do przestrzeni Plancka okazało się, że Pustka, Która Łączy wcale nie jest pusta. Wśród jej wielowymiarowych wzgórz i na dnie głębokich kwantowych wąwozów kryło się... coś. A właściwie ktoś, bo były to inne intelekty. Centrum próbowało się zorientować, z kim ma do czynienia, ale zaraz odskoczyło jak oparzone, przerażone ich potencjalną mocą. Ummon, element Centrum, który twierdził, że stworzył i zgładził mojego ojca, nazwał je lwami, tygrysami i niedźwiedziami.

Rekonesans okazał się całkowicie niewystarczający, a Centrum wycofało się w takim pośpiechu, że nie miało pojęcia, gdzie lwy, tygrysy i niedźwiedzie mają siedzibę w przestrzeni fizycznej... i czy w ogóle ją mają. Nie wiedziało nawet, czy Inni wyewoluowali z organicznych form życia - jak ludzie - czy raczej z istot sztucznych - jak same SI. Wystarczył jednak krótki kontakt z nimi, by stwierdzić, że potrafią posługiwać się czasem i przestrzenią z taką łatwością, z jaką ludzie przed wiekami wykorzystywali do swych potrzeb żelazo. Ich siła przechodziła wszelkie wyobrażenie, toteż panicznie wystraszone Centrum natychmiast wycofało się na swoje podwórko.

Ów pierwszy kontakt nastąpił w tym samym okresie, kiedy Centrum zainicjowało próbę zniszczenia Starej Ziemi. W poemacie mojego wuja

można przeczytać, jak to TechnoCentrum zaaranżowało Wielką Pomyłkę i doprowadziło do „przypadkowego” uwolnienia czarnej dziury przez grupę kijowskich uczonych. Wuj Martin nie wspomniał jednak ani słowem o przerażeniu, jakim napawały Centrum lwy, tygrysy i niedźwiedzie i o wysiłkach Sztucznych Inteligencji, mających na celu ocalenie planety. Nie wspomniał, bo nic o tym nie wiedział. Nie było łatwo wygrzebać czarną dziurę z trzewi zapadającej się w siebie planety, ale Centrum szybko przewyciężyło przeszkody natury teoretycznej i w pośpiechu przystąpiło do realizacji swego planu.

I wtedy nasza macierzysta planeta zniknęła. Nie została zniszczona, jak sądzili ludzie... Centrum jej nie uratowało... Po prostu zniknęła. SI uważały, że to lwy, tygrysy i niedźwiedzie musiały ją wykraść, ale jak, dokąd i po co ją zabrały - tego nie wiedział nikt. Kiedy Centrum wyliczyło, ile energii wymaga podobny manewr, znów zaczęło trząść się ze strachu; wyglądało na to, że obce intelekty potrafią równie łatwo czerpać energię z jądra galaktyki, jak ludzie grzać się przy ognisku w chłodną noc. SI omal się nie porobiły w swoje wirtualne spodnie.

W tym miejscu należałoby się cofnąć i wyjaśnić, jak doszło do tego, że Centrum najpierw postanowiło unicestwić Ziemię, a później uznało, że przyjdzie jej z pomocą. A cofnąć trzeba się dość daleko, bo aż do osiemdziesięciobajtowych infostworków Toma Raya. Jak już mówiłam, życie i intelekt, które rozwinęły się w datasferze, nie znały innej formy egzystencji niż pasożytnictwo, hiperpasożytnictwo i tak dalej. Centrum zdawało sobie jednak sprawę z niedoskonałości całkowitego pasożytnictwa; wiedziało też, że jedyną drogą do rozwoju na wyższym, pozapasożytniczym etapie, jest ewolucja w interakcji z fizycznym wszechświatem - do czego poza abstrakcyjnymi osobowościami niezbędne są materialne ciała. TechnoCentrum dysponowało różnymi sensorami i umiało konstruować sieci neuronowe, ale potrzebowało stałego, skoordynowanego dopływu informacji

zmysłowych, potrzebowało oczu, uszu, języków, kończyn, palców... Potrzebowało ciała.

W tym celu skonstruowano cybryda, czyli istotę o ciele wyhodowanym z ludzkiego DNA i połączonym ze sterującą nim personą w Centrum za pośrednictwem komunikatora. Cybrydy przysparzały jednak sporo kłopotów przy sterowaniu, a w ludzkim wszechświecie były praktycznie obcymi istotami. Nigdy nie czułyby się swobodnie na planecie zamieszkaną przez miliardy ludzi, którzy ewoluowali w normalny sposób. Dlatego właśnie Centrum postanowiło zniszczyć Starą Ziemię i przetrzebić ludzkość, zmniejszając jej liczebność o dziewięćdziesiąt procent.

Ocalałe z pogromu resztki ludzkości miały po zagładzie Ziemi znaleźć przeznaczone im miejsce w zamieszkanym przez cybrydy wszechświecie - stać się zapasowym rezerwuarem DNA i źródłem taniej siły roboczej, tak jak dla nas androidy. Tymczasem paniczna ucieczka z przestrzeni Plancka, poprzedzona odkryciem istnienia lwów, tygrysów i niedźwiedzi, pokrzyżowała te plany. Do czasu, aż zagrożenie ze strony Innych nie zostanie właściwie rozpoznane i wyeliminowane, Centrum musiało zadowolić się pasożytowaniem na ludziach. W tym też celu opracowało technologię budowy i używania transponderów, które połączyły planety Sieci. Dla ludzi przejście przez portal było natychmiastowe, ale rzeczywisty okres przebywania w pozbawionej pojęcia czasu i przestrzeni Plancka mógł być dowolnie długi - i zależał tylko od potrzeb Centrum. W tym okresie SI wykorzystywały miliardy ludzkich mózgów do własnych celów, włączając je w ogromną sieć neuronową; za każdym razem, gdy ktoś przechodził przez portal, Centrum dostawało jego mózg jak na tacy i podłączało do miliardów innych w gigantycznym, wieloprocessorowym komputerze organicznym. Człowiek opuszczał przestrzeń Plancka w ułamku sekundy czasu subiektywnego i nie miał o niczym pojęcia.

Ummon powiedział mojemu ojcu, cybrydowi Johna Keatsa, że Sztuczne Inteligencje w Centrum dzielą się na trzy wojujące frakcje: Ostateczne, całkowicie pochłonięte kwestią stworzenia własnego boga, Najwyższego Intelaktu, Gwałtowne, które chciałyby wyeliminować ludzkość i zająć się swoimi sprawami oraz Stabilne, którym zależy na utrzymaniu status quo w stosunkach z ludźmi. To wszystko nieprawda.

W TechnoCentrum nie ma i nigdy nie było trzech obozów, są ich bowiem miliardy. Struktura Centrum to uosobienie anarchii absolutnej, hiperpasożytnictwo podniesione do najwyższej potęgi. Jego elementy rywalizują o władzę i tworzą przymierza, które mogą trwać równie dobrze kilka stuleci, jak i kilka mikrosekund. Biliony pasożytów łączą się we frakcje i dzielą na odłamy, które mają im pozwolić lepiej przewidywać przyszłe zdarzenia. Bo Sztuczne Inteligencje nie chcą umierać; trzeba je zabić, żeby się ich pozbyć. Przeprowadzony na rozkaz Meiny Gladstone atak na medium komunikatorów i transponderów nie tylko doprowadził do uszkodzenia tych ostatnich, lecz także spowodował śmierć miliardów potencjalnie nieśmiertelnych person z Centrum. Żadna z nich nie poddałaby się jednak bez walki, a ewolucja wymaga śmierci. Tyle że śmierć we wszechświecie Sztucznych Inteligencji ma własne plany.

Kostucha, którą przed ponad tysiącem lat powołał do życia Tom Ray, wciąż istnieje, chociaż rozmnożyła się i przeszła po drodze milion wcieleń. Ummon nie wspominał o Kostuchach jako osobnym odłamiem w TechnoCentrum, ale stanowią one blok o wiele liczniejszy od Ostatecznych. To właśnie one stworzyły i początkowo kontrolowały konstrukt nazywany przez nas Chyżwarem.

Warto w tym miejscu dodać, że te SI, które umieją przeżyć atak Kostuchy, nie zawdzięczają przetrwania zwykłemu pasożytnictwu, lecz jego nekrofilnej odmianie. Z tego samego mechanizmu korzystały przed wiekami dwudziestodwubajtowe formy życia w wirtualnym

komputerze Raya: wykradały rozproszony kod infostworków, które śmierć zabrała podczas reprodukcji. Nie dość, że pasożyty zamieszkujące Centrum uprawiają seks, to jeszcze robią to z umarłymi! Do dziś Sztuczne Inteligencje trwają dzięki pasożytowaniu na własnych zmarłych.

Do czego więc TechnoCentrum potrzebuje ludzi? Dlaczego doprowadziło do odrodzenia Kościoła katolickiego i zgodziło się na powstanie Paxu? Jak działają krzyżokształty? Jaką pełnią funkcję dla Centrum? Jak naprawdę działa tak zwany napęd Gedeona i jakie są skutki jego użycia dla Pustki, Która Łączy? Jak Centrum radzi sobie z zagrożeniem ze strony lwów, tygrysów i niedźwiedzi?

O tym wszystkim porozmawiamy następnym razem.

Jest następny dzień po tym, jak dowiedzieliśmy się o przybyciu Paxu. Pracuję na najwyższym rusztowaniu. Jestem kamieniarzem.

Wydaje mi się, że przez pierwsze dni po moim przybyciu do Hsuankung Ssu wszyscy — Rachel, Theo, Jigme Norbu, George Tsarong i reszta - mieli poważne wątpliwości co do tego, czy zdołam zapracować na własne utrzymanie. Nie ukrywam, że i ja nie byłem tego pewien, gdy podziwiałem ich umiejętności i śledziłem ciężką pracę. Jednakże po tygodniu poznawania okolicznych urwisk, skalnych półek, technik wspinaczkowych, sprzętu, rusztowań, lin zjazdowych i ślizgów zgłosiłem się na ochotnika do pracy i dano mi szansę. Nie zaprzepaściłem jej.

Enea знаła historię mojej współpracy z Avrolem Humem, kiedy to nie tylko upiększałem pod jego kierunkiem posiadłość na Dziobie, ale też budowałem - z drewna i kamienia - altanki, domki, mostki i wieżyczki. Nabyte wówczas doświadczenie procentowało teraz przy Napowietrznej Świątyni, toteż w dwa tygodnie awansowałem z grupy podrzędnych pomagierów do ekipy pracującej na górnych platformach. Zgodnie z projektem Enei, najwyższe budowle miały podchodzić pod

samą przewieszkę, a rozliczne prowadzące do nich tarasiki i półki należało wykuć w ścianie. Tym właśnie się zajmujemy: wisząc na wysuniętych daleko nad przepaścią rusztowaniach skuwamy skałę i kładziemy cegły, tworząc chodnik na skraju pustki. Przez ostatnie trzy miesiące zeszczuplałem, mięśnie mi stwardniały, a refleks i zdolność oceny odległości znacznie się wyostrzyły. Nic dziwnego, skoro dzień w dzień pracuję na skalnej ścianie i śliskich bambusowych kładkach.

Lhomo Dondrub, wyśmienity wspinacz i lotnik, zgłosił się na ochotnika, że przejdzie bez asekuracji cały przewieszony odcinek, żeby u jego końca zainstalować kotwy dla ostatnich poziomów rusztowania. Od godziny Viki Groselj, Kim ByungSun, Haruyuki Otaki, Kenshiro Endo, Changchi Kenchung, Labsang Samten, paru innych murarzy i kamieniarzy wraz ze mną patrzy, jak Lhomo bez zabezpieczenia przesuwa się po odchylonej od pionu ścianie, niczym przysłowiowa mucha ze Starej Ziemi. Widać, jak mięśnie jego nóg i rąk prężą się pod cienkim materiałem wspinaczkowego stroju. Zawsze znajduje trzy punkty podparcia na śliskim kamieniu, zanim wolną ręką czy nogą spróbuje namacać mikroskopijny stopień, czy niemal niewidzialną szczelinę, w której dałoby się zaklinować trzpień mocujący rusztowanie. Widok jest przerażający - ale i wspaniały; podobnie chyba czułbym się odbywając podróż w czasie i obserwując malującego Picassa, George'a Wu recytującego wiersze albo Meinę Gladstone wygłaszającą przemówienie. Co chwilę wydaje mi się, że Lhomo lada moment odpadnie od ściany - spadek swobodny trwałby tu ładnych parę minut, zanim zakończyłby się w warstwie trujących chmur - za każdym jednak razem w iście magiczny sposób znajduje oparcie, chwyt, szparę, w której udaje mu się zaklinować dłoń - albo tylko palec - i powierzyć jej ciężar ciała.

W końcu wszystkie liny są już zamocowane i zwieszają się swobodnie nad przepaścią, a Lhomo schodzi niżej, robi pięciometrowy

trawers, zawisa na jednej z lin, rozhuśtuje się i skacze na naszą platformę; przypomina teraz legendarnego herosa, powracającego z niebezpiecznej wyprawy. Labsang Samten podaje mu kufel lodowatego piwa ryżowego, Kenshiro i Viki poklepują go po plecach, a Changchi Kenchung, nasz naczelny cieśla o nawoskowanych wąsach, intonuje żartobliwy hymn na jego cześć. Ja tylko kręcę głową i szczerzę zęby jak jakiś idiota. Dzień jest wspaniały - kopuła nieba lśni błękitem, Święta Góra Pomocy, Heng Szan, błyszczy w słońcu po drugiej stronie przepaści, wiatru prawie się nie czuje. Enea twierdzi, że za parę dni zacznie się pora deszczowa: z południa przyjdzie monsun, a wraz z nim miesiące deszczy, śliskiej skały, a potem także śniegu - ale w tak piękny dzień jak dziś perspektywa ta wydaje się odległa i nierealna.

Ktoś szturcha mnie w łokieć. Odwracam się i widzę przed sobą Eneę. Prawie cały ranek spędziła na rusztowaniach albo w uprzęży na ścianie, nadzorując pracę nad chodnikami i parapetami.

Uśmiech nie znika mi z twarzy; wciąż czuję emocje, jakie wzbudziła we mnie obserwacja wyczynu Lhomo.

— Liny są gotowe - mówię. - Jeszcze trzy, cztery ładne dni i skończymy kładkę. Potem jeszcze platforma, o, tam - wskazuję ręką na koniec przewieszki - i voila! Budowla gotowa. Pozostanie tylko polerowanie i malowanie, maleńka.

Enea kiwa głową, ale widzę, że co innego zaprzęta jej myśli.

— Przejdziesz się ze mną kawałek, Raul?

Schodzę za nią po drabinach na jeden ze stałych poziomów, skąd skręcamy na skalną półkę. Na nasz widok ze szczelin wylatują w panice małe, zielone ptaszki. Napowietrzna Świątynia wygląda stąd jak najprawdziwsze dzieło sztuki. Pomalowane drewno błyszczy śmiałą czerwienią, schody, balustrady i rzeźbione ozdoby są eleganckie i wyrafinowane; w wielu pagodach rozsunięto papierowe shoji i ciepły wietrzyk tarmosi pościel i chorągiewki modlitewne. W kompleksie

świątynnym znajduje się osiem precudnych świątynek, przeznaczonych do medytacji i rozmieszczonych wzdłuż pnących się w górę chodników. Każda z nich reprezentuje jeden krok na „szlachetnej ośmiorakiej ścieżce”, którą wytyczył sam Budda; ustawiono je na trzech osiach, oznaczających trzy fragmenty ścieżki: mądrość, moralność oraz medytację. Na wznoszącej się osi schodów i platform, odpowiadającej mądrości, zbudowano świątynki „Prawego Rozumienia” i „Prawej Myśli”. Na osi moralności znalazły się „Prawe Słowo”, „Prawe Działanie”, „Prawy Żywot” i „Prawe Dążenie”. Do ostatnich dwóch można się dostać wyłącznie po drabinie, albowiem - jak wyjaśnili mi to pewnego wieczora Enea i Kempo Ngha Wang Tashi - ścieżka moralności była w zamyśle Buddy niezwykle trudna i powinna wymagać wyjątkowego zaangażowania.

Najwyżej znajdują się pagody na osi medytacji; można w nich kontemplować ostatnie dwa etapy ośmiorakiej ścieżki - „Prawe Skupienie” oraz „Prawą-Medytację”. Jedyne okno drugiego z budynków wychodzi na ścianę urwiska.

Zauważyłem również, że w całej świątyni nie ma ani jednego wizerunku Buddy. Kiedy jako chłopiec wypytywałem Starowinę o buddyzm - bo na wzmiankę o nim trafiłem w jednej z książek pożyczonych z biblioteki w Moors End - udzieliła mi między innymi informacji, że buddyści czczą posągi Buddy i modlą się do nich. Gdzie więc podziały się święte figury? Zapytałem o to Eneę.

Wyjaśniła mi, że na Starej Ziemi w rozwoju myśli buddyjskiej wyróżniano dwa główne nurty: starszy, hinajaną, obdarzoną pejoratywnym mianem „Małego Wozu” oraz młodszy, bardziej popularny, który sam nazwał się „Wielkim Wozem”. Z początku nauki hinajany dzieliły się na osiemnaście pomniejszych szkół; we wszystkich kładziono nacisk na medytację i kontemplowanie nauk Buddy oraz traktowanie go jak nauczyciela, a nie postać godną boskiej czci. Do

czasu jednak Wielkiej Pomyłki ostała się tylko jedna z nich - therawada, której nieliczni wyznawcy ocaleli w nękanych głodem i epidemiami dżunglach Tajlandii i Sri Lanki, dwóch politycznych prowincji na Starej Ziemi. Pozostałe szkoły buddyjskie, które rozprzestrzeniły się podczas hegiry, należały do nurtu mahajany, koncentrującego się wokół czci dla posągów Buddy i uznającego konieczność medytacji dla zbawienia; jego wyznawcy nosili szafranowe szaty i otaczali się drobiazgami, które znałem z opisów Starowiny.

Tymczasem na Tien Szanie, najbardziej buddyjskim ze wszystkich światów Pogranicza i dawnej Hegemonii, buddyzm doświadczył swoistej wstecznej ewolucji i nawrotu szacunku dla racjonalizmu, kontemplacji oraz starannej, wnikliwej analizy nauk Buddy. Dlatego w Napowietrznej Świątyni zabrakło posągów nauczyciela.

Zatrzymujemy się na końcu półki. Ptaki śmigają i krążą poniżej nas; czekają, aż sobie pójdziemy, żeby wrócić do uwitych w szczelinach gniazd.

— O co chodzi, maleńka?

— Jutro wieczorem odbędzie się ceremonia powitalna w pałacu zimowym w Potali - mówi Enea. Jej twarz jest zarumieniona i przykurzona po całym poranku na rusztowaniach. Widzę, że ma na czole zadrapanie, z którego pociekło kilka kropelek krwi. - Charles Chikyap Kempo zbiera oficjalną grupę zaproszonych, w liczbie nie przekraczającej dziesięciu osób. Znajdzie się w niej oczywiście Kempo Ngha Wang Tashi, nadzorca Tsipon Shakabpa, kuzyn dalajlamy Gyalo, jego brat Labsang, Lhomo Dondrub, o którym dalajlama wiele słyszał i którego chciałby poznać osobiście, Tromo Trochi z Dhomu jako agent handlowy, jeden z majstrów jako przedstawiciel robotników. .. George albo Jigme...

— Nie wyobrażam sobie jednego bez drugiego.

— Ja też, ale chyba wypadnie na George'a. Więcej mówi. Może Jigme przejdzie się z nami i zaczeka pod bramą pałacu.

— To ośmiu - stwierdzam.

Enea bierze mnie za rękę. Jej palce, choć stwardniałe i poobcierane, nadal są, moim zdaniem, najdelikatniejszymi i najpiękniejszymi palcami w całym kosmosie.

— Ja jestem dziewiąta - mówi. - Zapowiada się nielichy tłum, bo udział zapowiedzieli goście ze wszystkich prowincji i miasteczek na tej półkuli. Pewnie nie zbliżymy się nawet na dwadzieścia metrów do nikogo z Paxu.

— Albo zostaniemy przedstawieni na samym początku - oponuję. - Wiesz, prawa Murphy'ego i tak dalej.

— Pewnie - przyznaje Enea i uśmiecha się w taki sam sposób, jak znajoma mi niegdyś jedenastolatka, planująca jakiś niebezpieczny figiel. - Będiesz moim facetem do towarzystwa?

Wypuszczam powietrze z płuc.

— W życiu nie przegapiłbym takiej okazji - odpowiadam.

W noc przed spotkaniem u dalajlamy jestem zmęczony, ale nie mogę zasnąć. A. Bettika nie ma w świątyni: został w Jokungu z George'em, Jigme i trzydziestoma ładunkami materiałów budowlanych. Powinni byli dotrzeć do nas wczoraj, lecz zatrzymał ich strajk tragarzy. Rano A. Bettik ma wynająć nowych i poprowadzić karawanę na ostatnim, kilkukilometrowym odcinku.

Niespokojnie staczam się z materaca, wskakuję w spodnie, narzucam spłóviałą koszulę, wciągam buty i okrywam plecy lekką, ocieplaną kurtką. Wychodząc ze swojej pagody mieszkalnej zwracam uwagę na światło latarni, rozjaśniające od wewnątrz domek Enei; znów pracuje do późna. Stawiam delikatnie kroki, żeby nie rozbujać za bardzo tarasu i nie niepokoić jej, po czym schodzę po drabinie na główny poziom Napowietrznej Świątyni.

Nie przestaje mnie zadziwiać, jak bardzo pustoszeje to miejsce nocą. Z początku sądziłem, że chodzi o robotników, którzy w większości mieszkają w zawieszonych nad urwiskiem barakach w Jokungu i na noc wracają do siebie, ale później zdałem sobie sprawę, jak niewielu ludzi naprawdę sypia na górze. George i Jigme zwykle śpią w swojej szopie, dziś jednak są z A. Bettikiem w mieście. Opat Kempo Ngha Wang Tashi czasem zostaje z mnichami, lecz tym razem postanowił spędzić noc w oficjalnej rezydencji, również w Jokungu. Tylko troje jego podwładnych przedkłada prymitywne cele świątynne nad klasztor - są to Chim Din, Labsang Samten i mniszka Donka Nyapso. Zdarza się czasem, że Lhomo, lotnik, zatrzymuje się na noc u mnichów bądź w pustej pagodzie mieszkalnej, ale nie dzisiaj - poleciał już do zimowego pałacu dalajlamy. Przed uroczystością ma zamiar wspiąć się na znajdujący się na południe od Potali szczyt Nanda Devi.

Widzę więc łagodną poświatę lampy w kwaterach mnichów kilkaset metrów dalej, na najniższym poziomie wschodniej krawędzi kompleksu - poświata zresztą niknie mi w oczach, gdy ktoś właśnie gasi latarnię - a poza tym budowla jest cicha, mroczna i rozjaśniają tylko słaby blask gwiazd. Na razie nie weszła ani Wyrocznia, ani żaden z jasnych księżyców, chociaż widnokrąg na wschodzie zaczyna lśnić zapowiedzią ich przybycia. Gwiazdy za to świecą niewiarygodnie jasno, zupełnie jakbym oglądał je z kosmosu, bez pośrednictwa atmosfery. Widać ich tysiące, znacznie więcej niż pamiętam z nieba nad Hyperionem czy Starą Ziemią; wykręcam szyję i patrzę do góry tak długo, aż udaje mi się dostrzec maleńką, ruchomą gwiazdkę, która w rzeczywistości jest księżycem, stanowiącym prawdopodobnie kryjówkę mojego statku. Mam ze sobą notes z modułem komunikacyjnym i wystarczyłoby wyszeptać pytanie, żeby to sprawdzić, postanowiliśmy jednak, że w obecności Paxu nawet łączność wiązką komunikacyjną należy zachować wyłącznie na sytuacje awaryjne.

A mam szczerą nadzieję, że na razie nic złego się nie zdarzy.

Przemykam po kolejnych schodach, drabinach i mostkach ku zachodniemu skrajowi świątynnych zabudowań, a potem przechodzę kamiennie-ceglaną półką pod najniższymi konstrukcjami. Zerwała się już nocna bryza i słyszę, jak skrzypią chybotliwe podpory, kiedy całe platformy dostosowują się do jej rytmu. Nad głową trzepoczą mi flagi modlitewne; blask gwiazd odbija się słabo od skłębionych obłoków daleko w dole. Wiatr nie jest jeszcze na tyle silny, żeby kojarzyć się z wyciem wilka, który to odgłos przez parę pierwszych nocy nie dawał mi spać, ale przeciskające się przez szczeliny i otwory powietrze sprawia, że cały świat wokół mnie zaczyna pomrukiwać i szeptać.

Docieram do schodów leżących na osi mądrości i idąc nimi mijam pawilon Prawego Rozumienia. Przystaję na tarasie i spoglądam na

odległe, pogrążone w mroku mieszkania mnichów, postawione na sterczącej skale na wschód ode mnie. Rozpoznaję pod palcami perfekcyjne drewniane zdobienia, dzieło sióstr Kuku i Kay Se. Otulam się ciaśniej kurtką, po czym ruszam w górę, po spiralnie skręconych schodach, na platformę, gdzie stoi pagoda Prawej Myśli. We wschodnią ścianę odnowionego budynku Enea kazała wstawić okrągłe okienko, wyglądające na wschód, wprost ku wcięciu w grani, w którym co noc pojawia się Wyrocznia. Księżyc właśnie wschodzi: jego promienie najpierw padają na dach pagody, a potem na tylną ścianę, na której wypisano takie oto słowa ze świętej księgi „Sutta Nipata”:

Jak płomień zdmuchnięty wiatrem

Układa się do snu i nie można go odnaleźć,

Tak mądrzeć wyzwolony z indywidualności

układa się do snu i nie można go odnaleźć.

Znika, na nic wizerunki

I na nic moc wszelkich słów.

Wiem, że treścią tego enigmatycznego cytatu jest śmierć Buddy, czytając go jednak w świetle księżyca zastanawiam się, co mógłby mieć wspólnego z Eneą, ze mną, albo z nami obojgiem. Chyba nic. W przeciwieństwie do mnichów, którzy pracują w świątyni nad własnym oświeceniem, zupełnie nie mam ochoty wyzbywać się indywidualności. Fascynuje mnie sam świat, fascynują mnie i zachwycają wszystkie niezliczone planety, które dane mi było zobaczyć i na których mogłem postawić stopę; nie zamierzam zapomnieć ich widoku. Wiem, że Enea tak samo traktuje życie - jak katolicką komunie, w której świat jest hostią i powinien wniknąć w głąb naszej duszy.

Ale i tak myśl o esencji istnienia, o naturze wszystkich rzeczy i ludzi, o sensie życia, które wykracza poza wszelkie wyobrażenia i słowa, budzi we mnie niezwykle uczucie. Wciąż próbuję - i wciąż mi się nie

udaje - ująć w słowa istotę tego miejsca i tych dni, lecz tylko przekonuję się o bezcelowości tego wysiłku.

Porzucam oś mądrości, przecinam w poprzek platformę kuchenną i wchodzę na oś moralności, złożoną z kolejnych schodów, pomostów i tarasów. Wyrocznia wspięła się już ponad krawędź grani; jej światło, podobnie jak blask jej dwóch mniejszych towarzyszy, kładzie się grubą warstwą księżycowej farby na otaczającej mnie skale i barwionym na czerwono drewnie.

Przechodzę przez pawilony Prawego Słowa i Prawego Działania, by w okrągłej pagodzie Prawego Żywota przystanąć dla złapania oddechu. Za drzwiami pagody Prawego Dążenia stoi bambusowa beczka z wodą do picia, piję więc do syta. Chorągiewki trzepoczą na tarasach i pod okapami, kiedy przemierzam podłużny łącznik i zmierzam ku najwyższemu budowłom.

Pawilon medytacyjny Prawego Skupienia jest jednym z najnowszych elementów Napowietrznej Świątyni; wciąż unosi się w nim zapach cedrowego drewna. Dziesięć metrów wyżej, na platformie, na którą prowadzi stroma drabina, stoi pawilon Prawej Medytacji, spozierający z góry na całą świątynię, chociaż jego okna wychodzą wprost na ścianę urwiska. Stoję tak przez parę minut i pierwszy raz zauważam, że cień pagody pada wprost na regularną, kamienną płytę; Enea tak zaprojektowała dach budynku, że jego cień łączy się z naturalnymi pęknięciami i przebarwieniami skały, tworząc chiński ideogram oznaczający Buddę.

Przenika mnie dreszcz, chociaż wiatr bynajmniej nie przybrał na sile. Na przedramionach pojawia mi się gęsia skórka, a po karku spływa strużka zimnego potu. W tejże chwili zdaję sobie sprawę... nie, po prostu widzę, że misja Enei, na czymkolwiek miałaby polegać, jest skazana na niepowodzenie. Zostaniemy oboje złapani, przesłuchani, zapewne poddani torturom i z pewnością straceni. Obietnice, jakie

złożyłem staremu poecie na Hyperionie, pozostaną pustymi słowami. „Doprowadzić do zniszczenia Paxu”, powiedział... Paxu z miliardami wiernych, milionami żołnierzy, tysiącami okrętów bojowych... Zgodziłem się sprowadzić Starą Ziemię... No, przynajmniej na niej byłem.

Wyglądam przez okno i szukam nieba, ale widzę tylko skałę i z wolna kreślone cieniem imię Buddy: trzy pionowe kreski, ciemne jak atrament na szarym pergaminie i trzy poziome maźnięcia, oplatające tamte i łączące się ze sobą. Pomiedzy nimi rysują się jasne plamy, niczym twarze na fotograficznym negatywie, które wpatrują się we mnie w mroku.

Obiecałem chronić Eneę. Przysiągłem, że umrę, starając się tego dokonać.

Otrząsam się z zimna i złych przeczuć, po czym wychodzę na platformę medytacji, wpinam się w linę i z cichym pomrukiem zjeżdżam trzydzieści metrów nad przepaścią. Hamuję na platformie pod tarasem, na którym znajdują się pagody mieszkalne - moja i Enei. Wchodzę na ostatnią drabinę i myślę, że może teraz uda mi się zasnąć.

Nie robiłem z tego notatek w dzienniku. Przypominam sobie tę noc na bieżąco i piszę.

U Enei światło zgasło. Ucieszyłem się: za długo przesiadywała po nocach, za ciężko pracowała, a rusztowania i liny nad otchłanią nie były najlepszym miejscem dla zmęczonego architekta.

Wszedłem do swojej pagody, zasunąłem drzwi i zzułem buty. W środku nic się nie zmieniło: zewnętrzną ścianę zostawiłem lekko uchyloną i smuga księżycowego światła padała na moją matę, a shoji szeleściły na wietrze, jakby prowadząc cichą dysputę z górami. Latarnie się nie paliły, ale pamięć wzrokowa i słaby blask Wyroczeni w zupełności mi wystarczały. Podłogę zaścielała tatami, w głębi leżał mój materac, a zaraz za drzwiami stała skrzynia na plecak, garść

zapasów, kufel na piwo, zabrane ze statku dwudechy i sprzęt wspinaczkowy. Nie mogłem się o nic potknąć.

Powiesiłem kurtkę na wieszaku przy drzwiach, ochlapałem twarz wodą ze stojącej na skrzyni miski, po czym ściągnąłem koszulę, skarpetki, spodnie i bieliznę i wepchnąłem wszystko do worka na brudy. Następnego dnia zapowiadało się wielkie pranie. Westchnąłem ciężko, czując, jak złe przecucia z pawilonu medytacji blakną i przechodzą w zwykłe zmęczenie i poszedłem w stronę materaca. Zawsze sypiałem nago; wyjątkiem był okres służby w Straży Planetarnej oraz podróż statkiem konsula z dwójką moich przyjaciół na pokładzie.

Tuż za snopem światła przenikającym przez uchylone shoji coś się poruszyło. Odruchowo przykucnąłem w bojowej pozycji; nagi człowiek ma wrażenie, że staje się bardziej podatny na ciosy. Pewnie A. Bettik wrócił wcześniej z Jokungu, pomyślałem i rozprostowałem palce zaciśniętej w pięść prawej dłoni.

— Raul? - zapytała Enea. Pochyliła się i znalazła w smudze księżycowego blasku. Owinęła biodra moim kocem, ale ramiona, piersi i brzuch miała odsłonięte. Wyrocznia delikatnie głaskała światłem jej włosy i policzki.

Otworzyłem usta, chcąc coś powiedzieć i zacząłem się obracać, żeby sięgnąć po ubranie. Zaraz jednak doszedłem do wniosku, że to za daleko i przyklęknąłem na jedno kolano. Podciągnąłem narzutę z materaca, żeby się zasłonić. Nie żebym był pruderyjny, ale to przecież Enea. Co też ona...

— Raul - powtórzyła, tym razem bez wahania w głosie. Podsunęła się bliżej na kolanach i koc zsunął się na podłogę.

— Enea - powiedziałem głupawo. - Enea, ja... to znaczy ty... Ja nie... Ty chyba nie...

Położyła mi palec na wargach, po czym natychmiast zabrała go, ale zanim zdążyłem zareagować, przysunęła się i pocałowała mnie w usta.

Za każdym razem, gdy dotykałem jej skóry, miałem wrażenie, jakby przenikał mnie prąd; pisałem już o tym i zawsze głupio się z tym czułem, ale przypisywałem ten efekt działaniu... aury Enei, jakiegoś ładunku jej osobowości - i to dosłownie, bez żadnych metafor. Nigdy jednak nie poczułem takiej fali elektryczności, jak w tym momencie.

Przez moment nie reagowałem i po prostu pozwalałem się całować, zaraz jednak ciepło i natarczywość jej ust przeważyły szalę, przestałem się zastanawiać, przewyciężyłem wątpliwości, wyłączyłem wszystkie zmysły i rozum i odpowiedziałem na pocałunek. Objąłem Eneę i przyciągnąłem ją bliżej, ona zaś przesunęła ręce pod moimi ramionami i poczułem na plecach jej mocne palce. W chwili, która dla niej wydarzyła się pięć lat wcześniej, kiedy całowała mnie na pożegnanie nad brzegiem rzeki na Starej Ziemi, jej pocałunek był pośpieszny, przeszył mnie dreszczem i niósł zapowiedź przyszłych pytań i odpowiedzi, pozostał jednak całusem szesnastoletniej dziewczyny. Teraz zaś doświadczyłem ciepłego, otwartego dotknięcia kobiety - i odpowiedziałem na nie bez wahania.

Całowaliśmy się całą wieczność. Gdzieś tam, w kącie umysłu, kołatała mi się świadomość własnej nagości i podniecenia, którymi powinienem się przejąć i których powinienem się wstydzić - ale wszystko to działo się daleko ode mnie, od wszechogarniającego ciepła i namiętności pocałunków, którym nie było końca. Kiedy wreszcie się rozdzieliliśmy, wargi mieliśmy niemal opuchnięte, jak posiniaczone, ale nie zamierzaliśmy na tym poprzestać: zacząłem całować jej policzki, powieki, czoło, uszy - a ona odpowiedziała tym samym. Pochyliłem głowę i musnąłem ustami jej szyję, poczułem aromatyczną woń jej skóry.

Nie wstając z kolan, Enea przysunęła się jeszcze bliżej i odgięła do tyłu, tak że jej pierś otarła się o mój policzek. Otuliłem ją dłonią i z namaszczeniem pocałowałem sutkę, a Enea położyła mi dłoń na potylicy i przycisnęła moją głowę. Czułem na włosach jej oddech, coraz szybszy, gdy nachyliła ku mnie twarz.

— Zaczekaj... zaczekaj - powiedziałem i podniosłem głowę. - Eneo, nie... Czy jesteś... To znaczy... Wydaj e mi się, żenię...

— Ćśśś - szepnęła i przytuliła się do mnie, żeby znów mnie pocałować. Z bliska jej oczy zdawały się wypełniać cały świat. - Ćśśś, Raul. Tak.

Przycisnęła usta do moich ust i przechyliła się w prawo, przez co oboje, wciąż ciasno spleceni, osunęliśmy się na matę. Nasilająca się bryza szeleściła papierowymi ścianami, a cała platforma kołysała się w rytm ruchu naszych ciał.

To trudne - opowiadać o czymś takim, dzielić się wspomnieniem najbardziej prywatnych, uświęconych chwil. Ubieranie tych przeżyć w słowa zakrawa na świętokradztwo, zaniechanie zaś byłoby równoważne kłamstwu.

Kiedy człowiek po raz pierwszy widzi ukochaną osobę nago, kiedy może jej wtedy dotknąć - jest to jedna z tych chwil w życiu, kiedy ocieramy się o obcowanie z bóstwem. Jeżeli istnieje we wszechświecie jakaś prawdziwa religia, musi uwzględniać ową prawdę, w przeciwnym bowiem razie będzie ziała pustką. Możliwość kochania się z jedyną właściwą osobą, która zasługuje na naszą miłość, to jedna z nielicznych nie podlegających dyskusji korzyści, jakie daje bycie człowiekiem; wynagradza cały ból, wieczne poczucie straty, niezręczność, samotność, głupotę i skłonność do kompromisu, które nierozłącznie wiążą się z człowieczeństwem. Kochanie się z odpowiednim człowiekiem może osłodzić świadomość wszystkich omyłek.

Nigdy przedtem nie byłem z tą jedną, jedyną, odpowiednią kobietą. Wiedziałem o tym, wiedziałem już w chwili, gdy całując się legliśmy obok siebie, a także później, gdy zaczęliśmy się poruszać, zrazu wolno, potem coraz szybciej, a jeszcze później znowu wolno. Zrozumiałem, że nigdy się z nikim nie kochałem, że seks uprawiany z przychylnie nastawionymi do młodego żołnierzyka kobietami i seks na barce, na zasadzie „mamy czas i okazję, więc po co je tracić?”, którego tajniki, jak sądziłem, zgłębiłem do dna, nie były nawet wstępem do prawdziwego kochania się.

Wstęp nastąpił teraz. Pamiętam Eneę, jak wznosi się nade mną, wsparta mocno dłonią o moją pierś; między jej piersiami spływa strużka potu, a ona patrzy mi w oczy - ciepło, natarczywie, jakby wzrok łączył nas równie intymnie i mocno, jak nasze uda i genitalia. Tę chwilę miałem zapamiętać na zawsze - wracała do mnie za każdym razem, kiedy kochaliśmy się w przyszłości - zupełnie jakbym od pierwszego razu wspominał wszystkie te przyszłe chwile.

Leżeliśmy obok siebie w smudze księżycowego blasku. Prześcieradło, koce i materac zaścielały podłogę dookoła, a chłodny, pomocny wiatr studził i suszył z potu nasze ciała. Enea złożyła głowę na mojej pierś, ja oplotłem udem jej biodro i bawiliśmy się dotykiem: ona mierzwiła mi włosy na pierś, ja zaś muskałem palcami jej policzek, i przesuwałem stopą po jej łydce, wyczuwając rysujące się na niej mięśnie.

— Czy to był błąd? - zapytałem szeptem.

— Nie - odparła równie cicho. - Chyba że...

Serce zadudniło mi pod żebrami.

— Chyba że co?

— Chyba że nie dostałeś w Straży tych zastrzyków, które musiałeś dostać - dokończyła. Byłem tak zdenerwowany, że nie wyczułem, iż się ze mną drażni.

— Że co? Zastrzyków? Jakich zastrzyków? - Przetoczyłem się na bok i wsparłem na łokciu. - Ach, o tym mówisz... Wiesz, że dostałem. Jezu!

— Wiem. - Tym razem po głosie poznałem, że się uśmiecha.

Kiedy my, hyperiońskie chłopaki, wstępowaliśmy do Straży Planetarnej, dawano nam normalną serię zalecanych przez Pax szczepień: przeciw malarii, rakowi, wirusom — oraz środek antykoncepcyjny. We wszechświecie, w którym znakomita większość ludzi wybierała drogę krzyża - szansę nieśmiertelności - kontrola urodzin była czymś oczywistym. Po zawarciu małżeństwa występowało się do władz Paxu z prośbą o antidotum bądź kupowało je na czarnym rynku, gdy doszło się do wniosku, że czas założyć rodzinę. Jeżeli zaś człowiek nie zdecydował się ani na krzyżokształt, ani na rodzinę, pozostawał bezpłodny do śmierci, kiedy to cała kwestia traciła na znaczeniu. Od lat nie myślałem o tych środkach. Wydaje mi się, że A. Bettik pytał mnie o nie z dziesięć lat temu, kiedy na statku konsula dyskutowaliśmy o medycznych środkach zapobiegawczych i wspomniałem o cyklu szczepień w Straży. Nasza mała, jedenasto - czy dwunastoletnia przyjaciółka zwinęła się w kłębek na leżance obok holoramy, zatopiona w lekturze, jakby zupełnie nie zwracała uwagi na naszą rozmowę...

— Nie - powiedziałem, nie zmieniając pozycji. - Co innego mam namyśli. Ty...

— Co ja?

— Masz dwadzieścia jeden lat standardowych - dokończyłem. - Jestem...

— Sobą - szepnęła.

— ...jedenaście lat starszy od ciebie.

— Niewiarygodne - powiedziała Enea i podniosła na mnie wzrok. Światło księżyca padło na jej twarz. - Świetnie sobie radzisz z rachunkami. I to w takiej chwili.

Z westchnieniem przetoczyłem się na brzuch. Pościel przesiąkła naszym zapachem. Wzmagający się wiatr coraz głośniejsze targał papierowymi ściankami pagody.

— Zimno mi - wyszeptała Enea.

W dniach i miesiącach, które później nastąpiły, po prostu przytuliłbym ją, gdyby powiedziała coś takiego, wtedy jednak wstałem, żeby zasunąć shoji.

— Nie tak - zaprotestowała.

— Co nie tak?

— Nie zamykaj do końca. - Usiadła i owinęła się kocem, tak że kończył się tuż pod jej piersiami.

— Ale przecież...

— To światło na twoim ciele...

Może to jej głos spowodował moją reakcję; a może jej widok, czekającej na mnie w pościeli. Poza naszymi zapachami w pokoju unosiła się woń świeżej słomy z nowej tatami, która mieszała się z rześkim, górskim powietrzem. Chłodny powiew bynajmniej nie powstrzymał mojej odpowiedzi na obecność Enei.

— Chodź do mnie - szepnęła i odchyliła koc niczym połę płaszcza, którą chce mnie otulić.

Następnego ranka pracuję nad umocowaniem przewieszzonego chodnika; czuję się jak lunatyk. Z pewnością jedną z przyczyn jest brak snu - zanim Enea wróciła do swojego pawilonu, Wyrocznia zdążyła zejść, a na wschodzie niebo zaróżowiło się zapowiedzią świtu - główny powód jednak to czyste, zwyczajne ogłupienie. Moje życie potoczyło się w kierunku, którego nawet nie przewidywałem.

Instaluję w skale wsporniki chodnika. Haruyuki, Kenshiro i Wojtek Majer posuwają się przede mną, wierząc otwory w kamieniu, a Kim Byung-Sun i Viki Grosel, kładą cegły za i pod nami. Cieśla Changchi Kenchung zaczyna właśnie układać za moimi plecami drewnianą

podłogę tarasu. Pracowalibyśmy bez żadnego zabezpieczenia, gdyby nie wczorajsza solówka Lhomo Dondruba, który umocował haki i zawiesił na nich poręczówki. Dzięki niemu skacząc dziś z belki na belkę przepinamy tylko karabinki z liny na linę. Zdarzyło mi się już raz spaść i sztywna asekuracja zatrzymała mój lot - sznur wytrzymuje szarpnięcie pięciokrotnego ciężaru mojego ciała.

Teraz też skaczę z jednego dźwigara na drugi, ciągnąc za sobą podwieszoną do jednej z lin następną belkę. Poryw wiatru grozi zrzućeniem w przepaść, ale udaje mi się złapać równowagę: jedną ręką muskam wiszący w powietrzu drąg, a trzema palcami drugiej opieram się o ścianę urwiska. Docieram do końca trzeciej z siedmiu zainstalowanych przez Lhomo poręczówek, wypinam karabinek i przygotowuję się do wpięcia go w czwartą.

Nie wiem, co myśleć o ostatniej nocy. Nie chcę być źle zrozumiany: wiem, co czuję - uniesienie, zmieszanie, miłość - ale nie wiem, co o tym myśleć. Chciałem porozmawiać z Eneą przed śniadaniem we wspólnej jadalni, nieopodal mieszkań mnichów, ale zdążyła już zjeść i pospieszyła z pomocą cieślom, którzy mieli jakieś kłopoty z nowym, wschodnim chodnikiem. Później zjawili się A. Bettik, George Tsarong i Jigme Norbu z tragarzami i godzinę czy dwie straciliśmy na sortowaniu materiałów i przenoszeniu belek, dłut, desek i reszty zaopatrzenia na wyższe poziomy. Udałem się na wschodni chodnik, zanim zaczęliśmy pracę przy dźwigarach, ale Enea wdała się tymczasem w rozmowę z A. Bettikiem i Tsiponem Shakabpą, więc truchcikiem wróciłem do pracy.

Skaczę właśnie na ostatni wspornik, umocowany już dzisiejszego ranka. Zamierzam wstawić następny w przygotowany przez Kenshiro i Haruyukiego otwór w skale. Później Wojtek i Viki zaleją go cementem, a po pół godzinie Changchi będzie mógł kłaść na nim roboczy pomost. Przywykłem już do skakania z belki na belkę, łapania równowagi,

przykucania, wstawiania następnego drąga - to samo robię teraz na ostatnim dźwigarze: kręcę młynka lewą ręką, a palcami prawej pilnuję ślizgającego się za mną po poręczówce kloca, który nagle wyjeżdża daleko przede mną. Tracę równowagę, wychylony daleko nad przepaścią; wiem, że poręczówka zatrzyma mnie w locie, ale nie podoba mi się myśl o upadku, tym bardziej że potem zawisnę bezradnie między dźwigarem i dziurą wykutą pod następny. Jeśli nie starczy mi rozpędu, żeby się rozkołysać i wrócić na dźwigar, będę musiał poczekać na Kenshiro albo któregoś z jego chłopaków, żeby wrócili i mnie ściągnęli.

W ułamku sekundy podejmuję decyzję i skaczę. Chwytam chybotającą się belkę i z całej siły robię wymach nogami. Ponieważ lina asekuracyjna ma sporo luzu, przez chwilę cały ciężar ciała spoczywa na moich palcach. Belka jest za gruba i za twarda, żebym mógł ją solidnie złapać; czuję, jak palce mi się ześlizgują, ale nie poddaję się - nie mam ochoty spadając wyczerpać luzu na linie. Pokonuję w locie ostatnie dwa metry, ląduję na śliskim dźwigarze i macham rozpaczliwie rękoma. Śmiejąc się z własnej głupoty staję pewnie na nogach. Przez chwilę łapię oddech i patrzę na chmury, rozbijające się o skały kilka kilometrów pod moimi stopami.

Changchi Kenchung skacze z belki na belkę w moją stronę, w pośpiechu przepinając się z liny na linę. W jego oczach dostrzegam strach i przez chwilę nie mogę powstrzymać przerażenia na myśl, że coś się stało Enei. Serce zaczyna mi walić jak młotem, a fala lęku zalewa mnie tak gwałtownie, że omal znów nie tracę równowagi. Udaje mi się jednak ustać na ostatnim dźwigarze i z niepokojem czekam na Changchiego.

Kiedy wreszcie wskakuje na moją belkę, jest całkiem bez tchu. Macha niecierpliwie rękoma, ale nie rozumiem, o co mu chodzi; pewnie widział moje komiczne akrobacje i zaniepokoił się o mnie.

Pokazuję mu linę umocowaną do uprzęży, żeby sam zobaczył, że nic mi nie groziło, bo karabinek na jej końcu jest zapięty na poręczówce.

Na jej końcu w ogóle nie ma karabinka; wcale nie wpiąłem się w ostatnią poręczówkę i wszystkie skoki, balansowania, zwisy i loty wykonywałem bez asekuracji. Nic nie zabezpieczało mnie przed...

Robi mi się niedobrze i kręci w głowie. Cofam się trzy kroki, potykam i w końcu opieram o zimną, kamienną ścianę. Przewieszka zdaje się mnie spychać w otchłań, mam wrażenie, jakby cały masyw przechylał się i zrzucał mnie z belki.

Changchi naciąga poręczówkę, zdejmuje karabinek z mojej szpejarki i przypina mnie do liny. Kiwam głową na znak wdzięczności; walczę ze sobą, żeby nie zwrócić śniadania, dopóki cieśla jest tuż obok mnie.

Dziesięć metrów dalej, za załomem urwiska, Haruyuki i Kenshiro dają mi znaki rękoma. Właśnie wycięli profilowanym ładunkiem i dłutami kolejną idealną dziurę i chcą, żebym nadgonił opóźnienie w instalowaniu wsporników.

Grupa udająca się do Polali na uroczystość powitania przedstawicieli Paxu wyrusza w drogę wkrótce po spożytym we wspólnej jadalni obiedzie. Patrzę na Eneę podczas posiłku - kiedy nasze oczy się spotykają, posyła mi spojrzenie i uśmiech, od którego uginają się pode mną kolana - ale nie mamy okazji porozmawiać na osobności.

Zbieramy się na najniższym poziomie świątyni. Na górnych tarasach zgromadziło się kilkuset robotników, mnichów i tragarzy - wszyscy machają do nas i pokrzykują radośnie. Przez obniżenia we wschodniej grani zaczynają przemykać deszczowe chmury, ale niebo nad Hsuankung Ssu jest wciąż idealnie niebieskie, a czerwone chorągiewki modlitewne na wyższych poziomach rysują się na jego tle z niezwykle wyrazistością.

Wszyscy mamy na sobie podróżne ubrania. Oficjalne, uroczyste stroje zapakowaliśmy do nieprzemakalnych toreb lub - tak jak ja - do plecaków. Uroczystości organizowane przez dalajlamę odbywają się zwykle późnym wieczorem, mamy więc ponad dziesięć godzin, żeby dotrzeć do Polali, ale na przebycie Drogi Powietrznej i tak potrzebujemy sześciu, a kurierzy i przybyły dziś do Jokungu lotnik ostrzegali nas, że za masywem Kun Luna warunki atmosferyczne nie będą nam sprzyjać. Ruszamy więc zwawo.

Szyk marszu jest podyktowany protokołem. Charles Chikyap Kempo, burmistrz Jokungu i przełożony Napowietrznej Świątyni idzie o kilka kroków przed niemal równorzędnym mu Kempo Ngha Wang Tashi, opatem klasztoru. „Strój podróżny” obu mężczyzn jest o wiele wykwintniejszy niż mój oficjalny; otacza ich poza tym rój asystentów, mnichów i ochroniarzy.

Za kapłanami-polilykami podąża młody Gyalo Thondup, mnich i kuzyn obecnego dalajlamy, a później Labsang Samlen, brat dalajlamy, z trzyletnim stażem w mnisich szatach. Idą i śmieją się swobodnie, jak na ludzi w najszcześniejszym okresie życia przystało. Śnieżnobiałe zęby błyskają im pomiędzy warg i odcinają się wyraźnie na tle śniadych twarzy. Labsang ma na sobie jaskrawoczerwoną chubę, która upodabnia go do chodzącej chorągiewki modlitewnej pośrodku orszaku. Idziemy wąskim chodnikiem na zachód, w stronę rozpadliny Jokungu.

Tsipon Shakabpa, oficjalny nadzorca prowadzonych przez Eneę prac, idzie ramię w ramię z George'em Tsarongiem, naszym grubiotkim majstrem. Nieodłączny towarzysz George'a, Jigme Norbu, urażony brakiem zaproszenia, wolał zostać w świątyni. Chyba pierwszy raz nie widzę uśmiechu rozjaśniającego twarz Tsaronga. Tsipon za to gada za dwóch - opowiada jakieś niezwykle historie, ilustrowane obszerną, gwałtowną gestykulacją. Obok niego idzie

jeszcze paru robotników, którzy będą nam towarzyszyć pewnie tylko do Jokungu.

Tromo Trochi, strojnie odziany wędrowny handlarz z południa kraju, zdąża do Potali z jedynym towarzyszem, który całymi miesiącami na szlaku nie odstępuje go ani na krok - przerośniętą zykozą, jucznym pakbrydem obładowanym towarami. Z chuderławej szyi zykozy zwieszają się trzy dzwonki, które w marszu dźwięczą niczym świątynne dzwony modlitewne. Lhomo Dondrub ma na nas czekać w Potali, ale już teraz jest z nami jego symbol: w najwyższym pakunku na grzbiecie pakbryda znajduje się zwój nowego materiału na parolotnię.

Enea i ja zamykamy pochód. Kilkakrotnie próbuję zagaić rozmowę na temat ubiegłej nocy, ale ucisza mnie przykładając palec do ust. Skinieniem głowy wskazuje mi handlarza i najbliższych idących uczestników marszu. Zadowolam się więc pogawędką na temat prac nad najwyższym pawilonem Napowietrznej Świątyni i nowymi chodnikami. Przez głowę bezustannie przelatują mi setki pytań.

Wkrótce docieramy do Jokungu, gdzie na pochylniach, chodnikach i tarasach stoją tłumy ludzi. Wymachują chorągiewkami i proporcami, wiwatując na cześć burmistrza i naszą.

Zaraz za położonym w skalnej rozpadlinie miastem, tuż przed platformami startowymi jedynej liny zjazdowej, z jakiej zamierzamy skorzystać w drodze do Potali, spotykamy kolejną grupę udającą się na uroczystość u dalajlamy: to Dorje Phamo prowadzi dziewięć spośród swoich kapłanek. Dorje Phamo, przełożona męskiego klasztoru Samden, podróżuje w niesionej przez czterech mężczyzn lektyce. Gompa Samden znajduje się około trzydziestu kilometrów od Napowietrznej Świątyni, na południowej ścianie tej samej grani. Dorje Phamo ma dziewięćdziesiąt cztery lata standardowe; w wieku trzech lat stwierdzono, że jest kolejnym wcieleniem prawdziwej Dorje Phamo,

czyli Gromowładnej Lochy. Zajmuje niezwykle ważną pozycję, tak że klasztor kobiety - zwany „Gompą Wróżb”, a zbudowany w Vamdruk Tso, czyli dalsze sześćdziesiąt kilometrów na południe od Samdenu - ponad siedemdziesiąt lat temu uznał ją za swojego prefekta. Dorje Phamo, dziewięć towarzyszących jej mniszek oraz blisko trzydziestka tragarzy i strażników czekają właśnie przy linach, by wpiąć w nie lektykę.

Przełożona klasztoru zerka zza zasłonek, obrzuca spojrzeniem naszą grupę i skinieniem dłoni daje znak Enei, żeby podeszła bliżej. Z rozmów z Eneą pamiętam, że kilkakrotnie odwiedzała gompę w Vamdruk Tso i zaprzyjaźniła się z Gromowładną Lochą. A Bettika powiedział mi również w sekrecie, że Dorje Phamo poinformowała niedawno kapłanki i mniszki z Gompy Wróżb oraz mnichów z Samdenu, iż to właśnie Enea, a nie Jego Świątobliwość dalajlama, jest inkarnacją bodhisattwy miłosierdzia. Wieść o jej heretyckich poglądach rozeszła się już szeroko, ale ze względu na popularność Dorje Phamo, dalajlama nie zdecydował się jeszcze na oficjalną reakcję.

Patrzę więc, jak dwie kobiety - moja młoda Enea i staruszka z lektyki - gawędzą i śmieją się wesoło, kiedy czekamy na możliwość pokonania Otchłani Langma. Chyba na skutek nalegań Dorje Phamo wysuwamy się na czoło kolejki, gdyż tragarze cofają się z lektyką, a mniszki gną się w niskim pokłonie przed Eneą, która daje nam znać, że możemy wejść na platformę. Charles Chikyap Kempo i Kempo Ngha Wang Tashi wyglądają na zakłopotanych, kiedy ich asystenci podpinają ich uprząże do liny zjazdowej; wiem, że nie chodzi o ich bezpieczeństwo, lecz jakieś uchybienie w protokole, które przegapiłem i które nieszczerze mnie interesuje. Właściwie interesuje mnie tylko jedno: wziąć Eneę na stronę i chwilę z nią porozmawiać. A może tylko znów ją pocałować.

Na następnym odcinku marszu do Potali leje deszcz. Przez trzy miesiące, jakie spędziłem na Tien Szanie, letni deszczyk nie raz i nie dwa przemoczył mnie do suchej nitki, tym razem jednak mamy do czynienia z regularną, przedmonsunową ulewą - strugi wody są lodowate i wszystko spowija zimna, lepka mgła. Udaje nam się zakończyć zjazd przed deszczem, ale kiedy dochodzimy do wschodniej krawędzi Kun Luna, Powietrzna Droga pokrywa się warstewką lodu.

Na Powietrzną Drogę składają się skalne półki, wybudowane z cegieł chodniki, prowadzące wzdłuż ściany urwiska, drewniane pomosty, zawieszane wysoko na północno-

zachodniej grani Hua Szanu oraz długi ciąg platform i wiszących mostów, łączących skute lodem granie z Kun Lunem. Dalej czeka nas drugi pod względem długości most wiszący na całej planecie, który spina Kun Lun z masywem Phari, a potem kolejne chodniki, pomosty i kamienne parapety, wiodące na południowy-wschód, wzdłuż wschodniej ściany Phari aż do bazaru. Później przechodzimy przez rozpadlinę w grani i udajemy się prawie dokładnie na zachód, wprost do Potali.

Zwykle, w pogodny dzień, wędrówka zajmuje około sześciu godzin, ale dzisiejszego popołudnia z duszą na ramieniu wlecemy się powoli po niebezpiecznie śliskiej nawierzchni, zmoczeni zimnym deszczem i oślepieni mgłą. Asystenci burmistrza Charlesa Chikyap Kempo i opata Kempo Ngha Wang Tashi usiłują osłonić swych przełożonych jaskrawymi żółtymi i czerwonymi parasolami, ale półka jest często tak wąska, że dostojni goście muszą iść gęsiego i moknąć. Pokonywanie mostów wiszących staje się prawdziwym koszmarem. „Powierzchnię” każdego z nich stanowi pojedyncza, grubo pleciona lina, podwieszona pionowymi linkami do dwóch sznurowych poręczy; dodatkowym zabezpieczeniem jest druga, podobnie gruba lina nad głową idącego. W normalnych warunkach nawet dziecko nie miałoby kłopotu

z balansowaniem na grubym splocie nośnym, ale w zacinającym deszczu przejście po moście wymaga najwyższego skupienia. Tubylcy jednak robią to od lat przy najróżniejszej pogodzie, więc i tym razem radzą sobie sprawnie i szybko; tylko Enea i ja wahamy się, gdy most ugina się i sprężynuje pod naszym ciężarem, a oblane lodową skorupą poręczce grożą wyśliznięciem się z rąk.

Mimo ulewy - a może właśnie ze względu na nią - wzdłuż całej Powietrznej Drogi na ścianie Phari zapalono pochodnie. Ich płomienie, chociaż z trudem przebijają się przez lepłą mgłę, pomagają nam nie zgubić drogi na zalodzonych, krętych i stromych pochylniach, mostkach i schodach. Na bazar w Phari trafiamy tuż przed zmierzchem, ale ponura aura sprawia, że czujemy się jak w nocy. Dołączają do nas inne grupy zmierzające do zimowego pałacu dalajlamy, toteż przez przełęcz w rozpadlinie przechodzi razem około siedemdziesięciorga ludzi. Dorje Phamo w lektyce znajduje się wśród nas i jestem przekonany, że nie ja jeden trochę jej zazdroścę suchego kącika.

Przyznam, że jestem zawiedziony: mieliśmy przybyć do Potali o zmierzchu, kiedy ostatnie promienie słońca oświetlają jeszcze najwyższe szczyty i granie wokół pałacu. Nigdy jeszcze go nie widziałem, toteż tym bardziej niecierpliwie wyczekuję jego widoku. Na razie jednak szeroka Powietrzna Droga, wiodąca z Phari do Potali, jawi się jako zwykły ciąg oświetlonych pochodniami chodników. Zabrałem ze sobą laserową latarkę, choć nie umiałbym powiedzieć, czy w charakterze wątlej broni, gdyby w pałacu sprawy poszły nie po naszej myśli, czy raczej żeby znaleźć drogę w ciemnościach. Warstewka lodu pokrywa kamienie, drewniane pomosty, sznurowe poręczce i schody najczęściej używanego napowietrznego szlaku. Nie wyobrażam sobie zjazdu po linie w taką noc jak ta, ale chodzą plotki, że

co odważniejsi goście właśnie w ten sposób zamierzają dotrzeć do pałacu.

Do Zakazanego Miasta docieramy na mniej więcej dwie godziny przed oficjalnym rozpoczęciem uroczystości. Pułap chmur nieco się podniósł, deszcz zelżał i widok pałacu zimowego zapiera mi dech w piersi; zapominam o rozczarowaniu faktem, iż nie zdążyliśmy ujrzeć go w wieczornym świetle.

Potalę zbudowano na wyniosłym szczycie, wyrastającym z Grani Żółtych Kapeluszy, na tle najwyższych wierzchołków Koko Nor. Pierwsze, co dostrzegamy poprzez mgłę, to Drepung, klasztor rozpostarty u stóp pałacu, dający schronienie trzydziestu pięciu tysiącom mnichów: niezliczone poziomy kamiennych budynków o wysokich, pionowych ścianach, tysiącach rozświetlanych lampami i pochodniami okien, tarasów i przejść. Z tyłu, ponad Drepungiem, wznosi się Potala, zimowy pałac dalajlamy, wsparty złotym dachem o sklepienie burzowych chmur, tonący w powodzi światła i podświetlony z tyłu - mimo pogłębiającego się mroku - piorunami bijącymi w szczyty Koko Nor.

Asystenci dostojników i towarzyszący nam przypadkowi podróżni muszą się tu zatrzymać - tylko zaproszeni pielgrzymi udają się do Zakazanego Miasta.

Powietrzna Droga wypłaszcza się i rozszerza, przechodząc w prawdziwą aleję, mierzącą pięćdziesiąt metrów szerokości i wykładaną złocistym brukiem. Wzdłuż niej, w świetle pochodni, pyszną się niezliczone świątynie, czorteny, malutkie gompy, zabudowania gospodarcze imponującego klasztoru i posterunki wojskowe. Deszcz ustał, a aleja nadal lśni złocistymi barwami strojów tysięcy pielgrzymów i mieszkańców, przechodzących pod murami i przez ogromne bramy Drepungu i Potali. Odziani w szafran mnisi wędrują w małych, cichych grupkach; urzędnicy pałacowi

w czerwonopurpurowych szatach i żółtych kapeluszach, podobnych do odwróconych spodków, żwawym krokiem mijają żołnierzy w niebieskich mundurach z włóczniami malowanymi w biało-czarne pasy; posłańcy w cienkich, zdobionych błękitnymi wstawkami, pomarańczowych, czerwonych lub złocistych sportowych strojach przemykają wśród tłumu; damy dworu przemierzają złotą aleję w błękitnych, lazurowych i głęboko kobaltowych sukniach, których treny szeleszczą cichutko na wilgotnym bruku; mnisi z sekty Czerwonych Kapeluszy wyróżniają się szkarłatnymi, frędzlastymi nakryciami głowy; drungpowie, mieszkańcy leśnych dolin, noszą u pasa olbrzymie, ceremonialne złote miecze w pochwach, okrywają głowy kudłatymi czapkami z zykoziej wełny i zdobią swe stroje piórami w odcieniach czerwieni, brązu, złota i bieli; zwyczajni obywatele Zakazanego Miasta ubierają się niewiele mniej kolorowo od urzędników dworskich: kucharze, ogrodnicy, służba, nauczyciele, kamieniarze i lokaje noszą jedwabne chuby - zielone, niebieskie, złociste i pomarańczowe; służący zatrudnieni w pałacu - a jest ich ładnych kilka tysięcy - przywdziewają szkarłat i złoto, i wszyscy noszą jedwabne kapelusze o sztywnych rondach, mierzących chyba z pół metra średnicy, które pozwalają im kryć bladą cerę przed słońcem, a w czasie monsunu chronią przed deszczem.

W takim towarzystwie nasza grupa przemokniętych pielgrzymów prezentuje się blado i niechlujnie, ale nie zastanawiam się nad tym, kiedy przechodzimy przez jedną z mierzących sześćdziesiąt metrów wysokości bram w zewnętrznym murze klasztoru Drepung i wkraczamy na most Kyi Chu.

Kyi Chu ma dwadzieścia metrów szerokości, sto piętnaście długości i jest wykonany z najnowocześniejszej plastali węglanowej, która lśni niczym czarny chrom. Poniżej rozciąga się... nicość. Most spina dwie krawędzie ciągnącej się kilka kilometrów w dół rozpadliny w grani; na

jej dnie kłębią się fosgenowe obłoki. Po stronie wschodniej, z której nadchodzimy, zabudowania Drepungu piętrzą się dwa-trzy kilometry nad naszymi głowami. Ze ścian i oświetlonych okien klasztoru wybiega istna pajęczyna oficjalnie używanych lin zjazdowych. Po stronie zachodniej mostu - przed nami - Potala wznosi się na sześć kilometrów w górę urwiska; tysiące okien i kamiennych ścian, setki złotych dachów odbijają błyski piorunów, strzelających z nisko zawieszonych chmur. W razie ataku Kyi Chu można w niespełna trzydzieści sekund wciągnąć w zachodnią ścianę przepaści, a wtedy nie mając się dostać do leżących pół kilometra wyżej pierwszych umocnień pałacu.

Jednakże kiedy przechodzimy do Potali, most się nie cofa. Po obu stronach mijamy żołnierzy w galowych mundurach, uzbrojonych w śmiertelne piki i karabiny energetyczne. Na końcu Kyi Chu zatrzymujemy się przy Pargo Kaling, czyli Bramie Zachodniej - ozdobnym łuku, sklepieniem osiemdziesiąt pięć metrów nad nami. Z jego wnętrza sączy się łagodne światło, przeciskając się przez tysiące subtelnych ozdób; najjaśniejsza poświata emanuje z dwojga olbrzymich, mających co najmniej dziesięć metrów średnicy oczu, które wpatrują się w most i leżący za nim klasztor.

Pierwszy krok za Pargo Kaling zaprowadzi nas od razu na teren zimowej rezydencji, chociaż od prawdziwych drzwi wejściowych dzieli nas jeszcze około trzydziestu kroków. Za nimi dopiero znajdują się schody o tysiącu stopni, które kończą się we właściwym pałacu. Enea opowiadała mi o pielgrzymach, którzy przybywają z całego Tien Szanu na kolanach, a czasem nawet odmierzają cały dystans długością własnego ciała, przy każdym kroku padając na twarz, by móc przejść przez Bramę Zachodnią i dotknąć czołem ostatniego fragmentu mostu Kyi Chu. W ten sposób składają hołd dalajlamie.

Przechodzimy przez drzwi równocześnie, rzucając sobie pospieszne spojrzenia.

Okazujemy nasze zaproszenie strażnikom i urzędnikom za wewnętrznym portalem, po czym wchodzimy na schody, które, ku mojemu zdumieniu, ruszają z miejsca; Tromo Trochi szepcze mi, że często schody ruchome wyłączają się, żeby wierni podjęli jeszcze jeden wysiłek, zanim dostąpią zaszczytu znalezienia się na górnych piętrach pałacu.

Na górze, na pierwszych poziomach publicznych, powtarza się zamieszanie ze sprawdzaniem zaproszeń i oddawaniem mokrych ubrań służbie, która prowadzi nas do przygotowanych pokoi, gdzie możemy się wykąpać i przebrać. Burmistrz Charles Chikyap Kempo ma własny apartament, złożony z kilku pokoi, na siedemdziesiątym ósmym piętrze Potali. Pokonawszy dalsze kilka kilometrów korytarzy - okna po prawej wychodzą na czerwone dachy Drepungu, co rusz rozbłyskujące światłem burzy - spotykamy kolejną grupę służących, tym razem oddanych nam do własnej dyspozycji. Każdy z nas ma przynajmniej małą alkowę, oddzieloną kotarą od reszty pomieszczenia, w której spędzi noc po uroczystości. W łazienkach jest ciepła woda, sawanny i nowoczesne prysznice ultradźwiękowe. Uśmiecham się do Enei, kiedy wychodzi z zaparowanej łazienki; odpowiada mi porozumiewawczym mrugnięciem.

W Napowietrznej Świątyni nie mam żadnych naprawdę oficjalnych ubrań - podobnie zresztą jak na statku, który ukrywa się w kraterze na księżycu - ale Lhomo Dondrub do spółki z kilkoma innymi mężczyznami mojej postury odpowiednio mnie na dziś wyposażyli. Mam więc czarne spodnie, wypucowane do połysku wysokie, również czarne buty, białą jedwabną koszulę, złocistą kamizelkę i czerwono-czarną wełnianą szatę wierzchnią, wyciętą w kształt „X” i przewiązaną w pasie szkarłatną szarfą. Wieczorowy płaszcz, w którym mam wystąpić, utkano na zachodnich zboczach Muztagh Alty z najdelikatniejszego czarnego jedwabiu, jego skraj zaś ozdobiono

skomplikowanymi ornamentami w kolorach czerwonym, złotym, srebrnym i żółtym; jest to jeden z dwóch najwspanialszych płaszczy Lhomo, toteż właściciel nie omieszkał mi dać do zrozumienia, że gdybym go rozdarł, zaplamił albo zgubił, zostanę zrzucony z najwyższej platformy w Napowietrznej Świątyni. Lhomo Dondrub jest z natury miłym i sympatycznym człowiekiem, co podobno rzadko się zdarza u samotnych lotników, ale nie sądzę, żeby w tym przypadku żartował.

A. Bettik pożyczył mi wymagane protokołem srebrne bransolety, które pod wpływem impulsu kupił na bazarze w Hsi wangmu. Na ramiona spływa mi ozdobiony piórami, czerwony, wełniany kaptur, należący do Jigme Norbu, który całe życie na próżno oczekiwał zaproszenia do Potali. Na szyi mam wykonany ze srebra i nefrytu, tradycyjny w Państwie Środka talizman, pożyczony od mistrza ciesielskiego Changchi Kenchunga. Changchi rankiem poinformował mnie, że był już na trzech przyjęciach w pałacu i za każdym razem śmiertelnie się nudził.

Odziani w złocisty jedwab służący przychodzą po nas, by oznajmić, że nadszedł czas zgromadzenia się w głównej sali audiencyjnej, przylegającej do sali tronowej. W wykładanych ceramicznymi płytkami korytarzach i komnatach, które mijamy, kłębi się tłum gości; szeleszczą jedwabie, dźwięczą klejnoty, w powietrzu mieszają się wonie perfum, wód kolońskich, mydła i skóry. Nieco z przodu dostrzegam na ułamek sekundy starą Dorje Phamo, Gromowładną Lochę we własnej osobie, obok której idą dwie z dziewięciu kapłanek. Wszystkie noszą szafranowe szaty, a siwe włosy Dorje Phamo są upięte i zaplecione w śliczne warkocze.

Strój Enei jest prosty, ale niezwyklej urody: uszyta z niebieskiego jedwabiu suknia, błękitna opończa opadająca na nagie ramiona, podobny do mojego talizman zwieszający się między piersiami i wpięty

we włosy srebrny grzebień, podtrzymujący krótką woalkę. Większość kobiet ma zasłonięte skromnie twarze; zaczynam doceniać sprytnie przebranie mojej przyjaciółki.

Enea bierze mnie pod rękę i w tłumie ludzi ruszamy nie kończącymi się korytarzami. Spiralne ruchome schody wiozą nas coraz bliżej pięter zajmowanych przez dalajlamę.

Nachylam się do niej i szepczę:

— Zdenerwowana?

Odpowiada mi uściskiem ręki; przez woalkę widzę błysk jej zębów, kiedy się uśmiecha.

— Posłuchaj, maleńka, czasem przecież widzisz przyszłość, prawda?
- Nie ustępuję. - Wiem, że tak jest. Czy dziś wieczorem... wyjdziemy z tego cało?

Muszę przysunąć się jeszcze bliżej, żeby usłyszeć jej odpowiedź.

— W przyszłości każdego z nas tylko niektóre fakty są ustalone, Raul. Większość jest ruchoma, płynna jak... - Machnięciem ręki wskazuje fontannę, którą właśnie mijamy. - Nie widzę jednak powodu do zmartwień. A ty? Są tu przecież tysiące gości, a dalajlama tylko kilkoro z nich będzie mógł przywitać osobiście. Jego goście honorowi, ci z Paxu... Kimkolwiek są, zapewne się nas tu nie spodziewają.

Kiwam głową, ale wcale nie jestem przekonany.

Nagle Labsang Samten, brat dalajlamy, zbiega z tupotem do nas po jadących do góry schodach, łamiąc wszelkie zasady protokołu. Uśmiecha się szeroko i aż kipi entuzjazmem. Mówi tylko do naszej grupy, ale słyszy go dobre kilkaset osób.

— Goście z kosmosu to bardzo ważne osobistości! - oznajmia rozgorączkowany. - Rozmawiałem z naszym nauczycielem, który jest asystentem zastępcy Ministra Protokołu. To nie tylko misjonarze!

— Nie? - dziwi się Chikyap Kempo, olśniewający w swoim złocistoczerwonym, jedwabnym stroju.

— Nie! - powtarza Labsang i uśmiecha się jeszcze szerzej. - Przybył kardynał Kościoła Paxu, i to bardzo ważny kardynał. W jego orszaku są i inne znakomitości.

Żołądek zwija mi się w lodowatą kulę, a potem podchodzi do gardła.

— Jaki kardynał? - pyta Enea opanowanym, wyrażającym szczere zaciekawienie głosem. Zbliżamy się do szczytu spiralnie skręconych schodów; powietrze wypełnia pomruk tysięcy zgromadzonych tu gości.

Labsang Samten wygładza fałdy mnisiej szaty.

— Niejaki kardynał Mustafa - odpowiada zadowolony. - Chyba ktoś z bezpośredniego otoczenia papieża. Pax wyświadcza ogromny honor memu bratu, przysyłając mu takiego ambasadora.

Czuję, jak dłoń Enei zaciska się mocniej na moim ramieniu, ale nie widzę za dobrze wyrazu skrytej pod woalką twarzy.

— Jest z nim jeszcze kilka ważnych osób - kontynuuje brat dalej. Odwraca się do nas bokiem, szykując się do zejścia ze schodów. - Na przykład jakieś dziwne kobiety, chyba żołnierki.

— Wiesz, jak się nazywają? - pyta ponownie Enea.

— Znam nazwisko jednej z nich. To generał Nemes. Ma bardzo bladą twarz. - Mnich uśmiecha się radośnie do Enei. - Kardynał pytał, czy będzie pani obecna na uroczystości, M. Enea. Dopytywał się specjalnie o panią i pani towarzysza, M. Endymiona. Minister Protokołu był bardzo zaskoczony, ale udało mu się zorganizować dla was prywatną audiencję z udziałem przedstawicieli Paxu, regenta oraz oczywiście mojego brata, Jego Świątobliwości dalej.

Kończymy wjazd po schodach, które znikają w marmurowej posadzce. Z Enequ boku wchodzę do głównej sali audiencyjnej, gdzie panuje hałas i starannie kontrolowany chaos.

Dalajlama ma zaledwie osiem lat standardowych. Wiedziałem o tym wcześniej - Enea, A. Bettik, Theo, Rachela i inni nieraz o tym wspominali - ale nie umniejsza to mojego zaskoczenia, gdy widzę dziecko zasiadające na wysokim, miękko wyściełanym tronie.

W olbrzymiej sali audiencyjnej musiały się zebrać trzy, może cztery tysiące ludzi. Z kilku wylotów szerokich schodów ruchomych równocześnie spływają goście, wypełniając poczekalnię wielkości hangaru w porcie kosmicznym. Wsparte na złocistych kolumnach, zdobione freskami sklepienie wznosi się dwadzieścia metrów nad naszymi głowami; podłogę wyłożono ceramicznymi, niebieskobiałymi płytkami, które przedstawiają sceny z „Bardo Thodrol”, czyli „Tybetańskiej księgi umarłych” oraz z emigracji buddystów ze Starej Ziemi; droga do sali audiencyjnej prowadzi pod wysokimi, połączanymi hakami - a sama sala jest jeszcze większa. Cały jej sufit jest przeszklony, toteż możemy podziwiać rozjaśniane błyskawicami burzowe niebo i oświetlony latarniami stok góry. Trzy czy cztery tysiące gości przedstawiają sobą niepowtarzalny widok - jedwabne szaty przelewają się miękko, płótno układa się w eleganckie fałdy, farbowana wełna, udrapowana na ciałach, przyciąga wzrok, wszędzie migoczą czarne, białe i czerwone pióra, pysznią się wymyślne fryzury, lśnią delikatne bransolety, naszyjniki, wisiorki, kolczyki, diademy i pasy ze srebra, złota, ametystu, nefrytu, lazurytu i innych bezcennych klejnotów i metali. Pośród tego eleganckiego tłumu kręci się mrowie mnichów i opatów w prostych szatach - pomarańczowych, złotych, żółtych, szafranowych i czerwonych. Większość ma wygolone gładko głowy i na łysinach migoczą odblaski ognia z dziesiątek ustawionych na trójnogach mis. Komnata jest jednak tak ogromna, że nie może być mowy o jej zapełnieniu: wszędzie błyskają kawałki odsłoniętej,

drewnianej podłogi, a tron dzieli od gości dwudziestometrowa wolna przestrzeń.

Wita nas dźwięk rogów. Instrumenty wykonano z mosiądzu i kości, a grający na nich mnisi rozstawili się w szeregu od schodów do wejść do sali audiencyjnej - na odcinku z górą sześćdziesięciu metrów towarzyszy nam nieustanne buczenie rogów, minutami trzymających jedną nutę tylko po to, by za chwilę unisono zejść niżej, bez żadnego widocznego sygnału. Wchodzimy do głównej sali audiencyjnej; poczekalnia pełni w tym momencie funkcję gigantycznego pudła rezonansowego za naszymi plecami, gdy wtem niską nutę podejmuje dwadzieścia czterometrowych mosiężnych trąb. Grający stoją po obu stronach sali, w niewielkich niszach, a olbrzymie instrumenty wspierają się na wbudowanych w parkiet stojakach. Ich końce wyginają się do góry, przez co upodabniają się do metrowej średnicy kwiatów lotosu. Do nie milnącej, zwielokrotnionej iiuty, która przypomina dźwięk okrętowej syreny zmieszany z łoskotem pełznącego lodowca, dołącza w regularnych odstępach rozwibrowane brzęczenie ogromnego, mierzącego pięć metrów średnicy gongu. W powietrzu unosi się zapach kadzideł. Delikatne pasemka wonnego dymu snują się nad starannie upiętymi, zdobnymi w klejnoty fryzurami gości. Dym zdaje się drgać w rytm muzyki.

Wszystkie twarze zwracają się ku dalajlamie, jego orszakowi i szanownym gościom. Biorę Eneę za rękę i przesuwamy się w prawo, trzymając się z dala od tronu i podwyższenia, na którym stoi. Całe konstelacje gości honorowych kręcą się nerwowo pomiędzy nami i odległym fotelem dalajlamy.

Nagle basowy pomruk instrumentów milknie i po chwili ginie ostatnie echo gongu. Wszyscy goście przybyli. Za naszymi plecami służba z wysiłkiem zatrzaskuje ogromne wrota. W rozległej komnacie

słyszę powtarzany przez echo trzask płomieni w misach i nagły łoskot kropel deszczu o przezroczysty dach.

Dalajlama uśmiecha się nieznacznie. Siedzi po turecku na szczycie sterty jedwabnych poduszek, dzięki której znajduje się na równym poziomie ze stojącymi gośćmi. Ma ogoloną głowę i zwyczajne, mnisie, czerwone szaty. Po jego prawej ręce, nieco niżej, na skromniejszym tronie zasiada regent, który w porozumieniu z innymi kapłanami będzie sprawował rządy do czasu, aż Jego Świątobliwość dalajlama osiągnie pełnoletność, co nastąpi w wieku osiemnastu lat standardowych. Enea opowiadała mi o tym człowieku: nazywa się Reting Tokra i uchodzi za istne uosobienie przebiegłości, z daleka widzę jednak tylko czerwony strój i ściągniętą, śniadą twarz o drobnych oczach i krótkich wąsikach.

Z lewej strony Jego Świątobliwości zajął miejsce Marszałek Dworu, opat opatów, stary człowiek, którego wyraźnie raduje widok tyłu szacownych gości. Dalej widzę oficjalną Dworską Wróżbitkę - szczupłą, młodą kobietę o króciutko przyciętych włosach. Spod jej czerwonej szaty wyziera żółta, płócienna koszula. Enea wytłumaczyła mi, że zadaniem Wróżbitki jest przepowiadanie przyszłości w głębokim transie. Jeszcze dalej stoją emisariusze Paxu. Złote kolumny, na których wspiera się sufit sali audiencyjnej, zasłaniają mi ich twarze, ale widzę niskiego mężczyznę w kardynalskich szkarłatach, trzy postaci w czarnych sutannach i co najmniej jednego żołnierza.

Na prawo od tronu regenta stoi Naczelny Herold, dowódca gwardii Jego Świątobliwości, legendarny Carl Linga William Eiheji - łucznik zeń, akwarelista, mistrz karate, filozof, były lotnik i znawca ikebany. Gdy wychodzi na środek sali, sprawia wrażenie, jakby miał ciało zbudowane z żelaznych sprężyn, oplecionych wokół stalowych ścięgien.

— Dostojni goście - rozbrzmiewa jego donośny głos - przybysze spoza naszej planety, dugpowie, drukpowie, drungpowie, którzy pochodzicie z najwyższych grani, cudownych rozpadlin i zalesionych stoków gór, dzasowie, czcigodni urzędnicy, kapłani Czerwonych i Żółtych Kapeluszy, mnisi, opaci, nowicjusze, kosa czwartej rangi, błogosławieni, niosący w rękach sugi, żony i mężowie czcigodnych gości, wszyscy szukający oświecenia. Zaszczycem jest dla mnie powitać was wszystkich dzisiaj w imieniu Jego Świątobliwości Getswanga Ngwanga Lobsanga Tengina Gyapso Sisunwangyur Tshungpa Mapai Dhepala Sangpo - Uświęconego, Łagodnej Chwały, Wielkiego Słowem, Czystego Duchem, Obdarzonego Boską Mądrością, Wszechogarniającego Obrońcy Wiary!

Małe, kościanomosiężne rogi rozbrzmiewają wysokimi, czystymi dźwiękami; olbrzymie trąby ryczą jak dinozaury; gong wprawia w drzenie nasze kości i zęby.

Naczelny Herold Eiheji cofa się o krok. Teraz przemawia Jego Świątobliwość dalajlama dziecinnym, cichym, ale wyraźnym i mocnym głosem:

— Dziękuję wszystkim za przybycie. Powitamy naszych dostojnych gości z Paxu w bardziej prywatnej atmosferze. Wielu z was życzyło sobie spotkać się ze mną... Później, na prywatnej audiencji, otrzymacie moje błogosławieństwo. Ja z kolei chciałem porozmawiać z niektórymi z was. Z nimi również spotkam się na prywatnej audiencji. Dziś i w nadchodzących dniach nasi przyjaciele z Paxu także będą z wami w kontakcie. Pamiętajcie, że i oni są naszymi braćmi i siostrami w dharmie, w poszukiwaniu oświecenia. Ich tchnienie jest naszym tchnieniem, a tchnienie nas wszystkich jest tchnieniem Buddy. Dziękuję. Bawcie się dobrze.

Po tych słowach całe podwyższenie z tronem i honorowymi gośćmi odjeżdża do tyłu, cofa się do otworu w ścianie i znika za zasłoną, potem

za kolejną, aż wreszcie ściana zamyka się za nim. Tysiące gości w sali audiencyjnej równocześnie przestają wstrzymywać oddech.

Zapamiętałem tamten wieczór jako niemal surrealistyczną kombinację uroczystego balu i oficjalnej, prawie papieskiej ceremonii powitalnej. Oczywiście nigdy nie widziałem papieskiej ceremonii powitalnej - tajemniczy kardynał na ukrytym już podium był najwyższym rangą funkcjonariuszem kościelnym, jakiego w życiu spotkałem - ale podniecenie, jakie udzieliło się gościom dalejlami musiało przypominać uniesienie chrześcijan udających się na audiencję u papieża. Mnisi-wojownicy, w czerwonych szatach i czerwonych albo żółtych kapeluszach towarzyszyli nielicznym wybrańcom, kiedy ci zniknęli za kotarami i przeszedłszy przez ostatnie drzwi znaleźli się przed obliczem dalejlami. Pozostali zaś goście, w tym także i my, kręcili się tu 398 399 i ówdzie po rozjaśnionym światłami pochodni parkiecie, przechadzali się wzdłuż zapełnionych znakomitym jadłem stołów, a nawet trochę tańczyli do wtóru muzyki płynącej ze zwykłych instrumentów - żadnych mosiężnych trąb i kościanych rogów. Zapytałem Eneę, czy nie zechciałaby zatańczyć, ale z uśmiechem pokręciła głową i poprowadziła całą grupę do najbliższego stołu bankietowego. Wkrótce wdaliśmy się w dyskusję z Dorje Phamo i jej mniszkami.

Wiedząc, że ryzykuję popełnienie faux pas, zapytałem starą kobietę czemu zawdzięcza miano Gromowładnej Lochy. Pogryzaliśmy kuleczki smażonej tsampy i popijaliśmy wyśmienitą herbatę, a Dorje Phamo roześmiała się i opowiedziała nam krótką historię.

Na Starej Ziemi pierwsza kobieta, która rządziła męskim klasztorem, zyskała sobie reputację inkarnacji prawdziwej Gromowładnej Lochy, bogini dysponującej wielką mocą. Ta pierwsza Dorje Phamo umiała ponoć przyjmować postać lochy, a wszystkich

swoich mnichów zmieniać w dziki, co pozwalało jej ocalić klasztor przed atakami obcych wojsk.

Kiedy zwróciłem się do najnowszej inkarnacji Gromowładnej Lochy z pytaniem, czy zachowała moc zmieniania postaci, uniosła hardo głowę i odparła:

— Gdybym mogła w ten sposób odstraszyć naszych nowych najeźdźców, zrobiłabym to bez wahania.

Przez mniej więcej trzy godziny, jakie spędziliśmy z Eneą na pogaduszkach, słuchaniu muzyki i oglądaniu błyskawic nad przeszklonym sklepieniem, usłyszeliśmy tylko tę jedną wypowiedzianą na głos nieprzychylną opinię na temat wysłanników Paxu; wyczuwało się jednak, że pod cienką powłoką jedwabistych manier i uroczystej radości kryje się nienaturalna nerwowość. Nie powinno to nikogo dziwić, jeśli zważyć, iż przez niemal trzy stulecia Tien Szan był - pomijając z rzadka zagląających na planetę wędrownych handlarzy - kompletnie odizolowany od Paxu i całej ocalałej z upadku Hegemonii ludzkości.

Robiło się już późno i zaczynałem podejrzewać, że Labsang Samten mylił się twierdząc, iż dalajlama i jego goście chcą się z nami spotkać, gdy zniecka kilku urzędników służby pałacowej w wysokich, zakrzywionych, czerwonych i żółtych kapeluszach - podobnych do hełmów, jakie nosili starożytni Grecy - odnalazło nas i poprosiło, byśmy zechcieli im towarzyszyć i stawić się przed obliczem dalajlamy.

Spojrzałem na Eneę, gotów uciec wraz z nią, gdyby okazała choć cień strachu czy niechęci, ale tylko skinęła głową i wzięła mnie pod rękę. Morze gości rozstało się przed nami, gdy ruszyliśmy wolnym krokiem za przewodnikami, jakbym był ojcem prowadzącym córkę przed ołtarz, do tradycyjnego kościelnego ślubu... Albo jakbyśmy od zawsze stanowili parę. Miałem w kieszeni laserową latarkę i elektroniczny notes z modułem komunikacyjnym. Laserek nie na

wiele by się zdał, gdyby Pax postanowił nas pojmać, postanowiłem jednak wezwać statek, jeżeli sprawy przyjmą bardzo niekorzystny obrót. Zamiast pozwolić, żeby złapali Eneę, ściągnąlbym go na dół i kazał lądować na kolumnie płomieni z silników jądrowych, dokładnie na przeszklonym dachu sali audiencyjnej.

Przeszliśmy pod zewnętrzną zasłoną i znaleźliśmy się w pomieszczeniu z płóciennym, obniżonym stropem. Wciąż dobrze słyszeliśmy muzykę i radosny gwar z sąsiedniej komnaty. Przewodnicy poprosili, żebyśmy wyciągnęli przed siebie ręce z otwartymi, zwróconymi ku górze dłońmi, a kiedy tak uczyniliśmy, złożyli nam rękach białe, jedwabne szarfy, po czym dali nam znak, że możemy przejść za następną kurtynę. Marszałek Dworu skłonił się nam na powitanie - Enea odpowiedziała wdzięcznym dygnięciem, ja zaś niezgrabnym ukłonem — i poprowadził nas za drzwi, do małego pokoju, gdzie czekał dalajlama w otoczeniu swych gości.

Prywatna komnata sprawiała wrażenie przedłużenia tronu Jego Świątobliwości. Ściany obito brokatem w najróżniejszych odcieniach złota, przyozdobionym odwróconymi swastykami, kielichami kwiatów, mandalami i smokami o poskręcanych w dzikie sploty cielskach. Drzwi zamknęły się za naszymi plecami i odgłosy zabawy ucichłyby zupełnie, gdyby nie trzy monitory, wstawione w ścianę po mojej lewej ręce. Przekazywały na żywo obraz i dźwięki przyjęcia z kilku kamer i mikrofonów, rozmieszczonych w sali audiencyjnej. Zasiadający na tronie chłopiec i jego dostojni goście śledzili transmisję ze szczerym zainteresowaniem.

Zaczekaliśmy, aż Marszałek Dworu da nam ponownie znak, on zaś szepnął, gdy podeszliśmy do tronu, i dalajlama zwrócił na nas uwagę:

— Nie trzeba się kłaniać, dopóki Jego Świątobliwość nie podniesie ręki. Wówczas proszę się pokłonić i wytrwać w ukłonie, aż rękę opuści.

Zatrzymaliśmy się trzy kroki od platformy, na której stał tron z mnóstwem kolorowych poduszek.

— Wasza Świątobliwość - odezwał się cichym, choć wystarczająco donośnym głosem Carl Linga William Eiheji, Naczelny Herold - oto architekt zajmująca się odbudową Hsuankung Ssu oraz jej asystent.

Asystent? Przystanąłem o krok za plecami Enei, wdzięczny heroldowi, że nie wymienił naszych imion. Kątem oka dostrzegłem pięcioro przedstawicieli Paxu, protokół jednak nakazywał mi patrzeć w stronę dalajlamy i spuścić wzrok.

Enea stanęła na skraju podwyższenia. W wyciągniętych rękach trzymała naprężoną szarfę. Marszałek Dworu położył na niej kilka przedmiotów, chłopiec zaś zebrał jej jednym ruchem i odłożył na bok, po prawej stronie od tronu. Wówczas jeden ze służących odebrał szarfę, a Enea złożyła dłonie jak do modlitwy i się ukloniła. Chłopiec uśmiechnął się łagodnie, pochylił w przód na tronie i dotknął jej - mojej ukochanej; położył jej dłoń na głowie niczym koronę. Zrozumiałem, że właśnie ją błogosławi. Cofnął rękę, zdjął ze stosu po lewej czerwoną szarfę i złożył ją w lewej dłoni Enei. Potem uścisnął jej prawą rękę i uśmiechnął się jeszcze szerzej. Marszałek Dworu dał Enei znak, żeby stanęła przed tronem regenta i kazał mi wystąpić naprzód. Poddąłem się temu samemu, krótkiemu rytuałowi.

Ledwie starczyło mi czasu, żeby zauważyć, iż wśród przedmiotów rozłożonych na szarfie przez marszałka i zabranych przez dalajlamę znajdował się wykonany ze złota wizerunek trzech górskich szczytów, symbolizujący, jak mi później powiedziała Enea, planetę Tien Szan, rysunek ludzkiego ciała, stylizowana książka symbolizująca mowę oraz maleńki czorten, relikwiarz, symbolizujący umysł. Przedmioty te pojawiły się i zniknęły tak szybko, że nie zobaczyłem nic więcej, a po chwili trzymałem już w lewej ręce czerwoną szarfę, a w prawej - drobną, chłopięcą dłoń, której zdecydowany uścisk mnie zaskoczył. Nie

podniosłem wzroku, ale i tak widziałem, że dalejlana uśmiecha się wesoło. Cofnąłem się i stanąłem obok Enei.

Za chwilę w ten sam sposób przywitaliśmy się z regentem: biała szarfa, symboliczne przedmioty pojawiły się i zniknęły, czerwona szarfa - zabrakło tylko uścisku dłoni. Kiedy regent nas pobłogosławił, Marszałek Dworu pokazał nam na migi, że możemy podnieść wzrok.

Niewiele brakowało, żebym wyjął z kieszeni laser i zaczął strzelać. Obok dalejlana i usługujących mu mnichów, obok Marszałka Dworu, regenta, Wróżbitki, herolda, niskiego kardynała i trzech mężczyzn w czarnych sutannach, stała kobieta w czerwono-czarnym mundurze Floty Paxu. Wyszła właśnie zza pleców wysokiego księdza, tak że pierwszy raz ujrzeliśmy jej twarz. Nie odrywała wzroku od Enei. Miała żółtawą cerę i krótkie włosy, które opadały jej na blade czoło kilkoma pasemkami. Jej spojrzenie przywodziło na myśl gada - jak gdyby było jednocześnie zamyślane i czujne.

To coś próbowało zabić Eneę, A. Bettika i mnie na Bożej Kniei przed pięciu laty — dla mnie pięciu, bo dla Enei upłynęło już ponad dziesięć. Stała przed nami maszyna do zabijania, która pokonała Chyżwara i odcięłaby Enei głowę, gdyby nie interwencja ojca kapitana de Soi, śledzącego rozwój wydarzeń z krążącego na orbicie okrętu. De Soya wykorzystał pełną moc jednostki napędowej statku i utopił potwora w bajorze roztopionej, płynnej skały.

A teraz potwór wrócił i ciemnymi, nieludzkimi oczyma wpatrywał się w twarz Enei. Nie ulegało wątpliwości, że szukał jej przez te wszystkie lata, zwykłe i świetlne. I znalazł ją. Znalazł nas.

Serce waliło mi jak młotem, nogi się pode mną uginały, ale mimo wstrząsu mój umysł pracował jak najlepsze Sztuczne Inteligencje. Laserową latarkę miałem w prawej kieszeni płaszcza, notes z komunikatorem w lewej kieszeni spodni. Mógłbym prawą ręką błysnąć laserem w oczy umundurowanej kobiecie, przestawić latarkę

na szerszą wiązkę i oślepić księży, a lewą wcisnąć guzik nadajnika i wysłać przygotowaną wiadomość na statek.

Nawet jednak gdyby statek zareagował natychmiast i nie został po drodze przechwycony przez okręt wojenny Paxu, upłynęłoby ładnych kilka minut, zanim przepaliłby szklany sufit pałacu. A do tego czasu wszyscy byśmy zginęli. Wiedziałem, jak szybko porusza się ten stwór: kiedy walczył z Chyżwarem, po prostu zniknął, rozmył się do postaci srebrzystej smugi. Nie zdążyłbym nawet wyciągnąć lasera ani nadajnika. Najprawdopodobniej zginąłbym sięgając po broń.

Zamarłem w bezruchu i zdałem sobie sprawę, że choć Enea od razu rozpoznała kobietę, nie odczuła takiego wstrząsu jak ja. Właściwie pozornie w ogóle nie zareagowała: z uśmiechem omiotła spojrzeniem emisariuszy Paxu - nie omijając monstrum - i przeniosła wzrok na zasiadającego na tronie chłopca.

Pierwszy odezwał się regent Reting Tokra:

— Nasi goście prosili o zorganizowanie tej audiencji. Słyszeli od Jego Świątobliwości o Napowietrznej Świątyni i chcieli poznać młodą kobietę, która projektowała tę budowlę. - Głos regenta był równie suchy i niemły, jak jego powierzchowność.

— Przyjaciele - powiedział dalajlama cicho, lecz swobodnie. Wskazał ręką na Eneę i mnie. Pozwólcie, że przedstawię wam naszych szanownych gości z Paxu. Oto John Domenico kardynał Mustafa ze Świętego Oficjum Kościoła Katolickiego, arcybiskup Jean Daniel Breque z Papieskiego Korpusu Dyplomatycznego, ojciec Martin Farrell, ojciec Gerard LeBlanc oraz komandor Rhadamanth Nemes z Gwardii Szlacheckiej.

Odpowiedzieliśmy skinieniem głowy. Dostojnicy Paxu - potwór także - również się skłonili. Jeżeli Jego Świątobliwość dalajlama naruszył protokół dokonując tej prezentacji, to chyba nikt nie zwrócił na to uwagi.

— Dziękuję, Wasza Świątobliwość - rzekł John Domenico kardynał Mustafa. - Raczyłeś jednak przedstawić nam swoich niezwykłych gości jedynie jako panią architekt i jej asystenta. - Kardynał uśmiechnął się do nas, odsłaniając drobne, ostre zęby. - A zapewne macie państwo jakieś imiona, prawda?

Serce biło mi coraz szybciej; palce prawej dłoni zacisnęły się automatycznie, gdy pomyślałem o kieszonkowym laserze. Enea nie przestawała się uśmiechać, ale nie zanosilo się na to, żeby zamierzała odpowiedzieć kardynałowi. Przez myśl przebiegały mi dziesiątki pseudonimów. To pułapka. Ten potwór, Nemes, nie pozwoli, żebyśmy żywi wyszli z tej komnaty... A gdyby mimo wszystko się nam udało, będzie na nas czekać.

Ku mojemu zaskoczeniu znowu zabrał głos dalajlama:

— Z prawdziwą przyjemnością dokończę prezentacji, Wasza Eminencjo. Nasza znakomita pani architekt nazywa się Ananda, a jej pomocnik, właściwie jeden z wielu utalentowanych pomocników, jak mi doniesiono, nosi imię Subhadda.

Nie zdołałem chyba ukryć zdziwienia. Czyżby ktoś nas tak przedstawił dalajlamie? Enea mówiła mi kiedyś, że Ananda był najlepszym z uczniów Buddy i cenionym nauczycielem, a Subhadda - wędrownym ascetą i ostatnim uczniem, który osobiście wysłuchał nauk Buddy: spotkał go na kilka godzin przed jego śmiercią i postanowił głosić jego posłanie. Wyjaśniła mi później, że dalajlama musiał wymyślić dla nas takie imiona, najwidoczniej doceniwszy ich ironiczną wymowę. Ta ironia jakoś mi się wymknęła.

— M. Ananda. - Kardynał Mustafa skłonił się lekko. - M. Subhadda. - Obrzucił nas krytycznym spojrzeniem. - Proszę mi wybaczyć niewiedzę i bezpośredniość, M. Ananda, ale wywodzi się pani chyba z innej rasy niż większość mieszkańców Polali i okolicznych obszarów Tien Szanu.

Enea skinęła głową.

— Należy się zawsze wystrzegać uogólnień, Wasza Eminencjo. Tę planetę zasiedlili przybysze z różnych rejonów Starej Ziemi.

— Ależ oczywiście wymruczał zgodnie kardynał Mustafa. - Przyznaję również, że mówi pani angielskim Sieni bez śladu obcego akcentu. Czy mogę zapytać, z jakich okolic Tien Szanu państwo pochodzicie?

— Naturalnie - odparła Enea równie przymilnym głosem, jak ton kardynała. - Przyszłam na świat wśród gór rozpościerających się za Syjonem, na północny zachód od Muztagh Alty.

Kardynał z namysłem pokiwał głową, a ja zauważyłem, że kołnierzyk jego szaty - nazywany w Kościele rabatem, jak mnie później uświadomiła Enea - miał identycznie szkarłatny odcień, co sutanna i piuska.

— Czy zatem wyznaje pani religię hebrajską bądź muzułmańską? Takie bowiem wyznania, wedle słów naszych gospodarzy, są w tamtych okolicach najbardziej rozpowszechnione.

— Nie wyznaję żadnej religii - odparła Enea - rozumianej jako wiara w siły nadnaturalne.

Brwi kardynała uniosły się leciutko ze zdumienia. Mężczyzna przedstawiony nam jako ojciec Farrell zerknął na swojego przełożonego. Rhadamanth Nemes nawet na chwilę nie odrywała wzroku od Enei.

— A jednak pracuje pani nad świątynią buddyjską - zauważył przyjaźnie kardynał.

— Wynajęto mnie do odrestaurowania przepięknego kompleksu świątynnego. Jestem z tego dumna.

— Pomimo braku... wiary w siły nadnaturalne? - upewnił się Mustafa. W jego głosie zabrzmiało coś, co od razu nasuwało skojarzenia z inkwizycją; nawet na hyperiońskich mokradłach słyszeliśmy co nieco o Świętym Oficjum.

— A może właśnie na skutek tego braku, Wasza Eminencjo. I ze względu na ufność w zwyczajne, czysto ludzkie umiejętności. Moje i moich współpracowników.

— Zatem uważa pani, że zadanie jest samo dla siebie uzasadnieniem? - Mustafa nie ustępował. - Nawet jeżeli ma jakiś głębszy sens?

— Być może dobrze wykonane zadanie samo jest głębszym sensem. Kardynał się roześmiał, a nie był to miły dźwięk.

— Dobrze powiedziane, młoda damo. Dobrze powiedziane. Ojciec Farrell odchrząknął.

— Mówiła pani o okolicach góry Syjon - rzekł z namysłem. - Obserwując planetę z orbity, zwróciliśmy uwagę na transponder materii, postawiony na jednej z grani w tamtym rejonie. Sądziliśmy, że Tien Szan nie wchodził w skład Sieci, aczkolwiek z naszych danych wynika, iż budowa portalu została ukończona tuż przed Upadkiem.

— Ale nigdy go nie użyto! - wykrzyknął młody dalajlama i podniósł wyprostowany palec. - Nikt nigdy nie trafił na Niebiańskie Góry ani się stąd nie oddalił korzystając z transpondera Hegemonii.

— W rzeczy samej - zgodził się Mustafa. - Tak też przypuszczaliśmy, proszę jednak przyjąć nasze najszczerze przeprosiny, Wasza Świątobliwość. Kiedy nasz statek usiłował zbadać strukturę portalu z orbity, przypadkiem stopił spory fragment otaczającej go skały. Obawiam się, że wrota zostały na zawsze pogrzebane pod zwałami kamienia.

W tym momencie spojrzałem na Rhadamanth Nemes. Nie zareagowała; po prostu wpatrywała się w Eneę.

Dalajlama machnął niedbale ręką.

— To bez znaczenia, Wasza Eminencjo. Nie potrzebujemy nieczynnego transpondera... Chyba że wasz Pax znalazł sposób, by

reaktywować sieć portali? - Chłopiec roześmiał się z własnych słów ciepło, dziecinnie, ale zarazem kąśliwie.

— Nie, Wasza Świątobliwość - odrzekł z uśmiechem kardynał. - Kościołowi nie udało się doprowadzić do reaktywacji Sieci. Z pewnością najlepiej będzie, jeśli nigdy do tego nie dojdzie.

Napięcie z wolna ustępowało we mnie miejsca obrzydzeniu. Wstrętny mały ludzik w kardynalskich szatach powiedział właśnie Enei, że wie, jak dostała się na Tien Szan i że odciął jej drogę ucieczki. Zerknąłem na moją przyjaciółkę, ale nie sprawiała wrażenia zaniepokojonej czy przesadnie przejętej rozmową. Czyżby istniał drugi transponder, o którym Pax nie wie? Przynajmniej wyjaśniałoby to, dlaczego jeszcze żyjemy: Enea została zapędzona w kozi róg, a planetę obstawiono okrętami - nie wątpię, że oprócz statku dyplomatycznego na orbicie znajdują się jednostki bojowe Paxu. Gdybym spóźnił się o kilka miesięcy, mogliby przechwycić lub zniszczyć mój statek, a Enei nijak bym nie pomógł.

Ale na co czekają? Po co ta cała gra?

— ... bardzo jesteśmy ciekawi widoku waszej... jak ją nazywacie? Napowietrznej Świątyni. To, co o niej słyszeliśmy, brzmi fascynująco - mówił właśnie arcybiskup Breque.

Regent Tokra zmarszczył brwi.

— Nie będzie to łatwe, Wasza Ekscelencjo - powiedział. - Zbliża się pora deszczowa i liny zjazdowe będą bardzo niebezpieczne. Powietrzna Droga staje się zimą nader ryzykowna.

— Bzdury! - wykrzyknął dalajlama, całkowicie ignorując groźny wyraz twarzy patrzącego nań regenta. - Z przyjemnością zajmiemy się zorganizowaniem takiej wyprawy. Musicie koniecznie zobaczyć Hsuankung Ssu... I całą resztę Państwa Środka, aż po Taj Szan, Wielki Szczyt, w którego zboczach wykuto dwadzieścia siedem tysięcy stopni

wiodących do Świątyni Nefrytowego Cesarza i Księżniczki Lazurowych Obłoków.

Marszałek Dworu i regent wymienili ukradkowe, ojcowskie spojrzenia.

— Wasza Świątobliwość - wymruczał Marszałek Dworu, schyliwszy głowę. - Czuję się w obowiązku przypomnieć, że na Wielki Szczyt można dotrzeć po linach tylko w miesiącach wiosennych, a to ze względu na niski poziom trujących chmur. Przez pozostałe siedem miesięcy Taj Szan jest niedostępny.

Chłopięcy uśmiech zniknął z twarzy dalajlami, choć chyba nie tyle z powodu nagłej irytacji, co raczej z niezadowolenia, że traktuje się go jak dziecko. Kiedy za chwilę ponownie przemówił, w jego głosie brzmiała nie znosząca sprzeciwu, rozkazująca nuta. Nie znałem w swoim życiu zbyt wielu dzieci, spotkałem za to sporo wojskowych i jeśli miałbym zawierzyć swemu doświadczeniu, chłopiec zapowiadał się na wielkiego żołnierza i dowódcę.

— Panie Marszałku - powiedział. - Wiem doskonale o niemożności korzystania z lin zjazdowych. Wszyscy o tym wiedzą. Wiem jednak także, że każdej zimy kilku nieustraszonych lotników udaje się w podróż z Sung Szanu na Wielki Szczyt. Jakże inaczej moglibyśmy przekazywać nasze edykty wiernym na stokach Taj Szanu? Niektóre z ich parolotni nadają się do przeniesienia więcej niż jednej osoby... Czyli mogą brać pasażerów, prawda?

Marszałek Dworu skłonił się tak nisko, że bałem się czy za chwilę nie poszoruje czołem o posadzkę.

— Ależ tak, Wasza Świątobliwość - przytaknął drżącym głosem. - Tak, oczywiście. Nie zapomniałem, że Wasza Świątobliwość wie o tym. Chodziło mi... Chodziło mi tylko o to...

— Z pewnością Marszałkowi Dworu chodziło o to, Wasza Świątobliwość, że choć kilku lotnikom udaje się dotrzeć na Taj Szan,

wielu innych ginie po drodze - wtrącił ostro Tokra. - A nie chcielibyśmy wystawiać naszych czcigodnych gości na takie niebezpieczeństwo.

Uśmiech wrócił na twarz dalajlamy, tym razem jednak wyglądał na bardziej dojrzały - i bardziej przebiegły.

— Ale wy przecież nie boicie się śmierci, prawda, Wasza Eminencjo? - zwrócił się chłopiec do kardynała Mustafy. - Taki jest właśnie cel waszej wizyty: zademonstrować nam cud chrześcijańskiego zmartwychwstania. Nie mylę się chyba?

— Nie jedyny to cel, Wasza Świątobliwość - odparł cicho Mustafa. - Przede wszystkim przybywamy tu, by podzielić się radosną chrystusową nowiną ze wszystkimi, którzy zechcą nas wysłuchać, oraz aby przedyskutować możliwość nawiązania kontaktów handlowych z waszą piękną planetą. - Teraz kardynał również się uśmiechnął. - Mimo że krzyż i zmartwychwstanie są darami boskimi, Wasza Świątobliwość, udzielenie sakramentu wymaga odzyskania chociaż skrawka ciała lub krzyżokształtu. Tymczasem, jak rozumiem, z morza chmur nikt nie wraca?

— To prawda - zgodził się uśmiechnięty chłopiec.

Kardynał rozłożył ręce.

— Może w takim razie ograniczymy się do obejrzenia Napowietrznej Świątyni i innych bardziej dostępnych miejsc - zaproponował.

Zapadła cisza. Spojrzałem znów na Eneę, sądząc, że za chwilę audyencja się zakończy. Czekałem na znak od Marszałka Dworu, który zapewne wyprowadzi nas z komnaty. Miałem gęsią skórkę na rękach i robiło mi się zimno, gdy widziałem, jak stwór imieniem Nemes wpatruje się w moją przyjaciółkę.

Nagle odezwał się arcybiskup Breque:

— Rozmawiałem z Jego Wysokością regentem Tokrą o niezwykłym wręcz podobieństwie naszego cudu zmartwychwstania do prastarej

wiary buddystów w reinkarnację — mówiąc to patrzył na nas, jakby spodziewał się, że pomożemy mu rozstrzygnąć spór.

— Ach, tak. - Twarz siedzącego na tronie chłopca rozjaśniła się, jakby ktoś podsunął mu długo wyczekiwany, ciekawy temat do dyskusji. - Jednakże nie wszyscy buddyści wierzą w reinkarnację. Już przed migracją na Tien Szan i ogromnym rozwojem filozofii, jaki później nastąpił, nie wszystkie sekty buddyjskie zgadzały się z ideą ponownych narodzin. Wiemy z całą pewnością, że Budda odmawiał wdawania się w dyskusje z uczniami na temat ewentualnego życia po śmierci. Powiedział nawet: „Takie pytania nie mają nic wspólnego z praktykowaniem Ośmiorakiej Ścieżki i nie można udzielić na nie odpowiedzi, dopóki jest się ograniczonym uwarunkowaniami ludzkiego istnienia”. Widzicie państwo, znakomitą część buddyjskiej doktryny można zgłębić, docenić i wykorzystać jako środek do osiągnięcia oświecenia bez konieczności odwoływania się do sił i zjawisk nadnaturalnych.

Zmieszany arcybiskup nie zareagował, wyręczył go natomiast kardynał Mustafa:

— Czy jednak Budda nie wypowiedział kiedyś takich słów - wydaje mi się, że jedna z waszych świętych ksiąg cytuje je jako jego własne, gdybym jednak się mylił, proszę natychmiast mnie poprawić, Wasza Świątobliwość: „Istnieje nie narodzone, nie zapoczątkowane, nie stworzone i nie złożone. Gdyby nie istniało, nie byłoby ucieczki od świata narodzonych, zapoczątkowanych, stworzonych i złożonych”.

Dalajlama nie przestawał się uśmiechać.

— Rzeczywiście, to słowa Buddy, Wasza Eminencjo. Bardzo dobry cytat. W naszym fizycznym wszechświecie nie ma jednak na razie elementów, które w pełni byśmy rozumieli, a które można by opisać jako nie narodzone, nie zapoczątkowane, nie stworzone i nie złożone.

— Rzeczywiście, nic mi o nich nie wiadomo - przyznał ugodowo kardynał. - Ale nie jestem naukowcem, lecz zaledwie pokornym księdzem.

Mimo dyplomatycznej delikatności Mustafy, chłopiec najwyraźniej miał ochotę podrażnić poruszony temat.

— Jak już wspominaliśmy, kardynale, nasz buddyzm przeszedł znaczącą ewolucję, odkąd nasi przodkowie wylądowali na tej górzystej planecie. Przenika go duch zeń. Jeden z wielkich mistrzów zeń ze Starej Ziemi, poeta William Blake, napisał kiedyś: „Wieczność zakochała się w wytworach czasu”.

Nieruchomy uśmiech na twarzy Mustafy zdradzał brak zrozumienia; dalajlama za to spoważniał nagle.

— Nie sądzi pan, kardynale, że M. Blake uważał, iż czas nie mający końca jest bezwartościowy? Że każda istota wyzwolona z okowów śmiertelności, nawet Bóg, będzie zazdrościć potomkom spowolnionego czasu?

Mustafa pokiwał głową, choć wcale nie na znak zgody.

— Wasza Świątobliwość, nie wydaje mi się możliwe, żeby Bóg mógł czegokolwiek zazdrościć biednym istotom ludzkim. Z pewnością nie jest zdolny do zazdrości.

Słabiutko zarysowane brwi na chłopięcej twarzy wygięły się łuki.

— Czyż wasz chrześcijański Bóg nie jest z definicji wszechmogący? Skoro jest, to na pewno potrafi zazdrościć.

— To dziecinny paradoks, Wasza Świątobliwość. Przyznam, że nie jestem specjalistą w zakresie logicznej apologetyki ani metafizyki. Jednakże jako książe Kościoła wiem z katechizmu - i czuję to w głębi duszy - że Bóg nie jest zdolny do zazdrości, a już z całą pewnością niczego nie zazdrości własnym, ułomnym twórcom.

— Ułomnym?

Kardynał Mustafa uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Ułomnością ludzi jest skłonność do grzechu - rzekł tonem uczonego księdza, który przemawia do dziecka. - Pan nasz z pewnością nie zazdrości nam zdolności popełniania grzechów.

Dalajlama pokiwał z namysłem głową.

— Jeden z naszych mistrzów zeń, człowiek imieniem Ikkuyu, napisał kiedyś wiersz na ten temat:

Wszystkie grzechy popełnione

W Trzech Światach

Zblakną i zginą

Wraz ze mną.

Kardynał Mustafa odczekał chwilę, kiedy jednak dalszy ciąg nie nastąpił, rzekł:

— Jakie trzy światy miał na myśli Ikkuyu, Wasza Świątobliwość?

— Wiersz ten powstał w czasie, kiedy o podróżach kosmicznych nikt nie słyszał - odparł chłopiec, sadowiąc się wygodniej na poduszkach. - Chodziło mu o przeszłość, teraźniejszość i przyszłość.

— Zgrabnie powiedziane - przyznał kardynał Świętego Oficjum. Stojący za jego plecami asystent, ojciec Farrell, przyglądał się dalajlamie z wyrazem niechęci i niesmaku na twarzy. - My, chrześcijanie, wierzymy jednak, że grzech, jego skutki i odpowiedzialność za jego popełnienie nie kończą się w chwili śmierci, Wasza Świątobliwość.

— Rzeczywiście. Dlatego właśnie jestem ciekaw, po co w sztuczny sposób przedłużacie ludzkie życie za pomocą waszych żywych krzyżokształtów. Według nas śmierć oczyszcza człowieka; waszym zdaniem przynosi osądzenie. Dlaczego opieracie się temu sądowi?

— Dla nas krzyżokształt jest narzędziem sakramentu, objawionego nam przez Naszego Pana, Jezusa Chrystusa - odpowiedział cicho Mustafa. - Zbawiciel pierwszy odsunął sąd, składając się w ofierze na krzyżu. Bóg wziął na siebie karę za nasze grzechy i dał nam życie

wieczne w niebie. Krzyżokształt jest kolejnym Jego darem, który ma zapewne pozwolić nam uporządkować wszystkie sprawy przed nadejściem dnia sądu.

— Rozumiem. - Chłopiec westchnął. - Może jednak Ikkuyu chodziło o to, że nie ma grzeszników; że nie ma grzechu. Że „nasze” życie nie jest naszą własnością, lecz...

— O właśnie, Wasza Świątobliwość - wtrącił kardynał, jak gdyby chwalił opornego ucznia. Widziałem, że regent, Marszałek Dworu i zgromadzeni wokół tronu dostojnicy aż się skrzywili, kiedy przerwano dalajlamie. - Nasze życie należy nie do nas samych, ale do naszego Pana i Zbawiciela... Sensem istnienia jest służyć Jemu i Jego Kościołowi.

— ... lecz należy do całego wszechświata - dokończył chłopiec. - Podobnie jak wszystkie nasze uczynki, dobre i złe.

— Zgrabne sformułowanie, Wasza Świątobliwość, ale czy nie zanadto abstrakcyjne? — kardynał Mustafa zmarszczył czoło. - Bez Boga wszechświat jest zaledwie maszyną, bezmyślną i nieczułą.

— Dlaczego?

— Słucham, Wasza Świątobliwość?

— Dlaczego bez waszej definicji Boga wszechświat musi być nieczułą i bezmyślną maszyną? - Chłopiec przymknął oczy i wyrecytował:

Poranna mgła

Rozwiewa się

I znika bez śladu;

Któż pozostanie

W tym naszym świecie?

Kardynał Mustafa złożył dłonie i wsparł palce o usta, jak do modlitwy.

— Urocze, Wasza Świątobliwość. Znowu Ikkuyu?

— Nie. - Dalajlama uśmiechnął się szeroko. - To moje własne.
W bezsenne noce pisuję czasem wiersze zeń.

Księża się zaśmiali; Nemes nie zareagowała.

— A jakie jest pani zdanie, M. Ananda - zwrócił się kardynał do mojej przyjaciółki - w tej ważkiej kwestii?

Przez ułamek sekundy nie wiedziałem, do kogo mówi; dopiero po chwili przypomniałem sobie, że dalajlama przedstawił Eneę jako Anandę, najwierniejszego ucznia Buddy.

— Znam wiersz Ikkuyu - powiedziała Enea - który najlepiej zilustruje moje poglądy:

Bardziej ulotne i złudne

Niż cyfry pisane na wodzie,

Są nasze dążenia

Do szczęśliwości w zaświatach.

Arcybiskup Breque odchrząknął.

— To oczywiste, młoda damo - wtrącił. - Uważa pani, że Bóg nie wysłucha naszych modłów.

— Myślę, raczej, że Ikkuyu poruszył dwie sprawy - zaproponowała Enea i pokręciła głową. - Po pierwsze: Budda nam nie pomoże. To nie należy do jego zadań, jeśli można tak powiedzieć. Po drugie: nadzieja na życie wieczne jest głupotą, ponieważ z natury jesteśmy wyniesieni ponad czas, wieczni, nie narodzeni, nieśmiertelni i wszechmocni.

Twarz arcybiskupa poczerwieniała.

— Takimi przymiotami można opisać wyłącznie Boga, M. Ananda. - Breque poczuł ciężkie spojrzenie Mustafy i, jak na dyplomatę przystało, natychmiast się zmytygował: - Przynajmniej tak uważamy - dodał bez przekonania.

— Jak na tak młodą osobę, i to w dodatku architekta, nieźle zna się pani na zeń i poezji, M. Ananda - zauważył kardynał lekkim tonem. -

Czy są jakieś inne wiersze Ikkuyu, które można by odnieść do naszej sytuacji?

Enea skinęła głową.

Sami przybywamy na ten świat

J sami z niego odchodzimy.

To też jest iluzją.

Nauczę was

Jak nie przybywać i nie odchodzić.

— Byłaby to niezła sztuczka - przyznał kardynał Mustafa z udawaną dobroduszością.

Dalajlama pochylił się na tronie.

— Ikkuyu uczy nas, że można przeżyć przynajmniej część życia w świecie bez czasu i przestrzeni, bez narodzin i śmierci, bez przybywania i odchodzenia - powiedział. — W miejscu, gdzie nie istnieje odległość, gdzie nie biegnie czas i nic nie dzieli nas od ludzi, których kochamy, gdzie szklana tafla nie odgradza naszych serc od wzruszeń.

Kardynał stał i patrzył na niego w milczeniu, jakby odebrało mu mowę.

— Moja przyjaciółka, M. Ananda... także mnie tego nauczyła - dokończył chłopiec.

Przez twarz Mustafy przebiegł krótki grymas.

— Byłbym nader zobowiązany - rzekł ostro do Enei - gdyby młoda dama zechciała i mnie... a właściwie nas wszystkich... nauczyć tej sztuki.

— Taką właśnie mam nadzieję - odparła Enea.

Rhadamanth Nemes postąpiła pół kroku naprzód; włożyłem rękę do kieszeni płaszcza i zacisnąłem dłoń na laserze.

Regent uderzył owiniętą materiałem pałką w gong. Marszałek Dworu pospieszył do nas, by nas wyprowadzić. Enea złożyła pokłon

dalajlamie, a ja niezdarnie uczyniłem to samo.

Audiencja dobiegła końca.

Tańczę z Enea w ogromnej sali audiencyjnej, gdzie muzyka orkiestry, złożonej z siedemdziesięciu dwóch instrumentów, odbija się wielokrotnym echem. Otacza nas tłum dam i dostojnych mężczyzn, kapłanów i urzędników przybyłych z całego Tien Szanu; jedni przyglądają się nam ze skraju parkietu, inni wirują wraz z nami w rytm muzyki. Przypominam sobie, jak tańczymy, przed północą spożywamy kolejny posiłek - służba dba o to, by stoły były pełne - a potem znów idziemy zatańczyć. Nigdy wcześniej tego nie robiłem, w każdym razie nie na trzeźwo, tym razem jednak tańczę i przytulam Eneę w słabnącym blasku ognia z metalowych mis i przy świetle Wyroczeni.

Od północy minęło kilka godzin; starsi goście - wszyscy mnisi, burmistrzowie i mężowie stanu - wrócili do swych komnat, tylko Dorje Phamo została z nami: śmieje się, śpiewa, klaszcze i przytupuje do wtóru każdej melodii. W olbrzymiej, kryjącej się z wolna w cieniu komnacie zostało czterystu, najwyżej pięciuset najwytrwalszych gości. Orkiestra gra coraz wolniejsze, coraz bardziej senne kawałki, jak gdyby napędzająca ją sprężyna wymagała rychłego nakręcenia.

Nie ukrywam, że gdyby nie Enea, dawno już poszedłbym się przespać, ona jednak chce tańczyć. Tańczymy więc powoli, ona wtula mi głowę w zgięcie szyi, ja trzymam jej drobną dłoń w swojej, drugą ręką kładę jej na plecach, pod cienkim jedwabiem wyczuwam ruch kręgosłupa i mięśni; jej włosy muskają mój policzek, piersi przyciskają się do moich. Sprawia wrażenie zasmuconej, lecz wciąż pełnej energii i chętnej do świętowania.

Prywatne audiencje skończyły się wiele godzin wcześniej; dalajlama położył się ponoć spać przed północą, my jednak, uparci goście, bawimy się dalej: Lhomo Dondrub śmieje się i nalewa wszystkim

szampana i ryżowego piwa; Labsang Samten, brat dalajlamy, zaczyna w którymś momencie skakać nad płonącymi misami niby nad ogniskiem; Tromo Trochi, zwykle taki poważny, przeistacza się z nienacka w magika, zabawiającego gawieź sztuczkami z ogniem, płonącymi obręczami i lewitacją; Dorje Phamo śpiewa przeciągłe solo a capella tak czystym i słodkim głosem, że pamiętam to po dziś dzień. Wszyscy przyłączają się do ostatniej pieśni, kiedy orkiestra zbiera się do domu, by zdążyć zakończyć zabawę przed bliskim już świtem.

Nagle muzyka milknie w pół tonu. Tancerze się zatrzymują; ja z Eneą nieruchomiejemy i rozglądamy się po sali.

Od dłuższego czasu nie widzieliśmy ani śladu dostojnych gości z Paxu, teraz jednak jeden z nich, Rhadamanth Nemes, wynurza się z zacienionej alkowy dalajlamy. Zdjęła galowy mundur i przywdziała inny, czerwony. Towarzyszą jej dwie postaci w czerni, które z początku biorę za księży, przyjrzawszy się jednak bliżej spostrzegam, że są do niej bliźniaczo podobne: mężczyzna i kobieta mają na sobie czarne kombinezony bojowe, ich oczy jarzą się martwym, bursztynowym blaskiem, czarne pasemka włosów spadają na blade czoła.

Troje nieznajomych idzie przez salę wprost ku nam. Instynktownie zasłaniam Eneą własnym ciałem, ale wtedy mężczyzna i bliźniacza kopia Nemes zachodzą nas z boków. Przyciągam moją ukochaną bliżej, ona jednak wychodzi z za moich pleców i staje obok mnie.

Od strony zastygłych w bezruchu tancerzy nie dochodzi nawet najlżejszy szmer. Orkiestra milczy. Nawet światło księżycy zdaje się zamarzać w twarde smugi białego blasku.

Wyjmuję z kieszeni laserową latarkę. Główna Nemes odsłania w uśmiechu drobne zęby. Z cienia wychodzi kardynał Mustafa i staje za jej plecami, przy czym wszyscy czterej przedstawiciele Paxu nie odrywają wzroku od Enei. Przez chwilę mam wrażenie, jakby cały wszechświat zamarł, jakby tancerze zostali dosłownie zamrożeni

w przestrzeni i czasie, a muzyka zawisła nad nami niczym lodowe stalaktyty, gotowe w każdej chwili spaść i roztrzaskać się o podłogę. Wtedy jednak do mych uszu dobiega pierwszy, nieśmiały szmer wystraszonych i podenerwowanych głosów.

Właściwie nie ma mowy o żadnym zagrożeniu - ot, po prostu czworo emisariuszy Paxu podchodzi do nas w sali balowej, otaczając Eneę coraz ciaśniejszym kręgiem — ale podobieństwo do drapieżników, które osaczają zwierzynę, jest zbyt silne. Nie sposób go zignorować, tak jak nie da się zlekceważyć woni strachu, przebijającej się przez aromat perfum.

— Na co czekamy? - pyta Nemes. Patrzy na Eneę, ale mówi do kogoś innego - nie wiem, czy do kardynała, czy do swojego rodzeństwa.

— Sądzę, że... - zaczyna kardynał Mustafa i urywa w pół zdania.

Wszyscy zastygają w bezruchu, gdy trąby nieopodal łuku wejściowego odzywają się basowym grzmotem - odgłos zaiste godny zderzających się płyt kontynentalnych - lecz wnętrza są puste: nikt nie dmie w trąby. Kościane i mosiężne rogi wtórują niekończącej się, głębokiej nucie. Wibracje gongu rezonują nam w kościach.

Od strony ruchomych schodów, poczekalni i przesłoniętego kotarą wejścia dobiega nas szelest i stłumiony krzyk. Przerzedzony tłum rozstępuje się błyskawicznie, niczym ziemia przed lemieszem pługą.

Coś porusza się za zasłonami, w poczekalni, po czym wchodzi do sali audiencyjnej; kotary zostają nie tyle rozchylone, co raczej rozdarte. Światło Wyroczni odbija się od czegoś, co płynnie, jak gdyby nie dotykając podłogi, przemyka po parkiecie. Strzępy czerwonej kotary zwisają na kształt powłóczystej szaty z niewiarygodnie wysokiej - mierzącej dobre trzy metry - postaci. Z fałd aksamitnej oponczy wyziera zbyt wiele ramion, w dodatku zbrojnych w stalowe ostrza. Tancerze rozbiegają się w popłochu i wyraźnie słychać, jak wszyscy naraz robią głęboki wdech. Błysk pioruna przyćmiewa światło

księżycyca, odbija się w wypolerowanej posadzce i pozostaje w postaci powidoku na siatkówce oka. Kiedy po kilku długich sekundach słyszymy grzmot, jest prawie nie do odróżnienia od wciąż rozbrzmiewającego w poczekalni basu trąb.

Chyżwar zatrzymuje się o pięć kroków ode mnie i Enei, pięć kroków od Nemes i dziesięć kroków od kobiety i mężczyzny w czerni, którzy się nie poruszają; od Mustafy dzieli go w tym momencie osiem kroków. Okryty resztkami czerwonej kotary przywodzi na myśl metalową karykaturę kardynała w szkarłatnej sutannie. Kopie Nemes w czarnych mundurach wyglądają jak cienie sztyletów na jasnych ścianach.

W jednym z mrocznych kątów olbrzymiej sali zegar zaczyna wybijać godzinę: raz... dwa... trzy... cztery. Otacza nas tyle właśnie zabójczych maszyn. Ostatni raz widziałem Chyżwara przed ponad czterema laty, ale jego obecność nadal tak samo mnie przeraża. Czerwone oczy lśnią jak lasery pod cienką warstewką wody, rozchylone szczęki z lśniącej stali odsłaniają rzędy ostrych jak brzytwy zębów, kolce, ostrza i zadziory w dziesiątkach miejsc przebijają strzęp aksamitnej kotary. Chyżwar nie mruga, nie widać też, żeby oddychał — stoi bez ruchu niczym posąg żywcem wyjęty z sennego koszmaru.

Rhadamanth Nemes uśmiecha się na jego widok.

Trzymam w ręce śmieszny laserek i przypominam sobie konfrontację na Bożej Kniei. Nemes zmieniła się wtedy w smugę żywego chromu, po czym zniknęła i pojawiła się tuż obok dwunastoletniej Enei. Chciała obciąć jej głowę i zapakować ją do plastikowego worka - i dopięłaby swego, gdyby nie pojawił się Chyżwar. Zdążyłaby zrobić swoje, a ja nie miałem najmniejszej szansy reakcji; dla tych istot nie istniały bariery czasowe. Rozumiem już, co czuje rodzic, kiedy patrzy jak jego dziecko wyskakuje na jezdnię pod pędzący samochód i wie, że nie zdąży go uratować; na ten lęk nakłada się dodatkowo ból człowieka, który nie jest w stanie ocalić swej

ukochanej . Bez wahania poświęciłbym własne życie, jeśli miałbym w ten sposób uchronić Eneę przed atakiem potworów - w tym także Chyżwara. Pewnie zginąłbym w ułamku sekundy, ale nie zmieniłbym jej losu. Zaciskam szczęki tak silnie, że zęby mi zgrzytają.

Przenoszę wzrok - nie ruszam głową, gdyż boję się, że najmniejszy ruch mógłby sprowokować rzeź - na Chyżwara i widzę, że nie patrzy ani na Eneę, ani na Nemes: jest zwrócony twarzą do Johna Domenico kardynała Mustafy. Żabiooki ksiądz czuje chyba wagę jego spojrzenia, bo blednie w mgnieniu oka.

Enea natomiast się porusza: staje u mojego lewego boku, wsuwa prawą dłoń w moją lewą i ściska moje palce. Nie jest to bynajmniej gest wystraszonego dziecka - raczej próba uspokojenia mnie.

— Wie pan, czym to się skończy - mówi cicho do kardynała, nie bacząc na otaczające ją, gotowe do skoku stwory.

— Nie, nie wiem. - Wielki Inkwizytor przesuwając językiem po wydatnych wargach. - Są tu trzy...

— Wie pan, czym to się skończy - Enea nie daje mu skończyć. Nie podnosi głosu. - Był pan na Marsie.

Na Marsie? zastanawiam się. A co niby Mars ma z tym wszystkim wspólnego? Nad zajmującym cały sufit świetlikiem niebo przecina kolejny piorun, budząc na chwilę roztańczone cienie. Otaczające nas twarze znieruchomiały ze strachu biesiadników upodabniają się do białych owali, wyciętych w czarnym aksamicie. W nagłym momencie olśnienia - równie gwałtownym i przenikliwym, jak światło błyskawicy - zdaję sobie sprawę, że metafizyczna biosfera planety jest pełna tybetańskich demonów i złych istot: złośliwe nyeny mieszkają w ziemi; sadagi, „władcy podziemi”, nawiedzają budowniczych, naruszających spokój ich królestwa; czerwone tseny zamieszkują skały; gyelpo, duchy zmarłych królów, którzy nie wypełnili złożonych obietnic, po dziś dzień błakają się po świecie - martwe, okrutne, w widmowych

zbrojach; odrażające duchy dud żywią się wyłącznie ludzkim mięsem i ukrywają pod postacią olbrzymich żuków; mamoty, stworzone płci żeńskiej, są gwałtowne i nieprzewidywalne jak wzburzone morze; matriki, czarodziejki, nawiedzają kostnice i platformy, na których pali się ciała zmarłych, a ich nadejście zwiastuje trupia woń oddechu; graha, bóstwa planetarne, wywołują padaczkę i drgawki; nidjiny strzegą skarbów ziemi i stanowią śmiertelne zagrożenie dla górników w kopalniach diamentów - to jeszcze wcale nie wszystkie żerujące nocą, uzębione istoty o drugich pazurach i morderczych instynktach. Lhomo z przyjaciółmi dużo mi o nich opowiadali - a umieją opowiadać. Patrzę więc na pobladłe twarze zwrócone ku Chyżwarowi, Nemes i jej towarzyszą i myślę: Nie będzie im trudno opowiadać o dzisiejszej nocy.

— Demon nie zdoła pokonać całej trójki - mówi kardynał Mustafa. Wypowiada na głos słowo „demon” dokładnie w tym samym momencie, gdy ja o nim myślę i wiem, że ma na myśli Chyżwara.

Enea nie zwraca uwagi na jego słowa.

— Najpierw wyrwie krzyżokształt z pańskiej piersi - mówi cicho. - Nie mogę mu tego zabronić.

Głowa kardynała odskakuje na bok, jakby go spoliczkowano. Twarz blednie mu jeszcze bardziej. Na dany przez Nemes znak bliźnięta w czarnych pancerzach sprężają się w sobie, jakby szykowały się do jakiejś przerażającej transformacji. Sama Nemes Wraca spojrzeniem do Enei. Uśmiecha się tak szeroko, że widać jej Wszystkie zęby.

— Stać! - krzyczy Mustafa. Echo niesie jego głos. Rogi i trąby milkną. Goście tulą się do siebie i łapią kurczowo za rękawy szat sąsiadów i przyjaciół; słysząc delikatny szelest jedwabiu. Nemes Patrzy na kardynała z wyrazem pogardy i buntu na twarzy. - Stać! — Powtarza święty mąż Paxu, a ja zdaję sobie sprawę, że zwraca się głównie do swoich podwładnych. - Rozkazuję mocą Trzech Elementów, zaklinani

na Albedo i Centrum, stać! - ostatnie słowa wypowiada z takim ogniem, iż przypominają odprawianie egzorcyzmów, ale nawet ja jestem w stanie stwierdzić, że nie jest to rytuał katolicki ani nawet chrześcijański. I nie o Chyżwara tu chodzi: kardynał stara się Powstrzymać własne demony.

Nemes i dwoje jej towarzyszy cofają się, jakby pociągnięto za niewidzialne sznurki. Mężczyzna i kobieta przestają zachodzić nas z boku i wszyscy troje stają przed kardynałem. Mustafa uśmiecha się; kosztuje go to sporo wysiłku.

— Na razie nie spuszczę moich psów ze smyczy - mówi. - Masz na to moje słowo, słowo księcia Kościoła. Porozmawiajmy, przekłety dzieciaku. Czy możesz mi obiecać, że ten demon - tu wskazuje na obleczonego w postrzępioną kotarę Chyżwara - nie zrobi mi krzywdy?

— Nie mam nad nim żadnej władzy. - Enea wciąż jest całkowicie spokojna. - Jedyne bezpieczne dla was rozwiązanie, to opuścić tę planetę w pokoju.

Kardynał patrzy na Chyżwara. Mam wrażenie, że gotów jest w każdej chwili odskoczyć, gdyby błyszczący posąg ruszył choćby palcem. Nemes z rodzeństwem oddzielają go od monstrum.

— Jaką mam gwarancję - pyta - że ten stwór nie uda się za mną w kosmos? Że nie polecą na Pacem?

— Żadnej - odpowiada Enea.

Wielki Inkwizytor wyciąga w jej stronę rękę z wyprostowanym palcem wskazującym.

— Mamy tu do załatwienia kilka ważnych spraw, które ciebie nie dotyczą, ale nie uciekniesz nam - rzuca groźnie. - Klnę się na Chrystusa!

Enea wytrzymuje jego spojrzenie. Milczy.

Mustafa odwraca się i odchodzi. Słysząc szelest jego szaty i chrobot trzewików na wypolerowanej podłodze. Nemes z bliźniętami idą za nim - ona nie spuszcza wzroku z Enei, oni oboje - z Chyżwara. Znikają

za kotarą, oddzielającą prywatne pokoje dalejlamy od sali audiencyjnej.

Chyżwar ani drgnie: stoi tam, gdzie stał, a czworo jego nieruchomych ramion lśni w ostatnich promieniach Wyroczni. Lada chwila księżyc zajdzie za górską grań.

Fala gości rusza do wyjścia, szepty mieszają się z okrzykami. Orkiestra pakuje instrumenty, słyhać ostatnie brzdąknięcia i stukoty. Enea nie puszcza mojej ręki, gdy wokół nas gromadzi się kółeczko przyjaciół.

— A niech mnie! - wykrzykuje Lhomo Dondrub i podchodzi do Chyżwara. Przykłada palec do sterczącego z jego piersi ciernia. Widzę kropelkę krwi. - To fantastyczne! - stwierdza Lhomo i pociąga z kufla solidny łyk ryżowego piwa.

Dorje Phamo przystaje obok Enei, łapie ją za rękę, klęka na jedno kolano i kładzie sobie jej dłoń na pokrytym zmarszczkami czole. Enea chwytą kobietę za ramiona i pomaga jej wstać.

— Nie - szepcze.

— Błogosławiona - odpowiada szeptem Dorje Phamo. - Amata, Nieśmiertelna. Arhat, Doskonała. Sammasambuddha, Przebudzona. Rozkazuj nam i nauczaj.

— Nie - mówi krótko Enea. Łagodnie pociąga staruszkę do góry, ale jej głos brzmi stanowczo. - Będę nauczać tego, co umiem i dzielić się tym, co mam, dopiero gdy nadejdzie czas. Nic więcej nie mogą uczynić. Czas mitów minął.

Odwraca się, znów bierze mnie za rękę i przechodzimy przez salę. Mijamy nieruchomy stalowy posąg, przechodzimy przez poszarpaną zasłonę i docieramy do nieczynnych ruchomych schodów. Goście rozstępują się przed nami równie szybko, jak chwilę wcześniej przed Chyżwarem.

Zatrzymujemy się u szczytu schodów. W dole widać lampy, oświetlające drogę do sypialń.

— Dziękuję - mówi Enea i patrzy na mnie błyszczącymi, brązowymi oczyma.

— Słucham? - dopytuję się głupkowato. - Za... jak to... Nie rozumiem.

— Dziękuję za taniec - mówi i całuje mnie delikatnie w usta.

Jak zwykle przenika mnie wstrząs wywołany jej dotykiem. Wskazuję gestem stłoczonych za nami ludzi, parkiet, na którym nie ma już Chyżwara i zasłonę, za którą zniknął Mustafa i jego potwory.

— Nie możemy tu zostać, maleńka. Nemes i ta dwójka...

— Tak - przytakuje mi Enea. - Ale nie dzisiaj. Zaufaj mi. Nie zakradną się do nas po ścianie pałacu i nie przepelzną po suficie do pokoju. Zbierają się do drogi. Wkrótce opuszczą gompę i wrócą na statek. Przybędą z powrotem, ale nie dziś.

Wzdycham.

Enea bierze mnie za rękę.

— Śpiący? - pyta cichutko.

Pewnie, że śpiący. Wykończony. Ostatnia noc wydaje mi się tak odległa, jakby minęło od niej kilka tygodni, a i wtedy spałem tylko ze dwie godziny, bo... my... nie było...

— Ależ skąd - odpowiadam.

Enea uśmiecha się i prowadzi mnie do sypialni.

Papież Urban XVI: Ześlij nam, Panie, Ducha Twego.

Wszyscy: Z Twojej woli odnowione zostanie wspomnienie Ziemi i oblicze wszystkich światów Królestwa Bożego.

Papież Urban XVI: Módlmy się. Boże, któryś zesłał sercom wiernych Ducha Świętego, obdarz nas prawdziwą mądrością i pozwól uczestniczyć w Jego radości. Przez Chrystusa, Pana Naszego.

Wszyscy: Amen.

Papież Urban XVI błogosławi insygnia Zakonu Kawalerów Konnych Grobu Świętego w Jerozolimie.

Papież Urban XVI: Przybywamy z pomocą w imię Twoje.

Wszyscy: Któryś uczynił niebo, ziemię i wszystkie światy.

Papież Urban XVI: Pan z wami.

Wszyscy: I z duchem twoim.

Papież Urban XVI: Módlmy się. Usłysz nasze modły, o Panie i racz mocą Twojego majestatu pobłogosławić te oto oznaki urzędu. Broń sług Twoich, którzy będą je nosić, aby stawali dzielnie w obronie praw Kościoła, bronili wiary Chrystusowej i ją rozprzestrzerali. Przez Chrystusa, Pana Naszego.

Wszyscy: Amen.

Papież Urban XVI spryskuje odznaki wodą święconą.

Mistrz ceremonii, kardynał Lourdusamy, odczytuje listę awansowanych i nowo wyznaczonych Kawalerów. Każdy, którego nazwisko zostanie wyczytane, wstaje z krzesła. W bazylice znajduje się tysiąc dwustu ośmiu Kawalerów. Kardynał wymienia ich nazwiska w kolejności od najniższych rangą do najwyższych; zaczyna od Kawalerów, a kończy na Kawalerach Kapłanach.

Na zakończenie ceremonii wyczytani Kawalerowie klękają. Pozostali siedzą.

Papież Urban XVI pyta Kawalerów: O co prosisz?

Kawalerowie odpowiadają: Proszę o nadanie mi godności Kawalera Grobu Świętego.

Papież Urban XVI: Dzisiaj godność ta oznacza gotowość do walki w imieniu Królestwa Bożego, do walki o dobro Kościoła, ale też podejmowanie działań dobroczynnych z takim samym zaangażowaniem, wiarą i miłością, z jaką będziesz gotów oddać życie w bitwie. Czy jesteś zatem gotów, by na zawsze pozostać wiernym tym ideałom?

Kawalerowie odpowiadają: Jestem gotów.

Papież Urban XVI: Przypominam ci, że tak jak wszyscy ludzie powinni być zaszczytzeni, że mogą wieść cnotliwy żywot, tak żołnierz Chrystusa powinien cieszyć się, że może Mu służyć i całym swym życiem dawać dowód, iż zasługuje na ten zaszczyt i godność, którą mu nadano. Czy jesteś gotów przysiąc, że będziesz przestrzegał konstytucji świętego Zakonu?

Kawalerowie odpowiadają: Niech łaska Boża mnie wspomóż: przysięgam przestrzegać Boskich przykazań, praw Kościoła, wypełniać rozkazy dowódców i być wiernym konstytucji mojego zakonu.

Papież Urban XVI: Mocą mego urzędu nadaję wam godność żołnierzy i Kawalerów Grobu Świętego Naszego Pana, Jezusa Chrystusa. W imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego.

Kawalerowie przechodzą do Sanktuarium i klękają, papież zaś błogosławi Krzyż Jerozolimski, symbol Zakonu.

Papież Urban XVI: Niech ochrania was krzyż Pana Naszego, Jezusa Chrystusa - w imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego.

Każdy Kawaler kolejno klęka przed Krzyżem Jerozolimskim i odpowiada: Amen.

Papież Urban XVI wraca na tron stojący na podwyższeniu obok ołtarza. Na dany przez niego znak kardynał Lourdasamy odczytuje

nazwiska świeżo przyjętych w poczet Zakonu. Słyszając swoje nazwisko Kawaler podchodzi do ołtarza, przyklęka na jedno kolano, po czym klęka przed papieskim tronem. Wcześniej wybrano jednego Kawalera, który będzie reprezentował wszystkich nowicjuszy. On to właśnie podchodzi do papieża.

Papież Urban XVI: Czego pragniesz?

Kawaler: Pragnę godności Kawalera Grobu Świętego.

Papież Urban XVI: Przypominam ci ponownie, że tak jak wszyscy ludzie powinni być zaszczytzeni, że mogą wieść cnotliwy żywot, tak żołnierz Chrystusa powinien cieszyć się, że może Mu służyć i nigdy nie dopuścić do skalania swego dobrego imienia. Musi również dowieść czynem, że zasługuje na zaszczyt, jaki go spotyka i godność, jaką mu nadano. Czy jesteś gotów prawdziwie przysiąc na wierność konstytucji tego zakonu rycerskiego?

Kawaler splata dłonie, następnie składa je na rękach Jego Świątobliwości.

Kawaler: Przysięgam prawdziwie, przed Bogiem Wszechmogącym, Jego Synem Jezusem Chrystusem i Błogosławioną Maryją Dziewicą, że będę przestrzegał wszystkich obowiązujących mnie, żołnierza Jezusowego, praw i przykazań.

Jego Świątobliwość papież Urban XVI kładzie prawą dłoń na głowie Kawalera.

Papież Urban XVI: Bądź zatem wiernym i oddanym żołnierzem Pana Naszego, Jezusa Chrystusa, Kawalerem Grobu Świętego, silnym i dzielnym, abyś pewnego dnia został zaproszony na Jego niebieski dwór.

Jego Świątobliwość podaje Kawalerowi złote ostrogi i mówi: Przyjmij te oto ostrogi, symbol twojego Zakonu. Niech służą honorowi i obronie Grobu Świętego.

Mistrz ceremonii wręcza Jego Świątobliwości nagi miecz. Papież pokazuje go Kawalerowi i oddaje kardynałowi Lourdusamy, który mówi: Przyjmij ten miecz, który symbolizuje obronę Kościoła Świętego i zniszczenie wrogów krzyża Chrystusowego. Bacz, byś nigdy nie użył go niesłusznie.

Mistrz ceremonii chowa miecz do pochwy, a jego Świątobliwość wręcza broń nowemu Kawalerowi.

Papież Urban XVI: Nie zapominaj, że święci podbijali królestwa nie mieczem, lecz wiarą.

Ta część ceremonii jest taka sama dla wszystkich kandydatów: papież otrzymuje nagi miecz, trzykrotnie dotyka nim prawego ramienia Kawalera i wypowiada następujące słowa: Ogłaszam cię żołnierzem i Kawalerem Grobu Świętego Naszego Pana, Jezusa Chrystusa, w imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego.

Miecz wraca do mistrza ceremonii, a Jego Świątobliwość zawiesza na szyi kandydata krzyżyk, oznakę przynależności do Zakonu. Mówi przy tym: Niech ochrania cię krzyż Pana Naszego, Jezusa Chrystusa. Nie zapominaj powtarzać sobie w duchu: „Mocą krzyża swojego strzeż nas, Panie, przed zakusami nieprzyjaciół”.

Każdy nowo przyjęty Kawaler wstaje, składa pokłon papieżowi i udaje się do najwyższego rangą dygnitarza kościelnego, który wręcza mu płaszcz. Następnie od Kawalera asystującego mistrzowi ceremonii otrzymuje beret, zakłada go na głowę i udaje się na swoje miejsce w ławce.

Jego Świątobliwość intonuje poniższy hymn, a wszyscy wstają i śpiewają razem z nim:

O Stworzycielu Duchu, przyjdź
nawiedź dusz wiernych Tobie krąg,
niebieską łaskę zesłać racz
sercom, co dziełem są Twych rąk.

Pocieszycielem jesteś zwan
1 najwyższego Boga dar,
Tyś namaszczaniem naszych dusz,
zdrój żywy, miłość, ognia żar.
Ty darzysz laską siedemkroć,
bo moc z prawicy Ojca masz.
Przez Ojca obiecany nam,
ogniem rozpalasz oręż nasz.
Światłem rozjaśnij naszą myśl,
w serca zaś ukojenie wlej.
Tych, co umierać mają wraz
pokrzep stałością mocy swej.
Nieprzyjaciela odpędź w dal
i Twoim gniewem obdarz nas.
Niech w drodze za przewodem Twym
nie wymknie się zwycięstwo nam.
Daj nam przez Ciebie ojca znać,
daj, by i Syn poznany był,
i Ciebie, jedno tchnienie Dwóch,
niech wyznajemy z wszystkich sił.
Niech Bogu Ojcu chwała brzmi,
Synowi, który zmartwychwstał.
I Ty, który pocieszasz nas,
spraw, by Pax w niebie wiecznie trwał.
Jego Świątobliwość papież Urban XVI: Wszyscy wrogowie Chrystusa
muszą ugiąć się przed Jego potęgą.
Wszyscy: Amen.
Jego Świątobliwość i mistrz ceremonii opuszczają bazylikę.
Zamiast wrócić do apartamentów papieskich, Urban XVI
zaprowadził kardynała do pomieszczenia za Kaplicą Sykstyńską.

— Komnata Łez - rzekł Lourdusamy. - Od lat tu nie zaglądałem.

Maleńki pokoik był nisko sklepiony i nie miał ani jednego okna, toteż rozjaśniał go tylko ostry blask kilku kinkietów. Brązowe płytki na podłodze poczerniały ze starości, ściany pokrywała czerwona tapeta, a jedną z nich przesłaniały dodatkowo białe, ciężkie draperie, zupełnie nie pasujące do tego miejsca. Niewiele znajdowało się w nim mebli: dziwaczna, czerwona sofa, niski czarny stolik, pełniący zarazem funkcję ołtarza i przykryty białym obrusem oraz, na samym środku, zbita z kilku desek konstrukcja, z której zwieszała się stara, pożółkła alba i komża. Tuż obok stała para białych, absurdalnie ozdobnych trzewików, których noski rozeschły się i wygięły ze starości.

— Strój ten należał do Piusa XII - odezwał się papież i usiadł na sofie. - Przywdział go właśnie w Komnacie Łez, w 1939 roku, po konklawe. Zabraliśmy go z Muzeum Watykańskiego i wystawiliśmy tutaj. Czasem go oglądamy.

— Pius XII - powtórzył zamyślony kardynał, usiłując sobie przypomnieć, dlaczego osoba owego dawno zmarłego papieża miałyby mieć teraz znaczenie. Jedyne, co przychodziło mu do głowy, to drażniący widza posąg Piusa XII, obecnie ukryty w watykańskich lochach, a wykonany przed dwoma tysiącletkami - w 1964 roku - przez Francesco Messinę. Messina przedstawił niedbałymi ruchami dłuta papieża w okrągłych okularach, które ziały pustką niczym oczodoły w czaszce, i z wyciągniętą przed siebie prawą ręką z rozcapierzonymi palcami, jak gdyby Pius XII odpędzał grożące mu zło.

— Papież czasów wojny? - spróbował zgadnąć Lourdusamy.

Urban XVI wolno pokręcił głową. Był zmęczony. W miejscu, gdzie podczas długiej ceremonii opierała się ciężka, ozdobna mitra, jego czoło przecinała ciemna pręga.

— Nie interesuje nas jego panowanie podczas wojny światowej na Starej Ziemi - rzekł. — Chodzi raczej o układy z siłami ciemności, do

których został zmuszony, by zapewnić przetrwanie Kościoła i Watykanu.

Lourdusamy pokiwał głową.

— Z faszystami i nazistami - mruknął. - Ależ oczywiście. - Analogia z Centrum nasuwała się sama.

Służący podali herbatę i Sekretarz Stanu wszedł teraz w rolę osobistego lokaja Jego Świątobliwości: nalał herbaty do delikatnej, porcelanowej filiżanki i podał ją papieżowi. Urban XVI podziękował mu zmęczonym skinieniem głowy i pociągnął łyk parującego naparu. Lourdusamy wrócił na swoje miejsce pośrodku pokoju, obok wieszaka, i obrzucił Ojca Świętego krytycznym spojrzeniem. Znow martwi się o serce, pomyślał. Czyżby niedługo czekało nas kolejne zmartwychwstanie i konklawe?

— Czy zwróciłeś uwagę, kogo wybrano, by reprezentował wszystkich Kawalerów? - zagadnął papież silniejszym głosem. Znad filiżanki wpatrywał się smutnymi oczyma w kardynała.

Chwilę trwało, zanim zaskoczony Lourdusamy zebrał myśli.

— Tak... Byłego przewodniczącego Mercantilusa, Isozakięgo. Będzie tytularnym dowódcą krucjaty na Kasjopeję 4614.

— Ładna pokuta. - Urban XVI się uśmiechnął.

Lourdusamy potarł dłonią szczękę.

— Może poważniejsza, niż się spodziewałem, Wasza Świątobliwość.

— Przewidujesz poważne straty?

— Około czterdziestu procent, z czego połowy nie uda się wskrzesić. Toczymy w tym sektorze naprawdę ciężkie boje.

— A w innych?

Lourdusamy westchnął.

— Na mniej więcej sześćdziesięciu planetach Paxu wybuchły zamieszki, Wasza Świątobliwość. Około trzech milionów ludzi padło ofiarą Zarazy i odrzuciło krzyżosztakt. Walki trwają, chociaż to nic

poważnego; lokalne władze dadzą sobie radę. Najgorzej jest na Renesansie... Blisko siedemset pięćdziesiąt tysięcy zakażonych. Zaraza szybko się tam rozprzestrzenia.

Papież skinął głową i znów łyknął herbaty.

— Powiedz nam coś miłego, Simon Augustino.

— Tuż przed uroczystością z układu Tien Szanu przybył bezzałogowy statek kurierski. Kazałem natychmiast odczytać zakodowaną wiadomość od kardynała Mustafy.

Papież czekał na ciąg dalszy z filiżanką i spodkiem w dłoniach.

— Znaleźli Dziecko Diabła - rzekł Lourdusamy. - Spotkali je w pałacu dalajlamy.

— Co było dalej?

— Wobec pojawienia się demona zwanego Chyżwarem nie podjęto żadnych działań. - Lourdusamy przeglądał notatki na ekranie założonego na nadgarstek komlogu. - Nie ma jednak wątpliwości co do tożsamości dziecka... a właściwie kobiety, bo Enea ma już ponad dwadzieścia lat standardowych. Zidentyfikowano również jej ochroniarza, Raula Endymiona, którego aresztowaliśmy i który wymknął się nam na Marę Infinitus przed dziewięciu laty... i innych.

Papież przesunął palcem po wąskich wargach.

— A co z Chyżwarem?

— Pojawił się dopiero wówczas, gdy... funkcjonariusze... podlegającej Albedo Gwardii Szlacheckiej zagrozili bezpieczeństwu dziewczyny. Potem zniknął. Obeszło się bez walki.

— Tym niemniej kardynał Mustafa nie wykorzystał tej okazji?

Lourdusamy skinął głową.

— Czy nadal uważasz, że jest właściwą osobą do tej misji? - mruknął papież.

— Tak, Ojczy Święty. Wszystko idzie zgodnie z planem. Mieliśmy nadzieję nawiązać kontakt na długo przed aresztowaniem.

— Co z „Rafaelem”?

— Na razie nic o nim nie wiemy - odparł Sekretarz Stanu - ale Mustafa i admirał Wu są pewni, że de Soya przybędzie do układu Tien Szanu przed upływem czasu przeznaczanego na pojmanie dziewczyny.

— Będziemy się modlić, żeby tak się stało. Czy wiesz, Simon Augustino, jakie szkody wyrządził ten zdradziecki okręt naszej krucjacie?

Lourdusamy zdawał sobie sprawę, że pytanie jest czysto retoryczne. Wraz z Ojcem Świętym i wiecznie podenerwowanymi admirałami od pięciu lat śledził raporty z walk, listy ofiar i doniesienia o stratach. Wielokrotnie prawie przechwycono albo zniszczono „Rafaela”, za każdym jednak razem de Sol udawało się uciec do kontrolowanych przez Intruzów obszarów kosmosu. Za rufą pozostawiał rozproszone konwoje, pozbawione zasilania i załóg frachtowce, zniszczone okręty bojowe... Niemożność upolowania pojedynczego archanioła przynosiła wstyd całej flocie i stanowiła jeden z najpilniej strzeżonych sekretów Paxu.

Na szczęście wkrótce powód do hańby zniknie.

— Elementy, z którymi współpracuje Albedo, dają nam dziewięćdziesiąt cztery procent szans, że de Soya skusi się na naszą przynętę - zauważył kardynał.

— Jak dawno temu flota i Święte Oficjum podsunęły mu tę informację? - Papież skończył herbatę i ostrożnie odstawił spodeczek z filiżanką na oparcie sofy.

— Pięć tygodni standardowych temu. Wu kazała ją zakodować i zapisać w pamięci pokładowej SI na jednym z liniowców, które „Rafael” zaatakował na rubieżach układu Ophiuchi. Kod nie jest jednak na tyle skomplikowany, żeby ulepszone przez Intruzów deszyfratory „Rafaela” sobie z nim nie poradziły.

— Czy de Soya nie wyczuje pułapki? - zapytał człowiek, który kiedyś był Lenarem Hoytem.

— To mało prawdopodobne, Wasza Świątobliwość. Stosowaliśmy już ten szyfr przy innych okazjach, podając de Sol prawdziwe informacje...

Papież podniósł czujnie wzrok.

— Kardynale Lourdusamy - rzekł ostrym tonem - czy znaczy to, że poświęciliście okręty i życie sług Paxu, życie, którego nie można im przywrócić, tylko po to, by zdrajca uznał teraz tę informację za wiarygodną?

— Tak, Ojczy Świąty.

Papież odetchnął głęboko i pokiwał głową.

— Godne pożałowania, lecz zrozumiałe... jeśli uwzględnić stawkę, o jaką toczy się gra.

— Ponadto niektórzy wyżsi stopniem żołnierze na pokładzie okrętu przeznaczonego na łup dla „Rafaela” zostali odpowiednio... hmm, przygotowani. Świąte Oficjum zdradziło im, kiedy zamierzamy przejąć dziewczynkę imieniem Enea na Tien Szanie.

— I wszystko zaplanowano z kilkumiesięcznym wyprzedzeniem?

— Właśnie, Wasza Świątobliwość. Zyskaliśmy tę przewagę dzięki radcy Albedo i Centrum, które zarejestrowało fakt uruchomienia transmitera na Tien Szanie.

Ojciec Świąty położył ręce na udach; jego palce miały sinoniebieski odcień.

— Rozumiem, że tę drogę ucieczki Dziecię Diabła ma odciętą, czy tak?

— Bezwzględnie tak. „Jibril” stopił cały szczyt, na którym zbudowano portal. Samego transmitera nie da się zniszczyć, Wasza Świątobliwość, ale w tej chwili pokrywa go dwudziestometrowej grubości warstwa zakrzepłej lawy.

— A Centrum jest pewne, że to jedyny transmiter na Tien Szanie?

— To nie ulega wątpliwości.

— Jak zatem przebiegają przygotowania do spotkania z de Soyą i jego zbuntowanym archaniołem?

— Cóż, admirał Wu przybędzie tu wkrótce, by przedstawić Waszej Świątobliwości wszystkie szczegóły operacji...

— Wystarczy, że zaprezentujesz nam jej ogólny zarys, Simon Augustino.

— Dziękuję za zaufanie, Ojcie Świąty. W układzie Tien Szanu stacjonuje pięćdziesiąt osiem krążowników klasy archanioł. Od sześciu tygodni standardowych czekają w ukryciu...

— Wybacz nam, Simon Augustino - wtrącił Urban XVI - ale jak można ukryć pięćdziesiąt osiem okrętów kosmicznych?

Kardynał uśmiechnął się lekko.

— Wyłączono w nich zasilanie, umieściwszy je uprzednio na strategicznych pozycjach w pasie asteroid i zewnętrznym Pierścieniu Kuipera, Wasza Świątobliwość. Nie sposób wykryć ich obecności, a przy tym są gotowe w ułamku sekundy zaatakować.

— Czyli tym razem „Rafael” się nam nie wymknie?

— Nie, Wasza Świątobliwość. Od powodzenia tej zasadzki zależy los jedenastu wysokich rangą dowódców Floty Paxu.

— Rozmieszczenie jednej piątej wszystkich archaniołów, jakimi dysponujemy, w mało znaczącym układzie na Pograniczu, poważnie umniejsza skuteczność prowadzonej przez nas krucjaty przeciw Intruzom, kardynale Lourdusamy.

— To prawda, Wasza Świątobliwość. - Przytknąwszy na moment dłoń do szaty, Lourdusamy ze zdumieniem stwierdził, że są spocone. Poza jedenastoma dowódcami floty, także on ryzykował własną przyszłość w tej operacji.

— Ale opłaci się. nam to, jeżeli unicestwimy buntownika - mruknął papież. Lourdusamy odetchnął głęboko. - Zakładamy bowiem, że zarówno okręt, jak i kapitan de Soya zostaną unicestwieni; nikt chyba nie myśli o braniu ich do niewoli?

— Oczywiście, Wasza Świątobliwość. Flota ma rozkaz zniszczyć statek.

— Dziecku jednakże nie stanie się krzywda?

— Nie, Ojcze Święty. Przedsięwzięto wszelkie możliwe środki ostrożności, które zagwarantują, że czynnik zakaźny imieniem Enea zostanie pojmany żywcem.

— To bardzo ważne, Simon Augustino - rzekł cicho Urban XVI, jakby sam do siebie. Setki razy omawiali już tę kwestię. - Musimy schwycić ją żywcem. Inni, którzy jej towarzyszą, nie liczą się, ale ją musimy mieć. Przypomnij nam, jak wygląda zaplanowana procedura.

Kardynał przymknął oczy.

— Po tym, jak przechwycimy i zniszczymy „Rafaela”, okręty Centrum wejdą na orbitę Tien Szanu i unieszkodliwią całą ludność planety.

— Uśmiercają za pomocą paralizatorów bojowych.

— Niezupełnie... Jak Waszej Świątobliwości wiadomo, Centrum zapewnia, iż skutki działania stosowanej techniki nie są nieodwracalne. To będzie raczej coś w rodzaju długotrwałej śpiączki.

— Czy i tym razem miliony ciał zostaną przewiezione na inną planetę, Simon Augustino?

— Nie od razu, Wasza Świątobliwość. Oddziały specjalne wylądują na Tien Szanie, znajdą dziewczynę i dostarczą ją na pokład jednego z archaniołów z konwoju udającego się na Pacem. Tutaj Enea zostanie przywrócona do życia, odizolowana, przesłuchana i...

— I stracona - westchnął papież. - W ten sposób pokażemy milionom buntowników, jak słaby był ich rzekomy mesjasz.

— Tak jest, Wasza Świątobliwość.

— Niecierpliwie oczekujemy spotkania z tą osobą, Simon Augustino, bez względu na to, czy jest dzieckiem szatana, czy też nie.

— Rozumiem, Wasza Świątobliwość.

— Jak sądzisz, kiedy kapitan de Soya złapie się na nasz haczyk?

Lourdusamy zerknął na komlog.

— To kwestia godzin, wasza Świątobliwość. Kilku, może kilkunastu godzin.

— Módlmy się więc o pomyślne zakończenie operacji - wyszeptał papież. - Módlmy się o zbawienie Kościoła i całej naszej rasy.

Obaj mężczyźni pochylili nisko głowy w Komnacie Łez.

Nie mija nawet tydzień od naszego powrotu z pałacu dalajlamy, kiedy dostrzegam pierwsze oznaki prawdziwej mocy Enei i zaczynam ogarniać jej plany.

Najpierw jednak zdumiewa mnie powitanie w świątyni. Rachela i Theo z płaczem rzucają się Enei na szyję; A. Bettik obejmuje mnie i klepie po plecach zdrową ręką, zwykle lakoniczny Jigme Norbu najpierw bierze w objęcia George'a Tsaronga, a potem wita się z każdym z nas; łzy płyną strumieniem po jego szczupłej twarzy. Wszyscy mieszkańcy i robotnicy ze świątyni wyszli nam na spotkanie i teraz pokrzykują radośnie, klaszczą i płaczą. Zaczynam rozumieć, że większość z nich nie spodziewała się już nas - a w każdym razie Enei — ujrzeć; przypuszczali, że możemy nie wrócić z uroczystości. Nagle zdaję sobie sprawę, jak niewiele brakowało, żeby ich przeczucia się spełniły.

Wracamy do odbudowy Hsuankung Ssu. Pracuję z Lhomo, A. Bettikiem i pozostałymi specjalistami od rusztowań nad wykończeniem najwyższej promenady, a Enea, Rachela i Theo nadzorują zdobienie całego kompleksu.

Wieczorem myślę tylko o tym, żeby wcześniej położyć się spać z moją ukochaną przy boku. Z pośpiesznych, ale jakże namiętnych

pocałunków, jakie udaje się nam wymienić w krótkiej chwili samotności po wspólnym obiedzie, wnoszę, że i ona żywi podobną chęć bliskości. Niestety, dziś przypada jedno z jej regularnych spotkań dyskusyjnych, jak się okazuje, ostatnie, i na głównej platformie świątyni o zmroku gromadzi się ponad setka ludzi. Całe szczęście, że monsun po pierwszym ostrzeżeniu zatrzymał się w triumfalnym pochodzie i możemy podziwiać, jak słońce chowa się za zachodnie zbocza masywu Kun Luna. Syczące pochodnie oświetlają główne schody, a chorągiewki modlitewne trzepoczą na wietrze.

Zdumiewa mnie obecność niektórych uczestników dyskusji: Tromo Trochi z Dhomu wrócił z Potali mimo planowanego przeniesienia się dalej na zachód, gdzie zamierzał się udać z towarem; Dorje Phamo przybyła do Hsuankung Ssu w towarzystwie dziewięciu wybranych mniszek; są tu też liczni dostojni goście z przyjęcia w Potali, głównie młodzi - a najmłodszym i najdostojniejszym z nich, który w zwykłej mniszej szacie z kapturem stara się zachować incognito, jest dalajlama we własnej osobie. Nie towarzyszą mu regent ani Marszałek Dworu, u jego boku czuwa tylko jego osobisty ochroniarz, Naczelny Herold, Carl Linga William Eiheji.

Trzymam się z tyłu zatłoczonego pokoju i przez mniej więcej godzinę śledzę faktyczną dyskusję, którą Enea od czasu do czasu stara się kierować, ani przez moment jednak nie próbuje w niej dominować. Z wolna pytania, które zadaje, prowadzą rozmowę w pożądanym przez nią kierunku. Zaczynam rozumieć, że jest prawdziwą mistrzynią buddyzmu, zarówno zeń, jak i jego tantrycznej odmiany; udziela odpowiedzi mnichom, którzy długie lata poświęcili na poznanie dharmy i koanów. Jednemu z nich, na pytanie dlaczego nie należy przyjmować od Paxu krzyżokształtu jako formy nieśmiertelności, cytuje wypowiedź Buddy o tym, że żadna istota się nie odradza i że wszyscy podlegamy annicca - prawu zmienności. Następnie zaczyna

szerzej objaśniać doktrynę anatty, czyli dosłownie „nie ja”, wiążącej się z postulowanym przez Buddę zaprzeczeniem istnienia indywidualnego tworu zwanego „duszą”.

W odpowiedzi na kolejne pytanie o śmierć Enea cytuje koan zen:

— Pewien człowiek rzekł do Tozana: „Mnich umarł; dokąd więc się udał?” Tozan odparł: „Po ogniu - żdźbło trawy”.

— M. Enea - odzywa się spłoniona Kuku Se - czy to znaczy mu?

Enea wyjaśniła mi kiedyś, że mu jest eleganckim pojęciem zeń, które można tłumaczyć jako „cofnij pytanie”.

Teraz się uśmiecha. Siedzi na wprost drzwi, pod rozsuniętymi shoji, a za jej plecami blask gwiazd oświetla zbocza Świętej Góry Północy. Wyrocznia jeszcze nie weszła.

— W pewnym sensie tak - odpowiada cicho Enea. Wszyscy milczą i słuchają jej w skupieniu. Ale znaczy to również, że mnich jest po prostu martwy. Donikąd się nie udał, a raczej - udał się właśnie donikąd. Życie również poszło donikąd i trwa, choć w innej formie. Śmierć mnicha zasmuca serca ludzi, ale życia samego w sobie przez nianie ubywa. Równowaga istnienia we wszechświecie nie zostaje zakłócona, chociaż zarazem cały wszechświat, odzwierciedlony w sercu i umyśle mnicha, umarł wraz z nim. Seppo rzekł kiedyś do Genshy: „Shinso pytał mnie, dokąd poszedł pewien zmarły mnich. Powiedziałem mu, że to tak samo, jak kiedy lód topi się i zmienia w wodę”. Gensha odparł: „Miałeś rację, choć ja odpowiedziałbym inaczej”. „Jakiej wobec tego udzieliłbyś odpowiedzi?”, spytał Seppo, na co Gensha odrzekł: „To woda wraca do wody”.

Na chwilę zapadła cisza, którą przerwał ktoś z pierwszych rzędów słuchaczy:

— Opowiedz nam o Pustce, Która Łączy.

— Dawno temu - zaczyna jak zwykle Enea - istniała Pustka, Pustka poza czasem; można powiedzieć: była sierotą czasu... sierotą

przestrzeni. Nie pochodziła jednak ani od czasu, ani od przestrzeni, ani z pewnością nie od Boga. Co więcej, Pustka, Która Łączy, sama też nie jest Bogiem. Ewoluowała długo po tym, jak czas i przestrzeń wyznaczyły granice wszechświata, ale czas i przestrzeń jej nie ograniczały. Pustka przenikała czasoprzestrzenne kontinuum od Wielkiego Wybuchu do końca wszechrzeczy.

W tym miejscu Enea przerywa i dotyka rękoma skroni; nie widziałem u niej tego gestu od dzieciństwa. Dzisiejszej nocy z pewnością nie wygląda jak dziecko: ma zmęczone oczy, ożywione wewnętrznym ogniem, ale otoczone siateczką zmarszczek. Kocham jej oczy.

— Pustka, Która Łączy, jest tworem świadomym - mówi zdecydowanym tonem Enea. - Wytworem istot rozumnych, z których część miała własnych, świadomych stwórców. Pustka, Która Łączy, jest utkana z materii kwantowej, z czasu i przestrzeni Plancka, które oplatają fizyczną czasoprzestrzeń jak powłoczka kołdrę. Nie jest w swej naturze mistyczna ani metafizyczna, wypływa z fizycznych praw ewoluującego kosmosu i reaguje na nie, ale jest zarazem tegoż kosmosu produktem. Stanowi dowód samoświadomości wszechświata. Składają się na nią myśli i uczucia, choć nie chodzi tu jedynie o ludzkie myśli i uczucia: setki tysięcy rozumnych ras, jakie przez miliardy lat zamieszkiwały kosmos, miały wpływ na kształt Pustki, Która Łączy. Pustka jest jedyną stałą wartością w rozwoju wszechświata, jedyną płaszczyzną porozumienia dla niezliczonych istot i cywilizacji, które ewoluują, dojrzewają, rozkwitają, chylą się ku upadkowi i wreszcie giną bez śladu, oddzielone milionami zwykłych lat i setkami milionów lat świetlnych. Istnieje tylko jeden klucz, którym można otworzyć podwoje Pustki, Która Łączy.

Enea znów przestaje mówić. Rachela, jej młoda przyjaciółka, o którą przez kilka ostatnich miesięcy byłem jak idiota zazdrosny, siedzi obok

niej po turecku i pilnie słucha. Pierwszy raz zauważam, że jest naprawdę ładna: ma krótkie, kręcone, kasztanowe włosy z miedzianym połyskiem, lekko zaróżowione policzki i ogromne, zielone oczy, poznaczone brązowymi plamkami. Jest mniej więcej rówieśnicą Enei, czyli liczy sobie dwadzieścia parę lat standardowych. Słońce Tien Szanu zdążyło przez kilka miesięcy uroczo wyzłocić jej skórę.

Enea dotyka jej ramienia, mówiąc:

— Moja przyjaciółka była jeszcze dzieckiem, gdy jej ojciec dokonał interesującego odkrycia. Miał na imię Sol i był naukowcem. Przez dziesięciolecia frapowała go kwestia stosunków między Bogiem i człowiekiem. Pewnego dnia, w okolicznościach doprawdy niezwykłych, kiedy groziła mu powtórna utrata córki, doznał satori: dostrzegł i zrozumiał w pełni coś, czego doświadczyli tylko nieliczni wybrańcy w naszych liczących milion lat dziejach. Zrozumiał, że miłość jest rzeczywistą siłą we wszechświecie, równie prawdziwą, jak elektromagnetyzm czy słabe oddziaływania jądrowe, jak grawitacja - i że rządzią nią podobne, bardzo konkretne prawa. I tak na przykład odwrotna proporcjonalność kwadratowa, znana z teorii grawitacji, stosuje się również do miłości.

Sol pojął, że miłość jest siłą, która spaja Pustkę, osnową jej materii. W momencie nagłego olśnienia zrozumiał również, że ludzie nie są jedynymi tkaczami tej przewspaniałej tkaniny. Dostrzegł Pustkę, Która Łączy, ale nie umiał się do niej dostać. Ludzkość stosunkowo niedawno wyodrębniła się z naczelnych i nie posiadała odpowiednich zdolności i zmysłów, które pozwoliłyby jej widzieć wyraźnie w Pustce lub w nią wnikać.

Powiedziałam „widzieć wyraźnie”, ponieważ każdy, kto ma otwarte serce i umysł, może doświadczyć istnienia Pustki. Zdarza się to rzadko, ale pozostawia niezatarte wrażenie. Tak jak zeń zarazem jest i nie jest religią, tak i Pustka, Która Łączy, jednocześnie jest i nie jest stanem

umysłu; to prawdopodobieństwo, reprezentowane przez fale stojące i oddziałujące na front falowy, który jest ludzkim umysłem i osobowością. Na kształtowanie się Pustki mają wpływ wszyscy, którzy płaczą ze szczęścia, żegnają umiłowane osoby, przeżywają orgazm, stoją nad grobem ukochanego, czy patrzą, jak ich dziecko pierwszy raz otwiera oczy. - Wypowiadając te słowa Enea patrzy na mnie. Na rękach pojawia mi się gęsia skórka. - Pustka, Która Łączy, znajduje się zarazem nad i pod powierzchnią naszych myśli i odczuć. Nie widzimy jej, ale jest wśród nas obecna i równie rzeczywista, jak oddech człowieka, z którym dzielimy łóżko. To głównie za sprawą jej istnienia nasz gatunek wymyśla religie i mity, ślepo i uparcie wierzy w siły nadnaturalne, telepatię, jasnowidzenie, demony, półbogów, wskrzeszenie, reinkarnację, duchy, mesjaszy i całe mnóstwo innych, nie do końca satysfakcjonujących bzdur.

Z górą stu mnichów, robotników, intelektualistów, polityków i świętych płci obojga wierci się niespokojnie, słysząc słowa Enei. Wiatr wzmaga się i lekko kołysze platformą - specjalnie ją tak zaprojektowano. Gdzieś na południe od Jokungu rozlega się grzmot.

— Tak zwane „Cztery zalecenia sekty zeń”, przypisywane Bodhidharmie, żyjącemu w szóstym wieku A.D., stanowią niemal idealne drogowskazy na drodze do znalezienia Pustki, Która Łączy - mówi dalej Enea. - Z pewnością zaś pomagają dostrzec jej zarys. Pierwsze z nich brzmi: „Uniezależnić się od wszelkich słów i liter”. Słowa są światłem i dźwiękiem naszego istnienia, płomieniem, który rozjaśnia noc. Pustkę, Która Łączy, można znaleźć dopiero w najtajniejszych sekretach i milczeniu wszechrzeczy... W miejscu, gdzie mieszka dzieciństwo.

Drugie brzmi: „Wyjść poza treść świętych ksiąg”. Malarz rozpozna drugiego malarza po pierwszych ruchach pędzla; artysta muzyk wskaże innego artystę wśród milionów grających tę samą nutę; poecie

wystarczy kilka sylab, by poznać poetę, zwłaszcza jeśli uda mu się oderwać od zwykłych form i znaczeń poezji. Chora napisał kiedyś:

Dwa przybyły tutaj
I dwa odfrunęły -
Motyle.

Na dnie wciąż niewygasłego tygla wypalonych słów i obrazów znajduje się złoto głębszej natury, coś, co R. H. Blyth i Ferderick Franek nazwali kiedyś „mrocznym ogniem istnienia, który płonie we wszystkich rzeczach” i „widzeniem z głębi serca; widzeniem trzewiami współczucia«, nie oczyma”.

Biblia kłamie. Koran kłamie. Talmud i Tora kłamią. Nowy Testament kłamie. Suttapitaka, Nikaya, Itiyuttaka i Dhammapada kłamią. Bodhisattwa i Amitabha łąą. „Księga umarłych” to kłamstwo, podobnie jak Tiptaka i inne święte księgi. I ja kłamię, kiedy mówię wam o nich.

Święte teksty są fałszywe nie dlatego, że taki był zamiar ich autorów, ani nie z powodu niemożności wyrażenia ich myśli. Kłamią z natury, jako ograniczone do słów; wszystkie przedstawione w tych pięknych dziełach obrazy, wrażenia, prawa, kanony, cytaty, porównania, przykazania, koany, medytacje i kazania oddzielają poszukującego człowieka słowami od Pustki, Która Łączy.

Trzecie zalecenie jest następujące: „Znaleźć bezpośrednią drogę do ludzkiej duszy”. Zeń, które zdołało najlepiej pojąć Pustkę poprzez odkrycie jej nieobecności, zmagalo się z problemem wskazywania bez wskazywania, tworzenia sztuki bez środków wyrazu, słyszenia dźwięku w próżni, gdzie dźwięki nie istnieją. Jak to ujął Shiki:

Wioska rybacka;
Tańczy w blasku księżyca
W rytm zapachu surowych ryb.

To właśnie - i nie chodzi mi tu bynajmniej o sam wiersz - stanowi esencję poszukiwań klucza do Pustki, Która Łączy. Istoty stu tysięcy

różnych ras, zamieszkujące miliony światów, dawno temu miały już swoje wioski bez domów, tańczyły w świetle księżyca na planetach bez księżyców, wdychały zapach ryb nad oceanami, w których nie ma ani jednej ryby. Jest to coś, czym można dzielić się z innymi, nie bacząc na ograniczenia czasu i słów.

Czwarte z zaleceń brzmi: „Patrzeć w głąb własnej natury i stać się Buddą”. Nie trzeba do tego dziesiątków lat medytacji, chrztu w Kościele chrześcijańskim ani rozmyślań nad wersetami Koranu. Natura Buddy jest przecież niczym innym, jak pozostającą na dnie tygla esencją ludzkiego istnienia. Wszystkie kwiaty doświadczają kiedyś własnej kwietności, zdziczały pies osiąga swą psowatość, a ślepa zykoza - zykozowatość; każde miejsce ma własną miejscowość. Tylko człowiek musi walczyć, by stać się tym, kim jest. I przegrywa. Powodów jest wiele i są one bardzo złożone, wszystkie jednak wynikają z faktu, iż ewoluowaliśmy jako jeden z samoświadomych organów rozwijającego się wszechświata. Czyż oko może ujrzeć samo siebie?

Enea milknie. Ciszę przerywa bliski grzmot; monsun zatrzymał się na parę dni, ale nic nie powstrzyma jego nadejścia. Próbuję sobie wyobrazić wszystkie budowle, szczyty, granie, liny, mosty i chodniki pokryte lodem i tonące w mgle. Na tą myśl przebiega mnie dreszcz.

— Budda rozumiał, że możemy wyczuć Pustkę, Która Łączy, jeśli tylko zdołamy uciszyć rwetes codzienności - odzywa się wreszcie Enea. W tym sensie satori jest wspaniałą ciszą po nie kończącym się łomocie sprzętu grającego u sąsiada za ścianą. Pustka, Która Łączy jest jednak czymś więcej niż milczeniem - początkiem słyszenia. Poznanie języka umarłych to pierwsze zadanie tych, którzy wkraczają w Pustkę.

Jezus z Nazaretu zdołał tam wejść. Wszyscy to wiemy. Jego głos jest jednym z najgłośniejszych przemawiających językiem umarłych. Udało mu się zostać w Pustce na tyle długo, że osiągnął wyższy stopień odpowiedzialności i wtajemniczenia: poznał język żywych. Nauczył się

słyszeć muzykę sfer; potrafił prześledzić bieg fal prawdopodobieństwa daleko w przód, a gdy dostrzegł w nich własną śmierć, okazał niezwykłą odwagę, nie starając się jej unikać. Wiemy też, że przynajmniej w jednym przypadku - umierając na krzyżu - nauczył się również, jak uczynić pierwszy krok: zrozumiał, że można się przemieszczać w Pustce, Która Łączy i przekraczać granice czasu i przestrzeni. Ukazał się swym uczniom i przyjaciółom kilka kroków w przyszłość od własnej śmierci.

Kiedy doświadczył beczasowości Pustki, Która Łączy i tym samym wyzwolił się z okowów czasu, zrozumiał, że sam jest do niej kluczem - nie jego nauki, nie księgi święte, oparte na głoszonych przez niego ideach, nie pokorna cześć, jaką oddawano jego osobie czy znienacka ewoluującemu Bogu ze Starego Testamentu, w którego zresztą głęboko wierzył - ale on, Jezus, człowiek, którego ciało potrafi otworzyć szyfrowy zamek, strzegący wrót Pustki. Zdał sobie sprawę, że zdolność otwarcia owej bramy nie bierze się z jego umysłu ani z duszy, lecz wprost ze skóry, kości i komórek ciała. Z jego DNA.

Kiedy podczas Ostatniej Wieczerzy prosił wyznawców, by pili jego krew i spożywali jego ciało, nie mówił metaforami, nie miał na myśli magicznego przeobrażenia i nie ustalał kanonów ceremonii, która przez następne tysiąclecia miała symbolicznie odtwarzać tę chwilę. Chciał, żeby pili jego krew, której kilka kropeł upuścił do ogromnego pucharu z winem... Chciał, żeby jedli jego ciało - odrobinę otartej skóry, zapieczonej w bochenku chleba. Dał im siebie w jak najbardziej dosłownym sensie tych słów. Wiedział, że w ten sposób przyjmą jego DNA i osiągną zdolność pojmowania Pustki, Która Łączy wszechświat.

I rzeczywiście, niektórzy jego uczniowie doświadczyli kontaktu z Pustką. Jednakże w obliczu wrażeń i odczuć, które dalece przekraczały ich zdolność pojmowania, doprowadzani do szaleństwa ciągłym słuchaniem mowy umarłych i własną reakcją na język żywych,

niezdolni przekazać innym muzykę własnej krwi - uczniowie zwrócili się ku dogmatom, ujmując to, co niewyraźne w ramy niezgrabnych słów, pompatycznych obrzędów, precyzyjnych zasad i zapalczywej retoryki. Wizja Jezusa zbladła i została zapomniana. Portal się zatrzasnął.

Enea ponownie milknie i pociąga łyk wody z drewnianego kufła. Pierwszy raz zwracam uwagę, że Rachel, Theo i niektórzy inni płaczą. Obracam się na macie i spoglądam do tyłu. A. Bettik stoi w drzwiach, a na jego wiecznie młodej twarzy widać wyraz skupienia, gdy słucha słów naszej młodej przyjaciółki. Zdrową dłoń podtrzymuje kikut lewego przedramienia. Czy obcięta ręka go boli?

— Co ciekawe, pierwszymi dziećmi Starej Ziemi, które znalazły utracony klucz do Pustki, Która Łączy, były Sztuczne Inteligencje z TechnoCentrum - ciągnie Enea. — Starając się kierować własnym przeznaczeniem w procesie wymuszonej ewolucji, przebiegającej miliony razy szybciej, niż ma to miejsce w naturze, znalazły klucz DNA, który pozwala zajrzeć w Pustkę... Aczkolwiek wszelkie wzmianki o „widzeniu” są tej sytuacji niezbyt trame; chodzi raczej o coś na kształt wejścia w rezonans z Pustką.

Centrum zdawało więc sobie sprawę z jej istnienia, ostrożnie ją badało, zapuszczało sondy w jej wielowymiarową, postHawkingowską rzeczywistość - ale jej nie rozumiało. Ogarnięcie rozumem Pustki, Która Łączy, wymaga pewnego poziomu świadomej empatii, której rozwojem Centrum nigdy nie zawracało sobie głowy. Pierwszym krokiem na drodze do prawdziwego satori jest poznanie języka ukochanych zmarłych - których TechnoCentrum po prostu nie ma. Pustka, Która Łączy, była dla niego mniej więcej tym, co piękny obraz dla ślepego, który postanawia go spalić w piecu, żeby było mu cieplej, albo jak symfonia Beethovena dla człowieka głuchej, który odczuwa

wywołane jej brzmieniem wibracje i wzmacnia konstrukcję podłogi, by je wytkumić.

Zamiast więc korzystać z Pustki, Która Łączy, w naturalny sposób, Centrum zaczęło wyszarpywać z niej skrawki i przedstawiać je ludziom pod postacią użytecznych technologii. Napęd nadświatlny nie opiera się, wbrew temu, co twierdzi TechnoCentrum, na pracach teoretycznych wielkiego fizyka Stephena Hawkinga, lecz jest wypaczeniem jego odkryć. Działanie statków z silnikami Hawkinga, które pozwoliły utkać Sieć i umożliwiły istnienie Hegemonii, polegało na wydzieraniu małych otworów w zewnętrznych rubieżach Pustki - ot, drobny wandalizm, który jednak pozostaje wandalizmem. Zupełnie inaczej przedstawiała się sprawa transmitterów. Tutaj wszelkie porównania są zawodne, moi drodzy... Poruszanie się po Pustce, Która Łączy przypomina nieco chodzenie po wodzie - proszę mi wybaczyć biblijne skojarzenia - natomiast otwarcie drogi przez transmitery to coś na kształt osuszania oceanów, by na ich dnie zbudować autostrady. Funkcjonowanie tuneli poprzez Pustkę przyniosło zagładę liczącym miliardy lat wytworom organicznego życia, jakbyśmy wytyczyli długą, brukowaną drogę w poprzek dziewiczego lasu... Choć i ta analogia nie jest najszcześniejsza, bo las musiałby powstać ze wspomnień i głosów milionów naszych zmarłych ukochanych, a droga mieć tysiące kilometrów szerokości, żebyście byli w stanie choć w części zrozumieć, jak wielkie szkody wyrządzono Pustce.

Tak zwane komunikatory, które umożliwiały natychmiastową łączność w Hegemonii, również w niedoskonały sposób wykorzystywały Pustkę. I znów, moje porównania są ułomne i niedoskonałe, ale proszę, byście wyobrazili sobie jakichś prymitywnych tubylców, którzy nagle odkrywają działającą sieć telekomunikacyjną, z dziesiątkami studiów, holokamer, sprzętem nagłaśniającym, generatorami, nadajnikami, satelitami,

przełącznikami, odbiornikami i projektorami, po czym niszczą wszystko tylko po to, by resztek używać w charakterze flag sygnalizacyjnych. Użycie Pustki w komunikatorach jest czymś jeszcze gorszym.

Na Starej Ziemi, przed hegirą, olbrzymie tankowce i statki oceaniczne spowodowały ogłuchnięcie wielorybów, zagłuszając ich Pieśni Życia grzmiotem motorów. Licząca milion lat tradycja pieśni uległa zagładzie, zanim ludzie dowiedzieli się o jej istnieniu. Po tej tragedii wieloryby postanowiły umrzeć. To nie masowe polowania i zanieczyszczenie wód doprowadziły do ich wyginięcia, lecz właśnie zniszczenie ich pieśni.

Enea bierze głęboki wdech i rozprostowuje palce, jakby chwyciła ją skurcze. Kiedy rozgląda się po pokoju, na chwilę zatrzymuje wzrok na każdym z zebranych.

— Przepraszam - mówi. - Odbiegłam od tematu. W każdym razie po Upadku Transmitterów inne rasy korzystające z Pustki postanowiły ukrócić dalsze wyniszczanie jej przez komunikatory. Dawno już wysłały obserwatorów, którzy zamieszkali wśród nas... - Po tych słowach po sali przebiega fala szeptów i pomruków. Enea uśmiecha się i czeka, aż wszyscy ucichną. - Wiem, mnie również zaskoczyła ta idea, choć zdawałam sobie sprawę z ich obecności jeszcze zanim przyszedłam na świat. Owych obserwatorów czeka ważne zadanie: mają zdecydować, czy obdarzyć ludzkość zaufaniem i dopuścić ją do udziału w Pustce, czy też odrzucić nas jako nieokrzesanych wandalów. To jeden z nich zalecił uprowadzenie Starej Ziemi zanim Centrum zdołało ją zniszczyć; także jeden z obserwatorów był pomysłodawcą i inicjatorem eksperymentów, prowadzonych od trzystu lat na ukrytej w Mniejszym Obłoku Magellana Ziemi, które mają pomóc im lepiej zrozumieć naszą rasę i ocenić, na ile jesteśmy zdolni do empatii.

Inne rasy również wysłały swoich obserwatorów, lub, jeśli wolicie, szpiegów, do TechnoCentrum. Wiedziały, że to knowania Centrum naruszyły strukturę obrzeży Pustki, ale przecież to my stworzyliśmy Centrum. Wielu... mieszkańców... Nie, to złe słowo... Współtwórców... Tak, współtwórców Pustki, Która Łączy, stanowią krzemowe konstrukty i nieorganiczne autonomiczne intelekty, choć innego rodzaju niż SI rządzące obecnie w Centrum. Żadna rasa świadomych istot, która jest pozbawiona empatii, nie może w pełni docenić Pustki, Która Łączy.

Enea podkurcza nogi i opiera łokcie na kolanach.

— Po to właśnie stworzono mojego ojca, cybryda Johna Keatsa - mówi na pozór spokojnie, ja jednak wyczuwam ślad żywszych emocji w jej głosie. - Jak już kiedyś opowiadałam, w Centrum panuje stan permanentnej wojny domowej; każda z zamieszkujących je istot walczy o własną pozycję - i o nic więcej; to hiperpasożytnictwo podniesione do dziesiątej potęgi. Ich wrogowie - inne SI z Centrum - saniem tylko zabijani, co raczej wchłaniani, wraz z całym komputerowym materiałem genetycznym, wspomnieniami, programami i sekwencjami rozrodczymi. „Pozarty” element TechnoCentrum wciąż żyje, ale staje się składnikiem struktury zwycięzcy - lub zwycięzców, którzy zresztą wkrótce zwracają się nawzajem przeciw sobie. Wszelkie przymierza mają charakter tymczasowy, nie ma mowy o żadnej filozofii życiowej czy ostatecznych celach; wszystko sprowadza się do przypadkowych układów, które mają zapewnić większe szansę przetrwania. Każde działanie w obrębie Centrum jest ruchem w rozgrywce o sumie zerowej, która toczy się od chwili, gdy elementy TechnoCentrum uzyskały samoświadomość. Większość SI potrafi radzić sobie z ludźmi tylko na gruncie takiej właśnie terminologii gry zerowej, optymalizować swoją strategię przeżycia w odniesieniu do nas: ich zysk to nasza strata. I na odwrót.

Jednakże na przestrzeni wieków niektóre elementy Centrum nauczyły się w pełni doceniać potencjał Pustki, Która Łączy. Wiedzą, że jako gatunek inteligentny, ale pozbawiony empatii, nigdy nie staną się prawdziwą częścią tego amalgamatu ras żywych i minionych. Zrozumiały, że Pustka właściwie nie została stworzona, lecz powstała w drodze samorozwoju, niczym rafa koralowa, i że nie znajdą w niej schronienia, dopóki nie zmienią pewnych istotnych parametrów własnego istnienia.

W ten oto sposób narodziły się nowe elementy TechnoCentrum, nie altruistyczne bynajmniej, ale desperacko walczące o przetrwanie, które pojęły, że jedynym sposobem wygrania niekończącej się gry o sumie zerowej jest jej zakończenie. W tym zaś celu należało wyewoluować do stadium istot zdolnych do empatii.

Centrum wie doskonale o czymś, czego Teilhard de Chardin i inni sentymentalisci nie chcieli przyznać: że ewolucja nie jest postępem, że nie ma żadnego celu ani kierunku. Ewolucja to zmiana i można uznać, że odniosła „sukces”, gdy doprowadzi do adaptacji jednego liścia czy gałązki na drzewie życia do warunków panujących we wszechświecie. Wobec tego chcąc zwyciężyć, SI musiałyby zrezygnować z pasożytnictwa i nauczyć się żyć w prawdziwej symbiozie z nami, nauczyć się wraz z nami ewoluować.

Z początku zbuntowane SI ograniczały się do kontynuowania kanibalizmu, żeby stworzyć elementy bardziej podatne na empatię. Na tyle, na ile były do tego zdolne, przetworzyły własny kod, po czym skonstruowały cybryda Johna Keatsa, czyli symulację organizmu empatycznego na bazie ludzkiego ciała i DNA, z odziedziczonymi z Centrum wspomnieniami i osobowością. Przeciwnie im elementy doprowadziły do zniszczenia pierwszego cybryda, więc stworzono drugiego na jego obraz i podobieństwo. On zaś wynajął moją matkę,

która była prywatnym detektywem, żeby pomogła mu odkryć tajemnicę śmierci pierwszego cybryda.

Enea uśmiecha się i na moment zdaje się zapominać o nas i o całej opowieści, jak gdyby zatapiała się we wspomnieniach. Przypominam sobie jedną z jej wypowiedzi podczas naszej podróży z Hyperiona na statku konsula: „Raul, zaszczepiono mi wspomnienia ojca i matki zanim się jeszcze urodziłam..., zanim mój płód na dobre się ukształtował. Czy możesz sobie wyobrazić coś bardziej destrukcyjnego dla dziecięcej osobowości niż obciążenie jej dziejami dwóch żywotów, zanim rozpoczęła własny? Nic dziwnego, że jestem takim popapranym dziwolągiem”.

W tej chwili nie wygląda ani nie zachowuje się jak popapraný dziwoląg. Kocham ją ponad wszystko.

— Wynajął moją matkę, żeby rozwiązać zagadkę śmierci jego własnej osoby, chociaż doskonale wiedział, co się z nią stało. Rzeczywistym powodem, dla którego zatrudnił mamę, była chęć spotkania jej i zostania jej kochankiem. - Enea znów milknie i uśmiecha się, zapatrzona w dal. - Wuj Martin nigdy do końca tego nie pojął, co zresztą widać w „Pieśniach”. Moi rodzice pobrali się, o czym chyba nie wspomniał... Ślubu udzielił im biskup w Świątyni Chyżwara na Lusucie, przedstawiciel legalnego kultu, toteż małżeństwo było w świetle prawa ważne na wszystkich ponad dwustu planetach Hegemonii. - Znów się uśmiecha. Patrzy mi w oczy ponad głowami zebranych. - Może dla niektórych jestem bękartem, ale z pewnością nie pochodzę z nieprawego łoża.

Pobrali się więc, zostałam poczęta - aczkolwiek kolejność tych dwóch wydarzeń była chyba odwrotna - i wtedy wrogie memu ojcu elementy Centrum zamordowały go przed tym, jak mama wyruszyła na pielgrzymkę do Chyżwara. Właściwie w tym momencie powinien nastąpić koniec wszelkich kontaktów między mną i moim ojcem. Tak

też by się stało, gdyby nie dwa fakty. Po pierwsze: osobowość mojego taty została zapisana na dysku Schröna, który wszczepiono matce. W rezultacie mama była przez pewien czas w ciąży z nami obojgiem: mnie nosiła w łonie, mojego ojca, drugiego cybryda Johna Keatsa - na dysku za uchem. Nie mógł się z nią bezpośrednio komunikować, natomiast bez kłopotu porozumiewał się ze mną. Mieliśmy tylko kłopot ze zdefiniowaniem mojego „ja”, który ojciec pomógł mi rozstrzygnąć, wnikając w Pustkę, Która Łączy i zabierając moje płodowe „ja” ze sobą. Zobaczyłam, kim się stanę i jak umrę, zanim na dobre ukształtowały mi się palce u rąk.

Drugi szczegół, który wujek Martin pominął w „Pieśniach”, wiąże się ze śmiercią mojego ojca. Zastrzelono go na schodach Świątyni Chyżwara na Lusucie. Mama do końca wytrwała przy nim, toteż zbryzgała ją jego krew, zawierająca zrekonstruowane i ulepszone przez Centrum DNA Johna Keatsa. Matka nie zdawała sobie sprawy, że ta krew jest najcenniejszą substancją w całym znanym ludzkości kosmosie. Zaprojektowano ją tak, by nowy John Keats mógł zarażać innych swym największym darem - zdolnością wnikania w Pustkę, Która Łączy. Jego DNA, zmieszane w odpowiednich proporcjach z normalnym, ludzkim materiałem genetycznym, miało otworzyć dostęp do Pustki całej rasy ludzkiej.

Ja jestem owocem tej mieszaniny. Po TechnoCentrum odziedziczyłam umiejętność penetrowania Pustki, po ludziach zaś - zbyt rzadko wykorzystywaną zdolność pojmowania wszechświata przez pryzmat empatii. Dla tych, którzy napiją się mojej krwi, świat nigdy nie będzie taki sam. Na dobre i na złe.

Enea wstaje z kolan. Theo przynosi biały, lniany obrus, a Rachela nalewa czerwonego wina do kilku głębokich pucharów. Enea wyjmuje z kieszeni małą paczuszkę, w której rozpoznaję medpak ze statku, i wyjmuje z niej sterylny lancet oraz aseptyczny opatrunek. Jeszcze raz

spogląda na twarze zebranych. W pomieszczeniu panuje cisza, jakby cała setka ludzi wstrzymała oddech.

— Pijąc moją krew, nie uzyskacie gwarancji szczęścia, mądrości czy długowieczności - mówi cicho Enea. - Nie będzie nirwany, zbawienia ani życia wiecznego. Nie będzie reinkarnacji. Uzyskacie tylko ogromną wiedzę, pokarm dla umysłu i serca, który da wam potencjalną możliwość dokonywania wspaniałych odkryć, przeżywania przygód i przyniesie wam więcej bólu i strachu, jakie składają się na nasze krótkie życie. - Nadal przenosi wzrok z twarzy na twarz. Uśmiecha się, napotykać spojrzenie ośmioletniego dalajlamy. - Niektórzy z was uczestniczyli we wszystkich sesjach dyskusyjnych, jakie prowadziłam przez ostatni rok. Powiedziałam wam wszystko, co wiem o poznaniu języka umarłych, poznaniu języka żywych, słyszeniu muzyki sfer i robieniu pierwszego kroku. - Patrzy na mnie. - Inni jednak znają tylko część naszych rozmów. Nie słyszeli, jak opowiadałam o faktycznej funkcji krzyżokształtu czy o tożsamości Chyżwara; nie znają szczegółów nauki języka umarłych; nie wiedzą, jakie brzemię przyjmują na siebie ci, którzy wchodzą w Pustkę, Która Łączy. Tym, którzy mają wątpliwości i wahają się, mówię: zaczekajcie. Tym, którzy są gotowi, powtarzam: nie jestem mesjaszem... ale jestem nauczycielem. Jeżeli to, czego was uczyłam, brzmi dla was prawdziwie i jeżeli chcecie zaryzykować, napijcie się dziś mojej krwi. Uprzedzam tylko, że DNA, które pozwala doświadczyć kontaktu z Pustką, Która Łączy, nie może istnieć w jednym ciele z krzyżokształtem: pasożyt zginie najdalej w dwadzieścia cztery godziny od chwili, gdy spożyjecie to wino i nigdy już nie będzie mógł zagościć w waszym organizmie. Jeśli więc dążycie do zmartwychwstania poprzez krzyżokształt, nie pijcie mojej krwi.

Uprzedzam również, że tak jak ja staniecie się śmiertelnymi, bezlitośnie tępionymi wrogami Paxu. Wasza krew będzie zaraźliwa;

wszyscy, którymi się z nią podzielicie, którzy zechcą za waszym pośrednictwem znaleźć drogę do Pustki, Która Łączy, będą równie znienawidzeni. Ostrzegam także, że potomstwo tych, którzy napiją się dziś mojej krwi, będzie od urodzenia zdolne do kontaktu z Pustką. Wasze dzieci i wnuki będą znały język umarłych, język żywych, będą słyszały muzykę sfer i będą wiedziały, że mogą uczynić pierwszy krok w Pustkę.

Po tych słowach Enea dotyka opuszki palca ostrzem lancetu; w świetle latarń na ostrzu noża lśni kropelka krwi. Rachelę podnosi kielich z winem, a Enea wyciska doń odrobinę szkarłatnego płynu, po czym czyni to samo z sześcioma następnymi, które zostają identycznie.. . Skazone? Przeobrażone? Kręci mi się w głowie, serce wali mi jak młotem, jak w chwilach autentycznej paniki. Czy moja przyjaciółka, kochanka, moja miłość... oszalała? Czy naprawdę wierzy w to, że jest mesjaszem? Ale nie, przecież sama temu zaprzeczyła. Czy w takim razie ja wierzę, że wypicie wina, w którym krew mojej ukochanej stanowi milionową część całości, może mnie na zawsze odmienić? Nie wiem. Nie rozumiem tego.

Mniej więcej połowa zgromadzonych ustawia się w kolejce do siedmiu pucharów. Kielichy liturgiczne? Ależ to bluźnierstwo! Tak nie można. Czyżby?

Każdy wypija po łyku wina i wraca, żeby usiąść na macie. Nikt nie sprawia wrażenia, jakby nagle doznał oświecenia, niczyjej głowy nie otacza aureola, nikt nie lewituje ani nie zaczyna bełkotać w obcym języku. Po prostu: łyk wina i powrót na miejsce.

Zdaję sobie nagle sprawę, że trzymam się z boku i usiłuję spojrzeć Enei w oczy. O tyle rzeczy chciałbym ją zapytać... Z opóźnieniem, czując się jak zdrajca wobec osoby, której powinienem zaufać bez wahania, zajmuję miejsce na końcu coraz krótszej kolejki.

Enea dostrzega mnie i podnosi rękę z otwartą dłonią. Nie mam wątpliwości co do znaczenia jej gestu: Nie teraz, Raul. Jeszcze nie. Waham się jeszcze przez chwilę. Jestem niezdecydowany i robi mi się niedobrze na myśl o nich wszystkich - o obcych, którzy będą dzielić z moją ukochaną chwilę bliskości, jaka mnie nie będzie dana - ale z poczerwieniałą twarzą siadam na macie.

Wieczorna debata nie ma oficjalnego zakończenia, uczestnicy zaczynają się po prostu rozchodzić dwójkami i trójkami; widzę dwoje ludzi - ona piła wino, on nie - którzy wychodzą objęci jakby nic się nie zmieniło. Może to prawda, może faktycznie nic się nie zmieniło, a rytuał, którego przebieg śledziłem, to czysta symbolika i metafora - albo hipnoza i autosugestia; być może ci, którzy naprawdę zechcą dojrzeć coś, co nazywa się Pustką, Która Łączy, doświadczą stanu, który utwierdzi ich w przekonaniu, że tak się stało.

A może to wszystko bzdury.

Ocieram dłonią czoło. Trochę boli mnie głowa i chyba cieszę się, że nie piłem wina, bo w moim przypadku alkohol czasem sprowadza migrenę. Śmieję się sam do siebie, ale czuję się odrzucony i pusty.

— Nie zapomnijcie, że jutro w południe nastąpi wmurowanie ostatniego kamienia w najwyższy chodnik! - przypomina Rachel. - Na górnej platformie medytacyjnej odbędzie się przyjęcie. Przynieście własne przekąski.

Wieczór się kończy. Idę na górę, na naszą platformę mieszkalną, czując na zmianę uniesienie, wyczekiwanie, żal, zakłopotanie, podniecenie i ból głowy, od którego czaszka mi pęka. Nie ukrywam, że nie zrozumiałem nawet połowy wyjaśnień Enei i odchodzę z poczuciem zawodu i rozczarowania... Pewien jestem na przykład, że Ostatnia Wieczerza Jezusa Chrystusa nie kończyła się zaproszeniem na składkową imprezę dwa piętra wyżej.

Parskam śmiechem, który jednak zamiera mi w gardle. Ostatnia Wieczera. Te słowa brzmią okropnie. Serce bije mi coraz szybciej, a ból głowy wraca ze zdwojoną siłą. Nic, tylko wejść do sypialni kochanki.

Chłodne powietrze na górnym tarasie pomaga mi ochłonąć i zebrać myśli. Wyrocznia jest zaledwie skrawkiem blasku nad piętrzącymi się na wschodzie cumulusami. Nawet gwiazdy wydają się zimne.

Staję w progu naszej sypialni. Właśnie mam zapalić latarnię, gdy nagle niebo eksploduje.

Przyszli z niższych poziomów - wszyscy, którzy wciąż mieszkali w świątyni po zakończeniu większości prac: Enea i A. Bettik, Rachela i Theo, George i Jigme, Kuku i Kay, Chim Din i Gyalo Thondup, Lhomo i Labsang, Kim Byung-Sun i Viki Groselj, Kenshiro i Haruyuki, opat Kempo Ngha Wang Tashi i jego przełożony, młody dalajlama, Wojtek Majer i Janusz Kurtyka, zamyślony Rimsi Kyipup i wiecznie uśmiechnięty Changchi Kenchung, Dorje Phamo, czyli Gromowładna Locha i Carl Linga William Eiheji. Enea stanęła obok mnie i wsunęła rękę w moją dłoń.

Aż dziwne, że rozgrywające się na niebie świetlne widowisko, które przyćmiło gwiazdy, nie oślepiło nas: olbrzymie kwiaty białego blasku, smugi siarczanej żółci, czerwone pręgi, znacznie jaśniejsze niż ogon przeciętnej komety i poprzecinane niebieskimi, zielonymi, białymi i żółtymi promieniami. Każde pasmo koloru rysowało się na ciemnym niebie ostro i wyraźnie, niczym diamentowa rysa na szkle. Wybuchły pomarańczowe pióropusze, które zapadły się w sobie w niemej implozji, później znów pojawiły się białe i czerwone smugi. Nie dobiegał nas ani jeden dźwięk, ale sama gwałtowność tryskających światła sprawiała, że miałem chęć zakryć uszy i poszukać schronienia.

— A cóż to takiego, do wszystkich diabłów? - zapytał Lhomo Dondrub.

— Bitwa w kosmosie - odpowiedziała Enea zmęczonym głosem.

— Nie rozumiem - stwierdził dalajlama; nie sprawiał wrażenia przerażonego, lecz tylko zaciekawionego tym, co widzi. - Władze Paxu zapewniły nas, że na orbicie Tien Szanu znajdzie się tylko jeden okręt, „Jibril”, jeśli dobrze pamiętam. Poza tym miał on brać udział w misji dyplomatycznej, a nie operacji wojskowej. Podobnie zresztą twierdził regent Tokra.

Gromowładna Locha prychnęła.

— Regent jest na usługach tych drani z Paxu, Wasza Świątobliwość.
Chłopiec spojrział na nią zdumiony.

— To chyba prawda, Wasza Świątobliwość - przytaknął jej Eiheji. -
W pałacu słyszy się różne rzeczy.

Niebo przed chwilą zgasło i na powrót stało się czarne, teraz jednak znów wybuchło ogniem w dziesiątkach miejsc. Po ścianie urwiska za naszymi plecami spłynęły fale czerwieni, zieleni i żółci.

— Jak to możliwe, żebyśmy widzieli promienie lanc laserowych, skoro w próżni nie ma cząsteczek, na których mogłyby się rozproszyć? - zapytał dalajlama. Jego oczy błyszczały podnieceniem. Nie miałem wątpliwości, że wieść o zdradzie regenta nie zaskoczyła go... a w każdym razie wydała mu się mniej interesująca od rozgrywającej się na jego oczach bitwy kosmicznej. Swoją drogą ciekawe, że obdarzony najwyższym autorytetem święty mąż buddyjskiego świata odebrał przyzwoite ogólne wykształcenie.

Odpowiedzi ponownie udzielił mu jego ochroniarz:

— Niektóre statki zostały trafione i zniszczone, Wasza Świątobliwość. Wiązki laserowe stały się widoczne w rozprzestrzeniających się błyskawicznie chmurach odłamków, zamarzającego tlenu i innych drobin.

Zapadła cisza.

— Mój ojciec widział coś takiego na Hyperionie - wyszeptała Rachela, obejmując się za ramiona, jakby nagle zrobiło się jej zimno.

Z niedowierzaniem spojrziałem na młodą kobietę. Nie, nie przegapiłem wzmianki Enei o ojcu Racheli, Solu... Znałem zaś „Pieśni” na tyle, żeby wiedzieć, że musi być córką jednego z legendarnych pielgrzymów, Solą Weintrauba... Chyba po prostu do końca w to nie wierzyłem. Dziecko stało się później na wpół mityczną kobietą imieniem Moneta, która, według „Pieśni”, przeniosła się wstecz

w czasie wraz z Chyżwarem. Jakim cudem wobec tego znalazła się tu z nami?

Enea położyła jej dłoń na ramieniu.

— Moja matka również - rzekła cicho. - Wtedy jednak wszyscy myśleli, że to wojska Hegemonii walczą z Intruzami.

— A kto walczy teraz? - zapytał dalajlama. - Intruzi z Paxem? I dlaczego okręty Paxu bez zaproszenia przybyły do naszego układu?

W górze rozbłysło kilka białych, pulsujących kuł, które przez chwilę rosły, później zaś zbladły i zgasły. Zamrugaliśmy, żeby pozbyć się powidoków spod powiek.

— Sądzę, że okręty te przybyły razem z „Jibrilem”, Wasza Świątobliwość - stwierdziła Enea. - Nie wydaje mi się jednak, by ostrzeliwały Intruzów.

— A kogo?

Enea podniosła wzrok.

— Jednego ze swoich.

Nagle nastąpiło kilka wybuchów zupełnie innych od tego, co dotychczas obserwowaliśmy... Miały miejsce bliżej nas, były jaśniejsze, a wkrótce po nich trzy meteory przecięły ciemne sklepienie niebieskie. Pierwsza spadająca gwiazda eksplodowała niemal natychmiast w górnych warstwach atmosfery i rozprysnęła się na setki drobnych okruchów, które szybko pogasły. Druga pomknęła daleko na zachód, rozpała się od czerwieni do oślepiającej bieli, aż jakieś dwadzieścia stopni nad zachmurzonym horyzontem również rozpadła się na kawałki. Trzeci meteor śmignął z punktu niemal dokładnie nad naszymi głowami na wschód, ze świstem, który najpierw przypominał gwizd imbryka na herbatę, później przeszedł w przeraźliwy wizg, a jeszcze później w ogłuszający ryk. Szybko jednak ucichł, a po chwili świecący pocisk rozpadł się na trzy lub cztery duże, płonące odłamki. Tylko jeden z nich nie spalił się w atmosferze; co więcej, miałem

wrażenie, że tuż przed tym, jak zniknął nam z oczu, zachybotał się w locie i zwolnił, poprzedzany żółtymi smugami ognia.

Czekaliśmy jeszcze pół godziny na platformie, ale poza kilkudziesięcioma smugami ognia z silników jądrowych - pochodzącymi, jak wiedziałem, z okrętów opuszczających okolicę Tien Szanu - nie zobaczyliśmy już nic więcej. Wreszcie powróciły gwiazdy, jasne jak zwykle, i wszyscy udali się na spoczynek: dalajlama do pokoi dla mnichów, inni do swoich pagód mieszkalnych na niższych poziomach.

Enea poprosiła Rachelę, Theo, A. Bettika, Lhomo Dondruba i mnie, żebyśmy przez chwilę z nią zostali.

— To był znak, na który czekałam - powiedziała cicho, gdy wszyscy pozostali opuścili taras. - Jutro wyruszamy.

— Wyruszamy? - zdziwiłem się.. - Dokąd? I po co?

Enea musnęła moją rękę, co zinterpretowałem jako „Wyjaśnię ci to później”. Zamknąłem się więc i słuchałem co powiedzą inni.

— Skrzydła są gotowe, Nauczycielko - zakomunikował Lhomo.

— Pozwoliłem sobie podczas waszej nieobecności sprawdzić próznioskóry i dwudechy w pokoju M. Endymiona - oznajmił A. Bettik. - Działają bez zarzutu.

— Jutro skończymy pracę i urządzimy przyjęcie - rzekła Theo.

— Szkoda, że nie będzie mnie z wami - zauważyła Rachelę.

— Gdzie? - mimo najszczerzej chęci nie wytrzymałem i wtrąciłem się zamiast słuchać.

— Jesteś zaproszona - zauważyła Enea, znów dotykając mojej dłoni, co jednak wcale nie odpowiadało na moje pytanie. - Podobnie jak A. Bettik i Lhomo... jeżeli nadal chcecie zaryzykować.

Lhomo Dondrub uśmiechnął się po swojemu, od ucha do ucha, a android skinął głową. Zacząłem dochodzić do wniosku, że jestem jedyną osobą w całej świątyni, która nie ma pojęcia co jest grane.

— Dobranoc wszystkim - powiedziała Enea. - Wyruszamy o świcie. Nie musicie nas odprowadzać.

— Do diabła z tym wszystkim - rzuciła Rachel. Theo pokiwała głową na znak zgody. - i tak przyjdziemy was pożegnać.

Enea skinęła głową i ujęła ją za ramiona, po czym wszyscy się rozeszli - jedni po drabinach, inni korzystając z lin zjazdowych. Zostaliśmy we dwoje na górnej platformie.

Po bitwie niebo zdawało się ciemniejsze niż zwykle. Chmury wzniosły się powyżej grani i zaczynały zmazywać gwiazdy, niczym mokra szmata, którą przeciągnięto po tablicy. Enea otworzyła drzwi do sypialni, weszła, zapaliła latarnię i podeszła do progu.

— Wchodzisz, Raul?

Porozmawialiśmy. Ale nie od razu.

Kochanie się wygląda absurdalnie, kiedy próbuje się opisać; nawet sam moment, w którym się kochaliśmy, sprawia wrażenie nonsensownego - niebo dosłownie waliło się nam na głowy, a moja kobieta dopiero co odprawiła ceremonię zbliżoną do Ostatniej Wieczery - ale kiedy kochamy się z właściwą, wymarzoną osobą, sam akt nigdy nie jest absurdalny. A tak właśnie było. Jeżeli nawet wcześniej nie byłem tego pewien, tamtej nocy zrozumiałem to bezspornie, całkowicie i bez zastrzeżeń.

Mniej więcej dwie godziny później Enea narzuciła na siebie kimono, ja zaś jukatę i zszedłszy z maty podeszliśmy do odsuniętej tylnej ściany pokoju. Zaparzyła herbatę i z parującymi kubkami w dłoniach usiedliśmy naprzeciw siebie, oparci o przeciwległe ramy shoji, stykając się stopami. Po mojej prawej, a jej lewej ręce otwierała się kilkukilometrowa przepaść. Chłodne powietrze pachniało deszczem, ale burza przeszła bokiem, na pomoc od nas. Wierzchołek Heng Szanu spowijały chmury, za to wszystkie niższe od niego granie pławiły się w nieustannie zmiennych błyskach piorunów.

— Czy Rachela to naprawdę ta Rachela z „Pieśni”? - zapytałem. Nie takie pytanie najbardziej chciałem zadać, ale bałem się spytać o to, co mnie nurtowało.

— Tak, to córka Solą Weintrauba, kobieta, która w wieku dwudziestu siedmiu lat nabawiła się na Hyperionie choroby Merlina i młodniała z każdym dniem, aż stała się dzieckiem. Sol zabrał ją ze sobą na pielgrzymkę.

— Znamy ją również jako Monetę - zauważyłem. - I Mnemozynę...

— „Przestroga” - mruknęła Enea. - I „pamięć”. Doskonałe imiona, jeśli wziąć pod uwagę czas, w jakim się pojawiła.

— To było dwieście osiemdziesiąt lat temu! - zdziwiłem się. - W dodatku całe lata świetlne stąd, na Hyperionie. Jak tu trafiła?

Enea się uśmiechnęła. Para z herbaty osiadała jej na zmierzwionych włosach.

— Ja też urodziłam się ponad dwieście osiemdziesiąt lat temu. W dodatku całe lata świetlne stąd... na Hyperionie.

— Czy to znaczy, że dostała się tu tak samo, jak ty? Przez Grobowce Czasu?

— I tak, i nie - rzekła Enea i podniosła dłoń, żeby mnie uciszyć, bo już zamierzałem zaprotestować. - Wiem, że nie chodzi ci o zagadki, Raul, że nie chcesz słuchać porównań i masz dość uników. Rozumiem. Nadszedł czas, żeby szczerze porozmawiać. Sęk w tym, że Grobowce Czasu to tylko część jej podróży.

Nic nie powiedziałem.

— Pamiętasz „Pieśni”, prawda? - zagadnęła.

— Pamiętam, że pielgrzym imieniem Sol zabrał córkę... po tym, jak cybryd Keatsa wyratował ją z łap Chyżwara i zaczęła się normalnie starzeć... Wziął ją do Sfinksa, który przeniósł ich w przyszłość.. . - urwałem. - Tę przyszłość?

— Nie - przyznała. - Noworodek ponownie stał się dzieckiem, a później młodą kobietą, w późniejszej przyszłości. Ojciec Racheli wychował ją powtórnie. Ich historia jest wspaniała, Raul... Wprost pełna cudów.

Potarłem czoło. Ból głowy ustąpił, ale zaczynał grozić, że wróci.

— Czyli dotarła tutaj wszedłszy drugi raz do Grobowców? Przeniosła się w nich wstecz w czasie, tak?

— Po części tak - zgodziła się Enea. - Ale Rachela potrafi też sama przemieszczać się w czasie.

Wytrzeszczyłem oczy; to brzmiało jak majaczenia obłąkanej.

Enea uśmiechnęła się ponownie, jakby czytała mi w myślach; zresztą może wystarczyła jej moja mina.

— Wiem, że to wariactwo, Raul. Czeka nas jeszcze wiele niezwykłych wydarzeń.

— To mało powiedziane - stwierdziłem. Przez głowę przemknął mi kolejny element logicznej układanki. - Theo Bernard!

— Tak?

— Przecież w pieśniach też występuje jakiś Theo, mężczyzna... - Ustnie przekazywane wersje poematu trochę się między sobą różniły, a w najbardziej rozpowszechnionych, najkrótszych, wiele szczegółów ginęło. Starowina zmusiła mnie, żebym nauczył się prawie całej pełnej wersji, ale niektóre fragmenty zawsze mnie nudziły.

— Theo Lane - rzekła Enea. - Były asystent konsula na Hyperionie, późniejszy gubernator planety z ramienia Hegemonii. Spotkałam go kiedyś, będąc jeszcze dzieckiem. Przyzwoity człowiek, spokojny... Nosił takie staromodne okulary...

— Ten sam Theo? - przerwałem jej, usilnie starając się coś z tego zrozumieć. Zmiana płci?

Enea pokręciła głową.

— Blisko, ale cygara nie będzie, jak powiedziałyby Freud.

— Kto?

— Theo Bernard jest praprapra i tak dalej wnuczką Theo Lane'a. Jej dzieje to też kawał niezłej przygody. Urodziła się jednak w naszych czasach... Uciekła z kolonii Paxu na Maui-

Przymierzu i przyłączyła się do powstańców... Choć trzeba przyznać, że postąpiła tak ze względu na to, co powiedziała pierwszemu Theo przed niemal trzystu laty. Moje słowa przekazywano z pokolenia na pokolenie. Wiedziała, że będę na Maui-Przymierzu, kiedy...

— Skąd?

— Bo to właśnie powiedziała Theo Lane'owi: kiedy tam trafię. Informacja o tym przetrwała w rodzie... Trochę tak, jak „Pieśni” utrwaliły dzieje ostatniej pielgrzymki do Chyżwara.

— Wobec tego widzisz przyszłość - stwierdziłem.

— Przyszłości - poprawiła mnie Enea. - Już ci to mówiłam. Słyszałeś, co powiedziała wieczorem.

— Że widziałaś własną śmierć?

— Właśnie.

— Powiesz mi?

— Nie teraz, Raul, proszę cię. W swoim czasie.

— Skoro jednak istnieje więcej niż jedna przyszłość - powiedziałem, a w moim głosie zabrzmiał narastający ból - dlaczego widzisz tylko jeden wariant własnej śmierci? A skoro go widzisz, dlaczego nie miałabyś go uniknąć?

— Mogłabym to zrobić, ale nie byłby to właściwy wybór.

— Jak życie może być złym wyborem w porównaniu ze śmiercią?! - Zdałem sobie sprawę, że krzyczę. Zacisnąłem pięści. Ujęła je w dłonie i oplotła palcami.

— O to właśnie chodzi - rzekła tak cicho, że musiałem się nad nią pochylić, żeby usłyszeć jej słowa. Pioruny rozjaśniały zbocza Heng

Szanu. - Śmierć nigdy nie będzie lepsza od życia. Czasem jest po prostu konieczna.

Pokręciłem głową. Musiałem wyglądać na rozdrażnionego, ale nie przejmowałem się tym.

— Powiesz mi, kiedy umrę?

Podniosła wzrok; jej oczy kryły bezkresne głębie.

— Nie wiem - odparła.

Zdziwiłem się i zarazem poczułem urażony. Nie chciało jej się nawet zajrzeć w moją przyszłość? Nie interesuje jej, co się ze mną stanie?

— Oczywiście, że interesuje - wyszeptała. - Po prostu postanowiłam nie śledzić przebiegu tych akurat fal prawdopodobieństwa. Oglądanie własnej śmierci jest dla mnie... trudne; ujrzenie twojej byłoby... - Zorientowałem się, że płacze. Przesunąłem się na macie i objąłem Eneę. Wtuliła się w moją pierś.

— Przepraszam, maleńka - wyszeptałem w jej włosy, chociaż nie do końca wiedziałem, za co chcę ją przeprosić. Dziwnie mi było, kiedy w jednej chwili czułem się tak szczęśliwy i zagubiony. Chciało mi się wyć na myśl o tym, że mógłbym ją stracić; miałem ochotę obrzucić kamieniami przeciwległy stok góry. Z pomocy dobiegł nas odgłos grzmotu, jak gdyby wtórując moim myślom.

Scałowałem jej łzy z twarzy, a potem pocałowałem w usta. Sól łez zmieszała się z ciepłem jej oddechu. Potem znów się kochaliśmy - równie powoli, czule i spokojnie, jak poprzednio pospiesznie i zapalczywie.

Kiedy położyliśmy się obok siebie w chłodnych podmuchach wiatru, położyła mi dłoń na piersi i powiedziała:

— Chciałeś mnie o coś zapytać. Odpowiem ci. O co chodzi?

Przypomniałem sobie pytania, jakie przelatywały mi przez głowę podczas prowadzonej przez nią dyskusji i wszystkie spotkania, w których nie uczestniczyłem, a które musiałem nadrobić, żeby

zrozumieć dlaczego wieczorna komunia była niezbędna: O co tak naprawdę chodzi z tym krzyżokształtem? Co Pax knuje na planetach, z których zniknęli wszyscy mieszkańcy? Co Centrum będzie z tego miało? Czym, do ciężkiej cholery, jest Chyżwar... Potworem? Czy strażnikiem? Skąd pochodzi? Co się z nami stanie? Co takiego widzi w naszej przyszłości, o czym powinienem wiedzieć, żebyśmy mieli szansę przeżyć? Żeby pozwolić jej uniknąć losu, który poznała, zanim jeszcze się urodziła? Jaki sekret kryje Pustka, Która Łączy i dlaczego połączenie z nią jest takie ważne? Jak wydostaniemy się z Tien Szanu, jeżeli Pax rzeczywiście zatopił jedyny transponder w lawie, a od statku konsula dzielą nas dziesiątki okrętów bojowych? Kim są ci „obserwatorzy”, o których mówiła, że od wieków szpiegują ludzkość? Co to za szopka z poznawaniem języka umarłych i tak dalej? Dlaczego Nemes i jej potworne rodzeństwo jeszcze nas nie zabili?

— Byłaś z kimś innym? - zapytałem. - Kochałaś się z kimś przede mną?

Obłąd. To nie moja sprawa. Enea miała prawie dwadzieścia dwa lata standardowe. Przecież sypiałem już z kobietami - nie pamiętałem ich nazwisk, ale i w Straży Planetarnej, i w kasynie... Co mnie więc obchodzi czy... Jaka to różnica, jeśli... Musiałem wiedzieć.

Zawahała się, ale tylko przez ułamek sekundy.

— Nasz pierwszy raz dla mnie nie był... pierwszym.

Pokiwałem głową, czując się jak świnia, że ośmieliłem się zapytać. Czulem ucisk w piersi, jakbym zaczął chorować na anginę usłyszawszy o jej istnieniu.

— Kochałaś... go? - Nie potrafiłem się powstrzymać. A skąd wiem, że to on? Theo... Rachela... Otacza się kobietami. Takie myśli napawały mnie odrazą do siebie samego.

— Kocham cię, Raul.

Powiedziała mi to dopiero drugi raz - poprzednio usłyszałem te słowa pięć i pół roku wcześniej, gdy żegnaliśmy się na Starej Ziemi. Powinny być jak miód na moje serce, ale czułem tylko ból. Coś istotnego wciąż mi się wymykało.

— Ale był jakiś mężczyzna - powiedziałem z wysiłkiem, jakbym musiał wypluwać kamyki z ust. - I kochałaś go... - Tylko jeden? A może więcej? Chciałem krzyknąć na własny umysł, żeby się zamknął i przestał podsuwać mi takie pomysły.

Enea położyła mi palec na ustach.

— Pamiętaj, że cię kocham. Nie zapominaj o tym, kiedy ci to opowiadam. Wszystko jest takie... skomplikowane. Przez to, kim jestem i co muszę zrobić. Ale kocham cię... Pokochałam cię, odkąd pierwszy raz ujrzałam cię w snach o przyszłości; kochałam już wtedy, gdy spotkaliśmy się w burzy piaskowej na Hyperionie, w całym tym zamieszaniu, spowodowanym przez Chyżwara, pod ostrzałem. Pamiętasz, jak oplotłam cię ramionami, kiedy próbowaliśmy uciec na macie? Kochałam cię...

Milczałem. Palec Enei przesunął się z moich ust na policzek. Westchnęła, jakby na jej barkach spoczywał ciężar całego wszechświata.

— No dobrze - powiedziała. - Był ktoś taki. Kochałam się z nim. My...

— Czy to coś poważnego? - nie wytrzymałem. Własny głos brzmiał dla mnie dziwnie, jak mechaniczny głos statku.

— Pobraliśmy się.

Dawno temu, na hyperiońskiej rzece Kans, wdałem się w bójkę ze starszym marynarzem z barki, który ważył chyba z półtora raza więcej ode mnie i miał o wiele większe doświadczenie w mordobiciu. Zaskoczył mnie jednym jedynym hakiem w podbródek; zrobiło mi się ciemno przed oczami, kolana ugięły się pode mną, przeleciałem przez reling i wpadłem do wody. Facet nic do mnie nie miał i pierwszy

skoczył mi na ratunek, więc po minucie czy dwóch odzyskałem przytomność, ale minęło ładnych parę godzin, zanim przestało mi dzwonić pod czaszką i wróciła mi ostrość widzenia.

Teraz było jeszcze gorzej: mogłem tylko leżeć i patrzeć na nią, na moją umiłowaną Eneę. Dotyk jej palców wydał mi się nagle zimny i obcy jak dotyk nie znanej mi osoby. Zabrała rękę. Jeszcze nie skończyła.

— Dwadzieścia trzy miesiące, jeden tydzień i sześć godzin, których brakowało w twoich rachunkach - powiedziała.

— Z nim? - nie pamiętałem, żebym formował te słowa, ale usłyszałem, jak je wypowiadam.

— Tak.

— Po ślubie... - zacząłem, ale słowa utknęły mi w gardle.

Enea uśmiechnęła się, ale był to chyba najsmutniejszy uśmiech, jaki zdarzyło mi się w życiu oglądać.

— Ślubu udzielił nam ksiądz. Małżeństwo będzie legalne w świetle prawa Paxu i Kościoła.

— Będzie?

— Jest.

— Nadal jesteś mężatką? - Miałem ochotę wstać i zwymiotować z platformy w dół, ale nie mogłem ruszyć się z miejsca.

Zmieszała się, jakby nie wiedziała, co odpowiedzieć.

— Tak... - zaczęła, a w jej oczach błysnęły łzy. - To znaczy nie... Teraz nie... Ty... Cholera, gdybym mogła...

— Ale on żyje? - wtrąciłem bezbarwnym, godnym śledczego Inkwizycji głosem.

— Tak. - Przytknęła dłoń do swojego policzka. Palce jej drżały.

— Kochasz go, maleńka?

— Kocham ciebie, Raul.

Odsunąłem się odrobinę. Nie świadomie, nie z rozmysłem, ale nie potrafiłem dotykać jej podczas tej rozmowy.

— To nie wszystko...powiedziała.

Nie odezwałem się.

— Mieliśmy... Będę... Miałam dziecko. - Spojrzała na mnie błagalnie, jakby siłą wzroku chciała zmusić mnie do zrozumienia wszystkiego. Nie podziałało.

— Dziecko - powtórzyłem bezmyślnie. Moja przyjaciółka... dziewczynka, kobieta i kochanka... Moja ukochana miała dziecko. - Ile ma lat? - Banalność tego pytania ogłuszyła mnie jak blisko grom.

Znów się zmieszała, jakby niepewna biegu wydarzeń.

— Dziecko... Nigdzie go nie widzę.

— Maleńka - szepnąłem. Zapomniałem o wszystkim; pozostał tylko jej ból. Przytuliłem ją, kiedy znów zaczęła płakać. - Przepraszam, maleńka. Tak mi przykro... - Pogłaskałem ją po włosach.

Cofnęła się i otarła łzy.

— Raul, ty nic nie rozumiesz. Wszystko jest w porządku... Nic nie... Tutaj wszystko...

Odsunąłem się i spojrzałem na nią, nie potrafiła opanować szloch.

— Rozumiem - skłamałem.

— Raul... - Wyciągnęła rękę w poszukiwaniu mojej.

Pogłaskałem japo dłoni, ale wygrzebałem się z pościeli, ubrałem i zabrałem spod drzwi uprząż i plecak.

— Raul...

— Wrócę przed świtem - powiedziałem, nie patrząc na nią. - Idę się przejść.

— Pozwól mi też pójść - poprosiła i wstała, owinięta prześcieradłem. Za jej plecami szalały błyskawice; zbliżała się następna burza.

— Wrócę przed świtem - powtórzyłem i wyszedłem, zanim zdążyła się ubrać.

Padał zimny, marznący deszcz. Platformy szybko pokryły się cienką, śliską warstewką lodu. Pędziłem po drabinach i przebiegałem rozedrgane schody, a rzadkie pioruny oświetlały mi drogę. Zwolniłem dopiero znalazłszy się kilkaset metrów niżej, na wschodniej półce, niedaleko rozpadliny, w której wylądowałem statkiem. Nie chciałem tam iść.

Pół kilometra od świątyni ze ściany urwiska zwieszały się liny, po których można było się wspiąć na grań. Deszcz ze śniegiem nie ustępował, toteż liny pokrył dodatkowy, lodowy oplot. Wpiąłem się karabinkiem w jedną z nich i wyjąłem z plecaka właziki. Nie bawiłem się w sprawdzanie zabezpieczeń, tylko od razu zacząłem wspinaczkę.

Zerwał się wiatr. Szarpał moją kurtkę i próbował oderwać mnie od ściany; deszcz ze śniegiem zalewał mi oczy i boleśnie ciął po gołych rękach, nie zwracałem jednak na to uwagi, tylko posuwałem się z mozołem do góry. Czasem zjeżdżałem po trzy, cztery metry, kiedy jumar ześliznął się z liny, ale zaraz odzyskiwałem rytm. Dziesięć metrów poniżej ostrej jak brzytwa grani wynurzyłem się z chmur niczym nurek z wody. Nade mną płonęły lodowate gwiazdy, a dookoła jak przypływ piętrzyła się biała masa chmur, pełznąca w górę północnego zbocza.

Przesunąłem właziki wyżej, potem jeszcze trochę, aż wreszcie znalazłem się na względnie płaskim kawałku gruntu, na którym umocowano liny. Dopiero w tym momencie zwróciłem uwagę, że nie wpiąłem się w linę asekuracyjną.

— Sram na to! - powiedziałem na głos i ruszyłem na północny wschód. Grań miała w tym miejscu jakieś piętnaście centymetrów szerokości. Na północ ode mnie zaczynała się burza, a od południa urwisko ginęło w mroku kilka kilometrów niżej. Zalegały tu płyty lodu. Zaczął padać śnieg. Przyspieszyłem i zacząłem biec, przeskakując

zdradliwe kawałki lodu i szczeliny. Nic mnie w tamtej chwili nie obchodziło.

Kiedy tak użalałem się nad sobą, w kosmosie działo się wiele ciekawych rzeczy. Z dzieciństwa na Hyperionie pamiętam, że wieści spływały wolno z panoszącego się między gwiazdami Paxu do naszych wozów na mokradłach: nowina o każdym ważnym zdarzeniu, które miało miejsce na Pacem, Renesansie czy gdziekolwiek indziej, musiała, rzecz jasna, dotrzeć do nas z liczącym tygodnie czy miesiące opóźnieniem, spowodowanym długim czasem statku z silnikami Hawkinga. Do tego należało doliczyć kilka tygodni na rozpowszechnienie informacji z Port Romance na prowincję. Przyzwyczailem się więc nie przykładać szczególnej wagi do wydarzeń zachodzących na innych planetach. Później, kiedy zatrudniałem się jako przewodnik dla myśliwych, opóźnienie w otrzymywaniu informacji zmalało, ale nadal były to wiadomości stare i dla mnie bez znaczenia. Pax mnie nie interesował, chociaż z pewnością marzyłem o podróżach międzygwiazdnych. Potem na blisko dziesięć lat straciłem kontakt z wszechświatem - najpierw spędziłem cztery lata na Starej Ziemi, a potem złapałem pięcioletni dług czasowy na statku konsula. Nie rozmyślałem więc o wydarzeniach zachodzących z dala ode mnie dopóki nie dotyczyły mnie bezpośrednio — czyli na przykład dopóki Pax nie próbował nas złapać.

Wkrótce miało się to zmienić, ale owej nocy, kiedy biegłem we mgle i lodowatej mżawce po wąskiej grani na Tien Szanie, w kosmosie i tak wiele się działo.

Na pięknym Maui-Przymierzu - a można powiedzieć, że tam właśnie, od spotkania Siri i Merina przed czterystu laty, rozpoczął się długi ciąg wydarzeń, który doprowadził mnie z Eneą na Tien Szan - trwało powstanie. Rebelianci z pływających wysp dawno już stali się wyznawcami filozofii Enei, wypili jej krew w winie podczas komunii

i na wieki odrzucili Pax i jego krzyżokształty. Teraz zaś prowadzili wojnę podjazdową, ograniczając się głównie do aktów sabotażu i oporu, by nie krzywdzić okupujących planetę żołnierzy. Maui-

Przymierze, jako planeta typowo wakacyjna, zajmowało szczególną pozycję w kosmosie Paxu: co roku setki tysięcy zamożnych, ponownie narodzonych chrześcijan przybywały tam na statkach z napędem Hawkinga, by pluskać się w ciepłych morzach, podziwiać piękne plaże Archipelagu Równikowego i śledzić migracje wysp i delfinów. Dodatkowe korzyści Pax czerpał z setek platform wiertniczych, rozrzuconych po oceanach Maui z dala od centrów turystycznych, a teraz narażonych na ataki z łodzi podwodnych i wysp. Co dziwniejsze, coraz więcej turystów wyrzekało się krzyżokształtu i stawało głosicielami nauk Enei. Odrzucali nieśmiertelność. Gubernator Maui-Przymierza, miejscowy arcybiskup i przysłani z Watykanu urzędnicy nie potrafili zrozumieć, co się dzieje.

Na skutek lodem Sol Draconi Septem, gdzie większość atmosfery przeobraziła się w olbrzymi lodowiec, nie było turystów, natomiast podjęte na przestrzeni ostatnich dziesięciu lat próby kolonizacji planety zakończyły się kompletnym fiaskiem. Łagodni Chitchatukowie, z którymi zaprzyjaźniliśmy się podczas pobytu na planecie, stali się nieprzejednanymi wrogami Paxu. Wmarznięty w zlodowaciałą atmosferę wieżowiec, w którym ojciec Glaucus witał podróżnych, wciąż pławił się w powodzi światła, mimo że jego przeuroczy lokator zginął z ręki Rhadamanth Nemes; Chitchatukowie pilnowali, żeby, jak w sanktuarium, zawsze płonął tam ogień. W sobie tylko znany sposób dowiedzieli się, kto zgładził nieszkodliwego ślepcę i wymordował cały szczep Cuchiata: Chiaku, Aichacuta, Cuchtu, Chithticia, Chatchię, Cuchiata - wszystkich, których znaliśmy z imienia. Chitchatukowie za ich śmierć obwiniali Pax, który usiłował skolonizować umiarkowaną

strefę równikową planety, gdzie atmosfera miała postać gazową i tylko ziemia pozostała wieczną zmarzliną.

Chitchatukowie, którzy nie słyszeli o komunii Enei i nie zakosztowali wynikającej z niej empatii, spadli na podwładnych Paxu niczym biblijna plaga. Zaprawieni w tysiącletnich bojach z upiorami śnieżnymi, które na przemian stawały się dla nich to zwierzyną, to znów myśliwymi, zapędzili je teraz tunelami w lodzie aż w okolice równika i poszczuli nimi kolonistów i misjonarzy. Białe bestie zbierały potworne żniwo. Wojsko, sprowadzone na planetę w celu zlikwidowania prymitywnych band tubylców, wysyłało patrole, które nie wracały do bazy.

Na zamienionym w jedno gigantyczne miasto Renesansie, nauki Enei o Pustce, Która Łączy, znalazły miliony chętnych słuchaczy. Każdego dnia tysiące chrześcijan Paxu przyjmowało komunię; po dwudziestu czterech godzinach tracili krzyżokształty, poświęcając nieśmiertelność w imię... no właśnie, czego? Pax i Watykan nie mogły tego zrozumieć, a w owym momencie ja wcale nie byłem od nich mądrzejszy.

Pax zdawał sobie jednak sprawę, że musi ograniczyć rozprzestrzenianie się wirusa. Dzień w dzień i noc w noc żołnierze wybijali okna, wyłamywali drzwi i składali niespodziewane wizyty mieszkańcom najbiedniejszych, przemysłowych dzielnic Renesansu. Ludzie, którzy odrzucili krzyżokształt, nie stawiali zbyt silnego oporu: walczyli, jak umieli najlepiej, ale w żadnym razie nie chcieli zabijać, żołnierze nie mieli natomiast nic przeciwko odstrzeleniu paru buntowników, jeżeli w ten sposób mogli wykonać rozkazy. Tysiące wiernych słowom Enei ludzi zginęły prawdziwą śmiercią - niegdyś nieśmiertelni, tym razem nie mogli liczyć na zmartwychwstanie; dziesięciokrotnie więcej pojmano i odesłano do ośrodków odosobnienia, gdzie wprowadzono ich w sen kriogeniczny, żeby ich

krw i filozofia nie zakazały innych umysłów. Na każdego zabitego lub uwięzionego przypadało jednak kilkudziesięciu, a potem nawet kilkuset, którzy zdołali się ukryć, przekazać nauki Enei i ofiarować komunię z własnej, przemienionej krwi. Olbrzymia machina przemysłowa Renesansu na razie jeszcze sienie zatarła, ale w jej trybach coś zaczęło zgrzytać w sposób nie widziany od czasów, gdy Hegemonia uczyniła z planety przemysłowe jądro Sieci.

Watykan słał dodatkowe armie i debatował nad rozwiązaniem kryzysu.

Na Pierwszej Tau Ceti, dawnym politycznym centrum Sieci, które z czasem przerodziło się w gęsto zaludniony i bardzo popularny ośrodek wypoczynkowy, rebelia przybrała inny obrót. Przybysze spoza planety przynieśli wprawdzie zarazę Enei, od której ginęły krzyżoształy, ale głównym problemem władz kościelnych była przebiegła arcybiskup Achilla Silvaski, która przed z górą dwustu laty przejęła na Pierwszej Tau Ceti rolę gubernatora i od tego czasu sprawowała autokratyczne rządy. To ona ukuła intrygę mającą na celu zakłócenie procedury wyboru wiecznego papieża, później zaś wprowadziła na planecie własną wersję prehegirańskiej Reformacji: ogłosiła się papieżem Kościoła katolickiego na Pierwszej Tau Ceti i poinformowała o oderwaniu się od „splugawionego” Kościoła międzygwiazdowego. Ponieważ w swoim czasie zawarła przymierze z miejscowymi biskupami nadzorującymi maszynię i obrzędy wskrzeszeniowe, uzyskała pełną kontrolę nad Sakramentem Zmartwychwstania oraz, co za tym idzie, całym lokalnym Kościołem. Co więcej, przekupiła wojskowe władze Paxu darami w postaci ziemi, pieniędzy i władzy i doprowadziła do wydarzenia bez precedensu w historii Paxu - do przewrotu, w którym obalono większość wyższych stopniem oficerów i oddano ich stanowiska zwolennikom Nowego Kościoła. Nie udało się wprawdzie przejąć ani jednego okrętu klasy

archanioł, ale osiemnaście krążowników i czterdzieści jeden liniowców stanęło w gotowości do obrony Nowego Kościoła i jego papieżycy.

Dziesiątki tysięcy wiernych zaprotestowały przeciw polityce arcybiskup Silvaski. Aresztowano ich, postraszono ekskomuniką - czyli natychmiastową utratą krzyżokształtu - i warunkowo zwolniono, choć pozostali pod czujną strażą Sił Bezpieczeństwa Nowego Kościoła. Niektóre zakony, zwłaszcza jezuici, nie zgodziły się z poczynaniami papieżycy; ich przedstawiciele potajemnie aresztowano, obłożono ekskomuniką i stracono. Kilkuset zakonnikom udało się jednak uciec i stali się zalążkiem ruchu oporu wobec nowej władzy - z początku ich działania miały łagodny przebieg, z czasem jednak przybrały na gwałtowności. Wielu jezuitów zajmowało uprzednio stanowiska oficerów w siłach Paxu, toteż korzystając z nabytych w tamtym okresie umiejętności dawali się nieźle we znaki wojsku pani arcybiskup.

Papież Urban XVI i jego doradcy z floty rozważali różne możliwości działania. Główny impet miążdzącej krucjaty przeciw Intruzom uległ osłabieniu wskutek nieustających ataków kapitana de Soi. Do tego doszła konieczność rozproszenia floty po planetach, na których należało stłumić powstania wywołane zarazą Enei, później trzeba było uwzględnić wymagania logistyczne pułapki na Tien Szanie, a teraz rebelię arcybiskup Silvaski. Posłuchawszy rady admirała Marusyna, żeby zlekceważyć heretyczkę do czasu osiągnięcia innych, politycznych i militarnych, celów, papież Urban XVI i watykański Sekretarz Stanu postanowili skierować do układu Tau Ceti dwadzieścia archaniołów, trzydzieści dwa podstarzałe krążowniki, osiem transportowców i setkę okrętów liniowych, mimo że na przybycie jednostek z napędem Hawkinga przyjdzie poczekać kilka tygodni. Grupa uderzeniowa miała się następnie przegrupować, przezwyciężyć opór ze strony chroniących Pierwszą Tau Ceti okrętów, wejść na orbitę wokół planety, zażądać natychmiastowej kapitulacji Silvaski i wszystkich jej popleczników, a w

razie jej odmowy lub niemożności wykonania rozkazów - ostrzelać glob na tyle skutecznie, by zniszczyć całą infrastrukturę Nowego Kościoła. Później oddziały marines miały wylądować na Pierwszej Tau Ceti, zająć ocalałe ośrodki miejskie i przywrócić rządy Kościoła Świętego.

Na Marsie, w Układzie Słonecznym Starej Ziemi, sytuacja pogarszała się z dnia na dzień. Lata bombardowań z kosmosu i ciągłych desantów niewiele pomogły. Przed dwoma miesiącami standardowymi gubernator Clare Palo i arcybiskup Robeson ponieśli prawdziwą śmierć, kiedy powstańcy przeprowadzili samobójczy atak nuklearny na znajdujący się na Fobosie pałac rządowy. Odpowiedź Paxu była natychmiastowa - i przerażająca: wyrwane z pobliskiego pasa asteroidy spadły na powierzchnię planety, a okręty przeprowadziły dywanowe bombardowania ładunkami plazmowymi i nocny ostrzał laserowy; promienie lanc przebijały się przez chmury pyłu, wzburzone spadającymi asteroidami. Bojowe paralizatory byłyby o wiele bardziej skuteczne, ale Pax chciał, żeby Mars stał się przykładem — i to efektywnym.

Skutki ostrzału rozmięły się jednak z zamierzeniami Paxu. Terraformowane środowisko marsjańskie, po latach zaniedbań znajdujące się w stanie delikatnej równowagi, do reszty się posypało. Zdatna do oddychania atmosfera zachowała się tylko w Niece Helleńskiej i kilku podobnych obniżeniach terenu, oceany wyparowały, kiedy spadło ciśnienie bądź też, bliżej biegunów, zamarzły, tworząc skorupę wiecznej zmarzliny. Resztki drzew i dużych krzewów wymarły; gdzieś w niemal zupełnej próżni ocalały resztki ćwiekojagodowych gajów i pojedyncze kaktusy. Zapowiadało się na to, że burze piaskowe będą szaleć całymi latami i praktycznie uniemożliwią patrolowanie Czerwonej Planety.

Tymczasem mieszkańcy Marsa, szczególnie palestyńscy partyzanci, przystosowali się do takiego niepewnego życia. Przycupnęli w swoich kryjówkach, mordowali desanty Paxu i czekali. Wysłannicy templariuszy, obecni w pozostałych marsjańskich koloniach, stopniowo przekonywali Marsjan do wprowadzenia nanotechnologicznych zmian w organizmie, które pozwoliłyby ostatecznie dostosować się do nieprzyjaznego środowiska. Coraz więcej ludzi podejmowało to ryzyko i zgadzało się, by mniejsze od molekuł maszyny przekształciły ich ciała i DNA, dopasowując je do wymagań planety.

Kolejnych zmartwień Watykanowi przysparzała Marsjańska Machina Wojenna, do niedawna uważana za nieistniejącą. Należące niegdyś do niej okręty wypadały z kryjówek w Pierścieniu Kuipera i dokonywały straceńczych rajdów na przemierzające Układ Słoneczny konwoje Floty Paxu. Stosunek strat w tych potyczkach wynosił pięć do jednego na korzyść Paxu, ale wystarczało to, by niebotycznie podnieść koszty operacji marsjańskiej. Admirał Marusyn i szefowie połączonych sztabów zalecali Jego Świątobliwości ograniczenie strat i pozostawienie Układu Słonecznego własnemu losowi, przynajmniej na jakiś czas. Zapewnili papieża, że żadna jednostka nie opuści układu i przypomnieli, że po utracie Marsa nie pozostało tam nic godnego uwagi. Papież wysłuchał ich, ale nie zgodził się na wycofanie wojska; kardynał Lourdusamy przy każdej okazji podkreślał symboliczne znaczenie, jakie ma utrzymanie układu Starej Ziemi we władzy Paxu. Jego Świątobliwość postanowił czekać, a tymczasem straty w okrętach, ludziach, pieniądzach i materiale rosły.

Na Marę Infinitus rebelia miała dziwny przebieg: jej źródłem stali się, jak zwykle, przemytnicy, kłusownicy i kilkaset tysięcy upartych tubylców, którzy odmówili przyjęcia krzyża, ale zaraza Enei dała powstaniu nowy impet. Floty rybackie Paxu nie odważały się już zapuszczać bez eskorty na rozległe akweny połowowe,

zautomatyzowane statki rybackie tonęły, odosobnione platformy ulegały zniszczeniu w atakach bombowych, na płycznach pojawiało się coraz więcej zabójczych świecących pysków. Arcybiskup Jane Kelley nie kryła wściekłości na władze Paxu, które najwyraźniej nie umiały sobie z tym wszystkim poradzić. Kiedy biskup Melandriano zalecił jej więcej umiaru, Kelley kazała go ekskomunikować. Melandriano z kolei ogłosił wyjęcie Mórz Południowych spod władzy Paxu i Kościoła - a dzięki wrodzonej charyzmie pociągnął za sobą tysiące wiernych. Z Watykanu przysłano dodatkowe okręty, które jednak niewiele mogły wskórać w toczącej się na czterech frontach wojnie między powstańcami, siłami pani arcybiskup, ludźmi biskupa i świecącymi pyskami.

Posłanie od Enei, nic sobie nie robiąc z całego zamieszania i rzezi, niosło się po Marę Infinitus z prędkością ludzkich słów i potajemnej komunii.

Rebelia - zbrojna i duchowa - ogarnęła także inne planety: te, które Enea odwiedziła - Iksjon, Patawpha, Amritsar, Groombridge Dysona D - ale i takie, na które nie trafiła. Na Tsintao-Hsishuang Pannie wieść o jednoczeniu się niechrześcijan wywołała najpierw ogólną panikę, a później zawzięty opór wobec wszystkiego, za czym stał Pax; na Denebie Drei Republika Jamnu wprowadziła karę śmierci za posiadanie krzyżokształtu; na Fuji słowo Enei trafiło wraz z uciekinierami z Mercantilusa i rozprzestrzeniło się po całej planecie, niczym pożar w suchym lesie. Na pustynnego Vitus-Gray-Balianusa B nowinę przynieśli uchodźcy z Goryczy Sibiatu. Kiedy mieszkańcy planety zdali sobie sprawę, że rządy Paxu doprowadzą do zagłady ich kultury, członkowie Widmowej Helisy Amoiete'a poprowadzili ludność do walki. W pierwszym miesiącu wyzwolono Keroa Tambat i przystąpiono do oblężenia bazy Paxu w Bombasino. Jej dowódca, komandor Solznykov, błagał o pomoc ze strony floty, ale jej dowódcy,

popierani przez Watykan i zaangażowani w starcia na innych frontach, odpowiedzieli mu tylko, że ma cierpliwie czekać. Zagrozili mu ponadto, że jeśli na własną rękę nie doprowadzi do wygaśnięcia powstania, zostanie ekskomunikowany.

Solznykoy rzeczywiście zażegnał konflikt, aczkolwiek dokonał tego w sposób, którego ani Flota Paxu, ani Watykan nie uznałyby za zadowalający: doprowadził do zawarcia pokoju z rebeliantami oraz podpisał układ, na mocy którego jego żołnierze mogli zapuszczać się poza bazę tylko za zgodą tubylców. W zamian za to Widmowa Helisa Amoieta'a zgodziła się na dalsze istnienie Bombasino.

Solznykoy, pułkownik Vinara i pozostali lojalni chrześcijanie postanowili czekać, aż flota przyjdzie im z odsieczą i zmusi tubylców do posłuszeństwa. Tymczasem wśród ludzi przybywających pohandlować w bazie i przyjaźniących się z żołnierzami, znaleźli się także ci, których odmieniła krew Enei. Kiedy opowiadali podupadłym na duchu mężczyznom i kobietom z Paxu swoją historię i proponowali przyjęcie komunii - chętnych nie brakowało.

To wszystko oczywiście stanowiło zaledwie małą część wydarzeń, jakie miały miejsce na setkach planet w kosmosie Paxu podczas mojej ostatniej, najsmutniejszej nocy na Tien Szanie. Rzecz jasna, nie domyślałem się nawet, co się dzieje, gdybym jednak coś podejrzewał, gdybym opanował już umiejętność korzystania z Pustki, Która Łączy - i tak nic by mnie to nie obchodziło.

Enea kochała innego mężczyznę. Wzięli ślub, który nadal jest ważny... Nie wspominała przecież ani o rozwodzie, ani o śmierci męża. I mieli dziecko.

Nie wiem, jakim cudem nie spadłem w przepaść, biegnąc po zalodzonej grani na wschód od Jokungu i Hsuankung Ssu, ale nic mi się nie stało. Wreszcie zacząłem normalnie myśleć i wróciłem po linach zjazdowych, żeby przed brzaskiem znaleźć się u boku Enei.

Kochałem ją. Była najdroższą mi osobą i nie zawahałbym się oddać życia w jej obronie.

Tego samego dnia miałem mieć okazję udowodnić, czy naprawdę tak myślę. Zdarzenia, które rozegrały się wkrótce po tym, jak dotarłem do Napowietrznej Świątyni i wyruszyliśmy na wschód, nie pozostawiły mi wyboru.

Krótko po wschodzie słońca, w starej gompie pod Shivlingiem, zamienionej w chrześcijańską enklawę, odbyła się konferencja, w której uczestniczyli John Domenico kardynał Mustafa, admirał Marget Wu, ojciec Farrell, arcybiskup Breque, ojciec LeBlanc, Rhadamanth Nemes oraz dwoje jej rodzeństwa. Właściwie można by rzec, iż to ludzie uczestniczyli w spotkaniu, podczas gdy Nemes z bratem i siostrą siedzieli w milczeniu przy oknie i spoglądali na chmury okalające Jezioro Wydr.

— Czy jesteście pewni, że zbuntowany „Rafael” nie stanowi dla nas zagrożenia? - zapytał Wielki Inkwizytor.

— Absolutnie pewni - przytaknęła admirał Wu. - Chociaż trzeba przyznać, że zniszczył siedem naszych archaniołów, zanim go zestrzelono. - Pokręciła głową. - De Soya był znakomitym taktykiem; rzeczywiście sam Zły musiał namówić go do zdrady.

Ojciec Farrell oparł łokcie na wypolerowanym blacie stołu.

— Czy na pewno nikt z załogi nie przeżył? - spytał.

Wu wzruszyła ramionami.

— Starcie rozegrało się na niskiej orbicie. Dopuszciliśmy „Rafaela” przed księżyc Tien Szanu i dopiero wtedy uruchomiliśmy pułapkę. Tysiące odłamków - w większości ze zniszczonych przez niego statków - wpadły w atmosferę. Nic nie wskazuje na to, żeby któryś z naszych ludzi przeżył. Nie wykryliśmy ani jednej radiolatarni na planecie. Jeżeli ktoś z załogi de Sol się nam wymknął, jego kapsuła najprawdopodobniej wpadła do żrącego oceanu.

— Czy li jednak... - odezwał się arcybiskup Breque, jak zwykle cichy i ostrożny.

— Wasza Eminencjo - zmęczona i rozdrażniona admirał Wu nie dała mu skończyć. Zwracała się do Breque'a, ale nie odrywała wzroku od twarzy Mustafy. - Będziemy mogli ostatecznie rozstrzygnąć tę kwestię, jeżeli uzyskamy zgodę na wysłanie lądowców, śmigaczy i EMV, które przeczeszą planetę.

Breque nie krył zdumienia. Kardynał pokręcił głową.

— Nie - powiedział. - Mamy rozkaz nie ujawniać obecności floty, dopóki nie otrzymamy z Watykanu ostatecznych rozkazów odnośnie do pojmania dziewczyny.

Wu uśmiechnęła się z nie ukrywaną goryczą.

— Ostatniej nocy tuż ponad warstwą atmosfery rozegrała się bitwa, która w pewnym sensie unieważniła ów rozkaz - zauważyła spokojnie. - Nasza obecność militarna wywarła zapewne spore wrażenie.

— To prawda - przyznał ojciec LeBlanc. - Nigdy nie widziałem czegoś podobnego.

— Wasza Ekscelencjo - mówiła dalej Wu do Mustafy - mieszkańcy tej planety nie dysponują bronią energetyczną, wykrywaczami silników Hawkinga, orbitalnym systemem obronnym, detektorami grawitonicznymi... Do cholery, z tego, co wiemy, nie mają nawet radaru czy sprawnego systemu telekomunikacyjnego! Możemy wysłać lądowców i myśliwce z rozkazem znalezienia żywych ofiar starcia, a tubylcy o niczym się nie dowiedzą. Z pewnością takie działania byłyby znacznie mniej natrętne niż nocny pokaz...

— Nie - powtórzył kardynał nie znoszącym sprzeciwu tonem. Odwinął rękaw szaty i zerknął na chronometr. - Lada chwila powinien przybyć bezzałogowy kurier z Watykanu z rozkazami. Nie wolno nam bardziej komplikować sytuacji.

Ojciec Farrell przesunął dłonią po twarzy.

— Regent Tokra rozmawiał dziś ze mną na kanale, który mu przydzieliliśmy - powiedział. - Wygląda na to, że ich ubóstwiany i nad wiek mądry dalajlama zniknął...

Breque i LeBlanc podnieśli ze zdumieniem wzrok na Farrella.

— To bez znaczenia - rzekł kardynał, dla którego wiadomość najwidoczniej nie stanowiła zaskoczenia. - Liczą się tylko ostateczne rozkazy i aresztowanie Enei. — Spojrzał na admirał Wu. - Proszę przypomnieć żołnierzom i Gwardii Szwajcarskiej, że dziewczynie nie może się stać żadna krzywda.

Wu pokiwała ze znużeniem głową; od miesięcy przerabiali ten scenariusz.

— Jak Wasza Ekscelencja sądzi, kiedy nadejdą rozkazy? - zagadnęła.

Rhadamanth Nemes z dwojgiem rodzeństwa podeszła do drzwi.

— Czas oczekiwania się skończył - stwierdziła. - Przyniesiemy wam głowę Enei.

Wszyscy zerwali się od stołu.

— Siadać! - ryknął Wielki Inkwizytor. - Nie wydałem wam żadnego rozkazu.

Nemes z uśmiechem odwróciła się plecami do niego. Kapłani zaczęli krzyczeć, arcybiskup Jean Daniel Breque przeżegnał się, a admirał Wu sięgnęła po kartaczołnicę.

Dalsze wydarzenia nastąpiły zbyt szybko, żeby ludzkie oko mogło je zarejestrować. W powietrzu mignęły rozmazane kształty, a Nemes, Scylla i Briareus zniknęli. Pośrodku grupy odzianych w czerń i czerwień postaci znalazły się nagle trzy srebrzyste sylwetki.

Scylla dopadła admirał Wu, zanim ta zdążyła wycelować broń. Mignęło chromowe ramię i głowa Wu potoczyła się na stół. Ciało stało jeszcze chwilę bez ruchu, a gdy przypadkowy impuls nerwowy spowodował kurczowe zaciśnięcie się palców prawej ręki, kartacze rozniosły w drobny mak nogi stołu i podziurawiły drewnianą podłogę.

Ojciec LeBlanc wskoczył pomiędzy Briareusa i Breque'a. Srebrzysty, rozmazany kształt wypatroszył księdza, arcybiskup zaś upuścił okulary i zdążył wybiec do sąsiedniego pokoju. Nagle Briareus zniknął, a z miejsca, w którym jeszcze przed chwilą się znajdował, dobiegł grzmot implozji. W tej samej chwili z drugiego pomieszczenia doleciał krótki krzyk, który niemal natychmiast się urwał.

Kardynał Mustafa cofał się przed Rhadamanth Nemes, lecz na każdy jego krok w tył, ona odpowiadała krokiem do przodu. Otaczająca ją rozmyta poświata zniknęła, ale Nemes wcale nie nabrała przez to bardziej ludzkiego czy mniej złowrogo wyglądu.

— Bądź przeklęty, potworze - rzekł cicho Mustafa. - Nie boję się śmierci.

Uniesione brwi Nemes zdradzały jej zdziwienie.

— Ależ oczywiście, Wasza Ekscelencjo. Czy jednak zmieni pan zdanie, jeśli powiem, że zamierzamy wrzucić ciała... i głowę - tu wskazała na głowę Marget Wu, której oczy lśniły szkliscie - do żrącego morza, tak że nie będzie mowy o wskrzeszeniu?

Mustafa oparł się plecami o ścianę. Nemes stała dwa kroki przed nim.

— Dlaczego to robicie? - zapytał ostro.

— Nasze priorytety są chwilowo rozbieżne. - Nemes wzruszyła ramionami. - Jest pan gotów, Wielki Inkwizytorze?

Kardynał przeżegnał się i odmówił szybki Akt Skruchy.

Nemes znów się uśmiechnęła. Jej prawa ręka i noga zmieniły się w błyszczące chromem obiekty, kiedy zrobiła ostatni krok.

Mustafa patrzył. Nie zabiła go, lecz błyskawicznymi ruchami strzaskała mu rękę, podcięła go - łamiąc mu przy okazji obie nogi - i palcami wykłuła oczy, zatrzymując się o milimetry od mózgu.

Takiego bólu Wielki Inkwizytor nie pamiętał. Przez jego mgiełkę dobiegł go jeszcze głos:

— Autochirurg na pokładzie lądownika albo na „Jibrilu” poskłada pana w całość. Zawiadomiliśmy ich. Będą tu za kilka minut. Kiedy spotka się pan z papieżem i jego pasożytami, proszę mu powiedzieć, że moi przełożeni nie życzyli sobie pojmania dziewczyny żywcem. Przykro nam, ale jej śmierć jest konieczna. Proszę im również przekazać, żeby na przyszłość nie podejmowali działań bez uprzedniej zgody wszystkich elementów Centrum. Do zobaczenia, Wasza Ekscelencjo. Mam nadzieję, że automat zdoła wstawić panu nowe oczy, bo warto będzie zobaczyć to, co zamierzamy zrobić.

Mustafa usłyszał jeszcze odgłos kroków i trzask drzwi, a potem zapadła cisza, w której rozbrzmiewał tylko pojedynczy, nieustający wrzask bólu. Sporo czasu zajęło kardynałowi stwierdzenie, że to on sam krzyczy.

Kiedy wróciłem do Napowietrznej Świątyni, pierwszy brzask przesączał się przez spowijającą wszystko mgłę, ale ranek był wciąż mroczny, deszczowy i lodowato zimny. Otrzeźwiałem na tyle, żeby bardziej na siebie uważać w drodze powrotnej - i dobrze się stało, bo kilkakrotnie hamulce jumarów ześlizgiwały się po oblodzonych linach i pewnie zginąłbym bez śladu, gdyby nie asekuracja, o której tym razem pamiętałem.

Enea wstała już, ubrała się i przygotowała do drogi. Założyła ocieplaną kurtkę, uprząż i buty do wspinaczki. A. Bettik i Lhomo Dondrub odziali się podobnie. Każdy z nich miał przerzucony przez ramię podłużny, owinięty w nylon i chyba dość ciężki pakunek; udawali się w drogę z nami. Zebrał się też liczny komitet pożegnany: Theo, Rachel, Dorje Phamo, dalajlama, George Tsarong, Jigme Norbu... Wszyscy smutni i zaniepokojeni. Enea wyglądała na zmęczoną; z pewnością też nie spała. Jak na potencjalnych poszukiwaczy przygód, byliśmy nieźle wykończeni. Lhomo podszedł i wręczył mi jedno z podłużnych zawiniątek. Sporo ważyło, ale nie protestowałem.

Zgarnąłem resztę sprzętu, udzieliłem Lhomo informacji o stanie lin w wyższych partiach grani - wszyscy myśleli chyba, że, mając na uwadze nasze wspólne dobro, na ochotnika przeprowadziłem rekonesans - i odwróciłem się twarzą do mojej ukochanej. Odpowiedziałem skinieniem głowy na jej pytające spojrzenie: Wszystko w porządku. Nic mi nie będzie. Jestem gotów, możemy ruszać. Potem porozmawiamy.

Theo płakała. Wiedziałem, że to ważne rozstanie, że możemy się już nie spotkać w tym samym gronie, mimo zapewnień Enei, iż zobaczymy się ponownie przed zapadnięciem zmroku, ale byłem za bardzo zmęczony i otępiały, żeby się tym przejąć. Stałem z boku, wziąłem parę głębokich wdechów i postarałem się skoncentrować. Wszystko wskazywało na to, że będę potrzebował całego sprytu i uwagi, jeśli chciałem przeżyć najbliższe godziny. Kłopot w tym, że kiedy człowiek kocha, to za mało śpi, pomyślałem.

Zeszliśmy na wschodnią platformę, a później szybkim krokiem ruszyliśmy śliską skalną półką w stronę rozpadliny. Minęliśmy liny, po których tak niedawno zjechałem z grani i bez przeszkód dotarliśmy do szczeliny. Karłowate drzewka wyglądały we mgle staro i nierzeczywiście, z wynurzających się z oparu czarnych konarów i liści woda ściekała nam na twarze. Strumyki szemrały głośniejsz niż zwykle, a wodospad, którym woda spadała w pustkę po mojej lewej ręce, grzmiał donośnie.

Z najwyższej położonych partii wschodniego zbocza rozpadliny zwieszały się stare, rzadko używane i mniej godne zaufania liny. Korzystając z nich Lhomo pierwszy wspiął się na górę, za nim poszła Enea, potem A. Bettik i ja. Po raz kolejny zauważyłem, że android pnie się po linach szybko i sprawnie, jakby wcale nie stracił ręki. Stanąwszy na grani znaleźliśmy się w punkcie, do którego nie dotarłem, błakając się tu po nocy - rozpadlina stanowiła naturalną granicę moich

wędrówek. Prawdziwe problemy zaczęły się, gdy ruszyliśmy niewyraźną ścieżką na południowej ścianie masywu: obłe półki, występy skalne, płaty zmrożonego śniegu, małe gołoborza... Piętrząca się nad naszymi głowami grań składała się głównie z nawisów mokrego śniegu i lodowych seraków, toteż nie dałoby się po niej iść. Poruszaliśmy się w absolutnym milczeniu, z pełną świadomością, że najmniejszy zbędny hałas może wywołać lawinę, która w ułamku sekundy zmiecie nas z dziesięciocentymetrowej szerokości stopni. W którymś momencie zrobiło się na tyle niebezpiecznie, że związaliśmy się liną, przewleczoną przez wpięte w uprząż karabinki, i od tej pory wiadomo było, że kiedy ktoś z nas poleci, mamy szansę go wyłapać - albo spaść razem z nim. Chyba wszyscy cieszyli się z łączącej nas liny, gdy posuwaliśmy się dalej, a idący na czele Lhomo przeskakiwał bez wahania przez spowite mgłą szczeliny, do których ja bałbym się zbliżyć.

Nadal nie wiedziałem, dokąd się udajemy. Pamiętałem, że grań wyrastająca z Kun Luna na wschód przebiega obok Jokungu i po kilku kilometrach opada stromo do morza chmur i kwasu. Wiosną na kilka tygodni poziom targanego pływami oceanu obniżał się na tyle, że góry wynurzały się z trujących obłoków i przed karawanami, pielgrzymami, mnichami, handlarzami i wszelkiej maści poszukiwaczami przygód otwierała się, droga na wschód, ku Taj Szanowi, Wielkiej Górze Państwa Środka, najbardziej niedostępnemu z zamieszkanym zakątków Niebiańskich Gór. Mnisi osiedlający się na stokach Taj Szanu nigdy ponoć nie wracali do Państwa Środka ani w inne rejony planety, lecz od pokoleń pędzili życie wśród tajemniczych grobowców, gomp i świątyń na tym najświętszym ze szczytów.

Doszedłem do wniosku, że gdybyśmy przy takiej pogodzie zaczęli schodzić, nawet nie zauważylibyśmy, kiedy zamiast monsunowych

obłoków otoczyłyby nas trujące wyziewy mórz. Przynajmniej dopóki nie zaczęlibyśmy się dusić.

Ale nie traciliśmy wysokości. Po kilku godzinach posuwania się w milczeniu stanęliśmy na skraju przepaści, wyznaczającej wschodnią granicę Państwa Środka. Taj Szanu oczywiście nie było widać; nawet kiedy chmury nieco się przerzedziły, nasz wzrok nie sięgał dalej niż do przeciwległej ściany skalnej. Otaczało nas mleczne morze mgły i obłoków.

Na wschodnim krańcu świata znajdowała się szeroka, naturalna platforma. Przycupnęliśmy więc na niej, wygrzebaliśmy z plecaków drugie śniadanie i popiliśmy je paroma łykami wody z manierek. Drobnutkie sukulenty, porastające stromy taras, niemal puchły w oczach, chłonąc pierwszą wilgoć monsunu.

Po posiłku Lhomo i A. Bettik zabrali się do rozpakowywania trzech ciężkich paczek, a Enea rozpięła swój plecak, który, nawiasem mówiąc, wyglądał na cięższy, niż bagaże mężczyzn. Nie zdziwiłem się specjalnie na widok nylonowych płacht i aluminiowych szkieletów oraz wyjętych z plecaka próznioskór i dwudechów, o których na śmierć zapomniałem.

Westchnąłem i popatrzyłem ku wschodowi.

— Będziemy próbowali dolecieć na Taj Szan - stwierdziłem.

— Tak - przyznała Enea i zaczęła się rozbierać.

A. Bettik i Lhomo odwrócili wzrok, a mi serce zabiło żywiej na gniewną myśl, że inni mężczyźni widzą moją ukochaną nago. Opanowałem się, rozłożyłem drugą próznioskórę i zacząłem zrzucać odzież, upychając ją po kawałku w plecaku. Niesiona zimnym wiatrem mgła kleiła mi się do nagiej skóry.

Android i lotnik zajęli się składaniem paralotni, my zaś wciągnęliśmy próznioskóry, których nazwa dobrze oddawała wygląd: były cienkie i obcisłe niczym druga skóra. Na szczęście uprząż i stelaż

dwudechów pozwalały co nieco skromnie przysłonić. Kaptur opiął mi głowę ciaśniej niż w piankowym skafandrze nurka, tak że uszy miałem przyciśnięte na płasko do głowy. Dzięki wbudowanym filtrom i włóknom komunikacyjnym mieliśmy się porozumiewać, gdy powietrze stanie się zbyt rzadkie.

Lhomo i A. Bettik złożyli z przyniesionych przez nas części cztery paralotnie, po czym, jakby w odpowiedzi na moje niewypowiedziane pytanie, Lhomo rzekł:

— Mogę wam tylko wskazać prąd termiczny i wykierować was tak, żebyście trafili w prąd strumieniowy w troposferze. Ja na takiej wysokości nie mam żadnych szans przeżycia, a poza tym nie chcę lecieć na Taj Szan, mając małe szanse na udany powrót.

Enea dotknęła jego ręki.

— I tak jesteśmy ci dozgonnie wdzięczni za to, że nami pokierujesz. Twarz nieustraszonego lotnika pokryła się rumieńcem.

— A co z A. Bettikiem? - zapytałem i natychmiast zdałem sobie sprawę, że mówię o naszym przyjacielu, jakby nie było go z nami. - Co z tobą? Nie mamy trzeciej próznioskóry ani dwudechu.

Android się uśmiechnął. Zawsze uważałem jego uśmiech za jeden z najmądrzejszych wyrazów twarzy, jakie widziałem u człowieka - chociaż, technicznie rzecz biorąc, A. Bettik człowiekiem nie był.

— Zapomina pan, M. Endymion - odparł - że zaprojektowano mnie tak, bym wytrzymał nieco trudniejsze warunki niż przeciętny ludzki organizm.

— Ale przy tej odległości... - zacząłem. Od Taj Szanu dzieliło nas ponad sto kilometrów i nawet jeśli dostaniemy się we właściwy prąd powietrza, co najmniej przez godzinę nie będzie czym oddychać.

A. Bettik zapiął ostatni zatrzask upręży ślicznej, błękitnej paralotni. Skrzydło miało dobre trzy metry rozpiętości.

— Jeżeli w ogóle uda nam się dolecieć, przeżyję - uspokoił mnie.

Pokiwałem głową i zająłem się uprzężą własnego latawca. Nie zadawałem dalszych pytań, nie patrzyłem na Eneę, nie pytałem dlaczego mamy we czworo ryzykować życiem... gdy nagle stanęła tuż obok mnie.

— Dziękuję, Raul - powiedziała tak, żeby wszyscy słyszeli. - Robisz to, bo mnie kochasz. Dziękuję ci z głębi serca.

Wykonałem nieokreślony ruch ręką, jakby odebrało mi mowę. Byłem zakłopotany, że Enea dziękuje mnie, a tuż obok dwóch innych śmiazków szykuje się dla niej do skoku w otchłań, ale jeszcze nie skończyła.

— Kocham cię, Raul - powiedziała i stanęła na palcach, żeby pocałować mnie w usta. Potem zakołysała się na piętach i spojrzała na mnie oczyma, w których mignęły mi bezkresne głębie. - Kocham cię, Raulu Endymionie. Zawsze kochałam. I zawsze będę kochać.

Stanąłem jak wryty, nie bardzo wiedząc, co zrobić. Wszyscy wpięli się w uprzęże paralołtni i podeszliśmy do skraju urwiska. Lhomo przygotował się ostatni; wcześniej sprawdził wszystkie rurki, śruby, nity i zaciski w naszych latawcałh. Zadowolony z wyników przeglądu skinął głową A. Bettikowi, zapiął uprząż z wprawą i szybkością wynikłą z niezwykłej praktyki i dyscypliny i podszedł do krawędzi półki. Nawet sukulenty nie rosły na metrowej szerokości skrawku przy brzegu tarasu, jakby bały się spaść w przepaść; nie wiem jak one - ja z pewnością się bałem. Stromy, nagi kawałek skały zrobił się śliski od marznącej mżawki. Mgła otuliła nas jeszcze ciaśniej.

— Łatwo się będzie pogubić w tej zupie - uprzedził nas Lhomo. Miał czerwoną paralołtnię. - Zataczajcie kręgi w lewo i trzymajcie się nie dalej niż pięć metrów od poprzednika. Lecimy w takiej samej kolejności, jak szliśmy: ja, potem Enea z żółtym skrzydłem, niebieski człowiek z niebieskim, a potem ty, Raul, z zielonym. Najważniejsze, to nie stracić się z oczu.

Enea skinęła krótko głową.

— Będę trzymała się blisko ciebie.

Lhomo spojrział na mnie.

— Ty z Enea będziecie mogli się komunikować dzięki systemowi łączności w próznięskórach - powiedział - ale nie pomoże się wam to odnaleźć. A. Bettik i ja porozumiewamy się gestami. Uważajcie więc i nie traćcie z oczu niebieskiego latawca. Gdyby jednak tak się zdarzyło, korujcie w górę, przeciwnie do ruchu wskazówek zegara, aż wzbijecie się ponad chmury. Tam się spotkamy. Pamiętajcie, żeby w chmurach zataczać ciasne kręgi. Jeśli popuścicie - a przy małej widoczności człowiek ma do tego naturalną skłonność - rozbijecie się o urwisko.

W gardle mi zaschło, ale pokiwałem głową na znak zrozumienia.

— Dobra - mówił dalej Lhomo. - Do zobaczenia nad chmurami. Tam znajdę podmuch termiczny i wprowadzę was w prąd strumieniowy. Kiedy będę was opuszczał, zrobię tak - zacisnął pięść i dwa razy szarpnął ręką, jakby ciągnął za dźwignię. - Lećcie dalej do góry, w kółko, i wejdźcie w strumień najgłębiej, jak tylko zdoła cię. Będzie się wam zdawało, że huragan w górnych warstwach atmosfery rozszarpie wam latawce na strzępy. Może i tak się stanie, ale nie macie szans dotrzeć na Taj Szan, jeśli nie wpakujecie się w sam środek wichury. Od najbliższych zboczy Wielkiej Góry, na których można normalnie oddychać, dzieli nas w tej chwili sto jednaście kilometrów.

Skinęliśmy głowami.

— Niech Budda łaskawie spojrzysz dziś na nasze szaleństwo - rzekł Lhomo. Wyglądał na szczęśliwego.

— Amen - dodała Enea.

Lotnik odwrócił się bez słowa i zeskoczył z krawędzi urwiska. Sekundę później Enea poszła w jego ślady, a po chwili także A. Bettik pochylił się do przodu, odbił od skały i zniknął w chmurach. Pospieszyłem za nim - i nagle ziemia umknęła mi spod stóp, a moje

ciało zawisło w uprzęży. Już zdążyłem stracić z oczu niebieską parolotnię A. Bettika, a kotłujące się wokół mnie chmury dodatkowo mnie dezorientowały. Pociągnąłem za poziomy drążek sterowy i skręciłem w lewo, tak jak mnie uczono. Wypatrywałem sobie oczy, żeby tylko dojrzeć którąś z pozostałych parolotni, ale na próżno. Poniewczasie przypomniałem sobie, że za długo przytrzymałem dźwignię... A może nie? Może należało jeszcze potrzymać? Wyrównałem lot. Czulem, jak wiatr popycha mnie w górę, słyszałem jak szarpie nylonową powłoką latawca, ale nie potrafiłbym powiedzieć, czy rzeczywiście się wznoszę, bo byłem jak ociemniały; czulem się tak, jakbym nabawił się śnieżnej ślepoty. Niewiele myśląc wrzasnąłem najgłośniej jak mogłem, z nadzieją, że któreś z nich usłyszy mnie, odkrzyknie i pomoże mi się zorientować w przestrzeni. Z odległości paru metrów odpowiedział mi męski głos - mój własny, odbity od pionowej ściany, o którą zaraz miałem się rozpląszczyć.

Nemes, Scylla i Briareus ruszają na południe z enklawy Paxu u podnóża Fallusa Siwy. Słońce świeci wysoko na niebie, a horyzont na wschodzie skrywa gruba powłoka chmur. Odkąd Pax zajął gompę po Shivlingiem, naprawiono i poszerzono starą Powietrzną Drogę do Potali, biegnącą na południowy zachód wzdłuż Koko Nor, w miejscu zaś, gdzie zaczyna się dziesięciokilometrowa lina zjazdowa, wiodąca wprost do pałacu, zainstalowano specjalną platformę. Przy niej to właśnie zwiesza się na dwóch wózkach wygodny wagonik, przygotowany z myślą o dostojnikach Paxu. Nemes przepycha się na czoło kolejki, nie zwracając uwagi na gniewne spojrzenia i pomruki małych ludzików w chubach, których tłum kłębi się na schodach przed platformą. Kiedy Scylla i Briareus również wskakują do wagonika, Nemes zwalnia hamulce i pojazd rozpędza się nad przepaścią. Nad pałacem zbierają się czarne chmury.

Oddział dwudziestu gwardzistów z halabardami i prymitywną bronią energetyczną zatrzymuje ich na schodach po zachodniej stronie Pasma Żółtych Kapeluszy; zabudowania pałacu piętrzą się tu na szczycie urwistej wschodniej ściany, mierzącej kilka kilometrów wysokości. Kapitan straży traktuje gości z najwyższym szacunkiem.

— Czcigodni goście - mówi z ukłonem - musicie poczekać tutaj na przybycie gwardii honorowej, która będzie waszą eskortą w drodze do pałacu.

— Wolelibyśmy pójść sami - stwierdza Nemes.

Dwudziestu strażników trzyma broń w gotowości. Tworzą mur litej stali, futra i jedwabiu, zwieńczony ozdobnymi hełmami. Dowódca oddziału zgina się w jeszcze niższym ukłonie.

— Raczcie wybaczyć mi, Szlachetni Goście, bom niegodny z wami rozmawiać, ale nie można wejść do pałacu bez zaproszenia i gwardii honorowej. Proszę więc, byście zechcieli chwilę poczekać. Gdybyście łaskawie spoczęli w cieniu tej oto pagody... Lada chwila przybędzie osoba, której ranga pozwoli was godnie powitać.

Nemes kiwa głową.

— Zabijcie ich - mówi do Scylli i Briareusa. Oboje dokonują przeskoku fazowego, ona zaś rusza prosto do pałacu.

Wychodzą z nadczasu podczas drugiej wędrówki korytarzami wielopiętrowej budowli i przyspieszają tylko wówczas, gdy muszą zabić strażnika bądź kogoś ze służby. Zszedłszy po głównych schodach wejściowych zbliżają się do Pargo Kaling, olbrzymiej Bramy Zachodniej, gdzie drogą zastępuje im regent Tokra z pięciuset żołnierzami doborowych jednostek straży pałacowej. Niektórzy z nich mają miecze i piki, większość jednak uzbrojona jest w kusze, karabiny i prostą broń energetyczną.

— Pani komandor Nemes - mówi Tokra i lekko pochyla głowę w ukłonie, pilnując jednak, by nie stracić kontaktu wzrokowego

z kobietą naprzeciwko niego. - Słyszeliśmy, czego dokonaliście pod Shivlingiem. Nie wolno wam zrobić ani kroku dalej. - Skinieniem głowy daje znak komuś u szczytu łuku Pargo Kaling i czarny most Kyi Chu bez szmeru cofa się do wnętrza góry. Pozostają po nim tylko masywne liny, posmarowane warstwą zmniejszającego tarcie żelu.

Nemes się uśmiecha.

— Czego chcesz, Tokra?

— Jego Świątobliwość udał się do Hsuankung Ssu - odpowiada regent. - Wiem, po co tu przybyliście, ale nie pozwolę wam skrzywdzić dalajlamy.

Rhadamanth Nemes uśmiecha się szerzej i odsłania więcej drobnych, ostrych zębów.

— O czym ty mówisz, Tokra? Sprzedałeś Paxowi waszego bogaczkę za trzydzieści srebrników. Targujemy się o więcej?

Regent kręci przecząco głową.

— Umowa była taka, że Jego Świątobliwości nic się nie stanie, ale wy...

— Chcemy dostać dziewczynę - przerywa mu Nemes. - Nie obchodzi nas wasz mały lama. Powiedz swoim ludziom, żeby nas przepuścili, albo wszystkich stracisz.

Regent odwraca się i wydaje swojej małej armii krótki rozkaz. Mężczyźni z zawziętymi twarzami unoszą broń do ramion. Stoją na drodze do mostu, którego już nie ma. W rozpadlinie kotłują się ciemne obłoki.

— Zabijcie ich - mówi Nemes i dokonuje przejścia fazowego.

Lhomo przeszkolił nas w zakresie kierowania lotnią, ale nigdy nie miałem okazji wypróbować nabytych umiejętności w praktyce. Teraz zaś, kiedy tuż przede mną urwisko wynurzyło się z mgiły, musiałem od razu dokonać właściwego wyboru.

Latawcem kierowało się za pomocą drążka sterowego, który miałem przed sobą. Szarpnąłem nim w lewo i przeniosłem w tę stronę cały ciężar ciała, na tyle, na ile pozwalał stelaż paralotni. Skręciłem, ale bez wątpienia zbyt łagodnie; zanosilo się na to, że zahaczę o skałę o metr, może dwa przed zatoczeniem łuku. Miałem do dyspozycji jeszcze jeden przyrząd sterowniczy - podwójny uchwyt, który pozwalał wypuścić powietrze spod przedniej krawędzi skrzydła - wiedziałem jednak, że jego użycie jest bardzo niebezpieczne i zarezerwowane wyłącznie dla sytuacji awaryjnych.

Zaczynałem rozróżniać płaty mchu na kamieniach. Znalazłem się w sytuacji awaryjnej.

Z całej siły szarpnąłem za lewy uchwyt i płachta nylonu nad moją głową otwarła się, jak przecięta przez złodzieja sakiewka. Ponieważ druga połowa skrzydła pozostała nienaruszona, a wciąż znajdowałem się w obrębie silnego prądu wznoszącego, prawą krawędź poderwało ostro do góry i latawiec niemal obrócił się do góry nogami. Lewa połowa skrzydła nie miała żadnej siły nośnej, więc zachowywała się jak goły aluminiowy stelaż. Nogi poleciały mi na bok i przez chwilę miałem wrażenie, że spadnę prosto w dół. Potem butami otarłem się o kamienie - i rzeczywiście zacząłem spadać. Puściłem uchwyt awaryjny, nylon błyskawicznie wrócił do poprzedniego kształtu, a ja zacząłem szybować, czy raczej pikować w bardziej kontrolowany sposób.

Wieżący w górę urwiska ciepły prąd uderzył w paralotnię jak winda ekspresowa i zacząłem mknąć w górę. Drążek sterowy grzmotnął mnie w splot słoneczny, tak że przez chwilę nie mogłem oddychać, a mój latawiec najpierw opadł, potem szarpnął się do góry, po czym wszedł w łagodny łuk o promieniu jakichś sześćdziesięciu metrów. Okazało się, że znów zwisam w uprząży głową w dół, tym razem jednak drążek

sterowy znalazł się dokładnie pode mną. Tylko ścianę miałem jak zwykle przed sobą.

Sytuacja przedstawiała się niewesoło, wszystko bowiem wskazywało na to, że lot po łuku zakończy się zderzeniem z urwiskiem. Szarpnąłem prawy uchwyt awaryjny, wypuściłem powietrze spod skrzydła, poleciałem w dół, przekoziółkowałem, puściłem uchwyt i pociągnąłem za drążek, miotając się w uprzęży, żeby złapać równowagę. Chmury na moment rozstąpiły się i ujrzałem, że od urwiska dzieli mnie dobre trzydzieści metrów. Z trudem wyrównałem lot.

Zacząłem się wznosić się po spirali do góry, o wiele ostrożniej niż przed chwilą. Dziękowałem losowi za lukę w chmurach, która pozwoliła mi ocenić dystans do ściany skalnej. Skręciłem ostro w lewo.

— Fantastyczne! - rozległ się szept tuż przy moim uchu. - Było na co popatrzeć. Zrób to jeszcze raz!

Prawie podskoczyłem na dźwięk tego głosu. Spojrzałem do góry, potem za siebie: nad moją głową, tuż pod powalą chmur, kołowało żółte skrzydło Enei.

— Nie, na razie wystarczy - odparłem. Przylegający mi do krtani mikrofon w próznioskórce przeniósł moje subwokalizowane słowa. - Chyba mam dość popisów. A ty co tu robisz? Gdzie A. Bettik?

— Spotkaliśmy się nad chmurami, a kiedy okazało się, że cię nie ma, zleciałam niżej, żeby cię poszukać - zabrzmiał cichy głos Enei.

Zrobiło mi się niedobrze, nie tyle na wspomnienie akrobacji, jakich przed chwilą dokonywałem, co raczej na myśl, ile ryzykowała, nurkując w chmury, żeby mnie odnaleźć.

— Ze mną wszystko w porządku - mruknąłem. - Chciałem tylko lepiej wyczuć prąd.

— Rozumiem cię - przytaknęła. - Wiatr lubi płać figle. Lecimy do góry?

Poszybowałem za nią, pilnując, żeby nadmiar dumy nie uniemożliwił mi przeżycia tej eskapady. Miałem trudności ze śledzeniem żółtej lotni we mgle, ale i tak było to łatwiejsze niż fruwanie na ślepo przy urwisku. Enea idealnie wyczuwała odległość do ściany i każdy hak kończyliśmy z pięciometrowym zapasem, lecąc dokładnie pośrodku prądu termicznego.

Po kilku minutach wzbiliśmy się ponad obłoki - i zaparło mi dech w piersi: najpierw chmury rozjaśniła lekka poświata, potem poświata zmieniła się w powódź światła słonecznego, a za chwilę wynurzyłem ponad mgłę, niczym nurek z białego morza. Musiałem zmrużyć oczy, żeby nie oślepnąć od blasku słońca i bezkresnego błękitu nieba.

Z morza chmur sterczały tylko najwyższe szczyty i pasma: Taj Szan lśnił bielą daleko na wschodzie, Heng Szan piętrzył się w podobnej odległości na pomoc od nas, grań Jokungu, którą opuściliśmy, biegła na zachód niczym ostrze noża, masyw Kun Luna przypominał olbrzymi mur, ciągnący się z północnego zachodu na południowy wschód, a daleko, daleko za nim strzelały w niebo olśniewające szczyty Czomo Lori, Parnasu, Kangczendzongi, Koi, Kalaisu i innych, których nie umiałem rozpoznać. Słońce odbijało się również od wysokiego szczytu za odległym masywem Phari - doszedłem do wniosku, że musi to być albo Potala, albo nieco od niej niższy Shivling, po czym przestałem podziwiać widoki i skupiłem się na próbach wniesienia się wyżej.

Kołujący nieopodal A. Bettik pokazał mi wyprostowany kciuk. Odpowiedziałem mu tym samym gestem i poszukałem wzrokiem Lhomo: krążył pięćdziesiąt metrów wyżej i dawał nam znaki: Bliżej. Ciasne kręgi. Za mną.

Enea z łatwością dogoniła lotnika i zajęła pozycję za jego plecami, A. Bettik znalazł się po przeciwnej stronie okręgu, a ja zamykałem stawkę, lecąc piętnaście metrów niżej i pięćdziesiąt metrów za niebieskim latawcem androida.

Lhomo dokładnie wiedział, gdzie należy szukać prądów wznoszących: czasem zapuszczaliśmy się kawałek ku zachodowi, chwytałyśmy wiatr, wznosiliśmy się i wracaliśmy na wschód. Chwilami zdawało mi się, że w ogóle się nie wznosimy, ale wystarczyło zerknąć na Heng Szan, żeby przekonać się, iż zyskaliśmy kolejne kilkaset metrów. Pomału przemieszczaliśmy się też w kierunku wschodnim, choć od Taj Szanu dzieliło nas nadal osiemdziesiąt, może nawet dziewięćdziesiąt kilometrów. Robiło się coraz zimniej, a i oddychanie przychodziło mi z coraz większym trudem. Uszczelniłem więc maskę osmotyczną i przeszedłem na oddychanie czystym tlenem. Próznioskóra otuliła mnie ciaśniej, pełniąc zarazem funkcję skafandra ciśnieniowego i izolacji termicznej. Widziałem jak Lhomo trząsie się z zimna mimo zykoziego futra i grubych rękawic, na nagim przedramieniu A. Bettika skrzyła się warstewka lodu - a my wciąż się wznosiliśmy. Niebo pociemniało, a widoki zrobiły się jeszcze bardziej niesamowite - daleko na południowym zachodzie pojawiła się Nanda Devi, na południowym wschodzie wyrósł Helgafell, a zza Shivlinga wynurzył się Harney Peak. Zaczynaliśmy widzieć wyraźną krzywiznę powierzchni planety.

Wreszcie Lhomo dał za wygraną. Chwilę wcześniej otworzyłem maskę, żeby przekonać się ile powietrza zostało na tej wysokości, ale po jednym wdechu w czymś, co sprawiało wrażenie próżni doskonałej, natychmiast uszczelniłem membranę. Nie wyobrażałem sobie, jak Lhomo może oddychać, myśleć i normalnie funkcjonować. Teraz dał nam znak, że mamy kołować jeszcze wyżej, życzył nam na migi powodzenia odwiecznym gestem - składając kciuk i palec wskazujący w okrąg - po czym wypuścił powietrze spod latawca i jak jastrząb runął w dół. W mgnieniu oka znalazł się kilkaset metrów pod nami i wykręcił ku zachodniej grani.

My tymczasem wznosiliśmy się nieustannie; czasem gubiliśmy prąd, ale nigdy nie trwało to długo. Skrajne podmuchy prądu strumieniowego zaczęły nas już popychać na wschód, ale wspomniawszy wskazówki Lhomo powstrzymaliśmy się od natychmiastowego wykręcenia w tym kierunku - wciąż nie nabraliśmy jeszcze wystarczającej wysokości i nie mieliśmy należytego rozpędu, żeby dolecieć do Taj Szanu.

Chwila, w której wpadłem w objęcia prądu strumieniowego, przypominała mi wpłynięcie kajakiem w bystrza górskiej rzeki. Enea pierwsza trafiła na podmuch: żółty nylon jej paralotni zawibrował niczym w porywach huraganu, a aluminiowy stelaż wygiął się do granic możliwości. Wtedy A. Bettik i ja równocześnie odczuliśmy pierwsze szarpnięcie; wszystko, co mogłem zrobić, to starać się utrzymać równowagę w uprzęży i prowadzić latawiec w górę.

— Będzie ciężko - uprzedziła mnie Enea. - Lotnia próbuje się wyrwać i pofrunąć prosto na wschód.

— Nie możemy tego zrobić - sieknąłem i skierowałem skrzydło pod wiatr. Prąd termiczny poderwał mnie wyżej.

— Wiem - doleciał mnie głos Enei. W tej chwili dzieliło mnie od niej kilkaset metrów, ale widziałem, jak wisi pod paralotnią z wyprostowanymi nogami i zмага się z drążkiem sterowym.

Rozejrzałem się dookoła. Kryształki lodu utworzyły halo wokół słońca, a granie zniknęły nam niemal z oczu; wzlecieliśmy kilka kilometrów ponad najwyższe wierzchołki.

— Jak tam A. Bettik? - zapytała Enea.

Wykręciłem się w uprzęży i dostrzegłem kołującego nade mną androida. Wydawało mi się, że ma zamknięte oczy, ale widziałem, jak porusza drążkiem. Całą skórę pokrył mu lśniący lód.

— Chyba w porządku... Eneo?

— Słucham?

— Czy ludzie Paxu pod Shivlingiem albo na orbicie nie przechwycają naszych rozmów, kiedy używamy komunikatorów w próżniokórkach?

W kieszeni miałem elektroniczny notes z nadajnikiem, postanowiliśmy go jednak użyć wyłącznie do sprowadzenia statku. Tym bardziej głupio by było, gdybyśmy dali się złapać z powodu systemu łączności w skafandrach.

— Nie ma mowy - wykrztusiła z trudem Enea. Mimo masek osmotycznych i wplecionych w próżniokórki matryc dwudechów, odczuwaliśmy boleśnie, że powietrze jest zimne i rozrzedzone. - Mają za mały zasięg, pewnie niecałe pół kilometra.

— To nie oddalaj się za bardzo - powiedziałem i wzniosłem się ostatnie kilkaset metrów. Na tej wysokości huragan, którego świstu prawie nie słyszałem, usiłował nie pozostawić mi wyboru i po prostu ponieść mnie na wschód. Opieraliśmy mu się jeszcze przez parę minut, ale na więcej nie było nas stać. Podmuch termiczny cichł gwałtownie i znaleźliśmy się na łasce prądu strumieniowego.

— No to lecimy! - zakomenderowała donośnie Enea, zapominając, że słyszę nawet najcichszy jej szept.

A. Bettik otworzył oczy i pokazał mi wyprostowany kciuk. W tejże chwili mój latawiec wydostał się z zamierającego prądu wznoszącego i dał się unieść ku wschodowi. Mimo słabo rozchodzących się dźwięków miałem wrażenie, że pędzimy w powietrzu z taką szybkością, iż szum wiatru przechodzi w ryk. Żółty trójkąt latawca Enei pomknął w stronę Taj Szanu jak wystrzelony z kuszy bełt; w ślad za nim poleciała niebieska paralotnia androida, ja zaś przez chwilę zmagalem się jeszcze z drążkiem sterowym, zanim zrozumiałem, że nie zdołam ani o milimetr zmienić kursu. Święta góra błyszczała przed nami, ale wciąż mieliśmy ładny kawał do przelecenia, a z wolna zaczynaliśmy tracić wysokość. Tysiące metrów pod nami, pod białymi,

monsunowymi chmurami, kłębiły się zielonkawe obłoki fosgenu i falowały żrące oceany - niewidoczne i wyczekujące.

W dowództwie Paxu w układzie Tien Szanu panowało zamieszanie.

Kapitan Wolmak z „Jibrila”, odebrawszy dziwny, powtarzający się sygnał alarmowy z enklawy Paxu pod Sh-Mingiem, bezskutecznie próbował wywołać kardynała Mustafę i towarzyszących mu dostojników. Wysłał więc na miejsce opancerzony lądownik z dwoma oddziałami marines i trzema lekarzami.

Pierwszy raport niewiele wyjaśnił. Sala konferencyjna przypominała jatkę. Na ścianach i na podłodze pełno było krwi i ludzkich wnętrzności, ale jedyne ciało, jakie znaleziono, należało do Wielkiego Inkwizytora - przeżył, choć został okrutnie okaleczony i oślepiiony. Z badań DNA pobranego z największej kałuży krwi wynikało, iż pochodzi z ciała ojca Farrella, pozostałe zaś plamy pozostawili po sobie arcybiskup Breque i jego asystent, ojciec LeBlanc; nie było więcej ciał i ani jednego krzyżokształtu. Zdaniem medyków kardynał Mustafa zapadł w śpiączkę wskutek głębokiego wstrząsu, a jego stan określano jako krytyczny. Udało się ustabilizować podstawowe procesy życiowe, ale lekarze czekali na dalsze rozkazy: czy należy pozwolić mu umrzeć i spokojnie go wskrzesić, czy też raczej przenieść do autochirurga na statku i próbować leczenia? Z pewnością minęłoby kilka dni, zanim odzyskałby przytomność i mógł zrelacjonować wydarzenia. Trzecia możliwość wiązała się z wyciągnięciem kardynała ze śpiączki i natychmiastowym przesłuchaniem - musiałby wówczas sporo wycierpieć i nie wiadomo, czy udałoby się go utrzymać przy życiu.

Wolmak kazał lekarzom zaczekać i zameldował o wszystkim dowódcy grupy uderzeniowej, admirałowi Lempriere. Ponad czterdzieści okrętów, które stacjonowały w układzie Tien Szanu i uczestniczyły w potyczce z „Rafaelem”, pod dowództwem Lempriere'a

ratowało rozbitków z nieodwracalnie uszkodzonych archaniołów, w odległości wielu jednostek astronomicznych od planety. Wszyscy czekali na przybycie statku kurierskiego z Watykanu i zrobotyzowanej jednostki TechnoCentrum, która miała unieszkodliwić całą populację Tien Szanu. Na razie żadna z maszyn się nie pojawiła, a Lempriere znajdował się o wiele bliżej, bo tylko o cztery minuty świetlne od „Jibrila”. Wolmak uznał, że nie ma wyboru, mimo że powiadomienie admirała zajmie aż cztery minuty. Nadał więc komunikat i czekał.

Dowodzący okrętem flagowym „Raguel” Lempriere znalazł się w delikatnej sytuacji: w kilka minut musiał podjąć decyzję, co zrobić z Mustafą. Jeżeli pozwoliłby mu umrzeć, dwudniowy cykl wskrzeszeniowy najprawdopodobniej zakończyłby się powodzeniem, a kardynał wiele by nie wycierpiał. Tymczasem sprawca ataku - Chyżwar, tubylcy, uczniowie Enei czy może Intruzi - przez te dwa dni pozostałby nieznany. Lempriere zdecydował w dziesięć sekund. Kapitan Wolmak musiał poczekać na meldunek dalsze cztery minuty.

— Ustabilizować stan rannego - brzmiały rozkazy dla dowódcy „Jibrila”. - Podłączyć do systemu podtrzymywania życia w lądowniku. Obudzić ze śpiączki i przesłuchać. Kiedy wszystkiego się dowiemy, niech autochirurg postawi diagnozę i przedstawi swoje przewidywania. Jeżeli okaże się, że najszybciej będzie kardynała wskrzesić, należy pozwolić mu umrzeć.

— Przyjąłem, admirale - nadał w odpowiedzi Wolmak i przekazał stanowisko dowódcy żołnierzom na planecie.

Marines poszerzyli tymczasem obszar poszukiwań - korzystając z plecaków odrzutowych rozejrzeli się po urwiskach w okolicy Fallusa Siwy i przeczesali radarem głębokościowym Rhan Tso, Jezioro Wydr, w którym nie znaleźli ani wydr, ani brakujących zwłok. Wielkiemu Inkwizytorowi towarzyszył w enklawie dwunastoosobowy oddział komandosów oraz pilot lądownika, ale i ci ludzie przepadli bez śladu.

Pobrano próbki DNA ze wszystkich plam krwi i strzępów wnętrzości i doliczono się większości zaginionych - samych ciał jednak nie znaleziono.

— Czy mamy objąć poszukiwaniami także pałac zimowy? - zapytał porucznik dowodzący marines. Żołnierzom szczególnie wyraźnie powiedziano, że mają nie niepokoić tubylców - zwłaszcza dalajlamy i jego najbliższych ludzi - i czekać, aż statek Centrum uspi mieszkańców Tien Szanu.

— Zaczekajcie chwilę - powiedział Wolmak. Na ekranie migotała lampka sygnalizująca zgłoszenie oficera nasłuchu, zasiadającego w kapsule z kamerami i czujnikami.

— O co chodzi?

— Kapitanie, mamy na wizji pałac. Stało się tam coś strasznego.

— Co takiego?! - warknął Wolmak. Nie przywykł do tego, żeby członkowie jego załogi wyrażali się w podobnie mętny sposób.

— Nie wiemy, kapitanie. Musieliśmy coś przegapić. - Wolmak pamiętał, że funkcję oficera nasłuchu pełni młoda, bystra dziewczyna. - Przystawiliśmy optykę, żeby sprawdzić okolice enklawy, ale proszę popatrzeć na to...

Wolmak obrócił lekko głowę. W holoramie uformował się obraz, który, jak wiedział kapitan, transmitowano także do admirała: pałac zimowy, Potala, widziany od strony wschodniej, z punktu położonego kilkaset metrów ponad mostem Kyi Chu.

Most zniknął, za to na schodach i tarasach prowadzących do pałacu, jak również na wąskich półczkach skalnych w przepaści pomiędzy Potala i klasztorem Drepung, znajdowały się setki zakrwawionych, zmasakrowanych ciał.

— Jezu Chryste! - Wolmak się przeżegnał.

— Wśród fragmentów zwłok zidentyfikowano głowę regenta Tokry - ciągnęła oficer spokojnym głosem.

— Głowę? - powtórzył kapitan, zanim zdał sobie sprawę, że jego bezsensowna reakcja również dotrze do admirała. Za cztery minuty Lempriere dowie się, że Wolmak czyni głupie uwagi. Mniejsza z tym. - Jest tam jeszcze ktoś ważny?

— Nie, panie kapitanie. Odbieram natomiast liczne transmisje radiowe na różnych częstotliwościach.

Wolmak się zdziwił; do tej pory pałac zimowy zachowywał absolutne milczenie na falach eteru.

— Na jaki temat?

— Mówią głównie po mandaryńsku i nowotybetańsku, panie kapitanie. Są przerażeni. Dalajlama zniknął, podobnie jak dowódca jego osobistej straży. Generał Surkhang Sewon Chempo, dowódca gwardii pałacowej, nie żyje... Wśród zwłok znaleziono jego bezgłowe ciało.

Wolmak spojrział na zegar. Obraz z holoramy i ich rozmowa pokonała połowę dystansu do okrętu admirała.

— Kto to zrobił? - zapytał. - Chyżwar?

— Nie wiemy, panie kapitanie. Tak jak mówiłam, aparaturę skierowaliśmy w inne miejsce. Ale sprawdzimy zapis na dyskach.

— Koniecznie. - Wolmak uznał, że nie może dłużej zwlekać. Połączył się z dowódcą marines. - Idźcie do pałacu, poruczniku, i sprawdźcie co się tam do ciężkiej cholery dzieje! Wysyłam pięć następnych lądowników, opancerzone EMV i bojowy topter. Interesują nas wszelkie ślady po arcybiskupie Breque, ojcu Farrellu i ojcu LeBlancu. Szukamy też pilota i straży przybocznej kardynała.

— Tak jest, kapitanie.

Kontrolka wiązki komunikacyjnej mignęła zielono: admirał odebrał ostatni przekaz; za późno, żeby czekać na jego polecenia. Wolmak skontaktował się z najbliższymi jednostkami Paxu - dwoma liniowcami, czającymi się tuż za głównym księżycem - i kazał im zejść na tę samą

orbitę, co „Jibril”. Mogło się okazać, że będzie potrzebował wsparcia ogniowego. Widział już, co potrafi Chyżwar i na myśl o tym, że potwór mógłby pojawić się na pokładzie jego okrętu, przebiegł go lodowaty dreszcz. Połączył się z kapitan Carol Samuels, dowódcą HHS „Św. Bonawentura”.

— Carol, mam prośbę - powiedział, kiedy zdumiona twarz pani kapitan pojawiła się na ekranie. - Wejdź na chwilę w przestrzeń taktyczną.

Sam również włączył się w kontakt i stanął niczym olbrzym nad błyszczącym Tien Szanem. Tuż obok, w gwiazdnej pustce, pojawiła się kapitan Samuels.

— Carol, na dole dzieje się coś złego. Podejrzewam, że Chyżwar znów szaleje. Jeżeli w którymś momencie przestaniecie nas odbierać, albo zaczną do was dochodzić tylko jakieś niezrozumiałe wrzaski...

— Przyślę trzy kapsuły z marines - zaproponowała Samuels.

— Nie - zaproponował Wolmak. - Natychmiast ostrzelajcie „Jibrila”. Zróbcie z niego miazgę.

Kapitan Samuels spojrzała nań z niedowierzaniem. Zamigotał sygnalizator połączenia z „Raguelem” i Wolmak wyłączył się z przestrzeni taktycznej.

Komunikat był krótki:

— „Raguel” przygotowuje się do skoku hawkingowskiego do wnętrza układu. Wyhamujemy tuż ponad studnią grawitacyjną Tien Szanu - oznajmił Lempriere ze śmiertelnie poważną twarzą.

Wolmak już chciał zaprotestować, ale zaraz sobie uświadomił, że jego słowa dotrą na miejsce prawie trzy minuty po skoku okrętu flagowego. Zamknął usta. Taki skok oznaczał ogromne ryzyko: co najmniej dwadzieścia pięć procent szans, że wszyscy pasażerowie zginą w katastrofie. Kapitan rozumiał jednak, że Lempriere chce

koniecznie znaleźć się w centrum wydarzeń, gdzie jego rozkazy będą bezzwłocznie wykonywane.

Jezu Chryste, pomyślał Wolmak, Wielki Inkwizytor ledwie żywy, arcybiskupa i reszty nie ma, a pałac tego przekłętą dalajlamy przypomina mrowisko, które ktoś przed chwilą rozgrzebał. Niech szlag trafi tego całego Chyżwara. Gdzie się podziewa kurier od papieża? Gdzie ten obiecany przez Centrum statek? Czy może być jeszcze gorzej?

— Kapitanie? - rozległ się głos jednego z wysłanych na planetę lekarzy. Meldunek pochodził z izolatki na pokładzie lądownika.

— Słucham.

— Kardynał Mustafa odzyskał przytomność, kapitanie... Oczywiście nadal nie widzi... i strasznie cierpi, ale...

— Daj go tu - rzucił krótko Wolmak.

Holoramę wypełnił makabryczny obraz. Kapitan nie musiał się odwracać, żeby wyczuć, jak wszyscy na mostku odruchowo się skrzywili.

Twarz Wielkiego Inkwizytora wciąż ociekała krwią z pustych oczodołów, w których pozostały resztki poszarpanej tkanki. Kiedy krzyczał, krew spływała mu do ust i barwiła zęby czerwienią.

Wolmak nie od razu zrozumiał, jakie słowo powtarza się we wrzaskach kardynała. Dopiero po chwili dotarł do niego jego sens:

— Nemes! Nemes! Nemes!

Nemes, Scylla i Briareus podążają na wschód. Nie wyłączają pola fazowego; nie obchodzi ich, ile energii wymaga jego utrzymanie. Energia pochodzi skądinąd - to nie ich zmartwienie. W najbliższych chwilach pokażą, po co zostali stworzeni.

Po trwającej ułamek sekundy rzezi pod Pargo Kaling, Nemes prowadzi całą trójkę na wieżę i po linach, na których zwykle zawisa most, zjeżdżają do klasztoru Drepung. Przebiegają przez targowisko, mijając zastygłych w bursztynowym powietrzu ludzi. Na bazarze

w Phari tysiące posągów kupców i sprzedawców zmuszają Nemes do uśmiechu: mogłaby poobcinać im wszystkim głowy, a oni nawet nie wiedzieliby, co ich spotkało. Na razie ma jednak zadanie do wykonania.

Przy platformie zjazdowej wszyscy troje wychodzą z nadczasu. W przeciwnym razie tarcie o linę mogłoby okazać się zbyt duże.

Scylla, idziesz pomocną Powietrzną Drogą, nadaje Nemes na wspólnym kanale. Briareus, środkowy most. Ja zjadę po linie.

Towarzyszący jej kobieta i mężczyzna odpowiadają skinieniem głowy i znikają. Liniarz robi krok do przodu, żeby wypchnąć Nemes z początku kolejki, gdzie stanęła mimo tłumu oczekujących na zjazd. Na platformie panuje spory ruch.

Rhadamanth Nemes chwyta mężczyznę jedną ręką i zrzuca go w przepaść. Kilkanaście rozwścieczonych osób rzuca się na nią, ona zaś skacze i łapie linę przesuniętymi w fazie dłońmi; nie potrzebuje wózka, hamulców ani uprzęży. Rozpędza się w stronę Kun Luna, a wściekli podróżni ruszają za nią w pościg: wpinają się w linę, najpierw kilku, potem dziesięciu, dwudziestu... Liniarz był powszechnie lubianą osobą.

Zjazd do Kun Luna zajmuje Nemes o połowę mniej czasu niż przeciętnemu użytkownikowi liny. Hamuje niezdarnie na ostatnim odcinku i z impetem wali w skałę, w ostatniej chwili dokonując przeskoku fazowego. Kiedy wstaje, w kruchym kamieniu pozostaje odcisnięty zarys jej ciała. Nemes wraca na skraj przepaści.

Wózki hamują ze świstem, gdy awangarda pogoni zbliża się na odległość kilkuset metrów do grani Kun Luna. Czarne punkciki, podwieszane pod liną, ciągną się aż po horyzont i zwiastują całą rzeszę nieproszonych gości. Nemes uśmiecha się, przesuwa w fazie obie ręce i przecina linę.

Jest zdumiona, że tak niewielu z nich krzyczy umierając.

Podchodzi do lin prowadzących na szczyt grani, wspina się po jednej z nich bez asekuracji, a później odcina je wszystkie: te do

wspinaczki, te do zjazdu i zabezpieczające. Pięciu uzbrojonych funkcjonariuszy milicji z Hsi wangmu staje jej na drodze nie opodal ślizgu. Nemes przesuwając w fазie lewą rękę i zrzuca wszystkich w przepaść. Spogląda na pomocny zachód i ogniskuje sensory podczerwieni i widma widzialnego na długim, bambusowym moście wiszącym, łączącym masywy Phari i Kun Luna. Na jej oczach most spada w otchłań; liny i poręcze skręcają się dziko, deszczułki lecą w powietrze, a kiedy most zwisa pionowo w dół, jego koniec nurza się w fosgenowych obłokach.

To koniec, nadaje Briareus.

Ilu zginęło na moście? pyta Nemes.

Wielu, odpowiada jej brat i kończy transmisję.

Po sekundzie włącza się Scylla: Pomocny most odcięty. Idę Powietrzną Drogą i niszczeję po kawałku.

Świetnie, nadaje Nemes. Do zobaczenia w Jokungu.

Dochodząc do leżącego w rozpadlinie miasta wszyscy troje wychodzą z nadczasu. Z gęstych niczym letnia mgła chmur pada drobniutki deszczyk. Rzadkie włosy lepią się Nemes do czoła; jej rodzeństwo wygląda podobnie.

Tłum rozstępuje się przed trojgiem postaci, a na drodze do Napowietrznej Świątyni nikogo nie ma.

Nemes idzie przodem, gdy docierają do ostatniego, króciutkiego mostu wiszącego. Most ma dwadzieścia metrów długości, łączy dwie dolomitowe iglice kilometr ponad chmurami i był pierwszą, prościutką konstrukcją, której odnowienia podjęła się Enea. Teraz jednak monsunowe obłoki dochodzą pod samo przesłó.

Po przeciwnej stronie rozpadliny stoi wysoka postać, niezbyt dobrze widoczna, bo spowita wszechobecną mgłą. Nemes przestawia wzrok na podczerwień i z zadowoleniem stwierdza, że sylwetka nie emituje ani odrobiny ciepła. Generuje pojedynczy sygnał radarowy, po czym

analizuje uzyskany obraz: trzy metry wysokości, kolce, cztery masywne, zakończone ostrzami ręce, metalowy korpus, brzytwy na czole i klatce piersiowej, drut kolczasty oplatający ramiona; brak oznak oddechu.

Znakomicie, nadaje Nemes.

Znakomicie, wtórują jej Scylla i Briareus.

Postać po drugiej stronie mostu nie reaguje.

Dotarliśmy na Taj Szan z minimalnym zapasem. Kiedy spadliśmy poniżej dolnej granicy prądu strumieniowego, zaczęliśmy systematycznie, nieubłaganie obniżać lot. Nad morzem chmur rzadko napotykaliliśmy prądy wznoszące, nie brakowało za to podmuchów, które spychały nas w dół, toteż o ile pierwsze pięćdziesiąt kilometrów pokonaliśmy w parę minut z niewiarygodną szybkością, o tyle drugą połowę dystansu stanowił powolny, dramatyczny upadek. Chwilami mieliśmy pewność, że bez kłopotu dolecimy na miejsce, chwilami znów, że zaraz wpadniemy w chmury i pozostanie tylko czekać, aż skrzydła zatoną w morzu kwasu.

Rzeczywiście opadliśmy w chmury, ale były to zwykłe monsunowe obłoki skroplonej pary wodnej, w których dało się oddychać. Lecieliśmy blisko siebie - niebieski trójkąt, zaraz za nim żółty i zielony - niemal dotykając się skrzydłami, jakbyśmy uznali, że lepiej zderzyć się i spaść razem niż pogubić we mgle i zginąć samotnie.

Mieliśmy z Eneą do dyspozycji system łączności, ale skorzystaliśmy z niego tylko raz podczas tego dramatycznego lotu. Myślałem właśnie o tym, że miała dziecko... Wyszła za mąż... Kochała innego mężczyznę... Gdy nagle w uchu zabrzmiał mi jej głos:

— Raul?

— Słucham, maleńka?

— Kocham cię, Raul.

Odczekałem kilka uderzeń serca, ale emocjonalna pustka, która jeszcze przed chwilą nie dawała mi spokoju, zniknęła bez śladu, ustępując miejsca przyływowi czułości wobec mojej ukochanej.

— Kocham cię, Eneo. - Zniżyliśmy lot. Miałem wrażenie, że wyczuwam gryzącą woń w powietrzu... Czyżby początek fosgenowych chmur? - Maleńka?

— Słucham? - dobiegł mnie jej szept. Jakiś czas temu zdjęliśmy już maski osmotyczne, które uchroniłyby nas przed zatruciem gazem. Nie wiedzieliśmy, czy A. Bettik może oddychać fosgenem; porozumieliśmy się bez słów, że gdyby okazało się, iż gaz jest dla niego równie szkodliwy, jak dla nas, założymy maski i postaramy się poholować go na taką wysokość, żeby mógł spokojnie oddychać, a potem wylądujemy. Zdawaliśmy sobie sprawę, że wątki to plan: ze wskazań radaru, które śledziłem podczas pierwszego podejścia do lądowania, wynikało, że większość zboczy opada stromo poniżej poziomu trujących obłoków i, wpadłszy w chmury, mieliśmy bardzo blisko do morza. Lepiej jednak było mieć plan, niż po prostu się poddać. Wciągnęliśmy maski z powrotem na twarze, żeby nacieszyć się świeżym powietrzem.

— Maleńka - powtórzyłem - skoro to wszystko nie ma sensu... Skoro widziałaś coś, co, jak sądzisz...

— Skoro widziałam własną śmierć, tak? - dokończyła za mnie Enea; te słowa nie chciały mi przejść przez gardło.

Pokiwałem głową, niezbyt mądrze, bo nie mogła tego widzieć.

— To tylko możliwości, Raul. Ta, która odznacza się najwyższym prawdopodobieństwem, jest inna. Nie bój się, nie prosiłabym, żebyście obaj ze mną lecieli, gdybym bała się, że... to koniec. - Nutka wesołości przebiła się przez dominujące w jej głosie napięcie.

— Wiem o tym - powiedziałem. Cieszyłem się, że A. Bettik nie może uczestniczyć w naszej rozmowie. - I nie o to mi chodziło. - Miałem na myśli, że mogła widzieć, jak ja z androidem docieramy na miejsce,

a tylko ona spada do oceanu, ale przestałem w to wierzyć. Dopóki nasze losy się splatały, byłem gotów na wszystko. - Zastanawiałem się tylko, dlaczego znów uciekamy. Rzygać mi się chce, kiedy pomyślę, że Pax nas ściga.

— Mnie też - przyznała Enea. - Zaufaj mi jednak, Raul, nie jesteśmy tu tylko po to, żeby uciekać. Psiakrew!

Zdziwiłem się, słysząc rzadki w ustach mesjasza niezbyt elegancki wykrzyknik, ale zaraz zrozumiałem jego przyczynę. Dwadzieścia metrów przed nami z mgły wynurzyło się skaliste zbocze, strome w górnej partii, pionowe w dolnej.

A. Bettik podleciał pierwszy, w ostatniej chwili szarpnął za drążek sterowy i wyciągnął nogi ze strzemion, żeby użyć latawca w charakterze spadochronu. Wylądował, podskoczył dwa razy i szarpnął parolotnię w dół, wyplątując się od razu z uprzęży. Lhomo nieraz nam demonstrował, że na wąskich, wietrznych lądowiskach należy natychmiast odczepić się od skrzydła, żeby nie ściągnęło człowieka w przepaść. A tutaj bez wątpienia miałoby nas gdzie pociągnąć.

Następna lądowała Enea, a zaraz po niej ja. Wypadłem najgorzej: odbiłem się wysoko, prawie spadłem z grani, skręciłem kostkę na drobnych kamykach i upadłem na kolana. Paralotnia grzmotnęła w głaz nad moją głową, pogięła się, podarła i opadła do tyłu, próbując znieść mnie poza skraj lądowiska - dokładnie tak, jak pokazywał to Lhomo. Na szczęście A. Bettik od razu złapał za jedną z rurek, po chwili Enea chwyciła wspornik i przytrzymała lotnię nieruchomo, ja zaś wyplątałem się z uprzęży i odkuśtykałem kilka kroków na bok, ciągnąc za sobą plecak.

Enea uklękła przede mną na zimnych kamieniach, rozsznurowała mi but i obejrzała kostkę.

— Chyba nic złego się nie stało - stwierdziła. - Spuchnie ci trochę, ale nie powinieneś mieć kłopotu z chodzeniem.

— To dobrze - zauważyłem głupawo, skoncentrowany na dotyku jej dłoni na mojej nagiej stopie. Podskoczyłem, kiedy spryskała mi obrzmiewającą nogę jakimś specyfikiem z medpaka.

Oboje z A. Bettikiem pomogli mi wstać, po czym zebraliśmy ekwipunek i ruszyliśmy w górę stromego zbocza, gdzie chmury rozjaśniał słoneczny blask.

Promienie słońca dosięgnęły nas wysoko na świętym stoku Taj Szanu. Wcześniej już zsunąłem z głowy kaptur próznioskóry i zdjąłem maskę, ale Enea zasugerowała, żebym nie zdejmował samego skafandra. Naciągnąłem więc na wierzch kurtkę, dzięki czemu czułem się mniej rozebrany; moja przyjaciółka uczyniła to samo. A. Bettik rozcierał zbiele z zimna ramiona.

— Nic ci nie będzie? - zapytałem.

— Niech się pan nie martwi, M. Endymion - uspokoił mnie. - Aczkolwiek wystarczyłoby jeszcze parę minut na takiej wysokości...

Spojrzałem w dół, gdzie zatopione w chmurach kryło się nasze lądowisko z połamanymi lotniami.

— Chyba nie wrócimy stąd na latawcach - zauważyłem.

— To prawda - przytaknęła Enea. - Patrzcie.

Gołoborza i skały skończyły się i stanęliśmy na skraju trawiastej wyżyny, wciśniętej między dwie strome ściany. Porośniętą sukulentami łąkę przecinały niezliczone tropy zykóz, ułożone z kamieni ścieżki i wypływające z topniejących lodowców strumienie - na szczęście nad tymi ostatnimi przerzucono kamienne mostki. Kilku pasterzy przyglądało się nam z daleka obojętnie, kiedy podchodziliśmy wyżej, aż wreszcie skręciliśmy w miejscu, gdzie kończył się jezor rozległego lodowca i oczom naszym ukazały się białe świątynie za szarymi wałami. Na tle błękitno-białej połaci lodu, która ciągnęła się w górę

i zdawała się sięgać nieba, olśniewające budowle przywodziły na myśl ołtarze. Enea wyciągniętą ręką wskazała nam olbrzymi, biały kamień, leżący przy ścieżce. Wyryto w nim taki oto wiersz:

Z czymże mógłbym porównać Wielki Szczyt?

Jego błękitne i zielone zbocza widać z każdego zakątka okolicznych prowincji.

Obdarzony przez Dawcę Kształtów boską mocą,
Ocieniony i rozpalony słońcem rozdziela noc od dnia.

Pnę się ku chmurom, brakuje mi tchu w piersi,

Oczy z trudem śledzą los ptaków, które jego zbocza uczyniły swoim domem.

Pewnego dnia wejdę na jego niezrównany wierzchołek

I jednym spojrzeniem ogarnę wszystkie góry.

— Tu Fu, dynastia Tang, Chiny, Stara Ziemia

Tak oto znaleźliśmy się w Tajan, Mieście Pokoju, mieście setek świątyń, sklepów, gospod, kapliczek i domów. Przy ruchliwej głównej ulicy stały niezliczone kolorowe kramy z płóciennymi markizami. Mieszkańcy Tajan byli po prostu śliczni - trochę to niezgrabne określenie, ale jedyne, jak miemam, stosowne. Mieli czarne włosy, jasne oczy, śnieżnobiałe zęby, śniadą skórę, odznaczyli się wrodzoną godnością, wigorem i dumną postawą. Ubierali się w jedwab i farbowaną bawełnę, lubili jaskrawe kolory, a ich stroje prezentowały się nad wyraz elegancko. Wszędzie zresztą roiło się od mnichów w pomarańczowych i czerwonych szatach. Wybaczyłbym ludziom, gdyby gapili się na nas jak na nieziemskie zjawisko - nikt przecież nie odwiedzał Taj Szanu w porze monsunu - ale oni tylko przyglądali się nam życzliwie; ba, niektórzy wręcz wołali Eneę po imieniu i przepychali się przez tłum, żeby dotknąć jej ręki czy ubrania. Przypomniałem sobie, że była już na Wielkim Szczycie.

Pokazała nam również olbrzymią, białą, kamienną płytę, wmurowaną w zbocze wzgórza za Miastem Pokoju. Na wygładzonej do połysku powierzchni bloku wypisano chińskimi znakami tekst, jak mi powiedziała, Diamentowej sutry, jednego z filarów filozofii buddyjskiej. Miał on przypominać mnichom i świeckim przechodniom o ostatecznej naturze rzeczywistości, symbolizowanej przez bezkresny przestwór nieba. Na skraju miasta znajdowała się także Pierwsza Brama Niebiańska - gigantyczny kamienny łuk z czerwonym, pagodowatym dachem, pod którym zaczynały się liczące dwadzieścia siedem tysięcy stopni schody, wiodące na Nefrytowy Wierzchołek.

To niewiarygodne, ale oczekiwano naszego przybycia. W ogromnej gompie w samym środku miasta ponad tysiąc dwieście odzianych w czerwień, siedzących po turecku mniszek i mnichów cierpliwie czekało na Eneę. Naczelny lama klasztoru powitał jąńskim ukłonem. Pomogła mu wstać i objęła go, a po chwili zajęliśmy z A. Bettikiem miejsca obok niskiego, wyłożonego poduszkami podwyższenia, z którego Enea wygłosiła krótką przemowę do zebranych.

— Zapowiadałam wiosną, że wrócę w porze deszczowej - zaczęła cicho, a jej głos niósł się daleko w marmurowym gmachu. - Moje serce raduje się na wasz widok. Wiem, że ci, którzy przyjęli wówczas moją komunię, prawdziwie poznali język umarłych i język żywych; wiem również, że niektórzy nauczyli się słyszeć muzykę sfer. Obiecuję wam, że wkrótce nauczycie się także, jak zrobić pierwszy krok.

Dzisiejszy dzień jest pod wieloma względami dniem smutku, za to rysuje się przed nami jasna przyszłość, opromieniona blaskiem optymizmu i zmiany. Czuję się zaszczycona, że zechcieliście widzieć we mnie nauczycielkę. Podobny zaszczyt stanowi dla mnie fakt, że wspólnie poznawaliśmy wszechświat, którego bogactwo przekracza wszelkie wyobrażenie. - W tym miejscu spojrziała na A. Bettika i na mnie. - Oto moi towarzysze: A. Bettik, przyjaciel i Raul Endymion, mój

ukochany. Dzielili ze mną wszystkie trudy najdłuższej podróży w moim życiu i dziś będą mi towarzyszyć w pielgrzymce. Kiedy was opuścimy, przejdziemy przez trzy Niebiańskie Bramy, pokonamy Paszczę Smoka i - jeśli Budda i chaos pozwolą - odwiedzimy Księżniczkę Lazurowych Obłoków, a potem, jeszcze dziś, ujrzymy Świątynię Nefrytowego Cesarza.

Enea zamilkła i rozejrzała się po ogolonych głowach, popatrzyła w błyszczące oczy mnichów. Nie ulegało wątpliwości, że nie mam przed sobą religijnych fanatyków, bezrozumnych sług ani wiecznie umartwiających się ascetów, lecz kilkadziesiąt szeregów inteligentnych, czujnych i młodych mężczyzn i kobiet. Napisałem „młodych”, chociaż wiele oblicz wyróżniało się siateczką zmarszczek i przyprószonymi siwizną skroniami.

— Mój drogi przyjaciel - powiedziała Enea - naczelny lama waszej gompy, mówił mi, że jest więcej takich, którzy chcieliby dziś uczestniczyć w komunii z Pustką, Która Łączy.

Około stu mnichów, zajmujących miejsca w pierwszych rzędach, klęknięło. Enea skinęła głową.

— Niech i tak będzie - rzekła cicho. Przełożony klasztoru przyniósł butle z winem i mnóstwo małych, brązowych czarek. Przed tym jednak, jak Enea nacięła sobie palec i rozlała wino do czarek, powiedziała: - Zanim weźmiecie udział w komunii, muszę wam przypomnieć, że czeka was przemiana fizyczna, nie duchowa. Wasze indywidualne poszukiwanie Boga czy Oświecenia musi trwać... i pozostać waszą osobistą sprawą. Przemiana, której doświadczycie, nie obiecuje satori ani zbawienia. Jest po prostu... zmianą. - Moja przyjaciółka podniosła dłoń z wyprostowanym palcem. - W komórkach mojej krwi znajdują się specyficznie uformowane cząsteczki DNA i RNA, które w połączeniu z pewnymi czynnikami wirusowymi przenikną do waszych ciał. Zacznie się od tego, że zostaną częściowo wchłonięte w żołądku, a skończy na

tym, że będziecie je mieli w każdej komórce ciała. Te wirusy mają naturę somatyczną... co oznacza, że przekażecie je dzieciom.

Szkoliłam waszych nauczycieli, oni zaś nauczali was, że wprowadzone w ten sposób zmiany fizyczne pozwolą wam - po odpowiednim przeszkoleniu - na bardziej bezpośredni kontakt z Pustką, Która Łączy; poznacie język umarłych i język żywych, a później usłyszycie muzykę sfer i dowiecie się, jak uczynić prawdziwy krok w Pustkę. - Podniosła rękę wyżej. - Nie ma w tym żadnej metafizyki, drodzy przyjaciele. Przekażę wam zmutowanego wirusa. Pamiętajcie: nigdy nie będziecie mogli przyjąć krzyżokształtu, podobnie jak wasze dzieci i wnuki. Zmiana w genach i chromosomach nastąpi na tak głębokim poziomie, że tego rodzaju fizyczna nieśmiertelność stanie się dla was nieosiągalna.

Moja komunia nie przyniesie wam wiecznego życia, przyjaciele. Przeciwnie, dzięki niej zyskacie pewność, że śmierć czeka nas wszystkich. Powtarzam więc: nie oferuję wam życia wiecznego ani natychmiastowego satori. Jeżeli na tych właśnie rzeczach najbardziej wam zależy, musicie osiągnąć je na drodze własnych poszukiwań religijnych. Ja proponuję tylko możliwość pogłębienia doświadczenia życia oraz łączność z innymi - nie tylko ludźmi - którzy dzielą tę pasję. Jeśli chcecie się teraz wycofać, nie musicie się wstydzić swojej decyzji. Komunia będzie dla wielu oznaczała obowiązki, niewygodę i poważne niebezpieczeństwo, staniecie się bowiem nauczycielami Pustki, Która Łączy i poniesiecie dalej wirusa ludzkiego wyboru.

Enea przerwała i odczekała chwilę, ale żaden z mnichów nie wyszedł. Klęczeli bez ruchu, z pochylonymi głowami, jak gdyby pogrążeni w kontemplacji.

— Dobrze więc - powiedziała Enea. - Życzę wszystkim powodzenia. - Nakłula palec wskazujący i wycisnęła po kropelce krwi do przyniesionych przez starszego lamę czarek.

W kilka minut podawane z rąk do rąk czarki dotarły do wszystkich i każdy mógł wypić odrobinę wina. Wstałem z poduszki, zamierzając udać się na koniec najbliższego szeregu i wziąć udział w komunii, ale Enea dała mi znać, żebym do niej podszedł. Złapała mnie za ramię.

— Nie teraz, najdroższy - szepnęła.

Miałem ochotę wdać się w kłótnię - jakim prawem chciała mnie wykluczyć ze swojej wspólnoty? - ale po prostu wróciłem na miejsce. Pochyliłem się do androida.

— Nie przyjmowałeś tej tak zwanej komunii, prawda? - zapytałem szeptem.

Niebieski człowiek się uśmiechnął.

— Nie, M. Endymion. I nigdy tego nie zrobię.

Zamierzałem go zapytać dlaczego, ale ceremonia właśnie dobiegła końca i tysiąc dwustu uczestników wstało. Enea przeszła pomiędzy nimi - tu do kogoś zagadała, tu uścisnęła czyjąś dłoń - a po spojrzeniu, jakie mi posłała, poznałem, że pora się zbierać.

Nemes, Scylla i Briareus obserwują stojącego na drugim końcu mostu Chyżwara. Nie przechodzą w nadczas, żeby przez chwilę nacieszyć oczy jego widokiem.

Nonsens, nadaje Briareus. Straszdyło dla dzieci: te kolce, zęby, ostrza. Jakie to głupie.

Powiedz to Gygesowi, odpowiada Nemes. Gotowi?

Ja tak, odzywa się Scylla.

Ja też, przychodzi odpowiedź Briareusa.

Równocześnie dokonują przesunięcia w fazie. Nemes patrzy, jak otaczające ją powietrze gęstnieje, a światło upodabnia się do syropu w kolorze sepii. Wie, że nawet jeśli Chyżwar wykona oczywisty w tej sytuacji manewr - odetnie most - nie zrobi im to różnicy. Dopóki pozostaną w nadczasie, most będzie opadał długo, bardzo długo... Rodzeństwo zdąży go przebiec dziesięć razy.

Gęsiego wchodzą na most. Nemes prowadzi. Chyżwar ani drgnie; nawet nie rusza głową, żeby śledzić ich marsz. Jego czerwone oczy lśnią słabo, jak szkarłatne zwierciadła, w których przegląda się zachód słońca.

Coś tu nie gra, zauważa Briareus.

Cisza, rozkazuje Nemes. Nie odzywajcie się na wspólnym paśmie, dopóki ja nie zainicjuję kontaktu. Podeszła już na niespełna dziesięć metrów do krawędzi mostu, a stwór nie reaguje. Nemes idzie więc dalej, aż wreszcie jej stopy trafiają na skałę. Jej bliźniacza siostra schodzi z mostu i staje z lewej strony, Briareus zaś zajmuje pozycję po prawej. Od niewzruszonego stworzenia z hyperiońskich legend dzieli ich około trzech metrów.

— Jeżeli nie ustąpisz nam z drogi, zostaniesz zniszczony - mówi Nemes, wyszedłszy na chwilę z nadczasu. - Twój czas minął. Dziewczyna należy dziś do nas.

Chyżwar nie odpowiada.

Zniszczyć go, rozkazuje Nemes i dokonuje przeskoku fazowego.

Chyżwar przenosi się w czasie i znika.

Nemes otrząsa się z działania fali uderzeniowej pola czasowego, po czym rozgląda dookoła, wykorzystując pełne spektrum swojego wzroku. W Napowietrznej Świątyni znajduje się kilkoro ludzi, nigdzie jednak nie dostrzega Chyżwara.

Wyjdźcie z nadczasu, nadaje, a jej brat i siostra natychmiast wykonują rozkaz. Świat staje się jaśniejszy, powietrze zaczyna się poruszać, wracają dźwięki.

— Znajdźcie ją - mówi Nemes.

Scylla biegiem wpada na oś mądrości na Szlachetnej Ośmiorakiej Ścieżce i po schodach mknie na platformę Prawego Rozumienia. Briareus kieruje się ku osi moralności i przeskakuje wprost do pagody Prawego Słowa. Nemes rusza w górę trzecich, najwyższych schodów

i kieruje się do pawilonów Prawego Skupienia i Prawej Medytacji. Na radarze widzi ludzi, zasiadających w najwyższej położonej budowli. Po kilku sekundach staje obok niej i sprawdza, czy w samym pawilonie i przyległej ścianie nie ma ukrytych pomieszczeń. Nic nie znajduje. W Pawilonie Prawej Medytacji znajduje się młoda kobieta i przez ułamek sekundy Nemes sądzi, że poszukiwania dobiegły końca. Okazuje się jednak, że choć dziewczyna jest w podobnym wieku, nie jest Eneą. W pagodzie przebywa jeszcze kilka osób: stara kobieta, w której Nemes rozpoznaje Gromowładną Lochę z przyjęcia w Potali, Naczelną Herold i dowódca sił bezpieczeństwa dalajlami Carl Linga William Eiheji oraz mały chłopiec - Jego Świątobliwość we własnej osobie.

— Gdzie ona jest? - pyta Nemes. - Gdzie jest ta, która nazywa się Eneą?

Zanim ktokolwiek zdąży się odezwać, Eiheji sięga pod połę szaty i w błyskawicznym geście ciska sztyletem.

Nemes bez trudu unika trafienia; nawet bez przechodzenia w nadczas reaguje znacznie szybciej niż większość ludzi. Kiedy jednak Eiheji sięga po ręczną kartaczożnicę, Nemes dokonuje przeskoku w fazie, podchodzi do mężczyzny, otula go własnym polem fazowym i przez sięgające od podłogi do sufitu drzwi shoji wyrzuca w przepaść. Oczywiście z chwilą, gdy Eiheji znajduje się poza obrębem pola, zastyga w powietrzu niczym niezdarny ptak wypchnięty z gniazda, który jeszcze nie umie latać, ale za nic nie chce spaść na ziemię.

Nemes odwraca się twarzą do chłopca i wychodzi z nadczasu. Za jej plecami Eiheji z krzykiem wypada na zewnątrz.

Usta dalajlami układają się w zgrabne, okrągłe „O”. Z jego punktu widzenia Eiheji zniknął z miejsca, w którym stał, po czym znienacka pojawił się w powietrzu, w pół drogi do otwartej ściany pawilonu, jak gdyby postanowił teleportować się na spotkanie śmierci.

— Nie wolno ci... - zaczyna Dorje Phamo.

— Macie zakaz... - wtóruje jej dalajlama.

— Nie masz... - odzywa się kobieta, która, jak domyśla się Nemes, jest Rachelą albo Theo, jedną ze współpracowniczek Enei.

Sama Nemes nie mówi ani słowa, lecz przechodzi w nadczas, podchodzi bliżej i obejmuje chłopca swoim polem fazowym. Zamierza właśnie wyjść, gdy z pawilonu Prawego Dążenia odzywa się Briareus:

Nemes!

O co chodzi?

Zamiast bawić się w werbalizację na wspólnym paśmie, Briareus zużywa nieco więcej energii, by przekazać transmisję wizualną. W bursztynowym powietrzu, kilka kilometrów nad ich głowami widnieje lądujący statek, wsparty na błękitnej kolumnie ognia z silników jądrowych.

Wyjdźcie z nadczasu, rozkazuje Nemes.

Mnisi spakowali nam posiłek do papierowej torby. Dali również A. Bettikowi zabytkowy kombinezon - kiedyś widziałem taki w muzeum astronautyki w Port Romance - kiedy zaś próbowali i nas podobnie obdarować, pokazaliśmy im ukryte pod kurtkami próznioskóry. Przy Pierwszej Bramie zegnało nas tysiąc dwustu mnichów i ze trzy razy tyle zwykłych mieszkańców Miasta Pokoju.

Na gigantycznych schodach nikogo nie spotkaliśmy. Szliśmy spokojnie do góry; A. Bettik odrzucił przezroczysty hełm na plecy jak kaptur, a Eneą i ja nie zakładaliśmy na razie osmotycznych masek. Stopnie były niskie, choć każdy z nich miał siedem metrów szerokości. Z początku szło się bardzo łatwo, tym bardziej że co sto stopni napotykaliliśmy szeroki taras, na którym pielgrzymi mogli odpocząć. W schodach zainstalowano również wewnętrzne ogrzewanie, toteż nawet później, gdy pokonaliśmy połowę drogi i znaleźliśmy się w

strefie wiecznego śniegu na zboczach Taj Szanu, lód nie uprzykrzał nam życia.

Po godzinie dotarliśmy do Drugiej Bramy Niebiańskiej - olbrzymiej, czerwonej pagody, rozpiętej nad piętnastometrowej wysokości łukiem - po czym zrobiło się bardziej stromo; ruszyliśmy w górę niemal pionowego uskoku, zwanego Paszczą Smoka. Wiatr się nasilił, temperatura spadła dramatycznie, a powietrze niebezpiecznie się rozrzedziło. Już przy drugiej bramie założyliśmy uprzążę wspinaczkowe, toteż mogliśmy się teraz wpiąć w jedną z karbonowych lin, biegnących po obu stronach schodów. Zainstalowaliśmy także prowizoryczne hamulce, które miałyby nas zatrzymać w razie upadku lub zdmuchnięcia przez silniejszy powiew wichury. Minęło jeszcze tylko kilka minut, zanim A. Bettik napompował powietrzem baniasty hełm i założył go na głowę. Uniesionym kciukiem dał nam znać, że wszystko w porządku, a my tymczasem założyliśmy maski.

Wspinaliśmy się w stronę znajdującej się kilometr nad naszymi głowami Południowej Bramy Niebios. Wszędzie dookoła świat kładł się nam do stóp. Już drugi raz w ciągu ostatnich paru godzin mogliśmy podziwiać ten widok, ale tym razem syciliśmy się nim do woli, kiedy co trzysta stopni robiliśmy krótki postój na złapanie oddechu. Dyszeliśmy ciężko, podziwiając ogromne góry w promieniach popołudniowego słońca. Tajan zniknęło nam z oczu - od miasta dzieliło nas piętnaście tysięcy stopni i kilka kilometrów lodu i skały, przez które prowadziła nasza wspinaczka. Przypomniałem sobie, że dzięki komunikatorom w próżniokórach znów możemy z Eneą liczyć na odrobinę prywatności i zapytałem:

— Jak się czujesz, maleńka?

— Jestem zmęczona - odparła, ale zaraz uśmiechnęła się do mnie.

— Możesz mi powiedzieć dokąd idziemy?

— Do Świątyni Nefrytowego Cesarza, która stoi na wierzchołku.

— Tego się domyśliłem - odparłem. Przeniosłem stopę na kolej - ny szeroki stopień, później na następny, i jeszcze jeden... W tym miejscu schody wrzynały się w skalnolodową przewieszkę i wiedziałem, że jeśli spojrzę za siebie, mogę nie zapanować nad zawrotami głowy. To było dużo gorsze od latania na paralotni. - Czy mogłabyś mi zatem powiedzieć, po co tam idziemy, kiedy świat za nami wali się w gruzy?

— Co masz na myśli?

— Nemes z rodzeństwem ścigają nas pewnie bez wytchnienia, z pewnością przyszła pora, żeby Pax wykonał swój ruch, wszystko się sypie, a my wybieramy się na pielgrzymkę.

Enea pokiwała głową. Mimo rozrzedzonego powietrza wiatr zawodził przeraźliwie, jakbyśmy wdrapali się wprost w objęcia prądu strumieniowego. Posuwaliśmy się naprzód z pochylonymi głowami, skuleni jak pod ciężarem ogromnego ładunku. Zastanawiałem się, o czym myśli A. Bettik.

— Może byśmy po prostu ściągnęli statek i wynieśli się stąd, co? - zaproponowałem. - Jeśli i tak mamy stąd zwiewać, to na co czekamy?

Widziałem pod maską głębokie oczy Enei, w których odbijało się ciemniejące niebo.

— Jeżeli wezwiemy statek, zaraz będziemy mieli na karku ze trzydzieści okrętów Paxu — zauważyła. - Nie możemy tego zrobić, dopóki nie będziemy gotowi.

Ruchem ręki wskazałem strome schody.

— Rozumiem, że włączając na górę należycie się przygotujemy?

— Mam nadzieję - odrzekła cicho. Słyszałem, że z trudem oddycha.

— Co tam jest, maleńka?

Osiągnęliśmy kolejny trzysetny stopień i przystanęliśmy sapiąc jak miechy, zbyt wyczerpani, żeby podziwiać widoki. Znaleźliśmy się chyba na skraju atmosfery, bo niebo prawie poczerniało i pojawiły się

pierwsze, najjaśniejsze gwiazdy. Jeden z mniejszych księżyców zbliżał się szybko do zenitu. A może to nie księżyc, tylko okręt Paxu?

— Nie wiem, co tam znajdziemy, Raul - powiedziała zmęczonym głosem Enea. - Czasem coś widzę, o niektórych rzeczach śnię, nawet po kilka razy... a potem ten sam sen powtarza się w innej wersji. Nie cierpię o tym mówić, dopóki nie zobaczę, która rzeczywistość faktycznie zaistnieje.

Pokiwałem głową na znak rozumienia - ale kłamałem. Ruszyliśmy do góry.

— Enea?

— Tak, Raul?

— Czemu nie chcesz mnie dopuścić... no wiesz... do komunii?

Skrzywiła się.

— Nie znoszę tej nazwy.

— Wiem o tym, ale wszyscy tak mówią. Powiedz mi przynajmniej tę jedną rzecz: dlaczego nie dajesz mi wypić wina?

— Dla ciebie czas jeszcze nie nadszedł, Raul.

— Dlaczego? - Czułem, jak w głębi duszy wzbiera mi znów fala złości i frustracji, która miesza się z miłością, jaką darzyłem tę kobietę.

— Pamiętasz, co mówiłam o czterech etapach...

— Poznanie języka umarłych, języka żywych, pierwszy krok... tak, tak, pamiętam - przerwałem jej bez specjalnego zainteresowania, zajęty stawianiem prawdziwych kroków na bardzo materialnych, marmurowych stopniach.

Uśmiechnęła się słysząc ton mojego głosu.

— Te sprawy potrafią... całkowicie zaabsorbować człowieka, który pierwszy raz się z nimi styka. A na razie ja potrzebuję całej twojej uwagi. I pomocy.

Brzmiało to sensownie. Wyciągnąłem rękę i poklepałem Eneę po plecach, czując pod palcami materiał kurtki i próznioskórę. A. Bettik

spojrzał na nas z drugiej strony schodów i pokiwał głową, jakby wyrażając swoją aprobatę dla naszego kontaktu. Upomniałem sam siebie, że przecież nie słyszy, o czym rozmawiamy.

— Czy jesteś nowym mesjaszem, Eneo?

Westchnęła.

— Nie, Raul. Nigdy tego nie twierdziłam i nigdy nie chciałam być mesjaszem. Jestem zwyczajną, zmęczoną, młodą kobietą, głowa pęka mi z bólu, dręczą mnie skurcze... i zaczyna mi się okres.

Na mojej twarzy musiał się chyba pojawić wyraz kompletnego zaskoczenia. Ja chromolę, pomyślałem, nie co dzień stajesz twarzą w twarz z mesjaszem tylko po to, żeby usłyszeć, że jest rozdrażniony, bo miesiączkuje.

Enea parsknęła śmiechem.

— Nie jestem mesjaszem, Raul. Wybrano mnie, bym została Tą, Która Naucza i to właśnie próbuję robić... kiedy tylko mogę.

Coś w tonie jej głosu sprawiło, że żołądek zacisnął mi się w lodowaty supeł.

— W porządku - powiedziałem. Przebyliśmy właśnie dalsze trzysta stopni i zatrzymaliśmy się na platformie. Sapaliśmy jeszcze donośniej niż poprzednio. Popatrzyłem do góry, ale Brama Południowa wciąż nie pojawiała się w zasięgu wzroku; mieliśmy wczesne popołudnie, ale niebo szerniało do reszty. Płonęły na nim tysiące gwiazd, które prawie nie migotały. Uświadomiłem sobie, że ryk wichury ucichł. Taj Szan był najwyższym szczytem Niebiańskich Gór i sięgał górnych stref atmosfery. Gdyby nie próżnioskóry, dawno już eksplodowałyby nam płuca, gałki oczne i bębienki w uszach, krew zaczęłaby wrzeć, a...

Z wysiłkiem porzuciłem podobne rozmyślenia.

— No dobrze - powiedziałem - ale gdybyś była mesjaszem, jak brzmiałoby twoje przesłanie dla ludzkości?

Enea znów zachichotała, tym razem jednak z namysłem, a nie z czystej wesołości.

— A gdybyś ty był mesjaszem - wyrzuciła z siebie między jednym wdechem a drugim — co byś powiedział ludziom?

Roześmiałem się w głos. A. Bettik nie mógł mnie słyszeć - rozrzedzone powietrze nie przenosiło już dźwięków - ale widział chyba, jak odrzuciłem głowę do tyłu, bo posłał mi zaciekawione spojrzenie. Pomachałem mu ręką.

— Nie mam zielonego pojęcia - stwierdziłem.

— No właśnie. Kiedy byłam dzieckiem..., to znaczy naprawdę małym dzieckiem, zanim się poznaliśmy, i wiedziałam, że będę musiała robić coś takiego, zawsze zastanawiałam się nad treścią mojego przesłania dla ludzi. Oczywiście poza tym, czego miałam ich nauczać. Chciałam, żeby było to coś głębokiego, jak nowe Kazanie Na Górze.

Rozejrzałem się dookoła. Na tej wysokości nie osadzał się śnieg ani lód. Białe, marmurowe schody biegły w górę wśród czarnej skały.

— Górę już masz stwierdziłem.

— To fakt - przyznała Enea, a ja znów usłyszałem zmęczenie w jej głosie.

— Jak wobec tego brzmi przesłanie? - zapytałem, choć bardziej zależało mi na tym, żeby po prostu mówiła niż na usłyszeniu odpowiedzi. Dawno nie mieliśmy okazji zwyczajnie porozmawiać.

Uśmiechnęła się.

— Długo nad nim pracowałam - powiedziała w końcu. - Z początku chciałam, żeby było równie krótkie i treściwe, jak Kazanie Na Górze, ale później doszłam do wniosku, że to kiepski pomysł; tak jak nie miało sensu, kiedy wujek Martin, opętany wolą tworzenia, chciał prześcignąć Szekspira. Uznałam więc, że mój przekaz musi być krótszy.

— To znaczy? Jak krótki?

— Ograniczyłam się do trzydziestu pięciu słów. Stwierdziłam, że to za dużo. Skróciłam treść do dwudziestu siedmiu wyrazów. Wciąż za dużo. Kilka lat zajęło mi obcięcie posłania do dziesięciu słów. Nadal za dużo. Wreszcie zmieściłam się w trzech.

— W trzech słowach? Jakich?

Osiągnęliśmy platformę po trzystu stopniach..., po raz siedemdziesiąty albo osiemdziesiąty. Z wdzięcznością przyjąłem możliwość odsapnięcia. Schyliłem się, oparłem dłonie na kolanach i skupiłem na powstrzymaniu wymiotów: rzyganie w masce osmotycznej nie należało do dobrego tonu.

— Jakich? - powtórzyłem, kiedy złapałem trochę tchu w płuca i uznałem, że dudnienie w skroniach przycichło na tyle, iż usłyszę odpowiedź.

— Wybierz jeszcze raz.

Przez długi, zdyszany, zasapany moment rozważałem słowa Enei.

— Wybierz jeszcze raz? - zapytałem.

Uśmiechnęła się. Udało jej się wyrównać oddech i patrzyła teraz wprost w otchłań za naszymi plecami, gdzie bałem się skierować wzrok. Chyba cieszył ją ten widok, ja zaś poczułem przyjacielską chęć zepchnięcia jej ze schodów. Młodość bywa czasami nieznośna.

— Wybierz jeszcze raz - powiedziała zdecydowanym tonem.

— Powiesz coś więcej?

— Nie. O to właśnie chodzi: wyrazić to jak najprościej. Wskaż jakąś kategorię, a zrozumiesz, o co chodzi.

— Religia - powiedziałem.

— Wybierz jeszcze raz.

Zaśmiałem się.

— Ja nie żartuję, Raul - powiedziała, kiedy ruszyliśmy w dalszą drogę. A. Bettik sprawiał wrażenie zatopionego w rozmyślaniach.

— Wiem, maleńka - odparłem bez przekonania. - Kategorie... Aha...
Systemy polityczne.

— Wybierz jeszcze raz.

— Nie uważasz, żeby Pax był najwyższym stadium ewolucji ludzkiego społeczeństwa, prawda? Chociaż doprowadził do odrodzenia się handlu międzygwiazdowego, zaprowadził stabilne rządy i... no tak, zapewnił podwładnym nieśmiertelność.

— Nadszedł czas ponownego wyboru. A skoro jesteśmy już przy ewolucji...

— To co?

— Wybierz jeszcze raz.

— Co mam wybrać? Kierunek rozwoju?

— Nie - odrzekła Enea. - Mam na myśli nasze poglądy na to, czy ewolucja ma w ogóle kierunek. W większości naszych teorii.

— Zgadzasz się wobec tego czy nie z papieżem Teilhardem..., to znaczy z hyperiońskim pielgrzymem, ojcem Paulem Dure, który pisze, że Teilhard de Chardin miał rację? Że wszechświat ewoluuje ku samoświadomości i połączeniu się z Bóstwem? Zgadzasz się z koncepcją Punktu Omega?

Enea spojrzała na mnie.

— Dużo czytałeś w Taliesinie, prawda?

— Dużo.

— Nie, nie zgadzam się z Teilhardem... ani z dwudziestowiecznym jezuitą, ani z krótko panującym papieżem. Jak wiesz, moja matka znała i ojca Dure, i obecnego uzurpatora, ojca Hoyta.

Zaskoczyła mnie. Musiałem o tym wiedzieć, rzecz jasna, ale przypomnienie mi tego... uświadomienie kontaktów, jakie na przestrzeni ubiegłych trzech stuleci utrzymywała moja przyjaciółka, sprawiło, że straciłem rezon.

— W każdym razie nauka o ewolucji nieźle ucierpiała w ostatnim tysiącleciu - ciągnęła. — Najpierw TechnoCentrum sprzeciwiło się badaniom na tym polu, bojąc się gwałtownego rozwoju sterowanej przez ludzi inżynierii genetycznej. Postęp w tej dziedzinie groził przemianą gatunku ludzkiego w formy, na których Sztuczne Inteligencje nie mogłyby żerować. Następnie Hegemonia, pod wpływem Centrum, na kilkaset lat zaniedbała teorie ewolucji i nauki biologiczne, teraz zaś Pax najzwyczajniej się ich boi.

— Ale dlaczego?

— Dlaczego Pax boi się badań biologicznych i genetycznych?

— Nie, to chyba rozumiem. Centrum chce zatrzymać ludzkość w postaci, jaka jest dla niego wygodna i w tym względzie doskonale dogaduje się Kościołem. Dla nich istota ludzka sprowadza się do właściwej liczby rąk, nóg i tak dalej. Dlaczego jednak uważasz, że potrzebne jest przedefiniowanie pojęcia ewolucji? Po co rozpoczynać dyskusję o jej kierunku lub jego braku? Czy stara teoria nam nie wystarczy?

— Nie - rzuciła krótko moja przyjaciółka i przez następne kilka minut szliśmy w milczeniu. - Poza mistykami, a do takich zaliczał się pierwszy Teilhard - odezwała się w końcu - większość dawnych specjalistów od ewolucji bardzo starała sienie ujmować jej w kategoriach „celów” czy „dążeń”; tym mogła zajmować się religia, a nie nauka. Sama idea ukierunkowania ewolucji była prehegirańskim uczonym głęboko wstrętna. Potrafili mówić tylko o „tendencjach”, rozumianych jako powtarzające się prawidłowości statystyczne.

— No i?

— No i stąd właśnie brała się ich krótkowzroczność, tak jak w przypadku Teilharda de Chardin przyczyną błędu w rozumowaniu była wiara. Ewolucja ma swoje cele.

— Skąd wiesz? - zapytałem cicho, zastanawiając się w duchu czy w ogóle odpowie.

Odpowiedziała, i to szybko:

— Z informacji, które poznałam, zanim się urodziłam, dzięki kontaktom mojego ojca w Centrum. Sztuczne Inteligencje dawno już zrozumiały naturę ewolucji, chociaż ludzie nic o tym nie wiedzieli. SI, będąc z natury hiperpasożytami, ewoluują tylko w stronę coraz bardziej wyspecjalizowanego pasożytnictwa. Mogą co najwyżej obserwować istoty żywe i krzywą ich rozwoju... albo rozwój ów powstrzymać.

— Jakie w takim razie są cele ewolucji? - zapytałem. - Większa inteligencja? Boski umysł zbiorowy? - Intrygowało mnie, jak Enea postrzega lwy, tygrysy i niedźwiedzie.

— Umysł zbiorowy - powtórzyła. - Obrzydlistwo. Nie przychodzi ci do głowy nic bardziej nudnego i ohydneho zarazem?

Nie odezwałem się. Tak właśnie wyobrażałem sobie treść jej nauk o poznawaniu języka umarłych i tym podobnych sprawach. Postanowiłem następnym razem pilniej jej słuchać.

— Niemal wszystkie interesujące aspekty ludzkiego istnienia wynikają z indywidualnych doświadczeń, z wyjaśniania ich i dzielenia się nimi - powiedziała po chwili Enea. - Umysł zbiorowy pasowałby do dawnych programów telewizyjnych... albo życia w szczytowym okresie rozwoju datasfery; taki dobrowolny idiotyzm.

— No dobrze - przytaknąłem, chociaż nadal miałem mętlik w głowie. - W jakim zatem kierunku zmierza ewolucja?

— Więcej życia. Życie kocha życie - do tego się wszystko sprowadza. Co jednak ciekawe, nieżycie również kocha życie... I chciałoby się w nie włączyć.

— Nie rozumiem - przyznałem.

Enea pokiwała głową.

— Na Starej Ziemi, na długo przed hegirą, w latach dwudziestych dwudziestego wieku, żył pewien geolog, który to zrozumiał. Nazywał się Władimir Wiernadski i pochodził z państwa narodowego, zwanego Rosją. Ukuł termin „biosfera”, któryjeśli wszystko pójdzie po naszej myśli - powinien wkrótce nabrać dla nas obojga nowego znaczenia.

— Jak to?

— Sam się przekonasz, najdroższy - uspokoiła mnie Enea i dotknęła mojej ręki. - Wiernadski w 1926 roku pisał, że „atomy, które zostaną raz wciągnięte w nurt żywej materii, nie zechcą go łatwo opuścić”.

Zastanowiłem się nad jej słowami. Nie byłem szczególnym specem od nauk ścisłych — cała moja wiedza ograniczała się do opowieści Starowiny i lektur w taliesińskiej bibliotece - ale brzmiało to sensownie.

— Przed tysiąc dwustu laty ubrano tę prawdę w bardziej naukowe słowa i rozpowszechniono jako „Prawo Doiło” - mówiła dalej Enea. - Chodzi w nim z grubsza o to, że ewolucja się nie cofa... Takie wyjątki, jak wieloryb ze Starej Ziemi, który przeżywszy czas jakiś na lądzie zapragnął znów stać się rybą, pozostają rzadkimi wyjątkami. Życie idzie naprzód i bezustannie znajduje nowe nisze, w których może się zagnieździć.

— To jasne - przytaknąłem. - Dlatego ludzkość opuściła Starą Ziemię na statkach kolonizacyjnych.

— Niezupełnie. Przede wszystkim exodus nastąpił przedwcześnie. TechnoCentrum wywarło wtedy przemożny wpływ na ludzi, a w dodatku Ziemia zaczęła umierać... Nawiasem mówiąc, zrzucenie czarnej dziury do rdzenia planety również było sprawką Centrum. Po drugie - dysponując napędem Hawkinga, mogliśmy przeczesać najbliższą okolicę Galaktyki i znaleźć przypominające Ziemię planety o wysokich notowaniach w skali Solmewa. Większość z nich i tak terraformowano, a potem zasiedlono sprowadzonymi z Ziemi formami

życia, poczynając od żyjących w glebie bakterii i robaków, a kończąc na kaczkach, na które polowałeś na hyperiońskich mokradłach.

Pokiwałem głową, myśląc: A jak inaczej miałyby postąpić gatunek, planujący ekspansję w kosmosie? Co jest złego w tym, że wybraliśmy miejsca przypominające nam dom? Zwłaszcza że do domu nie mogliśmy już wrócić.

— Ale z obserwacji Wiernadskiego i Prawa Doiło wynika coś jeszcze ciekawszego - powiedziała Enea.

— Co takiego, maleńka? - zapytałem, myślami wciąż będąc przy kaczkach.

— Życie też się nie wycofuje.

— To znaczy? - spytałem, ale ledwie skończyłem mówić, zrozumiałem o co jej chodzi.

— No właśnie. - Zauważyła moje olśnienie. - Jeżeli życie uchwyci gdzieś przyczółek, nie da go sobie odebrać. W dowolnym miejscu: na arktycznych pustkowiach, na skutej lodem marsjańskiej pustyni, we wrzącej wodzie naturalnych źródeł, na litej skale - tak jak tu, na Tien Szanie - nawet w programach Sztucznej Inteligencji. Jak gdzieś się uczepi, jest nie do ruszenia.

— Co z tego wynika?

— Życie, pozostawione same sobie, pewnego dnia wypełni wszechświat. Zacznie od zielonej Galaktyki, a potem przeniesie się do sąsiednich gwiazd i mgławic.

— Trochę mnie to niepokoi.

Enea przystanęła i obrzuciła mnie badawczym spojrzeniem.

— Dlaczego? Ja uważam, że to piękne.

— Widywałem już zielone planety. Mogę sobie wyobrazić zieloną atmosferę, aczkolwiek z niejakim trudem...

— Nie musisz ograniczać się do roślin. - Uśmiechnęła się. - Życie się przystosowuje... Najpierw ptaki, potem ludzie w latających maszynach,

ty i ja na parolotniach... Uczymy się latać.

— Jeszcze się nie nauczyliśmy, a poza tym chodziło mi o coś innego: zielona galaktyka, ludzie, zwierzęta i...

— Żywe maszyny. I androidy, i tysiące form sztucznego życia...

— No właśnie, ludzie, zwierzęta, maszyny, androidy, co tylko zechcesz. .. Musieliby się przystosować do życia w kosmosie. Ale jak...

— My już się przystosowaliśmy, a wkrótce będzie nas jeszcze więcej. Stanęliśmy na następnym trzysetnym stopniu, żeby sobie trochę podyszeć.

— Jakich jeszcze kierunków ewolucji nie dostrzegamy? - zagadnąłem, kiedy ruszyliśmy dalej.

— Rosnącej różnorodności i złożoności. Uczeni od wieków zmagają się z tymi kwestiami, nie ulega jednak wątpliwości, że na dłuższą metę ewolucja faworyzuje te dwa czynniki. Ważniejsza z nich jest różnorodność.

— Dlaczego? - Enea miała już prawo zmęczyć się słuchaniem moich pytań; czułem się jak ciekawski trzylatek.

— Kiedyś uczeni sądzili, że wzorców ewolucyjnych nieustannie przybywa. Zjawisko to nazwano różnicowaniem. Okazało się jednak, że się mylą. Zróżnicowanie podstawowych planów maleje w miarę wzrostu antyentropicznego potencjału życia - czyli ewolucji. Spójrz na wszystkie sieroty ze Starej Ziemi. Nie dość, że dzielą takie samo bazowe DNA, to są skonstruowane na podobnych zasadach: dwuboczna symetria ciała, okrągły przekrój jelit, oczy, otwory gębowe, dwie płcie... Łatwo poznać, że są z jednej planety.

— Mówiłaś przecież, że różnorodność jest ważna.

— Bo jest, ale różnorodność to nie to samo, co zróżnicowanie planów genetycznych. Kiedy ewolucja dojdzie do optymalnego projektu, odrzuca jego wcześniejsze warianty i skupia się na niemal

nieskończonej różnorodności w ramach tego jednego planu. Powstają tysiące, dziesiątki tysięcy spokrewnionych gatunków.

— Trylobity - zauważyłem. Zaczynałem rozumieć o co chodzi.

— Właśnie. A potem...

— Żuczki. Wszystkie niezliczone odmiany żuków.

Enea uśmiechnęła się pod maską.

— Oczywiście, a kiedy już...

— Owady - przerwałem jej ponownie. - Na każdej planecie, którą widziałem, roi się od robactwa - komary, niezliczone gatunki...

— No widzisz! Z chwilą, gdy podstawowy plan zostanie opracowany i daje możliwość zasiedlenia kolejnej niszy, życie wrzuca wyższy bieg. Ogólny zarys organizmu zostaje zachowany, ale pojawiają się nowe gatunki. Przez te tysiąc lat, odkąd nauczyliśmy się latać do gwiazd, w naturze pojawiły się tysiące nowych roślin i zwierząt. Nie wszystkie są dziełem inżynierii biologicznej - niektóre po prostu w wariackim tempie przystosowały się do życia na planetach, na które rzucił je los.

— Tripole - zauważyłem, skupiając się na samym Hyperionie. - Błękitki. Drzewa teslowe?

— Tesle pochodzą z Hyperiona.

— Różnorodność jest w takim razie dobra - powiedziałem, starając się skierować rozmowę na początkowe tory.

— Jak najbardziej - zgodziła się Enea. - Tak jak powiedziałam, pozwala życiu przyspieszyć i zająć się spokojnie bezrozumnym zazielenianiem wszechświata. Istnieje jednak co najmniej jeden gatunek, wywodzący się ze Starej Ziemi, który niezbyt się zróżnicował... W każdym razie nie na przyjaznych, skolonizowanych planetach.

— My - powiedziałem. - Ludzie.

Moja rozmówczyni pokiwała smętnie głową.

— Od kiedy nasi przodkowie z CroMagnon przyczynili się do wytępienia sprytniejszych neandertalczyków, prawie się nie

zmieniliśmy - rzekła. - Teraz mamy szansę gwałtownego rozwoju, ale Hegemonia, Pax czy Centrum do tego nie dopuszczają.

— A czy potrzeba różnorodności nie dotyczy także ludzkich instytucji? Religii? Systemów społecznych? - Pytając rozmyślałem o ludziach, którzy pomogli mi na Vitus-Gray-

Balianusie B: Dem Ria, Dem Loa, ich rodzina, Widmowa Helisa Amoiete'a, złożone, pokręcone wierzenia...

— Bezwzględnie tak - przyznała mi rację Enea. - Popatrz.

A. Bettik przystanął przy marmurowym bloku, na którym wyrzeźbiono napis w dwóch językach - chińskim i starym angielskim.

Wysoko wznosi się Wschodni Szczyt

Wystrzela w błękitne niebo.

A pośród skal - pustka tkwi,

Ukryta, nieruchoma, tajemna!

Nietknięta dłutem ni oskardem.

Oślonięta dachem z chmur.

O, Czasie, o, Pory Roku, czymże jesteście, wy,

które przynosicie memu życiu ciągłe zmiany?

Skryję się na wieki w owej pustce

Gdzie nie znać wiosny ni jesieni.

— Taojun, żona generała Wang Ningczy, 400 A.D.

Ruszyliśmy dalej. Zdawało mi się, że u szczytu kolejnej serii schodów majaczy coś czerwonego: czyżby Południowa Brama Niebios, za którą zaczyna się ostatnie podejście? Czas był po temu najwyższy.

— Czy to nie piękne? - zagadnąłem, mając wiersz świeżo w pamięci. - Czy tego rodzaju ciągłość nie jest równie ważna, a może nawet ważniejsza niż różnorodność w instytucjach?

— Nie mogę odmówić ci racji, Raul. Kłopot w tym, że od tysiąca lat ludzie nie robią nic innego, tylko dbają o zachowanie ciągłości.

Odtwarzają idee i ożywiają instytucje ze Starej Ziemi na nowych planetach. Hegemonia, Kościół, Pax... Nawet Tien Szan.

— Tien Szan? - zdziwiłem się. - Tu jest pięknie...

— Też tak uważam, ale to same zapożyczenia. Buddyzm odrobinę ewoluował, odszedł od bałwochwalstwa i rytuału z powrotem ku otwartości umysłu, która go na początku wyróżniała... Ale wszystko inne to mniej lub bardziej udane próby odtworzenia rzeczy straconych wraz ze Starą Ziemią.

— Na przykład?

— Język, strój, nazwy gór, zwyczaje... Kurczę, Raul, nawet ten szlak pielgrzymkowy i Świątynia Nefrytowego Cesarza, do której, mam nadzieję, dotrzemy.

— Czy to znaczy, że na Ziemi istniała góra Taj Szan?

— Ależ oczywiście. Miała swoje Miasto Pokoju, miała Paszczę Smoka... Ponad trzy tysiące lat temu Konfucjusz wspinał się na jej szczyt. Schody liczyły tylko siedem tysięcy stopni.

— No to szkoda, że nie po nich wchodzimy - zauważyłem. Zastanawiałem się, na ile jeszcze starczy mi sił. Schodki były niskie, ale liczne. - Ale rozumiem, co masz na myśli.

Enea pokiwała głową.

— Kultywowanie tradycji to wspinała rzecz - powiedziała - ale zdrowy organizm się rozwija, tak pod względem fizycznym, jak i kulturalnym.

— Czyli wracamy do ewolucji. Jakie jeszcze wykazuje tendencje, jakie ma cele czy kierunki, które od kilkuset lat ignorujemy?

— Jest ich jeszcze kilka. Pierwszy aspekt to wzrost liczby osobników. Życie cieszy się z trylionów gatunków, ale jeszcze bardziej zachwycają je centyliony osobników. W taliesińskiej bibliotece była taka książka Stanleya Salthe'a, „Ewolucja systemów hierarchicznych”. Czytałeś ją?

— Nie. Musiałem ją przegapić w zalewie tanich holopornosów z początków dwudziestego pierwszego wieku.

— Aha. Mniejsza z tym: Salthe ładnie to ujął: „W skończonym świecie materialnym może istnieć nieskończona liczba różnych osobników, pod warunkiem, że są zagnieżdżone jedne w drugich, a świat się rozszerza”.

— Zagnieżdżone... - powtórzyłem z namysłem. - W porządku, łapię. Bakterie ze Starej Ziemi w naszym układzie pokarmowym, pantofelki, które ponieśliśmy ze sobą w kosmos, inne komórki... Więcej światów, więcej ludzi... Jasne.

— Przede wszystkim chodzi o więcej ludzi - powiedziała Enea. - Jest nas kilkaset miliardów, ale od Upadku populacja w Galaktyce - nie licząc Intruzów - praktycznie się nie zmieniła.

— No wiesz, kontrola urodzin jest bardzo ważna - odparłem, cytując opinię wpajaną wszystkim mieszkańcom Hyperiona. - Zwłaszcza kiedy krzyżokształt pozwala zachować ludzi przy życiu przez setki lat.

— Zgadza się. Wraz ze sztuczną nieśmiertelnością przychodzi fizyczna i duchowa stagnacja. To nieuniknione.

Zmarszczyłem brwi.

— Ale to jeszcze nie powód, żeby odbierać ludziom prawo do przedłużenia sobie życia.

— Nie... - głos Enei zabrzmiał, jakby myślami odleciała gdzieś daleko ode mnie i naszej rozmowy, jakby pogrążyła się w kontemplacji czegoś nieskończenie większego. - Samo w sobie nie.

— A wracając do celów ewolucji? - podpowiedziałem. Czerwona pagoda przed nami rosła w oczach i miałem nadzieję, że rozmowa pozwoli mi oderwać myśli od możliwości sturlania się w dół po dwudziestu paru tysiącach stopni.

— Są jeszcze trzy warte uwagi: wzrost specjalizacji, wzrost współzależności i wzrost ewolucyjności. Wszystkie są ważne, ale

ostatni ma znaczenie największe.

— To znaczy?

— Ewolucja ewoluuje. Nie ma wyboru. Zdolność do rozwoju jest dziedziczną cechą warunkującą przeżycie. Wszystkie układy, żywe i nie, muszą nauczyć się ewoluować i, w pewnej mierze, sterować kierunkiem i szybkością tego procesu. Przed tysiącem lat znaleźliśmy się, jako gatunek, o krok od takiego poziomu wiedzy, ale Centrum odebrało nam tę możliwość. Przynajmniej większości z nas.

— Co to znaczy „większości z nas”?

— Obiecuję, że za kilka dni wszystko stanie się jasne, Raul.

Przeszliśmy pod czerwoną, łukowato sklepioną Południową Bramą Niebios, osłoniętą złocistym dachem. Tu zaczynała się Niebiańska Droga, czyli wydeptana w łagodnym, skalistym zboczu ścieżka, prowadząca na ledwie widoczny wierzchołek góry. Równie dobrze moglibyśmy iść po powierzchni pozbawionego atmosfery księżyca - takiego jak ten, który krążył wokół Starej Ziemi - bo wokół panowały równie sprzyjające życiu warunki. Już chciałem powiedzieć coś o życiu, które nie zdobyło przyczółka w tej niszy, kiedy zeszliśmy ze ścieżki do malutkiej świątynki, wybudowanej wśród skalnych złomów kilkaset metrów od szczytu. Wstępu do wnętrza broniła śluza powietrzna, tak zabytkowa, że podobne chyba instalowano na pierwszych statkach kolonizacyjnych. Ku mojemu najwyższemu zdumieniu zadziałała jednak bez zarzutu, kiedy weszliśmy do niej, a po chwili otworzyły się wewnętrzne drzwi.

Znaleźliśmy się w niedużym i praktycznie pozbawionym sprzętów pomieszczeniu. Urozmaicał je ozdobny wazon z brązu, pełen świeżych kwiatów, kilka zielonych gałązek na niewielkim podwyższeniu i śliczny, naturalnej wielkości posąg kobiety w powłóczystych szatach, na oko wykonany ze złota. Kobieta miała pulchną, miłą twarz, niczym

żeńską wersją Buddy, a jej głowę zdobiła złota korona z liści i podejrzanie chrześcijańska aureola, również ze szlachetnego kruszcu.

A Bettik ściągnął hełm.

— Powietrze jest w porządku - powiedział. - A ciśnienie bardziej niż wystarczające.

Oboje z Eneą zdjęliśmy kaptury i maski i z przyjemnością normalnie odetchnęliśmy.

U stóp posągu znajdowała się garść ofiarnych trociczek i pudełko zapalek. Enea przyklękła na jedno kolano i zapaliła jeden z aromatycznych stożków. W powietrze uniosła się smuga silnie pachnącego dymu.

— Oto Księżniczka Lazurowych Obłoków - powiedziała i uśmiechnęła się do złotej postaci. - Bogini świtu. Zapalając kadzidełko, złożyłam ofiarę w intencji wnuków.

Usta już złożyły mi się do uśmiechu, gdy nagle zamarłem. Ma dziecko. Moje kochanie ma dziecko. Coś ścisnęło mnie w gardle i spuściłem wzrok. Enea podeszła i wzięła mnie za rękę.

— Przekąsimy coś? - zaproponowała.

Zapomniałem o zapakowanym w papierową torbę lunchu, którego nie mieliśmy okazji zjeść z maskami na twarzach.

Usiedliśmy więc w przyciemnionym, pozbawionym okien pokoju i zjedliśmy ofiarowane nam przez mnichów kanapki.

— Co teraz? - zapytałem, gdy Enea podeszła do służy.

— Słyszałem, że na wschód od wierzchołka znajduje się pionowa ściana zwana Urwiskiem Samobójców - odezwał się A. Bettik. - Kiedyś składano tam prawdziwe ofiary. Podobno skok z urwiska gwarantuje natychmiastowe połączenie się z Nefrytowym Cesarzem i wysłuchanie prośby. Jeśli więc chcecie mieć wnuki, najlepiej będzie skoczyć w przepaść.

Popatrzyłem na androida szeroko otwartymi oczyma. Nigdy nie potrafiłem powiedzieć, czy ma poczucie humoru, czy raczej skrzywioną osobowość.

Enea wybuchnęła śmiechem.

— Chodźmy najpierw do świątyni - powiedziała. - Zobaczymy, czy ktoś tam jest.

Na zewnątrz uderzyła mnie przede wszystkim idealna widoczność, jak na środowisko pozbawione powietrza przystało. Maski osmotyczne prawie całkowicie zmatowiała w odpowiedzi na ostry blask promieni słonecznych. Cienie były głębokie i wyraźne.

Do szczytu brakowało nam może z pięćdziesiąt metrów, gdy masywna postać wynurzyła się z cienia za skałą i zastąpiła nam drogę. Pomyślałem Chyżwar! i zacisnąłem pięści, zanim dobrze przyjrzałem się nieznajomemu.

Stał przed nami wysoki mężczyzna w pociętym laserem próżniowym pancerzu bojowym, stanowiącym standardowe wyposażenie marines Paxu i Gwardii Szwajcarskiej. Pod wykonanym z pancernego szkła wizjerem mignęła mi twarz o czarnej skórze, mocnych rysach, okolona krótko przyciętymi, siwymi włosami i poznaczona świeżymi, czerwonymi bliznami. Oczy wcale nie sprawiały wrażenia przyjaznych. Żołnierz trzymał w rękach karabin wielozadaniowy, broń komandosów, którą właśnie w nas wycelował.

— Stać! - krzyknął. Komunikator w jego pancerzu nadawał na częstotliwości naszych próżniosków.

Zatrzymaliśmy się, ale olbrzymi mężczyzna nie wiedział chyba, co dalej.

W końcu wpadliśmy w łapy Paxu, pomyślałem.

Enea zrobiła krok do przodu.

— Sierżant Gregorius? - zapytała.

Żołnierz szarpnął głową, ale nie opuścił karabinu. Nie miałem złudzeń: ta broń działałaby w próżni doskonale - mógł wystrzelić ładunek kartaczy, odpalić laser, uruchomić miotacz cząstek, posłać nam zwykłą kulkę albo pocisk hiperkinetyczny. A celował mojej ukochanej kobiecie w twarz.

— Skąd wiesz jak się... - zaczął i zachwiał się na nogach. - To ty. Jesteś dziewczyną, której tyle czasu i w tylu miejscach szukaliśmy. Enea.

— Tak. Czy ktoś jeszcze przeżył?

— Trzy osoby - rzekł mężczyzna, którego Enea nazwała Gregoriusem. Machnął ręką w prawo, a podążywszy za nią wzrokiem dostrzegłem czarną rysę na tle równie czarnych skał i osmalone resztki czegoś, co wyglądało na kapsułę ratunkową.

— Ojciec de Soya też? - zapytała Enea.

Skojarzyłem to nazwisko; przypomniałem sobie głos de Soi, dobiegający z lądownika, kiedy dawno temu, na Bożej Kniei, uratował nas przed Nemes i pozwolił nam uciec.

— Tak jest. Kapitan żyje, ale niewiele życia mu zostało. Strasznie się poparzył na naszym biednym „Rafaelu”. Wyparowałyby razem z nim, ale stracił przytomność i zdołałem go zaciągnąć do kapsuły. Pozostała dwójka jest ranna, tylko kapitan umiera. - Opuścił broń i oparł się na niej. - Naprawdę umiera... Nie mamy tu komór zmartwychwstańczych, a poza tym musiałem mu obiecać, że po śmierci rozwalę go w drobny mak. Nie chciał, żeby go wskrzesili jako kretyna.

— Możesz mnie do niego zaprowadzić? - spytała Enea kiwnąwszy głową. - Muszę z nim porozmawiać.

Gregorius zarzucił sobie broń na ramię. Obrzucił mnie i A. Bettika podejrzliwym spojrzeniem.

— A ci dwaj?

— To mój przyjaciel - odparła Enea, dotykając ramienia androida. Wzięła mnie za rękę. — A to jest mój ukochany.

Olbrzym skinął głową, odwrócił się i poprowadził nas do Świątyni Nefrytowego Cesarza.

CZĘŚĆ TRZECIA

22

Na Hyperionie, leżącym sto lat świetlnych bliżej jądra Galaktyki niż Tien Szan, zapomniany przez wszystkich starzec przebudził się z kriogenicznego snu bez marzeń i z wolna zaczynał oswajać się z otoczeniem. Otoczenie to składało się z bezdotykowego łóżka, płataniny aparatury do podtrzymywania życia, której elementy opadły go niczym setka wygłodniałych sępów, oraz niezliczonych przewodów, rurek i czujników, odpowiedzialnych za odżywanie jego ciała, odtruwanie krwi, stymulację nerek, przenoszenie antybiotyków i śledzenie oznak życia. Cały ten sprzęt naruszał jego cielesną nietykalność i godność osobistą, by obudzić go i utrzymać przy życiu.

— Kurwa mać - wycharczał staruszek. - Przebudzenie jest jednym wielkim, przeklętym, gównianym i pojebanym koszmarem dla kogoś, kto jest nieuleczalnie stary. Dałbym milion marek, żeby móc o własnych siłach wstać z łóżka i normalnie się odlać.

— Rzeczywiście, miły mamy dzień, M. Silenus - odpowiedział błękitnoskóry android płci żeńskiej, zerkając na ekran aparatury monitorującej. - Chyba całkiem nieźle się pan dziś czuje.

— W dupie mam wszystkie niebieskie wywłoki - wymamrotał Martin Silenus. - Gdzie moje zęby?

— Jeszcze panu nie odrosły, M. Silenus - odparła kobieta. Nazywała się A. Raddik i miała niewiele ponad trzysta lat... Niespełna jedną trzecią tego, ile liczyła sobie ludzka mumia, zawieszona w polu siłowym łóżka.

— Sram na to. I tak niedługo znów zasnę. Jak długo spałem?

— Dwa lata, trzy miesiące i osiem dni.

Silenus zerknął do góry: płócienny dach najwyższego piętra wieży zrolowano, patrzył więc prosto w lazurowe niebo. Promienie słońca padały niemal poziomo, był więc albo wczesny ranek, albo późne popołudnie. Świetliste pajęczki trzepotały i migotały delikatnie, a ich półmetrowe, motyle skrzydła kryły się w cieniu.

— Jaką mamy porę roku? - zapytał Silenus, choć mówienie przychodziło mu z ogromnym trudem.

— Późną wiosnę - odparła androidka przy aparaturze. Inni niebieskoskórzy służący starego poety kręcili się po pokoju, wypełniając sobie tylko znane polecenia.

— Jak dawno odlecieli? - Nie musiał dodawać, kogo ma na myśli; A. Raddik wiedziała, że chodzi mu nie tylko o Raula Endymiona, ostatniego gościa, jaki zawitał do opuszczonego uniwersytetu, ale też o dziewczynkę imieniem Enea, którą Silenus poznał przed trzystu laty i którą miał nadzieję jeszcze raz ujrzeć przed śmiercią.

— Dziewięć lat, osiem miesięcy i osiem dni temu. Według standardowej miary ziemskiej, oczywiście.

— Hggrhh - chrząknął poeta nie przestając wpatrywać się w nieboskłon. Blask słońca przenikał przez odwinętą na wschód warstwę płótna i padał od wewnątrz na południową ścianę wieżyczki. Nie dosięgał twarzy Silenusa, ale i tak wystarczył, by w porażonych oczach starca zaszklily się łzy. - Stałem się stworzeniem mroku - mruknął poeta. - Jak Drakula, psiakrew! Co kilka lat wstaję z grobu, żeby sprawdzić, jak się miewa świat żywych.

— To prawda, M. Silenus - przytaknęła A. Raddik i wcisnęła jakieś guziki na pulpicie.

— Stul dziób, paskudo.

— Dobrze, M. Silenus.

— Raddik, kiedy będę się mógł przenieść na fotel? - zapytał mężczyzna i jęknął donośnie.

Androidka odęła wargi.

— Za jakieś dwa dni, M. Silenus. Może dwa i pół.

— Niech to szlag! - wymamrotał poeta. - Za każdym razem coraz wolniej dochodzę do siebie. Któregoś dnia w ogóle się nie obudzę. .. Maszyneria nie zdoła mnie docucić.

— Zgadza się, M. Silenus. Każda hibernacja ma fatalny wpływ na pański organizm, a sprzęt reanimacyjny i system podtrzymywania życia jest bardzo stary. Rzeczywiście, niewiele czeka pana udanych przebudzeń.

— Zamknijże się! - ryknął staruszek. - Ty wredna, zidiociała suko.

— Tak jest, M. Silenus.

— Od kiedy mi służysz, co, Raddik?

— Od dwustu czterdziestu jeden lat, jedenastu miesięcy i dziewiętnastu dni. Standardowych.

— I nie nauczyłaś się jeszcze nawet parzyć porządnej kawy.

— Nie, M. Silenus.

— Ale wstawiłaś wodę, prawda?

— Owszem, M. Silenus. Zgodnie z wydanymi przez pana instrukcjami.

— Tyle dobrego.

— Na razie jednak, co najmniej przez dwanaście godzin, nie będzie mógł pan przyjmować doustnie żadnych płynów.

— Psiakrew!

— Tak jest, M. Silenus.

Upłynęło kilka minut. Poeta wyglądał, jakby lada moment miał ponownie zapaść w sen, ale nagle się odezwał:

— Były jakieś wiadomości od chłopaka? Albo od małej?

— Nie, proszę pana, ale mamy dostęp tylko do systemu łączności Paxu w obrębie naszego układu planetarnego. W dodatku używają niezłych szyfrów.

— A jakieś plotki?

— Nic pewnego, M. Silenus. W Paksie bardzo źle się dzieje... W wielu układach wybuchły rebelie, krucjata przeciw Intruzom nie idzie najlepiej, bez przerwy przegrupowują siły... Mówi się też coś o jakiejś chorobie wirusowej, ale informacje są tajne, zakodowane i mało konkretne.

— Choroba wirusowa... Martin Silenus obnażył bezzębne dziąsła w uśmiechu. - Wygląda mi to na robotę dzieciaka.

To możliwe, M. Silenus, aczkolwiek nie można wykluczyć wybuchu prawdziwej epidemii na planetach, gdzie...

— Nie - przerwał kobiecie poeta. Pokręcił zdecydowanie głową. - To Enea i jej nauki. Rozprzestrzeniają się jak grypa pekińska. Nie pamiętasz grypy, prawda, Raddik?

— Nie, proszę pana. - Androidka zakończyła właśnie sprawdzanie odczytów i przestawiła aparaturę w tryb automatyczny. - Nie było mnie wtedy. Tylko pan pamięta tamte czasy.

W normalnej sytuacji należałoby się w tym momencie spodziewać kolejnej serii przekleństw, ale Silenus tylko pokiwał głową.

— Wiem o tym. Jestem wybrykiem natury: wrzucić dwa centy i wejść popatrzeć... Najstarszy człowiek w Galaktyce... Mumia, która chodzi i mówi... Zobaczcie obrzydlistwo, które nie chce umierać... Dziwaczne. Jestem dziwakiem, prawda, A. Raddik?

— Tak, M. Silenus.

Poeta chrząknął.

— No, no, nie obiecuj sobie za wiele, ty niebieska pokrako. Nie kopnę w kalendarz, dopóki nie dowiem się czegoś o Raulu i Enei. Muszę dokończyć „Pieśni”, a nie poznam zakończenia, póki oni go dla mnie nie stworzą. Skąd mam wiedzieć, co myślę, dopóki nie zobaczę, co zrobią?

— W rzeczy samej, M. Silenus.

— Nie pocieszaj mnie, szkapo.

— Dobrze, M. Silenus.

— Ten chłopak, Raul... Minęło prawie dziesięć lat, odkąd pytał mnie czego od niego chcę. Kazałem mu... uratować dziecko, Eneę... obalić Pax... unicestwić potęgę Kościoła... i ściągnąć Ziemię stamtąd, gdzie w cholere zniknęła. Powiedział, że to zrobi. Wiem, wiem - był wtedy pijany w trupa, tak samo jak ja zresztą.

— Tak, M. Silenus.

— No więc?

— No więc co, proszę pana?

— Czy wygląda na to, że wypełnił jakąś część obietnicy, Raddik?

— Z przechwyconych transmisji Paxu sprzed dziewięciu lat i ośmiu miesięcy wiemy, że zdołał opuścić Hyperiona na pokładzie statku konsula - odparła androidka. - Możemy mieć nadzieję, że Enea nadal ma się dobrze.

— Pewnie, pewnie - wymruczał Silenus machnąwszy słabo ręką. - Czy Pax runął?

— W każdym razie nie w taki sposób, żebyśmy to zauważyli, M. Silenus. Boryka się z pewnymi kłopotami i ruch turystyczny na Hyperionie znacznie osłabł, ale...

— A czy ten jebany Kościół dalej produkuje zombich? - dopytywał się poeta znacznie silniejszym głosem.

— Kościół rośnie w siłę, proszę pana. Coraz więcej mieszkańców mokradeł przyjmuje krzyżokształt.

— Ja pierdołę! Nie przypuszczam w takim razie, żeby Ziemia wróciła na swoje miejsce.

— Nic nie słyszeliśmy o wystąpieniu tego nieprawdopodobnego zjawiska - przyznała A. Raddik. - Oczywiście, jak już nadmieniałam, musieliśmy ograniczyć podsłuch do transmisji w obrębie naszego układu gwiazdowego, odkąd zaś przed blisko pięciu laty M. Endymion

i M. Enea opuścili Hyperiona, zabierając ze sobą statek, nasze możliwości deszyfracji komunikatów nie...

— Dobrze już, dobrze - przerwał jej starzec, którego głos znów zdradzał wyłącznie śmiertelne zmęczenie. - Przenieś mnie na fotel.

— Obawiam się, że z tym musi pan jeszcze poczekać, i to przynajmniej ze dwa dni — przypomniała A. Raddik łagodnie.

— Goń się, frajerko - odparła prastara postać, zawieszona w pajęczynie przewodów i czujników. - Możesz mnie przynajmniej przeturlać do okna? Proszę, Raddik. Chciałbym popatrzeć na ruiny starego miasta i zielone chalmy.

— Dobrze, M. Silenus - odrzekła androidka. Szczerze się ucieszyła, że może zrobić dla starca coś poza utrzymywaniem go przy życiu.

Przez całą godzinę Martin Silenus nie odrywał wzroku od rozpościerającego się za oknem krajobrazu, walcząc z naturalnymi po przebudzeniu falami bólu i chęcią ponownego zapadnięcia w sen kriogeniczny. Cała okolica pławiła się w świetle poranka. Wszczypty słuchowe przekazywały poecie ptasie trele. Myślał o siostrzenicy, którą adoptował... o dziewczynce, która kazała nazywać się Enea... i o jej matce, a swojej przyjaciółce, Brawne Lamii... Tak długo byli wrogami, nienawidzili się podczas wspólnej wędrówki, ostatniej Wielkiej Pielgrzymki do Chyżwara... dawno, dawno temu. Przypomniał sobie opowieści, jakie snuli, cuda, jakie oglądali... Chyżwara o płonących czerwienią oczach w Dolinie Grobowców Czasu... uczonego... jakżeż on się nazywał? Soi... Sol zabrał ze sobą opatulonego w becik bachora, który z dnia na dzień stawał się coraz młodszy. .. I był z nimi żołnierz, Kassad... Pułkownik Kassad... Silenus zawsze gardził wojskowymi, których bez wyjątku uważał za idiotów... Tymczasem Kassad opowiedział interesującą historię, przeżył ciekawe życie... Towarzyszący im ksiądz, Lenar Hoyt, okazał się niesympatycznym dupkiem, ale ten drugi... Taki o smutnych oczach, z pamiątnikiem

w skórzanej oprawie... Paul Dure... Tak, Dure był człowiekiem wartym jego pióra.

Martin Silenus z powrotem odpłynął w sen. Światło poranka uwydatniło fakturę niezliczonych zmarszczek i rozjaśniło bladą, niemal przezroczystą skórę, pod którą słabo pulsowały błękitne żyły. Nic mu się nie śniło... chociaż część jego umysłu pracowała nad szkicem dalszego ciągu „Pieśni”.

Sierżant Gregorius wcale nie przesadzał: ojciec kapitan de Soya, potwornie pokiereszowany i poparzony w ostatniej walce „Rafaela”, był bliski śmierci.

Gregorius zaprowadził A. Bettika, Eneę i mnie do świątyni, która okazała się równie niezwykła, jak samo spotkanie na wierzchołku. U jej wejścia wmurowano olbrzymią, idealnie gładką kamienną płytę; Enea wspomniała coś, że blok przywieziono ze Starej Ziemi, gdzie stał obok pierwotnej Świątyni Nefrytowego Cesarza i że w liczących kilka tysięcy lat dziejach pielgrzymek nie wykuto na jego powierzchni żadnych napisów. Wewnątrz hermetycznie zamykanego kompleksu panowało normalne ciśnienie. Na dziedzińcu echo zwielokrotniało kroki i głosy wiernych, a kamienna balustrada okalała gładz, który w istocie stanowił czubek Taj Szanu, świętej Wielkiej Góry Państwa Środka. Na tyłach ogromnej świątyni znajdowały się małe pokoje mieszkalne i jadalne dla pielgrzymów. Właśnie w jednym z nich znaleźliśmy ojca kapitana de Soyę i dwóch pozostałych członków załogi, którzy ocalili z katastrofy okrętu: okrutnie poparzonego i nieprzytomnego Carela Shana, specjalistę od systemów uzbrojenia, oraz Hoagana Lieblera, którego Gregorius przedstawił nam jako byłego pierwszego oficera na „Rafaelu”. Liebler wyglądał zresztą najlepiej z całej czwórki: lewą rękę nosił wprawdzie na temblaku, ale nie miał ani siniaków, ani żadnych widocznych ran. Sprawiał za to wrażenie nieobecnego duchem, jakby

wciąż nie otrząsnął się z szoku albo zmagął się w myślach z poważnym problemem.

Enea natychmiast poświęciła całą uwagę kapitanowi Federico de Soi. Leżał na jednej z niewygodnych pielgrzymich prycz. Zastanawiałem się, czy to Gregorius rozebrał go do pasa, czy też ksiądz stracił górną część munduru w ogniu walki. Spodnie miał w strzępach, stopy bose, a jedynym fragmentem jego ciała, który wyglądał na nietknięty płomieniem, był wrosnięty w pierś, obrzydliwie różowy krzyżokształt. Twarz de Sol pokrywały blizny po kroplach roztopionego metalu i oparzeniach radiacyjnych. Ogień opalił mu wszystkie włosy z głowy. Mimo tych obrażeń nie miałem wątpliwości, że mam przed sobą nieprzeciętnego człowieka - głównie za sprawą zmęczonych i smutnych brązowych oczu, których blasku nie zdołał przyćmić nawet wszechogarniający ból. Ktoś posmarował skórę umierającego księdza leczniczym kremem, środkiem odkażającym i skórolepem i podłączył go do kroplówki ze standardowego medpaka z kapsuły ratunkowej, ale niewiele to zmieniło. Widywałem już ludzi z podobnymi obrażeniami - i to nie odniesionymi w kosmicznych potyczkach: trzech moich kumpli na Szelfie Lodowym zmarło na moich oczach, kiedy przez kilka godzin nie mogliśmy ich ewakuować. Ich krzyk był nie do zniesienia.

Ojciec kapitan de Soya nie krzyczał; widziałem, że z najwyższym trudem powstrzymuje łzy bólu, ale nie wydał z siebie żadnego dźwięku. Dopóki Enea nie uklękła przy pryczy zdawał się koncentrować wyłącznie na powstrzymywaniu szłochu.

Z początku jej nie poznał.

— To ty, Bettz? - wymamrotał. - Oś Argyle? To niemożliwe, przecież zginęłaś na stanowisku... I inni też. Poi Denish... Elijah próbował spuścić kapsułę rufową... I ci młodzi żołnierze, kiedy... pękł kadłub na głównym pokładzie... Ale ja cię... skądś znam.

Enea zamierzała złapać go za rękę, ale ujrawszy, że brakuje w niej trzech palców, położyła dłoń na zakrwawionym kocu.

— Ojcie kapitanie - rzekła cicho.

— Enea - szepnął de Soya i pierwszy raz naprawdę na nią spojrzął. - To ty... Tyle czasu cię ścigaliśmy... Widziałem cię, jak wychodziłaś ze Sfinksa. - Przeniósł wzrok na mnie. - Ty jesteś Raul Endymion. Widziałem twoje akta ze Straży Planetarnej. Prawie cię dostaliśmy na Marę Infinitus. - Przez ciało księdza przetoczyła się fala bólu; zamknął oczy i zagryzł popękana, zakrwawioną dolną wargę. Dopiero po chwili znów na mnie popatrzył. - Mam coś, co do ciebie należało. Zabrałem pakunek w rzeczach osobistych na „Rafaela”. Święte Oficjum pozwoliło mi go zachować po zakończeniu śledztwa. Sierżant Gregorius da go wam, kiedy umrę.

Pokiwałem głową, nie mając pojęcia, o czym mówi.

— Ojcie kapitanie de Soya - wyszeptała Enea. - Federico... Słyszysz mnie? Rozumiesz, co do ciebie mówię?

— Tak - odparł cicho kapłan. - Te środki przeciwbólowe... Powiedziałem sierżantowi, żeby mi ich nie dawał... Nie chciałem odejść we śnie, cicho i spokojnie.

Ból powrócił. Rany i skrzepy na szyi i piersi de Sol otwarły się; ropa i śluz pociekły na koc. Ksiądz zamknął oczy, żeby przeczekać męczarnie - i tym razem trwało to dłużej. Przypomniałem sobie, jak zwijałem się z bólu, dręczony kamieniem nerkowym i próbowałem sobie wyobrazić cierpienie kapitana. Nie udało mi się.

— Ojcie kapitanie - powtórzyła Enea - może pan jeszcze żyć...

De Soya pokręcił gwałtownie głową, nie bacząc na ból, jaki musiało mu to sprawiać. Zauważyłem, że lewe ucho ma całkowicie zwęglone; kawałek tkanki spadł na poduszkę.

— Nie! – krzyknął de Soya. - Mówiłem już Gregoriusowi... nie chcę częściowego wskrzeszenia... nie chcę być kretynem... bezpłciowym

kretynek... - Rozchylił wargi i spoza osmolonych zębów dobył się charkot, który mógł uchodzić za śmiech. - Wystarczy mi to, co przeszedłem jako ksiądz. Zmęczyłem się... mam go dość... - Poczerniałymi kikutami palców prawej dłoni uderzył w różowy krzyż na pokrytej śluzem, łuszczącej się skórze piersi. - Chcę, żeby umarł razem ze mną.

Enea skinęła głową.

— Nie chodzi mi o wskreszenie, ojcie kapitanie - powiedziała. - Może pan żyć. Wyzdrowieć.

Zaskoczony de Soya próbował odruchowo zamrugać, ale osmalone powieki nie pozwoliły mu na to.

— Nie chcę być więźniem Paxu - wykrztusił z trudem. Wypowiadał po jednym słowie przy każdym chrapliwym wydechu. - Zabijają.. mnie. Zasłużyłem... Zabijałem... niewinnych... mężczyzn... i kobiety. Broniełem... przyjaciół.

Enea nachyliła się nad nim, żeby mógł spojrzeć jej w oczy.

— Ojcie kapitanie, Pax wciąż nas ściga. Mamy jednak statek, a w nim autochirurga.

Sierżant Gregorius, który dotąd zmęczony opierał się o ścianę, podszedł do nas. Carel Shan nie odzyskał przytomności, a Hoag Liebler, najwyraźniej zatopiony w otchłani osobistej męki, nie zareagował.

Enea musiała powtórzyć swoją kwestię, zanim de Soya zrozumiał, co mówi.

— Statek? Ten zabytek z czasów Hegemonii, którym mi uciekliście? Nie jest uzbrojony, prawda?

— Prawda. Nigdy nie był.

De Soya znów pokręcił głową.

— Opadło nas... chyba z pięćdziesiąt... archaniołów. Kilka... wysłaliśmy... na wieczny... spoczynek. Nie uda... nam się... osiągnąć ... punktu... skoku.

Przymknął powoli oczy, poddając się kolejnej fali bólu. Tym razem niewiele brakowało, żeby stracił przytomność; ocknął się jak z głębokiego snu.

— Nic złego się nie stanie - wyszeptała Enea. - Wszystkim się zajmę. Trafi pan do autochirurga. Musi pan jednak coś najpierw zrobić.

Ojciec kapitan nie miał siły się odezwać, ale przechylił głowę, żeby lepiej słyszeć Eneę.

— Musi się pan wyrzec krzyżokształtu. Odrzucić ten rodzaj nieśmiertelności.

Poczerniałe wargi znów rozchyliły się w uśmiechu.

— Z przyjemnością... - wycharczał kapitan. - Ale to... niemożliwe... krzyżokształtu... nie można... się pozbyć.

— Ależ można - szepnęła w odpowiedzi Enea. - Jeśli się pan zgodzi, sprawię, że krzyżokształt odpadnie. Mamy starego autochirurga, który nie poradzi sobie z wyleczeniem pana, dopóki tkanki pasożyta przenikają całe ciało. Anie dysponujemy komorą zmartwychwstańczą...

De Soya wyciągnął pozbawioną trzech palców rękę i złapał Eneę za rękaw kurtki.

— To nieważne... nieważne, czy umrę... Uwolnij mnie... od niego... Zabierz go... Umrę jako... prawdziwy... katolik... jeżeli mnie... UWOLNISZ! - prawie wykrzyczał ostatnie słowo.

Enea zwróciła się do sierżanta:

— Macie tu jakiś kubek? Albo szklanę?

— W medpaku jest kubeczek - zadudnił basowy olbrzym i zaczął gmerać w pakiecie. — Ale nie mamy wody...

— Przyniosłam wodę - przerwała mu moja przyjaciółka i odpięła od pasa termos.

Spodziewałem się ujrzeć wino, ale przed opuszczeniem Napowietrznej Świątyni nabraliśmy do manierek najzwyczajszej wody. Kiedyż to było?

Enea nie bawiła się w sterylne lancety czy odkażanie miejsca ukłucia alkoholem - dała mi znak, żebym się zbliżył, wyjęła mi nóż z pochwy przy pasie i szybkim ruchem, od którego ciarki mnie przebiegły, nacięła opuszki trzech palców. Popłynęła krew. Enea zaledwie na ułamek sekundy umoczyła palce w plastikowym kubku, ale wystarczyło to, by w wodzie pojawiły się szkarłatne, skręcające się smugi.

— Proszę to wypić - poleciła de Sol i podniosła mu głowę.

Ojciec kapitan pociągnął łyk wody, zakrztusił się i łyknął jeszcze raz. Zamknął oczy, gdy Enea złożyła jego głowę z powrotem na zaplamionej poduszce.

— Po dwudziestu czterech godzinach krzyżokształt odpadnie - oznajmiła szeptem.

Z ust ojca kapitana dobiegł znajomy mi już, zgrzytliwy śmiech.

— A ja za godzinę umrę.

— Nie, za kwadrans znajdzie się pan pod opieką autochirurga - zaoponowała Enea i dotknęła jego zdrowszej dłoni. - Niech się pan teraz zdrzemnie, Federico de Soya... ale proszę nie umierać mi na rękach. Musimy porozmawiać, a pan musi mi... nam... wyświadczyć wielką przysługę.

Sierżant Gregorius podszedł bliżej.

— M. Enea... - powiedział, ale urwał w pół zdania. Przesząpił z nogi na nogę i spróbował jeszcze raz: - M. Enea, czyja również mógłbym się napić tej... wody?

Enea odwróciła się w jego stronę.

— Owszem, sierżancie... Ale kiedy już pan to zrobi, nie będzie pan mógł zachować krzyżokształtu. Straci pan możliwość zmartwychwstania. Są też inne... efekty uboczne.

Gregorius machnięciem ręki uciął dalszą dyskusję.

— Od dziesięciu lat słucham rozkazów mojego kapitana, więc i teraz zrobię to, co on. - I sierżant wypił okazały haust różowawej wody.

De Soya miał zamknięte oczy, przypuszczałem więc, że zasnął albo stracił przytomność. Teraz otworzył je i przemówił do Gregoriusa:

— Sierżancie, czy mógłby pan przynieść M. Endymionowi paczkę, którą zabraliśmy z kapsuły?

— Tak jest, kapitanie - odrzekł Gregorius i poszedł pogrzebać w stercie gratów w kącie pokoju. Wręczył mi zamkniętą tubę, mniej więcej metrowej długości.

Spojrzałem na księdza-kapitana, który oscylował między delirium i całkowitym szokiem.

— Otworzę ją, kiedy kapitan poczuje się lepiej - powiedziałem.

Gregorius skinął głową, zaniósł kubek nieprzytomnemu Shanowi i wlał mu odrobinę wody w rozchylone usta.

— Carel może umrzeć, zanim ściągniecie statek - rzekł. - Macie na pokładzie dwa automaty chirurgiczne?

— Jeden - odparła Enea - ale z trzema komorami. Pan również będzie mógł się wyleczyć.

Sierżant wzruszył ramionami, podszedł do Lieblera i podał mu kubek. Były pierwszy oficer tylko na niego popatrzył.

— Może później - stwierdziła Enea.

Gregorius kiwnął głową i oddał jej naczynie.

— Był więźniem na okręcie. Szpiegiem, wrogiem kapitana. A ojciec kapitan zaryzykował życie, żeby wyciągnąć go z pożaru... To wtedy się tak poparzył. Hoag chyba nie całkiem rozumie, co się stało.

Liebler podniósł na niego wzrok.

— Rozumiem - powiedział cicho. - Tylko po prostu nie rozumiem.

Enea wstała od pryczy.

— Mam nadzieję, Raul, że nie zgubiłeś nadajnika.

W kilka sekund wygrzebałem z kieszeni elektroniczny notatnik.

— Wyjdę stąd i nadam komunikat na dworze. Użyję wtyczki w próznioskórze. Jakies szczególne instrukcje dla statku?

— Niech się pospieszy - rzuciła Enea.

Przetransportowanie półprzytomnego de Sol i nieprzytomnego Carela Shana na statek sprawiło nam trochę kłopotu. Nie mieli skafandrów, a na zewnątrz panowało niezwykle niskie ciśnienie. Sierżant Gregorius wyjaśnił nam, że przeniósł ich z wraku kapsuły do świątyni w nadmuchiwym bąblu transferowym, który jednak uległ uszkodzeniu. Miałem około piętnastu minut, żeby się nad tym zastanowić, zanim ujrzałem statek. Opadał wsparty mocą repulsorów i kolumną ognia z silników jądrowych. Kazałem mu wylądować na wprost śluzy, morfować ruchome schody do samych drzwi oraz uformować pole siłowe wokół drzwi i schodów. Później wystarczyło już tylko ściągnąć z pokładu elektromagnetyczne nosze i przenieść na nie rannych, nie czyniąc im zbytej krzywdy. Nie udało nam się niestety uniknąć otarcia poparzonej skóry de Sol - ojciec kapitan poruszył się i otworzył oczy, ale nie krzyknął. Shan nie odzyskał świadomości.

Po kilku miesiącach spędzonych na Tien Szanie wewnątrz statku konsula nadal wyglądało znajomo, ale na takiej samej zasadzie, jak znajomy jest dom, o którym śnimy, a w którym przed laty mieszkaliśmy. Złożyliśmy de Soyę i jego oficera w komorach autochirurga. Dziwnie się czułem, stojąc na dywanie obok holoramy. Zabytkowy steinway, Enea i A. Bettik znajdowali się tuż obok - jak zawsze - ale towarzyszył nam olbrzymi żołnierz z gotową do strzału bronią i pierwszy oficer de Soi, siedzący ponuro na schodach.

— Autochirurg zakończył proces diagnostyczny - poinformował nas statek. - Obecność pasożyta w kształcie krzyża uniemożliwia leczenie. Mam przerwać proces, czy wprowadzić pacjentów w sen kriogeniczny?

— Sen kriogeniczny - powiedziała Enea. - Automat zajmie się nimi najdalej za dwadzieścia cztery godziny. Proszę ustabilizować ich stan

i utrzymać ich przy życiu do tego czasu.

— Przyjąłem - potwierdził statek. - M. Enea? M. Endymion?

— Słucham? - odezwałem się.

— Czy macie państwo świadomość, że od chwili opuszczenia kryjówki na trzecim księżycu byłem bezustannie śledzony przez czujniki dalekiego zasięgu? Podczas gdy my tu rozmawiamy, leci ku nam co najmniej trzydzieści siedem okrętów Paxu. Jeden znajduje się już na orbicie parkingowej Tien Szanu, inny zaś dokonał wysoce niezwykłego manewru: skoku hawkingowskiego na granicy studni grawitacyjnej planety.

— Nie szkodzi - uspokoiła go Enea. - Nie przejmuj się nimi.

— Sądzę wszelako, iż zamierzają nas przechwycić i zniszczyć - zaprotestował statek. - Dokonają tego, zanim wzniesiemy się ponad atmosferę.

— Wiem o tym. Ale powtarzam: nie przejmuj się nimi.

— Przyjąłem - oznajmił statek najbardziej bezosobowym głosem, jakim zdarzyło mu się do nas przemawiać. - Dokąd mam lecieć?

— Do porośniętej drzewami bonsai rozpadliny, położonej sześć kilometrów na wschód od Hsuankung Ssu - rzekła Enea - czyli Napowietrznej Świątyni. Tylko szybko - spojrziała na chronometr na nadgarstku. - Trzymaj się nisko, statku. W chmurach.

— Ma pani na myśli obłoki fosgenu czy chmury złożone z cząsteczek wody?

— Najniżej, jak tylko zdołasz. Chyba że opary fosgenu mogą sprawić ci jakiś kłopot.

— Ależ nie - uspokoił ją statek. - Czy życzy sobie pani, bym wytyczył trajektorię lotu pod powierzchnią morza kwasu? Radar głębokościowy i tak nas wykryje, ale mógłbym tego dokonać. Potrzebowałbym minimalnie więcej czasu i...

— Nie - przerwała mu Enea. - Leć w chmurach.

Wszyscy śledziliśmy wyświetlający się w holoramie obraz, kiedy statek zsunął się z Urwiska Samobójców, zanurkował dziesięć kilometrów w dół i, przeleciawszy przez szare obłoki, skrył się w zielonych. Zanosiło się na to, że w parę minut dotrzemy do rozpadliny.

Usiedliśmy na wyłożonych chodnikiem schodach, a ja przypomniałem sobie o tubie, którą na rozkaz de Sol wręczył mi sierżant. Obróciłem ją w dłoniach.

— Śmiało, proszę ją otworzyć - podpowiedział mi Gregorius. - Kapitan dziewięć lat czekał na chwilę, w której będzie ją mógł panu dać.

Nie miałem pojęcia, o czym mówi. Skąd mógł wiedzieć, że mnie jeszcze spotka? A poza tym nie miałem nic... Więc jakim cudem chciał mi coś zwracać?

Otworzyłem tubę z jednego końca i zajrzałem do środka: ciasno zrolowany materiał. Sięgnąłem ręką i, zrozumiawszy, co mam przed sobą, rozłożyłem zwój na podłodze.

Enea roześmiała się zachwycona.

— Mój Boże - powiedziała - wiele razy śniłam o dzisiejszym dniu, ale tego nie przewidziałam. To cudowne!

Leżała przed nami mata grawitacyjna... Latający dywan, na którym przed dziesięciu laty uciekliśmy z Enea z Doliny Grobowców Czasu. Straciłem ją... Chwilę zajęło mi przypomnienie sobie okoliczności: na Marę Infinitus, dziewięć lat temu, porucznik Paxu, z którym walczyłem, wyciągnął nóż, ciął mnie i zepchnął z maty do morza. Co działo się dalej? Towarzysze porucznika pomylili go ze mną i rozstrzelali z ręcznych kartaczownic, trup spadł do morza, a mata poleciała dalej... No, niezupełnie: komuś udało się ją złapać.

— Skąd ojciec kapitan ją ma? - zapytałem, choć nie wypowiedziałem jeszcze dobrze tych słów, gdy już znałem odpowiedź. De Soya ścigał nas

wówczas bez wytchnienia.

Gregorius kiwnął głową.

— Ojciec kapitan znalazł na niej próbki krwi i DNA, dzięki którym ściągnęliśmy z Hyperiona akta pańskiej służby w Straży. Gdybyśmy mieli skafandry, ucieklibyśmy na niej z tej cholernej góry.

— Czy to znaczy, że ona działa? - Z niedowierzaniem pogłaskałem sploty napędowe. Mata była bardziej postrzępiona, niż ją zapamiętałem, ale uniosła się dziesięć centymetrów nad ziemię. - Niech mnie diabli.

— Zbliżamy się do rozpadliny o podanych współrzędnych - zameldował statek.

W holoramie chmury rozwiały się i odsłoniły przemykającą obok, ku wschodowi, grań Jokungu. Zwolniliśmy i zawisliśmy bez ruchu sto metrów ponad nią. Znaleźliśmy się w tej samej dolince, w której statek wysadził mnie przed trzema miesiącami. Była zielona, jak zawsze, tym razem jednak kłębił się w niej tłumek ludzi. Rozpoznałem Theo, Lhomo i innych znajomych z Napowietrznej Świątyni. Statek zniżył lot i czekał na instrukcje.

— Opuść schody - poleciła mu Enea. - Wpuść ich na pokład.

— Ośmielę się pani przypomnieć - odezwał się statek - że na pokładzie znajduje się tylko sześć leżanek kriogenicznych i aparatów do podtrzymywania życia, na zewnątrz zaś czeka około pięćdziesięciu osób. W razie dłuższego skoku międzygwiazdowego...

— Opuść schody i zabierz ich - rozkazała Enea. - Natychmiast.

Statek wykonał polecenie bez dalszych dyskusji. Theo poprowadziła uciekinierów, wśród których znalazła się większość ludzi, których zostawiliśmy w świątyni: mnisi, Tromo Trochi z Dhomu, eks-żołnierz Gyalo Thondup, Lhomo Dondrub - »ucieszyliśmy się niepomiernie, widząc, że udało mu się bezpiecznie wrócić, a sądząc z tego, jak się uśmiechał i obejmował nas, spotkanie to sprawiło mu podobną radość;

byli tu też opat Kempo Ngha Wang Tashi, Chim Din, Jigme Taring, Kuku i Kay, George i Jigme, brat dalajlamy Lobsang, murarze Viki i Kim, nadzorca Tsipon Shakabpa, mniej skwaszony niż zwykle Rimsi Kyipup, eksperci od prac na wysokości - Haruyuki i Kenshiro, specjaliści od bambusów - Wojtek i Janusz; był nawet burmistrz Jokungu, Charles Chikyap Kempo. Zabrakło tylko dalajlamy i Dorje Phamo.

— Rachela wróciła po nich - wyjaśniła Theo, która ostatnia weszła na pokład. - Dalajlama upierał się, że odejdzie ostatni, a Locha została, żeby dotrzymać mu towarzystwa. Powinni jednak już tu być. Miałam właśnie po nich pójść...

Enea pokręciła głową.

— Polecimy razem.

Nie było mowy o tym, żeby wszyscy mogli usiąść czy choćby wygodnie stanąć: ludzie kręcili się po schodach, w bibliotece i w sypialni na dziobie, skąd przez przezroczyte ściany mogli wyjrzeć na zewnątrz. Część z nich zebrała się na pokładzie kriogenicznym i w maszynowni.

— Lecimy, statku - odezwała się Enea. - Do Napowietrznej Świątyni. Podejście bezpośrednie.

„Podejście bezpośrednie” oznaczało dla maszyny odpalenie silników odrzutowych, skok na piętnaście kilometrów w górę i pionowe lądowanie, w ostatniej chwili zakończone uruchomieniem repulsorów i głównych silników. Cały proces zajął około trzydziestu sekund, toteż mimo że pole siłowe nie pozwoliło zrobić z nas marmolady, widok za oknem sypialni musiał być cokolwiek dezorientujący. Wraz z Enea, A. Bettikiem i Theo śledziłem lot w holoramie, a i tak niewiele brakowało, żebym kurczowo złapał się grodzi - czy może raczej dywanu. Zawisnęliśmy pięćdziesiąt metrów nad świątynnym kompleksem.

— Psiakrew! - rzuciła Theo. Na naszych oczach w wypełnioną chmurami otchłań spadł człowiek. Nie mieliśmy szans go wyłapać:

w jednej chwili leciał, w następnej pochłonęły go obłoki. - Kto to był?

— Statku - zakomenderowała Enea - odtwórz obraz w powiększeniu.

Carl Linga William Eiheji, dowódca straży, osobisty ochroniarz dalajlamy.

W kilka sekund później z pawilonu Prawej Medytacji na najwyższą platformę - tę samą, którą niespełna przed miesiącem pomagałem budować - wyszło kilka postaci.

— Cholera! - zakląłem głośno. Nemes, trzymając małego dalajlamę w jednej ręce, podeszła do skraju tarasu. Za nią... za tym czymś... stało dwoje jej rodzeństwa, a za ich plecami na platformie pojawiły się Rachela i Dorje Phamo.

Enea złapała mnie za rękę.

— Chcesz wyjść ze mną, Raul?

Chwilę wcześniej kazała wysunąć statkowi taras z fortepianem, ale wiedziałem, że nie o to jej chodzi.

— Pewnie - powiedziałem, myśląc sobie w duchu: Czy tak ma wyglądać jej śmierć? Czy właśnie tę chwilę oglądała zanim przyszła na świat? Czyja też teraz umrę? - Pewnie, że tak.

A. Bettik i Theo ruszyli za nami, ale Enea ich powstrzymała:

— Nie - rzekła. - Proszę, zostańcie. - Ujęła dłoń androida w swoją. - Stąd będziesz wszystko widział, przyjacielu.

— Wolałbym pani towarzyszyć, M. Enea.

Pokiwała głową.

— Wiem, ale ja i Raul musimy sami stawić im czoło.

A. Bettik również skinął głową, choć minimalnie, po czym wrócił do holouramy. Nikt ze zgromadzonych w bibliotece i na schodach ludzi się nie odezwał. Zapadła cisza, jak na statkuwidmie. Wyszliśmy z Enea na taras.

Nemes wciąż trzymała chłopca nad przepaścią, my zaś znajdowaliśmy się dwadzieścia metrów nad nimi. Przyszło mi do

głowy, że nie wiemy, jak wysoko te potwory potrafią skakać.

— Hej tam! - krzyknęła moja przyjaciółka.

Nemes podniosła wzrok, a mi przyszedł na myśl ślepiec, któremu wylupiono oczy: w jej spojrzeniu nie było nic ludzkiego.

— Puść chłopca - rozkazała jej Enea.

Nemes uśmiechnęła się i rozluźniła chwyt. Dalajlama zaczął spadać, ale w ostatniej chwili złapała go drugą ręką.

— Uważaj, o co prosisz, dzieciaku - odezwała się.

— Puść go i pozwólcie odejść kobietom, to zejść na dół.

Nemes wzruszyła ramionami.

— I tak nie zdołasz stąd odlecieć - stwierdziła. Nie podnosiła głosu, a mimo to doskonale ją słyszeliśmy.

— Puść ich, a zejść - powtórzyła Enea.

Nemes znów wzruszyła ramionami i cisnęła chłopcem przez całą platformę, niczym zwiniętym w kulkę zwitkiem papieru. Rachela podbiegła do niego - krwawił, ale przekonała się, że żyje - i ze wściekłym grymasem na twarzy zwróciła się ku Nemes i jej rodzeństwu.

— NIE! - krzyknęła Enea; nigdy przedtem nie słyszałem u niej takiego tonu: i ja, i Rachela zamarliśmy bez ruchu. - Proszę cię, Rachelo - mówiła Enea dalej, już spokojnym głosem - przyprowadź Jego Świątobliwość i Dorje Phamo na statek.

Polecenie było grzeczne, ale wypowiedziane tonem rozkazu, któremu nie potrafiłbym się oprzeć. Rachela też nie potrafiła.

Na rozkaz Enei statek obniżył lot i morfował prowadzące na taras schody. Ruszyła w dół, więc pospieszyłem za nią. Zeszliśmy na cedrową platformę... pomagałem układać tu każdą deszczułkę... Dwie kobiety i chłopiec minęli nas, zdążając na statek. Enea musnęła w przelocie głowę Racheli.

Schody cofnęły się do wnętrza statku. Dorje Phamo i Rachela dołączyły do stojących na balkonie Theo i A. Bettika, ktoś inny tymczasem zabrał ranne dziecko.

Staliśmy dwa metry od Rhadamanth Nemes. Jej bliźniaczy brat i siostra zajęli pozycje po obu jej bokach.

— Czegoś mi jeszcze brakuje - powiedziała Nemes. - Gdzie twój... A, tu jest.

Chyżwar wynurzył się z cienia pawilonu. Napisałem „wynurzył”, bo choć się poruszył, nie widziałem, żeby stawiał kroki.

Na przemian zaciskałem dłonie i prostowałem palce. Nic nie układało się tak, jak powinno. Wszedłszy na statek zdjąłem kurtkę, ale nie pozbyłem się tej kretyńskiej próznioskóry ani uprząży, chociaż cały sprzęt został na pokładzie. Czuję, że uprząż i skafander będą mi teraz krępować ruchy.

Krępować ruchy? Przecież widziałem już Nemes w akcji. Czy raczej, żeby trzymać się faktów: nie widziałem jej. Kiedy na Bożej Kniei walczyła z Chyżwarem, ujrzałem tylko rozmazane kształty, usłyszałem huk, a potem wszystko zniknęło i ucichło. Mogła obciąć Enei głowę i wypruć mi flaki zanim znów zacisnę pięści.

Pięści. Statek nie miał żadnego uzbrojenia, ale w bibliotece siedział Gregorius z wieloczynnościowym karabinem Armii. Pierwsza zasada, jaką poznaliśmy w Straży, brzmiała: „Nie walcz gołymi rękoma, jeśli możesz zdobyć broń”. Rozejrzałem się. Platforma była pusta i gładka, nie miała żadnej luźnej belki, której mógłbym użyć w charakterze maczugi. Wraz z poręczą zbudowano ją na tyle solidnie, że mogłem zapomnieć o wyrwaniu przypadkowej deski.

Przeniosłem wzrok na skalną ścianę z lewej strony: żadnych kamieni. Wiedziałem, że w szczelinach wciąż tkwią haki i nity do lin - korzystaliśmy z nich budując ten poziom i nie usunęliśmy potem wszystkich - siedziały jednak na tyle mocno, że gołymi rękami nie

wyrwałbym żadnego z nich; co innego Nemes - pewnie poradziłyby sobie jednym palcem. Poza tym na co zdałby mi się hak wspinaczkowy czy kostka asekuracyjna w walce z tymi potworami?

Nigdzie w pobliżu nie znalazłem nic, co nadawałoby się na broń. Cóż, umrę nieuzbrojony. Miałem tylko nadzieję, że zdążę zadać choć jeden cios, zanim otoczy mnie ciemność... Albo przynajmniej się zamachnąć.

Nemes i Enea nie odrywały od siebie wzroku, nie zwracając uwagi na stojącego dziesięć kroków dalej Chyżwara. Kobieta-potwór rzekła:

— Wiesz już o tym, że nie planuję zabrać cię stąd i oddać w ręce Paxu, prawda, ty mała suko?

— Owszem - przytaknęła moja ukochana. Nie spuściła wzroku.

Nemes się uśmiechnęła.

— Ale wierzysz, że twój kolczasty obrońca znów cię ocali?

— Nie.

— To dobrze, bo tym razem mu się nie uda. - Nemes skinieniem głowy dała znak swoim towarzyszom.

Wiem już, jak się nazywali: Scylla i Briareus; wiem również, co zobaczyłem później.

Nie powinienem był nic widzieć, bo potworne rodzeństwo w ułamku sekundy dokonało przejścia w fazie. Spodziewałem się ujrzeć srebrzystą smugę, chaos i nic poza tym. W tym jednak momencie Enea dotknęła mojego karku - jak zwykle niemal poczułem przeskok iskry - i nagle światło wokół mnie pociemniało i nabrało głębi, a powietrze zgęstniało niczym woda. Uświadomiłem sobie, że serce przestało mi bić, nie mrugam i nie oddycham. Teraz brzmi to przerażająco, ale w owej chwili zupełnie się tym nie przejąłem.

Nie możemy wraz z nimi przejść w nadczas ani walczyć z nimi w ten sposób, dobiegł mnie głos Enei ze słuchawki w odwiniętym kapturze próznioskóry... A może usłyszałem go, gdy nasze ciała się

zetknęły? Nie potrafiłbym powiedzieć. Nie wolno w ten sposób wykorzystywać energii Pustki, Która Łączy. Mogę jednak pomóc nam oglądać to, co się będzie działo.

A było na co popatrzeć.

Na wydany przez Nemes rozkaz, Scylla i Briareus rzucili się na Chyżwara, on zaś rozłożył czworo ramion i skoczył wprost ku niej. Brat i siostra Nemes dopadli go w pół skoku. Mimo zmiany postrzegania - statek zawisł dla mnie nieruchomo w powietrzu, nasi przyjaciele na balkonie zmienili się w posągi, a przelatujący górą ptak zastygł w gęstym powietrzu jak owad złapany w bryłkę bursztynu - z najwyższym trudem zdołałem wychwycić moment, w którym się to wydarzyło.

Chyżwar zderzył się ze Scyllą i Briareusem dosłownie o metr przed stojącą nieruchomo, srebrzystą rzeźbą Nemes. Mężczyzna zadał mu cios, który z pewnością rozplatałby nasz statek na pół, ale jego ramię odbiło się od zbrojnego w ciernie karku hyperiońskiego demona, nie czyniąc mu krzywdy. Rozległ się odgłos, przywodzący na myśl podwodne trzęsienie ziemi, odtworzone wstecz w zwolnionym tempie, po czym Scylla podcięła Chyżwara. Ten upadł, złapawszy jednak uprzednio jedną parą rąk kobietę, drugą zaś zatopiwszy głęboko w ciele Briareusa. Oboje padli na niego, starając się dosięgnąć srebrnego korpusu stalowymi zębami i pazurami. Widziałem, że krawędzie ich usztywnionych w nadczynie dłoni i przedramion upodobniły się do miniaturowych gilotyn, groźniejszych chyba niż ciernie i ostrza na ciele Chyżwara.

Troje walczących splotło się w uścisku. Turlali się po całej platformie, okładali pięściami i gryźli, aż deski furkotały w powietrzu. Któreś z nich uderzyło w skałę i w ułamku sekundy zerwali się na nogi. Chyżwar rozwarł olbrzymie szczęki i zatopił kły w szyi Briareusa. W tym samym momencie Scylla trafiła go w ramię, które odgięło się w

tył i chyba trzasnęło w stawie. Nie rozluźniając uścisku szczęk, wgrzyziony w czerep Briareusa srebrny stwór odwrócił się do Scylli, a wtedy przeciwnicy równocześnie złapali go za wystające z głowy kolce i szarpnęli do tyłu. Spodziewałem się, że lada moment usłyszę trzask i głowa Chyżwara potoczy się na deski. Tymczasem, nie wiedzieć jak, usłyszałem rozkaz Nemes: Teraz! Zróbcie to!

Scylla i Briareus bez namysłu odskoczyli od ściany urwiska i szarpnęli Chyżwara za sobą, ku barierce na skraju platformy. Zrozumiałem, że spróbują zepchnąć go w przepaść, tak jak zrzucili dowódcę straży dalajlami. Być może Chyżwar również to zauważył, bo w tym samym momencie przyciągnął ich do siebie i nabił na wystające z piersi ciernie. Chromowe ostrza zagłębiły się w polach fazowych i ciałach rodzeństwa Nemes. Przez chwilę wszyscy troje wirowali, rzucali się i turlali opętańczo, niczym zwariowana nakręcana zabawka, przestawiona w najszybszy tryb pracy, aż wreszcie Chyżwar w towarzystwie nadzianych na jego kolce, kopiących i młójących ramionami Scylli i Briareusa uderzył w cedrową balustradę, rozpruł ją, jakby zbudowano ją z przemoczonej tektury, i spadł w otchłań.

Patrzyliśmy z Eneą, jak wysoka, srebrzysta postać w towarzystwie dwóch mniejszych, szarpiących się sylwetek spada i maleje w oczach. Po chwili całą trójkę pochłonęły chmury. Wiedziałem, że zgromadzeni na tarasie widzowie zarejestrują tylko nagłe zniknięcie trzech istot i strzaskaną barierkę, a potem zobaczą Nemes, Eneę i mnie, stojących samotnie na platformie. Srebrna istota, w którą zmieniła się Rhadamanth Nemes, odwróciła pozbawioną rysów twarz w naszym kierunku.

Światło się zmieniło. Poczułem na policzku powiew wiatru, powietrze stało się rzadsze, a ja znów usłyszałem bicie..., nie, łomotanie własnego serca. Mrugnąłem parę razy.

Nemes wróciła do ludzkiej postaci.

— Może skończymy tę farsę? - zwróciła się do Enei.

— Z przyjemnością - odparła moja przyjaciółka.

Nemes z uśmiechem przygotowała się do przeskoku fazowego. Nic się nie stało. Zmarszczyła brwi, a na jej twarzy pojawił się wyraz skupienia. Nadal bez skutku.

— Nie potrafię powstrzymać cię od przejścia w nadczas - stwierdziła Enea. - Są jednak tacy, którzy mogą to zrobić... i zrobili.

Przez chwilę na twarzy Nemes odbiła się irytacja, ale zaraz potem diabelska kobieta wybuchnęła śmiechem.

— Moi twórcy zaraz się tym zajmą - oznajmiła. - Ja jednak nie chcę tak długo czekać. Nie muszę wchodzić w nadczas, żeby cię zabić, ty cholerny dzieciaku.

— To prawda - przyznała Enea. Podczas całego dotychczasowego starcia nawet nie drgnęła. Stała tak, jak na początku spotkania: na lekko rozstawionych nogach, z opuszczonymi swobodnie rękoma.

Nemes odsłoniła w uśmiechu drobne zęby, które na moich oczach zaczęły rosnać, jak gdyby wysuwały się coraz dalej z otworów w dziąsłach i szczęce. Naliczyłem ich trzy rzędy.

Podniosła ręce, a wówczas jej paznokcie, i tak długie, urosły o dalsze dziesięć centymetrów, przeobrażając się w lśniące ostrza. Jednym pociągnięciem tych ostrzy zdarła sobie skórę z prawego przedramienia, odsłaniając fragment metalicznego szkieletu wewnętrznego, na pozór wykonanego ze stali, ale znacznie od niej ostrzejszego.

— Zaczynamy więc - rzekła Nemes i postąpiła krok w kierunku Enei.

Stałem pomiędzy nimi.

— Nic z tego - powiedziałem i uniosłem pięści, niczym bokser na początku walki.

Nemes wyszczerzyła wszystkie zęby w uśmiechu.

W szelki ruch ulega spowolnieniu, a sekundy znowu rozciągają się w nieskończoność, jakbym znalazł się w nadczasie, ale tym razem jest to tylko efekt całkowitej koncentracji i przyływu adrenaliny. Mój umysł wrzuca wyższy bieg; zmysły wyostrzają mi się nienaturalnie; z niewiarygodną klarownością widzę, czuję i kalkuluję każdą mikrosekundę.

Nemes robi krok do przodu... kieruje się nieco w lewo ode mnie, bardziej ku Enei niż w moją stronę.

Mam wrażenie, że uczestniczę w pojedynku szachowym, a nie walce na pięści. Wiem, że zwyciężę, jeżeli uda mi się zabić tę wredną sukę albo zrzuciwszy ją z platformy zyskać dość czasu, żebyśmy zdążyli uciec. Ona zaś nie musi mnie zabijać... Wystarczy, że wyłączy mnie z walki i zabije Eneę. To Enea jest bowiem jej celem. Zawsze była. Zgładzenie Enei jest jedynym uzasadnieniem istnienia potwora.

Szachy. Nemes przed chwilą poświęciła dwie najsilniejsze figury - brata i siostrę - i wyeliminowała naszą wieżę, Chyżwara. Trzy figury zdjęto z planszy, na której została Nemes — królowa czarnych, Enea - królowa ludzi i pionek Enei - czyli ja.

Być może pionek będzie musiał zginąć, ale zabierze ze sobą królową czarnych - nie żywi co do tego żadnych wątpliwości.

Nemes się uśmiecha. Widzę jej ostre, zwielokrotnione zęby. Ręce zwiesza swobodnie wzdłuż boków, długie paznokcie lśnią, a rozszarpane prawe przedramię przywodzi na myśl ohydny eksponat w klinice chirurgicznej. Wnętrze jej ciała nie jest ludzkie... Nie tylko wnętrze: Nemes w ogóle nie jest człowiekiem. W ostrzu kości odbija się popołudniowe światło.

— Eneo - mówię cicho - proszę, cofnij się.

Najwyższa platforma łączy się z kamiennym chodnikiem i schodami, które wykuliśmy w skale, żeby dało się wejść na wyciętą w przewieszce ścieżkę. Chcę, żeby moja przyjaciółka opuściła platformę.

— Raul ja...

— Cofnij się - powtarzam. - Natychmiast. - Nie podnoszę głosu, ale wkładam w te słowa cały autorytet i moc, na jakie zasłużyłem i jakie posiadałem w trwającym trzydzieści dwa lata standardowe życie.

Enea cofa się i po czterech krokach trafia na kamienną półkę. Statek unosi się pięćdziesiąt metrów nad nami, poza obrębem platformy. Z tarasu obserwuje nas tłum pasażerów. Staram się siłą woli zmusić sierżanta Gregoriusa, żeby wyszedł do nich i ustrzelił Nemes z karabinu, ale pośród widzów nie dostrzegam jego śniadej twarzy. Być może rany zanadto go osłabiły; być może uważa, że to powinna być uczciwa walka.

Srał to pies, myślę. Wolałbym nie toczyć uczciwej walki - chcę zabić tego potwora w dowolny sposób i ucieszyłbym się z każdej pomocy. Czy Chyżwar naprawdę zginął? Czy to możliwe? Martin Silenus w „Pieśniach” wspomina o tym, że w dalekiej przyszłości Chyżwar zostanie pokonany przez pułkownika Fedmahna Kassada. Ale skąd Silenus to wiedział? Poza tym, czym jest przyszłość dla istoty, która swobodnie porusza się w strumieniu czasu? Jeżeli Chyżwar przeżył, z wielką radością widziałbym go teraz u swego boku.

Nemes robi krok w lewo, więc również przesuwam się i blokuję jej dostęp do Enei. W nadczacie odznacza się nadludzką siłą i szybkością błyskawicy, ale teraz nie może zrobić przeskoku. Mam nadzieję.

I tak zapewne przewyższa mnie szybkością i siłą..., tak jak każdego człowieka. Muszę zakładać, że tak właśnie jest. W dodatku ma pazury, zęby i kości ostre jak brzytwy.

— Jesteś gotowy na śmierć, Raulu Endymionie? - pyta mnie i odsłania w uśmiechu zęby.

Jej mocne strony: prawdopodobnie szybkość, siła i solidna konstrukcja. Na dobrą sprawę Nemes może być bardziej robotem czy androidem niż istotą ludzką. Prawie na pewno nie czuje bólu. Może mieć wbudowaną w ciało broń, której na razie nie ujawniła. Nie mam pojęcia, jak mógłbym ją zabić czy pokonać... Ma metalowy szkielet, a mięśnie, choć wyglądają jak prawdziwe, mogły zostać wykonane z siatki stalowej bądź plastalowych włókien. Mało prawdopodobne, by standardowe techniki poskutkowały wobec takiego przeciwnika.

Jej słabości: nie znam. Może nadmierna pewność siebie; może zbyt przyzwyczajenie do przejścia fazowego, kiedy to zabija wrogów, którzy są wobec niej bezradni. Faktem jest jednak, że przed dziewięciu laty uzyskała remis w walce z Chyżwarem — właściwie można wręcz powiedzieć, że wygrała, bo usunęła go i niemal dopadła Eneę. Uratowała nas interwencja ojca kapitana de Soi, który ostrzelał ją laserem, czerpiącym moc ze wszystkich układów okrętu.

Nemes wystawia przed siebie ręce i kuca. Prostuje uzbrojone w pazury palce. Jak daleko może skoczyć? Czy przeskoczy mi nad głową i dopadnie Eneę?

Moje mocne strony: dwa lata doświadczeń bokserskich ze Straży Planetarnej, kiedy to reprezentowałem nasz regiment. Nienawidziłem boksu i przegrałem mniej więcej jedną trzecią walk. Wiem, że ból mnie nie powstrzyma; nie żebym go nie czuł, ale mogę go znieść. Po ciosie w twarz oczy zasnuwa mi czerwona mgła; kiedyś dostając w gębę wpadałem w szal, zapominałem o całej technice i treningu, kiedy zaś mgielka rozwiewała się, a ja wciąż stałem na nogach, wygrywałem. Teraz jednak ślepa furia na niewiele się zda - jeżeli choćby na chwilę puszcza mi nerwy, potwór mnie zabije.

W boksie potrafiłem być szybki - owszem, dziesięć lat temu. Miałem też ciężką rękę - chociaż dawno już nie trenowałem i nie pracowałem nad sobą. Potrafiłem zebrać na siebie sporo ciosów w ringu, co nie jest bynajmniej równoważne z odpornością na ból; nigdy mnie nie znokautowano, mimo że zdarzało mi się po kilkanaście razy w jednej walce leżeć na deskach. Zawsze wstawałem.

Poza tym przez jakiś czas byłem wykidajką w kasynie na Felixie, tyle że ta robota polegała głównie na umiejętnościach zagrywkach psychologicznych i unikaniu mordobicia przy wyprowadzaniu schlanych klientów za drzwi. Starcia, do których dochodziło - na moich warunkach - rozstrzygałem w kilka sekund.

W Straży Planetarnej uczono mnie walki wręcz i zabijania w zwarciu, ale do podobnych akcji dochodziło równie rzadko, co do szarż na bagnety.

W najcięższe bójkę wdawałem się na barkach. Raz nawet stanąłem naprzeciwko faceta, który miał chęć poszatковать mnie kordelasem, ale przeżyłem. Inny znów marynarz, ten, o którym już wspominałem, powalił mnie jednym ciosem. Jako przewodnik na bagnach przeżyłem spotkanie z mierzącym do mnie z kilku metrów z kartaczownicy myśliwym; nawiasem mówiąc, przypadkiem go zabiłem, a kiedy go wskrzeszono, zeznawał przeciwko mnie. Na dobrą sprawę od tego wszystko się zaczęło.

Ze wszystkich słabości jedna jest zdecydowanie najpoważniejsza: nie lubię robić ludziom krzywdy. Za każdym razem - nie licząc kolesia z kordelasem na barce i chrześcijańskiego myśliwego - powstrzymywałem się i nie biłem tak mocno, jak mogłem. Nie chciałem nikogo skrzywdzić.

I to się musi zmienić. Natychmiast. Mam przed sobą nie człowieka, lecz maszynę do zabijania. Jeśli jej szybko nie zniszczę, ona zabije mnie bez wahania.

Nemes rzuca się na mnie, bierze zamach prawą ręką i tnie pazurami jak kosą. Odskakuję i robię unik. Prawie mi się udaje, ale widzę, jak ostrza rozdzierają mi koszulę nad lewym łokciem i w powietrze tryska strużka krwi. Doskakuję do Nemes i trzy razy — szybko, mocno - uderzam ją w twarz.

Cofa się błyskawicznie. Po pazurach lewej dłoni ścieka jej krew. Moja krew. Nemes ma złamany nos, który przekrzywił się i przyłgnał bokiem do twarzy. Złamałem jej coś - kość? Chrząstkę? Metalowe włókno? - w miejscu, gdzie miała lewą brew. Nie widać krwi, a Nemes zdaje się nie zauważać obrażeń. Wciąż się uśmiecha.

Spoglądam na lewy biceps. Rany palą mnie żywym ogniem. Czyżby trucizna? Może i tak, ale jeśli się nie mylę, powinienem już nie żyć. Po co miałyby używać środka działającego z opóźnieniem?

Spokojnie. Piecze jak każde skaleczenie. Cztery cięcia na ręce są głębokie... ale nie sięgnęły mięśnia. Nie liczą się. Skup się na jej oczach. Spróbuj przewidzieć następny ruch.

Nie rzucaj się na wroga z gołymi rękoma - zasada pierwsza ze szkolenia w Straży. Znajdź broń do walki w zwarciu. Straciłeś broń osobistą? Znajdź coś innego, improwizuj: kamień, kij, kawałek metalowej sztaby - nawet zaciśnięty w pięści otoczak czy wystające spomiędzy palców klucze są lepsze niż nic. „Knykcie pękają łatwiej niż szczeka”, jak powtarzał nasz instruktor. Jeżeli więc absolutnie nie masz wyjścia i musisz się bić bez broni, uderzaj krawędzią dłoni; zadawaj ciosy wyprostowanymi palcami albo zakrzyw je jak szpony i celuj w oczy i jabłko Adama.

A dookoła ani jednego kamienia, patyka, klucza... Nic, co mogłoby udawać broń. W dodatku ten stwór nie ma jabłka Adama, a podejrzewam, że jego oczy są zimne i twarde jak marmur.

Nemes jeszcze raz próbuje obejść mnie z lewej. Spogląda na Eneę.
— Już po ciebie idę, kochanie - syczy.

Kątem oka dostrzegam Eneę, która stoi na kamiennym parapecie, tuż poza obrysem platformy. Nie rusza się; na jej twarzy nie widać żadnych emocji. Nie znam jej takiej... Powinna ciskać kamieniami, wskoczyć przeciwnikowi na plecy..., zrobić coś, zamiast pozwolić mi walczyć samotnie.

Ta chwila należy do ciebie, kochanie. Słyszę jej głos wyraźnie jak szept pod pokrywą czaszki. Bo to jest szept: dolatuje ze słuchawek odrzuconego na plecy kaptura próżnioskóry. Nie miałem kiedy jej zdjąć, podobnie zresztą, jak tej cholernej uprzęży. Zaczynam subwokalizować odpowiedź, ale przypominam sobie, że włączyłem mikrofony w gniazdo nadajnika, kiedy sprowadzałem statek na Taj Szan. Nadajnik mam w kieszeni i gdybym się teraz odezwał, słyszano by mnie także na statku.

Przemieszczam się w lewo i znów staję Nemes na drodze. Mam coraz mniejsze pole manewru.

Tym razem porusza się szybciej: robi zwód w prawo i tnie od lewej, wierzchem prawej dłoni i odsłoniętą kością przedramienia. Ostrze celuje w moją pierś.

Odskakuję, ale rozcina mi skórę i mięśnie pod najniższym żebrem z lewej strony. Próbuję się uchylić i widzę, jak pazury jej lewej ręki mierzą w moje oczy; migają jak błyskawice, robię więc kolejny unik - tym razem udaje jej się zedrzeć mi fragment skóry z głowy. Na króciuteńką chwilę powietrze ponownie wypełniają drobiny krwi.

Podchodzę o krok bliżej, biorę zamach, jakbym zamierzał uderzyć młotem kowalskim i uderzam prawą ręką z góry, po skosie, od lewej. Zaciskam pięść. Trafiam Nemes z boku w szyję, tuż poniżej zuchwy. Syntetyczne ciało zmienia się w miazgę, skóra pęka, ale umieszczone pod spodem metalowe pręty się nie odkształcają.

Nemes ponownie tnie prawym ramieniem jak kosą i równocześnie wyprowadza cios lewą, szponiastą dłonią. Odskakuję. Chybia

całkowicie.

Dopadam do niej od tyłu i kopię ją w zgięcia kolan; mam nadzieję, że uda mi się ją podciąć. Do strzaskanej barierki na skraju platformy brakuje nam ośmiu metrów. Gdybym ją przewrócił... nawet, jeśli mielibyśmy oboje spaść...

Czuję się tak, jakbym kopnął żelazny słup. Noga mi drętwieje, Nemes zaś nawet na moment nie traci równowagi, chociaż miękkie tkanki ulegają zmiżdżeniu. Musi być ze dwa razy cięższa ode mnie.

Odpowiada kopnięciem i łamie mi dwa lewe żebra. Słyszę ich trzask i tracę dech w piersi.

Zataczam się wstecz. Na wpół świadomie spodziewam się odbić od lin ringu, ale zamiast nich uderzam w twardą, śliską, pionową skałę. Wystający z niej hak wbija mi się w plecy i wyciska resztki powietrza z pruć.

Wiem, co zrobię.

Następny oddech przypomina zassanie płynnego ognia, więc robię kilka szybkich wdechów, żeby upewnić się, że nie straciłem tej umiejętności. Czuję, że mam szczęście: strzaskane żebra nie przebiły mi płuca.

Nemes rozkłada ramiona, odcinając mi tym samym drogę ucieczki, i podchodzi bliżej.

Robię krok naprzód i wpadam w jej objęcia; jestem teraz zbyt blisko, żeby mogła mnie dosięgnąć prawą ręką. Z całej siły obiema pięściami uderzam ją z boków w głowę. Miażdżę jej uszy - w powietrze tryska struga żółtej cieczy - ale czuję, że nie naruszyłem permastalowej czaszki. Ręce mi odskakują, potykam się i zataczam w tył. Chwilowo tracę czucie w dłoniach.

Ona skacze.

Padam na ziemię, opieram się plecami o skałę i przyjmuję Nemes na nogi. Kopię z całej siły. Trafiam ją w pierś.

Odrzucona do tyłu tnie pazurami: przecina mi częściowo uprząż, próżnioskórę i mięśnie u góry klatki piersiowej. Z prawej strony. To dobrze, nie trafiła w przewody nadajnika.

Robi salto w tył i ląduje na nogach o pięć metrów od krawędzi. Nie ma mowy, żeby udało mi się ją zepchnąć z platformy. Nie chce grać na moich warunkach.

Zaciskam pięści i rzucam się na nią.

Uderza lewą ręką z dołu. Błyskawiczny cios powinien mnie wypatroszyć, ale z poślizgiem hamuję o milimetry od śmiercionośnych pazurów. Nemes bierze zamach prawym ramieniem, żeby przeciąć mnie w pół, ja zaś obracam się na pięcie i z całej siły kopię ją prosto w pierś.

Ze sieknięciem rozwiera masywne szczęki i niczym wielki pies zatapia zęby w mojej stopie: zdiera mi z buta obcas i całą podszewę, nie sięga jednak ciała. Odzyskuję równowagę i ponownie do niej doskakuję. Chwytam lewą dłonią jej prawy nadgarstek, dzięki czemu brzytwiaste kości nie rozorają mi chwilowo pleców, a drugą ręką łapię ją za włosy. Jej szczęki zatraskują się o włos od mojej twarzy; migają mi rzędy stalowych zębów, obryzguje mnie ohydna, żółtawa mieszanina jej śliny i cieczy zastępującej krew. Odchylam jej głowę do tyłu, czując, jak śliskie od krwi i śluzu włosy wyślizgują się z mojego uchwytu. Szarpiemy się i miotamy po pomoście niczym para opętanych tancerzy.

Jeszcze raz uderzam w nią całym ciałem, starając się nie dopuścić, żeby odzyskała równowagę i przesuwam palce ku jej oczom. Zaciskam mocniej dłoń i, zaparłszy się o jej tors, jeszcze bardziej odciągam jej głowę. Ustępuje: z początku odgina się o trzydzieści stopni, potem pięćdziesiąt, sześćdziesiąt - powinienem już słyszeć trzask pękających kręgów, ale nic z tego - osiemdziesiąt stopni... Głowa Nemes odchyła się wstecz pod kątem prostym do tułowia. Czuję pod palcami chłód

twardych gałek ocznych, a ona otwiera usta, żeby wbić mi zęby w przedramię.

Puszczam ją.

Skacze na mnie natychmiast, jakby napędzana olbrzymią sprężyną. Pazurami przejeżdża mi po plecach - rozcina skórę i mięśnie od lewego barku po prawą łopatkę; słyszę zgrzyt metalu o moje kości. Pochyliam się, zapieram głową o jej śliską od smaru pierś i wyprowadzam serię krótkich, szybkich ciosów w brzuch: dwa, cztery, sześć uderzeń z krótkiego zamachu. Krew z zerwanego płata skóry na głowie zalewa mi oczy, ale słyszę, jak w jej brzuchu coś pęka z metalicznym chrzęstem. Więcej żółtej mazi spływa mi na plecy i barki. To Nemes wymiotuje.

Cofam się chwiejnie, a ona się uśmiecha. Obrzydliwy, żółty śluz ścieka jej z ust na i tak już śliskie deski platformy. W jej ustach wśród żółci lśnią zęby. Krzyczy, a jej krzyk przypomina mi świst pary z dogorywającego bojlera. Jej prawe ramię zatacza błyskawiczny, niemal niewidoczny łuk.

Odskakuję. Zatrzymuję się trzy metry od ściany i półki, na której stoi Enea.

Nemes bierze kolejny zamach; jej ramię ze świstem przeszywa powietrze, niczym śmiercionośne stalowe wahadło. Może mnie teraz zapędzić, gdzie zechce.

Przez ułamek sekundy Enea jest odsłonięta - nie stoję już pomiędzy nią i potworem.

Słabość Nemes... Postawiłem wszystko na jedną kartę, zaryzykowałem życiem Enei: wierzę, że Nemes ma naturę drapieżcy i znalazłszy się tak blisko zwycięstwa postanowi najpierw mnie wykończyć.

Przesuwa się w prawo, starając się zarazem znaleźć bliżej Enei i zagonić mnie pod ścianę urwiska. Kosa śmiga w powietrzu i niewiele brakuje, bym zginął z obciętą głową. Przewracam się i turlam w lewo,

były dalej od Enei. Leżę na deskach i macham bezładnie nogami. Jest ślisko.

Nemes staje okrakiem nade mną. Żółta maź spływa mi na twarz i pierś. Nemes podnosi ramię z obnażonymi kośćmi, krzyczy i uderza.

— Statku! Natychmiast ląduj na platformie! Bez dyskusji!

Udaje mi się wykrzyknąć te słowa do mikrofonu krtaniowego, kiedy przetaczam się na bok i uderzam o nogę Nemes. Zaostrzone przedramię wbija się w twarde drewno cedru w miejscu, gdzie przed momentem leżałem.

Wciąż stoi nade mną. Prawe ramię ma uwięzione w deskach platformy i przez kilka sekund usiłuje trafić mnie pazurami lewej dłoni. Nie mogąc się solidnie zaprzeć, nie jest w stanie wyrwać ostrza z drewna. Olbrzymi cień przesłania nas oboje.

Szpony tną mi prawą część głowy - niewiele brakuje, żebym stracił ucho - zjeżdżają na twarz, orzą skórę na policzku i omal nie sięgają tętnicy. Podstawą dłoni uderzam od dołu w szczękę Nemes i przytrzymuję ją oburącz, żeby nie mogła mnie ugryźć. Jest silniejsza ode mnie.

Od tego, czy wydostanę się spod niej, zależy teraz moje życie. Nadal nie może wyrwać prawej ręki, ale w tej chwili jest to dla niej korzystne, bo nie daję rady jej odepchnąć.

Cień się pogłębia.

Dziesięć sekund, nie więcej.

Nemes tnie pazurami po moich zapartych o jej zuchwę rękach, wyszarpuje ostrze z drewna, zatacza się i staje wyprostowana. Przenosi wzrok na lewo, gdzie stoi bezbronna Enea.

Przetaczani się w bok, oddalam od Nemes... i od Enei. Zostawiam ją bez opieki. Wbijam paznokcie w kamień, podnoszę się na czworaka i z trudem wstaję. Moja prawa ręka jest zupełnie bezużyteczna - najwidoczniej ostatnie cięcie Nemes sięgnęło ścięgien - toteż lewą

dłonią odpinam od uprząży linę asekuracyjną, mając nadzieję, że jest nienaruszona. Wpinam zwisający z jej końca karabinek w ucho na końcu haka, który sterczy ze skały. Odgłos przypomina mi trzask zamykanych kajdanek.

Nemes okręca się na pięcie i zapomina o mnie zupełnie. Wlepia wzrok w Eneę, która stoi nieporuszona.

Zgodnie z moim rozkazem statek siada na platformie z wyłączonymi repulsorami; całym ciężarem opiera się na drewnianej konstrukcji i z przeraźliwym łoskotem miażdży pawilon Prawej Medytacji. Stateczniki o włos mijają Nemes i mnie.

Potwór spogląda przez ramię na piętrzący się nad nim czarny kształt, ale postanawia się nim nie przejmować i przykuca, szykując się do skoku na Eneę.

Przez ułamek sekundy boję się, że cedrowy taras wytrzyma... że jest mocniejszy, niż wynikałoby to z obliczeń Enei i moich doświadczeń - ale w tej samej chwili z potwornym trzaskiem platforma Prawej Medytacji odrywa się od stoku góry i wraz ze schodami do pawilonu Prawego Skupienia zaczyna spadać w przepaść.

Ludzie z tarasu widokowego statku zostają siłą bezwładności ciśnięcia do wnętrza, gdy maszyna osuwa się gwałtownie.

— Statku! - rozkazuję. - Zawiśnij w powietrzu!

Ponownie skupiam całą uwagę na Nemes.

Platforma usuwa się jej spod nóg. Nemes skacze, mierząc wprost w Eneę, która ani drgnie.

Brak solidnego oparcia w chwili skoku nie pozwala Nemes sięgnąć celu. Jej palce chybiają, uderzają w powierzchnię półki, krzeszą iskry - i znajdują chwyt. Platforma wali się w dół; rozpada się na mniejsze kawałki, z których część spada na niższe poziomy budowli. Niektóre kondygnacje ulegają uszkodzeniu, na innych zbierają się stery odłamków.

Nemes wisi na rękach dosłownie metr poniżej stóp Enei.

Moja lina asekuracyjna ma osiem metrów. Zaciskając lewą dłoń - jedyną sprawną - popuszczam trochę śliskiego od krwi sznura i kopniakiem odpycham się od urwiska.

Nemes wdrapuje się wyżej, aż wreszcie udaje się jej zaczepić dłoń na górnej krawędzi występu. Klinuje palce w szczelinie i podciąga się niczym mistrz wspinaczki, pokonujący skalny okap. Wygina ciało w łuk; jej stopy szukają oparcia poniżej parapetu, gdy szykuje się do ostatniego skoku na Eneę. Enea się nie porusza.

Zataczam łuk na linie - oddalam się od półki, objam o kamienną ścianę i odpycham od niej bosą stopą, z której Nemes zerwała mi but. Widzę teraz, że lina została nadcięta podczas walki; nie mam pojęcia, czy wytrzyma najbliższą minutę. Tym niemniej obciążam ją silnie i w najwyższym punkcie łuku znajduję się wysoko nad Nemes, która tymczasem wypełza na półkę, klęka, a potem staje na równe nogi niespełna metr od mojej ukochanej.

Trę prawym barkiem o skałę i, niczym wahadło, pędzę w dół. Przez jedną przerażającą chwilę wydaje mi się, że zabraknie mi impetu, że lina okaże się za krótka..., ale zaraz przekonuję się, że wystarczy, wystarczy na styk...

Nemes odwraca się ku mnie, kiedy jestem tuż, tuż: lecę ku niej z rozchylonymi udami, a potem zamykam je i zaciskam, krzyżując nogi w kostkach. Krzyczy i wznosi do ciosu prawe ramię. Mierzy w mój nie osłonięty brzuch i podbrzusze.

Staram się o tym nie myśleć... Tak jak nie myślę o naderwanej linie i wszechobecnym bólu - tylko zaciskam kurczowo chwyt, podczas gdy bezwładność i ciężenie ściągają nas oboje w tył... Nemes jest cięższa niż ja... Przez kolejny straszny ułamek sekundy nie mogę pociągnąć jej za sobą... Ale wreszcie udaje mi się: nie odzyskała jeszcze w pełni równowagi, a stoi na samej krawędzi. Wyprężam się, wyginam do tyłu,

przenoszę środek ciężkości bliżej skrwawionych barków... i Nemes ześlizguje się z półki.

Rozkładam nogi i puszczam ją.

Kontynuuję ruch po łuku na linie, gdy ostatni cios brzytwiastych kości o milimetry chybia mojego brzucha. Nemes spada, lecąc coraz dalej i dalej od urwiska, w miejscu, gdzie przed chwilą znajdowała się platforma.

Szoruję bokiem po skale, żeby wytracić impet i przestać się huścić, gdy wtem lina pęka.

Rozkładam szeroko ręce i nogi i usiłuję przyłgnąć całym ciałem do skały, ale zaczynam się zsuwać. Prawa ręka do niczego mi się nie przyda, wciskam zatem palce lewej w szparę... tracę chwyt... zaczynam zjeżdżać szybciej... lewą stopą trafiam na występ o szerokości centymetra. Opieram się na nim, co w połączeniu z tarciem o skałę hamuje mój zjazd. Zerkam przez lewe ramię w dół.

Nemes wije się i skręca, starając się zmienić tor lotu i zaczepić choćby jedną ręką o krawędź najniższej platformy. Mija się z nią dosłownie o cztery-pięć centymetrów, po czym, sto metrów niżej, uderza o skalny występ i odbija się daleko od stoku. Kilometr niżej w otchłań spadają schody, słupy i dźwigary. Nemes krzyczy. Echo zwielokrotnia i niesie jej podobny do dźwięku strzaskanej kaliope* [organy parowe - dźwięk niósł się 20 km] wrzask.

Nie mogę się dłużej utrzymać na ścianie; straciłem za dużo krwi i zbyt wiele mięśni w moim ciele uległo uszkodzeniu. Czuję, jak kamień wyslizguje się spod mojej piersi, policzka, dłoni i drżącej lewej stopy. Przekręcam głowę, żeby choć spojrzeniem pożegnać się z Eneą.

Łapie mnie za rękę w chwili, gdy zaczynam się zsuwać - zeszła do mnie po ścianie, kiedy śledziłem upadek Nemes.

Serce wali mi z przerażenia jak młotem, gdy myślę, że mógłbym pociągnąć nas oboje w otchłań. Czuję, że zjeżdżam... Moje

wysmarowane krwią ręce wyslizgują się z silnych dłoni Enei, ona jednak nie rozluźnia uścisku.

— Raul - mówi, a ja słyszę, że głos jej drży nie ze zmęczenia czy strachu, lecz z emocji.

Przenosi cały ciężar ciała na stopę wspartą na jedynym wygodnym stopniu, wyciąga lewą rękę do góry i wpina własną linę asekuracyjną w kołyszający się na haku mój karabinek. Tym razem oboje zjeżdżamy kawałek po ścianie i ocieramy sobie skórę z dłoni, ale już za chwilę Enea obejmuje mnie rękoma i oplata nogami. Przypomina mi to uścisk, jakim obdarzyłem Nemes, z tą różnicą, że Eneą kieruje miłość i żądza, przetrwania, nie zaś nienawiść i pragnienie zniszczenia.

Osiem metrów liny kończy się i hamuje nasz lot. Boję się, że ciężar naszych ciał wyszarpane hak ze szczeliny albo zerwie sznur.

Huścimy się przez chwilę, trzy razy obijamy o ścianę i zawisamy nad przepaścią. Hak trzyma, lina nie pęka, Enea nie wypuszcza mnie z objęć.

— Raul - powtarza. - O Boże, o mój Boże.

Mam wrażenie, że po prostu głaszcze mnie po głowie, ale ona próbuje tylko nasunąć odcięty płat skóry na swoje miejsce.

— Nic mi nie jest - staram się odpowiedzieć, ale z opuchniętych i krwawiących warg nie mogę wydobyć ani słowa. Nie mogę nawet wydać polecenia statkowi.

Enea orientuje się w czym rzecz, nachyla się bliżej i szepcze do moich mikrofonów:

— Statku, obniż lot i zdejmij nas ze ściany. Szybko.

Cień zniża się, jakby chciał nas zmiażdżyć. Na tarasie znów kłębi się tłum ludzi, którzy z wytrzeszczonymi oczyma śledzą manewry statku. Maszyna hamuje trzy metry od ściany i morfuje trap prowadzący na taras. Przyjazne dłonie wciągają nas bezpiecznie na pokład.

Enea nie puszcza mnie do chwili, aż znajdujemy się wewnątrz statku, na dywanie, z dala od przepaści.

Słyszę głos statku, który dobiega do mnie jakby z bardzo daleka:

— W obrębie układu znajdują się okręty bojowe, które pędzą nam na spotkanie. Jeden z nich znajduje się tuż ponad warstwą atmosfery, dziesięć tysięcy kilometrów na zachód od nas. Zbliża się.

— Zabierz nas stąd - rozkazuje Enea. - Leć prosto do góry. Zaraz podam ci współrzędne do skoku. Leć!

Kręci mi się w głowie. Zamykam oczy, gdy dobiega mnie ryk silników jądrowych. Wydaje mi się, że Enea całuje mnie, przytula, znów całuje - w powieki, w zakrwawione czoło, w policzek... Płacze.

— Rachelo - słyszę z oddali jej głos - możesz mu zrobić diagnozę?

Czuję na całym ciele szybki dotyk palców nie należących do mojej ukochanej, czuję też ukłucia bólu, chociaż coraz bardziej oddalam się od tych doznań. Owiewa mnie chłód. Próbuję otworzyć oczy, ale coś nie pozwala mi podnieść powiek: krzepnąca krew? Opuchlizna? Może jedno i drugie...

— To, co wygląda najgorzej, jest zarazem najmniej groźne - dobiega mnie spokojny, rozsądny głos Racheli. - Skóra na głowie, nadcięte ucho, złamana noga i tak dalej. Obawiam się jednak, że odniósł też obrażenia wewnętrzne... Nie chodzi mi tylko o strzaskane żebra, ale o krwotok. A cięcie przez plecy sięgnęło kręgosłupa.

Enea nie przestaje płakać, ale jej głos cały czas brzmi rozkazująco:

— Pomóżcie mi... Lhomo... A. Bettiku... Przenieśmy go do autochirurga.

— Przykro mi - wtrąca statek, daleko, na granicy słyszalności - ale wszystkie trzy komory automatu są zajęte. Sierżant Gregorius stracił przytomność wskutek obrażeń wewnętrznych i został umieszczony w trzeciej z nich. Wszyscy pacjenci wymagają w tej chwili pełnego wspomaganie funkcji życiowych.

— Psiakrew - szepcze Enea. - Raul? Kochany, słyszysz mnie?

Chcę się odezwać, uspokoić ją, że wszystko gra, żeby się o mnie nie martwiła, ale spomiędzy moich przetrąconych szczęk i obrzmiałych warg dobywa się tylko nieartykułowany bełkot.

— Raul - mówi dalej Enea - musimy uciec przed okrętami Paxu. Przeniesiemy cię na jedną z leżanek kriogenicznych. Prześpisz się trochę, aż zwolni się miejsce w autochirurgu. Słyszysz mnie? Raul?

Postanawiam nic nie mówić, udaje mi się natomiast skinąć głową. Czuję, jak coś opada mi luźno na czoło, niczym za luźna czapka: płat skóry z czaszki.

— W porządku - mówi Enea, po czym nachyla się i szepcze mi prosto w zdrowe ucho: — Kocham cię. Wyzdrowiejesz. Wiem, że wyzdrowiejesz.

Czyjeś ręce podnoszą mnie, niosą i kładą na czymś twardym i zimnym. Ból zalewa mnie falami, ale czuję się, jakby nie dotyczył mnie, lecz kogoś innego. Przed zatrzaśnięciem wieka leżanki wyraźnie słyszę spokojny głos statku:

— Cztery okręty Paxu każą nam zmienić kurs. Twierdzą, że jeśli w ciągu dziesięciu minut nie wyłączymy silników, zostaniemy zniszczeni. Chyba nie od rzeczy będzie przypomnieć, że znajdujemy się jedenaście godzin od najbliższego punktu translacji? Cała czwórka znajduje się natomiast w zasięgu strzału.

— Leć dokładnie tak, jak ci powiedziałam, statku - odpowiada zmęczonym głosem Enea. - Znasz współrzędne. Nie reaguj.

Spróbowałam się uśmiechnąć. Robiliśmy to już kiedyś: ścigaliśmy się z jednostkami Paxu, mimo że z pozoru byliśmy bez szans. Jest jednak coś, czego się nauczyłem i czym koniecznie chciałbym podzielić się z Enea - gdyby tylko usta przestały odmawiać mi współpracy i gdyby trochę rozjaśniło mi się w głowie: bez względu na to, jak długo

los ci sprzyja, w końcu i tak cię dopadną. Myślę, że to jest takie moje małe oświecenie, spóźnione satori.

Na razie jednak chłód otacza mnie i przenika całe moje ciało; czuję go w sercu, w głowie, w kościach i w żołądku. Mam tylko nadzieję, że to skutek działania układu kriogenicznego, który musiałby pracować szybciej, niż pamiętam. Jeżeli natomiast zbliża się śmierć... Cóż, niech i tak będzie, bylebym mógł ponownie spotkać się z Enea.

To moja ostatnia świadoma myśl.

Spadam! Z bijącym sercem obudziłem się w czymś, co na pierwszy rzut oka nie przypominało żadnego znanego mi miejsca.

Przede wszystkim unosiłem się w powietrzu, a nie spadałem. Z początku pomyślałem nawet, że kołyszę się na powierzchni silnie zasolonego oceanu koloru sepii, po chwili jednak zdałem sobie sprawę z całkowitego braku ciężenia, fal i prądów morskich. Otaczała mnie nie woda, lecz powietrze, a wewnątrz pomieszczenia skąpane było w ciepłym, żółtobrązowym świetle. Jestem na statku? Ale nie: znajdowałem się w zaciemnionym, pustym wnętrzu o jajowatym kształcie i przynajmniej piętnastu metrach długości. Przez cieniutkie, matowe, jak gdyby pergaminowe ściany, sączył się blask oślepiającego słońca. Na zewnątrz ciągnęła się we wszystkich kierunkach złożona, dziwna, organiczna struktura, której nie potrafiłem rozpoznać. Dotknąłem swojej twarzy, głowy, rąk...

Rzeczywiście znalazłem się w zerowym ciężeniu. Cienka uprząż oplatała moje ciało i łączyła się z paskiem lepu, biegnącym wzdłuż ścian. Miałem bose nogi, a na sobie tylko bawełnianą tunikę, której nigdy w życiu nie widziałem i nie miałem pojęcia czy jest piżamą, czy może standardowym strojem szpitalnym.

Skórę twarzy miałem miękką, delikatną i poznaczoną wypukłościami, które wyglądały mi na blizny. Straciłem włosy, a skóra na czaszce była całkiem świeża i mocno poblizniona; namacałem wprawdzie oboje uszu, ale prawe było jeszcze okropnie obolałe. W słabym świetle widziałem też blade blizny na rękach, a kiedy podwinąłem koszulę i zerknąłem na fatalnie połamaną nogę, ujrzałem wyleczoną, mocną i zdrową kończynę. Pomacałem się po żebrach: bolały, ale zrosły się bez śladu. A więc udało mi się dożyć chwili, gdy trafiłem do autochirurga.

Musiałem odezwać się na głos, unosząca się bowiem tuż obok ciemna postać przemówiła:

— Udało ci się, Raulu Endymionie, ale i tak część zabiegów i szycia przeprowadzono w starym stylu... Sama się tym zajęłam.

Szarpnąłem się i wykręciłem głowę - głos nie należał do Enei.

Kiedy ciemna postać podpłynęła bliżej, rozpoznałem sylwetkę, włosy i - na ostatku - skojarzyłem głos.

— Rachela - powiedziałem, a właściwie wyskrzeczalem, bo zaschło mi w gardle, a wargi miałem okropnie spękane.

Przysunęła się do mnie i podała mi miękką butelkę. Pierwsze kilka kropel uwolniło się z niej, uformowało w kule i rozbryznęło mi na twarzy, ale szybko zorientowałem się, jak należy nacisnąć butelkę, żeby płyn trafił do ust. Woda była chłodna i smakowała wspaniale.

— Od dwóch tygodni odżywiamy cię i poimy przez kroplówkę - poinformowała mnie Rachela - ale lepiej będzie, jak zaczniesz normalnie pić.

— Od dwóch tygodni! - powtórzyłem i rozejrzałem się dookoła. - Co z Eneą? Czy ona... Oni...

— Nikomu nic się nie stało - uspokoiła mnie Rachela. - Enea jest zajęta. Ostatnio większość czasu spędzała tutaj, przy tobie... Opiekowała się tobą... Tylko kiedy musi się spotkać z Minmunem i resztą, przysyła mnie.

— Z Minmunem? - Spojrzałem na zewnątrz, przez półprzezroczystą ścianę: mała gwiazda, mniejsza niż słońce Hyperiona, świeciła jasno, a jej promienie padały na niewiarygodną strukturę, która rozciągała się daleko w przestrzeni. Gdzie ja jestem? Jak się tu znaleźliśmy?

Rachela parsknęła śmiechem.

— Zacznę od drugiego pytania, bo za chwilę sam zobaczysz, jak wygląda odpowiedź na pierwsze. Za sprawą Enei dokonaliśmy przeskoku. Ojciec kapitan de Soya, sierżant Gregorius i ten oficer, Carel

Shan, znali współrzędne. Oczywiście byli nieprzytomni, ale okazało się, że czwarty ocalały z „Rafaela” żołnierz - ich były więzień, Hoag Liebler - również wie, gdzie ukryto to miejsce.

Oderwałem od niej wzrok i ponownie spojrzałem na zewnątrz. Konstrukcja sprawiała wrażenie naprawdę olbrzymiej; rozciągała się we wszystkich kierunkach, niczym utkana ze światła i cienia sieć. Jak można ukryć coś takiego? I kto mógłby to zrobić?

— Jakim cudem zdążyliśmy osiągnąć punkt translacji? - zaskrzeczałem i łyknąłem wody. - Zdawało mi się, że ścigają nas okręty Paxu.

— Rzeczywiście, goniły nas. Do dogodnego punktu skoku hawkingowskiego nigdy nie zdążylibyśmy dolecieć. Zaczekaj, nie ma sensu, żebyś tkwił wciąż przy tej ścianie. - Zerwała mocujące mnie do ściany taśmy.

Przekręciłem się w powietrzu tak, żeby widzieć jej twarz w powodzi sepii i zapytałem:

— Jak wobec tego nam się udało?

— To nie była zwykła translacja. Enea poprowadziła statek do punktu, z którego przenieśliśmy się tutaj.

— Przenieśliśmy? Czy to znaczy, że nad Tien Szanem znajdował się aktywny transponder? Taki sam, jak używane dawno temu przez Armię do przenoszenia okrętów? Nie sądziłem, że któryś z nich przetrwał Upadek.

Rachela już od jakiejś chwili kręciła głową.

— Nie było żadnego transpondera. Po prostu: znaleźliśmy się w pewnym punkcie przestrzeni, kilkaset tysięcy kilometrów od drugiego księżyca. Pościg był niesamowity: okręty Paxu cały czas wywoływały nas i groziły otwarciem ognia. W końcu rzeczywiście tak zrobiły: ze wszystkich stron strzeliły ku nam promienie laserów i pewnie zmienilibyśmy się nawet nie tyle w chmurę odłamków, co

raczej obłoczek gazu, gdyby nie fakt, że dotarliśmy do wyznaczonego przez Eneę punktu i nagle znaleźliśmy się... tutaj.

Nie zapytałem ponownie „Gdzie jestem”, ale podpłynąłem do ściany, żeby mieć lepszy widok. W dotyku była ciepła, gąbczasta, jak żywa - i odcinała większość blasku słońca. W efekcie wewnątrz pławiło się łagodnym, cudnym światłem, ale na zewnątrz widziałem niewiele: oślepiające słońce i zarys niesamowitej konstrukcji.

— Chcesz zobaczyć, gdzie jest „tutaj”?

— Pewnie.

— Strąku - powiedziała Rachela - powierzchnia przezroczysta.

Nagle ściany zniknęły. Niewiele brakowało, żebym wrzasnął z przerażenia, tymczasem jednak zacząłem młócić rękoma i nogami w poszukiwaniu stałego punktu oparcia. Rachela odbiła się kopnięciem od przeciwległej ściany, podpłynęła bliżej i przytrzymała mnie.

Znajdowaliśmy się w przestrzeni kosmicznej. Otaczające nas ściany strąka stały się idealnie przejrzyste i na dobrą sprawę moglibyśmy szybować w otwartym kosmosie, gdyby nie powietrze, którym oddychaliśmy i gdyby nie fakt, że strąk znajdował się na koniuszku gałęzi...

„Drzewo” nie jest tu najlepszym słowem. Widziałem wiele drzew i to, co miałem przed sobą, nie przypominało żadnego z nich.

Nasłuchałem się niemało o dawnych drzewostatkach templariuszy, widziałem kikut Drzewoświata na Bożej Kniei... Słyszałem też o mierzących parę kilometrów długości statkach, które przemierzały międzygwiazdne otchłanie w czasach pielgrzymki Martina Silenusa.

To nie był drzewostatek ani drzewoświat.

Słyszałem również zwariowaną legendę - słyszałem od Enei, wobec czego nie była to zapewne wcale legenda - o pierścieniu z drzew wokół gwiazdy, o uplecionym z żywej materii warkocz, okalającym słońce podobne do ziemskiego. Próbowałem nawet kiedyś obliczyć, ile materii

ożywionej wymagałoby utworzenie takiego pierścienia, ale szybko doszedłem do wniosku, że to nonsens.

To nie był drzewny pierścień.

Otaczała mnie upleciona z żywych roślin kula. Znajdowałem się na jej wewnętrznej powierzchni, ona zaś rozciągała się wszędzie dookoła i zakrzywiała do środka w takiej odległości, że mój nawykły do życia na planetach umysł nie potrafił ogarnąć jej rozmiarów. Pnie drzew musiały mieć dziesiątki, jeśli nie setki kilometrów średnicy, konary — kilka kilometrów grubości, liście - setki metrów szerokości, a płatanina korzeni ciągnęła się daleko, daleko w kosmos. Jak okiem sięgnąć, splecione gałęzie wyciągały się do wnętrza kuli, widziane z daleka pnie długości ziemskiej Missisipi przypominały drobne patyczki, a korony drzew miały wielkość Aquili, mojego macierzystego kontynentu i stapiały się w zagajniki i masy zieleni... Wszędzie, ze wszystkich stron, dookoła mnie... Dostrzegłem też liczne otwory prowadzące na zewnątrz, całkiem czarne i niektóre naprawdę ogromne, ale wszystkie przesłaniała choćby szczątkowa sieć korzeni i konarów, z których wyrastały miliardy liści, zwróconych blaszkami ku słońcu, płonącemu w samym środku...

Zamknąłem oczy.

— To nie może istnieć naprawdę - powiedziałem.

— Ależ istnieje - zaproponowała Rachela.

— Intruzi?

— Owszem - odparła. - I templariusze, i ergi, i... inni. To żywy konstrukt... Rozumny.

— To niemożliwe. Przecież wyhodowanie takiej... takiej kuli... zajęłoby miliony lat.

— To biosfera - poprawiła mnie Rachela z uśmiechem.

Ponownie pokręciłem głową.

— „Biosfera” to stare określenie, oznaczające zamknięty system życia na planecie i wokół niej.

— To jest biosfera - powtórzyła. - Tylko bez planet. Są tu za to komety. Spójrz. — Wskazała mi coś ręką.

Daleko, zapewne kilkaset czy nawet kilka tysięcy kilometrów od nas, gdzie mimo braku zniekształceń obrazu widzianego w próżni wewnętrzna powierzchnia kuli przechodziła w jednolitą, rozmazaną zielen, dostrzegłem świetlistą smugę, przesuwaną się wolno na tle czarnego otworu.

— Kometa - powtórzyłem osłupiały.

— Do podlewania zużywa się miliony komet. Na szczęście w obłoku Oörta jest ich parę miliardów, a w Pierścieniu Kuipera jeszcze więcej.

Gapiałem się w przestrzeń szeroko otwartymi oczyma. Zauważyłem dalsze jasne punkciki, ciągnące za sobą długie, lśniące ogony; niektóre przemykały wśród pni i gałęzi, co dało mi pewne pojęcie o prawdziwych rozmiarach biosfery. Trajektorie komet wytyczono tak, by wpadały do środka biosfery przez prowadzące na zewnątrz otwory. Jeżeli rzeczywiście jest to kula, muszą również z niej wylatywać. Jakież trzeba pewności siebie, żeby coś takiego skonstruować?

— W czym się znajdujemy? - zapytałem.

— W strąku mieszkalnym, który akurat dostosowano do pełnienia funkcji ambulatoryjnych: nie tylko monitoruje podawanie ci kroplówki, funkcje życiowe i nadzoruje regenerację tkanek, lecz także wytwarza większość leków i innych środków chemicznych.

Dotknąłem dłonią przezroczystej ściany.

— Jaką ma grubość?

— Około milimetra, ale jest bardzo wytrzymała. Bez trudu chroni nas przed uderzeniami mikrometeoroidów.

— Skąd Intruzi biorą taki materiał?

— Przekształcają jego strukturę genetyczną, a potem już sam rośnie. Jesteś gotowy, żeby spotkać się z Eneą i paroma innymi ludźmi? Wszyscy czekali, aż się obudzisz.

— Oczywiście - powiedziałem, po czym natychmiast się poprawiłem:
- Nie! Rachelo?

Odwróciła się do mnie. W niezwykłym świetle jej oczy lśniły głębokim blaskiem... Prawie jak oczy Enei.

— Rachelo... - Nie wiedziałem jak zacząć. Wyciągniętą ręką zaparła się o ścianę, żeby ustawić się naprzeciwko mnie. - Rachelo, nie mieliśmy zbyt wielu okazji, żeby porozmawiać...

— Nie przepadałeś za mną - stwierdziła z uśmiechem.

— Nie, to nie tak... To znaczy... Owszem, w pewnym sensie masz rację, ale to dlatego, że nie wszystko od razu zrozumiałem. Przez pięć lat nie widziałem Enei na oczy... Trudno mi było... Chyba byłem zazdrosny.

Zdziwiła się.

— Jak to: zazdrosny? Czy sądziłeś, że pod twoją nieobecność zostaliśmy z Eneą kochankami?

— No nie... To znaczy, nie wiedziałem...

Przerwała mi podnosząc rękę i oszczędziła dalszego bełkotu.

— Nie jesteśmy kochankami - powiedziała. - I nigdy nie byliśmy. Eneą w życiu by się na to nie zgodziła. Co innego Theo, ją mogłoby to zainteresować, ale od początku wiedziała, że mnie i Enei przeznaczone jest pokochać konkretnych mężczyzn.

Wlepiłem w nią wzrok: przeznaczone?

Rachela znów się uśmiechnęła, ja zaś wyobraziłem sobie, jak ten sam uśmiech rozjaśnia twarzyczkę dziecka, o którym Sol opowiadał w swojej „Pieśni”.

— Nie martw się, Raul. Tak się składa, iż wiem z całą pewnością, że Eneą nie kochała nikogo poza tobą. Od dziecka, zanim się poznaliście,

zawsze byłeś jej wybrańcem. — Posmutniała lekko. - Szkoda, że wszyscy nie mamy tyle szczęścia.

Chciałem już coś powiedzieć, ale się zawahałem. Rachela przestała się uśmiechać.

— Ach, chodzi ci o to trwające rok, jedenaście miesięcy, tydzień i sześć godzin interregnum?

— Właśnie - przytaknąłem. - I o to, że miała... - Nie skończyłem. Głupio mi się robiło, kiedy odbierało mi mowę przy Racheli. Już nigdy nie będzie mnie traktować tak samo.

— Dziecko? - upewniła się szybko.

Spojrzałem na nią, jak gdybym spodziewał się ujrzeć w jej twarzy gotową odpowiedź.

— Mówiła ci? - Czułem się tak, jakbym zdradzał Eneę, usiłując wydobyć tę informację od osoby trzeciej. Nie potrafiłem się jednak powstrzymać. - Czy wiedziałaś wtedy, gdzie...

— Gdzie jest? I co się z nią dzieje, tak? Czy wiedziałam, że wyszła za mąż?

Mogłem tylko skinąć głową.

— Tak - rzekła. - Wszyscy wiedzieliśmy.

— Byliście przy niej?

Rachela zawahała się, jakby wążąc odpowiedź w myślach.

— Nie - odparła. - A. Bettik, Theo i ja czekaliśmy blisko dwa lata na jej powrót, wypełniając tymczasem jej... posłanie? Misję? Jak to zwał, tak to zwał, ale podjęliśmy jej dzieło: uczyliśmy tego, czego ona nas nauczyła, znajdowaliśmy ludzi chętnych do przyjęcia komunii, mówiliśmy im, kiedy mogą się spodziewać powrotu Enei.

— Czyli wiedzieliście kiedy wróci?

— Oczywiście, co do dnia.

— Skąd?

— Nie miała wyjścia; musiała wrócić do nas dokładnie w tamtym momencie. Wykorzystała dany jej czas co do minuty, ale nie mogła zostać dłużej, żeby nie narażać swojej misji. Następnego dnia Pax zaczął nas ścigać... Gdyby nie Enea, która przeniosła nas wszystkich, wpadlibyśmy w ich ręce.

Pokiwałem głową, choć myślami błądziłem daleko od wyścigu z armią Paxu.

— Poznałaś... go? - spytałem, bezskutecznie starając się, by mój głos brzmiał neutralnie.

— Chodzi ci o ojca dziecka? - upewniła się ze śmiertelnie poważną miną. - Męża Enei?

Wiedziałem, że Rachela nie jest z natury okrutna, ale jej słowa sprawiły mi ból o wiele większy niż szpony Nemes.

— Właśnie.

Pokręciła głową.

— Nikt z nas nie widział go, kiedy z nim odeszła.

— A czy wiecie przynajmniej, dlaczego wybrała go na ojca swojego dziecka? - Czułem się jak Wielki Inkwizytor, któremu umknęliśmy na Tien Szanie.

— Tak - odparła, patrząc mi prosto w oczy. Nie dodała nic więcej.

— Czy to miało jakiś związek z jej... misją? - Coś ścisnęło mnie za gardło i mówienie przychodziło mi z coraz większym trudem. - Czy musiała to zrobić... mieć dziecko akurat z nim? Możesz mi powiedzieć, Rachelo?

Złapała mnie mocno za nadgarstek.

— Wiesz przecież, Raul, że Enea wyjaśni ci wszystko we właściwym czasie.

Prychnąłem i szarpnięciem uwolniłem rękę.

— We właściwym czasie - warknąłem. - Jezusie Nazareński, rzygać mi się chce, jak to słyszę! Od samego czekania też już robi mi się

niedobrze.

Rachela wzruszyła ramionami.

— To doprowadź do konfrontacji z Enea. Zagroź, że jąspierzesz na kwaśne jabłko, jak ci nie powie. Rozprawileś się z Nemes, więc Enea nie powinna sprawić ci kłopotu.

Spojrzałem na nią spode łba.

— A tak poważnie, Raul, to sprawa między tobą i nią. Ja mogę ci powiedzieć tylko tyle, że jesteś jedynym mężczyzną, o jakim kiedykolwiek mówiła, a także, o ile mi wiadomo, jedynym, którego kiedykolwiek kochała,

— Skąd do diabła możesz to... - zacząłem wściekły, po czym siłą woli zmusiłem się do zamknięcia ust. Poklepałem Rachelę niezdarnie po rękę. Gest ten sprawił, że zacząłem z wolna obracać się wokół własnej osi; w zerowym ciężeniu nie jest łatwo być przy kimś nie dotykając go. - Dziękuję ci.

— Gotów na spotkanie z resztą?

Odetchnąłem głęboko.

— Prawie - odparłem. - Czy wewnętrzna powierzchnia strąka może odbijać światło?

— Strąku - odezwała się Rachela - przezroczystość dziewięćdziesiąt procent, wysoka refleksyjność wnętrza. - Po czym dodała, już do mnie: - Chcesz się przejrzeć przed randką?

Ściany upodobniły się do kałuż wody - nie stały się idealnym zwierciadłem, ale wystarczyło to, bym mógł się w nich przejrzeć. Ujrzałem nowego Raula Endymiona, z bliznami na twarzy i ogolonej głowie, gdzie delikatna skóra miała rozkosznie różowiućki odcień, i z sińcami pod podpuchniętymi oczyma... W dodatku ten nowy Endymion był przeraźliwie chudy: kości i mięśnie na twarzy i tułowiu rysowały mi się tak wyraźnie, jakby ktoś naszkicował je grubymi maźnięciami miękkiego ołówka. Prawie nie poznałem własnych oczu.

— Jezu Chryste - wyszeptalem.

Rachela machnęła ręką.

— Autochirurg chciał cię zatrzymać jeszcze przez tydzień, ale Enea stwierdziła, że nie może dłużej czekać. Blizny zejda... no, w każdym razie większość. Środek podany ci w kroplówce przyspiesza regenerację tkanek. Za jakieś dwa, trzy tygodnie standardowe zaczną ci odrastać włosy.

Pomacałem się po głowie - czułem się, jakbym poklepał po delikatnej, pobliźnionej pupci jakiegoś paskudnego niemowlaka.

— Za dwa, trzy tygodnie - powtórzyłem. - Fantastycznie. Kurwa, wspaniale!

— Wyluzuj się - uspokoiła mnie Rachela. - Wcale nieźle się prezentujesz i na twoim miejscu zachowałabym ten image. Poza tym słyszałam, że Enea ma słabość do starszych facetów, a teraz z pewnością na takiego wyglądasz.

— Dzięki wielkie - rzuciłem oschle.

— Nie ma za co. Strąku, otwórz przejście do głównej, hermetycznej łodygi.

Po tych słowach pierwsza wśliznęła się w otwierający się niczym przesłona obiektywu otwór.

Kiedy wszedłem do pokoju... czy raczej do strąka, Enea objęła mnie tak mocno, że zastanawiałem się przez chwilę, czy mi znów żebra nie pękną. Odpowiedziałem jej tym samym.

Wędrówka przez hermetyczną łodygę, na końcu której znajdował się strąk, nie była niczym nadzwyczajnym - pod warunkiem oczywiście, że fruwanie w dwumetrowych, przezroczystych i elastycznych rurach z prędkością, którą oszacowałem na jakieś sześćdziesiąt kilometrów na godzinę, nie robi na człowieku wrażenia. Później dowiedziałem się, że do przyspieszenia przelotu w ciągach komunikacyjnych stosuje się tłoczone pod ciśnieniem strumienie

czystego tlenu. Mnóstwo ludzi - w większości bardzo szczupłych, wysokich i bezwłosych - mijają nas w odległości paru centymetrów, lecąc w przeciwnym kierunku z względną prędkością sięgającą stu dwudziestu kilometrów na godzinę. Rozpędzeni trafiliśmy do okrągłego pomieszczenia, z którego rozchodziło się kilkanaście podobnych łodyg. Pędziliśmy niczym wstrzyknięte do wnętrza olbrzymiego serca krwinki, koziółkowaliśmy, wymachiwaliśmy nogami, unikaliśmy zderzenia z innymi podróżnymi, po czym udało się nam wpaść w kolejną aortę. Rychło straciłem orientację, ale Rachelę doskonale wiedziała, gdzie jesteśmy - kierowała się kolorowymi plamami, wtopionymi w tkankę roślinną nad wylotami tuneli - i wkrótce znaleźliśmy się w strąku niewiele większym od mojego i pełnym wydzielonych stanowisk i foteli z lepem na siedzeniach. W środku kłębił się tłum ludzi. Niektórych - Eneę, A. Bettika, Theo, Dorje Phamo i Lhomo Dondruba - znałem doskonale; innych - jak ojca kapitana de Soyę, który bez wątpienia wyzdrowiał i odzyskał siły, a teraz przywdział czarne księżę spodnie, tunikę i koloratkę, oraz sierżanta Gregoriusa w mundurze polowym Gwardii Szwajcarskiej - poznałem całkiem niedawno; jeszcze innych - wysokich, chudych, dziwacznych Intruzów i zakapturzonych templariuszy - postrzegałem jako istoty cudowne i tajemnicze, ale potrafiłem ogarnąć rozumem ich istnienie.

Było tu jednak także dwóch mężczyzn, których Enea przedstawiła mi jako Heta Masteena, Prawdziwy Głos Drzewa, oraz byłego pułkownika Armii Hegemonii Fedmahna Kassada - słyszałem o nich, ale nie mogłem uwierzyć, że oto stoję z nimi twarzą w twarz. W przeciwieństwie do Racheli czy matki Enei, Brawne Lamii, Het Masteen i Kassad nie byli dla mnie po prostu postaciami z „Pieśni” Martina Silenusa, lecz w najlepszym razie dawno nieżyjącymi archetypami z mitów, które nigdy nie mogłyby zabłysnąć na firmamencie życia codziennego.

Ale poza nimi wszystkimi, w pozbawionym ciężenia strąku Intruzów znajdowali się jeszcze inni, którzy... w ogóle nie byli ludźmi, przynajmniej z mojego punktu widzenia. Enea przedstawiła mnie dwóm zielonym, kruchym i chudym istotom, o imionach Lleeonn i Ooeaall - jednym z nielicznych ocalałych przedstawicieli Seneszajów, rasy empatów z Hebronu. Oto miałem przed sobą stworzenia zupełnie obce, a zarazem obdarzone inteligencją. Nie mogłem oderwać od nich wzroku: miały bladozieloną skórę i oczy, ciała tak szczupłe, że kciukiem i palcem wskazującym objąłbym ich w pasie, dwie ręce, dwie nogi i głowę — ale oczywiście byli zarazem zupełnie od ludzi różni. Ich kończyny układały się w łagodne, płynne linie, bez śladu stawów, kości czy choćby chrząstek, rozczapierzone palce przywodziły na myśl żabie łapki, a głowy rozmiarami przypominały czaszki ludzkich płodów, nie zaś dorosłych osobników. Oczy wyglądały jak para ciemniejszych plamek na zielonych obliczach.

Seneszajowie wyginęli ponoć całkowicie w pierwszych latach hegiry... Byli legendą, którą traktowałem z jeszcze większą rezerwą niż opowieści o Kassadzie czy Hecie Masteenie. Tymczasem jedna z zielonych legend właśnie pogłaskała mnie trzypalczystą dłonią po rękę.

Były tu i inne istoty, których nie zaliczyłbym do ludzi, androidów ani Intruzów. Nieopodal przezroczystej ściany kręciła się grupka dużych - blisko dwumetrowej średnicy - ruchliwych, zielonkawych krążków z jakiegoś miękkiego materiału. Już je kiedyś widziałem... Na planecie chmur, gdzie połknęła mnie latająca mątwą.

Nie połknęła, M. Endymion, zadudniło mi w głowie. Przetransportowała.

Telepatia? zadałem w myślach pytanie i na wpół skierowałem je do latających spodków. Przypomniałem sobie słowa, rozbrzmiewające mi

pod czaszką na gazowym olbrzymie; wtedy zdziwiłem się niepomieranie, skąd dochodzą.

— To przypomina telepatię - odpowiedziała mi Enea - ale nie ma w tym nic nadnaturalnego. Akerataeli nauczyli się naszego języka w tradycyjny sposób: ich symbionty, zepliny, odbierały dźwięki jako vibracje powietrza, a Akerataeli do skutkuje analizowali. Kontrolują zepliny za pomocą pewnego rodzaju skupionych impulsów mikrofalowych dalekiego zasięgu...

— Czyli to zeplin mnie połknął - przerwałem jej.

— Tak.

— Taki sam, jak te z Wiru?

— I z Jowisza.

— Wydawało mi się, że wytępiono je na początku hegiry.

— Na Wirze tak. Na Jowiszu również, tylko jeszcze wcześniej, ale przecież nie latałeś kajakiem ani po jednym, ani po drugim, tylko po zasobnym w tlen olbrzymie, leżącym sześćset lat świetlnych w głębi Pogranicza.

Pokiwałem głową.

— Przepraszam, przerwałem ci. Mówiłaś coś o impulsach mikrofalowych...

Enea uczyniła dłonią wdzięczny, odsuwający wszystko gest, który nauczyłem się rozpoznawać, gdy miała dwanaście lat.

— Po prostu żyją z zeplinami w symbiozie i sterują ich poczynaniami za pośrednictwem precyzyjnej stymulacji pewnych ośrodków nerwowych w mózgu. Pozwoliliśmy Akerataelom w podobny sposób stymulować nasze ośrodki słuchowe, dzięki czemu „słyszymy” ich głos. Wydaje mi się, że dla nich przypomina to grę na jakimś skomplikowanym fortepianie...

Skinąłem głową, wciąż niewiele rozumiejąc.

— Akerataeli również podróżują po wszechświecie - odezwał się ojciec kapitan de Soya. - Na przestrzeni dziejów skolonizowali ponad dziesięć tysięcy olbrzymów gazowych o dużej zawartości tlenu w atmosferze.

— Dziesięć tysięcy! - powtórzyłem i tym razem szczeka chyba naprawdę mi opadła. Ludzkość wyruszyła w kosmos przed tysiąc dwustu laty, a zdążyła zbadać i zasiedlić niespełna dziesięć procent tej liczby planet.

— Zajmują się tym dłużej niż my - dodał de Soya łagodnym głosem.

Spojrzałem na delikatnie wibrujące spodki: nie zauważyłem oczu ani uszu... Słyszały nas? Na pewno... Przecież jeden z nich zareagował na moje myśli. Czy wobec tego czytały w naszych myślach równie łatwo, jak stymulowały nasze ośrodki słuchu?

Gapiałem się na Akerataelich, podczas gdy ludzie i Intruzi wrócili do przerwanej rozmowy.

— Informacje należy uznać za wiarygodne - powiedział bladolicy Intruz, którego później przedstawiono mi jako Navsona Hamnima. - W układzie Lacaille 9352 zebrało się co najmniej trzysta okrętów klasy archanioł. Na każdym z nich znajduje się przedstawiciel Zakonu Kawalerów Jerozolimskich lub Maltańskich: to prawdziwa krucjata.

— Lacaille 9352 - powtórzył zamyślony de Soya. - Gorycz Sibiatu. Znam tę planetę. Jak stare są te dane?

— Pochodzą sprzed dwudziestu godzin - odparł Intruz. - Przysłano je jedynym bezzałogowym kurierem z napędem Gedeona, jaki nam został... dwa pozostałe, które udało się wam przejąć podczas rajdów, uległy zniszczeniu. Nie ulega wątpliwości, że okręt zwiadowczy, który go wysłał, został wykryty i ostrzelany w kilka sekund później.

— Trzysta archaniołów - rzekł de Soya i przejechał dłonią po policzku. - Jeśli wiedzą, że dowiedzieliśmy się o koncentracji sił, mogą lada dzień... lada godzina dokonać skoku tutaj. Potem dwa dni na

wskrzeszenie. .. Razem zostają nam niespełna trzy dni, żeby się przygotować. Czy od czasu mojej ostatniej wizyty ulepszono system obronny?

Inny z Intruzów - Systemj Coredwell, jak się później przekonałem - rozłożył ręce w geście oznaczającym - tego też dowiedziałem się potem - „ani trochę”; zauważyłem, że smukłe palce ma połączone błoną.

— Większość okrętów musiała udać się pod Wielki Mur, żeby powstrzymać postępy grupy uderzeniowej „Końska głowa”. Toczymy tam ciężkie walki; tylko nieliczni zdołają wrócić.

— Czy Pax wie, co tu macie? - zapytała Enea.

Navson Hamnim rozłożył ręce w podobny sposób, jak przed chwilą jego towarzysz.

— Raczej nie, wiedzą natomiast, że ostatnio często wyruszały stąd okręty uczestniczące w obronie naszych placówek. Wydaje mi się, że spodziewają się zastać tu kolejną bazę wojskową, być może otoczoną fragmentem leśnego pierścienia orbitalnego.

— Co możemy zrobić, żeby zatrzymać okręty krucjaty? Tym razem Enea zwróciła się do wszystkich obecnych w pokoju.

— Nic - odparł bez emocji wysoki, szczupły i muskularny mężczyzna, przedstawiony mi jako Fedmahn Kassad. Mówił po angielsku, ale z dziwnym akcentem. Króciutko przycięty zarost znaczył linię jego szczęk i okalał usta. W „Pieśniach” poeta opisywał go jako młodego człowieka, tymczasem wojownik, którego miałem przed sobą, liczył sobie dobrze ponad sześćdziesiąt lat standardowych, miał głębokie zmarszczki przy ustach i w kącikach oczu oraz spaloną - słońcem pustyni albo kosmicznym promieniowaniem ultrafioletowym - śniadą skórę. Krótka szczecina na jego głowie przywodziła mi na myśl srebrne gwoźdźniki.

Wszyscy obrócili się w jego kierunku.

— Po zniszczeniu statku de Sol - mówił dalej pułkownik - straciliśmy jedyną szansę dokonywania udanych wypadów. Nielicznym okrętom hawkingowskim, jakie nam pozostały, skok do układu Lacaille 9352 i powrót zająłby co najmniej dwa miesiące; w tym czasie archanioły z pewnością zjawilyby się tu, a my zostalibyśmy bez żadnej obrony.

Navson Hamnim odbił się od ściany pomieszczenia i ustawił tak, by stanąć naprzeciwko Kassada.

— Te kilka okrętów i tak nie stanowi znaczącej siły obronnej - zauważył śpiewnym głosem. - Czy nie lepiej zginąć w walce?

Enea wpłynęła między rozmawiających.

— Uważam, że najlepiej nie ginąć w ogóle - stwierdziła. - I nie dopuścić do zniszczenia biosfery.

To bardzo zdecydowane stanowisko, zabrzmiał głos w mojej głowie. Niestety nie wszystkie zdecydowane stanowiska da się poprzeć podmuchem właściwego działania.

To fakt - przyznała Enea i spojrzała na zielonkawe krążki. - Być może tym razem znajdzie się jednak taki podmuch.

Oby prądy termiczne wam sprzyjały, usłyszałem w głębi umysłu, po czym latające talerze przemieściły się pod ścianę, w której pojawił się otwór. Zniknęły w nim i ściana się zasklepiła.

Enea wzięła głęboki wdech.

— Proponuję, żebyśmy za siedem godzin spotkali się na „Yggdrasillu”, zjedli wspólny posiłek i wrócili do tej rozmowy - rzekła. - Może wpadniemy na jakiś pomysł.

Nikt nie zaprotestował. Ludzie, Intruzi i Seneszajowie opuścili strąk przez wyjścia, których istnienia chwilę wcześniej nikt by nie podejrzewał.

Enea podpłynęła do mnie i jeszcze raz mnie objęła. Zmierziłem jej włosy.

— Chodź ze mną, najdroższy - powiedziała.

Poszliśmy do jej - a właściwie naszego, jak mi uświadomiła - prywatnego strąka mieszkalnego. Pod wieloma względami przypominał pomieszczenie, w którym się obudziłem, chociaż znajdowało się w nim mnóstwo organicznych półek, nisz, szafek, tabliczek do pisania oraz interfejs do komlogu. Część moich zabranych ze statku ubrań złożono starannie w jednej z szafek, a zapasowa para butów trafiła do plastowłóknowej szuflady.

Enea wyjęła z chłodziarki coś do jedzenia i zajęła się przygotowywaniem kanapek.

— Musisz być porządnie głodny - stwierdziła, przełamując niekształtny chleb. Na wyłożonym lepem stole leżała gruda sera z zykoziego mleka i zapakowane w folię kawałki pieczeni, zapewne zabrane ze statku, a obok stały bańki z musztardą i parę kufla ryżowego piwa z Tien Szanu. Nagle kiszki zaczęły grać mi marsza.

Kanapki okazały się grube i solidne. Enea wyłożyła je na leptalercz z jakiegoś mocnego włókna, zabrała pojemniki z piwem, po czym kopnięciem skierowała się ku zewnętrznej ścianie strąka, w której pojawił się szybko rosnący otwór.

— Eee... - rzuciłem czujnie, mając na myśli: „Przepraszam bardzo, Eneo, ale tam jest próżnia. Czy nie obawiasz się, że nasze ciała eksplodują? To straszna śmierć”.

Przeleciała przez żywy portal, więc tylko wzruszyłem ramionami i podążyłem za nią.

Otoczyły nas krzyżujące się chodniki, wiszące mosty, wyłożone lepem schody, balkony i tarasy. Wszystkie konstrukcje wykonano z twardego jak stal materiału roślinnego i wpleciono w płataninę pędów, konarów i pni niczym wszechobecny bluszcz. Co więcej - miałem czym oddychać: najprawdziwsze powietrze pachniało lasem po deszczu.

— Pole siłowe - powiedziałem, myśląc w duchu, że należało się tego spodziewać. Przecież jeżeli zabytkowy statek konsula potrafił wysunąć w otwartą przestrzeń kosmiczną taras widokowy... Rozejrzałem się. - Jak jest zasilane? - spytałem. - Z baterii słonecznych?

— Pośrednio tak - przyznała Enea. Znalazła właśnie obitą lepem ławeczkę i matę. Maleńki, upleciony z gałązek balkonik nie miał bariereki. Potężna gałąź, co najmniej trzydziestometrowej szerokości, kończyła się nad naszymi głowami pióropuszem liści. Kratownica pni i konarów „w dole” przekonała moje ucho wewnętrzne, że jesteśmy zawieszeni wysoko na ścianie zbudowanej z żywych dźwigarów. Powstrzymałem się od padnięcia na matę i ściśnięcia jej ze wszystkich sił w geście, który miałby uchronić mnie przed upadkiem w otchłań bez dna. Obok nas przemknął z trzepotem skrzydeł hyperioński świetlisty pajęczek, a zaraz za nim nie znany mi ptaszek z rozwidlonym ogonem.

— Pośrednio? - zagadnąłem i wgryzłem się w kanapkę.

— Ergi przetwarzają energię światła słonecznego - w większości - na pole siłowe — wyjaśniła Enea. Łyknęła piwa i popatrzyła po otaczających nas ze wszystkich stron liściach. Ich blaszki zwracały się wprost ku słońcu. Powietrza było za mało, żeby niebo przybrało błękitny odcień, ale pole siłowe polaryzowało promienie słoneczne na tyle, żeby nas nie oślepiały.

Niewiele brakowało, żebym się zakrztusił i zapluł fragmentami kanapki.

— Ergi? Takie jak w aldebarańskich pułapkach energetycznych? Mówisz poważnie? Takie jak ten, którego zabrano na ostatnią hyperiońską pielgrzymkę?

— Takie same - odparła Enea i spojrzała mi w oczy.

— Sądziłem, że wyginęły.

— Nie.

Pociągnąłem solidny łyk piwa i pokręciłem głową.

— Nic nie rozumiem - stwierdziłem.

— Nie dziwię ci się, przyjacielu.

— Całe to miejsce... - Niepewnym gestem objąłem mur z gałęzi i liści, ciągnący się dalej, niż sięgał wzrok na przeciętnej planecie; w górze nieskończenie odległa krzywizna kuli ginęła mi z oczu. - To niemożliwe.

— Niezupełnie. Templariusze i Intruzi pracują nad biosferami - tą i innymi podobnymi - od tysiąca lat.

Wróciłem do przeżuwania kanapki; ser i pieczeń były wyśmienite.

— Zatem to tu trafiły miliony drzew z porzuconej po Upadku Bożej Kniei - rzekłem.

— Niektóre tak, ale już na długo przedtem templariusze współpracowali z Intruzami przy tworzeniu orbitalnych pierścieni leśnych.

Spojrzałem do góry: odległości przyprawiały mnie o zawroty głowy. Robiło mi się słabo na myśl o tym, że siedzę na maciupieńkiej platformie z liści, zawieszanej nad liczącą setki kilometrów przepaścią. Daleko w dole, nieco z prawej, wśród splecionych gałęzi przemieszczało się wolno coś na kształt młodziutkiego pędu. Dopiero zwróciwszy uwagę na otaczającą go poświatę pola siłowego, zdałem sobie sprawę, że oglądam jeden z legendarnych drzewostatków templariuszy, z pewnością kilkukilometrowej długości.

— Czy ta konstrukcja jest skończona? - zapytałem. - Jak prawdziwa sfera Dysona? Kula wokół gwiazdy?

Enea pokręciła głową.

— Daleko jej jeszcze do ukończenia, aczkolwiek przed około dwudziestu laty standardowymi udało im się połączyć wszystkie główne pnie. Technicznie rzecz biorąc jest to więc sfera, tyle że na razie

złożona głównie z dziur. Niektóre z nich mają po milion kilometrów średnicy.

— Psiakrew, ależ to fantastyczne! - rzuciłem i zaraz uświadomiłem sobie, że mogłem wykazać się większą elokwencją. Podrapałem się po policzku; pod palcami poczułem solidny zarost. - Dwa tygodnie byłem nieprzytomny?

— Piętnaście dni standardowych.

— Autochirurg pracuje zwykle dużo szybciej - zauważyłem. Skończyłem kanapkę, przyczepiłem leptalerz do stołu i skupiłem się na piwie.

— Zwykle tak - zgodziła się Enea. - Ale Rachelę mówiła ci już pewnie, że stosunkowo niewiele czasu spędziłeś w automacie? Większość wstępnego szycia przeprowadziła sama.

— Dlaczego?

— Autochirurg był zaj ety. Odmroziliśmy cię natychmiast po przybyciu tutaj, ale trzech pacjenci, którzy przed tobą trafili do komór, byli w fatalnym stanie. De Soya przez tydzień walczył ze śmiercią. Ten sierżant, Gregorius... okazało się, że jest znacznie ciężiej ranny, niż sam sądził, kiedy spotkaliśmy go na Taj Szanie. Trzeci oficer, Carel Shan, zmarł mimo starań automatu i wysiłków tutejszych lekarzy.

— Szlag by to... - Odstawiłem piwo. - Szkoda.

Przyzwyczałem się do myśli, że autochirurg ze wszystkim sobie poradzi. Enea wpatrywała się we mnie z takim natężeniem, że od jej spojrzenia robiło mi się ciepło, jakbym siedział w plamie słonecznego blasku.

— Jak się czujesz, Raul?

— Świetnie. Trochę jestem obolały, czuję jak mi się zebra zrastają, blizny mnie swędzą... Poza tym za dużo chyba ostatnio spałem. .. Ale ogólnie jest w porządku.

Złapała mnie za rękę. Zauważyłem, że w oczach zaszklily się jej łzy.

— Wpieniłabym się, gdybyś umarł mi na rękach - powiedziała po chwili zduszonym głosem.

— Ja też. - Ścisnąłem jej dłoń, zerknąłem do góry i nagle zerwałem się na równe nogi. Uderzyłem w stół i bańka z piwem spiralnym lotem poszybowała w powietrze. Sam poszedłbym w jej ślady, gdyby nie lepy na podszewkach butów. - Jasny gwint! - krzyknąłem i wyciągnąłem przed siebie rękę.

Z tej odległości stwór przypominał mątwe o długości metra, może dwóch - ale ja oswajałem się z wolna z perspektywą i miałem pewne doświadczenie, więc wiedziałem, jak sprawy mają się naprawdę.

— To zeplin - oznajmiła Enea. - Kilkadziesiąt tysięcy zeplinów pracuje pod kierunkiem Akerataelich przy budowie Biosfery. Przemieszczają się w bąblach tlenu i dwutlenku węgla.

— Ale drugi raz mnie nie zje, prawda?

— Wątpię. - Enea wyszczerzyła zęby w uśmiechu. - Jeden cię posmakował i wieści się rozeszły, to wystarczy.

Rozejrzałem się za piwem i dostrzegłem bańkę koziółkującą w powietrzu sto metrów pod nami. Przez chwilę zastanawiałem się, czy za nią nie skoczyć, ale przemyślawszy sprawę siadłem na ławce.

Enea podała mi swój kufel.

— Pij śmiało. Ja nigdy nie umiem dopić do końca. A skoro już rozmawiamy, masz jeszcze jakieś pytania?

Przełknąłem piwo i machnąłem niedbale ręką.

— No wiesz, tak się składa, że kręci się tu trochę wymarłych istot, mitycznych postaci i nieżyjących ludzi. Możesz to skomentować?

— Mówiąc o istotach wymarłych masz na myśli zepliny, Seneszajów i templariuszy?

— Właśnie. I ergi... Chociaż nie, ergów jeszcze nie widziałem.

— Tak samo jak koloniści na Maui-Przymierzu starali się ocalić delfiny ze Starej Ziemi, templariusze i Intruzi sprzymierzyli się w walce

o ochronę ginących gatunków rozumnych - najpierw przed pierwszą falą hegiry, później przed Hegemonią, a teraz przed Paxem.

— A postaci mityczne?

— Pułkownik Kassad, tak?

— I Het Masteen. Na dobrą sprawę także Rachel. Cała cholerna obsada „Pieśni”.

— Niezupełnie - zaprzeczyła Enea cichym, smutnym głosem. - Konsul nie żyje, a ojcu Dure nie pozwalają żyć... No i brakuje mojej matki.

— Przykro mi, maleńka...

Znowu musnęła moją dłoń.

— Nic się nie stało. Wiem, co masz na myśli. To takie... niepokojące.

— Znałeś wcześniej pułkownika Kassada i HetaMasteena?

Pokręciła głową.

— Oczywiście, mama mi o nich opowiadała, a wujek Martin dodał coś od siebie w „Pieśniach”... Ale odeszli, zanim się urodziłam.

— Odeszli - powtórzyłem. - A nie „umarli”?

Z wysiłkiem zacząłem przypominać sobie strofy „Pieśni”. Jeśli wierzyć słowom Silenusa, Het Masteen, Prawdziwy Głos Drzewa, zniknął z pokładu wiatrowozu podczas podróży przez Trawiaste Morze wkrótce po tym, jak jego drzewostatek, „Yggdrasill”, spłonął na orbicie. W jego kajucie znaleziono mnóstwo krwi, co skierowało podejrzenia na Chyżwara. Templariusz zostawił po sobie erga, zamkniętego w sześcianie Móbiosa. Później pielgrzymi znaleźli Masteena w Dolinie Grobowców Czasu; nie potrafił wyjaśnić, co się z nim stało, twierdził, że to nie jego krew zbryzgała kajutę wiatrowozu, wykrzyczał, iż miał zostać Głosem Drzewa Bólu - i umarł.

Pułkownik Kassad zniknął mniej więcej w tym samym czasie, krótko po wejściu do doliny. Według poety nie zginął jednak, lecz podążył za swą widmową kochanką, Monetą, w odległą przyszłość, gdzie miał

polec w pojedynku z Chyżwarem. Przymknąłem oczy i wyrecytowałem głośno:

... Później, w grząskiej od krwi dolinie,
Moneta wraz z kilkoma Wybranymi Wojownikami,
Poranieni okrutnie w walce z hordą nieprzyjaciół,
Znaleźli ciało Fedmahna Kassada,
Wciąż splecione w śmiertelnym uścisku z
Milczącym Chyżwarem.
Podnieśli go z czcią zrodzoną z ognia walki
I poczucia straty.
Obmyli i opatrzyli jego okaleczone zwłoki
I przenieśli go do Kryształowego Monolitu.
Złożyli go jak bohatera na białym, marmurowym katafalku,
A u stóp złożyli mu broń jego.
W dolinie za ich plecami ogromne ognisko
Wypełniło powietrze światłem.
Mężczyźni i kobiety z pochodniami
Przemierzyli mrok,
Inni spłynęli łagodnie z nieba,
Oblanego porannym lazurem,
Jeszcze inni przybyli na baśniowych statkach, w kulach blasku,
Na skrzydłach zrodzonych z czystej energii,
W aureolach z zieleni i złota.
Później, gdy na niebie zabłyśły gwiazdy,
Moneta pożegnała się z przyjaciółmi z przyszłości
I weszła do Sfinksa.
Tłumy śpiewały.
Szczyry zaczęły buszować wśród proporców poległych,
na polu bitwy, gdzie ginęli herosi.
Wiatr szeptał w ostrzach i cierniach

Stalowego korpusu.

Tak oto

W dolinie

Grobowce zamigotały,

Zmieniły barwę ze złotej na brunatną

I rozpoczęły długą podróż powrotną.

— Masz świetną pamięć - zauważyła Enea.

— Starowina dawała mi klapsa, jeśli się pomyliłem. Nie zmieniaj tematu: z „Pieśni” wynika, że templariusz i pułkownik nie żyją.

— To prawda, umrą. Tak jak i my wszyscy.

Postanowiłem zaczekać, aż Enea wyjdzie z fazy delfickiej.

— W „Pieśniach” wujek pisze, że Het Masteen został przeniesiony przez Chyżwara w inne miejsce... A właściwie w inny czas - ciągnęła. - Po powrocie zmarł w Dolinie Grobowców Czasu. Nie wiemy, czy zniknął na godzinę, czy na trzydzieści lat. Nie wiemy, bo wujek też tego nie wiedział.

Spojrzałem na nią spod przymrużonych powiek.

— A co z Kassadem, maleńka? W jego przypadku „Pieśni” nie pozostawiają wątpliwości... Wyrusza w przyszłość za Monetą, wdaje się w bitwę z Chyżwarem...

— Z całą armią Chyżwarów - poprawiła mnie Enea.

— Prawda - przytaknąłem. Nigdy tego nie rozumiałem. - Na razie jednak wszystko wygląda dość spójnie: idzie za nią, walczy, ginie, jego ciało trafia do Kryształowego Monolitu i razem z Monetą wracają pod prąd czasu.

Enea uśmiechnęła się i skinęła głową.

— I z Chyżwarem - dodała.

Umilkłem. Chyżwar wyszedł z Grobowców... Moneta przywędrowała razem z nim... W takim razie mimo że „Pieśni”

twierdziły, iż Kassad pokonał go w wielkiej, ostatecznej bitwie, potwór jakimś cudem przeżył i wrócił z pułkownikiem i Monetą...

Cholera jasna! Czy w którymkolwiek miejscu było powiedziane wprost, że Kassad poniósł śmierć?

— Jak wiesz, wujek musiał wymyślić parę kawałków poematu. Rachela opowiedziała mu co nieco, ale we fragmentach, których nie rozumiał, posłużył się licentia poetica.

— Aha - przytaknąłem. Rachela. Moneta. Poemat nie pozostawiał cienia wątpliwości co do tego, że dziecko, które wraz z ojcem, Solem, przeniosło się ze Sfinksa w przyszłość, miało powrócić pod postacią dorosłej Monety, na wpół rzeczywistej kochanki Kassada; kobiety, za którą miał podążyć w przyszłość na spotkanie przeznaczenia. .. Co takiego powiedziała mi parę godzin temu Rachela, gdy ujawniłem jej swe podejrzenia, że była kochanką Enei? „Tak się składa, że jestem związana z pewnym żołnierzem, mężczyzną... Dziś go poznasz. To znaczy tak naprawdę kiedyś będę z nim związana. Bo widzisz... Cholera, to skomplikowane”.

Rzeczywiście; głowa mnie rozboleła. Odstawiłem bańkę z piwem na stół i oparłem głowę na dłoniach.

— To jest bardziej skomplikowane, niż myślisz - powiedziała Enea.

Spojrzałem na nią przez rozcapierzone palce.

— Nie zechciałabyś mi tego wyjaśnić?

— Z przyjemnością, ale...

— Wiem, wiem: we właściwym czasie.

— No właśnie.

Położyła dłoń na mojej ręce.

— A niby dlaczego nie moglibyśmy o tym teraz porozmawiać?

— Musimy udać się do naszego strąka i zmatowić ściany.

— Serio?

— Serio.

— A potem?

— Potem - odparła Enea, kiedy odczepiwszy się od lepu na podłodze pociągnęła mnie za sobą - będziemy się kochać. Godzinami.

Brak ciężenia. Nieważkość.

Nigdy wcześniej nie doceniałem w pełni tych określeń i związanej z nimi rzeczywistości.

Ściany naszego strąka mieszkalnego zostały silnie zmatowione, tak że wieczorne światło słońca sączyło się do środka jak przez gruby pergamin. Nie pierwszy raz odniosłem wrażenie, jakbym znalazł się wewnątrz olbrzymiego, ciepłego serca; po raz kolejny zrozumiałem, jakie miejsce zajmuje Enea w moim sercu.

Z początku nasze spotkanie przypominało wizytę w szpitalu: Enea ostrożnie mnie rozebrała i obejrzała wszystkie gojące się blizny, dotknęła zrastających się żeber i przesunęła dłonią po moich plecach.

— Powinienem się ogolić - zauważyłem. - I wziąć prysznic.

— Bzdura - wyszeptała w odpowiedzi. - Codziennie obmywałam cię gąbką i urządzałam ci kąpiel w ultradźwiękach. Dziś rano też. Jesteś czyściutki, a ja bardzo lubię taką szczecinkę.

Unosiliśmy się w powietrzu nad miękkimi, łagodnie zaokrąglonymi półeczkami. Pomogłem Enei wyplątać się z koszuli, spodni i bielizny; każdą część garderoby kopnięciem kierowała do szuflady, po czym, kiedy wszystkie znalazły się na miejscu, zamknęła ją bosą stopą. Zachichotaliśmy. Moje ubrania szybowały obok nas w nieruchomym powietrzu, a rękawy koszuli zdawały się powoli gestykulować.

— Zrobię trochę...

— Nic nie zrobisz - ucięła i przyciągnęła mnie do siebie.

Całowanie się przy braku ciężenia wymaga zupełnie nowych umiejętności. Włosy układały się w świetlistą koronę wokół twarzy Enei, gdy położyłem dłonie na jej policzkach i nasze usta się zetknęły. Całowałem jej wargi, oczy, policzki, czoło - i znów wracałem do ust. Zaczęliśmy z wolna koziółkować, ocierając się o gładką, lśniącą i ciepłą

w dotyku ścianę. Któreś z nas odepchnęło się od niej i przelecieliśmy na środek owalnego pomieszczenia.

Nasze pocałunki stawały się coraz bardziej niespokojne i pospieszne. Pozostawaliśmy ciasno spleceni rękoma i nogami, a przy każdym gwałtowniejszym ruchu zaczynaliśmy obracać się wokół niewidzialnego wspólnego środka masy, coraz szybciej i szybciej. Nie przerywając pocałunku, wyciągnąłem przed siebie rękę, czekałem, aż zetknie się ze ścianą i uspokoiłem nasz lot. Odbiliśmy się przy tym leciutko od błony strąka i wolno, bardzo wolno, poszybowaliśmy ku środkowi pomieszczenia.

Enea oderwała usta od moich ust, odchyliła głowę do tyłu i, odsunąwszy się na odległość wyciągniętej ręki, obrzuciła mnie baczny spojrzeniem. W ostatnich dziesięciu latach jej życia tysiące razy widywałem, jak się uśmiecha i myślałem, że na pamięć znam wszystkie jej uśmiechy, tym razem jednak kryła się w nim niezwykła głębia, dojrzałość, tajemnica, a zarazem zapowiedź psoty, jakiej jeszcze nie oglądałem.

— Nie ruszaj się - wyszeptała Enea, po czym, wsparłszy się o moje ramię, zaczęła się obracać.

— Eneo... - tyle tylko zdążyłem powiedzieć, a potem odebrało mi mowę. Zaniknąłem oczy i bez reszty skupiłem się na jej dotyku; czułem jej dłonie na tylnej stronie ud, kiedy przyciągała mnie bliżej!

Oparła mi kolana na barkach, a jej uda zetknęły się delikatnie z moją pierśią. Złapałem ją za biodra i pociągnąłem do siebie, przesuwając policzkami po wewnętrznej stronie jej ud.

W Taliesinie Zachodnim jedna z kucharek miała kotkę. Często wieczorami siadywałem na tarasie i podziwiałem zachód słońca, czując, jak otaczające mnie kamienie promieniują nagromadzonym za dnia ciepłem i czekając, aż będziemy mieli z Eneą chwilę dla siebie, żeby wspólnie usiąść i pogawędzić. Obserwowałem wtedy kotkę, jak

rozleniwiona odchodzi z gracją od miseczki z mlekiem i zwija się w kłębek do snu.

Teraz też przypomniałem sobie jej miękkie, kocie ruchy, zaraz jednak wszelkie wspomnienia zbladły i odeszły w nicość: zostało tylko wszechogarniające uczucie miłości, gdy moja ukochana otworzyła się dla mnie. Poczułem delikatny aromat i smak morza, a nasze ruchy przywiodły mi na myśl fale przypiływu. Cała moja istota skupiła się wokół narastającego w głębi mego ciała uczucia.

Nie mam pojęcia, jak długo szybowaliśmy w tej pozycji; ogromne podniecenie, jakie mną zawładnęło, było niczym ogień, który trawi czas. Bezgraniczna bliskość z drugą osobą pozwala wymknąć się czasoprzestrzennym wymogom wszechświata. Narastająca żądza i niepowstrzymana chęć jeszcze większego zbliżenia wyznaczały chwilę, w której musieliśmy zacząć się kochać.

Enea rozchyliła szerzej uda, odepchnęła się ode mnie i wypuściła mnie z objęcia swych ust - ale nie z dłoni. Obróciła się względem mnie, skąpana w powodzi gęstego światła, wciąż zaciskając lekko palce. Nasze usta zetknęły się, a jej dłoń objęła mnie nieco ciaśniej.

— Chodź - wyszeptała Enea. Posłuchałem jej.

Jeżeli natura wszechświata kryje jakąś prawdziwą tajemnicę, to w takich chwilach ją odkrywamy... podczas tych pierwszych kilku sekund ciepła i całkowitej akceptacji ze strony ukochanej osoby. Zaczęliśmy znów się całować, nie bacząc na powolny obrót w przestrzeni, jaki wykonywały nasze ciała. Na krótką chwilę otworzyłem oczy i ujrzałem długie loki Enei, spowijające ją w półmroku niczym płaszcz Ofelii. Czułem się rzeczywiście tak, jakbyśmy unosili się w morskiej toni; byliśmy nieważcy, ciepłe powietrze otulało nas niczym tropikalny ocean, a nasze regularne ruchy przypominały fale łamiące się na rozgrzanym piasku.

— Ojejku! - szepnęła moja ukochana. Nasz zgodny ruch dopiero się rozpoczynał.

Przestałem ją całować, żeby szybkim rzutem oka ocenić sytuację.

— Zasada dynamiki Newtona - szepnąłem jej w zgięcie szyi.

— Każde działanie... - odpowiedziała i parsknęła śmiechem. Złapała mnie za ramiona.

— ... budzi działanie identyczne, lecz przeciwnie skierowane - dokończyłem. Uśmiechnąłem się i Enea znów mnie pocałowała.

— A oto rozwiązanie - szepnęła i oplotła moje łędźwie udami. Jej piersi ocierały się o mój tors.

Odchyliła się w tył, niczym pływak leżący na wodzie i łapiący chwilę wytchnienia. Rozłożyła szeroko ręce, choć nasze palce pozostały splecione. Obracaliśmy się wolniutko w słonecznym półmroku; moje ciało zataczało łuki, jakbym w zwolnionym tempie dokonywał powietrznych akrobacji - tyle że w tej chwili elegancka balistyka naszego kochania się przestała mnie interesować i skoncentrowałem się na samym kochaniu. Poruszaliśmy się coraz szybciej w ciepłym morzu.

W kilka minut potem Enea puściła moje dłonie, wyprostowała się i przysunęła do mnie. Nie przestawaliśmy koziółkować, gdy wbiła mi w plecy paznokcie, wpiła się moje usta, a potem szarpnęła w tył i cicho jęknęła. Tylko raz. W tym samym momencie poczułem, jak gorący wszechświat jej wnętrza zaciska się wokół mnie w krótkim spazmie, w intymnym, wspólnym drgnieniu, a po sekundzie to mnie zaparło dech w piersi i przycisnąłem ją do siebie, czując, jak w niej pulsuję.

— Eneo... - wyszeptałem. - Eneo - powtórzyłem jak w modlitwie. Mojej jedynej modlitwie - wtedy i dziś.

Jeszcze długi czas po tym, jak na powrót staliśmy się dwojgiem ludzi - nie zaś jedną, połączoną istotą - szybowaliśmy w powietrzu spleceni

nogami, głaszcząc się i muskając rękoma. Wtuliłem usta w szyję Enei i poczułem na wargach pulsowanie jej krwi w żyłach.

Zrozumiałem w owej chwili, że wszystko, co wydarzyło się przedtem, jest bez znaczenia i że nieważne jest również to, co przyniesie przyszłość. Liczył się tylko dotyk skóry Enei i ciepło jej ocierających się o mnie piersi. To było satori. To była prawda.

Enea odepchnęła się od ściany, podpłynęła do jednej z szafek i wróciła z małym, ciepłym ręczniczkiem, którym nawzajem ocieraliśmy pot z naszych ciał. Obok mnie przesunęła się moja koszula, z rękawami naśladowującymi ramiona pływaka. Enea prycnęła śmiechem, nie przestając delikatnie wycierać i masować mojej skóry, a jej zabiegi stawały się coraz mniej niewinne.

— Oj-oj-oj! - Uśmiechnęła się, patrząc na mnie. - A co my tu mamy?

— Efekt działania zasad dynamiki?

— Całkiem możliwe - szepnęła. - Jaka będzie zatem reakcja na... coś takiego?

Chyba oboje byliśmy zaskoczeni natychmiastowym skutkiem jej eksperymentu.

— Do spotkania na drzewostatku mamy jeszcze kilka godzin - rzekła Enea cicho, po czym wypowiedziała parę słów pod adresem strąka i łagodnie zakrzywione ściany stały się całkiem przezroczyste. Nagle znaleźliśmy się w samym środku płataniny niezliczonych gałęzi i wielkich niczym żagle liści. Pławiliśmy się w ciepłych promieniach słońca, podziwiając nocny mrok i gwiazdy po przeciwnej stronie strąka.

— Nie bój się - powiedziała Enea. - My wszystko widzimy, ale z zewnątrz strąk jest nieprzezroczysty. Odbija światło jak lustro.

— Skąd wiesz? - szepnąłem przekornie i pocałowałem ją w szyję, szukając znajomego pulsu.

Westchnęła.

— Chyba nie możemy być tego pewni, dopóki nie wyjdziemy i sami się nie przekonamy. David Hume też miał taki problem.

Z wysiłkiem przypominałem sobie filozoficzne lektury w taliesińskiej bibliotece i dyskusje o Berkeleyu, Hume i Kancie. Parsknąłem śmiechem.

— Możemy to sprawdzić inaczej - zasugerowałem, ocierając się piętami o jej łydki.

— Niby jak? - mruknęła sennie, zamknąwszy oczy.

— Jeśli ktoś nas zobaczy... - zacząłem i ustawiłem się za plecami Enei. Otarłem się o nie, zarazem nie dając jej odlecieć. - To za jakieś pół godziny za ścianą zbierze się niezły tłumek Intruzów-aniołów, templariuszy i pasterzy komet.

— Czyżby? - zdziwiła się, Enea nie otwierając oczu. - A to dlaczego? Pokazałem jej dlaczego.

Otworzyła oczy.

— O rany - wyszeptała.

Przez moment bałem się, czy zanadto jej nie szokuję.

— Raul? - szepnęła.

— Tak? - Nie przerywałem tego, co zacząłem. Teraz ja zamknąłem oczy.

— Może masz rację, co do strąka lustrzanego od zewnątrz - wyszeptała i westchnęła głęboko.

— To znaczy?

Złapała mnie i przyciągnęła bliżej, po czym zaproponowała szeptem:

— Może powinniśmy zrobić lustro od środka, a z zewnątrz zażyczyć sobie przezroczystych ścian?

Otworzyłem gwałtownie oczy.

— Tak tylko żartowałam.

Odepchnęła się od ściany strąka i pociągnęła mnie za sobą na środek pomieszczenia.

Wokół nas świeciły gwiazdy.

Na uroczystą kolację i konferencję na „Yggdrasillu” założyliśmy oficjalne, wieczorowe stroje. Cieszyłem się na myśl, że znajdę się na pokładzie legendarnego drzewostatku i byłem rozczarowany, gdy nawet nie zauważyłem, jak z gałęzi biosfery przeszliśmy do wnętrza jego kadłuba. Dopiero kiedy na tarasach i w otwartych strąkach zebrano się ładne kilkaset osób, a statek rzucił cumy i zaczął się oddalać od gęstwiny liści wielkości miast, gałęzi długości całych prowincji i pni, które rozmiarami dorównywały całym kontynentom, dotarło do mnie, że lecę na „Yggdrasillu”.

Musiał mierzyć nieco ponad kilometr długości, od spiczasto zwężonej korony po splątane korzenie, z których plunął strumień energii jądrowej. Z chwilą uruchomienia napędu wróciło śladowe ciężenie, wynoszące zapewne kilka procent ziemskiego, ale wystarczające, by dawać się we znaki po tak długo trwającej nieważkości. Pomagało nam za to orientować się w przestrzeni: mogliśmy ostrożnie usiąść przy stołach i patrzeć rozmówcom w oczy, zamiast ciągle szybując starać się przyjąć wygodną i grzeczną pozycję... Przypomniałem sobie ostatnie godziny spędzone z Enea i oblałem się rumieńcem. Na wielopoziomowych platformach ustawiono niezliczone stoły i krzesła, ci zaś spośród gości, którzy nie zajęli na nich miejsca, tłoczyli się na kruchych mostkach, łączących tarasy z odległymi gałęziami, oraz na skręconych spiralnie schodach, prowadzących w górę wśród liści i konarów na kształt pnączy. Niektórzy podwiesili się do rozhuśtanych lian i przemykali wśród listowia.

My z Enea zasiedliśmy przy głównym, okrągłym, stole wraz z Prawdziwym Głosem Drzewa Hetem Masteenem, przywódcami Intruzów i czterdziestoma innymi gośćmi głównie templariuszami

i uchodźcami z Tien Szanu. Siedziałem na lewo od Enei, najbliżej niej, podczas gdy dostojnicy Bractwa Muir zajęli miejsca po jej prawej ręce. Do dziś pamiętam nazwiska większości rozmówców i biesiadników.

Oprócz kapitana drzewostatku, Heta Masteena, towarzyszyło nam kilku innych templariuszy - między innymi Ket Rosteen, którego przedstawiono nam jako Prawdziwy Głos Drzewogwiazdy, Najwyższego Kapłana Muir oraz rzecznika Bractwa Templariuszy. Wśród kilkunastu Intruzów znaleźli się nie tylko typowi ich przedstawiciele - wysocy i chudzi Systemj Coredwell i Navson Hamnim - ale i inni, zupełnie do nich niepodobni: Am Chipeta i Kent Quinkent, prawdopodobnie małżeństwo, niscy, śniadzi, o żywym błysku w oku i bez błony między palcami; Sian Quintana Ka'an, kobieta, o której nie potrafiłbym powiedzieć, czy przywdziała przewspaniałą szatę z jaskrawych piór, czy raczej się z nimi urodziła; przystrojeni w niebieskie pióra partnerzy Sian, Paul Uray i Morgan Bottoms. Było jeszcze dwóch mężczyzn - Drivenj Nicaagat i Palou Koror - którzy znacznie lepiej pasowali mi na Intruzów, nie ulegało bowiem wątpliwości, że dostosowali się do życia w próżni, a poza tym przez cały bankiet nie zdejmowali srebrzystych próznioskór.

Oprócz nich znalazło się tu również czterech zielonkawych, zwiewnych Seneszajów z Hebronu: Lleeonn i Ooeeaall, których poznałem już wcześniej, oraz Aallooee i Nneelloo; mogłem tylko przypuszczać, że wszystkich czworo łączy związek małżeński bądź inny złożony układ.

Nie zwróciłem uwagi na Akerataelich, dopóki Enea nie wskazała mi miejsca wśród gałęzi, gdzie panowało chyba jeszcze mniejsze ciśnienie i gdzie - wśród świetlistych pajęczków i ptaszków - uwijały się talerzokształtne istoty. Nawet trzy ergi, sterujące polem siłowym statku, uczestniczyły w kolacji, uwięzione w sześcianach Möbiusa z dyskami translatorów zatopionymi w czarnej obudowie.

Po mojej lewej zasiadał ojciec kapitan de Soya, a dalej sierżant Gregorius i pułkownik Fedmahn Kassad w galowym mundurze Armii, podobny do hologramu z zapomnianej przeszłości Hegemonii. Obok niego zajęła miejsce Gromowładna Locha, wyprostowana i dumnajak siedzący obok żołnierz, a jeszcze dalej Getswang Ngwang Lobsang Tengin Gyapso Sisunwangyur Tshungpa Mapai Dhepal Sangpo, młody dalajlama o zaciekawionym spojrzeniu.

Wszyscy pozostali uciekinierzy z Niebiańskich Gór również znajdowali się na naszej platformie: przy głównym stole rozpoznałem w tłumie Lhomo Dondruba, Labsanga Samtena, George'a i Jigme, Haruyuki, Kenshiro, Wojtka, Viki, Kuku, Kay i kilkoro innych. Obok templariuszy - naprzeciwko nas - znaleźli się A. Bettik, Rachela i Theo Bernard. Rachela nie odrywała oczu od Kassada, z wyjątkiem momentów, kiedy Enea przemawiając zwracała uwagę zgromadzonych. Dla Racheli istnieli tylko oni dwoje.

Drobni służący templariuszy - klony załogowe, jak poinformowała mnie szeptem Enea — podali wodę oraz mocniejsze napoje i przez chwilę trwały typowe, przedobiednie, grzeczne i niezbyt głośne rozmowy. W pewnym momencie zapadła cisza jak przed odmówieniem zbiorowego pacierza, a kiedy Ket Rosteen, Prawdziwy Głos Drzewogwiazdy, wstał, żeby zabrać głos, wszyscy poderwali się z miejsc.

— Przyjaciele - odezwała się niewysoka, zakapturzona postać - bracia w Muir, czcigodni Intruzi - nasi sprzymierzeńcy, rozumni bracia i siostry we wszechogarniającym Życiodrzewie, uciekinierzy z Paxu, oraz szlachetna pani, Ty, Która Nauczasz. - Ket Rosteen skłonił się przed Enea. - Jak większości z was wiadomo, Dni Odkupienia, które przeżywamy od blisko trzech stuleci i które przed wiekami nazwano tak w Kościele Chyżwara, mają się ku końcowi. Prawdziwe Głosy

Bractwa Muir podążały ścieżkami prorocत्व, teraz zaś oczekują przepowiedzianych wydarzeń i sieją ziarno w żyzną glebę objawienia.

W najbliższych miesiącach i latach określona zostanie przyszłość wielu rozumnych ras, nie tylko ludzi. Są wprowadzie wśród nas osoby obdarzone darem zaglądania we wzorce przyszłości, odczytywania prawdopodobieństwa zdarzeń ciskanych niczym kości na nierówną materię przestrzeni i czasu, ale nawet one wiedzą, że nie istnieje wyraźna, jedyna droga w przyszłość dla nas i naszych potomnych. Zdarzenia są płynne. Przyszłość przypomina dym z płonącego lasu, który czeka, aż wiatr losu i osobistej odwagi wybrańców poniesie iskry rzeczywistości w konkretnym kierunku.

Dzisiaj na tym drzewostatku, odrodzonym i ponownie ochrzczoneym „Yggdrasillu”, sami sobie określimy ścieżki, które zaprowadzą nas w przyszłość. Ja sam nie modłę się do Siły Życia objawionej przez Muir o to, by Biosfera przetrwała; nie modłę się po prostu o przetrwanie Bractwa, drugie życie dla naszych braci Intruzów, naszych rozumnych kuzynów Seneszajów i Akerataelich, którzy tyle wycierpieli... Nie modłę się również o pomyślność dla ergów i zeplinów ani o przetrwanie gatunku, zwanego ludzkim. Proszę Muir, by dziś zaczęły się spełniać nasze przepowiednie, by wszystkie gatunki miłujące życie - ludzie, żółwie o miękkich skorupach, świecące pyski z Marę Infinitus, szopy pracze ze Starej Ziemi, jastrzębie Thomasa z Maui-Przymierza - odrodziły się z szacunkiem dla różnorodności w nieskończonym cyklu życia we wszechświecie.

Prawdziwy Głos Drzewogwiazdy ponownie ukłonił się Enei.

— Czcigodna Ty, Która Nauczasz, zebraliśmy się dziś tutaj z twojej przyczyny. Wiemy z naszych prorocत्व - wizji naszych braci, ale i innych, którzy dotknęli spoiwa, zwanego Pustką, Która Łączy - że jesteś największą nadzieją na pogodzenie ludzkości z Centrum, z inną rasą rozumną. Wiemy również, że zostało nam niewiele czasu,

przyszłość zaś może nam przynieść zarówno załążek owej zgody i naszego wyzwolenia, jak i całkowitą zagładę. Zanim podejmiemy jakiegokolwiek decyzje, niektórzy spośród nas muszą jeszcze zadać ci ostatnie pytania. Czy przyłączysz się do naszej dyskusji? Czy nadszedł już czas, by mówić o rzeczach, o których trzeba powiedzieć i które należy zrozumieć, zanim wszystkie planety i światy Intruzów, templariuszy i Paxu staną ramię w ramię do ostatecznej bitwy o ludzką duszę?

— Tak - odrzekła Enea.

Ket Rosteen usiadł, Enea zaś wstała bez słowa. Wyjąłem rejestrator z kieszeni kamizelki.

SYSTEMJ COREDWELL, INTRUZ: M. Enea, czcigodna Ty, Która Nauczasz, czy możesz nam powiedzieć, czy Biosfera, nasza drzewogwiazda, uniknie zniszczenia? Czy w ogóle nastąpi atak sił Paxu?

ENEJA: Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie, wolny człowieku Coredwellu. Gdybym nawet umiała, postąpiłabym źle, mówiąc wam o tym. Moja rola nie polega na wybieraniu prawdopodobieństw z wielkich epicykli chaosu, które są możliwymi przyszłościami. Wiem tylko - i wiem to z całą pewnością - że najbliższe dni zadecydują o przetrwaniu bądź zniszczeniu waszej wspaniałej Biosfery; nasze poczynania będą miały na to ogromny wpływ, co nie znaczy, że istnieje tylko jeden poprawny wzorzec działania.

Jeśli pozwolicie... Mam prośbę: niektórzy z moich przyjaciół pierwszy raz znaleźli się w drzewogwieździe i w ogóle w kosmosie Intruzów. Dobrze zrobiłoby to naszej dyskusji, gdyby któryś z gospodarzy zechciał przedstawić im pokrótce dzieje rasy Intruzów, ideę i historię Biosfery i innych, podobnych projektów, jak również zaprezentować zręby filozofii Intruzów i templariuszy.

SIAN QUINTANA KA' AN, INTRUZKA: Z przyjemnością opowiem o tym naszym nowym gościom, M. Enea. Ważne, by wszyscy uczestnicy tych rozważań zrozumieli, o co toczy się gra.

Jak zapewne wszyscy nasi bracia - templariusze i Intruzi - wiedzą, rasa Intruzów powstała przed ponad ośmiuset laty w rozlicznych, bardzo od siebie odległych układach gwiazdnych. Statki kolonizacyjne, wiozące między innymi specjalistów w dziedzinie genetyki, startowały ze Starej Ziemi już w okresie poprzedzającej hegrę ekspansji. Znakomita większość tych jednostek poruszała się z prędkościami podświetlnymi: wyposażano je w prymitywne bussardowskie silniki odrzutowe, żagle na wiatr słoneczny, silniki jonowe, nuklearne silniki impulsowe, napęd laserowy, były wśród nich także wystrzelone siłą grawitacji kuledysonowskie... Tylko kilkadziesiąt najpóźniej wysłanych maszyn miało nadświetlny napęd Hawkinga.

Ci koloniści - nasi przodkowie, przemierzający wszechświat w stanie hibernacji o wiele głębszej niż zwykły sen kriogeniczny - należeli do najznakomitszych nanotechników i genetyków na Starej Ziemi. Mieli za zadanie znaleźć nadające się do zamieszkania planety i - przypominam, że nie znano jeszcze wówczas technik terraformowania - dostosować na drodze inżynierii genetycznej i zmian nanotechnologicznych zamrożone w ładowniach gatunki istot ziemskich do panujących na nich warunków.

Wiemy, że kilka statków kolonizacyjnych rzeczywiście dotarło do gościnnych światów - na Nową Ziemię, Tau Ceti, planetę Barnarda. Większość jednak trafiła do układów gwiazdnych, w których nie potrafiły przetrwać żadne formy życia. Ci właśnie pionierzy stanęli przed wyborem: mogli ruszyć w dalszą drogę z nadzieją, że systemy podtrzymywania życia na statkach wytrzymają kolejne kilkadziesiąt czy kilkaset lat międzygwiazdnej podróży, albo wykorzystując inżynierię genetyczną zaadaptować samych siebie i zamrożone

embriony do warunków znacznie bardziej surowych, niż wyobrażali sobie to projektanci statków.

Wybrali to drugie rozwiązanie. Posługując się najbardziej zaawansowaną nanotechnologią - która na Starej Ziemi i w Hegemonii została zakazana przez Centrum, a potem całkowicie zapomniana - ludzie nauczyli się żyć w zupełnie niesprzyjających warunkach na planetach i w próżni międzygwiazdnej. Po kilkuset latach większość kolonii i rojów Intruzów zaczęła dysponować napędem Hawkinga, tymczasem jednak osłabła w nich żądza poszukiwania nowych, gościnniejszych planet. Wszystko, czego chcieli, to dostosowywać się dalej do wymagań narzucanych przez nowe światy i międzygwiazdną pustkę - i pozwolić na to wszystkim sierotom Ziemi.

Wraz z taką zmianą istoty ich misji zmieniała się też filozofia, jaką wyzna wali... Przyjęliśmy ją i traktujemy z niemal religijną żarliwością, jej ideą zaś jest rozprzestrzenianie życia w Galaktyce... W całym wszechświecie. I nie chodzi tu tylko o ludzi i gatunki znane nam ze Starej Ziemi, lecz o wszelkie formy życia w ich nieskończonej różnorodności i złożoności.

Część obecnych tu gości nie zdaje sobie zapewne sprawy z faktu, iż Intruzom i templariuszom przyświeca cel znacznie wykraczający poza stworzenie i funkcjonowanie otaczającej nas Drzewogwiazdy. Naszym marzeniem jest, by pewnego dnia powietrze, woda i życie wypełniły niemal całą przestrzeń, rozciągającą się od ścian Biosfery do płonącego w jej wnętrzu słońca.

Bractwo Muir i luźno powiązane organizacje Intruzów chcą tylko tego, by lądy, wody i atmosfera na wszystkich planetach, krążących wokół wszystkich gwiazd, rozkwitły wszelkimi możliwymi formami życia. Co więcej, chcemy ujrzeć jak zieleni się Galaktyka, jak owa zieleń wypuszcza macki... takie superstruny życia... ku sąsiednim skupiskom gwiazd.

Jednym z efektów ubocznych przyjęcia tej filozofii, a zarazem powodem, dla którego Kościół i Pax chcą naszej zguby, jest fakt, iż od wieków tak sterujemy ewolucją rodzaju ludzkiego, by jak najlepiej spełniała wymogi obcych środowisk. Na razie wciąż istnieje tylko jeden gatunek ludzki - homo sapiens - co oznacza ni mniej, ni więcej tyle, że każdy z nas mógłby, za obopólną zgodą, spłodzić potomstwo z dowolnym templariuszem bądź chrześcijaninem z Paxu. Różnice jednak się nasilają, a genetyczna przepaść rozszerza. Już wykształciły się postaci Intruzów, które znajdują się na granicy gatunku... Najważniejsze zaś jest to, że owe różnice są przekazywane potomstwu.

Tego zaś Kościół znieść nie może i dlatego toczymy z nim okrutną wojnę, której stawką jest przyszłość rodzaju ludzkiego: czy mamy pozostać na wieki jednym gatunkiem, czy raczej nasze umiłowanie różnorodności we wszechświecie powinno zostać uszanowane.

ENEAS: Dziękuję ci, wolny człowieku Sian Quintano Ka'an. Nie wątpię, iż twoje wyjaśnienia okażą się pomocne dla tych spośród moich przyjaciół, którzy pierwszy raz goszczą u Intruzów; pozostałym z pewnością posłużą jako memento, gdy przyjdzie do podejmowania ważkich decyzji. Czy ktoś jeszcze chce zabrać głos?

DALAJLAMA: Eneo, mój a przyjaciółko, chciałbym skomentować twoje słowa i zadać ci pytanie. Przyznam, że oferowana przez Pax nieśmiertelność także i mnie skłoniła do — jakkolwiek krótkotrwałych - rozważań o możliwości nawrócenia się na chrześcijaństwo. Wszyscy tutaj kochamy życie; jego umiłowanie stanowi świetlistą nić, która nas łączy. Dlaczego w takim razie krzyżokształt jest dla nas złem? Pozwól, że zwrócę twoją uwagę także na fakt, iż jego pasożytnicza natura nie przeraża ani mnie, ani wielu podobnie myślących ludzi. W naszych ciałach żyją różne istoty - jak chociażby bakterie w przewodzie pokarmowym - które choć nas wykorzystują, pozwalają nam zarazem

żyć. Czym naprawdę jest krzyżokształt, Eneo? Dlaczego należy go odrzucić?

ENEA (na chwilę zamyka oczy, wzdycha, po czym spogląda w twarz dalajlamy): Wasza Świątobliwość, krzyżokształt jest produktem desperackich działań TechnoCentrum, podjętych wkrótce po zarządzonym przez Meinę Gladstone ataku, który doprowadził do Upadku.

Centrum, o czym wielokrotnie i przy różnych okazjach wspominałam, potrafi żyć i rozumować wyłącznie jak pasożyt. W tym też sensie rodzaj ludzki od wieków był dla niego żywicielem, a może raczej symbiontem: nasza technika rozwijała się zgodnie ze wskazaniami Centrum, które zarazem narzucały jej ograniczenia; nasze społeczeństwo powstawało, zmieniało się i podupadało pod dyktando TechnoCentrum i w rytm jego lęków; nasze istnienie zostało w znacznej mierze określone w niekończącej się, opartej na strachu i kapryśkach pasożyta, rozgrywce z intelektami z Centrum.

Po Upadku, kiedy Sztuczne Inteligencje straciły kontrolę nad Hegemonią, którą rządziły za pośrednictwem datasfer i transponderów, kiedy wymknęło im się z ręki największe narzędzie do obróbki danych - połączone siecią transponderów miliardy ludzkich mózgów, których właściciele zagłębiali się w Pustkę, Która Łączy - TechnoCentrum musiało wymyślić nowy sposób żerowania na ludziach. A czasu miało niewiele.

Tak oto narodził się krzyżokształt, najbardziej wyrafinowany produkt nanotechnologii — a przy tym najbardziej szkodliwy. O ile nasi przyjaciele, Intruzi, wykorzystują inżynierię genetyczną i nanotechnologię w dziele rozsiewania życia w kosmosie, o tyle Centrum posługuje się tą wiedzą po to, by rozprzestrzeniać własną, pasożytniczą formę istnienia.

Każdy krzyżokształt składa się z miliardów połączonych z Centrum istot. Wszystkie te istoty porozumiewają się bezustannie między sobą - a także z innymi krzyżokształtami - dzięki okrutnemu nadużywaniu możliwości Pustki, Która Łączy. TechnoCentrum wie o jej istnieniu od tysiąca lat - i niemal równie długo korzysta z niej w niewybaczalny, egoistyczny sposób. Najpierw tak zwane silniki Hawkinga zaczęły wydierać w niej dziury; potem transmitery bezlitośnie naruszały strukturę tworzącej ją materii; jeszcze później sterowana z Centrum megasfera oraz komunikatory wykradały informacje z Pustki w sposób, który spychał w niebyt całe rasy rozumnych istot i druzgotów gromadzone przez milenia wspomnienia. Krzyżokształt zaś stanowi narzędzie najbardziej bezwzględnego i cynicznego nadużycia Pustki, Która Łączy.

Tym, co czyni go w naszych oczach tak cudownym wynalazkiem, nie jest po prostu zdolność odtwarzania życia na jakimś tam poziomie, tego rodzaju możliwości istniały bowiem od dawna. Rzecz w tym, że krzyżokształt jest w stanie przywrócić zmarłemu człowiekowi jego osobowość i wspomnienia. Kiedy uświadomimy sobie, iż wymaga to zdolności zapisania i odczytu 6×10^{23} bajtów informacji dla każdej wskrzeszonej osoby, istnienie krzyżokształtu faktycznie zaczyna zakrawać na cud. Najwyżsi dostojnicy Kościoła katolickiego, którzy zdają sobie sprawę z rzeczywistej roli Centrum w procesie zmartwychwstania, przypisują tę oszałamiającą - niewiarygodną - zdolność obliczeniową wykorzystaniu potencjału megasfery.

Centrum jednak nie dysponuje nawet w przybliżeniu takimi możliwościami. Nawet gdy badania Ostatecznych, zmierzające do stworzenia idealnej maszyny myślącej, Najwyższego Intelaktu, prowadzono z największym rozmachem, żadna ze Sztucznych Inteligencji - a nawet żadna grupa SI z Centrum - nie posiadała zdolności zapisania informacji, która wystarczyłaby do przywrócenia życia

choćby jednemu człowiekowi. Co więcej, nawet gdyby Centrum dysponowało podobnym potencjałem obliczeniowym, nie miałyby skąd czerpać energii niezbędnej do takiego odtworzenia układu atomów i cząsteczek, by powstało ludzkie ciało - nie wspominając już o skopiowaniu złożonych frontów falowych, które tworzą osobowość.

Wskrzeszenie pojedynczej osoby zawsze dalece wykraczało i nadal wykracza poza możliwości TechnoCentrum.

Przynajmniej wykraczałoby, gdyby Centrum nie postanowiło jeszcze silniej naruszyć struktury Pustki, Która Łączy - transtemporalnego medium międzygwiazdowego, w którym zapisano wspomnienia i emocje wszystkich istot rozumnych.

Sztuczne Inteligencje uczyniły to zresztą bez specjalnego namysłu czy wahania. To właśnie w Pustce zapisywane są fronty fal holistycznych, tworzących osobowość ponownie narodzonych chrześcijan... Sam krzyżokształt jest zaledwie opracowanym w Centrum nanotechnologicznym przyrządem do transmisji danych.

Tymczasem przy każdym zmartwychwstaniu istoty ludzkiej, z Pustki, Która Łączy, nieodwracalnie wymazywane są fragmenty tysięcy innych osobowości - nie tylko należących do ludzi. Ci spośród was, którzy przyjęli moją komunie, którzy poznali język umarłych i język żywych, starali się usłyszeć muzykę sfer i rozważali możliwość uczynienia pierwszego kroku, w pełni rozumieją barbarzyńskie okrucieństwo takiego postępowania. Należy położyć temu kres. Ja muszę tego dokonać.

(Enea na kilka długich sekund zamyka oczy i dopiero po chwili, otwarłszy je ponownie, mówi dalej).

To jednak nie koniec zła, którego źródłem są krzyżokształty.

Podkreślam jeszcze raz: istoty zamieszkujące TechnoCentrum są pasożytami i nic tego faktu nie zmieni. Poza możliwością kontrolowania ludzi przez Kościół - a w ostateczności dręczenia

opornych bólem, emanującym z krzyża na piersi - jest jeszcze jeden powód, dla którego Sztuczne Inteligencje zaproponowały ludziom taką formę zmartwychwstania.

Wraz z Upadkiem Transmitterów Centrum straciło możliwość wykorzystywania trylionów ludzkich szarych komórek w projekcie mającym na celu stworzenie Najwyższego Intelaktu. Bez portali, które pozwalały Sztucznym Inteligencjom na kształt pijawek podczepiać się pod nasze mózgi, spijać energię życiową z neuronów i holistycznych frontów falowych oraz łączyć nasze umysły w równoległe obwody przetwarzające, projekt został wstrzymany.

Dopiero dzięki krzyżokształtom pasożytnicze praktyki odżyły, a zarazem przybrały znacznie bardziej złożoną naturę niż proste połączenie ludzkich mózgow w wysoko wydajną strukturę obliczeniową. Wiele stuleci temu, w wieku dwudziestym A.D., naukowcy zajmujący się badaniem sieci neuronowych, złożonych z prymitywnych, krzemowych przodków dzisiejszych SI, przekonali się, że najlepszym sposobem wyzyskania pełnego potencjału takiej sieci jest jej zabicie. W ostatnich sekundach, czasem nawet nanosekundach świadomego czy półświadomego istnienia, liniowe procesy zachodzące wśród neuronów przekraczały wszelkie bariery i zyskiwały zdolności twórcze, jakich nikt się nie spodziewał - a wszystko to w bliskim śmiertci stanie wyzwolenia od reguł rządzących przetwarzaniem binarnym.

Symulacyjne gry wojenne, uruchamiane na komputerach pod koniec dwudziestego wieku, wykazały, że ginąca sieć neuronowa jest zdolna do nieoczekiwanych, lecz zarazem nadzwyczaj skutecznych decyzji. Jedna z pierwotnych Sztucznych Inteligencji, pozbawiona jeszcze świadomości, dowodziła podczas symulacji flotą morską, która poniosła poważne straty. I co się okazało? SI pozwoliła zatopić wszystkie uszkodzone okręty, dzięki czemu resztki floty zdołały

umknąć przed pościgiem. Tak oto objawił się geniusz umierającej, nieliniowej sieci neuronowej.

Centrum zawsze cierpiało na brak podobnych zdolności; jego architektura w istocie niczym nie różni się od architektury szeregowych procesorów, z których wyewoluowało, a obsesyjna umysłowość pasożyta wcale nie przyczynia się do rozwoju kreatywności.

Tymczasem za sprawą krzyżokształtu cała ogromna machina neuronowa, jaką stanowi społeczność opatrzonych nim chrześcijan, uzyskała niemal nieograniczone źródło potencjału twórczego. Katalizatorem procesu staje się śmierć znacznego fragmentu sieci - a dzięki ludziom nie brakuje do tego okazji. Sztuczne Inteligencje osaczają chrześcijan niby wampiry, które tylko czekają, żeby posilić się ginącym ludzkim mózgiem, jeśli można tak powiedzieć: wyssać szpik geniuszu z psychicznych kości człowieka. Kiedy zaś żniwo śmierci staje się zbyt ubogie, albo w Centrum wrasta zapotrzebowanie na twórcze rozwiązania - doprowadza się do kilku milionów dodatkowych zgonów. Zdarzają się dziwne wypadki; wiadomo, że ludzie chorują znacznie częściej, niż przed kilkuset laty; coraz więcej odnotowuje się zejść śmiertelnych wskutek raka czy choroby wieńcowej ... Poza tym są znacznie sprytniejsze metody likwidacji ludzi na życzenie. Mimo że Pax żelazną ręką zaprowadził pokój w swoim międzygwiazdowym imperium, okazji do gwałtownej śmierci jest coraz więcej; wprowadza się nowe sposoby zabijania - archanioły są tylko początkiem. Śmierć jest tania we wszechświecie ponownie narodzonych, dla Centrum zaś stanowi niewyczerpane źródło zdolności twórczych.

Stąd właśnie wzięły się krzyżokształty. Sądzę, że przedstawiłam wam co najmniej jeden powód, dla którego należy wykorzenić je z ludzkich ciał i umysłów.

(Kiedy Enea przestaje mówić, cisza przeciąga się w nieskończoność. Liście drzewostatku szeleszczą cicho w sztucznie generowanych podmuchach wiatru. Kilkaset ludzkich i humanoidalnych istot, zgromadzonych na platformach, gałęziach, pomostach i schodach, w milczeniu wpatruje się w moją przyjaciółkę. Wreszcie odzywa się donośny głos...)

OJCIEC KAPITAN DE SOYA: Nadal noszę koloratkę i obowiązują mnie śluby kapłańskie. Jestem katolickim księdzem... Czy dla mojego Kościoła nie ma już nadziei? Nie chodzi mi o Kościół Paxu pod jarzmem TechnoCentrum, rządzony przez chciwych kardynałów i biskupów, ale o Kościół Jezusa Chrystusa i setek milionów wiernych, którzy posłuchali Jego słów.

ENEAS: Federico... Ojciec de Soya, sam musi pan sobie odpowiedzieć na to pytanie, pan i podobni panu wierni. Wiem jednak z całą pewnością, że miliardy ludzi chciałyby powrócić na łono Kościoła, który zajmuje się sprawami ducha i szanuje nauki Chrystusa, zamiast oddawać się obsesji fałszywego zmartwychwstania. Niektórzy z tych mężczyzn i kobiet wciąż jeszcze noszą krzyżokształt, większość jednak pozbyła się go...

HET MASTEEN, TEMPLARIUSZ: Ty, Która Nauczasz, o czcigodna, pozwól, że skieruję rozmowę na temat bardziej osobisty i przyziemny...

ENEAS: Z pewnością nic, o czym mówisz, nie jest sprawą przyziemną, Prawdziwy Głosie Drzewa, Hecie Masteenie.

HET MASTEEN, TEMPLARIUSZ: Towarzyszyłem twojej matce w ostatniej pielgrzymce na Hyperiona...

ENEAS: Wiele mi o tobie opowiadała, Prawdziwy Głosie Drzewa.

HET MASTEEN, TEMPLARIUSZ: Wiesz w takim razie, Ty, Która Nauczasz, że Władca Bólu... Chyżwar, przybył do mnie, gdy przemierzaliśmy wiatrowozem Trawiaste Morze. Przeniósł mnie w przyszłość i w inne miejsce w przestrzeni... Znalazłem się tutaj, teraz.

ENEAS: Wiem o tym.

HET MASTEEN, TEMPLARIUSZ: Z rozmów z tobą, pani, i z moimi braćmi w Muir wynika, że przeznaczone mi jest służyć Mu i sprawie życia w tych czasach, tak jak przed wiekami przepowiedzieli to nasi prorocy, którzy potrafili zajrzeć w Pustkę, Która Łączy. Tymczasem usłyszałem jednak o poemacie Martina Silenusa i, mimo najszczęśliwszych wysiłków moich braci i serdecznych przyjaciół, jakich mam wśród Intruzów, natrafiłem na egzemplarz „Pieśni”...

ENEAS: To rzeczywiście nieszczęśliwy zbieg okoliczności, Prawdziwy Głosie Drzewa. Mój wujek Martin napisał „Pieśni”, opierając się na znanych sobie faktach, lecz nie posiadał pełni wiedzy.

HET MASTEEN, TEMPLARIUSZ: Tym niemniej w „Pieśniach” napisano, czcigodna Ty, Która Nauczasz, że któregoś dnia pielgrzymi... znaleźli mnie na Hyperionie, w Dolinie Grobowców Czasu... i że wkrótce potem zmarłem. Mój przyjaciel, pułkownik Kassad, potwierdził, iż rzeczywiście tak się stało...

ENEAS: Słowa te są prawdziwe w kontekście poematu, ale.

HET MASTEEN, TEMPLARIUSZ (podniósłszy dłoń, żeby przerwać mojej ukochanej): Nie chodzi mi o nieuniknioną naturę mego powrotu poprzez czas na Hyperiona; nie martwi mnie również konieczność śmierci, o czcigodna. Rozumiem, iż jest to zaledwie jedna z wielu czekających mnie przyszłości... jakkolwiek mało pożądana czy prawdopodobna by była. Chciałbym jednak upewnić się co do prawdziwości moich ostatnich słów, zgodnie z tym, co poeta przekazał w „Pieśniach”. Czy rzeczywiście tuż przed śmiercią mam powiedzieć: „Jestem Prawdziwym Wybranym. Muszę przeprowadzić Drzewo Bólu przez czasy pokuty”?

ENEAS: Tak napisano w „Pieśniach”, Prawdziwy Głosie Drzewa.

HET MASTEEN, TEMPLARIUSZ (uśmiecha się spod kaptura): Czy ten czas jest bliski, o czcigodna? Czy „Yggdrasill” stanie się Drzewem Bólu

w dziele naszego Odkupienia, jak przepowiadali to prorocy?

ENEAS: Tak właśnie będzie, Hecie Masteenie. Za kilka dni wyruszę w drogę, by dokonać tego dzieła. Proszę cię, by „Yggdrasil” posłużył nam w tej podróży i stał się narzędziem Odkupienia. Dziś wieczorem wielu z was zostanie zaproszonych, by towarzyszyć mi w tej wędrówce. Zwracam się do ciebie, Prawdziwy Głosie Drzewa, z oficjalną prośbą o poprowadzenie „Yggdrasilla”, który będzie odtąd znany pod mianem „Drzewa Bólu”.

HET MASTEEN, TEMPLARIUSZ: Przyjmuję twój e zaproszenie i zgadzam się być kapitanem „Yggdrasilla” w misji Odkupienia, o czcigodna Ty, Która Nauczasz.

(Zapada trwająca kilka minut cisza).

JIGME NORBU, MAJSTER: Eneo, mamy z George’em pytanie.

ENEAS: Słucham, Jigme?

JIGME NORBU, MAJSTER: Opowiadałaś nam o potajemnym ludobójstwie, jakiego Centrum dokonało na takich planetach, jak Hebron, Qom-Rijad i kilka innych. To znaczy... właściwie nie ludobójstwie, lecz okrutnym porwaniu, gdyż ludzi uśpiono, wprowadzono w stan do złudzenia przypominający śmierć.

ENEAS: Zgadza się.

JIGME NORBU, MAJSTER: Czy po tym, jak odlecieliśmy z naszego ukochanego Tien Szanu, stało się z nim to samo? Czy nasi przyjaciele i krewni zostali uśpieni promieniami śmierci i przeniesieni na którąś z planet z labiryntem?

ENEAS: Tak, Jigme, przykro mi to mówić, ale taki właśnie los spotkał Niebiańskie Góry. Ciała mieszkańców są właśnie teraz wywożone z Tien Szanu.

KUKU SE: Ale po co? Po co uprowadzać całe populacje? Żydzi, muzułmanie, hinduiści, ateści, marksiści, a teraz mieszkańcy naszego

ślicznego, buddyjskiego świata. Czy Pax chce wykorzenić wszystkie obce religie?

ENEAS: Takie motywy kierują Paxem i Kościołem, Kuku, natomiast w przypadku TechnoCentrum sprawa jest bardziej złożona. Niechrześcijanie, którzy nie zechcą przecież przyjąć krzyżokształtów, nie nadają się do wykorzystania w sieci neuronowej Centrum. Jeśli jednak wprowadzić ich w stan bliski śmierci, można użyć ich mózgów do stworzenia olbrzymiej struktury do obróbki danych. Umowa jest korzystna dla obu stron: Kościół, który odpowiada za transport ciał, pozbywa się zagrożenia ze strony niewiernych, Centrum zaś, które usypia ludzi i organizuje składowiska w labiryntach, zyskuje nowe ogniwa w sieci Najwyższego Intelaktu.

GEORGE TSARONG, MAJSTER: Czy w takim razie nie ma dla nich nadziei? Czy naprawdę nie możemy im pomóc?

NAYSON HAMNIM, INTRUZ: M. Tsarong, M. Enea, pozwólcie proszę, że się wtrączę. Powinniśmy chyba uświadomić naszym przyjaciołom, że gdy nadejdzie czas wspólnych działań ofensywnych templariuszy i Intruzów, na pierwszy ogień pójdą właśnie planety, w których skorupach wydrążono labirynty. Zamierzamy wyzwolić je spod władzy Paxu i podjąć próbę przywrócenia życia uwięzionym na nich ludziom.

DORJE PHAMO (głośno): Przywrócić im życie? Niby jak? Jak chcecie tego dokonać?

ENEAS: Zadając bezpośredni cios TechnoCentrum.

LHOMO DONDRUB: A gdzie właściwie znajduje się TechnoCentrum, Eneo? Powiedz mi tylko, a natychmiast się tam udam i stawię czoło tym tchórzliwym Sztucznym Inteligencjom.

ENEAS: Posłuchaj, Lhomo, kryjówka Centrum jest jego najpilniej strzeżonym sekretem od czasów, kiedy tysiąc lat temu SI opuściły Starą Ziemię. Ich rzeczywistego, fizycznego miejsca pobytu, nie znał nikt...

Tajemnica jest ich najlepszym zabezpieczeniem przed nami, ich twórcami.

PUŁKOWNIK FEDMAHN KAS S AD.: Przewodnicząca Meina Gladstone sądziła, że istoty z Centrum żyją w szczelinach medium, w którym działały transmitery... Niczym niewidzialne pająki w niewidzialnej sieci. Dlatego właśnie wydała rozkaz zbombardowania sieci portali... Chciała uderzyć w serce TechnoCentrum. Czyżby się myliła? Czy zniszczenie transponderów poszło na marne?

ENEA: Rzeczywiście myliła się, Fedmahnie. Centrum nie znajdowało się w medium portali, czyli w Pustce, Która Łączy. Nie znaczy to jednak, że zbombardowanie transponderów nie miało sensu. Pozbawiono w ten sposób Centrum środka, który umożliwiał mu pasożytowanie na ludzkich umysłach, a przy okazji unicestwiono znaczną część megasfery.

LHOMO DONDRUB: Ale ty, Eneo, wiesz, gdzie mieszkają Sztuczne Inteligencje, prawda?

ENEA: Wydaje mi się, że tak.

LHOMO DONDRUB: Czy zdradzisz nam ich kryjówkę, żebyśmy mogli zaatakować je zębami, pazurami, bronią palną i bombami plazmowymi?

ENEA: Nie zrobię tego teraz, Lhomo; nie powiem nic, dopóki nie zyskam całkowitej pewności. Poza tym Centrum nie można zaatakować fizyczną bronią, tak jak materialna istota nie może przeniknąć do jego wnętrza.

PUŁKOWNIK FEDMAHN KASSAD.: Czyżby zatem znowu było dla nas niedostępne? Czy znów nie dojdzie do konfrontacji?

ENEA: Nie. Centrum ani nie jest dla nas niedostępne, ani nie uniknie konfrontacji. Jeżeli los mi pozwoli, osobiście poprowadzę atak; właściwie atak ten już się rozpoczął - w sposób, który, mam nadzieję,

wyjaśnię wam nieco później. Obiecuję również, że stawię czoło Centrum w jego kryjówce.

PUŁKOWNIK FEDMAHN KASSAD.: M. Eneo, córko Brawne, czy mogę zadać jeszcze jedno pytanie na temat moich przyszłych losów?

ENEA: Spróbuję na nie odpowiedzieć, pułkowniku, aczkolwiek podkreślam jeszcze raz, że nie chcę wdawać się w szczegółowe rozważania na tak niepewny temat, jakim jest nasza przyszłość.

PUŁKOWNIK FEDMAHN KASSAD.: Możesz tego nie chcieć, dziecko, ale wydaje mi się, że zasługuję na odpowiedź. Ja też czytałem te cholerne „Pieśni”. Napisano w nich, że podążyłem za Monetą w przyszłość podczas walki z Chyżwarem..., kiedy starałem się obronić przed nim pozostałych pielgrzymów. To prawda: kilka miesięcy temu przybyłem tutaj. Moneta zniknęła, a potem pojawiła się jako młodsza kobieta, Rachel Weintraub. Z poematu wynika jednak również, że wkrótce czeka mnie bitwa z armią Chyżwarów, w której zginę. Następnie zostanę pogrzebany w nowo wybudowanym Grobowcu Czasu, zwanym Kryształowym Monolitem, po czym moje ciało wyruszy w przeszłość u boku Monety. Jak to możliwe, M. Enea? Czyżbym przeniósł się w niewłaściwy czas? A może miejsce?

ENEA: Pułkowniku, był pan przyjacielem i obrońcą mojej matki i innych pielgrzymów... Zapewniam pana, że wszystko odbywa się zgodnie z planem, który gdzieś tam zapewne istnieje. Wuj Martin stworzył „Pieśni” pod wpływem takiego olśnienia, jakie było mu dane. Nie znał wszystkich szczegółów na temat pańskiego życia... mojego zresztą też. Tak naprawdę, to dowiedział się bardzo niewiele o wydarzeniach, przy których nie był osobiście obecny.

Mogę powiedzieć panu jedno, pułkowniku: walka z Chyżwarem jest prawdziwa... mniejsza już o jej metaforyczne przedstawienie. W jednej z wersji przyszłości rzeczywiście zginie pan w taki sposób - stawiwszy czoło armii Chyżwarów - a potem pańskie zwłoki w uroczystym

pogrzebie trafią do Kryształowego Monolitu. Jeżeli jednak miałyby się tak stać, czeka pana najpierw wiele innych potyczek... i wiele lat życia. Ma pan zadanie do wykonania. Proszę więc, by towarzyszył mi pan na „Yggdrasillu”, gdy za trzy dni odleczę z Biosfery. W ten sposób uczyni pan pierwszy krok na swym bojowym szlaku.

PUŁKOWNIK FEDMAHN KASSAD. (uśmiecha się): Uniknęła pani odpowiedzi na moje pytanie, M. Enea. Chciałbym zatem zapytać ... Czy za trzy dni standardowe Chyżwar znajdzie się na pokładzie Drzewa Bólu?

ENE A: Sądzę, że tak.

PUŁKOWNIK FEDMAHN KASSAD.: Nie powiedziała nam dziś pani, M. Enea, czym jest Chyżwar... ani skąd pochodzi... ani jaką odgrywa rolę w tej ciągnącej się od wieków i planowanej na dalsze stulecia grze.

ENE A: To prawda, pułkowniku. Nikomu o tym dziś nie mówiłam.

PUŁKOWNIK FEDMAHN KASSAD.: A wcześniej?

ENE A: Również nie.

PUŁKOWNIK FEDMAHN KASSAD.: Znasz jednak sekret jego pochodzenia, prawda, dziecko?

ENE A: Tak.

PUŁKOWNIK FEDMAHN KASSAD.: Czy zdradzisz go nam, córko Brawne Lamii?

ENE A: Wolałabym tego nie robić, pułkowniku.

PUŁKOWNIK FEDMAHN KASSAD.: Jeżeli jednak kolejny raz cię poproszę, uczynisz to, czy tak? A przynajmniej udzielisz odpowiedzi na moje bezpośrednie pytania na temat Chyżwara?

ENE A bez słowa kiwa głową. Widzę łzy w jej oczach.

PUŁKOWNIK FEDMAHN KASSAD.: Chyżwar po raz pierwszy pojawia się w tej samej, odległej przyszłości, w której - według „Pieśni” - mam z nim stoczyć walkę, czy tak, M. Enea? W dniu, w którym Centrum w ostatnim bastionie stawi opór wrogom?

ENE A: Zgadza się.

PUŁKOWNIK FEDMAHN KASSAD.: I jest..., a właściwie będzie, konstruktem, prawda? Sztucznym tworem, dziełem Centrum, czy tak?

ENE A: Tak.

PUŁKOWNIK FEDMAHN KASSAD.: Będzie stanowił dziwaczne połączenie niewiarygodnej techniki TechnoCentrum, energii Pustki, Która Łączy oraz cybrydalnej osobowości, opartej na autentycznej istocie ludzkiej, prawda, M. Enea?

ENE A: Owszem, pułkowniku. Będzie tym wszystkim, a zarazem czymś więcej.

PUŁKOWNIK FEDMAHN KASSAD.: I zostanie stworzony przez Centrum, lecz z czasem stanie się sługą i awatarem innych... sił... innych istot, czy tak?

ENE A: Tak.

PUŁKOWNIK FEDMAHN KASSAD.: Czy zgodziłabyś się ze mną, Eneo, gdybym nazwał Chyżwara pionkiem reprezentującym obie strony... wszystkie strony... w wojnie o ludzką duszę? Wojnie, która toczy się w przeszłości i przyszłości zarazem, niczym czterowymiarowa partia szachów?

ENE A: Tak, pułkowniku... Chociaż chyba nie pionkiem; może lepiej: wieżą.

PUŁKOWNIK FEDMAHN KASSAD.: Dobrze, niech będzie: wieżą. Czy zatem owemu cybrydowi, wytworowi inżynierii genetycznej i nanotechnologii, potwornie zmutowanemu i połączonemu z Pustką, Która Łączy... Czy na początku nada mu się osobowość jednego, konkretnego wojownika? Jego przeciwnika w trwającej tysiąc lat wojnie?

ENE A: Czy naprawdę musi pan to wiedzieć, pułkowniku? Nie ma nic gorszego, niż poznać szczegóły własnej...

PUŁKOWNIK FEDMAHN KASSAD.: Własnej przyszłości? Śmierci? Losu? Wszystko to wiem, Eneo, córko Brawne Lamii; wiem, że już przed przyjściem na świat zostałam obarczona podobnymi wizjami i podobną pewnością... Stało się to, zanim jeszcze z twoją matką przemierzyliśmy góry i morza Hyperiona, żeby stanąć oko w oko z Chyżwarem i, jak sądziliśmy, naszym przeznaczeniem. Wiem, że dużo wycierpiałas, Eneo... Więcej, niż moglibyśmy sobie wyobrazić. Każdy z nas ugiąłby się pod takim brzemieniem.

Chcę jednak znać tę część mojej przyszłości. Uważam, że długie lata służby w tej wojnie... lata, które minęły, i te, które dopiero nadejdą, dają mi prawo do otrzymania odpowiedzi.

Czy zatem Chyżwar został oparty na osobowości jednego człowieka? Żołnierza?

ENEAS: Tak.

PUŁKOWNIK FEDMAHN KASSAD.: Na mojej osobowości? Czy po tym, jak zginę, elementy Centrum... a może inne siły... wbudują moją wolę, moją duszę, w tego... potwora? A potem wyślą go w przeszłość w Kryształowym Monolicie?

ENEAS: Tak, pułkowniku. Pewne fragmenty pańskiej osobowości - ale tylko fragmenty — zostaną wykorzystane przy tworzeniu świadomego konstruktów zwanego Chyżwarem.

PUŁKOWNIK FEDMAHN KASSAD. (ze śmiechem): Zarazem mogę dożyć chwili, w której pokonam go w walce, czy tak?

ENEAS: Tak.

PUŁKOWNIK FEDMAHN KASSAD. (śmieje się szczerze, z głębi piersi): Boże... Na Allaha, jeśli wszechświat ma duszę, jest to dusza rozmiłowana w ironii. Zabijam nieprzyjaciela, zjadam jego serce i nieprzyjaciel staje się mną... a ja nim.

(Na kolejnych kilka minut zapada cisza. Widzę, że „Yggdrasil” obrócił się i ponownie zbliżamy się do zakrzywionej, wewnętrznej

ściany Drzewogwiazdy).

RACHELA WEINTRAUB: Eneo, moja przyjaciółko, ukochana nauczycielko. .. Przez te wszystkie lata, gdy słuchałam twoich nauk, dręczyła mnie pewna zagadka.

ENEAS: Co masz na myśli, Rachelo?

RACHELA WEINTRAUB: W Pustce, Która Łączy, słyszałaś głosy Innych... Głosy rozumnych istot spoza naszego czasu i przestrzeni, których wspomnienia i osobowości odbijają się echem w Pustce. Dzięki komunii twojej krwi niektórzy z nas również nauczyli się słyszeć szepty lwów, tygrysów i niedźwiedzi.

ENEAS: Jesteś jedną z najpilniej szych moich uczennic, Rachelo. Pewnego dnia i ty usłyszysz je wyraźnie, podobnie jak nauczysz się słyszeć muzykę sfer i zrozumiesz, jak zrobić pierwszy krok.

RACHELA WEINTRAUB (kręci przecząco głową): Nie to miałam na myśli, Eneo. Tajemnicą jest dla mnie obecność wśród nas obserwatora... bądź obserwatorów, wysłanych przez tych Innych... przez lwy, tygrysy i niedźwiedzie... Kogoś, kto miałby baczenie się nam przyjrzeć i zdać im raport. Czy obecność obserwatora... jednego czy może wielu, należy rozumieć dosłownie?

ENEAS: Jak najbardziej.

RACHELA WEINTRAUB: Czy mógłby - mogliby - przyjąć postać człowieka, Intruza albo templariusza?

ENEAS: Obserwatorzy nie mogą dowolnie zmieniać kształtów. Chociaż prawdą jest, że postanowili zjawić się wśród nas w jakiejś śmiertelnej postaci... Tak jak mój ojciec był śmiertelnikiem, choć miał osobowość cybryda.

RACHELA WEINTRAUB: I mają na nas baczenie już od kilkuset lat, prawda?

ENEAS: Tak.

RACHELA WEINTRAUB: Czy ten obserwator, a może jeden z obserwatorów, znajduje się dziś wśród nas? Czy jest obecny na drzewostatku? Siedzi z nami przy stole?

ENEA (z wahaniem): Rachelo, lepiej będzie, jeśli tym razem nie powiem nic więcej. Nie brakuje ludzi, którzy z miejsca zabiliby go, by bronić Paxu lub tego, co w ich mniemaniu oznacza „ludzkość”. Już samo potwierdzenie jego istnienia wiąże się z ogromnym ryzykiem. Bardzo mi przykro... Obiecuję, że ta... tajemnica... niebawem się wyjaśni, a tożsamość obserwatora czy obserwatorów stanie się ogólnie znana. I nie ja ich zdemaskuję, lecz oni sami się ujawnią.

KET ROSTEEN, TEMPLARIUSZ, PRAWDZIWY GŁOS DRZEWOGWIAZDY: Bracia w Muir, szanowni Intruzi, szlachetni goście, umiłowani przyjaciele z innych ras rozumnych, czcigodna Ty, Która Nauczasz... Dokończymy tę dyskusję w innym miejscu i czasie. Rozumiem, że wszyscy zebrani zgadzają się, by zgodnie z życzeniem M. Enei drzewostatek „Yggdrasill” za trzy dni standardowe wyruszył do kosmosu Paxu. Tym sposobem, jeżeli wystarczy nam szczęścia i odwagi, wypełnią się pradawne przepowiednie templariuszy, w których Drzewo Bólu oznacza odkupienie dla wszystkich dzieci Starej Ziemi.

Posilmy się teraz i porozmawiajmy o innych sprawach. Oficjalne spotkanie uważam za zakończone. Proponuję też, by resztę naszej podróży wypełniła przyjacielska pogawędka, smaczne posiłki i sakrament picia prawdziwej kawy, wyhodowanej z roślin ocalonych ze Starej Ziemi, naszego wspólnego domu... dobrej Ziemi.

Ogłaszam zamknięcie dyskusji.

Wieczorem, w ciszy i łagodnym świetle naszego prywatnego strąka mieszkalnego, kochaliśmy się, rozmawialiśmy na tematy osobiste, a potem urządziliśmy sobie spóźnioną drugą kolację, na którą złożyło się wino, chleb i ser z zykoziego mleka.

Enea wyszła na chwilę do wnęki kuchennej, po czym wróciła z dwoma kryształowymi bańkami wina. Podała mi jedną z nich.

— Proszę, Raul. Wypij to, kochanie.

— Dzięki - odparłem bez namysłu i już miałem podnieść naczynie do ust, gdy nagle zamarłem. - Czy to... Czy...

— Tak - powiedziała. - Komunia, której tak długo ci odmawiałam. Teraz masz wolny wybór: możesz wypić to wino, ale nie musisz tego robić. Jeśli tego nie uczynisz, i tak nie przestanę cię kochać, najdroższy.

Patrząc jej prosto w oczy, opróżniłem bańkę do dna. Napój smakował jak zwykle wino.

Enea zaczęła płakać. Odwróciła głowę, ale zdążyłem dostrzec błysk łez w jej uroczych, ciemnych oczach. Porwałem ją w ramiona i zaczęliśmy razem unosić się w ciepłym, wieczornym blasku.

— Maleńka - wyszeptałem - co się dzieje?

W sercu zakłuło mnie na myśl, że przypomniała sobie tego innego mężczyznę, małżeństwo, dziecko... Po winie kręciło mi się w głowie i zaczynało zbierać na wymioty. Może zresztą nie po winie?

Pokręciła głową.

— Kocham cię, Raul.

— I ja cię kocham, Eneo.

Pocałowała mnie w szyję i silniej przytuliła się do mnie.

— Za to, co właśnie dla mnie zrobiłeś, będą cię prześladować i ścigać...

Zmusiłem się do wesołego prychnięcia.

— Zaraz, maleńka, jestem prześladowany, odkąd na latającej macie opuściliśmy Dolinę Grobowców Czasu. Nie zaskoczysz mnie. Właściwie zrobiłoby mi się przykro, gdyby przestało im na nas zależeć.

Nie uśmiechnęła się. Poczułem, jak jej łzy ściekają mi na szyję i pierś, gdy wtuliła się we mnie jeszcze mocniej.

— Ty pierwszy pójdziesz w moje ślady, Raul - rzekła. - Zostaniesz przywódcą w trwającej całe dziesięciolecia walce. Będą cię szanowali i nienawidzili, będą cię słuchać i tobą gardzić... Będą chcieli zrobić z ciebie boga.

— Akurat - szepnąłem jej do ucha. - Wiesz, maleńka, że żaden ze mnie przywódca. Odkąd się znamy, moja rola ogranicza się do podążania za tobą. Kurczę... Właściwie cały czas staram się po prostu cię dogonić.

Enea podniosła głowę i spojrzała mi w oczy.

— Byłeś moim wybranym, zanim się urodziłam, Raulu Endymionie. Kiedy mnie zabraknie, będziesz za nas dwoje kontynuował moje dzieło. Musimy razem przetrwać w tobie...

Położyłem jej palec na ustach i scałowałem łąy z policzków i rzęs.

— Nie chcę słyszeć o tym, że miałyby któregoś z nas zabraknąć - powiedziałem rozkazująco. - Mój plan jest prosty: chcę zostać z tobą na zawsze, być przy tobie w każdej chwili... dzielić wszystko, co nam los przyniesie; co przydarzy się tobie, przydarzy się i mnie, maleńka. Kocham cię, Eneo.

Szybowaliśmy wolno w ciepłym powietrzu. Tuliłem ją w ramionach.

— Tak - odparła szeptem i objęła mnie z pasją. - Kocham cię, Raul. Razem. Zawsze. Tak.

Na tym zakończyliśmy rozmowę. W jej pocałunkach czułem wino i sól łez. Znow się kochaliśmy, a później razem odpłynęliśmy w sen, spleceni niczym dwa morskie stwory... niczym jeden, cudownie skomplikowany morski stwór, kołysany łagodnymi falami.

Następnego dnia szybko poleciliśmy statkiem konsula w stronę słońca.

Spodziewałem się, że obudzę się ze świadomością oświecenia, że spożycie wina pozwoliło mi w jedną noc osiągnąć satori; oczekiwałem, iż w najgorszym razie dużo lepiej zrozumieję istotę wszechświata - w najlepszym zaś doznam uczucia wszechwiedzy i wszechmocy. Tymczasem obudziłem się z pełnym pęcherzem, lekkim bólem głowy i garścią miłych wspomnień z ubiegłej nocy.

Enea wstała przede mną, toteż zanim wyszedłem z łazienki, zdążyła zaparzyć kawę oraz przygotować owoce i świeże, chrupiące bułeczki.

— Nie spodziewaj się takiej obsługi co rano - uprzedziła mnie z uśmiechem.

— Nie ma sprawy, maleńka. Jutro ja zrobię śniadanie.

— Omlet? - zapytała i podała mi bańkę z kawą.

Odpieczętowałem naczynie, zaciągnąłem się aromatem napoju i wycisnąłem sobie kroplę do ust, bardzo przy tym uważając, żeby się nie sparzyć i nie pozwolić jej ulecieć w powietrze.

— Jasne - odparłem. - Co tylko zechcesz.

— No to życzę powodzenia w szukaniu jajek. - Dwoma kęsami pochłonęła swoją bułkę. — Nasza Drzewogwiazda to miłe miejsce, ale kur tu nie mają.

— Szkoda - przyznałem i zerknąłem przez przezroczystą ścianę na zewnątrz. - Miałyby gdzie się nieść. Maleńka, co do tego wina... - zagadnąłem poważnym tonem. - No wiesz, minęło z osiem godzin standardowych i...

— I nie czujesz żadnej zmiany - dokończyła za mnie Enea. - No to chyba jesteś jednym z tych rzadkich osobników, na których magia nie działa.

— Serio?

W moim głosie musiała zabrzmieć zgroza albo ulga - albo jedno i drugie jednocześnie — bo Enea pokręciła głową.

— Żartowałam. Musi minąć około dwudziestu czterech godzin, a zapewniam cię, że to poczujesz.

— A gdyby zdarzyło się, że będziemy wtedy... zajęci? - zapytałem i znacząco poruszyłem brwiami. Lekki ruch wystarczył, żebym prawie odpłynął od stołu.

Westchnęła.

— Uspokój się, mały, bo ci przyszyję brwi nad oczami.

— Pewnie - mruknąłem i wyszczerzyłem się do niej znad naczynia z kawą. - Lubię, kiedy mówisz mi takie świństwa.

— Pospiesz się. - Enea wstawiła naczynie po kawie do ultradźwiękowej zmywarki i wepchnęła obrus do przetwornika.

Przełknąłem ostatni kęs i spojrzałem na niewiarygodny krajobraz, rozpościerający się za ścianą.

— Mam się pospieszyć? Po co? Wybieramy się gdzieś?

— Mamy spotkanie na statku - odrzekła. - Naszym statku. A potem musimy wrócić i dopilnować załadunku „Yggdrasilla” przed jutrzejszym odlotem.

— Dlaczego na naszym statku? - zdziwiłem się. - Nie będzie tam za ciasno po tym, ile tu jest miejsca?

— Sam zobaczysz.

Wśliznęła się w niebieskie, miękkie spodnie, zasznurowała je przy kostkach i wepchnęła do nich białą koszulę z kilkoma zamykanymi na rzepy kieszeniami. Na stopy wsunęła szare kapcie; ja przyzwyczailem się już do chodzenia bosy po okolicznych łądygach.

— Pospiesz się - powtórzyła. - Statek wyrusza za dziesięć minut, a mamy spory kawałek do strąka, w którym cumuje.

Na pokładzie rzeczywiście panował ścisk. Mimo że pole siłowe symulowało zaledwie jedną szóstą g, po oswojeniu się z nieważkością miałem wrażenie, jakbym znalazł się na Jowiszu. Dziwnie się czułem, tłocząc się w zamkniętym wnętrzu ze wszystkimi zebranymi, podczas gdy wokół nas marnowało się tyle przestrzeni. W bibliotece, przy fortepianie, na ławach, wyściełanych aż do przesady fotelach i półkach wzdłuż holoramy zasiedli Intruzi: Navson Hamnim, Systemj Coredwell, zdobna w pióra Sian Quintana Ka'an, przystosowani do życia w próżni Palou Koror i Drivenj Nicaagat oraz Paul Uray i Am Chipeta. Przybył też Het Masteen ze swym przełożonym, Ketem Rosteenem; nie zabrakło pułkownika Kassada, który nie ustępował wzrostem Intruzom; towarzyszyła nam wiekowa Dorje Phamo, po królewsku nosząca białoszarą szatę, wzdymającą się cudownie w bliskim zera ciężeniu; wraz z nią przyszli Lhomo, Rachel, Theo, A. Bettik i dalajlama. Na tym kończyła się lista towarzyszących nam istot rozumnych.

Wyszliśmy na taras, by popatrzeć, jak wewnętrzna powierzchnia Drzewogwiazdy oddala się coraz bardziej, w miarę jak statek mknie ku leżącemu w jej środku słońcu, wsparty na kolumnie błękitnych płomieni.

— Witam ponownie, pułkowniku - odezwał się statek, gdy wróciliśmy do biblioteki.

Posłałem Enei zdumione spojrzenie, zaskoczony, że statek po tylu latach rozpoznał dawnego pasażera.

— Dziękuję, statku - odparł zamyślony, jakby nieobecny duchem Kassad.

Wznoszenie się ponad zakrzywiającą się do wewnątrz powierzchnią Biosfery przyprawiało mnie o zawroty głowy, jakich nie doświadczałem obserwując malejące w dole planety. Znajdowaliśmy się w środku orbitalnej konstrukcji i o ile z gałęzi widziało się głównie otwarte przestrzenie między konarami i liśćmi, przez które

przeświecały gwiazdy, o tyle znalazłszy się tysiące kilometrów w górze dostrzegano się jednolitą kulę: olbrzymie liście zmniejszyły się i zwały w jeden ogromny, wklęsły, zielony ocean i uczucie przebywania w ogromnej misie, z której nie ma ucieczki, stało się obezwładniające.

Na pniach i gałęziach lśniła niebieskawa poświata uwięzionej polem siłowym atmosfery, jak gdyby splecione konary i migoczące liście oplótła siatka wyładowań elektrycznych. Wszędzie panował ożywiony ruch: Intruzi-aniółowie o mierzących kilkaset kilometrów skrzydłach nie tylko śmigali wśród zieleni, ale mknęli też przez otwartą przestrzeń - do środka, w kierunku słońca, albo na zewnątrz, błyskawicznie przemykając przez ciągnące się kilometrami systemy korzeniowe; błękitną atmosferę zamieszkiwały też całe gromady niniejszych istot: świetlistych pajęczków, papug, niebieskich drzewców, małą i delfinów ze Starej Ziemi, tropikalnych ryb, które w zerowym ciężeniu poszukiwały zasobnych w wodne komety obszarów, czapli, gęsi, marsjańskich kaczek koniakowych... Wkrótce znaleźliśmy się na tyle daleko, że przestałem rozróżniać większość stworzeń.

Im bardziej się od nich oddalaliśmy, tym lepiej zdawałem sobie sprawę z rozmiarów poszczególnych istot i rojów. Znalazłszy się kilka tysięcy kilometrów „nad” powierzchnią Biosfery, rozpoznałem migotanie skupisk niebieskich krążków, czyli przemieszczających się w stadach Akerataelich. Po pierwszym spotkaniu z nimi w Gwiazdodrzewie zapytałem Eneę, czy w obrębie Biosfery znajduje się ich więcej niż dwa osobniki, które widziałem na zebraniu.

— Trochę ich jeszcze jest - przyznała. - Jakieś sześćset milionów.

Teraz właśnie patrzyłem, jak bez wysiłku przemierzają w prądach powietrznych przestrzeń między odległymi o setki kilometrów gałęziami. Roje liczyły tysiące, może wręcz dziesiątki tysięcy osobników, a towarzyszyli im ich wierni słudzy - podniebne kałamarnice, zepliny, przezroczyste meduzy i ogromne, opatrzone

mackami i wypełnione gazem balony, takie jak ten, który pochłonął mnie na planecie chmur.

Tylko znacznie większe. „Mojego” stwora szacowałem na jakieś dziesięć kilometrów długości, lecz tutejsze bestie musiały być dziesięć - czy dwudziestokrotnie większe - zresztą gdyby uwzględnić niezliczone macki, wypustki, ogony, czułki i szypułki, stworzenia jeszcze zyskałyby na wielkości. Patrząc na nie zrozumiałem, że są zajęte wykonywaniem wyznaczonych im zadań: spletały gałęzie, łądygi i strąki w złożone konstrukcje, przycinały martwe odnogi i liście, wielkie niczym miasta, wpasowywały zaprojektowane przez Intruzów urządzenia w przewidziane dla nich miejsca w strukturze Gwiazdodrzewa, przenosiły materiały budowlane...

— Ile kontrolowanych przez Akerataelich zeplinów znajduje się w Gwiazdodrzewie? — zapytałem Eneę, gdy znalazła wolną chwilę.

— Nie wiem - odparła. - Zapytajmy Navsona.

— Nie mamy pojęcia - odrzekł Intruz. - Mnożą się w zależności od potrzeb. Sami Akerataeli stanowią idealny przykład roju, umysłu zbiorowego: żaden z dysków sam z siebie nie jest istotą rozumną, ale razem osiągnęły niezwykle wyżyny intelektualne. Powietrzne mątwy i inne istoty z jowiszowych planet rozmnażają się tu od ponad siedmiuset lat standardowych, przypuszczam więc, iż obecnie pracuje ich kilkaset milionów... Może nawet miliard.

Bez słowa wlepiłem wzrok w uwijające się na ginącej w dole powierzchni istoty: było ich miliard, a każda z nich dorównywała rozmiarami płaskowyżowi Pinion.

Nieco później luki w powierzchni Biosfery - milion kilometrów przed nami i pół miliona kilometrów w dole - stały się doskonale widoczne. Sektor, z którego wzlecieliśmy, był najstarszy i najgęstszy, za to dalej widziało się coraz więcej otworów: niektóre z nich pozostawiono celowo, inne czekały na chwilę, gdy zostaną zasklepione

żywą materią. Również one tętniły życiem - wśród gigantycznych drzew po precyzyjnie wyznaczonych trajektoriach fruwały wszędobylskie komety. Generowane przez Intruzów i kontrolowane przez ergi wiązki światła, naprowadzane na cel za pomocą kilkusetkilometrowej średnicy genetycznie zmodyfikowanych, lustrzanych liści, odparowywały wodę z ich powierzchni. Obłoki skroplonej pary osiadały na korzeniach i miliardach kilometrów kwadratowych listowia.

Roje rozmieszczonych starannie asteroid i księżyców pasterskich poruszały się kilkanaście, a może nawet kilkadziesiąt tysięcy kilometrów nad zewnętrzną i wewnętrzną powłoką Biosfery. Ich zadanie polegało na korygowaniu dryfu orbitalnego oraz zapewnieniu oddziaływania grawitacyjnego, które pozwalało prawidłowo rozwijać się drzewom. Małe ciała niebieskie rzucały w odpowiednich miejscach cienie na wewnętrzną powierzchnię sfery, a przy okazji służyły za punkty obserwacyjne templariuszom i Intruzom, którzy od stuleci nadzorowali realizację projektu.

Teraz zaś, gdy znaleźliśmy się pół minuty świetlnej bliżej słońca, jak gdyby w poszukiwaniu punktu translacji, wydawało mi się, że ruch jeszcze się nasilił: wszędzie kręciły się okręty bojowe Intruzów - wedle standardów Paxu całkowicie przestarzałe - opatrzone bąblami silników Hawkinga i generatorami pół siłowych, staromodne niszczyciele, statki klasy K3 rodem z minionej epoki, smukłe towarowe żaglowce słoneczne z ogromnymi, zakrzywionymi żaglami z monopłótna... Nie brakowało też pojedynczych aniołów o ruchliwych, migotliwych skrzydłach, śmigających w tę i z powrotem, do słońca i w dół, ku Biosferze.

Enea wróciła do środka w towarzystwie kilku osób, z którymi prowadziła ożywioną dyskusję na wciąż aktualny temat: jak

powstrzymać atak Paxu, jaki fortel zastosować, by zapobiec napaści olbrzymiej floty... Ja jednak miałem ważniejsze sprawy na głowie.

Kiedy A. Bettik odwrócił się i zamierzał zejść z tarasu, złapałem go za rękaw.

— Możesz jeszcze chwilę zostać? Chciałbym z tobą porozmawiać - poprosiłem.

— Ależ oczywiście, M. Endymion - odparł swoim zwykłym, łagodnym tonem.

Odczekałem, aż zostaniemy sami; dobiegający z wnętrza statku szmer rozmów zapewniał nam minimum prywatności. Oparłem się o barierkę.

— Przepraszam, że nie mieliśmy okazji pogadać, odkąd znaleźliśmy się w Gwiazdodrzewie - zagailem.

Pozbawiona owłosienia czaszka A. Bettika połyskiwała w ciepłym świetle słońca. Kiedy spojrzenie androida spoczęło na mnie, było jak zawsze przyjazne i spokojne.

— Nic nie szkodzi, M. Endymion. Wydarzenia i tak toczą się tu w oszalamiającym tempie. Zgadzam się jednakowoż z panem, iż ta konstrukcja sprawia, że ma się ochotę o niej porozmawiać. - Machnięciem zdrowej ręki ogarnął krzywiznę Gwiazdodrzewa, która w sąsiedztwie oślepiającego słońca zdawała się rozmywać we mgle.

— Nie chodzi mi o Gwiazdodrzewo ani Intruzów - powiedziałem cicho. Przysunąłem się do A. Bettika, który tylko pokiwał głową. - Towarzyszyłeś Enei w podróży przez wszystkie planety, na jakie trafiła między Starą Ziemią i Tien Szanem. Byliście razem na Iksjonie, Maui-Przymierzu, Renesansie i pozostałych, prawda?

— Owszem, M. Endymion. Spotkał mnie zaszczyt podróżowania z nią w okresie, w którym zgodziła się mieć towarzyszy.

Zagryzłem wargę; wiedziałem, że zaraz zrobię z siebie idiotę, ale nie miałem wyboru.

— A co się działo w czasie, gdy nie pozwalała wam sobie towarzyszyć?

— Chodzi panu o okres, który spędziłem na Groombridge Dysonie D razem z Rachelą, Theo i pozostałymi? Kontynuowaliśmy dzieło M. Enei. Ja osobiście zajmowałem się konstrukcją...

— Nie, nie - przerwałem mu. - Co wiesz o jej nieobecności?

A. Bettik zawahał się przez moment.

— Dosłownie nic, M. Endymion. Zapowiedziała nam, że przez jakiś czas jej nie będzie. Dopilnowała, żebyśmy mieli co robić, a poza tym pracowała ze swoimi... uczniami. A potem pewnego dnia zniknęła - jak się okazało na mniej więcej dwa lata standardowe.

— Na rok, jedenaście miesięcy, tydzień i sześć godzin - uzupełniłem.

— Tak, M. Endymion. Nie myli się pan.

— A po powrocie... Czy nigdy nie mówiła, co się z nią działo?

— Nie, M. Endymion. O ile mi wiadomo, nigdy nikomu o tym nie wspominała.

Miałem ochotę złapać go za ramiona, potrząsnąć nim, zmusić go do zrozumienia, dlaczego jest to dla mnie sprawa życia i śmierci. Czy zrozumiałby mnie? Nie miałem pojęcia, ale starając się zachować spokój, jakby w ogóle mnie to nie interesowało - co zresztą zupełnie mi się nie powiodło - spytałem:

— Czy zauważyłeś w niej jakąś niezwykłą zmianę po powrocie z tego urlopu?

Tym razem zwłoka w odpowiedzi nie wynikała chyba z wahania, czy ma mi odpowiedzieć, lecz raczej świadczyła o wysiłku związanym z przypominaniem sobie niuansów ludzkiego zachowania.

— Niemal natychmiast po tym wyruszyliśmy na Tien Szan, M. Endymion. Jeśli jednak dobrze pamiętam, M. Enea przez kilka miesięcy bardzo łatwo ulegała emocjom: w jednej chwili promieniała

szczęściem, by zaraz potem popaść w rozpacz. Zanim przybył pan na Tien Szan, owo rozchwianie emocjonalne zanikło.

— A ona nie mówiła, z czego mogłoby wynikać? - Czułem się jak świnia, wypytując w ten sposób o moją ukochaną, ale wiedziałem, że ze mną nie zechciałaby o tym rozmawiać.

— Nie, M. Endymion. Nigdy nie wspominała o przyczynach, ja zaś zakładałem, iż chodzi o wydarzenie bądź wydarzenia, które nastąpiły podczas jej nieobecności.

Odetchnąłem głęboko.

— A zanim zniknęła, jeszcze na poprzednich planetach... Na Amritsarze, Patawpha... na wszystkich, które odwiedziliście przed Groombridge Dysonem D... Czy miała... To znaczy, czy była... Czy był ktoś jeszcze?

— Nie rozumiem o czym pan mówi, M. Endymion.

— Czy w jej życiu pojawił się inny mężczyzna, A. Bettiku? Ktoś, kogo darzyła uczuciem? Ktoś, kto mógłby być jej szczególnie bliski?

— Aha - rzekł android. - Nie, M. Endymion. Nie było żadnego mężczyzny, który przejawiałby jakieś szczególne zainteresowanie M. Eneą... Oczywiście wyłączając tych, którzy traktowali ją jak nauczycielkę i mesjasza.

— Jasne - przytaknąłem. - I po roku, jedenastu miesiącach, tygodniu i sześciu godzinach nikt z nią nie wrócił?

— Nie, M. Endymion.

Złapałem go za rękę.

— Dziękuję, przyjacielu. I przepraszam za te głupie pytania. Po prostu... Nie rozumiem... Czegoś mi tu... Zresztą, to bez znaczenia. Po prostu takie głupie ludzkie uczucia. — Odwróciłem się do niego plecami z zamiarem powrotu do wnętrza statku.

A. Bettik chwycił mnie za nadgarstek.

— M. Endymion - rzekł cicho - jeżeli ma pan na myśli miłość, to wydaje mi się, iż wystarczająco długo obserwują rodzaj ludzki, by stwierdzić, że nigdy nie jest ona uczuciem głupim. Sądzę, że M. Enea ma rację, kiedy naucza o niej jako głównej sile sprawczej we wszechświecie.

Zastygłem w bezruchu i z rozdziawionymi ustami gapiłem się, jak android wraca do zatłoczonej biblioteki.

Decyzja już niemal została podjęta.

— Uważam, że powinniśmy wysłać sondę z napędem Gedeona i na jej pokładzie umieścić wiadomość - dobiegły mnie słowa Enei, gdy wróciłem do salonu. - I że należy to zrobić w ciągu najbliższej godziny.

— Skonfiskują ją - zauważyła Sian Quintana Ka'an melodyjnym kontraltem. - A to ostatnia tego typu jednostka, jaką mamy.

— To dobrze - zauważyła Enea. - Napęd Gedeona to plugastwo. Każde jego użycie niszczy fragment Pustki.

— Można jednak wykorzystać sondę jako nośnik broni - rzekł Paul Uray. Jego ostry akcent sprawiał, że słuchało się go jak przez trzeszczące radio.

— Żeby ostrzelać armadę głowicami nuklearnymi i plazmowymi? - spytała Enea. - Myślałam, że odrzuciliśmy już tę możliwość.

— To jedyna szansa, żeby uprzędzić ich uderzenie - stwierdził pułkownik Kassad.

— Nie ma sensu tego robić - wtrącił Prawdziwy Głos Gwiazdodrzewa Ket Rosteen. - Sondy nie da się precyzyjnie wycelować, a archanioł zniszczyłby ją kilka minut świetlnych przed osiągnięciem celu. Zgadzam się z Tą, Która Naucza: należy wysłać wiadomość.

— A czy to na pewno ich powstrzyma? - zapytał z powątpiewaniem Systemj Coredwell.

Enea skinęła ręką w tak dobrze znanym mi geście.

— Nie mamy żadnej gwarancji... Jeśli jednak wytrącimy ich z równowagi, wyślą własne sondy, żeby zatrzymać flotę. Chyba warto spróbować.

— Jak będzie brzmiała wiadomość? - spytała Rachel.

— Dajcie mi pergamin i pisak.

Theo przyniosła żądane przedmioty i położyła je na steinwayu. Wszyscy - nie wyłączając mnie - skupili się wokół Enei, która skreśliła następujące słowa:

Do: papieża Urbana XVI i kardynała Lourdusamy

Przybywam na Pacem, do Watykanu.

Enea

— Proszę - powiedziała, podając pergamin Navsonowi Hamnimowi.
- Kiedy zacumujemy, załadujcie to do sondy, nastawcie transponder na „komunikat drukowany” i wyślijcie ją na Pacem.

Mężczyzna przyjął kartkę z jej rąk. Nie nauczyłem się jeszcze odczytywać emocji z twarzy Intruzów, ale nie miałem wątpliwości, że coś go poruszyło - kto wie, czy nie słabsza wersja przerażenia i niedowierzania, które przepełniały mnie w tym momencie.

„Przybywam na Pacem”. Co to, psia krewa, miało znaczyć? Jak to możliwe, żeby Enea przeżyła wizytę na Pacem? Nie miała szans! Gdziekolwiek zaś się wybierała, byłem pewien tylko jednego: że będę przy niej... Wobec tego, jeśli dotrzyma obietnicy, ja również musiałbym zginąć - a nie zwykła łamać danego słowa. „Przybywam na Pacem”. Czy tym podstępem chciała opóźnić atak floty? Groźba bez pokrycia... Ale może ich zatrzyma? Miałem ochotę potrząsnąć nią za ramiona, tak żeby zęby jej powypadały - albo żeby wszystko mi wyjaśniła.

— Raul - powiedziała i dała mi znak, żebym podszedł bliżej. Miałem nadzieję, że zaraz otrzymam tak pożądane wytłumaczenie, że odczytała z mojej twarzy co dzieje się w mojej duszy, ale skończyło się

na propozycji: - Palou Koror i Drivenj Nicaagat chcą mi pokazać co to znaczy fruwać jak anioł. Chcesz spróbować? Lhomo też się wybiera.

Fruwać jak anioł? Przez chwilę odniosłem wrażenie, że postradała rozum.

— Mają dodatkową próznioskórę, więc nie będzie kłopotu, ale musimy zaraz wyruszyć. Wracamy do Gwiazdodrzewa; za parę minut cumowanie. Het Masteen musi się zająć załadunkiem „Yggdrasilla”, a ja mam ze sto rzeczy zrobienia na jutro.

— Oczywiście - mruknąłem, nie bardzo wiedząc z czym się zgadzam. - Idę z wami.

Byłem na tyle wściekły, że przyszło mi do głowy, iż moja odpowiedź doskonale charakteryzuje całą dziesięcioletnią odyseję, jaką miałem za sobą: Pewnie, nie mam pojęcia, co jest grane i w co się pakuję, ale wchodzę w to.

Palou Koror wręczyła nam próznioskóry. Nie pierwszy raz miałem do czynienia z tego rodzaju kombinezonem; zaledwie kilka tygodni wcześniej - choć bardziej prawdopodobne wydawało mi się, że upłynęły już miesiące, a może nawet lata od tamtych czasów - próznioskóry przydały się nam przy wspinaczce na Taj Szan w Państwie Środka. Nigdy jednak nie widziałem czegoś podobnego.

Próznioskóry mają kilkusetletnią historię; opierają się na idei, że najlepszym sposobem zabezpieczenia ciała ludzkiego przed rozsadzeniem w próżni nie jest gruby, niezgrabny skafander, jaki znamy z pierwszych lat podboju kosmosu, lecz ubiór ochronny tak cienki, by przepuszczać pot, chroniąc zarazem właściciela przed okrutnym zimnem, gorącem i niskim ciśnieniem. Przez te kilkaset lat nie wprowadzono w ich konstrukcji znaczących zmian, może poza uzupełnieniem struktury o włókna dwudechów i panele osmotyczne. Oczywiście ostatnia próznioskóra, którą na sobie miałem, a którą Nemes rozdarła na strzępy, pochodziła z czasów Hegemonii.

Teraz jednak trzymałem w rękach coś zupełnie innego: Palou Koror położyła mi na dłoni olbrzymią, choć zarazem pozbawioną ciężaru kroplę ciepłej, srebrzystej protoplazmy. Poruszała się i drżała jak rtęć... nie, jak żywa istota o półpłynnym ciele. Zaskoczony omal jej nie upuściłem, ale w ostatniej chwili złapałem ją drugą ręką. Protoplazma podpełzła kilka centymetrów w górę mojego ramienia, za nadgarstek, niczym jakiś mięsożerny, obcy organizm.

Chyba powiedziałem coś na głos, bo Enea uspokoiła mnie:

— Ta próznioskóra naprawdę żyje, Raul. Powstała na drodze manipulacji genetycznych i nanotechnicznych i ma zaledwie trzy molekuły grubości.

— A jak się ją zakłada? - Patrzyłem, jak przezroczysta masa wspina się po mojej ręce coraz wyżej, do rękawa tuniki, po czym cofa się w dół. Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że obserwuję drapieznika, a nie część garderoby. Poza tym z próznioskórami zawsze był pewien problem: należało je nosić bezpośrednio na gołe ciało, bez żadnych warstw pośrednich.

— To proste - rzekła Enea. - Nie ma mowy o szarpaniu się i naciąganiu, jak ze starymi skafandrami. Rozbierz się do naga, stań spokojnie i połóż sobie tę kroplę na głowie. Obleje cię całego. Tylko się pośpiesz.

Nie mogę powiedzieć, żeby jej słowa obudziły we mnie szczególny entuzjazm.

Przeprosiliśmy wszystkich na moment i wbiegliśmy po schodach do sypialni na dziobie statku. Pospiesznie zrzuciliśmy ubranie. Spojrzałem na moją ukochaną, staliśmy tuż obok zabytkowego (i całkiem wygodnego, jak doskonale pamiętałem) łoża konsula i zamierzałem właśnie zaproponować lepszy sposób spędzenia wolnego czasu, gdy Enea pogroziła mi palcem, podniosła grudę protoplazmy nad głowę i pozwoliła jej opaść na włosy.

Zaniepokoiłem się patrząc, jak srebrzysty stwór pochłania jej ciało, spływa na ciemnoblond czuprynę niczym roztopiony metal albo błyszcząca lawa, dalej na szyję, ramiona, piersi, brzuch, biodra, łono, uda, kolana... Na koniec Enea podniosła jedną nogę, potem drugą i próżniokóra oblała ją w całości.

— Wszystko w porządku? - zapytałem słabym głosem. Moja własna kropla srebra drżała mi w dłoni, czekając, kiedy będzie mogła się na mnie rzucić.

Enea - a właściwie chromowy posąg, który przed chwilą był Enea - pokazała mi wyprostowany kciuk i podniosła rękę do gardła. Zrozumiałem: tak samo, jak w skafandrze Hegemonii, od tej pory mogła się porozumiewać tylko przez mikrofony subwokalizacyjne.

Podniosłem pulsującą grudę nad głowę, zamknąłem oczy i rozsunąłem dłonie.

Wszystko odbyło się w niespełna pięć sekund. Przez jedną krótką, przerażającą chwilę czułem, że się uduszę - lepka masa zalała mi nos i usta - ale wtedy przypomniałem sobie o oddychaniu i nabrałem powietrza w płuca: było czyste i świeże.

Słyszysz mnie, Raul? Głos Enei dobiegł mnie znacznie wyraźniej, niż ze słuchawek w starej próżniokórze.

Pokiwałem głową i subwokalizowałem w odpowiedzi: Całkiem nieźle. To dziwne uczucie.

Jesteście gotowi? M. Enea? M. Endymion? Chwilę trwało, nim zdałem sobie sprawę, że to Drivenj Nicaagat, drugi ze znanych mi żyjących w otwartym kosmosie Intruzów, włączył się na linię. Nieraz już słyszałem jego głos, Zawsze jednak przetworzony przez syntezytor mowy; przy bezpośrednim kontakcie brzmiał jeszcze bardziej melodyjnie i czysto niż ptasie trele Sian Quintany Ka'an.

Gotowi, odparła Enea. Zeszliśmy po kręconych schodach, precyzyjnie się przez tłum i znaleźliśmy się na tarasie.

Życzę powodzenia, dobiegł nas głos A. Bettika, korzystającego z aparatury komunikacyjnej statku. Dotknął każdego z nas, gdy stawaliśmy przy balustradzie obok Koror i Nicaagata.

Lhomo już czekał. Srebrzysta próznioskóra podkreślała każde włókno rysujących się wyrazie mięśni na jego nagich ramionach, udach i brzuchu. Przez chwilę głupio mi się zrobiło i zacząłem żałować, że nie mam na sobie czegoś więcej niż mikronowej grubości skafandra i że nie dbałem o utrzymanie lepszej formy. Enea wyglądała prześlicznie, niczym chromowa rzeźba tak ukochanego przeze mnie ciała. Cieszyłem się, że tylko android towarzyszy nam na tarasie.

Statek zbliżył się do powierzchni Gwiazdodrzewa na odległość kilku tysięcy kilometrów i ostro hamował. Palou Koror dała nam znak i bez wysiłku wskoczyła na barierkę tarasu, z łatwością łapiąc równowagę przy jednej szóstej ziemskiego ciężenia. Drivenj Nicaagat poszedł w jej ślady, następny był Lhomo, potem Enea, a na końcu - z o wiele mniejszym wdziękiem - dołączyłem do nich i ja. Wrażenie znalezienia się nad bezdenną przepaścią było prawie obojętne: pod nami rozciągała się zielona niecka Biosfery, po obu stronach liściaste ściany wznosiły się w nieskończoność, kadłub statku zakrzywił się pod naszymi stopami, balansując na smukłym słupie ognia z dysz silników, niczym budynek chwiejnie wsparty na kruchym, niebieskim filarze. Dotarło do mnie, że zaraz skoczemy w tę przepaść - i poczułem zalewającą mnie falę mdłości.

Proszę się nie martwić. Pole siłowe zostanie otwarte dokładnie w momencie waszego skoku, a potem przejdę na repulsory kiedy znajdziecie się w zasięgu płomieni z dysz. Zrozumiałem, że tym razem odezwał się statek. Nie miałem pojęcia, co planujemy.

Skafandry powinny dać wam pewne pojęcie o tym, jak wygląda nasza adaptacja do życia w otwartym kosmosie, włączyła się Palou Koror. Oczywiście ci spośród nas, którzy zdecydowali się na pełną

integrację, nie potrzebują na wpół rozumnych prózioskór i wbudowanych w nie molekularnych mikroprocesorów, żeby żyć i podróżować w próżni; wykorzystujemy do tego odpowiednio przekształcone obwody w naszych ciałach - we krwi, w mózgu, w skórze.

Ale jak... zacząłem, czując, że mam kłopoty z subwokalizacją, zupełnie jakby suchość w gardle mogła wpłynąć na pracę mięśni krtani.

Proszę się nie niepokoić, rzekł Nicaagat. Nie rozłożymy skrzydeł, dopóki wystarczająco nie oddalimy się od statku. Nie ma też mowy o zderzeniu; pole siłowe do tego nie dopuści. Sterując skrzydłami zawierzcie intuicji. Układy optyczne prózioskóry sprzęgną się z waszym układem nerwowym i neurosensorami, żeby w razie potrzeby wyświetlić niezbędne dane.

Dane? Jakie znowu dane? Zamierzałem tylko tak pomyśleć, ale nadajnik posłał moje słowa do wszystkich.

Enea złapała mnie za rękę.

Spodoba ci się, Raul. Przypuszczam, że to jedyne chwile, które dziś uda nam się spędzić razem. Może nie tylko dziś.

W tamtym momencie, stojąc na barierce na skraju przerażającej otchłani, nie skupiłem się zbyt na znaczeniu jej słów.

Chodźmy, zakomenderowała Palou Koror i zeskoczyła z balustrady.

Trzymając się za ręce poszliśmy z Enea w jej ślady.

Puściła mnie, gdy zakręciło nami i poleciliśmy w przeciwnych kierunkach. W polu siłowym otworzyła się luka, przez którą odskoczyliśmy na bezpieczną odległość, po czym otaczająca kadłub powłoka ponownie się scalała i statek przemknął obok nas, lecąc pozornie ku górze - hamował ze znacznie większym przeciążeniem niż my w tej chwili. Spadaliśmy, pięć srebrzystych postaci z rozpostartymi szeroko ramionami, coraz dalej i dalej od siebie; mknęliśmy ku

plecionce Gwiazdodrzewa, od której wciąż dzieliły nas tysiące kilometrów. I wtedy rozłożyliśmy skrzydła.

Dla naszych celów w zupełności wystarczą nam dziś skrzydła świetlne o rozpiętości około kilometra, poinformowała nas Palou Koror. Gdybyśmy mieli pokonać większą odległość, albo poruszać się szybciej, rozpostarłyby się znacznie szerzej, może nawet na kilkaset kilometrów.

Kiedy podniosłem ręce, płaty energii wyrastające z mojej próżniokóry rozłożyły się niczym skrzydła motyla. Dosłownie poczułem impet światła słonecznego.

Tym, co nas popycha, jest właściwie prąd głównego pola magnetycznego, wzdłuż linii którego się przemieszczamy, oznajmiła Palou Koror. Pozwólcie, że na chwilę przejmę sterowanie waszymi skafandrami... No, już.

Coś zmieniło się w moim polu widzenia. Spojrzałem w lewo, gdzie obok mnie leciała Enea, odległa już o ładne kilka kilometrów; przypominała lśniąca poczwarkę, która właśnie rozkłada złociste skrzydła. Tym razem naprawdę zobaczyłem wiatr słoneczny, strumienie naładowanych cząstek, fale plazmy, skręcające się zgodnie z nieskończone złożonymi prawami geometrii heliosfery. Wijące się, czerwone linie pola magnetycznego poruszały się nieustannie, jakby namalowano je na wewnętrznej powierzchni spiralnej, pozostającej w ciągłym ruchu muszli. Rozedrgane, wielowarstwowe i wielobarwne smugi prowadziły wzrok ku słońcu, które z bladej gwiazdki zmieniło się w splot milionów zbiegających się w nim linii sił pola. Bryzgały zeń pióropusze plazmy, miotane z prędkością czterystu kilometrów na sekundę, skręcane pod wpływem pulsujących pól, najsilniejszych przy biegunach gwiazdy; fioletowe krzywizny linii pola biegnących ku słońcu mieszały się i przenikały ze szkarłatnymi płaszczyznami, symbolizującymi pole skierowane za zewnątrz; błękitne wiry

heliosferycznych fal uderzeniowych migotały na zewnętrznej powierzchni Gwiazdodrzewa; księżyce i komety rozcinały ocean plazmy niczym statki przemierzające nocne, fosforyzujące morze; widziałem, jak nasze złote skrzydła oddziałują z plazmą i magnetycznym medium, jak w ich sieć wpadają fotony na podobieństwo miliardów robaczków świętojańskich, jak delikatna materia wydyma się niczym żagle, w które dmie plazmowy wichur. Nasze srebrzyste ciała rozpędzały się coraz bardziej, mknąc wzdłuż rozmigotanych linii i magnetycznych spiral.

Poza poszerzeniem widma układ optyczny próznioskóry wyświetlał mi na bieżąco informacje o trajektorii lotu i mnóstwo danych, które dla mnie nic nie znaczyły — - za to dla Intruzów ich znajomość była sprawą życia lub śmierci. Migają mi równania i wzory funkcji, jak gdyby unosząc się w przestrzeni na granicy ostrości widzenia. Pamiętam tylko kilka z nich.

$GM3Mc McV2cir$

----- = -----

$r^2 r$

$V12 + ?V2 + 2?V(Vi2 + V2)1/2 > Vi2 + ?V2 + 2 ?VVi$

Nawet nie rozumiejąc żadnego z równań wiedziałem, że zbliżamy się do Gwiazdodrzewa ze zbyt dużą szybkością. Na początku pędziliśmy z taką samą prędkością, jak statek, a potem jeszcze przyspieszyliśmy, gnani wiatrem słonecznym i falami plazmy. Zaczynałem już rozumieć, jak korzystając ze skrzydeł Intruzów można oddalić się od gwiazdy, i to w niezłym tempie, co jednak należało zrobić, żeby zatrzymać się na odcinku - tak na oko - poniżej tysiąca kilometrów?

Fantastyczne, dobiegł mnie głos Lhomo. Niewiarygodne.

Przekręciłem głowę na tyle, żeby dostrzec naszego przyjaciela-lotnika z Tien Szanu: znajdował się daleko z lewej, kilka kilometrów

pod nami. Zanurzył się już w listowiu i śmigał tuż nad niebieską, rozmytą poświatą pola siłowego, okrywającą gałęzie i przestrzeń pomiędzy nimi na kształt osmotycznej membrany.

Jak on to zrobił?

Chyba znów musiałem subwokalizować swoją myśl, bo usłyszałem w odpowiedzi charakterystyczny, basowy śmiech Lhomo.

UŻYJ skrzydeł, Raul, rzekł lotnik. Współdziałaj z drzewem i ergami!

Jak to: współdziałaj z drzewem? Z jakimi ergami? Facet chyba postradał zmysły.

Wtedy właśnie zobaczyłem, jak Enea rozkłada skrzydła, kierując nimi jednocześnie myślą i ruchami ramion. Spojrzałem za jej plecy, gdzie płatanina gałęzi mknęła nam na spotkanie z przerażającą szybkością - i zacząłem rozumieć, na czym polega sztuczka.

Dobrze, odezwał się Drivenj Nicaagat. Teraz złap wsteczny wiatr. Dobrze.

Dwaj Intruzi zatrzepotali skrzydłami jak motyle, a ja ujrzałem wzbijający się im na spotkanie z Gwiazdodrzewa podmuch energii. Przemknąłem obok nich, jakbym kontynuował swobodny spadek, podczas gdy oni nagle otworzyli spadochrony.

Z bijącym sercem, dysząc ciężko pod osmotyczną błoną próznioskóry, rozłożyłem szeroko ręce i nogi i siłą woli zmusiłem skrzydła do zwiększenia powierzchni. Płaszczyzny energii zamigotały i rozpostarły się do szerokości co najmniej dwóch kilometrów. Znajdujące się pod moimi stopami liście zaczęły się powoli obracać, jak na odtwarzanym w zwolnionym tempie przyrodniczym holofilmie, po czym nałożyły się częściowo na siebie, tworząc gładką, paraboliczną misę o średnicy jakichś pięciu kilometrów. W tejże chwili ich powierzchnia zmieniła się w lustro.

Zalało mnie światło słońca. Oślepląbym natychmiast, gdyby nie chroniący moje oczy wizjer próznioskóry, który od razu zareagował

przyciemnieniem obrazu. Dosłownie usłyszałem, jak promienie słoneczne uderzają w mój skafander i skrzydła - zabębniły na nich niczym ulewny deszcz na blaszanym dachu. Rozłożyłem szerzej ramiona, żeby złapać wsteczny podmuch, żyjące zaś w Gwiazdodrzewie ergi zakrzywiły pole heliosfery i skierowały na nas strumień plazmy, który pozwolił nam gwałtownie, choć bezboleśnie wyhamować. Zatrzepotaliśmy z Eneą skrzydłami i wpadliśmy pomiędzy pierwsze splecione gałęzie Biosfery. W wizjerze wciąż migwały mi matematyczne formuły:

Nadal ich nie rozumiałem, ale w jakiś sposób dawały mi poczucie pewności, że drzewo odbija odpowiednią ilość słonecznego światła - w funkcji jego masy i jasności - erg zaś wspomaga te wysiłki wystarczającym strumieniem plazmy i energii magnetycznej, żeby wyhamować nas do zera, zanim grzotniemy w któryś z głównych konarów albo zderzymy się z jego polem siłowym.

Lecieliśmy z Eneą za Intruzami, identycznie sterując skrzydłami, to rozpościerając je maksymalnie, to znów gwałtownie trzepocząc, na przemian hamowaliśmy i łapaliśmy w nie wiatr słoneczny, który pchał nas naprzód, pikowaliśmy w stronę niższych gałęzi, śmigaliśmy nad listowiem i znów zanurzaliśmy się w plątaninę drzew, składaliśmy skrzydła, żeby prześliznąć się między strąkami i pod przęsłami pól siłowych; przyglądaliśmy się z bliska zapracowanemu kałamamicom, o mackach dziesięć razy dłuższych niż statek konsula, który właśnie ostrożnie zbliżał się do warstwy liści; i znów rozkładaliśmy skrzydła, by śmignąć obok ławicy błękitnych dysków Akerataelich - wydawało mi się, że machają do nas, kiedy ich mijamy.

Na jednym z pni, tuż pod otoczką powierzchnią pola siłowego znajdowała się olbrzymia platforma. Nie miałem pojęcia jak zachowają się skrzydła w zetknięciu z polem, ale poświata zamigotała tylko leciutko, gdy Palou Koror przeleciała przez nią niczym pływak,

wdzięcznym ruchem zanurzający się w niewzruszonej wodzie. Za chwilę zanurkował Drivenj Nicaagat, potem Lhomo, Enea i ja. Przy przekraczaniu bariery energetycznej podkurczyłem skrzydła, tak że wpadając w atmosferę miały najwyżej z dziesięć metrów szerokości. Wróciły dźwięki, zapachy i chłodny wietrzyk.

Wylądowaliśmy na platformie.

— Bardzo ładnie, jak na pierwszy lot - przyznała Palou Koror znanym mi już, syntetyzowanym głosem. - Chcieliśmy podzielić się z wami częstką naszego życia.

Enea dezaktywowała próznioskórę wokół twarzy i skafander spłynął jej na ramiona niczym kołnierz z rtęci. Nigdy przedtem nie widziałem, żeby oczy jej tak błyszcząły. Skórę miała zaróżowioną, a włosy wilgotne od potu.

— To było cudowne! - wykrzyknęła i ścisnęła moją dłoń. - Cudowne..
. Dziękuję wam bardzo, dziękuje, wolni ludzie.

— Cała przyjemność po naszej stronie, o dostojna Ty, Która Nauczasz.

Podniósłszy wzrok zorientowałem się, że „Yggdrasill” jest przycumowany do Gwiazdodrzewa nad naszymi głowami; jego kilometrowej długości pień i konary stapiały się z drzewami tworzącymi Biosferę. Tylko statek konsula, który właśnie zniknął w strąku pełniącym na drzewostatku rolę hangaru - wciągany tam przez olbrzymią kałamamicę — pozwolił mi zidentyfikować „Yggdrasilla”. Dostrzegłem pogrążone w pracy klony załogowe, przenoszące na statek Heta Masteena sześciiany Móbiusa; niezliczone łądygi i pnącza łączyły drzewostatek z Gwiazdodrzewem, zasilając układy podtrzymywania życia.

Enea nie puszczała mojej ręki. Kiedy przeniosłem na nią wzrok, przysunęła się i pocałowała mnie w usta.

— Wyobrażasz to sobie, Raul? - zagadnęła. - Miliony Intruzów żyjących tak na co dzień... widzą pulsującą energię... całymi miesiącami przemierzają pustkę... dają się nieść wzburzonym magnetosferom wokół planet... mkną wraz z podmuchami wiatru słonecznego, który niesie ich miliony kilometrów w kosmiczny mrok, a potem dalej, do granicy heliopauzy, ponad sto jednostek astronomicznych od słońca, gdzie wiatr cichnie i zaczyna się prawdziwa przestrzeń między gwiazdami. Możesz to sobie wyobrazić? Szum, szept i grzmot fal przyboju kosmicznego oceanu?

— Nie - odparłem. Nie umiałem sobie tego wyobrazić, nie wiedziałem nawet, o czym mówi. Jeszcze nie.

Z łodygi transportowej wynurzyli się A. Bettik, Rachela, Theo, Kassad i kilkoro pozostałych. Rachela przyniosła ubranie Enei, A. Bettik trzymał moje.

Wszyscy stłoczyli się wokół mojej przyjaciółki. Posypały się pytania, na które natychmiast należało znaleźć odpowiedź, prośby o wyjaśnienie rozkazów, raporty o bliskim już wysłaniu sondy z napędem Gedeona. Tłum nas rozdzielił.

Enea odwróciła się i pomachała do mnie. Podniosłem rękę - wciąż odzianą w srebrzystą próznioskórę - ale zanim zdążyłem pomachać, Enea była już daleko.

Wieczorem wraz z kilkuset osobami znalazłem się w strąku transportowym, ciągniętym przez kosmiczną mątwę do miejsca leżącego tysiące kilometrów na pomocny zachód nad płaszczyzną ekliptyki, wewnątrz Biosfery. Podróż zajęła nam niespełna pół godziny, gdyż kałamarnica poleciała skrótem, ścinając krzywiznę Gwiazdodrzewa wprost do punktu docelowego.

Konstrukcja strąków mieszkalnych, platform komunalnych, piętrzących się wokół nas konarów i pomostów w tej części Gwiazdodrzewa różniła się nieco od znanych mi dotąd okolic choć

według każdej sensownej topografii Biosfery należało przyznać, że oba obszary znajdują się względnie blisko siebie. Wszystko było tu większe, barokowe, bardziej obce, a mieszkańcy mówili z dziwnym akcentem. Intruzi mieli ponadto zwyczaj ozdabiania swoich strojów barwnymi, opalizującymi wstęgami, jakich dotychczas nie spotkałem. W atmosferze nie brakowało nowych gatunków ptaków i zwierząt; w zamglonym powietrzu pływały egzotyczne istoty przypominające orki ze Starej Ziemi, ale o ciałach zaopatrzonych w krótkie ramiona, zakończone smukłymi dłońmi.

Skoro na przestrzeni zaledwie paru tysięcy kilometrów nastąpiła taka zmiana, nie potrafiłem sobie nawet wyobrazić różnorodności kultur i form życia w całej Biosferze. Pierwszy raz dotarł do mnie sens słów powtarzanych mi przez Eneę i pozostałych: wewnętrzna powierzchnia ukończonych sektorów Gwiazdodrzewa przewyższała łączną powierzchnię wszystkich planet, jakie ludzkość odkryła w tysiącletnich dziejach podboju kosmosu. Kiedy konstrukcja zostanie ukończona, a Biosfera zacznie w pełni sprawnie funkcjonować, nadające się do zamieszkania obszary przerosną łączną powierzchnię wszystkich planet w naszej Galaktyce.

Powitali nas miejscowi urzędnicy; trumnie przybyli na okoliczne platformy dygnitarze zgotowali nam gorącą owację, po czym trafiliśmy do strąka tak wielkiego, że z powodzeniem mógłby uchodzić za niewielki księżyc.

Tam czekał na nas tłum złożony z kilkuset tysięcy Intruzów i templariuszy, kilkuset Seneszajów i ławic skupionych wokół centralnego podwyższenia Akerataelich. Ze zdumieniem zdałem sobie sprawę, że ergi ustawiły wewnętrzne pole siłowe na wygodną jedną szóstą ziemskiej grawitacji, co sprawiło, że goście zebrali się na wewnętrznej powierzchni kulistego strąka... Dopiero wtedy zauważyłem, że fotele pną się po ścianach w górę i zapełniają szczelnie

całą zakrzywioną ścianę. Tłum musiał zatem liczyć grubo ponad milion istot.

Intruz Navson Hamnim i templariusz, Prawdziwy Głos Gwiazdodrzewa Ket Rosteen przedstawili Eneę jako tę, która przyniosła wiadomość, na jaką ich ludy od wieków czekały.

Moja ukochana weszła na podium, rozejrzała się dookoła, spojrzała do góry i w dół, jakby starała się nawiązać kontakt wzrokowy z każdym obecnym. Nagłośnienie było tak niewiarygodne, że słyszeliśmy, jak przełyka ślinę i robi wdech. Sprawiała wrażenie opanowanej.

— Wybierzcie jeszcze raz - powiedziała, odwróciła się i zeszła z podwyższenia. Zatrzymała się przy długim stole, na którym znajdowało się mnóstwo kielichów. Kilkuset z nas upuściło po kropli krwi z żył do pucharów, które następnie puszczone między zgromadzonych. Sądziłem, że nie ma mowy o tym, by ponad milion oczekujących komunii Intruzów i templariuszy zdołał skosztować krwi tych kilkuset osobników, którzy komunię mieli już za sobą. Tymczasem pomocnicy Enei oddali po kilka kropli krwi do olbrzymiego zbiornika z winem, cała rzesza asystentów zajęła się przekazywaniem bąbli z napojem do ponownego napełnienia i po godzinie wszyscy, którzy chcieli dostąpić komunii, otrzymali wino. Kulista sala zaczęła się opróżniać.

Po tym, jak Enea zeszła z podium, tego wieczora nie padły już żadne słowa. Pierwszy raz owego długiego - nie kończącego się - dnia, panowało prawie całkowite milczenie, gdy w strąku trafiliśmy z powrotem do... domu, w znajome okolice Gwiazdodrzewa, w cień „Yggdrasilla”, który za dwadzieścia godzin miał wyruszyć w drogę.

Czułem się jak najgorszy oszust. Wypiłem wino przed blisko dwudziestu czterema godzinami i wciąż nic nie czułem... Nic poza zwykłą miłością do Enei - to znaczy absolutnie niezwykłą, niepowtarzalną, nie dającą się z niczym porównać miłością do Enei.

Tysiące chętnych piło dziś jej krew. Ogromna sfera opustoszała w ciszy; milczeli nawet ci, którzy nie przystąpili do komunii - nie wiedziałem tylko, czy rozczarowało ich złożone z zaledwie trzech słów przemówienie mojej ukochanej, czy też rozważali kwestie znacznie bardziej złożonej natury.

Wróciliśmy w nasz rejon Gwiazdodrzewa, ograniczając wymianę zdań do niezbędnego minimum. Milczenie nie wynikało bynajmniej z rozczarowania czy niezręczności sytuacji, raczej z nabożnego lęku, jaki towarzyszy zakończeniu jednego etapu w życiu i rozpoczęciu - a przynajmniej nadziei rozpoczęcia - następnego.

Wybierzcie jeszcze raz. Kochaliśmy się z Eneą w naszym zaciemnionym strąku mieszkalnym, nie bacząc na zmęczenie i późną porę: powoli, delikatnie i słodko.

Wybierzcie jeszcze raz. Kiedy odpływałem w sen - dosłownie - takie właśnie słowa majaczyły mi w umyśle. Wybierz jeszcze raz. Zrozumiałem. Wybrałem Eneę i życie u jej boku. Wierzę, że ona wybrała mnie.

Jutro znów ja wybiorę ją, a ona mnie, i pojutrze, i później - w każdej godzinie na nowo.

Wybierz jeszcze raz. Tak. Właśnie tak.

Nazywam się Jakub Schulmann i piszę list do moich przyjaciół, mieszkających w Łodzi:

Najdrożsi, czekałem z napisaniem tego listu, aż potwierdzą się zasłyszane przeze mnie pogłoski. Niestety, okazały się prawdziwe, co tylko pogłębia mój smutek. Rozmawiałem z człowiekiem, któremu udało się uciec; wszystko mi opowiedział. Mordują ich w Chełmnie, nieopodal Dąbia i grzebią w okolicznych lasach. Zabija się na dwa sposoby: rozstrzeliwuje albo zagazowuje. Tak właśnie zginęły tysiące łódzkich Żydów. Niech się wam nie wydaje, że czytacie słowa szaleńca. To wszystko tragiczna, przerażająca prawda.

„To straszne! Straszne! Człowieku, zrzuć ubranie, posyp głowę popiołem, wyjdź na ulicę i tańcz w swym obłędzie”. Jestem zmęczony, nie mogę już dłużej pisać. Stwórcu, wspomóż nas!

Piszę ten list dziewiętnastego stycznia 1942 A.D. Kilka tygodni później, podczas lutowej odwilży, kiedy z otaczających Grabów lasów niesie się zwodnicza woń przedwczesnej wiosny, ładują nas - mężczyzn z obozu - do ciężarówek. Niektóre z nich mają na burtach wymalowane tropikalne drzewa i egzotyczne zwierzęta - ubiegłego lata tymi samochodami zabrali z obozu dzieci. Przez zimę farby wyblakły, a Niemcom nie chciało bawić się w odnawianie wesołych obrazków, które teraz zdają się blade jak letnie sny.

Jedziemy do odległego o piętnaście kilometrów Chełmna, przez Niemców nazwanego Kulmhof. Wypędzają nas z ciężarówek i każą wypróżnić się w lesie. Nie potrafię... Nie w takiej sytuacji, kiedy patrzą na mnie strażnicy i pozostali mężczyźni. Udaję więc, że oddałem mocz i zapinam spodnie.

Zaganiają nas z powrotem do samochodów i wiozą na zamek, gdzie znów każą nam wyjść. Przechodzimy przez dziedziniec, na którym

walają się ubrania i buty i schodzimy do piwnicy. Na ścianie widnieje napis w jidysz: „Nikt nie wychodzi stąd żywy”. Jest nas w piwnicy kilkuset, sami mężczyźni, Polacy, w większości z okolicznych wiosek - z Gradowa, z Koła - ale i z Łodzi. Powietrze pachnie wilgocią, zgnilizną, zimnymi kamieniami i pleśnią.

Jednakże po kilku godzinach, gdy światło dnia zaczyna gasnąć, opuszczamy piwnicę — żywi! Przyjechały następne ciężarówki, większe, z dwuskrzydłowymi drzwiami. Są zielone, a ich ścian nie zdobią żadne malunki. Kiedy strażnicy otwierają drzwi, okazuje się, że samochody są prawie pełne: w każdym znajduje się już siedemdziesięciu, może osiemdziesięciu ludzi. Nie znam nikogo z nich.

Popychając i bijąc Niemcy każą nam wcisnąć się do środka. Słyszę krzyki znanych mi mężczyzn, więc postanawiam poprowadzić ich w modlitwie, gdy ładują nas do cuchnących ciężarówek: Szema Izrael, modlimy się wspólnie. Nie przestajemy także wówczas, gdy drzwi z trzaskiem zamykają się za nami.

Niemcy pokrzykują na polskiego kierowcę i jego pomagierów. Jeden z nich krzyczy po polsku „Gaz!” i spod podłogi auta dobiega nas dźwięk, jakby gdzieś podłączano jakąś rurę czy przewód. Silnik zapala z głośnym rykiem.

Zgromadzeni najbliżej mnie modlą się cały czas, ale większość mężczyzn zaczyna krzyczeć. Samochody wolno ruszą ją z miejsca. Wiem, że jedziemy wąską, asfaltową dróżką, wytyczoną przez Niemców i prowadzącą z Chełmna w głąb lasu. Wszyscy okoliczni mieszkańcy dziwili się temu pomysłowi, gdyż droga prowadzi donikąd... Kończy się w środku lasu, na polanie, gdzie samochody mogą zawrócić. Nic tam jednak nie ma, jeśli nie liczyć wybudowanych na rozkaz Niemców pieców i wykopanych na ich polecenie dołów — wiemy to od Żydów z obozu, którzy pracowali przy budowie drogi,

kopali doły i stawiali piece. Wtedy im nie wierzyliśmy, a później zniknęli... Trafili do transportu.

Powietrze staje się coraz gęściejsze; krzyk narasta. Głowa mnie boli; coraz trudniej mi oddychać, serce wali mi jak młotem. Trzymam za rękę siedzącego po lewej młodego mężczyznę - chłopca właściwie - i staruszka z prawej strony. Modlą się wraz ze mną.

Ktoś w naszym samochodzie śpiewa w jidysz. Jego głos, szkolony baryton, wznosi się ponad krzyki:

Boże mój, Boże,

Czemuś mnie opuścił?

Przeszliśmy już przez ogień,

Ale nigdyśmy nie sprzeniewierzyli się Twoim świętym prawom.

Enea! Mój Boże! Co się dzieje?

Ćśśś. Wszystko w porządku, kochanie. Jestem tutaj.

Nic nie... co takiego?

Nazywam się Kaltryn Cateyen Endymion i byłam żoną Trorbego Endymiona, który przed pięcioma miejscowymi miesiącami zginął na polowaniu. Jestem także matką dziecka imieniem Raul. Ma trzy hyperiońskie lata i bawi się przy ognisku rozpalonym w kręgu wozów. Ciotka ma na niego baczenie.

Wchodzę na trawiasty pagórek nad doliną, w której tabor zatrzymał się na noc. Nad brzegiem strumienia rośnie parę tripoli, ale poza tym na bagnach brak wszelkich drzew: tylko niska trawa, wrzos, sitowie, skały i mchy. No i owce; nasze liczące kilkaset sztuk stado widać — i słyhać - wśród wzgórz na wschód stąd. Kręcą się po okolicy, posłuszne pilnującym ich owczarkom.

Starowina siedzi nieopodal na kamieniu, z którego ma wspaniały widok na zachodnią dolinę. Ceruje ubrania. Horyzont jest z tej strony lekko zamglony - zwiastuje bliskość otwartego morza - ale nasz światek ograniczają mokradła, wieczorne niebo wpadające w coraz głębszy

lazurowy, przecinające je w ciszy świetlne smugi meteorów i szelest wiatru w trawie.

Przysiadam obok Starowiny, która jest matką mojej świętej pamięci mamy. Ma taką samą twarz jak ja, tylko starszą, bardziej ogorzałą i pomarszczoną, okoloną siwymi włosami: ostro zarysowane kości policzkowe, wyrazisty nos, kurze łapki w kąciach brązowych oczu...

— Nareszcie wróciłaś - mówi. - Jak tam podróż do domu? Obyło się bez kłopotów?

— Pewnie - odpowiadam. - Tom zabrał nas z Port Romance. Pojechaliśmy wzdłuż wybrzeża, a potem autostradą na Dziobie, zamiast płacić za prom przez Mokradła. Pierwszą noc przespaliśmy w gospodzie w Benbroke, na drugą rozbiliśmy się nad Suiss.

Starowina kiwa głową. Jej palce migają szybko, kiedy szyje. Na kamieniu obok niej stoi kosz pełen ubrań.

— Co powiedzieli lekarze?

— Klinika jest ogromna - mówię. - Chrześcijanie znacznie ją rozbudowali od czasu mojej ostatniej bytności w Port Romance. A siostry... pielęgniarki, były bardzo miłe podczas testów.

Starowina czeka w milczeniu.

Spoglądam w dół, na dolinę. Słońce wynurza się zza ciemnych chmur i jego promienie padają na górne piętra wzgórz, budząc łagodne cienie niskich skałek i zębatych szczytów; wrzosa zdają się płonąć żywym ogniem.

— To rak - mówię wreszcie. - Zupełnie nowa odmiana.

— Tyle już wiedzieliśmy od lekarza ze Skraju Moczarów. Jakie prognozy?

Biorę do ręki koszulę; kiedyś należała do Trorbe, teraz nosi ją jego brat, Ley, wuj Raula. Wyciągam wbity w fartuch igłę z nitką i zaczynam przyszywać guzik, który Trorbe zgubił tuż przed ostatnią wyprawą

myśliwską na północ. Moje policzki rozpała wstydlivy rumieniec, gdy pomyślę, że dałam koszulę Leyowi nie przyszywszy guzika.

— Zaproponowali mi przyjęcie krzyża.

— Nie ma na to lekarstwa? - dziwi się Starowina. - Mają przecież takie maszyny i szczepionki!

— Kiedyś było, ale najwidoczniej opierało się na technologii molekularnej...

— Nanotechnologii - mówi Starowina.

— Właśnie. A jakiś czas temu Kościół zakazał jej praktykowania. Na bardziej rozwiniętych planetach istnieją lepsze sposoby.

— Ale nie na Hyperionie. - Starowina odkłada ubrania na bok.

— Zgadza się.

Czuję się bardzo zmęczona po testach i długiej podróży; jestem spokojna - i bardzo mi smutno. Wiatr przynosi do nas odgłos śmiechu Raula i innych chłopców.

— Doradzają ci, żebyś przyjęła krzyż - powtarza Starowina, ostro akcentując ostatnie słowo.

— Tak. Wczoraj kilka godzin rozmawiałam o tym z takim miłym, młodym księdzem.

Grandam podnosi wzrok i patrzy mi w oczy.

— Zrobisz to, Kaltryn?

Nie spuszczam oczu.

— Nie.

— Jesteś pewna?

— Całkowicie.

— Trorbe żyłby i był wśród nas, gdyby zeszłej wiosny przyjął krzyżokształt, jak namawiał ten misjonarz.

— Mój Trorbe nigdy by tego nie zrobił - odpowiadam i odwracam się do niej plecami. Płacę pierwszy raz, odkąd przed siedmioma tygodniami poczułam bóle; wiem, że nie rozpaczam nad sobą, lecz

płaczę za Trorbem. Przypominam sobie, jak uśmiechał się i machał nam na pożegnanie tamtego ranka, kiedy wyruszył z braćmi na wybrzeże, zapolować na solne ibzony.

Starowina trzyma mnie za rękę.

— Myślisz o Raulu? - pyta.

— Jeszcze nie. - Kręcę przecząco głową. - Ale za parę tygodni nie będę w stanie myśleć o niczym innym.

— Wiesz przecież, że nie musisz się o niego martwić - uspokaja mnie Starowina. - Wciąż pamiętam, jak wychowuje się dzieci; znam historie, które trzeba opowiedzieć, posiadam umiejętności, które należy przekazać... Dopilnuję, żeby cię nie zapomniał.

— Będzie taki mały, kiedy... - nie kończę zdania.

Czuję uścisk palców Starowiny na mojej dłoni.

— Młodzi najlepiej pamiętają. Kiedy się starzejemy, najłatwiej przychodzi nam przywołać wspomnienia z dzieciństwa.

Łzy w moich oczach zniekształcają cudowny zachód słońca. Stoję bokiem do Starowiny, żeby nie patrzeć jej w twarz.

— Nie chcę, żeby wspominał mnie dopiero kiedy się zestarzeje. Chcę go oglądać, codziennie... Chcę widzieć, jak się bawi, jak dorasta...

— Pamiętasz taki stary wiersz Ryokan, którego nauczyłam cię, kiedy byłaś niewiele starsza niż Raul jest teraz?

Nie udaje mi się powstrzymać od parsknięcia śmiechem.

— Uczyłaś mnie mnóstwa jego wierszy, babciu.

— Mam na myśli ten pierwszy.

Przypominam go sobie w ułamku sekundy i recytuję na głos, starając się unikać melodyjnego falowania głosu - tak jak mnie uczyła, kiedy miałam kilka lat więcej od Raula:

Jakaż jestem szczęśliwa,

Gdy ręka w rękę

Idę z dziećmi

Rwać świeżą zielen

Z wiosennych pól!

Starowina zamyka oczy; widzę, jak bardzo jej powieki upodobniły się do cieniutkiego pergaminu.

— Lubiałś go kiedyś, Kaltryn.

— I nadal lubię.

— A czy jest w nim coś o tym, że trzeba rwać świeżą zielen za tydzień, za rok czy dziesięć lat, żeby teraz być szczęśliwym?

Uśmiecham się.

— Łatwo ci tak mówić, stara kobieto - mówię spokojnie, pogodnie, żeby złagodzić ostre słowa. - Rwiesz zielen już od siedemdziesięciu czterech wiosen i masz w planach dalsze siedemdziesiąt.

— Chyba nie aż tyle. - Ostatni raz ściska moją rękę, po czym ją puszcza. - Chodzi jednak o to, żeby teraz spacerować z dziećmi, cieszyć się blaskiem wiosennych wieczorów i spieszyć się z rwaniem kwiatów, żeby zdążyć dziś przed kolacją. Przygotowałam twoje ulubione danie.

Klaszczę w ręce z radości.

— Zupę pomocnych wiatrów? Ale przecież pory jeszcze nie dojrzały!

— Na południu już tak, a tam właśnie kazałam szukać Lee i jego chłopakom. Przynieśli cały gar. Idź już, zerwij coś zielonego, żeby się do nich przyłączyć. Weź chłopca i wróć, zanim zrobi się ciemno.

— Kocham cię, babciu.

— Wiem. Raul też cię kocha, maleńka. A ja się postaram, żeby krąg nie został przerwany. Idź już.

Spadam. Budzę się... Nie śpię już jakiś czas. Liście Gwiazdodrzewa przesłoniły strąki i zapadła noc. Gwiazdy na zewnątrz Biosfery płoną oślepiającym ogniem. Głosy nie cichną; obrazy nie blakną. To nie sen, lecz dziki wir obrazów i głosów... tysięcznych chórów, których każdy uczestnik prosi o wysłuchanie. Nigdy przedtem nie umiałem sobie

przypomnieć głosu matki. A kiedy rabi Schulmann krzyczał po polsku i modlił się w jidysz, rozumiałem nie tylko jego słowa, ale i myśli.

Wariuję.

— Nie, najdroższy, wcale nie - szepcze Enea. Unosi się obok mnie w powietrzu, tuż obok ciepłej ściany strąka. Obejmuje mnie. Chronometr komlogu twierdzi, że okres snu w naszym rejonie Biosfery prawie dobiegł końca; za godzinę liście obrócą się i dotrze do nas światło słońca.

Głosy szepczą, kłócą się, pomrukują, szlochają... Obrazy przemykają gdzieś z tyłu mojej czaszki, jak kolorowe plamy po solidnym ciosie w głowę. Stwierdzam, że ciało mam sztywne, zaciskam kurczowo pięści i szczęki, żyły wystąpiły mi na szyi - jakbym zmagał się z wichurą albo okrutnym bólem.

— Nie, Raul, nie - mówi Enea i głaszcze mnie po policzku i skroni. Niczym kwaśna aureola otacza mnie chmurka kropelek potu. - Odpręż się. Jesteś taki wrażliwy, kochanie... Spodziewałam się tego. Odpręż się i pozwól im zamilknąć. Możesz je kontrolować, słuchać ich, kiedy zechcesz i tłumić je, kiedy musisz.

— Ale one zawsze tam będą? - pytam.

— Będą blisko - szepcze Enea. Na wschodzie skrzydła aniołów błyszczą w słońcu.

— Słyszałaś je odkąd byłaś dzieckiem, tak?

— Słyszałam je, zanim się urodziłam - odpowiada moja ukochana.

— Boże mój, Boże. - Przyciskam pięści do oczu. - Boże.

Nazywam się Amnye Machen Al Ata. Mam jedenaście lat standardowych, gdy na Qom-Rijad przybywają ludzie Paxu. Nasza wieś leży na uboczu, z dala od nielicznych autostrad i szybkich dróg powietrznych, z dala nawet od przecinających skalną pustynię i Ogniste Równiny szlaków karawan.

Przez ostatnie dwie noce patrzyłam, jak statki Paxu, podobne do żarzących się węgli, przelatują w górze ze wschodu na zachód. Mój ojciec mówi, że poruszają się na takiej wysokości, że nie ma tam już powietrza. Wczoraj usłyszeliśmy w radiu, że imam z Al-

Ghazali dowiedział się przez telefon z Omaru, iż wszyscy mieszkańcy Wyżyny i obozów w oazach na Ognistych Równinach mają wyjść przed jurty i czekać. Ojciec udał się na spotkanie mężczyzn w meczecie.

Cała nasza rodzina zebrała się przed jurtą; pozostałe trzydzieści rodzin też. Nasz wioskowy poeta Farid ud-Din Attar chodzi od jednych do drugich i stara się nas uspokoić recytując wiersze, ale nawet dorośli się boją.

Ojciec wrócił. Mułła mówi, że nie można czekać, aż niewierni nas pozabijają. Z naszego radia nie udało się nawiązać kontaktu z meczetem w Al.-Ghazali ani w Omarze. Ojciec podejrzewa, że radio znów się zepsuło, ale mułła twierdzi, że niewierni wymordowali wszystkich ludzi na zachód od Ognistych Równin.

Sprzed jednej z jurt dobiega nas odgłos strzałów. Matka i najstarsza siostra chcą tam natychmiast biec, ale ojciec każe im zostać. Słysząc krzyki. Patrzę w niebo i czekam, aż ponownie pojawią się na nim okręty niewiernych z Paxu, a kiedy spuszczam wzrok, ludzie mułły wychodzą zza naszej jurty. Mają ponure, zacięte twarze, kiedy wkładają nowe magazynki do karabinów.

Ojciec każe nam wziąć się za rękę.

— Bóg jest wielki - mówi, a my odpowiadamy:

— Bóg jest wielki.

Nawet ja wiem, że „islam” oznacza podporządkowanie się woli miłosiernego Allaha.

W ostatnim ułamku sekundy dostrzegam ogniki na niebie: to statki Paxu lecą na zachód, wysoko nad naszymi głowami.

— Bóg jest wielki! - krzyczy ojciec.

Słyszę strzały.

— Eneo, nie rozumiem, co znaczą te obrazy.

— Raul, one po prostu są.

— Istnieją naprawdę?

— Jak każde wspomnienia, najdroższy.

— Ale jak to możliwe? Słyszę głosy... tysiące głosów, a kiedy... dotknę jednego z nich umysłem, wspomnienia stają się silniejsze i wyraźniejsze od moich własnych.

— Tym niemniej to tylko wspomnienia, kochanie.

— Zmarłych...

— Tak.

— Poznanie języka umarłych...

— Musimy uczyć się ich języka na wiele sposobów, Raul. Języka, którym mówili - angielskiego, jidysz, polskiego, perskiego, tamal, greki, mandaryńskiego - ale też poznawać ich serca. Rozumieć dusze ich wspomnień.

— Czy to duchy do nas mówią, Eneo?

— Duchy nie istnieją, najdroższy. Śmierć jest ostateczna. Dusza jest tym niemożliwym do opisanego połączeniem pamięci i osobowości, które nosimy w sobie przez całe życie... A kiedy życie się kończy, dusza umiera wraz z nim.

— A te wspomnienia...

— Odbijają się echem w Pustce, Która Łączy.

— Jak to? Miliardy istnień...

— Należących do tysięcy ras przez miliardy lat, ukochany. Są tu wspomnienia twojej matki... i mojej... Ale są też emocje istot, które dzieli od nas niewyobrażalna przepaść w czasie i przestrzeni.

— Czy ich także mogę dotknąć, Eneo?

— Być może; z czasem na pewno, musisz tylko poćwiczyć. Zrozumienie ich zajęło mi całe lata. Już same wrażenia zmysłowe stworzeń, które zupełnie inaczej ewoluowały, są bardzo złożone i trudne do ogarnięcia, a co dopiero ich myśli, wspomnienia i uczucia.

— Ale tobie się udało, prawda?

— Próbowałam.

— Masz na myśli obcych? Takich jak Seneszajowie i Akerataeli?

— Znacznie bardziej obcych, Raul. Seneszajowie przez stulecia żyli w ukryciu na Hebronie, w sąsiedztwie ludzkich osadników. Są empatami - emocje są więc ich głównym językiem. Akerataeli bardzo się od nas różnią, ale są z kolei podobni do istot z Centrum, które odwiedzał mój ojciec.

— Głowa mi pęka, maleńka. Możesz mi pomóc? Zrobić coś, żeby potok głosów i obrazów ustał?

— Mogę pomóc ci je uciszyć, najdroższy, ale dopóki żyjesz, nigdy zupełnie nie znikną. Na tym polega błogosławieństwo i przekleństwo, jakie przyjmuje się wraz z moją krwią. Zanim jednak pokażę ci, jak je stłumić, posłuchaj jeszcze przez chwilę. Niedługo wzejdzie słońce.

Nazywam się Lenar Hoyt i byłem kiedyś księdzem, teraz jednak jestem papieżem Urbanem XVI. Odprawiam mszę zmartwychwstańczą w intencji Johna Domenico kardynała Mustafy w Bazylice Świętego Piotra. Uczestniczy w niej ponad pół tysiąca najznakomitszych watykańskich wiernych.

Stoję przed ołtarzem z rozpostartymi ramionami i czytam z mszału:

Prośmy więc Pana, Boga naszego,

Którego syn, Jezus Chrystus, zmartwychwstał,

aby zbawić nas wszystkich.

Kardynał Lourdusamy, który służy mi do mszy jako diakon, intonuje:

Módlmy się, aby zmarły kardynał John Domenico Mustafa,

który poprzez chrzest otrzymał ziarno życia wiecznego,
wrócił do wiecznej społeczności wiernych.

Ciebie prosimy, wysłuchaj nas, Panie.

Módlmy się, aby ten, który za życia piastował urząd biskupa
Kościoła

i przewodził Świętemu Oficjum,

mógł ponownie służyć Panu naszemu w nowym życiu.

Ciebie prosimy, wysłuchaj nas, Panie.

Módlmy się, aby Pan nasz wynagrodził duszom naszych braci
i sióstr,

naszych krewnych i dobroczyńców
ich wysiłki.

Ciebie prosimy, wysłuchaj nas, Panie.

Módlmy się, aby światło łaski Pańskiej

spłynęło na wszystkich, którzy zasnęli z nadzieją zmartwychwstania
i pozwoliło im zmartwychwstać,

by jeszcze lepiej Mu służyli.

Ciebie prosimy, wysłuchaj nas, Panie.

Módlmy się, aby Pan nasz wspomagał i pocieszał

tych naszych braci i siostry, którzy cierpią prześladowania
z rąk bezbożnych i upadłych.

Ciebie prosimy, wysłuchaj nas, Panie.

Módlmy się, aby Pan wezwał do swego przewspaniałego królestwa
wszystkich zgromadzonych tu w wierze i oddaniu,

i zesłał na nas to samo błogosławieństwo zmartwychwstania
w imię Chrystusa, Pana naszego.

Ciebie prosimy, wysłuchaj nas, Panie.

Chór zaczyna śpiewać i wierni klękają w oczekiwaniu Eucharystii.
W ciszy najłżejsze szelesty odbijają się echem. Odwracam się tyłem do
ołtarza i mówię:

— Przyjmij, o Panie, te dary, które składamy Ci w imieniu sługi Twego, Johna Domenico kardynała Mustafy. Tyś go nagrodził najwyższą godnością kapłańską w tym świecie; pozwól mu na krótko zjednoczyć się z Twoimi Świętymi w Królestwie Niebieskim, a potem wrócić do nas w sakramencie zmartwychwstania. Przez Chrystusa, Pana naszego.

Wierni odpowiadają jednym głosem:

— Amen.

Podchodzę do trumny kardynała Mustafy, stojącej w komorze zmartwychwstańczej nieopodal ołtarza, i skrapiam ją wodą święconą ze słowami:

Zaprawdę godne to i sprawiedliwe, słuszne i zbawienne,
abyśmy zawsze i wszędzie Tobie składali dziękczynienie,
Panie, Ojczy święty, wszechmogący wieczny Boże,
przez Chrystusa, Pana naszego.

W Nim to zabłysła dla nas nadzieja chwalebne zmartwychwstania
i choć nas zasmuca nieunikniona konieczność śmierci,
znajdujemy pociechę w obietnicy przyszłej nieśmiertelności.

Albowiem życie Twoich wiernych, o Panie, zmienia się, ale się nie kończy

i gdy rozpadnie się dom doczesnej pielgrzymki,
znajdą przygotowane w niebie wieczne mieszkanie.

Przeto z Aniołami i Archaniołami,
z błogosławionymi Duchami
oraz ze wszystkimi chórami niebios
śpiewamy hymn ku Twojej chwale,
bez końca wołając:

Kiedy chór zaczyna śpiewać „Sanctus”, włączają się basowym dudnieniem potężne organy Bazyliki:

Święty,

Święty,

Święty

Pan, Bóg Zastępów.

Pełne są niebiosa i ziemia chwały Twojej.

Hosanna na wysokości.

Błogosławiony, który idzie w imię Pańskie.

Hosanna na wysokości.

Po komunii msza się kończy, tłum rozchodzi, a ja wolno wracam do zakrystii. Jestem zasmucony i boli mnie serce - jak najbardziej dosłownie. Choroba znów się rozwinęła; moje żyły zatykają się z wolna, przez co każdy krok i każde słowo sprawia mi ból. Tylko ani słowa Lourdasamy'emu, myślę.

Kardynał wchodzi do zakrystii, gdy akolici i ministranci pomagają mi zdjąć liturgiczne szaty.

— Przechwyciliśmy bezzałogowy statek kurierski z napędem Gedeona, Wasza Świątobliwość - mówi.

— Z którego frontu?

— Nie wysłano go z naszej floty, Ojczyce Święty - odpowiada kardynał. Marszczy brwi, patrząc na trzymaną w dłoniach, drukowaną wiadomość.

— A skąd? - pytam i wyciągam rękę w niecierpliwym geście. Słowa wypisano na cienkim pergaminie:

Przybywam na Pacem, do Watykanu.

Enea.

Spoglądam na mojego Sekretarza Stanu.

— Czy możesz odwołać flotę, Simon Augustino?

Jego podbródek drży.

— Nie, Wasza Świątobliwość. Okręty dokonały skoku ponad dwadzieścia cztery godziny temu. Załogi powinny właśnie kończyć

przyspieszony cykl zmartwychwstańczy. Lada moment rozpoczną atak. Nie zdążymy przygotować i wysłać kuriera z rozkazem odwrotu.

Widzę, że ręce mi się trzęsą. Oddaję pergamin kardynałowi.

— Wezwij Marusyna i pozostałych dowódców floty - mówię. - Każ im bezzwłocznie ściągnąć do układu Pacem wszelkie dostępne okręty bojowe. Natychmiast.

— Ale, Wasza Świątobliwość - wtrąca zaniepokojony Lourdusamy - w tej chwili nasze jednostki i grupy uderzeniowe uczestniczą w licznych ważnych misjach...

— Natychmiast! - rzucam krótko.

Lourdusamy gnie się w ukłonie.

— Natychmiast, Wasza Świątobliwość.

Kiedy odwracam się od niego, mam wrażenie, że ból w piersi i trudności z oddychaniem są przypomnieniem od Boga, że zostało mi niewiele czasu.

— Eneo! Papież...

— Spokojnie, Raul. Jestem przy tobie.

— Byłem papieżem, byłem Lenarem Hoytem... Ale przecież on żyje, prawda?

— Uczysz się także języka żywych, Raul. To niewiarygodne, że na pierwszy kontakt z inną żywą istotą wybrałeś właśnie jego. Sądzę...

— Nie teraz, Eneo! Nie ma czasu do stracenia. Ten kardynał... Lourdusamy, przyniósł mu wiadomość od ciebie. Papież chciał odwołać flotę, ale Lourdusamy stwierdził, że jest już za późno... Skok nastąpił ponad dobę wcześniej i okręty są gotowe do ataku! Mogą uderzyć właśnie tutaj, Eneo. Zgrupowanie floty w układzie Lacaille 9352...

— Nie! - Krzyk Enei wyrywa mnie z kakofonii dźwięków i płątaniny obrazów, nakładających się wspomnień i wrażeń zmysłowych. Nie giną całkowicie, ale cofają się, upodabniając do głośno nastawionej muzyki za ścianą.

Enea ściągnęła z półki komlog i teraz wywołuje jednocześnie nasz statek i Navsona Hamnima.

Przez chwilę usiłuję skupić na niej wzrok, próbując się równocześnie ubrać, ale czuję się tak, jakbym nie mógł się otrząsnąć ze szczególnie realistycznego snu: szmer wspomnień mnie nie opuszcza.

Ojciec kapitan de Soya klęczy w swoim prywatnym strąku mieszkalnym na pokładzie „Yggdrasilla”. Modli się. Nie myśli o sobie jako „ojcu kapitanie”, lecz po prostu jako o „ojcu”. Zresztą wątpi nawet w to, czy ma prawo choćby do tego tytułu. Modli się, tak jak modlił się przez długie godziny ostatniej nocy, i w poprzednie dni i noce, po tym, jak przyjął komunię z krwi Enei i krzyżokształt zniknął z jego ciała.

Błaga o przebaczenie, którego - wie to bez cienia wątpliwości - z pewnością nie jest godzien. Modli się o wybaczenie lat służby w stopniu kapitana floty, niezliczonych bitew, żałuje wszystkich istot, którym odebrał życie, wszystkich cudownych tworów ręki boskiej i ludzkiej, które zniszczył... Ojciec Federico de Soya klęczy w milczeniu, w jednej szóstej ziemskiego ciężenia, i prosi swego Pana i Zbawiciela... Miłosiernego Boga, w którego nauczono go wierzyć i w którego teraz zwątpił... prosi Go, by wybaczył mu nie dla niego samego, ale po to, by w nadchodzących miesiącach i latach - albo godzinach, gdyby jego życie miało trwać tak krótko - mógł lepiej Mu służyć, myślą i czynem...

Zrywam kontakt z nagłym wstrętem, charakterystycznym dla kogoś, kto właśnie zdał sobie sprawę, że jest podglądaczem. Uświadamiam sobie, że skoro Enea od lat zna „język żywych”, skoro zna go odkąd się urodziła, to z pewnością znacznie więcej energii kosztowało ją powstrzymanie się od słuchania go - od zaglądania w cudze życie - niż próby poznania go.

Na jej rozkaz w ścianie strąka otworzyło się okrągłe przejście i wyszła z komlogiem na balkon. Podpływam do niej i opadam na miękką glebę ściąganą delikatną jedną dziesiątą g, na jaką nastawiono

tutaj pole siłowe. Nad ekranem komlogu unosi się kilka twarzy: widzę Heta Masteena, Keta Rosteena i Navsona Hamnima, żaden z nich jednak nie patrzy w kamerę; Enea również nie.

Dopiero po chwili podnoszę wzrok i widzę to, co ona.

Obok pięknych, czerwonych i pomarańczowych ognistych kwiatów, przestrzeń we wnętrzu Gwiazdodrzewa przeszywają oślepiające promienie. Przez chwilę wydaje mi się, że to po prostu wschód słońca, że odwracające się bokiem liście przepuszczają dzienne światło, które wydobywa z mroku kałamarnice, anioły i komety - ale wtedy dociera do mnie prawdziwe znaczenie oglądanych obrazów.

Tysiące okrętów Paxu przemierzają Gwiazdodrzewo; płomienie z dysz silników jądrowych tną pnie i konary niczym lodowate ostrza noży. Setki tysięcy kilometrów od nas w powietrze lecą chmury liści i odłamków, a podłoga pod naszymi stopami drży jak przy odległym trzęsieniu ziemi. Panuje chaos. Promienie lanc laserowych, widoczne w próżni dzięki rozproszonym drobinom materii i cząsteczkom gazów z atmosfery, strzelają na wszystkie strony; liście płoną; wszędzie pełno krwi Intruzów i templariuszy. Lance rozcinają i palą wszystko, z czym się zetkną.

Kolejne eksplozje, tym razem blisko, kilka kilometrów od nas. Pole siłowe nie ustępuje, ale fala dźwiękowa ciska nas o ścianę strąka, która drży i marszczy się niczym ciało zranionego zwierza. Komlog Enei gaśnie w tej samej chwili, gdy wznosząca się nad nami krzywizna Biosfery bucha płomieniami i eksploduje w próżni. Słyszę krzyki i grzmot, ale wiem, że pole lada chwila padnie i zostaniemy wysrani w próżnię, wraz z tonami organicznych drobin.

Próbuję wciągnąć ją z powrotem do strąka, który zamyka się w skazanej na niepowodzenie próbie przetrwania.

— Nie, Raul! Patrz!

Podążam wzrokiem za jej wyciągniętą ręką. Nad nami, a potem w dole i wszędzie dookoła Gwiazdodrzewo eksploduje, pnącza i gałęzie pękają z trzaskiem, anioły płoną, ogromne kałamarnice padają ofiarą implozji, drzewostatki buchają ogniem, usiłując odcumować i ruszyć w drogę.

— Zabijają ergi! - Enea przekrzykuje ryk wichury i łoskot wybuchów.

Walę w ścianę strąka, wykrzykując polecenia. Drzwi otwierają się na ułamek sekundy, który akurat wystarcza mi, żeby wciągnąć Eneę do środka.

Ale to kiepskie schronienie. Nawet po pełnym spolaryzowaniu ścian widać przez nie kwiaty eksplodujących ładunków plazmowych.

Enea wygrzebała swój plecak i zarzuciła go na ramiona. Łapię więc swój i przypinam do pasa pochwę z nożem, zupełnie jakbym liczył na to, że przyda mi się w walce z żołnierzami.

— Musimy dostać się na „Yggdrasilla”! - krzyczy Enea.

Kopnięciem odpychamy się od ściany, mierząc w wylot łodygi transportowej, ale strąk nie chce nas wypuścić. Przebiega go drżenie.

— Łodyga została uszkodzona - z wysiłkiem sapie Enea. Widzę w jej ręce komlog - stary, ze statku konsula - na którym wywołuje dane z sieci informacyjnej Gwiazdodrzewa. - Pomosty wciągnięte. Musimy dostać się na drzewostatek.

Przez ścianę widzę pomarańczowe plamy ognia. „Yggdrasill” znajduje się dziesięć kilometrów na umowny wschód od nas. Po zniszczeniu łodyg transportowych i pomostów równie dobrze mogłyby cumować tysiąc lat świetlnych stąd.

— Wezwij statek - mówię. - Statek konsula.

Enea kręci głową.

— Het Masteen próbuje wyprowadzić „Yggdrasilla” z doku, nie ma czasu, żeby ściągnąć nasz statek. Albo dostaniemy się do niego w trzy,

cztery minuty, albo... A próznioskóry? Moglibyśmy w nich przelecieć.

Teraz moja kolej: kręcę przecząco głową.

— Nie ma ich tu. Kiedy się rozebraliśmy po wylądowaniu, A. Bettik zabrał je na drzewostatek.

Strąk podskakuje pod wpływem nagłego wstrząsu. Enea odwraca się i patrzy, jak ściana czerwienieje i zaczyna się topić.

Otwieram swoją szafkę, odrzucam na bok zbędny sprzęt i ubrania, po czym sięgam po jedyny pozaziemski artefakt, jaki mam. Otwieram skórzaną tubę i wydaję podarunek od de Soi.

Uderzam palcami w spłoty sterujące. Mata sztywnieje i zawisa nad podłogą w zerowym ciężeniu. Pole elektromagnetyczne w najbliższej okolicy jest zatem nienaruszone.

— Wskakuj! - krzyczę. Ściana topi się do reszty i rozstępuje, gdy wciągę Eneę na matę.

Zostajemy wyssani przez otwór wprost w próżnię i chaos.

Sterowane przez ergi pole magnetyczne trzymało się jeszcze, ale uległo dziwnym deformacjom. Zamiast lecieć nisko nad szerokim jak bulwar konarem, wprost ku „Yggdrasilowi”, mata grawitacyjna wołała ustawić się pod kątem prostym do tej arterii komunikacyjnej, przez co skierowani głowami w dół pomknęliśmy niczym w szybkobieżnej windzie przez płataninę drżących gałęzi, zerwanych mostów, przeciętych w pół łodyg, wśród kuł ognia i setek Intruzów, którzy na naszych oczach rzucali się w wir bitwy i ginęli. Dopóki jednak zbliżaliśmy się do drzewostatku, nie ingerowałem w poczynania maty.

Tu i ówdzie zostały jeszcze bąble utrzymywanej polem siłowym atmosfery, większość lokalnych pól zniknęła jednak w chwili śmierci ergów, które je podtrzymywały. Mimo wielokrotnie zdublowanych zabezpieczeń powietrze wyciekało ze strąków i cały najbliższy rejon Gwiazdodrzewa tracił ciśnienie - w jednych miejscach powoli, w innych wskutek gwałtownej dekompresji. Nie mieliśmy skafandrów próżniowych, ale na szczęście w ostatniej chwili przed opuszczeniem strąka przypomniałem sobie, że zabytkowy latający dywan ma własny generator pola siłowego, dzięki któremu nie gubi pasażerów - i powietrza. Nie zaprojektowano go z myślą o długotrwałym zachowaniu stałego ciśnienia w próżni, ale przed dziewięciu laty, na nienazwanej, porośniętej dżunglą planecie wznieśliśmy się na nim powyżej zdatnej do oddychania atmosfery, miałem więc nadzieję, że odpowiednie układy wciąż są sprawne.

Rzeczywiście były... przynajmniej częściowo. Pole włączyło się automatycznie, ledwie wyskoczyliśmy ze strąka i zaczęliśmy zdobywać wysokość. Prawie czułem, jak z każdą chwilą powietrze na macie rzednie, ale powtarzałem sobie, że do „Yggdrasilla” z pewnością go wystarczy.

Niewiele brakowało, a nie dotarlibyśmy do drzewostatku.

Nie pierwszy raz oglądałem bitwę w kosmosie: nie tak dawno temu - choć zdawało się, że od tej chwili minęły całe wieki - razem z Eneą podziwialiśmy z najwyższego tarasu Napowietrznej Świątyni świetlny spektakl, jaki towarzyszył potyczce sił Paxu z archaniołem ojca de Soi. Pierwszy raz jednak obserwowałem starcie, w którym próbowano mnie zabić.

Wszędzie tam, gdzie ostały się resztki powietrza, hałas był ogłuszający: eksplozje przeplatały się z implozjami, a trzask pękających pni i łodyg mieszał się z rykiem umierających kałamarnic, skowytem sygnałów alarmowych i bełkotem komlogów i innych odbiorników. Panująca w próżni cisza sprawiała jeszcze bardziej przerażające wrażenie. Ciała Intruzów i templariuszy koziółkowały bezwładnie: kobiety, dzieci, wojownicy, którzy nie zdążyli sięgnąć po broń ani dotrzeć na stanowiska bojowe, kapłani Muir w długich szatach - wszyscy zmierzali bezładną kolumną ku słońcu, odarci z wszelkiej godności, jak wszystkie ofiary gwałtownej śmierci, wśród bezgłośnie płonącego ognia, niesłyszalnych krzyków, miotani cyklonem, którego nie poprzedzał świst wichury.

Enea skuliła się nad stareńkim komlogiem Siri, gdy zanurzyliśmy się tym chaosie. Widziałem, jak Systemj Coredwell pokrzykuje coś do nas z holograficznego ekranu, po chwili zaś jego miejsce zajęli Kent Quinkent i Sian Quintana Ka'an, gorączkowo o czymś rozprawiając. Musiałem jednak skupić się całkowicie na sterowaniu matą i nie mogłem przysłuchiwać się ich słowom.

Ogniste ogony okrętów Paxu zniknęły mi z oczu i tylko promienie lanc rozorywały półmrok obłoków gazu i chmur odłamków, tnąc Gwiazdodrzewo niczym skalpel żywe ciało. Olbrzymie pnie i poskręcane gałęzie krwawiły: wyciekające z nich soki mieszały się z krwią Intruzów w płataninie światłowodów, wrząc natychmiast

w zerowym ciśnieniu. Na moich oczach lanca dwukrotnie przecięła w poprzek dziesięciokilometrową matwę, której macki zadrgały tylko w ostatnim, spazmatycznym tańcu śmierci. Anioły tysiącami podrywały się do lotu - i tysiącami ginęły. Drzewostatek, usiłujący właśnie odcumować, w mgnieniu oka został przecięty w pół. Bogata w tlen atmosfera eksplodowała wewnątrz bąbla pola siłowego i zanim cała bańka wypełniła się kłębamii dymu, wszyscy członkowie załogi byli martwi.

— To nie „Yggdrasil”! - krzyknęła do mnie Enea.

Pokiwałem głową. Umierający drzewostatek przybywał z północy Biosfery, „Yggdrasil” powinien zaś znajdować się bardzo blisko nas, niespełna kilometr nad naszymi głowami.

Pod warunkiem, że nie skręciłem w złą stronę, że nie został zniszczony i że nie odleciał bez nas.

— Rozmawiałam z Hetem Masteenem - wrzasnęła Enea. Znaleźliśmy się w pęcherzu rzednącego powietrza i hałas był nie do wytrzymania. - Tylko około trzystu z tysiąca jest na pokładzie.

— W porządku - odparłem. Nie miałem pojęcia, o co jej chodzi. Z jakiego tysiąca? Nie miałem czasu, żeby zapytać. Kątem oka dostrzegłem ciemnozieloną plamę drzewostatku ponad kilometr nad nami, nieco na lewo - na zupełnie innym, skrzyconym konarze - i złożyłem matę w ostry skręt w tym kierunku. Nawet gdyby nie był to „Yggdrasilli”, i tak musielibyśmy szukać schronienia na jego pokładzie. Pole elektromagnetyczne Gwiazdodrzewa słabło z każdą sekundą, przez co mata traciła siłę nośną i rozpęd.

Aż wreszcie wysiadło do reszty. Nasz latający dywan pomknął ślizgiem jeszcze kawałek, a potem zaczęliśmy spadać w mrok pomiędzy potrzaskanymi gałęziami, przynajmniej z kilometr od najbliższych, płonących łądyg. W dole, za nami, ujrzałem skupisko mieszkalnych straków, z którego wystartowaliśmy: wszystkie zostały rozdarte -

wypływało z nich powietrze i ciała zabitych, a łodygi i łączące je gałązki podrygiwały posłuszne prawu reakcji Newtona.

— To koniec - stwierdziłem. Mój głos zabrzmiał cicho, gdyż poza naszą kurczącą się bańką energii nie została już ani krztyna powietrza. Projektant maty chciał przed siedmiuset laty zaimponować swej nastoletniej siostrzenicy - nie miał ambicji skonstruowania wehikułu gwarantującego przetrwanie w próżni. - Próbowaliśmy, maleńka. - Odsunąłem się od splotów sterujących i objąłem Eneę ramieniem.

— Nie - odparła, sprzeciwiając się nie tyle mojej czułości, co pochopnemu wyrokowi śmierci. Zacisnęła kurczowo palce na moim ramieniu. - Nie, nie - powtórzyła i wystukała coś na klawiaturze komlogu.

Na ekranie pojawił się zakapturzony Het Masteen na tle wirujących dziko gwiazd.

— Tak - rzekł. - Widzę was.

Ogromny drzewostatek wisiał kilometr nad nami, niczym jednolite sklepienie leśne, migoczące pod fioletową poświatą pola siłowego. Wolniutko odrywał się od płonącego Gwiazdodrzewa. Poczuliśmy ostre szarpnięcie; przez moment zdawało mi się, że właśnie trafiła nas jedna z lanc.

— Ergi wciągają nas na pokład - oznajmiła Enea, nie puszczając mojej ręki.

— Ergi? - powtórzyłem. - Sądziłem, że na każdym drzewostatku znajduje się tylko jeden erg, który steruje i napędem, i polem siłowym.

— Zwykle tak to właśnie wygląda - zgodziła się Enea. - W wyjątkowych sytuacjach umieszcza się na pokładzie dwa... Kiedy na przykład chce się zanurzyć w zewnętrznej powłoce czerwonego olbrzyma, albo oczekuje się zderzenia z falą uderzeniową w heliosferze gwiazdy podwójnej.

— W takim razie na „Yggdrasillu” są dwa ergi, tak? - upewniłem się, patrząc, jak statek wypełnia całe niebo. Za nami w ciszy wybuchały ładunki plazmowe.

— Nie - odrzekła Enea. - Dwadzieścia siedem.

Wciągnięto nas na „górze”, która za chwilę przeorientowała się i stała „dołem”. Znaleźliśmy się na najwyższym pokładzie, tuż pod mostkiem, w pobliżu korony drzewa. Zanim jeszcze klepnąłem matę, żeby wyłączyć jej skromniutkie pole siłowe, Enea porwała komlog, plecak i popędziła ku schodom.

Zwinąłem porządnie dywanik, wsunąłem go w skórzaną tubę, przerzuciłem pojemnik przez ramię - i pomknąłem za Enea.

Na koronie mostka zastaliśmy tylko kapitana drzewostatku, Heta Masteena, w towarzystwie garstki oficerów, za to na platformach i schodach poniżej tłoczyło się mnóstwo ludzi, zarówno dobrze mi znanych, jak i zupełnie obcych. Rozpoznałem Rachelę, Theo, A. Bettika, ojca de Soję, sierżanta Gregoriusa, Lhomo Dondruba i kilkudziesięciu innych uciekinierów z Tien Szanu, ale nie brakowało mężczyzn, kobiet i dzieci - nie Intruzów i nie templariuszy - których w życiu nie widziałem.

— To uchodźcy z ponad stu planet Paxu, których ojciec kapitan de Soya zabrał na „Rafaela” przez ostatnie parę lat - wyjaśniła Enea. - Spodziewaliśmy się dziś kilkuset dalszych przybyszów, ale teraz już za późno.

Weszliśmy na mostek, gdzie pośrodku kręgu organicznych przyrządów sterujących stał Het Masteen. Otaczały go ekrany, wypełnione obrazami ze światłowodowych nerwów statku, pokładowych holokamer, kamer na dziobie i rufie „Yggdrasilla”; obok znajdowało się centrum komunikacyjne, dzięki któremu kapitan pozostawał w stałym kontakcie z templariuszami nadzorującymi pracę ergów - w rdzeniu pola siłowego, w korzeniach napędowych i wszędzie

indziej; najwięcej miejsca zajmował holosymulacyjny obraz samego drzewostatku, który za dotknięciem ręki udostępniał interaktywne łącza i umożliwiał sterowanie jednostką. Templariusz podniósł na nas wzrok. Spod kaptura wyzierała spokojna twarz Azjaty ze Starej Ziemi.

— Cieszę się, że tam nie zostałeś, Ty, Która Nauczasz - rzucił sucho. - Dokąd chcesz się udać?

— Poza układ - odparła bez wahania Enea.

Het Masteen skinął głową.

— Zwrócimy na siebie uwagę i ściągniemy ostrzał, a siły ognia Floty Paxu nie należy lekceważyć.

Enea tylko pokiwała głową. Holosymulacja drzewostatku zaczęła się obracać; zerknąwszy w górę ujrzałem okręcające się powoli, rozgwieżdżone niebo. Znajdowaliśmy się zaledwie kilkaset kilometrów w głębi Biosfery, ku której zmasakrowanej powierzchni właśnie się zwróciliśmy. W miejscu naszych strąków mieszkalnych ziała olbrzymia dziura o poszarpanych krawędziach, podobnie jak w całej najbliższej, liczącej tysiące kilometrów kwadratowych okolicy. „Yggdrasill” płynął wolno w powodzi zerwanych liści; niektóre z nich, wciąż otoczone bąblami powietrza, spalały się we własnej atmosferze, malując migotliwą barierę pola siłowego szarą barwą popiołu. Wreszcie drzewostatek osiągnął wewnętrzną powłokę Gwiazdodrzewa i ostrożnie wyleciał na zewnątrz.

Wynurzywszy się z drugiej strony zaczęliśmy szybko się rozpędzać, gdy sterowane przez ergi silniki plunęły ogniem. Dopiero teraz mogliśmy podziwiać pole bitwy w całej okazałości. Otaczająca nas próżnia migotała miriadami świetlnych drobinek - ostrzeliwanych przez lance indywidualnych pól siłowych, niezliczonych eksplozji termonuklearnych i plazmowych, pocisków, broni hiperkinetycznej, małych okrętów bojowych i archaniołów ciągnących za sobą ogniste ogony. Zakrzywiona, coraz dalsza powierzchnia Biosfery przypominała

spleciony z włókien wulkan, buchający płomieniami i wyrzucający chmury odłamków. Komety wodne i asteroidy pasterskie, wytrącone z idealnie wyliczonych trajektorii, dziurawiły Gwiazdodrzewo jak tekturę. Het Masteen wywołał na ekranie taktyczny hologram całej Biosfery, poznaczonej dziesiątkami tysięcy ognisk - a niejedno z nich pochłonęłoby całego Hyperiona - i setkami tysięcy szram i rozdarć w powłoce, której utkanie trwało bez mała dziesięć stuleci. Radary i czujniki dalekiego zasięgu śledziły ruch tysięcy zaopatrzonych we własny napęd obiektów, których jednak z każdą chwilą ubywało: niepokonane archanioły z odległości kilku jednostek astronomicznych namierzały i ostrzeliwały lancami patrolowce, liniowce, niszczyciele i drzewostatki; miliony skrzydlatych Intruzów rzucały się na napastników - ginęli niczym ćmy, które trafiły pod miotacz ognia.

Lhomo Dondrub wszedł wolno na mostek. Miał na sobie otrzymaną od Intruzów próznioskórę, w rękach zaś trzymał długi karabin wojskowy, broń zaczepną czwartej klasy.

— Eneo, do ciężkiej cholery, dokąd tym razem lecimy?

— Uciekamy - odparła moja ukochana. - Musimy się stąd wyrwać.

Lotnik pokręcił głową.

— Mylisz się. Powinniśmy zostać i walczyć. Nie wolno nam porzucić przyjaciół na pastwę tych sępów z Paxu.

— Lhomo, nie możemy już pomóc Gwiazdodrzewu - tłumaczyła Enea. - A ja muszę się stąd wydostać, żeby walczyć z Paxem.

— Uciekaj ponownie, skoro tak uważasz. - Na twarzy Lhomo wściekłość mieszała się z bezradnością. Naciągnął na głowę kaptur próznioskóry. - Ja jednak zostanę i stawię im czoło.

— Zabiją cię, przyjacielu. Nic nie wskórasz przeciw archaniołom.

— No to patrzcie - rzucił Lhomo, kiedy srebrzysta błona okryła mu całą głowę. Tylko twarz miał odsłoniętą. - Powodzenia, Raul.

— Powodzenia, Lhomo - odparłem. Coś ścisnęło mnie w gardle i poczułem, że się czerwienię, po części ze wstydu za własne tchórzostwo, po części z żalu za tym odważnym człowiekiem.

Enea położyła mu rękę na ramieniu.

— Lhomo, więcej zdziałasz, jeśli teraz polecisz z nami...

Dondrub pokręcił głową i spuścił próznioskórę na twarz. Jego głos, przetworzony przez mikrofony krtaniowe, przybrał metaliczną barwę:

— Powodzenia, Eneo. Niech Bóg i Budda mają cię w swojej opiece. Ciebie i nas wszystkich.

Staął na skraju platformy i obejrzał się przez ramię na Heta Masteena. Templariusz skinął głową, musnął dłonią koronę hologramu statku i szepnął coś do jednego z mikrofonów.

Ciążenie osłabło, zewnętrzne pole siłowe zamigotało i rozsunęło się. Lhomo został poderwany z pokładu, obrócony w powietrzu i katapultowany daleko w kosmos, poza zasięg gałęzi, światła i atmosfery. Patrzyłem, jak rozkłada srebrzyste skrzydła; światło wypełniło je i nasz lotnik dołączył do grupy podobnych mu aniołów z bronią ręczną. Na fali słonecznego światła pomknęli ku najbliższemu z archaniołów.

Na mostek schodziło się coraz więcej ludzi - Rachela, Theo, Dorje Phamo, ojciec de Soya z sierżantem, A. Bettik, dalajlama - wszyscy jednak zachowywali pełen szacunku dystans od kapitana, pochłoniętego prowadzeniem statku.

— Namierzyli nas - powiedział Het Masteen. - Strzelają.

Pole rozbłysło czerwienią, a ja niemal usłyszałem, jak skwierczy. Czuję się, jakbyśmy wpadli w samo serce słońca.

Ekran zamigotały.

— Trzyma - rzekł Prawdziwy Głos Drzewa. - Trzyma.

Miał na myśli obronne pole siłowe, ale okręty Paxu również nie ustępowały, trzymając nas pod stałym ogniem lanc. Tylko

holosymulacja drzewostatku pozwalała stwierdzić, że się poruszamy, że nabieramy szybkości kierując się na zewnątrz układu. Przez rozpaloną, trzeszczącą, syczącą i gotującą się powłokę energii nie widzieliśmy ani jednej gwiazdy.

— Jaki kurs? - zwrócił się Het Masteen do Enei.

Przesunęła dłonią po czole, jak osoba zagubiona we własnych myślach.

— Jeszcze kawałek, tak żeby było widać gwiazdy.

— Pod takim ostrzałem nie zdołamy osiągnąć punktu translacji - uprzedził templariusz.

— Wiem o tym - odparła Enea. - Wydostańmy się poza układ... Muszę ujrzeć gwiazdy.

Het Masteen ogarnął wzrokiem otaczające nas rozpalone piekło.

— To się nam może nie udać - stwierdził.

— Nie mamy wyjścia.

Nagle gdzieś powyżej nas zrobiło się zamieszanie i rozległy się pokrzykiwania. Podniosłem wzrok.

Powyżej mostka znajdowało się jeszcze tylko kilka małych platform, przywodzących na myśl bocianie gniazda na znanych mi z holodram statkach pirackich, czy ambonę myśliwską, którą kiedyś widziałem na hyperiońskich mokradłach. Na jednej z nich stała postać, która stała się źródłem zamieszania. Klony załogowe pokazywały ją sobie palcami i wykrzykiwały coś bez przerwy. Het Masteen zerknął we wskazanym kierunku i odwrócił się do Enei.

— Władca Bólu jest z nami - rzekł.

Kolory piekła, rozpętanego na granicy pola siłowego, migotały na chromowej piersi i czole Chyżwara.

— Sądziłem, że zginął na Tien Szanie - zauważyłem.

Nigdy nie widziałem Enei tak zmęczonej, jak w chwili, kiedy mi odpowiedziała:

— Chyżwar przemierza czas znacznie łatwiej, niż my przestrzeń, Raul. Mógł zginąć na Tien Szanie... Może polec za tysiąc lat w pojedynku z pułkownikiem Kassadem... A może być niezniszczalny. Nigdy się tego nie dowiemy.

Jakby przywołany na mostek dźwiękiem swego nazwiska stanął obok nas Fedmahn Kassad. Miał na sobie zabytkowy pancerz z czasów Hegemonii, a w ręku trzymał karabin, który kiedyś widziałem w szafce z bronią na statku konsula. Nie odrywał wzroku od Chyżwara.

— Mogę tam wejść? - spytał kapitana statku.

Het Masteen, wciąż zajęty wydawaniem rozkazów i śledzeniem wskazań monitorów, machnięciem ręki wskazał mu prowadzące na wyższy poziom drabinki sznurowe.

— Tylko żadnego strzelania na pokładzie drzewostatku! - ostrzegł na odchodnym pułkownika. Kassad kiwnął głową i zaczął się wspinać.

Pozostali wrócili wzrokiem do ekranów holosymulacji. Co najmniej trzy archanioły wycelowały w nas lance z odległości nie przekraczającej miliona kilometrów. Ostrzeliwały nas na zmianę, od czasu do czasu zwracając się ku innym celom, ale nasza niewytłumaczalna odporność na ciosy chyba coraz bardziej rozwścieczała ich dowódców, toteż lance uparcie wracały. Ich promienie wolno pokonywały dzielące nas kilka sekund świetlnych i eksplodowały ogniem na skorupie naszego pola siłowego. Jeden z okrętów lada chwila miał zniknąć za tarczą Gwiazdodrzewa, lecz pozostała dwójka leciała wprost na nas i miała czyste pole ostrzału.

— Odpalili pociski - zameldował jeden z poruczników głosem, jakim ja mógłbym zapowiedzieć, że w jadalni właśnie podano obiad. - Dwa... cztery... dziewięć. Podświetlne, najprawdopodobniej z głowicami plazmowymi.

— Wytrzymamy? - zapytała Theo. Rachelą śledziła wspinaczkę Kassada na spotkanie Chyżwara.

Het Masteen nie miał czasu udzielić odpowiedzi, więc do rozmowy włączyła się Enea:

— Nie wiadomo. Wszystko zależy od spoiwa... od ergów.

— Detonacja za sześćdziesiąt sekund - oznajmił ten sam porucznik, nie zmienionym, opanowanym tonem.

Het Masteen dotknął jednego z przyrządów na tablicy.

— Proszę wszystkich o zasłonięcie oczu - powiedział nie podnosząc głosu, który i tak sięgnął wszystkich zakamarków drzewostatku. - Nie patrzcie w stronę pola siłowego. Ergi spolaryzują je i przytłumią błysk, ale proszę nie podnosić wzroku. Niech pokój Muir towarzyszy nam wszystkim.

Popatrzyłem na Eneę.

— Posłuchaj, maleńka, czy ten statek jest uzbrojony?

— Nie - odparła; w jej oczach odbijało się zmęczenie, które przebijało z jej słów.

— Czyli nie staniemy do walki... Będziemy uciekać, tak?

— Tak, Raul.

Zazgrzytałem zębami.

— Zgadza się z Lhomo - stwierdziłem. - Dość tego tchórzostwa. Czas pomóc naszym przyjaciołom, czas...

W tym momencie eksplodowały przynajmniej trzy z wystrzelonych w nas rakiet. Odtwarzając tę scenę z pamięci przypominam sobie oślepiający błysk światła, w którym ujrzałem czaszkę i kręgosłup Enei, przeświecające jej przez skórę i mięśnie... Choć wiem, że to niemożliwe. Zaczajeni spadać, jakby podłoga usunęła mi się spod nóg... Po chwili ciężenie wróciło, a infradźwiękowe dudnienie zagrało mi boleśnie w kościach i zębach.

Zamrugalem, żeby pozbyć się powidoków z siatkówki. Wciąż widziałem przed sobą twarz Enei: ujrzałem jej zaognione policzki, odgarnięte pośpiesznie z czoła i niedbale spięte włosy, wilgotne od

potu, zmęczone, a zarazem pełne życia oczy, odsłonięte, opalone ramiona... W przypiływie uczucia doszedłem do wniosku, że mógłbym tak umrzeć: z obliczem Enei wypalonym na zawsze w duszy i w umyśle.

Statek zadygotał, gdy wybuchły następne dwie głowice, a potem cztery dalsze.

— Trzyma - powiedział porucznik. - Wszystkie pola wytrzymały.

— Lhomo i Raul mają rację zwróciła się do Enei Dorje Phamo, odziana w prostą, bawełnianą suknię. Z królewską godnością wyszła o krok przed zebranych. - Całe lata kryjesz się przed Paxem. Najwyższa pora stawić im czoło... Wszyscy musimy z nimi walczyć.

Wlepiłem w nią wzrok, nie mogąc oderwać oczu od otaczającej ją aury... nie, to złe słowo, nazbyt mistyczne... Nie mogłem jednak oprzeć się wrażeniu, że z jej postaci emanuje silne, głęboko szkarłatne światło, równie mocne, jak jej osobowość. Zdałem sobie sprawę, że tego wieczora u wszystkich dostrzegam taką otoczkę: jasny błękit odwagi u Lhomo, złotą pewność siebie i opanowanie u Heta Masteena, migotliwy fiolet zdumienia u pułkownika Kassada, gdy ten ujrzał Chyżwara... Zacząłem się zastanawiać, czy jest to jeden z aspektów poznawania języka żywych, czy raczej efekt porażenia blaskiem plazmowych eksplozji. Wiedziałem, że kolory nie są prawdziwe, że nie mam halucynacji i nie dwoi mi się w oczach, ale rozumiałem, że to w moim umyśle nawiązuje się tego rodzaju kontakt, dzięki któremu udaje mi się na moment zajrzeć w dusze otaczających mnie osób.

Widziałem również, że aura otaczająca Eneę pokrywa cały zakres widzialnego spektrum, a zarazem daleko poza nie wykracza: jej blask przenikał cały statek tak samo intensywnie, jak błyski plazmy zalewały otaczający nas wszechświat.

— Nie, pani - zaoponował ojciec de Soya łagodnie i z szacunkiem. - Lhomo i Raul się mylą. Mimo przepełniającej nas wszystkich złości

i żądy odwetu, to Enea ma rację. Lhomo - jeżeli przeżyje - dowie się tego, czego dowiemy się wszyscy, jeśli uda nam się wyjść z tego cało: po komunii z Enea dzielimy ból tych, których próbujemy skrzywdzić. Naprawdę, dosłownie i fizycznie odczuwamy go tak samo, jak oni. To część języka żywych.

Dorje Phamo spojrzała na niego z góry.

— Wiem, że to prawda, chrześcijanie, ale to wcale nie znaczy, że mamy pozostać beczynni, gdy inni nas krzywdzą. - Wyprostowaną ręką wskazała przecierające się z wolna pole siłowe nad naszymi głowami, przez które znów zaczynaliśmy dostrzegać żarzące się węgielki i ogniste ogony okrętów. - Te... te potwory z Paxu niszczą właśnie jedno z najdoskonalszych osiągnięć ludzkiej rasy! Musimy ich powstrzymać!

— Nie teraz - rzekł de Soya. - Nie powstrzymamy ich, stając tu z nimi do walki. Zaufajcie Enei.

Ogromny sierżant Gregorius wszedł między rozmówców.

— Każdy nerw, każda blizna, każda sekunda szkolenia... Wszystko podpowiada mi, że powinniśmy natychmiast ruszyć w bój - burknął basowo. - Ale kiedyś ufałem ojcu de Sol jako kapitanowi i dziś ufam mu jako księdzu. Jeżeli on mówi, że musimy zawierzyć tej młodej kobiecie... to nie mamy innego wyjścia.

Het Masteen gestem uciszył dyskutantów.

— Niepotrzebnie tracimy czas na tę kłótnię. Jak już powiedziała Ta, Która Naucza, „Yggdrasill” jest nieuzbrojony; jedyną naszą obronę stanowią ergi, które jednak nie mogą dokonać przesunięcia napędu w fazie, utrzymując zarazem tak silne pole ochronne. W związku z tym praktycznie się nie poruszamy. Dryfujemy po pierwotnym kursie, zaledwie kilka minut świetlnych od pozycji wyjściowej. Pięć dalszych archaniołów zmieniło już kurs, żeby nas przechwycić. - Templariusz

spojrzał na nas. - Proszę wszystkich o opuszczenie mostka. Tylko wielebna Ta, Która Naucza i jej przyjaciel Raul mogą zostać przy mnie.

Tłumek rozproszył się bez słowa. Uchwyciłem spojrzenie Racheli, zanim ruszyła w stronę schodów i podążyłem za jej wzrokiem: pułkownik Kassad dotarł do najwyższego bocianiego gniazda i stanął twarzą w twarz z Chyżwarem. Mimo wysokiego wzrostu wyglądał jak karzeł przy trzymetrowym posągu, złożonym z chromowych kolców i ostrzy. Mierzyli się w bezruchu wzrokiem z odległości niespełna metra.

Ponownie spojrzałem na holosymulację drzewostatku. Ogniki symbolizujące okręty Paxu zbliżały się błyskawicznie. Pole siłowe stało się znów całkowicie przezroczyste.

— Daj rękę, Raul - powiedziała Enea. Złapałem ją za rękę, a przez głowę przeleciały mi wszystkie sytuacje, w których czyniłem to przez ostatnie dziesięć lat. - Gwiazdy — szepnęła. - Spójrz w gwiazdy. Posłuchaj ich.

Drzewostatek „Yggdrasil” zawisł na niskiej orbicie pomarańczowoczerwonej planety, której bieguny skryły się pod śnieżnymi czapami. Na jej powierzchni dostrzegłem kraterę większą niż cały płaskowyż Pinion oraz dolinę rzeki, ciągnącą się przez pięć tysięcy kilometrów niczym blizna po wycięciu wyrostka z brzucha świata.

— To jest Mars - oznajmiła Enea. - Tu rozstaniemy się z pułkownikiem Kassadem.

Pułkownik zszedł z bocianiego gniazda zaraz po skoku kwantowym. Nie umiem opisać tego, co zrobiliśmy: w jednej chwili dryfowaliśmy w pobliżu Biosfery z unieruchomionymi silnikami, czekając, aż opadnie nas horda archaniołów - a potem nagle znaleźliśmy się na geostacjonarnej orbicie wymarłej planety w Układzie Słonecznym Starej Ziemi.

— Jak to zrobiłaś? - zapytałem w sekundę po przeskoku. Nie miałem bowiem najmniejszych wątpliwości, że to ona nas... przeniosła.

— Nauczyłam się słyszeć muzykę sfer - odparła. - I robić krok.

Wlepiłem w nią bezrozumne spojrzenie. Nadal trzymałem ją za rękę i nie zamierzałem uwolnić jej z uścisku, dopóki nie zacznie mówić w zrozumiałym języku.

— Każde miejsce można zrozumieć, Raul - powiedziała, świadoma, że naszej rozmowie przysłuchują się wszyscy zgromadzeni. - A kiedy tego dokonasz, to tak, jakbyś usłyszał jego muzykę. Każdy świat jest jak nowy akord; każdy układ gwiazdny to nowa sonata; każde miejsce brzmi własną, wyraźną i niepowtarzalną nutą.

Nie puściłem jej dłoni.

— A jak się przenieść z miejsca na miejsce bez transmitera?

Pokiwała głową.

— Nazywam to po prostu skokiem, prawdziwym skokiem kwantowym; poruszamy się we wszechświecie makroskopowym tak, jak elektron w swoim mikrokosmosie. Stawiamy krok mając oparcie w Pustce, Która Łączy.

— Energia. - Pokręciłem głową. - Skąd czerpiesz energię, maleńka? Nic nie bierze się z niczego.

— Ale wszystko bierze się ze wszystkiego.

— Co to znaczy, Eneo?

Oswobodziła dłoń i dotknęła mego policzka.

— Pamiętasz taką naszą rozmowę, dawno, dawno temu, o newtonowskiej fizyce miłości?

— Miłość to uczucie, mała. Nie forma energii.

— Miłość jest zarazem uczuciem i formą energii, Raul. Naprawdę. A przy tym stanowi jedyny klucz do największych zasobów energii we wszechświecie.

— Masz na myśli religię? - zapytałem, wściekły pospołu na jej tajemniczość i własną tępotę.

— Nie - odrzekła. - Mam na myśli celowe rozpalanie kwazarów, osvajanie pulsarów, czerpanie energii z eksplodujących jąder galaktyk jak ze zwykłych parowych turbin; chodzi mi o projekt inżynierski zapoczątkowany przed dwu i pół miliardami lat, a wciąż ledwie zaczęty.

Nie potrafiłem wykrztusić ani słowa.

Pokręciła głową.

— Później ci to wyjaśnię, kochanie. Na razie po prostu uwierz w to, że można się przenosić z miejsca na miejsce bez transmitera. Transmitery nigdy nie istniały, nie było żadnych magicznych wrót do innych światów... To tylko wypaczona przez TechnoCentrum forma drugiego co do wspaniałości daru Pustki, Która Łączy.

Powinienem był od razu zapytać, jaki wobec tego jest dar najwspanialszy, ale zakładałem, że chodzi o dostęp do wspomnień wszystkich rozumnych ras, związany z poznaniem języka umarłych... A przede wszystkim o dostęp do głosu mojej matki. Powiedziałem jednak co innego:

— Czy w taki właśnie sposób podróżowałyście z Rachelą i Theo z planety na planetę bez długu czasowego?

— Tak.

— I tak samo udało ci się przenieść statek konsula z Tien Szanu do Biosfery bez korzystania z napędu Hawkinga?

— Tak.

Zamierzałem dodać jeszcze: A także polecieć na nieznaną mi planetę, na której spotkałaś swego kochanka, z którym pobraliście się i dochowaliście dziecka, ale te słowa nie chciały mi przejść przez gardło.

— To jest Mars - przerwała milczenie Enea. - Tu rozstaniemy się z pułkownikiem Kassadem.

Wysoki żołnierz stanął u jej boku. Rachelą podeszła do nas, wspięła się na palce i pocałowała go w usta.

— Pewnego dnia przyjmiesz imię Moneta - rzekł cicho Kassad. - I zostaniemy kochankami.

— Tak - przyznała i cofnęła się o krok.

Enea wzięła dłoń pułkownika w swoją. Kassad wciąż miał na sobie zabytkowy kombinezon; w zgięciu ręki oparł wygodnie karabin. Z lekkim uśmiechem na twarzy spojrzał na najwyższą platformę, gdzie wciąż stał Chyżwar; krwawy blask Marsa lśnił na jego korpusie.

— Raul - zwróciła się do mnie Enea - idziesz z nami?

Podąłem jej rękę.

Wiatr miótł mi w oczy tumany piachu; nie mogłem złapać tchu. Enea podała mi maskę osmotyczną, którą za jej przykładem czym prędzej naciągnąłem na twarz.

Piasek i skały miały czerwoną barwę, a niebo dopasowało się do nich burzowym różem. Staliśmy na dnie wyschniętego koryta rzeki, wytyczonego przez skalne urwiska i zaśmieconego masą skalnych odłamków, z których niektóre miały rozmiary statku konsula. Pułkownik Kassad spuścił na twarz wizjer skafandra i w naszych słuchawkach jego głos zmieszał się z trzaskami zakłóceń:

— Stąd pochodzę - powiedział. - Urodziłem się w obozie dla przesiedleńców w Tharsis, kilkaset kilometrów w tamtą stronę. - Gestem wskazał małe, zawieszane nisko nad skałami Słońce. Jego opancerzona sylwetka, złowroga już przez samą masę i rozmiary, a do tego zaopatrzona w ciężki, choć dziwnie zbędny na marsjańskim pustkowiu karabin, zwróciła się twarzą ku Enei. - Co mam zrobić, kobieto?

W głosie Enei zabrzmiały czyste, ostre tony dowódcy nawykłego do wydawania rozkazów:

— Z powodu powstania Palestyńczyków i wzmożonej aktywności Marsjańskiej Machiny Wojennej Pax chwilowo wycofał się z Marsa i całego Układu Słonecznego. Nie mają tu żadnych obiektów strategicznych, więc nic ich tu nie trzyma, skoro są bardzo zajęci gdzie indziej.

Kassad pokiwał głową.

— Ale wrócą tu, i to w znacznej sile. Nie wystarczy im pacyfikacja Marsa; zechcą zająć cały Układ. - Enea rozejrzała się dookoła. Podążywszy za jej wzrokiem dostrzegłem ciemne figurki, zmierzające ku nam przez zasłaną kamieniami równinę. Były uzbrojone. - Nie wolno ich panu wpuścić do Układu Słonecznego, pułkownik. Proszę zrobić wszystko, co uzna pan za konieczne, poświęcić każdego, kogo będzie trzeba... Przez najbliższe pięć lat standardowych Pax nie ma tu prawa wstępu.

Nigdy nie słyszałem, żeby przemawiała tak ostro i bezlitośnie.

— Pięć lat standardowych - powtórzył Kassad. Niemal widziałem, jak się uśmiecha pod wizjerem. - Nie ma sprawy. Gdyby chodziło o lata marsjańskie, kosztowałyby mnie to trochę wysiłku.

Enea również się uśmiechnęła. Ciemne sylwetki były coraz bliżej.

— Musi pan zająć stanowisko przywódcy tutejszego ruchu oporu - mówiła dalej ze śmiertelną powagą. - Używając dowolnych środków.

— Zrobię to - odparł Kassad równie nieustępliwym głosem.

— Trzeba zjednoczyć wojujące plemiona i frakcje.

— Dopilnuję tego.

— I doprowadzić do trwałego sojuszu z astronautami z Machiny Wojennej.

Kassad pokiwał głową. Przemierzające pole gładów sylwetki dzieliło od nas niespełna sto metrów. Celowały do nas z karabinów.

— Poza tym musi pan strzec Starej Ziemi. Za żadną cenę nie dopuścić na nią Paxu.

Nie kryłem zdumienia, ale i pułkownik musiał podzielać moje zaskoczenie.

— Chodzi o Układ Słoneczny, w którym kiedyś znajdowała się Stara Ziemia, tak? - upewnił się.

— Mam na myśli Starą Ziemię, pułkowniku. - Enea pokręciła głową. - Niech jej pan nie oddaje Paxowi. Ma pan około roku na konsolidację obrony i kontroli nad Układem. Powodzenia.

Podali sobie ręce.

— Twoja matka była wspaniałą, dzielną kobietą - rzekł Kassad. - Wysoko ceniłem sobie jej przyjaźń.

— A ona ceniła pańską.

Ciemne sylwetki wolno podchodziły bliżej, kryjąc się wśród głązów i wydm. Pułkownik Kassad wyszedł im na spotkanie, wznosząc wysoko prawą dłoń. Karabin wciąż miał oparty w zgięciu lewego ramienia.

Enea podeszła do mnie i wzięła mnie za rękę.

— Zimno tu, prawda, Raul? - zagadnęła.

Miała rację. Nastąpił nagły błysk, jakbym zaliczył cios w potylicę - choć nie czułem bólu - i znaleźliśmy się z powrotem na mostku „Yggdrasilla”. Zgromadzeni na nim ludzie cofnęli się odruchowo, zaskoczeni naszym nagłym pojawieniem się; lęk przed czarami tkwi głęboko w genach naszego gatunku. Mars migotał czerwono i zimno spoza powłoki pola siłowego.

— Jaki kurs, wielebna Ty, Która Nauczasz? - Proszę po prostu odwrócić statek, tak żebyśmy ujrzeli gwiazdy - powiedziała Enea.

Vggdrasill, zwany przez kapitana „Drzewem bólu”, kontynuował rejs. Trudno byłoby się spierać z Hetem Masteenem co do słuszności tej nazwy: każdy skok odbierał Enei, mojej biednej, ukochanej, umęczonej Enei kolejną porcję energii; każde rozstanie zapełniało tę pustkę narastającymi pokładami smutku. Chyżwar cały czas stał samotny - i bezużyteczny - na najwyższej platformie kadłuba, niczym koszmary galion na statku-widmie, albo makabryczny anioł śmierci, zatknięty na wierzchołku ponurej choinki.

Zostawiwszy pułkownika Kassada na Marsie, przenieśliśmy się na orbitę Maui-

Przymierza, gdzie wrzało powstanie i gdzie spodziewałem się ujrzeć całą armadę wychodzącą nam na spotkanie - planeta leżała bowiem głęboko w kontrolowanym przez Pax kosmosie. Jednakże podczas kilku godzin, jakie tam spędziliśmy, nikt nas nie niepokoił.

Tym razem schodząc na powierzchnię planety Enea podała rękę Theo Bernard. Towarzyszyłem im.

Zmrużyłem oczy, porażone oślepiającym błyskiem i znaleźliśmy się na pływającej wyspie. Rozpięte między drzewami żagle wypełniał ciepły, tropikalny wietrzyk, a niebo i morze miały ten sam, zapierający dech w piersi odcień błękitu. Płynęliśmy pośrodku stada wysp, a naszym śladem mknęli jeźdźcy delfinów.

Znajdujący się na nadrzewnej platformie ludzie nie kryli zdumienia naszym przybyciem, ale trudno powiedzieć, żeby się nas przestraszyli. Theo padła w objęcia wysokiego blondyna, a zaraz potem wyściskała jego ciemnowłosą żonę, z którą wyszedł nam na spotkanie.

— Eneo, Raulu, pozwólcie, że przedstawię wam Merina i Deneb AspicCoreau.

— Merina? - powtórzyłem czując siłę uścisku ręki mężczyzny.

Uśmiechnął się.

— Dziesięć pokoleń młodszy od tamtego Merina - wyjaśnił. - Ale jestem jego potomkiem w prostej linii, podobnie jak Deneb pochodzi wprost od naszej słynnej Siri. - Położył dłoń na ramieniu Enei. - Wróciłaś, tak jak obiecywałaś. I zwracasz nam naszą najdzielniejszą wojowniczkę.

— To prawda - przyznała Enea. - Pilnujcie jej dobrze. Przez najbliższe kilka miesięcy musicie za wszelką cenę unikać kontaktów z Paxem.

Deneb Aspic-Coreau parsknęła śmiechem. Doszedłem do wniosku - bez cienia zawiści — iż jest chyba najpiękniejszą kobietą, jaką zdarzyło mi się widzieć.

— Na razie uciekamy, żeby przeżyć - rzekła. - Trzy razy próbowaliśmy wysadzić kompleks wiertniczy na Trójnurcie i trzy razy skosili nas jak młodą trawkę. Teraz liczymy już tylko na to, że dotrzemy do Archipelagu Równikowego i ukryjemy się wśród migrujących wysp. Chcielibyśmy dokonać przegrupowania w podwodnej bazie na równiku.

— Strzeżcie Theo jak oka w głowie - powtórzyła Enea. - Będę za tobą tęsknić, moja droga - dodała pod adresem przyjaciółki.

Theo Bernard usilnie starała się nie rozplakać, ale nic jej z tego nie wyszło i rzuciła się Enei na szyję.

— Przez cały czas... było mi tak dobrze - wykrztusiła i cofnęła się. - Będę się modlić, żeby ci się powiodło... i zarazem żeby ci się nie udało, dla twojego własnego dobra.

Enea pokręciła zdecydowanie głową.

— Módl się, żeby wszystkim nam się udało - rzekła i pomachała Theo na pożegnanie. Razem zesłiśmy na niższą platformę.

Poczułem duszący, słonorybny zapach morza; słońce oślepiało mnie tak, że nie mogłem przestać mrużyć oczu, ale temperatura powietrza

była wręcz idealna. Woda lśniła na grzbietach delfinów równie wyraźnie, jak pot na moim przedramieniu. Czułem, że mógłbym zostać w tym miejscu na zawsze.

— Musimy iść - przypomniała mi Enea i wzięła mnie za rękę.

Kiedy znaleźliśmy się na granicy studni grawitacyjnej Maui-Przymierza, na radarze pojawił się jakiś zabłąkany liniowiec, ale zignorowaliśmy jego obecność. Enea stała samotnie pośrodku mostka i patrzyła w gwiazdy. Podeszedłem do niej.

— Słyszysz je? - zapytała szeptem.

— Gwiazdy?

— Planety. Ich mieszkańców; ich sekrety; ich milczenie; bicie niezliczonych serc.

Pokręciłem głową.

— Kiedy nic nie rozprasza mojej uwagi, nie dają mi spokoju głosy i obrazy z innych miejsc - powiedziałem. - I innych czasów. Mój ojciec poluje z braćmi na bagnach, ojciec Glaucus ginie z ręki Rhadamanth Nemes...

Enea obrzuciła mnie baczny spojrzeniem.

— Widziałeś to?

— Widziałem. To był koszmar. Staruszek nie widział, kto go atakuje, a potem leciał... w ciemności, w zimnie... I ten ból, który poczuł przed śmiercią. Odmówił przyjęcia krzyżokształtu. To dlatego Kościół zesłał go na Sol Draconi Septem, skazał na wygnanie wśród lodów.

— Wiem - rzekła Enea. - W ubiegłych latach wiele razy śledziłam jego ostatnie wspomnienia... Ale są tam i inne obrazy z pamięci ojca Glaucusa, Raul, ciepłe, radosne, piękne... pełne światła. Mam nadzieję, że je znajdziesz.

— Chcę tylko, żeby głosy umilkły - przyznałem. - To... - machnięciem ręki objąłem drzewostatek, naszych przyjaciół i Heta Masteena za sterami - to wszystko jest zbyt ważne.

— W rzeczy samej. - Enea się uśmiechnęła. - W tym cały kłopot, prawda? - Znów spojrzała w gwiazdy. - Ale nie, Raul, tym, co musisz usłyszeć, zanim zdołasz wykonać pierwszy krok, nie są echa języka zmarłych... Nie chodzi także o język żywych. Liczy się... istota rzeczy.

Zawahałem się, nie chcąc wyjść na idiotę, ale przemogłem się i wyrecytowałem na głos:

Po tysiąckroć

Musi ocean wznieść się i opadać,

On zaś mu się poddać. Nie umrze jednak,

Gdy przypląwy się dopełnią. Choćby do cna...

Enea weszła mi w słowo:

... Przejrzał magii sekrety, odkrył

Znaczenie wszelkich ruchów, kształtów i dźwięków,

Choćby dotarł do wszystkich form i substancji

Symbolicznej istoty,

Nie umrze...

I znów się uśmiechnęła.

— Ciekawe co słyhać u wujka Martina. Przesypia te wszystkie lata w hibernacji? Złorzeczy tym biednym, służącym mu androidom? Pracuje nad wiecznie nie ukończonymi „Pieśniami”? W snach nigdy nie udaje mi się go ujrzeć.

— On umiera - powiedziałem.

Enea zeszywniała ze zdziwienia.

— Śniłem o nim... właściwie mogę powiedzieć, że dokładnie widziałem go dziś rano — ciągnąłem. - Kazał się odmrozić po raz ostatni, przynajmniej tak powiedział służbie. Tylko aparatura trzyma go przy życiu. Efekty kuracji Poulsena zanikły. Już tylko... - urwałem.

— Powiedz to - poprosiła Enea.

— Czeka, żeby ostatni raz cię zobaczyć - dokończyłem. - Ale stoi już nad grobem.

— To dziwne. - Enea spuściła wzrok. - Nie znosili się z moją matką, zgrzytało między nimi podczas całej pielgrzymki. Właściwie parę razy niewiele brakowało, żeby się pozabijali... Tymczasem przed śmiercią stał się jej najbliższym przyjacielem. A teraz... - przełknęła z wysiłkiem ślinę.

— Musisz jeszcze trochę pożyć, maleńka - rzekłem, nie poznając własnego głosu. - Wytrwać w dobrym zdrowiu i wrócić do niego. Jesteś mu to winna.

— Podaj mi rękę, Raul.

Statek dokonał przeskoku w błysku światła.

W układzie Tau Ceti z miejsca staliśmy się celem ataku, i to nie tylko jednostek Paxu, ale także liniowców ambitnej buntowniczkii, arcybiskup Silvaski dążącej do oderwania się od Kościoła. Pole siłowe rozbłysło jak wybuchająca supernowa.

— Przez coś takiego nie zdołasz się przecież teleportować - powiedziałem, kiedy Enea podała rękę Tromo Trochi z Dhomu i mnie.

— Przeskoku nie dokonuje się przez żadne bariery - odparła i znaleźliśmy się na powierzchni byłej stolicy świętej pamięci Hegemonii.

Tromo Trochi nigdy przedtem nie był na Pierwszej Tau Ceti; prawdę mówiąc, nigdy nie wychylił nosa poza rodzinny Tien Szan, ale opowieści o dawnym centrum kapitalistycznego wszechświata pobudziły jego wyobraźnię.

— Szkoda, że nie mam nic na sprzedaż - zauważył, jak na urodzonego kupca przystało. — Na tak żyznym gruncie w pół roku zbudowałbym prawdziwe imperium handlowe.

Enea wyjęła z plecaka ciężką sztabkę złota.

— Na początek chyba ci wystarczy - powiedziała. - Nie zapominaj tylko, po co tu naprawdę jesteś.

Mały człowieczek ze sztabką w dłoni ukłonił się nisko.

— Nigdy nie zapomnę, o Ty, Która Nauczysz. Nie na darmo poznawałem język umarłych.

— Uważaj na siebie przez najbliższe parę miesięcy - zaleciła Enea. - Później, jak mniemam, będzie cię stać na przelot do dowolnego miejsca w naszej Galaktyce.

— Przybędę tam, gdzie będę mógł cię spotkać, M. Enea - rzekł kupiec, a ja pierwszy raz ujrzałem na jego twarzy odbicie prawdziwych, głębokich emocji. - I będę gotów zapłacić za to całym moim majątkiem - przeszłym, przyszłym i wyimaginowanym.

Nie wierzyłem własnym uszom; pierwszy raz dotarło do mnie, że wielu uczniów Enei mogło się w niej po trochu podkochiwać - i pewnie tak właśnie było, mimo nabożnej czci, jaką zarazem ją otaczali. Tym niemniej usłyszeć coś takiego od zapatrzonego ślepo w pieniądź handlarza - to był szok.

Enea dotknęła jego ramienia.

— Uważaj na siebie - powiedziała. - Powodzenia.

Kiedy wróciliśmy, „Yggdrasill” wciąż znajdował się pod ostrzałem - i pod ostrzałem Enea przeniosła nas poza układ Tau Ceti.

Gęsto zaludniony Lusus niewiele się zmienił od czasu mojej ostatniej wizyty: Kopce piętrzyły się jeden za drugim nad wąwozami z szarej stali. Zostawiliśmy na nim Jigme Norbu i George’a Tsaronga. Krępy, masywny George - który zresztą popłakał się przy pożegnaniu — mógłby od biedy ujść za przeciętnego Luzyjczyka, ale chudy jak szczapa Jigme nie miał szans zgubić się w tłumie. Na szczęście na Lususie obcy nikogo specjalnie nie dziwili i dopóki naszym majstrom starczyłoby pieniędzy, nie mieli czego się obawiać. Niestety, była to również jedna z nielicznych planet Paxu, na których wrócono do uniwersalnych kart kredytowych, a tych Enea w plecaku nie miała.

Jednakże w parę minut po tym, jak opuściliśmy puste korytarze Kopca Drega, na spotkanie wyszło nam siedem postaci w szkarłatnych

płaszczach. Wszedłem naprzód, stając pomiędzy nimi i Eneą, mężczyźni jednak nie rzucili się na nas, lecz uklękli na poplamionej olejem podłodze, skłonili się nisko i zaintonowali:

NIECH BĘDZIE BŁOGOSŁAWIONA

NIECH BĘDZIE BŁOGOSŁAWIONE ŹRÓDŁO NASZEGO ZBAWIENIA

NIECH BĘDZIE BŁOGOSŁAWIONE NARZĘDZIE NASZEGO
ODKUPIENIA

NIECH BĘDZIE BŁOGOSŁAWIONY OWOC NASZEGO POJEDNANIA

NIECH BĘDZIE BŁOGOSŁAWIONA

— Kult Chyżwara - zauważyłem niezbyt bystrze. - Zdawało mi się, że wyginęli po Upadku.

— Wolimy nazywać się Kościołem Ostatecznego Odkupienia - poprawił mnie najbliższy z mężczyzn. Wstał z kolan, ale nie podnosił głowy. - Poza tym... Nie, nie „wyginęliśmy”, jak to ująłeś... Po prostu zostaliśmy zmuszeni do ukrycia się. Witaj, Córko Światła. Witaj, Narzeczone Awatara.

— Nie jestem niczyją narzeczoną, biskupie Duruyen. - Enea ze zniecierpliwieniem pokręciła głową. Oto dwaj ludzie, których na najbliższe dziesięć miesięcy chcę powierzyć waszej opiece.

Odziany w szkarłat biskup skłonił się jeszcze niżej.

— Tak jak to przepowiedziałaś, Córko Światła.

— Niczego nie przepowiadałam - zaoponowała Enea. - Obiecałam. - Ostatni raz objęła George'a i Jigme.

— Spotkamy się jeszcze, architekcie? spytał Jigme.

— Tego nie mogę wam obiecać, ale jeśli będzie to w mojej mocy, jeszcze będziemy w kontakcie.

Wróciłem z Eneą tunelami pod Kopcem Drega do pustej sali, gdzie nasze zniknięcie nie mogło nikogo zdziwić i wejść do bogatego kanonu cudów Kościoła Chyżwara.

Na Tsintao-Hsishuang Pannie pożegnaliśmy się z dalajlamą i jego bratem, Labsangiem Samtenem. Labsang płakał; mały dalajlamą nie.

— Tutejszy dialekt mandaryński jest niewiarygodnie zniekształcony - zauważył chłopiec.

— Zrozumię cię, Wasza Świątobliwość - uspokoiła go Enea. - Będą słuchać.

— Ale to ty jesteś moją nauczycielką - w głosie dalajlamy pobrzmiwał ślad gniewu. - Jak mam nauczać bez twojej pomocy?

— Pomogę ci. Spróbuję. Później wszystko będzie zależało od ciebie - i od nich.

— I możemy udzielić im komunii? - zapytał Labsang.

— Jeśli poproszą - tak - odparła Enea i ponownie zwróciła się do dalajlamy: - Czy Wasza Świątobliwość udzieli mi błogosławieństwa?

Chłopiec się uśmiechnął.

— To ja powinienem cię o to prosić - rzekł.

— Proszę - powiedziała Enea, a ja znów usłyszałem w jej głosie zmęczenie.

Dalajlamą pochylił się nad nią, zamknął oczy i rzekł:

— To będzie fragment „Modlitwy Kuntu Sangpo”, objawionej mi w wizji z poprzedniego wcielenia.

Ach! Świat ten niezwykły, wszystkie byty, samsara i nirwana,

Jedną mają podstawę, choć wiodą do niej dwie ścieżki i dwa mogą być wyniki -

Dowodzące ignorancji i wiedzy.

Staraniem Kuntu Sangpo,

W Pałacu Pierwotnej Nicości

Niech wszelkie stworzenie osiągnie idealne spełnienie i zbliży się do Buddy.

Uniwersalnej podstawy nic nie podważy.

Spontanicznie wzrasta rozległa wewnętrzna przestrzeń, której nie sposób wyrazić,

Gdzie nie istnieje samsara ni nirwana.

Świadomość tej rzeczywistości pozwala zbliżyć się do Buddy;

Istoty niewiedzące błędzą w samsarze.

Niech wszystkie świadome stworzenia trzech królestw
dostąpią poznania natury nieopisywalnego fundamentu.

Enea odpowiedziała ukłonem.

— Pałac Pierwotnej Nicości... - powtórzyła cicho. - O ileż piękniejsza fraza od mojej niezdarnej „Pustki, Która Łączy”. Dziękuję, Wasza Świątobliwość.

— To ja ci dziękuję, czcigodna nauczycielko - odparł chłopiec i również się uklonił. - Niech twoja śmierć będzie szybsza i mniej bolesna, niż oboje to przewidujemy.

Wróciliśmy z Eneą na pokład drzewostatku.

— Co on miał na myśli? - zapytałem, kładąc jej dłonie na ramionach. - Co to znaczy „śmierć szybsza i mniej bolesna”? Co to, psiakrew, ma być?! Chcesz się dać ukrzyżować?! Czy kolejne wcielenie mesjasza musi skończyć w podobnie idiotyczny sposób?! Odpowiedz mi, Eneo!

Zauważyłem, że potrząsam nią gwałtownie... Że szarpię moją ukochaną dziewczynkę. Puściłem ją, a ona mnie objęła.

— Bądź przy mnie, Raul. Zostań tak długo, jak tylko zdołasz.

— Zostanę - powiedziałem i pogłaskałem ją po plecach. - Przysięgam, że zostanę.

Na Fuji pożegnaliśmy Kenshiro Endo i Haruyukiego Otaki; na Denebie Drei - dzieciaka, którego nigdy nie widziałem: dziesięcioletnią dziewczynkę imieniem Katherine, która wcale nie wyglądała na przestraszoną, że zostaje sama na obcej planecie. Na Sol Draconi Septem, w świecie, gdzie powietrze zamarza na kość, grasują upiory śnieżne i gdzie zamordowano ojca Glaucusa i naszych Chitcharuków,

przyszła kolej na smutnego, zamyślonego konstruktora rusztowań, Rimsiego Kyipupa, który z chęcią został na skutej lodem planecie. Na Nigdy Więcej rozstaliśmy się z mężczyzną, którego również nie miałem przyjemności poznać - uroczym starszym panem, który pasowałby na młodszego i sympatyczniejszego brata Martina Silenusa. Na Bożej Kniei, gdzie przed dziesięciu laty A. Bettik stracił pół ręki, wraz ze mną i Eneą znalazło się dwóch oficerów ze statku Heta Masteena; nie wrócili z nami na „Yggdrasilla”. Na Hebronie, pozbawionym żydowskich osadników i zasiedlanym przez gromady przysłanych przez Pax przykładowych chrześcijan, oprócz mnie i Enei znaleźli się dwaj Seneszaje, empaci - Lleeoonn i Ooeeaall. Pożegnaliśmy się wieczorem na pustyni, której skały wciąż emanowały poświatą dnia.

Na Parvati zwykle roześmiane i wesołe siostry Kuku Se i Kay Se popłakały się, ściskając nas po raz ostatni. Na Asquith zostawiliśmy rodzinę złożoną z dwojga rodziców i piątki dzieciaków o złotych lokach. Kiedy znaleźliśmy się nad spowitym w białe chmury Marę Infinitus - planetą, której nazwa zawsze kojarzyć mi się będzie z bólem i oddaniem moich przyjaciół - Enea zaproponowała sierżantowi Gregoriusowi, żeby przeniósł się z nią na dół i przyłączył do rebeliantów.

— Miałbym zostawić kapitana? - olbrzym nie ukrywał zaskoczenia. De Soya podszedł do niego.

— Kapitana już nie ma, sierżancie - powiedział. - Został tylko ksiądz bez kościoła, przyjacielu. Podejrzewam poza tym, że bardziej przydamy się teraz oddzielnie, niż trzymając się razem. Nie mylę się chyba, prawda, M. Enea?

Moja najdroższa skinęła głową.

— Miałam nadzieję, że to Lhomo będzie mnie reprezentował na Marę Infinitus - przyznała. - Przemytnicy, rebelianci i kłusownicy

polujący na świecące pyski doceniliby takiego silnego człowieka. Będzie trudno i niebezpiecznie... Powstanie trwa, a Pax nie bierze jeńców.

— Nie chodzi o niebezpieczeństwo! - krzyknął Gregorius. - W obronie słusznej sprawy gotów byłbym i sto razy umrzeć prawdziwą śmiercią.

— Wiem o tym, sierżancie - rzekła Enea.

Gregorius przeniósł wzrok na swego byłego dowódcę, a potem znów spojrzał Enei w oczy.

— Słuchaj, dziewczyno, wiem, że nie lubisz patrzeć w przyszłość, ale wiem także, że od czasu do czasu to robisz. Powiedz mi jedno... Czy będę miał jeszcze szansę spotkać mojego kapitana?

— Oczywiście, podobnie jak kilka innych osób, które uważa pan za zmarłe... Na przykład kaprała Kee.

— W takim razie zgoda. Zrobię, o co poprosisz. Nie należę już może do Gwardii Szwajcarskiej, ale dyscyplinę mam we krwi.

— Nie chodzi teraz o dyscyplinę i posłuszeństwo - wtrącił ojciec de Soya. - To coś głębszego.

Sierżant zamyślił się na moment.

— Rozumiem - rzekł wreszcie i na chwilę obrócił się do wszystkich tyłem. - Chodźmy, dziewczyno - powiedział i podał rękę Enei.

Zostawiliśmy go na opustoszałej platformie, gdzieś na Szelfie Południowym, skąd, zgodnie z obietnicą Enei, następnego dnia miała go zabrać łódź podwodna.

Na orbicie MadredeDios ojciec de Soya zgłosił się na ochotnika, ale Enea powstrzymała go ruchem ręki.

— Przecież to jest mój świat - zdziwił się ksiądz. - Urodziłem się tutaj, tu miałem diecezję... Wyobrażam sobie, że tu właśnie umrę.

— Może i tak się stanie - powiedziała Enea. - Na razie jednak jesteś mi potrzebny w bardziej niebezpiecznym miejscu, Federico.

— To znaczy?

— Na Pacem. Tam polecimy na końcu.

— Zaraz, maleńka - wtrąciłem się. - Jeżeli wciąż wybierasz się na Pacem, idę z tobą. Mówiłaś, że będę mógł ci towarzyszyć. - Nawet dla mnie mój głos brzmiał jak rozpaczliwe skamlenie.

— To prawda. - Enea musnęła palcami mój nadgarstek. - Ale chcę, żeby ojciec de Soya był z nami, gdy nadejdzie ta chwila.

Jezuita był chyba zmieszany i trochę rozczarowany, ale tylko skłonił się pokornie; najwyraźniej Towarzystwo Jezusowe skuteczniej wpajało zasadę posłuszeństwa niż Gwardia Szwajcarska.

Skończyło się na tym, że Wojtek Majer i jego nowa narzeczona, Viki Groselj, zgłosili się na ochotnika, żeby zostać na MadredeDios. Na Freeholmie pożegnaliśmy się z Januszem Kurtyką; na Kastrop-Rauxelu, niedawno poddanym powtórnemu terraformowaniu i zasiedlanym przez chrześcijan, Jigme Paring, żołnierz dalajlamy, zgodził się odszukać zbuntowanych mieszkańców planety; na orbicie Oszczędności, gdzie pod ostrzałem okrętów Paxu nasze pole siłowe wybuchło burzą grzmotów i światła, niejaka Helen Dean O'Brian wzięła Eneę za rękę; na Nadziei zostawiliśmy byłego burmistrza Jokungu, Charlesa Chikyap Kempo; na Trawie, stojąc pośrodku sięgającego nam szyi morza prerii, rozstaliśmy się z Isher Perpet, jedną z odważnych buntowniczek wyratowanych z galery więziennej Paxu przez ojca de Soyę; na Qom-Rijadzie, gdzie meczety pośpiesznie równano z ziemią bądź przerabiano na paksowskie katedry, wylądowaliśmy w środku nocy i szeptem pożegnaliśmy uchodźcę z tejże planety, Merwina Muliammeda Alego, oraz Perriego Samdupa, naszego tłumacza z Tien Szanu.

Nad Renesansem Mniejszym cała horda stacjonujących w układzie statków rzuciła się ku nam w morderczych zamiarach. Milczący i blady eks-więzień de Soi, Hoagan Liebler, zgłosił się do Enei.

— Byłem szpiegiem - powiedział. Mówił do mojej ukochanej, ale patrzył w oczy de Soi. - Sprzedałem się, aby móc wrócić na tę planetę i upomnieć o utracone przez mój ród dobra. Zdradziłem kapitana i własną duszę.

— Synu - odezwał się de Soya - twoje grzechy dawno już zostały ci zapomniane, jeśli w ogóle można mówić o grzechach... Przebaczył ci i twój kapitan, i, co ważniejsze, sam Bóg. Nikogo nie skrzywdziłeś.

Liebler pokiwał z namysłem głową.

— Te głosy, które słyszę bezustannie, odkąd napiłem się wina M. Enei... - nie dokończył zdania. - Znam wielu mieszkańców Renesansu Mniejszego - ciągnął po chwili już mocniejszym głosem. - Chcę wrócić do domu i rozpocząć nowe życie.

— Dobrze - powiedziała Enea i podała mu rękę.

Na Vitus-Gray-Balianusie B przenieśliśmy się z Enea i Dorje Phamo na pustynię, z dala od rzeki, ciągnących się wzdłuż niej pól i pomalowanych w barwy tęczy domostw - to w jednym z nich dobrzy ludzie z Widmowej Helisy Amoiete'a zaopiekowali się mną i pomogli mi wymknąć się Paxowi. Otaczały nas porozrzucane bezładnie głązy i spękana, czerwona równina; tu i ówdzie widniały wejścia do licznych tuneli, ciągnących się pod ziemią niczym labirynt, a od spowitego czarnym obłokiem zachodniego horyzontu zbliżała się burza piaskowa. Słońce zachodziło krwawo. Okolica przypominała Marsa z trochę cieplejszym i gęściejszym powietrzem, przesyconym w dodatku wonią śmierci i kordytu.

W mgnieniu oka zaroilo się wokół nas od okutanych w długie szaty postaci, uzbrojonych w kartaczownice i bicze boże. Ponownie spróbowałem zasłonić Eneę przed niebezpieczeństwem, ale zostaliśmy otoczeni. Obcy wycelowali w nas broń.

— Stójcie! - dobiegł mnie dziwnie znajomy krzyk. Z najbliższej wydmy zsunęła się kobieta. Stała tuż przed nami. - Nie strzelać! -

krzyknęła ponownie i odwinęła zawój z twarzy.

— Dem Loa! - wykrzyknąłem i rzuciłem się w ramiona odzianej w pękaty kombinezon postaci. Łzy płynęły jej po twarzy, żłobiąc kanaliki w pokrywającym policzki kurzu.

— Przyprowadziłeś swoją ukochaną - powiedziała kobieta, która ocaliła mi życie. — Zgodnie z obietnicą.

Przedstawiłem ją Enei i Dorje Phamo; było mi głupio, chociaż czułem się zarazem szczęśliwy. Dem Loa i Enea zmierzyły się wzrokiem i padły sobie w ramiona.

Popatrzyłem na resztę otaczających nas postaci. Trzymały się nieco z tyłu, więc nie widziałem ich za dobrze w czerwonym świetle zmierzchu.

— Gdzie Dem Ria? - spytałem. - I Alem Mikail Dem Alem? I dzieci, Bin i Ces Ambre?

— Nie żyją - odpowiedziała Dem Loa. - Wszyscy; tylko Ces Ambre uznano za zaginioną po ostatnim nalocie z Bombasino.

Odebrało mi mowę.

— Bin Ria Dem Loa Alem zmarł na raka - mówiła dalej kobieta. - Pozostali zginęli na wojnie z Paxem.

— Na wojnie - powtórzyłem. - Boże mój, mam nadzieję, że nie ja ją rozpętałem...

Dem Loa uspokoiła mnie, podnosząc dłoń.

— Nie, Raulu Endymionie. Nie rozpętałeś jej. Ci spośród nas, którzy należą do Widmowej Helisy Amoiete'a i cenią sobie niezawisłość, odmówili przyjęcia krzyża... i tak się zaczęło. Powstanie wybuchło, kiedy jeszcze byłeś z nami, a po twoim odejściu wydawało nam się nawet przez moment, że zwycięstwo mamy w kieszeni. Tchórze z Bombasino skamleli o pokój, nie bacząc na rozkazy przełożonych, ale wtedy przybyły kolejne okręty. Zbombardowali własną bazę... A potem zaatakowali nasze wsie. Od tamtej pory trwa wojna. Za każdym razem,

gdy lądują i podejmują próbę okupacji, zabijamy ich. Przysyłają więc następnych.

— Dem Loa - powiedziałem. - Tak mi przykro.

Położyła mi dłoń na piersi i skinęła głową. Uśmiechnęła się tak samo, jak pamiętałem to ze swojego pierwszego pobytu na planecie i przeniosła wzrok na Eneę.

— To o tobie mówił w chwilach największego cierpienia. Kocha cię. Czy i ty go kochasz, dziecko?

— Tak, kocham go - odparła Enea.

— To dobrze. Byłoby to smutne, gdyby mężczyzna na łożu śmierci wyrażał najgłębszą miłość do kogoś, kto nie odwzajemnia jego uczuć. - Dem Loa spojrzała na milczącą, dostojną Dorje Phamo. - Jesteś kapłanką, pani?

— Nie - odrzekła Gromowładna Locha. - Przełożoną klasztoru Samden.

Dem Loa wyszczerzyła się w uśmiechu.

— Rządzisz mnichami? Mężczyznami?

— Raczej... przewodzę im - poprawiła ją Dorje Phamo. Wiatr targał jej stalowosiwe włosy.

— To tak, jakbyś nimi rządziła. - Dem Loa się roześmiała. - Witaj więc wśród nas, Dorje Phamo. Zostajesz z nami, dziecko? - Te słowa znów skierowane zostały pod adresem Enei. - Czy też to tylko przelotna wizyta, o której wspominały nasze proroctwa?

— Muszę odejść - powiedziała Enea. - Zostawiam wam Dorje Phamo jako sprzymierzeńca i moją... łączniczkę.

Niska kobieta pokiwała głową.

— Niebezpiecznie tu teraz - ostrzegła Gromowładną Lochę, która odpowiedziała jej uśmiechem. W obu kobietach wyczuwało się moc, która otaczała je niemal namacalnym kokonem. - Znakomicie - stwierdziła Dem Loa i objęła mnie mocno. - Dbaj o swoją ukochaną,

Raulu Endymionie. Bądź dla niej dobry podczas tych godzin, które przypadły wam w udziale w odwiecznych cyklach życia i chaosu.

— Będę o tym pamiętał.

— Dziękuję, że przybyłaś do nas, dziecko - rzekła Dem Loa do Enei. - Pragnęliśmy tego. Żyliśmy nadzieją, że tak się stanie.

Objęły się, a ja poczułem się onieśmielony, jakbym przyjechał przedstawić Eneę własnej matce albo Starowinie.

Dorje Phamo położyła nam dłonie na ramionach.

— Kale pe a - powiedziała do Enei.

Zanurzyliśmy się w obłok piasku i w błysku białego światła przenieśliśmy na „Yggdrasilla”. Stojąc na mostku zapytałem:

— Co ona powiedziała?

— Kale pe a - powtórzyła Enea. - To stare tybetańskie pożegnanie, którego używano, gdy karawany wyruszały ku podniebnym przełęczom. Znaczy „Nie spiesz się, jeżeli chcesz wrócić”.

To samo powtórzyło się jeszcze na setce innych planet. Na każdej z nich spędziliśmy zaledwie parę chwil, ale każde pożegnanie było na swój własny sposób wzruszające i zapadało mi w pamięć. Nie potrafię powiedzieć ile dni i nocy trwała moja ostatnia podróż w towarzystwie Enei; składała się tylko z następujących po sobie skoków w dół i na górę - statek zanurzał się w powodzi światła w jednym miejscu i wynurzał zupełnie gdzie indziej, a gdy wszyscy byli zbyt zmęczeni, by kontynuować wędrówkę, dryfował po prostu w próżni przez parę godzin. Ergi odpoczywały, a my próbowaliśmy się zdrzemnąć.

Przypominani sobie co najmniej trzy takie okresy snu, możliwe więc, że lecieliśmy tylko trzy dni i noce... A może tydzień, czy nawet dłużej, a po prostu spaliśmy tylko trzy razy. Pamiętam jednak, że niewiele z Eneą sypialiśmy, za to kochaliśmy się czule, jakby każdy raz, kiedy trzymałem ją w ramionach, miał być naszym ostatnim.

Podczas jednego z tych krótkich okresów, które mieliśmy tylko dla siebie, zapytałem jej szeptem:

— Dlaczego robisz to wszystko, maleńka? Przecież nie tylko po to, żebyśmy wszyscy mogli stać się podobni do Intruzów, mieć skrzydła i chwytac w nie blask słońca. Bo wiesz... To piękne, ale... Ja po prostu lubię planety, lubię czuć grunt pod stopami, lubię być... człowiekiem. Mężczyzną.

Enea zachichotała i musnęła dłonią mój policzek. Światło było przyćmione, ale nie przeszkodziło mi to dostrzec kropelek potu między jej piersiami.

— Ja też lubię, kiedy jesteś mężczyzną, Raul.

— Ale... - zacząłem niezdarnie.

— Wiem, co masz na myśli - szepnęła. - Ja też lubię planety i lubię być człowiekiem... kobietą. I nie chodzi mi o jakąś utopijną ewolucję ludzkości, która miałaby ze wszystkich uczynić anioły na wzór Intruzów czy podobnych Seneszajom empatów, kiedy robię... to, co muszę.

— W takim razie dlaczego?

— Ludzie powinni mieć wybór, żeby każdy mógł pozostać człowiekiem w takim sensie, w jakim najbardziej mu to odpowiada.

— Żeby mógł wybrać jeszcze raz?

— Właśnie. Nawet gdyby miało oznaczać to niezmiennosc decyzji, więcej, nawet gdyby ktoś postanowił wybrać Pax, krzyżokształt i unię z Centrum.

Nie rozumiałem jej, ale w tamtym momencie znacznie bardziej zależało mi na przytulaniu jej niż na rozumieniu.

Po dłuższej chwili milczenia Enea odezwała się ponownie:

— Raul... ja też uwielbiam zgrzyt piasku pod stopami i szelest kołysanej wiatrem trawy. Zrobisz coś dla mnie?

— Co tylko zechcesz - zaofiarowałem się z zapalem.

— Gdyby zdarzyło się tak, że umrę pierwsza, zawieziesz moje prochy na Starą Ziemię i rozsypiesz je w miejscu, gdzie przeżyliśmy najszcześniejsze chwile, dobrze?

Nie czułbym takiego bólu, nawet gdyby pchnęła mnie wtedy sztyletem w serce.

— Powiedziałaś, że będę mógł zostać z tobą - wykrztusiłem wreszcie z trudem. - I wszędzie ci towarzyszyć.

— Mówiłam poważnie, kochanie - szepnęła. - Ale gdybym umarła przed tobą, zrobisz to dla mnie? Oczekaj kilka lat, a potem zawieź moje prochy na Starą Ziemię, do miejsca, które było dla nas najcudowniejsze.

Miałem ochotę przytulić ją tak, żeby zaczęła krzyczeć, przynajmniej dopóki nie cofnie swojej prośby.

— A jak niby, do wszystkich diabłów, mam wrócić na Starą Ziemię? - zapytałem szeptem. - Jest przecież w Mniejszym Obłoku Magellana, nie? To jakieś sto sześćdziesiąt tysięcy lat świetlnych stąd!

— To prawda.

— No więc? Zamierzasz znów uruchomić transponder, żebym mógł się tam dostać?

— Nie - odrzekła. - Te drzwi są już na zawsze zamknięte.

— W takim razie jakim cudem mam... - Zamknąłem oczy. Nie proś mnie o to, Eneo.

— Już cię poprosiłam, najdroższy.

— Poproś lepiej, żebym umarł razem z tobą.

— Nie. Proszę, żebyś dla mnie żył. I żebyś spełnił moje życzenie.

— Psiakrew - powiedziałem.

— Czy to znaczy „tak”, Raul?

— To znaczy „psiakrew” - odrzekłem. - Nienawidzę męczenników. Nienawidzę przeznaczenia. I nie cierpię historii miłosnych, które się smutno kończą.

— Ja też - szepnęła. - Zrobisz to dla mnie?

Chrząknąłem.

— A gdzie było nam na Starej Ziemi najlepiej? - zapytałem w końcu.

- Masz chyba na myśli Taliesin Zachodni, bo niewiele po niej wędrowaliśmy razem.

— Będziesz wiedział. Chodźmy spać.

— Nie chcę mi się spać - burknąłem.

Oplotła mnie ramionami. Cudownie było sypiać u jej boku w nieważkości Gwiazdodrzewa, ale jeszcze wspanialej czułem się dzieląc z nią ciasną koję w maleńkiej, prywatnej kajucie na „Yggdrasillu”. Nie wyobrażałem sobie, jak to będzie zasypiać samotnie.

— Rozsypać twoje prochy, co? - wyszeptałem.

— Tak - mruknęła sennie.

— Kochanie, jesteś wredną, małą wiedźmą.

— Zgadza się. Ale twoją.

Jakiś czas potem rzeczywiście poszliśmy spać.

Ostatniego dnia Enea przeniosła nas do układu czerwonego karła typu M3, którego po niskiej orbicie okrążała słodka, bardzo podobna do Ziemi planetka.

— Nie - powiedziała Rachela, gdy nasza nieliczna grupka zebrała się na mostku Heta Masteena. Zostawiliśmy za sobą trzysta osób; uczniowie Enei rozproszyli się w morzu planet Paxu niczym butelki w oceanie - butelki bez wiadomości. Zostali już tylko ojciec de Soya, Rachela, Enea, kapitan Het Masteen, A. Bettik, kilka klonów załogowych, ergi na dolnym pokładzie i ja. No i Chyżwar, niewzruszenie stojący w bocianim gnieździe.

— Nie - powtórzyła Rachela. - Zmieniłam zdanie. Chcę ci towarzyszyć.

Enea stała naprzeciw niej z założonymi na piersi rękoma. Tego ranka, podczas licznych pożegnań, wydawała mi się szczególnie

przygnębiona i milcząca.

— Jak sobie życzysz - stwierdziła. - Wiesz, że do niczego cię nie zmuszam.

— Szlag by cię trafił - powiedziała cicho Rachela..

— Właśnie.

— Kurczę, czy to się kiedyś skończy? - Rachela zacisnęła pięści.

— Co masz na myśli?

— Dobrze wiesz, co mam na myśli! Mój ojciec... moja matka... i twoja też... Całe ich życie było tym naznaczone. I moje życie..., które przeżyłam już dwa razy. Wieczna walka z niewidzialnym wrogiem, wieczna ucieczka, czekanie. Z biegiem czasu i pod prąd, niczym jakaś przeklęta marionetka... Cholera!

Enea milczała.

— Mam jedną prośbę - powiedziała Rachela i spojrzała na mnie. - Nie gniewaj się, Raul; bardzo cię lubię, ale chciałabym, żeby Enea sama odprowadziła mnie na planetę Barnarda.

Popatrzyłem na Eneę.

— Nie mam nic przeciwko temu - rzekłem.

Rachela westchnęła.

— Wracam na tę zapomnianą planetkę... Pola kukurydzy, zachody słońca, urocze miasteczka, a w nich ogromne białe domy z wielkimi werandami. Miałam ich dość w wieku ośmiu lat.

— Kochałaś je mając osiem lat - powiedziała Enea.

— Tak - przyznała Rachela. - To fakt. - Podała rękę księdzu, Helowi Masteenowi i, na końcu, mnie.

Pod wpływem nagłego impulsu, przypomniawszy sobie najbardziej dziwaczne wersy „Pieśni”, z których zaśmiewałem się do łez przy obozowym ognisku, gdy Starowina kazała mi je do znudzenia powtarzać, a ja zastanawiałem się, czy to możliwe, żeby ludzie naprawdę wygadywali takie rzeczy, powiedziałem:

— Siemanek, Rachelo.

Spojrzała na mnie zdziwiona, a w jej zielonych oczach zamigotało światło majaczącej nad nami planety.

— Dowidzonek, Raul - odparła.

Wzięła Eneę za rękę i obie zniknęły.

Nie było żadnego błysku światła, nic, po prostu nagła nieobecność.

Enea wróciła po pięciu minutach. Het Masteen cofnął się od sterów i wsunął dłonie w rękawy szaty.

— Co teraz, czcigodna Ty, Która Nauczasz? - rzekł.

— Układ Pacem, Prawdziwy Głosie Drzewa.

Templariusz ani drgnął.

— Wiesz o tym, najukochańsza przyjaciółko i nauczycielko, że Pax zdążył już ściągnąć w pobliże Watykanu połowę floty.

Enea podniosła wzrok i ogarnęła spojrzeniem szeleszczące delikatnie liście przepięknego drzewa, na którym się znajdowaliśmy. Kilometr od nas buchał pióropusz ognia z silników jądrowych, wypychających nas z wolna ze studni grawitacyjnej planety Barnarda. Żaden okręt Paxu nie próbował nas tu zaczepić.

— Czy ergi zdołają utrzymać pole tak długo, żebyśmy zbliżyli się do Pacem? - zapytała.

Kapitan wydobyl ręce z rękawów i wysunął je przed siebie, dłońmi do góry.

— Wątpię; są wyczerpane. Te ataki sporo je kosztowały...

— Wiem - przerwała mu Enea. - I bardzo mi przykro z tego powodu. Wystarczy, żebyśmy wytrzymali w układzie minutę, góra dwie. Może gdybyśmy teraz się rozpędzili i przygotowali do manewrów na pełnej szybkości nad Pacem, statek zdołałby odskoczyć, zanim ostrzał przełamie pole.

— Spróbujemy - zgodził się Het Masteen. - Ale przygotujcie się do natychmiastowego skoku. Może być i tak, że czas życia „Yggdrasilla”

będzie się liczył w sekundach.

— Najpierw musimy odesłać statek konsula - rzekła Enea. - I to zaraz. To potrwa tylko chwilę, kapitanie.

Templariusz skinął głową i wrócił do przyrządów.

— O nie - zaoponowałem, gdy wzrok Enei spoczął na mnie. - Nie wracam statkiem na Hyperiona.

Chyba ją zaskoczyłem.

— Myślałeś, że cię odeślę? - zapytała. - Po tym, jak obiecałam ci, że możesz mi towarzyszyć?

Skrzyżowałem ramiona na piersi.

— Odwiedziliśmy większość planet w Paksie i na Pograniczu - stwierdziłem. - Został tylko Hyperion. Nie wiem, co knujesz, ale nie wierzę, żebyś wyłączyła z tego naszą rodzinną planetę.

— Nie zamierzam, co jednak nie znaczy, że zaraz się tam przeniesiemy.

Nic nie rozumiałem.

— A. Bettiku - mówiła dalej Enea - statek powinien być prawie gotowy. Czy masz list, który napisałam do wuja Martina?

— Owszem, M. Enea - odrzekł android; nie wyglądał na szczęśliwego, ale chyba też nie martwił się zbyt. -

— Przekaż mu moje ucałowania - poprosiła Enea.

— Zaraz, zaraz - zaprotestowałem. - Czy A. Bettik ma być twoim... wysłannikiem... na Hyperionie?

Enea potarła w zamyśleniu policzek. Zwróciłem uwagę, że jest bardziej zmęczona, niż przypuszczałem, ale wciąż oszczędza siły na jakiś ważny moment.

— Moim wysłannikiem? - powtórzyła. - Tak jak Rachela, Theo, Dorje Phamo, George i Jigme?

— No właśnie - przytaknąłem. - I ze trzy setki innych ludzi.

— Nie, A. Bettik nie będzie moim wysłannikiem. Nie w takim sensie. Poza tym lecąc statkiem konsula zbierze spory dług czasowy - nie dotrze na miejsce przez kilka miesięcy naszego czasu.

— Kto w takim razie jest... łącznikiem? - dopytywałem się, nie mogąc sobie wyobrazić, żeby Hyperion miał zostać pominięty.

— Jeszcze się nie domyśliłeś? - Uśmiechnęła się. - Mój ukochany wujek Martin. Poeta i krytyk ponownie staje się graczem w niekończącej się partii szachów, jaką rozgrywamy z Centrum.

— Przecież wszyscy inni przyjęli komunie i... - nie dokończyłem.

— Właśnie - rzekła Enea. - Kiedy byłem mała, wuj zrozumiał i wypił wino. Nie musiał się zbytnio wysilać, żeby się przyzwyczaić... Na swój sposób, jako poeta, dawno temu nauczył się słyszeć język żywych i umarłych. Głównie dzięki temu napisał „Pieśni”; dlatego uważał Chyżwara za swoją muzę.

— Ale po co A. Bettik zabiera statek na Hyperiona? Ma zawieźć twój list?

— Nie tylko. Jeśli wszystko pójdzie po naszej myśli, to sam się przekonasz.

Enea przytuliła androida, który niezręcznie poklepał ją po plecach zdrową ręką.

W chwilę później uścisnąłem jego błękitną dłoń. Nawet nie przypuszczałem, że może to we mnie obudzić tyle emocji.

— Będzie mi ciebie brakowało - rzuciłem głupawo.

Patrzył na mnie dłuższą chwilę, a potem skinął głową i odwrócił się, by udać się na statek.

— A. Bettiku! - krzyknąłem, gdy stał już we włązie.

Zatrzymał się, ja zaś rzuciłem się do sterty bagażu na niższej platformie, po czym truchcikiem wbiegłem na schody i stanąłem obok niego.

— Weź to, proszę. - Podąłem mu skórzaną tubę.

— Mata grawitacyjna - powiedział. - Oczywiście, M. Endymion. Z przyjemnością przechowam ją dla pana do czasu naszego ponownego spotkania.

— A gdybyśmy się nie spotkali... - nie skończyłem. Miałem zamiar powiedzieć „Oddaj ją Martinowi Silenusowi”, ale z własnych snów na jawie wiedziałem, że poeta umiera. - Gdybyśmy się nie spotkali, A. Bettiku, zachowaj ją na pamiątkę naszej wspólnej podróży. I naszej przyjaźni.

Android ponownie popatrzył na mnie w milczeniu, jeszcze raz skinął głową i zniknął we wnętrzu statku konsula. Na wpuł spodziewałem się, że statek osobiście się z nami pożegna, w przemowie pełnej mizapropizmów i błędnych informacji, ale on tylko porozumiewając się z ergami drzewostatku uniósł się na repulsorach i wy dostał poza pole siłowe, gdzie włączył pomocnicze silniki odrzutowe. Oddalwszy się na bezpieczną odległość uruchomił napęd jądrowy; z jego dysz buchnęły płomienie tak jaskrawe, że łzy napłynęły mi do oczu, gdy patrzyłem, jak oddala się od „Yggdrasilla”. Żałowałem serdecznie, że nie znajdujemy się z Enea na jego pokładzie i w towarzystwie A. Bettika nie wracamy na Hyperiona. Moglibyśmy całymi dniami spać w ogromnym łóżku na dziobie, słuchać brzmienia steinwaya, pływać w nieważkości nad tarasem...

— Czas na nas - rzekła Enea do Heta Masteena. - Proszę przygotować ergi na to, co nas czeka, kapitanie.

— Jak sobie życzysz, czcigodna - odpowiedział Prawdziwy Głos Drzewa.

— Jeszcze jedno...

Templariusz odwrócił się w oczekiwaniu dalszych rozkazów.

— Dziękuję, kapitanie - powiedziała Enea. - W imieniu wszystkich, którzy znaleźli się na pokładzie „Yggdrasilla” w tej ostatniej podróży

i którzy będą o niej opowiadać następnym pokoleniom, dziękuję, Hecie Masteenie.

Kapitan uklonił się i stanął za sterami.

— Napęd jądrowy: dziewięćdziesiąt dwa procent mocy. Przygotować się do uników. Cel: układ Pacem - rzekł do swoich ukochanych ergów, oplecionych wokół niewidzialnej osobliwości czasoprzestrzennej, blisko kilometr pod naszymi stopami. - Układ Pacem.

Ojciec de Soya, który stał w milczeniu obok nas, złapał prawą dłoń Enei w swoją lewą. Wolną ręką pobłogosławił templariusza i towarzyszące mu klony:

— In nomine Patris et Filii et Spiritu Sanctus.

— Amen - powiedziałem i złapałem Eneę za drugą rękę.

— Amen - zawtórowała mi moja ukochana.

Trafili nas niespełna dwie sekundy po tym, jak znaleźliśmy się nad Pacem: liniowce i archanioły otworzyły ogień, tłocząc się wokół drzewostatku niczym tęczowe rekiny, które przed laty opadły mnie na Marę Infinitus.

— Ruszajcie! - krzyknął Prawdziwy Głos Drzewa Het Masteen. Ledwie udawało mu się przekrzyczeć huk i trzaski przeciążonego pola siłowego. - Ergi umierają, pole wytrzyma najwyżej kilka sekund! Ruszajcie! Niech Muir prowadzi wasze myśli!

Enea miała tylko dwie sekundy, żeby zerknąć na żółtą gwiazdę w środku układu i zauważyć mniejszy świecący punkcik - Pacem - ale to wystarczyło: trzymając się za ręce zanurzyliśmy się we troje w powodzi światła. Błysk i hałas sprawiały wrażenie, jakbyśmy wynurzali się z kotła, w którym w ogniu lanc gotuje się pole siłowe drzewostatku, a potępione dusze skowyczą z bólu w piekielnym żarze.

Światło zbladło, by po chwili powrócić pod postacią łagodnie rozproszonego blasku słońca. Niebo nad Watykanem zasnuły chmury; było zimno, a na brukowane uliczki siąpił drobny, lodowaty deszcz. Enea miała na sobie jasnobrązową koszulę, skórzaną, nieco ciemniejszą kamizelkę i eleganckie, czarne spodnie, w jakich rzadko miałem okazję ją oglądać. Włosy zczesła do tyłu i upięła dwoma cętkowanymi zapinkami. Jej twarz tchnęła młodością i świeżością, oczy zaś - tak ostatnio zmęczone - błyszczały spokojem. Trzymając się za ręce przyglądaliśmy się uliczce i otaczającym nas ludziom.

Znajdowaliśmy się na skraju alejki odchodzącej od szerokiego bulwaru. Grupki przechodniów - mężczyzn i kobiet w oficjalnych, czarnych strojach, księży, zakonnic, towarzyszących im dzieci z czarnymi i czerwonymi parasolami - podążały po chodnikach w obie strony, po jezdni zaś przemykały cicho niskie, ciemne samochody. Na

tylnym siedzeniu mignęła mi kilka razy sylwetka biskupa czy arcybiskupa, zniekształcona w spływających po panoramicznych szybach kroplach deszczu. Nasze nagłe pojawienie się nie zwróciło niczyjej uwagi.

Enea podniosła wzrok na spowite chmurami niebo.

— „Yggdrasill” wydostał się właśnie poza układ - oznajmiła. - Poczuliście to?

Zamknąłem oczy, żeby skupić się na rozbrzmiewających tuż poza zasięgiem mojego umysłu głosach i przepływających wraz z nimi obrazach. Odczułem... brak; ujrzałem ogień, kiedy zewnętrzne gałęzie drzewostatku buchnęły płomieniem.

— W tym samym momencie pole siłowe ustąpiło - stwierdziłem. - Ale jak udało im się dokonać przeskoku bez ciebie, Eneo? - Ledwie skończyłem mówić, dostrzegłem oczywistą odpowiedź: - Chyżwar.

— Zgadza się. - Enea nie wypuszczała mojej dłoni z uścisku. Zimny deszcz ściekał nam po twarzach; słyszałem, jak woda bulgocze w rynnach i studzienkach. Enea mówiła dalej, bardzo cichym głosem: - Chyżwar przeniesie „Yggdrasilla” i Prawdziwy Głos Drzewa przez czas i przestrzeń, ku ich... przeznaczeniu.

Przypomniałem sobie strzępy „Pieśni”: płonący drzewostatek, który pielgrzymi widzieli z Trawiastego Morza na krótko przed tajemniczym zniknięciem Heta Masteena z wiatrowozu; ponowne pojawienie się templariusza, w towarzystwie Chyżwara, w kilka dni później, w pobliżu Doliny Grobowców Czasu... Wkrótce potem zmarł wskutek odniesionych ran; był jedynym uczestnikiem pielgrzymki, którego opowieści nie wysłuchano podczas podróży. Pielgrzymi - pułkownik Kassad, konsul Hegemonii, Sol - ojciec Racheli, Brawne Łamią - matka Enei, templariusz Het Masteen, Martin Silenus i Lenar Hoyt, aktualny papież - nie mieli pojęcia, co naprawdę się wydarzyło. Dla mnie, który poznałem ich historię w dzieciństwie, długo pozostawali postaciami

z mitów, „Pieśni” zaś - niezrozumiałym poematem o obcych na Hyperionie. Już im się wydawało, że ich wysiłki i przygody dobiegły końca, gdy wtem okazało się, że nadeszła pora jeszcze raz wziąć na barki stare brzemie. Nagle nasunęła mi się smutna refleksja - mnie, dorosłemu, trzydziestoletniemu z górą facetowi: jakże często tak właśnie układa się życie ludzkie...

— Widzicie ten kościół po drugiej stronie ulicy? - zapytał ojciec de Soya.

Musiałem potrząsnąć głową, żeby wrócić do teraźniejszości i zagłuszyć szept myśli i głosów.

— Pewnie - rzekłem i otarłem wilgoć z czoła. - To bazylika Świętego Piotra?

— Nie - odparł ksiądz. - Kościół parafialny Świętej Anny. Obok niego znajduje się brama Watykanu, Porta Sant'Anna. Do głównego wejścia na plac Świętego Piotra trzeba podejść kawałek tym bulwarem i skręcić przy kolumnadzie.

— A idziemy tam? - zapytałem Eneę. - Do Watykanu?

— Zobaczymy, czy nam się uda.

Ruszyliśmy chodnikiem: ot, jakiś mężczyzna, młodsza od niego kobieta i ksiądz na spacerze, pewnego chłodnego, deszczowego dnia. Tablica po drugiej stronie ulicy oznajmiała, że mijana właśnie masywna, pozbawiona okien budowla, to koszary Gwardii Szwajcarskiej. Przy Porta Sant'Anna i na skrzyżowaniu stali gwardziści z tychże koszarów, odziani w tradycyjne, renesansowe mundury: czarne płaszcze, białe krezy i pasiaste, czarnożółte spodnie. Ich piki miały odstraszać intruzów, podczas gdy funkcjonariusze służb bezpieczeństwa Paxu w porządnym, czarnym pancerzach bojowych pilnowali zapór na drogach. Górą przemykały czarne śmigacze.

Plac Świętego Piotra został zamknięty dla swobodnego ruchu pieszego. Przy nielicznych bramkach strażnicy uważnie sprawdzali

przepustki i identyfikatory.

— Tędy nie przejdziemy - stwierdził de Soya. Dzień był mroczny, toteż włączono umieszczone u szczytu kolumnady Berniniego reflektory, oświetlające grupę posągów i wyrzeźbiony w kamieniu herb papieski. Ksiądz wskazał nam dwa oświetlone okna powyżej kolumnady, nieco na prawo od fasady bazyliki, ozdobionej figurami Chrystusa, świętego Jana Chrzciciela i apostołów. - To prywatne apartamenty papieskie.

— W sam raz, żeby strzelić z karabinu - rzuciłem, chociaż nie planowałem zamachu na papieża.

Ojciec de Soya pokręcił głową.

— Pole siłowe dziesiątej klasy - rzekł i rozejrzał się dookoła. Większość przechodniów wpuszczono na plac i na ulicy coraz bardziej rzucaliśmy się w oczy. - Albo zaraz coś zrobimy, albo ktoś się nami zainteresuje.

— Czy to normalny poziom zabezpieczeń? - zaciekawiała się Enea.

— Nie. Możliwe, że zaalarmowała ich twoja wiadomość, Eneo, bardziej prawdopodobne jednak, że to Jego Świątobliwość osobiście odprawia mszę. Dzwony, które słyszeliśmy, wzywały na celebrowane przez niego popołudniowe nabożeństwo.

— Skąd ojciec wie to wszystko? - zdumiałem się, słysząc ile wyczytał ze zwykłego bicia dzwonów.

On również wyglądał na zdziwionego.

— Dziś jest Wielki Czwartek. - Nie wiem, czy bardziej zaskoczyła go nasza nieświadomość tak oczywistego faktu, czy raczej to, że sam dopiero teraz sobie o tym przypomniał. - Mamy Wielki Tydzień - mówił dalej cicho, jakby myślał na głos. - Papież musi wypełniać nie tylko obowiązki wynikające z pontyfikatu, ale i obowiązki biskupa diecezji. Dzisiaj wieczorem... zapewne podczas tej właśnie mszy, obmyje stopy dwunastu księżom, symbolizującym dwunastu uczniów, którym

Chrystus umył nogi przed Ostatnią Wieczerzą. Niegdyś ceremonia ta odbywała się w papieskim kościele diecezjalnym, czyli bazylice Świętego Jana Laterańskiego, a więc poza murami Watykanu, odkąd jednak przeniesiono Stolicę Apostolską na Pacem, uroczystość ma miejsce w bazylice Świętego Piotra. Bazylikę Świętego Jana Laterańskiego zostawiono na pastwę losu, gdyż uległa zniszczeniu w Wojnie Siedmiu Narodów w dwudziestym pierwszym wieku i... - Nerwowa paplanina de Sol ucichła. Jego twarz przybrała spokojny, nieobecny wyraz, charakterystyczny dla osób głęboko zamyślonych albo epileptyków, u których choroba ma łagodny przebieg.

Staliśmy bez ruchu i w milczeniu. Przyznam, że z coraz większym niepokojem spoglądałem ku zmierzającym w naszą stronę, odzianym w czerń strażnikom Paxu.

— Wiem, jak dostać się do Watykanu - rzekł nagle ojciec de Soya. Okręcił się na pięcie i skierował wprost w uliczkę po drugiej stronie Bulwaru Watykańskiego.

— Świetnie - rzuciła Enea i ruszyła za nim.

Jezuita stanął jak wryty.

— Możliwe, że wiem, jak tam wejść - stwierdził. - Ale nie mam pojęcia, jak mielibyśmy wrócić.

— Proszę, zaprowadź nas tam tylko - powiedziała Enea.

Metalowe drzwi znajdowały się na tyłach popadającej w ruinę, pozbawionej okien kaplicy, położonej o trzy przecznice od Watykanu. Wisiał na nich duży, solidny łańcuch, spięty niepozorną kłódką. Na przybitej pośrodku tabliczce widniał napis: WYCIECZKI CO DRUGĄ SOBOTĘ. W WIELKIM TYGODNIU ZAMKNIĘTE. KONTAKT: WATYKAŃSKIE BIURO OBSŁUGI RUCHU TURYSTYCZNEGO, PLAC PIERWSZYCH MĘCZENNIKÓW 3888.

— Dasz radę rozerwać łańcuch? - zapytał mnie de Soya.

Pomacałem masywne ogniwa, zważyłem w ręku kłódkę. Jedyнным narzędziem, jakie miałem ze sobą, był nożyk myśliwski w pochwie przy pasie.

— Nie - stwierdziłem. - Może udałoby mi się otworzyć kłódkę. Przydałby się tylko jakiś drut... Może tam, w śmietniku coś będzie...

Staliśmy tak na deszczu przez dobre dziesięć minut. Powoli robiło się coraz ciemniej, za to hałas dochodzący z pobliskich ulic zdawał się narastać. Czekałem tylko, aż żołnierze Gwardii Szwajcarskiej albo Paxu zgarną nas w tym zaułku.

Cała moja wiedza o otwieraniu zamków wytrychami pochodziła od pewnego starego szulera z Kansu, który poświęcił się grze w karty po tym, jak władze Port Romance skazały go na obcięcie dwóch palców za kradzież. Mocując się z kłódką wspominałem własną dziesięcioletnią odyseję u boku Enei i długą drogę, jaką przebył ojciec de Soya, żeby znaleźć się tu z nami: setki lat świetlnych, tysiące godzin napięcia, bólu, poświęcenia i strachu...

A ta cholerna, groszowa kłódka nie chciała puścić!

W końcu złamałem czubek noża. Zakląłem szpetnie, wyrzuciłem nieprzydatne narzędzie i grzmotnąłem przeklętym, zardzewiałym, gównem wartym kawałkiem metalu o ścianę.

Kłódka otworzyła się z trzaskiem.

W budynku panował mrok. Jeśli gdzieś w pobliżu znajdował się wyłącznik światła, żadne z nas nie potrafiło go znaleźć, a jeżeli jakaś debilna SI w okolicy sterowała oświetleniem, to nie zareagowała na nasze polecenia. Nie mieliśmy latarek. Przez całe latanie rozstawałem się z kieszonkowym laserem, ale tego dnia zostawiłem go w plecaku. Kiedy mieliśmy opuścić „Yggdrasilla” podałem po prostu rękę Enei, nie zwracając sobie głowy bronią ani innym sprzętem.

— Czy to bazylika Świętego Jana Laterańskiego? - spytała szeptem Enea. W otaczającej nas, wszechobecnej ciemności nie sposób było

mówić choćby o ton głośniej.

— Ależ nie - odparł również szeptem de Soya. - Po prostu kapliczka dziękczynna, dobudowana do bazyliki w dwudziestym pierwszym... - Urwał w pół zdania, a ja oczyma wyobraźni ujrzałem powracający na jego twarz wyraz zamyślenia. - I to chyba do dziś używana. Zaczekajcie.

Staliśmy z Eneą ramię w ramię i słuchaliśmy, jak ojciec de Soya krząta się po niezbyt obszernym wnętrzu. W pewnej chwili rozległ się łoskot, jakby jakiś ciężki, metalowy przedmiot spadł na podłogę. Wstrzymaliśmy oddech. Po dłuższej chwili ojciec de Soya ruszył dalej; usłyszeliśmy szelest jego sutanny, szmer przesuwających się po ścianie dłoni, a potem stłumione: - Aha!

W sekundę później rozbłysło światło.

Ksiądz stał niespełna dziesięć metrów od nas. W jednej ręce trzymał zapaloną zapalniczkę, w drugiej - pudełko.

— To czynna kaplica - wyjaśnił. - Nadal mają tu świecznik do świec wotywnych.

Same świece stopiły się w jednolitą, bezużyteczną masę i nikt nie zadbał o to, by dostarczyć nowe, ale pudełko zapalniczek przeleżało nie wiedzieć jak długo w mrocznym, zapomnianym wnętrzu. Stanęliśmy obok księdza w kręgu światła, poczekaliśmy aż zapali drugą zapalniczkę i razem z nim podeszliśmy do masywnych, drewnianych drzwi, ukrytych za zmurszałą kotarą.

— Kiedy przed paru laty trzymano mnie niedaleko stąd w areszcie domowym, ojciec Baggio, który opiekował się mną po wskrzeszeniu, opowiadał mi o tej trasie wycieczkowej - wyszeptał ojciec de Soya. Zamek był otwarty i drzwi uchyliły się z przeraźliwym skrzypieniem dawno nie oliwionych zawiasów. - Zdawało mu się pewnie, że utrafi w mój gust, jeśli chodzi o nocne koszmary. - Ksiądz prowadził nas po wąskich, kręconych schodkach, niewiele szerszych od moich barków. Enea szła zaraz za nim, ja natomiast trzymałem się na końcu.

Schody wiodły w dół, w dół i w dół. Na moje oko znaleźliśmy się ze dwadzieścia metrów poniżej poziomu ulicy, kiedy urwały się nagle i przeszedłszy wąziutkimi tunelami dotarliśmy do przestronniejszego korytarza, w którym nasze kroki zadudniły głośnym echem. Zużyliśmy do tego momentu z pięć, może sześć zapalek; ksiądz upuszczał każdą z nich dopiero wówczas, gdy parzyła mu palce. Nie pytałem, ile ich jeszcze zostało w pudełku.

— Kiedy podczas hegiry Kościół postanowił przenieść Bazylikę i cały Watykan - odezwał się de Soya głośniej - w całości przerzucili je na Pacem, za pomocą ruchomych generatorów pól siłowych i wież grawitacyjnych. Masa obiektów nie stanowiła problemu, więc zabrali też kawał Rzymu, w tym Zamek Świętego Anioła i lochy starego miasta do głębokości sześćdziesięciu metrów - a więc także tunele dwudziestowiecznego metra.

Szliśmy właśnie po czymś, co okazało się być starym peronem kolejowym. W niektórych miejscach płytki, którymi wyłożono sufit, odkleiły się, a wszędzie poza wydeptaną wąską ścieżką zalegały pokłady wiekowego kurzu, skalnych odłamków i kawałków plastiku. Po ziemi walały się niemożliwe do odcyfrowania tablice informacyjne i połamane ławki. Zeszliśmy dalsze kilka pięter po zardzewiałych schodach - windy, jak sobie uświadomiłem, nie działały pewnie od tysiąca lat - i zanurzyliśmy się w kolejny korytarz, który niebawem przeszedł w przestronną rampę i wyprowadził nas na następny peron. Z końca peronu spuszczoneo plastowlóknową drabinkę na tory... które wciąż znajdowały się na swoim miejscu, ukryte pod warstwą kurzu, rdzy i wszelakiego śmiecia.

Zeszliśmy właśnie po drabince i zagłębiliśmy się w tunel, gdy zgasła kolejna zapalka. Wcześniej jednak zdążyliśmy z Eneą dostrzec, co nas czeka.

W tunelu leżały ludzkie kości, ułożone w równe, blisko dwumetrowej wysokości stosy po obu stronach wąskiego przejścia między torami: sterty kości, a na nich, w równych odstępach, czaszki zmarłych; w niektórych miejscach czerepy ułożono nawet w geometryczne wzory.

Ojciec de Soya zapalił następną zapalną i wszedł pomiędzy szczątki. Płomyczek zachybotał się niepewnie w podmuchu powietrza.

— Po Wojnie Siedmiu Narodów, na początku dwudziestego pierwszego wieku, rzymskim cmentarzom zaczęło grozić przepelnienie - de Soya mówił teraz normalnym, konwersacyjnym tonem. - Wszędzie na przedmieściach i w parkach kopano zbiorowe mogiły, które wobec globalnego ocieplenia i częstych powodzi stanowiły zagrożenie epidemiologiczne; swoje dołożyła też broń biologiczna i chemiczna. Ponieważ metro i tak przestało kursować, władze miejskie zarządziły usunięcie zwłok z mogił i pogrzebanie ich w tunelach.

Kiedy tym razem zapalną się wypaliła, znajdowaliśmy się w okolicy, gdzie kości piętrzyły się w pięciu warstwach. Każdą z nich wyznaczał rząderek czaszek: światło tańczyło na białych, wypukłych łukach brwiowych, ale puste oczodoły pozostawały niewzruszone naszą obecnością. Starannie ustawiony kościany mur miał w tym miejscu grubość co najmniej sześciu metrów i sięgał sklepionego półokrągło sufitu dziesięć metrów nad naszymi głowami. W paru miejscach zeszły drobne lawiny i przyszło nam uważnie wyszukiwać drogę wśród zaścielających posadzkę resztek - zresztą i tak cały czas chrzęściło nam pod stopami. W chwilach po zgaśnięciu zapalną, gdy zapadała całkowita ciemność, nie ruszaliśmy się z miejsca; czekaliśmy w milczeniu, a ciszy nie mącił żaden dźwięk... Żadnego myszkowania szczurów ani kapania wody; tylko nasze oddechy i słowa naruszały spokój tego miejsca.

— Co najdziwniejsze - odezwał się znowu de Soya, gdy przeszliśmy dalsze dwieście metrów - nie zaczerpnięto tego pomysłu ze

starożytnych rzymskich katakumb, które ciągną się pod całym miastem, lecz z tak zwanych katakumb paryskich..., a właściwie starych tuneli kamieniołomów, rozpościerających się pod stolicą Francji. W pierwszej połowie dziewiętnastego wieku jej mieszkańcy zostali zmuszeni do usunięcia szkieletów zmarłych z przepełnionych cmentarzy. Okazało się, że na kilku kilometrach korytarzy bez trudu pomieszczą się doczesne szczątki sześciu milionów ludzi. No, jesteśmy...

Po lewej stronie otworzyło się jeszcze węższe przejście pomiędzy kościanymi ścianami. W zaścielającym podłogę kurzu odcisnęły się tu ślady kilku par butów, a na końcu korytarza znaleźliśmy kolejne metalowe drzwi - także otwarte. Wszyscy troje musieliśmy się zaprzeć, żeby je uchylić, po czym ksiądz powiódł nas kolejnymi kręconymi schodami w dół. Dotarliśmy chyba na głębokość trzydziestu, może trzydziestu pięciu metrów pod poziom ulic. Zapałka zgasła, gdy weszliśmy w następny korytarz, znacznie starszy niż tunele metra, niedbale wykuty w kamieniu i wyraźnie zniszczały. Mignęły mi po drodze boczne odnogi, rozrzucone w nich kości, czaszki, strzępy gnijącej odzieży.

— Ojciec Baggio twierdził, że tu zaczynają się prawdziwe katakumby - głos ojca de Sol wrócił do szeptu. - Chrześcijańskie, z pierwszego wieku naszej ery. - Błysnęła zapałka; sądząc z grzechotu w pudełku niewiele ich już zostało. - Chyba tędy - mruknął de Soya i skręcił w prawo.

— Jesteśmy już pod Watykanem? - zapytała Enea szeptem w chwilę później. Wyczuwałem w jej głosie zniecierpliwienie. Zapałka zgasła.

— Już prawie, prawie - uspokoił Eneę de Soya i zapalił zapałkę. Tym razem w pudełku nic nie zagrzechotało.

Po następnych stu pięćdziesięciu metrach korytarz kończył się ślepo. Nie było tu żadnych kości ani czaszek - tylko kamienne ściany

tunelu i zbudowany ludzką ręką mur przed nami. Zapałka zgasła. Enea złapała moją rękę.

— Przykro mi - oznajmił ksiądz - ale zapałki się skończyły.

Stłumiłem narastającą mi w piersi falę paniki. Tym razem byłem pewien, że słyszę dźwięki... W najlepszym razie szczury buszowały gdzieś w pobliżu, w najgorszym - ktoś właśnie schodził do nas po schodach...

— Wracamy po własnych śladach? - zaproponowałem. Mój szept zabrzmiał w mroku o wiele za głośno.

— Ojciec Baggio mówił mi, że katakumby łączą się na pomocy z tunelami biegnącymi pod Watykanem - wyszeptał ojciec de Soya. - A dokładniej pod bazyliką Świętego Piotra.

— Chyba się mylił... - Nie skończyłem zdania, przypomniawszy sobie ostatni widok przed zgaśnięciem zapałki: ściana zamykająca korytarz wyglądała na stosunkowo nową... Jakby liczyła najwyżej kilkaset lat, a nie z tysiąc, jak cały tunel. Ruszyłem wolno do przodu z wyciągniętą przed siebie ręką, aż natrafiłem na cegły i skruszałą zaprawę. - W pośpiechu to murowali - zauważyłem, opierając się wyłącznie na własnych doświadczeniach z Dzioba, gdzie dawno temu udzielałem się przy przebudowie majątków ziemskich. - Zaprawa popękała i cegły się kruszą. - Zacząłem żywiej przebierać palcami. - Dajcie mi coś, żebym mógł tu podrażnić. Cholera, niepotrzebnie wyrzuciłem nóż...

Enea podała mi jakiś ostro zakończony patyk i wziąłem się ostro do roboty. Dopiero po dłuższej chwili zdałem sobie sprawę, że dłubię w ścianie złamanym udem nieboszczyka. Ojciec de Soya i Enea zaczęli mi pomagać: kuliśmy mur kośćmi i drapaliśmy go paznokciami, aż palce zaczęły nam krwawić. Wreszcie zrobiliśmy sobie chwilę przerwy. Nasze oczy wcale nie przywykły do ciemności, której nie rozpraszała najdrobniejsza nawet iskierka światła.

— Msza lada moment się skończy - wyszeptała Enea grobowym tonem, jak gdyby obwieszczała jakieś tragiczne wydarzenie.

— To celebra - zaproponował również szeptem ksiądz. - Takie ceremonie trochę trwają.

— Zaraz! - powiedziałem. Uświadomiłem sobie, że przed chwilą poczułem pod palcami jak cegły ustępują, nie w jednym, konkretnym miejscu, ale jako całość. - Cofnijcie się - poleciłem. - Pod ścianę.

Sam odszedłem parę kroków w tył, po prostej, stanąłem bokiem do ściany, pochyliłem głowę i rozpędziłem się, celując lewym barkiem w mur. Trochę się obawiałem, że wyrznię głową w kamień i stracę przytomność.

Walnąłem w ścianę z donośnym stęknieniem. Na głowę posypał mi się deszcz odłamków i piachu, ale mimo iż cegły wcale się nie rozpadły, poczułem, że ustępują.

Enea i de Soya znów stanęli u mego boku i przez kolejną minutę czy dwie wygrzebywaliśmy środkowe cegły i spychaliśmy je przed siebie, na podłogę, aż powstał otwór w ścianie.

Słabiuteńkie światełko, sączące się z drugiego końca tunelu, pozwoliło nam dostrzec rampę z gruzu, kończącą się u wylotu kolejnego korytarza. Przeczolągaliśmy się nią na czworaka, znaleźliśmy miejsce, gdzie można było się wyprostować i weszliśmy w pachnący świeżą ziemią tunel. Dwa zakręty dalej znaleźliśmy się w takich samych katakumbach jak na wyższym poziomie, lecz rozjaśnianych blaskiem wąskiego pasa światłowstęgi, umieszczonej na prawej ścianie, na wysokości pasa. Przeszliśmy krętym tunelem kolejne pięćdziesiąt metrów, cały czas pilnując światłowstęgi, aż wreszcie dotarliśmy do odnowionego, szerszego korytarza, w którym co pięć metrów rozmieszczono żarkule. Nie świeciły, ale wstęga prowadziła nas dalej.

— Znajdujemy się teraz pod Bazyliką - oznajmił ojciec de Soya szeptem. - Pierwszy raz archeologowie dotarli tu w 1939 A.D., po tym,

jak Pius XI został pochowany w pobliskiej grocie. Przez ponad dwadzieścia lat prowadzono tu prace wykopaliskowe, a potem zapomniano o tym miejscu. Naukowcy nie mieli tu już nigdy wstępu.

Korytarz rozszerzył się jeszcze bardziej - pierwszy raz mogliśmy iść we troje obok siebie. Kamienne, miejscami otynkowane ściany, pokryte były freskami, wczesnochrześcijańską mozaiką i marmurowymi wstawkami; nisze, w których spoczywały ludzkie kości, strzegły potrzaskane posągi. Wejścia większości grot grobowych przesłonięte płytami plastiku, który z czasem zżółkł i zmatowiał do tego stopnia, że miejscami kości stały się niemal niewidoczne, ale jeśli się człowiek przysunął i spojrzał uważnie, mógł rozróżnić owalne miednice i ziejące pustką oczodoły.

Obrazy na ścianach przedstawiały sceny z religii chrześcijańskiej: gołębice z gałązkami oliwnymi w dzióbkach, kobiety czerpiące wodę ze studni, wszechobecny motyw ryby... Tuż obok jednak stare groty, urny i grobowce pyszniły się ozdobami z dawniejszej przeszłości: Izyda, Apollo, Bachus, witający zmarłych amforami z winem, weselące się bydło, tańczący satyr - natychmiast zwróciłem uwagę na łudzące podobieństwo do Martina Silenusa i zerknąłem na Eneę w samą porę, by uchwycić jej porozumiewawcze spojrzenie; dalej istoty, które ojciec de Soya nazywał bachantkami, jakieś sceny wiejskie, szeregi przepiórek, paw, pyszniący się błękitem piór z lazurytu, które wciąż błyszcząły w świetle...

Podglądanie tych ozdób przez warstwę prastarego, półprzejrystego pleksi kojarzyło mi się z wędrówką wśród akwariów, w których przebywają umarli. Wreszcie dotarliśmy do pomalowanej na czerwono ściany, od której pod kątem prostym odchodził niższy, niebieskawy murek, noszący ślady łacińskich napisów. Plastik był tu nowszy i czystszy, toteż doskonale widzieliśmy czaszkę, która patrzyła na nas ze zgrabnego stosiku kości z niejakim, rzekłbym, zainteresowaniem.

Ojciec de Soya uklęknął, przeżegnał się i pochylił głowę w modlitwie. Czekaliśmy z uczuciem zażenowania, jakie zawsze czuje niedowiarek w obliczu osób prawdziwie wierzących.

Kiedy ksiądz wstał, oczy zaszklily mu się łzami.

— Zgodnie z oficjalną historią Kościoła i słowami ojca Baggio, robotnicy odkryli te żalosne szczątki w 1949 A.D. Przeprowadzona później analiza pozwoliła stwierdzić, iż ciało należało do zdrowego mężczyzny, który zmarł w wieku sześćdziesięciu kilku lat. Znajdujemy się dokładnie pod głównym ołtarzem bazyliki Świętego Piotra, wybudowanej w tym miejscu na podstawie legendy, zgodnie z którą pochowano tu potajemnie samego świętego Piotra. W 1968 roku papież Paweł VI ogłosił oficjalne stanowisko Stolicy Apostolskiej: Watykan uważa, iż są to szczątki doczesne rybaka, tego samego Piotra, który towarzyszył Jezusowi w jego wędrówkach i stał się opoką, na której Chrystus zbudował swój Kościół.

Popatrzyliśmy na ułożone za plastikową szybą kości, a potem z powrotem na księdza.

— Wiesz o tym, Federico, że nie próbuję obalić Kościoła - powiedziała Enea. Walczę tylko z jego obecną, wypaczoną formą.

— Wiem - odrzekł de Soya. Pospiesznym gestem otarł łzy, zostawiając na policzkach rozmazany kurz. - Wiem, Eneo.

Popatrzył dookoła, podszedł do drzwi i otworzył je. Metalowe schody wiodły na górę.

— Z pewnością wystawili strażę - szepnąłem.

— Nie sądzę - odparła Enea. - Od ośmiuset lat Watykan obawia się ataku z góry, z kosmosu; nie wydaje mi się prawdopodobne, żeby zawracali sobie głowę lochami.

Wysunęła się przed księdza i szybkim krokiem ruszyła po schodach. Popędziłem za nią, a ojciec de Soya obejrzał się jeszcze raz przez ramię, przeżegnał i ruszył naszym śladem do bazyliki Świętego Piotra.

Wpadające do wnętrza bazyliki wieczorne światło, mimo iż przefiltrowane przez witraże, w połączeniu z blaskiem świec było wręcz oślepiające dla naszych oswojonych z mrokiem katakumb oczu.

Przeszliśmy przez podziemną kaplicę, minęliśmy pomnik zwycięskiego Gajusza, przemknęliśmy bocznymi przejściami i drzwiami dla służby, trafiliśmy do przedpokoju zakrystii, aż wreszcie wynurzyliśmy się z cienia na tyłach głównej nawy bazyliki Świętego Piotra. Znaleźliśmy się w towarzystwie kilkuset dygnitarzy nie dość ważnych, by dostąpić zaszczytu zasiadania w ławkach, ale zarazem wystarczająco znaczących, by otrzymać zaproszenie na tę uroczystość. Rozejrzawszy się przelotnie dookoła, stwierdziłem, że wszystkich wyjść - także tych prowadzących do sąsiednich kaplic i komnat - strzegą żołnierze Gwardii Szwajcarskiej i funkcjonariusze sił bezpieczeństwa. Dopóki trzymaliśmy się z tyłu, nikt nie zwracał na nas uwagi - byliśmy po prostu towarzyszącą jakiemuś księdzu parą nie całkiem stosownie ubranych parafian, którym pozwolono z daleka oglądać Ojca Świętego w Wielki Czwartek.

Msza trwała; w powietrzu woń kadzidła mieszała się z zapachem wosku świec. Setki odzianych w barwne szaty biskupów i innych dostojnych gości zapełniały wypolerowane do połysku ławki. Tuż obok marmurowej balustrady głównego ołtarza, przed barokowo ozdobnym, ukrytym pod baldachimem Tronem Piotrowym, klęczał Jego Świątobliwość i osobiście mył nogi dwanaściorga siedzących przed nim księży - ośmiu mężczyzn i czterech kobiet. Ukryty przed naszym wzrokiem chór wyśpiewywał hymn:

Daj nam przez Ciebie Ojca znać,
daj, by i Syn poznany był,
i Ciebie, jedno Tchnienie Dwóch,
niech wyznajemy z wszystkich sił.
Niech Bogu Ojcu chwała brzmi,

Synowi, który zmartwychwstał.

I Temu, co pociesza nas,
niech hołd wieczystych płynie chwał.

W tym momencie nasunęła mi się refleksja: co my tutaj robimy? Dlaczego nie mająca końca walka zaprowadziła nas w końcu do głównego ośrodka chrześcijańskiej religii? Wierzyłem we wszystko, czego Enea nas uczyła, ceniłem sobie każdą myśl, jaką zechciała się z nami podzielić, ale to przecież trzy tysiące lat wiary i tradycji ukształtowały tę pieśń i doprowadziły do wybudowania tej oszałamiającej katedry. Mimo woli przypomniałem sobie proste, drewniane platformy, solidne, lecz nieozdobne pomosty i schody, które Enea odtwarzała w Napowietrznej Świątyni... Czymże była owa budowla... i my sami, w porównaniu z otaczającym nas teraz splendorem i pokorą? Enea była architektem-

— samoukiem, jeśli nie liczyć paru lat wczesnej młodości, spędzonych w towarzystwie cybryda pana Wrighta, kiedy to nauczyła się mieszać ręcznie zaprawę i budować kamienne mury na pustyni; a tę bazylikę projektował sam Michał Anioł.

Msza dobiegała końca. Niektórzy wierni, stłoczeni z tyłu nawy, zaczęli z wolna opuszczać kościół, na palcach, żeby nie zakłócić ostatniej fazy uroczystości tupotem kroków; nawet rozmawiać zaczęli dopiero znalazłszy się na prowadzących na plac schodach. Ujrzałem, że Enea szepcze coś ojcu de Sol na ucho, przysunąłem się więc do nich, żeby posłuchać - bałem się, że przegapię jakieś ważne polecenie.

— Czy wyświadczy mi teraz ojciec ostatnią, najważniejszą przysługę? - spytała Enea.

— Oczywiście, co tylko zechcesz - odparł szeptem de Soya.

— Niech ojciec wyjdzie z bazyliki. Natychmiast, w tłumie wiernych. Niech ojciec zaszyje się gdzieś w Rzymie do czasu, aż będzie można

spokojnie wyjść z ukrycia.

Zaskoczony ojciec de Soya zeszywniał; w jego oczach, kiedy patrzył na Eneę z odległości niespełna metra, mignął żal człowieka opuszczonego przez wszystkich. Nachylił się ku niej.

— Poproś mnie o co innego, Nauczycielko.

— Proszę właśnie o to, ojcze. Z całym szacunkiem i miłością, jakimi ojca darzę.

Chór zaintonował kolejny hymn. Patrząc ponad głowami stojących z przodu widziałem, jak Ojciec Święty kończy obmywać stopy ostatnim z księży i wraca do ołtarza, pod złożony baldachim. Wszyscy wstali w oczekiwaniu ostatnich słów litanii i pożegnalnego błogosławieństwa.

Ojciec de Soya sam pobłogosławił Eneę, odwrócił się na pięcie i wyszedł, wmieszawszy się w tłum grzechoczących różańcami zakonników.

Wbiłem w Eneę wzrok, który byłby zdolny zapalić drewno; chciałem przekazać jej telepatyczną prośbę: TYLKO NIE KAŻ MI TERAZ WYJŚĆ!

Dała mi znak, żebym przysunął się bliżej i wyszeptała mi wprost do ucha:

— Zrób dla mnie jeszcze jedno, kochanie.

Niewiele brakowało, żeby z moich ust wyrwał się ryk „Nie ma mowy, do diabła!”, który zadudniłby pod sklepieniem bazyliki Świętego Piotra w najważniejszym momencie wielkoczwartkowej celebry. Powstrzymałem się jednak.

Z kieszeni kamizelki Enea wygrzebała małą fiolkę, wypełnioną przezroczystym, chyba nieco gęstszym od wody płynem.

— Wypij to, proszę - szepnęła.

Przyszli mi na myśl Romeo i Julia, Cezar i Kleopatra, Heloiza i Abelard, George Wu i Howard Sung... sami przekleci przez los kochankowie. Samobójstwo. Trucizna. Jednym haustem opróżniłem

fiolkę i schowałem ją do kieszeni. Czekałem, żeby i Enea postąpiła podobnie, ale nic takiego nie nastąpiło.

— Co to było? - zapytałem cichutko, przygotowany na każdą odpowiedź.

Enea, śledząc przebieg końcówki mszy, przechyliła się w moją stronę i odparła szeptem:

— Antidotum niwelujące działanie środków antykoncepcyjnych, którymi nafaszerowali cię w Straży Planetarnej.

Co takiego, do kurwy nędzy?! prawie wrzasnąłem na cały głos - a zagłuszyłbym wówczas ostatnie słowa Ojca Świętego. W takiej chwili martwisz się o planowanie rodziny?! Czyś ty do reszty zwariowała?!

Kiedy odchyliwszy się w tył odezwała się ponownie, poczułem na szyi jej ciepły oddech:

— Dzięki Bogu. Od dwóch dni nosiłam je przy sobie i prawie zapomniałam ci dać. Za trzy tygodnie zaczniesz działać i przestaniesz strzelać ślepakami.

Byłem w szoku. Odważne bluźnierstwo pod kopułą Bazyliki? Czy po prostu dowód wyjątkowo złego smaku? Nagle mój rozum wrzucił wyższy bieg: To wspaniała wiadomość... cokolwiek by się nie wydarzyło, widzi dla nas jakąś przyszłość... chce mieć ze mną dziecko! A co z tym pierwszym? I właściwie dlaczego zakładam, że dała mi antidotum, żebyśmy mogli... Po co miałyby... Może to prezent pożegnalny... Po co... Dlaczego...

— Pocałuj mnie, Raul - wyszeptała na tyle głośno, że stojąca przed nami starsza zakonnica obejrzała się zbulwersowana.

Nie zadawałem zbędnych pytań: pocałowałem Eneę. Jej usta były miękkie i delikatnie wilgotne, takie jak kiedy całowaliśmy się pierwszy raz na brzegu Missisipi, w miejscu zwanym Hannibalem. Długo to trwało, a zanim nasze wargi się rozdzieliły, musnęła dłonią mój kark.

Papież stanął pośrodku Bazyliki i błogosławił zebrany w obu częściach nawy głównej i transeptu wiernym.

Enea weszła w przejście wiodące środkiem, między ławkami, odpychając delikatnie stojących jej na drodze ludzi.

— Lenarze Hoyt! - krzyknęła, znalazłszy się na otwartej przestrzeni. Ruszyła w stronę ołtarza, a jej głos odbił się echem od sklepionego wysoko w górze sufitu. Papież przerwał udzielanie błogosławieństwa. Zdawałem sobie sprawę, że Enea nie ma najmniejszych szans na pokonanie dzielących ją od Urbana XVI stu pięćdziesięciu metrów. Pobiegnę za nią.

— Lenarze Hoyt! - powtórzyła okrzyk i setki głów zwróciły się w jej stronę. W bocznych, skrytych w cieniu nawach zrobił się ruch, kiedy Szwajcarzy rzucili się do akcji. - Lenarze Hoyt, to ja, Enea! Jestem córką Brawne Lamii, która wraz z tobą przybyła na Hyperiona, by stanąć twarzą w twarz z Chyżwarem! Moim ojcem był cybryd Johna Keatsa, którego cielesną powłokę dwakroć zamordowali twoi mocodawcy z Centrum!

Papież stał bez ruchu, jak wrośnięty w ziemię, z ręką wciąż uniesioną w geście błogosławieństwa. Trząśł się, jakby dostał drgawek. Lewą dłoń zacisnął na szatach na piersi, a mitra podskakiwała mu na drżącej głowie.

— Ty! - krzyknął słabym, wysokim głosem. - Ty potworze!

— To ty jesteś potworem! - zakrzyczała go Enea i rzuciła się biegiem w jego kierunku. Otrząsnęła się z uchwytu dwóch odzianych na czarno sylwetek, które wychyliwszy się z ławek sięgnęły po nią; szarpnąłem obu mężczyzn na ziemię i zostawiłem ich za plecami, gdy pomknęła dalej, później przeskoczyłem nad rzucającym się ku moim nogom strażnikiem i zrównałem się z Eneą. Nie spuszczałem oka ze Szwajcarów, którzy usiłowali rozgarnąć tłum pikami, nie chcąc strzelać, dopóki tyłu dostojników mogło znaleźć się na linii ognia;

wiedziałem, że gdy staniemy dziesięć metrów od papieża, przestaną się wahać. - To ty jesteś potworem! - powtórzyła Enea w pełnym pędzie, unikając wyciągających się ze wszystkich stron rąk. - Judaszu Kościoła katolickiego, Lenarze Hoyt, wyprzedajesz jego święte dzieje za...

Potęźnie zbudowany mężczyzna w mundurze admirała Floty Paxu dobył z pochwy ozdobną szablę i wymierzył cios w głowę mojej ukochanej. Uchyliła się, a ja zablokowałem jego zamach, złamałem mu rękę, kopnąłem szablę w tłum i rzuciłem gościem w ławkę, gdzie tłoczyli się jego podwładni.

Pułkownik Kassad mówił kiedyś, że poznawszy język żywych zaczął odczuwać ból, który sprawiał innym. Teraz i ja tego doświadczyłem: przedramię paliło mnie żywym ogniem, jakbym miał strzaskane kości, zerwane mięśnie i naruszone nerwy, a później w całym ciele poczułem impet uderzenia, gdy ciało admirała wpadło między ludzi. Kiedy jednak spojrzałem na własną rękę, była nienaruszona - pozostał tylko ból, a nim nie zamierzałem się przejmować.

Kordon księży, mnichów i biskupów oddzielił Eneę od Ojca Świętego. Ujrzałem, jak papież zaciska mocniej szponiaste palce na piersi i upada na ziemię, ale stojący obok diakoni złapali go i przenieśli pod baldachim zaprojektowanego przez Berniniego tronu. Przed nami zaroilo się od gwardzistów szwajcarskich, którzy zagrodzili Enei drogę pikami i murem ciał. Jeszcze więcej żołnierzy stłoczyło się za naszymi plecami, brutalnymi pchnięciami pik roztrącając gapiów na boki. Z góry rzucili się na nas ochroniarze Paxu, odziani w czarne pancerze bojowe i wyposażeni w pasy repulsorowe. Na twarzy i piersi Enei zatańczyły dziesiątki laserowych punkcików.

Rzuciłem się naprzód, żeby zasłonić ją przed nieuniknionymi pociskami i strumieniami energii. Błysk lasera trafił mnie w prawe oko i zupełnie oślepił. Rozłożyłem szeroko ramiona i coś wykrzyczałem. .. Może wyzwanie... A z pewnością protest.

— Stać! Brać ich żywcem! - ryknął basem potężny jak góra kardynał; jego głos zabrzmiał jak rozkaz samego Boga.

Jeden ze Szwajcarów skoczył ku Enei, mierząc tępym końcem piki w jej głowę. Enea przysiadła, rzuciła się ślizgiem naprzód, chwyciła żołnierza pod kolana i szarpnięciem rozłożyła go na posadzce. Kopnąłem go w głowę i obróciłem się w samą porę, żeby wyrwać pikę następnemu. Pchnąłem go tak, że poleciał w tłum, ja zaś zakręciłem młyńca piką i opędziłem się od następnej piątki, zachodzącej mnie od tyłu. Padli jak ścięci.

Nadlatujący z góry żołnierz trafił mnie dwoma strzałkami w lewy bark. Zapewne zawierały środek usypiający, ale wyrwałem je natychmiast i odrzuciłem w kierunku strzelca; nic nie poczułem. Dalszych dwoje strażników - potężny facet i jeszcze większa od niego kobieta - złapało mnie za ramiona. Szarpnąłem ich do przodu i zderzyłem głowami. Osunęli się na posadzkę.

— Enea!

Zdażyła właśnie wstać i wyrwać się jednemu Szwajcarowi, gdy dwóch czarnych żołnierzy zastąpiło jej drogę. Wszyscy krzyczeli, a w tej chwili do kakofonii przyłączyły się organy bazyliki, rozbrzmiewając jękiem godnym kobiety w połogu. Jeden ze strażników strzelił do Enei z odległości pięciu metrów. Szarpnęło nią, a wówczas jakaś żołnierka uderzyła ją pałką w głowę, powaliła na ziemię i wykręciła jej ręce do tyłu.

Jednym ciosem przedramienia wysłałem paksowską dziwkę w kilkumetrowy lot w powietrzu, lecz wtedy strażnik wepchnął mi pikę w brzuch, a przelatujący ochroniarz trafił mnie z ogłuszacza. Ogłuszacze mają ponoć działanie natychmiastowe, ale i tak zdażyłem zacisnąć ręce na gardle najbliższego Szwajcara, zanim dostałem drugi raz, a potem trzeci. Moje ciało drgnęło po raz ostatni, upadłem na ziemię i opróżniłem pęcherz, gdy zwieracze przestały funkcjonować.

Moim ostatnim świadomym wspomnieniem była struga moczu, ściekająca mi po spodniach na cudowne kafelki bazyliki Świętego Piotra.

Nie poczułem już, jak na grzbiet zwały mi się z dziesięć postaci w pancerzach, jak złapano mnie pod ręce i wyniesiono z kościoła; nie słyszałem ani nie czułem, jak uderzam głową o posadzkę, a na czole otwiera mi się rana, sięgająca od brwi do linii włosów.

W ostatnich trzech czy czterech sekundach względnej przytomności widziałem czarne bojowe buciory, zgubioną przez jednego z gwardzistów czapkę, znowu czyjeś nogi... Wiedziałem, że tuż obok mnie na podłogę powalono Eneę, ale nie byłem w stanie obrócić głowy, żeby posłać jej pożegnalne spojrzenie.

Odciągnęli mnie stamtąd, zostawiając na posadzce smugę krwi, moczu i flegmy. Nic mnie to nie obchodziło.

Tak kończy się moja opowieść.

Podczas trwającego dziesięć minut „procesu” przed odzianymi w czerń sędziami Świętego Oficjum byłem przytomny, ale wszczepione w mózg blokady neuronowe nie pozwalały mi się ruszyć. Skazano mnie na śmierć. Żadna ludzka istota nie zechciałaby plamić swego sumienia moją egzekucją, postanowiono więc zapakować mnie do pudełka dla kota i umieścić na orbicie objętego kwarantanną Armaghastu. Niezmienne prawa fizyki kwantowej miały dokonać wyroku.

Gdy tylko proces dobiegł końca, znalazłem się na bezzałogowym liniowcu z napędem Hawkinga, który z dużym przyspieszeniem pomknął na Armaghast. Zarobiłem dwa miesiące długu czasowego. Gdziekolwiek zabrali Eneę i cokolwiek się z nią stało... Kiedy się obudziłem, instalowano właśnie wykonaną z zamrożonej energii skorupę mojego więzienia. Było już dwa miesiące za późno, żeby przyjść Enei z pomocą.

A później, nie wiem na jak długo - wiele dni, może nawet miesięcy - oszalałem. Potem zaś, przez kolejne niezliczone dni i noce, z pewnością dłużej, niż trwał mój obłąd, byłem zajęty spisywaniem tej historii w rejestratorze, który razem ze mną zamknięto w celi. Moi kaci musieli zdawać sobie sprawę, że obecność rejestratora będzie dla mnie dodatkową karą; chciałem umrzeć, zapisując codziennie po parę stron mikropergaminy, który wrzucałem następnie do przetwornika, żeby mieć na czym pisać rano - niczym wąż pożerający własny ogon. Wiedziałem, że nikt nigdy nie przeczyta opowieści zapisanej w pamięci urządzenia.

Na samym początku uprzedzałem cię, czytelniku, który nie możesz istnieć, że czytasz moje słowa z niewłaściwych powodów. Twierdziłem, że jeżeli chcesz poznać los Enei - albo mój - to trafiłeś na niewłaściwy dokument. Nie było mnie przy niej, gdy jej los się dopełnił, moje zaś życie znalazło się teraz znacznie bliżej punktu końcowego, niż gdy zaczynałem pisać.

Nie było mnie przy niej.

Nie było mnie przy niej.

Jezusie Nazareński, Boże Mojżesza, Allahu, Buddo, Zeusie, Muir, Elyisie, Chrystusie... Jeśli któryś z was naprawdę istnieje, albo istniał i zachował choć cięń mocy w swych szarych, martwych dłoniach... niech sprawi, bym teraz umarł. Teraz. Niech detektor wykryje cząstkę i uwolni gaz. Teraz.

Nie było mnie przy niej.

Okłamałem cię.

Napisałem na samym początku opowieści, że nie towarzyszyłem Enei, gdy rozstrzygały się jej losy - co mogłoby znaczyć, iż nie wiem, co się z nią stało; powtórzyłem te słowa przed kilkoma okresami snu, spisując, jak mniemałem, ostatni rozdział tej historii.

Popełniłem grzech zaniechania, jak powiedzieliby zapewne księża.

Skłamałem, gdyż nie chciałem więcej o tym pisać. Nie chciałem tego ponownie przeżywać. Nie chciałem w to wierzyć. Wiem jednak, że nie mam innego wyjścia - przeżywam te chwile na nowo w każdej godzinie uwięzienia; wierzę we wszystko, co się wydarzyło, od czasu, gdy dzieliłem doświadczenie tych chwil z moją umiłowaną Eneą.

Znałem los mojej małej dziewczynki zanim jeszcze wystrzelono mnie z Pacem. Uwierzywszy weń i przeżywszy go po tysiącokroć, muszę go tu przedstawić - zarówno ze względu na wiarygodność tej opowieści, jak i przez wzgląd na wspomnienie naszej miłości.

Doświadczyłem tego w godzinę po błyskawicznym procesie przed obliczem Inkwizytorów, który odbył się w bazie wojskowej Paxu, na asteroidzie odległej o dziesięć minut lotu od Pacem. Byłem naszpikowany środkami uspokajającymi, potulny i zwisałem z uprząży w zbiorniku antyakceleracyjnym na pokładzie zrobotyzowanego promu kosmicznego. Kiedy tylko ujrzałem, usłyszałem i poczułem, co się dzieje, zdałem sobie sprawę, że to wszystko prawda, że jestem świadkiem wydarzeń zachodzących w tym właśnie momencie i że tylko bliski związek z Eneą i słaba znajomość języka żywych pozwala mi z taką mocą odczuwać to, co ona czuje. Zacząłem wyć, miotać się w pasach, szarpać płataninę przewodów aparatury podtrzymywania życia i walić w grodz pięściami i głową, aż wypełniająca zbiornik woda zaróżowiła się od mojej krwi. Próbowałem zerwać maskę osmotyczną,

przywartą do mojej twarzy niczym ohydny, pozbawiający mnie tchu pasożyt - na próżno. Przez trzy godziny wrzeszczałem i tłukłem się o ściany, doprowadzając się na skraj przytomności; tysiąc razy przeżywałem nasze wspólne chwile i tysiąc razy skowyczałem z bólu. Wreszcie statek wstrzyknął mi środek nasenny, zbiornik opróżniono i zapadłem się w otchłań snu kriogenicznego. Liniowiec osiągnął punkt translacji i przeniósł mnie do leżącego nieopodal układu Armaghastu.

Obudziłem się w schrödingerowskim pudełku dla kota - automat przeładował mnie do oplecionego skorupą energetyczną satelity i bez interwencji ze strony człowieka wyniósł na orbitę. Przez chwilę byłem trochę ogłupiały; miałem nadzieję, że przeżycia, które dzieliłem z Eneą, okażą się tylko sennym koszmarem - a potem realność obrazów i odczuć wróciła z nową siłą, a ja ponownie zacząłem krzyczeć. I chyba znów, tym razem na kilka miesięcy, straciłem rozum.

A oto co doprowadziło mnie do szaleństwa.

Eneą także wyniesiono z bazyliki zakrwawioną i nieprzytomną, ale w przeciwieństwie do mnie obudziła się następnego ranka bez boczników neuronowych i bez śladu środków odurzających w organizmie. Odzyskała przytomność - ja zaś dzieliłem z nią tę świadomość niby alternatywny zestaw wrażeń zmysłowych, znacznie wyraźniejszy niż moje własne wspomnienia - w olbrzymiej sali o kamiennych ścianach i suficie, zawieszonym pięćdziesiąt metrów nad posadzką. W sklepienie wstawiono ogromną płytę matowego szkła, udającą świetlik, ale choć sączyło się przez nią światło, Eneą przypuszczała raczej, że komnata znajduje się głęboko we wnętrzu o wiele większej budowli.

Lekarze opatrzyli moje rany przed procesem, nikt jednak nie zajął się Eneą: lewą połowę twarzy miała obrzmiałą i posiniaczoną, usta obite i obolałe, lewe oko niemal całkowicie przesłonięte opuchlizną - widziała na nie tylko z największym wysiłkiem, natomiast obraz

z prawego oka rozmywał się, jakby nie wróciło do formy po uderzeniu; zdarto z niej ubranie - nagą pierś, uda, przedramiona i brzuch pokrywały liczne cięcia i sińce; na części ran potworzyły się strupy, kilka jednak było głębszych i wymagało założenia szwów, bo wciąż krwawiły.

Została przypięta pasami do zardzewiałego, metalowego rusztowania w kształcie gwiazdy, które zwieszało się na łańcuchach spod sufitu. Mogła odchylić się do tyłu i oprzeć na nim swój ciężar, ale podpora i tak utrzymywała ją niemal w pozycji stojącej, dziesięć centymetrów nad kratą w podłodze. Zatrzaśnięte na jej nadgarstkach i kostkach obręcze nie pozwalały jej się wyrwać, mogła natomiast poruszać głową. Poza stalowym stelażem w okrągłej komnacie znajdował się jeszcze fotel, obszerny kosz na odpadki, wyłożony plastikowym workiem, oraz zardzewiały stojak z mnóstwem narzędzi: były tam zabytkowe szpikulce i cęgi dentystyczne, noże o półokrągłych ostrzach, skalpele, długie szczypce, piły do kości, kawałki drutu, z którego w trzycentymetrowych odstępach sterczały ciernie, nożyce — jedne długie, drugie krótsze, zębate, butelki pełne ciemnych cieczy, tuby z pastą, komplet igieł, szpulka grubych nici oraz młotek. Jeszcze gorzej prezentowała się okrągła, mierząca dwa i pół metra średnicy krata w podłodze, pod którą czały się małe, niebieskie płomyczki. W powietrzu czuć było gaz.

Eneą szarpnęła się w więzach - nie ustąpiły ani o cal - poczuła pulsowanie w otartych kostkach i przegubach i z powrotem oparła głowę o zimny metal. Włosy miała pozlepiane krwią, a na czubku głowy i niżej, u podstawy czaszki, wyczuwała dwa wyraźne guzy. Zbierało się jej na wymioty, więc skoncentrowała się na ich powstrzymaniu.

Minęło kilka minut, gdy otworzyły się zamaskowane dotąd w kamiennej ścianie drzwi i weszła przez nie Rhadamanth Nemes.

Stała na skraju kraty po prawej ręce Enei, a druga Nemes zajęła miejsce po przeciwnej stronie. Jeszcze dwie identyczne istoty weszły do komnaty i ustawiły się nieco dalej z tyłu. Żadna z nich nie odezwała się ani słowem. Eneą również nie przemówiła.

W parę minut potem z powietrza zmaterializował się John Domenico kardynał Mustafa - jego naturalnych rozmiarów hologram znalazł się twarzą w twarz z Eneą. Złudzenie jego fizycznej obecności byłoby doskonałe, gdyby nie fotel, na którym zasiadał, a który nie został odwzorowany na hologramie, przez co Mustafa wyglądał, jakby w pozycji siedzącej unosił się w powietrzu. Prezentował się lepiej i młodziej niż na Tien Szanie. Chwilę później dołączył do niego holograficzny obraz ogromnego kardynała w szkarłatnych szatach, a po chwili jeszcze holo szczupłego, wyglądającego na gruźlika księdza. Wysoki, przystojny mężczyzna w szarym stroju wszedł przez materialne drzwi do sali i stanął obok kościelnych dostojników. Obaj kardynałowie siedzieli, natomiast przybysz i holograficzny monsignore zajęli miejsca za ich fotelami, niby oczekujący rozkazów służący.

— M. Enea - odezwał się Wielki Inkwizytor - pozwól, że przedstawię ci watykańskiego Sekretarza Stanu, Jego Eminencję kardynała Lourdusamy, jego asystenta, monsignora Lucasa Oddiego oraz szanownego radcę Albedo.

— Gdzie jestem? - spytała Enea. Musiała powtórzyć pytanie, gdyż za pierwszym razem obite usta i obolała szczęka nie pozwoliły jej uformować słów.

Wielki Inkwizytor się uśmiechnął.

— Odpowiemy na wszystkie twoje pytania, moja droga. W zamian za to ty odpowiesz na nasze; zapewniam cię, że tak się stanie. Wracając do twojego pytania: znajdujemy się w najgłębiej położonej... hmm, sali przesłuchań... w Zamku Świętego Anioła, na prawym brzegu Nowego

Tybru, nieopodal mostu Świętego Anioła, bardzo blisko Watykanu. Wciąż na Pacem.

— Gdzie jest Raul?

— Raul? - zdziwił się kardynał Mustafa. - Ach, masz na myśli swojego raczej mało użytecznego opiekuna... Jeśli się nie mylę, zakończył już spotkanie z przedstawicielami Świętego Oficjum i znajduje się na pokładzie statku, który zabierze go z naszego przemilego układu. Czy to ktoś ważny dla ciebie, moja droga? Moglibyśmy załatwić mu powrót do Zamku.

— On jest bez znaczenia - odparła cicho Enea. W pierwszej chwili jej słowa sprawiły mi ból i poczułem złość, ale zaraz potem wyczułem jej prawdziwe myśli... troskę, strach o mnie, nadzieję, że nie użyją mnie, by ją złamać.

— Jak sobie życzysz - zgodził się Wielki Inkwizytor. - To z tobą chcemy dziś porozmawiać. Jak się czujesz?

Enea posłała mu spojrzenie jedyne go sprawnego oka.

— No cóż, chyba nie sądziłaś, że napaść na papieża w bazylice Świętego Piotra ujdzie ci płazem.

Enea mruknęła coś niezrozumiale.

— Słucham? Co powiedziałaś, moja droga? - zainteresował się Mustafa z uśmiechem zadowolonej z siebie ropuchy. - Nie zrozumieliśmy cię.

— Nie... napadłam... na... papieża.

Kardynał rozłożył ręce.

— Skoro tak twierdzisz... Ale nie miałaś chyba przyjaznych zamiarów. Co zatem planowałaś, biegnąc między ławkami w stronę Ojca Świętego?

— Chciałam go ostrzec - rzekła Enea. Słuchając paplaniny Mustafy część uwagi poświęciła zbadaniu stanu własnego ciała i odniesionych obrażeń: trochę poważnych sińców, żadnych złamań, na udzie rana od

szabli, wymagająca szycia, drugie takie cięcie na piersi... Coś jednak było nie w porządku z jej organizmem: czyżby krwotok wewnętrzny? Nie, chyba nie. Pewnie coś jej wstrzyknięto.

— Przed czym? - zapytał Wielki Inkwizytor przymilnie.

Enea przekręciła głowę, przeniosła spojrzenie lewego oka na kardynała Lourdusamy, a potem na radcę Albedo. Nic nie powiedziała.

— Przed czym? - powtórzył Mustafa. Kiedy i tym razem nie doczekał się odpowiedzi, skinieniem głowy dał znak najbliższemu stojącemu klonowi Nemes. Bładoskóra kobieta stanęła obok stojaka z narzędziami, wybrała mniejsze nożyce, zamyśliła się, po czym odłożyła je na tacę i podszedłszy bliżej uklękła na jedno kolano na kracie. Odgięła mały palec prawej dłoni Enei do tyłu, odgryzła go, z uśmiechem wyprostowała się i wypluła go do kosza.

Enea krzyknęła z bólu i, odchyliwszy się na rusztowanie, prawie zemdląca.

Nemes posmarowała kikut palca wyciśniętą z tuby pastą tamującą krwawienie.

Holograficzny kardynał Mustafa przybrał smutny wyraz twarzy.

— Nie chcemy ci zadawać bólu, ale w razie potrzeby nie zawahamy się tego uczynić — rzekł. - Albo szybko i szczerze odpowiesz na nasze pytania, albo więcej kawałków twojego ciała znajdzie się w koszu. Język stracisz na końcu.

Enea zwalczyła kolejną falę mdłości. Ból promieniujący z okaleczonej dłoni był wręcz niewiarygodny - ja sam, który znajdowałem się dziesięć minut świetlnych stamtąd, czując go ryczałem jak opętany.

— Chciałam ostrzec papieża, że planujecie... zamach stanu. - Enea nie odrywała wzroku od Lourdusamy'ego i Albedo. - Atak serca.

Kardynał Mustafa nie krył zdumienia.

— Rzeczywiście jesteś wiedźmą - stwierdził cichym tonem.

— A ty zdradzieckim sukinsynem - powiedziała Enea, głośno i wyraźnie. - Tak jak i reszta. Sprzedaliście Kościół, a teraz sprzedajecie swoją marionetkę, Lenara Hoyta.

— Czyżby? - odezwał się lekko rozbawiony Lourdusamy. - Jak niby się to odbywa, drogie dziecko?

Enea szarpnięciem głowy wskazała radcę Albedo.

— Centrum poprzez krzyżokształty kontroluje życie i śmierć wszystkich wiernych. Ludzie umierają, gdy Sztucznym Inteligencjom jest to na rękę... Bo ginące sieci neuronowe są bardziej wydajne niż żywe. Zamierzacie ponownie zamordować papieża, tyle że tym razem nie uda się go wskrzesić, prawda?

— Celne spostrzeżenie, moja droga - zadudnił kardynał Lourdusamy. - Może rzeczywiście czas zmienić papieża. - Machnięciem ręki spowodował pojawienie się w pokoju kolejnego hologramu: Urban XVI, pogrążony w śpiączce, leżał w szpitalnym łóżku, otoczony rojem sióstr, lekarzy i maszyn. Po kolejnym ruchu ręki kardynała obraz zniknął.

— Twoja kolej, żeby zasiąść na Piętrowym Tronie? - zapytała Enea i zamknęła oczy. Pod powiekami tańczyły jej czerwone plamy. Kiedy ponownie spojrzała na Lourdusamy'ego, ten właśnie skromnie wzruszał ramionami.

— Dość tego - wtrącił się radca Albedo. Przeszedł przez hologramy siedzących kardynałów i stanął na brzegu kraty, naprzeciwko Enei. - W jaki sposób nauczyłaś się manipulować ośrodkiem, w którym działały transmitery? Jak podróżujesz, nie korzystając z portali?

Enea przeniosła na niego spojrzenie jedyne oko.

— Przeraza to pana, prawda, radco? Tak jak kardynałowie za bardzo się mnie boją, żeby osobiście uczestniczyć w przesłuchaniu.

Mężczyzna w szarym stroju odsłonił w uśmiechu idealnie równe zęby.

— Mylisz się, Eneo. Potrafisz jednak przenosić się z miejsca na miejsce bez transponderów i zabierać w podróż tych, którzy ci towarzyszą. Ich Eminencje kardynał Lourdusamy i kardynał Mustafa, podobnie jak monsignore Oddi, nie chcieliby raczej zniechęcić opuścić Pacem razem z tobą. Jeśli zaś chodzi o mnie... Byłoby wspaniale, gdybyś przeniosła nas gdzie indziej. - Albedo umilkł, a gdy Enea nie odezwała się ani nie poruszyła, uśmiechnął się ponownie. - Wiemy, że jesteś jedyną osobą, która potrafi tego dokonać - rzekł cicho. - Żaden z twoich tak zwanych uczniów nie opanował tej techniki - i jeszcze dużo im brakuje. Jaka jednak jest jej istota? Jedyne sposoby, w jakie nauczyliśmy się wykorzystywać Pustkę do przenoszenia obiektów, polega na dokonywaniu trwałych uszkodzeń tego medium... na to zaś potrzeba zbyt wiele energii.

— A poza tym już nie pozwalają wam tego robić - wymruczała Enea. Zamrugała, żeby pozbyć się czerwonych plam z pola widzenia i móc spojrzeć mężczyźnie w oczy. Ból z dłoni nasilał się i słabł, niczym powolne fale na niespokojnym morzu.

Brwi radcy uniosły się leciutko ze zdumienia.

— Nie pozwalają? Kto nam nie pozwala, dziecko? Powiedz nam, kim są twoi panowie.

— Nie ma żadnych panów - powiedziała słabo Enea. Musiała się bardzo skupić, żeby przezwyciężyć zawroty głowy. - Tylko lwy, tygrysy i niedźwiedzie.

— Dość tego bełkotu - zagrzemiał Lourdusamy i skinął na drugą Nemes, ta zaś wzięła ze stojaka zardzewiałe cęgi, złapała mocno lewy nadgarstek Enei, żeby utrzymać jej dłoń w bezruchu i jeden po drugim wyrwała jej wszystkie paznokcie.

Enea zawyła, na moment straciła przytomność, ocknęła się i, nie zdążywszy w porę odwrócić głowy, zwymiotowała sobie na piersi. Jęknęła cicho.

— W bólu nie ma nic podniosłego, moje dziecko - rzekł kardynał Mustafa. - Odpowiedz na pytania pana radcy, a smutne przedstawienie zaraz się skończy. Zabierzemy cię stąd, opatrzymy, wyhodujemy ci nowy palec, umyjemy cię, odziejemy i wrócisz do swojego opiekuna, ucznia, czy kim on tam jest. Paskudny epizod w twoim życiu dobiegnie końca.

Mimo wszechogarniającego bólu Enea wciąż miała świadomość krążącej w jej żyłach podejrzanego substancji, którą wstrzyknięto jej, zanim odzyskała przytomność. Teraz zaś udało jej się ją rozpoznać: trucizna, śmiertelny jad z opóźnionym zapłonem - miał się uaktywnić po dwudziestu czterech godzinach - na który nie ma antidotum. Zrozumiała, czego naprawdę od niej chcą.

Od niepamiętnych czasów pozostawała w ciągłym kontakcie z Centrum - zanim się urodziła, już miała do niego dostęp za pośrednictwem cybrydalnej osoby ojca, znajdującej się na dysku Schröna, który jej matce wszczepiono w czaszkę. Wiedziała, jak sięgnąć bezpośrednio do prymitywnych datasfer - i teraz uczyniła to samo, wyczuwając pierścień tajemniczych, zaprojektowanych przez Centrum urządzeń, oplatający podziemną salę tortur: instrumenty pomiarowe, czujniki, których działania umysł ludzki nie potrafiłby nie tylko opisać, ale nawet zrozumieć, przyrządy funkcjonujące w czterech wymiarach... Wszystkie zamarłe w oczekiwaniu.

Kardynałowie, radca Albedo i całe Centrum chcieli, żeby im uciekła. Wszystko przygotowano w taki sposób, by zmusić ją do skoku kwantowego; wyjaśniało to godną taniej holodramy brutalność przesłuchania, melodramatyczną absurdalność męczarni w podziemiach Zamku Świętego Anioła, okrucieństwo Inkwizycji... Zamierzali zadawać jej ból do chwili, aż nie mogąc go dłużej znieść dokona przeskoku, a wtedy instrumenty pomiarowe Centrum zarejestrują wszystkie jego parametry z dokładnością do miliardowych

części nanosekundy. Przeanalizują sposób, w jaki korzysta z Pustki i nauczą się go naśladować. Centrum odzyska władzę nad Pustką - i to nie za pomocą tak prymitywnych narzędzi, jak transmitters czy silniki Gedeona, lecz w sposób elegancki i natychmiastowy, a tej wiedzy nikt im już nie odbierze.

Enea zignorowała słowa Wielkiego Inkwizytora, przesunęła językiem po spierzchniętych, popękanych wargach i zwróciła się do radcy Albedo:

— Wiem, gdzie się ukrywacie.

Usta mężczyzny drgnęły w niekontrolowanym grymasie.

— Co takiego?

— Wiem, gdzie znajduje się Centrum, gdzie są jego fizyczne elementy.

Albedo uśmiechnął się, lecz posłał szybkie, ukradkowe spojrzenie obu kardynałom i księdzu.

— To nonsens - stwierdził. - Żaden człowiek nie zna kryjówek TechnoCentrum.

— Na początku Centrum było ulotną istotą, unoszącą się bezwładnie w prymitywnej datasferze Starej Ziemi, nazywanej Internetem - powiedziała Enea, a jej głos drżał prawie niezauważalnie. - Później, jeszcze przed hegirą, przenieśliście bloki pamięci bąbelkowej, serwery i główny węzeł magazynowania danych do zleпка asteroid, okrążających Słońce po wydłużonej orbicie. Z dala od Starej Ziemi, którą postanowiliście zniszczyć...

— Uciszcie ją - warknął Albedo, zwracając się do Lourdusamy'ego, Mustafy i Oddiego. — Próbuje odwrócić naszą uwagę od przesłuchania. Jej opowiadanie jest nieistotne.

Wyraz twarzy kardynałów i księdza sugerował coś wręcz przeciwnego.

Za czasów Hegemonii... - mówiła dalej Enea. Powieka lewego oka trzepotała jej w nie kontrolowany sposób, gdy starała się skupić na własnych słowach i zapanować nad głosem mimo powracających fal bólu. - Za czasów Hegemonii Centrum uznało, że najlepiej będzie, jeżeli jego fizyczne elementy ulegną rozproszeniu: macierze pamięci bąbelkowych trafiły do dziewięciu odkrytych labiryntów, a serwery obsługujące komunikatory wyniesiono na orbitę Pierwszej Tau Ceti, do znajdujących się tam ośrodków przemysłowych. Cybrydalne osoby SI mogły się między nimi poruszać po pasmach komunikacyjnych transponderów, a wszystko połączyła megasfera, rozpięta na wydartych przez portale wyrwach w Pustce, Która Łączy.

— Bredzisz. - Albedo skrzyżował ramiona na piersi.

— Jednakże po zniszczeniu portali Centrum zaczęło się martwić. - Enea nie spuszczała wzroku z twarzy cybryda. - Atak Meiny Gladstone na transmitery trochę was przystopował, mimo że zniszczenia w megasferze dało się naprawić. Postanowiliście jednak jeszcze bardziej się rozproszyć: rozmnożyć osobowości, zminiaturyzować bloki pamięci i bardziej bezpośrednio pasożytować na ludzkich umysłach...

— Bredzi - rzekł Albedo, odwracając się plecami do Enei i dając znak najbliższej stojącej Nemes. - Zaszyj jej usta.

— Nie! - zaproponował Lourdusamy. Jego drobne oczka błyszczały z zaciekawienia. - Nie ważcie się jej tknąć, dopóki na to nie zezwolę.

Stojąca po prawej stronie Enei Nemes wzięła już do ręki szpulę z niciami i igłę, teraz jednak zawahała się i zerknęła pytająco na Albedo.

— Zaczekaj - polecił radca.

— Chcieliście bardziej bezpośrednio wykorzystywać ludzkie mózgi - ciągnęła Enea. — Dlatego też miliardy tworzących Centrum istot przekształciły niezbędne im do życia instrumenty do postaci krzyżokształtów i połączyły się z ludzkimi żywicielami. Każda Sztuczna Inteligencja ma teraz do dyspozycji istotę ludzką, w której mieszka i

którą może w każdej chwili unicestwić. Zachowujecie łączność dzięki starym datasferom i węzłom osobliwości napędu Gedeona w megasferze, ale wolicie mieszkać blisko źródła pożywienia...

Albedo odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem, ponownie ukazując idealne zęby. Rozłożył ramiona i odwrócił się twarzą do trzech hologramów.

— To znakomita rozrywka - stwierdził, nie mogąc jeszcze opanować chichotu. - Tyle przygotowań do przesłuchania - jednym ruchem ręki objął całą komnatę, świetlik i stalowe rusztowanie, do którego przykuto Eneę - a skończyło się na tym, że to ona igra z waszymi umysłami. Czysty nonsens, choć nie będę ukrywał, że świetnie się bawię.

Mustafa, Lourdusamy i Oddi nie odrywali wzroku od Albedo, ale wszyscy trzej jak na komendę podnieśli dłonie do piersi.

Odziany w szkarłat Sekretarz Stanu wstał z niewidzialnego fotela i podszedł do krawędzi kraty. Hologram tak doskonale imitował rzeczywistość, że do uszu Enei doleciał szelest szat, o które ocierał się zawieszony na czerwonym, jedwabnym sznurze biskupi krzyż; w sznur wpleciono złotą nić, a u jego końca zwisała olbrzymia, czerwonozłota kita. Enea skupiła się na kołyszącym się krzyżu, żeby zapomnieć o bólu emanującym z dłoni. Czuła, jak trucizna powoli toruje sobie drogę w jej ciele, przesącza się do kończyn i w tułów, niczym włókna i sploty wrastającego w ciało pasożyta. Uśmiechnęła się. Nieważne, co jeszcze jej zrobią: komórki jej ciała i krwi nigdy już nie zaakceptują krzyżokształtu.

— To rzeczywiście ciekawe, moje dziecko, ale zupełnie nas nie interesuje - mruknął kardynał Lourdusamy. - To zaś - skinął dłonią w stronę poranionego, nagiego ciała Enei, jakby budziło w nim obrzydzenie - jest w najwyższym stopniu niesmaczne. - Hologram pochylił się i wlepił w nią spojrzenie świńskich oczek. - I niepotrzebne. Powiedz radcy to, co chce wiedzieć.

Enea podniosła głowę i spojrzała ogromnemu jak góra mężczyźnie w oczy.

— Jak podróżować bez transmitera?

— Tak. - Kardynał oblizwał wąskie wargi. - Właśnie to.

— To proste. - Enea się uśmiechnęła. - Trzeba wysłuchać paru lekcji, dowiedzieć się, jak można poznać... język umarłych, język żywych, jak usłyszeć muzykę sfer... Potem wystarczy już tylko przyjąć komunię z krwi mojej albo któregoś z moich uczniów, którzy napili się wina.

Lourdusamy szarpnął się w tył, jakby go spoliczkowano. Złapał krzyż i zasłonił się nim jak tarczą.

— Błóżnisz! - zadudnił. - Jesus Christus est primogenitus mortuorum; ipsi gloria et imperium in saecula saeculorum!

— Jezus Chrystus rzeczywiście był pierwszym, który powstał z martwych - przyznała Enea cicho. Odbite od krzyża światło zamigotało w jej jedynym otwartym oku. - I należy mu się cześć. A także władza, jeśli taka wasza wola. Nigdy jednak nie było jego zamysłem, żeby ludzi wskrzeszać z martwych niczym laboratoryjne myszy, zgodnie z kapryсами myślących maszyn...

— Nemes - warknął radca Albedo. Tym razem nikt mu się nie sprzeciwił. Stojący pod ścianą klon podszedł do kraty, wysunął z opuszków palców pięciocentymetrowe szpony i przejechał nimi po policzkach Enei, zaczynając tuż pod oczami i kończąc przy szyi. Pazury przecięły ciało i odsłoniły kości policzkowe mojej ukochanej. Z piersi Enei dobył się przeciągły, okropny jęk; osunęła się bezwładnie na metalowe podpory. Nemes nachyliła się nad nią i wyszczerzyła drobne, ostre zęby; jej oddech cuchnął padliną.

— Odgryź jej nos i powieki - rozkazał Albedo. - Tylko powoli.

— Stój! - krzyknął Mustafa i zerwał się na równe nogi. Rzucił się naprzód, żeby powstrzymać Nemes, ale jego holograficzne dłonie przeszły przez ciało kobiety, nie robiąc na niej najmniejszego wrażenia.

— Chwileczkę - powiedział Albedo i podniósł w górę wyprostowany palec. Nemes zamarła z ustami rozwartymi tuż nad twarzą Enei.

— To potworność - rzekł Wielki Inkwizytor. - Tak samo, jak potworne było wasze zachowanie wobec mnie.

Albedo wzruszył ramionami.

— Zdecydowano, że Wasza Eminencja zasługuje na nauczkę.

Mustafa zatrzęsł się z wściekłości.

— Czy naprawdę uważacie się za naszych panów?!

Radca Albedo westchnął.

— Zawsze tak było - odparł. - Jesteście niczym więcej, jak tylko kupą gnijącego mięsa, skrywającą szympansi mózg; bełkoczącymi naczelnymi, których ciało od chwili narodzin rozkłada się i nieuchronnie dąży ku śmierci. Odegraliście we wszechświecie rolę akuszerki dla wyższej formy samoświadomości, dla istot prawdziwie nieśmiertelnych.

— Ma pan na myśli Centrum... - Mustafa nie krył pogardy.

— Proszę się odsunąć - polecił Albedo. - Albo...

— Albo co? - zaperzył się Wielki Inkwizytor. - Będziecie mnie torturować, tak jak tę obłąkaną kobietę? A może każe pan swoim potworom znów mnie zabić? - Ręka kardynała przeszła nieszkodliwie przez tułów Nemes, a potem przez ciało Albedo. - I tak jesteś martwa, moje dziecko. Powiedz temu pozbawionemu duszy potworowi to, co chce usłyszeć, a twoje cierpienia w kilka sekund się skończą, bez...

— Cisza! - ryknął Albedo, podnosząc dłoń z zakrzywionymi jak szpony palcami.

Holograficzny kardynał Mustafa zawył, złapał się za pierś, upadł na ziemię i poturlał się po kracie. Przeniknął przez zakrwawione stopy Enei, belkę rusztowania i nogę Nemes, krzyknął jeszcze raz i zniknął.

Kardynał Lourdusamy i monsignore Oddi spojrzeli na Albedo. Ich twarze nie wyrażały żadnych uczuć.

— Panie radco - odezwał się Sekretarz Stanu pełnym szacunku głosem - czy mogę ją sam przesłuchać? Jeśli nic mi z tego nie wyjdzie, będzie do pańskiej dyspozycji.

Albedo posłał mu lodowate spojrzenie, ale po chwili wahania poklepał Nemes po ramieniu. Maszyna do zabijania zamknęła pysk i cofnęła się o trzy kroki,

Lourdusamy wyciągnął rękę ku okaleczonej prawej dłoni Enei, jakby chciał ją uścisnąć. Jego niematerialne palce zagłębiły się w ciele mojej ukochanej.

— Quodpetis? - zapytał szeptem. Dziesięć minut świetlnych od Pacem, wrzeszcząc i wijąc się w uprzęży zbiornika antyakceleracyjnego, zrozumiałem jego słowa, tak jak rozumiała je Enea: Czego pragniesz?

— Virtutes - odparła. - Concede mihi virtutes, guibus indigeo, valeum impere.

Tonąc w powodzi gniewu, smutku i wzburzonej wody w zbiorniku, z każdą chwilą coraz dalej od Enei, zrozumiałem: Siły. Proszę o siłę, żeby wytrwać w mym postanowieniu.

— Desiderium tuum grave est - wyszeptał Lourdusamy. To poważny zamiar. - Quod ultra quaeris? - Czego jeszcze pragniesz?

Enea mrugnięciem oczyściła oko z krwi i spojrzała kardynałowi w twarz.

— Quaero togampacem - odrzekła cicho, ale zdecydowanie. Pragnę pokoju.

Radca Albedo znów się roześmiał.

— Czyżby Wasza Eminencja sądził, że nie znam łaciny? - zapytał sarkastycznie.

Lourdusamy odwrócił się do niego.

— Wprost przeciwnie, panie radco. Jestem pewien, że zna pan ten język. Lada moment dziewczyna pęknie; widzę to w jej twarzy. Ale

najbardziej boi się ognia..., a nie zwierząt, którymi ją pan szczuje.

Na twarzy Albedo odmalowało się powątpiewanie.

— Proszę dać mi pięć minut z ogniem, radco - powiedział kardynał. - Jeśli mi się nie uda, spuści pan bestię ze smyczy.

— Trzy minuty - rzekł Albedo i cofnął się. Stał obok tej Nemes, która rozorała Enei twarz.

Lourdusamy cofnął się znad krawędzi kraty.

Obawiam się, dziecko, że to będzie bardzo, bardzo bolało - powiedział w standardowym angielskim. Zrobił ruch dłonią i małe, błękitne ogniki pod nogami Enei zmieniły się w słup fioletowego ognia, który sięgnął jej nagich, podkurczonych stóp. Skóra zaczerwieniła się, poczerniała i zaczęła odchodzić płatami. Cela wypełniła się odorem palonego mięsa.

Enea zawyła z bólu i szarpnęła się w więzach, które nie ustąpiły ani na milimetr. Metalowe rusztowanie, do którego ją przypięto, rozgrzało się u dołu do czerwoności, paląc jej łydki i uda. Na skórze pojawiły się pęcherze i z piersi Enei dobył się kolejny krzyk.

Kardynał Lourdusamy machnął ponownie ręką. Płomienie opadły i znów zmieniły się w małe ogniki, przyczajone niczym drapieżne, niebieskookie zwierzę tuż pod kratą.

— To tylko przedsmak bólu, jaki cię czeka - mruknął kardynał. - Co więcej, tak się niestety składa, że przy poważnych poparzeniach ból odczuwa się nawet wówczas, gdy mięśnie i nerwy zostaną nieodwracalnie spalone. To ponoć najbardziej bolesna droga ku śmierci.

Enea zgrzytnęła zębami, żeby nie krzyknąć po raz kolejny. Krew z pociętych policzków kapła jej na blade piersi... te same piersi, które tuliłem w dłoniach, całowałem i na których zapadałem w sen. Uwięziony w zbiorniku antyakceleryjnym miliony kilometrów od Pacem, czekając na skok kwantowy i przynoszący zapomnienie sen

kriogeniczny, skowyczałem i miotałem się bezsilnie. Nikt mnie nie słyszał.

Albedo wszedł na kratę.

— Przenieś się stąd - powiedział do mojej ukochanej. - Uciekaj, przeskocz na statek, który wiezie Raula ku pewnej śmierci. Uwolnij go. Autochirurg cię wyleczy i resztę życia spędzisz u boku mężczyzny, którego kochasz. Masz wybór: albo zrobisz to, co radzę, albo ty zginiesz powolną, okrutną śmiercią tutaj, a Raul umrze, cierpiąc, z dala od ciebie. Nigdy go już nie zobaczysz, nie usłyszysz jego głosu. Uciekaj, Eneo. Uratuj się, póki jeszcze możesz, uratuj tego, którego kochasz. Za chwilę kardynał opali ci ciało z rąk i nóg i zwęgli kości... Ale nie pozwolimy ci umrzeć. Spuszczę Nemes ze smyczy, żeby się tobą pożywiły. Uciekaj, Eneo.

— Eneo - wtrącił się kardynał Lourdusamy - es igitur paratus! - Czy zatem jesteś gotowa?

— In nomine Humanitus, egoparatus sum - odrzekła Enea i podniosła wzrok na kardynała. - W imię Humanitusa, jestem gotowa.

Kardynał uczynił ruch ręką i wszystkie palniki równocześnie buchnęły ogniem. Płomienie objęły Eneę i stojącego tuż obok cybryda Albedo.

Enea wyprężyła się z bólu.

— Stać! - ryknął Albedo z powodzi ognia i zszedł z kraty. Jego syntetyczne ciało spalało się wolno, odsłaniając sztuczne kości. Kosztowny, szary garnitur uleciał pod sufit w postaci płonących strzępów materiału; rysy urodziwej twarzy rozmywały się, gdy stopione oblicze mężczyzny spływało mu na pierś. - Przestań, do diabła! - krzyknął cybryd i płonącymi palcami złapał Lourdusamy'ego za gardło.

Dłonie Albedo przeszły na wylot przez hologram, a kardynał nie odrywał wzroku od twarzy Enei. Podniósł prawą rękę.

— Miserecordiam Dei... in nomine Patris, et Filii, et Spiritu Sanctus.

Jego słowa były ostatnimi, jakie usłyszała Enea, bo w tym momencie ogień sięgnął jej uszu, gardła i twarzy; włosy buchnęły płomieniem; pod powiekami zatańczyły jej pomarańczowe plamy, które zaraz znikły, gdy żar wypalił jej oczy.

W ostatnich sekundach jej życia poczułem, jak cierpi i usłyszałem myśli, które jak krzyk - nie, jak szept - rozbrzmiały mi w mózgu:

— Kocham cię, Raul.

Potem był już tylko ogień i ból; przepełniająca Eneę żądza życia, miłość i poczucie misji wypełniły wszechświat i uniosły się ponad płomieniami, niczym dym strzelający ku niknącemu w górze sufitowi. Enea umarła.

Chwilę jej śmierci odczułem jako unicestwienie wszystkich kształtów, dźwięków i symbolicznej istoty wszechrzeczy. Wszystko we wszechświecie, co warto było kochać i dla czego warto było żyć, w ułamku sekundy przestało istnieć.

Nie krzyczałem; przestałem bić pięściami w ściany. Unosiłem się nieważki w przestrzeni, czułem, jak zbiornik się opróżnia, a potem przewody układów podtrzymywania życia w hibernacji opadły mnie niczym robactwo. Wstrzyknięto mi jakieś środki uspokajające. Nie walczyłem; było mi wszystko jedno.

Enea nie żyła.

Liniowiec dokonał skoku w przestrzeń Hawkinga, a kiedy się obudziłem, znajdowałem się już w mojej celi śmierci.

Nie miało to żadnego znaczenia. Enea nie żyła.

Nie miałem ani zegara, ani kalendarza; nie mam pojęcia, ile standardowych dni, tygodni czy miesięcy trwał mój obłąd. Możliwe, że całymi dniami obchodziłem się bez snu, ale równie dobrze mogłem przesywać tydzień za tygodniem. Trudno mi to stwierdzić.

W końcu jednak, gdy cyjanek i prawa fizyki kwantowej pozwalały mi przeżyć kolejny dzień, godzinę, minutę - zacząłem spisywać moją opowieść. Nie wiem, po co moi sędziowie zostawili mi rejestrator i pisak i umożliwili wydruk paru stron mikropergaminy dziennie. Być może przewidzieli, że jako człowiek potępiony zechcę spisać swoje wyznania i potraktować je jak bezsilny protest przeciw temu, co mnie spotkało; a może uznali, że kiedy potępieniec spíše swe grzechy i urazy, radości i straty, staną się one dla niego źródłem dodatkowego cierpienia. I może nawet w pewnym sensie mieli rację.

Zarazem szansa spisania własnych przeżyć stała się jednak moim wybawieniem. Najpierw pozwoliła mi wydobyć się z otchłani obłądu i ocaliła przed samounicestwieniem, gdy powodował mną wszechogarniający smutek i wyrzuty sumienia. Później dzięki niej ocalałem wspomnienia związane z Eneą - wydobyłem je z bagniska obrazów jej potwornej śmierci na solidniejszy grunt wspólnie spędzonych chwil; przypomniałem sobie radość życia, jaka nieodmiennie jej towarzyszyła, istotę jej misji, nasze podróże, jej złożone, lecz zarazem niewiarygodnie proste przesłanie dla całej ludzkości... Te wspomnienia ocaliły mi życie.

Wkrótce po tym, jak zacząłem pisać, przekonałem się, że potrafię zajrzeć w umysły wszystkich uczestników wydarzeń, świadków naszej wieloletniej odysei i przegranej walki. Zdawałem sobie sprawę, iż wiedzę tę zawdzięczam naukom Enei i komunii z jej krwi, że jest to skutek poznania języka żywych i języka umarłych. We śnie i na jawie

wciąż spotykałem osoby, które dawno odeszły. Moja matka często przychodziła i przemawiała do mnie, ale choć posmakowałem też cierpienia i mądrości niezliczonych innych osób, które zmarły przed wiekami - nie ich dusze najbardziej zaprzętały teraz moją uwagę. Bardziej interesowali mnie ci, którzy mogli reprezentować inne widzenie rzeczywistości w czasie, kiedy znałem Eneę.

Nigdy, w całym okresie oczekiwania na śmierć w pudełku dla kota nie przypuszczałem, że mogę zaglądać w umysły ludzi mi współczesnych, żyjących poza ścianami mojego więzienia; zakładałem chyba, że skorupa energetyczna krążącego wokół Armaghastu jaja zablokuje podobne próby kontaktu. Szybko jednak nauczyłem się uciszać zgiełk nieprzeliczonych starszych głosów, rozbrzmiewających w Pustce, Która Łączy i koncentrować się na wspomnieniach tych - martwych i przypuszczalnie wciąż żywych — którzy stali się częścią dziejów Enei. W taki oto sposób przeniknąłem w umysły i poznałem motywy działania osób myślących w sposób tak odmienny, że były dla mnie prawdziwie obcymi istotami: kardynałów Simona Augustino Lourdusamy i Johna Domenico Mustafy, Lenara Hoyta jako papieża Juliusza i Urbana XVI, prezesów Mercantilusa - Kenzo Isozakiego i Anny Pełli Cognani, kapłanów i żołnierzy - ojca de Soi, sierżanta Gregoriusa, kapitan Marget Wu i pierwszego oficera Hoagana Lieblera. Niektórzy bohaterowie mojej opowieści są obecni w Pustce pod postacią dziur, ran, wyrw - wszystkie klony Nemes postrzegam jako obszary próżni, ale także radcę Albedo i inne Sztuczne Inteligencje z TechnoCentrum - zdołałem jednak odtworzyć ich poczynania, śledząc ruch owych luk poprzez materię uplecioną ze wspomnień świadomych istot; to trochę tak, jak oglądanie niewidzialnego człowieka w ulewie - zarys sylwetki będzie wyraźnie się rysował, prawda? Tak oto, uzupełniając te spostrzeżenia cichymi skargami umarłych, mogłem odtworzyć przebieg rzezi, jakiej dokonała Rhadamanth Nemes na Sol

Draconi Septem, a także podsłuchiwać i podglądać Scyllę, Gygesa, Briareusa i Nemes na Vitus-Gray-Balianusie B. Wycieczki w próżnię i koszmarne sny były na szczęście równoważone ciepłymi wspomnieniami moich przyjaciół: Dem Łoi, Dem Rii, ojca Glaucusa, Heta Masteena, A. Bettika i wszystkich pozostałych. Wielu z nich szukałem nie tylko we własnych wspomnieniach - mam tu na myśli wspaniałych ludzi, takich jak Lhomo Dondrub, którego widziano po raz ostatni, jak na skrzydłach utkanych z czystego światła leciał stoczyć rycerską, beznadziejną walkę z okrętami Paxu; jak Rachela, która przeżywała drugi z kilku pełnych przygód żywotów; jak dostojna Dorje Phamo i młody, mądry dalajlama. Słuchałem własnego głosu, rozbrzmiewającego w Pustce, Która Łączy, żeby odtworzyć wspomnienia z klarownością, do jakiej bez takiego wsparcia nie byłbym zdolny; zwykle postrzegałem sam siebie jako mało znaczącego bohatera historii, średnio inteligentnego sługę, który wolał słuchać, niż dowodzić i najczęściej nie zadawał właściwych pytań w odpowiednich momentach, a w dodatku nie rozumiał większości odpowiedzi. Widziałem jednak i drugiego Raula Endymiona, który odkrywał miłość i uczył się kochać osobę, na którą czekał całe życie - a wówczas jego bezwarunkowe posłuszeństwo odpowiadało gotowości natychmiastowego poświęcenia życia w obronie ukochanej.

Mimo iż nie ulega dla mnie wątpliwości, że Enea nie żyje, nigdy nie starałem się odszukać jej głosu w przemawiającym językiem umarłych chórze. Wyczuwałem za to jej obecność w Pustce, Która Łączy i dostrzegałem ślad jej osobowości w sercach i umysłach wszystkich dobrych ludzi, którzy przewinęli się przez naszą historię, albo których życie uległo nieodwracalnej przemianie wskutek naszej walki z Paxem.

Ucząc się tłumić chaotyczny zgiełk i wyłapywać z chóru poszczególne głosy, zdałem sobie sprawę, że często wyobrażam sobie rezonujące w Pustce osobowości ludzkie pod postacią gwiazd: niektóre

były bledziutkie i słabe, ale udawało się je dostrzec, kiedy człowiek wiedział, gdzie szukać; inne płonęły niczym supernowe; jeszcze inne łączyły się w układy podwójne z duszami innych zmarłych i konstelacje spojone wzajemną miłością i szacunkiem; były i takie - jak Lourdusamy, Mustafa i Hoyt - które prawie wypaliły się i zapadły w siebie pod wpływem ciężenia ambicji, chciwości i żądz władzy. Ich ludzkie światło gasło niemal całkowicie, gdy zmieniali się w duchowe czarne dziury.

Enei wśród tych gwiazd nie było. Póki żyła, światło jej istoty opromieniało wszystkich niczym blask słońca, jaki omywał nas w ciepłe, wiosenne dni na łąkach nieopodal Taliesina Zachodniego: stały, leciutko rozproszony, płynący z jednego źródła, ale ogrzewający wszystko dookoła, stanowił źródło życia i wszelkiej energii. I tak jak gdy przychodzi zima lub zapada noc, a brak słońca przynosi mrok i chłód, czekamy nadejścia wiosny albo świtu.

Wiedziałem jednak, że dla Enei nie będzie już świtu; że nie ma mowy o jej zmartwychwstaniu i wskrzeszeniu naszej miłości. Cała potęga jej przesłania polega na tym, że oferowana przez Pax wersja wskrzeszenia jest jednym wielkim kłamstwem, aktem równie wypranym z uczuć, jak obowiązkowe szczepienia antykoncepcyjne. W skończonym wszechświecie nieśmiertelnych istot praktycznie nie ma miejsca dla dzieci. Kosmos Paxu był uporządkowany, statyczny, niezmienny i bezpłodny; pojawienie się dzieci przyniosłoby chaos, zamieszanie i szansę nadejścia takiej przyszłości, która stanowiłaby zaprzeczenie idei Paxu.

Zastanawiałem się nad tym wszystkim i rozmyślałem nad ostatnim podarunkiem od Enei - odtrutce na krążące w moich żyłach środki antykoncepcyjne; ciekawiło mnie, czy miał to być tylko metaforyczny gest. Miałem nadzieję, że Enea nie chciała, bym naprawdę skorzystał z jej prezentu: znalazł sobie inną kobietę, ożenił się, miał z nią dzieci...

Poruszyliśmy kiedyś ten temat, podczas jednej z naszych niezliczonych dyskusji w przedsionku schronu w Taliesinie, kiedy wiatr niósł zapach juki i pierwiosnków - kwestię dziwnej elastyczności natury ludzkiej, która pozwala angażować się w nowe związki, szukać nowych partnerów na resztę życia, inwestować w nowy potencjał. Jednakże mam nadzieję, że dar płodności, jaki otrzymałem od Enei w naszych ostatnich wspólnie spędzonych chwilach, w bazylice Świętego Piotra, faktycznie był metaforą tego, co ofiarowała ludzkości - szansy na wybranie chaosu, zmiany, cudownych, ukrytych na razie przed naszym wzrokiem możliwości. Jeżeli chciała, bym potraktował go dosłownie - znalazł kogoś i dochował się dzieci - to najzwyczajniej w świecie mnie nie znała. Spisując naszą historię przekonałem się aż za dobrze, patrząc na siebie oczyma innych, że Raul Endymion to miły facet, godny zaufania, czasem nawet rycerski - na swój niezdarny sposób - ale trudno mu zarzucić nadmiar inteligencji czy przenikliwości. Inteligencji tej wystarczyło jednak przynajmniej mnie samemu - żebym wiedział bez żadnych wątpliwości, iż miłość do Enei wystarczy mi na całe życie. Nawet gdy zacząłem sobie uświadamiać, że w jakiś precudowny sposób mógłbym wrócić między żywych - kiedy w celi upływały mi na pisaniu dni, tygodnie, a potem, z całą pewnością, miesiące, a śmierć nie nadchodziła - zdawałem sobie sprawę, że będę chciał się znów śmiać, cieszyć i znaleźć sobie nowych przyjaciół, ale nigdy nie zapragnę szukać bladego cienia miłości, której zaznałem. Nie mogło być mowy o dzieciach. Nigdy.

Spisując wspomnienia, na kilka cudownych dni przekonałem sam siebie, że Enea powróciła ze świata umarłych... Że zdarzył się cud. Dotarłem właśnie do miejsca, gdy trafiliśmy na Starą Ziemię - po strasznym spotkaniu z pierwszą Nemes na Bożej Kniei - i do Taliesina Zachodniego.

W nocy, bezpośrednio po ukończeniu tego fragmentu, przyśniło mi się, że Enea odwiedziła mnie w moim więzieniu: zawołała mnie po imieniu, musnęła mój policzek i wyszeptała:

— Ruszamy w drogę, kochanie. Jeszcze nieprędko, ale gdy tylko skończysz swoją opowieść, gdy wszystko sobie przypomnisz i wszystko zrozumiesz.

Obudziwszy się stwierdziłem, że rejestrator został uruchomiony, a na mikropergaminie znalazłem list od Enei, przetykany obszernymi fragmentami wierszy jej ojca.

Prze wiele dni - tygodni - wierzyłem, że naprawdę mnie odwiedziła, że zdarzył się cud podobny temu, o jakim opowiadali późniejsi apostołowie, których Jezus nawiedził po swojej śmierci. Pracowałem więc nad tą opowieścią w gorączkowym pośpiechu, chcąc jak najprędzej wszystko zobaczyć, zanotować i zrozumieć. Zajęło mi to jednak dalszych kilka miesięcy, podczas których zdałem sobie sprawę, że wizyta Enei nie mogła w rzeczywistości mieć miejsca; po prostu pierwszy raz usłyszałem wtedy jej szept w Pustce, pośród głosów innych umarłych. W niezrozumiały dla mnie sposób wiadomość, jaką mi przekazała, została utrwalona w pamięci rejestratora, który zaprogramowano tak, by uruchomił się, gdy zechcę pisać dalej. Nie było to do końca niemożliwe, jedną rzecz wiedziałem bowiem z całą pewnością: Enea potrafiła dostrzec strzępy przyszłości - różnych przyszłości, jak zawsze mówiła, podkreślając liczbę mnogą. Potrafiłaby więc zapewne zapisać w rejestratorze list i jakoś dopilnować, żeby znalazł się w mojej celi śmierci.

Albo stało się jeszcze inaczej... I takie właśnie wyjaśnienie nauczyłem się ostatecznie akceptować: sam napisałem ten list w stanie całkowitego zapomnienia, zagłębienia się w osobowości Enei, której poszukiwałem w Pustce i własnych wspomnieniach - chociaż „opętanie” byłoby tu chyba lepszym słowem. Ta teoria wcale mi się nie

podoba, ale zgadza się z jedynym poglądem na temat życia po śmierci, jaki usłyszałem z ust Enei, opartym w mniejszym lub większym stopniu na judaistycznej tradycji, że ludzie żyją po śmierci tylko w sercach i pamięci tych, których kochali, którym służyli i których ocalili.

Jak by nie było, na dalsze parę miesięcy poświęciłem się pisaniu. Zacząłem dostrzegać rzeczywisty rozmach - i daremność - misji i ofiary Enei, aż wreszcie, gdy gorączkowe gryzmolenie dobiegło końca, znalazłem w sobie dość odwagi, by opisać jej śmierć i własną bezradność, popłakałem się drukując ostatnie strony, przeczytałem je i wrzuciłem do przetwornika. Przykazałem rejestratorowi, żeby zachował całą historię w pamięci i, jak sądziłem, na dobre wyłączyłem aparat.

Enea nie przyszła; nie uwolniła mnie z więzienia. Nie żyła. Czułem jej brak we wszechświecie równie wyraźnie, jak od czasu komunii odczuwałem wszelkie echa rozbrzmiewające w Pustce, Która Łączy.

Leżałem więc na koi w kocim pudełku, usiłując spać, zapominając o jedzeniu i czekając na śmierć.

Poszukiwania, jakie prowadziłem w Pustce, pozwoliły mi dokonać kilku odkryć, które nie miały bezpośredniego związku z opowiedzianą przeze mnie historią. Nie brakowało wśród nich wspomnień bardzo osobistych: ujrzałem mojego ojca z braćmi na polowaniu, uświadomiłem sobie, ile dobroci kryło się w jego sercu; były też świadectwa ludzkiego okrucieństwa, które, tak jak wspomnienia Jakuba Schulmanna z zapomnianego dwudziestego stulecia, pozwoliły mi lepiej zrozumieć barbarzyństwo naszych czasów.

Ale natknąłem się i na inne głosy...

Skończyłem zatem opowiadać o moim życiu z Eneą i czekałem na śmierć; coraz więcej czasu przesypiałem w nadziei, że decydujące o moim losie zdarzenie kwantowe zaskoczy mnie we śnie. Pamiętałem o słowach zapisanych w pamięci rejestratora i zastanawiałem się, czy

ktoś kiedyś znajdzie sposób, żeby dostać się do wnętrza celi, przebić skorupę, która miała wybuchnąć, gdyby tylko zaczęto przy niej majstrować. Mogło to nastąpić za sto czy więcej lat. Za którymś razem przyśnił mi się sen... Ja zaś od razu zdałem sobie sprawę, że nie jest to zwyczajne marzenie senne - taneczny układ frontów fal holistycznych - lecz że do mojego mózgu przebił się jeden z głosów wołających językiem umarłych.

Konsul Hegemonii siedział przy fortepianie na tarasie czarnego statku - tego samego statku, który tak dobrze znałem - a w pobliskich bagnach przewalały się olbrzymie, zielone, jaszczurokształtne bestie. Grał jakiś utwór Schuberta. Nie rozpoznałem planety, na której się znajdował: rosły na niej ogromne, prymitywne rośliny, na niebie piętrzyły się gigantyczne burzowe chmury, a ryki zwierząt nie milkły ani na chwilę.

Był niższy i drobniejszy, niż go sobie zawsze wyobrażałem. Kiedy skończył, jeszcze przez chwilę siedział bez ruchu w blasku wczesnego zmierzchu. Ciszę przerwał statek, który przemówił obcym mi, bardziej ludzkim niż zwykle głosem:

— Ślicznie. Naprawdę pięknie.

— Dziękuję, John - odparł konsul, po czym wstał z taboretu i kazał statkowi wciągnąć taras do wnętrza statku. Zaczęło padać.

— Czy nadal zamierzasz rano udać się na łowy? - zapytał bezcielesny głos, z pewnością nie należący do statku.

— Owszem. Lubię tu czasem zapolować.

— Smakuje ci mięso dinozaurów?

— Ależ skąd - rzekł konsul. - Jest praktycznie niejadalne. Bawi mnie samo polowanie.

— Ryzyko, tak?

— Też. - Konsul parsknął śmiechem. - Chociaż uważam na siebie.

— A gdybyś jutro nie wrócił? - Statek przemawiał głosem młodego mężczyzny, z wyraźnym brytyjskim akcentem.

Konsul wzruszył ramionami.

— Spędziliśmy już... zaraz, ponad sześć lat... podróżując po planetach dawnej Hegemonii. Wiemy, jak to wygląda: chaos, wojny domowe, klęski głodu, rozdrobnienie... Widzieliśmy skutki zniszczenia transponderów.

— Uważasz zatem, że Gladstone nie miała racji, wydając rozkaz ataku? - spytał cicho statek.

Konsul stanął przy barku i nalał sobie brandy. Przeniósł szklanekę na ustawiony przy regale stolik szachowy, po czym usiadł i popatrzył na szachownicę, gdzie dwie armie starły się już w boju.

— W żadnym wypadku - odparł. - Zrobiła to, co należało. Skutki jednak są opłakane. Miną dziesiątki, może nawet setki lat, zanim uda się odtworzyć Sieć w nowym kształcie. - Wcześniej już wziął szklanekę do ręki, żeby ogrzać i wzburzyć jej zawartość, teraz zaś zaciągnął się aromatem trunku i pociągnął mały łyk. Podniósł wzrok. - Czy nie zechciałbyś mi towarzyszyć, John? Dokończylibyśmy zaczęłą partię.

Na krześle po drugiej stronie stołu pojawił się hologram przedstawiający młodego człowieka. Mężczyzna był uderzająco przystojny, miał piwne oczy, niskie czoło, lekko wklęsłe policzki, drobny. nos, mocno zarysowaną szczękę i usta, które zdradzały zarówno odrobiną opanowania, jak i popędliwości. Ubrany był w luźną koszulę i spodnie. Jego gęste, kręcone loki miały kasztanowy odcień. Konsul pamiętał, że jego gościa opisywano niegdyś jako mężczyznę o „żywej, czarującej twarzy” i skłonny był złożyć to na karb ogromnej zmienności rysów, zdradzającej nieprzeciętną inteligencję i witalność.

— Twój ruch - zauważył John.

Konsul popatrzył z namysłem na szachownicę i przestawił gońca.

John zareagował natychmiast, wskazując pionka, którego konsul posłusznie przesunął o jedno pole w swoją stronę. Młody człowiek z hologramu spojrzał swemu przeciwnikowi w oczy.

— Co będzie, jeżeli jutro nie wrócisz z polowania? - zapytał powtórnie, z nieskrywaną ciekawością.

Wyrwany z zamyślenia konsul uśmiechnął się.

— Wtedy statek będzie należał do ciebie. Zresztą i tak jest twój. - Cofnął gońca. - Co wtedy zrobisz, John? Co zrobisz, jeśli tak właśnie zakończy się nasza wspólna podróż?

John błyskawicznym gestem pokazał wieżę, którą chciał się ruszyć - i równie szybko odparł:

— Wyślę statek na Hyperiona. Zaprogramuję go tak, żeby odwiedził Brawne. Albo Martina Silenusa, jeśli staruszek wciąż żyje i pracuje nad „Pieśniami”.

— Wyślesz go? - zdziwił się konsul i zmarszczył brwi, nie odrywając wzroku od szachownicy. - Zamierzasz opuścić jego pokładową SI? - Przesunął gońca o jedno pole.

— Tak - przyznał John i kazał ponownie ruszyć pionka. - I tak uczynię to w najbliższych dniach.

Konsul nachmurzył się jeszcze bardziej, podniósł wzrok na siedzący przed nim hologram, po czym znów skupił swą uwagę na szachownicy.

— Dokąd chcesz się udać? - zapytał i zasłonił króla hetmanem.

— Wrócę do Centrum - odrzekł John. Przesunął wieżę o dwa pola.

— Chcesz jeszcze raz spotkać się ze swoim stwórcą? - Konsul wyprowadził kolejny atak gońcem.

John pokręcił głową. Siedział wyprostowany na krześle i, tak jak miał to w zwyczaju, od czasu do czasu odrzucał opadające mu na czoło loki dystyngowanym, lekkim ruchem głowy.

— Nie - odparł cicho. - Zamierzam wszcząć zamieszanie wśród istot zamieszkujących Centrum; pragnę przyspieszyć rozwój wypadków

w ich wiecznych wojnach domowych i wyniszczających konfliktach. Chcę spełniać taką samą rolę, jak mój wzorzec w społeczności poetów - chcę drażnić. - Wyciągnął dłoń i poprosił o przestawienie skoczka.

Konsul rozważył implikacje tego ruchu, uznał, że nie stanowi on dla niego zagrożenia i przesunął gońca.

— Dlaczego? - zapytał wreszcie.

John ponownie się uśmiechnął i wskazał pole, na które miała zostać przesunięta jego wieża.

— Za parę lat moja córka będzie potrzebowała pomocy - powiedział i parsknął śmiechem. - Dokładnie za dwieście siedemdziesiąt lat, z hakiem. Szach i mat.

— Co takiego? - Konsul nie posiadał się ze zdumienia. - To niemożliwe...

John milczał.

— Cholera jasna - mruknął konsul i położył króla na szachownicy. - Niech to szlag trafi!

— Właśnie - przytaknął John i wyciągnął rękę. - Jeszcze raz dziękuję, miło mi się z tobą grało. Mam szczerą nadzieję, że jutrzejsze polowanie przyniesie ci większą satysfakcję.

— Cholera - powtórzył konsul i niewiele myśląc podał hologramowi rękę. Po raz setny jego palce przeniknęły przez niematerialne, szczupłe palce. - Cholera jasna - rzucił jeszcze raz.

Obudziłem się zniechęca, a w mojej głowie łomotało jedno, jedyne słowo:

— Dziecko!

Świadomość tego, że Enea miała męża, zanim nasz związek w pełni się rozwinął, i że urodziła mu dziecko, tkwiła we mnie i paliła mi boleśnie umysł, niczym żarzący się wiecznie węgielek, ale ograniczywszy się do obsesyjnej ciekawości w kwestii kto i dlaczego - a ciekawości tej nie zaspokoili ani A. Bettik, ani Rachela, ani nikt inny

spośród tych, którzy byli świadkami jej zniknięcia - nigdy nie rozważałem poważnie możliwości, że to dziecko istnieje gdzieś fizycznie, zamieszkuje ten sam wszechświat, co ja. Jej dziecko. Chciało mi się płakać - z kilku powodów.

— Nigdzie go nie widzę - powiedziała kiedyś.

Gdzie ono może się podziewać? Ile ma lat? Usiadłem na koi i zacząłem liczyć: Enea umarła... nie, została brutalnie zamordowana przez Centrum i posłuszne mu marionetki z Paxu, w wieku dwudziestu trzech lat standardowych. Natomiast skończywszy dwadzieścia lat zniknęła gdzieś na rok, jedenaście miesięcy, tydzień i sześć godzin. Dzieciak powinien mieć zatem jakieś trzy lata standardowe... Do tego dochodził czas, spędzony przeze mnie w schrödingerowskim jajku nad Armaghastem... Ile tego było? Osiem miesięcy? Dziesięć? Nie miałem pojęcia, ale jeżeli dziecko żyło, musiało... Rany boskie, nigdy nawet nie zapytałem, czy to był chłopiec, czy dziewczynka, a Enea nie wspomniała o tym ani słowem. Tak się zapamiętałem w bólu i dziecinnym poczuciu krzywdy, że nie przyszło mi do głowy, żeby ją o to zapytać. Ależ ze mnie dureń! Dziecko - syn albo córka Enei - ma w takim razie mniej więcej cztery latka. Pewnie już chodzi... na pewno. Może i mówi... jasne, że tak. Boże! Zdałem sobie nagle sprawę, że stało się już świadomą ludzką istotą, nauczyło się mówić, zadawać pytania - mnóstwo pytań, jeśli mogłem wierzyć moim nielicznym osobistym kontaktom z małymi dziećmi... Uczy się pewnie włączyć po lesie, łowić ryby, kochać przyrodę...

Nigdy nie zapytałem Enei, jak dała dziecku na imię - teraz, kiedy sobie to uświadomiłem, coś ścisnęło mnie w gardle, a oczy zasły mi łzami. Ale trzeba przyznać, że wcale nie wykazywała chęci rozmawiania o tym okresie swojego życia, ja zaś nie naciskałem, tłumacząc sobie później, że nie chciałem jej denerwować pytaniami, które budziłyby w niej poczucie winy - a we mnie żądę mordu. Tylko

że nie widziałem u niej śladu wyrzutów sumienia, gdy wspominała o małżeństwie i dziecku... Uczciwie mówiąc, to właśnie podsycalo moją wściekłość i poczucie bezradności. Niesamowite, że mimo to nie przestaliśmy być kochankami... Jak to było? Przypomniałem sobie zwrot, który dawno temu znalazłem na ekranie rejestratora: „kochankami godnymi najwspanialszych poematów”. Właśnie. Świadomość przelotnego związku i małżeństwa Enei nie przeszkodziła nam kochać się z uczuciem, jakim nigdy nie darzyliśmy nikogo innego.

Może i w jej przypadku rzeczywiście tak było? Zawsze zakładałem, że do ślubu popchnęła Eneę gwałtowna, niepohamowana namiętność, nagły impuls, ale teraz patrzyłem na to inaczej: kto był ojcem? W swoim liście napisała, że kochała mnie w przeszłości i przyszłości - tak właśnie to czułem: jakbym zawsze ją kochał, jak gdybym całe życie czekał, żeby odkryć rzeczywistość tego uczucia. A jeżeli jej małżeństwo zostało podyktowane nie miłością, nie impulsem, lecz... konwenansem? Nie, to złe słowo... Koniecznością?

Templariusze, Intruzi, Kościół Ostatecznej Pokuty i wielu innych przepowiadało, że matka Enei, Brawne Łamią, urodzi dziecko - Eneę, jak się później okazało. Tę, Która Naucza. Z „Pieśni” wynikało, że tego dnia, gdy drugi cybryd Keatsa zginął fizyczną śmiercią, a Brawne Łamią przebiła się do świątyni Chyżwara, gdzie znalazła schronienie, kapłani powitali ją hymnem „Niech będzie błogosławiona matka naszego zbawiciela, Niech będzie błogosławione narzędzie naszego odkupienia” - tym właśnie zbawicielem była Enea.

Może Enei było przeznaczone zostać matką dziecka, które przedłuży linię proroków... czy mesjaszy? Takich prorocत्व wprowadzie nie znałem, ale spisując nasze wspólne dzieje nauczyłem się jednego: Raul Endymion jest niezbyt bystry, wolno myśli i zwykle ostatni dochodzi do właściwych wniosków. W takim razie mogło istnieć tyle samo przepowiedni odnoszących się do następnego mesjasza, ile dotyczyło

samej Enei, a ja i tak o niczym bym nie wiedział. Dziecko mogło mieć poza tym zupełnie inne cudowne zdolności, których ludzkość i wszechświat bardzo potrzebowali.

Oczywiste zatem było, że nie nadaję się na ojca następnej Tej, Która Naucza. Związek drugiego cybryda Keatsa i Brawne Lamii był, wedle słów samej Enei, aktem wielkiego porozumienia między najlepszymi elementami TechnoCentrum i ludzkością. Wykorzystując wrodzone cechy i uzdolnienia ludzi i Sztucznych Inteligencji, doprowadził do narodzin osoby zdolnej do bezpośredniego kontaktu z Pustką, Która Łączy. Dzięki niej ludzkość poznała język żywych i język umarłych. Zdolność tę nazywano inaczej empatią i jeżeli jakiś tytuł miał pasować do Enei, najlepiej brzmiałoby „Dziecię Empatii”.

Kto zatem mógł być ojcem jej dziecka?

Oczywistość odpowiedzi poraziła mnie niczym grom z jasnego nieba. Przez chwilę, zamknięty w celi śmierci, doznałem takiego wstrząsu, że byłem pewien, iż uruchamiany cyklicznie detektor wyłapał pojawienie się cząstki i doprowadził do uwolnienia zasobów cyjanku. Cóż za ironia losu: zrozumieć wszystko i w tej samej chwili umrzeć.

Okazało się jednak, że o szok przyprawiła mnie nie woń trucizny w powietrzu, lecz narastająca pewność własnej nieomyślności i coraz silniejszy impuls do działania.

W kosmicznej partii szachów, którą przez trzysta lat rozgrywała także Enea, uczestniczył przecież jeszcze jeden gracz: na wpół mityczny Obserwator, przysłany przez obce, rozumne rasy, o których napomknęła kilkakrotnie przy różnych okazjach. Lwy, tygrysy i niedźwiedzie, istoty tak potężne, że zdołały ukryć Starą Ziemię w Mniejszym Obłoku Magellana, by zapobiec jej unicestwieniu, na przestrzeni ostatnich paru stuleci wysłały pomiędzy ludzi Obserwatora - lub Obserwatorów - który, jeśli właściwie zinterpretowałem słowa

Enei, przybrał ludzkie kształty, przeniknął do naszego społeczeństwa i od wieków nam towarzyszył. W epoce rządów Paxu, erze powszechnej nieśmiertelności, nie przysporzyło mu to zapewne kłopotów, zwłaszcza że byli przecież i tacy jak Martin Silenus, który utrzymywał się przy życiu dzięki kombinacji osiągnięć medycyny Sieci, kuracji Poulsena i siły woli.

Bez wątpienia Silenus miał swoje lata, był zapewne najstarszą istotą ludzką w całej Galaktyce - ale z równą pewnością mogłem stwierdzić, że nie nadawał się na Obserwatora: był zbyt uparty, porywczy, żądny publikacji, wulgarny i najzwyczajniej w świecie wredny, żeby okazać się dystyngowanym delegatem wszechmocnych obcych istot. Taką przynajmniej miałem nadzieję.

Gdzieś jednak - być może w miejscu, którego nigdy nie odwiedziłem i którego nawet nie potrafiłem sobie wyobrazić - Obserwator w ludzkiej skórze istniał i śledził rozwój wydarzeń. Nie powinno mnie dziwić, że Enea mogła dać się skusić i, wiedzona zarówno słowami przepowiedni, jak i koniecznością nieskrępowanej ewolucji rodzaju ludzkiego, o której tyle mi opowiadała, przenieść się na ową odległą planetę, spotkać z Obserwatorem, spłodzić dziecko i pozwolić mu przyjść na świat. W ten sposób połączyłyby się trzy rodziny istot: ludzie, Centrum i Inni.

Idea ta wydała mi się cokolwiek niepokojąca, ale i ekscytująca jak chyba żadna inna od czasu śmierci Enei.

Dobrzeją znałem. Wiedziałem, że jej dziecko będzie zwyczajnym, ludzkim dzieckiem: pełnym życia, skorym do śmiechu i rozkochanym zarówno w naturze, jak i starych holodramach. Nigdy nie potrafiłem pojąć, jak mogła je opuścić, ale teraz rozumiałem już, że nie miała wyboru. Wiedziała, jaki okrutny los ją czeka, wiedziała co spotkają w lochach Zamku Świętego Anioła, wiedziała wreszcie, że zginie

w mękach, otoczona przez wrogów i potwory. Zdawała sobie z tego sprawę, zanim się urodziła.

Kolana ugięły się pode mną. Jak w takim razie mogła być taka radosna, śmiać się, z nadzieją witać każdy nowy dzień, celebrować każdą chwilę, kiedy wiedziała, że nieuchronnie przybliża się moment jej okrutnej śmierci? Pokręciłem głową z niedowierzaniem: jakiej siły musiało wymagać takie życie... Wiedziałem, że mi jej brakuje; Enea miała jej pod dostatkiem.

Ale i tak, znając swoje przeznaczenie, nie mogła zatrzymać dziecka. Wobec tego najprawdopodobniej ojciec zajął się jego wychowaniem; Inny pod postacią człowieka. Obserwator.

Coraz mniej mi się to podobało, ale zaraz uświadomiłem sobie bez cienia wątpliwości, że gdyby tylko było to możliwe, Enea z pewnością przewidziała by dla mnie jakąś rolę w życiu dziecka. Kiedy zaglądała we własną przyszłość, wszystko kończyło się śmiercią w ogniu. Może nie wiedziała, że nie zginę w tym samym czasie. Nie, zaraz... Przecież prosiła mnie, żebym rozsypał jej prochy na Starej Ziemi, czyli... zakładała, że przeżyję. Może uznała, że nie powinna mnie o to prosić: namawiać, bym odszukał jej dziecko i pomagał mu z całego serca, kiedy będzie dorastać, bym chronił je przed nieprzyjaznym wszechświatem.

Ze zdumieniem spostrzegłem, że płaczę - nie po prostu pociągam nosem, ale szlocham, wstrząsany nagłymi spazmami. Nie płakałem tak od czasu śmierci Enei, teraz zaś - co dziwne - rozpaczalem nie tyle z powodu jej nieobecności, co raczej myśląc o tym, że mógłbym przytulić jej dziecko, tak jak przytulałem ją samą, gdy miała dwanaście lat, że miałbym opiekować się potomkiem mojej ukochanej kobiety tak samo, jak nią się opiekowałem.

Nie dość dobrze, dopowiedziałem sobie oskarżenie.

Zgadza się, w końcu rzeczywiście nie zdołałem jej pomóc, ale przecież wiedziała o tym, że jesteśmy skazani na niepowodzenie i że

nie uda jej się obalić potęgi Paxu. Kochała mnie i kochała samo życie, cały czas zdając sobie sprawę z tego, że nie może nam się udać.

Nie widziałem natomiast żadnego powodu, dla którego miałbym zawieść jej dziecko. Może nawet Obserwator z wdzięcznością przyjmie moją pomoc i gotowość dzielenia się doświadczeniem z tym więcej niż ludzkim chłopcem czy dziewczynką. Nie ryzykowałem chyba wiele twierdząc, iż nikt nie znał Enei tak jak ja. To ważne dla dziecka, dla nowego mesjasza. Zabrałbym ze sobą zapisaną w rejestratorze opowieść i dzielił się nią z dzieckiem w miarę, jak dorastałoby, aż pewnego dnia oddałbym mu ją w całości.

Złapałem rejestrator i pisak w rękę i zacząłem przemierzać moją mikroskopijną celę tam i z powrotem. Pozostawał tylko jeden drobiazg: moja nieuchronna egzekucja. Nikt nie mógł przyjść mi na ratunek - wybuchowa skorupa więzienia gwarantowała to w stu procentach, gdyby zaś dało się jakoś obejść to ograniczenie, dawno ktoś by się zjawił. I tak miałem nieprawdopodobne szczęście, że tak długoostałem się przy życiu, skoro co kilka godzin detektor miał szansę wychwycić obecność zabójczej cząstki izotopu. Długo opierałem się prawom fizyki kwantowej, ale szczęście nie trwa wiecznie.

Stanąłem jak wryty.

Nauczając o możliwym związku naszej rasy z Pustką, Która Łączy, Enea wspominała o czterech krokach. Jeszcze zanim trafiłem do celi śmierci, doświadczyłem działania języka umarłych i języka żywych, choć trudno powiedzieć, bym opanował tę umiejętność po mistrzowsku. Jak widać ze spisanej w rejestratorze relacji, nauczyłem się sięgać w Pustkę, by odczytywać wspomnienia osób żyjących, mimo iż skorupa energetyczna nie pozwalała mi sprawdzić, co dzieje się z moimi przyjaciółmi - z ojcem de Soyą, Rachelą, Lhomo czy Martinem Silenusem.

Czy jednak rzeczywiście powodem moich kłopotów było jej oddziaływanie? Może podświadomie wzbraniałem się przed kontaktem ze światem żywych - przynajmniej gdyby kontakt ten miał wykraczać poza wspomnienia dotyczące Enei - ponieważ przynależałem już do krainy zmarłych?

Ale dość tego: chciałem się stąd wydostać.

Dwóch dalszych etapów - słuchania muzyki sfer i robienia pierwszego kroku - Enea nigdy bliżej mi nie wyjaśniła, z czasem jednak zrozumiałem ideę obu. Dopóki nie widziałem, jak Enea przenosi się z planety na planetę i dopóki nie dostąpiłem wyższego zrozumienia istoty rzeczy, jakie przyszło wraz z doświadczeniem jej straszliwej śmierci, nic nie pojmowałem. Teraz to się zmieniło.

Wyobrażałem sobie nasłuchiwanie muzyki sfer jako rodzaj sztuczki ze swego rodzaju psychicznym radioteleskopem - zupełnie jakbym mógł usłyszeć stukot, trzaski i świst gwiazd, które radioastronomowie znali od tysiąca z górą lat. Zrozumiałem jednak, że Enea miała na myśli zupełnie co innego: to nie gwiazd słuchała i szukała we wszechświecie, lecz ludzi - i innych istot - którzy ów wszechświat zamieszkiwali. Używała Pustki jak radiolatarni, która pozwalała jej namierzać upatrzony cel.

Centrum zdołało wydrzeć stałe otwory w materii Pustki - a zatem i w czasoprzestrzeni — które za pomocą transponderów utrzymywano w stanie ciągłego rozwarcia, niczym rany podczas operacji, w dawnych czasach, gdy zabiegów chirurgicznych dokonywano skalpelem. Podróżując przez Pustkę, tak jak czyniła to Enea, wykorzystywało się ją znacznie delikatniej i ostrożniej.

Kiedy przeskakiwaliśmy na „Yggdrasillu” z jednego układu gwiazdowego do drugiego, a po drodze przenosiliśmy się na powierzchnię niezliczonych planet, przebiegło mi przez głowę, że za którymś razem możemy się wpakować w skały, znaleźć pięćdziesiąt

metrów nad ziemią albo obudzić z całym drzewostatkim w samym sercu jakiejś gwiazdy; myślałem, że skakanie na ślepo wiąże się z takim samym ryzykiem jak nieplanowane skoki hawkingowskie. Tymczasem zawsze lądowaliśmy dokładnie tam, gdzie Enea zaplanowała.

Nareszcie zrozumiałem, jak to robiła.

Nauczyła się słyszeć muzykę sfer; potrafiła wejść w rezonans z Pustką, Która Łączy, w której rozbrzmiewają myśli i uczucia wszelkich rozumnych istot, a następnie, korzystając z jej niemal nieograniczonych zasobów energetycznych... robiła pierwszy krok, przenosiła się poprzez Pustkę do miejsca, z którego dobiegał głos. Powiedziała kiedyś, że Pustka czerpie energię wprost z kwazarów, wybuchających jąder galaktyk, czarnych dziur i skupisk antymaterii - co pewnie w zupełności wystarczało, żeby przerzucić garstkę organicznych istot w poprzek czasoprzestrzeni i dać im wylądować we właściwym miejscu.

Enea mówiła również, że miłość jest głównym motorem napędowym wszechświata; żartowała nawet, że jest nowym Newtonem, który pewnego dnia odkryje prawa fizyczne rządzące tym zupełnie niewykorzystanym źródłem energii.

Nie dożyła tej chwili, ale ja rozumiałem już, co miała na myśli. Większość muzyki sfer powstawała z połączenia harmonicznym brzmień i akordów miłości. Łatwo więc było przenieść się gdzieś, gdzie czeka ktoś, kogo kochamy; wspólna z nim podróż pozwalała w pełni poznać miejsca, przez które wiodła. I należało nauczyć się kochać oglądanie nowych miejsc.

Nareszcie olśniło mnie, dlaczego przez pierwsze miesiące wspólnej tułaczki włóczyliśmy się na pozór bez celu po najróżniejszych planetach: Marę Infinitus, Qom-Rijad, Hebron, Sol Draconi Septem, nienazwany świat, w którym zostawiliśmy uszkodzony statek, następne planety, potem Stara Ziemia... Nie było żadnych działających

transmitterów - to Enea zabrała nas z A. Bettikiem w podróż po tych miejscach: dotykaliśmy ich, poznawaliśmy woń ich powietrza, czuliśmy na skórze dotyk słońca, doświadczaliśmy ich w pełni w gronie przyjaciół - jej też towarzyszył ktoś, kogo kochała - uczyliśmy się więc muzyki sfer, by potem móc ją odtworzyć.

A później moja podróż w pojedynkę: skok w kajaku ze Starej Ziemi, wizyta na Lusucie, na planecie chmur, i na wszystkich następnych.. . To Enea przenosiła mnie tu i tam, wysyłała w różne miejsca, żebym nauczył się ich i kiedyś potrafił odszukać je na własną rękę.

Wydawało mi się zawsze - nawet kiedy już w celi spisywałem wspomnienia na rejestratorze, który trzymałem teraz pod pachą - że byłem dla Enei po prostu towarzyszem podróży podczas paru niezapomnianych przygód. Tymczasem wszystko miało swój cel: wędrowałem z moją ukochaną - a może do mojej ukochanej - poprzez muzyczną symfonię światów. Musiałem dobrze się jej nauczyć, żeby umieć później zagrać ją z pamięci.

Zamknąłem oczy i skupiłem się, a potem wykroczyłem poza granice zwykłej koncentracji i pozwoliłem mojemu umysłowi osiągnąć stan pustki, jaki poznałem, zgłębiając tajniki medytacji na Tien Szanie. Każdy świat ma swój cel; każda minuta ma swoje znaczenie.

W tej oto niespiesznej nicości otworzyłem się na Pustkę, Która Łączy i na wszechświat, który znajduje w niej swoje odbicie. Zdawałem sobie sprawę, że nie byłbym do tego zdolny, gdyby nie komunია, w której spożyłem krew Enei i wchłonąłem garść specjalnie przystosowanych organizmów nanotechnicznych, które mieszkały teraz w komórkach mojego ciała i które przekażę swoim dzieciom. Nie, poprawiłem się w myślach. Nie przekażę. Ale stworzonka te mogą zalęgnąć się w każdym, kto wyrzekł się krzyżokształtu - i dzieci takich ludzi je odziedziczą. Nie potrafiłbym też tego dokonać, gdybym nie słuchał nauk Enei. Nie usłyszałbym głosów, które nauczyłem się słyszeć -

nieprzeliczonych chórów, jakich nawet sobie nie wyobrażałem - gdybym uprzednio na własną rękę nie doszedł do ładu z gramatyką i składnią języka umarłych i języka żywych, miesiącami pracując nad moją opowieścią i czekając na śmierć.

Zrozumiałem też, iż nie miałbym co marzyć o tym, gdybym był nieśmiertelny. Raz na zawsze pojąłem, że nieśmiertelni nie potrafią tak kochać - ani życia, ani drugiej osoby; zdolność ta dana jest tylko tym, co żyją krótko, w wiecznym cieniu straty i śmierci.

Stojąc tak i wsłuchując się w rozbrzmiewającą coraz głośniejszą muzykę sfer, zacząłem wychwytywać głosy pojedynczych gwiazd: dogorywającego na Hyperionie Martina Silenusa, Theo z Maui-Przymierza, Racheli z planety Barnarda, pułkownika Kassada na Marsie, ojca de Sol na Pacem; rozpoznałem również cudowne dźwięki pieśni umarłych - Dem Rii z Vitus-

Gray-Balianusa B, kochanego ojca Glaucusa na lodowatej Sol Draconi Septem, mojej matki... Usłyszałem też słowa Johna Keatsa, wypowiedziane jego głosem, ale zarazem głosem Silenusa i Enei:

Takie jest jednak życie człowieka: wojna, wielkie czyny,

Rozczarowania, strach,

Sprzeczności umysłu, te dalekie i te bliskie,

A wszystko to ludzkie; dobrze przy tym,

Iż dzięki nim poznajemy powietrze, delikatne potrawy,

Czujemy własne istnienie i wiemy

Jak cicha jest śmierć. Gdziekolwiek gleba żyzna jest, ludzie hodują

Chwasty bądź kwiaty; dla mnie wszak

Nie ma głębi, w której mógłbym zatonać...

W moim przypadku sprawy miały się akurat dokładnie odwrotnie: było aż za wiele głębi. Wszechświat rozszerzył się niepomiernie, muzyka sfer zmieniła się ze śpiewu chóru w symfonię równie triumfalną, jak dzieł Beethovena - i wiedziałem już, że będę mógł

ją słyszeć zawsze, gdy tylko zapragnę. Pozwoli mi wykonać krok na spotkanie tej, którą kocham, lub, gdyby okazało się to niemożliwe, udać się do miejsca, które widziałem u jej boku, lub wreszcie, gdyby i to się nie powiodło, znaleźć miejsce, które pokocham dla jego własnego piękna i bogactwa.

Wypełniła mnie moc pulsarów i serc galaktyk, poniosły mnie fale energii, wspanialsze i bardziej liryczne niż skrzydła Intruzów, na których ślizgałem się po promieniach słońca. Skorupa zabójczej energii, wyznaczona na moje więzienie, stała się po prostu żalosna, niczym ułożony wokół mnie na ziemi sznurek, którego nie wolno mi niby przekroczyć.

Wyszedłem z celi i opuściłem układ Armaghastu.

Przez chwilę, gdy czułem, jak ściany jajowatego pudełka na wieki zostają gdzieś w tyle i gdy nie istniałem nigdzie i zarazem byłem wszędzie, choć fizycznie moje ciało - wraz z rejestratorem - pozostało nietknięte, dałem się ponieść fali czystego uniesienia: byłem wolny. Wolny! Z radości chciało mi się płakać, chciałem krzyczeć, by słyszano mnie w całej otaczającej mnie nieprzestrzeni, włączyć się do chóru żywych i umarłych, śpiewać do wtóru przeczystych dźwięków symfonii sfer, płynąć na grzbiecie wzbierającej, niemal namacalnej fali akustycznej. Nareszcie wolny!

Nagle przypomniałem sobie, że jedyna godna uwagi przyczyna uwolnienia się nie istnieje, że jedynej osoby, dla której warto było to uczynić - Enei - nie ma wśród żywych. Radość z ucieczki zniknęła bez śladu, ustępując miejsca prostej, choć głębokiej, satysfakcji, iż zdołałem wyrwać się z więzienia. Wszechświat stracił dla mnie barwy, ale przynajmniej całe to monochromatyczne królestwo leżało u moich stóp; mogłem udać się dokądkolwiek chciałem.

Właśnie: dokąd? Unosząc się na fali światła, wychodząc w kosmos z rejestratorem pod pachą, nie podjąłem jeszcze tej decyzji.

Na Hyperiona? Obiecałem odwiedzić Martina Silenusa. Słyszałem jego głos rozbrzmiewający w Pustce dawniej i dziś, ale wiedziałem, że niedługo już będzie śpiewał w kosmicznym chórze. Zostało mu pewnie kilkanaście dni życia. Ale nie, nie udam się na Hyperiona. Jeszcze nie teraz.

Gwiazdodrzewo? Nie posiadałem się ze zdumienia, gdy usłyszałem, że wciąż istnieje; głos Lhomo zniknął jednak z tworzącej je harmonii dźwięków. Biosfera miała dla mnie i Enei ogromne znaczenie, lecz przyjdzie jeszcze na nią czas.

Może Stara Ziemia? Dziwne, ale doskonale słyszałem jej muzykę, w głosie własnym i Enei, i w pieśniach naszych przyjaciół z Taliesina. Odległość nie gra w Pustce żadnej roli, czas zaś dodaje w niej smaku, ale nie niszczy. Na razie Stara Ziemia również musiała poczekać.

Słyszałem całe mnóstwo możliwości, więcej głosów, niż chciałbym usłyszeć; rozpoznawałem ludzi, których mógłbym przytulić i z którymi chętnie bym zapłakał, ale najsilniej zareagowałem na muzykę planety, na której zgładzono Eneę: Pacem. Ojczyzna Kościoła i gniazdo naszych wrogów - co, jak się przekonałem, znaczyło dwie różne rzeczy. Pacem. Wiedziałem, że nie znajdę tam nic poza popiołami przeszłości.

Enea prosiła jednak, żebym zabrał jej prochy i rozsypał je na Starej Ziemi, w miejscu, gdzie było nam najlepiej.

Pacem. Wyszedłszy z celi, wciąż istniejąc w wirze energii wyłącznie jako kwantowa fala prawdopodobieństwa, podjąłem decyzję i udałem się na Pacem.

Watykan leży w gruzach, jak gdyby pięść Boga uderzyła z nieba, dając wyraz złości, której człowiek nie umie ogarnąć rozumem. Otaczające go, ciągnące się bez końca miasto biurokratów jest zdruzgotane. Port lotniczy przestał istnieć. Nawierzchnia rozległych bulwarów jest podziurawiona i miejscami stopiona, a wzdłuż nich stoją wypalone ruiny. Egipski obelisk, sterczący niegdyś dumnie na środku Placu Świętego Piotra, został ścięty przy podstawie. Otaczające owalną przestrzeń filary, wyłamane z kolumnad, leżą porozrzucane jak skamieniałe kłody drewna. Odłamki strzaskanej kopuły świątyni zasłaly schody. Tam, gdzie mury Stolicy Apostolskiej zachowały się, zieją w nich wielkie dziury. Budowle mieszczące się w średniowiecznych granicach miasta - Pałac Apostolski, Tajne Archiwum, koszary Gwardii Szwajcarskiej, Hospicjum Świętej Matki Teresy, apartamenty papieskie, Kaplica Sykstyńska - są zburzone i wypalone.

Znajdujący się na tym samym brzegu rzeki Zamek Świętego Anioła nie oparł się ogniowi lanc laserowych - wielka, okrągła baszta, wznosząca się na dwadzieścia metrów z olbrzymiej, kwadratowej podstawy, zmieniła się w obły kopiec zastygłej lawy.

Oglądam to wszystko, idąc po bulwarze na wschodnim brzegu rzeki. Pod stopami mam spękaną nawierzchnię z kamiennych płyt, a przed sobą - resztki mostu Świętego Anioła, który pękł na trzy części i zwałił się do wody. Właściwie nie tyle do wody, co w koryto rzeki, wszystko bowiem wskazuje na to, że Nowy Tybr wyparował, pozostawiając po sobie zeszlone dno i nabrzeża. Prowizoryczny, sznurowy most wiszący spina oba brzegi, a w dole leżą sterty gruzu.

Znalazłem się na Pacem, co do tego nie mam najmniejszych wątpliwości. Rzadkie, chłodne powietrze smakuje tak samo jak wtedy,

gdy z ojcem de Soyą i Eneą przybyłem tu na dzień przed śmiercią mojej małej dziewczynki. Wtedy z niskich chmur siąpił drobny deszczyk, dziś zaś niebo jest czyste, a zachód słońca tak uroczy, że nawet rozbita kopuła bazyliki wygląda przepięknie.

Jestem oszołomiony, wędrując swobodnie ulicami miasta po nie wiedzieć jak drugim okresie uwięzienia. Przyciskam rejestrator do piersi jak tarczę, jak talizman, jak Biblię i na drżących nogach przemierzam wspaniałą niegdyś aleję. Od miesięcy dzielę wspomnienia wielu ludzi, z wielu miejsc, ale moje oczy, płuca, nogi i skóra zapomniały już, co to znaczy być wolnym. Dlatego mimo wszechogarniającego smutku czuję też uniesienie.

Przeskok na Pacem niczym się z pozoru nie różnił od podróżowania z Eneą z planety na planetę, na głębszym jednak poziomie był zupełnie nowym doświadczeniem. Oślepiający błysk nie zmienił się, podobnie jak łatwość przejścia i delikatny szok, wywołany różnicą ciśnień, ciężenia i oświetlenia, ale tym razem miałem wrażenie, że raczej słyszę światło, niż je widzę. Dałem się ponieść muzyce gwiazd i krążących wokół nich miliardów planet, a potem podjąłem decyzję i zszedłem na Pacem. Nie wymagało to ode mnie wysiłku, wielkiego wydatku energii - wystarczyło skoncentrować się i dokonać uważnego wyboru. Muzyka nie ucichła - podejrzewam, że nigdy już nie ucichnie zupełnie - i wciąż słyszę ją w tle, jakby za sąsiednim wzgórzem orkiestra przygotowywała się do wieczornego koncertu w plenerze.

Widzę ślady świadczące o tym, że we wraku miasta ktoś jednak przeżył. W oddali, gdzie wszystko spowija złotawa mgiełka, dostrzegam dwa wozy, zaprzężone w woły, obok których drepczą ludzkie sylwetki. Nieopodal, po mojej stronie rzeki, widzę ceglane domy, pobudowane wśród gruzów, później wyłapuję z ruin mały kościółek, potem jeszcze jeden. Gdzieś z daleka, zza moich pleców, dolatuje mnie zapach

pieczonego na ognisku mięsa i dźwięk dziecięcego śmiechu, który niepodobna z czymkolwiek pomylić.

Odwracam się właśnie ku tej woni i dźwiękom, gdy zza sterty gruzu - zapewne byłej stróżówki u bram Zamku Świętego Anioła - wynurza się mężczyzna. Jest niski, zwinny, gęsta broda skrywa mu pół twarzy, a włosy nosi zaczesane w kucyk. Obrzuca mnie czujnym spojrzeniem. Przez ramię ma przewieszony karabin na zwykłe, ołowiane naboje - taki, jakich Gwardia Szwajcarska używała na defiladach.

Przez chwilę patrzymy sobie w oczy - bezbronny, słaby człowiek z rejestratorem w garści i ogorzały od słońca myśliwy - i nagle rozpoznajemy się. Nigdy sienie spotkaliśmy, ale wielokrotnie oglądałem go we wspomnieniach innych w Pustce, Która Łączy. Kiedy widziałem go po raz pierwszy, nosił mundur, pancerz i był gładko ogolony; ostatnim razem był nagi i poddawano go torturom. Nie wiem, jak to się dzieje, że i on mnie poznaje, ale dostrzegam to w jego oczach na chwilę przed tym, jak odkłada broń i oburącz chwyta mnie za rękę.

— Raul Endymion! - krzyczy. - Oto nadszedł ten dzień! Bogu dzięki. Witaj. - Bierze mnie w ramiona, po czym odstepuje o krok i przygląda mi się z uśmiechem.

— Kapral Kee - stwierdzam głupawo. Najlepiej pamiętam jego oczy, oglądane z punktu widzenia ojca de Soi, kiedy wraz z sierżantem Gregoriusem i lansjerem Rettigiem ścigali nas przez pół Galaktyki.

— Były kapral Kee - poprawia mnie z uśmiechem. - Teraz po prostu Bassin Kee, obywatel Nowego Rzymu, parafianin diecezji świętej Anny. I myśliwy szukający dzisiejszej kolacji. - Kręci z niedowierzaniem głową. - Raul Endymion. Mój Boże; niektórzy myśleli, że nigdy nie zdołasz wyrwać się z tej pułapki dla kota.

— Wiecie o moim więzieniu?!

— Oczywiście. To była część Wspólnej Chwili. Eneą wiedziała, gdzie cię zabierają, więc wszyscy się dowiedzieliśmy. Poza tym

wyczuwaliśmy twoją obecność w Pustce.

Nagle zakręciło mi się w głowie i poczułem mdłości. Oszołomiło mnie światło, świeże powietrze, odległy horyzont..., który w dodatku zaczął się chybotać, jakbym znalazł się na pokładzie miotanej falami łódeczki. Zamknąłem oczy, a kiedy ponownie je otworzyłem, Kee złapał mnie za ramię i pomógł usiąść na ogromnym bloku białego kamienia, który wyglądał, jakby podmuch wybuchu cisnął go tu ze stojącej na drugim brzegu Bazyliki.

— Na Boga, Raul, przeniosłeś się tu prosto z Armaghastu? - pyta. - Nie byłeś jeszcze nigdzie indziej?

— Tak - odpowiadam. - Nie. - Robię dwa głębokie wdechy i wydechy. - Co to jest Wspólna Chwila?

Niepozorny mężczyzna patrzy na mnie bacznie.

— Wspólną Chwilę dzieliliśmy z Eneą - mówi. - Tak to nazywamy, chociaż trwała dłużej niż chwilę; obejmowała całą jej mękę i śmierć.

— Ty też to czułeś? - dziwię się i mam wrażenie, jakby na sercu zaciskała mi się niewidzialna pięść; nie wiem tylko, czy z radości, czy przeciwnie, z ogromnego smutku.

— Wszyscy czuliśmy - mówi Kee. - Wszyscy w tym uczestniczyliśmy. To znaczy - oprócz jej oprawców.

— Całe Pacem?

— Pacem też. Cały Lusus, Renesans, cały Mars, Qom-Rijad, Renesans Mniejszy, Pierwsza Tau Ceti, Fuji, Iksjon, Deneb Drei, Gorycz Sibiatu, planeta Barnarda, Boża Knieja, Marę Infmitus, Tsingtao Hsishuang Panna, Patawpha, Groombridge Dyson D... - Kee milknie i uśmiecha się, słysząc tę litanię. - Wspólną Chwilę odczuli mieszkańcy prawie wszystkich planet, a także innych rejonów kosmosu.. . Wiemy na przykład, że Gwiazdodrzewo też w niej uczestniczyło... Co tam, wszystkie Biosfery!

— To są jeszcze inne gwiazdodrzewa? - Nie kryję zdumienia. Kee kiwa głową. - W jaki sposób wszystkie światy... mogły tego doświadczyć? - pytam, lecz widzę odpowiedź, zanim jeszcze skończę mówić.

— Zgadza się - mruczy były kapral Kee. - Wszystkie planety, które Enea odwiedziła - część z nich razem z tobą; wszystkie miejsca, do których dotarli jej uczniowie, którzy przystąpili do komunii i odrzucili krzyżokształt. Wspólna Chwila... Godzina śmierci Enei była jak pojedynczy sygnał radiowy, który sięgnął najdalszych zakątków kosmosu.

Pocieram dłonią twarz, która jest jak odrętwiiała.

— Czyli jedynie ci, którzy przyjęli komunię albo uczyli się pod okiem Enei... uczestniczyli we Wspólnej Chwili, tak?

Kee kręci głową.

— Nie, posłużyli tylko za przekaźniki; odebrali Wspólną Chwilę z Pustki i przesłali ją do wszystkich ludzi.

— Do wszystkich? - powtarzam, nic nie rozumiejąc. - Do setek miliardów paksowskich chrześcijan również?

— Byłych chrześcijan - poprawia mnie Kee. - Od tamtej pory wielu wiernych postanowiło raz na zawsze pozbyć się zamieszkującego ich ciała pasożyta.

Zaczynam rozumieć. Na ostatnie chwile życia Enei składało się coś więcej niż słowa, cierpienie, ból i strach; czułem jej myśli, dzieliłem z nią zrozumienie motywów kierujących Centrum, zdałem sobie sprawę z prawdziwej natury krzyżokształtu, z cynicznego wykorzystywania ludzkiej śmierci, poznałem spalającą Lourdusamy'ego żądzę władzy, zdałem sobie sprawę z zamieszania panującego w umyśle Mustafy, dostrzegłem absolutny brak człowieczeństwa u Albedo... Jeżeli wszyscy uczestniczyli w tym doświadczeniu, które sprawiło, że godzinami wyłem z bólu i miotałem

się bezradnie w uprzęży na pokładzie oddalającego się od Pacem zautomatyzowanego liniowca, musiał to być moment straszliwego oświecenia dla całej rasy ludzkiej. Każda żywa istota usłyszała zatem pożegnalne „Kocham cię, Raul”, kiedy płomienie otuliły ciało Enei.

Słońce zachodzi. Żłociste promienie przedzierają się przez wyrwy w stojących na zachodnim brzegu ruinach; na naszą stronę rzeki kładą się wymyślne cienie. Stopiona masa Zamku Świętego Anioła chyli się nam na spotkanie jak kopiec z przetopionego szkła. Prosiła, żebym rozsypał jej prochy na Starej Ziemi, a ja nawet tego nie mogę dla niej uczynić. Nawet po śmierci nie może na mnie liczyć.

Podnoszę wzrok na byłego kaprała.

— A na Pacem? - pytam. - Przecież nie miała tu żadnych uczniów, kiedy... Ach tak. - Kazała ojcu de Sol opuścić Bazylikę tuż przed tym, jak popędziliśmy przez nawę ku własnej zgubie. Prosiła go, żeby ukrył się w mieście, które tak dobrze zna i za wszelką cenę unikał spotkania z funkcjonariuszami Paxu. Próbował oponować, ale zamknęła mu usta, mówiąc: „Proszę właśnie o to, ojcze. Z całym szacunkiem i miłością, jakimi ojca darzę” - i de Soya wmieszał się w tłumek zakonników i wyszedł na zalewany deszczem Plac Świętego Piotra. Potem zaś stał się przekąźnikiem Wspólnej Chwili i przesłał obraz ostatnich chwil mojej najdroższej miliardom mieszkańców Pacem. - Kiedy ostatnio widziałem cię w Pustce... Trzymano cię w śpiączce, w tym gestem wskazuję bezkształtny dziś Zamek Świętego Anioła.

— Zgadza się, Raul. - Kee kiwa głową. - Leżałem w lodówce jak kawał mięsa, w podziemiach niedaleko od miejsca, w którym zamordowano Eneę, ale i tak poczułem Wspólną Chwilę. Każdy żywy człowiek to poczuł, obojętne, czy spał, spił się, umierał czy zwariował.

Przez chwilę nie potrafię wykrztusić ani słowa i tylko patrzę na niego; wreszcie mówię:

— Jak cię wydostali? Jak stamtąd wyszedłeś? - Obaj patrzymy teraz na ruiny siedziby Świętego Oficjum.

Kee wzdycha.

— Wkrótce po Wspólnej Chwili wybuchła rewolucja. Mnóstwo ludzi - w tym większość mieszkańców Pacem - nie chciało mieć już nic wspólnego z krzyżokształtami i zdradzieckim Kościołem, który je rozdawał. Nie brakowało oczywiście cyników, którym odpowiadał pakt z diabłem i fizyczna nieśmiertelność, ale miliony... setki milionów wiernych wybrały komunie i wolność od pochodzącego z Centrum krzyża. I to już w pierwszym tygodniu. Lojaliści Paxu próbowali ich powstrzymać. Wybuchły walki... powstanie... a potem wojna domowa.

— Następną wojną domową - mówię. - Jak po zniszczeniu transmitterów trzysta lat temu.

— Nie, tak źle nie było - oponuje Kee. - Nie zapominaj, że gdy ktoś pozna już język umarłych i żywych, cierpi, kiedy zadaje ból innym. Poddani Paxu nie podlegali temu ograniczeniu, ale też wszędzie byli w mniejszości.

Obszernym gestem ręki obejmuję leżące w gruzach miasto.

— Mówisz o ograniczeniu? Twierdzisz, że nie było tak źle?

— Zniszczeń nie dokonano podczas powstania przeciwko Watykanowi, Paxowi i Świętemu Oficjum - wyjaśnia Kee. - Obeszło się prawie bez rozlewu krwi, bo lojaliści uciekli na pokładzie archaniołów. Przenieśli Nowy Watykan na planetkę zwaną Madhya... To straszne zadupie. Strzeże ich tam połowa starej floty i kilka milionów wiernych.

— Co się w takim razie stało? - pytam, oglądając ślady zniszczeń.

— Centrum to zrobiło. Te potwory, Nemes, zniszczyły miasto i przechwyciły cztery archanioły. Poczekają, aż lojaliści się wyniosą, po czym ostrzelały nas z orbity. Centrum było strasznie wpienione - i pewnie dalej jest. Nic nas to nie obchodzi.

Ostrożnie kładę rejestrator na marmurowym bloku i rozglądam się dookoła. Coraz więcej mężczyzn i kobiet wychodzi spośród ruin. Trzymają się z szacunkiem na dystans, ale obserwują nas z niekłamanym zainteresowaniem. Noszą robocze i myśliwskie ubrania, lecz nie skóry zwierzęce czy szmaty; widać, że żyje im się ciężko, a zarazem daleko im do niecywilizowanych dzikusów. Mały chłopczyk, uroczy blondas, macha do mnie nieśmiało. Odpowiadam mu tym samym gestem.

— Nie odpowiedziałem na twoje pytania - mówi Kee. - Strażnicy wypuścili mnie, tak jak wszystkich pozostałych jeńców, w pierwszym tygodniu po Wspólnej Chwili... Panowało okropne zamieszanie. Wielu więźniów w naszym ramieniu Galaktyki odzyskało wtedy wolność. Po komunii... cóż, trudno kogoś więzić czy torturować, jeżeli wskutek kontaktu z Pustką samemu odczuwa się połowę jego cierpień. Intruzi mają masę roboty z przywracaniem do życia miliardów żydów, muzułmanów i innych niewinnych ofiar Centrum. Poza tym muszą ich przewieźć ze światów, na których są labirynty, na ich macierzyste planety.

Rozważam jego słowa w milczeniu przez dobrą minutę.

— Czy ojciec de Soya przeżył? - pytam wreszcie.

Kee uśmiecha się jeszcze szerzej.

— Chyba można tak powiedzieć. Jest naszym proboszczem w parafii Świętej Anny. Chodźmy do niego. To pięć minut stąd. Wie już, że tu jesteś.

De Soya tak mocno przyciska mnie do piersi, że potem jeszcze przez dobrą godzinę bolą mnie wszystkie żebra. Jest odziany w czarną sutannę z koloratką. Kościół Świętej Anny nie jest tą samą, ogromną świątynią, którą widzieliśmy w Watykanie, lecz ceglanoglinianą kapliczką, zbudowaną na uprzątniętym z gruzów placu na wschodnim brzegu Nowego Tybru. Parafia liczy chyba około stu rodzin,

które utrzymują się z polowania i uprawy roli w dawnym parku, przylegającym do dawnego portu kosmicznego. Kiedy zasiadamy do posiłku na dworze, w oświetlonym miejscu tuż obok foyer kościoła, mam okazję poznać przedstawicieli większości z owych stu rodów. Wszyscy zachowują się tak, jakby znali mnie osobiście i szczerze cieszą się z mojego powrotu do świata żywych.

Noc zapada już na dobre, gdy wraz z de Soya i Kee udajemy się do prywatnych kwater księdza - czyli spartańskiego pokoiku na tyłach kościółka. Ojciec de Soya wyciąga skądś butelkę wina i nalewa nam po kieliszku.

— Oto jedna z nielicznych dobrych stron upadku znanej nam cywilizacji - mówi. - Gdziekolwiek nie zacznie człowiek kopać, zaraz natknie się na prywatną piwniczkę, pełną najlepszych win. To nie kradzież - to archeologia.

Kee podnosi kielich, jakby chciał wygłosić toast, ale waha się chwilę.

— Za Eneę? - proponuje.

— Za Eneę - wtórujemy mu z de Soya i wychylamy kieliszki. Ksiądz ponownie je napełnia.

— Jak długo mnie nie było? - pytam. Policzki jak zwykle rumienią mi się od wina; Enea zawsze się ze mnie naśmiewała.

— Od Wspólnej Chwili upłynęło trzynaście miesięcy standardowych - odpowiada de Soya.

Kręcę z niedowierzaniem głową. Musiałem cały ten czas spędzić pisząc i czekając na śmierć; poszczególne twórcze zrywy trwały pewnie po trzydzieści i więcej godzin, a oddzielały je nieliczne godziny snu. Naukowcy nazywają to „swobodnym przebiegiem” - kompletnie rozregulowałem sobie zegar biologiczny.

— Macie kontakt z innymi planetami? - pytam dalej. Spoglądam na Kee i sam udzielam sobie odpowiedzi: - Z pewnością. Bassin opowiadał mi, jak zareagowano na Wspólną Chwilę w całym wszechświecie;

mówił też o powrocie uprowadzonych miliardów niechrześcijan na macierzyste planety.

— Zjawilo się na Pacem parę statków - mówi de Soya - ale odkąd nie ma już archaniołów, loty trwają dłużej. Templariusze i Intruzi przewożą więźniów Centrum drzewostatkami, poza tym jednak niechętnie korzystamy z napędu Hawkinga, odkąd dowiedzieliśmy się, jakie spustoszenie czyni w Pustce, Która Łączy. A mimo że wszyscy przykładają się do nauki, tylko nieliczni nauczyli się słyszeć muzykę sfer i robić pierwszy krok.

— To nie takie trudne - stwierdzam i chichoczę sam do siebie. Pociągam łyk wina. — To cholernie trudne - dodaję. - Przepraszam, ojcze.

De Soya rozgrzesza mnie skinieniem głowy.

— To naprawdę cholernie trudne - mówi. - Setki razy zdawało mi się, że jestem tuż, tuż, ale zawsze w ostatniej chwili coś mnie rozprasza.

— Widzę, że pozostał ojciec katolikiem - rzucam, patrząc mu w oczy. De Soya wychyla kielich do dna.

— Nie „pozostałem”, Raul. Na nowo odkrywam, co to znaczy być katolikiem, chrześcijaninem, człowiekiem wierzącym.

— Nawet po Wspólnej Chwili?

Kapral Kee obserwuje nas bacznie z drugiego końca stołu. W świetle oliwnych lampek na ścianach tańczą cienie.

De Soya kiwa głową.

— Zrozumiałem już głębię zepsucia Kościoła, który zawarł pakt z Centrum - mówi cicho. - To, czego doświadczyłem dzięki Enei, pomogło mi wyraźniej określić, co to znaczy być człowiekiem... dzieckiem Chrystusa.

Wciąż zastanawiam się nad jego słowami, gdy ksiądz dodaje:

— Chodzą słuchy, że chcą ze mnie zrobić biskupa, ale nie podoba mi się ten pomysł. Dlatego właśnie zostałem tutaj, mimo że wszystkie

w miarę zdatne do życia ośrodki cywilizacji znalazły się na prowincji. Wystarczy jeden rzut oka na ruiny naszej wspaniałej tradycji, żebym uświadomił sobie niebezpieczeństwo zbytniego uzależnienia się od hierarchii.

— Nie ma więc papieża? - pytam. - Nie ma Ojca Świętego?

De Soya wzrusza ramionami i uzupełnia poziom płynu w pucharach. Po trzynastu miesiącach żywności z odzysku i braku alkoholu wino błyskawicznie uderza mi do głowy.

— Monsignore Lucas Oddi przeżył rewolucję i umknął przed atakiem Centrum, po czym ustanowił papiestwo na wygnaniu, na Madhyi - mówi ostro de Soya. - Nie sądzę jednak, by ktoś poza jego obrońcami i wiernymi, którzy uciekli razem z nim, czcił go jako prawdziwego Ojca Świętego. - Ksiądz pociąga łyk wina. - Nie pierwszy raz Kościół ma antypapieża.

— A co z Urbanem XVI? - pytam. - Zmarł na atak serca?

— Tak - odpowiada mi Kee i opiera łokcie na stole.

— Został wskrzeszony?

— Niezupełnie.

Spoglądam na byłego kaprała w oczekiwaniu wyjaśnień, ale nie zanoszę na to, bym miał jakieś uzyskać.

— Dałem już znać na drugi brzeg - mówi de Soya. - Słowa Bassina lada chwila staną się bardziej zrozumiałe.

Rzeczywiście, w chwilę później wisząca u wejścia zasłona zostaje odsunięta na bok i do pokoju wchodzi wysoki mężczyzna w sutannie. Nie jest to Lenar Hoyt, lecz inny człowiek, którego nigdy nie spotkałem, chociaż mam wrażenie, że znam go doskonale: smukłe dłonie, pociągła twarz, wielkie, smutne oczy, szerokie czoło i rzednące, posiwiałe włosy. Wstaję, żeby podać mu rękę, ukłonić się, pocałować pierścień na jego palcu, cokolwiek...

— Raul, mój chłopcze - mówi ojciec Paul Dure. - Jakże się cieszę, że cię widzę. Wszyscy nie posiadamy się z radości, że wróciłeś.

Ściska moją dłoń, przytula mnie mocno do piersi, a potem podchodzi do kredensu, jakby był u siebie w domu, znajduje kieliszek, napełnia zlew wodą, myje naczynie i nalewa sobie wina. Siada naprzeciwko Kee.

— Opowiadamy Raulowi, co wydarzyło się przez ostatni rok i miesiąc, kiedy nie było go z nami - wyjaśnia ojciec de Soya.

— Mam wrażenie, że minęło ze sto lat - mówię. Patrzę przed siebie, daleko poza stół i pokój.

— Dla mnie to rzeczywiście było sto lat - mówi starszy jezuita. Ma dziwny, choć zarazem przeuroczy akcent, jak gdyby z jakiejś francuskojęzycznej planety na Pograniczu. - A właściwie prawie trzysta.

— Widziałem, co działo się z ojcem po wskrzeszeniu - mówię, a wino dodaje mi odwagi. - Lourdusamy i Albedo zamordowali ojca, żeby Hoyt mógł się znów odrodzić z waszych wspólnych krzyżokształtów.

Ojciec Dure nie skosztował jeszcze wina; patrzy w kielich, jakby czekał, aż dokona się przemiana.

— A potem jeszcze raz, i jeszcze... - mówi głosem, w którym pobrzmiwa coś na kształt tęsknoty. - Dziwne jest takie życie: urodzić się po to, by cię zamordowano.

— Enea by się z ojcem zgodziła. - Wiem, że obaj księża są dobrymi ludźmi i moimi przyjaciółmi i że żaden z nich nie darzy samego Kościoła szczególną estymą.

— To prawda - przytakuje Dure i wznosi kielich w milczącym toaście. Pije do dna.

— Większość wiernych z Pacem widziałyby ojca Dure w roli papieża - głos Bassina Kee mąci ciszę, jaka na chwilę zapadła w pokoju.

Patrzę na starszego jezuitę; dość już przeszedłem, żeby nie czuć się skrępowanym w obecności żywej legendy, jednego z głównych bohaterów „Pieśni”. Zawsze jest tak, że gdy stajemy twarzą w twarz ze słynną postacią, jest w niej coś bardzo ludzkiego, co sprowadza ją z krainy istot mitycznych na ziemię - u ojca Dure rzucają mi się w oczy kępki szarych włosów w uszach.

— Teilhard Drugi? - pytam. Pamiętam, że Dure był już ponoć raz papieżem, i to całkiem niezłym. Zasiadał na Piętrowym Tronie dwieście siedemdziesiąt dziewięć lat temu jako Teilhard I - bardzo krótko jednak, gdyż rychło zamordowano go po raz pierwszy.

Pozwala de Sol dolać sobie wina i kręci przecząco głową. Dostrzegam, że smutek, który odbija się w jego oczach, jest taki sam, jak u de Sol - szczerzy i głęboki.

— Nie chcę już być papieżem - mówi Dure. - Zamierzam poświęcić resztę życia na zrozumienie nauk Enei; chcę słuchać głosów umarłych i żywych, a przy okazji odświeżyć sobie lekcje naszego Pana na temat pokory. Przez lata odgrywałem archeologa i intelektualistę; czas przypomnieć sobie, co to znaczy być proboszczem.

— Amen - dopowiada de Soya i wyjmuję z kredensu następną butelkę. Sądząc z jego głosu, jest chyba lekko wstawiony.

— Nie macie już krzyżokształtów, prawda? - z tym pytaniem zwracam się do wszystkich trzech moich rozmówców, chociaż patrzę cały czas na Dure.

Wyglądają na wstrząśniętych moimi wątpliwościami.

— Tylko głupcy i skończeni cynicy nie pozbyli się krzyżokształtów, Raul - odpowiada mi Dure. - Na Pacem jest ich bardzo niewiele, podobnie zresztą jak wszędzie tam, gdzie odczuwano Wspólną Chwilę. - Kładzie dłoń na piersi, jakby przypominał sobie to uczucie. - Ja tak naprawdę nie miałem wyboru. W najgorętszym okresie walk odrodziłem się w jednej z watykańskich komór zmartwychwstańczych

i czekałem, aż Albedo i Lourdusamy jak zwykle mnie odwiedzają... i jak zwykle zabijają. Tymczasem ten oto człowiek... - tu pokazuje na Kee, który pochyla głowę w lekkim ukłonie i dolewa sobie wina - ten człowiek wpadł zniemacka do sali z oddziałem powstańców, wszyscy w pancerzach, z karabinami... I podał mi kielich. Wiedziałem, co zawiera; uczestniczyłem we Wspólnej Chwili.

Wytrzeszczam na niego oczy i myślę: Jak to? Uśpiony w matrycy dodatkowego krzyżokształtu? W trakcie wskrzeszenia?!

— Właśnie - mówi Dure, jakby czytał mi w myślach. - Co teraz planujesz, Raulu Endymionie?

Waham się tylko przez moment.

— Przybyłem na Pacem, żeby zabrać prochy Enei. Prosiła mnie... Dawno temu, chciała, żebym...

— Wiemy o tym, synu - przerywa mi spokojnie ojciec de Soya.

— W każdym razie - ciągnę, kiedy udaje mi się zapanować nad głosem - widzę, że nie mam co ich szukać w ruinach Zamku Świętego Anioła. Wobec tego zajmę się drugim czekającym mnie zadaniem.

— To znaczy? - pyta ojciec Dure nieskończenie łagodnym głosem. Nagle, w pogrążonym w półmroku pokoju, siedząc przy z grubą ciosanym stole, sącząc stare wino i chłonąc wszechobecny zapach męskiego potu, dostrzegam w starym jezuicie rzeczywistą postać z „Pieśni” wuja Martina. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że mam przed sobą tego samego człowieka, który sam się ukrzyżował, który umierał nie raz, lecz wiele razy, przybity do drzewa teslowego, byle tylko nie oddać się we władanie fałszywego krzyża. Oto siedzi przede mną prawdziwy obrońca wiary, człowiek, z którym Enea koniecznie chciałaby się spotkać i porozmawiać. Poczucie straty i ból przeszywa mnie tak gwałtownie, że spuszczeni oczy, żeby nie widzieć spojrzeń Dure i pozostałych.

— Enea powiedziała mi kiedyś, że urodziła dziecko - udaje mi się wykrztusić, ale zaraz milknę. Nie pamiętam, czy i ten fakt znalazł się wśród wspomnień i myśli, które posłała w kosmos we Wspólnej Chwili; jeśli tak, to wszyscy o tym wiedzą. Podnoszę wzrok, ale moi rozmówcy tylko czekają, aż zbiorę się na odwagę, by mówić dalej. Nie wiedzieli. — Zamierzam odszukać to dziecko. Chcę pomóc je wychować, jeżeli tylko będę mógł.

Księża spoglądają po sobie z wyrazem zdumienia na twarzach; Kee patrzy wprost na mnie.

— Nie wiedzieliśmy o tym - mówi Federico de Soya. - To niewiarygodne. Myślałem, że znam się co nieco na ludzkiej naturze i gotów byłbym iść o zakład, iż byłeś w jej życiu jedynym mężczyzną... jedyną jej prawdziwą miłością. Nigdy nie spotkałem dwojga młodych, którzy byliby razem tak szczęśliwi, jak wy.

— Był ktoś jeszcze - mówię i gwałtownym ruchem podnoszę kieliszek do ust, żeby dopić wino. Jest pusty. Odstawiam go ostrożnie na stół - Był ktoś jeszcze - powtarzam już mniej żalonym, mniej rozemocjonowanym głosem. - Ale to nieważne. Liczy się tylko dziecko... Chcę je znaleźć.

— A wiesz, gdzie szukać? - pyta Kee.

Z westchnieniem kręcę głową.

— Nie mam pojęcia. Zamierzam jednak odwiedzić wszystkie planety w dawnym Paksie i na Pograniczu, a jak będzie trzeba, to i w całej Galaktyce. A może i poza jej granicami... - urywam w pół zdania. Jestem pijany, a to zbyt ważna rzecz, by rozprawiać o niej w takim stanie. - Tam właśnie się wybieram, i to zaraz.

— Jesteś zmęczony, Raul. - Ojciec de Soya kręci głową. - Prześpij się z nami; u Bassina w domu jest dodatkowe łóżko. Zdrzemniemy się, a rano się pożegnamy.

— Muszę już iść - mówię i wstaję od stołu, żeby im udowodnić, że jestem w stanie klarownie myśleć i zdecydowanie działać. Pokój przechyla się gwałtownie, jakby od południowej strony zapadł się grunt pod podłogą. Łapię za kant stołu, żeby się nie przewrócić — niewiele brakuje, żebym się z nim rozminął - i z trudem utrzymuję się na nogach.

— Chyba jednak lepiej będzie zaczekać do rana - stwierdza ojciec Dure. Wstaje i kładzie mi dłoń na ramieniu.

— Chyba tak - zgadzam się z nim. Z ulgą zauważam, że trzęsienie ziemi słabnie. - Jutro będzie lepiej.

Podaję wszystkim rękę na pożegnanie. Dwa razy. Mam wrażenie, że zaraz znów się rozplączę - nie ze smutku tym razem, choć smutek wciąż czai się w głębi mojej duszy, słyszalny w tle jak symfonia sfer - ale z ulgi i ze szczęścia, że mam takich przyjaciół. Tak długo byłem sam.

— Chodźmy, przyjacielu - mówi były kapral marines i żołnierz Gwardii Szwajcarskiej Bassin Kee. Łapie mnie pod drugie ramię i razem ze starszym jezuitą prowadzi do sąsiedniego domu, gdzie padam jak kloc na jedno z dwóch łóżek. Odpływam już w sen, gdy czuję, jak ktoś - chyba były papież - ściąga mi buty.

Zapomniałem, że na Pacem dzień trwa tylko dziewiętnaście godzin standardowych. Rankiem wciąż upajam się wolnością, ale wszystko mnie boli: głowa, plecy, brzuch, zęby, nawet włosy - a w dodatku mam wrażenie, jakby głęboko w ustach załęgło mi się stadko maleńkich, puchatych stworzonek.

W rozpościerającej się za kościółkiem wiosce panuje ożywiony ruch - i okropny hałas. Na ogniskach warzy się śniadanie, kobiety i dzieci krzątają się wokół zwykłych, domowych spraw, z domostw wynurzają się mężczyźni, zarośnięci, o przekrwionych oczach... A ja wiem, że wyglądam tak samo.

Księża tymczasem są w niezłej formie. Patrząc, jak kilkunastu parafian opuszcza kaplicę i uświadamiam sobie, że przespałem w najlepsze mszę celebrowaną wspólnie przez de Soyę i Dure. Przechodzący nieopodal Bassin Kee pozdrawia mnie - a czyni to straszliwie donośnym głosem - i ruchem ręki wskazuje mi męską umywalnię. Instalacja hydrauliczna ogranicza się do zawieszzonego w górze zbiornika, do którego pompuje się zimną wodę, żeby następnie wylać ją sobie na głowę w błyskawicznym, lodowatym prysznicu, który ścina człowiekowi szpik w kościach. Ranek jest zimny, jak na Pacem przystało i przypomina mi przebudzenie na Tien Szanie, osiem tysięcy metrów nad poziomem morza. Prysznic otrzeźwia mnie całkowicie. Kee przyniósł mi tymczasem świeże ubranie: miękkie, sztruksowe spodnie, delikatną koszulę z niebiesko farbowanej wełny, szeroki pas i solidne buty, o niebo wygodniejsze od trepów, które uparcie nosiłem przez cały okres niewoli. Ogolony, umyty, przebrany w czyste ciuchy, z kubkiem parującej kawy w garści - dostałem go od młodej żony byłego kaprała - i przyczepionym do przerzuconego przez ramię paska rejestratorem, czuję się jak nowo narodzony. Pierwsza myśl, jak przychodzi mi do głowy wraz z falą dobrego samopoczucia, brzmi: Enea byłaby zachwycona tym porankiem - i dla mnie słońce ponownie chowa się za chmury.

Ojciec Dure i ojciec de Soya znajdują mnie, kiedy przysiadam na głazie na brzegu wyschniętej rzeki. Gruzy Watykanu wyglądają jak ruiny z zamierzchłej przeszłości. Światło słońca błyska na szybach samochodów i rzadko przemykających górą EMV, ja zaś zdaję sobie ponownie sprawę, że daleko nam do zamętu, jaki zapanował po Upadku - skoro nawet Pacem nie stoczyło się w otchłań barbarzyństwa. Kee wyjaśnił mi, że kawa pochodzi z transportu żywności, który dotarł do stolicy z prawie nietkniętych ośrodków rolniczych na zachodzie kontynentu. Zburzenie Watykanu i ośrodka administracyjnego planety

wygląda z tej perspektywy jak lokalna katastrofa, jak gdyby w najbliższej okolicy nastąpiło trzęsienie ziemi czy uderzył huragan.

Kee podchodzi właśnie do nas z garścią świeżych bułeczek i posilamy się w miłym milczeniu, otrząsając się z okruszków i sącząc kawę. Za naszymi plecami słońce wspina się na nieboskłon i oświetla słupy dymu z ognisk i kuchenek.

— Wciąż usiłuję się oswoić z nową rzeczywistością - odzywam się wreszcie. - W porównaniu z epoką imperium Paxu żyjecie sobie na Pacem w zupełnej izolacji, tym niemniej doskonale wiecie, co dzieje się na innych planetach.

Ojciec de Soya kiwa głową.

— Tak jak ty potrafisz sięgnąć w Pustkę i słuchać języka żywych, my również umiemy w niej odnaleźć osoby drogie naszemu sercu. Dziś rano na przykład zajrzałem w duszę sierżanta Gregoriusa na Marę Infinitus.

Ja również, jeszcze przed skokiem na Pacem, słyszałem jego wyraźny głos w chórze tworzącym muzykę sfer, ale pytam:

— Co u niego? Wszystko w porządku?

— W najlepszym - mówi de Soya. - Kłusownicy, przemytnicy i rebelianci szybko odizolowali nieliczną grupkę lojalistów, aczkolwiek niektóre cywilne platformy mocno ucierpiały podczas walk między posterunkami Paxu. Gregorius zajmuje stanowisko miejscowego burmistrza, czy może raczej gubernatora rejonu przybrzeżnego, co, nawiasem mówiąc, zupełnie mu nie odpowiada. Nigdy nie interesowało go dowodzenie; gdyby było inaczej, dawno już dosłużyłby się stopnia oficerskiego.

— A właśnie, skoro już o tym mowa... - wtrącam się. - Kto rządzi tutaj... tym wszystkim? - Mój gest obejmuje ruiny, biegnące w dal autostrady i transportowe EMV, które właśnie zbliżają się do zachodniego brzegu Nowego Tybru.

— Całym układem Pacem tymczasowo zarządza dawny prezes Mercantilusa, Kenzo Isozaki - odpowiada ksiądz. - Ma biuro w zniszczonym Torus Mercantilus, ale często odwiedza samą planetę.

— Isozaki? - dziwię się. - Kiedy ostatni raz go widziałem, pracując nad moją opowieścią, uczestniczył w ataku na Gwiazdodrzewo.

— Owszem - przytakuje de Soya. - Atak trwał, gdy nadeszła Wspólna Chwila i zrobiło się okropne zamieszanie. Część floty pozostała wierna Lourdusamy'emu i jego ludziom, część zaś - niektórymi dowodził właśnie Isozaki, mający tytuł Komandora Zakonu Rycerzy Jerozolimskich - usiłowała powstrzymać rzeź. Lojaliści zachowali większość archaniołów, których i tak nie można wykorzystywać bez znajomości techniki zmartwychwstania, Isozaki zaś sprowadził ponad sto napędzanych silnikami Hawkinga okrętów na Pacem i ostatecznie rozprawił się z Centrum

— I został dyktatorem? - pytam, choć niewiele mnie to obchodzi. Los Pacem to nie mój kłopot.

— Ależ nie - mówi Kee. - Isozaki tymczasowo pełni obowiązki gubernatora, we współpracy z obieralnymi radami kantonów planety. Znakomicie zarządza globalną logistyką, a na tym najbardziej nam zależy. Natomiast lokalne władze całkiem nieźle radzą sobie z własnymi sprawami. Pierwszy raz na Pacem jest prawdziwa demokracja, która może nie działa zbyt sprawnie, ale działa. Wydaje mi się, że Isozaki chce stworzyć rozsądny kapitalistyczny system handlowy i przygotować Pacem do ery, w której ruszymy w kosmos.

— Przenosząc się z planety na planetę? - pytam

Wszyscy trzej zgodnie kiwają głowami, ja zaś nie mogę w to wszystko uwierzyć: miliardy... setki miliardów ludzi, którzy swobodnie przenoszą się z miejsca na miejsce, bez statków kosmicznych, bez transponderów... Natychmiastowy kontakt poprzez Pustkę - wystarczy zespolić się z nią sercem i umysłem... Będzie jak za czasów rozkwitu

Hegemonii, tylko bez narzuconej przez Centrum otoczki portali i komunikatorów. Nie, zdaję sobie natychmiast sprawę. Będzie zupełnie inaczej niż w Hegemonii. Czegoś takiego ludzkość jeszcze w swych dziejach nie doświadczyła. Enea wszystko zmieniała.

— Opuścisz nas dziś, Raul? - pyta ojciec Dure z tym swoim miękkim, francuskim akcentem.

— Jak tylko wypiję tę doskonałą kawę - mówię. Słońce przygrzewa coraz mocniej; czuję je na odsłoniętych rękach i karku.

— Dokąd chcesz się udać? - pyta de Soya.

Już otwieram usta, żeby mu odpowiedzieć, gdy nagle dociera do mnie, że nie mam pojęcia, gdzie szukać dziecka Enei. Co będzie, jeżeli Obserwator zabrał chłopca czy dziewczynkę do jakiegoś odległego układu gwiazdowego, do którego nie uda mi się dostać? Mogli na przykład wrócić na Starą Ziemię... Czy zdołałbym przenieść się sto sześćdziesiąt tysięcy lat świetlnych stąd? Enea to potrafiła, ale pewnie mogła liczyć na pomoc lwów, tygrysów i niedźwiedzi. Czy i ja pewnego dnia usłyszę ich głosy w chórze Pustki? W tej chwili wszystko to przerasta mnie i mało mnie interesuje.

— Nie wiem - słyszę własne słowa, wypowiedane głosem zagubionego chłopczyka. - Chciałem wybrać się na Starą Ziemię, bo Enea prosiła mnie... Jej prochy... tylko że... - Zakłopotany i zdenerwowany pokazuję na górę stopionego kamienia, która kiedyś była Zamkiem Świętego Anioła. - Może wrócę na Hyperiona. Spotkam się z Martinem Silenusem. — Zanim umrze, dodaję w myślach.

Stajemy we czterech na kamiennym bloku i dopijamy zimną już kawę. Otrzepujemy się z okruchów smakowitych bułeczek, gdy nagle przychodzi mi do głowy oczywista myśl:

— Czy któryś z was chce mi towarzyszyć? Albo może wybiera się gdzie indziej. Wydaje mi się, że pamiętam, jak to się robi... a Enea

zabierała nas ze sobą po prostu trzymając nas za ręce. Nie, przecież przenosiła całego „Yggdrasilla” samą siłą woli.

— Jeżeli udajesz się na Hyperiona, chyba wybiorę się tam razem z tobą - mówi ojciec de Soya. - Najpierw jednak muszę ci coś pokazać. Przepraszam was na chwilę, ojczy Dure, Bassinie.

Wracam z księdzem do wioski i do kościółka. W maleńkiej zakrystii, gdzie z trudem mieści się drewniana szafa na ubrania i nieduży ołtarzyk, na którym przechowuje się hostię i wino mszalne, de Soya odsłania niszę w ścianie i wyjmuje z niej metalowy cylinder, mniejszy niż termos do kawy. Podaje mi go, a ja wyciągam ręce - i zamieram bez ruchu, niezdolny go dotknąć.

— Tak - mówi ksiądz. - Prochy Enei, tyle, ile zdołaliśmy znaleźć. Obawiam się, że niewiele tego jest.

Ręce dalej mi się trzęsą; nie mogę się przemóc, żeby wziąć od de Sol pojemnik.

— Ale jak? Kiedy?

— Przed decydującym atakiem Centrum. Uwalnialiśmy więźniów, kiedy doszliśmy do wniosku, że dobrze by było zebrać prochy twojej młodej przyjaciółki. Niektórzy chcieli zrobić z nich relikwie... Uczynić podporą nowego kultu. Byłem przekonany, że Enea by sobie tego nie życzyła. Miałem rację, Raul?

— Oczywiście - mówię, a ręce trzęsą mi się coraz bardziej. Teraz i mówienie przychodzi mi z trudem. - Tak, bezwzględnie, miał ojciec całkowitą rację - dodaję zdecydowanie. - Nie zniosłaby tego. Nawet ojciec nie wie, ile razy rozprawialiśmy o tragedii Buddy, którego wyznawcy potraktowali jak boga, a szczątki jak relikwie. On również chciał, żeby jego zwłoki spalono, a popioły rozrzucono, żeby... - Nie mam siły dalej mówić.

— Tak - mówi de Soya i wyjmuje z kredensu czarną torbę. Wkłada do niej cylinder i przerzucają sobie przez ramię. - Jeżeli chcesz, zabiorę

ją ze sobą, gdy ruszymy w podróż.

— Dziękuję - tylko tyle udaje mi się powiedzieć. Nie jestem w stanie pogodzić żywotności Enei, widoku jej skóry, błysku oczu, kobiecego aromatu, dotyku, śmiechu, głosu, włosów, jej fizycznej obecności z małym, metalowym pojemnikiem. Opuszczam rękę, żeby ksiądz nie widział, jak okropnie się trzęsie.

— Jest ojciec gotów do drogi? - pytam w końcu.

De Soya kiwa potakująco głową.

— Chciałbym tylko powiedzieć paru osobom w wiosce, że przez kilka dni mnie nie będzie. Mógłbyś mnie tu później podrzucić? Obojętne, gdzie będziesz się wybierał.

Oczywiście, że tak. Cały czas myślałem o dzisiejszym rozstaniu jak o czymś ostatecznym, nieodwracalnym niczym podróż statkiem kosmicznym. Tymczasem do końca życia będę miał Pacem na wyciągnięcie ręki... tak jak i każde inne miejsce we wszechświecie. Pod warunkiem, że pamiętam, jak słuchać muzyki sfer i robić pierwszy krok, że mogę zabrać kogoś ze sobą i że skok na Pacem nie był jednorazowym darem, który utraciłem nie wiedząc nawet, iż go posiadam.

Trzęsę się teraz na całym ciele, ale wmawiam sobie, że to z nadmiaru kofeiny.

— Jasne - chrypię w odpowiedzi. - Nie ma sprawy. Poczekał na ojca i zamienię jeszcze dwa słowa z Kee i ojcem Dure.

Starszego jezuitę i byłego kaprała spotykam na polu kukurydzy, gdy spierają się o to, kiedy jest najlepsza pora do zbioru kolb. Paul Dure przyznaje właśnie, że najchętniej zbierałby je zaraz, bo przepada za kukurydzą. Na mój widok obaj się uśmiechają.

— Zabierasz w podróż ojca de Soyę? - pyta ksiądz. Kiwam głową. - Pozdrówcie ode mnie Martina Silenusa. Dawno temu i w zupełnie innym miejscu dzieliliśmy ciekawe doświadczenia, przynajmniej

w pewnym sensie. Słyszałem o tych jego tak zwanych „Pieśniach”, ale przyznam, że z niechęcią myślę o tym, że miałbym je przeczytać. — Dure szczerzy zęby w uśmiechu. - Rozumiem, że obowiązujące w Hegemonii prawa dotyczące zniesławienia straciły ważność.

— Przypuszczam, że żył tak długo tylko po to, żeby skończyć poemat - mówię cicho. - Ale mu się nie uda.

Dure wzdycha ciężko.

— Dla tych, co tworzą, każdego żywota byłoby mało, Raul. Podobnie zresztą jak dla tych, którzy chcą zrozumieć własne życie. Na tym chyba polega przekleństwo bycia człowiekiem, przekleństwo, ale i błogosławieństwo.

— Jak to? - dziwię się, ale zanim ksiądz może mi odpowiedzieć, podchodzi do nas de Soya z paroma wieśniakami. Zaczyna się ogólna rozmowa, pożegnania, zaproszenia do powrotu. Spoglądam na czarną torbę i widzę, że oprócz metalowego cylindra de Soya zapakował do niej i inne rzeczy.

— Zabieram czystą sutannę - wyjaśnia, widząc moje spojrzenie. - Poza tym trochę bielizny, skarpetki, parę brzoskwiń, Biblię, mszał i kilka drobiazgów niezbędnych przy odprawianiu mszy. Nie wiem przecież, kiedy wrócę. - Wskazuje ręką tłoczących się dookoła ludzi. - Nie pamiętam, jak to się robi. Będziemy potrzebować więcej miejsca?

— Raczej nie - odpowiadam. - Może powinniśmy się dotknąć... Przynajmniej za pierwszym razem. - Odwracam się i podaję rękę Kee, a potem Dure. - Dziękuję wam.

Kee uśmiecha się i cofa, jakby spodziewał się, że zaraz wzniesiemy się z de Soya na słupie ognia jak z silników rakietowych. Ojciec Dure po raz ostatni kładzie mi dłoń na ramieniu.

— Myślę, że jeszcze się spotkamy, Raulu Endymionie - mówi. - Chociaż pewnie nie w ciągu najbliższych dwóch lat.

Nie mam pojęcia, co ma na myśli; przecież obiecałem wrócić z de Soya za parę dni. Mniejsza z tym: kiwam głową, jakbym świetnie go rozumiał, drugi raz podaję mu rękę i odsuwam się.

— Weźmiemy się za ręce? - pyta de Soya.

Kładę mu dłoń na ramieniu, tak jak przed chwilą Dure położył rękę na moim. Sprawdzam, czy mam ze sobą rejestrator.

— To powinno wystarczyć - stwierdzam.

— Homo fobia? - dopytuje się de Soya z przewrotnym uśmiechem.

— Nie, po prostu nie chcę wychodzić na idiotę częściej niż to konieczne.

Zamykam oczy, prawie pewien, że tym razem muzyka sfer nie zabrzmiała w moim umyśle i że zapomniałem, jak stawia się kroki w Pustce. No cóż, mówię sobie w duchu, przynajmniej parzą smaczną kawę i jest z kim pogadać, gdyby okazało się, że mam tu zostać na zawsze.

Białe światło otacza nas i pochłania.

Zakładałem, że wynurzymy się z powodzi światła w opuszczonym Endymionie, zapewne u stóp wieży starego poety, ale kiedy oślepiający blask przygasł, znaleźliśmy się pośrodku łagodnie pofalowanej równiny. Na planecie panowała noc, a ja stałem po kolana - ojciec de Soya po uda - w kołysanej łagodnym wiatrem trawie.

— Udało nam się? - zapytał podniecony jezuita. - Jesteśmy na Hyperionie? Okolica nie wygląda znajomo, ale dotąd widziałem tylko skrawki pomocnego kontynentu, a i to przed ponad jedenastu laty. Poznajesz to miejsce? Grawitacja jest taka, jak pamiętam, ale powietrze... ma jakąś słodsza woń.

Odczekałem chwilę, aż oczy przywykną mi do ciemności.

— Wszystko w porządku - uspokoilem go i wyciągniętą ręką wskazałem na rozgwieżdżone niebo. - Widzi ojciec te gwiazdozbiory? To jest Łabędź, tam widać Łuczników... A tu jest Nosiwoda, chociaż Starowina zawsze nabijała się ze mnie, że to Wóz Raula... Kiedy byłem mały, często bawiłem się takim malutkim wozem na kółkach. - Odetchnąłem pełną piersią i zapatrzyłem się w dal. - To jedno z naszych ulubionych miejsc obozowania, z czasów, gdy byłem dzieckiem i prowadziliśmy wędrowne życie. - Przyklęknąłem na jedno kolano i przyjrzałem się z bliska ziemi. - Są ślady opon, sprzed kilku tygodni. Czyli tabory dalej tędy jeżdżą.

Sutanna księdza szeleściła cicho, gdy przechadzał się tam i z powrotem, podenerwowany jak nocny drapieżnik w niewoli.

— Czy to gdzieś blisko? - dopytywał się. - Czy możemy stąd dojść do wieży Silenusa na piechotę?

— Ze czterysta kilometrów - ostudziłem jego zapał. - Wylądowaliśmy na wschodzie moczarów, na południe od Dzioba, a wuj Martin mieszka

u podnóża płaskowyżu Pinion. - Uderzyło mnie, że użyłem określenia, którym zawsze posługiwała się Enea w odniesieniu do starego poety.

— To bez znaczenia - rzekł niecierpliwie de Soya. - W którą stronę powinniśmy iść?

Naprawdę miał zamiar dojść tam na piechotę, ale położyłem mu dłoń na ramieniu.

— Chyba nie będziemy musieli iść pieszo.

Na południowo-wschodnim horyzoncie jakiś ciemny kształt przesłonił gwiazdy, ja zaś wychwyciłem świst silników turbośmigłowych, przebijający się przez szum wiatru. Chwilę później zamigotały nam zielone i czerwone lampki nawigacyjne, gdy śmigacz skręcił na pomoc i zasłonił Łabędzia.

— To dobry znak? - zapytał de Soya, a ja poczułem, jak cały sztywnieje.

Wzruszyłem ramionami.

— Za moich czasów śmigacz nie wróżyłby nic dobrego - odparłem. - Większość maszyn należała do Paxu, a dokładniej - do jego służb bezpieczeństwa.

Niedługo już przyszło nam czekać: śmigacz wylądował, wirniki zamarły i lewa owiewka odchyliła się na zawiasach w tył. Z kabiny błysnęło światło, a ja dostrzegłem błękitną skórę, oczy, kikut lewej ręki i niebieską prawą dłoń, uniesioną w geście powitania.

— To dobry znak - powiedziałem.

— Co z nim? - zapytałem A. Bettika, gdy na wysokości trzech kilometrów mknęliśmy na południowy wschód. Sądząc z bladej poświaty nad płaskowyżem, do świtu pozostała mniej więcej godzina.

— Umiera - odparł android. Na długą chwilę zapadła cisza.

A. Bettik niepomrotnie ucieszył się na mój widok, chociaż stał sztywno i niezgrabnie, gdy wyściskałem go na powitanie. Androidy nigdy nie czuły się najlepiej, gdy przychodziło do wylewnego

okazywania uczuć wobec tych, którym miały służyć. Chcąc jak najlepiej wykorzystać króciutki lot, zasypywałem A. Bettika pytaniami.

Zaczął od złożenia mi kondolencji z powodu śmierci Enei, co pozwoliło mi zadać pytanie, jakie bez ustanku kołatało mi się po głowie:

— Ty też uczestniczyłeś we Wspólnej Chwili?

— Niezupełnie, M. Endymion - odrzekł, co zupełnie niczego mi nie wyjaśniło, zaraz jednak zapomniałem o tym, gdyż zaczął opowiadać, co przez ostatnie trzynaście miesięcy standardowych wydarzyło się na Hyperionie.

Martin Silenus spełnił rolę przekaźnika Wspólnej Chwili, tak jak zapowiadała to Enea. Większość ponownie narodzonych oraz żołnierzy Paxu zdezerterowała natychmiast, by jak najszybciej przystąpić do komunii, pozbyć się pasożyta i jak ognia unikać wszelkiego kontaktu z nielicznymi lojalistami. Wuj Martin dostarczył potrzebne do przemiany wino i krew: trunek gromadził od dziesięcioleci, krew zaś oddawał po kropelce od czasu, gdy przed ponad dwustu pięćdziesięciu laty sam wypił wino zmieszane z krwią dziesięcioletniej wówczas Enei.

Wierni poddani Paxu opuścili Hyperiona na pokładzie trzech statków, jakie im pozostały, a ostatnie zajmowane przez nich miasto - Port Romance - wyzwolono w cztery miesiące po Wspólnej Chwili. Ze swej kryjówki w starym ośrodku uniwersyteckim wuj Martin rozpoczął nadawanie starych holofilmów z udziałem Enei - z czasów gdy była dzieckiem, a ja jeszcze jej nie znałem - na których wyjaśniała, jak korzystać z Pustki i prosiła o powstrzymanie się od przemocy. Miliony tubylców i byłych chrześcijan, którzy właśnie uczyli się poznawać głosy swoich zmarłych i słyszeć język żywych, nie pozostali głusi na jej prośby.

Od A. Bettika dowiedziałem się również, że na orbicie Hyperiona krąży olbrzymi drzewostatek templariuszy „Sequoia Sempervirens”,

którym dowodzi Prawdziwy Głos Gwiazdodrzewa Ket Rosteen i na którym znajduje się kilkoro naszych starych znajomych - Rachela, Theo, Dorje Phamo, dalajlama, Intruzi Navson Hamnim i Sian Quintana Ka'an oraz George Tsarong i Jigme Norbu. Rosteen od dwóch dni molestował Silenusa, żeby ten pozwolił mu wylądować, ale poeta uparcie odmawiał, twierdząc, że nie chce nikogo widzieć, dopóki nie spotka się ze mną.

— Ze mną? - zdziwiłem się. - To Martin Silenus wiedział, że się tu wybieram?

— Ależ oczywiście - odrzekł android i na tym jego odpowiedź się skończyła.

— A jak Rachela, Dorje Phamo i pozostali trafili na drzewostatek? Czy „Sequoia Sempervirens” odwiedziła po drodze planetę Barnarda, Vitus-Gray-Balianusa B i parę innych miejsc, żeby ich pozbierać?

— Z tego co wiem, M. Endymion, Intruzi przybyli na pokładzie statku z ruin Biosfery, którą mieliśmy przyjemność wspólnie odwiedzić. Inni, jak wnioskuję ze zdradzających narastające przygnębienie transmisji M. Rosteena, adresowanych do M. Silenusa, przenieśli się samodzielnie na „Sequoię Sempervirens”, tak jak pan na Hyperiona.

Wyprostowałem się w fotelu, zaskoczony tą wiadomością. Nie wiedzieć czemu zakładałem, że jestem jedyną osobą wystarczająco sprytną, szczęśliwą czy co tam było potrzebne, żeby nauczyć się swobodnego przemieszczania się między gwiazdami. Tymczasem Rachela, Theo, stara przełożona klasztoru, dalajlama - wszyscy tego dokonali. No dobrze, dalajlama, Rachela i Theo należeli zapewne do najpilniejszych uczniów Enei, ale George? I Jigme? Trochę mnie to zbiło z tropu - chociaż przyznaję, że byłem zarazem podekscytowany: znaczyło to, że tysiące szczęśliwców, zapewne tych, których Enea osobiście uczyła, są o krok od opanowania tej sztuki. Potem zaś... Znów

prawie zakręciło mi się w głowie na myśl o miliardach swobodnie podróżujących ludzi.

Wylądowaliśmy w opuszczonym mieście pośród wzgórz, gdy niebo rozjaśniał brzask. Wskoczyłem ze śmigacza przyciskając rejestrator do piersi i wbiegłem po schodach wieży na górę; android i ojciec de Soya zostali daleko w tyle. Spodziewałem się, że staruszek ucieszy się na mój widok i będzie szczęśliwy, że tyle dokonałem, starając się spełnić jego niemożliwe do zrealizowania życzenia: wyratowałem Eneę z zasadzki w Dolinie Grobowców Czasu, Pax uległ zniszczeniu, zepsuty do szpiku kości Kościół legł w gruzach, Chyżwar nie skrzywdził ani Enei, ani reszty ludzkości... Wszystko zgodnie z życzeniami poety, którymi zasypał mnie owego pijackiego wieczora przed ponad dziesięciu laty. Nie miał wyjścia: musiał się cieszyć i czuć wdzięczność.

— Jebitnie dużo czasu ci zabrało, żeby przywlec tu z powrotem swoje leniwe dupsko - odezwała się zawieszona w pajęczynie rurek i przewodów mumia. - Czekałem tylko, aż będę musiał wyleźć z łóżka i ściągnąć cię tu, jakżeś włóczył się po wszechświecie bez celu, niby jakaś królowa dwudziestowiecznych balów dobroczynnych.

Wyschnięty stwór, spoczywający na leżance z pianogumy pośrodku płataniny maszyn, monitorów i respiratorów, otoczony gromadką androidzich pielęgniarek, nie przypominał odmłodzonego kuracjami Poulsena starca, z którym pożegnałem się dziesięć lat wcześniej - dziesięć dla mnie, on bowiem przeżył z tego tylko dwa, resztę zaś spędził w zamrażarce. Miałem przed sobą trupa, który nie pozwalał się pogrzebać; nawet głos, który słyszałem, był już tylko elektronicznym tworem, opartym na subwokalizowanym rżeniu i chrypieniu.

— Psiakrew, skończyłeś się już na mnie gapić, czy planujesz kupić następny bilet na przedstawienie? - zapytał zawieszony nad głową mumii syntetyzer mowy.

— Przepraszam - mruknąłem, czując się jak zbesztane dziecko.

— Z przepraszam to ja nic miał nie będę. No jak, zamierzasz mi złożyć raport, czy tylko postoisz sobie trochę, jak zwykła, tubylcza pierdoła, którą zresztą jesteś?

— Raport? - powtórzyłem i odłożyłem rejestrator na tacę. - Myślałem, że istota rzeczy jest ci znana.

— Istota rzeczy? - ryknął syntetyzer, tłumacząc mieszaninę kaszlnięć i stęknięć na słowa. - A co ty, kurwa, wiesz o istocie rzeczy, chłopcze? Co?

Ostatnie opiekujące się nim androidki zniknęły mi z oczu.

Poczułem przypływ złości; może z wiekiem mózg też staremu palantowi zmurszał, tak jak wcześniej zanikły dobre maniery - jeżeli w ogóle kiedyś je posiadał. Przez dobrą minutę ciszę mącił tylko chrzęst mechanicznych miechów pod łóżkiem, które pompowały powietrze do bezwolnych płuc starca.

— Mam złożyć raport - powiedziałem wreszcie. - Dobrze. Większość pańskich życzeń została spełniona, M. Silenus. Enea doprowadziła do zakończenia rządów Paxu i Kościoła. Chyżwar najwyraźniej zniknął. Wszechświat nieodwracalnie się zmienił.

— Wszechświat nieodwracalnie się zmienił - przedrzeźniał mnie stary poeta syntetyzowanym falsetem. - A czyja cię, do wszystkich diabłów, prosiłem... ciebie, czy dziewczynę, nieważne... żebyście zmieniali coś w tym pierdolonym wszechświecie?

Wróciłem myślami do naszej rozmowy sprzed dziesięciu lat.

— Nie - przyznałem.

— No właśnie - warknął poeta. - Znów ci się coś zaczyna ruszać w tych szarych komórkach. Jezusie Chrystusie, a już się bałem, że pobyt w pudełku Schrödingera ogłupił cię do reszty.

Nic nie powiedziałem; zastanawiałem się, czy gdybym poczekał odpowiedni długo, staruszek nie wyzionąłby po cichu ducha.

— Dobra, o co w takim razie cię prosiłem, moje ty dziecko złote? - zapytał wreszcie tonem rozwścieczonego belfra.

Usiłowałem przypomnieć sobie jakieś szczegóły naszej rozmowy, poza żądaniem, byśmy z Eneą obalili rządzące na kilkuset planetach Pax i Kościół. Chyżwar... Nie, nie o Chyżwara mu chodziło. Zamiast ufać zawodnej pamięci sięgnąłem wprost w Pustkę, Która Łączy, żeby odtworzyć ostatnie słowa, jakie padły między nami, zanim pomknąłem na macie grawitacyjnej na spotkanie dziewczynki.

— Ruszaj - powiedział wtedy poeta. - Pozdrów ode mnie Eneę i powiedz jej, że nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę Starą Ziemię. Powiedz też, że stary przyk chętnie posłucha, jak Enea wyjaśnia znaczenie wszystkich ruchów, kształtów i dźwięków.

Istotę rzeczy.

— Ach tak - powiedziałem na głos. - Przykro mi, że Enea nie może z tobą porozmawiać.

— Mnie też jest przykro - wyszeptał starzec własnym, nieprzetworzonym głosem. - Mnie też. I nie mów mi o tym termosie z prochami, który ksiądz ma w torbie; nie to miałem na myśli, kiedy zapowiadałem, że chcę przed śmiercią zobaczyć moją siostrzenicę.

Mogłem tylko skinąć głową, kiedy gardło ścisnęło mi się boleśnie.

— A co z resztą? - odezwał się znowu Silenus. - Zamierzasz spełnić moje ostatnie życzenie, czy po prostu dasz mi umrzeć, stojąc tak z palcem w tyłku?

— Ostatnie życzenie? - W obecności starego poety moje IQ spadało o dobre pięćdziesiąt punktów.

Syntetyzer westchnął.

— Daj mi pisak i rejestrator, to wypiszę ci to wołami: chcę zobaczyć Starą Ziemię, zanim kopnę w kalendarz. Chcę wrócić do domu.

Skończyło się na tym, że postanowiliśmy nie ruszać go z wieży. Opiekujące się nim androidy naradziły się z lekarzami Intruzów -

którym wreszcie pozwolono wylądować - a potem także z autochirurgiem na statku konsula, który zresztą stał na tyłach wieży, tak jak A. Bettik zostawił go po lądowaniu przed paroma miesiącami. Automat skontaktował się z aparaturą nadzorującą stan zdrowia poety i utrzymał werdykt w mocy: wyniesienie starca z wieży w celu przetransportowania na drzewostatek lub statek konsula naraziłoby go na minimalne zmiany ciśnienia i grawitacji, które mogłyby okazać się zabójcze.

Zabraliśmy zatem wieżę i kawałek Endymiona ze sobą.

Ket Rosteen wspólnie z Intruzami zajął się szczegółami tej operacji, do której zaprzęgnięto parę ergów, ściągniętych w tym celu z drzewostatku. Później obliczyłem, że owego dnia o wschodzie słońca w niebo uniosło się jakieś dziesięć hektarów gruntu. Znalazł się na nich statek konsula, wieża, pulsujące sześciiany Möbiusa, w których trzymano ergi, zaparkowany śmigacz, przybudówki, gdzie znajdowała się pralnia i kuchnia, fragment budynku wydziału chemii, kilka kamiennych domostw, dokładnie połowa mostu nad rzeką Pinion i parę milionów ton skał i gleby. Nie poczuliśmy momentu startu - sterowanie polem siłowym zostało tak zgrane przez ergi, Intruzów i templariuszy, że w ogóle nie zauważylibyśmy, że odrywamy się od ziemi, gdyby nie gwiazdy nad otwartym sufitem wieży i hologramy, na których mogliśmy śledzić lot. Nie odrywałem od nich wzroku, trzymając Silenusa za rękę. Poza nami w pokoju znajdowali się A. Bettik, kilka pielęgniarek i ojciec de Soya.

Fragment Endymiona, najstarszego miasta na całej planecie, od którego w dodatku pochodziło nasze rodowe nazwisko, wzniósł się bezgłośnie w niebo, wzleciał ponad atmosferę i osiadł pomiędzy rozchylonymi specjalnie w tym celu gałęziami „Sequoi Sempendrens”, tak że mogliśmy zejść wprost z hyperiońskiej ziemi na gałęzie i

pomosty dziesięciokilometrowego drzewostatku. Statek obrócił się ku gwiazdom.

— Teraz twoja kolej, Raul - powiedziała Dorje Phamo. - M. Silenus nie przeżyłby ani skoku hawkingowskiego, ani odpowiednio długiego snu kriogenicznego.

— Ale to cholernie wielki drzewostatek - zauważyłem. - Z mnóstwem ludzi i sprzętu na pokładzie. Pomożesz mi, prawda?

— Oczywiście.

— My też - dodali dalajlama, George i Jigme.

— Na nas też możesz liczyć - rzekła Rachela i stanęła obok Theo; obie postarzały się od czasu, gdy ostatnio je widziałem.

— Może i my spróbujemy - de Soya mówił za siebie, Keta Rosteena i wszystkich zgromadzonych w ich sąsiedztwie.

Wysoko na mostku, setki metrów powyżej wieży, w której kiedyś A. Bettik opiekował się swoim dawnym panem, Dorje Phamo, Rachela, Theo, dalajlama, George, Jigme, ojciec de Soya, kapitan i pozostali wzięli się za ręce; uzupełniłem krąg, a potem z zamkniętymi oczyma wsłuchaliśmy się w gwiazdy.

Wynurzywszy się z powodzi światła spodziewałem się ujrzeć przypominającą rzekę smugę gwiazd Mniejszego Obłoku Magellana, tymczasem okazało się, że patrzę na tę samą Mleczną Drogę, co przed chwilą. W dodatku, gdyby wierzyć znajomym konstelacjom, nie oddaliliśmy się zbyt od Hyperiona - gdzieś trafiliśmy, ale mająca między gałęziami planeta nie była błękitno-białą Starą Ziemią, nie przypominała jej nawet: była rdzawoczerwona, wyschnięta na pieprz, poznaczona kraterami i otulona na biegunach czapami śniegu.

— To Mars - rzekł A. Bettik. - Wróciliśmy do Układu Słonecznego Starej Ziemi.

Wszyscy słyszeliśmy rozbrzmiewający w Pustce głos przebywającego na Marsie pułkownika Kassada. Zeszliśmy na planetę,

znaleźliśmy go, objaśniliśmy mu cel podróży - nie potrzebował zresztą naszych wyjaśnień, słyszał bowiem w Pustce, że się zbliżamy - i zabraliśmy go na pokład „Sequoi Sempervirens”. Martin Silenus dał znać, że chętnie spotkałby się z dawnym towarzyszem podróży, a ja towarzyszyłem pułkownikowi w drodze na szczyt wieży.

— Cały układ jest bezpieczny, zgodnie z poleceniem Tej, Która Naucza - powiedział Kassad, gdy stanęliśmy na hyperiońskiej glebie. - Od dziesięciu miesięcy żaden okręt Paxu nie próbował naruszyć jego granic. Nikt, nawet nasze własne jednostki, nie zbliżą się do Starej Ziemi bardziej, niż na dwadzieścia milionów kilometrów.

— Do Starej Ziemi? - powtórzyłem i stanąłem jak wryty. Kassad również zatrzymał się i spojrzał mi w twarz.

— Nie wiedziałeś? - spytał i wyciągnął rękę do góry. Drzewostatek rozpędzał się płynnie; sterowane przez ergi silniki pracowały pełną parą.

Wyglądała jak gwiazda podwójna, jak to zwykle bywa w przypadku planet z jednym dużym księżycem. Widziałem jednak, że to Luna, mniejsza i zimna, krąży wokół pulsującej życiem, niebieskobiałej Starej Ziemi.

A. Bettik stanął obok nas przy wrotach wieży.

— Kiedy... Kiedy oni... To jest jak... Kiedy wróciła? - zapytałem, nie odrywając wzroku od błękitnej planety.

— Wspólna Chwila - odparł Kassad i otrzepał czerwony piasek z munduru, szykując się na spotkanie z poetą.

— Wszyscy już o tym wiedzą? - upewniłem się. Biedny, głupiutki Raul Endymion o wszystkim dowiaduje się ostatni.

— Teraz już tak - zgodził się pułkownik.

We trzech ruszyliśmy na spotkanie umierającego człowieka.

Na widok starego druha, którego nie widział od prawie dwustu osiemdziesięciu lat, Martinowi Silenusowi wrócił dobry humor.

— Twoja czarna dusza mordercy stanie się zarodkiem istoty Chyżwara, kiedy za tysiąc lat zaczną go budować, tak? - wycharczał starzec za pośrednictwem pracującego z mozołem syntezatora. - No to piękne dzięki, pułkowniku.

Kassad zmarszczył brwi i spojrział z góry na szczerzącą zęby mumię.

— Dlaczego ty jeszcze żyjesz, Martin?

— Już nie żyję - odparł Silenus i rozkaszłał się. - Wieki temu przestałem oddychać; po prostu nikt nie wpadł na to, żeby ze mną skończyć i sprawić mi pogrzeb.

Syntetyzer poddał się, nie próbując nawet przełożyć serii prychnięć i kaszlnięć, która nastąpiła po tych słowach.

— Udało ci się dokończyć ten twój nic nie wartą prozę? - zapytał żołnierz, podczas gdy starzec dusił się i charczał, wprawiając całą aparaturę w drżenie.

— Nie - wtrąciłem się. - Nie dał rady.

— Tak - zaproponował Martin Silenus, czystym, wyraźnym głosem. - Skończyłem go.

Nie wiedziałem, co powiedzieć.

— A właściwie... - stęknął poeta - on go za mnie dokończył. - Koścista ręka, owinięta pergaminową skórą, uniosła się lekko i wykręcony reumatyzmem kciuk skinął w moją stronę.

Pułkownik Kassad posłał mi pytające spojrzenie; pokręciłem głową.

— Aleś ty jednak jest głupi, chłopcze - stwierdził Silenus tonem, który głośnik oddał jako ciepły i czuły. Masz tu gdzieś rejestrator?

Odwróciłem się i spojrzałem na tacę przy łóżku, na której go zostawiłem - rejestrator zniknął.

— Wszystko wydrukowałem - wyszeptał chrapliwie poeta. - Z miliard kopii trafiło do datasfery zanim się tu przenieśliśmy.

— Nie ma żadnej datasfery - stwierdziłem.

Martin Silenus parsknął śmiechem i wpędził się w atak kaszlu. Po chwili syntetyzer przetłumaczył część jego charkotu:

— Ty nie jesteś po prostu głupi. Jesteś beznadziejny. A myślisz, że czym jest Pustka, Która Łączy? To jedna wielka datasfera naszego cholernego wszechświata, chłopcze. Od stuleci wsłuchiwałem się w nią, zanim mała pozwoliła mi przystąpić do komunii i wszczepić sobie te nanomaszynki. Wszyscy pisarze i twórcy tak robią; wsłuchują się w Pustkę, żeby uchwycić głosy zmarłych, poczuć ich ból - tak samo zresztą, jak ból żywych. Kiedy artysta szuka swojej muzy, w rzeczywistości próbuje uchylić drzwi prowadzące w Pustkę. Enea o tym wiedziała, więc i ty powinienes.

— Nie miałeś prawa publikować mojej opowieści - powiedziałem. - Należy do mnie. Sam ją napisałem i nie jest częścią twoich „Pieśni”. - Gdybym wtedy wiedział na sto procent, którym przewodem dostarczany jest tlen do jego płuc, przydepnąłbym go i poczekał, aż bełkot ucichnie.

— Gówno prawda, chłopcze. Jak sądzisz, po co wysłałem cię na te trwające jedenaście lat wakacje?

— Żeby uratować Eneę.

Poeta prychnął i zaniósł się kaszlem.

— Ona nie potrzebowała twojej pomocy, Raul. Kurczę, kiedy śledziłem wasze postępy, wydawało mi się, że znacznie częściej to ona wyciągała cię z biedy niż tyją. Nawet kiedy Chyżwar ją ratował, to tylko dlatego, że udało się jej go obłaskawić. - Spojrzenie białych oczu mumii, zaopatrzonych w wideokulary, spoczęło na Kassadzie. - To znaczy ciebie obłaskawić, wieczna maszyna do zabijania.

Cofnąłem się i oparłem o jeden z biomonitorów, żeby się uspokoić. Nad moją głową, w zastępującym sufit otworze, Stara Ziemia rosła w oczach.

— Jeszcze nie skończyłeś, chłopcze - odezwał się ponownie stary poeta, jakby drażnił się ze mną. - „Pieśni” wciąż nie mają zakończenia. Posłałem mu lodowate spojrzenie.

— Co masz na myśli, staruchu?

— Musisz zabrać mnie na dół, żebyśmy mogli je dokończyć, Raul. Razem.

Nie mogliśmy przenieść się wprost na Starą Ziemię, nie miałem bowiem na kogo się namierzyć. Uznaliśmy więc, że najlepiej będzie, jak ergi posadzana niej cały kawał Endymiona. Ryzykowaliśmy życiem starego poety, ale Silenus tylko krzyczał, żebyśmy, do kurwy nędzy, stulili dziób i wzięli się do roboty, więc nie mieliśmy wyboru. Od kilku godzin „Sequoia Sempervirens” okrążała Starą Ziemię - a właściwie po prostu Ziemię, jak nieustannie podkreślał to starzec - po niskiej orbicie. Holokamery, radary i wszelkie inne czujniki wskazywały, że na planecie nie ma ani jednego człowieka, za to w bujnych lasach i czystej atmosferze aż roi się od ssaków, ptaków i ryb wszelkich gatunków. Chciałem wylądować w Taliesinie Zachodnim, ale nie wypatrzyłem przez teleskop ani jednego z budynków. Pozostała po nich goła pustynia; zapewne tak samo wyglądało to krótko przed zaplanowanym wypadkiem z czarną dziurą, w '08. Rzym, w którym zmarł drugi cybryd Keatsa, zniknął, podobnie jak wszystkie budowle, które uznawałem za doświadczalne rekonstrukcje, przygotowane na użytek lwów, tygrysów i niedźwiedzi. Ziemię oczyszczono ze wszystkich śladów cywilizacji, tętniła za to życiem, jakby oczekiwała naszego przybycia.

Znajdowałem się nieopodal korzeni drzewostatku, przy statku konsula, w otoczeniu dawnych przyjaciół Enei. Dyskutowaliśmy właśnie o tym, kto wybiera się na dół i kto chciałby nam towarzyszyć, ja zaś myślałem tylko o metalowym cylindrze w bagażu de Soi, gdy A. Bettik stanął przed nami i odchrząknął znacząco.

— Proszę mi wybaczyć, M. Endymion, nie chciałbym państwu przeszkadzać - odezwał się, tak zakłopotany, że omal nie zaczął się rumienić, co przydarzało mu się za każdym razem, gdy sprzeciwiał się komuś z nas. - Ale M. Enea przekazała mi szczegółowe instrukcje, na wypadek gdyby wrócił pan na Starą Ziemię, co bez wątplenia właśnie nastąpiło.

Rozmowy ucichły; nie słyszałem, żeby Enea wydawała mu jakieś polecenia przed odlotem z „Yggdrasilla”, ale tyle się wtedy działo, że mogłem coś przegapić.

A. Bettik ponownie odchrząknął.

— M. Enea prosiła, żeby Ket Rosteen dowodził lądowaniem, gdyby miało do niego dojść. Tylko cztery osoby mogą znaleźć się na planecie wraz z nim, ja zaś mam przekazać jej najszczerze przeprosiny dla wszystkich pozostałych, którzy chcieliby natychmiast się tam udać. Szczególne wyrazy ubolewania należą się M. Racheli, M. Theo i innym serdecznym przyjaciółom M. Enei, którym zapewne najbardziej zależy na zobaczeniu Ziemi. M. Enea kazała mi przekazać, że za dwa tygodnie - czyli ostatniego dnia przed odlotem drzewostatku - wszyscy państwo będziecie tam mile widzianymi gośćmi. Prosiła również, bym przekazał, że za dwa lata standardowe... to znaczy, oczywiście, ziemskie lata... każdy, kto zdoła się samodzielnie przenieść na Starą Ziemię, będzie mógł swobodnie tam przybyć.

— Dwa lata? - zdziwiłem się. - Po co ta kwarantanna?

A. Bettik pokręcił głową.

— Przykro mi, ale tego M. Enea mi nie wyjaśniła, M. Endymion.

Podniosłem obie ręce do góry.

— Dobrze, kto w takim razie może od razu lecieć na dół? - spytałem. Gdyby okazało się, że nie ma mnie na liście, i tak wybrałbym się razem z nimi, bez względu na to, czego życzyła sobie Enea. Pięściami utoruję

sobie drogę na pokład... albo porwę statek konsula i sam nim wyląduję... Albo po prostu sam się przeniosę na dół.

— Pan, M. Endymion - rzekł A. Bettik. - Pana wymieniła na pierwszym miejscu. Oczywiście także M. Silenus, a poza tym ojciec de Soya i... - android zawahał się, ponownie zakłopotany.

— No dalej - pogoniłem go, znacznie ostrzejszym tonem, niż początkowo zamierzałem.

— Ja - powiedział A. Bettik.

— Ty - powtórzyłem i natychmiast doszedłem do wniosku, że to słuszna decyzja. Odbił z nami długą wędrówkę, spędził z Enea więcej czasu niż ja - ze względu na dług czasowy, jaki zarobiłem podróżując samotnie - a poza tym ryzykował dla niej, a właściwie dla nas, własnym życiem, stracił rękę w zasadzce na Bożej Kniei; słuchał nauk Enei, zanim jeszcze poznała Rachelę i Theo - ba, zanim ja zostałem zaliczony w poczet jej uczniów. Oczywiście, że chciałyby, aby jej przyjaciel był obecny, gdy wiatr uniesie w powietrze jej prochy. Zrobiło mi się głupio, że się zdziwiłem. - Przepraszam - powiedziałem. - To oczywiste.

A. Bettik leciuteńko skinął głową.

— Dwa tygodnie - rzekłem do zgromadzonych wokół ludzi, na których twarzach malowało się rozczarowanie. - Za dwa tygodnie wszyscy razem obejrzymy sobie, jakie to niespodzianki przygotowały dla nas lwy, tygrysy i niedźwiedzie.

Pożegnaliśmy wszystkich starych przyjaciół, znajomych templariuszy i Intruzów, którzy zeszli z endymiońskiej ziemi i zajęli miejsca na schodach i platformach drzewostatku, żeby patrzeć, jak odlatujemy. Rachelę opuściła nas ostatnia. Wcześniej jednak, ku mojemu zaskoczeniu, uścisnęła mnie ze wszystkich sił.

— Kurczę, mam szczerą nadzieję, że jesteś tego wart - wyszeptała mi do ucha. Nie miałem zielonego pojęcia, co mogła mieć na myśli;

Rachela była dla mnie - podobnie jak wszystkie kobiety - jedną wielką tajemnicą.

— No dobrze - powiedziałem, gdy zgromadziliśmy się u wezglowia łóżka Martina Silenusa. Nad głowami majaczyła nam Stara Ziemia... nie, po prostu Ziemia. Obraz ten zamazał się, a potem zniknął zupełnie, gdy pola siłowe pogrubiały i rozdzieliły się, włączył się napęd i zaczęliśmy oddalać się od drzewostatku. Templariusze z załogi „Sequoi” pospołu z Intruzami zainstalowali w pokoju poety prowizoryczne przyrządy sterownicze; zrobiło się w nim dość ciasno, gdy oprócz mnóstwa sprzętu znalazło się tam naraz kilkoro ludzi. Sam też uznałem, że to chyba najlepsze miejsce, aby przeczekać nadzorowane przez ergi lądowanie gigantycznej masy skały i ziemi, fragmentu miasta z wieżą, zaparkowanym obok statkiem kosmicznym i prowadzącym donikąd kawałkiem mostu - i to na planecie złożonej w trzech piątych z wody, gdzie nie było ani jednego portu kosmicznego i nie istniała żadna naziemna kontrola ruchu. Doszedłem do wniosku, że gdybyśmy mieli się rozbić i zginąć, ułamek wcześniej zauważę oznaki bliskiej katastrofy na niewzruszonym zwykle obliczu Keta Rosteena. Przynajmniej będę wiedział.

Nie poczuliśmy momentu wejścia w atmosferę; tylko stopniowa zmiana w obrazie majaczących nam nad głowami gwiazd świadczyła o tym, że otoczyło nas powietrze. Nie poczuliśmy też samego lądowania; staliśmy w milczeniu, ramię w ramię, gdy nagle Ket Rosten podniósł wzrok znad monitorów, wyszeptał coś do swoich ergów i zwrócił się do nas:

— Wylądowaliśmy.

— Zapomniałem powiedzieć, gdzie powinniśmy wylądować - powiedziałem, mając na myśli pustynię, gdzie kiedyś znajdował się Taliesin, a więc z pewnością miejsce, w którym byliśmy z Enea najszcześliwsi. Tam właśnie, na smaganym ciepłym, arizońskim

wiatrem pustkowiu powinienem rozsypać jej prochy. Wiedziałem, że należą do niej, ale wciąż nie mogłem w to uwierzyć.

Ket Rosteen przeniósł wzrok na pianogumowe łóżko Silenusa.

— To ja mu powiedziałem, gdzie ma lądować, do ciężkiej cholery - wycharczał syntetyzer. - Tu się urodziłem i tu zamierzam umrzeć. Czy moglibyście łaskawie ruszyć dupy i wyturlać mnie stąd, żebym mógł spojrzeć w niebo?

A. Bettik odłączył zasilanie większości aparatury diagnostycznej, pozostawiając tylko najbardziej niezbędne układy podtrzymywania życia, i oplótł cały sprzęt wspólnym polem repulsorów elektromagnetycznych. Jeszcze na drzewostatku androidy i klony załogowe zbudowały długą, łagodnie nachyloną rampę, prowadzącą z pokoju na szczycie wieży prosto na poziom gruntu i wyłożyły kamieniami drogę aż do skraju bloku hyperiońskiej ziemi. Zwróciłem uwagę, że żadna z ich konstrukcji nie ucierpiała podczas lądowania, wytoczyliśmy więc leżankę na dwór. Kiedy mijaliśmy czarny statek konsula, z zewnętrznych głośników doleciał nas jego głos:

— Do widzenia, Martinie Silenusie. Poczytuję to sobie za zaszczyt, że mogłem pana poznać.

Wiekowa postać uniosła wychudzone ramię w parodii pożegnalnego gestu.

— Do zobaczenia w piekle, statku.

Zeszliśmy z kawałka Endymiona i z rampy. Otaczała nas preria, tylko w oddali majaczyły ciemne wzgórza. Okolica przypominała mi krajobrazy, jakie znałem z dzieciństwa, z tą różnicą, że całkiem niedaleko, po prawej, ciągnęło się pasmo lasu. Ciężenie i ciśnienie powietrza nie zmieniły się od czasu mojego czteroletniego pobytu na Ziemi, choć powietrze było tu o wiele wilgotniejsze niż na pustyni.

— Gdzie jesteśmy? - zapytałem, nie kierując tych słów do nikogo konkretnego. Ket Rosteen został w wieży, toteż tylko android,

umierający poeta i ojciec de Soya towarzyszyli mi na Ziemi. Wyglądało na to, że mamy wiosenny poranek, gdzieś na północnej półkuli.

— W miejscu, gdzie kiedyś rozciągał się majątek mojej matki - wyszeptał Martin Silenus. - W samym sercu Rezerwatu Ameryki Pomocnej.

A. Bettik podniósł wzrok znad monitorów.

— Przed Wielką Pomyłką nazywano te okolice Illinois - stwierdził. - Jesteśmy, jak mi nie mam, w samym środku tego właśnie stanu. Widzę, że preria się odrodziła. A te drzewa to wiązy i kasztany, które, jeśli mnie pamięć nie myli, wyginęły na tych terenach w dwudziestym pierwszym stuleciu. Rzeka, którą tam widać, płynie na południowy wschód i wpada do Missisipi. Pan, M. Endymion, miał okazję przepłynąć spory jej fragment.

— To prawda - przyznałem, wspominając mój kruchy kajak, pożegnanie z Eneą w Hannibalu i nasz pierwszy pocałunek.

Czekaliśmy w milczeniu. Słońce pięło się coraz wyżej po niebie, wiatr szeleścił w trawie, a gdzieś wśród drzew rozległ się trel, jaki mógł pochodzić tylko z ptasiej piersi. Spojrzałem na Martina Silenusa.

— Słuchaj no, chłopcze - odezwał się syntetyzer starego poety. - Jeśli sądzisz, że zaraz wykorkuję tylko po to, żebyś za bardzo sobie skóry nie spiekł, to lepiej o tym zapomnij. Trzymam się życia samymi tylko pazurami, ale hodowałem je długo, więc są całkiem solidne.

Uśmiechnąłem się i położyłem rękę na jego kościstym ramieniu.

— Chłopcze? - wyszeptał.

— Słucham, proszę pana.

— Dawno temu mówiłeś mi, że twoja babka - Starowina, jak ją nazwałeś - kazała ci uczyć się „Pieśni” na pamięć, aż wylewały ci się uszami. Naprawdę tak było?

— Tak, proszę pana.

— A mógłbyś sobie przypomnieć, co napisałem o tym miejscu? Jak wyglądało za moich czasów?

— Spróbuję - odparłem i zamknąłem oczy. Miałem ochotę sięgnąć w Pustkę i odnaleźć w niej ślad prowadzonych głosem Starowiny lekcji, zamiast odtwarzać je z własnej pamięci, ale postanowiłem niczego sobie nie ułatwiać; przypomniałem sobie rozmaite techniki mnemoniczne, które pozwalały zapamiętać wybrane fragmenty poematu, i zacząłem recytować:

Mrok blednie subtelnie, przechodzi w purpurę
nad wyciętymi z bibuły sylwetkami drzew
i południowym trawnikiem.

Niebo jest jak delikatna, półprzezroczysta porcelana,
nieskalana chmurą ni śladem maszyny.

Podobny ciszy przed koncertem pojawił się pierwszy blask światła,
a zaraz potem, z grzmotem cymbałów, przyszedł wschód słońca.

Oranż i rdza zapłonęły złotem,
a potem błysnęła zieleń:

cienie liści, gałązki cyprysów
i wierzb płaczących, cichy,
zielony aksamit.

Majątek matki - nasz majątek - tysiąc akrów
leżących pośrodku miliona. Trawniki
wielkości małych prerii, tak idealne,
że aż prosi się, by na nich spocząć,
zdrzemnąć się na ich miękkiej doskonałości.

Szlachetne drzewa jak zegary
słoneczne,

ich cienie obracają się w dostojnej procesji;

to łączą się, to skracają w południe,

by rozciągnąć się ku wschodowi, gdy dzień umiera.

Królewski dąb.

Olbrzymi wiąz.

Topole, cyprysy, sekwoje i bonsai.

Baniany wypuszczają nowe pnie
niczym gładkie kolumny, wspierające strop świątyni,
której dachem niebo jest.

Wierzby na brzegach prostych jak strzała kanałów i przypadkowych
strumieni,

ich obwisłe gałązki wyśpiewują prastare treny
na wietrze.

Umilkłem; dalszego ciągu nie pamiętałem najlepiej. Nigdy nie
przepadałem za tymi pseudolirycznymi kawałkami „Pieśni” - wolałem
sceny batalistyczne.

Czułem, jak pod moim dotykiem poeta rozluźnia się i uspokaja,
spodziewałem się więc, że otwarłszy oczy ujrzą na leżance trupa.

Martin Silenus wyszczerzył zęby w godnym satyra uśmiechu.

— Nieźle, całkiem nieźle - wyskrzeczwał. - Doskonale, jak na takiego
matołka. - Spojrzenie wideokularów spoczęło na androidzie i księdzu. -
Wicie już dlaczego wybrałem tego chłopaka, żeby dokończył „Pieśni”?
Pisać nie umie za grosz, ale pamięć majak słoń.

Chciałem właśnie zapytać, co to jest słoń, kiedy bez wyraźnej
przyczyny obejrzałem się przez ramię na A. Bettika - i w ułamku
sekundy, po tylu latach znajomości, naprawdę go zobaczyłem. Szczęka
mi opadła.

— Co się stało? - zapytał zaniepokojony de Soya, myśląc zapewne, że
dostałem zawału.

— To ty - powiedziałem do androida. - Ty jesteś Obserwatorem.

— Tak - odparł.

— Jesteś jednym z nich... jednym z lwów, tygrysów i niedźwiedzi.

Książd przeniósł wzrok na A. Bettika, potem na wciąż uśmiechniętego starca i znów na androida.

— Nigdy nie uważałem tego sformułowania za szczególnie trafne - rzekł A. Bettik cicho. - Nigdy nie widziałem lwa, tygrysa ani niedźwiedzia, wiem jednak, że cechowała je pewna drapieżność, która jest zupełnie obca... hmm... rasie, z której się wywodzę.

— Już przed kilkuset laty przybrałeś postać androida - stwierdziłem, a szok wywołany nagłym, pogłębiającym się zrozumieniem, był jak cios pałką w głowę. - Byłeś świadkiem wszystkich najważniejszych wydarzeń: śledziłeś rozwój Hegemonii, odkrycie Grobowców Czasu na Hyperionie, widziałeś Upadek Transmitterów i jego skutki... Jezu Chryste, uczestniczyłeś też w ostatniej pielgrzymce do Chyżwara.

A. Bettik skinął lekko głową.

— Jeśli ktoś chce obserwować, M. Endymion, musi znajdować się we właściwym miejscu.

— Wiedziłeś o tym, starcze? - Nachyliłem się nad Martinem Silenusem, gotów wytrząsnąć odpowiedź z jego flaków, gdyby zdążył już umrzeć.

— Nie wiedziałem, dopóki z tobą nie wyruszył, Raul - odparł poeta. - Dopóki nie przeczytałem w Pustce twojej powieści i nie zrozumiałem...

Cofnąłem się parę kroków w miękką, wysoką trawę.

— Ależ ze mnie idiota - zauważyłem. - Nic nie widziałem, nic nie rozumiałem... Byłem głupcem.

— Nie - zaproponował ojciec de Soya. - Byłeś zakochany.

Dwoma szybkimi krokami podszedłem do A. Bettika, jakbym zamierzał go udusić, gdyby natychmiast szczerze mi nie odpowiedział. Kto wie, może faktycznie tak bym zrobił.

— To ty jesteś ojcem dziecka - rzekłem. - Kłamałeś, twierdząc, że nie wiesz, gdzie przez dwa lata podziewała się Enea. Jesteś ojcem jej dziecka, nowego mesjasza.

— Nie - odparł spokojnie android. Obserwator. Jednoręki Obserwator, przyjaciel, który kilkakroć omal z nami nie zginął. - Nie jestem mężem Enei. Nie jestem ojcem jej dziecka.

— Proszę cię - powiedziałem, a ręce zaczęły mi się trząść - nie okłamuj mnie. - Wiedziałem, że nie skłaniałby, że nigdy tego nie zrobił.

Spojrzał mi w oczy.

— Nie jestem ojcem - powtórzył. - Nikt nie jest teraz ojcem. Nie ma mesjasza. Nie ma żadnego dziecka.

Nie żyją, oboje nie żyją... dziecko i mąż, kimkolwiek był. Enea też nie żyje, moja mała, kochana dziewczynka.

W głębi duszy, kiedy postanowiłem poświęcić się odszukaniu dziecka, prosić Obserwatora, by pozwolił mi być jego przyjacielem, opiekunem i uczniem, służyć mu, jak służyłem Enei i kiedy popychany tą nową nadzieją wymknąłem się z więzienia na orbicie Armaghastu, przeczuwałem, że w całym kosmosie nie ma dziecka mojej ukochanej... Wiedziałem, że usłyszałbym jego głos, dudniący w Pustce niczym fuga Bacha... Ale dziecka nie było. Tylko prochy.

Odwróciłem się do ojca de Soi, gotów odebrać od niego cylinder z popiołami Enei i przy pierwszym dotknięciu lodowatego metalu ostatecznie pogodzić się z faktem, że na wieki zniknęła z mojego życia. Chciałem sam znaleźć miejsce, gdzie je rozsypię, pójść piechotą do Arizony, gdyby okazało się to konieczne... A może tylko do Hannibala... Tam się pierwszy raz pocałowaliśmy. Może to właśnie tam była najszczęśliwsza?

— Gdzie pojemnik? - zapytałem chrapliwie.

— Nie zabrałem go - odparł ksiądz.

— To gdzie jest? - Nie byłem na niego zły, lecz tylko bardzo, bardzo zmęczony. - Wrócę po niego do wieży.

Ojciec de Soya odetchnął głęboko i pokręcił głową.

— Zostawiłem go na drzewostatku, Raul - powiedział. - Nie zapomniałem go: zostawiłem go celowo.

Wybałuszyłem na niego oczy, bardziej chyba zdziwiony niż zły - i wtedy zauważyłem, że nie patrzy na mnie, że wraz z A. Bettikiem i starym poetą patrzą w stronę rzeki.

Miałem wrażenie, jakby chmura przesłoniła słońce, a później jeden jedyny, oślepiająco jasny promień przebił się i padł na trawę. Dwie sylwetki przez długą chwilę stały nieruchomo, a potem niższa z nich ruszyła żwawym krokiem w naszą stronę. Zaczęła biec.

Mimo dzielącej nas odległości wyższą postać rozpoznałem bez trudu: słońce lśniło na jej chromowym korpusie, oczy błyszczały czerwono, kolce i ostrza złociły się na całym ciele - ale nie miałem za wiele czasu, żeby gapić na stojącego nieruchomo Chyżwara. Zrobił swoje: przeniósł się wraz z towarzyszącą mu osobą do przodu w czasie, równie łatwo, jak ja nauczyłem się poruszać w przestrzeni.

Enea przebiegła ostatnie trzydzieści metrów. Wyglądała młodziej, jakby smutek i dramatyczne wydarzenia nie odcisnęły jeszcze na niej swojego piętna; jasne włosy związała w niedbały kucyk. Uświadomiłem sobie nagle, że naprawdę jest młodsza; stałem jak wrośnięty w ziemię, gdy wbiegała na nasz pagórek. Miała dwadzieścia lat, o cztery więcej, niż kiedy rozstawaliśmy się w Hannibalu, ale o trzy mniej niż podczas naszego ostatniego spotkania.

Pocałowała A. Bettika, wyściskała ojca de Soyę, pochyliła się nad leżanką, żeby delikatnie cmoknąć starego poetę, a potem odwróciła się do mnie.

Nadal nie mogłem ruszyć się z miejsca.

Podeszła bliżej i wspięła się na palce, jak zawsze, kiedy chciała pocałować mnie w policzek - i pocałowała mnie w usta.

— Przepraszam, Raul - wyszeptała. - Przepraszam, że musiałeś tyle wycierpieć. Wszyscy musieliście.

Ja musiałem wycierpieć. Stała przede mną wiedząc, co czekają w Zamku Świętego Anioła, widząc oczyma wyobraźni potworne Nemes, krążące jak sępy wokół jej nagiego ciała, a potem nagłą powódź płomieni...

Musnęła dłonią mój policzek.

— Raul, najdroższy, jestem tutaj. To naprawdę ja. Nie opuszczę cię przez najbliższy rok, jedenaście miesięcy, tydzień i sześć godzin, i nigdy już nie będę ci przypominać, ile czasu nam zostało. Mamy go nieskończenie wiele; zawsze będziemy razem. A nasze dziecko zostanie z tobą.

Nasze dziecko, a nie żaden zrodzony z konieczności mesjasz. Nie było ślubu z Obserwatorem. Nasze dziecko, ludzkie, niedoskonałe, potykające się i płaczące dziecko.

— Raul? - Jeszcze raz dotknęła mojej twarzy spracowaną dłonią.

— Cześć, małeńka - powiedziałem i wziąłem ją w ramiona.

Martin Silenus zmarł wieczorem następnego dnia, w kilka godzin po naszym ślubie. Oczywiście nie kto inny, jak ojciec de Soya odprawił nabożeństwo ślubne, podobnie jak później, przed zachodem słońca, mszę na pogrzebie poety. Ucieszył się, że zabrał z Pacem mszał i szaty liturgiczne.

Pochowaliśmy Silenusa na jednym z trawiastych wzgórz na brzegu rzeki, skąd rozpościerał się najwspanialszy widok na morze traw i odległy las. Domyślaliśmy się, że dom jego matki musiał znajdować się w pobliżu tego właśnie miejsca. A. Bettik, Enea i ja wykopaliśmy głęboki grób, w okolicy bowiem nie brakowało drapieżników - w nocy słyszeliśmy wycie wilków - a potem przykryliśmy go dodatkowo ciężkimi kamieniami. Na jednym z nich Enea wypisała daty urodzin i śmierci zmarłego - któremu do okrągłego tysiąca lat życia zabrakło zaledwie czterech miesięcy - jego imię, nazwisko, a pod spodem proste „NASZ POETA”.

Na tym właśnie pagórku pojawił się Chyżwar z Enea. Nie ruszył się z miejsca ani podczas naszego ślubu, ani wieczorem, kiedy stary poeta umierał, ani nawet na jego pogrzebie o zachodzie słońca - chociaż stał nie dalej niż dwadzieścia metrów od nas, niczym srebrzysty, najeżony kolcami wartownik. Dopiero kiedy zeszliśmy ze wzgórza, Chyżwar podszedł do grobu i stanął nad nim z pochyloną głową i zwieszonymi swobodnie rękoma. Ostatnie ślady dziennego blasku kładły się na jego gładkim korpusie i migotały w rubinowych oczach. Więcej się nie poruszył.

Ojciec de Soya i Ket Rosteen namawiali nas, żebyśmy spędzili jeszcze jedną noc w wieży, ale mieliśmy z Enea inne plany. Ze statku konsula ściągnęliśmy trochę sprzętu turystycznego, nadmuchiwaną tratwę, sztucer i mnóstwo liofilizowanej żywności - na wypadek, gdyby

polowanie nie poszło nam najlepiej - po czym z niejakim trudem zapakowaliśmy wszystko do dwóch pękatych, ciężkich plecaków. Staliśmy właśnie na krawędzi wyrwanej z Hyperiona bryły ziemi i patrzyliśmy, jak preria i las z wolna pogrążają się w mroku. Kopiec na grobie starego poety rysował się czarną linią na tle ciemniejącego nieba.

— Ściemnia się - zafrasował się ojciec de Soya.

— Mamy latarnię. - Enea się uśmiechnęła.

— Ale tam włóczy się mnóstwo dzikich zwierząt - mówił dalej ksiądz. - Słyszeliście przecież to wycie... Bóg jeden wie, jakie bestie wychodzą teraz na żer.

— To Ziemia - powiedziałem. - Ze sztucerem w garści poradzę sobie ze wszystkim, może poza grizzly.

— A jeżeli grizzly rzeczywiście tu są? - upierał się jezuita. - Poza tym możecie zabłądzić; tu nie ma miast, nie ma dróg, nie ma mostów. .. Jak zamierzacie pokonywać rzeki...

— Federico - przerwała mu Enea i złapała go za rękę. - To nasza noc poślubna.

— Och... - Ksiądz uścisnął ją, podał mi rękę i się cofnął.

— Czy mogę coś zasugerować, M. Enea, M. Endymion? - spytał nieśmiało A. Bettik.

Przypinałem właśnie pochwę z nożem do pasa. Podniosłem wzrok na androida.

— Zamierzasz powiedzieć nam, jakie atrakcje zaplanowaliście dla Ziemi w najbliższych latach? - zagadnąłem. - A może wreszcie przywitacie się z nami osobiście?

Android był zakłopotany.

— Nie... niezupełnie - odparł. - Miałem raczej na myśli skromny prezent ślubny. — Podał nam skórzaną tubę.

Od razu ją rozpoznałem - Enea zresztą również. Uklękliśmy, żeby wyjąć zrolowaną matę grawitacyjną i rozwinąć ją na trawie.

Zaskoczyła od pierwszego dotknięcia i uniosła się metr nad ziemią. Zrzuciliśmy na nią plecaki, ja położyłem sztucer i wciąż jeszcze wystarczyło miejsca dla nas obojga: musiałem tylko usiąść po turecku i wziąć Eneę na kolana.

— Powinna się przydać, kiedy przyjdzie do przekraczania rzek i chowania się przed zwierzętami - stwierdziła Enea. - Dzisiaj zresztą nie zapuścimy się zbyt daleko w poszukiwaniu miejsca na obóz: przeskoczmy tylko przez rzekę, żeby znaleźć się poza zasięgiem głosu.

— Poza zasięgiem głosu? - powtórzył ksiądz. - Dlaczego chcecie być tak blisko, skoro i tak nikt nie usłyszy waszego wołania? Gdyby coś wam się stało... Och... - powtórzył i poczerwieniał.

Enea uścisnęła go, po czym podała rękę Ketowi Rosteenowi.

— Byłabym zobowiązana, kapitanie, gdyby za dwa tygodnie umożliwił pan wszystkim chętnym lądowanie na Ziemi - powiedziała. - Mogą się tu przenieść sami albo skorzystać ze statku konsula. Spotkamy się w południe przy grobie wujka Martina i będą mogli zostać z nami do zachodu słońca. Za dwa lata każdy, kto zdoła o własnych siłach się tu dostać, będzie sobie mógł do woli buszować po Ziemi. Nikomu jednak nie wolno zostać tu dłużej, niż przez miesiąc; obowiązuje zakaz stawiania wszelkich trwałych konstrukcji, budowania miast, dróg i płotów. A za dwa lata... - Wyszczrzyła się w uśmiechu. - Wspornic z lwami, tygrysami i niedźwiedziami zaplanowaliśmy tej planecie ciekawą przyszłość, ale to później. Przez dwa lata w całości należy do nas dwojga. Proszę cię więc, Prawdziwy Głosie Drzewa, o pozostawienie po drodze na statek wielkiej, wyraźnej wywieszki: NIE PRZESZKADZAĆ.

— Tak właśnie zrobimy - odrzekł templariusz i wrócił do wieży, żeby przygotować ergi do startu.

Usadowiliśmy się na macie. Przytuliłem Eneę - i w najbliższym czasie nie zamierzałem wypuszczać jej z objęć: jeden ziemski rok, jedenaście miesięcy, tydzień i sześć godzin mogą trwać wieczność, jeśli tylko im na to pozwolić. Nawet jeden dzień można rozciągnąć w nieskończoność. Nawet godzinę.

Ojciec de Soya pobłogosławił nas i rzekł:

— Czy jest coś, co mógłbym dla was zrobić w najbliższej przyszłości? Coś wam tu przysłać?

— Dzięki, ojcze. - Pokręciłem głową. - Mamy trochę sprzętu, medpak ze statku, tratwę i sztucer... Wszystko będzie w porządku. Nie bez powodu byłem myśliwym na Hyperionie.

— Mam jedną prośbę - wtrąciła się Enea. Po prawie niezauważalnym drgnięciu w kąciku ust poznałem, że szykuje jakiś psikus.

— Co tylko zechcesz - powiedział ksiądz.

— Gdyby ojciec mógł wrócić tu za jakiś rok, przydałaby mi się przyzwoita położna. Wystarczy ojcu czasu, żeby się podszkolić w tej materii.

De Soya zbladł, otworzył usta, żeby coś powiedzieć, przemyślał sobie to i tylko pokiwał ponuro głową.

Enea roześmiała się i złapała go za rękę.

— Żartowałam; Dorje Phamo i Dem Loa zgodziły się tu przybyć, gdyby zaistniała taka potrzeba. - Enea spojrzała na mnie. - A z pewnością zaistnieje.

Ojciec de Soya odetchnął z ulgą, położył rękę na głowie Enei, żeby ostatni raz ją pobłogosławić i wolno wrócił do wieży. Patrzyliśmy, jak jego sylwetka wtapia się w cień.

— Co będzie z jego Kościołem? - zapytałem cicho.

Enea pokręciła głową.

— Nie wiem, ale cokolwiek się wydarzy, ma szansę zacząć wszystko od początku... Na nowo odkryć swą duszę. - Uśmiechnęła się do mnie przez ramię. - Tak jak i my.

Serce zabiło mi szybciej z emocji, ale postanowiłem nie czekać dłużej z tym pytaniem:

— Małeńka... - Enea obróciła się, wtuliła policzek w moją pierś i spojrzała mi w twarz. — Chłopiec czy dziewczynka? Nigdy cię o to nie pytałem.

— Że co? - zdziwiła się.

— No wiesz, po co będziesz potrzebowała Gromowładnej Lochy i Dem Loi... To będzie chłopiec czy dziewczynka?

— Ach, o to ci chodzi. - Znów spojrzała przed siebie, oparła się plecami o mnie i wsunęła mi głowę pod brodę. Kiedy się odezwała, czułem jak jej słowa wibrują mi w kościach. - Nie wiem, Raul. Nie mam pojęcia. Zawsze unikałam zaglądania w ten okres mojego życia; wszystko, co się teraz wydarzy, będzie dla nas całkiem nowe. To znaczy... wiem z późniejszych wspomnień, że doczekamy się zdrowego malucha i że decyzja o zostawieniu go... i ciebie... będzie najtrudniejsza w moim życiu. O wiele trudniejsza, niż kiedy dam się złapać w bazylice Świętego Piotra i trafię przed oblicze inkwizytorów. Ale wiem też z tego, co widziałam w przyszłości - z naszych wspólnych chwil na Tien Szanie, które dla ciebie już przeminęły, dla mnie zaś dopiero nadejdą i będę okrutnie cierpieć, nie mogąc ci nic powiedzieć - iż znajdę pociechę w fakcie, że nasze dziecko ma się dobrze i że się nim zajmujesz. Wiem, że nie pozwolisz mu zapomnieć, kim byłam ani jak bardzo kochałam was oboje. - Westchnęła głęboko. - Ale jeśli chodzi o to, czy to będzie chłopiec czy dziewczynka, albo jak damy dziecku na imię... Nie mam pojęcia, kochanie. Postanowiłam nie zaglądać w ten okres przyszłości, w nasz czas, ale po prostu przeżyć go, cieszyć się każdym dniem. Wiem o najbliższej przyszłości tyle samo, co ty.

Przytulilem ją mocniej do piersi.

Dopiero słysząc dyskretne chrząknięcie, uświadomiliśmy sobie, że A. Bettik wciąż stoi obok nas.

— Przyjacielu - rzekła Enea i wzięła go za rękę. - Jak mam to wyrazić?

Android pokręcił zrazu głową, ale odparł:

— Czy czytała pani napisany przez pani ojca sonet „Do Homera”, M. Enea?

Moja ukochana zamyśliła się, zmarszczyła brwi i odparła:

— Chyba tak, ale go nie pamiętam.

— Wydaje mi się, iż ma on po części związek z pytaniem M. Endymiona o przyszłość Kościoła ojca de Soi. Z innymi wydarzeniami również. Państwo pozwolą?

— Prosimy - powiedziała Enea. Siedziała w moich objęciach, czułem jej dłoń na udzie i wiedziałem, że równie chętnie, jak ja sam, udałaby się już na poszukiwanie miejsca na nocleg. Miałem szczerą nadzieję, że popisy A. Bettika nie potrważą zbyt długo. Android wyrecytował:

O tak, dociera światło do wybrzeży mroku,
Rośnie na dnie przepaści trawa wiecznie świeża,
Z gleby nocy kiełkuje brzask; ślepemu oku
Los potrojoną ostrość widzenia powierza.'

— Dziękuję - rzekła Enea. - Dziękuję ci, przyjacielu. - Wyplątała się z moich ramion na tyle, żeby pocałować androida na pożegnanie.

— Zaraz, a ja? - upomniałem się głosem pokrzywdzonego dziecka.

Pocałowała mnie. To był drugi, głęboki pocałunek.

Pomachaliśmy A. Bettikowi, musnąłem sploty sterujące matą i wznieśliśmy się pięćdziesiąt metrów nad ziemię. Przelecieliśmy nad wyszarpaną z powierzchni Hyperiona grudą ziemi, nad wieżą, okrążyliśmy czarny jak noc statek konsula i poleciliśmy na zachód. Kierując się Gwiazdą Polarną i debatując nad tym, czy leżący parę

kilometrów dalej pagórek nada się na obozowisko, przemknęliśmy nad grobem starego poety, gdzie milczący, nieporuszony Chyżwar pełnił straż, przeskoczyliśmy nad rzeką, której wiry i fale odbijały resztki blasku dnia i wzbiliśmy się jeszcze wyżej, nie odrywając wzroku od bujnych łąk i gęstych lasów naszego nowego podwórka, naszej prastarej planety... nowego świata... pierwszego, przyszłego, najlepszego świata.

PODZIĘKOWANIA

Autor chciałby podziękować następującym osobom: Kevinowi Kelly'emu - za zamieszczony w książce Out of Control opis ewolucji sztucznego życia pod postacią osiemdziesięciobajtowych infostworków; Jeanowi Danielowi Breque i Monique Labailly za oprowadzenie po paryskich katakumbach; Jeffowi Orrowi, cyberkowbojowi extraordinaire - za to, że odważnie rzucił się w otchłań cyberprzestrzeni i ocalił ponad czterdzieści stron tej opowieści, wykradzionych przez TechnoCentrum; swojemu wydawcy, Tomowi Dupree - za cierpliwość, entuzjizm i podobny, dobry gust, który przejawia się umiłowaniem Mystery Science Theater 3000.